

Z nowego
świata

Spis treści

Część I – Sezon młodych liści

Rozdział 1	6
Rozdział 2	23
Rozdział 3	41
Rozdział 4	62
Rozdział 5	85
Rozdział 6	111
Rozdział 7	138

Część II – Letni mrok

Rozdział 1	163
Rozdział 2	182
Rozdział 3	203
Rozdział 4	225
Rozdział 5	247
Rozdział 6	270
Rozdział 7	291
Rozdział 8	313

Część III – Głęboka jesień

Rozdział 1	339
Rozdział 2	362
Rozdział 3	387

Część IV – Odległy zimowy grzmot

Rozdział 1	410
Rozdział 2	433
Rozdział 3	458
Rozdział 4	480
Rozdział 5	502
Rozdział 6	525

Część V – Ognie apokalipsy

Rozdział 1	550
Rozdział 2	576
Rozdział 3	602
Rozdział 4	627
Rozdział 5	653
Rozdział 6	678
Rozdział 7	703

Część VI – Światło w ciemności

Rozdział 1	731
Rozdział 2	755
Rozdział 3	780
Rozdział 4	805
Rozdział 5	829
Rozdział 6	852

Autor przekładu z nieoficjalnego tłumaczenia angielskiego na język polski: Jovex
Korekta: Eqeminiv

Wszelkie prawa autorskie do powieści 新世界より (Z Nowego Świata) należą do Yusuke Kishi.

Ten dokument jest fanowskim tłumaczeniem, nieautoryzowanym przez posiadacza praw autorskich.

Autor tłumaczenia nie rości sobie jakichkolwiek praw do treści powieści.

Autor przekładu nie wyraża zgody na umieszczanie tego tłumaczenia na stronach innych niż znowegoswiatapl.wordpress.com, helheim.pl oraz centrum-mangi.pl

W razie pojawienia się tłumaczenia oficjalnego dokument ten zostanie natychmiastowo usunięty z Sieci.

Część I: Sezon młodych liści

Rozdział 1

Późnymi nocami, gdy świat pogrąża się w ciszy, zanurzam się w fotelu i zamykam oczy. Obraz, który wtedy widzę zawsze jest taki sam; wizja na stałe wyryta w mojej pamięci.

Ciemność. Ogień płonący nad ołtarzem na tyłach świątyni. Buchające z niego niczym pomarańczowe płatki śniegu iskry, zakłócające cichy dźwięk monotonnego śpiewu dobiegającego głęboko spod ziemi.

Zawsze zastanawiam się, dlaczego widzę właśnie tę scenę.

Od tamtej nocy minęły już dwadzieścia trzy lata. Właśnie wtedy, kiedy byłam dwunastoletnią dziewczynką, miał miejsce początek wielu wydarzeń - tak smutnych i przerażających jak tylko można sobie wyobrazić; wydarzeń, które obróciły w pył wszystko, w co wierzyłam.

Dlaczego tamta noc wciąż jest pierwszą rzeczą, która przychodzi mi do głowy ilekroć pogrążam się w myślach? Czyżby siła hipnozy była aż tak ogromna? Czasami mam wrażenie, że wciąż nie uwolniłam się w pełni od skutków prania mózgu.

Mam powody, dla których postanowiłam przelać na papier moje wspomnienia o tym, co wtedy zaszło i o okolicznościach, które do tego doprowadziły. Od zakończenia ciągu zdarzeń, które opisuję minęło dziesięć lat – nie jest to zbyt długi okres czasu, lecz wystarczający by narosło wiele nowych problemów. Od czasu ustanowienia nowego ładu pojawia się – o ironio! - coraz więcej niepewności na temat tego, co przyniesie przyszłość. Podczas ostatnich lat, które spędziłam na zgłębianiu historii, uświadomiłam sobie ważną prawdę o ludzkości – gdy los daje nam bolesną lekcję, to nieważne, ile łez przez nią wylejemy – ponieważ gdy łzy wyschną, zapominamy płynący z niej morał. Takimi właśnie jesteśmy istotami.

Przyrzekliśmy, oczywiście, że już nigdy nie dopuścimy do ponownego wydarzenia się równie gigantycznej tragedii. Chcę wierzyć, że jako ludzkość będziemy w stanie dotrzymać tej obietnicy,

jednak nie mogę pozbyć się obaw, że może nadejść dzień, w którym nasze wspomnienia się zatrą; dzień w którym w którym znów skierujemy swoje kroki na tamtą złą drogę i historia zatoczy koło.

To właśnie strach przed taką przyszłością jest moją motywacją do spisywania wspomnień.

Odkryłam, że podczas pisania często zdarzają mi się momenty zamroczenia - mam wrażenie że moje wspomnienia są jakby nadgryzione w kilku miejscach przez mole, przez co nie mogę przypomnieć sobie pewnych istotnych szczegółów. Próbowałam łątać luki w mojej pamięci pytając się o umykające mi detale innych osób, które były również świadkami tamtych wydarzeń. Ku mojemu zdziwieniu zaobserwowałam wtedy, że niektóre ze wspomnień, jakie dzielimy są sprzeczne – dla przykładu doskonale pamiętam, że w dniu, w którym spotkałam fałszywego minoshiro na górze Tsukuba miałam na nosie okulary z czerwonymi szklami, jednak z jakiegoś powodu Satoru jest pewien, że tego dnia nie nosiłam żadnych okularów. Mało tego, Satoru uważa, że odnalazł fałszywego minoshiro w pojedynkę – a przecież tak absurdalne stwierdzenie z całą pewnością jest nieprawdziwe.

Postanowiłam jednak odłożyć na bok swoją dumę i przepytąć wszystkie osoby, które przyszły mi na myśl. Doprowadziło mnie to tylko do odkrycia jeszcze większej ilości niezgodności we wspólnych wspomnieniach. Uderzył mnie wtedy pewien fakt – nie mogłam znaleźć nikogo, kto nie miałby pamięci zmodyfikowanej w taki sposób, aby ukryć swoje przewinienia.

Kiedy opisywałam moje najnowsze odkrycie, uświadomiłam sobie nagle, że nie mam właściwie powodów by sądzić, że różnię się od tych ludzi, z których jeszcze przed chwilą podśmiewałam się w duchu, kpiąc z ich żalosnej ignorancji. Nie mam wątpliwości, że z punktu widzenia innych osób moja historia będzie się wydawała przeinaczona tak, by ukazać mnie jedynie w dobrym świetle.

Muszę zaznaczyć więc w tym miejscu, że ta opowieść – jako, że będzie pisana z mojej perspektywy – może okazać się zniekształcona.

Będę prawdopodobnie nieumyślnie próbowała uzasadniać swoje czyny – przede wszystkim chcąc jakoś usprawiedliwić fakt, iż ich konsekwencją była śmierć tak wielu osób. Mimo tego postaram się z całych sił by wyłuskać z moich wspomnień prawdę; chcę stawić czoła faktom i przedstawić tamte wydarzenia takimi, jakimi były naprawdę. Mam też nadzieję, że spisanie tej historii na modłę starych legend pomoże mi jak najwierniej odtworzyć to, co wtedy myślałam i czułam.

Ten rękopis powstaje przy użyciu niezmywalnego atramentu, na kartkach, które są zrobione z nieutleniającego papieru, mogącego przetrwać całe tysiąclecia. Kiedy już skończę, nie pokażę go nikomu (może zrobię wyjątek dla Satoru i spytam się o jego opinię), włożę go do kapsuły czasu i zakopię głęboko w ziemi.

Następnie mam zamiar wykonać jeszcze dwie kopie, tak, by łącznie istniały tylko trzy sztuki. Jeżeli kiedykolwiek w przyszłości ludzkość powróci do starych zwyczajów; jeżeli wszystkie opublikowane teksty znów zostaną ocenzurowane, istnienie tej kopii historii musi pozostać tajemnicą tak długo, jak będzie to możliwe. Biorąc pod uwagę możliwość zajścia takich wydarzeń, myślę, że trzy egzemplarze to odpowiednia liczba.

Innymi słowy, ten zapis jest długim listem, jaki pozostawiam dla potomków moich rodaków, którzy będą żyć tysiąclecia po nas. W tej odległej przyszłości, kiedy jego treść zostanie odczytana będzie już wiadomo czy nasze wysiłki, by skierować kroki ludzkości na nową ścieżkę odniosły ostatecznie zamierzony skutek.

Właściwie to jeszcze się nie przedstawiłam.

Nazywam się Saki Watanabe. Urodziłam się 10 grudnia 210 roku w dystrykcie Kamisu 66.

Tuż przed moimi narodzinami nagle kwiatami pokryły się wszystkie bambusy, należące do pewnego specjalnego gatunku, który kwitnie tylko raz na sto lat. Tego roku wystąpiły chyba wszystkie możliwe rodzaje anomalii pogodowych – między innymi śnieg, który spadł w środku lata, gdy spodziewano się jeszcze trzech długich

miesiący suszy. W nocy, 10 grudnia, gdy świat spowiła ciemność, na niebie pojawił się nagle błysk światła. Wielu ludzi twierdzi, że widziało wtedy smoka o złotych łuskach, wynurzającego się z rozświetlonej szczeliny między chmurami...

Tak naprawdę żadna z tych rzeczy nie miała miejsca.

Rok 210 był zupełnie zwyczajny, tak samo jak wszystkie dzieci urodzone wtedy w Kamisu 66, włączając w to mnie.

Dla mojej matki nie byłam jednak zwyczajna. Gdy mnie urodziła, dobiegała już czterdziestki i była pewna, że nie może mieć dzieci. W naszych czasach zajście w ciążę po ukończeniu trzydziestu lat jest uważane za bardzo późne.

Gdyby tego było mało, moja matka, Mizuho Watanabe, piastowała ważny urząd opiekunki biblioteki. Jej decyzje wpływały na przyszłość całego dystryktu, a w niektórych przypadkach mogły nawet doprowadzać do śmierci mieszkańców. Konieczność codziennego dźwigania ciężaru takich obowiązków, połączona z potrzebą dbania o ciążę z pewnością nie jest czymś, z czym ludzie muszą się zazwyczaj mierzyć.

W tym samym czasie mój ojciec, Takashi Sugiura, pełnił funkcję burmistrza. Była to praca wymagająca dużego zaangażowania, jednak bycie opiekunem biblioteki niosło ze sobą wtedy nieporównywalnie większą odpowiedzialność; oczywiście nadal tak jest, jednak w tamtym okresie było to jeszcze bardziej zauważalne.

Moja matka uczestniczyła właśnie w spotkaniu poświęconym omówieniu klasyfikacji nowoodkrytego zbioru książek, gdy zaczęła rodzić. Ten dzień wypadł ponad tydzień przed planowanym terminem rozwiązania, jednak gdy tylko bez żadnego ostrzeżenia odeszły jej wody, przetransportowano ją do położonego na obrzeżach wioski szpitala porodowego. Nie minęło nawet dziesięć minut gdy usłyszała mój pierwszy płacz. Niestety, pępowina owinęła się wokół mojej szyi, moja twarz zrobiła się purpurowa i nie mogłam złapać tchu. Gdy nowoprzyjęta do pracy położna zobaczyła, co się dzieje, prawie zemdląła z trwogi; na szczęście jednak udało się bez

problemów przeciąć pępowinę i wreszcie mogłam po raz pierwszy zaczerpnąć powietrza tego świata i wydać z siebie zdrowy okrzyk.

Dwa tygodnie później w tym samym szpitalu urodziła się Maria Akizuki, która miała w przyszłości zostać moją najlepszą przyjaciółką. Przyszła na świat jako wcześniak; w czasie ciąży znajdowała się w nieprawidłowym, pośladkowym ułożeniu. Ponadto, podobnie jak w moim przypadku, wokół szyi owinęła się jej pępowina – jej stan był jednak znacznie poważniejszy od mojego; narodziła się praktycznie martwa.

Położna, bogatsza o doświadczenie które przy mnie nabyła, podeszła do tej sytuacji zachowując zimną krew. Nie mam wątpliwości, że gdyby przy przecinaniu pępowiny zadrżała jej ręka lub gdyby spóźniła się z tą czynnością nawet o kilka sekund, Maria zmarłaby przy porodzie.

Kiedy pierwszy raz usłyszałam tę historię, byłam dumna, że w pewien sposób niebezpośrednio uratowałam życie przyjaciółki. Dziś jednak, kiedy o tym pomyślę, nachodzą mnie rozterki. Gdyby Maria wtedy się nie urodziła, nie doszłoby do śmierci tak wielu ludzi...

Powróćmy do opowieści. Spędziłam szczęśliwe dzieciństwo, otoczona bujną przyrodą mojego rodzinnego dystryktu. Kamisu 66 składa się z siedmiu wiosek, rozrzuconych w promieniu ponad pięćdziesięciu kilometrów. Od świata zewnętrznego odseparowane jest przez Świętą Bariere – gruby, spleciony ze słomy sznur obwieszony wstążkami, mający pełnić rolę osłony strzegącej osady przed plugastwem z zewnątrz.

Dzieci ostrzega się przed żyjącymi na zewnątrz bariery potworami i złymi duchami; mówi się im, że jeżeli spróbują samotnie ją przekroczyć to sprowadzą na siebie niewyobrażalne cierpienie.

– Ale co dokładnie jest tam takiego strasznego? – Pamiętam, że zadałam ojcu to pytanie, gdy miałam może sześć lub siedem lat.

– Wiele różnych rzeczy. – Podniósł głowę znad swoich papierów i spojrzał na mnie czule, podpierając dłonią podbródek. Ojciec nigdy

nie był dla mnie surowy i tylko jeden, jedyny raz na mnie nakrzyczał: gdy pewnego dnia nie patrzyłam na to, gdzie stawiam kroki i pewnie wpadłabym do głębokiego dołu w ziemi gdyby mnie nie ostrzegł.

– Saki, przecież już wiesz, prawda? O dziwoszczurach, zmyłkotach i bombopsach.

– Mama mówi, że to wszystko jest zmyślane.

– Może i tak, ale z wyjątkiem dziwoszczurów. One są prawdziwe – powiedział ze zdumiewającą nonszalancją.

– Kłamiesz.

– Wcale nie. Nawet teraz wykorzystujemy dziwoszczury do pomocy przy rozbudowie wioski.

– Nigdy żadnego nie widziałam.

– Nie pozwalamy dzieciom by je widziały. – Ojciec nie powiedział dlaczego tak jest, ale pomyślałam sobie, że są po prostu zbyt szkaradne by na nie patrzeć.

– Ale skoro słuchają ludzi, to nie mogą być takie straszne, prawda?

Ojciec odłożył dokumenty, które przeglądał i podniósł prawą dłoń, a następnie niskim głosem wyszeptał zaklęcie. Cienkie włókno papieru natychmiast zaczęło się zwijać w skomplikowany, wtopiony w kartkę wzór, tworząc pieczęć burmistrza. Zupełnie, jakby na papierze ujawnił się jakiś niewidzialny atrament.

– Saki, wiesz co oznacza fałszywe posłuszeństwo?

Zaprzeczyłam, potrząsając lekko głową.

– To znaczy, że udajesz, że jesteś komuś posłuszna, ale tak naprawdę myślisz zupełnie co innego.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Że oszukujesz tę osobę, planując w sekrecie, że ją zdradzisz.

Szeroko otworzyłam usta ze zdumienia.

– Tacy ludzie nie istnieją.

– Masz rację. Nie ma człowieka, który mógłby zdradzić zaufanie drugiej osoby. Ale dziwoszczury nie są ludźmi.

Po raz pierwszy poczułam wtedy przyływ strachu.

– Dziwoszczury czczą nas i są nam posłuszne, ponieważ posiadamy cantus. Nie jesteśmy jednak w stanie przewidzieć, jak mogłyby się zachować w stosunku do dzieci, w których moc jeszcze się nie obudziła. Dlatego za wszelką cenę musimy was chronić przed spotkaniem dziwoszczurów.

– Ale jeśli wykorzystujecie je do pracy to znaczy że są obecne w wiosce, prawda?

– Tak, ale zawsze nadzoruje je jeden z dorosłych. – Ojciec odłożył dokument do kasetki i ponownie uniósł dłoń. Wieko zatrzęsło się i wtopiło w pudełko, tworząc coś na kształt wklęsłego, pokrytego lakierem klocka. Otwarcie pojemnika tak, by go nie uszkodzić byłoby wyjątkowo trudne dla innej osoby; nikt poza ojcem nie wiedział bowiem co wyobraził on sobie, wykorzystując swój cantus do zamknięcia kasetki.

– W każdym razie, nie wychodź nigdy poza Świętą Barierę. Wewnątrz jest bezpiecznie, ale jeśli uczynisz choćby jeden krok poza nią, nie będziesz chroniona niczyją mocą

– Ale przecież dziwoszczury...

– Nie chodzi tylko o nie. Uczylaś się w szkole o karmicznych demonach i o Bestii, czyż nie?

Poczułam jak zaciska mi się gardło.

Opowieści o tych potworach są wielokrotnie powtarzane dzieciom już od najmłodszych lat, tak aby mogły zakorzenić się głęboko w podświadomości. Wersje opowiadane w szkołach są złagodzone, ale i tak po ich usłyszeniu ma się koszmary.

– Naprawdę Bestie... i... i karmiczne demony, i podobne okropieństwa żyją za Świętą Barierą?

– Mhm. – Tata uśmiechnął się lekko, chcąc mnie pocieszyć.

– To stare legendy, dziś nie ma już tych stworów...

– To prawda, że żaden nie pojawił się od ponad stu pięćdziesięciu lat, ale lepiej być przygotowanym na wszystko. Nie chciałabyś spotkać się nagle twarzą w twarz z Bestią jak ten chłopiec, który zbierał zioła, prawda, Saki?

Przytaknęłam cicho.

Przytoczę teraz historie o Bestii i o karmicznym demonie; nie będą to jednak te baśniowe opowieści dla dzieci lecz wersje dla dorosłych – te same, które muszą usłyszeć wszyscy rozpoczynający nauki w Akademii Mędrców:

Legenda o Bestii

Działo się to około sto pięćdziesiąt lat temu. Żył wtedy pewien chłopiec, zajmujący się zbieraniem ziół. Pewnego razu, pochłonięty pracą, dotarł pod samą Świętą Bariere. Zorientował się wtedy, że zerwał już całe ziele, które rosło wewnątrz Bariery, podczas gdy po drugiej stronie liny wciąż znajdowało się wiele pięknych roślin.

Chłopiec dobrze pamiętał ostrzeżenia dorosłych aby nigdy nie przekraczać Bariery. Mówiono mu, że przejść na zewnątrz można jedynie w razie najwyższej konieczności i tylko w towarzystwie dorosłego opiekuna.

Lecz tym razem w pobliżu nie było nikogo dorosłego.

Chłopiec, skuszony widokiem ziół, pomyślał, że nic takiego się nie stanie, jeżeli na chwilę przejdzie na drugą stronę. Musiał tylko przeczołgać się pod liną, zerwać kilka roślin i wrócić; nic złego nie mogło się przecież zdarzyć.

Na początku tylko niepewnie wychylił głowę na zewnątrz, ale już po chwili pochylił się i cały przeszedł przez Bariere. Wiszące na linie wstążki zadrżały i cicho zaszeleściły.

Nagle ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Nie było to tylko poczucie winy spowodowane nieposłuszeństwem wobec dorosłych; odczuwał dodatkowo dziwny rodzaj niepokoju, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Uspokajając się w duchu, że wszystko jest w porządku, podszedł do kępy ziół.

Wtedy właśnie zobaczył zbliżającą się Bestię.

Nadchodząca istota, mimo że wielkością zaledwie dorównywała chłopcu, wzbudzała swoim wyglądem przerażenie. Potwór kipiał gniewem; złość, którą emanował przybrała formę wirującej, ognistej łuny która niszczyła wszystko na swej drodze. Tam, gdzie postawił swą nogę, cała roślinność

natychmiast stawała w płomieniach; wszystko, co żywe ulegało spopieleniu aż do gołej gleby.

Chłopiec zbladł ze strachu, jednak zdołał powstrzymać się od krzyku. Pomyślał, że jeśli tylko dałby radę wycofać się za Bariere, to monstrum zniknie.

Zaczął się cofać, jednak nadepnął na gałązkę, która z trzaskiem pękła. Bestia odwróciła głowę, ukazując oblicze, które było prawie całkowicie pozbawione emocji – z wyjątkiem oczu, które płonęły furją.

Chłopiec przeszedł na kuckach pod sznurem tak szybko jak tylko potrafił; wszakże wszystko powinno być w porządku gdy tylko znajdzie się w zasięgu ochronnego działania Bariery.

Jednak jego prześladowca też zdołał przejść pod liną.

Gdy tylko chłopiec to zobaczył, uświadomił sobie że dokonał czynu, którego skutków nie da się odwrócić. Zaprosił Bestię do wewnątrz Bariery.

Chłopiec uciekał z krzykiem górską ścieżką, biegnąc wzdłuż bariery w kierunku przeciwnym do wioski a Bestia nieustępliwie za nim podążała.

Gdy obejrzał się za siebie, zobaczył tylko błyszczące oczy i wykrzywione złośliwym uśmiechem usta potwora, który schował się w zaroślach.

Bestia chciała odszukać drogę do wioski.

Chłopiec wiedział, że nie może dopuścić by do tego doszło. Gdyby potwór podążył za nim do wioski, wymordowałby wszystkich jej mieszkańców.

Przedarłszy się przez ostatnie zarośla, chłopiec znalazł się na skraju głębokiego wąwozu. Huk płynącej daleko w dole rzeki niósł się echem między skalnymi ścianami. Przez rozpadlinę przerzucony był świeżo zbudowany linowy most.

Jednak chłopiec nie skorzystał z niego do przekroczenia przepaści. Zamiast tego podążył w górę rzeki, wzdłuż krawędzi wąwozu.

W tyle Bestia również dotarła do mostu i wypatrywała swojej ofiary.

Chłopiec kontynuował ucieczkę.

Niedługo później na horyzoncie, na tle zachmurzonego nieba zamajaczyła sylwetka kolejnego mostu.

Chłopiec zbliżył się do konstrukcji. Kładka, osłabiona od wieloletniego używania kołysała się, zupełnie jakby chciała go do siebie przywołać.

Budowla mogła zawalić się w każdej chwili. Nie była używana już od dziesięciu lat; mieszkańców upominano by nie korzystali z tej przeprawy. Chłopiec powoli zaczął iść przez most.

Liny wydawały przeraźliwy, skrzypiący dźwięk. Deski, zrobione z dębowego drewna były przegniłe i sprawiały wrażenie, że zaraz pękną. Gdy chłopiec doszedł do połowy mostu, spojrzął przez ramię. Zobaczył jak Bestia wchodzi za nim na kładkę.

W miarę jak monstrum zbliżało się do swej ofiary, konstrukcja kołysała się coraz silniej.

Chłopiec spojrzął w dół. Przepaść była zawrotnie głęboka.

Bestia coraz bardziej zbliżała się do chłopca.

Gdy potwór zbliżył się na tyle blisko, by dało się zobaczyć jego przepelnioną nienawiścią twarz, chłopiec zamachnął się ukrytym w rękę ostrzem, przecinając jednym ruchem wszystkie liny utrzymujące most.

Cała konstrukcja runęła; chłopiec zdołał jednak w ostatniej chwili chwycić koniec liny.

Bestia nie spadła jednak w przepaść; gdy chłopiec obejrzał się za siebie, zobaczył, że jego wróg też zdołał chwycić się sznura. Potwór powoli zwrócił ku chłopcu swój pałający żądzą mordę wzrok.

Nie można już było przeciąć liny; ostrze runęło bowiem w dolinę wraz z mostem.

Cóż pozostało chłopcu? Wzniósł modły ku niebiosom; nie dbał już o to czy przeżyje, prosił jedynie by Bestia nie dostała się do wioski.

Czy życzenie chłopca zostało wysłuchane? A może po prostu liny nie mogły już znieść ciężaru, który utrzymywały?

To pozostaje tajemnicą.

Wiadomo jedynie, że sznur się zerwał. Chłopiec i potwór runęli w rwący nurt rzeki i wkrótce zniknęli za horyzontem. Od tego czasu nie widziano więcej Bestii.

Ta historia uczy nas kilku rzeczy.

Małe dzieci bez trudu pojmą, że jest ona przestrożą przed przekraczaniem Świętej Bariery; te nieco starsze prawdopodobnie dostrzegą, że morałem opowieści jest to, aby cenić wioskę bardziej niż własne życie i aby zawsze być gotowym na poświęcenie się dla społeczności.

Im mądrzejsi się stajemy, tym trudniej jest jednak dostrzec prawdziwe przesłanie tej legendy.

Któż bowiem mógłby przypuszczać, że tak naprawdę chodzi w niej o to, abyśmy nie zwątpili w istnienie Bestii?

Legenda o karmicznym demonie

Ta historia wydarzyła się osiemdziesiąt lat temu. W wiosce żył wtedy pewien chłopiec. Był on niezwykle inteligentnym dzieckiem, miał jednak pewną wadę; im bardziej rósł, tym widoczniejsza się ona stawała.

Chłopiec niezwykle pysznił się swą inteligencją, traktując swe otoczenie z pogardą. Udawał, że szanuje nauki dorosłych, jednak nigdy nie pozwolił, by do jego serca dotarło płynące z nich przesłanie. Zaczął drwić z ignorancji nauczycieli i wyśmiewać rządzące światem reguły.

Arogancja jest siewcą nasion grzechu¹.

Chłopiec zaczął odsuwać się od kręgu swoich przyjaciół. Stał się sam dla siebie jedynym towarzyszem i powiernikiem uczuć.

Samotność to gleba, na której kiełkują grzechy.

W swym odosobnieniu chłopiec spędzał dużo czasu medytując. Rozmyślał o rzeczach zabronionych oraz o sprawach, o których w ogóle nie powinno się wspominać.

Dzięki nieczystym myślom grzechy mogą wzrastać.

Chłopiec, nie będąc tego świadomy, coraz bardziej odchodził od zmysłów; przekształcił się ostatecznie w coś nieludzkiego – karmicznego demona.

Wioska opustoszała w mgnieniu oka; wszyscy mieszkańcy uciekli ze strachu przed demonem. Chłopiec postanowił zamieszkać w lesie; odkrył jednak że wszystkie żyjące w puszczy zwierzęta także zniknęły w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca.

Gdzie stanęła noga demona, tam wszystkie rośliny zaczynały gnić i deformować się, tworząc figury, które trudno sobie wyobrazić. Pożywienie, którego dotknęła jego ręka przekształcało się w zabójczą toksynę.

Demon wędrował bez celu przez martwy, zniekształcony las.

Zrozumiał ostatecznie, że nie ma dla niego miejsca w tym świecie.

¹ Wzorując się na tłumaczeniu angielskim, używam słowa „grzech” zamiast oryginalnego „karma”, gdyż użyte jest ono w tekście wyłącznie w kontekście czegoś złego.

Wyszedł z mroków puszczy; jego oczom ukazał się cel, do którego zmierzał. Dotarł do ukrytego między górskimi szczytami głębokiego jeziora o lśniącej i iskrzącej się wodzie.

Wszedł do jeziora, myśląc że w jego czystej, nieskażonej wodzie dozna oczyszczenia.

Jednak woda pociemniała, gdy tylko się w niej zanurzył; stała się mętna i zaczęła zmieniać się w truciznę.

Karmiczne demony nie powinny żyć na tym świecie.

Chłopiec zrozumiał tę prawdę i w ciszy pogrążył się w jeziorze, znikając na jego dnie.

Tym razem lekcja jest znacznie prostsza do zrozumienia. Nie oznacza to jednak, że łatwo jest doszukać się prawdziwego przesłania historii. Również my nie dostrzegaliśmy morału tej opowieści aż do tamtego pamiętnego dnia. Dopiero wtedy, gdy wśród niezmierzonej rozpacz i smutku mogliśmy na własne oczy ujrzeć narodziny prawdziwego karmicznego demona, zdaliśmy sobie sprawę z rzeczywistego znaczenia legendy.

Zdaje się, że zboczyłam z tematu; czasami podczas pisania zalewa mnie fala wspomnień, którą ciężko mi kontrolować. Powróćmy do mojego dzieciństwa.

Jak już wspomniałam, na Kamisu 66 składa się siedem wiosek. Administracja dystryktu skupia się w jego centralnej części. Na wschodnim brzegu rzeki Tone znajduje się wioska Zbożowy Krąg. Na północy, otoczony lasem leży Sosnowy Wiatr ze swoimi charakterystycznymi, ogromnymi domostwami. Kierując się na wschód można dojść do wybrzeża i wioski Biały Piasek. Tuż na południe od Zbożowego Kręgu leży Wodny Młyn, natomiast po drugiej stronie rzeki, nieco na północny zachód znajduje się Piękny Widok, który takiemu położeniu zawdzięcza swoją nazwę. Najdalej na południu, za polami ryżowymi znajduje się Żłocista Wioska a daleko na zachodzie – Dębowy Gaj.

Moją rodzinną wioską jest Wodny Młyn. Kamisu 66 przecięte jest przez setki kanałów odchodzących od rzeki Tone. Ludzie używają

ich jako szlaków komunikacyjnych; ciągły ruch wody powoduje jednak, że choć w wodzie można się kąpać, to warto się dwa razy zastanowić zanim weźmie się jej łyk. W kanale tuż przed moim domem zawsze pływały piękne bordowe i białe karpie; jednak rzeczą rzucającą się w oczy bardziej od ryb jest duża liczba kół wodnych, od których wzięła się nazwa wioski. Takie koła znajdują się we wszystkich wioskach; jednak to w Wodnym Młynie jest ich najwięcej; dzięki nim oglądana z oddali wioska wygląda naprawdę imponująco. Są tu chyba wszystkie kształty i rodzaje tych kół: nasiębierne, śródsiębierne, podsiebierne; oraz z całą pewnością wiele innych typów których nazw nie potrafię wymienić. Większość z nich wykorzystywana jest do podstawowych prac, jak łuskanie ryżu czy mielenie ziarna.

Jest tu też jednak pewien specjalny rodzaj koła, którym nie wszystkie wioski mogą się poszczycić – to wodna turbina o metalowych łopatach, służąca do generowania elektryczności. Wytwarzaną energię wykorzystuje się do zasilania zamontowanych na dachu sali zebrań głośników; używanie elektryczności do innych celów jest surowo zabronione przez Komisję Etyki.

Każdego dnia, tuż przed zachodem słońca można usłyszeć wydobywającą się z głośników melodię. Utwór ten nosi tytuł „Powrót do domu” i pochodzi z napisanej w zamierzchłych czasach symfonii autorstwa artysty o obco brzmiącym nazwisku Dvořák.¹ Słowa tej pieśni, których uczy się w szkołach są następujące:

*Słońce ukrywa się za odległymi szczytami,
Gwiazdy rozświetlają niebo,
Dzisiejsza praca już skończona,
I czuję lekkość na sercu.*

¹ Antonín Leopold Dvořák (1841-1904) – czeski kompozytor i dyrygent. Wspomniana melodia to Symfonia nr.9 e-moll (Z Nowego Świata), Op. 95, Część II – Largo: [LINK](#) . Sama piosenka „Going Home”, bazująca na melodii symfonii posiada angielski tekst, odbiegający jednak treścią od przytoczonego w powieści: [LINK](#)

*Wśród chłodnego, wieczornego wiatru,
Zbierzmy się wszyscy w krąg,
Zbierzmy się w krąg.*

*Ognisko jasno płonące wśród mroku,
Zaczyna już dogasać.
Sen nadchodzi szybko
Zaprasza mnie, bym zniknął,
I delikatnie nad nami czuwa.
Śnijmy więc wszyscy,
Śnijmy więc.*

Gdy rozlegają się dźwięki utworu, wszystkie dzieci bawiące się wśród łąk muszą wracać do domów. Dlatego też ilekroć pomyślę o tej pieśni, bezwiednie przypomina mi się obraz skąpanych w zachodzącym słońcu pól otaczających moją rodzinną okolicę. Krajobraz dystryktu o zmierzchu. Drzewa ze skraju sosnowego lasu kładące się długimi cieniami na piaszczystą ziemię. Niebo w wielu odcieniach szarości, odbijające się w ryżowych polach niczym w tuzinach luster. Chmury czerwonych ważek. I wreszcie najżywsze ze wspomnień – słońce chowające się za horyzontem widziane ze szczytów wzgórz.

Gdy zamykam wtedy oczy, na myśl przychodzi mi pewien dzień z pogranicza lata i jesieni; pory gdy dopiero co zaczęło robić się chłodniej.

– Musimy już wracać do domu – usłyszałam czyjś głos. Gdy wyteżyłam słuch rzeczywiście wychwyciłam niesione wiatrem ulotne dźwięki znanej melodii.

– Więc mamy remis – powiedział Satoru; wszystkie dzieci wyszły w dwu- lub trzyosobowych grupkach ze swoich kryjówek.

Mieliśmy wtedy wszyscy od ośmiu do jedenastu lat i cały dzień spędziliśmy na zakrojonej na szeroką skalę grze w chorągwie. To zabawa przypominająca długą bitwę na śnieżki, w której podzieleni na

dwie drużyny zawodnicy próbują zaatakować terytorium przeciwnika; wygrywa ten zespół, któremu uda się zdobyć flagę rywali. Tamtego dnia moja drużyna popełniła poważny błąd taktyczny na początku rozgrywki i w rezultacie musieliśmy rozpaczliwie bronić się przed porażką.

– To nie w porządku. Jeszcze kilka chwil i wygralibyśmy – naburmuszyła się Maria. Miała duże, jasne oczy a jej cera była znacznie jaśniejsza niż pozostałych dzieci. Najbardziej charakterystyczną cechą jej urody była jednak burza płomiennorudych włosów. – Powinniście się poddać.

– Racja, byliśmy od was znacznie lepsi – zawtórował Marii Ryou. Nawet w tak młodym wieku Maria miała zadatki na księżniczkę.

– Niby dlaczego mielibyśmy się poddawać? – odparłam z oburzeniem.

– Bo byliśmy lepsi – powtórzył Ryou.

– Ale nie udało się wam zdobyć naszej chorągwi. – Spojrzałam na Satoru.

– Jest remis – zadeklarował chłopiec.

– Satoru, jesteś w naszej drużynie, czyż nie? Dlaczego trzymasz ich stronę? – prychnęła Maria.

– Nic na to nie poradzimy, według zasad zachód słońca oznacza koniec zabawy.

– Ale słońce jeszcze całkowicie nie zaszło.

– To dlatego, że stoimy na wzniesieniu. Nie czepiaj się szczegółów, dobrze? – odpowiedziałam, z trudem hamując irytację. W takich sytuacjach Maria strasznie mnie denerwowała, mimo że normalnie byłyśmy bliskimi przyjaciółkami.

– Hej, naprawdę musimy już kończyć – powiedziała Reiko zmartwionym głosem. – Powinniśmy wracać, gdy tylko usłyszymy „Powrót do domu”.

– Skończymy gdy się poddadzą – zgodził się z Marią Ryou.

– Przestańcie już. Hej, panie sędzio! – Satoru krzyknął poirytowanym głosem w kierunku Shuna, który stał w oddaleniu na szczycie pagórka, wpatrując się w krajobraz. Jego buldog, Subaru, siedział spokojnie obok chłopca.

– Słucham? – odpowiedział po chwili.

– Obudź się i powiedz im, że mamy remis.

– Tak, tak. Jest remis – oznajmił Shun ponownie się odwracając.

– Więc wracamy – powiedziała Reiko. Dzieci z jej grupy zeszły razem po zboczu w kierunku rzeki, zmierzając ku łodziom, którymi mogły wspólnie popłynąć do swoich wiosek.

– Poczekajcie, jeszcze nie skończyliśmy.

– Idziemy, nie chcemy, żeby dopadły nas zmyłkoty.

Maria i reszta jej drużyny wyglądali na niezbyt zadowolonych, ale koniec zabawy niezaprzeczalnie stał się faktem.

– Saki, też powinniśmy już wracać – powiedział Satoru.

Zwróciłam się w kierunku Shuna.

– Nie idziesz? – spytałam.

– Tak, idę... – odparł Shun, nie odrywając wzroku od fascynującej panoramy.

– Ruszmy się w końcu – zniecierpliwił się Satoru.

Shun skinął lekko głową.

– Tam, widzicie? – spytał.

– Co mamy widzieć?

Wskazywał w kierunku Żłocistej Wioski, na granicę między lasem a polami.

– Spójrzcie, to minoshiro.

Od najmłodszych lat uczono nas jak cenną rzeczą są nasze oczy i jak ważny jest dobry wzrok, którym wszyscy zostaliśmy obdarowani. Również w tamtej chwili byłam w stanie dostrzec biały cień, wolno poruszający się po zacienionej ścieżce odgraniczającej od siebie pola ryżowe.

– Masz rację – powiedziałam.

– No i co z tego? Przecież one nie są jakoś szczególnie rzadkie ani nic takiego. – W zazwyczaj łagodnym głosie Satoru można było usłyszeć dziwne niezadowolenie.

Nie poruszyłam się. Nie chciałam się poruszyć.

Minoshiro przesuwał się w ślimaczym tempie po dróżce aż wreszcie zniknął między drzewami. Podczas gdy śledziłam jego ruchy, pomyślałam o Shunie.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze jak nazwać uczucie, które mnie ogarnęło. Sam fakt, że stałam obok niego, oglądając wioskę oświetloną ostatnimi promieniami słońca, spowodował że poczułam w sercu mieszaninę słodyczy i żalu.

Być może trochę wyolbrzymałam to wydarzenie. W końcu zawsze ma się sentyment do podobnych wspomnień.

Nawet jeżeli tak się stało, nie zmienia to faktu, że tamten dzień ma dla mnie specjalne znaczenie. To był ostatni raz, kiedy chodziłam po idealnym świecie; ostatni raz kiedy wszystko było na swoim miejscu i nie trzeba było martwić się o przyszłość.

Nawet teraz, kiedy wspomnę swoją pierwszą miłość, czuję przyjemne ciepło, niczym dotyk promieni zachodzącego słońca. Nie zmienia tego nawet pamięć o tym, że niedługo później wszystko miało zostać pochłonięte przez bezdenną otchłań pustki i smutku.

Rozdział 2

Chcę opowiedzieć trochę dokładniej o swoim dzieciństwie.

W Kamisu 66 dzieci zaczynają uczęszczać do szkoły, gdy osiągną wiek sześciu lat. Ja chodziłam do Szkoły Harmonii; poza nią istnieją jeszcze dwie podobne placówki – Szkoła Przyjaźni i Szkoła Moralności.

Populacja dystryktu wynosiła wtedy nieco ponad trzy tysiące mieszkańców. Studiując historię starożytnej edukacji uświadomiłam sobie, że liczba szkół była nieproporcjonalnie duża dla tak niewielkiej społeczności. Wiem już, że był to kolejny dowód na to, że prawdziwa natura wspólnoty, wśród której się wychowałam nie jest taka, jaką wydawała się na pierwszy rzut oka. Kolejnym wartym wspomnienia faktem jest to, że z jakiegoś powodu ponad połowa dorosłych obywateli trudniła się zawodami związanymi z edukacją.

Miałoby to zapewne ogromny wpływ na gospodarkę, jednak w społeczeństwie opierającym się na wzajemnej współpracy nie potrzebowaliśmy pieniędzy. W naturalny sposób radzono sobie z zapotrzebowaniem na ludzi wykonujących określony zawód; gdy ktoś miał odpowiednie zdolności, zaczynał po prostu robić z nich użytek.

Szkoła Harmonii znajdowała się dwadzieścia minut drogi piechotą od mojego domu. Podróż łódką byłaby jeszcze krótsza, ale ciężar wioseł był zbyt duży, by mogło unieść je dziecko.

Szkoła leży w cichej okolicy, niedaleko od centrum dystryktu, przy południowej granicy Zbożowego Kręgu. To jednopiętrowa budowla w kształcie litery A, wykonana z ciemnego, polerowanego drewna. Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy po wejściu przez główne wrota, umiejscowione w łączniku pomiędzy ramionami „A”, jest zawieszony na ścianie napis głoszący: RADUJ SIĘ HARMONIA. To pierwszy wiersz z Konstytucji Siedemnastu Artykułów, napisanej w zamierzonych czasach przez mnicha zwanego Księciem Shoutoku. Jej przesłaniem jest budowanie wszystkiego na fundamentach

harmonii – stąd właśnie wzięła się nazwa szkoły. W pozostałych dwóch szkołach również znajdują się podobne napisy powitalne; nie znam jednak ich treści.

Po obu stronach wejścia znajdują się sale lekcyjne i pomieszczenia dla nauczycieli; większa ich część leży w prawym skrzydle budynku. Pomimo, iż liczba osób w szkole, wliczając w to personel, nigdy nie przekraczała stu pięćdziesięciu, mieliśmy ponad dwadzieścia sali lekcyjnych. Po lewej stronie od głównych drzwi skupiały się pomieszczenia administracji, do których uczniowie nie mieli wstępu.

Na placu przed szkołą znajdowało się boisko, dobrze wyposażony plac zabaw i zagrody dla zwierząt, gdzie trzymano między innymi kurczaki, kaczki, króliki i chomiki, którymi opiekowali się dyżurni uczniowie. W narożniku placu stało duże, drewniane pudło z narzędziami. Nikt nie wiedział do czego ono służy; przez sześć lat które spędziłam w szkole nigdy nie zostało użyte.

Dziedziniec, otoczony z trzech stron budynkiem szkoły był wielką tajemnicą. Uczniom pod żadnym pozorem nie wolno było tam wchodzić; nic nie usprawiedliwiłoby złamania tego zakazu.

Na dziedziniec nie wychodziły żadne okna, nie licząc tych ze skrzydła administracji. Zerknąć na niego udawało się nam tylko czasami, gdy prowadzące doń drzwi były akurat uchylone.

– Jak uważacie, co jest na dziedzińcu? – zapytał się nas Satoru z szelmowskim uśmiechem. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech.

– Czekaj, przecież ty też nie wiesz co tam jest, co nie? – Nie mogłam znieść dłużej napięcia.

– Ale znam kogoś, kto wie – odparł Satoru, niezadowolony z tego, że mu przerwałam.

– Kogo?

– Nie znasz go.

– To uczeń?

– Już nie. Ukończył szkołę.

– Co to ma właściwie znaczyć? – odparłam z coraz silniejszym przekonaniem, że Satoru zmyśla.

– A czy to ważne? – wtrąciła się Maria. – Po prostu powiedz nam, co widział ten ktoś.

Wszyscy mruknęli z aprobatą.

– No dobrze. Ale ci, którzy mi nie wierzą wcale nie muszą słuchać. – Satoru spojrział na mnie spode łba.

Udałam, że tego nie widzę. Chciałam przekonać się, co ma do powiedzenia, nawet jeżeli nie miałyby to być nic wartego uwagi.

– Kiedy uczniowie są w szkole, – kontynuował – nauczyciele nigdy nie zostawiają otwartych drzwi na dziedziniec, prawda? Pewnego razu zapomnieli jednak przez przypadek sprawdzić czy nikogo nie ma w pobliżu i nie zamknęli ich.

– To już słyszeliśmy – ponaglił kolegę Ken.

– Wewnątrz były... groby. Ogromna ilość grobów. – Satoru z pewnością przesadzał, ale wszyscy pozostali oniemieli z wrażenia.

– Och...!

– Kłamie.

– To okropne! – Maria zakryła uszy dłońmi. Powiedziałam jej, że to niepoważne.

– I czyje niby były te groby?

– Hę? – Satoru wyraźnie czerpał satysfakcję z efektu, jaki wywarła jego straszna opowieść na reszcie grupy.

– Skoro było ich tak wiele, to kto był w nich pochowany?

– Nie mam pojęcia. W każdym razie były ich setki.

– Czemu ktoś miałby stawiać celowo stawiać groby na szkolnym dziedzińcu?

– Jak już mówiłem, nic więcej nie wiem.

Wyglądało na to, że Satoru próbuje wymigać się od wyjaśnień, zasłaniając się tym, że jego informacje są z drugiej ręki, przez co nie muszą być kompletne.

– A może to mogiły uczniów? – zastanowił się na głos Ken.

Wszyscy zamilkli.

– Uczniów? Kiedy umarli? Dlaczego tak wielu? – spytała Maria niskim głosem.

– Nie jestem pewien, ale słyszałem gdzieś, że osoby, którym nie udało się ukończyć szkoły po prostu znikają.

Uczniowie we wszystkich trzech szkołach zaczęli naukę w tym samym wieku; z powodów które później przedstawię, czas jej ukończenia był mimo tego kwestią indywidualną. Słowa Kena w pewien sposób dotknęły wtedy jednak tematu, który był głębokim tabu i nikt z nas nie wiedział, co odpowiedzieć.

Właśnie wtedy siedzący dotychczas z boku Shun spojrzął na nas znad książki, którą czytał. W padającym z okien świetle zauważyłam, że ma naprawdę długie rzęsy.

– Nie ma żadnych grobów – powiedział.

Jego odpowiedź nieco wszystkich uspokoiła, jednak pozostawiła ważną kwestię do wyjaśnienia.

– Co masz na myśli? Skąd wiesz? – zapytałam w imieniu nas wszystkich.

– Nie widziałem ich na dziedzińcu – odpowiedział z nonszalancją.

– Co?

– Naprawdę widziałeś dziedziniec, Shun?

– Powaga?

– Żartujesz sobie, nie?

Zasypaliśmy go pytaniami. Satoru stał z boku rozczarowany tym, że nie jest już w centrum uwagi.

– Nigdy wcześniej o tym nie opowiadałem. W zeszłym roku niektórzy zapomnieli oddać na lekcji prace domowe – wiecie, te sprawozdania z obserwacji na przyrodę. Nauczyciel poprosił mnie więc, abym zebrał je od wszystkich i zaniósł mu do skrzydła administracyjnego.

Wszyscy czekaliśmy z zapartym tchem na ciąg dalszy, ale Shun nie śpieszył się; włożył zakładkę do książki, oznaczając miejsce w którym przerwał lekturę i dopiero wtedy kontynuował opowieść.

– Jeden z pokoi jest wypełniony książkami po sufit i znajduje się w nim wychodzące na dziedziniec okno. Nie ma tam żadnych grobów, chociaż rzeczywiście znajduje się tam kilka dziwnych rzeczy.

Wyglądało na to, że Shun w tym miejscu chciał zakończyć rozmowę. W mojej głowie kotłowały się tysiące pytań, powstrzymałam się jednak przed wyrzuceniem ich z siebie, biorąc głęboki wdech.

– To niedorzeczne – odparł Satoru z niecodziennym dla siebie drżeniem w głosie. – Co to za „dziwne rzeczy”? Wyjaśnij nam to!

Przez myśl przeszło mi, że przed chwilą sam wzbraniał się przed wytłumaczeniem swoich rewelacji; chciałam jednak usłyszeć co odpowie Shun, więc powstrzymałam się od komentarza.

– Cóż, nie wiem jak to dobrze opisać. Na przeciwległym końcu dziedzińca znajdowało się pięć małych, ceglanych budowli. To było coś w rodzaju magazynów z dużymi, drewnianymi drzwiami na frontowych ścianach.

Jego słowa w dziwny sposób zdawały się prawdziwe, mimo że niczego nie wyjaśniały. Satoru syknął cicho, nie mogąc wymyślić kolejnych pytań.

– No więc, Satoru? Przypomnij nam raz jeszcze, co widziała ta osoba, która ukończyła już szkołę – naciskałam na niego. Najwyraźniej zrozumiał, że znalazł się w nieciekawej sytuacji i zawahał się przed odpowiedzią.

– Jak mówiłem, słyszałem to od kogoś innego, więc nie mam pewności. Może ten ktoś się pomylił, a może w tamtym dniu na dziedzińcu naprawdę były groby – coraz bardziej plątał się w zeznaniach Satoru.

– Gdzie więc się one podziały?

– Nie mam pojęcia... Ale wiecie co? Ten gość widział coś jeszcze, i było to znacznie straszniejsze od grobów – próbował zmienić temat.

– Co to było? – Maria, czego można było się spodziewać, połknęła haczyk.

– Nie możesz pytać o to tak od razu. Satoru potrzebuje czasu na wymyślenie wystarczająco przerażającej odpowiedzi – wtrąciłam złośliwie, ale Satoru zachował powagę.

– Nie kłamię. On naprawdę coś widział. Może nie było to do końca na dziedzińcu, ale...

– Tak, tak, jasne.

– No więc co to w końcu było? – Ken nie mógł już wytrzymać napięcia.

Pomyślałam, że Satoru zaraz uśmiechnie się tajemniczo w swoim stylu, ale tak się nie stało; zamiast tego z jego twarzy zniknęły wszelkie emocje.

– Niewyobrażalnie wielki cień kota – odpowiedział.

Zapanowała zupełna cisza.

Podziwiałam wtedy Satoru za to, że był doskonałym mówcą. Jeżeli kiedykolwiek potrzebna byłaby osoba parająca się opowiadaniem strasznych historii, to jestem pewna, że wybrano by właśnie jego na to stanowisko. Nie wyobrażam sobie jednak, że mogłoby istnieć społeczeństwo, które potrzebowałoby kogoś wykonującego tak kretyński zawód.

– Czy to był... zmyłkot? – Maria przerwała zbiorową zadumę, zapoczątkowując całą lawinę pytań.

– Wygląda na to, że zmyłkoty upodobały sobie pokazywanie się w szkołach podstawowych.

– Ale dlaczego?

– Czy to nie oczywiste? Polują na dzieci!

– Ponoć często pokazują się jesiennymi nocami.

– Słyszałem, że czasami kręcą się w pobliżu domostw, ale tylko o północy.

Wszyscy obawialiśmy się ciemności, ale zarówno byliśmy nią zafascynowani. Mieliśmy obsesję na punkcie strasznych opowieści o złych duchach rzek i gór, jednak to historie o zmyłkotach powodowały, że ze strachu dostawaliśmy gęsiej skórki. Krążące wśród dzieci relacje były oczywiście ubarwione, ale wszyscy zgadzali

się, że zmyłkoty co najmniej dorównują wysokością dorosłym. Pomimo, że mają koci pysk, ich kończyny są nieproporcjonalnie długie, przez co sprawiają wrażenie cienia, skradającego się za dziećmi. Kiedy ich cel znajdzie się w odosobnionym miejscu, skaczą na niego i przygwożdżają go do ziemi. Zaatakowane dziecko staje się otepiałe, jakby było zahipnotyzowane; następnie zmyłkot szeroko rozwiera swą paszczę i zaciska zęby na szyi ofiary tak, by nie mogła się uwolnić. W ten sposób nie uroni ona ani jednej kropli krwi, jej ciała nie da się odszukać, i tak dalej, i tak dalej...

– Co działo się później? Gdzie spotkał zmyłkota?

– Nie wiem nawet, czy to był zmyłkot, czy nie. Wszystko co widział, to cień – powiedział Satoru, odzyskując dawną pewność w głosie. – A działo się to całkiem niedaleko dziedzińca.

– Gdzie dokładnie? Przecież nie można dostać się na dziedziniec bezpośrednio z zewnątrz budynku ani opuścić go w ten sposób.

– To nie było na zewnątrz.

– He? – wątpiłam w słowa Satoru, ale i tak z jakiegoś powodu przeszły mnie ciarki.

– Widział go, jak znika tuż przed drzwiami na dziedziniec, na końcu korytarza w skrzydle administracyjnym.

Nikt nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Chcąc czy nie chcąc, musiałam przyznać Satoru, że udało mu się osiągnąć zamierzony efekt. Bądź co bądź, była to tylko jedna z tych zmyślonych historyjek, krążących wśród dzieci, jednak wtedy wciąż w nie wierzyłam.

Gdy teraz o tym pomyślę, lata, które spędziłam w Szkole Harmonii były bardzo szczęśliwe. Sam fakt, że mogłam tam spotykać się z przyjaciółmi sprawiał, że każdy dzień był równoznaczny z doskonałą zabawą.

Dzień zaczynaliśmy matematyką, następnie był japoński, nauka o społeczeństwie, przyroda i inne nudne lekcje. Nauczyciele pilnie nas obserwowali i upewniali się, że każdy zrozumiał materiał; zawsze cierpliwie wyjaśniali niejasne kwestie, tak, aby nikt nie pozostał

w tyle. Robili też nam dużo sprawdzianów – raz na trzy dni, o ile dobrze pamiętam. Większość z nich nie miała jednak związku z przerabianym materiałem. Były to raczej krótkie wypracowania na tematy w stylu: „Jestem dziś smutna, ponieważ...”, więc ich pisanie nie było specjalnie stresujące.

Trudniejsze były zadania domowe do samodzielnego wykonania. O ile rysowanie czy rzeźbienie w glinie było dobrą zabawą, o tyle codzienne prace pisemne potrafiły być frustrujące. Prawdopodobnie jednak to właśnie dzięki nim nabrałam wystarczającej wprawy, by nie mieć teraz szczególnych problemów z napisaniem tej historii.

Kiedy nudne lekcje dobiegały końca, opuszczaliśmy szkołę i całe popołudnia spędzaliśmy na zabawie na świeżym powietrzu. Mieliśmy także dwudniowe weekendy, podczas których mogliśmy do woli biegać i bawić się na zewnątrz.

Jeszcze zanim zaczęłam uczęszczać do Szkoły Harmonii, poznałam wszystkie zakamarki łagodnie wijących się kanałów. Podczas wypraw, obserwując szpiczaste dachy domów, docierałam aż do Złocistej Wioski. Jej nazwa wzięła się od złotych, ryżowych kłosów, którymi mieniła się cała osada podczas jesieni. Bardziej interesująco było w niej jednak wiosną i latem. Gdy przyjrzało się polom ryżowym, można było zobaczyć pływające w wodzie piskorze i gambuzje, a także ślizgające się po powierzchni nartniki oraz próbujące ukryć się wśród rosnących na dnie wodorostów przekopnice. W kanałach i zbiornikach dostarczających wodę gospodarstwom żyły olbrzymie wodne pluskwiaki, płoszczyce, topielnice, pływaki żółto-brzeżki i wiele innych owadów. Pluskały się tam też karasie i różne inne ryby. Starsze dzieci nauczyły nas, jak łowić raki za pomocą nitki bawełny i przynęty z suszonej mątki; w ciągu dnia potrafiliśmy złapać ich całe wiadro.

W okolicach Złocistej Wioski żyło też wiele ptaków. Wiosną wszędzie wkoło rozbrzmiewał śpiew skowronków, a latem, zanim posadzono ryż, na pola zlatywały się całe stada ibisów polujących na piskorze. Podczas zimy łączyły się one w pary i budowały gniazda na

pobliskich drzewach; ich młode opuszczały lęgowiska następnej jesieni. Pomimo, że ich krzyki nie były zbyt przyjemne, to widok klucza tych jasnorożowych ptaków w locie był naprawdę majestatyczny. Oprócz nich można było też często zaobserwować fruujące nad głowami kanie czarne, bilbile, sikory, turkawki, wróble balonowe czy kruki trójskrzydłe.

Od czasu do czasu spotykaliśmy też minoshiro, które w poszukiwaniu roślin i małych zwierząt zgubiły drogę i wywędrowały z lasu aż w pobliże pól ryżowych. Te istoty nie tylko użyźniają glebę, ale również pozbywają się szkodników – dlatego też oparte na rolnictwie społeczności traktują je z szacunkiem, a ich pojawienie się uznają za dobrą wróżbę. Przeciętny minoshiro ma około metra wysokości, ale zdarzają się osobniki wielkie na ponad dwa metry, pokryte licznymi, falującymi czułkami. Poruszają się z niezwykłą gracją; nie mam wątpliwości, że to właśnie dlatego bywały uznawane za boskie stworzenia.

Wśród zwierząt, którym oddawano cześć były też białe i paskowane węże zbożowe – na oba te gatunki polowały minoshiro. Wielką zagadką pozostaje, jak ludowym wierzeniom udało się pogodzić te dwie kwestie.

Uczniowie wyższych klas odbywali wycieczki do najbardziej wysuniętej na zachód wioski Dębowy Gaj, do położonych na południe od Białego Piasku wydm plaży Hasaki oraz do źródeł rzeki Tone, gdzie przez cały rok kwitły kwiaty. Przy brzegu odpoczywały stada czapli i biegusów łyżkodziobych, do których czasami dołączały żurawie mandzurskie. Świetną zabawą było wypatrywanie gniazd trzciniaków zwyczajnych wśród przybrzeżnych zarośli oraz legowisk sianokulek na szczytach wzgórz, wśród rozległych połaci trawy. Fałszywe jaja, wytwarzane przez sianokulki były świetne do robienia różnych psikusów.

Nieważne jednak ile zwierząt widzieliśmy – dopóki znajdowaliśmy się wewnątrz Świętej Bariery, nie można było powiedzieć, że to prawdziwa natura; byliśmy raczej w miniaturowym

ogrodzie. W przeszłości zwierzęta, jakie trzymaliśmy w ogrodach zoologicznych, zasadniczo były takie same, jak ich żyjący na wolności krewni. Słonie, lwy, żyrafy i inne zwierzęta, jakie możemy oglądać dzisiaj są tak naprawdę mutantami stworzonymi przez nasz cantus. To fałszywe słonie, imitacje lwów i podrobione żyrafy – zmodyfikowane tak, aby nie były w stanie wyrządzić krzywdy człowiekowi w przypadku gdyby udało im się uciec z zagród. Całe środowisko wewnątrz Bariery jest zmienione w taki sposób, by było bezpieczne dla ludzi. Później stało się to dla mnie oczywiste, ale gdy byłam dzieckiem nie zastanawiało mnie, dlaczego możemy bawić się wśród dzikiej przyrody bez obaw przed ukąszeniami jadowitych węży i insektów. Bariera odgradzała nas od niebezpiecznych gadów, takich jak grzechotniki. Wewnątrz żyły tylko niegroźne gatunki węży, jak zaskrońce, połozy japońskie, japońskie węże leśne czy węże różańcowe. Rosnące w lasach cyprusy i świerki wydzielają substancję o niezwykle silnym aromacie, która miała działanie zabójcze dla zarodników pleśni, kleszczy, roztoczy i bakterii, które mogłyby być groźne dla zdrowia.

Pisząc o dzieciństwie, muszę wspomnieć też o naszych corocznych świętach i obrzędach. Przekazywane z pokolenia na pokolenie tradycje w pewnym sensie wyznaczały rytm naszego życia.

Pierwszym, co przychodzi mi na myśl jest wiosenny rytuał odpędzania złych duchów; podczas tej pory roku odbywało się też święto modłów o pomyślne zbiory oraz o brak chorób. Lato było czasem Święta Lata, Święta Ognia i Święta Latarni. Jesienią miał miejsce Dzień Pierwszego Sierpnia oraz ceremonia ofiarowania bogom zbiorów ryżu. Zima natomiast kojarzy mi się z Festiwalem Śniegu oraz Dniem Nowego Roku.

Ze wszystkich wymienionych obrzędów najbardziej w pamięć wrył mi się pierwszy z nich.

Święto to, zwane też dniem pogoni za demonami jest jedną z naszych najstarszych tradycji; liczy ono sobie przeszło dwa tysiące lat.

Porankiem tego dnia dzieci zbierały się na placu. Wszyscy mieliśmy na twarzach „maski czystości” wykonane z utwardzonej gliny pokrytej kredą; w roli *shinshi* braliśmy udział w przedstawieniu będącym częścią obrzędu. Ta ceremonia zawsze mnie przerażała, zwłaszcza z powodu dwóch spośród używanych masek.

Przedstawiały one Bestię i karmicznego demona. Maską Bestii przedstawiała wykrzywioną paskudnym, złowieszczym uśmiechem twarz. Później, gdy już przywrócono wolny dostęp do informacji, starałam się znaleźć w archiwach coś na temat początków tego święta, lecz wszystkie informacje były niejasne. Udało mi się jedynie ustalić, że wygląd maski wywodzi się od starożytnego zakrycia twarzy przedstawiającego węża, wykorzystywanego w ceremonii Noh, reprezentującego ostatnie z trzech stadiów transformacji człowieka w demona. Z kolei maska karmicznego demona wyobrażała oblicze pełne strachu i udręki; rysy twarzy były zniekształcone i wydawały się rozpływać, co nadawało jej nieludzki wygląd.

Rytuał, będący głównym wydarzeniem dnia, rozpoczynał się od rozsypania białego piasku po placu, na końcach którego rozpalano małe ogniska. Następnie dwudziestu lub trzydziestu *shinshi* przechodziło między płomieniami, skandując w specyficznym rytmie słowa: „Przepadnijcie, demony! Przepadnijcie, demony!”.

W dalszej kolejności na placu pojawiał się ubrany w tradycyjne szaty egzorcysta, dzierżący w dłoniach ogromną włócznię. Rzeczą, która najbardziej przykuwała uwagę była jednak jego złota maska o czterech oczach. Dołączał on do nas, i wraz z *shinshi* krążył pomiędzy ogniskami intonując te same słowa i rozrzucając wkoło ziarna fasoli – miało to odpędzać kataklizmy i nieszczęścia.

Potem zaczynała się straszna część. Kapłan bez ostrzeżenia zwracał się w kierunku *shinshi* i rzucał w ich kierunku pozostałymi fasolkami. Nieczystość jest wśród nas! – krzyczał, a my powtarzaliśmy za nim. Na ten sygnał dwoje spośród *shinshi* występowało z szeregu – reprezentowali oni Bestię i karmicznego demona.

Gdy brałam udział w tym przedstawieniu, było to dla mnie na tyle przerażające, że ledwo mogłam złapać oddech. Jednego roku stojący bezpośrednio obok mnie *shinshi* okazał się być Bestią; reszta dzieci, przekonanych że widzą prawdziwe demony, rozbiegła się w popłochu.

– Przepadnij, nieczystości! – grzmiał egzorcysta, mierząc w obydwie demony włócznią. Udawały one, że opierają się jego rozkazowi, jednak gdy tłum dołączył się do krzyku kapłana, uciekły. W ten sposób rytuał dobiegł końca.

Wciąż mam przed oczami drżącą twarz Satoru, zdejmującego swoją maskę.

– Jesteś blady jak duch – powiedziałam, patrząc jak trzęsą się jego usta, z których odpłynął cały kolor.

– I co z tego? Ty też.

W swoich oczach ujrzeliśmy wzajemnie niczym w zwierciadłach nasze najgłębiej skrywane lęki.

Satoru szeroko otworzył oczy i wskazał policzkiem coś za moimi plecami. Gdy się odwróciłam, ujrzałam, jak kapłan powraca na plac, ściągając swoją maskę.

Egzorcystą zostaje wybrana osoba, która posiada najpotężniejszy spośród wszystkich *cantus*. Z tego co mi wiadomo, Shisei Kaburagi nigdy nie pozwolił nikomu odebrać sobie tego stanowiska.

Kapłan wyczuł, że wpatrujemy się w niego i uśmiechnął się lekko. Pod maską, którą przed chwilą zdjął nosił jeszcze jedną, zakrywającą górną połowę twarzy. Plotka głosiła, że nikt nigdy nie widział jego prawdziwego oblicza. Jego usta i nos były zupełnie zwyczajne, ale ciemne okulary skrywające oczy nadawały mu złowieszczy, groźny wygląd.

– Przestraszyliście się? – zapytał niskim, dźwięcznym głosem. Satoru przytaknął, oniemiały z wrażenia. Shisei Kaburagi skierował swój wzrok na mnie. Patrzył – jak mi się wtedy zdawało – wyjątkowo długo.

– Interesujesz się wieloma rzeczami, prawda? – zapytał.

Zamarłam, nie wiedząc jakiej odpowiedzi oczekuje.

– Czy przyszłość przyniesie ci szczęście? Czy może pecha? – Shisei Kaburagi oddalił się z twarzą ozdobioną cieniem uśmiechu.

Przez chwilę stałam niczym zahipnotyzowana.

Satoru westchnął. – Ten gość mógłby rozerwać Ziemię na pół jeżeli wystarczająco mocno by się skoncentrował – wyszeptał.

Z reguły nie przywiązywałam większej wagi do bzdur, jakie miał w zwyczaju wygadywać Satoru, lecz tym razem jego słowa na długo zapadły mi w pamięć.

Szczęśliwe dni nigdy nie trwają długo.

Moje dzieciństwo nie było odstępstwem od tej reguły; ironią losu jest jednak fakt, że wtedy martwiłam się, że to szczęście nie chce się skończyć.

Jak już wspomniałam, czas ukończenia Szkoły Harmonii dla każdego z nas był inny. Pierwszy dokonał tego Shun. Chłopiec, który zawsze miał najlepsze oceny, był bardzo dojrzały i dorównywał mądrością dorosłym pewnego dnia po prostu nie pojawił się w naszej klasie. Nasz nauczyciel, Sanada, z dumą ogłosił pozostałym uczniom ukończenie przez niego szkoły.

Od tego dnia zaczęłam marzyć aby i mnie spotkało to samo, żebyśmy mogli znowu uczęszczać do tej samej klasy. Niestety, moi koledzy jeden po drugim opuszczali szkołę a moja kolej wciąż nie nadchodziła. Kiedy odeszła Maria, poczułam się strasznie osamotniona. Nikt nie mógł zrozumieć, jak się wtedy czułam, niezależnie od tego jak bardzo starałam się tłumaczyć swoje uczucia.

Gdy kwiaty wiśni zaczęły opadać, z dwudziestopięciosobowej klasy została nas już tylko piątka – w tym Satoru i ja. Zazwyczaj zuchwały Satoru jakby przygasł. Każdego poranka upewnialiśmy się, że nikt więcej nas nie opuścił, wzdychaliśmy i staraliśmy się normalnie funkcjonować. Chcieliśmy ukończyć szkołę jednocześnie, ale w sekrecie każde z nas marzyło o tym, by uprzedzić przyjaciela.

Wraz z nadejściem maja Satoru – mojej ostatniej ostoji – udało się ukończyć szkołę. Dwóch kolejnych uczniów praktycznie natychmiast poszło w jego ślady. Zostało nas dwoje.

Mimo, że wydaje się to dziwne, nie jestem w stanie przypomnieć sobie jak nazywał się mój ostatni towarzysz, nieważne jak usilnie próbuję to zrobić. Nawet jeżeli był najgorszym uczniem w klasie i niczym szczególnym się nie wyróżniał, wątpię by było to powodem mojej luki w pamięci. Myślę, że podświadomie stłumiłam wspomnienia o tym kimś.

W tamtym okresie po powrocie ze szkoły zamykałam się w pokoju i z nikim nie rozmawiałam. Przez takie zachowanie moi rodzice zaczęli się o mnie martwić.

– Bądź cierpliwa, Saki – powiedziała moja matka pewnego wieczoru, gładząc mnie po włosach. – Czas ukończenia szkoły nie ma żadnego znaczenia. Wiem, że czujesz się samotna, ponieważ wszyscy cię opuścili, ale wkrótce ponownie spotkasz się z przyjaciółmi.

– Nie jestem wcale samotna ani nic takiego – odparłam, ukrywając twarz w poduszce.

– Szybkie ukończenie szkoły nie jest niczym szczególnym, wiesz? Nie ma to nic wspólnego z siłą i jakością twojej mocy. Wspominałam ci już, że zarówno ja jak i tata też długo czekaliśmy na swoją kolej?

– Ale żadne z was nie było ostatnie, prawda?

– Nie, ale...

– Nie chcę zostać wymazana!

– Nie mów takich rzeczy! – powiedziała matka zaskakująco poważnym głosem. – Gdzie o tym usłyszałaś?

Wtuliłam twarz głębiej w poduszkę i niczego nie odpowiedziałam.

– Czas ukończenia szkoły to decyzja bogów, więc wszystko co musisz zrobić to cierpliwie czekać. Nawet nie zauważysz, jak dościgniesz wszystkich kolegów.

– A co, jeśli...

– Hmm...?

– Co, jeśli nie uda mi się ukończyć szkoły?

Mama oniemiała na ułamek sekundy, jednak po chwili uśmiechnęła się szeroko.

– Naprawdę się o to martwisz, głuptasku? Wszystko będzie dobrze. Na pewno ci się uda, to tylko kwestia czasu.

– Ale takie sytuacje się zdarzają, prawda?

– Tak, ale szansa wynosi mniej niż jedna na milion.

Zerwałam się z łóżka i nasze spojrzenia się napotkały. Z jakiegoś powodu moja matka wyglądała na trochę wstrząśniętą.

– To prawda, że osoby, które nie mogą ukończyć szkoły stają się ofiarami zmyłkotów?

– Nie bądź dziecinna, zmyłkoty nie istnieją. Niedługo staniesz się dorosłą; jeśli będziesz mówiła takie rzeczy, ludzie będą się z Ciebie śmiać.

– Ale ja widziałam zmyłkota.

Gdy spojrzałam na matkę, zobaczyłam coś, czego nie dało się z niczym pomylić. Na jej twarzy przez chwilę zagościł cień strachu.

– O czym ty mówisz? Musiało ci się wydawać.

– Widziałam go – powtórzyłam, obserwując mamę; chciałam upewnić się, czy rzeczywiście moje słowa tak ją przeraziły. Zresztą mówiłam prawdę. Naprawdę wydawało mi się, że widziałam zmyłkota; działo się to jednak tak szybko, że sama próbowałam sobie wmówić, że to tylko wyobraźnia splątała mi figla. – To było wczoraj, o zachodzie słońca, tuż przed domem. Stałam na rozdrożu, gdy nagle zobaczyłam jak coś wyglądającego jak zmyłkot przecina jedną ze ścieżek. Cokolwiek to było, natychmiast zniknęło mi z oczu.

Mama westchnęła.

– Wiesz skąd wzięło się określenie „bać się własnego cienia”? Jeżeli będziesz myśleć bez przerwy o strasznych rzeczach, wszystko co Cię otacza będzie się wydawało przerażające. Zwierzę, które widziałas to był pewnie kot albo łasica. Niełatwo jest prawidłowo rozpoznawać kształty w półmroku. – Głos mojej matki przybrał

dawny, pogodny ton. Życzyła mi dobrych snów i zgasła światło, a ja od razu zasnęłam.

Całe poczucie spokoju i bezpieczeństwa runęło jednak, kiedy obudziłam się w środku nocy.

Szeroko otworzyłam oczy. Serce waliło mi niczym młot, ręce i nogi miałam zimne jak lód. Zaczęłam pocić się ze strachu.

Słyszałam dziwny odgłos drapania w boazerię między sufitem a dachem. Gdy dobrze się wsłuchałam, brzmiało to, jakby po panelach przesuwały się ostre pazury.

Czy przyszedł po mnie zmyłkot?

Nie mogłam się ruszyć, zupełnie jakbym była sparaliżowana.

Rozpaczliwie próbowałam odzyskać kontrolę nad ciałem; ostatecznie udało mi się przewyciężyć niemoc i wstać z łóżka. Podeszłam do drzwi i cicho je uchyliłam. Światło księżycy wpadało przez okna, oświetlając korytarz. Pomimo, że była już późna wiosna, wyczuwałam wyraźny chłód desek pod bosymi stopami. *Jeszcze kawaleczek, już prawie* – mówiłam sobie w myślach. Sypialnia rodziców była zaraz za rogiem. Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam wąski pasek światła wydobywającego się ze szczeliny pod drzwiami. Już chciałam je otworzyć, kiedy usłyszałam dźwięki rozmowy. W głosie mojej matki rozbrzmiewało zmartwienie, jakiego nigdy wcześniej w nim nie słyszałam. Moja dłoń zamarła w powietrzu.

– Martwię się. Jeśli tak dalej pójdzie, to ona...

– Nie możesz tego okazywać. Źle to wpłynie na Saki – powiedział ojciec ściszym głosem.

– Ale jeżeli nic się nie zmieni... Czy Rada Edukacji wykonała już ruch?

– Nie wiem.

– Ciężko wywrzeć na nich wpływ będąc opiekunem biblioteki. Nakładanie ograniczeń leży w twojej gestii. Czy nie możesz więc czegoś na to poradzić?

– Rada jest niezależną strukturą. Nie mam możliwości kwestionowania ich decyzji, a jako że jestem ojcem Saki, moje sugestie znaczą dla nich jeszcze mniej.

– Nie chcę stracić kolejnego dziecka!

– Jesteś zbyt głośno.

– Ona widziała przeklętego kota!

– Pewnie tylko jej się wydawało.

– A co, jeśli nie? Co wtedy zrobimy?

Cofnęłam się spod drzwi. Nie rozumiałam treści ich rozmowy, jednak oczywiste było, że usłyszałam coś, co nigdy nie miało być przeznaczone dla moich uszu.

Powróciłam do pokoju, stąpając równie cicho jak poprzednio. Na oknie siedziała bladoniebieska ćma wielkości mojej dłoni. Była niczym zwiastun złych wydarzeń wysłany z zaświatów. Nie było zimno, a mimo to nie mogłam przestać się trząść.

Co się dzieje? – pomyślałam. Po raz pierwszy w życiu czułam się zupełnie odsłonięta i opuszczona, nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. *Co się, do cholery, ze mną dzieje?*

Z sufitu dochodziło nieprzyjemne zgrzytanie.

Coś się zbliżało. Coś równie wielkiego jak mój strach. I było coraz bliżej i bliżej.

Ćma zerwała się z okna i zniknęła w mroku.

W następnej chwili framuga okienna zaczęła się trząść i klekotać, pomimo, że nie było wiatru. Trzęsła się coraz mocniej i mocniej, zupełnie jakby ktoś z zewnątrz próbował wyrwać ze ściany okno razem z ramą.

Drzwi otworzyły się szeroko, po czym zatrzasnęły z hukiem.

Wydałam z siebie zduszony odgłos. Ledwo byłam w stanie oddychać. Próbowałam brać głębokie wdechy, ale płuca odmawiały mi posłuszeństwa. *Coś nadchodzi! Nadchodzi! Nadchodzi...!*

Nagle wszystkie przedmioty w pokoju zaczęły dziko łomotać. Krzesło wraz ze stołem zaczęły podskakiwać, niczym wierzgające

kopytami dzikie konie; ołówki i pióra przeleciały przez izbę i wbiły się w drzwi. Łóżko zaczęło lewitować, zmierzając w kierunku sufitu.

Wrzasnęłam.

Z korytarza dobiegły mnie odgłosy biegu. Rodzice, wykrzykując moje imię, otworzyli na oścież drzwi i wbiegli do pokoju.

– Już dobrze, Saki! – powiedziała mama, mocno mnie przytulając.

– To coś... Co to jest?! – krzyknęłam.

– W porządku, nie bój się. To Błogosławieństwo! Wreszcie się doczekałaś!

– T-to...?

Z chwilą pojawienia się moich rodziców, niewidzialny potwór, demolujący mój pokój zaczął pomału się uspokajać.

– To znaczy, że od teraz jesteś dorosła, Saki – powiedział ojciec. W jego uśmiechu wyraźnie widziałam uczucie ulgi.

– Więc teraz ja...

– Ukończyłaś Szkołę Harmonii. Od jutra zaczynasz pobieranie nauk w Akademii Mędrców.

Pływająca leniwie w powietrzu książka opadła bez życia na podłogę. Łóżko zachwiało się i upadło z hukiem, zupełnie jakby pękła niewidzialna, utrzymująca je lina.

Matka uścisnęła mnie tak mocno, że aż poczułam ból.

– Dzięki niebiosom! Nie musimy się już niczym przejmować! – wykrzyzczała.

Poczułam ciepłe łzy płynące po karku i ogarnęło mnie uczucie ogromnej ulgi. Zamknęłam oczy.

Nigdy już jednak nie zapomniałam widoku mojej matki krzyczącej z przerażeniem, że nie chce stracić kolejnego dziecka.

Rozdział 3

Całkiem niedawno, studiując starożytną literaturę, natknęłam się na opis zjawiska znanego jako poltergeist.

Jestem w posiadaniu kilku książek, które udało się ocalić z biblioteki, nad którą pieczę sprawowała moja matka. Na ich okładkach stemplem wykonano znak: 詛 – oznacza on, że zaklasyfikowano książkę jako „przeklętą, oczarowującą”. Dla uczniów Szkoły Harmonii dostępne były tylko księgi klasy pierwszej, oznaczone jako „zalecane”, „wyśmienite” lub „dobre”. Do książek klasy czwartej, takie jak ta, którą teraz trzymam, miała dostęp tylko garstka ludzi. Zrządzeniem losu to właśnie tak sklasyfikowane dzieła ocalały z pożaru, jako że trzymano je głęboko ukryte w podziemnych magazynach.

Według książki, którą trzymam teraz w dłoniach, w przeszłości, gdy nie wszyscy posiadali cantus, mówiło się czasami o duchach stukających w ściany, latających sztućcach, meblach, które same się ruszały, skrzypiących dźwiękach w opuszczonych domostwach i o innych dziwnych zjawiskach. Większość opisanych przypadków ma wspólną cechę – praktycznie zawsze wiązały się one z obecnością dzieci, które wkraczały w wiek dojrzewania. Jedna z tłumaczących tą zależność teorii mówi, że w tym okresie największego rozchwiania emocjonalnego znajdowały one podświadomie ujście dla swojego popędu płciowego, co manifestowało się jako psychokineza.

Inaczej mówiąc, poltergeist to nic innego jak epizody nawracającej spontanicznej psychokinezy (NSPK). Nietrudno się domyślić, że Błogosławieństwo, które przyszło i do mnie, nie było niczym innym jak przejawem NSPK.

Wiele wydarzyło się w ciągu trzech kolejnych dni po tamtej nocy. Przedstawiciele Rady Edukacji odwiedzili nasz dom wkrótce po tym, jak rodzice poinformowali ich, że obudził się mój cantus. Wśród nich były dwie kobiety – starsza, odziana w białe szaty i młodsza, o wyglądzie nauczycielki, a także mężczyzna w średnim wieku,

którego ubranie przypominało robocze stroje mnichów. Starsza z kobiet nie tracąc czasu od razu przeszła do zadawania mi szczegółowych pytań na temat zdrowia i stanu emocjonalnego. Myślałam, że za chwilę zostanę oddelegowana do Akademii Mędrców, jednak to był dopiero początek procedury.

Powiedzieli mi, że muszą zabrać mnie z domu na pewien czas. Ubrana na białą kobieta wytłumaczyła mi, że nie muszę się niczego obawiać, bo to normalne postępowanie przed wstąpieniem do Akademii. Rodzice pożegnali mnie z uśmiechem na ustach; nie wyczułam by ukrywali jakieś obawy.

Zostałam zaprowadzona na pozbawioną okien barkę, gdzie podano mi miskę czegoś, co miało być środkiem zapobiegającym chorobie lokomocyjnej. Lek był słodki niczym brązowy cukier, ale pozostawiał straszliwie gorzki posmak. Gdy opróżniłam zawartość naczynia, poczułam jak moje myśli odpływają.

Wyczuwałam, że łódź porusza się dosyć szybko, lecz nie miałam pojęcia w którym kierunku zmierzamy. Rzeka, po której płynęliśmy nie mogła być zbyt szeroka; domyśliłam się tego po sposobie w jaki fale uderzały o barkę oraz po dźwięku wiatru. Przypuszczałam, że płyniemy głównym nurtem rzeki Tone. Chciałam się o to zapytać, jednak pomyślałam, że lepiej się nie odzywać, jeżeli nie jest to konieczne. Młodsza kobieta, która cały czas mi towarzyszyła, bez ustanku zadawała mi pytania. Nie dotyczyły jednak one żadnej konkretnej kwestii; nie zauważyłam też, by zapisywała moje odpowiedzi.

Trzy godziny później, po przebyciu wielu zakoli i zakrętów, łódź się zatrzymała. Przystań była obudowana, nie mogłam więc dostrzec, co znajduje się na zewnątrz.

Następnie weszliśmy na schody, prowadzące do wyglądającej jak świątynia budowli, jednak, jak można się było spodziewać, z nich również nie dało się zobaczyć otoczenia.

Na powitanie wyszedł młody mnich ze świeżo ogoloną głową, ubrany w czarne szaty. Wraz z nim i trójką przedstawicieli Rady

weszłam do środka, gdzie zostałam zaprowadzona do pustego pokoju, urządzonego w tradycyjnym stylu. Na ścianie wisiał zwój z niedawno wykonaną kaligrafią. Nie umiałam przeczytać jego treści, ale przypominał wyglądem ten, który wisiał w Szkole Harmonii.

Uklękałam na macie tatami, ale idąc za przykładem mnicha szybko zmieniałam pozycję na kwiat lotosu, kładąc stopy na udach. Wydawało mi się, że chce on, abym pomedytowała i pozbierała myśli. Nie było to dla mnie niczym nowym; w Szkole Harmonii codziennie medytowaliśmy. Żałowałam jednak, że nie ubrałam jakiejś wygodniejszej pary spodni.

Wzięłam głęboki wdech i jak najszybciej spróbowałam oczyścić umysł. Jak się okazało, pośpiech nie był potrzebny bo i tak musiałam czekać jeszcze jakieś dwie lub trzy godziny. Podczas oczekiwania uświadomiłam sobie, że już zaszło słońce. Czas wydawał się tu płynąć w innym tempie. Nie potrafiłam w pełni poświęcić się medytacji; z jakiegoś powodu trudno było mi się skupić na jednej myśli.

Gdy w pokoju zaczęło robić się ciemno, poczułam się trochę nieswojo. Na początku nie wiedziałam dlaczego, jednak po chwili zrozumiałam, że pomimo zachodu słońca nie usłyszałam „Powrotu do domu”. Nawet w najodleglejszym zakątku Kamisu 66 można było usłyszeć tę melodię; jeżeli do tego miejsca dźwięki nie docierały, mogło to oznaczać tylko, że jestem poza Świętą Barierą. *Czy to w ogóle możliwe?* – pomyślałam.

W końcu natura dała o sobie znać i poczułam, że muszę wyjść za potrzebą. Poinformowałam o tym głośno, ale nikt mi nie odpowiedział; uznałam więc że nie mam innego wyjścia i muszę opuścić pomieszczenie. Korytarz był wyłożony słowiczą podłogą¹, która skrzypiała za każdym razem gdy postawiło się na niej krok. Łazienka znajdowała się na szczęście zaraz za rogiem.

¹ Wikipedia: Słowicza podłoga (jap. 鶯張り Uguisu-bari?, zw. także "śpiewająca podłoga") - specjalna konstrukcja podłóg korytarzy w siedzibach japońskich władców, chroniąca przed próbą niepostrzeżonego i niepożądanego wtargnięcia do zamkowych komnat.

Kiedy wróciłam do swojej izby, świeciło się w niej światło, a na środku podłogi siedział stary, zgarbiony mnich o białych wąsach. Miałam tylko dwanaście lat, a mimo to byłam od niego wyższa. Wyglądał na naprawdę bardzo sędziwego. Nosił proste, wielokrotnie łatane szaty; od razu dało się zauważyć że bije od niego szlachetność, nawet jeżeli nie odezwał się ani jednym słowem. Uklękłam przed nim.

– Jak się czujesz? Jesteś głodna? – zapytał z uśmiechem.

– Troszeczkę.

– Przebyłaś długą podróż, chętnie ugościłbym cię naszymi wegetariańskimi potrawami. Niestety, do jutrzejszego poranka musisz pościć. Wytrzymasz?

Jego słowa trochę mnie zawiodły, ale przytaknęłam.

– Przy okazji, jestem głównym mędrcem w tej świątyni. Mam na imię Mushin.

Wzdrygnęłam się bezwiednie. Nie było w Kamisu 66 osoby, która nie znałaby imienia tego uświęconego kapłana. Shisei Kaburagi cieszył się respektem za siłę swojego cantusu; Mushina szanowano w takim samym stopniu za jego charakter.

– Ja... Ja jestem Saki Watanabe.

– Dobrze znam twoich rodziców. – Pokiwał głową. – Byli niesamowitymi dziećmi i spodziewałem się, że wyrosną na ludzi, na których będzie mogła polegać cała wioska. Nie zawiedli moich oczekowań.

Nie wiedziałam co odpowiedzieć, ale przyjemnie było słuchać, jak chwali moich rodziców.

– Twój ojciec lubił płatać figle. Każdego dnia obrzucał szkolny posąg z brązu fałszywymi jajami sianokulek. Smród był okropny i nie mogliśmy się go pozbyć. Tak przy okazji, to był mój posąg. Byłem wtedy dyrektorem Szkoły Harmonii.

– Naprawdę? – Pierwszy raz usłyszałam że Naczelny Mnich Mushin był w przeszłości dyrektorem. Równie ciężko było mi przyjąć do wiadomości, że mój ojciec miał taką samą osobowość jak Satoru.

– Saki, niedługo wstąpisz do Akademii Mędrców i staniesz się dorosła. Jednak zanim to nastąpi musisz spędzić w samotności noc w świątyni.

– A gdzie jest ta świątynia? – Wiedziałam, że to nieuprzejmie przerywać jego wypowiedź, ale zżerała mnie ciekawość.

– Jesteśmy w niej. To jest Świątynia Czystości. Zazwyczaj można mnie spotkać w Świątyni Nieskalanej Ziemi w Zbożowym Kręgu, której przewodzę, ale zawsze przybywam tutaj na ceremonie przejścia w dorosłość, aby spalić cedrowe gałązki.

– Czy to możliwe, że znajdujemy się poza Świętą Barierą?

Naczelny Mnich Mushin spojrział z lekkim zdziwieniem.

– Tak jest w istocie. Po raz pierwszy w życiu znalazłaś się poza Barierą. Nie ma się jednak czym martwić, to miejsce jest chronione równie silną mocą.

– Rozumiem – odpowiedziałam. Łagodny głos Mushina mnie uspokoił.

– Cóż, czas się przygotować. Palenie gałązek cedru samo w sobie nie jest niczym nadzwyczajnym; to normalny rytuał. Przedtem jednak muszę wygłosić kazanie. Nie będzie ono zbyt formalne, więc nie musisz się przejmować. Możesz podczas niego stać się śpiąca, ale nie będę miał nic przeciwko temu jeżeli uśniesz.

– Ale to...

– Nie, nie. Naprawdę, to nic takiego. Dawniej przysyłano nawet do mojej świątyni ludzi cierpiących na bezsenność, żebym pomógł im w ten sposób. Zaczęło się to od pewnego razu, gdy miałem wygłosić przemówienie, ale nikt nie chciał go słuchać. Zebrałem więc grupkę ludzi mających problemy ze snem. Osobiście uważam, że spędzanie całej nocy nie śpiąc, ale nie robiąc też nic innego jest stratą czasu. W każdym razie po dziesięciu minutach wszyscy już chrapali.

Mowa Naczelnego Mnicha Mushina nie była powolna i nudna jak większości ludzi w jego wieku; w jego głosie był jakiś czar powodujący że chciało się go słuchać. Z łatwością przychodziło mi rozmawianie i śmianie się z nim.

Jeśli chodzi o kazanie, to nie okazało się na tyle nudne, żebym usnęła, ale muszę przyznać, że nie było też specjalnie porywające. Dotyczyło ono Złotej Zasady: traktuj innych tak, jak sam chciałbyś być traktowany, stawiaj się na miejscu drugiej osoby i pomyśl jak czułbyś się w jej sytuacji.

– To wydaje się proste, ale dokładne zrozumienie jest trudne – mnich ciągnął swoje przemówienie. – Dla przykładu: wraz z przyjacielem wspinasz się na górę i stajesz się coraz bardziej głodna. Twój kompan wyciąga ryżową kulkę, którą zabrał ze sobą i zaczyna ją jeść, podczas gdy ty nie masz pożywienia. Pytasz się, czy się z tobą podzieli, ale on odpowiada, że to niepotrzebne.

– Dlaczego?

– Bo on może znieść twój głód.

Odpowiedź mnie zszokowała. Nawet jeśli miała być to jakaś alegoria, było to kompletnie niewytłumaczalne.

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś mógł zachować się w taki sposób.

– Masz rację, ale gdyby jednak tak się stało? Co byś pomyślała? Co w takim zachowaniu jest niewłaściwe?

– Co jest niewłaściwe? – Nie bardzo wiedziałam co odpowiedzieć. – Myślę... Myślę, że to pogwałcenie Kodeksu Etyki.

Mushin skinął głową uśmiechając się nieznacznie. – Czegoś tak oczywistego najprawdopodobniej próżno szukać w Kodeksie Etyki.

Jego słowa miały sens. Gdyby Kodeks regulował tak drobne szczegóły życia, musiałyby mieć tyle tomów, że dałoby się z nich ułożyć ścieżkę od biblioteki po samą Świętą Barierę.

– Odpowiedź na to pytanie nie jest racjonalna; chodzi o uczucia.
– Naczelnny Mnich uderzył się w klatkę piersiową.

– Mam to poczuć w sercu?

– Dokładnie tak. Czy potrafisz poczuć swoim sercem cierpienie przyjaciela? Jeżeli tak, to na pewno chciałabyś mu jakoś pomóc, prawda? To najważniejszy aspekt człowieczeństwa.

Przytaknęłam.

– Czy potrafisz poczuć cierpienie drugiego człowieka?

– Tak.

– Nie chodzi tylko o teorię. Czy naprawdę potrafisz wczuć się w inną osobę i odczuć jej ból jako swój własny?

– Tak, potrafię – odpowiedziałam z pewnością w głosie. Myślałam, że to koniec rozmowy, ale Mushin powiedział coś, czego zupełnie się nie spodziewałam.

– Dlaczegoż by więc tego nie sprawdzić?

Podczas gdy zastanawiałam się, o co mu chodzi, mnich wyciągnął spod swych szat nóż, prezentując jego chłodne, błyszczące ostrze. Byłam zszokowana.

– Oto na czym będzie polegał eksperyment: sprawdzimy czy poczujesz moje cierpienie, jeżeli zrobię coś takiego. – Bez ostrzeżenia dźgnął się nożem w nogę.

Patrzyłam w osłupieniu.

– Po odpowiednim treningu można nauczyć się znosić ból zadawany ciału. Poza tym, w moim wieku nie krwawi się już zbyt mocno – wymamrotał niewyraźnie.

– Przestań, proszę! – krzyknęłam, gdy otrząsnęłam się z pierwszego szoku. Mój głos się łamał, a serce dziko łomotało w piersi.

– To dla ciebie. Czy naprawdę, prawdziwie czujesz mój ból? Jeżeli tak, to przestanę.

– Czuję, więc przestań, błagam!

– Nie, nie czujesz. Wciąż tylko go sobie wyobrażasz. Prawdziwe cierpienie płynie z serca.

– Więc... – Nie wiedziałam co mam robić. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

– Rozumiesz? Dopóki nie poczujesz bólu, muszę to robić. Tylko w ten sposób mogę cię czegoś nauczyć.

– A-ale jak mogę...?

– Przestań używać wyobraźni. Poczuj to. To... ty... mi... to... robisz. – Głos Naczelnego Mnicha Mushina był pełen bólu. To... przez... ciebie... cierpię.

Myślałam, że moje serce zaraz się zatrzyma. Co, na niebiosy, mogłam zrobić żeby go powstrzymać?

– Pomóż mi, proszę – powiedział niskim, zachrypniętym głosem.
– Powstrzymaj to, pomóż mi.

Nie bardzo wiem jak wytłumaczyć, co się wtedy stało. Choć było to zupełnie irracjonalne, zaczęłam pomału wierzyć, że to rzeczywiście ja torturuję mnicha. Z oczu popłynął mi strumień łez.

Naczelnny Mnich Mushin zajęczał z bólu. Ręka trzymająca zagłębiony w łydce nóż drżała.

Wtedy stało się coś niesamowitego. Moje ciało zesztyniało i straciłam możliwość ruchu, pole widzenia znacznie się zwężyło a na piersiach poczułam ogromny ciężar, uniemożliwiający mi złapanie oddechu.

– Proszę... Nie... zabijaj...mnie.

Te słowa coś we mnie wyzwoliły. Po lewej stronie klatki piersiowej poczułam ostry, kłujący ból promieniujący po sam czubek głowy. Straciłam równowagę i upadłam na tatami.

Moje serce. Mój oddech. Nie mogłam złapać tchu, moje usta otwierały się i zamykały, jak u ryby wyciągniętej z wody.

Zobaczyłam nad sobą Naczelnego Mnicha, obserwującego mnie jakbym była zwierzęciem laboratoryjnym.

– Już wystarczy, pozbieraj się. – Jego głos wydawał się dochodzić z bardzo daleka. – Wszystko w porządku, Saki. Spójrz, nic mi nie jest.

Jak przez mgłę zobaczyłam, jak staje przede mną jak gdyby nic się nie stało. Nigdzie nie widziałam rany.

– Popatrz dokładnie, nie zraniłem się. Ten nóż jest fałszywy, specjalnie wykonany tak, aby niczego nie mógł przekłuć.

Kiedy popchnął ostrze, schowało się ono do rękojeści.

Przez dłuższą chwilę leżałam jeszcze na podłodze, wciąż totalnie oszołomiona. Wkrótce jednak ból ustąpił i znów mogłam się poruszać.

Wstałam, wściekła z powodu żartu, jaki sobie ze mnie zrobiono. Chciałam otworzyć usta by coś powiedzieć ale uświadomiłam sobie, że nie mogę tego zrobić.

– Wstrząsające, czyż nie? Ale oznacza to, że pomyślnie zdałaś ostatni test. – Twarz Mushina odzyskała zwyczajny, życzliwy wyraz. – Jeżeli możesz poczuć czyjeś cierpienie jako swoje własne, nie pozostaje już nic co mogłoby nas martwić. Nadszedł czas, byś została obdarowana własną mantrą.

Odzyskałam normalne czucie w ciele, lecz wciąż nie mogłam wykonać żadnego ruchu poza przytaknięciem.

– Proszę cię jednak, byś nigdy nie zapomniała tego bólu. Pamiętaj o nim zawsze i wszędzie, i spraw, by stał się częścią ciebie. – Jego słowa sięgnęły głęboko do mojego serca. – Taka jest właśnie różnica między ludźmi a potworami.

Jeden z obecnych w sali modlących się mnichów rzucił na ołtarz garść czegoś, co wyglądało jak pigułki i polał je zapachowym olejkiem a następnie rozpalił ogień.

Dźwięk sutr nuconych przez mnichów przywodził na myśl niosący się echem koncert tysiąca cykad.

Obmyłam się i ubrałam białe szaty, podobne do tych, w jakich chowa się zmarłych. Usiadłam za medytującym mnichem i złączyłam dłonie.

Rytuał ciągnął się bez końca a ja byłam coraz bardziej zmęczona. Świt musiał być już blisko. Moje myśli unosiły się swobodnie i znikwały, niczym pękające bąbelki. Za każdym razem gdy mnisi wrzucali coś do ognia, wydawało mi się, że to moje własne grzechy i zmartwienia ulegają spaleni. W pewnym momencie pomyślałam, że muszę mieć ich nadzwyczaj dużo, jako że ceremonia się przedłużała.

– Twoje ciało i dusza zostały dostatecznie oczyszczone. Nadszedł teraz czas, by spalić ostatnie z twoich doczesnych pragnień – powiedział Naczelny Mnich Mushin zza moich pleców.

Ukłoniłam się. Wreszcie byłam wolna.

– Spójrz na płomienie. – Głos dochodzący z ciemności brzmiał jakby płynął z samych niebios. – Spójrz na płomienie.

Skupiłam wzrok na ogniu tańczącym na ołtarzu.

– Spróbuj ugiąć płomień.

– Nie potrafię. – Od czasu, gdy przyszło Błogosławieństwo nie próbowałam nawet używać cantusu.

– Potrafisz to zrobić. Spraw, by płomienie się zachwiały.

Wpatrywałam się w ogień.

– W lewo i w prawo. Z jednej strony na drugą... lewo, prawo.

Ciężko było się skoncentrować, ale po chwili zdołałam się silniej skupić i płomień pojaśniał. Jego wewnętrzna część świeciła coraz silniej, ale zewnętrzne krawędzie zaczęły migotać. *Porusz się. Porusz.* – pomyślałam.

Po chwili coś sobie uświadomiłam. *Nie, to nie płomień* – przyszło mi na myśl. Ogień tworzą tysiące świecących drobinek, ale są one zbyt rozproszone, by dało się je kontrolować.

Musiałam poruszyć powietrze.

Zauważyłam, że muszę się skoncentrować na gorącej otoczce płomienia. Na jasnym, drżącym strumyku ciepłego powietrza.

Skupiłam się z całych sił.

Ruszaj się, ruszaj... Szybciej.

Strumień powietrza nieznacznie przyspieszył. Już po chwili ogień ugiął się na wszystkie strony, jakby był poruszany podmuchami silnego wiatru.

Zrobiłam to.

Poczułam niesamowitą satysfakcję. To niewiarygodne, że mogłam poruszać wszystkim tak, jak chciałam, bez użycia rąk. Wzięłam głęboki wdech i jeszcze raz dotknęłam płomieni moją świadomością.

– Wystarczy już. Przestań – przerwał mi ostry głos.

Moja koncentracja runęła niczym domek z kart, a obraz który wykształciłam w myślach został pochłonięty przez ciemność.

– Twoim ostatnim pragnieniem jest twój cantus.

Nie od razu zrozumiałam znaczenie tych słów.

– Odrzuć wszystkie pragnienia. By doznać oświecenia musisz spalić je w tym ogniu.

Nie mogłam w to uwierzyć. Dopiero co uzyskałam swoją moc. Dlaczego miałabym znów się jej pozbawić?

– Musisz zwrócić bogom siłę darowaną ci przez niebiosa. Od tej chwili twój cantus zostaje zapieczętowany w tej figurce.

Musiałam być posłuszna. Położono przede mną wykonaną z dwóch kawałków złożonego papieru kukielkę przedstawiającą człowieka. Na jej głowie i korpusie widniały znaki przypominające sanskryt.

– Przejmij nad nią kontrolę i spraw, by wstała.

To zadanie było wyraźnie trudniejsze niż poprzednie, zwłaszcza, że trudniej było mi się skoncentrować przez to, co właśnie usłyszałam. W końcu jednak papierowy człowieczek zaszeleścił i wstał.

– Przelej w tę figurkę wszystkie swoje emocje.

Papierowa głowa. Papierowe ciało. Papierowe kończyny. Kształt, którego nie można z niczym pomylić. Kształt człowieka.

Czułam jak moje ciało zlewa się w jedno z kukielką. Przełam siłę w jej nogi, chwiejąc się niczym laleczka *daruma*. Figurka posłusznie wstała. Raz jeszcze poczułam jak wypełnia mnie poczucie szczęścia i potęgi.

– Saki Watanabe, twoja moc została zapieczętowana! – Donośny głos mnicha rozbrzmiał w świątyni, przerywając moją euforię.

Sześć długich kolców zaświszczało w powietrzu, przesywając głowę, tors i kończyny ludzika.

– Wszystkie twoje pragnienia zostały spalone. Niech prochy powrócą do przepastnej, nieokiełznanej ziemi.

Mnich przerwał modlitwę i wrzucił kukielkę do ognia. Płomienie prawie eksplodowały, buchając po sam sufit i prawie go osmalając.

– Twój cantus został usunięty.

Mogłam jedynie obserwować w oszołomieniu bieg wydarzeń.

– Spójrz w płomienie – ponownie nakazał mi Naczelny Mnich Mushin. – Nie możesz już ich kontrolować. Spróbuj to zrobić. – Jego głos był pozbawiony emocji.

Utkwiłam wzrok w ogniu, lecz tym razem nie potrafiłam niczego dostrzec. Nieważne jak się starałam, nie mogłam niczego zmienić. *Czy już nigdy nie doznam tego uczucia potęgi?* Po policzkach pociekły mi łzy.

– Poświęciłaś się, odrzucając swoją moc. – Głos Mushina znowu stał się ciepły i łagodny. – Zgodnie z naukami Buddy otrzymasz więc teraz czystą mantrę, nową duszę, a twój cantus będzie ci zwrócony.

Uderzył mnie laską Zen w oba ramiona. Zwiesiłam głowę. Intonowane przez mnichów pieśni stały się głośniejsze.

Mushin nachylił się nade mną, tak, że tylko ja mogłam usłyszeć jego słowa i wyszeptał mi do ucha moją nową mantrę.

Kontynuowanie opowieści w tym miejscu stanie się trochę kłopotliwe. Nieważne, jak bardzo bym się starała, nie jestem w stanie zapisać swojej mantry.

Nawet teraz nasza społeczność przywiązuje dużą wagę do znaczenia mantr. Są one słowami skierowanymi do bogów i kluczami do naszego cantusu. Istnieje przekonanie, że nie powinno się wypowiadać mantr bez celu, bo może to doprowadzić do utraty mocy.

Z drugiej strony, to tylko wyrazy, które trzeba wymówić. Dźwięki bez żadnego znaczenia. Nie wydaje mi się, by ich ujawnienie tutaj mogło wyrządzić jakieś szkody.

Głęboko w mojej podświadomości najwyraźniej wykształcił się naturalny mechanizm obronny chroniący przed ujawnieniem słów mantry. Nie do końca rozumiem, dlaczego tak jest i chciałabym poznać przyczynę takiego stanu rzeczy. Do dzisiaj, gdy próbuję

napisać słowa mantry, coś sprawia, że nie mogę ruszyć ręką trzymającą pióro.

Mając na uwadze, że niektórzy mogą być ciekawi jak wyglądała mantra, podaję przykład:

Namo ākāśagarbhaya om ārya kamari mauli svāhā.

Jest to akurat mantra Akaśagarbhy bodhisattwy, należąca do Satoru.

Moja ceremonia przejścia w dorosłość trwała jeszcze kilka godzin, lecz nie ma potrzeby, by to opisywać. W każdym razie, gdy dobiegła końca, na wschodzie pojawiały się pierwsze promienie słońca a wszyscy byli kompletnie wyczerpani.

Cały kolejny dzień spałam jak zabita. Gdy się obudziłam, spędziłam trochę czasu na pomaganiu mnichom. Następnego dnia pozwolono mi wrócić do domu.

Naczelny Mnich Mushin i jego uczniowie ze Świątyni Czystości życzyli mi szczęścia i pożegnali mnie pod młodymi liśćmi drzew wiśni. Ponownie weszłam na barkę bez okien, która zabrała mnie z powrotem do wioski. Tym razem podróż trwała tylko dwie godziny.

Moi rodzice mocno i długo mnie wyściskali. Tej nocy urządzono dla mnie przyjęcie; stoły uginały się pod półmiskami moich ulubionych potraw. Były tam ciepłe pierożki yam, surowe filety z flądry z modyfikowanym białkiem, pikantna zupa z kraba tygrysięgo...

W ten sposób zakończyło się moje długie dzieciństwo. Następnego dnia miałam rozpocząć zupełnie nowe życie.

Akademia Mędrców znajduje się w Zbożowym Kręgu, podobnie jak Szkoła Harmonii, leży jednak znacznie dalej na północ, niedaleko granicy z Sosnowym Wiatrem. Do kamiennego budynku Akademii zostałam odprowadzona przez nauczyciela ze starej szkoły, ale do klasy musiałam wejść już sama. Ze zdenerwowania zaschło mi w ustach.

Tuż po prawej od drzwi znajdował się podest, ściana na wprost była przyozdobiona dewizą Akademii, natomiast po mojej prawej

stały ustawione w półokrąg ławki, w których w ciszy siedziało około trzydziestu uczniów.

Pan Endou zaprosił mnie gestem dłoni na podest. Czułam, że nogi mam jak z galarety. Nigdy wcześniej nie byłam obiektem uwagi tak wielu osób; czułam się naga i bezbronna.

Nie potrafiłam znaleźć w sobie nawet tyle odwagi, by spojrzeć na klasę z podestu. Rzuciłam jedynie szybko okiem na kolegów; zauważyłam, że wszyscy odwrócili wzrok. Nagle przypomniało mi się jakieś miejsce, które odwiedziłam w przeszłości. Nie chodziło o Szkołę Harmonii, to było gdzieś indziej. *Ale gdzie?* W klasie panowała taki sama atmosfera jak w tamtym miejscu. Ogarnęło mnie dziwne uczucie *déjà vu*.

– Oto wasza nowa koleżanka, Saki Watanabe. – Pan Endou napisał moje imię na tablicy. Właściwie to nie do końca można powiedzieć, że pisał; w przeciwieństwie do nauczycieli ze Szkoły Harmonii nie używał rąk. Wykorzystywał *cantus* do formowania z kredowych drobinek wyrazów na tablicy.

– Znasz już uczniów ze Szkoły Harmonii, prawda? Mam nadzieję, że szybko zaprzyjaźnisz się również z pozostałymi.

Wszyscy zaczęli klaskać. Zdałam sobie sprawę, że są równie zdenerwowani jak ja.

Trochę spokojniejsza, rozejrzałam się po sali. Zobaczyłam Marię, Shuna i Satoru machających do mnie.

Gdy dokładnie przyjrzałam się pozostałym uczniom, zauważyłam że mniej więcej jedna trzecia z nich to moi koledzy z klasy ze Szkoły Harmonii. Pomimo, że każdy zaczynał naukę w Akademii innego dnia, i tak najsensowniejszy pozostawał podział na klasy pod względem wieku. Gdy to sobie uświadomiłam, mój nastrój znacznie się poprawił i po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czego będę się uczyła w tym miejscu.

Podczas przerwy wszyscy uczniowie ze Szkoły Harmonii zebrali się wokół mnie, jakby czekali na mnie od wieków.

– Trochę to ci zajęło, co? – jako pierwszy zwrócił się do mnie Shun. Gdyby to Satoru powiedział coś takiego, pewnie bym go uderzyła, jednak tylko się uśmiechnęłam.

– Przepraszam, że musieliście czekać.

– Czekanie było już naprawdę męczące – powiedziała Maria, przytulając mnie i dotykając swoim czołem mojego.

– Jestem późnym kwiatem. To nie tak, że Błogosławieństwo które przyszło wcześniej jest lepsze.

– Masz rację, ale jesteś ostatnia ze Szkoły Harmonii. Nie wiem czemu, ale twoje Błogosławieństwo było strasznie apatyczne – odparł Satoru, kompletnie zapominając o tym, że sam nie należał do najszybszych.

– Widzę, że zupełnie się nie zmieniłeś... Czekaj. – Nagle uświadomiłam sobie, że coś się nie zgadza. – Jak to ostatnia? To nieprawda, zostali jeszcze inni.

Wszyscy zamilkli. Ich twarze były równie pozbawione emocji jak maski *shinshi*.

– Nie uczymy się tu tylko teorii, ćwiczymy też umiejętności praktyczne... – przerwała ciszę Maria. – Jestem najlepsza w klasie, jeśli chodzi o manipulację powierzchnią wody, wiesz?

– Za to zupełnie ci nie idzie w wymianie energii.

– Nauczyciel mówi, że na razie najważniejsza jest zdolność stworzenia obrazu w umyśle.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Brzmiało to dla mnie jak niezrozumiały bełkot; rozmawiali o rzeczach, których się już nauczyli i przechwalali się wiedzą. Nie podobało mi się to. Nie przerwałam im jednak i zachowałam się zgodnie z zasadą, którą nam wpajano: udawania, że pewne rzeczy, o których mówienie jest zabronione w ogóle nie istnieją.

Jako że nie mogłam włączyć się do rozmowy, tylko przysłuchiwałam się kolegom. Pierwsze wrażenie, jakie wywarła na mnie klasa było dziwne, ale wciąż byłam przekonana że już gdzieś, kiedyś czułam coś podobnego.

Gdy zadzwonił dzwonek i wszyscy udali się do ławek, nagle mnie olśniło.

– To było na Farmach Lotosu...

– Co tam było? – spytał Satoru, który jako jedyny usłyszał co powiedziałam pod nosem.

– Ta klasa przypomina mi farmę – odparłam po chwili zadumy.

– Pamiętasz? Tę, którą odwiedziliśmy podczas wycieczki, jeszcze w Szkole Harmonii.

Twarz Satoru zmarszczyła się, gdy usłyszał nazwę szkoły. – Akademia Mędrców przypomina ci farmę? O czym ty mówisz?

– Po prostu panuje tu taka sama atmosfera. – Naszło mnie jakieś nieprzyjemne uczucie, którego nie potrafiłam sprecyzować.

– Nie mam pojęcia o co ci chodzi. – Nastrój Satoru jakby nagle się pogorszył, ale nie zdążyłam nic mu odpowiedzieć, bo rozpoczęła się lekcja.

Farmy Lotosu, które odwiedziliśmy na wycieczce szkolnej w ramach lekcji o społeczeństwie znajdują się w Żłocistej Wiosce. Im bardziej zbliżał się okres ukończenia szkoły tym częściej zabierano nas na podobne wyprawy. Najwyraźniej chciano skłonić nas w ten sposób do zastanowienia się, jaką pracę chcielibyśmy wykonywać w przyszłości. Widok linii produkcyjnych był naprawdę zachwycający; sprawiał, że aż chciało się szybciej dorosnąć. Przedmioty wykonywane z gliny i szkła, tworzone przez członków gildii rzeźbiarskiej były niesamowite. Sposób w jaki używali cantusu do produkcji nieprawdopodobnie wytrzymałej ceramiki i przejrzystego jak powietrze szkła sprawił, że wszyscy nagle zapragnęliśmy zostać rzeźbiarzami.

Najsilniej jednak odcisnęła się nam w pamięci wycieczka na Farmy Lotosu.

Był to zespół farm badawczych, rozrzuconych po wszystkich wioskach. Pierwszą odwiedziliśmy placówkę w Białym Piasku. Znajdowały się tam pola ryżowe nawadniane słoną wodą. Ryż, który spożywamy pochodzi normalnie z pól Żłocistej Wioski; ta plantacja

była jednak inna. Pola były zanurzone w oceanie, a dzięki zastosowaniu metody, którą nazywano odwróconą osmozą, możliwe było odfiltrowywanie soli. Spróbowaliśmy tutejszego ryżu; ku naszemu zdziwieniu okazał się zupełnie jadalny a soli prawie nie dało się wyczuć.

Następnie udaliśmy się do jednostki trudniącej się jedwabnictwem, gdzie ogromna liczba jedwabników tkala swe różnobarwne kokony. Wytwarzanego z ich nici materiału nie tylko nie trzeba było barwić; jego kolor nigdy nie blaknął po praniu.

W sąsiednim budynku znajdowała się hodowla zagranicznych gatunków, wykorzystywanych w procesie wybiórczego rozrodu. Jedwabniki z Indonezji były znane ze złocistego koloru swoich nici, indyjskie robaki Tasar przędły nić dziesięciokrotnie grubszą niż normalna, setki jedwabników z Ugandy budowały kokony wielkości piłki do rugby...

Najbardziej niesamowite były jednak jedwabniki Hitachi, trzymane w osobnym, hermetycznym pomieszczeniu. Dwumetrowe owady o trzech głowach mogły jednocześnie pożerać ogromne ilości liści morwy i wypluwać jedwabne nici. Wyglądało to tak, jakby w ogóle nie miały zamiaru robić kokonów, a jedynie pluć jedwabiem we wszystkie strony. Szybę, służącą do obserwacji trzeba było często czyścić od wewnątrz, aby jedwab zupełnie nie zasłonił widoku. Przewodnik wyjaśnił nam, że z powodu ogromnych rozmiarów owady mają trudność z oddychaniem, więc do ich pomieszczenia pompuje się czysty tlen. Stężenie gazu było tak wysokie, że najmniejsza iskra mogła spowodować wybuch, dlatego też trzymano jedwabniki w odizolowanym, hermetycznie zamkniętym pokoju.

W dalszej kolejności odwiedziliśmy farmę warzywną. Uprawiano tam zwykłe i słodkie ziemniaki, cebulę, rzodkiewki, truskawki i wiele innych roślin. Nasza wyprawa przypadła na środek zimy, dlatego część pól była pokryta przypominającymi kupki śniegu bąblami. Ziemniaki są bardzo wrażliwe na zimno, więc gdy temperatura zbyt mocno spadała, chroniono je wykorzystując

pęcherze wytwarzane przez insekty zwane piewikami grządkowymi. Kiedyś pieвики były szkodniczymi owadami, jednak dzięki cantusowi udało się je zmutować w nieszkodliwy, pożyteczny gatunek.

Pola było dodatkowo chronione przez olbrzymie osy w lśniących, czerwonych pancerzykach. Karmazynowe osy były hybrydą szerszenia azjatyckiego i brunatnego. Polowały wyłącznie na szkodniki, nie robiąc krzywdy ludziom i żadnym zwierzętom hodowlanym.

Naprzeciwno pól znajdowały się obory. Myślałam, że znam powód dla którego odwiedzamy je na samym końcu. W przeciwieństwie do roślin i owadów, ssaki zmienione przez cantus w celu zwiększenia produkcji mięsa, mleka czy wełny nie mogły wyglądać zbyt pięknie. Wszystkim ulżyło, kiedy okazało się że stojące w swoich zagrodach krowy wyglądają całkiem zwyczajnie.

– Co, do diabła? Tu są tylko zwykłe krowy. – Brak taktu Satoru nigdy nie przestał mnie zadziwiać.

– Nieprawda – rzekł Shun, wskazując na kąt zagrody. – Czy to nie są krowy workowe?

Wszyscy spojrzeliśmy w tamtym kierunku.

– Rzeczywiście, mają worki! – wykrzyknęła Maria z podnieceniem.

Pomiędzy tylnymi nogami brązowej krowy znajdował się niewielki, biały balon.

– Och, wszystkie z nich to krowy workowe – powiedział przewodnik. Był dobrze zbudowanym mężczyzną, którego imienia nie pamiętam. Wyglądał na lekko niespokojnego, zupełnie jakby nie chciał poruszać tematu tych zwierząt.

– Dlaczego nie usuwa się tych worków? – spytał Satoru, zupełnie nieświadomy zakłopotania przewodnika.

– Cóż... Dawno temu wszyscy hodowcy krów mlecznych mówili, że krowy workowe mają lepszą odporność i nie zapadają na większość chorób. Próbujemy dowiedzieć się, czy to rzeczywiście prawda.

Krowy workowe nas zaintrygowały; nie było w tym nic dziwnego, bo były to pierwsze zmutowane zwierzęta jakie zobaczyliśmy podczas wycieczek.

Posiadam książkę, zatytułowaną „Historia naturalna Nowych Wysp Japońskich”, która lepiej tłumaczy kwestię tych zwierząt. Należy ona do trzeciej klasy książek, która obejmuje tomy, przy czytaniu których należy zachować ostrożność, bo są potencjalnie szkodliwe dla psychiki czytelnika. Pozwolę sobie przytoczyć fragment tej księgi:

Bydło workowe, wcześniej znane jako krowy pęcherzowe bierze swoją nazwę od worka, który posiada. Interesującym zbiegiem okoliczności jest podobieństwo jego nazwy do worecznic.¹

Worecznice są skorupiakami, należącymi do wąsonogów. Przypominają woreczek, skąd wzięła się ich nazwa; na pierwszy rzut oka nie wykazują podobieństwa do powszechnie znanych gatunków skorupiaków, takich jak kraby czy krewetki. Taki wygląd jest adaptacją do pasożytniczego trybu życia, jaki prowadzą żerując na innych skorupiakach, na przykład na japońskich krabach wełnistoszczypcyh.

Jako cyprisy, żeńskie worecznice przyczepiają się do ciała ofiary i rozpoczynają proces wnikania do żywiciela. Do ciała kraba wstrzykiwany jest zbitek komórek somatycznych, które przytwierdzają się od wewnątrz, a następnie przebijają się przez brzuch kraba i wytwarzają worek. W istocie jest on jajnikiem, nie posiada kończyn ani układu pokarmowego. Komórki w jego wnętrzu tworzą podobne do korzeni struktury, wnikające w ciało żywiciela i pobierające z niego substancje odżywcze.

Zaatakowany krab staje się bezpłodny; zjawisko to nazywane jest kastracją pasożytniczą.

(fragment pominięty)

Z drugiej strony, istniała teoria, mówiąca, że worki u krów są rodzajem guza jąder lub jajników. Nie wpływały one jednak na stan zdrowia bydła, więc uznawano je za łagodne i ignorowano. W ostatnich latach obalono jednak tę teorię, odkrywając, że worki są w istocie

¹ Worecznice – rodzaj skorupiak, należącego do rzędu rozgłowców (łac. Rhizocephala); w oryginale podobieństwo nazw dotyczy właśnie rzędu, słowo „Rhizocephala” zawiera w sobie słowo „worek”

niezależnymi organizmami, podobnie jak worecznice. Można nawet stwierdzić, że zdołały one wyewoluować do takiego stopnia, że powstał nowy gatunek bydła.

Nie wiadomo co dało początek bydłu workowemu; jednak powszechnie uznawana jest teoria, mówiąca o przypadkowej ewolucji. W podobny sposób zdarza się, że jeden z bliźniaczych zarodków wchłonie drugi, który staje się guzem.

Larwy krowich worków w dużych ilościach można znaleźć w jądrach normalnych byków. Podczas kopulacji dochodzi do wydostania się ich wraz z nasieniem. Mają około czterech centymetrów grubości, dwie długie kończyny, ciało przypominające gąsienice. Nie posiadają oczu ani uszu, ale są wyposażone w przypominające kolec pokładełko.

Larwy przytwierdzają się za pomocą kończyn do ciała krowy, po czym zaczynają wspinać się w poszukiwaniu miejsca, w którym skóra jest ścieńczała. Tam wstrzykują zwierzęciu kilka komórek somatycznych, które zaczynają dzielić się i rosnać, wytwarzając worek. Krowa-gospodarz staje się krową workową. Po spełnieniu swojego zadania larwy wysychają, odczepiają się i umierają po około dwóch godzinach.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że larwy nie mają nic wspólnego z normalnym bydłem; mimo tego zostały one zaklasyfikowane do rzędu parzystokopytnych i rodziny krętorogich. Pazury, którymi zakończone są ich kończyny są podzielone tak samo jak krowie kopyta. To jedyna zachowana cecha, sugerująca wspólnego przodka obu gatunków.

Aktualnie istnieje spór na temat tego, czy larwa krowiego worka w istocie zapładnia samice bydła, czy jedynie okrada je z substancji odżywczych, normalnie przeznaczonych dla zarodka.

Istnieje przypowieść, lub raczej miejska legenda, dotycząca bydła workowego. Mówi ona, że pewnego razu przyłapano larwę wspinającą się po krowie. Kiedy oderwano ją od zwierzęcia, wydała z siebie dźwięk identyczny do ryczenia bydła. Gdy pozostałe krowy to usłyszały, wszystkie zaczęły jednocześnie ryczeć. Autor tego podręcznika wielokrotnie obserwował zachowanie larw krowich worków; niestety, nigdy nie udało się wywołać opisywanego zjawiska.

To dziwne, w jaki sposób tajemnicza energia, którą nazywamy cantusem powiązana jest z tymi niecodziennymi zwierzętami, jakimi są krowy workowe.

Nie chodzi prawdopodobnie o to, że byliśmy w szkołach takim samym obiektem badań jak one; istotą tego podobieństwa jest fakt, że zarówno my, jak i krowy byliśmy obarczeni obecnym wewnątrz nas bytem, którego istnienia jeszcze nie zauważaliśmy.

Rozdział 4

Domek z kart urósł w mgnieniu oka.

Kątem oka zerknęłam na siedzącego obok mnie Satoru. Wyglądało na to, że idzie mu całkiem nieźle; kończył właśnie układanie czwartego piętra. Kiedy dostrzegł, że mu się przyglądam, z szelmowskim uśmieszkiem zakręcił w powietrzu młynek czwórką kier, którą właśnie kontrolował.

W przyływie determinacji by z nim nie przegrać, skupiłam całą uwagę na własnej karcianej piramidzie. Zadanie pozornie było proste – mieliśmy ułożyć jak najwyższe domki z kart. Wymagało to jednak niezwykle uważnego używania cantusu.

Pierwszą i najważniejszą rzeczą była koncentracja. Najlżejszy dotyk lub podmuch wiatru mógł zniszczyć całą budowlę. Ważna była też wyobraźnia przestrzenna i zdolność do skupienia się na kilku czynnościach jednocześnie. Musieliśmy w tym samym czasie budować i uważnie wypatrywać oznak słabości konstrukcji, w porę korygując wady.

Popularna była wtedy plotka, że gdy Shisei Kaburagi spróbował podjąć się podobnego zadania, był w stanie wykonać je natychmiast, wyłącznie poprzez wyobrażenie sobie zbudowanego z osiemdziesięciu czterech kart domku. Nie było jednak nikogo, kto widziałby ten wyczyn na własne oczy, więc prawdopodobnie była to nieco wyolbrzymiona opowieść.

W Szkole Harmonii często kazano nam budować piramidy z kart. Nigdy bym nie przypuszczała, że jest to forma przygotowania do nauki w Akademii.

- Pośpiesz się, Saki – ponaglił mnie zniecierpliwiony Satoru.
- To nie jest uczciwa konkurencja. Ale nie martw się, nie pozwolę ci wygrać.
- Głupia, konkurowanie wewnątrz zespołu jest bezcelowe. Popatrz na grupę piątą, współpraca idzie im znakomicie.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na nich; wszyscy pracowali w tym samym tempie, a ich budowla powoli pięła się w górę.

– Przynajmniej nasz mistrz jest jak zwykle w szczytowej formie.

Satoru miał rację. Shun bez wątpienia był najlepszy z całej klasy. Zdążył już ułożyć siedem warstw i właśnie pracował nad ósmą. Nikomu innemu nie udawało się kontrolować kart z taką gracją jak jemu. Patrzenie na jego pracę było fascynujące; karty którymi manipulował przypominały trzepoczące skrzydła motyla.

– Ale ktoś inny rzuca nam kłody pod nogi... – kontynuował Satoru wzdychając i rozglądając się po grupie.

Z boku Maria układała karty równie szybko, jak Shun; jej ruchy były jednak niedbale, przez co już trzeci raz musiała zaczynać od początku. Szybko jednak nadrabiała straty, więc ostatecznie jej tempo dorównywało naszemu. Zupełnym przeciwieństwem jej pracy była technika siedzącego obok niej Mamoru. Pracował z przesadną wręcz ostrożnością, wskutek czego jego domek był niezwykle stabilny. Bardzo wolne tempo pracy powodowało jednak, że w rezultacie wysokość jego konstrukcji plasowała się co najwyżej w połowie stawki.

Prawdziwym problemem była siedząca na końcu Reiko. Nie udało jej się ułożyć jeszcze ani jednego piętra.

Patrzenie na jej pracę było naprawdę przygnębiające. Jej karty drżały; w podobny sposób trzęsłyby się ręce małego dziecka, któremu powierzono podobne zadanie. Reiko pochodziła ze Złocistej Wioski, więc nie uczęszczałyśmy do tej samej szkoły, jednak nie mam wątpliwości że również w Szkole Moralności którą ukończyła budowanie domków z kart sprawiało jej trudność.

Nawet biorąc to pod uwagę, jej niezdarność była zdumiewająca. Za każdym razem gdy jakoś udawało jej się zmusić karty do stania, cała konstrukcja upadała i trzeba było zaczynać od zera.

– Jest w tym tak kiepska, że to prawie zabawne. – Satoru zwiesił głowę i wrócił do kontrolowania własnych kart. – Mając ją w grupie nigdy nie wygramy.

– No i co? Reiko jest dobrą osobą, po prostu musi jeszcze trochę poćwiczyć. – odparłam, sama nie wierząc w swoje słowa. Reiko Amano nie była w stanie poprawnie używać swojej mocy. Nieważne jakiego zadania się podejmowała, nigdy nie udawało jej się osiągnąć oczekiwanego rezultatu.

Na poprzedniej lekcji bawiliśmy się w coś podobnego do głuchego telefonu. Było to ćwiczenie, które miało pomóc nam szlifować zdolność kopiowania obrazu. Każda z grup tworzyła rząd; pierwsza osoba otrzymywała do obejrzenia olejny malunek. Następnie, przy użyciu kontrolowanych poprzez cantus ziaren piasku, kopiowała go i przekazywała duplikat siedzącemu za sobą koledze. Ten miał kilka sekund na zapamiętanie, co na nim było, a następnie odtwarzał go najwierniej jak umiał. Wygrywała grupa, której ostateczny rezultat był najbardziej zbliżony do oryginału.

Jeśli chodzi o nas, grupę pierwszą, to myślę, że nasza technika tworzenia i przekazywania była wyjątkowa. Oczywiście najlepszy ze wszystkich był Shun. Jego obrazy były tak wyraźne jak fotografie. Niewiele gorzej szło Marii. Ja niestety nie dorównywałam im w zdolnościach tworzenia ładnych i jednocześnie wiernych kopii.

Satoru nie sprawdziłby się na początku rzędu, ale świetnie szło mu kopiowanie. Ze mną było inaczej – dobrze wychodziło mi stworzenie piaskowego odpowiednika oryginału. Mamoru zaś miał zmysł artystyczny; jego obrazy były piękne, ale nie zawsze dokładnie odwzorowane.

Spośród naszej szóstki to Reiko zawsze psuła efekt końcowy. Jeśli mam być szczerą, to jej rysunki wyglądały jak ślady zostawione na piasku przez wijącego się w agonii kraba. Nieważne jak dokładnie przypatrywałam się jej obrazom; nie byłam w stanie odgadnąć co mają przedstawiać. Niezależnie od pozycji jaką zajmowała w rzędzie, jej praca przypominała jedynie przypadkowe bazgroły.

W zawodach w budowaniu karcianych domków, jej niezdarność również zaważyła na naszej przegranej. Zwyciężał zespół, który łącznie zbudował najwięcej pięter; dodatkowym warunkiem było

jednak ułożenie przynajmniej siedmiu warstw przez każdego członka drużyny.

Błąd, jaki tym razem popełniła Reiko miał katastrofalne skutki.

Byłam skupiona na własnej piramidzie, więc nie widziałam dobrze całego zajścia. Jej karty nagle przecięły powietrze, uderzając w domek Marii.

Niestabilna, jednak druga co do wysokości w naszej grupie konstrukcja runęła w jednej chwili.

– Och, p-p-przepraszam!

Nietrudno się domyślić, że Reiko była przerażona. Maria przez chwilę siedziała w osłupieniu, po czym zaczęła odbudowywać piramidę, pracując ze zdwojoną szybkością. Czasu zostało jednak tak niewiele, że nawet gdyby ona i Shun zdołali ukończyć budowlę, nie wystarczyłoby to do wygranej. Sygnalizujący koniec czasu gwizdek zabrzmiał, zanim zdołała ukończyć naprawę trzeciego piętra.

– Tak bardzo przepraszam. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłam coś takiego... – nie przestawała tłumaczyć się Reiko.

– Nie przejmuj się. I tak sama psułam go kilka razy – odpowiedziała Maria siląc się na uśmiech. W jej oczach widać było pustkę.

Przedstawię teraz pokrótce grupę pierwszą. Sześciu jej członków to Shun Aonuma, Maria Akizuki, Satoru Asahina, Reiko Amano, Mamoru Itou i ja, Saki Watanabe. Jak można zauważyć, nazwiska są ułożone w kolejności alfabetycznej¹, więc teoretycznie powinnam zostać dopisana do grupy piątej. Przypuszczam, że ostatecznie wylądowałam w pierwszej, ponieważ było tam już troje moich dobrych przyjaciół ze Szkoły Harmonii i miało mi to pomóc w zaaklimatyzowaniu się w Akademii.

Tego dnia po skończeniu zajęć, Maria, Satoru, Shun, Mamoru i ja wracaliśmy niewielką ścieżką biegnącą wzdłuż leżącego w pobliżu szkoły kanału. To nie tak, że nie chcieliśmy zadawać się z Reiko.

¹ Kolejność znaków w japońskich sylabariuszach to „a”, „i”, „u”, „e”, „o”, „ka”, „ki” itd. Sylaba „wa” występuje znacznie bliżej końca.

Często spędzaliśmy z nią czas wolny, jednak tym razem pomyśleliśmy, że głupio by się czuła wracając z nami po tym jak zniweczyła nasze wysiłki.

– Chciałbym już móc w pełni wykorzystywać moje zdolności – powiedział Satoru, przeciągając się.

Wszyscy skrycie tego pragnęliśmy. Jako uczniom, nie wolno nam było używać cantusu w miejscach publicznych. W przeciwieństwie do lekcji w Szkole Harmonii, zajęcia teoretyczne w Akademii Mędrców były długie i nudne, ale musieliśmy je przecierpieć, by pozwolono nam ćwiczyć używanie mocy na zajęciach praktycznych, które zajmowały resztę dnia.

– Gdybyś mógł korzystać z cantusu wedle woli, z pewnością uciekłabym najdalej jak potrafię – dogryzłam mu.

– Niby czemu? – spytał posepnie.

– Bez szczególnej przyczyny.

– I tak już perfekcyjnie nim władam. Ty za to jesteś niezgrabna, jakbyś była pijana.

– Myślę, że obydwoje jesteście bardzo dobrzy – wtrącił się Shun, próbując nas pogodzić.

– Niezbyt cieszą mnie takie słowa z twoich ust – odparł Satoru, kopiąc kamyk w kierunku wody.

– Dlaczego? – spytał Shun, wyraźnie zdezorientowany. – Nie kłamię, naprawdę myślę, że obydwoje jesteście niezli. Wasze karty nie latały we wszystkich kierunkach, ani nic podobnego.

– Och, skończcie już – westchnęła Maria, zakrywając uszy.

– Pff – prychnął Satoru. – Shun uważa się za lepszego od nas, choć najwyraźniej nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie wydaje ci się, Saki?

Mówiąc szczerze, zgadzałam się z nim, jednak nie powiedziałam tego na głos.

– Nie wrzucaj nas do jednego worka, on tylko na ciebie patrzy z góry – odpowiedziałam.

– Że co? Nie, mylisz się – wymruczał Satoru z niezadowoleniem, po czym nagle zamilkł.

– Co się stało? – spytała Maria.

Satoru wskazywał na nabrzeże kanału sześć albo siedem metrów przed nami.

– Spójrzcie na to.

Kręciły się tam dwie istoty o sylwetkach podobnych do ludzkich, odziane w bure łachy.

– Dziwoszczury...? – wyszeptała Maria, okręcając na palcach kosmyk swych rudych włosów.

– Taa. Co one robią?

Shun był zafascynowany, podobnie jak ja. Po raz pierwszy widzieliśmy dziwoszczura z tak bliska.

– Nie powinniśmy na nie patrzeć – ostrzegł nas Mamoru. Jego falowane włosy sprawiały, że jego głowa wyglądała jakby miała za chwilę wybuchnąć. – W Szkole Przyjaźni uczono nas, by w razie spotkania dziwoszczurów nie patrzeć na nie ani nie zbliżać się do nich. Nigdy wam tego nie mówiono w Szkole Harmonii?

Oczywiście i nam to powtarzano; pokusa robienia rzeczy zakazanych jest jednak nieodłączną częścią ludzkiej natury. Powoli szliśmy do przodu, bacznie obserwując ruchy stworzeń.

Pamiętałam, co mówił mi ojciec gdy byłam młodsza. Gdy dostatecznie zbliżyliśmy się do dziwoszczurów, zauważyliśmy, że zajmują się sprzątaniami śmieci, które utkwily w okolicy zakrętów kanału, gdzie przepływ wody był wolniejszy. Skrupulatnie zgarniały liście i gałązki używając sieci i bambusowych tyczek.

Pracę tego typu można było wykonać w mgnieniu oka, wykorzystując cantus; nie ma jednak wątpliwości, że ludzie uważali takie zadanie za zbyt nudne, by poświęcać na nie czas.

– Pracują naprawdę ciężko.

– Ale trzymanie sieci takimi dłońmi wygląda na naprawdę trudne – powiedziała Maria. Ja pomyślałam o tym samym.

– Z pewnością tak jest. Ich szkielety różnią się budową od naszych; samo stanie na dwóch nogach jest dla nich dużym wyzwaniem.

Było dokładnie tak, jak mówił Shun. Nawet jeśli nie mogliśmy zobaczyć ich ciał, ukrytych pod szatami, to trzymające sieci dłonie przypominały łapki gryzoni a nogi niepewnie się chwiały w próbie utrzymania równowagi.

– Nie powinniśmy ich obserwować... – Mamoru oddalił się od nas na parę kroków i stanął tyłem do dziwoszczurów.

– Daj spokój, co może się sta... Hej, uważaj! – Satoru rzucił się z krzykiem do przodu.

Jeden z dziwoszczurów próbował podnieść wypchaną liśćmi siatkę, która okazała się cięższa niż przypuszczał. Zachwiał się mocno, po czym runął w dół.

Drugi dziwoszczur próbował go chwycić, jednak było o sekundę za późno. Stworzenie z potężnym pluśnięciem wpadło głową w dół do kanału. Wszyscy pognaliśmy w jego kierunku.

Dziwoszczur szamotał się pod wodą niecały metr od nas. Nie potrafił zbyt dobrze pływać, a do tego oplątały go liście i gałązki, krępując jego ruchy.

Jego kompan miotał się w panice we wszystkich kierunkach – najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że mógłby pomóc tonącemu, rzucając mu sieć do chwycenia

Wzięłam głęboki wdech i skoncentrowałam się.

– Co ty chcesz zrobić, Saki? – spytała zaskoczona Maria.

– Pomóc mu.

– Hę? Jak?

– Lepiej nie angażować się w nic, co ich dotyczy – krzyknął tchórzliwie zza naszych pleców Mamoru.

– W porządku, muszę tylko unieść ten fragment aby wyciągnąć go z powrotem na brzeg. To będzie łatwe.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Nie możesz tak po prostu używać cantusu gdzie ci się podoba!

– Również uważam, że powinnaś przestać.

– Ale jeżeli nic nie zrobię, to on zginie!

Uspokoiliam się, wyrzucając z umysłu dźwięki ich głosów i wyszeptałam swoją mantrę.

– To co robisz jest naprawdę złe!

– Uczono nas przecież by mieć współczucie dla wszystkich żywych istot, prawda?

Skupiłam uwagę na szarpiącym się w wodzie dziwoszczurze. Kłopotem było to, że cały czas się poruszał a wszystkie liście i odpady dodatkowo utrudniały prawidłowy chwyt.

– Łatwiej będzie, jak podniesiesz go razem z liśćmi – odpowiedział mi Shun, rozumiejąc nad czym się zastanawiam.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością, po czym, ignorując pozostałych, skoncentrowałam się na próbie podniesienia kępy liści, wyobrażając sobie jak wznosi się w powietrze. W końcu przewyciężyła ona napięcie powierzchni i zawisła nad wodą. Uwięziona w wyciągniętej stercie ciecz spłynęła kaskadą do kanału, a kilka liści, które zdołały uciec mojej uwadze, opadło w dół. Nie widziałam dziwoszczura, ale musiał być gdzieś w środku. Pomału przeniosłam go na brzeg. Wszyscy odsunęli się, by zrobić miejsce.

Delikatnie opuściłam kontrolowaną kępę liści na ścieżkę. Dziwoszczur żył. Młóćąc rękami i nogami zdołał się wydostać, po czym, kaszłąc, wypluł z siebie morze wody i bąbelków. Z bliska okazało się, że jest całkiem duży. W pozycji stojącej miał prawdopodobnie około metra wysokości.

– Łał, to wyglądało jakbyś wyciągnęła go niewidzialną siecią. To była perfekcyjna lewitacja!

– Tak, to dzięki twojej dobrej radzie.

– Co teraz zrobimy? Jeśli szkoła się o tym dowie... – wtrącił się Satoru, nie pozwalając mi nacieszyć się pochwałą od Shuna.

– Tak długo jak o nie będą o tym wiedzieć, wszystko będzie dobrze.

– O to właśnie pytam. Co, jeśli się dowiedzą?

– Wszyscy musimy bezwzględnie zachować to w tajemnicy, zgoda? Dla dobra Saki – przybyła mi z pomocą Maria.

– Zgoda – odparł Shun bez wahania.

– Ty też, Satoru, łapiesz?

– Mi tego nie musisz mówić. Ale co, jeżeli jednak jakoś to wyjdzie na jaw?

– Nie wygląda na to by ktokolwiek nas widział. Tak długo jak nikt nie puści pary z ust, będzie w porządku – powtórzyła Maria. – Mamoru?

– Tak?

– Co „tak”? O co...

– Nic dzisiaj się nie wydarzyło. Niczego nie widziałem. Nie mam nic wspólnego z żadnymi dziwoszczurami i w ogóle.

– Dobry chłopiec.

– A co zrobimy z nimi? – Satoru zmarszczył nos, wskazując na dziwoszczury.

– Nikomu się nie wygadają.

– One potrafią mówić? – Shun wyglądał na zaintrygowanego.

Podeszłam do wciąż leżącego na ziemi dziwoszczura. Zastanawiałam się czy czasem nie jest ranny. Gdy jego kompan mnie ujrzał, również padł twarzą do ziemi. Nie ulegało wątpliwości, że boją się ludzi.

– Hej, ocaliłam ci życie, rozumiesz? – próbowałam grzecznie zagadać.

– Nie powinnaś z nimi rozmawiać! – krzyknął łamiącym się głosem Mamoru gdzieś zza moich pleców.

– Hej, słyszysz mnie?

Przemoczony dziwoszczur bez słowa pokiwał głową. Wyglądało na to, że poczuł się znacznie pewniej, bo przyjął pozycję na czworakach. Przyczołgał się do mnie i wykonał ruch jakby całował mnie po stopach.

Obydwa dziwoszczury pokłoniły się. Ten prosty gest był w jakiś sposób pełen symboliki. Nagle zapragnęłam dowiedzieć się, jak wyglądają ich twarze.

– Hej, spójrzcie tu – lekko klasnęłam w dłonie.

– Saki, przestań już. – W głosie Marii dało się usłyszeć lekkie oszołomienie.

– Naprawdę nie wolno ci... – usłyszałam Mamoru z jeszcze większej odległości.

– Rozumiecie, co do was mówię? Podnieście głowy.

Dziwoszczury nerwowo wykonały polecenie.

Nie wiedzieć czemu, spodziewałam się ujrzeć słodkie pyszczki, przypominające mordki polnych myszy, byłam więc zszokowana tym, co zobaczyłam. Pod kapturami kryły się twarze paskudniejsze od jakiegokolwiek żywej istoty, którą dotychczas widziałam. Dziwoszczury miały płaskie pyski, bardziej przypominające świnie niż szczura, zwisającą fałdami luźną, bladą skórę, pokrytą brunatnym meszkiem oraz błyszczące, perliste ślepie.

– Zie-zie Ziekujemy..., bbaababababa. Bbbobobobo...ggowie – odezwał się nagle dziwoszczur wysokim, skrzeczącym głosem. Zamarłam z zaskoczenia.

– On mówi... – wyszeptała Maria. Pozostała trójka tylko stała w osłupieniu.

– Jak masz na imię? – zapytałam.

– §@★#©&€∂Å♪ – wyszczebiotał śpiewnym głosem. Ślina spieniła się w kącikach jego ust.

Wiedziałam, że właśnie mi się przedstawił; nie było jednak mowy o tym, żeby jego imię dało się zapisać po japońsku, nie wspominając już o jego zapamiętaniu.

– Cóż, wygląda na to, że nie musimy się martwić, że nas podkablują – powiedział Satoru z wyraźną ulgą. – I tak nikt nie zrozumie, co mówią.

Obawy nas opuściły i roześmialiśmy się. Z jakiegoś powodu jednak po plecach przeszły mi ciarki, gdy spojrzałam na

dziwoszczury. Zupełnie jakbym poruszyła jakieś tabu, ukryte głęboko na dnie mojego serca.

– Nie możemy mówić do nich po imieniu, ale musi istnieć inny sposób by ich od siebie odróżnić – rozmyślał na głos Shun.

– Można to zrobić po ich tatuażach. – Osobą, która się odezwała okazał się niespodziewanie nie kto inny jak Mamoru.

– Tatuaże? Gdzie?

– Gdzieś na ich czołach. Powinna tam być nazwa kolonii i numer identyfikacyjny – odparł Mamoru, wciąż odwrócony tyłem.

Nieśmiało położyłam dłoń na czole dziwoszczura i odchyliłam jego kaptur. Nawet nie drgnął, niczym wytresowany pies.

– Tu jest.

Przez całą długość jego czoła wytatuowano niebieskim atramentem napis „Trocina 619”¹

– Co to znaczy?

– To musi być oznaczenie kolonii – odpowiedział Shun.

Dziwoszczury mają trzy charakterystyczne cechy, z reguły niespotykane u innych zwierząt.

Po pierwsze, ich nazwa wzięła się od tego, jak wyglądają. Dziwoszczury przypominają bezwłose szczury. Ich ciało ma długość od sześćdziesięciu centymetrów do metra, jednak gdy stoją na nogach, mierzą od stu dwudziestu do stu czterdziestu centymetrów; niektóre osobniki są równie wysokie co przeciętny człowiek.

Po drugie, chociaż ewidentnie są ssakami, to są eusocjalne, podobnie jak mrówki czy pszczoły i żyją w koloniach zarządzanych przez królowe. Odziedziczyły tę cechę po swoim przodku, wschodnioafrykańskim golcu. Małe kolonie liczą około dwie lub trzy setki robotników, ale populacja większych liczona jest w tysiącach, a nawet w dziesiątkach tysięcy.

Po trzecie, dziwoszczury są znacznie bardziej inteligentne od delfinów czy szympanów. Niektórzy mówią nawet, że inteligencją dorównują człowiekowi. Te, które przysięgły posłuszeństwo ludziom

¹ Ang. „Goat” (koza) – odwołanie do „goat fly” – trociniarka czerwica

i utworzyły tak zwane cywilizowane kolonie, podlegają naszej ochronie w zamian za daniny i wykonywanie prac. Takie kolonie otrzymują nazwy różnych owadów.

Na przykład, najsilniejsza z kolonii, której członkowie najczęściej są rekrutowani do prac porządkowych nosi nazwę Olbrzymich Szerszeni. Inne ze skupionych wokół Kamisu 66 kolonii to między innymi: Mrówki Rudnice, Chrysopsy, Ważki, Nasteczniki, Łowiki, Jelonki Rogacze, Śpieszki, Klecanki, Biegacze, Tryszcze, Trociniarki Czerwice, Pływaki Żółtobrzechki, Świerszcze, Błękitne Stonogi, Piewiki, Omacnice, Niedźwiedziówki Nożówki, Ręczyce, Krocionogi i Pająki Krzyżaki.

– Ta „trocina” prawdopodobnie oznacza kolonię Trociniarek Czerwic – powiedział Shun.

– Pewnie wszyscy są wytatuowani bo jest ich zbyt wielu by dało się ich rozróżnić gołym okiem.

– Więc ten koleżka jest robotnikiem z Trociniarek Czerwic...

Trociniarki Czerwice były małą kolonią, liczącą tylko dwustu osobników.

– T-troćniarka cz-czrwica. Troćniarka czrwica. Gigigigigi. Kolnia... Brrrrr. – odpowiedział dziwoszczur, trzęsąc się.

– Chyba jest mu zimno.

– Jest całkowicie przemoczony. A skoro dziwoszczury żyją w norach, to ich temperatura ciała musi być naturalnie niższa – powiedział Shun.

Zostawiliśmy dziwoszczury w spokoju. Obydwa skłoniły nam się, gdy odchodziliśmy. Nieważne ile razy oglądałam się za siebie, za każdym razem pozostawały w takiej pozycji.

– Tak jak myślałam, pozostaje tylko metoda na żuka gnojarka, zgadza się? – spytała Maria.

Działo się to około miesiąca po incydencie z dziwoszczurem.

– To będzie zbyt oczywiste – sprzeciwił się Satoru. – Każda grupa wpadnie na taki pomysł. Poza tym nie da się kontrolować kuli w taki sposób.

Sprzeczałyśmy się nad wielką bryłą gliny leżącą na stole.

– A może by tak zrobić duży pierścień i umieścić kulę wewnątrz niego? W ten sposób przemieścimy ją w toczącym się pierścieniu tam, gdzie będziemy chcieli – powiedziałam, wymachując nogami pod ławką. Pomysł wpadł mi do głowy zupełnie znenacka i wydawał się całkiem niezły.

– Ale może stracić impet w połowie drogi. Poza tym, co, jeśli kula wypadnie z pierścienia? – ponownie zaoponował Satoru.

Już miałam coś mu odwarknąć w odpowiedzi, gdy odezwał się Shun, zwracając uwagę na znacznie ważniejszy problem.

– Ciężko będzie utrzymać pierścień cały czas na ziemi – powiedział. – Zostaniemy ukarani, jeśli choć kawałeczek oderwie się od podłoża.

– Racja... – przyznałam.

– Nie dojdziemy do niczego tylko rozmyślając – zauważyła Maria. – Dlaczego nie wypróbujemy tego w praktyce? W ten sposób dowiemy się, ile gliny możemy wykorzystać do zbudowania popychacza.

Zgodnie z jej sugestią na popychacza przeznaczaliśmy połowę gliny; z pozostałej części stworzyliśmy napastników.

– I to wszystko? – Satoru wyglądał na zawiedzionego.

– Ciekawe, jak ciężka jest kula – rozmyślała Maria.

Shun skrzyżował ramiona i zastanowił się.

– Jest marmurowa, więc zgaduję, że waży ponad dziesięć kilo – odpowiedział.

– Cała glina, którą dysponujemy jest mniej więcej równie ciężka. To znaczy, że popychacz waży najwyżej połowę tego, co kula – westchnął Satoru.

– Ale glina wysycha po wypaleniu, więc znaczy to, że staje się też lżejsza, racja?

– No tak! Więc w takim razie popychacz waży maksymalnie jedną trzecią tego, co kula.

Wszyscy pozostali wciąż wyglądali na zdezorientowanych, ale ja nie umiałam przestać się uśmiechać na myśl, że Shun się ze mną zgodził.

– No to jednak będziemy musieli popychać ją od tyłu – powiedział Mamoru.

– Więc wróciliśmy do punktu wyjścia.

Zawody w toczeniu kuli miały odbyć się za pięć dni. Oznaczało to, że właśnie tyle czasu mieliśmy na przygotowanie generalnej strategii, ulepienie z gliny dobrze spełniających swą rolę popychacza, napastników i obrońców oraz na nauczenie się perfekcyjnego ich kontrolowania.

Objaśnię pokrótce reguły turnieju. W grze biorą udział dwie drużyny – broniący i atakujący. Atakujący toczą wielką, marmurową kulę przez podłużne pole do celu, a broniący starają się ich blokować. Maksymalny czas przewidziany na jedną rundę to dziesięć minut. Zwycięża drużyna, której uda się dopchać kulę do celu w krótszym czasie. Jeśli żadna z drużyn nie zmieści się w dziesięciu minutach, przeprowadza się dogrywkę, w której oba zespoły pełnią jednocześnie rolę broniących i atakujących, a gra toczy się do chwili, aż któraś ze stron zdobędzie punkt.

Podczas meczu można korzystać tylko i wyłącznie z cantusu. Istnieje jeszcze jedna ważna zasada – nie wolno wykorzystywać mocy do zmieniania samej kuli bądź pola gry. Oznacza to, że trzeba mieć pełną kontrolę nad figurami – popychaczem i napastnikami podczas gry w roli atakujących lub nad obrońcami gdy gra się jako broniący. Ponadto figury nie mogą oderwać się od podłoża (gdyby mogły lewitować, to można by było użyć kuli do przejmowania wszystkich uderzeń które mógłby wytrzymać popychacz).

Pole gry, zbudowane na wewnętrznym dziedzińcu szkoły, jest szerokie na dwa metry i długie na dziesięć metrów. Znajdują się na nim miniaturowe piaskowe wydmy i trawiaste łąki, co powoduje, że

samo utrzymanie prostego toru ruchu kuli wymaga solidnego skupienia. Broniący mogą umieścić cel w dowolnym miejscu, jednak nie mogą z nim robić niczego innego – zabronione jest na przykład chronienie go poprzez spiętrzanie gór i kopanie dołów.

Figury muszą mieścić się w limicie wagowym. Dowolny jest za to ich kształt i ilość, jednak im więcej figur pozostaje w użytku, tym trudniej je kontrolować.

Inną ważną regułą jest zakaz dotykania wrogiego popychacza. Gdyby nie ta zasada, to skupiałyby się na nim wszystkie ataki i szybko zostałby on zniszczony, uniemożliwiając przeciwnikom jakiegokolwiek działanie. Immunitet dotyczy jednak tylko jednego popychacza, więc posiadanie większej ich liczby jest niekorzystne, aczkolwiek dozwolone. Większość drużyn pozostaje przy jednym popychaczu.

– To jak? Taki popychacz się nada? – spytał Shun, ocierając błyszczące od potu czoło.

Wszyscy próbowaliśmy zmagistrować coś z gliny, jednak tylko Shun posiadał zdolność formowania jej wedle swojej woli. Dla reszty z nas okazało się to niewykonalne. Ostateczny kształt popychacza przypominał krótki pacholek z płytko uwypuklonym dołem, przypominającym dno łódki – miało to ułatwić mu ślizganie się po polu. Mógł kontrolować kulę za pomocą dwóch rąk odchodzących z przedniej części tułowia pod kątem stu dwudziestu stopni. Wyglądał jak człowiek z rozpostartymi ramionami.

– Jest całkiem niezły. Prosty, ale wygląda fajnie – wyraziła swoje zdanie Maria.

– Więc teraz potrzebujemy już tylko napastników. Skoro Shun skupia się na lepieniu popychacza, powinniśmy podzielić resztę pracy między siebie – powiedział Satoru, korzystając z okazji do rozdzielenia nam zadań.

– Jak sobie radzi grupa pierwsza? – Pan Endou z uśmiechem wściubił między nas głowę. Swojej okrągłej twarzy, otoczonej

wieńcem z włosów i brody zawdzięczał dziwaczne przezwisko Słonecznego Księciunia.

– Właśnie skończyliśmy projektować popychacza – powiedział Satoru, dumnie prezentując figurę.

– Och, wykonaliście kawał dobrej roboty, jak na tak krótki czas.

– Tak, teraz zamierzamy go utwardzić.

– Kto będzie kontrolował popychacza?

– Shun.

– Tak, jak się spodziewałem – pokiwał głową pan Endou. – No cóż, niech pozostali pracują ciężko nad napastnikami.

– Tak jest, proszę pana! – odpowiedzieliśmy wszyscy energicznie.

Później, po burzliwej dyskusji, zdecydowaliśmy się na pięciu napastników. Shun miał kontrolować jednocześnie popychacza i napastnika, a pozostałym przypadło sterowanie jedną figurą.

Tego dnia nikt z nas nie pamiętał już, że grupa pierwsza liczyła kiedyś więcej niż pięciu członków.

W pierwszej rundzie walczyliśmy z grupą piątą. To był łut szczęścia. Krążące plotki głosiły, że najlepsze figury ma grupa trzecia i że to oni są faworytami do wygrania całych zawodów. Ponadto mówiło się, że członkowie drugiej grupy zachowują się podejrzanie.

Runda w papier-kamień-nożyce zadecydowała, że to my zaczniemy jako atakujący. To był nasz pierwszy mecz, więc byliśmy niespokojni o to, jak będą wyglądać obrońcy przeciwników. Okazali się oni być szóstką figur w kształcie muru, przesuwających się nieustannie na boki i blokujących nam całą szerokość drogi.

Skupiliśmy się w krąg, recytując cicho swoje mantry.

– Używają najprostszej taktyki, tak jak myśleliśmy – wyszeptała zachwycona Maria.

– To nie zajmie nawet minuty – zachichotał Satoru zupełnie, jakbyśmy już zwyciężyli.

– Przebijmy się przez środek – powiedział cicho Shun. – Przez obronę tego typu możemy przedostać się w dowolnym miejscu, ale centrum wygląda na najsłabszy punkt.

Gdy nasz popychacz i napastnicy pojawili się na polu gry, na twarzach przeciwników zagościł niepokój.

Popychacz powoli przesunął się na pozycję, ustawiając ramiona za kulą. Napastników ustawiliśmy w uporządkowanym szyku. Trzech tworzyło trójkąt przed kulą a pozostała dwójka chroniła jej boki.

Figury tworzące straż przednią miały kształt piramid o trójkątnej, wydłużonej podstawie, z nosami skierowanymi do przodu. Przypominały papierowe samoloty, ponieważ ziemi dotykała tylko najdłuższa krawędź piramidy; jej podstawa zaś skierowana była w górę. Straż boczną natomiast stanowiły ciężkie figury uformowane w kształt spłaszczonych walców z licznymi wypukłościami na powierzchni. Te ostatnie nie spełniały właściwie żadnej funkcji, ale nadawały napastnikom solidniejszego wyglądu.

– Grajcie uczciwie i współpracujcie ze sobą w drużynach. Wszystko jasne? Życzę wam powodzenia – ogłosił Słoneczny Księciunio, po czym zadał w gwizdek, rozpoczynając mecz.

Straż przednia posuwała się pomału. Popychacz wciąż gromadził energię, więc ciężka kula jeszcze nawet nie drgnęła. Dopóki stała w miejscu, była narażona na ataki; z drugiej strony zbytnie jej rozpędzenie groziło uszkodzeniem popychacza. Taki błąd nie mógł jednak się zdarzyć, zważając na to, że to Shun go kontrolował.

Obrońcy nie mogli zebrać się na odwagę by posunąć się naprzód i w dalszym ciągu przesuwali się tylko bez celu na boki. Kula zaczęła wreszcie powoli się toczyć. Wciąż nabierała prędkości i gnała przez pole, podążając za otwierającymi szarzę napastnikami.

Grupa piąta przejrzała wreszcie nasz plan i w pośpiechu spróbowała zgromadzić w centrum pola wszystkich obrońców, lecz było już na to za późno. Planowaliśmy zmiażdżyć ich jednym ciosem. Napastnicy przebili się przez ciężkie ściany z obrońców, zupełnie jakby były one papierowe. Sekundę później przedarła się przez nie

także marmurowa kula. Wszystko to stało się dosłownie w mgnieniu oka.

W chwili, w której zniszczyliśmy obronę, grupa piąta została pokonana. Kula wleciała wprost na cel, wpadając do dziury z donośnym łomotem. Czas gry wyniósł dwadzieścia sześć sekund, czyli nawet mniej od przewidywań Satoru.

– Szkoda, że bardziej się nie postarali. To nawet trudno nazwać walką – powiedział Satoru.

– Powaga, to było tak, jakby zupełnie nie mieli obrony – zgodził się z nim nawet zazwyczaj małomówny Mamoru.

Gdybyśmy popadli w samozachwyt, sprawy mogłyby przybrać jednak zły obrót.

– Przeciwnicy jeszcze nie mieli szansy ataku – powiedziałam, próbując zmusić drużynę do skupienia. – Jeszcze nie wygraliśmy.

– Właściwie to już pozamiatane, co nie? Jakby na to nie patrzeć, nie ma opcji, by zdołali osiągnąć cel w mniej niż dwadzieścia sześć sekund – powiedział Satoru, wciąż uśmiechając się z wyższością.

– Ale nigdy nie wiadomo co może się zdarzyć. Nie dajmy się im zaskoczyć – powiedział Shun, gdy ustawialiśmy swoich obrońców na pozycjach.

Kiedy ujrzelśmy figury, jakich używała grupa piąta, zamurowało nas. Skoro ich obrońcy byli tak słabi, tego samego spodziewaliśmy się po napastnikach. Na nasze nieszczęście bardzo ich nie doceniliśmy. Jak na dłoni było teraz widać, że przeciwnik stosuje taktykę „wszystko albo nic”.

– Hę? Co to ma być? – spytała Maria niskim głosem. – Cała szóstka wygląda identycznie.

Wszystkie figury były prostokątne i miały wystające ramię, przypominające młot bojowy.

– Wszystkie są popychaczami – wyszeptał Satoru.

Słoneczny Księciunio wziął w ręce jednego z popychaczy i oznaczył go czerwonym kółkiem, wskazując w ten sposób, że właśnie tej figury nie wolno nam atakować.

– Możemy uderzyć w pozostałe, prawda? Więc ten jeden i tak pozostanie bez żadnej ochrony – powiedziałam

– Będzie dobrze, jeśli uda nam się uszkodzić jednego lub dwóch popychaczy. Gdy pchać będzie cała szóstka, nasi obrońcy zostaną zmiażdżeni przez sam impet kuli.

Tak właśnie przedstawiała się sytuacja. Zabrzmiał gwizdek, a kula zaczęła się toczyć, szybko się rozpędzając.

Czwórka naszych obrońców miała kształt klina, ich funkcją było wbicie się od przodu pod kulę, wyhamowanie jej i zepchnięcie z toru. Dwa z nich wyleciały jednak w powietrze zanim zdołały cokolwiek zrobić, uderzone przez rozpędzoną masę.

Pozostała dwójka rozpoczęła pościg za rozstawionymi po bokach popychaczami. Jeden z obrońców zdołał przewrócić popychacza, jednak wciąż pozostała ich piątka, a kula ani trochę nie straciła na prędkości. Poruszała się znacznie szybciej od naszej, więc gdyby osiągnęła cel, oznaczałoby to naszą przegraną.

Naszym asem w rękawie był jednak piąty obrońca, kontrolowany przez Shuna, ustawiony na środku pola. Znajdował się dokładnie na torze ruchu kuli.

– Teraz wszystko w twoich rękach, Shun – krzyknął Satoru.

Obrońca miał kształt cienkiego dysku z wypukłością na spodzie, dzięki której utrzymywał kontakt z podłożem. Gdy tylko kula wtoczy się na niego, natychmiast miał obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni, posyłając ją w kierunku, z którego przybyła. To był genialny pomysł Shuna.

Kula poruszała się naprzód z olbrzymią prędkością. Nie miałam jednak wątpliwości, że Shunowi uda się dobrze wymierzyć czas.

Stało się jednak coś niespodziewanego. Kula napotkała na swojej ścieżce nierówność, przez co wybiła się nieznacznie w powietrze. Shun natychmiast skorygował ustawienie obrońcy, tak, by kula nie przeleciała nad nim. Zamiast tego wylądowała na glinianym dysku, czemu towarzyszył nieprzyjemny odgłos pęknięcia.

Pomimo, że Shun przekreślił obrońcę, nic to nie dało. Kula bowiem odbiła się od niego i kontynuowała ruch po swoim torze.

– Już wszystko stracone... – powiedział Satoru z przygnębieniem.

Przy takiej prędkości kula musiała dotrzeć do celu w czasie bardziej zbliżonym do szesnastu, aniżeli do dwudziestu sześciu sekund. Odwróciłam wzrok, by na to nie patrzeć, lecz właśnie wtedy usłyszałam okrzyk Marii.

– Och! Co się dzieje?

Podniosłam wzrok i moim oczom ukazała się zupełnie bezprecedensowa sytuacja. Kula rozpędziła się tak bardzo, że grupa piąta całkowicie straciła nad nią kontrolę. Jeden z popychaczy przeleciał na przód kuli i został przez nią zmiażdżony, co spowodowało, że siła pchająca kulę została nierównomiernie rozłożona, sprawiając, że zoczyła ona z toru. Rozpędzonej masy nie dało się już zatrzymać. Kula minęła cel w dużej odległości, po czym wyleciała z pola gry.

– Grupa piąta jest niezdolna do dalszej walki. Zwyciężyła grupa pierwsza! – Głos Słonecznego Księciunia brzmiał niczym wołanie z niebios.

– Tak!

– Wygraliśmy pierwszą rundę!

– Grupa piąta sama sobie zaszkodziła. Ich strategia była najprawdopodobniej zbyt ryzykowna.

Zebraliśmy się w krąg, świętując zwycięstwo. Szybko uświadomiłam sobie jednak, że Shun stoi z boku.

– Co się stało? – spytałam.

Shun odwrócił się w moim kierunku, trzymając obrońcę. Wyglądał na przybitego.

– Źle z nim – powiedział. – Jest cały popękany.

– Co?

Wszyscy zebraliśmy się wokół Shuna. Glina była wypalana w wysokich temperaturach, więc powinna być w stanie znieść ciężar

marmurowej kuli. Nikt nie brał jednak pod uwagę, że kula podskoczy i z impetem opadnie na gliniany dysk.

– No cóż. Nie wiemy czy rozegramy jeszcze jeden, czy też dwa mecze. Czy to znaczy, że nie będziemy mogli już użyć tego obrońcy?
– spytała Maria.

– Tak, prawdopodobnie rozpadnie się gdy tylko kula się na niego wtoczy. Nie da się nim zakreślić, zmieniając tor ruchu kuli.

– Więc nie mamy innego wyboru jak użycie tylko czterech obrońców...

Próbowaliśmy znaleźć metodę by temu zaradzić, jednak z braku dobrych pomysłów zdecydowaliśmy się na zrobienie małej przerwy i sprawdzenie, kto będzie naszym kolejnym przeciwnikiem.

Ponieważ było tylko pięć drużyn, nie dało się równomiernie rozmieścić ich w drzewku turniejowym. W Akademii Mędrców radzono sobie z tym problemem w następujący sposób: najpierw losowano dwie pary drużyn, które toczyły ze sobą pojedynki, po czym dwa zwycięskie zespoły ciągnęły słomki. Ta grupa, która miała szczęście, awansowała bezpośrednio do finału, natomiast druga walczyła z zespołem który na początku pozostał nierozstawiony. Wygrany w tym meczu zostawał drugim finalistą. W zależności od szczęścia, w ciągu całego turnieju można było więc stoczyć tylko dwie lub wszystkie trzy walki.

W każdym razie, poszliśmy obserwować pojedynek między grupami trzecią i czwartą. Zgodnie z pogłoskami, trzecia grupa była silna i musieliśmy sprawdzić jak wygląda zarówno ich ofensywa, jak i defensywa. Ich popychacz miał skomplikowany, powyginany kształt, przypominający podkowę. Mógł doskonale kontrolować ruch kuli. Napastnicy przypominali naszych, jednak wyglądali na bardziej dopracowanych. Tym, co nas zadziwiło był sposób, w jaki używali dwóch swoich obrońców, wyglądających jak laleczki *kokeshi*. Między nimi rozpościerała się lina z wilgotnej gliny. Gdy kula wpadła na sznur, owinał się on wokół niej, nie pozwalając jej dalej toczyć się do

przodu. Pomimo, że grupie czwartej udało się ostatecznie dotoczyć kulę do celu, zajęło im to bardzo dużo czasu.

– Są całkiem sprytni, skoro wymyślili coś takiego – przyznał niechętnie Satoru.

– Zrobiliśmy błąd, zakładając, że musimy używać jedynie utwardzonej gliny.

– Wyglądało to, jakby byli całkiem pewni, że są w stanie zapewnić sobie zwycięstwo poprzez sprawienie, że przeciwnik straci wystarczająco dużo czasu.

– Grupa trzecia z pewnością wygra – powiedziała Maria z podziwem, który nieczęsto słyszało się w jej głosie.

Rzeczywiście, pokonali grupę czwartą z dużą przewagą – dwudziestu dwóch sekund do siedmiu minut i pięćdziesięciu dziewięciu sekund. Ciągnęliśmy z nimi słomki – los się do nas uśmiechnął i awansowaliśmy bezpośrednio do finału.

– Wygląda na to, że mieliśmy dużo szczęścia.

– Skoro mamy trochę czasu, pomyślmy nad jakąś dobrą taktyką.

– Potrafisz naprawić dysk, Shun?

– Mój cantus nie jest wystarczająco silny, by wypalić łąty z gliny tak, by całkowicie naprawić dysk. Wszystko, co mogę zrobić to tymczasowo go podreperować.

Podczas gdy Shun, Satoru i ja próbowaliśmy znaleźć jakieś rozwiązanie, Maria i Mamoru poszli obserwować półfinał między grupą drugą i trzecią.

– Tak czy siak, postarajmy się najpierw wypełnić pęknięcia w dysku.

– Możemy dostać glinę na łąty?

Satoru poszedł zadać to pytanie Słonecznemu Księciuniowi. Dowiedział się, że możemy wymienić część swoich figur na ważącą tyle samo glinę. Ponieważ jednak wypalona glina była lżejsza niż wilgotna, ilość materiału jaki mogliśmy otrzymać w wymianie była znacznie mniejsza.

– Nic na to nie można poradzić. Jeden z obrońców i tak został wcześniej uszkodzony, więc wymieńmy go.

Wypełniliśmy ubytki, a Shun utwardził glinę za pomocą swojego cantusu. *Do czego powinniśmy wykorzystać resztę gliny?* – zastanawiałam się. Uformowałam z niej kulkę, a potem spłaszczyłam ją tak, że była cienka niczym kartka papieru. *Zaraz. A gdyby tak...*

– Przestań się tym bawić, Saki – powiedział Satoru.

– Hej, może dzięki temu uda nam się pokonać grupę trzecią.

– Co masz na myśli?

– Przyszło ci coś do głowy? – spytał Shun znad naprawianego dysku.

Przytaknęłam nieśmiało, tłumacząc im swój pomysł.

– To niesamowite! Jesteś genialna!

Komplement Shuna sprawił, że poczerwieniały mi uszy.

– Racja, to strasznie tania sztuczka, ale na pewno nie będą się tego spodziewali – powiedział Satoru. Jak zwykle próbował mi dociąć, ale nie mógł zaprzeczyć, że pomysł jest dobry.

– Powinniśmy tak właśnie zrobić, Satoru. Nie widzę innego sposobu.

– Ta, też tak myślę.

– Nie mamy czasu na przygotowanie niczego innego.

Wszyscy zabraliśmy się za spłaszczanie kolejnego kawałka gliny, po czym połączyliśmy go z tym, który zrobiłam wcześniej. Ponieważ wszyscy zajmowaliśmy się tą samą rzeczą, nie mogliśmy korzystać z mocy i nie pozostało nam nic innego jak wykonanie całej pracy przy pomocy rąk. W chwili, w której skończyliśmy, do sali wpadli Maria i Mamoru.

– Półfinały właśnie dobiegły końca. I stało się coś naprawdę złego.

– Niech zgadnę: walczymy z grupą trzecią? Mamy na nich plan – odparł Satoru, zupełnie jakby to był jego pomysł.

– Nie – odpowiedziała Maria. – Grupa trzecia odpadła. W finale zmierzmy się z grupą drugą.

Rozdział 5

Gdy zmierzaliśmy na dziedziniec, natknęliśmy się na grupę trzecią, która właśnie z niego wracała.

– Byłam święcie przekonana, że to z wami spotkamy się w finale – powiedziałam do Hiroshiego.

– My też. Myśleliśmy, że wygramy – odpowiedział z ubolewaniem. – Gdyby tylko to się nie zdarzyło... – Pokazał przypominającego podkowę popychacza. Brakowało mu dużego fragmentu dolnej połowy.

– Jak do tego doszło?

– Jeden z ich obrońców wpadł na niego przez przypadek – powiedział Hiroshi, gładząc palcem popękane krawędzie figury. – Kula zaczęła się toczyć w złym kierunku i minęła ponad minuta, zanim udało się nam skierować ją ponownie na właściwy tor.

– Ostatecznie zwyciężyła grupa druga wynikiem minuta i trzydzieści sześć sekund do naszej minuty i czterdziestu jeden sekund. To było okrutne, nie uważacie? – Najbardziej zuchwała dziewczyna w klasie, Misuzu, położyła dłoń na ramieniu Hiroshiego i westchnęła.

– To ich wina, że uderzyli waszego popychacza.

– Cóż, to był nieszczęśliwy wypadek, więc nic nie da się z tym zrobić – powiedział Hiroshi niezbyt przekonująco. – Uważajcie – dodał, odchodząc. – Kto wie, co może się zdarzyć w finale.

Usłyszenie czegoś takiego tuż przed meczem było jak pewnego rodzaju wróżba. Wszyscy zaczęliśmy zwracać większą uwagę na to, co się wokół nas dzieje. Gdy natomiast zobaczyliśmy napastnika grupy drugiej, byliśmy bardzo zaskoczeni.

– Porusza się na kole? – wyszeptał z niedowierzaniem Satoru.

– Też myśleliśmy nad czymś takim, ale odrzuciliśmy ten pomysł bo uznaliśmy, że oś ograniczy zwrotność. To naprawdę dziwne. Czy robienie czegoś takiego z gliny nie jest głupim pomysłem?

Shun przyjrzał się napastnikowi, wyrażając wzrok.

– Spójrzcie uważniej. To nie koło, a sfera.

Do dolnej części ciała popychacza przytwierdzona była kula; dało się jednak zobaczyć tylko jej dolną połowę, przez co można było pomylić ją z kołem.

– Wygląda na to, że po prostu przemieszcza się na kuli. Czy on się nie przewróci, gdy zostanie uderzony? – zastanawiał się Satoru. – Powinni chyba całkowicie ukryć kulę.

– Nie, schowali ją na tyle, na ile było to możliwe. W przeciwnym razie do wewnątrz łatwo dostałyby się ziarna piasku, powodując prawdziwą katastrofę. I tak jednak uważam, że dość szybko się zepsuje – powiedział Shun z powątpiewaniem.

– Jeśli piasek unieruchomi to koło-sferę, to po prostu będą musieli go popychać w zwykły sposób, prawda? Prawdopodobnie chcą po prostu ułatwić sobie start, by szybciej przebić się przez naszą obronę – odparła spokojnie Maria.

Nasze wątpliwości zostały rozwiane wraz z początkiem meczu.

– Dwoje z nich...! – wykrzyknęłam zdumiona.

Dwójka asów grupy drugiej, Ryou i Akira, razem sterowała popychaczem. Ryou przypuszczalnie odpowiadał za kontrolowanie ciała, kierując marmurową kulą, podczas gdy zadaniem Akiry było utrzymywanie razem obu części figury oraz usuwanie z drogi wszystkiego, co mogłoby zablokować sferę. Działanie cantusów dwóch różnych osób w tak bliskiej odległości było niebezpieczne, więc większość drużyn unikała sytuacji, w której dwie osoby kontrolują tę samą figurę. W tym przypadku jednak potencjalne korzyści znacznie przeważały nad ryzykiem.

Pomimo, że próbowaliśmy bronić się z całych sił, popychacz precyzyjnie się zryzakiem przez luki między obrońcami. Obrońca Satoru zawrócił w miejscu, rzucając się w pościg za popychaczem, lecz wpadł na powolną figurę Mamoru, wyrzucając ją poza pole gry.

– Uszkodził się – powiedziałam do Shuna z westchnięciem

– Na to wygląda. Ten popychacz to naprawdę coś! Teraz możemy już tylko liczyć na to, że twój pomysł wypali.

Przestaliśmy kontrolować obrońców i stanęliśmy z boku, obserwując dalszy przebieg gry. Widząc to, członkowie grupy drugiej pomyśleli, że się poddaliśmy i triumfalnie pognali naprzód. Nagle jednak zatrzymali się w połowie drogi i zaczęli w osłupieniu rozglądać się we wszystkie strony.

– Co jest? Tu nie ma celu! – krzyknął na nas Manabu.

– Jest – odparł Shun.

– Gdzie?

– Nie musimy wam tego mówić – rzekł zadowolony z siebie Satoru.

– Hej, zatrzymać czas! Coś tu jest nie tak! – uzalał się Manabu.

– Nawet się nie waż – ostrzegła Maria mierzącego czas ucznia z grupy czwartej. – Nie zatrzymuj czasu, dopóki któraś ze stron nie wygra.

– Nie żartuję! Jak niby mamy kontynuować grę, skoro nie ma żadnego celu?

– Jak już mówiłem, cel istnieje – powiedział Shun do wściekłego Manabu.

– Poszukajcie go. Mimo, że trochę wam to zajmie – zadrwił Satoru.

Nawet dla mnie, członka tej samej drużyny, Satoru był wkurzający. Przeciwników musiał z pewnością doprowadzać do szału.

– Tylko marnujemy swój czas, skoro nie ma celu.

– Cel jest. Gdyby go nie było, naruszylibyśmy zasady i przegralibyśmy mecz – odpowiedział cicho Shun.

Manabu podejrzliwie rozejrzył się wkoło. Gdyby udało nam się przeciągnąć tą sytuację jeszcze trochę, straciliby już prawie dwie pełne minuty.

– Ukryliście go, mam rację...? – uświadomił sobie nagle któryś z zawodników.

Pomimo, że rozpaczliwie przeczesywali pole, celu nadal nie było nigdzie widać.

– To oszustwo! – warknął Manabu przez zaciśnięte zęby.

- Nie ma reguły mówiącej, że nie wolno ukrywać celu.
- Owszem, jest! Zmianianie pola gry to poważne przewinienie.
- Cóż, nie zmieniliśmy go w żaden sposób. Potrzebujecie wskazówki? – spytał Satoru.

Szybko się wtrąciłam, obawiając się że coś mu się wymyśli przez nieuwagę.

- Później wam to wytłumaczymy, ale teraz chyba lepiej dla was będzie, jak powrócicie do poszukiwań. Wiecie, czas leci.

Manabu wyglądał na skonsternowanego, jednak ponownie zabrał się za szukanie celu. Nawet, jeśli znalazłby go w tej chwili, stracili już ponad minutę. Istniała też możliwość, że w ogóle go nie znajdą. Cel był idealnie ukryty pod cienkim, glinianym dyskiem wykonanym tak, żeby wyglądał jak piaszczyste podłoże. Krawędź dysku była pokryta piaskiem, podobnie jak płaszczka zakopująca się częściowo w dnie oceanu, by wtopić się w otoczenie. Wbrew temu, co mówił Satoru o braku ingerencji w pole gry, to co zrobiliśmy prawdopodobnie graniczyło już ze złamaniem zasad.

Przez chwilę grupa druga popychała kulę we wszystkich kierunkach, bezowocnie szukając celu. Nagle, szczęśliwym trafem udało im się wtoczyć ją prosto na dysk. Wykonaliśmy go tuż przed meczem, więc nie był dostatecznie wzmocniony i nie mógł utrzymać ciężaru dziesięciokilowej kuli. Przełamał się w połowie, a kula wpadła do dziury.

- Ech, złamał się zbyt łatwo, tak jak się obawialiśmy.
- Ale spełnił swoją rolę. Stracili ponad trzy minuty, więc wygramy bez większych trudności – rzekł z optymizmem Satoru.

Wszyscy daliśmy się porwać jego entuzjazmowi. Nie było możliwości, by obrońcy grupy drugiej byli na tyle silni, by powstrzymać nas przez trzy minuty.

Pewność siebie nie opuściła nas nawet, gdy zmieniliśmy strony i wystawiliśmy swojego popychacza. Byliśmy przekonani, że wszystko jest w porządku, dopóki nie zobaczyliśmy, że grupa druga posyła na nas falę, złożoną z ponad dziesięciu obrońców. Każda osoba

kontrolowała co najmniej dwóch. Atakowali na oślepa, uderzając nieustępliwie w naszych napastników. Jako, że było ich tak wielu, nie byliśmy w stanie powstrzymać wszystkich. Części figur udało się prześliznąć i zmierzały teraz w stronę kuli.

Nawet w obliczu nacierających obrońców, Shun nie przestał spokojnie popychać kuli do przodu. Skoro mieliśmy trzy minuty zapasu, nie było powodów do pośpiechu.

Pomimo, że minęła tylko minuta, przebyliśmy już ponad połowę pola i dobrze widzieliśmy znajdujący się tuż na wprost cel. Grupa druga miała wielu obrońców, ale byli mali i lescy, a ich siła nie była wystarczająca, by uniemożliwić ruch naszemu popychaczowi. Zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki.

W jednej chwili kula zatrzymała się z szarpnięciem, zupełnie jakby była na uwięzi. Shun wyglądał na zaskoczonego. Gdy spróbował silniej pchnąć kulę, stało się coś jeszcze.

Jeden z obrońców nadleciał z boku, prześliznął się obok kuli i wpadł wprost na popychacza. Z donośnym, czystym niczym bicie dzwonu dźwiękiem, kawałki ceramiki wzleciały w powietrze.

Wszyscy wydali zduszony okrzyk. Obrońca wypadł z pola gry i zobaczyliśmy, że lewe ramię naszego popychacza zostało odłamane.

Pomimo, że mecz nie został przerwany, wszyscy z nas, wliczając w to członków grupy drugiej, byli tak zszokowani, że zastygli bez ruchu. Wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby.

Inny obrońca nadleciał z tego samego kierunku co poprzedni i zaczął pchać kulę, która pomału stoczyła się z pola gry.

Kto mógł to zrobić? Spojrzałam na osłupiałe twarze naszych przeciwników i zauważyłam uśmiechniętego od ucha do ucha Manabu. Instynktownie odwróciłam wzrok, czując, że ujrzałam coś, czego nie powinnam była widzieć.

– Ej! Coś ty zrobił, do cholery?! – wrzasnął rozjuszony Satoru. – Ty... Ty właśnie... – próbował kontynuować, jednak nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów.

– To był wypadek. Przykro mi – powiedział Manabu.

– Wypadek? Nie wymówisz się w taki sposób! – wykrzyczała Maria.

– W porządku, zatrzymać czas – oznajmił Słoneczny Księżciu, stając między nami.

Pojawił się w idealnym momencie; prawdopodobnie cały czas skądś nas obserwował.

– To niefortunna sytuacja, ale z powodu nieszczęśliwego wypadku finałowy mecz kończy się remisem – ogłosił.

– Co? Przecież przeciwnicy złamali reguły, prawda? – zaprotestował zaciekle Shun, co jak na niego było rzadkim zachowaniem.

– Nie, to był wypadek. Powiedzmy, że uznamy obydwie drużyny za zwycięzców, w porządku?

Po usłyszeniu tych słów, nikt nie odważył się kwestionować decyzji nauczyciela. Turniej, który dostarczył całej klasie ogromnych emocji, zakończył się w tak niespodziewany sposób.

– Nie wierzę w to! Jestem pewna, że zrobił to celowo! – kipiała z wściekłości Maria. – Nawet grupa trzecia ostrzegała nas, zanim zaczął się mecz.

– Tak, niemożliwe, żeby to był wypadek – zgodził się Mamoru.

– Zaplanował to wszystko – poparł ich Satoru. – Prześlizgnięcie się obok kuli, zniszczenie ręki popychacza – to wszystko było częścią planu. Nie wydaje ci się, Shun?

Shun milczał, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami.

– Że co? Nie mów mi, że mu uwierzyłeś!

Shun potrząsnął głową.

– Nie... Ale myślę o tym, co wydarzyło się wcześniej – odpowiedział.

– Wcześniej?

– Popychacz nagle się zatrzymał, zupełnie jakby uderzył w mur.

– Hę?

– Jesteś pewien?

– Tak. To było coś bardzo dziwnego. I jestem pewien, że na polu gry nie było niczego, co mogłoby go zatrzymać.

Zaniemówiliśmy. Shun miał spośród nas najostrzejsze zmysły i z pewnością nie należał do osób, które zmyśliłyby coś takiego.

W takiej sytuacji, pozostawało tylko jedno wytłumaczenie tego, co się stało. Ktoś wykorzystał swój cantus, by zatrzymać kulę. Pomijając nawet regułę gry, zabraniającą działania mocą bezpośrednio na kulę, ingerencja w działanie cantusu innej osoby była – jak już wspominałam – rażącym pogwałceniem Kodeksu Etyki. Gdy działanie dwóch różnych cantusów nakłada się na siebie, ukazuje się tęczy wzór, a przestrzeń wkoło zostaje zniekształcona, tworząc ekstremalnie niebezpieczne środowisko.

Innymi słowy, ktoś z grupy drugiej nie widział nic złego w naruszeniu najbardziej fundamentalnej z zasad.

Wyobrażenie sobie osoby robiącej coś takiego było tak niepokojące, że wydawało mi się, że ziemia pod moimi nogami zaraz się rozstąpi. Tego dnia wracaliśmy do domów pogrążeni w ciszy. Przypuszczam, że wszyscy byli nadal w stanie szoku. Nawet wtedy nie znaleźliśmy jednak prawdziwej natury tego ukrytego głęboko w naszych wnętrzach strachu.

Podczas wieku dojrzewania nawet najbardziej błahe problemy często wydają się końcem świata. Zmartwienia trapiące nasze młode, naiwne umysły nigdy jednak nie trwają długo; szybko zapominamy o pierwotnej przyczynie niepokoju. Ponadto, dzięki temu podświadomemu mechanizmowi obronnemu, zwanemu niepamięcią, z naszego umysłu, niczym strużka dymu, mogą ulatywać także znacznie istotniejsze kwestie, które mogłyby w nas wzbudzić wątpliwości co do otaczającego nas świata.

Gdy turniej toczenia kuli dobiegł końca, nasza uwaga skupiła się na najważniejszym spośród dorocznych wydarzeń jakie odbywały się w Akademii Mędrców, czyli na letnim obozie. Nazwa ta może się kojarzyć z szczęściem i beztrąską, jednak prawda jest taka, że była to pełna wrażeń, tygodniowa wyprawa, podczas której wraz z drużyną

płynęło się w górę rzeki Tone i spędzało noce pod namiotami – a wszystko to bez żadnego nadzoru dorosłych. Nauczyciel musiał zaakceptować zaplanowaną przez nas trasę podróży by upewnić się, że nie będzie ona kolidowała z planami innych grup, lecz poza tą jedną kwestią nie angażował się w sprawę obozu. Miało to być nasze pierwsze wyjście poza Święta Barierę od czasu wizyty w Świątyni Czystości, więc wszyscy byli tak podekscytowani i poddenerwowani, jakby powiedziano nam, że idziemy odkrywać niezbadaną planetę.

Z każdym dniem byliśmy coraz bardziej nerwowi i zniecierpliwieni; za każdym razem gdy się spotykaliśmy, ktoś miał w zanadru kolejną zasłyszaną plotkę lub historyjkę dotyczącą letnich obozów. Pomimo, że żadna z tych opowieści nie była prawdziwa, ani w żadnym stopniu pomocna w przygotowaniach, kompletnie zaprzątnęły one nasze myśli, odwracając uwagę od trapiących nas zmartwień.

Dlatego też gorzki posmak jaki pozostawiło po sobie niefortunne zakończenie turnieju nie przetrwał długo na naszych językach. Nie pamiętaliśmy o nieobecnej od długiego czasu Reiko Amano i tak samo nie zaprzątał nam głów fakt, że zabrakło nagle wśród nas kolejnego ucznia – Manabu Katayamy.

Fakt, że zignorowaliśmy ich zaginięcie jest oczywiście sam w sobie niezaprzeczalnym dowodem na to, że zręcznie i skrupulatnie manipulowano naszymi wspomnieniami.

– Saki, zacznij wiosłować, jak należy – burknął Satoru już chyba po raz trzydziesty.

– Robię to poprawnie, to ty nie współpracujesz – odparłam, również po raz trzydziesty.

Kanadyjkami sterują pary wiosłarzy, siedzących w rzędzie; jeśli jednak ich ruchy nie są odpowiednio zsynchronizowane, to nawet, jeśli będą wiosłować do końca świata, nie przemieszczą się ani o kawałek. Oznacza to, że Satoru i ja, umieszczeni w jednej łodzi w wyniku losowania, byliśmy najgorszą parą, jaką można sobie wyobrazić.

– Rany, czym tamta dwójka różni się od nas?

Z naszej perspektywy, Maria i Mamoru pracowali w idealnej harmonii. Nawet pomimo tego, że poprzedniego dnia odbyliśmy tylko krótki, dwugodzinny kurs sterowania kajakiem, wyglądali, jakby pływali nim razem już od wielu lat. Jakby tego było mało, Mamoru był w stanie zagospodarować wystarczająco dużo czasu, by móc jednocześnie zabawić Marię, tworząc tęcze z rozpryskującej się piany, którą pozostawiała za sobą łódka.

– Przyjrzyj im się uważnie. Mamoru dopasowuje swoje tempo do Marii. Ten, kto siedzi z przodu nie jest w stanie zobaczyć, co jest za nim, więc to do drugiego wiosłarza należy dostosowanie się do partnera.

– To nie zmienia faktu, że Maria po prostu prawidłowo wiosłuje. Ty za to tylko podziwiasz widoki i zapominasz zupełnie o machaniu wiosłami – Satoru nie przestawał zrędnąć, rzucając pod moim adresem fałszywe oskarżenia.

Wczesnoletni wiaterek, dmuchający znad szerokiej rzeki był cudownie orzeźwiający. Na krótką chwilę puściłam wiosła i zdjęłam kapelusz, pozwalając bryzie, by potargała mi włosy. Ręcznik, owinięty na moich ramionach trzepotał niczym peleryna, odsłaniając przepoconą koszulkę, która mogła w ten sposób suszyć się na wietrze. Gumowa kamizelka ratunkowa, którą na sobie miałam była prawdziwą torturą, jednak było to niezbędne zabezpieczenie.

Brzegi rzeki na całej długości porośnięte były trzciną; można było usłyszeć dochodzący spomiędzy niej szczebiot trzciniaaków zwyczajnych.

Nagle poczułam, jak kajak nabiera prędkości i zaczyna gładko sunąć naprzód. Przez chwilę pomyślałam, że Satoru uświadomił sobie swój błąd i zaczął machać wiosłami wykorzystując pełnię swojej siły. Oczywiście jednak nie była to prawda.

Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam go opartego niedbale o burtę; jedną dłonią podpierał policzek, a drugą, zanurzoną w wodzie, kreślił w niej szlaczek.

– Co ty wyprawiasz? – spytałam poważnie.

– Rzeka jest taka przyjemna – powiedział, spoglądając w górę. – Zupełnie jak ocean, tylko bez całej tej soli – kontynuował, kompletnie nie łapiąc, o co mi chodzi.

– Czy to czasem nie ty mówiłeś, że powinniśmy dostać się tak daleko jak się da bez korzystania z mocy? Już się poddałeś?

– Bądźmy poważni. Moglibyśmy tak zrobić, gdybyśmy płynęli w dół rzeki, ale zbyt ciężko jest wiosłować przeciw nurtowi – stwierdził Satoru, ziewając.

– Właśnie dlatego kompensujemy jego siłę dzięki cantusowi, więc...

– Skoro zamierzasz się z tym fatygować, to czemu od razu nie użyjesz swojej mocy do wprawienia łodzi w ruch? Zresztą, zawsze możemy wiosłować w drodze powrotnej.

Satoru przeszedł już w tryb leniucha, więc dyskusja z nim była bezcelowa. Zamiast tego skierowałam swoją uwagę na okoliczną scenerię. Gdy przyjrzałam się bliżej wspólnej pracy Marii i Mamoru, a także wiosłującemu samotnie Shunowi, mogłam przysiąc, że również ich cantus robił coś więcej ponad samo niwelowanie siły napierającej wody. Wygląda na to, że chodzenie na łatwiznę jest nieodłączną cechą ludzkiej natury.

Shun pomachał nam z brzegu, wskazując swoim wiosłem na trzciny. Dwa pozostałe kajaki zmieniły kurs i podążyły w jego stronę.

– Spójrzcie, to gniazdo trzciniaka zwyczajnego.

Małe gniazdo zostało zbudowane na wysokości piersi, więc gdy wstałam, mogłam do niego zajrzeć prosto z kajaku. Łódka kołysała się na boki; Satoru chwycił za burty, żeby utrzymać równowagę i zerknął na gniazdo.

– Łał, rzeczywiście. Ale czy to na pewno...

Gniazdo miało siedem lub osiem centymetrów średnicy i było podparte trzema grubymi łodygami trzciny. W środku leżało pięć małych jaj w brązowe cętki.

– Czy to na pewno gniazdo trzciniaka...? Równie dobrze może należeć do sianokułki, prawda?

Mówiąc szczerze, nie potrafiłam, i wciąż nie potrafię, rozróżnić ich od siebie. Nazwa sianokułek wzięła się od tego, że budują one swoje gniazda wśród pól srebrzystej trawy, jednak tak naprawdę częściej można je spotkać między trzciniami na brzegach rzek.

– Jest prawdziwe – powiedział Satoru ze swojego miejsca. – Sianokułki muszą budować ich wiele, a poza tym nie opiekują się swoimi młodymi, więc tworzone przez nie gniazda wyglądają na niedopracowane. Widzisz, jak dobrze ukryte jest to gniazdo w miejscu ciężkim do wypatrzenia z góry? Większość z gniazd sianokułek znajduje się w naprawdę odsłoniętych lokalizacjach.

– Poza tym łatwo można to stwierdzić po wyglądzie jego boków – dodał Shun. – Trzciniaki zwyczajnie stają na krawędziach, chroniąc pisklęta, więc brzegi stają się spłaszczone; sianokułki natomiast po ukończeniu gniazda po prostu je porzucają, więc brzegi pozostają ostre. Ponadto trzciniaki czasami używają do budowy własnych piór; nie trzeba tłumaczyć, że próżno ich szukać w gniazdach sianokułek.

Chłopcy często używają imitacji jaj produkowanych przez sianokułki do płatania ludziom rozmaitych figli; nic dziwnego więc, że mieli na ich temat rozległą wiedzę, nawet pomimo tego, że żadne z nas nigdy nie interesowało się szczególnie tymi śmierdzącymi fałszywkami.

Sporządziliśmy krótką, ilustrowaną notatkę na temat miejsca, w którym znaleźliśmy gniazdo, po czym popłynęliśmy dalej, wypatrując kolejnych.

Letni obóz nie składał się tylko z zabawy i gier. Był też częścią praktyki, którą musieliśmy odbyć w ramach nauki o przyrodzie, więc każda z grup musiała prowadzić obserwacje podczas wyprawy i przedstawić ich wynik po powrocie. Nasz temat, „Gatunki okolic rzeki Tone” był dość ogólny. Zanim wyruszyliśmy, odbyliśmy gorącą dyskusję na temat tego, co dokładnie powinniśmy napisać. Gdy jakoś doszliśmy do porozumienia na temat wstępu, co i tak było według

mnie dużym sukcesem, Satoru zaczął, w ramach propozycji dalszego ciągu, opowiadać jedną ze swoich podkoloryzowanych historyjek.

– Bombopsy? – wybuchłam śmiechem. – Coś tak dziwnego nie może istnieć.

– Mówię ci, są prawdziwe – powiedział Satoru z całkowicie kamienną twarzą.

Satoru zawsze reagował w taki sposób gdy ktoś poddawał jego słowa w wątpliwość, więc często śmialiśmy się z jego opowieści, chcąc go wkurzyć. I tak zazwyczaj wierzyliśmy mu tylko po części; tym razem jednak nie był dość wiarygodny nawet na to.

– Pewni ludzie widzieli je ostatnio.

– Na przykład kto? – spytała Maria.

– Nie wiem jak się nazywają.

– Widzicie? Jest tak, jak zwykle. Zawsze zapiera się, że są jacyś świadkowie, ale gdy spyta się go o nazwiska, nagle zaczyna kręcić – powiedziałam triumfalnym tonem, ale Satoru zignorował mnie i kontynuował opowieść. Zastanawia mnie, dlaczego taką frajdę sprawiało mu zwodzenie ludzi.

– Gdybyś usłyszała jego imię, prawdopodobnie wiedziałabyś kto to taki. Powiedział, że spotkał bombopsa u podnóża góry Tsukuba.

– Po co szedł aż pod Tsukubę? – Maria bezkrytycznie uwierzyła w historię Satoru, całkowicie zapominając o tym, że nadal nie znamy tożsamości świadka.

– Robota dla Rady Edukacji, jakiś pomiar albo coś podobnego. To jasne, że nie zdradzają szczegółów dzieciom. W każdym razie, gdy zbliżył się do góry, z jednej z jaskiń ociężale wyszedł bombopies.

Zaczęłam już szukać nieścisłości w opowieści Satoru, gdy nagle odezwał się Mamoru.

– Jak wyglądał?

– Był zbliżony wielkością do zwykłego psa, całkowicie czarny, z pękatym tułowiem. Jego głowa była wielkości ledwie połowy łba normalnych psów a jego brzuch tak bardzo zwisał, że prawie szorował nim po ziemi.

– Czy to naprawdę był pies?

– Kto wie? To możliwe.

– Nie wygląda na to, by były szczególnie groźne – powiedziała Maria.

– To fakt. Lecz kiedy się zezłoszczą, ich ciało potrafi nadać się niczym balon, ostrzegając w ten sposób wrogów, żeby się nie zbliżali. Jeśli jednak są prowokowane w dalszym ciągu, to...

– Nadymają się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu eksplodują, tak? Czy naprawdę według ciebie to nie brzmi głupio? – wtrąciłam się, lecz Satoru natychmiast zmienił taktykę.

– I to właśnie jest problem.

– He?

– Czy to nie zaprzecza kompletnie zdrowemu rozsądkowi? Jeśli chciałbym wkręcić parę osób, wymyśliłbym coś bardziej wiarygodnego, nie sądzisz?

Przyszło mi do głowy parę zastrzeżeń, ale siedziałam cicho. Gdybym coś powiedziała, oznaczałoby to, że zaakceptowałam jego nedorzeczną historię. Mimo tego Satoru i tak najwyraźniej uważał, że ze mną wygrał.

– Słyszałem, że bombopsy są boskimi posłańcami, ale jak dla mnie to tylko zwykłe zwierzęta. Wiele stworzeń próbuje stwarzać pozory większych rozmiarów, gdy zostaną sprowokowane. Bombopsy to tylko skrajny przykład takiego zachowania. Gdy wybuchają, bardzo prawdopodobne jest, że przeciwnik zostanie zabity, albo przynajmniej poważnie zraniony – powiedział.

– I tak to nadal brzmi nedorzeczenie – odezwał się dotychczas słuchający w ciszy Shun.

– Dlaczego? – spytał ponuro Satoru.

– Ponieważ gdyby tak się działo, to czy bombopsy nie ginęłyby wraz ze swoim przeciwnikiem? Wszystkie wymarłyby w mgnieniu oka.

To był prosty, lecz niepodważalny wniosek. Satoru skrzyżował ramiona, udając, że się zastanawia nad problemem, ale byłam pewna,

że nie będzie w stanie niczego wymyślić. Kiedy już zdążyłam utwierdzić się w tym przekonaniu, zaczął nagle mówić, tak jakby konwersacja w ogóle nie została przerwana.

– Hmm... Oprócz bombopsa, ten człowiek spotkał też złego minoshiro.

– Co ma znaczyć to „hmm”? – spytałam, prawie spadając ze swojego krzesła. Halo, a co dalej z bombopsem?

– Ten, o kim mówię wycofał się, gdy zobaczył, że bombopies się nadyma, więc ostatecznie nie doszło do eksplozji. Kto wie, może i tak całe to wybuchanie jest zmyślane – powiedział Satoru, zręcznie, niczym odrzucająca swój ogon jaszczurka, wycofując się z dalszego drażenia tematu. – A później, podczas wspinaczki na górę Tsukuba, napotkał złego minoshiro.

– Czy to to samo co fałszywy minoshiro? – zapytał się Mamoru.

– Tak. Na pierwszy rzut oka wyglądają jak prawdziwe minoshiro, ale gdy się przyjrzeć z bliska, okazują się kompletnie różne.

– Ale dlaczego one są złe? – spytała Maria, marszcząc brwi.

– Ludzie, którzy je spotkali, wkrótce potem umierają.

To było absurdalne.

– Więc jak umarł ten ktoś? Czekaj, on wciąż żyje, mam rację?

– Ale prawdopodobnie już niedługo – odparł Satoru bez mrugnięcia okiem.

Gdybyśmy na tym poprzestali, byłoby tak jak zawsze, gdy Satoru opowiadał swoje bezsensowne historie, jednak Shun wysunął nieoczekiwaną propozycję.

– Czemu nie zbadamy tego w ramach obozowej obserwacji?

– Złych minoshiro? – Byłam kompletnie zaskoczona.

– Ich, bombopsów i innych stworzeń. Rzadko się trafia okazja taka jak ta, więc chcę dowiedzieć się, czy one istnieją, czy nie.

– To brzmi interesująco – zgodziła się natychmiast Maria.

– Czekajcie, czy wy w ogóle wiecie, o czym mówicie? Jeśli spotkacie złego minoshiro, to umrzecie.

Tak, jak się spodziewałam, Satoru z całych sił próbował odwieść nas od tego pomysłu, obawiając się, że jego kłamstwa zostaną obnażone.

– Nikt nie umrze – zachichotała Maria.

– Ale jak chcecie go złapać? Zapomniałem wspomnieć, ale nie działa na nie cantus.

– Co masz na myśli?

Wszyscy odwróciliśmy na niego wzrok. Kto wie, co jeszcze mógł wymyślić w akcji desperacji.

– Uch, nie wiem dokładnie.

– Po prostu to wyjaśnij.

Odpowiedziało nam milczenie.

Satoru w końcu ugiął się, zbombardowany naszymi pytaniami. Temat raportu został tym samym ustalony.

Myśląc racjonalnie, nie było jednak mowy o tym, by dało się spotkać tyle rzadkich gatunków. Zdecydowaliśmy więc, że zachowamy pierwotny, mglisty tytuł: „Gatunki okolic rzeki Tone”, tak, byśmy w razie niepowodzenia poszukiwań mogli napisać o normalnych minoshiro, sianokułkach i innych tego typu rzeczach.

Powróćmy do wydarzeń z obozu.

Nie minęło dziesięć minut od odnalezienia gniazda trzciniaka, gdy znów natknęliśmy się na coś ciekawego.

– Spójrzcie, tam jest jakieś olbrzymie gniazdo – krzyknęłam krótko.

Z jakiejś przyczyny Shun podniósł brwi z powątpiewaniem.

– Wygląda na należące do bączka żółtawego.

– Ta, prawdopodobnie tak jest, sądząc po wielkości – zgodził się Satoru.

Bardzo rzadko zdarzało się, że mieli takie same zdanie na jakiś temat, więc w pewien sposób sprawiło to, że ich opinia wydała się bardziej wiarygodna.

– Ale jest zbudowane dość niedbale.

Trzy łodzie zebrały się wokół gniazda. Znajdowało się ono niżej od tego należącego do trzciniaka, ale niektóre jego części były raczej odsłonięte. Każde zwierzę z wystarczająco bystrym wzrokiem byłoby w stanie dostrzec je z przeciwległego brzegu rzeki.

Shun wychylił się częściowo ze swojego siedzenia i zajrzał do środka.

– Tu jest pięć jajek.

Nasze łodzie zatrzymały się burta w burtę; gdy moje nagie ramię musnęło Shuna, momentalnie poczułam jak serce zaczyna mi szybciej bić. Udałam, że bacznie przyglądam się jajom i gniazdu. Bączki żółtawe są najmniejszymi przedstawicielami rodziny czaplowych, jednak nadal znacznie przewyższają rozmiarem trzciniaka, który wielkością zbliżony jest do wróbla. Gniazdo było prawie dwa razy większe od poprzedniego, a jaja przypominały kurze, choć były nieco mniejsze i miały niebieskawy odcień.

Shun wyciągnął z gniazda jedno z jaj i dokładnie się mu przyjrzał. Po chwili ze zdziwienia opadła mu szczęka.

– O rety, to zdumiewające. Nawet jeśli się tego częściowo spodziewałem.

– Czego?

– Potrzyj je, Saki.

Chwycił jajo dwoma smukłymi palcami, po czym położył je na mej otwartej dłoni. Było przyjemnie chłodne w dotyku, przypominało ceramikę.

– Co jest z nim nie tak?

– Nie rozumiesz? – Złapał kolejne jajo i rzucił nim w Satoru.

Zdziwiło mnie, że tak brutalnie się z nimi obchodzi.

– Hej, co ty wyprawiasz? A co z tymi biednymi pisklętami? – spytałam.

– Ach – uśmiechnął się nieznacznie Shun. – Są fałszywe. Przyjrzyj się uważniej.

Wybrał jeszcze jedno jajo i położył je na pobliskim kamieniu. Zanim zdążyłam mrugnąć, roztrzaskał je uderzeniem wiosła.

Skorupka popękała, uwidaczniając wnętrze, które nie składało się z białka ani z żółtka, a jedynie z cuchnącej, czarnej brei. Jeszcze dziwniejsze było to, że zaczęła z niej wyrastać i rozgałęziać się we wszystkich kierunkach przypominająca poroże struktura.

– Czarcia dłoń. Słyszałaś o niej, prawda?

Właściwie to nie słyszałam. Uszczypnęłam jeden z kolców czubkami palców; wydawał się cienki jak papier.

– Ostrożnie, krawędzie są naprawdę ostre.

We wnętrzu czarnej dłoni znajdują się odchodzące od rdzenia żyłki, nadające jej elastyczność. Tak jak powiedział Shun, była ostra, a brzegi na całej długości miała pokryte kolcami.

– Zazwyczaj pozostaje zwinięta wewnątrz jaja, ale po rozbiciu skorupki zaczyna rozrastać się na zewnątrz.

– Dlaczego?

– Jeżeli jakiś połów albo wąż różańcowy je zje, eksploduje mu w żołądku – odpowiedział zza moich pleców Satoru. – A gdy będzie próbował je wypluć, sprawi tylko, że kolce wbiją się głębiej w ścianę żołądka, rozrywając go od środka. Następnie zawarta w tej czarnej, śmierdzącej mazi trucizna rozleje się po całym ciele węża.

Okropieństwo. Węże różańcowe wyewoluowały w taki sposób, by przystosować się wyłącznie do jedzenia jaj; atakują one gniazda i połykają naraz wszystkie jajka, ale trawią je znacznie później. Nawet ich nazwa wzięła się od tego, jak wyglądają po objedzeniu się jajami. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jak okropny musiały być dla węża rezultat połknięcia kilku takich fałszywek. Te jaja nie zawierały w sobie życia, a pewną śmierć. Wyjęłam notatnik i szybko naszkicowałam fałszywe jajo.

– W Sosnowym Wietrze można znaleźć wiele fałszywych jaj trzciniaków, ale po raz pierwszy widzę sfabrykowane jajko bączka – powiedział Satoru ze zdziwieniem, oglądając jajo w promieniach słońca.

– Ptak, znoszący jaja takiej wielkości musi być w miarę duży, racja?

- Nie. Jest wielkości sianokułki – odparł Shun.
- Skąd wiesz? – Satoru spojrzał pytająco na kolegę.

Shun wskazał ruchem policzka na coś znajdującego się przed nami. To, co zobaczyliśmy, zdziwiło nas. Na wprost naszych oczu, z gęstwiny trzciny, spoglądał na nas mały pyszczek. Stworzonko przypominało czaplę, w dziobie trzymało pęczek ususzonej trawy. Jego twarz pokrywały jednak łuski, oczy były czerwone i pozbawione powiek, a z ich kącików biegły czarne linie, przez co oczywiste było, że nie jest to ptak.

Sianokułka powoli się rozwinęła, wpełzając na grubą łodygę. Większość z tych zwierząt ma ciemnobrązową lub zielono-brunatną barwę, ale ten osobnik był jasnozielony, niczym młody kielek. Pomimo, że jej dziób wyglądał prawie identycznie jak ptasi, łatwo dało się stwierdzić, że reszta ciała nie odbiegała znacznie od jej przodka, kurojada. Właśnie budowała nowe gniazdo zwinnie zbierając do pyszczka okoliczne gałązki. Gniazdo bączka było splecione z trzciny łodyg, natomiast budowane przez sianokułkę bardziej przypominało robotę trzciniaka. Było na tyle podobne, że można było dać się nabrać.

– Te fałszywe jaja mogły nawet należeć do tej sianokułki, ponieważ często budują one kilka gniazd w jednej okolicy.

Spojrzałam na Satoru i ujrzałam, że chowa fałszywki do plecaka. W gnieździe pozostało tylko jedno jajo.

– Co masz zamiar z nimi zrobić? – spytała Maria.

– To na wszelki wypadek. Gdyby nie udało nam się spotkać bombopsa ani złego minoshiro, będą mogły nam posłużyć jako temat do raportu. Imitacje jaj bączka żółtawego są dość rzadko spotykane.

– Ale czy nie zaszkodzimy sianokułce, jeśli je zabierzemy?

– I tak są fałszywe, więc nic nie powinno się stać, jeśli zostawimy tylko jedno. Dopóki gniazdo nie będzie puste, wszystko jest w porządku.

Teoria Satoru brzmiała w porządku, ale gdyby tak było w rzeczywistości, to czy sianokułkom nie wystarczałoby stworzenie

na początek tylko jednego jaja? W każdym razie, pomyślałam, że nie doceniliśmy w pełni przebiegłości tego węża o osobliwym pysku. Strategią przetrwania sianokulek był pasożytyzm lęgowy. Termin ten oznacza, że pasożytniczy rodzic składa jaja w gniazdach innych gatunków. Młode szybko się wykluwają i wypychają z gniazda potomstwo jego gospodarza. Jest to według mnie najokrutniejsza rzecz jaką robią zwierzęta, aby przeżyć. W Afryce żyje gatunek ptaka, zwany miodowodem; jego potomstwo wykluwa się z haczykami na dziobach, które służą im do zabijania piskląt ptaka-gospodarza.

Zgodnie z „Historią naturalną Nowych Wysp Japońskich”, przed tysiącem lat pasożytami lęgowymi były tylko niektóre gatunki kukulek. W dzisiejszych czasach jednak, w samej okolicy naszego miejsca zamieszkania, choć żyją też zwierzęta wychowujące swoje młode, to jednak dominuje strategia poszukiwania gniazd do podrzucenia jaj. Świat ptaków jest jedną, nieskończoną walką o przetrwanie.

Sianokulki budują swoje przekonywujące fałszywe gniazda i jaja, czekając aż jakiś ptak wpadnie w pułapkę. Co jakiś czas zagląдают do nich, sprawdzając, czy czeka tam na nie nowa ofiara.

Przypomniałam sobie model anatomiczny szkieletu sianokulki, który stał w naszej sali biologicznej. Ich przedogonowe kręgi są grubsze niż u innych węży i przypominają rząd trzonowców – dzięki temu sianokulki mogą miażdżyć jaja. Pozostałe po zgniecionym jaju fragmenty skorupki węże te wykorzystują jako materiał do tworzenia swoich fałszywek. Jaja, które same składają się za to, z powodu zawartości dużej ilości wapnia, bardzo twarde, podobnie jak ptasie. Stąd też młodym sianokulkom potrzebne są dzioby aby mogły się z nich wydostać.

Do tamtego dnia nie zdawałam sobie jednak sprawy, że wykorzystują one też czarcia dłoń jako broń przeciwko położom i węzom różańcowym. Możliwe, że usnęłam na lekcji, gdy nauczyciel o tym opowiadał.

Być może stwierdziłam to już po fakcie, ale zdaje mi się, że w tamtym momencie czułam się nieco niekomfortowo. To był rzeczywisty dowód istnienia opisywanej w książkach adaptacji i selekcji naturalnej. Poprzez ewolucję mogą powstać nawet takie rzeczy jak czarcia dłoń – a to wszystko w celu przetrwania.

Wszystkie te wątpliwości i obawy zostały jednak zdmuchnięte przez relaksujący wiaterek, gdy tylko ponownie wyruszyliśmy w górę rzeki Tone.

Gdy dzień zaczął zbliżać się ku końcowi, skierowaliśmy kajaki w kierunku brzegu i zeszliśmy na ląd. Na piasku wciąż można było dostrzec ślady, jakie pozostawiła po sobie grupka, która była tu przed nami.

Pierwszym zadaniem do wykonania było rozbicie namiotów. Wykopaliśmy dziury na tworzące szkielet konstrukcji tyczki i rozpięliśmy na nich płótno, przywiązując je za pomocą skórzanych rzemyków. To była zdumiewająco męcząca praca. Najłatwiejszym sposobem na wykonanie zadania okazała się metoda, która polegała na tym, że jedna osoba utrzymywała lewitujące w powietrzu tyczki i płachty materiału, podczas gdy ktoś inny ustawiał je w prawidłowej pozycji.

Następnie trzeba było przygotować coś do jedzenia. W łodziach mieliśmy ponad trzysta kilogramów zapasów, więc nie narzekaliśmy na brak prowiantu. Zebraliśmy trochę leżących w okolicy suchych gałązek i chrustu a następnie przy pomocy cantusu rozpaliliśmy ognisko. Później umieściliśmy w garnku oczyszczoną wodę, ryż, warzywa, mięso, tofu i inne składniki na ryżowy kleik. Jedynymi przyprawami, jakie mieliśmy były sól i miso, ale mimo tego wszyscy tak zgłodnieli, że cała zawartość naczynia została pochłonięta w mgnieniu oka. Podczas gdy jedliśmy, zaszło słońce.

Siedzieliśmy wokół ogniska, rozmawiając. Ta scena jest wciąż silnie wypalona w moich wspomnieniach. Po całym dniu pracy byłam zmęczona, a unoszący się z ogniska dym sprawił, że zaczęły mi łzawić oczy. Była to nasza pierwsza duża przygoda poza Świętą Barierą,

więc byliśmy bardziej pobudzeni niż zwykle. Gdy barwa nieba przeszła z jasnoblękitnej do granatowej, na naszych twarzach pojawiła się czerwona poświata, rzucona przez płomień ogniska.

Mówiąc szczerze, nie pamiętam pierwszej części naszej konwersacji. Jestem w stanie dokładnie sobie przypomnieć nasze codzienne rozmowy, jednak bardziej interesujące tematy, które omawialiśmy nocami wciąż mi umykają. Jest zupełnie tak, jakby i te wspomnienia zostały wymazane.

Tamtego dnia tym, co całkowicie pochłaniało moją uwagę, był siedzący po przeciwnej stronie ogniska chłopiec.

– Nigdy wcześniej tego nie widziałaś, prawda, Saki? – powiedział niespodziewanie Satoru.

Nie wiem właściwie o czym mówił i czego miałam niby wcześniej nie widzieć. W każdym razie, odpowiedziałam niezobowiązująco.

– Och, kto wie.

– Hę? Czyli jednak widziałaś?

Nie miałam innego wyboru, jak potrząsnąć głową.

– Widzisz, to niemożliwe – zapewnił Satoru.

Chciałam mu zaprzeczyć, ale skoro nie wiedziałam o czym w ogóle mówi, nie mogłam tego zrobić.

– Otóż tak! – Z jakiegoś powodu Satoru nagle strasznie się podekscytował. – Całkiem niedawno również ja i Shun zobaczyliśmy to po raz pierwszy, prawda?

Zobaczyłam przez płomień jak Shun przytakuje. Nie pamiętam kiedy ta dwójka tak bardzo zbliżyła się do siebie.

– To musi być coś ważnego, skoro jest tak dobrze chronione.

– Na to wygląda. W każdym razie, nie wydaje mi się by ktokolwiek z nas mógł to zobaczyć podczas nauki w Szkole Harmonii – powiedział Shun swoim spokojnym głosem, nieznacznie się uśmiechając. – Zaraz za drzwiami jest mur, więc nawet po ich otwarciu nie można zobaczyć wewnętrznego dziedzińca. Poza tym,

nauczyciele zawsze są bardzo uważni podczas otwierania i zamykania wrót.

Czy to miało znaczyć, że udało im się dostać na dziedziniec? Byłam zaskoczona ich odwagą. Wewnętrzny dziedziniec był kwadratem, otoczonym ze wszystkich stron budynkiem Akademii, podobnie jak ten w Szkole Harmonii. Uczniom nie zakazywano wprost wchodzenia tam, ale nie wychodziły na niego żadne okna i z reguły nikt i tak nie miał szczególnych chęci by wyjść na dziedziniec.

– Ale dwa razy zdarzyło mi się zobaczyć, jak Słoneczny Księciunio otwiera drzwi. Obraz tych wszystkich zamków wrył mi się w pamięć.

Jak mogą wyglądać zamki do drzwi za tysiąc lat? Trudno mi sobie to wyobrazić. Kiedyś były to po prostu kawałki metalu z nacięciami, ale w miarę upływu czasu stawały się coraz bardziej wyrafinowane, jak mechanizmy w zegarkach. W naszej epoce jednak bardzo niewiele miejsc trzeba zamykać na klucz, więc budowa zamków ponownie stała się bardzo prosta.

Po wewnętrznej stronie drzwi znajdował się tuzin niewielkich, promieniście ułożonych zamków. Nie dało się ich zobaczyć z zewnątrz, więc aby otworzyć drzwi trzeba było mieć obraz ich ułożenia, albo po prostu pamiętać ich rozmieszczenie a następnie odblokować je używając cantusu.

– A później stałem na czatach, podczas gdy Shun odblokowywał drzwi. Wślizgnęliśmy się do środka i zamknęliśmy wrota za sobą. Wstrzymując oddech, ruszyliśmy w kierunku drugiego muru. – Satoru przerwał w celu zwiększenia dramaturgii, rozglądając się po nas.

– I co tam było? – spytała Maria.

– Zgadnij – uśmiechnął się Satoru.

– Chyba nie powiesz, że znowu groby, podobnie jak w Szkole Harmonii? – zapytałam.

– Co? To tam były groby? – Mamoru, który nie znał tamtej historii, szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

– Nie było. To tylko historia którą słyszałam.

– Przestań już próbować być taki tajemniczy. Co było na tym dziedzińcu?

– Właściwie to samo co widziałem w Szkole Harmonii – odpowiedział Shun. – Parę roślin, nie licząc których dziedziniec był zupełnie pusty. A na przeciwległym końcu stał rząd pięciu ceglanych magazynów z ciężkimi, drewnianymi drzwiami.

– Zajrzeliście do nich? – spytała Maria.

– Mieliśmy taki zamiar, ale zawróciliśmy – odparł Satoru.

– Czemu?

– Cokolwiek było w środku, straszliwie cuchnęło, więc nie mieliśmy ochoty ich otwierać.

Satoru zazwyczaj opowiadał kompletnie przerysowane historie, okraszone toną zbytecznych szczegółów, więc tak mglista opowieść z jego ust sprawiła tylko, że bardziej się zainteresowaliśmy.

– Co to był za smród?

– Naprawdę ostry zapach. Trochę jak amoniak.

– Więc masz na myśli, że to były tylko toalety?

Satoru nie odpowiedział na mój dowcip.

– Nie, nie wydaje mi się. Nie jestem pewien, ale myślę, że słyszałem też dochodzące z wnętrza głosy – powiedział Shun.

– Co to były za głosy? – spytałam, pomimo, że zaczynałam się coraz bardziej bać.

– Nie wiem, ale brzmiały mi na odgłosy zwierząt.

To musiała być opowieść, która miała nas przestraszyć. Pomimo, że to wiedziałam, i tak poczułam jak po plecach przechodzą mi ciarki. Przez resztę nocy nie poruszyliśmy już tego tematu.

Skoro następnego dnia musieliśmy wstać o świcie, powinniśmy już iść spać, lecz wszyscy mieli ochotę na jeszcze trochę przygód. Znienacka Mamoru zasugerował nocny spływ kajakami. Maria natychmiast przyklasnęła tej propozycji.

Na początku obawiałam się nieco wiosłowania po rzece jedynie w świetle gwiazd. To instynktowna obawa przed niemożnością zobaczenia najbliższego otoczenia.

Jeszcze gorzej byłoby jednak, gdybym została samotnie w obozie, więc zdecydowałam się dołączyć. Ciągnęliśmy słomki, by wybrać osobę która nie popłynie i będzie pilnować ogniska. Gdyby bowiem ogień zgasł, zagubilibyśmy się w ciemnościach.

Zapomniałam wspomnieć, że nazwaliśmy swoje kajaki. Mój i Satoru nosił imię Sakuramasu 2, Marii i Mamoru – Hakuren 4, a Shuna – Kamuruchi 7.¹ Oznaczyliśmy patyczki do losowania ostrym końcem żółędzia i wybraliśmy po jednym. Shunowi i mi przypadł Hakuren 4, a Maria z Mamoru mieli płynąć Sakuramasu 2. Pechowo dla Satoru, pozostała mu rola strażnika obozu.

– To jakiś kant – narzekał Satoru. Nigdy nie wiedział kiedy przestać. Zawsze twierdził, że ostatni los jest najszczęśliwszy i tak to właśnie się skończyło. – Można było zobaczyć, który jest inny, gdy zajrzało się do puszki!

– Pewnie, ale nikt tam nie zaglądał – odparła ze spokojem Maria.

Tak naprawdę nie trzeba było nawet tego robić. Jeśli się skoncentrowało, dało się wyczuć, że nieoznaczony patyczek układa się trochę inaczej niż te oznaczone.

Gdy opuszczaliśmy obóz, Satoru siedział naburmuszony obok ogniska.

– Nie patrz na płomienie – powiedział Shun.

– Dlaczego?

– Nikt ci tego nie mówił? To pierwsza zasada spływów kajakowych. Musisz jak najszybciej przyzwyczaić oczy do ciemności, bo inaczej nie będziesz w stanie niczego dostrzec.

Shun wsiadł pierwszy do łodzi i obrócił się, pomagając mi do niej wejść. Poczułam, jak moje serce dostaje skrzydeł i zapomniałam zupełnie o obawie przed zagubieniem się na ciemnej rzece.

¹ Nazwy pochodzą od ryb. Sakuramasu – gatunek łososia, hakuren – tołpyga, kamuruchi – Channa argus, słodkowodna ryba okoniokształtna z rodziny żmijogłowych.

Kajak w ciszy sunął przez mroki nocy.

To, że nie mogliśmy niczego dostrzec sprawiło, że obawialiśmy się używać mocy, więc pozostało nam chwilowo ręczne wiosłowanie.

Ciężko było cokolwiek zobaczyć, nawet gdy już mój wzrok przyzwyczał się do ciemności. W wodzie rzeki odbijały się jedynie migocące światła gwiazd, a wszystko wokół było zupełnie czarne. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był cichy chlupot wody pod naszymi wiosłami

– Jest zupełnie, jakbym śniła – westchnęłam. – Płynąc w takich warunkach, ciężko ocenić prędkość.

– Łatwo to zrobisz, jeśli włożysz dłoń do wody – powiedział Shun zza moich pleców.

Odłożyłam wiosło i wsunęłam palce do wody, wyczuwając między nimi wartki prąd rzeki.

Z dużej odległości przed nami, usłyszałam niesiony echem śmiech Marii. Z powodu ciszy nocy albo dzięki stojącej w bezruchu wodzie, dźwięk niósł się znacznie dalej niż za dnia.

Shun przestał wiosłować i odłożył wiosło na dno łodzi.

– Co się stało? – spytałam.

– Gdy wiosłujesz, zawsze wzburzasz wodę, prawda...? – Wyglądało na to, że przygląda się powierzchni wody.

Odwróciłam się i ujrzałam światło ogniska. Przebyliśmy już duży dystans w dół rzeki.

– Racja, ale na rzece i tak zawsze będzie trochę fal.

Shun wyszeptał swoją mantrę.

– Gotowa? Zaraz wygładzę powierzchnię – powiedział.

Puls rozszedł się od naszej łodzi, usuwając wszystkie fale.

– Och, to jest niesamowite!

Wyglądało to zupełnie, jakby woda zamarzła. Każda niedoskonałość powierzchni została wygładzona, nadając jej wygląd wypolerowanego szkła, ogromnego lustra odbijającego wszystkie gwiazdy nocnego nieba.

– Przepiękne. To jakbym była w kosmosie.

Aż do śmierci będę pamiętać tamtą noc. Hakuren 4 nie płynął już po rzece. Sunął po Drodze Mlecznej.

Wiatr przyniósł ze sobą płynący z oddali głos. To był Satoru. Gdy się obejrzałam, ledwo byłam w stanie dostrzec ogień.

– Powinniśmy wracać? – spytał Shun.

Potrząsnęłam w ciszy głową. Chciałam pozostać tu jeszcze przez chwilę. Tu, wraz z Shunem, w tym idealnym świecie.

Nasz kajak dryfował przez rozgwieżdżone niebo. Odchyliłam się, podpierając się prawą dłonią i rozkoszując widokiem.

Po chwili poczułam dotyk dłoni Shuna, jego smukłe palce zetknęły się z moimi. Pragnęłam, by czas się zatrzymał. Tylko Shun i ja, połączeni w taki sposób na zawsze.

Nie wiem jak długo tak siedzieliśmy. Tym, co przywróciło mnie do rzeczywistości był dobiegający z bardzo daleka głos Satoru. Najwyraźniej zaczął panikować, ponieważ nikt z nas nie wracał.

– Wracajmy – powiedział Shun.

Tym razem przytaknęłam. Zostawienie Satoru samego na dłużej byłoby podłe. Obróciliśmy łódkę. Shun, wykorzystując cantus, pchał nas z powrotem w górę rzeki, a gwiazdy rozproszyły się w falach.

Gdy osiągnęliśmy zadowalającą prędkość, ogarnęło mnie uczucie niepokoju.

Jak szybko właściwie się poruszamy?

Rzeka i jej brzegi stopiły się w mrok, sprawiając, że stałam się zupełnie niezdolna do rozpoznania jakichkolwiek elementów otoczenia. W sytuacjach, gdy zawodzą zmysły, nawet posiadanie boskiej mocy pod postacią cantusu nie może rozwiązać niepokoju.

Wtedy właśnie przyszła mi do głowy pewna wątpliwość.

Czy gdybyśmy utracili któryś ze zmysłów, to moglibyśmy nadal korzystać z mocy?

I, dalej idąc tym tropem, rodzi się kolejne pytanie.

Dlaczego w całym dystrykcie nie ma nawet jednej osoby, która utraciłaby wzrok lub słuch?

Rozdział 6

Z „Historii naturalnej Nowych Wysp Japońskich” można dowiedzieć się, że wielu historyków, biologów i lingwistów przez lata głowiło się nad pochodzeniem nazwy „minoshiro”. Udało im się opracować kilka interesujących teorii.

Stara, powszechnie uznawana koncepcja mówi, że określenie to wzięło się od tego, że istoty te zdają się nosić płaszcze przeciwdeszczowe.¹ Książka nie tłumaczy jednak o jaki rodzaj płaszcza chodzi. Osobiście również nigdy się z nimi nie zetknęłam, więc nie mam pojęcia na ile trafne jest to wyjaśnienie.

Kolejna teoria również częściowo opiera się na wyglądzie sylwetki minoshiro, mającej sprawiać wrażenie przyodzianej w pelerynę, a częściowo na białym kolorze tych stworzeń, związanym z wierzeniami, że ich ciała są domem dla dusz zmarłych.² Innym prawdopodobnym źródłem ich nazwy jest fakt, że choć są zazwyczaj istotami lądowymi, to w celu złożenia jaj powracają do mórz.³ Później rozwinięto tę teorię, zauważając podobieństwo skupisk czerwonych i żółtych jaj minoshiro, składanych między wodorostami i koralowcami, do ornamentów zdobiących podwodny pałac Boskiego Smoka.⁴

Inne, nieoficjalne wyjaśnienie mówi, że nazwa minoshiro wzięła się od tego, że w obliczu zagrożenia ich ogony unoszą się i stają na sztorc, co przypomina shachihoko⁵, umieszczane w zamierzchłej przeszłości na zamkowych dachach. Określenie wzięło się od zamku w Mino, jednak późniejsze badania wykazały, że ornamenty te

¹ 蓑代衣 (minoshirogoromo) – „zamiennik słomianego płaszcza przeciwdeszczowego”.

² 蓑白 (minoshiro) – „słomiana peleryna/płaszcz przeciwdeszczowy” + „biał”; inny zapis: 霊の代 (minoshiro) – „zamiennik dusz”.

³ 海の社 (minoshiro) – prawdopodobnie oznacza „sanktuarium oceanu”.

⁴ Ryūjin (jap. 龍神 Boski smok) – władca mórz i oceanów w mitologii japońskiej. Mieszkał w znajdującym się na dnie morza Ryūgū-jō (jap. 龍宮城 Smoczy Pałac).

⁵ Shachihoko (鯨鯨 lub 鯨) – mityczne zwierzę z tygrysią głową i ciałem karpia. Według wierzeń, miały zdolność przywoływania deszczu, więc często przyozdabiano dachy zamków i świątyń ornamentami w ich kształcie, co miało chronić budynki przed pożarami.

znajdowały się w zamku Nagoya, leżącym w sąsiedniej prowincji Owari. Po tym odkryciu teoria ta straciła na znaczeniu.

Istnieje też wiele historii, sugerujących, że człon „-shiro” to skrócone imię Shirou. Ponieważ Shirou był wzrostu zaledwie nieco ponad metra, nazwano go Minoshirou („mino” oznacza trzy szerokości sukna standardowych rozmiarów, co daje około 108 centymetrów). Inna legenda mówi, że pewnego razu spotkał on przypominającego węża stwora z licznymi mackami, co również zaowocowało nadaniem mu przezwiska Minoshirou¹. Wszystkie te opowieści są bardzo różnorodne i ciężko traktować je jako wiarygodny punkt odniesienia.

Pozostając przy kwestii Shirou, kolejna ze starych ludowych przypowieści mówi, że został on przeklęty przez białego węża i zamieniony w minoshiro. Reszta szczegółów tej historii zaginęła w mrokach dziejów, więc nie da się udowodnić jej autentyczności.

Osobiście twierdzę, że każda z wersji jest prawdopodobna. Etymologia określenia „minoshiro” jest przynajmniej znacznie prostsza do zrozumienia od pochodzenia nazwy ropuch, które w olbrzymich ilościach zamieszkują okolice góry Tsukuba. W książce jest napisane na ich temat, że „używają mocy do chwytania i pożerania insektów”. Któż mógłby dać wiarę stwierdzeniu, że ropuchy posiadają cantus?

Kolejną ze spowijających minoshiro tajemnic jest brak jakichkolwiek wzmianek o nich w większości starożytnych tekstów. Co prawda duża część dzieł sprzed ponad tysiąca lat jest zakazana, lecz w dostępnych tekstach i tak nie da się odszukać słowa „minoshiro”. To oznacza, że ich odkrycie nastąpiło w ciągu ostatnich kilku setek lat; nie do pomyślenia jednak jest, by w tak krótkim czasie mógł wyewoluować zupełnie nowy gatunek.

¹ Słowo „wąż” można zapisać jako 𪛗 (mi), więc Minoshirou oznaczać może „wężowy Shirou”. Prawdopodobnie wspomnianą wężową istotą jest Orochi – legendarny potwór z japońskiej mitologii o ośmiu głowach i ośmiu ogonach.

Tak właściwie, nie dotyczy to tylko minoshiro. W okresie dzielącym cywilizację sprzed tysiąca lat i dzień dzisiejszy, nastąpiło masowe wymieranie zwierząt. Wyginięcie wszystkich dawnych gatunków było czymś nietypowym, ale nie zupełnie niespodziewanym; tym, co zdumiewało, było nagłe pojawienie się minoshiro i setek innych stworzeń, zupełnie jakby zmaterializowały się one z powietrza.

Jedna z hipotez próbująca wyjaśnić to zjawisko zaczęła ostatnio zyskiwać na popularności. Mówi ona, że napędem dla ich ewolucji była zbiorowa podświadomość ludzkości.

Ta teoria wydaje się jednak zbyt daleko posunięta. Niedawno udało się ustalić, że minoshiro wywodzą się bezpośrednio od gatunku ślimaka morskiego, zwanego *indica nudibranch*, żyjącego w okolicach regionu Boso. Pomimo, że trudno sobie wyobrazić, jak trzydziestocentymetrowy ślimak morski może wyewoluować w coś tak dużego jak minoshiro, to spoglądając na ich przypominające przeciwdeszczową pelerynę, odstające skrzela, nie sposób nie przyznać, że istnieje definitywne podobieństwo. Ponieważ ślimak morski rzeczywiście jest przodkiem minoshiro i dzieli z nim nazwę¹, dostajemy dowody podpierające pierwsze dwie z wcześniej wspomnianych teorii. Myślę jednak, że wciąż potrzebne są dalsze badania tej kwestii.

Opisuję to wszystko po to, by dało się zrozumieć następną część mojej opowieści o letnim obozie. Kiedy dojdę do momentu spotkania fałszywego minoshiro, niezbędne będzie, by wiedzieć, jak wyglądały prawdziwe stworzenia tego gatunku.

Ponieważ minoshiro nie istniały przed tysiącem lat, możliwe jest, że nie będą istnieć również gdy minie kolejne tysiąclecie. Dlatego też, mimo mnogości literatury o tematyce minoshiro, chcę je opisać również tutaj.

Ich długość waha się od kilkudziesięciu centymetrów do jednego metra, najmniejsze są rozmiarów gąsienicy, podczas gdy duże

¹ W obu nazwach występuje kanji „mino”, oznaczające słomianą pelerynę przeciwdeszczową.

osobniki są długie jak stonoga. Na głowach posiadają duże macki w kształcie litery „Y”, zakończone dwiema mniejszymi parami czułków. Ich oczy są niewielkie i pokryte skórą, więc przypuszcza się, że są w stanie wykrywać jedynie zmiany natężenia światła. Minoshiro mają krótkie odnóża, przypominające te spotykane u stonóg czy gąsienic (ta cecha odróżnia je od ślimaków) i potrafią poruszać się z dosyć dużą szybkością. Ruch ich licznych kończyn przypomina maszerującą armię. Na ich grzbietach znajdują się kolorowe, półprzezroczyste, przypominające kolce wypustki o świecących zakończeniach.

Minoshiro są wszystkożerne i odżywiają się głównie mchem, porostami, grzybami, różnorodnymi owadami i nasionami. Są odporne na toksyny i potrafią oddzielać je od pokarmu oraz magazynować w ciele. Z tego powodu minoshiro pośrednio przyczyniają się do uzdatniania gleby. Ich ciała przyjmują także określone kolory, w zależności od ostatnio spożytego pokarmu. Najłatwiej jest zaobserwować to zjawisko, gdy zjedzą mech, który sprawia że przybierają żywozieloną barwę. Podobne zjawisko cechuje też ślimaki morskie, po tym jak najedzą się ukwiałów.

Kiedy minoshiro znajdzie się w zagrożeniu, stroszy kolce i grzechoce nimi, aby odstraszyć drapieżcę. Jeśli napastnik nie zaprzestanie ataku, zostaje ugodzony kolcami wypełnionymi zabójczą trucizną. Rzeczą wartą wzmianki jest, że minoshiro nigdy nie zachowują się w taki sposób w stosunku do ludzi.

W obrębie gatunku wyróżnia się olbrzymie minoshiro – rzadki rodzaj, charakteryzujący się dwumetrowym, pokrytym srebrzystą szczeciną ciałem, czerwone minoshiro o półprzezroczystych, czerwonych ciałach, błękitne minoshiro, których końcówki czułków są zabarwione na niebiesko, tęczowe minoshiro, odbijające światło niczym chrząszcze bogatki, o ciałach pokrytych miniaturowymi włoskami, podobnymi do łusek tworzących pył, znajdujący się na skrzydłach motyli oraz wiele innych podgatunków.

Wielkość i wyjątkowo nieprzyjemny smak minoshiro, powodowany przez nagromadzoną w ich organizmach truciznę sprawia, że praktycznie nie mają one naturalnych wrogów. Jedynymi polującymi na nie drapieżcami są kraby tygrysie, czające się na piaszczystych plażach. Większość z przypadków ataku krabów tygrysiich na minoshiro wydaje się mieć miejsce podczas ich corocznej wędrówki do morza w celu złożenia jaj.

Żeby wszystko było w pełni jasne, pozwolę sobie omówić pokrótce również kraby tygrysie. Są to brutalne, mięsożerne zwierzęta, wywodzące się od krabów portunikowatych, posiadające ostre pancerze o kształcie diamentu i szerokości od czterdziestu pięciu centymetrów do nawet metra i dwudziestu centymetrów. Mają piaskową barwę, dzięki której zlewają się z otoczeniem. Ich uzbrojenie stanowią duże szczypce, trzy kolce wystające z głowy oraz ząbkowane przednie krawędzie pancerzyka. Tylne odnóża tych zwierząt są przystosowane zarówno do pływania, jak i do zagrzebywania się w dnie. Tygrysie kraby są w stanie wyskoczyć z piasku nawet na dwa metry w górę, by pochwycić ofiarę. Są dość często spotykane w okolicy plaży Hasaki, ale można je znaleźć również na łąkach, w lasach i w górach. Jedzą praktycznie wszystko – od żab, jaszczurek, węży i małych ssaków, po morskie ptaki i wyrzucone na brzeg oceaniczne zwierzęta, jak delfiny czy walenie. Ich ciężkie skorupy są w zasadzie niemożliwe do przebicia, jednak podczas starcia dwóch krabów walka trwa aż do śmierci którejś ze stron, a zwycięzca często pożera rywala. Pomimo swojej brutalnej natury, nie są uznawane za zagrożenie dla człowieka.

Mówi się, że minoshiro mogą odrzucać części swojego ciała, by móc uciec krabom tygrysim. Potrafią też robić inne interesujące rzeczy, których nie miałam jeszcze okazji zobaczyć.

Jeśli chodzi o pierwszą z wspomnianych umiejętności, całkiem niespodziewanie miałam okazję ujrzeć jej wykorzystanie na własne oczy. Działo się to wczesnym latem, rok przed tym, jak ukończyliśmy Szkołę Harmonii.

– Saki, spójrz, tam! – zawołała cicho Maria.

– Co to jest?

Siedzieliśmy na niewielkiej, otoczonej przez zarośla polanie, z której rozpościerał się widok na plażę. Często chodziliśmy tam w dwójkę po lekcjach, jeżeli dopisywała pogoda.

– Krab tygrysi schwytał minoshiro...

Wychyliłam głowę z krzaków i zaciągnęłam się słonym nadmorskim powietrzem. Plaża była zupełnie pusta. Gdy spojrzałam w kierunku, który wskazywała Maria, zobaczyłam samotnego minoshiro, leżącego na piasku około dwudziestu lub trzydziestu metrów od oceanu. Wydawało się, że chce iść w kierunku wody, ale nie może tego zrobić, ponieważ wił się w miejscu, jakby był przygwożdżony do podłoża.

Gdy przyjrzałam się dokładniej, zauważyłam ciemnozielone szczypce, trzymające w uścisku jego nogi.

– Musimy mu pomóc! – Wyrwałam się, ale Maria przytrzymała mnie w miejscu.

– Co ty wyprawiasz, głuptasie?! Co, jak ktoś cię zobaczy?

– Nikogo tu nie ma.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może się zjawić. W tym miejscu chłopcy zawsze łowią ryby.

Rzeczywiście, bieganie nago po plaży definitywnie nie było czymś normalnym; szybko więc wrzuciłyśmy na siebie ubrania i popędziłyśmy w dół zbocza. Gdy dotarłyśmy do celu, wyraźnie dało się ujrzyć ciało tygrysięgo kraba o kamuflujących barwach. W jednej parze szczypiec trzymał on odnóża minoshiro, a w drugiej – jego kolczaste wypustki. Wyglądał, jakby zastanawiał się, od czego powinien rozpocząć konsumpcję swojej ofiary.

Zawahałam się. Pomimo, że to był tylko krab, słyszałam, że zdarzało się, że kraby tygrysie atakowały i zabijały nawet dorosłe niedźwiedzie. Mówiono, że nie atakują ludzi, lecz byliśmy tylko dwójką dzieci, nieposiadających jeszcze dostępu do cantusu, więc i tak nie mogłybyśmy nic zrobić.

W tamtym momencie zapragnęłam, by zjawił się ktoś do pomocy. *Na niebiosą, jeśli nie Shun, to chociaż niech to będzie Satoru...*

– I co teraz? Może powinniśmy spróbować obrzucić go piaskiem?

Byłam na skraju załamania nerwowego, ale Maria chłodno oceniła sytuację.

– Poczekaj. Jest w porządku, zaczął stawiać opór.

Minoshiro zaczął gładzić szczypcę kraba swoimi czułkami, tak, jakby chciał go uspokoić. Tygrysi krab powoli przestał się ruszać, a z jego ust wydobyła się piana i bąbelki.

Nagle z pleców minoshiro wystrzeliły trzy kolejne macki, które zaczęły falować, jakby gestykulując coś do kraba. Czułki oddzieliły się od ciała minoshiro i upadły na piasek, nie przestając się wić.

Krab pozostał w bezruchu, cały czas uczepony minoshiro i plujący pianą.

Wciąż zwijając się z bólu, minoshiro uniósł dwa kolejne czułki, pomachał nimi dziko przed oczami kraba i pozwolił im opaść na ziemię

Teraz w piasku leżało już pięć macek. Tygrysi krab nadal nie reagował, a minoshiro zamarł w bezruchu.

Po około połowie minuty ponownie zaczął się ruszać, lecz tym razem znacznie agresywniej. Tymi ze swoich kolców, które nie pozostawały w ucisku kraba, zaczął okładać pancierz napastnika. Jeden cios, drugi, trzeci. Za czwartym razem uniósł tylko jeden, nasączony toksyną kolec, naprężył go, wkładając w to całą swoją siłę, a następnie odrzucił go. Odpadając, wbił się on w szczypcę tygrysięgo kraba.

Skorupiak rozluźnił chwyt. Minoshiro zdołał się oswobodzić i najkrótszą drogą pognał w kierunku wody. Ignorując niedoszłą ofiarę, krab tygrysi podniósł dwie z leżących na piasku macek i zaczął je jeść.

– Cóż, wygląda na to, że mu się udało – powiedziała Maria.

Uśmiechała się, ale wyglądało to bardziej na wymuszony grymas. Maria niezbyt przepadała za zwierzętami i najprawdopodobniej los minoshiro był jej zupełnie obojętny; ze względu na mnie udawała jednak, że jest inaczej.

– Ale stracił sześć czułek, biedactwo.

– To jednak niezbyt wygórowana cena za życie, prawda? W przeciwnym wypadku zostałyby zjedzone.

Kiedy minoshiro nie jest w stanie uciec krabowi tygrysiemu, odrzuca swoje czułki jako przynętę, w nadziei, że zostanie wypuszczony przez chcącego je zjeść napastnika. To interesujące zjawisko karty przetargowej, które tu występuje, nie jest spotykane u innych zwierząt. Ilość czułek, którą minoshiro będzie skłonny odrzucić jest funkcją jego sprawności fizycznej i poziomu głodu kraba.

Jeżeli te specyficzne negocjacje się nie powiodą, minoshiro zaczyna atakować swoimi kolcami. Krab swoją siłą może pokonać minoshiro; jeżeli jednak kolec odnajdzie lukę w pancerzu i wśliznie się w nią, istnieje duża szansa, że napastnik zginie.

Tak racjonalne zachowanie jest zaskakujące, gdy mówimy o dwóch niezbyt inteligentnych gatunkach. Prawdopodobnie jednak wypuszczanie minoshiro po tym, jak odrzucą macki jest dla krabów tygrysiach po prostu zdrowym rozsądkiem.

Powróćmy do letniego obozu.

Następnego poranka przystąpiliśmy do przyrządzania śniadania; zrobiliśmy też trochę przeznaczonych na obiad ryżowych kulek, które włożyliśmy do menażek. Następnie zwinęliśmy namioty, zasypaliśmy dziury po tyczkach, zatarliśmy ślady po ognisku, wrzuciliśmy wszystko z powrotem na łódzie i wyruszyliśmy.

Płynęliśmy rzeką wśród oparów porannej mgły, używając zarówno wiosł, jak i cantusu. Z lewej strony często mogliśmy usłyszeć śpiew ptaków – wysoki, przeciągany trel trznadli łąkowych.

Od chwili gdy tylko wstaliśmy, niebo zasnuwały chmury, co było dość przygnębiające, jednak kilka wdechów porannego, rześkiego powietrza szybko przegoniło resztki mojego zmęczenia.

Ten odcinek rzeki był znacznie szerszy od tego, którym płynęliśmy wczoraj. Prawy brzeg był zaledwie konturem w oddali, często zupełnie zakrytym przez mgłę.

Sięgnęłam pamięcią do lekcji geografii w Szkole Harmonii, podczas których uczyliśmy się o przejściu rzeki Tone w wąską zatokę – Jezioro Kasumigaura.

Dwa tysiące lat temu, Jezioro Kasumigaura było ogromnym śródlądowym zbiornikiem, zwanym Morzem Katori, łączącym to, co dziś jest rzeką Tone z oceanem. W tamtych czasach ujście Tone znajdowało się znacznie dalej na zachód, w Zatoce Tokijskiej¹.

Żeby zapobiec częstemu wylewaniu Tone, a także by zwiększyć obszar dostępnej pod uprawy ziemi, Ieyasu Tokugawa zdecydował zmienić bieg rzeki. Po setkach lat ujście rzeki zostało przemieszczone aż do Inunousaki. Wybrany piasek wykorzystano do częściowego zasypania Morza Katori, by zmniejszyć jego powierzchnię, tworząc tym samym Jezioro Kasumigaura. Gdy przeczytałam o tym wielkim projekcie, jaki Ieyasu Tokugawa był w stanie wcielić w życie, zainteresowałam się jego postacią. Niestety, w książkach do historii i geografii, oprócz tej krótkiej wzmianki, nie znalazłam na jego temat nic więcej.

W przeciągu ostatniego tysiąclecia, Rzeka Tone i Jezioro Kasumigaura przybrały obecną postać. Po pierwsze, większość z płynących w stronę Tokio odnóg ponownie połączono z głównym nurtem Tone. Rozumie się samo przez się, że ziemie jałowe, takie jak Tokio nie potrzebują dostępu do wody. Z tego powodu poziom wody w Tone podwyższony się, a w celu zapobiegnięcia powodzi wykopano kanał łączący rzekę z Jeziorem Kasumigaura. Z tego powodu jego obszar powiększył się, osiągając rozmiary zbliżone do pierwotnych.

¹ Pierwotny układ rzek: http://en.wikipedia.org/wiki/File:Tone_riverine_system_16century.png
Zmieniony układ rzek: http://en.wikipedia.org/wiki/File:Tone_riverine_system_20century.png

Pod względem powierzchni zbiornik prześcignął Jezioro Biwa i jest obecnie największym jeziorem Japonii.

Jako że w dzisiejszych czasach dolny bieg Tone przecina środkiem Kamisu 66, zbudowaliśmy liczne kanały służące jako wodne ciągi komunikacyjne. Dlatego też pierwsza wyprawa w górę właściwej rzeki była dla nas dość ekscytująca.

– Hej, płynmy trochę szybciej – powiedział Satoru.

– Czemu? Nie chcesz się tu trochę porozglądać? – spytałam.

– Podaruję sobie. I tak w tej okolicy nie ma żadnych zwierząt.

– Ale jesteśmy już prawie w miejscu, w którym powinniśmy rozbić obóz na dzisiejszą noc, prawda? – przypomniał nieśmiało Mamoru.

– O czym ty mówisz? Zapomniałeś już o prawdziwym celu tej wyprawy? Mamy szukać złych minoshiro i bombopsów, nie? Dalej, pokonajmy tą zatokę i schodźmy na ląd.

– Umm... Słoneczny Księciunio mówił, że nie wolno nam płynąć na najdalszy koniec jeziora. Jeśli tam wysiądziemy...

Tym razem wyglądało na to, że nawet Maria się waha.

– Będzie w porządku. Tylko rozejrzemy się szybko po okolicy i wracamy – odparł Satoru z nonszalancją, wiosłując naprzód.

– Co powinniśmy zrobić? – spytałam Shuna, wyglądającego na głęboko pogrążonego w myślach. Nie spodziewałam się odpowiedzi, którą usłyszałam.

– Byłoby nieciekawie, gdyby się o tym dowiedziano. Myślę jednak, że w przyszłości możemy nie mieć kolejnej okazji by odwiedzić to miejsce, więc chcę pójść się rozejrzeć.

Te słowa przesądziły o naszej decyzji. Satoru wyszedł z przebiegłą propozycją, byśmy udali się do miejsca planowanego postoju i podłożyli fałszywe ślady, żeby wyglądało to tak, jakbyśmy rzeczywiście spędzili tam noc.

– W ten sposób, gdy pojawi się tu następna grupa, pomyślą, że rzeczywiście tu byliśmy, racja? – Satoru brzmiał na zadowolonego

z siebie. Nigdy nie widziałam, by był choć w połowie tak szczęśliwy po zrobieniu czegoś rzeczywiście godnego pochwały.

Ponownie przecięliśmy jezioro, przekraczając bezpieczną prędkość. Niewielka rybitwa przeleciała nad naszymi głowami, wyzywając nas do wyścigu, lecz Sakuramasu 2 dogonił ją w kilka sekund. Ptak zakreślił krąg i odleciał, znikając nam z pola widzenia.

Przeciągnęłam się, pozwalając by owiewał mnie wietrzyk. Już wcześniej zdjęłam kapelusz, nie chcąc by został zdmuchnięty, i pozwoliłam swobodnie powiewać włosom. Moje ponczo trzepotało i szeleściło na wietrze. Sceneria nie była męcząca, pomimo, że nie widziałam wokół nic prócz wody. Wyglądające zza chmur słońce odbijało się olśniewającym blaskiem w krystalicznie czystej wodzie, a rozpryskujące się pod łódką krople tworzyły w powietrzu miniaturowe tęcze. Tak bardzo zapatrzyłam się w ten widok, że dopiero po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, że coś dzieje się z moim wzrokiem. Obraz zaczął mienić się wieloma kolorami, a w kącikach oczu pojawił się świetlny powidok.

Gdy się odwróciłam, zobaczyłam Satoru, intensywnie wpatrującego się w taflę jeziora. Próbując coś poruszyć, jak na przykład kajak czy wodę, najpierw trzeba skoncentrować się nad obszarem przed łodzią i spróbować zredukować odległość. Żeby móc płynąć po osiągnięciu dużej prędkości konieczne jest wyobrażenie sobie, że odpycha się wodę i ślizga po jej powierzchni.

Obydwa sposoby wymagają dużej koncentracji i stają się męczące po pewnym czasie. Doliczając do tego fakt, że kajak cały czas się porusza, a wzrok utkwiony jest cały czas w jednym miejscu, łatwo jest nabawić się choroby morskiej.

Satoru dostrzegł, że się na niego patrzę i odetchnął z ulgą.

– Przeplłynęliśmy już kawał drogi, może chciałabyś się ze mną zamienić? – spytał.

– Chyba nie dam rady – odparłam, kiwając powoli głową.

– Co to ma niby znaczyć? – w odpowiedzi Satoru dało się wyczuć lekką złość.

– Coś dziwnego stało mi się z oczami, chyba zbyt długo patrzyłam na odbijające się słońce – wyjaśniłam.

Satoru spojrział na mnie z niedowierzaniem.

– Cóż, nic chyba na to się nie poradzi. Będę musiał wiosłować przez resztę drogi – powiedział.

Przeprosiłam go i wtedy nagle przypomniało mi się, że w plecaku mam parę okularów przeciwsłonecznych. Wyjęłam je i założyłam na nos. To był prezent od ojca, wykonany na jego specjalne zamówienie przez rzemieślnika. Były zrobione z wysokiej klasy szkła z dodatkiem specjalnej mieszanki barwników z marzany barwierskiej i persymony, które skutecznie blokowało promienie słońca. Powinnam była założyć je już na samym początku wyprawy.

Gdy tylko wsunęłam je na nos, wszystko stało się o odcień ciemniejsze, ale przynajmniej oczy przestały mnie boleć.

W przypadku wystąpienia jakichkolwiek kłopotów ze wzrokiem, używanie cantusu było nam zabronione. Ktoś tak wprawny jak Shisei Kaburagi mógł korzystać z mocy w kompletnych ciemnościach; początkujący, tacy jak my, musieli widzieć to, co robią aby wykreować w umyśle prawidłowy obraz.

Przepełnęliśmy Jezioro Kasumigaura w godzinę. Gdy przemierzaliśmy jego najgłębszą część, wśród gęstwiny trzcin coś donośnie zapluskało, a w wodzie przemknął ogromny cień, od razu znikając. Cokolwiek to było, wydawało się mieć kształt diamentu, więc najprawdopodobniej widzieliśmy kraba tygrysięgo. Skoro w pobliżu nie było morskiego wybrzeża, to, jak sobie uświadomiłam, tygrysie kraby musiały być znacznie lepszymi pływakami niż przypuszczałam.

Spoza trzcin wyłaniał się głęboki las i płynąca przez niego rzeka o zielonkawym kolorze wody. Przed wypłynięciem poszukaliśmy paru informacji i dowiedzieliśmy się, że nosi ona nazwę Sakura. Góra Tsukuba powinna być tuż na wprost nas, lecz skrywały ją wysokie drzewa.

Kawałek dalej, rzeka dzieliła się na dwa odgałęzienia. Nie byliśmy pewni, która drogę wybrać, więc zdecydowaliśmy się na lewą odnogę, ponieważ jej nurt był zwawszy. Po przebyciu około kilometra dojrzeliliśmy znajdującą się na wprost Górę Tsukuba. Rzeka Sakura kierowała się ku północy z zachodniej strony góry. Gdybyśmy się jej trzymali, zbyt mocno oddalilibyśmy się od szczytu; przybiliśmy więc w tym miejscu do brzegu.

– Tak! Udało się nam! – wykrzyczał Shun, wychodząc jako pierwszy na ląd.

Podążyłam w jego ślady, a za mną poszli Maria, Mamoru i wreszcie ostatni Satoru, wyglądający na wyczerpanego samotnym wiosłowaniem przez całą drogę. Szybko pobiegł w krzaki, a po chwili usłyszeliśmy, że wymiotuje. Poczulałam w piersi ukłucie winy.

Ukryliśmy kajaki wśród trzciny. Oddaliliśmy się na taką odległość, że było mało prawdopodobne, że ktoś nas zauważy, jednak zrobiliśmy to dmuchając na zimne. Aby nie pozwolić, by łódki same odpłynęły, zakotwiczyliśmy je głęboko w mule.

– I co teraz? Niedługo pora obiadu – zauważył Mamoru, rozglądając się po nas z nadzieją.

– Wejdźmy najpierw na szczyt i rozejrzyjmy się stamtąd. Weźcie ze sobą tylko lekkie rzeczy, obiad możemy zjeść, gdy dotrzemy na miejsce.

Ponieważ Satoru wciąż był oszołomiony, Shun zaproponował siebie na przewodnika. Zazwyczaj narzekaliśmy, gdy dowodził Satoru, natomiast za Shunem wszyscy podążaliśmy z chęcią. Zrzuciliśmy plecaki na ramiona i rozpoczęliśmy wędrówkę na górę.

Wspinaczka po bezdrożach okazała się trudniejsza niż się spodziewaliśmy. Ten, kto szedł z przodu musiał bez ustanku wykorzystywać cantus do usuwania z drogi bluszczu i zarośli. Zajęcie to było jednak tak męczące, że co pięć minut musieliśmy się zmieniać.

Na domiar złego, w okolicy roilo się od oszałamiającej wręcz liczby leśnych komarów, meszek i innych owadów-krwiopijców. Te insekty nie mogły przekraczać Świętej Bariery, co było powodem, dla

którego było ich tutaj aż tyle. Mimo tego, że nie przestawaliśmy ich zabijać, wciąż nadlatywały kolejne. Musieliśmy nieprzerwanie używać mocy, co zużywało dużo energii, a ponieważ moje okulary utrudniały zobaczenie najmniejszych owadów, byłam zmęczona jeszcze bardziej.

Dlatego też, gdy nagle naszym oczom ukazał się dziwny, opuszczony budynek, wszyscy oniemieliśmy.

– Co to takiego? – spytała Maria.

Jej głos brzmiał nieswojo i był ku temu powód. Budowla dorównywała rozmiarami sali zgromadzeń z Kamisu i była pokryta tak gęstą warstwą bluszczu i porostów, że wyglądała niczym uśpione monstrum wyrosłe z samego lasu.

– To prawdopodobnie świątynia Góry Tsukuba... – powiedział Satoru, zerkając na starą mapę, którą ze sobą zabrał.

Zdawało się, że po powrocie na stały ląd Satoru w mniejszym lub większym stopniu odzyskał energię, chociaż było widać, że jeszcze nie doszedł w pełni do siebie.

– Świątynia? – zapytałam, hamując z trudem pisk, ponieważ wdepnęłam właśnie na ropuchę. To były paskudne stworzenia, kręcące się po całej górze.

– Ma przynajmniej dwa lub trzy tysiące lat. Ten budynek prawdopodobnie już tysiąc lat temu był uważany za potwornie stary – dodał Shun.

– Zjemy tutaj? – spytał Mamoru.

Wszyscy bez wątpienia byli głodni, ale perspektywa obiadu w tym miejscu nie była zachwycająca.

Miałam właśnie zaprotestować, gdy z lewej strony dobiegł mrozący krew w żyłach wrzask. Pomyślałam, że najpewniej ktoś jeszcze rozdeptał ropuchę, lecz gdy się obejrzałam, zobaczyłam nieruchomego niczym gład Satoru. Shun także zerwał się z miejsca, lecz po chwili i on zastygł w bezruchu.

– Co się dzieje? – spytałam. Wtedy uświadomiłam sobie, że wszyscy czworo znieruchomieli jak posągi. Gdy obejrzałam się

w kierunku, w którym patrzyli i zobaczyłam to co oni, nie mogłam powstrzymać krzyku.

Patrzyłam wprost na dziwaczną kreaturę, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam.

Szybko przyszedł mi namysł dwie nazwy – zły minoshiro i fałszywy minoshiro. To coś na pierwszy rzut oka definitywnie wykazywało podobieństwo do minoshiro, ale gdy się dobrze przyjrzałam, okazało się zupełnie odmienne. Stwór miał jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt centymetrów długości, gumowatą skórę, która bez przerwy kurczyła się i rozszerzała, sprawiając, że części jego ciała bezładnie nadymały się i zapadały. Na plecach miał kępki półprzezroczystych kolców, przypominających jeża morskiego, z których każdy mienił się innym kolorem tęczy. Nieprzerwanie zmieniające się barwy nakładały się na siebie i mieszały ze sobą, tworząc w powietrzu połyskliwe wzory. Nawet patrząc przez okulary przeciwsłoneczne, czułam jak te piękne światła wprowadzają mnie w stan otępienia.

Fałszywy minoshiro powoli oddalił się w kierunku świątyni, pozostawiając za sobą świetlisty ślad.

Mój własny wrzask sprawił, że coś jakby ocknęło się w moim umyśle. Odwróciłam się do Shuna i Satoru i zaczęłam do nich krzyczeć.

– Szybciej... Satoru! Shun! Złapcie go, ucieka!

Żaden z nich jednak nawet nie drgnął; po prostu patrzyli na fałszywego minoshiro.

Miałam już zamiar wykorzystać cantus, ale się zawahałam. Jak mówiłam wcześniej, bardzo niebezpieczne było używanie mocy przez różne osoby na tym samym przedmiocie. Jeżeli ktoś wcześniej zdążył wybrać cel i skupić się na nim, lepiej dla pozostałych było powstrzymać się od korzystania z cantusu, bez względu na okoliczności.

Zarówno wzrok Shuna, jak i Satoru utkwiony był w fałszywym minoshiro. Zazwyczaj coś takiego oznaczało, że korzystają z mocy, ale pomimo tego pozostawali przykuci do ziemi.

Mimo, że naprawdę upłynęło zaledwie kilka sekund, miałam wrażenia, jakby to była cała wieczność. Fałszywy minoshiro wpełznął spokojnie w wysoką trawę, znikając pod głównym gmachem świątyni.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego cała czwórka moich przyjaciół nadal nie może się ruszyć i nie miałam pojęcia, co zrobić. Właściwie to nie wiedziałam nawet, co dokładnie sprawiło, że znaleźli się w takim stanie. Chciałam potrząsnąć ich za ramiona, by ich obudzić, ale powstrzymała mnie irracjonalna obawa, że jeżeli to zrobię, to padną martwi na ziemię.

Co zadziwiające, pierwszą osobą, która wybudziła się z letargu okazał się Mamoru.

– Jestem głodny... – powiedział cichym głosem, rozglądając się wkoło.

– Ee... Co się właśnie stało?

Maria, Satoru i Shun odzyskali zmysły i przewrócili się na ziemię. Satoru wyglądał na naprawdę chorego, a Shun przecierał oczy.

– Czy my umarliśmy?

Jak na ironię, pytanie Marii było tym, co ostatecznie nas wszystkich dobudziło.

– Tamta historia była najprawdopodobniej zmyślona, nie przejmuj się nią – zajęczał Satoru.

Zabrzmiało to tak, jakby przede wszystkim miał zamiar udawać, że to nie on był osobą, która nagadała nam tamtych bzdur.

– Abstrahując od tego, co takiego się stało, że nie mogłem się poruszyć?

– Ja też nie. Ale czemu? Satoru? – Maria nerwowo przycisnęła ramiona do ciała.

– Nie wiem. Gdy tylko zobaczyłem światła, poczułem zupełną pustkę w głowie i nie mogłem się skupić, nieważne jak usilnie próbowałem.

– Ach! – wykrzyknęłam. – To zupełnie tak, jak wtedy, racja? Tak jak wtedy gdy byliśmy w Świątyni Czystości, patrząc w płonący na ołtarzu ogień...

– Rozumiem – powiedział Shun, podnosząc się z ziemi. – W takim razie to ma sens. Zostaliśmy zahipnotyzowani.

– Co to znaczy?

– To starożytna technika kontrolowania ludzi. Poprzez sugestię można sprawić że ktoś zaśnie, powie prawdę lub wykona dowolne polecenie.

Nie miałam pojęcia, gdzie Shun mógł dowiedzieć się czegoś takiego.

– Ale Saki nic się nie stało, krzyczała do nas, żebyśmy go złapali i w ogóle. Może taka z niej ciemna masa, że jest na to odporna?

– Nie, nie jestem – odwarknęłam. – To dzięki temu, że miałam okulary przeciwsłoneczne.

Spośród nas wszystkich to definitywnie Mamoru był najmniej bystry; powstrzymałam się jednak przed powiedzeniem tego na głos.

– Hipnoza wykorzystuje mrugające czerwone i niebieskie światła. Czerwone szkła okularów prawdopodobnie osłabiły jej efekt. Pokaż mi je na chwilę.

Kiedy byłam zajęta zastanawianiem się, gdzie, u diabła, udało mu się dowiedzieć tych wszystkich rzeczy, wziął moje okulary, założył je i spojrzał na niebo.

– Ale skoro tylko Saki może korzystać z cantusu, trudno będzie nam schwytać to coś. Najwyraźniej lubi chować się w ciasnych szczelinach.

– Na to wygląda. Hej, czy nie powinniśmy już wracać? – spytała Maria z osobliwym rozdrażnieniem.

– Czemu nie wrócimy do kajaków i nie zjemy obiadu? – jęknął Mamoru. Nie byłam pewna czy jak zwykle się boi, czy po prostu jest głodny.

Nagle do głowy przyszedł mi pewien pomysł.

– No dobra! Możemy go złapać!

Cała czwórka spojrzała z zaniepokojeniem, ale gdy tylko wyjaśniłam im swój plan, wszystkie obawy zostały wyparte przez nadzieję i ekscytację. Nie mogłam zaprzeczyć, że było to dla mnie impulsem do działania.

Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, jak wielkie następstwa przyniesie ze sobą schwytanie fałszywego minoshiro.

– Super, jest świetnie. Mamy tu wielki okaz – powiedział z satysfakcją Satoru, który zdążył już trochę dojść do siebie.

– Te typki wyglądają na całkiem smacznych. – Po tym, jak Mamoru zjadł obiad, również w jego głosie dało się usłyszeć znacznie więcej energii.

– Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, która uważa, że one wyglądają apetycznie. – Shun wyglądał na lekko przerażonego.

Ja czułam się podobnie. Tuż przed nami, dwa metry nad ziemią lewitowały trzy kraby tygrysie. Wbrew naszym oczekiwaniom zwisały spokojnie, potulnie wypuszczając z ust bąbelki i wcale nie próbowały uciekać. Wszystkie trzy były cętkowane, zielono-brunatne, a ubarwienie największego z nich przypominało jakąś mapę. Osobnik średniej wielkości miał na pancerzu cienkie paski, przypominające korzenie roślin, natomiast najmniejszy był upstrzony zielonkawymi plamkami, przypominającymi porosty.

Satoru, wykorzystując swój cantus, odwrócił największego z nich do góry nogami i spojrzał na jego podbrzusze. Krab nagle szarpnął się, gdy jego średniej wielkości towarzysz przeleciał mu przez pole widzenia. Wyglądało to jakby płynął w powietrzu, groźnie zaciskając szczypce.

– Ho ho. Co mu nie pasuje? – powiedział Satoru. Uśmiechnął się nerwowo, próbując zamaskować fakt, że właśnie z trudem powstrzymał się, by nie uciec w popłochu.

Związaliśmy kraby kilkoma pnączami winobluszczu. Trudno było to zrobić w taki sposób, by mogły poruszać się w miarę swobodnie, pozostając jednak przez cały czas pod naszą kontrolą.

Maria próbowała obwiązać końcówki pnączy wokół wystających z ich skorup kolców, tworząc uprząże, ale kraby okazały się sprytniejsze, niż przypuszczaliśmy. Cały czas próbowały szczypcami rozluźniać węzły i zrzucić z siebie pnącza. Ostatecznie musieliśmy przewlec je przez bambusowe pnie, żeby uniemożliwić krabom ich przecięcie.

Pomimo, że musieliśmy włożyć w to więcej wysiłku niż zakładaliśmy, byliśmy zadowoleni z uzyskanego efektu. Widok trzech smyczy, na końcu których uwiązane były kraby tygrysie przywiódł mi na myśl starożytną metodę połowu ryb z wykorzystaniem kormoranów. Ruszyliśmy na poszukiwanie fałszywego minoshiro, cały czas uważając na kraby i pilnując, by nie zbliżyły się zbyt mocno do siebie.

Spodziewaliśmy się, że związanie i prowadzenie na uwięzi nie przypadnie krabom do gustu, ale byliśmy w błędzie. Nawet, jeśli były niezadowolone, to nie dało się tego wywnioskować, gdyż wszystkim, czym się zajmowały, było jedzenie. Wszystko, co było żywe i miało nieszczęście znaleźć się w zasięgu ich szczypiec było rozszarpywane i pożerane.

Na początku obawialiśmy się, że gdy kraby nasycą już swój głód, zaprzestaną poszukiwać jedzenia. Zamiast tego jednak szły wciąż naprzód, rozczłonkowując napotkane ofiary ostrymi kleszczami. Widok wijących się w agonii węży i ropuch wydawał się trochę je zniechęcać, ale po chwili kontynuowały marsz.

Ta metoda poszukiwań nie była zbyt przyjemna; gdyby nie przyniosła oczekiwanego efektu, wszyscy z pewnością byliby na mnie źli. Na szczęście jednak nie minęło więcej jak pół godziny, gdy prowadzony przez Marię krab trafił w dziesiątkę.

– Wygląda na to, że znowu coś złapał – powiedziała Maria, zaglądając pod kapliczkę i krzywiąc się. – Tym razem to chyba coś dużego...

Wszyscy wzdrygnęliśmy się, słysząc te słowa. Krab pożerający jakiegoś większego ssaka z pewnością nie był widokiem, który chcielibyśmy ujrzeć.

– Wyciągnij go i sprawdź – powiedział Satoru, obracając się.

– Pomóż mi.

– Sama możesz to zrobić, nie? Po prostu wykorzystaj cantus do pociągnięcia za liny.

– Ale to jest takie odrażające. – Maria spojrzała na nas błagalnym wzrokiem.

Muszę się przyznać, że zignorowałam prośbę najlepszej przyjaciółki, udając, że jestem zajęta własnym krabem tygrysim. Wciąż było mi trochę niedobrze po tym, jak przed chwilą zobaczyłam kraba Satoru wypruwającego wnętrzności swojej ofierze.

– W takim razie ja to zrobię – niespodziewanie zgłosił się Mamoru.

Podczas gdy w dwójkę zaczęli wyciągać kraba, pozostali z nas odsunęli się, spodziewając się jakiegoś nieprzyjemnego widoku.

– Patrzcie, ma go – powiedział Shun. Słyszając to, wszyscy spojrzeliśmy na kraba.

– Fałszywy minoshiro! – wykrzyknęła Maria.

Zdażyłam założyć okulary w samą porę. Krab tygrysi wyłonił się, trzymając sztywno zdobycz w obu parach szczypiec. Nie ulegało wątpliwości, że był to ten sam osobnik, który wcześniej nam uciekł. Pomimo, że krab ścisnął go tak kurczowo, że wydawało się, że zaraz przetnie go na pół, fałszywy minoshiro z całych sił próbował się wyrwać. Gdy nas zobaczył, wszystkie kolce na jego plecach wystrzeliły w górę, a ich końcówki zaczęły świecić.

– Shun! Satoru! Szybko, łapcie go! – krzyknęłam, uświadamiając sobie w tej samej chwili, że znaleźliśmy się w takiej samej sytuacji, jak poprzednio.

Wszyscy oprócz mnie stali jak sparaliżowani. Każdy z nich uległ hipnozie minoshiro.

Wszystko pozostało na mojej głowie. Tym razem miałam przynajmniej silnego partnera po swojej stronie. Sojusznika o prymitywnym, odpornym na hipnozę umyśle i o zacieklej

determinacji, nie pozwalającej uciec jego ofierze – morderczego, plującego bańkami kraba tygrysięgo.

Nie licząc ochronnego działania okularów, wiedziałam już też, że nie mogę patrzeć na tworzone przez migoczące światła wzory, więc udało mi się zachować trzeźwość myśli. Patrząc przez przymrużone oczy, zaczęłam metodycznie wykręcać i ciągnąć błyszczące kolce.

– Proszę o zaprzestanie destrukcyjnej działalności.

Niosący się echem, żeński głos nagle pojawił się znikąd, sprawiając, że się przestraszyłam.

– Kto tu jest? Gdzie jesteś?

– Niszczysz własność biblioteki publicznej. Natychmiast zaprzestań swojej destrukcyjnej działalności.

Głos dochodził od fałszywego minoshiro.

– To dlatego, że próbowałeś nas zahipnotyzować.

– Wykorzystanie obronnej hipnozy świetlnej przez maszyny terminalowe jest prawnie dopuszczone rozporządzeniem 488722, paragraf 5. Natychmiast zaprzestań swojej destrukcyjnej działalności.

– Jak ty skończysz nas hipnotyzować, to ja przestanę wyrywać te twoje świecące dzyndzle.

– Ponawiam ostrzeżenie. W tej chwili zaprzestań swojej destrukcyjnej działalności – powtarzał uparcie fałszywy minoshiro.

– Ja też cię ostrzegam. Jeśli natychmiast nie przestaniesz, ja również nie odpuszczę. Wyrwę ci te wszystkie świecidełka!

Ku mojemu zdziwieniu, fałszywy minoshiro przestał świecić. Wyglądało na to, że tak prosta groźba była wystarczająca.

– Wszystko z wami w porządku?

Cała czwórka nadal wyglądała na mocno zamroczonych.

– Przerwij hipnozę, już! Albo znowu zacznę je wyrywać – ostrzegłam.

– Efekty hipnozy świetlnej ustępują po upływie określonego czasu. Zgodnie z raportem numer 49463165 Narodowego Instytutu Psychiatrycznego nie stwierdza się występowania obserwowalnych skutków ubocznych – odpowiedział pośpiesznie fałszywy minoshiro.

– Przerwij ją. Teraz. Albo...

Nie musiałam kończyć zdania. Fałszywy minoshiro nagle wydał z siebie przeszywający dźwięk. Instynktownie skuliłam się, zasłaniając uszy. Czwórka moich przyjaciół zaczęła ponownie się poruszać, zupełnie jakby obudzili się ze snu.

Powoli odwróciłam się do minoshiro; w myślach kłębiły mi się setki pytań, które chciałam mu zadać.

– Kim jesteś? *Czym* jesteś?

– Jestem Filią Tsukuby Biblioteki Zgromadzenia Narodowego.

– Biblioteki?

– Jeżeli ciekawi was mój model i wersja, jestem Zautomatyzowanym Archiwum Panasonic, wersja Autonomicznie Ewoluuująca SE-778H Lambda.

Nie byłam pewna, co to oznacza, ale niezależnie od tego, czym był ten stwór, sposób w jaki się przedstawił był absurdalny. To zupełnie tak, jakby ktoś zaczepił cię na ulicy, mówiąc: „Cześć, nazywam się Biblioteka Narodowa” albo „Witaj, jestem szkołą”.

– Mówisz, że właściwie to jesteś biblioteką? – spytałam ostrożnie.

– Tak.

Przyjrzałam się uważnie fałszywemu minoshiro. Teraz, gdy przestał wić się i świecić, ewidentnie dało się dostrzec, że jest stworzony ludzkimi rękoma.

– W takim razie, gdzie są książki?

– Wszystkie źródła drukowane na papierze uległy rozkładowi bądź zaginęły w wyniku wojen i innego rodzaju destrukcyjnych działań. Istnienie jakichkolwiek pozostałości nie zostało potwierdzone.

– Nie wiem właściwie, co masz na myśli, ale istotą sprawy jest to, że nie ma książek? Czyli jesteś tylko pustą biblioteką?

– Wszystkie informacje są zmagazynowane w ośmiuset dziewięćdziesięciu petabajtach pamięci holograficznej.

Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

– Jeśli próbujesz zamącić nam w głowach tym dziwnym językiem, to może rzeczywiście powinnam po prostu wyrwać ci te czułkowate wypustki.

Groźenie nie należało do czynności, które sprawiały mi szczególną przyjemność.

– Zawartość książek jest przechowywana w moim wnętrzu i można do niej uzyskać dostęp w dowolnym momencie – odparł niezwłocznie.

Tym razem było już lepiej, choć wciąż było dla mnie niejasne, na jakiej zasadzie ma to działać.

– Co to za książki? – spytał Satoru swobodnym tonem.

– Wszystkie 38,246,506 woluminów opublikowanych w Japonii do roku 2129 oraz 671,630 publikacji encyklopedycznych napisanych po angielsku oraz w innych językach.

Cała nasza piątka wymieniła zdumione spojrzenia. Największa biblioteka Kamisu 66, znajdująca się w Zbożowym Kręgu, posiadała nieco poniżej trzech tysięcy ogólnodostępnych tomów; jeżeli doliczyć do tego księgi przechowywane w podziemiach, łączna liczba sięgnęłaby może dziesięciu tysięcy. Upchanie w ciele tak małym jak minoshiro ponad cztery tysiące razy większej liczby publikacji było bzdurą, jakiej nawet Satoru nie odważyłby się powiedzieć.

– To, że są dostępne w dowolnym momencie, oznacza, że możesz przeczytać je, kiedy tylko zapragniesz?

– Zgadza się.

– Więc jeśli zadałabym ci pytanie, mógłbyś wyszukać wśród swoich zbiorów książkę zawierającą odpowiedź? – spytałam z powątpiewaniem.

– Tak. Średni czas wyszukiwania wynosi sześćdziesiąt nanosekund – odparł z dumą fałszywy minoshiro, lub raczej Filia Tsukuby Biblioteki Zgromadzenia Narodowego.

Nie miałam pojęcia, ile to jest sześćdziesiąt nanosekund, ale przypuszczałam, że to czas zbliżony do sześćdziesięciu sekund.

– W-więc... Chciałabym się zapytać...!

Nagle stałam się niesamowicie podekscytowana. Mogłam dostać odpowiedzi na wszystko, co do tej pory było dla mnie niejasne. Setki pytań naraz zakotłowały się w mojej głowie. Miałam właśnie się odezwać, gdy nagle wtrącił się Satoru, zadając najbardziej bezużyteczne pytanie na świecie.

– Dlaczego tutaj jest aż tyle ropuch? – zapytał.

– Dlaczego tak wyglądasz, skoro jesteś biblioteką? – spytała Maria.

Shun również wyglądał, jakby chciał się czegoś dowiedzieć, ale wciąż był zbyt zamroczony po hipnozie, by móc sklecić spójne zdanie.

– Chcę... Chcę zapytać... – W końcu zdecydowałam się czego najbardziej pragnę się dowiedzieć. – Czy Bestie naprawdę istnieją? I co z karmicznymi demonami?

Czekaliśmy z zapartym tchem. Upłynęło sześćdziesiąt sekund, później dwie minuty, trzy, ale fałszywy minoshiro nie odezwał się.

– Hej, czemu nie odpowiadasz? – Satoru wyczerpał swoje pokłady cierpliwości.

– Aby uzyskać dostęp do funkcji wyszukiwania, konieczna jest rejestracja użytkownika – odparł, nie zdradzając nawet cienia poczucia winy za to, że kazał nam tak długo czekać.

– Rany, nie mogłeś nam tego od razu powiedzieć? – powiedział Satoru z wyrzutem.

– Jak mamy się zarejestrować?

Fałszywy minoshiro zignorował Satoru i odpowiedział na pytanie Marii.

– Musicie mieć ukończone co najmniej osiemnaście lat i potwierdzić nazwisko, adres i wiek poprzez przedstawienie jednego z następujących druków: prawa jazdy, karty ubezpieczeniowej z adresem, paszportu z wpisaną pełną datą urodzenia i obecnym adresem zamieszkania, legitymacji studenckiej zawierającej adres i datę urodzenia, zaświadczenia meldunkowego wydanego w ciągu

ostatnich trzech miesięcy bądź innego oficjalnego dokumentu potwierdzającego tożsamość, którego ważność nie wygasła.

– Osiemnaście? Ale my...

– Ponadto, następujące formy identyfikacji są nieuznawane: identyfikator pracowniczy, legitymacja studencka bez adresu lub daty urodzenia, bilet sieciowy, karty kredytowe...

Falszywy minoshiro najwyraźniej wymieniał używane w przeszłości dokumentach. Mieliśmy mgliste pojęcie o tym, o czym mówił, ponieważ nauczono nas trochę o tamtej dziwnej epoce, w której kawałek papieru był więcej wart od człowieka.

– A co, jeśli nie mamy żadnej z tych rzeczy? – spytałam.

– Jeśli rejestracja użytkownika nie zostanie dokończona, usługi wyszukiwania pozostaną niedostępne – odparł minoshiro niezmiennym, spokojnym tonem.

– No więc nie ma rady. Muszę rozedrzeć cię na sztuki, kawałek po kawałku, żeby dostać się do książek, które są w twoim wnętrzu.

– Destrukcyjna działalność jest prawnie usankcjonowaną zbrodnią.

– Od czego powinniśmy zacząć? Może wyrwać mu czułki, a potem przeciąć go na pół? – spytałam Satoru, wykonując gest rozrywania.

– Hmm, spójrz jaką ma gumowatą skórę. Na początek powinniśmy go oskórować. – Satoru rzucił mi chytre spojrzenie, wyczuwając mój plan.

– Wymóg przedstawienia dokumentów został uchylony. Rozpoczęto proces rejestracji użytkownika! – powiedział głośno minoshiro, cały czas tym samym, kojącym, żeńskim głosem. – Każdy z użytkowników jest proszony o wyraźne wypowiedzenie nazwiska.

Po kolei stawaliśmy przed fałszywym minoshiro, mówiąc swoje imiona.

– Wzór tęczęwki, wzorzec głosowy oraz RM głowy potwierdzone. Rejestracja użytkownika zakończona. Shun Aonuma,

Maria Akizuki, Satoru Asahina, Mamoru Itou, Saki Watanabe, usługi wyszukiwania są dla was dostępne przez trzy lata licząc od dzisiaj.

– W porządku, w takim razie: czemu jest tutaj tyle ropuch?

Shun zasłonił prawą dłonią usta Satoru. – Jest cała góra pytań, które moglibyśmy zadać, lecz najpierw chcę usłyszeć odpowiedź na to, które zadała Saki... Czy Bestie naprawdę istnieją? A co z karmicznymi demonami?

Tym razem na odpowiedź fałszywego minoshiro nie musieliśmy czekać nawet sekundy.

– Słowo „Bestia” zwróciło 671,441 wyników w bazie danych. Można je podzielić z grubsza na dwie kategorie: 1. Stworzenia, które bywały widywane w zamierzchłej przeszłości, często zwane demonami, ghulami, duchami i podobnymi imionami, nie istniejące w rzeczywistości; 2. Pojęcie wprowadzone w ostatnich latach istnienia starożytnej cywilizacji, którym określano osoby cierpiące na zespół Ramana-Klogiusa, zwany też zespołem lisa w kurniku. W obecnej chwili ich występowanie nie jest potwierdzone; istniały jednak w przeszłości i wysoce prawdopodobne jest, że ponownie pojawią się w przyszłości.

Spojrzeliliśmy po swoich twarzach. Nie rozumieliśmy w pełni, o czym mówi, ale byliśmy pewni, że usłyszeliśmy coś, czego nigdy by nas nie nauczono; coś, czego definitywnie nie wolno było nam wiedzieć.

– Również karmiczne demony zostały odkryte przed upadkiem starożytnego imperium. Był to powszechny termin, jakim określano ciężkie przypadki zespołu Hashimoto-Appelbauma. Podobnie jak w przypadku Bestii, obecnie ich istnienie jest niepotwierdzone, lecz istnieje duże ryzyko, że ponownie się pojawią.

– To... – zająknął się Shun.

Zobaczyłam, jak z jego twarzy odpływają barwy i boleśnie zrozumiałam, o czym myśli. Nie powinniśmy pytać już o nic więcej. Ostrzeżenie przyszło podświadomie.

Otwieranie puszek Pandory, pomimo świadomości konsekwencji jest jednak elementem ludzkiej natury od zarania dziejów.

Rozdział 7

– W roku 2011 kalendarza gregoriańskiego naukowcy ostatecznie udokumentowali istnienie psychokinezy, która do tamtego czasu była zawsze uznawana za zjawisko powiązane z okultyzmem – wyjaśnił beznamiętnie fałszywy minoshiro.

Jego głos wydawał się należeć do kulturalnej, inteligentnej kobiety; pomimo tego, że był fascynujący, brzmiał zbyt idealnie i przez to nieludzko.

– Przed nadejściem tamtego dnia, wszystkie eksperymenty z psychokinezą, zarówno te przeprowadzane publicznie, jak i te odbywające się w laboratoriach, kończyły się niepowodzeniem. Jednakże, w roku 2011 w Baku, stolicy Republiki Azerbejdżanu, kognitywistyk Imran Ismailow przeprowadził zakończoną sukcesem próbę. W mechanice kwantowej istnieje dobrze znany paradoks wpływu obserwowalnych cząstek na inne cząstki, ale Ismailow jako pierwszy przewidział, że powiększenie skali tego zjawiska do świata makroskopowego dotyczy również psychokinezy. Ci, którzy wątpili w sukces Ismailowa zostali zaproszeni do udziału w eksperymencie w roli obserwatorów z utajoną zdolnością odpierania działania psychokinezy. Po przeprowadzeniu kilku testów, uczestników podzielono na różne grupy, więc żaden z nich nie wiedział o rzeczywistej skali eksperymentu. Obserwatorów poproszono następnie o zatajenie pewnych faktów przed kimś, kto znał całą strukturę doświadczenia Ismailowa. Istniało wiele czynników kontrolnych...

Cała nasza piątka słuchała długiej wypowiedzi minoshiro niczym w transie. Nawet jeśli nie byliśmy w stanie zrozumieć części z tych informacji, chłoniliśmy jego słowa jak rośliny spragnione wody po długiej suszy.

Dotychczas nasza wiedza o świecie była jak układanka, w której brakuje najważniejszego elementu. Słowa fałszywego minoshiro były właśnie tą brakującą częścią, zaspokojeniem naszej ciekawości.

Nigdy jednak nie wyobrażaliśmy sobie, że usłyszymy kiedyś historię tak potworną, że po jej wysłuchaniu włosy dosłownie staną nam dęba.

– Pierwszą osobą ze zdolnością pozazmysłowej percepcji, jaką odnalazł Ismailow, była dziewiętnastoletnia dziewczyna, Nona Mardanowa. Jej zdolności kończyły się na możliwości poruszenia lekką, plastikową kulką zamkniętą w przezroczystym cylindrze, jednakże, podobnie jak zarodek, rozpoczynający chemiczną reakcję krystalizacji, okazała się ona katalizatorem, który obudził uspioną moc ludzkości...

Zupełnie nieświadomie, Maria stanęła obok mnie i ścisnęła mocno moje dłonie. W jaki sposób ludzie weszli w posiadanie tej boskiej mocy? Informacje o jej pochodzeniu w książkach do historii były zdawkowe lub zupełnie tuszowane.

– Liczba użytkowników psychokinezy gwałtownie rosła, osiągając wreszcie poziom 0,3% światowej populacji. W przeciągu następnych lat, gdy społeczeństwo pogrążyło się w chaosie, dalsze dane statystyczne zostały utracone. Udokumentowano jednakże wzrost odsetka osób u których zdiagnozowano osobowość schizoidalną...

– Tylko 0,3%? – wymamrotał Satoru z powątpiewaniem.

Ja również nie mogłam w to uwierzyć. Jaki los spotkał pozostałe 99,7% populacji?

– Co masz na myśli, mówiąc o chaosie społecznym? – spytała Maria.

– Na początku, użytkownicy psychokinezy byli izolowani i wykluczani ze społeczności przez zwyczajnych ludzi. Nawet, jeśli ich umiejętności były niewielkie, było to więcej niż wystarczające do potencjalnego zniszczenia porządku społecznego tamtej epoki, a trzymali oni ten fakt w tajemnicy. W Japonii zagładę zapoczątkował incydent z chłopcem A.

– Chłopiec A? Czy to imię? – Mamoru zmarszczył brwi.

– Powszechną praktyką w tamtych czasach było zatajanie danych nieletnich zaangażowanych w działania kryminalne, więc został mu nadany pseudonim.

– Co on takiego zrobił? – zapytałam.

Spodziewałam się, że w najgorszym razie w odpowiedzi usłyszę, że był podejrzany o napad lub coś podobnego.

– Zdolności A były zaledwie elementarne, jednak pewnego dnia uświadomił on sobie, że jest w stanie otworzyć każdy napotkany zamek. Wykorzystując tę umiejętność, wielokrotnie włamywał się w środku nocy do domów, zgwałcił w śnie dziewiętnaście kobiet i zabił siedemnaście z nich.

Zamarliśmy ze zgrozy. Nie potrafiłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Gwałt. I morderstwo... Zabijanie ludzi.

– Poczekaj chwilę! To niemożliwe! No bo przecież A był człowiekiem, tak? Człowiek zamordował innego człowieka? – zapytał Satoru ochrypniętym głosem.

– Tak. Po aresztowaniu A liczba przestępstw popełnianych z użyciem psychokinezy wzrosła. Większość z tych spraw pozostała jednak nierozwiązana z powodu braku skuteczności powszechnie wykorzystywanych metod dochodzeniowych wobec wykorzystania psychokinezy. Rozpoczęły się ataki ludzi nieobdarzonych mocą na psychokinetyków; najpierw były skierowane przeciwko konkretnym osobom a ostatecznie przerodziły się w prześladowania całej zbiorowości, nierzadko prawie kończąc się linczem. Użytkownicy psychokinezy w ramach samoobrony utworzyli własne stronnictwo, a najbardziej zagorzali z nich postulowali stworzenie odrębnej, psychokinetycznej społeczności. Masowy terroryzm użytkowników psychokinezy przybierał na sile. Wynikłe z niego konflikty na tle politycznym, etycznym i filozoficznym pogrążyły świat w czasach brutalnej niezgody. Bezprecedensowość zaistniałej sytuacji sprawiła, że nie było widać możliwości zakończenia tej globalnej konfrontacji.

Zaniemówiłam i spojrzałam na przyjaciół. Strach wymazał z ich twarzy wszelkie inne emocje. Mamoru kulił się na ziemi, zatykając uszy obiema dłońmi.

–Państwo, będące największą potęgą militarną, Ameryka, rozpoczęło wojnę domową, mającą na celu wymazanie wszystkich użytkowników psychokinezy z powierzchni Ziemi. Dzięki dużej dostępności broni i wykorzystaniu wyładowań elektrycznych do odróżniania normalnych ludzi od psychokinetyków, populacja tych drugich w Ameryce Północnej skurczyła się w krótkim czasie z 0,3% do zaledwie 0,0004%...

– To nie może być prawda... – wyszeptał Satoru, nie przestając kiwać głową.

–Innemu mocarstwu naukowemu, Indiom, udało się natomiast zróżnicować DNA użytkowników psychokinezy i zwykłych ludzi. Prowadzono tam badania nad metodami kontroli ludzkich genów. Niestety, ich prace zakończyły się niepowodzeniem, jednak dane, które udało się im zgromadzić okazały się przydatne w późniejszych czasach...

Jak we śnie wlepiłam wzrok w zwierzę-maszynę, ściśnięte w szczypcach kraba tygrysięgo. Czy tak naprawdę mógł to być demon przysłany wprost z piekła, który miał oczarować nas swoimi dziwnymi słowami i ostatecznie doprowadzić do obłądzenia?

– Jak na ironię, z powodu życia w stanie ciągłego zagrożenia śmiercią, psychokinetycy, którzy zdołali ocaleć, gwałtownie rozwinęli swoje umiejętności. Na początku uważano, że psychokineza jest manifestacją energii wytwarzanej przez rozkład cukru w mózgu. Gdyby tak było, ilość glukozy w ciele musiałaby być jej naturalnym ogranicznikiem. Okazało się jednak, że ta teoria jest błędna. W rzeczywistości, nie było górnej granicy dla ilości energii, która mogła zostać wyzwolona. W momencie dokonania tego odkrycia, najsilniejszy spośród psychokinetyków dysponował siłą wystarczającą do powstrzymania ataku jądrowego. Użytkownicy psychokinezy przechylili na swoją stronę szalę zwycięstwa, doprowadzając do

upadku rządów na całym świecie. Obecne księgi historyczne nie mówią o dawnej cywilizacji, ponieważ została ona, w dosłownym tego słowa znaczeniu, kompletnie wyzerowana. Historia zatoczyła krąg i powróciliśmy do ciemnych wieków. Wojny, głód, epidemie i inne katastrofy spowodowały, że populacja człowieka skurczyła się do zaledwie dwóch procent swojej wartości z czasu Złotej Epoki...

Poczułam jak kołacze mi serce. To było naprawdę nieprzyjemne uczucie. Chciałam, by fałszywy minoshiro przestał mówić, ale nie mogłam zmusić ust do wypowiedzenia choćby jednego słowa. Wyglądało na to, że dotyczy to też wszystkich pozostałych.

– Nie jest możliwe dokładne odtworzenie dziejów historii podczas Ciemnych Wieków, które nastąpiły na następne pięćset lat. Infrastruktura upadła, i, co oczywiste, odcięty został dostęp do Internetu, uniemożliwiając zdalną komunikację. Zasięg informacji ponownie stał się ograniczony geograficznie, a ludzie powrócili do życia w niewielkich, zamkniętych światach – powiedział radośnie fałszywy minoshiro, zupełnie, jakby dzielił się z nami wspaniałymi wiadomościami. – Mimo tego, kilka nowych księzek zostało wydanych w tamtym okresie. Najbardziej wiarygodne źródła literackie z tamtej epoki mówią, że społeczeństwa północno-wschodniej Azji podzieliły się na cztery skonfliktowane grupy. Pierwszą z nich były niewolnicze imperia, rządzone przez użytkowników psychokinezy. Kolejną stanowiły zbieracko-łowieckie plemiona pozbawionych mocy ludzi, którzy chcieli uciec przed losem niewolników. Trzecią z grup tworzyli wędrowniczy bandyci, wykorzystujący psychokinezę do grabieży i morderstw. Ostatnią byli naukowcy, pragnący zachować starą wiedzę i technologię...

– Księżek, takich jak te małe, o których wspomniałeś wcześniej, jak te naprawdę niewielkie, które masz w swoim wnętrzu? – spytał Shun, przerywając ciszę.

Zmiana tematu spowodowała, że napięcie trochę opadło.

– Nie. Normalnych książek, wykonanych starą metodą druku na papierze. Nasza biblioteka przeskanowała je i zgromadziła zawarte w nich informacje.

Przestałam zważać na jego słowa, gdy tylko przeszedł do najważniejszej kwestii.

– Więc w takim razie należysz do czwartej grupy?

– Utrzymywaliśmy regularny kontakt, ale nie licząc tego, nie pracowaliśmy razem. Biblioteki istnieją, by chronić wiedzę ludzkości; niestety w tamtych czasach byliśmy celem wielu ataków. Z tego powodu wynaleziono zautomatyzowane roboarchiwa. W obszarach miejskich istniały modele, mogące dowolnie się poruszać przez system kanałów, jednak zostały zniszczone podczas ataków jądrowych. Jedyne rodzaje, które przetrwały, to były modele mające imitować żywe stworzenia, odporne na działanie żywiołów i zdolne do samodzielnego wytwarzania energii. Później były one dodatkowo modyfikowane, aż osiągnęły zdolność zmiany wyglądu w zależności od środowiska, w którym się znajdowały. Modele Autonomicznie Ewoluuujące, takie jak ja – powiedział dumnie fałszywy minoshiro.

– Samodzielne wytwarzanie energii... Więc czym się żywisz? – spytał Mamoru, unosząc głowę.

– Zwierzętami o odpowiednich rozmiarach. Najmniejsze organizmy, takie jak mikroby mogą zostać spożyte i strawione w całości. Albo, gdy nadarzy się okazja, mogą chwycić niewielkie ssaki i wysysać ich krew.

Już samo wyobrażenie o tym było obrzydliwe. Odwróciłam się tyłem do minoshiro.

– I co było później? Co stało się pomiędzy Ciemnymi Wiekami a dniem dzisiejszym? – Shun powrócił do pierwotnego tematu.

– Podczas Ciemnych Wieków, poza tymi czterema grupami, nie było nikogo więcej, prawda? Więc która z nich...?

Wreszcie zrozumiałam. Byliśmy bezpośrednimi potomkami którejś z czterech społeczności.

– Pierwsi wyginęli bandyci – powiedział minoshiro.

Słyszając to, poczułam lekką ulgę.

– Każdy z bandyckich klanów składał się mniej więcej z dwudziestu do trzydziestu spokrewnionych członków. Ponieważ nie wahali się oni używać psychokinezy i od czasu do czasu wybijali całe wioski, budzili ogromne przerażenie. Ich tryb życia był jednak wyjątkowo niestabilny. Dla bandytów, niewolnicze imperia i nomadzi byli jedynie zwierzyną. Dla tych dwóch grup z kolei, bandyci byli jedynie utrapieniem, które starano się eliminować wszelkimi dostępnymi metodami.

– Wszelkimi dostępnymi metodami? – zapytał Satoru. Dużo bym dała, by to pytanie w ogóle nie padło.

– Metodą transportu, w której lubowali się bandyci, była jazda na samobieżnych dwukołowych maszynach. Pomimo, że w tamtych czasach nie istniały już środki do produkcji silników czy opon, bandytom udało się przy użyciu psychokinezy odrodzić przemysł żelazny. Używali setek kilogramów żelaza do produkcji kół, a następnie dzięki psychokinezie rozpędzali je do prędkości trzystu kilometrów na godzinę. Z pryskającymi spod kół iskrami pruli przez równiny i plądrowali napotkane osady. Gdy tylko mieszkańcy zauważali chmury pyłu i słyszeli ryk ich silników, wiedzieli, że nadchodzi bogowie śmierci. W samoobronie kopali rowy, najeżone ostrymi, bambusowymi włóczniami i rozpinali cienkie linki na wysokości szyi najeźdźców. Używali też innych, prostych, lecz efektywnych pułapek, takich jak podkładanie min lądowych, nasączanie wystawionego jako przynęta jedzenia wolno działającymi truciznami, zarażanie śmiertelnymi chorobami młodych kobiet a następnie pozwalanie, by zostały zgwałcone przez bandytów oraz wielu innych sposobów.

Jego słowa ponownie napełniły mnie takim wstrętem, że musiałam usilnie walczyć z chęcią wymiotowania.

– Bandyci oczywiście mścili się brutalnie, wykorzystując psychokinezę. Źródłem ich upadku ostatecznie okazały się jednak konflikty wewnętrzne. Ponieważ wszyscy byli spokrewnieni, budzili

przestrach wśród wrogów spoza swoich klanów, jednak w ich szeregach panował odwieczny strach przed zostaniem zamordowanym przez własnych kompanów. Aby przetrwać, musieli być wyczuleni na najmniejsze oznaki wrogości ze strony współtowarzyszy. Mentalność „zabij zanim zabiją ciebie” upowszechniła się do takiego stopnia, że rozpad grup stał się nieunikniony.

Otarliśmy pot z twarzy i spróbowaliśmy rozluźnić niewidzialne pętle, ściskające nasze żołądki. Mamoru jednak najwyraźniej osiągnął już swój limit; odwrócił się tyłem i zaczął wymiotować w zarośla.

– Przestań! Zamknij się! – wykrzyczał Satoru. – Nie słuchajcie tego, co mówi!

– Nie... Poczekaj. Mam jeszcze tylko kilka pytań – powiedział Shun, choć również był blady jak duch. – Dość już o bandytach. Co się stało z pozostałymi trzema grupami?

– Dzięki polityce wzajemnej nieagresji i nieinterwencji, w północno-wschodniej Azji przez sześćset lat przetrwało około dziewiętnaście niewolniczych imperiów. Spośród czterech, zlokalizowanych na archipelagu wysp Japonii, posiadam jedynie dane na temat Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni, składającego się z regionów Kanto i Chubu. Dłużej istniało jedynie Imperium Nowego Yamato, w skład którego wchodziły wszystkie ziemie na zachód od Kansai. W każdym razie, Święte Cesarstwo Kwitnącej Wiśni w przeciągu pięciuset siedemdziesięciu lat było rządzone łącznie przez dziewięćdziesiąt cztery pokolenia cesarzy.

– Obędzie się bez opowiadania nam historii wszystkich dziewięćdziesięciu czterech – powiedziała Maria, marszcząc brwi.

– Dlaczego władcy zmieniali się tak często? – Shun wyglądał na wstrząśniętego bardziej niż pozostali, ale konsekwentnie drażył temat.

– „Studium Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni” cytuje historyka J. E. Actona: „Władze mają skłonność do zepsucia, a władza absolutna jest zepsuta do szpiku kości”. Psychokinetycy, rządzący niewolniczymi imperiami, posiadali moc, która nigdy wcześniej nie istniała w historii ludzkości. Byli dosłownie jak bogowie, ale tak

wielka potęga niesie ze sobą równie duże, niszczycielskie konsekwencje.

Historia fałszywego minoshiro była tak urzekająca, że chłoniliśmy każde jej słowo, niezależnie od tego, co na ten temat sądziliśmy.

– Święte Cesarstwo Kwitnącej Wiśni powstało jako oligarchia rządzona przez wąską grupę użytkowników psychokinezy. Następujące po sobie fale czystek politycznych doprowadziły ostatecznie do tego, że u sterów pozostała jedna osoba, która stała się władcą absolutnym. Personalia cesarza zawsze pozostawały tajemnicą. Władca podróżował w otoczeniu licznych sobowtórów; w państwie zamieszkałym przez dużą liczbę psychokinetyków trudno jednak było wykryć i powstrzymać każdą próbę zamachu na cesarza. Po tym, jak wymarli bandyci, pojedyncza rodzina użytkowników psychokinezy rządziła dziesiątkami tysięcy obywateli. Nawet to jednak nie było w stanie przynieść prawdziwego pokoju i stabilizacji.

– Wracajmy już. Jestem trochę zmęczony i coraz bardziej chce mi się pić... – skarżył się Mamoru z łzami w oczach; wciąż zakrywał uszy dłońmi.

Nikt się nie poruszył.

– Zgodnie z informacjami zawartymi w „Studium Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni”, szóstka najdłużej panujących imperatorów cierpiała na tę samą psychologiczną przypadłość. Wielu naukowców z Towarzystwa Terenowych Badań Historycznych i Grupy Obserwacyjnej Sakura straciło życia, badając tę sprawę.

Nie licząc Mamoru, wszyscy ulegliśmy tej nowej formie hipnozy. Głos fałszywego minoshiro wwiercał się w nasze bębenki, niosąc się echem bezpośrednio w umysłach.

– Każdemu z cesarzy przyznawano pośmiertnie przydomek, odzwierciedlający czyny, których dokonał za życia. W niektórych przypadkach były to szydercze przezwiska nadawane przez lud. Wedle zachowanych zapisków, podczas koronacji piątego imperatora, Cesarza Rozkoszy, radość i aplauz publiczności trwały przez trzy dni i trzy

noce. Może to brzmieć na grubą przesadę, ale później odkryto prawdziwą istotę tamtego wydarzenia. Pierwsze sto osób, które przestało klaskać, stało się ofiarami. Zostali podpaleni, a ich zwęglone ciała przekształcono w posągi zdobiące pałacowe korytarze. Od tego momentu Cesarz Rozkoszy był nazywany Cesarzem Wiecznych Wrzasków – kontynuował spokojnie fałszywy minoshiro.

– Trzynasta z władców, cesarzowa Airin, była zwana Królową Smutku. Każdego poranka z radością przyglądała się publicznym egzekucjom ludzi, którzy choćby troszeczkę ją zdenerwowali. Wśród pałacowych robotników zwyczajem stało się powstrzymywanie się od jedzenia tylko po to, by nie zwymiotować ze zgrozy podczas egzekucji...

– Trzydziestego trzeciego imperatora, Cesarza Wspaniałomyślności, przez całe życie nazywano Królem Wilkiem, jednak ten przydomek zyskał z czasem negatywne zabarwienie. Stało się tak dlatego, że często dla kaprysu robił sobie wycieczki po mieście, zostawiając za sobą góry trupów, podobnie jak rozszalała bestia. Psychokinetyczny obraz Cesarza Wspaniałomyślności przedstawiał szczęki olbrzymiego potwora, wyrwijące ludziom kończyny; mówiło się jednak, że niektóre z ciał noszą ślady zębów samego władcy...

– Syn Cesarza Wspaniałomyślności, trzydziesty czwarty imperator, Cesarz Nieskalanej Cnoty, został po swojej śmierci nazwany Królem Heretykiem. Gdy miał dwanaście lat, udusił swojego ojca i rzucił jego zwłoki na pożarcie psom. Był wielbiony przez lud, lecz szybko został ogarnięty paranoicznym strachem przed zostaniem zamordowanym, więc po kolei pozabijał wszystkich swoich młodszych braci i męską część kuzynostwa, pozwalając by karaluchy pożarły ich ciała. Pomimo tego, że nie było już zagrażających jego władzy użytkowników psychokinezy, na jego tron zaczęły czyhać inne niebezpieczeństwa. Zwyczajni obywatele rozpoczęli próby zamachu. Ostatecznie, Cesarza Nieskalanej Cnoty ogarnęła nienormalna obsesja karmienia dzikich zwierząt żywymi ludźmi...

– Sześćdziesiąta czwarta władczyni, Cesarzowa Świętej Dobroci, otrzymała przydomek Sowiej Królowej jeszcze zanim wstąpiła na tron. Wierzyła we wszystkie dziwne kultury, a manifestacją jej psychokinezy była potworna sowa, pojawiająca się podczas pełni księżyca i porywająca młode dziewczyny w ciąży. Wyrywała ona z ich ciał płody, nabijała je na pal i składała w ofierze zdegenerowanym bożkom wspomnianych kultów...

Zadrżałam. Obraz, który sama wyobrażałam sobie, używając cantusu był bardzo podobny. Wyraźnie tworzyłam wizję olbrzymiej istoty lecącej przez nocne niebo.

– Stało się zwyczajem, że następca tronu zabijał swojego poprzednika, by zająć jego miejsce. Gdy osiągał on wiek młodzieńczy i budziła się jego psychokineza, życie cesarza stawało się płomykiem świecy na wietrze. Z tego powodu, książęta byli bacznie obserwowani pod kątem jakichkolwiek oznak buntu i bardzo częstą praktyką stało się ich prewencyjne zabijanie, bądź wykłuwanie oczu i wtrącanie do lochów. Siedemdziesiąty dziewiąty imperator, Cesarz Miłosiernego Światła zdał sobie sprawę, że może korzystać z psychokinezy, gdy miał dziewięć lat. O świcie zakradł się do pałacu i ukrył we wnęce za jedną z ustawionych w rzędzie, stojących w sali tronowej waz. Miał stamtąd doskonały widok na tron. W chwili, gdy jego ojciec, Cesarz Szczerości, na nim usiadł, zatrzymał pracę jego serca. Następnie, wykorzystując psychokinezę udał, że cesarz nadal żyje i skręcił karki wszystkim jego doradcom i pomocnikom, a później umieścił ich ciała w stojących wzdłuż korytarza wazach. Życie straciło ponad dwanaście osób, lecz dla Cesarza Miłosiernego Światła, który dał się poznać jako najpotworniejszy morderca Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni, to była zaledwie rozgrzewka. Zabijanie było dla niego równie naturalne jak oddychanie. Niektórzy mówili nawet, że gdy zabijał swoich służących i obywateli, w połowie przypadków nie był nawet świadomy swoich czynów. Podczas jego panowania, populacja cesarstwa zmalała o połowę, na ulicach zalegały stosy ciał, niebo zasnuwały chmary much, a zapach rozkładu niósł się na dziesiątki

kilometrów. Dziś zapomniano już o przydomku Cesarza Miłosiernego Światła i w pamięci zostaje jedynie inne imię – Króla Rzezi.¹ O tym, jak bardzo niehumanitarna była jego osobowość świadczyć może...

– Skończ! Mówiłem już, żebyś przestał! – wrzasnął Satoru. – W jakim celu każesz nam tego słuchać? Z tego co wiemy, to wszystko może być zmyślone. Shun, daruj już sobie! To doprowadzi nas do szaleństwa.

– Też nie czerpię przyjemności ze słuchania tych słów. – Shun obliznął usta, z których odpłynęła cała krew, i spojrzał na fałszywego minoshiro. – Jak powstało nasze społeczeństwo? To wszystko, co chcę wiedzieć. Oszczędź mi zbędnych szczegółów. Powiedz po prostu, w jaki sposób powołano do życia naszą społeczność.

– Pięćsetletni okres Ciemnych Wieków zakończył się wraz z upadkiem niewolniczych imperiów. Długotrwałe odseparowanie od kontynentu i wzajemne eliminowanie się kolejnych pokoleń sprawiło, że na wyspach Japonii doszczętnie wyginęły wszystkie linie rodowe posiadające zdolności psychokinetyczne. Imperia podzieliły się i zaczęły toczyć między sobą wojny. Żyjące w dziczy plemiona myśliwych rozpoczęły konspiracyjne ataki na niechronione już wioski, które z kolei zawiązywały między sobą sojusze, sprawiając jedynie, że walki przybierały na sile. W ciągu następnych, naznaczonych wojną dekad, ci którzy zostali zabici przez psychokinetyków, urosli do rangi męczenników. Naukowcy, którzy dotychczas jedynie biernie obserwowali bieg wydarzeń, wyszli z ukrycia, by wprowadzić porządek.

Więc to byli oni. Poczułam jak ciepłe uczucie ulgi rozlewa się po moich piersiach. Krew cesarzy nie płynie w naszych żyłach, tak samo jak krew bandytów. Jesteśmy potomkami tych, którzy zawsze stali na straży logiki i rozsądku.

– Ale w jaki sposób ich społeczeństwo stało się tym, które istnieje obecnie? Zwyczajni obywatele imperiów niewolniczych oraz

¹ Oryginalne imię tłumaczy się raczej jako „Król Stosów Ciał i Rzek Krwi”, ale wzorując się na przekładzie na angielski, uznałem, że jest trochę za długie

myśliwi-zbieracze nie posiadali cantusu... psychokinezy, prawda? Co się z nimi stało? – Shun wyrzucił z siebie serię pytań.

Wydawało mi się, że fałszywy minoshiro oczekiwał, że zostanie o to zapytany.

– Istnieje niewiele wiarygodnych źródeł z kilku ostatnich wieków. Obawiam się, że nie potrafię ci odpowiedzieć. – odparł.

– Dlaczego? Przecież naukowcy musieli prowadzić zapiski, prawda? – zagryzła usta Maria.

– Robili to podczas Ciemnych Wieków. W celu wprowadzenia kontroli i stworzenia nowego społeczeństwa przyjęto jednak inną strategię. Skoro cała wiedza jest jak obusieczny miecz, postanowiono kontrolować przepływ wszelkich informacji tak ściśle, jak to możliwe. Na nieszczęście, oznaczało to spalenie wielu ksiąg. Filia Tsukuby Biblioteki Zgromadzenia Narodowego, czyli ściślej mówiąc – ja, po przeanalizowaniu sytuacji i zadecydowaniu, że grozi mi niebezpieczeństwo, postanowiłam na pewien czas wraz z licznymi kopiami zapasowymi ukryć się na górze Tsukuba.

Najwyraźniej według definicji fałszywego minoshiro, „pewien czas” oznaczał kilkaset lat.

– Zewnętrzna powłoka biblioteki od tamtej chwili zaczęła się zmieniać i wytworzyła czułki, imitując minoshiro. Nawet w przypadku napotkania człowieka posiadającego cantus mogę uciec, używając jednej z moich dodatkowych zdolności – hipnozy świetlnej.

– Nie o to pytam! – prychnął Shun. – W jaki sposób *ich* społeczeństwo stało się *naszym* społeczeństwem? Nie, może nie musiało się nim stawać... To naukowcy stworzyli dzisiejszą społeczność, racja? Jeśli byli naszymi przodkami, to musieli posiadać cantus, lecz w przeciwieństwie do cesarzy i bandytów nie używali go nigdy do walki. Dlaczego tak było?

Uświadomiłam sobie, że to nie jest takie oczywiste. Jeżeli nasz świat rzeczywiście był taki, jak w opowieściach o Szeherazadzie, oznaczało to, że historia ludzkości jest niewiarygodnie krwawa. Innymi słowy, jeśli stworzenie zwane człowiekiem było z natury tak

brutalne i krwiożercze, że nawet kraby tygrysie w porównaniu z nim pod tym względem wypadają blado, to jak to możliwe, że nasze obecne społeczeństwo jest takie pokojowe?

– Zdawali sobie sprawę z nieograniczonego potencjału i niszczycielskiej siły psychokinezy, więc największym problemem, z jakim borykali się u schyłku poprzedniej cywilizacji było to, w jaki sposób uchronić kogoś przed wyrządzeniem krzywd. W tym celu psychologowie, socjologowie, biolodzy i inni naukowcy prowadzili przeróżne badania, nie ma jednak informacji dotyczących strategii, którą ostatecznie zdecydowali się przyjąć.

– Znasz jakieś pomysły, na które wpadli? – spytałam.

– Jedną z pierwszych propozycji było skupienie się na znaczeniu edukacji. Wczesne nauczanie o wrażliwości, logice i moralności udzielane przez rodziców, żarliwe głoszenie wiary; każdy aspekt edukacji był jasno zaplanowany. W rezultacie okazało się, że choć miało to krytyczne znaczenie, nie było wystarczające. Niezależnie od tego, jak perfekcyjny by nie był system nauczania, brutalne skłonności rasy ludzkiej nie mogły zostać całkowicie stłumione.

Mimo tego, że była to tylko zebrana treść kilku książek, fałszywy minoshiro mówił tak płynnie, jakby wyrażał własne przekonania.

– Kolejną z sugestii było podejście psychologiczne. Badano także działanie ćwiczących umysł technik radzenia sobie z gniewem, takich jak zen, joga czy medytacja transcendentalna w połączeniu z bardziej drastycznymi środkami, jak leki psychotropowe. Obydwie metody były skuteczne, ale od razu stało się jasne że żadna z nich nie jest idealna. Jednakże, testy psychologiczne i behawioralne z prawie stuprocentową dokładnością pozwalały na odsiewanie dzieci mogących wyrządzić potencjalne szkody. Następnym krokiem było więc w prowadzenie w życie tak zwanej Teorii Zgniłego Jabłka. Zwyczajową praktyką stało się eliminowanie dzieci, wykazujących jakiegokolwiek ostrzegawcze oznaki.

Wzdłuż kręgosłupa przebiegły mi ciarki. Nie chciałam myśleć o tym, co przyszło mi do głowy, ale mimowolnie to zrobiłam.

*Czy to możliwe, że tą regułę stosuje się do dnia dzisiejszego?
W Szkole Harmonii, w Akademii Mędrców...*

– Nawet to nie wystarczyło jednak, by uniknąć wszystkich niebezpieczeństw. Nawet zwykli, serdeczni i przyjaźni ludzie, żyjący pełnią życia, mogli zatracić się w przypiływie gniewu. Badania wykazały, że dziewięćdziesiąt procent doświadczanego przez ludzi stresu wywołane jest przez innego człowieka. Jak można utrzymać bezpieczeństwo społeczeństwa, jeżeli każdy z jego członków podczas trwającego ułamek sekundy przypiływu silnego gniewu, jest w stanie z łatwością urwać głowę stojącej przed nim osobie?

Przemówienie fałszywego minoshiro urzekło nas tak doszczętnie, że nie mogliśmy odtrącić jego słów. Gdy teraz o tym pomyślę, ta zdolność mogła być kolejną z jego wielu funkcji obronnych.

– Kiedy wyczerpano możliwości metod psychologicznych, zastąpiono je lekami, zaprojektowanymi do regulowania równowagi hormonalnej w mózgu. Szybko ujawniły się ograniczenia tej metody, ponieważ utrzymywanie ludzi na lekach przez całe życie było niemożliwe. Dziedziną nauki, która przejęła pałeczkę była etologia. Skupiono się na społecznościach małp naczelnych, zwanych bonobo. Nazywano je też czasami szympanсами karłowatymi, lecz podczas gdy zwykle szympanсы znane są z prowadzenia brutalnych walk, nieraz na śmierć i życie, w grupach bonobo praktycznie nie spotyka się incydentów agresji.

– Czemu? – zapytałam.

– Kiedy wśród członków stada narasta gniew i niepokój, dają mu upust poprzez intymne zachowania seksualne. Dorosłe samce i samice odbywają stosunki, ale nawet niedojrzale osobniki i pary jednopłciowe pocierają wzajemnie swoje genitalia w akcie seksualnej zabawy. Prymatolodzy i socjolodzy uznali, że najwyższą

koniecznością jest przekształcenie dotychczasowej, brutalnej zbiorowości w społeczeństwo oparte na miłości, jak u bonobo.

– Jak tego dokonali?

– Podręcznik „Ku Społeczeństwu Miłości” wylicza trzy kroki. Pierwszym z nich był częsty kontakt fizyczny, taki jak trzymanie się za ręce, przytulanie czy całusy w policzek. Drugi etap zakładał zachęcanie do takich kontaktów, zarówno z płcią przeciwną, jak i w obrębie własnej płci, począwszy od dzieciństwa, aż do późnej starości. Chciano w ten sposób wytworzyć nawyk rozpraszania napięć międzyludzkich poprzez seksualne zabawy i przeżywanie orgazmów. Trzecim krokiem było zachęcenie dorosłych ludzi do praktykowania między sobą swobodnego seksu. Oczywiście, konieczne było stosowanie wygodnych i skutecznych środków antykoncepcyjnych.

Spojrzelśmy na siebie wzajemnie.

– Więc ludzie kiedyś tacy nie byli? – zapytała Maria z niepokojem, marszcząc brwi.

– Nie mam danych na temat obecnie żyjącego społeczeństwa, więc trudno jest mi dokonać porównania, ale w starożytnych cywilizacjach występowały różne zakazy i ograniczenia dotyczące kontaktów fizycznych. W wielu miejscach związki homoseksualne były nielegalne i karane. To samo dotyczyło swobodnego seksu.

Dla nas kontakt fizyczny był codziennością, czymś doskonale zwyczajnym. Dziewczęta z chłopcami, dziewczęta z dziewczętami, chłopcy z chłopcami, dorośli z dorosłymi, dzieci z dziećmi i dorośli z dziećmi. Zasadniczo, intymny kontakt między ludźmi był czymś dobrym. Jedynym wyjątkiem od tej reguły były zachowania, mogące prowadzić do ciąży; po spełnieniu pewnych warunków można było uzyskać na nie odpowiednie pozwolenie od Komisji Etyki.

– Jednak również to okazało się niewystarczające. Komputerowe symulacje przewidywały, że społeczność upadnie w przeciągu dziesięciu lat, nawet jeśli wszystkie podjęte środki zadziałają perfekcyjnie. Powód takiego stanu rzeczy był zupełnie jasny. Wszyscy członkowie psychokinetycznego społeczeństwa byli w posiadaniu

odpowiednika przycisku, wystrzeliwującego bombę atomową. Wystarczyłoby, żeby choć jedna osoba utraciła kontrolę, by doprowadzić do zniszczenia całej infrastruktury.

Tak jak wcześniej, byłam w stanie zrozumieć mniej więcej połowę z tego, co mówił fałszywy minoshiro. Niezależnie od tego, odczuwałam ciężar jego słów.

– Ludzkie zachowanie można kontrolować poprzez edukację, psychologię i eugenikę. A ponieważ ludzie również są gatunkiem naczelnym, także etologia może być wykorzystana do stworzenia bezpieczniejszego środowiska. Jednakże, by ta tama zwana społeczeństwem mogła ocaleć, nie można dopuścić do pojawienia się w jej ścianie nawet pojedynczej rysy. Ostateczne rozwiązanie oparło się na pomysł, że człowiek nie jest niczym więcej, jak społecznym ssakiem, i tak też musi być traktowany.

Co za ironia. Kiedy człowiek w końcu otrzymał moc równą boskiej, okazało się, że jej posiadanie daleko wykracza poza jego możliwości. Żeby móc kontrolować taką potęgę, ludzkość musiała zostać zdegradowana do rangi małp, a później sprowadzona jeszcze niżej, do poziomu zwykłych ssaków socjalnych.

– Etolog o imieniu Konrad Lorenz, żyjący u szczytu starej cywilizacji stwierdził, że silne zwierzęta, takie jak wilki czy kruki, jak również zwierzęta socjalne, posiadają wrodzony mechanizm, zmuszający je do unikania konfliktów z przedstawicielami własnego gatunku. Nazwano to kontrolą ataku. Z drugiej strony, słabsze fizycznie zwierzęta, jak ludzie i szczury, nie podlegają takiej kontroli i mają tendencję do walczenia między sobą, co kończy się brutalną rzezią. Skoro psychokinetycy mieli żyć obok siebie w społeczności, niezbędny był potężny ogranicznik przemocy.

– Ale jak to zrobili? – wyszeptał Shun, jakby mówił do siebie.

– Jediną skuteczną metodą była modyfikacja ludzkiego genomu. Z rozkodowanego wilczego DNA wyizolowano gen odpowiedzialny za kontrolę agresji. Samo to jednak nie wystarczyło. Potrzebne było jeszcze coś, co upośledzi samą zdolność ataku.

– Więc, ujmując to inaczej, mówisz, że ludzkie zdolności kontroli agresji nie pochodzą od wilka, ale z jakiegoś innego, niezwykle potężnego źródła?

– Nie ma wiarygodnych danych, które dowodziłyby, że ludzkie geny zostały zmodyfikowane do tego stopnia, więc można tylko snuć domysły. Jednakże, do kodu genetycznego dodano dwa mechanizmy. Pierwszy z nich to zwykły mechanizm kontroli ataku, taki sam, jak u wilków. Drugim jest coś, co nazwano śmiertelnym sprzężeniem zwrotnym.

Prąd przebiegł mi po ciele. Śmiertelne sprzężenie zwrotne było czymś, o czym wielokrotnie mówiono nam już w Szkole Harmonii i co było zakorzenione głęboko w naszej świadomości. To najpodlejsza, najbardziej haniebna śmierć, jaka może spotkać człowieka.

– Na początku wymyślono coś, co nazwano sprzężeniem zwrotnym sumienia. Mechanizm ten miał zaburzać koncentrację osoby, próbującej zaatakować innego człowieka psychokinezą i stanowić uzupełnienie kontroli ataku. Nie udało się jednak osiągnąć powtarzalnych efektów mechanizmu, więc był on nieskuteczny w codziennym życiu. Zamieniono go więc na proste, ale skuteczne śmiertelne sprzężenie zwrotne. Sposób jego działania jest następujący: Kiedy umysł człowieka rozpoznaje zamiar skrzywdzenia innej osoby, podświadomie aktywuje się psychokineza, która zatrzymuje funkcję nerek i przytarczyc. Skutkuje to takimi objawami jak dyskomfort, kołatanie serca i pocenie się. Efekty te można dodatkowo nasilić poprzez edukację, warunkowanie i hipnozę. W tym momencie większość ludzi powstrzymuje się od ataku, ale jeśli mimo to agresja jest kontynuowana, człowiek ponosi śmierć w wyniku tężcowego skurczu mięśni oddechowych, spowodowanego niskim poziomem wapnia we krwi, bądź w efekcie nagłego zatrzymania krążenia, wywołanego gwałtownym wzrostem stężenia potasu.

– To... To niemożliwe – wydusił Satoru.

Jeśli to wszystko było prawdą, to w co my właściwie wierzyliśmy przez te wszystkie lata? Zawsze uczono nas, że nam, ludziom, została podarowana boska moc jako dowód uznania dla naszych cnót. W rzeczywistości, bez stale utrzymującej nas w ryzach groźby śmierci, walczylibyśmy między sobą aż do kompletnego unicestwienia naszego gatunku. Czy to nie znaczy, że jesteśmy znacznie bardziej prymitywnymi zwierzętami niż wilki i kruki?

– Kłamiesz! To wszystko gówno prawda! – wysyczała Maria przez zaciśnięte zęby.

– Ale to ma sens – powiedział Shun niskim tonem.

– Więc mu wierzysz?

Zamiast mi odpowiedzieć, Shun zadał fałszywemu minoshiro pytanie.

– Czy... Czy Bestie pojawiły się właśnie wtedy?

Zmarszczyłam czoło. To od tego rozpoczęła się cała rozmowa, ale co miały wspólnego Bestie z tym, co przed chwilą usłyszeliśmy od fałszywego minoshiro?

– Nie. Bestie, czyli osoby chore na zespół Ramana-Klogiusa, istniały już przed upadkiem dawnej cywilizacji. Uważa się, że również karmiczne demony, czyli przypadki zespołu Hashimoto-Appelbauma pojawiły się w tamtym okresie. Podczas wojennego chaosu oraz w epoce Ciemnych Wieków ich istnienie nie było jednak obiektem szczególnego zainteresowania.

Nie rozumiałam wtedy do końca, co ma na myśli fałszywy minoshiro. Gdy teraz sięgam pamięcią do tamtej rozmowy, Bestie i karmiczne demony mogły doskonale maskować swoją obecność w świecie pełnym przemocy, w którym śmierć i rozlew krwi były codziennością.

– Więc twierdzisz, że zaczęliśmy zauważać ich istnienie dopiero, gdy stworzono nasze społeczeństwo? Ale czy to nie jest tak, że struktura naszej społeczności została celowo zaprojektowana w taki sposób, by przede wszystkim zapobiegać ich pojawianiu się? – zapytał ostro Shun.

– Nie posiadam informacji o teraźniejszym społeczeństwie, więc nie mogę odpowiedzieć na twoje pytanie.

– Ale odnosząc się do tego, co mówiłeś wcześniej o śmiertelnym sprzężeniu zwrotnym, dlaczego Bestie...

– P-poczekaj sekundę – przerwał mu Satoru poddenerwowanym tonem. – Shun, może ty rozumiesz, o czym mowa, ale my nie nadażamy. Bestie, to coś-tam-Klogiusa, czym one dokładnie są? I czym się różnią od karmicznych demonów?

– Zespół Ramana-Klogiusa to inna nazwa na...

Wszyscy słuchaliśmy w skupieniu, lecz nigdy nie było nam dane usłyszeć pozostałej części zdania.

Fałszywy minoshiro i ściskający go krab tygrysi nagle stanęli w gorących, białych płomieniach.

Instynktownie odskoczyliśmy, patrząc w oszołomieniu na to, co się dzieje. Krab wypuścił minoshiro i próbował ratować się ucieczką. Dziko machając szczypcami, przyciągnął ciało do ziemi, ale nie był w stanie ugasić ognia. Wydał z siebie pisk, przetoczył się na plecy i znieruchomiał.

Fałszywy minoshiro zwijał się w przód i w tył. Jego ciało wydzielalo ogromne ilości gęstej, pianistej cieczy. Wyglądało jednak na to, że płomienie pochodzą z samych piekielnych czeluści i nie da się ich zdławić. Gumowata skóra stopiła się z gorąca i szybko uległa zwęgleniu.

Wtedy coś dziwnego pojawiło się nad płonącym ciałem fałszywego minoshiro.

To była matka, trzymająca niemowlę. Obraz był trójwymiarowy. Patrzyła na nas błagalnie pełnymi łez oczyma. Oddychanie stało się bolesne, a nasze ciała zamarły w bezruchu.

Co zdumiewające, z chwilą pojawienia się obrazu kobiety, płomienie zniknęły. Wyglądało jednak na to, że minoshiro zbyt późno zagrał swoją atutową kartę. Obraz zaczęły zniekształcać dziwne, migoczące linie, a całość pociemniała i ostatecznie nagle zniknęła.

Chwilę później, również fałszywy minoshiro przestał się poruszać. Z jego poczerńiałego ciała unosił się drażniący, biały dym.

– Kto...? – spytał ochryple Satoru, rozglądając się po nas.

– Kto co? – zapytała beznamiętnie Maria.

– Widzieliście to, nie? Sposób, w jaki płonął ten ogień był niewiarygodny. Musiał być stworzony przez cantus, tak mi się wydaje. Ale kto to zrobił?

Wszyscy podskoczyliśmy, słysząc dobiegającą zza pleców odpowiedź.

– Ja.

To był ktoś odziany w kapłańskie szaty. Był zdumiewająco wysoki, miał przenikliwe, jastrzębie oczy. Jego głowa wyglądała na świeżo ogoloną, a czoło było usiane kroplami potu.

– To był demon, którego słowa mamią umysł i zniewalają duszę. Musiał zostać spalony, gdy tylko się ujawnił. Co, u licha, wy tu właściwie robicie?

– Płynęliśmy... – Satoru próbował odpowiedzieć, ale zabrakło mu słów.

– Płynęliśmy w górę rzeki Tone, w ramach letniego obozu – dokończyła za niego Maria.

– Czy szkoła wyraziła zgodę na to, byście tak bardzo się oddalili? – Kapłan skrzyżował ramiona, co nadało mu chwilowo bardziej ponury wygląd.

Nie odważyliśmy się na więcej kłamstw.

– Przepraszamy. Nie mieliśmy zgody. Nie zamierzaliśmy płynąć tak daleko – powiedział Shun z szacunkiem.

– Rozumiem. Nie zamierzaliście? Więc dla zabawy uwiązaliście kilka krabów, przypadkowo schwytaście tego demona i zupełnie niezamierzenie wypytywaliście go o Bestie?

Żadne z nas nie odezwało się nawet słowem. Nie było możliwości wytłumaczenia się z tej sytuacji.

– Jestem Rijin, emerytowany mnich, służący w Świątyni Czystości. Dobrze wiem kim jest każde z was.

Emerytowany mnich zajmował najwyższe stanowisko w świątynnej sekcji edukacji. Nagle sobie przypomniałam. Jako zastępca Naczelnego Mnicha Mushina stał tuż za nim podczas ceremonii przejścia w dorosłość.

– Pójdziecie teraz ze mną do świątyni. Nie pozwolę wam wrócić do wioski, dopóki Naczelnny Mnich Mushin nie dowie się, co tu miało miejsce.

– Poczekaj chwilę. Zanim pójdziemy, odpowiedz mi na jedno pytanie – powiedział Shun, wskazując na szczątki fałszywego minoshiro. – Czy wszystko, co powiedział było kłamstwem?

Nasze serca boleśnie łomotały w piersiach, gdy tego słuchaliśmy. Pomyślałam, że nie powinien o to pytać. Tak jak się spodziewałam, Rijin spojrzał na nas z dziwnym błyskiem w oczach.

– Wierzysz mu?

– Sam nie wiem. To bardzo się różniło od wiedzy przekazywanej nam w szkołach. Ale to co mówił, było bardzo spójne.

Słowa Shuna wyraziły odczucia nas wszystkich. W sytuacjach takich, jak ta, szczerść mogła jednak okazać się nienajlepszym posunięciem.

– Złamaliście zasady, przychodząc do miejsca dla was nieprzeznaczonego. Co więcej, zwiodły was słowa demona. To samo w sobie jest śmiertelnym grzechem, ale prawdziwy problem jest znacznie poważniejszy. – Głos Rijina był tak zimny, że zmroził nam krew w żyłach. – Pogwałciliście najbardziej fundamentalną regułę Kodeksu Etyki, ostatnie z Dziesięciu Wskazań: „Nie bezczęść Trzech Klejnotów”. Uwierzyliście w słowa demona i poddaliście w wątpliwość nauczanie Buddy. Z tego powodu muszę natychmiast zapieczętować wasz cantus.

Rijin sięgnął do swych szat i wyciągnął plik kartek. Dwukrotnie złożonych półarkuszy z których uformowano kształt człowieka. Położył przed nami pięć z nich.

Głowa i tors kukielki były pokryte dziwnymi symbolami, wyglądającymi na sanskryt. Przypomniałam sobie ceremonię

w Świątyni Czystości, podczas której Naczelny Mnich Mushin tymczasowo zapieczętował moją moc.

Nie – pomyślałam. Nie chcę stracić cantusu. Nie chcę znowu czuć tej bezradności, która towarzyszyła mi dopóki nie ukończyłam Szkoły Harmonii.

W sytuacji, w której się znajdowałam, nie mogłam nawet myśleć o nieposłuszeństwie.

– Zamknę teraz wasz cantus w tych oto figurkach – ogłosił Rijin.
– Zmuscie je, by powstały.

Sprawiłam, że człowieczek stanął przede mną. Oczy wypełniły mi się nagle łzami, które zaczęły spływać po policzkach.

– Shun Aonuma! Maria Akizuki! Satoru Asahina! Mamoru Itou! Saki Watanabe! – Głos Rijina niósł się echem wśród okolicznych drzew. – Wasz cantus został tu zapieczętowany!

Cała chmara igieł, niczym rój karmazynowych os, wyfrunęła z jego dłoni i przebiła czoła, piersi i kończyny kukielek.

– Niech wasze umysły zostaną uzdrowione... Pozwólcie spłonąć waszym żądzom... A ich popioły niechaj powrócą do przepastnej, dzikiej ziemi – zaintonował nisko Rijin, podczas gdy figurki zostały pochłonięte przez eksplozję płomieni.

To wszystko było farsą, niczym więcej, jak zwykłą sugestią hipnotyczną. Nie powinno było sprawić, że utracę możliwość korzystania z cantusu. Zdziałało tylko dlatego, że byłam jeszcze młoda i nie uczyniłam własnej mocy w pełni moją. Teraz mój cantus należy tylko i wyłącznie do mnie. Nikt nie może mi go odebrać.

W taki właśnie sposób próbowałam przekonywać się, że tak jest w istocie. Rijin jednak nie dokończył jeszcze rytuału zapieczętowania.

– Pamiętajcie, wyrzekliście się swojej mocy w obliczu Buddy w Świątyni Czystości. Dzięki jego miłosierdziu otrzymaliście od Naczelnego Mnicha Mushina czystą mantrę, zostaliście natchnieni nowym duchem i przywrócono wam wasz cantus. – Głos Rijina przybrał złowieszczą barwę. – Lecz wy, którzy porzuciliście ścieżkę

Buddy, sprawiliście, że wasze dusze uleciały, a mantry zniknęły. Niech te słowa dotrą do głębi waszych serc. Nigdy już nie przypomnicie sobie swoich mantr.

Wykorzystał w ten sposób coś w rodzaju głęboko zakotwiczonej w naszej podświadomości linki. Wystarczyło jedynie, że za nią pociągnął, byśmy ulegli jego sugestiom, i by mógł kontrolować nasze umysły wedle własnej woli.

Wówczas jednak zadziało to perfekcyjnie. Mantra, którą zwykle nosiliśmy wyrytą w sercach, wyparowała bez śladu.

Spojrzałam na przyjaciół, poszukując choćby promyka nadziei, ale na wszystkich twarzach gościł ten sam wyraz. Wyglądający, jakby miał się zaraz rozplakać Satoru cały czas kręcił głową.

– Ruszajmy więc – powiedział Rijin, rzucając nam pogardliwe spojrzenie. – Nie ociągajcie się. Musimy dotrzeć do świątyni przed zmierzchem.

Część II: Letni mrok

Rozdział 1

Po około godzinnym marszu, nasze lekkie z początku plecaki zaczęły ciążyć coraz bardziej i bardziej, aż ostatecznie wydawało nam się, że zapakowaliśmy do nich kajaki. Nasze tempo spadło tak bardzo, że ledwo co się przemieszczaliśmy.

Od czasu, gdy tylko rozpoczęliśmy naukę w Akademii Mędrców, polegaliśmy na cantusie w celu wykonywania wielu czynności i prawdopodobnie zaniedbaliśmy sprawność fizyczną naszych ciał. Odebranie nam mocy sprawiło, że poczuliśmy się tym bardziej słabi i bezradni.

Co jakiś czas Rijin schodził ze swojego siedziska zrobionego z lotosu i obserwował nasze ślimacze ruchy z pogardą i rozdrażnieniem; nigdy jednak nie odezwał się ani słowem. Najpewniej uważał, że rozmowa z nami jest bezcelowa.

Lotosowy fotel unosił się dwa metry nad ziemią. Rijin siedział w nim po turecku, medytując. My wlekliśmy się jakieś trzydzieści metrów za nim, a gdy na niego patrzyliśmy, było to zupełnie jakbyśmy obserwowali go z dna stawu.

– To jest dopiero prawdziwa lewitacja – szepnął Shun, próbując stłumić emocje.

Nawet dorośli, którzy wyuczyli się wszystkiego, co oferuje Akademia Mędrców, nie w każdym przypadku umieli zrobić coś takiego. Natomiast w porównaniu do naszego przyspieszania płynących kajaków, był to zupełnie inny poziom.

– Rozumiem, w jaki sposób sprawić, żeby lewitował przedmiot, na którym się siedzi, ale jaki dokładnie obraz on sobie wyobraża, by napędzać w powietrzu samego siebie?

Na początkowych lekcjach korzystania z cantusu, uczyliśmy się, jak poruszyć nieruchomym obiektem. Aby poruszać w powietrzu samym sobą, trzeba skoncentrować się na punkcie w stałej odległości od własnego ciała, co jest znacznie trudniejsze. Ludzie, tacy jak Rijin, którzy trenowali latami, wyobrażają sobie prawdopodobnie siebie jako

wspomniany nieruchomy punkt, względem którego przesuwa się reszta świata.

– Obraz, który widzi nie ma już żadnego znaczenia, nie? – powiedział posępnie Satoru. – Nie zanosz się na to, byśmy kiedykolwiek mogli ponownie używać swojego cantusu.

Wszyscy zamilkliśmy. Pozostający przez ten cały czas na granicy łez Mamoru w końcu wybuchnął płaczem. Również Maria zaszlochała.

– To nieprawda. Nie gadaj takich rzeczy! – spojrzałam na Satoru. – Z pewnością go odzyskamy!

– Skąd możesz to wiedzieć? – odparł Satoru, oglądając się do tyłu z nietypową dla siebie zaciekłością.

– Nie straciliśmy mocy. One zostały tylko tymczasowo zapieczętowane.

– Naprawdę myślisz, że zamierzają je odpieczętować? – Satoru pochylił się w moim kierunku. W jego głosie dało się wyczuć delikatną nutkę groźby. – Pamiętasz, co mówił fałszywy minoshiro, prawda? Jesteśmy zgniłymi jabłkami, które za dużo wiedzą. Wkrótce zostaniemy przeznaczeni do likwidacji.

– To...

Nie potrafiłam mu odpowiedzieć.

Shun odwrócił się w moją stronę.

– Nie zauważyłaś niczego dziwnego, Saki? – spytał, jeszcze ciszej niż Satoru.

– Dziwnego?

– Ten cały Rijin. Od jakiegoś czasu nienaturalnie się zachowuje.

– Nie widzę niczego podejrzanego. Czy on taki nie był od początku? – wymamrotał Satoru, zerkając przelotnie na mnicha.

– Moment... Rzeczywiście wygląda dziwnie.

Nie zauważyłam tego wcześniej, gdyż do tej chwili byłam skupiona jedynie na własnych problemach. Rijin rzeczywiście zachowywał się nietypowo. Ruchy jego ciała były nienaturalne. Siedział w pozycji medytacyjnej, więc powinien oddychać,

wykorzystując mięśnie brzucha, jednak wyraźnie było widać, jak z każdym oddechem unoszą się jego ramiona. Do tego tył jego głowy błyszczał się od potu.

– Może jest chory? – podsunął Shun.

– A co to nas obchodzi? Czemu mielibyśmy się nim przejmować? – burknął Satoru.

– Nie... Jest tak, jak podejrzewałem. – Coś najwyraźniej potwierdziło przypuszczenia Shuna.

– Więc co, według ciebie, mu jest?

– To klątwa fałszywego minoshiro.

– Przecież już mówiłem, że to było kłamstwo, pamiętasz? – prychnął Satoru. – To tylko taka plotka, nic więcej.

– Nie, zdaje się, że to nie jest taka zupełna bzdura. Pamiętasz, jak fałszywy minoshiro płonął? – Pytanie Shuna było skierowane do mnie.

– Tak, pewnie.

– Na krótką chwilę pojawił się nad nim obraz człowieka, zgadza się? Matki trzymającej dziecko.

– Co to ma do rzeczy?

– Uważam, że używał tego obrazu w celu obrony przed ludźmi.

– Też tak pomyślałam.

– Kiedy to zobaczyłem, zrobiło mi się naprawdę niedobrze. Wam też, nie mylę się? Skoro Rijin był osobą atakującą fałszywego minoshiro, to nie ulega wątpliwości, że odczuł to znacznie silniej od nas. Płomienie zgasły prawdopodobnie dlatego, że został zdekoncentrowany.

– Więc myślisz, że to... uczucie jest efektem tamtego widoku?

Wciąż nie domyśliłam się sensu jego słów.

– To uczucie jest śmiertelnym sprzężeniem zwrotnym. Dokładnie tak, jak mówił minoshiro.

Zaparło mi dech. Dlaczego wcześniej sobie tego nie uświadomiłam?

– Po tym, jak fałszywy minoshiro wyświetli obraz, wszystko czego potrzebuje to sekunda przerwy w ataku wroga, pozwalająca na ratowanie się ucieczką. Jednak dla ludzi, ta jedna chwila wystarczy, by aktywować mechanizm sprzężenia. Mimo to śmierć nie jest natychmiastowa, ponieważ celem ataku nie jest prawdziwy człowiek.

Analiza przeprowadzona przez Shuna była zdumiewająco dogłębna. W przyszłości prawdopodobnie zostaną przeprowadzone badania nad podatnością aktywacji mechanizmu śmiertelnego sprzężenia zwrotnego na klątwę fałszywego minoshiro, lub raczej na wyświetlane przez niego obrazy. Po ujrzaniu takiej sceny, nawet wiedząc, że jest to tylko iluzja, w podświadomości zadomawia się wizja ohydneho aktu wyrządzania krzywdy innemu człowiekowi. Po miesiącu lub dwóch, racjonalna kontrola nad wspomnieniem osłabia się i zaczyna ono powracać, powodując aktywację śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, skutkującego natychmiastowym zgonem.

– Więc mówisz, że on umrze za jakiś miesiąc? – spytał triumfalnie Satoru. – To będzie kara za niszczenie własności biblioteki.

– Prawdopodobnie nawet szybciej – odparł Shun, patrząc w zamyśleniu na Rijina.

– To nawet lepiej, nie? Jeśli umrze, nie będzie mógł nikomu donieść o tym, co zrobiliśmy.

– Nie wygaduj takich głupot! – wysyczałam. – Teraz żadne z nas nie może używać cantusu, zapomniałeś? Jeżeli on zginie i nas tu zostawi, to jak, na bogów, wrócimy do domu?

To były moje własne słowa, a pomimo tego, gdy ujrzałam w oczach przyjaciół strach, sama zadrzałam. Ponownie uderzył mnie ogrom naszej bezradności wobec całej tej sytuacji.

Gdybyśmy jednak mieli dalej zmierzać w kierunku Świątyni Czystości, nie wydawało mi się, byśmy mogli oczekiwać w tamtym miejscu ciepłego przyjęcia, tak jak powiedział Satoru. Bez względu na to, jak długo o tym myślałam, pozbycie się nas było jedyną możliwą rzeczą, której mogliśmy tam oczekiwać. Nawet jeśli o tym

widzieliśmy, podjęcie zuchwałej próby ucieczki mogłoby okazać się jeszcze gorsze w skutkach. Z deszczu pod rynnę. Byliśmy w sytuacji bez wyjścia.

Na takich rozmyślaniach upłynęły dwie godziny. Nasze tempo stawało się coraz wolniejsze, aż w końcu zaczęło się nam wydawać, że przegralibyśmy wyścig nawet ze ślimakiem. Wątpiłam, że w ogóle uda nam się dojść do Świątyni Czystości, jeśli pójdzie tak dalej.

Nagle coś zaszeleściło w krzakach po mojej lewej. Rijin odwrócił się, a liście i gałązki uniosły się w powietrze. Gdy kamuflaż został zniszczony, ujrzeliśmy stworzenie, które próbowało się przed nami ukryć.

– Dziwoszczur – wyszeptał Shun.

Sięgnęłam pamięcią do tamtego dnia, gdy po szkole spotkaliśmy dwa dziwoszczury, które o mało co nie utopiły się w kanale. Ten tutaj był prawie dwa razy większy, być może nawet równie wysoki jak ja. Wyglądało na to, że jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało; węszył w powietrzu swoim pomarszczonym pyskiem.

– Ale wygląda jakoś inaczej...

Miałyśmy z Marią takie same odczucie. Na plecach dziwoszczura znajdował się łuk i strzały, a poza tym był ubrany w coś przypominającego skórzany pancerz, jednak to nie ten ekwipunek był najdziwniejszy. W jego wyglądzie brakowało czegoś ważnego.

– Co jest z nim nie tak? Czemu zachowuje się tak zuchwale?

Satoru trafił w samo sedno. Żaden z dziwoszczurów, które wcześniej widzieliśmy nie prezentował takiej postawy. Tamta dwójka z Trociniarek Czerwic, którą uratowaliśmy, była tak posłuszna, że praktycznie płaszczyła się nawet przed nami, dziećmi. Dla kontrastu, ten dziwoszczur nie okazywał nawet cienia strachu, gdy stał przed lotusowym siedziskiem Rijina.

Stworzenie nagle, bez uprzedzenia, odwróciło się.

– Gagagaga! Grrrrr. Chichichichichi. ☆▲Å! – zaczęło wyrzaskiwać.

To, co stało się później, było kompletnie nie do uwierzenia. Dziwoszczur wyciągnął jedną ze strzał i wycelował ją w Rijina, mrużąc swoje czerwone, perliste oczy.

W ułamku sekundy zarówno łuk jak i strzały zostały pochłonięte przez białe płomienie. Dziwoszczur upuścił je z piskiem i próbował uciekać, ale Rijin użył cantusu do schwywania i przyciągnięcia do siebie wierzgającego i wrzeszczącego stwora.

– Ty, zwykłe zwierzę, ośmielasz się unosić na mnie rękę? – spytał chłodno Rijin wydającego niezrozumiałe dźwięki dziwoszczura, po czym zrzucił jego stożkowate nakrycie głowy. – Brak tatuażu, co? Skąd jesteś?

Dziwoszczur obnażył swoje żółte zęby i groźnie zawarczał. Najwyraźniej nie rozumiał naszej mowy.

– W Japonii nie ma dzikich kolonii. Musisz być z obcego plemienia – mruknął Rijin.

Mnich obrócił dziwoszczura do góry nogami, podobnie jak my uczyniliśmy to z krabem tygrysim. Następnie zrobił ponownie, jednak tym razem pozostawiając głowę stwora nieruchomo. Dziwoszczur wydał z siebie ostatni pisk, po czym zawisł bezwładnie ze skrzyconym karkiem. Rijin odwrócił się w naszą stronę, pozwalając, by zwłoki upadły na ziemię.

– Wygląda na to, że obce plemiona w jakiś sposób zdołały wdrzeć się na nasze ziemie – powiedział. – Jako, że jestem odpowiedzialny za to, byście dotarli bezpiecznie do świątyni, może okazać się to małym problemem – skrzywił się. – Oznacza to, że musicie mi trochę pomóc. Oczywiście na tyle, na ile możecie.

Usłyszeliśmy ulotny dźwięk, który sprawił, że Satoru wzdrygnął się i obrócił na pięcie, żeby spojrzeć do tyłu. Malująca się na jego twarzy panika zaczynała mnie coraz bardziej stresować.

– Skoro masz zamiar odwracać się co dziesięć sekund, czemu nie zaczniesz po prostu iść tyłem?

– O co ci chodzi? Jak ty właściwie możesz iść sobie tak beztrąsko? Tak jak już ci mówiłem, jesteś totalnie oderwana od rzeczywistości – odburknął Satoru.

– Spójrz na Shuna i Marię. Idą zupełnie z przodu, ale żadne z nich nie boi się tak, jak ty.

– Nie rozumiesz, kretynko? Ostatniej osobie zawsze grozi największe niebezpieczeństwo. – Twarz Satoru poczerwieniała z gniewu. – Nie pamiętasz już, że tamten dziwoszczur nawoływał coś, co znajdowało się za naszymi plecami? Jego pobratymcy mogą być wszędzie!

– Wiem.

– Nie uważasz więc, że będą chcieli go pomścić? I czy w takim razie zaatakowałyby nas od frontu? Przecież wtedy byśmy ich zobaczyli, prawda?

Rozumowanie Satoru było słuszne. Nie chciałam jednak tego przyznawać, aby nie dawać mu satysfakcji. Rijin również musiał być świadomy tego, że na tych, którzy stanowią straż tylną, czyha większe zagrożenie. Mówiąc inaczej, prawdopodobnie uznał, że Maria i Shun są na tyle wartościowi, że zasługują na ochronę, natomiast strata Satoru i mnie byłaby do zaakceptowania.

Podążając tym tokiem rozumowania, najwyraźniej osobą o największej wartości był ten z nas, kto został potraktowany najokrutniej – Mamoru. Siedział on na lotosowym fotelu, który stał się sterowanym mocą Rijina punktem obserwacyjnym, unoszącym się wcześniej niż poprzednio, bo około trzy metry nad ziemią. Dla wszystkich było jednak oczywiste, że mnich używa Mamoru jako przynęty.

Rijin trzymał się niedaleko z tyłu, obserwując wszystkie kierunki swoimi bystrymi, sokolimi oczami. Bardzo silnie się pocił, co było efektem stworzonej przez Minoshiro projekcji, ale od czasu, gdy zabił dziwoszczura, stało się to znacznie widoczniejsze.

– Coś tam jest! – krzyknął Mamoru z lotosowego siedziska.

– Wszyscy stać! – zakomenderował Rijin.

Zatrzymaliśmy się, rozglądając się nerwowo dookoła.

– Co widzisz?

– Nie jestem pewien, ale coś się... Coś się porusza. Jakieś sto metrów przed nami – odpowiedział Mamoru. Jego usta drżały.

Rijin wyglądał na głęboko pogrążonego w myślach

– O czym on myśli? – zapytałam Satoru.

Satoru oblizał usta.

– Jeśli dziwoszczury czekają w ukryciu, a my nie przestaniemy iść do przodu, znajdziemy się w zasięgu ich strzał – wyjaśnił spokojnie. – Nieważne, jak dużą mocą dysponuje mnich, wciąż jest tylko człowiekiem. Jest wrażliwy na ataki wroga z zaskoczenia, więc w sytuacji takiej jak ta, najlepiej jest poruszać się z dużą ostrożnością.

Nawet posiadając wszechpotężną moc, którą jest cantus, nadal umiera się od strzały. To pobudza do refleksji.

Gdyby więc rzeczy rzeczywiście miały się potoczyć w taki sposób, lepiej byłoby, gdyby nasz cantus nie został zapieczętowany. Jestem pewna, że Rijin też żałował wtedy, że to zrobił. Miałam nadzieję, że zdecyduje się na odpieczętowanie naszych mocy, niestety, jak się okazało, nie dane nam było takie szczęście.

– Mamoru Itou – powiedział Rijin, spoglądając w górę, na lotosowy fotel – Posłuchaj uważnie. Czy widzisz jakieś dziwoszczury? Dobrze się przyjrzyj. Nie bój się. Obronię cię swoim cantusem. Nie dosięgnie cię ani jedna z ich strzał.

Gdy Mamoru uświadomił sobie, co ma za chwilę nastąpić, jego twarz stała się zupełnie biała.

– N-nie... Przestań!

Reszta naszej grupy wstrzymała oddech, gdy lotosowe siedzisko podryfowało w kierunku miejsca, gdzie mogły ukrywać się dziwoszczury i zatrzymało się tam. Fotel obrócił się raz lub dwa wokół własnej osi. Czekaliśmy w napięciu, jednak nic się nie wydarzyło. Ostatecznie Rijin przyciągnął z powrotem olbrzymi kwiat lotosu i zmierzył Mamoru ostrym wzrokiem.

– No i? Gdzie są dziwoszczury?

– Nie wiem. – Z twarzy Mamoru odpłynęła cała krew; chłopiec trząsł się jak małe, przerażone zwierzątko. – Niczego... Niczego nie widziałem.

– Nie mówiłeś wcześniej, że widziałeś, jak coś się porusza?

– Ale teraz niczego nie dostrzegłem. Poprzednio musiało mi się wydawać.

Rijin skinął głową, ale nie wznowił od razu marszu. Był nie tylko wprawnym użytkownikiem cantusu; cechowała go też przebiegłość. Po krótkim namyśle spojrzał ponownie w górę.

– Twierdziłeś, że dostrzegłeś ruch gdzieś tam – powiedział do Mamoru, wskazując kierunek.

Mamoru przytaknął bezgłośnie.

– Więc czas na sterylizację.

Usłyszeliśmy dudniący dźwięk, gdy niedaleko przed nami ziemia zaczęła się poruszać. Drzewa padały jedno po drugim. Kiedy kamienie i błoto zaczęły przecinać ze świstem powietrze, mieliśmy wrażenie, że ziemia zwija się niczym olbrzymi wąż. W niecałe pięć minut piękny zielony zagajnik został pogrzebany pod górą gleby. Nie mieliśmy pojęcia, czy rzeczywiście kryły się tam dziwoszczury, jednak teraz przestało już to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Od teraz mieliśmy przemieszczać się jeszcze wolniej.

Nie trzeba nadmieniać, że byliśmy dość ostrożni, idąc przez obszar „wysterylizowany” przez Rijina. Wyglądało to tak, jakby sam Niszczyciel Śiwa przetoczył się tamtędy z całą swoją destrukcyjną mocą, siejąc spustoszenie wśród pięknej scenerii i pozostawiając za sobą orszak śmierci i strachu. Nieważne, jak bardzo wojownicze były tamte obce dziwoszczury; gdyby teraz choćby pomyślały o zaatakowaniu nas, byłoby to skrajną głupotą.

Efekty zniszczeń były jednak niekorzystne dla obu stron. Droga dziwoszczurów została zablokowana, więc nie musieliśmy już obawiać się frontalnego ataku, ale również my pozbawiliśmy się najszybszego sposobu na dotarcie do Świątyni Czystości przed zmrokiem.

Nie muszę dodawać, że jedynym powodem, dla którego w ogóle się śpieszyliśmy była obecność obcych dziwoszczurów. Przyczyna i skutek były jednym i tym samym; jedno wynikało z drugiego, przypominając węża, zjadającego własny ogon.

Kiedy wspięliśmy się na połowę wysokości nowo uformowanego wzgórza, ujrzelśmy pierwsze rzędy obronnej formacji dziwoszczurów.

– Och! Co to jest? – krzyknął idący z przodu Shun.

Kiedy dotarliśmy na szczyt, naszym oczom ukazały się nagle setki sylwetek. Wszystkie dziwoszczury uderzały w swoje bronie, gongi i inne metalowe przedmioty, czyniąc rozdzierający hałas, będący specyficznym wezwaniem do bitwy.

– Wygląda na to, że przygotowują się do szarży na nas. – Głos Marii w połowie zdania zamienił się w pisk.

– Nie ma dla was miejsca w trzech wymiarach; tylko łaska Buddy pozwala wam istnieć w waszych zwierzęcych powłokach. A wy nadal w swej głupocie próbujecie rzucać mi wyzwanie – powiedział Rijin śmiertelnie poważnym tonem. – Niech i tak będzie; unicestwię was wszystkich.

Nie – pomyślałam. One nie mają zamiaru nas zaatakować.

Gdyby rzeczywiście ich intencją była napaść, uderzyłyby na nas od tyłu. Nie zrobili tego jednak, kierując się zamiast tego drogą, która, jak miały nadzieję, pozwoli im uniknąć konfrontacji. Gdy dobrze się wsłuchałam, to co wzięłam za okrzyk bitewny brzmiało raczej jak chóralne, pełne bólu błaganie, a nie jak wezwanie do walki.

Poczułam na policzkach podmuch wiatru. Uniosłam wzrok i ujrzałam, że Rijin stworzył coś, co wyglądało jak olbrzymia trąba powietrzna. W odpowiedzi zawrodozenie dziwoszczurów jeszcze bardziej przybrało na sile. W następnej chwili, wszystkie uwięzione w powietrznym wirze głązy runęły w dół i zaczęły staczać się po zboczu. Fruwające kłody i kamulce miażdżyły całe rzędy dziwoszczurów zanim zdążyło się choćby mrugnąć okiem.

Nastąpiła sekunda ciszy, po czym powietrze rozdarł przeraźliwy, przepełniony strachem i gniewem wrzask. W naszą stronę poleciał prawdziwy grad strzał. Nie były jednak one żadnym wyzwaniem dla rozszalałego wiatru, który sprawił, że zostały daleko odrzucone w dzikim, wirującym tańcu.

– Wy plugawe robale... Unicestwię was – wysyczał złowrogo Rijin zachrypniętym głosem.

– Przestań! – krzyknęłam. Nikt mnie jednak nie słuchał.

Mój głos został zagłuszony przez wycie wiatru, które brzmiało jak ostrze noża rozdzierające jedwab, albo podwyższony o oktawę kobiecy pisk. W tamtym momencie wydawało mi się, że widzę nieprzebrane zastępy skrzydlatych, uzbrojonych w kosy demonic, wynurzających się spod ziemi i nacierających na dziwoszczury. Niezależnie od tego, czy ta wizja była prawdą czy tylko iluzją, dziwoszczury padały jeden po drugim. Zdałam sobie sprawę, że patrzę na Kamaitachi.¹ Silny wir powietrzny z podciśnieniem we wnętrzu, działający jak niezliczone noże, siekające ofiarę w plasterki. Żeby stworzyć coś takiego przez cantus, trzeba precyzyjnie wyobrazić sobie ruch powietrza – coś, co z natury jest niewidzialne i pozbawione formy. Jest to więc skrajnie trudna technika, którą udało się opanować tylko niewielu.

W okamgnieniu armia dziwoszczurów została zdziesiątkowana. Czułam jak moja głowa wiruje. Pomimo, że w rzeczywistości stałam zbyt daleko, by było to możliwe, mogłabym przysiąc, że widzę bryzgającą krew i czuję jej okropny zapach.

– Tak! Udało mu się... Spójrz, tam! Uciekają!

Stojący przy mnie Satoru krzyczał podekscytowanym głosem, zupełnie jakby cała ta masakra była tylko jakąś grą.

– Zgłupiałeś? Co cię tak bawi? – zapytałam ostro.

¹ Kamaitachi (jap. 鎌鼬?) – yōkai występujący w japońskim folklorze, najczęściej spotykany w regionie Kōshin'etsu. Nazwa składa się z dwóch słów: kama oznacza sierp, itachi - rodzaj łasicy. Jest tłumaczona jako "łasicca o pazurach jak sierpy". Najczęściej jest przedstawiany jako jedna z trójki łasic o ostrych pazurach, zdolna zadawać rany cięte z prędkością wiatru lub dosiadająca wirów powietrznych.

– Ale... One są naszymi wrogami, nie? – odparł, patrząc na mnie beznamiętnie.

– To nie są nasi prawdziwi przeciwnicy.

– Więc kto nimi jest?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, było już po wszystkim. Hekatomba w imię Buddy, dokonana przez mnicha, który przysiągł mu służbę. Na wzgórzu nie pozostał nawet jeden żywy dziwoszczur.

– No dobrze... Kontynuujmy – zarządził Rijin. W jego głosie było słycać znużenie.

Satoru i ja spojrzeliśmy na siebie nawzajem.

Gdy wspinaliśmy się na szczyt wzgórza, mieliśmy okropny widok na miejsce śmierci dziwoszczurów. Stosy porozrywanych ciał, odciętych głów i poszatkowanych kończyn wały się u naszych stóp. Wszystko wokół nasiąkło rdzawą krwią, łącznie z glebą, która zabarwiła się od niej na czarno. Jej smród wwiercał się w moje nozdrza i oczy. Muchy, które wydawały się pojawić znikąd, zaczęły już swoją ucztę na zwłokach. Idący z przodu Maria i Shun zawahali się na chwilę widząc ogromną chmurę tych owadów.

Rijin wiedział, że wszyscy mamy nadzieję, że pozbędzie się much, jednak mnich zastygł w miejscu, nie wykonując nawet najmniejszych ruchów.

– Co się dzieje? – spytał cicho Satoru.

Sylwetki – pomyślałam instynktownie. Z dużej odległości nie sposób było odróżnić zarys człowieka od sylwetki dziwoszczura. Rijin znajdował się już pod wpływem klątwy fałszywego minoshiro, więc gdy zabijał dziwoszczury wietrzną kosą, jego podświadomość prawdopodobnie zinterpretowała to jako morderstwa dokonywane na kolejnych ludziach. Jeśli tak było w istocie, tym razem śmiertelne sprzężenie zwrotne mogło zadziałać z pełną mocą.

– Rijin, wszystko z tobą w porządku? – zapytał Shun.

– Tak... Nie martwice się – odparł mnich po krótkiej pauzie. W jego oczach było widać pustkę, a głos brzmiał dziwnie.

Skupiliśmy na Rijinie całą naszą uwagę, więc nie zauważyliśmy, że pod osłoną kurtyny z much coś podpełza do ciał.

– C-co to jest? – wydusiła Maria, odwracając się do tyłu.

To było dziwne zwierzę.

Wielkością zbliżone do psa, pokryte długą, czarną sierścią. Z potężnym, zwalistym cielskiem kontrastowała nienaturalnie mała głowa, którą trzymało zwieszoną tak nisko, że skradając się w naszą stronę, prawie szorowało nią po ziemi.

– Bombopies! – wrzasnął Mamoru zduszonym głosem.

– O czym ty gadasz? One są zmyślane – uciał Satoru, kompletnie ignorując fakt, że jeszcze całkiem niedawno ze śmiertelną powagą próbował nas przekonywać o ich istnieniu.

– Jakby na to nie patrzeć, jeden właśnie przed nami stoi – odparł Mamoru, broniąc własnego zdania.

– I myślisz, że zaraz zaczniesz nadymać się do rozmiarów balonu? Coś tak głupiego nie...

Jakby na komendę, po usłyszeniu słów Satoru, bombopies nagle zaczął puchnąć, podwajając swoją wielkość.

– Och, naprawdę się nadał!

Myślałam, że zwierzę po prostu wciąga powietrze, by sprawić wrażenie powiększania się, ale gdy tylko bombopies na nas łypnął, zaczął pęcznieć jeszcze bardziej.

– Wszyscy do tyłu!

Na słowa Shuna wszyscy zaczęliśmy biec, starając się jak najbardziej powiększyć dystans między nami i bombopsem.

– I co teraz się stanie? – spytałam.

– Nie mam pojęcia. – Shun wyglądał na zafascynowanego. – Ale jak na razie, zachowuje się dokładnie tak, jak w historii Satoru. Być może będzie nadal się nadymał, aż w końcu eksploduje.

Jak na rozkaz, bombopies ponownie zwiększył swoje rozmiary.

– Ale po co?

– To groźba – wyszeptał Shun.

– Groźba?

– Prawdopodobnie chce nas odstraszyć od tego miejsca.

Bombopies powoli przemieszczał się w kierunku Rijina, jedyne z naszej grupy, kto się nie wycofał. Nie widząc żadnej reakcji ze strony mnicha, nadał się jeszcze mocniej. Był teraz wielkości wyjątkowo grubego barana.

Dlaczego Rijin się nie rusza? – pomyślałam. Zerknęłam na niego z ciekawością, ale mnich nie rozbił nic poza staniem tam z zamkniętymi oczami. Możliwe, że był ogłuszony.

Bombopies zatrzymał się na chwilę, czekając w ciszy, po czym raptownie trzykrotnie zwiększył swoją objętość. Jego ciało było teraz prawie idealnie kuliste, a pomiędzy szorstkiego włosa zaczęły prześwitywać białe promienie światła.

– To znak ostrzegawczy...? O nie, w nogi! – wrzasnął Shun.

Uciekaliśmy jakby gonila nas sama śmierć, gnając w dół zbocza ile sił w nogach. Pozostali biegli bez oglądania się za siebie, ale w moim przypadku ciekawość wzięła górę i zatrzymałam się, spoglądając za siebie. Zobaczyłam, że bombopies nadał się już do nieprawdopodobnych, przerażających rozmiarów.

Rijin w końcu otworzył oczy. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, zanim bombopies stanął w oślepiających płomieniach.

Usłyszeliśmy ogłuszający huk, a gwałtowny podmuch wiatru ściał nas z nóg.

Byliśmy na zboczu, jakieś trzydzieści metrów poniżej bombopsa. Jestem pewna, że gdybyśmy stali na płaskiej powierzchni, wybuch zabiłby nas.

Naprawdę wolałabym nie opisywać tego, co stało się później. Po chwili, jaką potrzebowaliśmy na otrząśnięcie się z szoku, cofnęliśmy się, by zajrzeć do pozostałego po eksplozji krateru.

Rijin znajdował się tak blisko centrum wybuchu, że jego ciało zmieniło się w niezidentyfikowaną miazgę. Ponieważ nie mogliśmy skorzystać z cantusu, by go pochować, przysypaliśmy tylko lekko ziemią jego zwłoki. Sama ta prosta czynność sprawiła, że zebrało mi się na wymioty.

– Saki, spójrz na to – powiedział Shun, pokazując coś, co właśnie wygrzebał głęboko spod ziemi.

– Co to jest? – Zawahałam się i nie wzięłam przedmiotu do rąk.

Shun zaprezentował mi trzymaną rzecz w taki sposób, bym mogła się jej dobrze przyjrzeć. Wyglądało to jak dysk otoczony obwódką z sześciu piórkowatych kolców sterczących w różnych kierunkach.

– Przypomina turbinę wodną.

– To prawdopodobnie część kręgosłupa bombopsa.

– Kręgosłupa?

Satoru podszedł bliżej i wziął przedmiot od Shuna, a następnie obrócił go kilkakrotnie w dłoniach.

– Jest twardy jak skała. I ciężki. Gdybyśmy tym oberwali, pewnie już byśmy nie żyli.

– Są tak ukształtowane, by po eksplozji bombopsa mogły wyfrunąć w różnych kierunkach.

– Ale po co?

– Żeby zabić wrogów.

Gdy się rozejrzałam, zobaczyłam więcej takich części wystających z gleby. Ramiona pokryła mi gęsia skórka. Bombopies był w stanie dokonać tak ogromnych zniszczeń...

Satoru przysunął nos do kości i powąchał ją.

– Co ty wyprawiasz? – Wyobraziłam sobie zapach krwi i mimowolnie się skrzywiłam.

– Pachnie trochę jak fajerwerki.

– Naprawdę? Więc chyba już mam – powiedział Shun, najwyraźniej sam do siebie. – Wnętrznosci bombopsów są prawdopodobnie wypchane siarką i saletrą, z których może powstać proch. Samo nadymanie się aż do momentu pęknięcia nie wywołałoby tak potężnej eksplozji... Niektóre z ich kości działają jak krzesiwo, produkujące iskrę, która rozpoczyna całą reakcję.

– C-co? Naprawdę istnieją zwierzęta które wyewoluowały by być zamachowcami-samobójcami?

W świecie zwierząt zjawisko powiększania rozmiarów w celu odstraszania przeciwnika nie jest niczym niezwykłym, ale czy wysadzanie się w powietrze, gdy wróg ignoruje sygnały ostrzegawcze nie przynosi efektu odwrotnego do pożądanego?

– Ta. Shun, mówiłeś to już wcześniej, zanim tu trafiliśmy. Jeżeli bombopsy tylko by wybuchały, ich gatunek wymarłby w mgnieniu oka.

– Tak też myślałem. Ale właśnie przypomniało mi się, że w jednej ze starych ksiąg biologicznych, które czytałem, natknąłem się na opis podobnego zwierzęcia – odparł.

– To ich jest więcej? – spytaliśmy jednocześnie z Satoru.

– Tak. I przez analogię, wiem mniej więcej czym naprawdę są bombopsy.

– Czym?

– Och tak? Więc są bardziej psem czy bardziej balonem? – zażartował Satoru.

To była nasza reakcja na szok – dać choć na chwilę upust emocjom.

– Przestańcie gadać o bzdurach – Maria w końcu nie wytrzymała i wybuchła gniewem. – Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, w jakiej sytuacji się właśnie znaleźliśmy? Pozostawieni sami sobie pośrodku niczego, a do tego żadne z nas nie może użyć cantusu...

Przestaliśmy się uśmiechać.

– Masz rację – przyznał Shun po chwili zupełnej ciszy. – W każdym razie, wróćmy tam, skąd przybyliśmy. Dzisiejszej nocy będziemy musieli spać pod gołym niebem.

– Hej...! – powiedział nerwowo Satoru, ciągnąc Shuna za ramię. Wskazał ruchem policzka na krater.

Podążyliśmy za nim wzrokiem i zamarliśmy. Trzydzieści lub czterdzieści metrów przed nami stała grupa postaci, obserwując nas w milczeniu. Dziwoszczury.

– I co teraz zrobimy...? – spytała Maria łamiącym się głosem.

– Czy to nie oczywiste? – odpowiedział Satoru. – Ruszemy w ich stronę i zaatakujemy.

– Zaatakujemy? Niby jak mamy to zrobić bez cantusu? – odparłam.

– One tego nie wiedzą. Jeśli zaczniemy uciekać, okażemy swoją słabość i zaczną nas ścigać.

– Ale jeżeli pójdziemy naprzód, zostaniemy schwytani – powiedział Mamoru cienkim głosem.

– Dokładnie! Musimy zwiewać – dodała Maria.

Kiedy spojrzałam na dziwoszczury, utwierdziłam się silniej w swoim przekonaniu. – One nie mają zamiaru walczyć. Chcą tylko, byśmy się oddalili – powiedziałam.

– Skąd wiesz? Jeśli tak jest, to one powinny stąd pójść – upierał się Satoru.

– Tutaj są ich nory.

To właśnie było powodem, dla którego ta grupa walczyła, nie zważając na śmierć. Bombopies musiał też...

– No dobrze, wycofajmy się powoli – powiedział Shun. Przejmował dowodzenie tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. – Zachowajcie ciszę i nie prowokujcie ich. Jeśli pomyślą, że się boimy, będzie po nas.

Nie musiał już niczego dodawać. Cofaliśmy się najciszej, jak potrafiliśmy. Szybko zapadł zmierzch, i za każdym razem gdy usłyszałam chrzęst kamienia pod butem, zamierałam ze strachu.

Dziwoszczury obserwowały bacznie nasz odwrót po zboczu wzgórza, ale nie okazywały żadnych zamiarów podjęcia pogoni.

– Saki miała chyba rację. Nie chcą walczyć – powiedziała Maria z ulgą.

– Jest zbyt wcześnie, by stwierdzić to z całą pewnością – stwierdził ponuro Satoru. – Mogą po prostu odwlekać atak do momentu, aż nasza czujność zostanie uśpiona.

– Czemu wciąż gadasz takie rzeczy? – warknęłam. – Cieszy cię to, że się nas obawiają?

– Spoko, mam powiedzieć coś bardziej optymistycznego? – odburknął Satoru.

– Satoru ma prawdopodobnie rację – odezwał się niespodziewanie Shun.

– Dlaczego?

– Saki nie myliła się, twierdząc, że nie chcą walczyć w tamtym miejscu. Może dlatego, że znajdują się tam ich gniazda. Jednak kto wie, co zrobią, gdy dostatecznie się oddalimy.

– Ale... Co miałyby osiągnąć, atakując nas?

– Człowieku, nie widziałeś, co zrobił wcześniej Rijin? Jak myślisz, ile dziwoszczurów zabił? Śmierć tylko jednego z nas ich nie usatysfakcjonuje.

Rozumowanie Satoru było przygnębiająco logiczne.

– Ale one są przekonane, że wciąż mamy cantus, prawda? Będą chciały uniknąć większej ilości niepotrzebnych ofiar – powiedziała Maria.

– Jak wspomniał wcześniej Rijin, to obce plemię. – Shun pokręcił głową. – Kiedyś mogły być ucywilizowane, ale przez długi czas nie miały kontaktu z ludźmi. Pamiętacie tego pierwszego zwiadowcę, którego złapaliśmy? Nie miał pojęcia, czym jest cantus.

– To prawda, ale teraz już wiedzą. Czy to nie nauczyło ich, że powinny się go obawiać? – spytałam cicho, próbując przeanalizować sytuację z punktu widzenia dziwoszczurów.

– Dokładnie tak. Dlatego właśnie jeszcze nas nie zaatakowały. Jednak w najlepszym wypadku, jedynie połowicznie wierzą w nasze umiejętności.

– Czemu?

– Prawdopodobnie uznały, że gdyby to one dysponowały taką mocą, jak nasza, zmasakrowałyby nas już dawno temu.

Zapadła cisza tak ciężka, że trudno było oddychać.

– Jak myślisz, jakie mają teraz zamiary? – spytał Shuna Satoru.

– Gdy oddalimy się wystarczająco od gniazd, bardzo prawdopodobne jest, że na nas ruszą.

– I co stanie się, jeśli nie będziemy w stanie nawiązać walki?

Milczenie Shuna wystarczyło za odpowiedź.

– Więc jak duża odległość od gniazda jest dla nich wystarczająca? – zapytała zatroskana Maria.

– Nie potrafię powiedzieć tego z całą pewnością – Shun spojrzał w górę. – Ale najniebezpieczniejszym miejscem prawdopodobnie jest podnóże wzgórza.

Rozdział 2

Ponieważ poruszaliśmy się jeszcze wolniej, niż poprzednio, było już całkowicie ciemno gdy dotarliśmy do stóp wzgórza.

Cała byłam oblana okropnym, zimnym potem. Z trwogi skostniały mi dłonie.

Dziwoszczury podążały za nami w milczeniu, utrzymując stały dystans.

Według wyjaśnień Shuna, podejmowanie kardynalnych decyzji, takich jak wypowiedzenie wojny wymaga znalezienia odpowiedniego miejsca kluczowego. Musi być ono dobrze widoczne, położone tam, gdzie natura i zdolność orientacji łączą się i wpływają na siebie wzajemnie.

Przykładowo, można sobie wyobrazić uzbrojonego w łuk i strzały łowcę, ścigającego jelenia. Zwierzę gna przez puszcę, wybiegając w końcu na brzeg rzeki, gdzie szanse myśliwego na celny strzał znacząco rosną. Wraz ze zmianą otoczenia zmieniają się też panujące warunki. Refrakcja światła na powierzchni wody nie tylko ułatwia orientację; zwiększa też pole widzenia łowcy, dzięki czemu jest on w stanie stwierdzić, że z łatwością ustrzeli swoją ofiarę. Wszystkie te czynniki sprzyjają jego wysiłkom.

Do tej chwili wszystkie działania dziwoszczurów były bardzo ludzkie. Dlatego właśnie Shun przewidział, że będą próbowały wykorzystać ukształtowanie terenu do zdobycia przewagi. Jeśli ich gniazda rzeczywiście znajdowały się na szczycie wzgórza, naturalną granicą, za którą zaatakują musiała być linia łącząca wzniesienie z otaczającym je płaskim terenem.

– Co robimy? – spytałam Shuna. Czułam, że był on jedyną osobą, na której mogliśmy wtedy polegać.

– Musimy rozdzielić się, gdy tylko znajdziemy się w lesie. Nie ma innego wyjścia.

Gdybyśmy trzymali się razem, stalibyśmy się łatwym celem dla dziwoszczurów. Decyzja o rozdzieleniu się nie była łatwa, ale, tak jak powiedział Shun, to było wszystko, co mogliśmy zrobić.

– Jeśli zaczną was atakować z ukrycia, po prostu biegnijcie ile sił w nogach. Jeżeli dacie się złapać, to koniec z wami, więc starajcie się też w miarę możliwości oszczędzać energię. Oddalcie się na tyle, na ile zdołacie. Gdy upewnicie się, że brzeg rzeki jest bezpieczny, idźcie w kierunku ścieżki, którą dziś obraliśmy. Spotkamy się w miejscu ukrycia kajaków.

Szanse na to, że wszyscy ponownie się zobaczymy były raczej mizerne. Czy idea rozdzielenia się nie zakłada bowiem przede wszystkim, że niektórzy zostaną poświęceni, aby pozostali zdołali zbiec?

– A zanim dobiegniemy do lasu? – zapytał Satoru, przybliżając się do Shuna.

Zrozumiałam co miał na myśli, zanim jeszcze skończył mówić. Krawędź lasu znajdowała się dobrych pięćdziesiąt metrów od podnóża wzgórza. Na tej przestrzeni nie było żadnych drzew ani głązów, za którymi moglibyśmy się schronić, więc stalibyśmy się łatwymi celami.

Maria załkała. Ponownie z całą mocą dotarła do mnie powaga sytuacji, w której się znaleźliśmy. Objęłam jej drżące ramiona i dotknęłam czołem do jej czoła, próbując podnieść ją na duchu.

Wkrótce znów zaczęliśmy dyskutować ściszonymi głosami. Zastanawialiśmy się nad intencjami wrogów. Czy mają zamiar tutaj zaatakować? Czy może po prostu chcą się upewnić, że odchodzimy?

Gdybyśmy założyli, że zamierzają na nas ruszyć, musielibyśmy jak najszybciej biec do lasu. W ten sposób jednak natychmiast wydałoby się, że nie możemy użyć cantusu. Akt ucieczki z pewnością sprowokowałby je do ataku, a w takim wypadku prawdopodobieństwo przeżycia całej naszej piątki byłoby nieprawdopodobnie niskie.

Z drugiej strony, gdybyśmy zaryzykowali, uznając, że nie zostaniemy zaatakowani a okazałoby się inaczej, bylibyśmy straceni.

– Jedyne wyjście to wstrzymanie się od działania i obserwowanie ich reakcji dopóki nie zbliżymy się do stóp wzgórza.
– W głosie Shuna wybrzmiewała delikatna nutka przekory.

– Kto pójdzie przodem, żeby się przekonać, co zrobią? – spytał Satoru.

– Wszyscy kładziemy swoje życie na szali – westchnął Shun.

– Głosujmy więc.

Z powodu subtelnych pagórków i zagłębień, nie dało się jednoznacznie określić granicy między wzgórzem i otwartym polem. Pogłębiający się mrok otulał wszystko cieniem, rozmywając zarysy otoczenia. Przekroczyliśmy punkt, który, jak uznaliśmy, był miejscem kluczowym i kontynuowaliśmy marsz przez otwartą polanę, nie wiedząc, kiedy spodziewać się lecącej w naszym kierunku ze świstem strzały.

Mój oddech stał się szybszy i płytszy. Czułam silne pulsowanie w skroniach. Mimo, że musiałam być przygotowana by zerwać się do biegu w każdej chwili, moje nogi były jak z waty, niezdolne do podjęcia wysiłku.

Odwróciłam się po cichu i spojrzałam na oświetlone słabym blaskiem księżyca wzgórze. Dziwoszczury wciąż nie ruszyły się z miejsca. Nadal śledziły nas wzrokiem ze swojego punktu obserwacyjnego w połowie zbocza.

Dobrze, dobrze. Po prostu tam zostańcie. Zaraz nas tu nie będzie. Nikt wam nie zagraża. Wiecie przecież, co się stanie, jeśli do nas strzelicie, prawda? Jeśli tylko pozwolicie nam odejść, nic się nie stanie. Jednak gdy spróbujecie nas zranić, zabijemy was wszystkie. Więc proszę, stójcie, tam gdzie stoicie jeszcze przez chwilę... – mówiłam do siebie błagalnie w myślach. Ponownie odwróciłam się do przodu i zamarłam. Zobaczyłam cztery czarne sylwetki. Jedna z nich unosiła dłoń.

– Kto to? – odezwał się ktoś ściszym głosem.

– T-to ja – wyjąkał Mamoru. Wydaje mi się, że powinniśmy uciekać, i to już.

– O czym ty mówisz? Wszystko będzie w porządku, jeszcze tylko kawałeczek.

Mamoru opuścił rękę i wszyscy poczuliśmy lekką ulgę. Jeśli trzy osoby podniosłyby dłonie, byłaby to większość. W rzeczywistości jednak, nawet jeśli nie przeprowadzilibyśmy demokratycznego głosowania, i tak wystarczyłoby, żeby jedno z nas spanikowało i zaczęło biec, by cały plan legł w gruzach. Pomyślałam, że gdy dziwoszczury zaczną atakować, wszyscy będziemy musieli uciekać, jakby goniła nas sama śmierć.

– Saki, idziesz zbyt szybko.

Głos Shuna sprawił, że wróciłam do rzeczywistości. Okazało się, że bezwiednie przyspieszyłam i mój chód zamienił się w trucht.

– Och, przepraszam – powiedziałam, zwalnając i kajając się w myślach za panikowanie.

– Jeszcze tylko trochę – powiedział Satoru. – Shun, gdy zbliżymy się do drzew na dwadzieścia metrów, zacznijmy biec. Minie kilka sekund zanim zaczną strzelać. Z pewnością zdołamy w tym czasie dobiec do lasu.

– Ale możemy tam się ukryć. Jeżeli nie będziemy biegli, może one... – Mamoru zaciął się w połowie zdania, ponownie unosząc dłoń.

– Hej! Za nami! To... – powiedziała Maria zdławionym głosem.

Odwróciłam się i poczułam jak boleśnie zaciska mi się serce. Dziwoszczury zbiegały w dół zbocza.

– Nadchodzą! – wrzasnęła Maria, unosząc dłoń. Dwa głosy za.

– Czekać! Jeszcze nie. To nie oznacza, że zamierzają atakować – próbował uspokoić ich Shun. Nie opuścili jednak swoich rąk.

Również Satoru niepewnie zaczął unosić swoją dłoń

– Zaczekaj – powiedziałam do niego. – Już prawie jesteśmy. Jeszcze tylko...

Nagle usłyszeliśmy świszczący dźwięk. Strzała przeleciała nam nad głowami, a następnie wbiła się w ziemię tuż przed granicą lasu.

Wiedziałam, że to sygnał do rozpoczęcia bitwy.¹ Nie czekając na wolę większości, pobiegliśmy najszybciej, jak potrafiliśmy.

Po raz pierwszy w życiu gnałam tak, jakby zależało od tego moje przetrwanie, lecz niezależnie od tego, jak bardzo starałam się wyteżać nogi, wydawało mi się, że w ogóle się nie poruszam. Czułam się jak w sennym koszmarze.

Mimo tego granica puszczy powolutku się zbliżała. *Jeszcze tylko kawałeczek.*

Dopiero gdy wpadłam do lasu i zaczęłam lawirować między drzewami, uświadomiłam sobie jak szybko biegłam.

– Nie trzymajcie się blisko siebie! Rozdzielcie się i zwiewajcie!
– rozbrzmiał spomiędzy drzew głos Shuna.

Skręciłam ostro w prawo i zaczęłam gnać przez zarośla, aż w końcu nie mogłam już usłyszeć głosów ani kroków moich przyjaciół. Byłam zdana tylko na siebie.

Jedynym dźwiękiem, który słyszałam, było moje własne dyszenie. Pędziłam tak szaleńczo, że nie miałam pojęcia, gdzie się znalazłam. Tak czy owak, nie mogłam się zatrzymać, dopóki nie dobiegnę do celu.

Jeszcze kilka chwil wcześniej miałam przy sobie czworo przyjaciół; teraz zostałam sama jak palec. Strach przed pogonią dziwoszczurów, połączony z wywołanym samotnością niepokojem sprawił, że poczułam nieprzyjemny ucisk w piersi. Moim jedynym towarzyszem był wyglądający zza drzew księżyc.

Ciężko było oddychać; z trudem łapałam powietrze i sapałam, próbując dostarczyć płucom większej ilości tlenu. Miałam wrażenie, że uda mam z ołowiu, a w łydkach czułam nieprzyjemne mrowienie.

Osiągnęłam już granicę swoich możliwości. Chciałam zatrzymać się i odpocząć, ale gdybym to zrobiła, prawdopodobnie zostałabym zabita.

Jeszcze trochę. Wytrzymaj jeszcze trochę.

¹ Kaburaya - strzała ze specjalnym grotem wydającym gwizdzący dźwięk, często używana jako sygnał do rozpoczęcia bitwy

Gdy tylko wypowiedziałam do siebie w myślach te słowa, potknęłam się o coś.

Próbowałam utrzymać równowagę, ale moje ciało zeszywniało. Po krótkim locie runęłam jak długa na ziemię.

Wiedziałam, że muszę natychmiast się podnieść, ale w całym ciele czułam przeszywający ból, który nie pozwalał mi się ruszyć. Udało mi się jakoś przewrócić na plecy. Ujrzałam żółtawy blask księżyca, który wydał mi się jaśniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Chłodna gleba odebrała całe ciepło mojego ciała. Leżałam tam, niezdolna do zrobienia czegokolwiek poza oddychaniem. Moja klatka piersiowa unosiła się i opadała jak ogromny miech.

Czy ja tu umrę? – przyszło mi nagle do głowy. Byłam jeszcze młoda; śmierć wydawała mi się czymś abstrakcyjnym.

– Saki! – rozbrzmiał gdzieś w oddali nawołujący mnie głos.

To był Satoru. Zbliżał się w moją stronę.

– Saki, wszystko w porządku?

– Satoru... uciekaj – zdołałam w końcu z siebie wykrztusić.

– Możesz się poruszyć?

Głos był coraz bliżej. Ujrzałam nad głową spoglądającą na mnie twarz. Nie mogłam dostrzec jej wyraźnie, ale bez wątpienia należała do Satoru.

– Chyba nie.

– Nie poddawaj się. Szybko, zbierajmy się stąd – powiedział Satoru, dźwigając mnie. Z jego pomocą udało mi się jakoś stanąć ponownie na nogach.

– Możesz biec?

Pokiwałam głową.

– Więc pójdziemy.

– Nie... Już za późno.

– O czym ty mówisz?

Spojrzałam ponad ramieniem Satoru. On sam również się odwrócił. Wśród mroku mieniły się setki błyszczących oczu. Dało się usłyszeć ciche oddechy.

– Dziwoszczury kompletnie nas otoczyły.

Byłam przekonana, że tamto miejsce stanie się naszym grobem. Na szczęście okazało się jednak, że się myliłam. Grupa dziwoszczurów mierzyła w nas grotami włóczni, zmuszając nas do marszu naprzód. Wyglądało jednak na to, że nadal trochę się nas obawiają; cały czas utrzymywały dystans co najmniej trzech metrów. Dzięki temu nie zostaliśmy związani i nie byliśmy popychani. Ostrza ich broni pozostawały jednak cały czas wycelowane w naszą stronę, a kilka kroków dalej kolejna grupka trzymała łuki w pogotowiu.

– Co z pozostałymi? Zdołali uciec? – spytałam cicho.

– Nie wiem. Zniknęli mi z oczu, gdy tylko wbiegłem do lasu.

Zastanawiałam się, czy dziwoszczury zabronią nam się komunikować, ale najwyraźniej nasza rozmowa w ogóle ich nie obchodziła. Doszłam do wniosku, że to tak samo dobry moment na zadawanie pytań, jak każdy inny.

– Jak ty mnie właściwie znalazłeś?

– Widziałem cię przed sobą, kiedy biegłem.

Pogoń za mną rujnowała całą ideę rozdzielenia się, ale nie miałam serca wypominać tego Satoru.

– Inni pewnie uciekli.

– Ta. Pewnie tak.

Wiedziałam, że zgadzając się ze mną, próbuje mnie pocieszyć. W każdym razie udało mu się to.

Idący na przedzie dziwoszczur zasygnalizował nam, żebyśmy stanęli.

Przed nami rozpościerała się niewielka polana. *Czy to tutaj nas zabiją?* Zamknęłam oczy, jednak po chwili ponownie je otworzyłam, gdy coś długiego i twardego szturchnęło mnie w klatkę piersiową.

– Gigigigi... Grrrr!

Stojący przede mną, dorównujący mi wzrostem dziwoszczur był ubrany w zbroję i trzymał długą włócznię. Wyglądał na przywódcę grupy. Rozmasowałam miejsce, w które mnie dźgnął. Nie krwawiłam,

a moja koszulka nie była rozdarta. Najwyraźniej nie szturchnął mnie grotem, ale drugim, tępym końcem broni.

– Saki...! – Satoru zerwał się w moją stronę, ale potknął się o wyciągniętą włócznię innego dziwoszczura.

– Wszystko ze mną w porządku. Nie ruszaj się! – krzyknęłam.

Nie wierzyłam oczywiście, że nie zrobią nam krzywdy, gdy będziemy robić to, co każą. Właściwie to w tamtym momencie pogodziłam się już częściowo z faktem, że zostaniemy zabici.

Stojący przede mną dziwoszczur ponownie zaczął wrzeszczeć swoim przeszywającym głosem. Po raz pierwszy mogłam wyraźnie ujrzeć jego twarz.

Pod czarnym hełmem płonęły złe, czerwone oczy. Podobny do świńskiego ryjek był taki sam jak u dziwoszczurów, które spotkaliśmy nad kanałem, jak i u tego, którego wcześniej zabił Rijin. Istniała jednak jedna, wyraźna różnica – całe oblicze, od czoła po policzki, miał pokryte łuskami, nadającymi mu wygląd sosnowej szyszki.

Ciało pokryte łuskami występuje u niektórych ssaków, na przykład u pangolinów; cecha ta jednak jest nieobecna u gryzoni. Jeszcze bardziej dziwne było to, że w obrębie jednego gatunku występują osobniki z łuskami i bez nich.

Coś chłodnego i metalicznego zostało przytknięte do mojego policzka, kładąc kres tym rozmyśleniom. Światło księżyca odbijało się od ostrza wycelowanej we mnie włóczni.

Czy to już koniec? – pomyślałam. Włócznia nieznacznie się cofnęła. Miałam zostać na nią nabita.

Dowódca o szyszkowatej twarzy wydał z siebie bitewny okrzyk, brzmiący jak kwiczenie zarzynanej świni. Zamknęłam oczy.

Po kilku sekundach otworzyłam je ponownie.

Nic się nie wydarzyło. Kapitan Szyszka szedł w kierunku Satoru, przytrzymywanego przez dwójkę dziwoszczurów.

Zanim zdążyłam zareagować, dowódca zamachnął się włócznią w kierunku twarzy Satoru, jednak nagle zatrzymał ją dosłownie o włos od chłopca. Dźgnął bronią jeszcze raz, a potem następny.

Satoru starał się nie okazywać strachu, ale kolana odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się bezwładnie, podtrzymywany za ramiona przez dziwoszczury. Chwilę później włócznia drasnęła jego czoło.

– Satoru! – Ruszyłam bez opamiętania w jego stronę, ale od razu powstrzymała mnie włócznia dziwoszczura.

– Nie martw się, nic mi nie jest – odpowiedział Satoru.

Jego czoło krwawiło. Rana zdawała się bolesna, lecz płytka. Odetchnęłam z ulgą, widząc, że uraz nie jest poważny.

Podkomendnym Kapitana Szyszki najwyraźniej również ulżyło. Prawdopodobnie powodem nie była jednak rana Satoru; wyglądało na to, że nie byli do końca przekonani, że na pewno nie możemy używać cantusu. Zrobili więc to, żeby zyskać pewność, zanim zabiorą nas do swojej kolonii.

Ponownie ruszyliśmy przez las.

– Boli? – spytałam.

Satoru w ciszy pokiwał głową. Krwawienie nie ustało, więc całą jego twarz pokrywały strużki ciemnej krwi.

– Co się z nami stanie?

– Prawdopodobnie nie zabiją nas od razu – odparł cicho.

– Skąd wiesz?

– Bo gdyby miały taki zamiar, zrobiłyby to już dawno temu.

– Jesteś pewien, że to nie tylko twoje pobożne życzenia?

– Tak. Zanim wbiegły za nami do lasu, wystrzeliły świszczącą strzałę, pamiętasz? To prawdopodobnie było ostrzeżenie, byśmy się zatrzymali. Jeśli od początku miałyby zamiar nas zabić, nie zrobiłyby tego.

– Więc po co nas schwytały?

– Kto wie? Ale skoro dzisiaj po raz pierwszy zetknęły się z cantusem, to mimo tego, że się boją, prawdopodobnie chcą się dowiedzieć o nim czegoś więcej, mam rację? Jesteśmy dla nich jedynym źródłem informacji, więc nie zamordują nas tak bezmyślnie.

Rozumowanie Satoru było najprawdopodobniej słuszne. Jak na razie, nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo.

Wyszliśmy z lasu i ponownie zaczęliśmy wspinać się na wzgórze. Nasze zmęczenie osiągnęło szczyt już wieki temu, ale wycelowane w nas włócznie skutecznie zmuszały nas do marszu.

Cały czas nie mogliśmy się powstrzymać od spoglądania na dziwoszczury. Zaskakujące było, że z ich około dwudziestoosobowej grupki, jedynie połowa wyglądała jak normalne osobniki. Druga część charakteryzowała się uderzającymi odmiennościami, które wyglądały raczej na celowe modyfikacje ciała niż na wady wrodzone.

Zarówno kapitan, jak i jego zastępca byli pokryci łuskami. Po dokładniejszym przyjrzeniu się, zaobserwowałam, że poza tymi pokrywającymi głowy i ręce, prześwitują one też spod szczelin między częściami ich zbroi.

Wśród oddziału łuczników, cztery dziwoszczury dzierżyły łuki znacznie większe od broni swoich towarzyszy. Każdy z tych osobników miał nieproporcjonalnie duże jedno z ramion, podobnie jak kraby skrzypki. Większa kończyna, która trzymała łuk, przypominała długą maczugę i była raczej sztywna, z kolei ta mniejsza, dzierżąca strzały była krótsza i miała muskularne ramię. Przedramię zaś zwężało się w kierunku dłoni, a palce wydawały się uzbrojone w parę haczyków.

Były też inne dziwoszczury, na przykład posiadające wyrastający z czół pojedynczy róg lub obdarzone nienaturalnie długimi kończynami. Nie mogłam sobie wyobrazić, jaki mogą mieć użytek z tych cech.

– Co jest z nimi nie tak? – spytał Satoru. – Są jak jakaś parada dziwolągów.

– No cóż, to w końcu dziwo-szczury.

– Nie miałem pojęcia, że to właśnie oznacza ich nazwa.

Właściwie to ten żart nie był nawet zabawny, ale w pewien sposób podniósł nas na duchu.

Gdy wspinaliśmy się po zboczu, blask księżyca ujawnił ścieżkę otoczoną upiornymi sylwetkami drzew. Dziwoszczury poszły jednak w przeciwną stronę, wybierając wąski przesmyk pomiędzy krzewami

róży wielokwiatowej. Nie mieliśmy innego wyboru jak podążyć za nimi, przeciskając się wśród ciemnych gałęzi.

Zastanawiałam się, czy celowo posadziły te krzaki w celu odstraszenia drapieżników od swojego gniazda. Gdy tak rozmyślałam, wąska dróżka gwałtownie przeszła w otwartą przestrzeń.

Na pierwszy rzut oka wyglądała ona na pustą łąkę, ale stojące pod rozłożystym dębem mongolskim dziwoszczury były jasnym dowodem na to, że znajduje się tutaj ich kolonia. Wejście było całkowicie zasłonięte wysokimi zaroślami, więc wyglądało to tak, jakby wchodzące do środka dziwoszczury rozmywały się nagle w gęstej mgle.

Jeden z nich, wyraźnie wyższy od swoich pobratymców, szedł powolnie naprzód, odpychając po drodze mniejsze dziwoszczury. Na skórzaną zbroję miał zarzucony płaszcz i bez wątpienia był najwyższy rangą w całej kolonii, jednak tym, co go najbardziej wyróżniało była odstająca głowa o kształcie młota.

Kapitan Szyszka padł na kolana i przyczołgał się ulegle do Młotogłowego. Zaczęli coś wspólnie omawiać. Młotogłowy patrzył na nas swoimi perlistymi ślepiami, wydając Kapitanowi Szyszce jakieś rozkazy.

Obawiałam się, że zostaniemy zaprowadzeni do ciemnych jak smoła tuneli, ale zamiast tego odciągnięto nas od gniazda i pokierowano w kierunku lasu. Znajdowała się tam olbrzymia klatka na ptaki. Była zrobiona z pędów róży wielokwiatowej oplecionych wokół gałęzi drzew, wysoka na metr i szeroka na dwa metry.

Nie widziałam nigdzie wejścia do klatki, ale jeden fragment ściany był pozbawiony gałęzi i składał się jedynie z biegnących od góry do dołu różanych łądyg. Dziwoszczury rozchyliły pędy swoimi włóczniami i wepchnęły nas do środka. Gdy cofnęły swoje ostrza, roślinne kraty ponownie przybliżyły się do siebie. Wydostanie się na zewnątrz, nie zostając przy tym poszatkokowanym przez ciernie, było niemożliwe. Jakby tego było mało, na zewnątrz pozostawiono strażnika, który mierzył nas złowrogim wzrokiem.

Klatka była zbyt niska, byśmy mogli stać, więc nie mieliśmy innego wyboru jak siedzieć na zimnej ziemi, jedynie z naszymi plecakami w roli poduszek. Światło księżyca wystarczało zaledwie byśmy z trudem widzieli swoje twarze.

– To był ciężki dzień, co? – spytał Satoru znacznie miłszym głosem, niż mogłabym się kiedykolwiek po nim spodziewać.

Łzy zebrały się w kącikach moich oczu i dużo nie brakowało, bym się rozplakała.

– Poważnie, najgorszy dzień w życiu... Satoru, co z twoją raną?

– Wszystko w porządku. Krew już zaschła, on drasnął tylko skórę – odpowiedział, poruszając uszami.

Nikt z naszej klasy poza nim nie posiadał tej zdolności. Odprężyłam się i uśmiechnęłam nieznacznie. Krew na jego czole nadawała przecięciu groźnego wyglądu, ale, tak jak powiedział, nie było to nic poważnego.

– Co teraz zrobimy?

– Cóż, wszystko co nam zostało to oczekiwanie na ratunek. Jeśli Shunowi i pozostałym udało się uciec, zaalarmują wioskę.

Jak długo będziemy musieli czekać, aż przybędzie odsiecz? Samo myślenie o tym było przygnębiające.

Siedzieliśmy przyciśnięci do siebie w ciasnej klatce na ptaki.

– Cały czas nas obserwuje, hmm...

Minęła już mniej więcej godzina od kiedy wtrącono nas do klatki, ale strażnik bez ustanku łypał na nas podejrzliwie. Gdy napotkał mój wzrok, natychmiast się odwrócił, ale chwilę później znów zaczął na nas patrzeć.

– Ignoruj go. To tylko głupi dziwoszczur – powiedział Satoru, obejmując mnie dłonią w pasie.

– Ale w jakiś sposób... Hej, co ty robisz? – Druga część mojego zdania była skierowana do Satoru.

– Nerwy masz pewnie napięte jak postronki, prawda? Pomogę ci się odprężyć – powiedział, pochylając się nade mną. Świecące od tyłu

światło ukryło w cieniu jego twarz, ale wciąż mogłam zobaczyć jego jasno błyszczące oczy.

– Dobra. Ja to zrobię. Po prostu się połóż – odparłam, kładąc dłoni na jego piersi.

Satoru przestał się poruszać. Poczułam przez koszulkę bicie jego serca. Uśmiechnęłam się i powoli go przewróciłam.

Błady blask księżyca oświetlał jego twarz, gdy wodziłam wierzchem dłoni po jego policzku. Satoru zamknął oczy i znieruchomiał zadowolony, zupełnie jak udomowiony kot.

Gdy objęłam dłońmi jego głowę i pocałowałam go w czoło, on zanurzył swoją twarz w moich piersiach.

Pieściłam go delikatnie; od szyi po tors, od torsu po pas.

Do tego dnia nie mieliśmy okazji dotykać się w ten sposób. Nasze codzienne zachowania, takie jak droczenie się czy warczenie na siebie nie były jednak niczym innym jak wyrazami miłości.

Penis Satoru był już zupełnie twardy. Do tamtej pory miałam doświadczenie jedynie z dziewczętami, więc nie miałam pojęcia jak postąpić z chłopcem. Gdy dotknęłam go przez dzinsy, poczułam pod grubym materiałem ciepło i pulsowanie. *Co powinnam teraz zrobić?*

Próbowałam kupić sobie trochę czasu, wodząc dłońmi po pachwinach Satoru i ściskając jego pośladki, ale chwycił moją dłoń, nakierowując ją na swoje krocze.

Odpięłam guzik i rozpięłam rozporek. Pod nim poczułam taką sztywność, że wydawało mi się, że bokserki zaraz zostaną rozerwane.

Ponownie zaczęłam pieścić jego najbardziej wrażliwe miejsce. Tym razem, przez cieką bieliznę, mogłam zobaczyć znacznie dokładniej jego wielkość i kształt. Pomyślałam, że to, iż wydaje się czymś żywym i reaguje na mój dotyk jak małe zwierzątko, jest całkiem interesującym faktem.

Nagle usłyszałam w głowie odbijające się echem słowa fałszywego minoshiro.

Kiedy wśród członków stada narasta gniew i niepokój, dają mu upust poprzez intymne zachowania seksualne. Dorosłe samce i samice odbywają stosunki, ale nawet niedojrzale osobniki i pary jedнопłciowe pocierają wzajemnie swoje genitalia, imitując stosunek. Zapobiega to konfliktom i pozwala utrzymać porządek wewnątrz stada.

Nie. Nie jesteśmy małpami.

Potrząsnęłam głową, próbując odgonić natrętną myśl.

Jednakże, jeśli chodzi o kontakty seksualne między chłopcami i dziewczętami, Kodeks Etyki zawiera bardzo ostre regulacje, praktycznie zakazując takich aktów. Z drugiej strony jednak, coś bardzo podobnego, czyli zbliżenie dwojga ludzi tej samej płci jest nie tylko dozwolone, ale wręcz zachęca się do niego. *Dlaczego tak jest?*

Pierwszym z kroków był częsty kontakt fizyczny, taki jak trzymanie się za ręce, przytulanie czy całusy w policzek. Drugi etap zakładał zachęcanie do takich kontaktów, zarówno z płcią przeciwną, jak i w obrębie własnej płci, począwszy od dzieciństwa, aż do późnej starości. Chciano w ten sposób wytworzyć nawyk rozpraszania napięć międzyludzkich poprzez seksualne zabawy i przeżywanie orgazmów. Trzecim krokiem było zachęcenie dorosłych ludzi do praktykowania między sobą wolnego seksu.

Jeśli słowa fałszywego minoshiro były prawdziwe, wszystko to zostało sztucznie stworzone w celu ochrony naszego społeczeństwa...

– Co się stało? – spytał Satoru, zaniepokojony tym, że przestałam się poruszać.

– Nic takiego, wybacz.

– Tym razem moja kolej – powiedział, obmacując mnie.

– Cz-czekaj...!

Satoru prawdopodobnie wydawało się, że jest delikatny, ale tak naprawdę łaskotał mnie. Wygięłam się do tyłu i odchyliłam głowę. Poczułam wtedy, jak wwierca się we mnie czyjś wzrok. Strażnik. Patrzył się na nas, zapominając nawet o mruganiu.

Nikt, dorosły czy dziecko, nie chciałby być oglądany, gdy przeżywa intymne chwile ze swoim partnerem. Gdy osoba trzecia nakryje parę w podobnej sytuacji, właściwą rzeczą jest odwrócenie wzroku i oddalenie się najszybciej, jak to możliwe.

Gdy jednak ta trzecia osoba nie jest człowiekiem, nie można spodziewać się po niej takiego zachowania. Pewnego razu, gdy spędzałyśmy wspólnie z Marią czas na piaszczystych wydmach Hasamaki, był z nami buldog Shuna, Subaru, choć nie pamiętam dokładnie, jak się tam znalazł.

Spojrzenie tego dziwoszczura było jednak zupełnie inne od wzroku Subaru i sprawiało, że czułam się wyjątkowo nieswojo. To oczywiste, że nie rozumiał znaczenia naszego zachowania; obsceniczny akt był wszystkim, co mógł sobie wyobrazić ten prymitywny rozum. Patrzył na nas sprośnie ze śliną kapiącą z ust.

Ponieważ znowu znieruchomiałam, Satoru otworzył oczy.

– Co teraz? Przestań się ze mną droczyć.

– Nie dro... Spójrz. – wskazałam ruchem oczu w kierunku strażnika.

– Po prostu go ignoruj – syknął Satoru.

– Nie mogę.

Cały humor Satoru się ulotnił. Chłopiec łypał groźnie na dziwoszczura.

– Cholera. A to drań. Już ja mu pokażę!

– Bez cantusu?

Satoru wyczuł w moim głosie kpinę, przez co jego twarz sposepniała. – Nawet bez cantusu, ludzie wciąż dysponują wiedzą.

Zdecydowałam się zachować dla siebie zgryźliwą ripostę. – Ale nic nie możesz mu zrobić – powiedziałam. – Nie możesz wydostać się z klatki ani niczego mu powiedzieć, bo nie rozumie naszego języka.

Satoru pogrążył się w myślach na kilka chwil, po czym jego oczy zapłonęły. Miałam co do tego złe przeczucia, lecz niczego na razie nie mówiłam. Satoru zaczął przekopywać się przez zawartość swojego plecaka.

– Czego szukasz?

– Tego – odparł z dumą, wyciągając białe, jakby się mogło wydawać - ptasie jajo. Tak naprawdę nie zostało jednak zniesione przez ptaka. To było sfabrykowane jajo sianokułki.

– I co zamierzasz z nim zrobić?

Kiedy fałszywe jajo zostanie uderzone, eksploduje, uwalniając z wnętrza coś, co zwie się czarcią dłonią. Wydziela także paskudny smród i rozbryzguje na dwa lub trzy metry ohydną breję. Mimo tego, siła jego rażenia nie jest wystarczająca, by spowodować śmierć. Może najwyżej rozdrażnić wroga.

– Po prostu patrz.

Satoru przesunął się na kolanach w kierunku wejścia do klatki, wyciągając dłoń z fałszywym jajem w kierunku dziwoszczura. Po raz pierwszy spróbowaliśmy się z nim porozumieć. Wydawał się być skrajnie ostrożny, wymachiwał włócznią z przesadną siłą.

– Hej, nie wściekaj się tak. Od pewnego czasu tak stoisz, więc na pewno zgłodniałeś, co? To jajko bączka jest naprawdę przepyszne – zachęcał go Satoru, przysuwając jajo bliżej wejścia.

Strażnik odwrócił głowę, śledząc tor ruchu jajka. Zawahał się przez chwilę, po czym wyciągnął łapę i chwycił je.

– Zgłupiałeś? Nawet dziwoszczury wiedzą, czym są fałszywe jaja.

– Naprawdę? Nie wydaje mi się. – W głosie Satoru, oprócz nerwowości i wyczekiwania dało się usłyszeć zadziwiającą pewność.

– Ci tutaj dopiero niedawno przybyli z kontynentu, racja? Sianokułki są najwyraźniej gatunkiem endemicznym dla Kanto, więc możliwe, że się nie połapie.

– To nie zmienia faktu, że zostanie cały umazany łajnem i nielicho się wkurzy. No bo jeśli nie połknie jaja w całości, tak jak wąż, to...

Satoru wydał krótki okrzyk zwycięstwa. Zobaczyłam jak dziwoszczur otwiera usta i wpycha do nich jajko.

To co stało się chwilę później było niezwykle brutalne i trudno było na to patrzeć z zimną krwią.

Miałam już zrugać Satoru, mówiąc, że nie powinien być robić czegoś tak okrutnego, ale gdy ujrzałam, że jest zszokowany bardziej ode mnie, postanowiłam to przemilczeć.

Strażnik już się nie ruszał. Prawdopodobnie był martwy. Nie miał nawet szansy krzyknąć, więc jak na razie nasza zbrodnia pozostawała nieodkryta.

– I co dalej? – spytałam cicho.

Moje niezdecydowanie sprawia, że wyglądam, jakbym zawsze pytała się innych ludzi o ich zdanie. Tym razem chciałam jedynie by Satoru coś powiedział. Cokolwiek.

– I tak musimy zwiewać – wyszeptał. – Kiedy zorientują się, że zabiliśmy tego gościa, z pewnością nie pozwolą nam żyć.

– Ale jak się stąd wydostaniemy? – spytałam, chwytając różany cierń. Szybko jednak odsunęłam dłoń, gdy kolec wbił mi się w palec. Gdybyśmy spróbowali sforsować ściany klatki, zostalibyśmy pocięci na plasterki.

– Mam! – wykrzyknął Satoru, wskazując na leżącą obok martwego strażnika włócznię.

Jego ręka ledwo mieściła się w szczelinie między tworzącymi drzwi naszego więzienia cierniami. Satoru opróżnił swój plecak i użył jednej z jego szelek jak lassa, próbując chwycić włócznię. Nie szło mu zbyt dobrze, ale w końcu udało mu się przerzucić pętlę przez drzewce broni i przyciągnąć ją trochę bliżej.

– Zmieńmy się – powiedziałam, widząc, jak kolce poraniły jego ramię, ale Satoru pokiwał tylko głową, nie mając zamiaru rezygnować.

– Mam ją!

Co prawda całą rękę miał we krwi, ale udało mu się złapać włócznię. Naśladując dziwoszczury użył jej jak dźwigni, próbując rozchylić kraty, ale jedna włócznia okazała się niewystarczająca. Do zrobienia otworu o odpowiedniej szerokości potrzebowałby dwóch.

– No cóż, chyba musimy po prostu się przebić.

Podczas gdy Satoru przerąbał się przez kolce, przyjrzałam się włóczni i uświadomiłam sobie, że jej grot jest kamienny, podczas gdy ostrze broni Kapitana Szyszki było zrobione z metalu.

– Pośpiesz się, albo nas nakryją! – powiedziałam nerwowo.

– Jeszcze kawałek – odparł Satoru, tnąc bez słowa skargi tak szybko, jak potrafił.

Zazwyczaj lubił się popisywać, był sarkastyczny i nie tolerował najmniejszej krytyki, więc byłam zszokowana tym, jak bardzo odmienne stało się jego zachowanie.

Na szczęście obsydian, czy jakkolwiek inaczej nazywał się minerał, z którego wykonano grot, okazał się zadziwiająco ostry. Mimo tego odcięcie wszystkich cierni i tak zajęło Satoru dobre dwie lub trzy minuty. Nie mogliśmy sobie pozwolić na stratę większej ilości czasu. Satoru owinął zwisające łodygi wokół rękojeści włóczni i podważył je.

– Szybko! Zmywajmy się stąd!

Pomiędzy kratami było akurat tyle przestrzeni, bym mogła przeczołgać się pod nimi na czworakach.

Satoru podał mi swój plecak i przygotował się do wyjścia z klatki. Ciężko mu było jednocześnie podtrzymywać łodygi i przechodzić pod nimi, ale jakoś sobie z tym poradził. Był jednak nieco większy ode mnie, więc ciernie skaleczyły go w paru miejscach. W tym momencie całe jego ciało było już pokryte ranami. Pomyślałam, że prawdopodobnie dadzą one o sobie znać po męczącym biegu.

Nisko pochyleni zajrzeliśmy za linię drzew. Widzieliśmy dużą grupkę dziwoszczurów, najwyraźniej szukających śladów Shuna i pozostałych, jednak gdy się wyprostowaliśmy, uświadomiliśmy sobie, że tak naprawdę jest ich jedynie dwóch lub trzech. Reszta tylko wchodziła i wychodziła z nory.

– W porządku, spadajmy.

W ciszy oddaliliśmy się jak najszybciej od gniazda. Zostawiliśmy też w tyle nasze kajaki, schowane na plaży jeziora Kasumigaura, ale to była jedyna możliwa droga ucieczki. Po przebyciu kilku metrów, puściliśmy się biegiem.

– Dokąd zmierzamy?

– Po prostu gnaj przed siebie!

Zastanawiałam się, ile czasu mogło upłynąć od chwili, gdy nas schwytano. Księżyc chował się już powoli za widzianymi w oddali szczytami.

Biegliśmy rozpaczliwie ciemnymi, górskimi ścieżkami. Nie miałam wątpliwości, że gdybyśmy znowu zostali złapani, nie czekałoby nas nic oprócz śmierci.

– Nie uważasz, że powinieneś się jej pozbyć? – spytałam, dysząc ciężko.

Satoru wciąż trzymał kurczowo zdobyczną włócznię, zupełnie jakby była ona największym skarbem świata.

– Może jeszcze się przydać – odparł krótko.

Nie mogłam przestać wyobrażać sobie różnych sytuacji, w których rzeczywiście mógłby mieć z nich użytek. Żadna z tych wizji nie była przyjemna, zwłaszcza, gdy pamiętało się, że jesteśmy tylko dwójką dzieci, które właśnie utraciły swój cantus a za broń mają jedynie tę nędzną włócznię.

W ciągu następnych czterdziestu lub pięćdziesięciu minut nic się nie wydarzyło. Byliśmy skrajnie wyczerpani, ale mimo tego jakoś udawało nam się utrzymywać tempo. Na szczęście nikt nas najwyraźniej nie gonił, ale sprawiało to jedynie, że byliśmy bardziej zaniepokojeni.

Przyszła mi na myśl melodia i słowa smutnej piosenki, której uczyliśmy się w Szkole Harmonii.

Dom jest coraz dalej. Coraz dalej.

Zawróć ze swej drogi. Zawróć z drogi.

– Jak długo będziemy tędy szli? – Byłam już u kresu swoich sił.

– Musimy po prostu oddalić się od ich gniazda.

Jedyną rzeczą, jaka zaprzętała myśli Satoru, były ścigające nas dziwoszczury.

– Idziemy na zachód, racja? Jeśli nie zmienimy kierunku będziemy oddalać się od jeziora Kasumigaura coraz bardziej i bardziej.

– Tak, lecz nie możemy zawrócić. Dopóki nie znajdziemy jakiejś okrężnej drogi, musimy trzymać się tego szlaku.

– Ale wszystkie te ścieżki są proste. Czemu po prostu nie cofniemy się bezdrożami?

– Zgubisz się, jeśli wejdiesz do lasu w środku nocy. Nie będziesz w stanie określić kierunku, w którym idziesz i szybko wrócisz do punktu wyjścia – odparł Satoru.

– Ale gdy będziemy trzymać się tych dróg, to bez trudu nas odnajdą.

– To dlatego staram się jak najbardziej zwiększyć do nich dystans.

Mieliśmy zupełnie różne poglądy na temat tego, co powinniśmy zrobić. Satoru ani trochę nie zwalniał tempa, więc nie pozostawało mi nic innego, jak podążać za nim.

Nagle jednak się zatrzymał.

– Co się stało?

Satoru przyłożył palec do ust, dając mi do zrozumienia, że mam być cicho. Uklęknął i zaczął się intensywnie przypatrywać czemuś, co znajdowało się przed nami.

Również skierowałam swój wzrok w tamto miejsce, ale nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego.

Miałam już coś mu powiedzieć, kiedy usłyszałam dochodzący z pobliskich krzaków szelest.

Zamarliśmy.

Dwadzieścia, może trzydzieści metrów na wprost nas, po obu stronach ścieżki pojawiły się sylwetki, przypominające niskich ludzi.

Niektóre z nich zdawały się trzymać coś, co wyglądało jak miecze i dzidy.

– Dziwoszczury...

Beznadzieja sytuacji była porażająca. Trzymając pewnie swoją lichą włócznię, Satoru zrobił krok naprzód.

Rozdział 3

Łącznie było sześć dziwoszczurów. Pomału szły w naszą stronę.

– Satoru, rzuć tę włócznię – wyszeptałam, starając się by mój głos brzmiał jak najbardziej naturalnie. – Zabiją nas, jeśli będziemy stawiać opór.

– I tak nas zamordują. – Satoru pokiwał głową. – Posłuchaj mnie. Uciekaj do lasu, gdy będę z nimi walczył.

– To jest bez sensu. Nie damy rady im uciec, ale jeśli spokojnie się podporządkujemy, może nie zabiją nas od razu. Możemy poczekać na pomoc.

– Nie. Nikt się nie zjawi – odparł Satoru z uporem. – A ja nie chcę znowu skończyć zamknięty w klatce.

– Satoru, błagam cię, bądź rozważny!

Cała szóstka dziwoszczurów zatrzymała się jakieś cztery czy pięć metrów przed nami. To było dziwne, zupełnie jakby nadal się nas obawiały.

– Poczekaj chwilę – powiedziałam, łapiąc Satoru za dłoń, w której trzymał broń.

– Zejdź mi z drogi.

– Nie... Spójrz tylko, one wyglądają inaczej niż tamte, z którymi mieliśmy wcześniej do czynienia.

– He? – zdziwił się Satoru.

Pomyślałam, że dziwoszczury za chwilę rzucą w nas włóczniami, ale stało się coś zupełnie innego: nagle wszystkie padły przed nami na kolana.

– Co...? – krzyknął Satoru. Ja natomiast jedynie wpatrywałam się w nie z szeroko otwartymi ustami.

– Kikikiki grrr... b-bogowie... – Stojący w środku dziwoszczur uniósł głowę i wydał z siebie dziwny dźwięk, który przypominał mowę. – Szszsz.... K-kolnia Łowików... €∂Å. Ziemne Pająki... ★ brrr.. Z-zgrożenie.

Nie miałam pojęcia, co mówi; dostrzegłam jednak na jego czole coś wyglądającego na tatuaż.

– Jesteśmy uratowani! Są z kolonii posłusznej ludziom! – wykrzyknęłam, czując, że z ogromnej ulgi uginają mi się kolana.

Satoru wciąż wyglądał jakby się wahał, jednak stanowczym, acz drżącym krokiem podszedł do dziwoszczurów na około trzy metry i spojrzął na ich tatuaże.

– „Łów 604”¹, co? To oznacza kolonię Łowików?

– Kikikikiki... Łowiiki! Ł-łowiiki! – dziwoszczur, który w pewnym stopniu potrafił używać naszej mowy, odpowiedział Satoru, dziko potakując ruchami głowy, przez co wyglądał jak długogłowa szarańcza. – Ziepająki... Ńbezpieczeństwo. Ziemne Pająki, Ńbezpieczeństwo!

Jak się później dowiedzieliśmy, Wydział Zdrowia wiedział już w tamtym momencie o istnieniu obcej kolonii, której nadał nazwę Ziemych Pajaków. W przeciwieństwie do Krocionogów, innej grupy przybyłej z półwyspu, Ziemne Pająki były jednak uważane za łagodnie usposobioną, nie sprawiającą kłopotów kolonię. Jak się okazało, zupełnie ich nie doceniono.

Ciekawym zbiegiem okoliczności, podczas epoki Yamato w starożytnej Japonii (mam tu na myśli zupełnie inny okres od Nowego Yamato, przypadającego na czas istnienia Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni), określenie „ziemne pająki” było obraźliwym przydomkiem dla autochtonicznego ludu Jomonów. Fakt, że po tak długim czasie użyto go ponownie do nazwania napływowej kolonii dziwoszczurów jest ironicznym chichotem historii.

Tak czy siak, byliśmy prowadzeni przez ciemny las przez sześć Łowików.

– I znowu jesteśmy w nieciekawej sytuacji – westchnął Satoru z poważnym wyrazem twarzy.

– Jak to? Przecież zostaliśmy uratowani. A ci tutaj na pewno nie wezmą nas w niewolę.

¹ oryg. „sól 604”, pierwsze kanji słowa „łowik” oznacza właśnie sól.

– Racja, ale biorę pod uwagę nasz obecny stan.

– Obecny stan?

– Jak myślisz, dlaczego dziwoszczury czczą ludzi jak bogów? – Satoru rzucił mi smutne spojrzenie. – Czy to nie dlatego, że mamy cantus? To, że nam się podporządkowują wynika jedynie z ich przekonania, że posiadamy tę moc, ale co według ciebie zrobią, gdy zorientują się, że ją utraciliśmy?

Satoru mówił szeptem, odchylając się do tyłu. Możliwe, że bał się, że zostanie podsłuchany przez idące z przodu dziwoszczury.

– Przesadzasz. – Poczulałam lekki niepokój, ale wciąż uważałam, że powinnam odmówić mu racji. – Łowiki znajdują się pod naszą kontrolą, tak? Jeśli by nas skrzywdziły, a inni ludzie dowiedzieliby się o tym, cała kolonia zostałaby unicestwiona. One dobrze o tym wiedzą. Nie mają żadnej motywacji do wyrządzenia nam krzywdy.

– Nigdy nie można mieć pewności, co nimi kieruje. Może i dziwoszczury myślą czasami tak, jak my, ale to wciąż są gryzonie – powiedział Satoru. Brzmiał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. – W każdym razie, nie możemy uśpić swojej czujności. Z pewnością nie pozwolę, by dowiedziały się, że nie możemy korzystać z cantusu. Ty też powinnaś być ostrożna, Saki.

Miałam ochotę spytać się go, jak niby wyobraża sobie bycie ostrożnym, ale to z pewnością nie był dobry czas na sprzeczki. Im dłużej szliśmy przez leśne bezdroża, tym bardziej nieswojo się czułam.

Czy zdołamy wywieść w pole kolonię Łowików? To nowe pytanie coraz silniej zaprzętało moje myśli, zastępując poprzedni strach przed Ziemnymi Pająkami.

Zastanawiałam się, jak długo jeszcze będziemy szli. Nagle jeden z dziwoszczurów odwrócił się i coś krzyknął; moje ciało było jednak tak wyczerpane, a umysł tak zamglony, że nie mogłam zrozumieć o co chodzi.

– Co on powiedział?

– Nie dosłyszałem do końca, ale najwyraźniej ogłosił, że dotarliśmy do celu.

Słowa Satoru sprawiły, że przeszył mnie dreszcz strachu.

Ze znajdujących się naprzeciwko nas zarośli wychylił się kolejny dziwoszczur. Różnił się wyglądem od tej szóstki, która nas przyprowadziła. Był wyraźnie większy od pozostałych i miał na sobie metalową, łuskową kolczugę oraz hełm ozdobiony tradycyjnymi, wygiętymi w półksiężyc rogamami. Prawdopodobnie zajmował w kolonii taką samą, albo nawet i wyższą pozycję jak Kapitan Szyszka wśród Ziemnych Pająków. Przez kilka chwil stał spokojnie, słuchając raportu składanego przez jednego z dziwoszczurów a następnie ostrożnie do nas podszedł.

– Witajcie, bogowie – powiedział w oszalamiająco płynnym japońskim, zdejmując swój hełm. – Jestem rzecznikiem kolonii Łowików. Nazywam się $\Theta\xi\%_{\infty}\star\forall\partial$.

Jego imię było seria skomplikowanych, wysokich pisków.

– Prawdopodobnie jednak łatwiej będzie wam mówić na mnie Squealer, więc proszę, zwracajcie się do mnie w taki sposób.

– No więc, Squealerze, – powiedział spokojnie Satoru. – Zgubiliśmy się i nie możemy odnaleźć drogi powrotnej do naszego obozowiska. Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyście zaprowadzili nas na brzeg Jeziora Kasumigaura. Dalej już sami sobie poradzimy.

– Rozumiem – odpowiedział pospiesznie Squealer, sprawiając że odetchnęliśmy z ulgą. – Obawiam się jednak, że w tym momencie będzie to bardzo trudne.

– Dlaczego? – spytałam bez namysłu. – Czy to dlatego, że jest ciemno? Albo...

– Mam bardzo dobrze rozwinięty zmysł powonienia i mogę poruszać się po lesie w środku nocy bez żadnych przeszkód. Jeśli nie odczuwacie zmęczenia i chcecie wyruszyć już teraz, z przyjemnością wskażę wam drogę – odpowiedział z szacunkiem Squealer. – Jednakże, obecnie ten obszar jest bardzo niebezpieczny. Znajdujemy się w stanie zagrożenia z powodu obcej kolonii Ziemnych Pająków,

która napadła na nasze ziemie. Kilka dni temu wypowiedziały one wojnę naszej tubylczej społeczności. Nie natknęliście się może na nich po drodze?

Miałam zamiar odpowiedzieć zgodnie z prawdą, ale powstrzymała mnie mina Satoru.

– Nie, nikogo nie spotkaliśmy – odparł z kamienną twarzą.

Wydawało mi się, że widzę jak Squealer rzuca przelotne spojrzenie na zranione czoło Satoru, ale prawdopodobnie tylko wyobraźnia spletała mi figła.

– Dobrze to słyszeć. Ziemne Pajaki to bandycka grupa. Prawdopodobnie próbowałyby schwycić bogów, nie zdając sobie sprawy z własnej pozycji wobec nich. Oczywiście, wykorzystując cantus poradziłibyście sobie z nimi z dziecinną łatwością, jednak znane są one z tchórzowskich sztuczek, takich jak ataki z zasadzki przy użyciu zatrutych strzałek.

Dziwoszczur prychnął z gniewem, jeszcze bardziej marszcząc swój już i tak pokryty fałdami pysk.

– Przepraszam za ten wybuch emocji – powiedział. – Wkładamy olbrzymi wysiłek w próby obrony, ale nie jesteśmy na tyle silną grupą, by się z nami liczone i dlatego właśnie znaleźliśmy się w obecnej sytuacji.

– To znaczy, że przegrywacie? – spytałam.

– Sprawa nie jest taka prosta – kontynuował Squealer, zupełnie jakby czekał na moje pytanie. – Niewiele wiem o dużych koloniach, takich jak Olbrzymie Szerszenie, ale Łowiki liczą tylko siedmiuset osobników. Dla porównania szacunkowa populacja Ziemnych Pajaków to przynajmniej cztery tysiące.

Zadrżałam. Przed swoją śmiercią, Rijin zgładził najwyżej tysiąc z nich. Założenie, że unicestwił całe ich plemię było zbyt optymistyczne. Prawdopodobnie trzy tysiące z nich nadal pozostawało przy życiu.

– Wczoraj wyprawiliśmy specjalnych wysłanników z prośbą o pomoc do trzech sąsiednich kolonii, ale zanim tam dotrą upłynie trochę czasu

– Więc jeśli zaatakują was w tej chwili, będziecie bezbronni? – wypaliłam bezmyślnie.

Squealer spojrział na mnie podejrzliwie i uświadomiłam sobie swój błąd. Człowiek posiadający cantus nie obawiałby się konfrontacji z dziwoszczurami, bez względu na ich liczbę.

– Właśnie, co byście zrobili, gdybyśmy się tu nie zjawili? – dodał bez chwili namysłu Satoru. Doprowadził tę umiejętność do perfekcji, wyługując się ze swoich rozlicznych zmyślonych historyjek.

– Jestem głęboko poruszony waszą troską. – Squealer nisko się uklonił. – Jednakże, walki pomiędzy naszymi koloniami są czymś wyjątkowym, i nawet mimo znaczącej różnicy sił między nimi a nami, jest zbyt wcześnie na wysuwanie wniosków.

– Co masz na myśli?

– Mówi się, że dopóki nie zobaczy się czegoś na własne oczy, nie uwierzy się w to. Dlatego proszę was żebyście poszli za mną, chciałbym wam coś pokazać. – Squealer cofnął się, cały czas z pochyloną głową. Wydawało mi się, że to typowe zachowanie dla dziwoszczurów podczas rozmowy z kimś wyżej postawionym.

Kiedy wyszliśmy z gęstych zarośli, znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Księżyc zdążył już się schować, ale światło gwiazd dobrze oświetlało całą polanę, usianą kopcami przypominającymi mrowiska.

– Czy to gniazdo kolonii Łowików? – spytałam.

Squealer pokręcił przecząco głową. – Nasze gniazdo jest tam, gdzie żyje królowa, dość daleko stąd. To jedna z naszych linii obrony przed atakami Ziemnych Pająków.

– Linii obrony?

– Bunkry, okopy, ściany szczelinowe, tunele. Wszystko to w celach obronnych... Bogowie, interesujecie się może strategicznymi grami planszowymi, takimi jak shogi czy go?

To pytanie zbiło mnie z tropu.

– Cóż, tak myślę – odparłam. – W szkole uczyliśmy się zasad obu tych gier.

Mówiąc szczerze, na początku wydawały mi się one dobrą zabawą, ale szybko przestały mnie interesować, więc znałam tylko podstawy zasad. Głównym powodem, dla którego porzuciłam granie, było to, że z kilkoma osobami nie byłam w stanie zwyciężyć. Jedną z nich, co zrozumiałe, był Shun, jednak za każdym razem gdy widziałam triumfalną minę Satoru, traciłam wszelką ochotę na zabawę.

– W takim razie może lepiej będzie, jeśli wytłumaczę to w następujący sposób: my, $\beta\star\ddot{e}\odot\text{\AA}$, to znaczy kolonie dziwoszczurów, walczymy w stylu bardziej zbliżonym do gry w go niż w shogi.

Przez chwilę zastanowiło mnie, dlaczego użył słowa „dziwoszczury”.

Squealer zaczął wyjaśniać tajniki starć siłowych pomiędzy dziwoszczurami w stylu przypominającym wywód fałszywego minoshiro.

Dziwoszczury są potomkami golców z wschodniej Afryki, żyjących głównie w ciasnych, podziemnych tunelach. Nawet mimo tego, że ludzie przyczynili się do zmiany ich wyglądu zewnętrznego i wzrostu ich inteligencji, umożliwiając im stworzenie własnej kultury, ich podstawowa struktura społeczna nie uległa żadnej zmianie. Ich siedziby mniej lub bardziej przypominają pionowe szyby, od których odchodzą niezliczone odgałęzienia, umożliwiające ucieczkę na powierzchnię w razie powodzi. Doły są połączone dodatkowo podziemnymi poziomymi tunelami, które umożliwiają przemieszczanie się między nimi bez konieczności wychodzenia na powierzchnię.

– Walka na powierzchni jest dla nas dość nowym odkryciem. To jasne, że na zewnątrz ma się lepszą mobilność niż w podziemiach, niezależnie od noszonej zbroi. Prawdę powiedziawszy, nie wiem jak

zapatrują się na to inni walczący na powierzchni żołnierze, ale osobiście uważam, że jeśli chodzi o odnajdywanie pozycji wroga, ofensywa naziemna mija się z celem.

– Dlaczego? – zapytał Satoru.

– Ponieważ $\beta \star \ddot{\text{e}} \odot \text{\AA}$... Nasi pobratymcy znajdując się pod ziemią potrafią za pomocą dźwięków i wibracji zlokalizować oddziały z powierzchni, gdy jednocześnie ci na zewnątrz nie są w stanie wykryć pozycji przeciwników znajdujących się pod nimi. Wynika z tego, że jeśli uda nam się zadziałać na grunt z dołu, powodując jego zapadnięcie się, wpadną wprost na nasze włócznie i nie dadzą rady w żaden sposób uniknąć śmierci.

Przypuszczalnie dziwoszczury już wielokrotnie stosowały tę taktykę. Podobnie jak ludzie, nie potrafią wyciągać wniosków z lekcji, dopóki nie zostanie przelana wystarczająca ilość krwi.

– Innymi słowy, działając defensywnie, zawsze zyskuje się przewagę – powiedział wyglądający na zadowolonego z siebie Satoru.

– Dokładnie. Agresorzy nie mają innego wyboru jak szturm pod ziemią, lecz nawet w takim przypadku broniący się są w stanie określić z wyprzedzeniem ich pozycje. Mogą wtedy wznieść blokady, wykopać tunele nad ich głowami, zrzucając z góry ciężkie kamienie i przygotować wiele innych pułapek. Mówiąc inaczej, jeśli chodzi o walkę w podziemiach, atak jest znacznie trudniejszy niż obrona.

– I co dzieje się później? – spytałam.

– Zazwyczaj utrzymywana w wiecznym szachu ofensywa musiała się wycofywać, żeby nie ponosić dalszych strat. Pewnego dnia jednak pojawił się $\mathcal{K} \odot \infty \Sigma \cdot \dots$ Ioki, genialny strateg. Ioki, zainspirowany otrzymaną od bogów księgą, sam jeden opracował taktykę pozwalającą pojmać całą kolonię.

– Co to była za książka? – spytał Satoru, marszcząc brew.

Zastanawiałam się jakim cudem tak niebezpieczna lektura, zamiast zostać zakazaną, trafiła do rąk dziwoszczurów.

– Niestety, tamta święta księga już nie istnieje. Do dziś zachował się tylko tytuł, który nosiła: „Wprowadzenie do gry w go dla trzylatków”.

Spojrzelśmy na siebie nawzajem z Satoru. Obydwoje widzieliśmy tę książkę w świetlicy w Szkole Harmonii.

– Strategie Iokiego opierały się na go. Po pierwsze, żołnierze na powierzchni byli wysyłani do upatrzonych z góry miejsc, gdzie mieli wykopać rowy i utrzymywać pozycje. Następnie tworzono kanały komunikacji pomiędzy bazami i dogodnym punktem obserwacyjnym. Podziemne tunele łączyły bazy z linią frontu. W ten sposób bazy połączone były ze strefą walki, która z kolei była skomunikowana z powierzchnią. Tym samym zwiększało się znajdujące się pod naszą kontrolą terytorium. Ostatecznym celem było uwięzienie przeciwnika w ciasnej przestrzeni, zawsze zostawiając sobie bezpieczną drogę ucieczki, w razie konieczności odwrotu. Gdy wróg został otoczony, mogliśmy odciąć jego zaopatrzenie w wodę i pożywienie. Żeby tego dokonać, trzeba było zbudować bazy pomiędzy pozycjami wroga, przerywając tym samym komunikację między nimi i tworząc własne szlaki łączności. Zgodnie z zasadami go, żeby skutecznie uwięzić przeciwnika, trzeba wykonać wszystkie te kroki. Dopiero wtedy można przejść do walki w zwarciu.

Ponownie omiotłam wzrokiem polanę. Tym razem zrozumiałam, że podobne do mrowisk wieże zostały zbudowane w ściśle określonym celu.

– W mgnieniu oka we wszystkich koloniach przyjęły się rewolucyjne zmiany w taktyce, wprowadzone przez Iokiego. Kolonie, o których mówiono, że są niemożliwe do pokonania, przegrywały walki jedna za drugą, co drastycznie obniżyło ich wpływy. Te grupy, które zaadoptowały ten nowy sposób planowania, szybko urosły w siłę, podczas gdy kolonie trzymające się starych metod zostały unicestwione.

– Co się później stało z Iokim?

Sama byłam zdziwiona tym, że tak bardzo interesowały mnie losy bohatera dziwoszczurów. Czyżby Ioki, będąc tak wpływową postacią, był kamieniem węgielnym dobrobytu Olbrzymich Szerszeni? A może Squealer opowiadał o nim z taką pasją, ponieważ Ioki był przodkiem kolonii Łowików, który przyczynił się do jej odbudowania?

– Ioki zginął podczas jednej z wojen – powiedział smutno Squealer. – Urodził się w kolonii Jętek, słabej, liczącej około czterystu członków grupie. Z tego powodu często musiał stawać w pierwszym szeregu, dowodząc w bitwie. Podczas starcia z sąsiednią kolonią, linia frontu osiągnęła przyczółek wroga i rozgorzały zacięte walki. To, czyje szlaki komunikacji zostaną odcięte, a czyje zachowane zależało od wyniku tej bitwy. Ioki był tego świadomy, a ponadto zauważył, że jeśli poświęci jedną z własnych baz, będzie w stanie przełamać obronę przeciwnika. Był tylko jeden problem. Baza, która musiała zostać oddana przeciwnikowi, była tą, w której znajdował się sam Ioki.

Satoru westchnął.

– Ioki postanowił poświęcić własny oddział. Mimo tego, że byli otoczeni przez wroga, on i sześciu jego towarzyszy walczyli aż do śmierci, której zresztą się spodziewali. Upojeni szczęściem ze zwycięstwa przeciwnicy próbowali dołączyć do reszty swojej armii, jednak uświadomili sobie, że ich oddziały zostały rozdzielone na dwie grupy, a komunikacja między nimi została odcięta. Zostali uwięzieni we własnym punkcie obserwacyjnym bez żadnej drogi odwrotu. Połowa wrogich jednostek została pozbawiona zaopatrzenia i zginęła w oblężeniu. Kolonia Jętek odniosła wspaniałe zwycięstwo.

Byliśmy urzeczeni historią Squealera. Czuliśmy się tak samo jak wtedy, gdy słuchaliśmy słów fałszywego minoshiro, mimo, że brzmienie ich głosów było zupełnie inne.

– Jednakże, kolonia Jętek została zniszczona zanim zdołała nacieszyć się choć trochę upojnym smakiem triumfu – powiedział smutno Squealer, ubolewając nad losem kolonii, która na zawsze zniknęła z kart historii, pozostawiając po sobie tylko ulotne

wspomnienie. – Liczebność Jętek była tak niewielka, że gdy straciły Iokiego – swoją atutową kartę, szybko stały się łupem dla sąsiednich grup. Jeśli pozostano by przy starych taktykach, może zdołałoby przetrwać, jedynie się broniąc, jednak, jak na ironię, to nowa strategia Iokiego stała się głównym powodem, dla którego Jętki poniosły tak potężne straty, że nie pozostało im nic innego jak bezwarunkowa kapitulacja.

– Co się dzieje z dziwoszczurami z przegranej kolonii? – spytałam. *Czyżby wszystkie były zabijane?*

– Dokonuje się egzekucji królowej, a pozostali mieszkańcy kolonii stają się niewolnikami. Do końca życia traktowani są gorzej niż śmieci, a gdy umrą, ich zwłoki pozostawia się niepochowane by zgniły i użyźniły glebę pól uprawnych.

Milczeliśmy. Gdy myślę o tym dzisiaj, ta odpowiedź również była najprawdopodobniej częścią planu Squealera. Usta Satoru wypowiedziały coś bezgłośnie. Wydawało mi się, że odczytałam z ich ruchu słowo „mrówki”...

Mrówki. To takie oczywiste. Z jednej strony dziwoszczury posiadały ludzką mentalność, z drugiej jednak cechowało je okrucieństwo socjalnych owadów. Cel wojen między koloniami był taki sam jak w przypadku inwazji mrówek amazonek na obce mrowiska – pozyskanie siły roboczej.

– Szczerze mówiąc, opowiadam wam to wszystko w pewnym celu. – Siedzący na ziemi Squealer wyglądał naprawdę dostojnie. – W ciągu ostatnich kilku dni straciliśmy w bitwach z Ziemnymi Pająkami wszystkie bazy, które posiadały połączenie z zewnętrznym światem. Posłańcy, których wyprawiliśmy do okolicznych kolonii z prośbą o pomoc zostali najpewniej pojmani i zabici. Innymi słowy, dla naszej kolonii to teraz kwestia życia i śmierci. Przybycie młodych bogów musi być znakiem z niebios. To zwiastun naszego ocalenia, tak jak Budda powracający z piekieł.

Satoru rzucił mi przelotne spojrzenie. Rozmowa zmierzała w najgorszym z możliwych dla mnie kierunków.

– Jestem w pełni świadomy, że proszenie bogów o angażowanie się w nasze błaha, przyziemne sprawy to czysta bezczelność, ale jestem zmuszony błagać was, byście ocalili naszą kolonię. Spuśćcie młot zemsty na te bluźniercze Ziemne Pajaki, którym obca jest nawet bojaźń przed bogami.

Satoru odchrząknął. – Bardzo chcielibyśmy wam pomóc, ale nie możemy sami o tym decydować.

– Dlaczego? Przecież wystarczyłoby, żebyście tylko o tym pomyśleli, by zniszczyć ich wszystkich.

– Dziwoszczury to chroniony gatunek, więc nie możemy tak po prostu ich zabijać – Satoru ostrożnie dobierał słowa. – Żeby móc pozbyć się stanowiących zagrożenie istot, musielibyśmy złożyć wcześniej wnioski w Wydziale Zdrowia i w ratuszu.

– Rozumiem. Jednak jeśli nic nie zrobicie, nie unikniemy porażki – Squealer nie przestawał rozpaczliwie prosić. – Błagam, miejcie litość! Nie musicie zabijać wszystkich, proszę tylko o skromny atak, który przełamie ich oblężenie. Później jakoś sobie poradzimy. Proszę was...

Squealer miał najwyraźniej zamiar coś jeszcze dodać, ale przeszkodziło mu pojawienie się posłańca, który wyszeptał mu coś na ucho. W mgnieniu oka zmieniła się jego postawa; stał teraz w wyniosłej pozycji i słuchał informacji. Wreszcie odwrócił się w naszą stronę z nieco zmieszaną miną.

– Rozumiem więc. Jest już późno, więc porozmawiam z wami ponownie jutrzejszym rankiem. Musicie być zmęczeni, ale czy zechcielibyście spotkać się z naszą królową, zanim udacie się na odpoczynek?

– Królową?

Miałam sprzeczne uczucia. Z jednej strony pragnęłam ujrzeć królową dziwoszczurów, z drugiej jednak już prawie świtało a w ciągu ostatniej doby wydarzyło się tak wiele, że byłam totalnie wykończona.

– Królowa znajduje się w pobliskim bunkrze. Będzie zachwycona możliwością spotkania bogów.

– Dobrze, możemy wpaść do niej na chwilę. Ale pozostałe sprawy muszą poczekać do jutra – odparł Satoru, powstrzymując się od ziewnięcia.

Podążaliśmy za Squealerem przez polanę. Zatrzymaliśmy się u stóp dużej wieży, przypominającej kształtem mrowisko; nigdzie jednak nie mogłam dostrzec drzwi.

– Tędy proszę. Wiem, że wygląda niezbyt przyzwoicie, ale to właśnie jest wejście – powiedział Squealer, odgarniając kępę uschłej trawy, która zasłaniała dziurę o mniej więcej metrowej średnicy.

– Co? To tędy się wchodzi? – spytałam. Przepęłniały mnie obawy.

– Chyba byłoby lepiej, gdyby królowa wyszła do nas na zewnątrz – dodał Satoru. W jego głosie również było słychać niepewność.

– Niezwykle mi przykro, ale ten tunel jest szeroki tylko na tyle, by zmieścili się w nim żołnierze. Królowa nie byłaby w stanie się tędy przecisnąć. Oczekuje na was w swojej podziemnej komnacie.

Nie mieliśmy wyboru. Odmowa audiencji u królowej byłaby zniewagą, a skoro nie mieliśmy już dostępu do cantusu, nie chcieliśmy prowokować walki.

Satoru wszedł do środka za mną. Wewnątrz było zauważalnie zimniej niż na zewnątrz. Samo wejście było wygładzone i pokryte gliną, natomiast sam tunel był wyłożony zbitą ziemią wymieszaną z trawą; prawdopodobnie miało to zapobiegać poślizgnięciu się. Obawiałam się, że wpadnę do pionowego szybu, ale dzięki dwójce dziwoszczurów które asekurowały nas z dołu, zejście nie było trudne. Dziwoszczury, niczym miękkie poduszki przyczepione do ścian tunelu spowalniały tempo naszego ruchu w dół. Uświadomiliśmy sobie z Satoru, że i tak nie dalibyśmy rady znaleźć na pionowej ścianie miejsc, których dałoby się uchwycić, więc podróż w dół

podpierając się na ramionach dziwoszczurów była wszystkim, co nam pozostało.

Po przejściu kolejnych dwudziestu lub trzydziestu metrów, tunel nagle się rozszerzył. Wstaliśmy i rozejrzeliśmy się wkoło, ale było zbyt ciemno, by określić rozmiary jaskini. Woń pleśni i zwierząt dotarła do moich nozdrzy, sprawiając, że włosy stanęły mi dęba.

– Proszę, poczekajcie minutkę – odezwał się Squealer zza naszych pleców.

Gdy się odwróciłam, okazało się, że wszystkim, co jestem w stanie dostrzec w mroku, jest błysk jego oczu. Wiedziałam, że połyskliwe oczy są charakterystyczną cechą dzikich zwierząt, ale mimo tego coś sprawiało, że nie mogłam pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, którego doświadczałam, patrząc na nie.

Squealer potarł krzesiwo i zapalił małą pochodnię. Jasne światło oślepiło mnie na kilka chwil. Kolejny raz uświadomiłam sobie, jak bardzo dodaje ono otuchy.

– Tędy.

Myślałam, że znajdujemy się w olbrzymiej sali, lecz gdy została ona oświetlona, jej powierzchnia okazała się nie większa niż sześciu mat tatami. W trzech różnych kierunkach odchodziły od niej poziome tunele. Squealer szedł na przędzie, oświetlając drogę pochodnią. Idące w wyprostowanej pozycji dziwoszczury rzucały na ściany komnaty dziwne, drżące cienie.

– Uważajcie na głowy.

Tunel poszerzał się, ale jednocześnie coraz bardziej zmniejszała się jego wysokość. Dziwoszczury najpewniej pokonywały zazwyczaj ten odcinek na czterech łapach.

Gdy tak przemierzaliśmy ciemne tunele, za źródło światła mając jedynie pochodnię ogarnęło mnie dziwne poczucie oderwania od rzeczywistości. Nie potrafiłam do końca uwierzyć, że naprawdę się tam znajduję.

Z drugiej strony jednak, uświadomiliśmy sobie przytłaczającą wręcz czyjąś obecność. To był ten sam zapach, który czuliśmy

wcześniej. Tunel był przepelniony wonią dziwoszczurów, która przybierała na sile, w miarę gdy schodziliśmy coraz głębiej. To był zapach Squealera i pozostałych żołnierzy, jednak nakładała się na niego jeszcze inna woń – przypominająca bardziej smród rozkładu. Co więcej, ten odór był tak silny, że prawie się dusiłam.

Kolejną rzeczą, która przykuła naszą uwagę była seria cichych dźwięków. Gdy dobrze się wsłuchałam, brzmiało to jak odgłos pracujących miechów, przeplatany nikłym echem odległych grzmotów. Fale nieregularnych drzeń przetaczały się z turkotem po ścianach tunelu, tak jakby coś okropnie dużego pełzało okolicznymi korytarzami...

Czułam wibracje pod stopami. Z trwogi ciało zaczęło odmawiać mi posłuszeństwa, lecz nie powiedziałam Satoru, że chcę wracać. Któż wie, co mogłoby się stać, gdybym okazała słabość przed Squealerem.

– Jak daleko jeszcze? – Satoru starał się sprawiać wrażenie spokojnego, ale nie potrafił ukryć lekkiego drżenia w głosie.

– Za chwilę będziemy na miejscu.

To nie było kłamstwo. Niecałe dwadzieścia metrów dalej tunel łagodnie zakręcał w prawo. Squealer padł twarzą ku ziemi i zaczął wykrzykiwać coś piskliwym głosem.

W odpowiedzi usłyszeliśmy warczenie, które sprawiło, że zadrżała ziemia. Fala dźwięku o niskiej częstotliwości przeszła nasze ciała niczym silny wicher.

– Królowa jest zaszczycona waszymi odwiedzinami – powiedział Squealer.

Wydawało się, że Satoru chce coś powiedzieć, ale nie może znaleźć odpowiednich słów.

– To my jesteśmy zaszczyceni. Przekaż jej, że jesteśmy wielce uszczęśliwieni spotkaniem z nią. – odpowiedziałam.

Squealer skinął głową i przekazał królowej nasze słowa w swojej jazgotliwej mowie.

Nagle, ku naszemu zaskoczeniu, królowa odezwała się w ludzkim języku.

– Grrrr... B-bogow-wie ★Θ. Prosz-szę.....fΔθ... Pode-jejdźcie b-bliż-żej...

Jej głos brzmiał jak niski gruchot wymieszany z dziwnym chrzęstem podobnym do tego, które można usłyszeć, zgrzytając zębami; w jakiś sposób byłam jednak w stanie zrozumieć że zaprasza nas bliżej do siebie.

Spojrzeliliśmy na siebie nawzajem i ruszyliśmy pomału naprzód. Odrażająca woń przybrała na sile tak bardzo, że stała się praktycznie nie do zniesienia.

Squealer pozostał w miejscu, gdzie tunel łukowato skręcał, ściskając pochodnię. Padające od tyłu migoczące światło sprawiało, że trudno było zobaczyć, jak wygląda królowa. Mimo tego, po samej sylwetce i ilości ciepła jakie wydzielало siedzące przed nami stworzenie, byłam w stanie bez wątpliwości stwierdzić, że jest ono niespotykanych rozmiarów.

– ★☆...gagaga! □■! ...◇◆!

Zostaliśmy owiani przez podmuch gorącego powietrza. Odruchowo odwróciłam twarz, lecz następne dźwięki, które dotarły do moich uszu ponownie wprawiły mnie w zaskoczenie.

– Bbb-bo-bogow-wie... W-witajcie. Ja... B-bardzo za-zaszczycona.

Królowa zwracała się do nas falsetem, więc jej mowa była słyszalna dla ludzkiego ucha. Co jeszcze bardziej zaskakujące, jej głos bez cienia wątpliwości był żeński.

Rozmawialiśmy z królową przez jakieś pięć minut. Niestety, nie mogę przypomnieć sobie treści tamtej konwersacji. Być może jest tak dlatego, że byliśmy wtedy skrajnie zmęczeni i wystraszeni, a może z powodu jeszcze bardziej dramatycznych wydarzeń które nastąpiły kilka chwil później, a których przyczyna była dość błaha.

Królowa przeprosiła nas za to, że musimy tak długo stać i zawołała dwójkę dziwoszczurów, która miała nam służyć za krzesła. Próbowaliśmy, oczywiście, grzecznie odmówić, ale nie odniosło to skutku. Wciąż trzymający pochodnię Squealer podszedł do nas wraz z dwójką swych pobratymców.

Jasny płomień łuczywa oświetlił jaskinię i królową. Ponieważ podczas rozmowy głos władczyni wydał nam się nieoczekiwanie wręcz miły, dręczące nas początkowo obawy nieco zelżały. Dlatego też byliśmy podwójnie zszokowani jej rzeczywistym wyglądem.

Pierwszym co przyszło mi na myśl była gigantyczna gąsienica z czterema krótkimi nogami i ogonem. Chorobliwie blada z braku słońca skóra, zwisająca pierścieniami fałd opasującymi ciało jedynie nasilała to podobieństwo. Tym, co odróżniało królową od owada była jej twarz. Połowa ogromnej głowy była usiana brązowymi plamami, które prawdopodobnie stałyby się czerwone, gdyby wystawić je na działanie światła. Oczy były zaledwie niewielkimi fasolkami zatopionymi pomiędzy licznymi zmarszczkami a silne, grube szczęki ukrywały ostre, dłutowate zęby. Szyję królowej ozdobił naszyjnik wysadzany lśniącymi w świetle szkarłatnymi almandynami, błyszczącymi fluorytami, berylami i kordierytami.

Gdy wygląd dziwoszczurzej władczyni został ujawniony, zaczęła ryczeć i rzuciła się do przodu. Wzdrygnęliśmy się, ale najwyraźniej jej cel znajdował się gdzieś z boku.

Złapała Squealera w pysk i z łatwością uniosła go w powietrze, brutalnie miotając nim we wszystkie strony. Squealer wrzasnął i upuścił pochodnię. Jaskinię zalała ciemność. Słyszałam gniewne powarkiwania królowej, przerywane jego sporadycznymi krzykami.. Pozostałe dwa dziwoszczury skuliły się w rogu pomieszczenia i rozpaczliwie próbowały przekopywać się pazurami przez ziemię.

– Królowo, zaczekaj! – powiedziałam, zbierając całą swoją odwagę. – Nie zabijaj Squealera! On nie zrobił tego celowo.

Satoru ścisnął moje ramię. Próba uspokojenie wściekłej królowej była ryzykownym przedsięwzięciem. Gdyby jednak ludzki bóg nie zainterweniował w takiej sytuacji, mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

Królowa nie reagowała przez dłuższą chwilę a następnie z pogardą upuściła Squealera, po czym zręcznie się odwróciła, prześliznęła obok nas i zniknęła w głębi jaskini. Wciąż panowały nieprzejrzone ciemności, więc nie widzieliśmy jej ruchów; raczej je wyczuwaliśmy.

Squealer leżał na ziemi, dygocząc. Po chwili jednak zebrał się w sobie, wstał i odwrócił w naszą stronę.

– Dziękuję, że zainterweniowaliście by ocalić mi życie.

– Trochę nas to zaskoczyło – odparł ochryple Satoru po krótkiej pauzie.

– Królowa nigdy wcześniej nie chciała cię zabić, czyż nie? – zapytałam.

Squealer nie odpowiedział.

– Bogowie, musicie być zmęczeni. Przygotuję dla was sypialnie, mam nadzieję że dobrze się wyśpicie tej nocy. – Squealer podniósł pochodnię i ponownie ją rozpałił.

Spojrzałam na kolczugę, którą nosił i mimowolnie się wzdrygnęłam. Metalowe spoiwa zostały odgryzione a znajdująca się pod spodem skórzana zbroja była usiana dużymi dziurami, z których sączyła się krew. Oczywiście było, że Squealer jest ranny, ale robił wszystko co mógł, by nie okazać przed nami cierpienia.

– To bez wątpienia dziwne. Coś jest nie tak z królową – wyszeptał mi na ucho Satoru gdy szliśmy w kierunku kwater sypialnych. – Bądź ostrożna. Nie wiadomo co może zrobić, jeśli się ją wkurzy.

Dopiero co zdołaliśmy uciec złowrogiej, obcej kolonii tylko po to by znaleźć się wśród społeczności rządzonej przez obłąkaną władczynię.

Zastanawiało mnie, co tak właściwie rozwścieczyło królową. Nawet z takim wyglądem, rozmowa z nią nie różniła się zbytnio od

konwersacji z każdą inną kobietą, więc nie było to niczym nieprzyjemnym. Czy to możliwe, że po prostu nie chciała byśmy ją w ogóle ujrzeli?

Byłam zbyt wyczerpana by więcej się nad tym zastanawiać.

Pomieszczenie, które nam wskazano było zwykłą, wykopaną w ziemi norą. Wewnątrz było trochę chłodno, ale podłogę wyłożono suchą słomą, która okazała się zaskakująco wygodna. Położyliśmy się na niej i natychmiast zasnęliśmy.

Szeroko otworzyłam oczy.

Nie miałam pojęcia, która jest godzina, ponieważ wszystko wokół tonęło w mroku, ale nie mogłam zmrużyć oka od dobrych kilkadziesiąt minut. Cały czas czułam, że moje ciało jest sztywne ze zmęczenia, jednak coś mówiło mi, że powinnam wstać. To było jak dziwne ostrzeżenie płynące z głębi umysłu.

– Satoru... Satoru!

Potrzęsęłam nim, ale nic nie wskazywało na to, by zaczął się budzić. To było w sumie zrozumiałe. Gdy dotknęłam jego twarzy, wyczułam, że jego skórę nadal pokrywają plamy zaschniętej krwi. Nie mieliśmy nawet okazji porządnie się umyć, zanim poszliśmy spać.

– Satoru! Obudź się!

Nie było czasu na próby delikatnego przerwania snu Satoru. Pomimo tego, że było mi przykro, że muszę to zrobić, zakryłam dłońmi jego nos i usta. Satoru zaczął się wić i młócić ramionami, łapiąc mnie za ręce i próbując powstrzymać mnie przed duszeniem go.

– Czego chcesz...? Daj mi spać.

– Nie. Wstawaj, i to już. Rozumiesz? Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Satoru niechętnie otworzył oczy, ale wciąż wyglądał na zaledwie w połowie przebudzonego. Nie zaczął nawet się podnosić.

– Co to za niebezpieczeństwo...?

– Mam przeczucie. Coś złego się zbliża.

– Niby co?

Nie odpowiedziałam. Satoru wyglądał na zdezorientowanego. Po chwili milczenia odwrócił się mówiąc „dobranoc” i powrócił do spania.

– Satoru, wiem że jesteś zmęczony, ale jeśli nie wstaniesz teraz, możesz nie wstać już nigdy.

– O czym ty mówisz? – odparł Satoru, pocierając głowę. – Miałaś jakiś koszmar?

– To nie koszmar. Może przeczucie. Podczas snu umysł przetwarza wydarzenia z minionego dnia. A mój umysł podpowiada mi teraz, że nadciąga coś bardzo niebezpiecznego.

– Dobra, no to posłuchajmy co to za niebezpieczeństwo. Zgaduję, że wszystko będzie jasne i uporządkowane, nie?

Skrzyżowałam ramiona i zastanowiłam się. Wydawało mi się że już prawie wiem w czym rzecz, jednak wciąż brakowało mi jakiegoś elementu. Cały czas nie zauważaliśmy jakiegoś niespodziewanego zagrożenia.

– Myślę że zbyt łatwo uwierzyliśmy w historię Squealera.

– Myślisz że skłamał w którejś kwestii? – Satoru nareszcie zaczął wyglądać na rozbudzonego.

– Nie do końca. Oczywiście możliwe, że nie był do końca szczery, ale uważam że większość z tego, co powiedział, było prawdą. Myślę, że jest coś z czego sam Squealer również nie zdaje sobie sprawy. I właśnie to jest prawdopodobnie dla nas najniebezpieczniejsze.

Podczas gdy mówiłam, ostrzegawcze przeczucie w mojej głowie zaczęło przybierać klarowną postać.

– Atak. Jestem tego pewna. Ziemne Pajaki mają zamiar przypuścić szturm dzisiejszej nocy, najpewniej tuż przed świtem, gdy nasze zdolności bojowe będą najmniejsze.

– Niemożliwe. Nie pamiętasz co mówił Squealer? Wojny dziwoszczurów opierają się na regułach go.

– To błędne założenie. Sam pomyśl. Ziemne Pająki to dzika, nietutejsza kolonia. Dlaczego miałyby trzymać się strategii bitewnych Iokiego?

– Ale jeśli zaatakują w tunelach, próbując nas pojmać, będzie to oznaczało, że używają takiej samej taktyki jak my sami.

– Jasne, takie posunięcie jest prawdopodobnie uniwersalne wśród dziwoszczurów. Ale Ziemne Pająki mogą mieć w zanadru inną strategię.

– Cóż, to nie jest niemożliwe... – westchnął Satoru, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że jestem przewrażliwiona a moje argumenty nie mają solidnych podstaw.

– Już mam! – wykrzyczałam. – Wreszcie wiem czym jest to dziwne przeczucie, którego nie potrafiłam wcześniej określić.

– Zanim coś powiesz, przypomnij sobie jak Rijin zabijał Ziemne Pająki. Nie walczyły pod ziemią, prawda? Do starcia doszło na powierzchni – odparł szybko Satoru. Wreszcie w pełni się dobudził.

– To dlatego, że wcześniej zostały pogrzebane żywcem. Musiały zdać sobie sprawę, że ukrywanie się pod ziemią jest bez sensu.

– Ale to był ich pierwszy kontakt z cantusem, mam rację? Jak to możliwe, że tak szybko opracowały nową strategię?

– Wiedziały, że są w niekorzystnej sytuacji, więc próbowały nas przepędzić wykorzystując zwykłą przewagę liczebną.

– Też o tym pomyślałem, ale czy nie powinny w takim razie schronić się w podziemiach, gdy tylko rozpoczęła właściwa potyczka? Zamiast tego po prostu zaczęły strzelać w naszym kierunku. Dlatego, że to jest ich styl walki.

– Ale przechwycenie podziemnej kolonii, atakując z góry jest...

– Musi być inny sposób. Taki, który jest szybszy niż okopywanie się na pozycjach i odcinanie komunikacji wroga. – Satoru zamilkł na chwilę. – Jeśli jest tak, jak mówisz, teraz, gdy już wiedzą o cantusie, musieli uświadomić sobie, że nie mają innego wyboru jak przeprowadzenie ataku z zaskoczenia.

Nawet pomimo panujących ciemności wyczułam, że kiwa ze zniechęceniem głową.

– To nie wszystko. Bez względu na to, że Łowiki mają za sojuszników potężnych ludzi, walka z Rijnem nauczyła Ziemne Pajaki, że da się ich zabić, atakując z zasadzki.

Po kręgosłupie przebiegł mi złowrogi dreszcz, który stawał się silniejszy z każdą sekundą.

Nie zostało dużo czasu.

Rozdział 4

– Uciekajmy – powiedział Satoru.

– Dokąd?

– Dokądkolwiek, w każdym razie jak najdalej od gniazda. – Satoru wstał i wyrzwał na zewnątrz naszej sypialni. – Saki, pamiętasz którądy tu przyszliśmy? Droga była dość skomplikowana.

– Może. Pamiętam to trochę jak przez mgłę, więc nie mam pewności...

Próbowałam przypomnieć sobie sekwencję skrętów i korytarzy, które przywiodły nas tutaj z kwater królowej.

– Nie dam rady. Pamiętam, że najpierw skręciliśmy w lewo, ale kierunki, które wybieraliśmy później, kompletnie mi się pomieszały.

Moja zdolność orientacji nigdy nie należała do najlepszych. Nie jest tak źle, kiedy przeszłam już daną drogę kilka razy, lecz nawet w takim przypadku wciąż bywam dezorientowana, gdy muszę pójść nią wstecz.

Satoru skrzyżował ramiona, próbując z całych sił wygrzebać z pamięci przebieg naszej wędrówki.

– Nie było wielu rozwidleń. Najbardziej skomplikowane było miejsce, gdzie korytarz rozdzielał się na trzy kolejne. Na pierwszym skrzyżowaniu poszliśmy w lewo, później w prawo, a potem... no właśnie, którądy?

– Przypominam sobie coś jeszcze. Na całym przebiegu nasza ścieżka prowadziła lekko w dół.

Zapamiętałam to, ponieważ odniosłam przez to wrażenie, że jesteśmy prowadzeni w głąb piekieł.

– Och, naprawdę? Hmm... Na pewno ani razu nie szliśmy w górę? – Satoru chwycił moją dłoń. – No to po prostu teraz zmierzajmy w stronę powierzchni. Jeśli droga zacznie opadać, zawrócimy do ostatniego rozwidlenia i wybierzemy drugi korytarz.

– Ale nie wszystkie ścieżki wiodące w górę muszą być właściwe, racja? – zauważyłam oczywistą niedoskonałość planu.

– Tak, ale nawet jeśli nie odtworzymy wiernie drogi, którą tu przyszliśmy, to dopóki będziemy szli w górę, w końcu wydostaniemy się na powierzchnię, prawda?

Zachodziłam w głowę, czy możemy być tak beztroscy. Zaczęłam się zastanawiać czy Satoru ma rację i czy damy w ogóle radę odtworzyć naszą drogę w tym mroku. Może gdybyśmy mieli linę lub coś podobnego... Nawet Tezeusz miał ze sobą kłębek nici Ariadny, który prowadził go przez labirynt Minotaura.

– Hej, czy nie możemy po prostu zawołać dziwoszczurów i powiedzieć im, że chcemy wyjść na zewnątrz? No bo jeśli zabłądzimy...

Satoru przybliżył się do mnie.

– Nie możemy im wyjaśnić, czemu chcemy odejść, prawda? I tak samo nie potrafimy przewidzieć ich reakcji, kiedy zorientują się, że nie mamy cantusu.

Wyteżyłam słuch, ale nigdzie w pobliżu nie słyszałam odgłosów dziwoszczurów. Wyglądało na to, że tuż przed świtem są najmniej aktywne. Korytarze były jednak jeszcze ciemniejsze niż nasz pokój, sprawiając wrażenie zatopionych w atramencie. Nie mogłam zdobyć się na odwagę by zrobić krok na zewnątrz.

– Ej, czy to nie jest trochę dziwne? – spytałam.

– Niby co? – Satoru chrząknął ze zniecierpliwieniem. – Nie ma tu nic dziwnego.

– Dlaczego wewnątrz sypialni jest jaśniej niż poza nią?

Zatrzymał się w pół kroku, wyglądając na zaskoczonego. Nie myliłam się, Mimo, że było to ledwie dostrzegalne, wewnątrz izby dało się zobaczyć ruch, podczas gdy na zewnątrz panowały zupełne ciemności.

– Masz rację... No tak. Gdzieś tutaj musi być źródło światła!

Rozglądaliśmy się, ale nie udało nam się niczego znaleźć.

Satoru wciąż ścisnął odebraną Ziemię Pająkom włócznię, jakby była najcenniejszą rzeczą na świecie. Kiedy upewnił się,

w którym miejscu stoję, zaczął szturchać bronią ściany pokoju. Po kilku chwilach na jej grocie pojawił się świecący punkcik.

– Co to było?

Pomału przeszłam w głąb jaskini. Wyglądało na to, że z góry pada słabe światło. Uniosłam wzrok i westchnęłam.

Przez ogromną szczelinę wyłupaną w suficie widziałam gwiazdy błyszczące wysoko na niebie.

– Powierzchnia? Czy to droga na zewnątrz?

– Nie... To nie są gwiazdy – wyszeptał z niedowierzaniem Satoru. – Wyglądają jak one, ale wcale nie migocą. Co to jest, u diabła?

Satoru zamachnął się w kierunku szmaragdozielonych świetlnych drobinek. Pomyślałam, że to niemożliwe, by ich dosięgnął, ale ku mojemu zdziwieniu włócznia bez trudu musnęła sufit, powodując, że światełka zadrzały.

Pomału cofnął broń. Wydawało mi się, że na grocie pozostanie kilka błyszczących punkcików, ale zamiast tego z ostrza zaczęły skapywać krople gęstej cieczy.

Satoru dotknął brei palcami. – Jest strasznie lepka. Chcesz sama sprawdzić?

Pokręciłam głową. Tym, co świeciło z sufitu, były udomowione przez dziwoszczury robaczki świętojańskie.

Pierwsze wzmianki o tych insektach pojawiały się już w starożytnych czasach, kiedy to odnaleziono je w jaskiniach Australii i Nowej Zelandii. Pomimo, że nazywa się je robaczkami, znacznie bliżej spokrewnione są z muchami czy komarami. Ich larwy gnieźdzą się na sufitach, gdzie za pomocą lepkich kulek śluzu polują na inne owady, które następnie zjadają. Światło, które emitują służy do wabienia ofiar, a odbijając się od śluzowych kuleczek sprawia jednocześnie wrażenie galaktyki zbudowanej ze szmaragdowych gwiazd.

Robaczki świętojańskie nie były w Japonii rodzimym gatunkiem; niedługo przed upadkiem starożytnej cywilizacji zostały

tu zawleczone jako wędkarska przynęta na ryby. Pewna część z nich zdołała przetrwać i została zmodyfikowana przez dziwoszczury tak, by służyć im za żyrandole w holach wejściowych.

Satoru ponownie szturchnął sufit włócznią by zebrać na nią więcej śluzu i zorientować się, gdzie właściwie znajdują się owady. Po krótkiej dyskusji wspierałam się na jego ramiona by nagromadzić go jeszcze więcej. Ponieważ byłam lżejsza, to ja musiałam być na górze, dotykając paskudnych, świecących na zielono owadów.

Satoru wziął ode mnie robaczki, i używając ich własnych lepkich wydzielin, przykleił je do ostrza włóczni. Może to dzięki selektywnemu rozrodowi prowadzonemu przez dziwoszczury, insekty nie przestawały świecić nawet gdy obchodzono się z nimi tak brutalnie.

– No dobra, ruszajmy – oświadczył zdecydowanie Satoru, ruszając w kierunku wyjścia.

Zarzuciliśmy plecaki na ramiona, chwyciliśmy się za dłonie i wkroczyliśmy w mrok, rozświetlany jedynie nikłym światłem robaczków świętojańskich.

Wracając myślami do tamtego dnia, to była dziwna podróż.

Słaby, widmowy blask koniuszka włóczni był całym naszym oświetleniem. Poza tą niewielką, kulistą łuną nie mogliśmy ujrzeć nawet własnych dłoni. Próbowałam rozglądać się wkoło i machać ręką blisko przed twarzą, ale widziałam jedynie czarny cień. Musieliśmy iść tuż obok siebie, aby w ogóle orientować się w którą stronę się poruszamy. Szerokość tunelu była akurat na tyle duża, byśmy mogli przemieszczać się w taki sposób. Właściwie to nawet cieszyłam się, że nie jest szerszy, ponieważ w ten sposób któreś z nas zawsze dotykało ściany.

– Idziemy teraz w górę? – pytał co kilka kroków Satoru.

Za każdym razem odpowiadałam mu coś w rodzaju: „tak”, „nie wiem” albo „kto wie?”. Niezależnie od tego, jakiej odpowiedzi akurat udzieliłam, nie wyglądało na to by nasza sytuacja miała ulec zmianie.

Blask światła ujawniał od czasu do czasu rozwidlenie drogi na dwie lub trzy odnogi. Te skrzyżowania zawsze były dobrze widoczne, ponieważ w ich pobliżu rosły kępki świecącego mchu.

Pomimo tego, że emitował on blask, działało to na innej zasadzie niż w przypadku robaczek świętojańskich. Podobne do soczewek komórki gromadziły i wydzielały światło, by umożliwić przeprowadzanie fotosyntezy w mrocznych tunelach.

Dziwoszczury powinny być w stanie przemierzać te korytarze, polegając na swoim zmyśle dotyku i węchu, jednak w miarę jak stawały się coraz bardziej ucywilizowane, zaczęły potrzebować bardziej efektywnej metody przemieszczania się. Dlatego też zaczęły wykorzystywać naturalne właściwości otaczającej je przyrody.

Kontynuowaliśmy wędrówkę w milczeniu. Nie spotkaliśmy ani jednego dziwoszczura, więc założyłam, że najprawdopodobniej właśnie odpoczywają. Najpierw pomyślałam, że to szczęśliwy dla nas zbieg okoliczności, ale w miarę upływu czasu zaczęłam mieć złe przeczucia.

– Hej, idziemy już chyba ładny kawałek czasu, co? – spytałam Satoru.

– Ta.

– Może to rzeczywiście nie jest właściwa droga?

Zatrzymaliśmy się. Jeśli się pomyliliśmy, to gdzie dokładnie się znajdowaliśmy? Pomyślałam o dotychczasowym przebiegu naszej trasy.

– To nie ma sensu. Kiedy szliśmy, zapamiętywałam ile było zakrętów i które rozwidlenia wybraliśmy. Nie wydaje mi się, żeby to była zła ścieżka...

– Nadal uważam, że gdzieś zrobiliśmy błąd. To nie powinno trwać tak długo.

– Może i tak. Zawróćmy i wybierzmy inny korytarz.

Odwróciliśmy się i zaczęliśmy cofać się w kierunku z którego przyszliśmy. Schodzenie tunelami w głąb podziemi było przygnębiające, ale nie mieliśmy innego wyboru. Jednakże, nie

minęło więcej niż kilka chwil, aż ujrzeliśmy coś bardzo zaskakującego.

– Rozwidlenie dróg! – westchnęłam.

– To niemożliwe. Tego skrzyżowania wcześniej tu nie było, nie?

Ponieważ również zapamiętywałam naszą trasę, byłam stuprocentowo pewna, że rzeczywiście tak jest. Odparłam, że faktycznie poprzednio go nie mijaliśmy.

Satoru zaczął uważnie badać ziemię ze ścian korytarza.

– Hmm... No tak! A niech to... – warknął nagle, sprawiając, że podskoczyłam przestraszona.

– Co się stało?

– No jasne. To w sumie też jest możliwe. Ale żeby zrobiły to w takim krótkim czasie... – westchnął głęboko.

– O czym ty gadasz? Hej, co się dzieje?

– Ta ziemia jest świeżo przekopana...

Zrozumiałam, w czym rzecz i poczułam jak krew odpływa mi z twarzy.

Dziwoszczury nieustannie budują nowe tunele i zmieniają kształt swoich gniazd. Innymi słowy, nie było żadnej gwarancji, że droga, którą przybyliśmy do naszej sypialni zachowała się niezmienną do obecnej chwili.

– Myśleliśmy, że skoro dziwoszczury nie wykazują teraz żadnej aktywności, to wszystko będzie w porządku, ale najwyraźniej tunele są budowane niezależnie od pory dnia. Prawdopodobnie przygotowują gniazdo na wojnę. Zgaduję, że niedługo po tym, jak przeszliśmy tym tunelem, przekopały się tu z innej strony, tworząc to rozwidlenie.

Satoru ze złością rzucił w ścianę grudą ziemi.

– Więc my właśnie...

– Tak, zabłądziliśmy.

Gdybym była w stanie dojrzeć wtedy twarz Satoru, to nie mam wątpliwości, że zobaczyłabym malujące się na niej cierpienie i łzy zbierające się w kącikach oczu.

Błąkaliśmy się bez celu ciemnymi korytarzami. Pomimo tego, że tak naprawdę spędziliśmy tam mniej więcej pół godziny, stres spowodowany wędrówką przez prawie absolutne ciemności, połączony z przebywaniem w skrajnie ciasnej przestrzeni sprawił, że wydawało nam się, że upłynęła cała wieczność. Mieliśmy na sobie lekkie ubrania, a powietrze było chłodne na tyle, by dostać gęszej skórki, jednak mimo tego całe ciało miałam pokryte potem.

Skarzyliśmy się bogom, wybuchaliśmy niekontrolowanym płaczem i przeklinaliśmy prześladowającego nas pecha wulgarnymi słowami, które normalnie rzadko padały z naszych ust; cały czas jednak trzymaliśmy się blisko siebie i nie przerywaliśmy marszu.

Właśnie wtedy, naszymi umysłami stopniowo zawładnął chaos.

W moim przypadku pierwszym objawem okazały się słuchowe halucynacje. Usłyszałam bezcielesny głos, który wzywał moje imię.

– *Saki. Saki.*

– Słyszałeś coś? – pytałam Satoru, rejestrując czasami w odpowiedzi denerwujący głos dochodzący znad mojej głowy.

– Nie.

– *Saki, Saki.*

Tym razem usłyszałam to wyraźnie.

– *Saki, gdzie jesteś? Pośpiesz się i wracaj.*

To był głos mojego ojca.

– Tato, tato! – krzyknęłam. – Zgubiłam się, pomóż mi!

– *Posłuchaj, Saki. Nie wychodź nigdy poza Świętą Barierę. Wewnątrz jest bezpiecznie, ale jeśli uczynisz choćby jeden krok poza nią, nie będziesz chroniona niczyją mocą.*

– Wiem. Ale nie potrafię wrócić. Nie mogę znaleźć drogi powrotnej.

– *Saki. Saki. Uważaj na dziwoszczury. Czczą posiadających cantus ludzi jak bogów i są im bezwzględnie posłuszne. Nie jesteśmy jednak w stanie przewidzieć, jak mogłyby się zachować w stosunku do dzieci., które nie posiadają mocy. Dlatego z całych sił musimy trzymać je z daleka od nich.*

– Tato...

– Hej, co ty wygadujesz? Weź się w garść!

W porównaniu z moimi halucynacjami, głos Satoru wydawał się bardzo odległy i nierzeczywisty.

– *Mówiło się, że gdy na tron wstąpił piąty imperator, Cesarz Rozkoszy, radość i aplauz publiki trwały przez trzy dni i trzy noce. Pierwsze sto osób, które przestało klaskać, stało się ofiarami. Zostali podpaleni, a ich zwęglone ciała przekształcono w posągi zdobiące pałacowe korytarze. Z tego powodu lud nadał Cesarzowi Rozkoszy przydomek Cesarza Wiecznych Wrzasków.*

– Tato... Pomóż.

– *Trzynasta z władców, cesarzowa Airin, była zwana Królową Smutku... każdego poranka z radością przyglądała się publicznym egzekucjom ludzi, którzy choćby troszeczkę ją zdenerwowali... znajdowała uciechę w najbardziej brutalnych... powstrzymywali się od jedzenia, by nie wymiotować... trzydziestego trzeciego imperatora, Cesarza Wspaniałomyślności, zwano Królem Wilkiem... pożerał ich ciała... jego syn, trzydziesty czwarty imperator, Cesarz Nieskalanej Cnoty... nazwany Królem Heretykiem... gdy miał dwanaście lat, udusił swojego ojca... ogarnięty paranoicznym strachem przed zostaniem zamordowanym, pozabijał po kolei wszystkich swoich młodszych braci i męską część kuzynostwa... karaluchy pożarły ich ciała... sześćdziesiąta czwarta władczyni... porywała młode dziewczyny w ciąży podczas pełni księżyca i pożerała płody w całości... odłamki ludzkich kości widoczne jak okiem sięgnąć...*

Zniekształcony głos mojego ojca stał się nagle dziwnie monotony.

– *Posłuchaj. Etolog o imieniu Konrad Lorenz, żyjący u szczytu starej cywilizacji odkrył, że silne zwierzęta, takie jak wilki czy kruki, jak również zwierzęta socjalne, posiadają wrodzony mechanizm, zmuszający je do unikania konfliktów z przedstawicielami własnego gatunku. Słabsze fizycznie zwierzęta, jak ludzie i szczury, nie*

podlegają takiej kontroli i mają tendencję do walczenia między sobą, co kończy się brutalną rzezią.

– Tato, przestań!

– Ioki zdał sobie sprawę, że jeśli poświęci jedną z własnych baz, jego wojska będą w stanie przełamać obronę przeciwnika. Był tylko jeden problem. Baza, która musiała zostać oddana przeciwnikowi, była tą, w której znajdował się sam Ioki. Tak, jak się spodziewał, on i sześciu jego towarzyszy zostali otoczeni przez wroga. Walczyli dzielnie aż do samego końca. Wszyscy zostali zmasakrowani a ich ciała okaleczone tak bardzo, że były nie do odróżnienia od mielonego mięsa...

– Otrząśnij się z tego, głupia! – Satoru uderzył mnie w ramię.

– Nic mi nie jest – odparłam, ale głos nie chciał zamilknąć.

Jakby tego było mało, zaczęłam mieć zwidy.

– Czy wasza szkoła wyraziła zgodę na to, byście tak bardzo się oddalili? – spytał kpiąco mnich. – Pogwałciliście najbardziej fundamentalną regułę Kodeksu Etyki, ostatnie z Dziesięciu Wskazań: „Nie bezcześć Trzech Klejnotów”. Uwierziliście w słowa demona i poddaliście w wątpliwość nauczanie Buddy. Dlatego też zamknę was na wieczność w tych papierowych ludzikach. Spędzicie resztę swojego życia uwięzieni wewnątrz nich...

– Saki! Saki!

Satoru potrząsał mną tak silnie, że wydawało mi się, że uszkodzi mi kark. Powoli zaczęłam powracać do rzeczywistości.

– Satoru...

– Co ty do siebie mamrotałaś? Myślałem, że ześwirowałaś.

– To całkiem możliwe – wyszeptałam.

Najprawdopodobniej było to rzeczywiste zagrożenie; gdybyśmy nie mieli siebie nawzajem, naprawdę moglibyśmy zwariować.

Przemierzaliśmy tunele przez długi czas, nie napotykając po drodze nawet jednego dziwoszczura. Gdy jednak teraz o tym pomyślę, całkiem możliwe że wykryły naszą obecność znacznie wcześniej i odsunęły się od naszej drogi, pozwalając nam iść.

Z naszej dwójki to ja pierwsza zauważyłam, że dzieje się coś niezwykłego.

– Usłyszałeś ten dźwięk przed chwilą?

Nie usłyszałam odpowiedzi. Uścisnęłam mocniej dłoń Satoru. Nadal nie odpowiadał.

– Satoru?

Uderzyłam go lekko w twarz. Raz, drugi, trzeci... Wreszcie wydał z siebie niski jęk.

– Obudź się! Usłyszałam coś dziwnego!

– Ten dźwięk słychać od samego początku... – powiedział cicho Satoru. – Wołają nas spod ziemi. To głosy umarłych...

Wzdrygnęłam się. Teraz, zamiast mnie, to Satoru zaczął się zachowywać jak obłąkany. Znacznie istotniejszy był jednak ten niepokojący odgłos. Czułam, że moja intuicja wyostrzyła się po wędrowce ciemnymi tunelami. Szósty zmysł ostrzegał mnie, że nadciąga niebezpieczeństwo. Nie było czasu by martwić się o stan psychiki Satoru.

Przysłuchując się uważnie, ponownie wychwyciłam tamten dźwięk. Z powodu pogłosu, jaki powstawał w korytarzach, nie byłam w stanie określić, w jakim kierunku znajduje się źródło dźwięku; stawał się on jednak stopniowo coraz głośniejszy. Mogłam już usłyszeć go bardzo wyraźnie. Piskliwe wrzaski i okrzyki bitewne dziwoszczurów. Brzdęk czegoś metalowego, może gongu. I jeszcze coś trudnego do zidentyfikowania, jakby bicie braw, albo szum oceanu.

Wszystkie te dźwięki zlewały się w jedną kakofonię; to był zgiełk wojny. Moje przeczucie mnie nie myliło.

– Szybko, biegiem! Ziemne Pająki atakują! – Pociągnęłam Satoru za rękę, ale nawet się nie odezwał.

Napotkaliśmy kolejne rozwidlenie dróg. Zastanawiałam się, którądy powinniśmy pójść. W lewo, w prawo, a może zawrócić?

Chwyciłam prawą dłoń Satoru i wysunęłam włócznię do przodu, jednak na jej ostrzu nie dostrzegłam wątlego, zielonkawego światła.

Po uważnym przyjrzeniu się broni, odkryłam, że wszystkie robaczki świętojańskie pozdychały.

Wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że nie znajdujemy się w zupełnych ciemnościach. Porastający korytarz mech jarzył się nikłym blaskiem. Światło musiało skądś tu dochodzić. Spędziliśmy w podziemiach tyle czasu, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby na zewnątrz było już jasno. Jeśli się nie myliłam, wyjście musiało być tuż przed nami.

Przebijając wzrokiem mrok, zobaczyłam wąły, migotliwy blask. Chwyciłam mocno rękę Satoru i ostrożnie ruszyłam w jego kierunku. W miarę, jak się przemieszczaliśmy, w tunelu stawało się coraz jaśniej, jednakże dźwięki walki również przybierały na sile.

Jeśli dostalibyśmy się w sam środek bitwy, to bez wątpienia nie zdołalibyśmy się obronić.

W korytarzu szybko stało się równie jasno jak podczas księżycowej nocy. Źródło światła znajdowało się w zakręcającym w prawo, wznoszącym się tunelu.

Zawahałam się przez chwilę, zanim zrobiłam krok naprzód. Nie mogliśmy zostać tu na zawsze. Za wszelką cenę chciałam dowiedzieć się, czy to rzeczywiście jest wyjście.

W ostatecznym rozrachunku, ten moment zawahania prawdopodobnie ocalił nam życie.

Nagle usłyszeliśmy krzyk i z krętego tunelu wytoczył się dziwoszczur. Co jakiś czas wstrząsały nim konwulsje. Był śmiertelnie ranny.

Jednocześnie, wyczułam jakiś dziwny zapach, coś jak zgniłe jaja. Kiedy spojrzałam w kierunku tunelu, z którego wypadł umierający dziwoszczur, dostrzegłam rozbłysk światła, a korytarz zaczęły wypełniać obłoki gazu.

Nie wdychaj tego – pomyślałam instynktownie.

– Tędy!

Obróciłam się na pięcie i pociągnęłam za sobą Satoru, pędząc na złamanie karku drogą, którą się tu dostaliśmy. W miarę, jak

schodziliśmy coraz niżej, zapach nie stawał się jednak coraz słabszy; wręcz przeciwnie, przybierał na sile.

Kiedy zaczęłam już panikować, Satoru wreszcie doszedł do siebie.

– Ucieczka nie ma sensu. Jesteśmy jak myszy w labiryncie – zaśmiał się.

– Nie jesteśmy żadnymi myszami – odwarknęłam.

– Fakt, nie jesteśmy – wymamrotał z zupełną nonszalancją. – Kiedy próbuje się zagazować myszy, ukrywają się w najdalszych kątach swoich norek.

– Zagazować?

W końcu zrozumiałam, czym było spowodowane tamto męczące mnie dziwne uczucie.

– To dziwne. Normalny gaz unosi się w górę, a nie opada na dół

– Czy to nie oczywiste? Atakują wroga w tunelach – rzekł Satoru ze zniechęconą przeze mnie nutą przemądrzałości w głosie, widząc, że nadal nie rozumiem w czym rzecz. – Dlatego też wykorzystują gaz cięższy od powietrza.

Westchnęłam.

– Skoro o tym wiedziałeś, to dlaczego...?

Hamując złość kontynuowałam bieg w dół korytarza, analizując w myślach drogę, którą przemierzyliśmy. Pamiętałam pewien wznoszący się w górę odcinek, co do którego miałam nadzieję, że wyprowadzi nas na zewnątrz; niestety blisko powierzchni zaczął ponownie opadać, jakby celowo chcąc sprawić nam zawód. Gdybyśmy zdołali tam powrócić, może uniknęlibyśmy trującego gazu.

Bez emitowanego przez robaczki świętojańskie światła, biegaliśmy po labiryncie tuneli na granicy paniki. Musiałby nastąpić cud, byśmy odnaleźli właściwą drogę.

– Ten prowadzi w górę!

Wydawało się, że to dość długa pochyłość. Pomimo, że nogi paliły nas żywym ogniem gdy biegliśmy pod górę, zacisnęliśmy zęby

i gnaliśmy bez zatrzymywania się. Ból był dowodem na to, że wciąż żyjemy.

W pewnym momencie korytarz przestał się wznosić i zaczął zamiast tego delikatnie opadać.

– Odpocznijmy tu przez chwilę.

Od momentu wpuszczenia do gniazda trującego gazu, mogliśmy jedynie mieć nadzieję, że nas on nie dosięgnie. Gdyby korytarze były proste, kontynuowanie ucieczki byłoby lepszym pomysłem, ale w sieci wijących się i łączących ze sobą tuneli, gaz mógł nas okrążyć. Z tego powodu w naszej sytuacji bezpieczniej było schronić się w najwyżej położonym punkcie.

Siedzieliśmy wśród ciemności.

– Wszystko w porządku?

Ciche „tak” było wszystkim, co usłyszałam w odpowiedzi.

– Ciekawe, ile gazu już się ulotniło.

Pomimo, że nadal nie mogłam zobaczyć Satoru, wyczułam, że kręci głową.

– Ani trochę – powiedział.

– Ale to niemożliwe. Nie może utrzymywać się w tych tunelach przez cały czas, prawda?

– Prawda, ale prawdopodobnie ulotni się dopiero po kilku dniach – westchnął ciężko Satoru. – Do tego czasu albo udusimy się z braku powietrza, albo gaz dotrze również tutaj.

Poczułam, jak żółć napływa mi do gardła. Czyżbyśmy mieli umrzeć w tym miejscu?

– To... To co powinniśmy zrobić?

– Nie mam pojęcia – odparł zdawkowo Satoru.

– Jeżeli Łowiki zdołają zwyciężyć, będą mogły nas stąd wyciągnąć. Jednak nawet w takim przypadku, będziemy musieli czekać, aż trujący gaz się rozwieje.

Wszechogarniająca rozpacz wysłała z nas całą energię. Szukaliśmy bezpiecznego schronienia z takim zdeterminowaniem, że aż do teraz nie dostrzeżliśmy, że wędrujemy po własnym grobie.

Bezsilne oczekiwanie na koniec nie było niczym innym jak psychiczną torturą, w porównaniu z którą ucieczka przed toksycznym gazem wydawała się całkiem niezłą zabawą.

– Wiesz... Nawet pomimo tego, że tu utknęliśmy... – powiedziałam bezwiednie.

– Hmm?

– Cieszę się, że nie jestem sama.

– Jesteś zadowolona, że pociągniesz mnie na dno wraz z sobą?

Uśmiechnęłam się nieznacznie.

– Gdybym nie miała cię z sobą, nie zniósłabym tego. I z pewnością nie zaszłabym tak daleko.

Choć zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, ostatecznie skończyliśmy w ślepej uliczce, bez możliwości ucieczki.

– Ja mogę to samo powiedzieć o tobie.

Możliwe, że nie będąc w pełni władz umysłowych, nie potrafi się odczuwać cierpienia. Dlatego też z ulgą przyjąłam fakt, że Satoru najwyraźniej powrócił do zdrowych zmysłów.

– Ciekawe, czy Maria i pozostali zdołali uciec.

– Pewnie tak.

– To dobrze.

Na tym skończyła się nasza rozmowa.

Czas płynął leniwie w nieprzeniknionym mroku. Nie miałam pojęcia czy minęła minuta, pięć minut, a może pół godziny. Odruchowo ocknąłam się z półsnu, w którym byłam pogrążona.

– Satoru! Satoru!

– Co się...? – spytał nerwowo.

– Śmierdzi tu. Nie rozumiesz? Gaz tu doleciał!

Odór zgniłych jaj, taki sam jak ten, który czuliśmy niedaleko wyjścia.

– Nie możemy dłużej tu zostać. Spróbujemy pójść dalej?

– To bez sensu, nie znamy korytarza, który leżałby wyżej od tego tutaj. To byłoby samobójstwo – rozmyślał Satoru. – Masz lepszy

węch niż ja; wyczuwasz, skąd napływa gaz? Od wyjścia czy z obu stron?

– Nie potrafię określić czegoś takiego.

Byłam w stanie czasami określić, z którego kierunku płynie dźwięk; nie wydaje mi się jednak, bym potrafiła zrobić coś takiego, jeśli chodzi o zapach.

– Nie, czekaj.

Zrobiłam kilka kroków w stronę wyjścia i wzięłam głęboki wdech, a następnie zrobiłam to samo idąc w przeciwną stronę. Cieszyłam się, że Satoru mnie nie widzi. Byłam przekonana, że wyglądam jak wężący dziwoszczur.

– Wydaje mi się, że napływa tylko z jednej strony. Z kierunku, w którym znajdowało się wyjście.

– Więc może nie wszystko stracone. Spróbujmy zablokować tunel.

– Jak?

– Zawalmy go.

Satoru wbił włócznię w sufit, próbując sprawić, aby runął. Nie byłam w stanie go dostrzec, ale ruch powietrza i grudki ziemi spadające mi na twarz pozwalały domyślać się, że wkłada w tą czynność olbrzymi wysiłek.

– Uważaj, Saki!

Satoru nagle wpadł wprost na mnie. Zostałam odrzucona w głąb tunelu, przygnieciona jego ciałem.

Zastanawiałam się, co się właśnie stało, gdy z sufitu zaczęły spadać całe tony ziemi. Osłaniając twarz dłońmi, mogłam jedynie czekać aż korytarz do końca się zawali. Nie byłam w stanie nawet otworzyć ust, by krzyknąć. Kiedy wreszcie wszystko ustało, cała byłam pokryta błotem a moje nogi poniżej kolan były zupełnie pogrzebane pod zawaliskiem.

– Nic ci nie jest? – spytał z troską Satoru.

– Nie.

– To było raczej niebezpieczne. Dużo nie brakowało, żebyśmy zostali pogrzebani żywcem.

Logicznie rozumując, próba zawalenia sufitu pomieszczenia, w którym akurat się znajdowaliśmy, była wyjątkowo głupia, jednak kierowani instynktem przetrwania działaliśmy, nie myśląc o konsekwencjach. Ostatecznie okazało się, że mieliśmy sporo szczęścia.

Otrzeźwialiśmy się z pyłu i upewniliśmy, że korytarz został całkowicie zablokowany. Aby stuprocentowo utwierdzić się w przekonaniu, że góra gleby jest wystarczająco szczelna, żeby nie przepuścić gazu, dodatkowo ją uklepaliliśmy.

– Hej, spójrz. Gdyby tak zawalić więcej ziemi, to czy nie zrobilibyśmy w ten sposób wyjścia na powierzchnię? – spytałam, patrząc na wyłupaną w suficie dziurę, lub przynajmniej na miejsce, w którym powinna się ona znajdować, bo oczywiście nadal było zupełnie ciemno.

– Ale nie słychać żadnych dźwięków z zewnątrz. Prawdopodobnie od powierzchni nadal dzielą nas ponad trzy metry ziemi. Nie damy rady się stąd przekopać; gdybyśmy spróbowali, to naprawdę pogrzebiemy się tu żywcem.

Koniec końców ponownie usiedliśmy na podłodze.

Całe zamieszanie spowodowane zasypaniem tunelu dało mi złudną nadzieję, że robimy jakieś postępy, jednak gdy chłodno przeanalizowałam sytuację, okazało się, że ani troszeczkę się ona nie zmieniła. Tym razem jednak znajdowaliśmy się w jeszcze ciaśniejszej przestrzeni; gdyby gaz nagle zaczął napływać z otwartej części korytarza, oznaczałoby to nasz koniec. Gdybyśmy natomiast zawalili tunel również po przeciwnej stronie, szybko skończyłoby się nam powietrze i podusilibyśmy się.

Tym razem naprawdę byliśmy zgubieni.

Nie chciałam tu umierać. Nie zostało jednak już nic, co moglibyśmy zrobić. Sama byłam zaskoczona tym, jak bez emocji

przyjęłam to oczekiwanie na śmierć. Byłam jednak zbyt wyczerpana by wykrzesać z siebie energię na przejmowanie się naszym losem.

Odsunęłam się od Satoru i usiadłam przy ścianie, ściskając kolana. Ponownie zaczęły dręczyć mnie halucynacje. Świat na zewnątrz był tak bezkresny, że nie zauważaliśmy wielu rzeczy. Ta myśl uderzyła mnie tak nagle, jakby ktoś nacisnął w mojej głowie jakiś guzik. Tak długa wędrówka przez ciemne tunele osłabiła mentalne bariery, chroniące nasze umysły przed kryjącymi się w ich najgłębszych zakamarkach demonami.

Pierwszym, co ujrzałam, był minoshiro. Jego półprzezroczyste ciało falowało spokojnie przed moimi oczami. W lewo i w prawo. Był niesamowicie realny. Koniuszki rozgałęzionych czułek, sterczących z głowy, jak również kolce, którymi najeżony był jego grzbiet, jasno świeciły na biało, czerwono, pomarańczowo, niebiesko i inne żywe kolory.

Nagle ze sklepienia zaczęły skapywać włókienka błyszczącego, zielonkawego śluzu. W mgnieniu oka zmieniły się w całą galaktykę robaczków świętojańskich.

Zdawało się, że spadający śluz uwięził minoshiro; próbował on wyszarpywać się i iść dalej, ale ostatecznie nie zdołał się oswobodzić. Śluzowe nici kołysały się niczym żyrandole, stopniowo zaciskając się coraz mocniej wokół minoshiro.

Wtedy minoshiro zaczął odrzucać po kolei swoje spętane czułki i kolce.

Zupełnie już gładki grzbiet minoshiro zaczął jaskrawo żarzyć się wszystkimi kolorami tęczy. Barwy mieszały się i nakładały na siebie, tworząc w powietrzu linie i spirale. Piękno tych wzorów sprawiło, że poczułam pustkę w głowie.

W pewnym momencie świetliste kształty przybrały formę fałszywego minoshiro. Barwny powidok nadal utrzymywał się nad jego grzbietem, jednak po chwili wszystko zaczęło znikać mi z oczu.

Mrok powoli pochłaniał nagle światło.

Czy wszystko wokół też rozplynie się w taki sposób...? Nie zdążyłam jednak nawet zastanowić się nad tym pytaniem, bo po chwili sceneria kompletnie się zmieniła.

Rozbłysk pomarańczowego światła pojawił się niespodziewanie tuż przed moim nosem. Ogień płonący nad ołtarzem.

Głęboko spod ziemi dobiegał dźwięk monotonnego śpiewu, zakłócany przez pomarańczowe iskry.

To była scena, która miała miejsce tamtego dnia.

Modlący się mnich rzucił w stronę ognia garść pigułek i dołał do niego aromatyzowany olejek, sprawiając, że płomienie buchnęły pod samo sklepienie.

Modły brzmiały jak koncert chóru cykad, odbijający się echem w moich uszach.

To był dzień mojej inicjacji. Dzień, w którym otrzymałam cantus.

Dlaczego tuż przed śmiercią nie pomyślałam o rodzinie lub o szczęśliwych chwilach dzieciństwa, ale o tamtym dniu?

Niespodziewanie, zupełnie inne wspomnienie zaprzątnęło mój umysł.

– To wbrew zasadom. Nie możemy nikomu zdradzać swoich mantr – powiedział zadziornie Satoru.

Z jakiegoś powodu postanowił nagle zachowywać się jak przykładowy uczeń, pomimo, że nigdy nie był wzorem uczciwości.

– Nic się nie stanie. Jesteśmy przyjaciółmi, nie? Nikomu nie powiem – naciskałam.

– Czemu właściwie chcesz ją poznać?

– Żeby dowiedzieć się jaka jest. No wiesz, żeby sprawdzić jak bardzo różni się od mojej i takie tam...

– No to powiedz mi swoją mantrę – odparł przebiegle Satoru.

Prowokował mnie. W porządku, mogłam zagrać w jego grę.

– Zgoda. Napiszemy je na kartkach, policzymy do trzech i pokażemy je sobie jednocześnie. Co ty na to?

– No... Właściwie to nie. Przecież tracą moc, gdy ujawnimy je innej osobie.

Miałam zamiar powiedzieć, że to wcale tak nie działa, ale ugryzłam się w język.

– No więc? Nie mam zamiaru patrzeć tak długo, żeby ją zapamiętać. Pokażemy je sobie dosłownie na chwilę.

– W takim razie po co to wszystko? – spytał podejrzliwie Satoru.

– To dowód naszej przyjaźni. A poza tym będziemy mogli porównać ich długość i w ogóle.

Zdołałam jakoś go przekonać, więc napisaliśmy swoje mantry na skrawkach papieru.

– Gotowy? No to raz, dwa, trzy! – Na te słowa odwróciliśmy kartki i przez dziesiątą część sekundy patrzyliśmy na mantrę przyjaciela.

– Widziałaś? – spytał Satoru ze zmartwieniem w głosie.

– Niedokładnie. Ale zdążyłam dostrzec jej długość. Jest dosyć krótka.

– Ta, twoja też, Saki. Są dość podobne – powiedział z ulgą.

Zwinął soją karteczkę i podpalił ją. Obróciła się w proch w ciągu kilku chwil.

– Ale na pewno nie widziałaś nawet jednego słowa? – Satoru wyglądał na niecodziennie poddenerwowanego.

– Ani jednego. Zresztą, piszesz tak brzydko, że i tak nie dałabym rady niczego przeczytać.

W końcu mi uwierzył i wyszedł z sali. Szybko podeszłam do stosu kartek, na którym pisał i uważnie się mu przyjrzałam. Satoru mocno dociskał pióro gdy kreślił słowa, więc na papierze pozostał nieznaczny ślad. Delikatnie przyciemniłam arkusz, ujawniając napis.

Po krótkich poszukiwaniach w bibliotece, dowiedziałam się, że to mantra Akaśagarbhy.

Powinno pójść gładko. Wstrzymałam oddech i skupiłam się na Satoru.

Oddychał spokojnie, zupełnie jakby spał, lecz od czasu do czasu mamrotał coś niezrozumiale.

Właśnie wtedy świadomość Satoru była najbardziej obniżona, prawie tak bardzo, jak podczas hipnozy. Jeśli da się wyciągnąć z głębi czyjegoś umysłu myśli które są normalnie tłumione, podobnie jak przytrafiło mi się przed chwilą, to niczym dziwnym nie jest, że da się tą osobę kontrolować poprzez halucynacje, których doświadcza.

Najtrudniejszym aspektem hipnozy jest obniżenie poziomu świadomości poddawanej jej osoby. Kiedy jednak już się to uda, cała reszta jest łatwa. Znałam już wszakże zagrzebaną w głębinach umysłu Satoru mantrę.

Niemniej jednak, gdyby mi się nie powiodło, wszystko byłoby stracone. W razie porażki, oboje musielibyśmy tu zginąć. Kilkakrotnie powtórzyłam sobie w myślach swoje kwestie, po czym wzięłam głęboki wdech i zaczęłam mówić najsurowszym głosem, na jaki było mnie stać.

– Satoru Asahina.

Nie mogłam do dostrzec, więc nie byłam w stanie stwierdzić, czy jakoś zareagował.

– Satoru Asahina. Złamałeś zasady, przychodząc do miejsca dla ciebie nieprzeznaczonego. Co więcej, pozwoliłeś by słowa demona zatruły twoje myśli. Prawdziwy problem jednakże leży znacznie głębiej.

Poczułam, że zadrżał.

– Pogwałciłeś najbardziej fundamentalną regułę Kodeksu Etyki, ostatnie z Dziesięciu Wskazań: „Nie bezcześć Trzech Klejnotów”. Uwierzyłeś w słowa demona i poddałeś w wątpliwość nauczanie Buddy. Z tego powodu muszę natychmiast zapieczętować twój cantus.

Satoru westchnął i zaniósł się płaczem.

Było mi go straszliwie żal, ale zebrałam się w sobie i kontynuowałam.

– Spójrz na płomienie.

Nie usłyszałam żadnej odpowiedzi.

– Spójrz na płomienie.

Wciąż nic.

– Twój cantus został zamknięty w tej figurce. Widzisz ją?

– Tak – odpowiedział, wzdychając przeciągle.

– Wrzucam figurkę do ognia. Wszystko zostało spalone. Każde z twoich doczesnych pragnień uległo spopieleniu. Niechaj prochy powrócą do przepastnej, nieokiełznanej ziemi. Spójrz! – rzekłam, unosząc głos. – Figurka została zniszczona. Twój cantus jest teraz zapieczętowany.

Satoru wydał z siebie jęk cierpienia.

– Odrzuć swoje przyziemne pragnienia. Spal wszystko w oczyszczającym ogniu by osiągnąć nirwanę.

Decydujący moment był coraz bliżej. Przysunęłam się do Satoru.

– Satoru Asahina. W swoim oddaniu Buddzie odrzuciłeś swój cantus – powiedziałam najłagodniej jak potrafiłam, chcąc sięgnąć daleko w głąb jego świadomości, przemierzyć umysł i spętać go mocą swojej sugestii.

Z całego serca pragnęłam ocalić Satoru. Pomimo tego, że to był najszybszy sposób, było mi przykro, że musi cierpieć. Jednocześnie byłam mu wdzięczna, że nieświadomie stara się mi pomóc. Wszystkie te uczucia stały się na tyle silne, że bałam się, że nie dam rady kontynuować. Mój głos zadrżał.

– Dzięki miłosierdziu Buddy otrzymasz teraz czystą mantrę, nową duszę, a twój cantus zostanie ci przywrócony.

Uderzyłam go w ramiona, pochyliłam się i wyszeptałam mu do ucha słowa:

Namo ākāśagarbhaya om ārya kamari mauli svāhā.

Przez kilka chwil nic się nie działo, jednak pomału zaczęło się robić wokół nas coraz jaśniej.

– Satoru! – krzyknęłam przez łzy.

Włócznia jarzyła się blaskiem. Obsydianowe ostrze emitowało płomiennoczerwone światło.

– Satoru, robisz to, prawda? Widzisz? Twój cantus powrócił!

– Tak... Na to wygląda – odparł, jakby przebudzony po długim śnie.

– Szybko! Zrób dziurę w suficie! Wydostań nas stąd!

– W porządku.

– Och nie, czekaj. Na zewnątrz też może być ten trujący gaz...

– Nie przejmuj się tym. Rozwieję go. – Satoru uśmiechnął się krzepiąco. – Mogę na kilka sekund wywołać podciśnienie. Zakryj nos i uszy.

Wypełniłam jego polecenie, używając kciuka i środkowego palca. Tuż nad moją głową gleba zaczęła drżeć i dudnić, jak podczas trzęsienia ziemi.

Sekundę później rozległ się przeszywający huk i sklepienie wyparowało.

Rozdział 5

W celu szybkiego pokonania wroga, Ziemne Pająki postanowiły wpuścić do jego gniazda trujący gaz.

Zdarzało się już wcześniej, że autochtoniczne kolonie zatapiały swoich przeciwników, przekierowując bieg rzeki. Celem wojen jest jednak pochwylenie i zniewolenie wroga, więc taktyka skutkująca masowymi zgonami nie jest pożądana. Z drugiej strony, starcia na kontynencie koncentrowały się na zdobywaniu i obronie ograniczonych zasobów naturalnych, więc w ich przypadku zabijanie nieprzyjaciół okazywało się skuteczniejsze.

Do dziś nie wiadomo, jaki gaz został wtedy użyty. Dzięki odnalezionym później pozostałościom instalacji do jego wytwarzania, dowiedzieliśmy się jedynie, że Ziemne Pająki zbudowały ogromne piece z kamieni i błota w miejscu, z którego wiatr wiał w stronę gniazda Łowików.

Domyśliłam się, że źródłem smrodu zgniłych jaj były grudki siarki, które wydobyły z wulkanu. Podczas spalania siarki wytwarza się siarkowodór i dwutlenek siarki. Oba związki są silnie toksyczne i cięższe od powietrza, więc bez trudu mogły dostać się do najdalszych zakamarków dziwoszczurzego gniazda. Trudno jednak sobie wyobrazić, że sam gaz był wystarczająco potężny, by wyeliminować całą kolonię.

Satoru był zdania, że Ziemne Pająki przeszukiwały ruiny opuszczonych miast w poszukiwaniu tworzyw sztucznych zawierających chlor. Przykładowo, podczas spalania chlorku winylu wydziela się gazowy chlorowodór, który również jest bardzo toksyczny i cięższy od powietrza. Istnieje całe mnóstwo śmiertelnie toksycznych gazów i jeszcze więcej materiałów, które można łączyć ze sobą i spalać by uzyskać te gazy.

Istnieje jeszcze jedna możliwość, najstraszniejsza ze wszystkich – że był to nowy, nieznan nam jeszcze rodzaj gazu.

Oczyszczenie gniazda kolonii Łowików z trujących oparów zajęło trochę czasu.

Nawet wykorzystując cantus do przemieszczania ogromnych objętości powietrza, nie było to zbyt łatwe do wykonania. Nieważne, jak usilnie próbuje się poruszyć powietrze, zawsze istnieje siła, która odpycha je z powrotem. Satoru wzburzał zalegający przy ziemi toksyczny gaz, tworząc silny wir, a następnie przemieszczał go gdzieś daleko, pozwalając by w jego miejsce napłynęło czyste, nieskażone powietrze. Obraz, który sobie wyobrażał, by móc to robić, musiał być dość skomplikowany.

Kiedy cały kurz opadł ujrzałam nad naszymi głowami spokojne, błękitne niebo. Nabierając w płuca świeżego powietrza i mrużąc oczy w olśniewającym blasku porannych promieni słońca, byliśmy jak dwa krety, które przypadkowo wykopały się na powierzchnię. Ponieważ od dłuższego czasu nie czułam chłodnych powiewów wiatru, całe ciało pokryło mi się gęsią skórką.

Przyzwyczajony się do światła, Satoru spojrzał w górę. Wyrwa w suficie zadrgała i poszerzyła się. Następnie stworzył przed nami łagodną pochyłość, którą uformował w schody. Były stabilne, zupełnie jakby wykonano je z terakoty.

– Pójdę przodem.
– Czekaj – powstrzymałam go. – Najpierw ja się rozejrzę.
– Nie, Ziemne Pajaki mogą strzelić do ciebie z oddali.
– I właśnie dlatego lepiej będzie jak wyjdę jako pierwsza. Jeśli coś by ci się stało i nie mógłbyś używać cantusu, to byłby nasz koniec.

Nie powiedziałam już nic więcej i zaczęłam wspinać się po schodach. Zanim wyszłam na zewnątrz, przystanąłam, nasłuchując uważnie odgłosów ruchu, jednak, nie licząc śpiewu ptaków, panowała zupełna cisza.

Trzymając ciało nisko, wychyliłam głowę.

Powietrzny wir sprawił, że trawa pochyliła się ku ziemi, jednak nadal niczego nie dostrzegałam. Cicho wypełzłam na czworakach,

i upewniwszy się, że w pobliżu nie czyha żadne zagrożenie, powoli wstałam.

Łagodny wietrzyk sprawiał, że wszystko delikatnie falowało. Nie było żadnych ciał, żadnych gruzów, niczego.

– I jak to wygląda? – Usłyszałam płynące z tyłu pytanie Satoru.

– Niczego tu nie ma.

Spoglądając w dal, w odległości większej niż sto metrów dostrzegłam coś, co mogło być ciałami dziwoszczurów. Może zabiła je tam trąba powietrzna. Z tego dystansu trudno było je odróżnić od ludzkich zwłok. Po plecach przebiegły mi ciarki.

– Z pewnością kryją się gdzieś w pobliżu. To niemożliwe, by wiatr zabił wszystkie.

Staliśmy nieruchomo, uważnie badając wzrokiem otoczenie. Ktoś tak wprawny jak Shisei Kaburagi mógłby stworzyć w powietrzu powiększającą obserwowane rzeczy próżniową soczewkę, która w przeciwieństwie do zwykłej soczewki wykorzystuje do tego wklęsłą powierzchnię. Co jednak oczywiste, umiejętności Satoru nie były wystarczające, by to zrobić.

– Spójrz! Tam! – Wskazałam na rysujące się na północy wzgórze, gdzie, jak mi się zdawało, dostrzegłam ruch.

Obydwoje wpatrywaliśmy się intensywnie w tamto miejsce, jednak nie zaobserwowaliśmy niczego podejrzanego.

– Wybacz, pewnie po prostu wyobraźnia splątała mi figla.

– Nie... Nie wydaje mi się. – Satoru skrzyżował ramiona, wciąż uważnie przeczesując wzrokiem wskazany obszar. – To miejsce wygląda na doskonale nadające się do rozpylania z niego trującego gazu. Znajduje się na wzniesieniu, a gaz jest cięższy od powietrza, więc nie trzeba się martwić, że poleci w złym kierunku. Poza tym, na jego drodze jest stosunkowo mało przeszkód.

Satoru wyrwał kilka źdźbeł trawy i rzucił je na wiatr, sprawdzając jego kierunek.

– Ledwo co wieje, ale w każdym razie dmucha z północy, więc chyba się nie pomyliłem. Muszą kryć się gdzieś w tamtym kierunku.

– Więc powinniśmy uciekać na południe!

– Co ty wygadujesz? – Satoru chwycił mnie za ramię, gdy tylko się odwróciłam. – Jeśli zaczniemy uciekać to bez wątpienia zaczną nas ścigać i zaatakują od tyłu, gdy nie będziemy się tego spodziewać.

– Ale... – Nie rozumiałam, co próbuje mi powiedzieć. – To co w takim razie robimy?

– To chyba oczywiste. Zaatakujemy pierwsi. Dopóki ich wszystkich nie wybijemy, nie będziemy bezpieczni.

– Ale to... – próbowałam znaleźć odpowiednie słowa. – To niemożliwe. Tylko ty jesteś w stanie walczyć.

– Nawet jeśli to jest niemożliwe, musimy spróbować – odparł stanowczo Satoru. – Widziałas, co się stało z mnichem. Jeśli chodzi o obronę, cantus jest bezużyteczny. Naszą jedyną szansą na przeżycie jest wykorzystanie go do ofensywy... Ale jeśli się boisz, możesz uciec, Saki. Tak jak mówisz, tylko ja mogę stanąć do boju.

Po tych słowach nie potrafiłabym uciec, nawet, gdybym rzeczywiście tego chciała. Próbowałam jeszcze odwieść Satoru od jego zamiarów, ale nie odniosło to skutku; ostatecznie kontynuowaliśmy nasz marsz na północ.

– Najprawdopodobniej znaleźliśmy się już w zasięgu ich strzał. Bądźmy ostrożni. Spróbujmy stąd zaatakować.

Stanęliśmy w rzucanym przez olbrzymi głaz cieniu i spojrzeliśmy na szczyt wzgórza.

– Odłamki – powiedział Satoru głosem przepełnionym dziwną euforią.

Górna część kamienia popękała, tworząc wzór przypominający skorupę żółwia, i rozpadła się na małe fragmenty.

– Lećcie!

Wszystkie kamyki jednocześnie poszybowały w stronę wroga.

Na szczycie wzniesienia wybuchła panika. Dziwoszczury wrzeszczały ze strachu i gniewu. Zdawało się, że próbują uformować szyk bitewny. Usłyszeliśmy szczęk metalu uderzającego o metal i brzdęknięcia cięciw; dziwoszczury odpowiedziały nam ogniem.

– Głupcy – prychnął Satoru.

Lecące po łagodnym łuku strzały zawróciły w powietrzu i niczym wierne psy pognały z powrotem do łuczników.

Więcej okrzyków bólu.

– Chciałbym móc stworzyć wietrzną kosę, ale obawiam się, że będziemy musieli obejść się bez niej – powiedział Satoru, jakby planował posunięcia w jakiejś grze.

Obejrzał się za siebie. Jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów za nami rosły drzewa; wyrwał je z korzeniami i sprawił, że zawisły w powietrzu.

– Naprzód!

Sześć olbrzymich pni poszybowało w kierunku szczytu wzniesienia. Pomyślałam, że wbiją się w sam środek obozu przeciwnika, ale zamiast tego jedynie groźnie nad nim zawisły.

Niesiona wiatrem kakofonia dźwięków przybrała na sile.

– Hmm... Wyglądają na przestraszonych.

Postawa Satoru była zupełnie taka sama jak podczas turnieju toczenia kuli, kiedy kontrolował popychacza.

– Ale to robi się trochę nudne... No dobra, płońcie!

Drzewa stanęły w płomieniach, zamieniając się w gigantyczne pochodnie. Kępy płonących liści spadały na wrogów.

W szeregach dziwoszczurów zapanował chaos. Ogień podpalał wszystko, czego dotknął. Ku niebu wzbiły się słupy czarnego dymu.

– To nasza szansa. Ruszajmy w górę.

Opuściliśmy nasze schronienie pod głazem, i nie tracąc czasu pognaliśmy w stronę szczytu. Kilka dziwoszczurów, które minęliśmy zaczęło na nasz widok ostrzegawczo warczeć, ale w następnej chwili zostały pochłonięte przez eksplozję białych płomieni.

– Wykorzystują to coś do produkcji gazu? – spytałam, wskazując na dużą, glinianą strukturę, przypominającą rozpylacz środków owadobójczych.¹

¹ Według autora przekładu na angielski, wygląda to tak:

<https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/thumb/b/b6/Kayaributa01.jpg/800px-Kayaributa01.jpg>

Pięć lub sześć z tych budowli posiadało skierowane w dół zbocza wypustki, podobne do słoniowych trąb.

Najbliższy z rozpylaczy eksplodował, rozpadając się na milion części. Chwilę później ten sam los spotkał pozostałe z nich. Odłamki poleciały w kierunku oddziału dziwoszczurów, błyskawicznie kładąc trupem całą grupę.

– Bawisz się z nimi?

Widząc, jak ich towarzysze giną jeden po drugim, dziwoszczury zawahały się. Kiedy z kolei martwe ciała zaczęły się podnosić, i jak marionetki na sznurku ruszyły w stronę pozostałych przy życiu żołnierzy, ich szeregi całkowicie się rozsypały.

Okazało się, że jedynym, co jest w stanie złamać ducha wojowniczych dziwoszczurów, są ich własne obawy przed zjawiskami nadprzyrodzonymi.

– Rozumiem... Kontrolowanie ich za pomocą strachu jest znacznie efektywniejsze od brutalnej siły.

Satoru nie zwlekał z wykorzystaniem nowo zdobytej wiedzy. Zaczął zmuszać do powstania trupy, którymi usiana była cała okolica. Dziwoszczury, o których myśleliśmy, że są pozbawione ludzkich emocji, kompletnie postradały zmysły z przerażenia i zaczęły atakować się nawzajem.

Te, które straciły wolę walki i próbowały ratować się ucieczką, zostały zaduszone na śmierć niewidzialną dłonią. Unicestwienie całej grupy nie zajęło ostatecznie więcej niż pięć lub sześć minut.

– Zbyt niebezpiecznie jest iść przez środek polany. Będziemy całkowicie odsłonięci i widoczni z pozostałej części lasu, gdzie mogą kryć się łucznicy Ziemnych Pająków. – zameldował Squealer Satoru.

Był równie uprzejmy jak poprzednio, ale jego głos był lekko zabarwiony lękiem. Nie ma wątpliwości, że zrozumiał teraz, jak potworna jest siła cantusu.

– Ale, jak sam zauważyłeś, kryją się w lesie, tak? – Satoru zmarszczył brwi z niezadowoleniem. – Stąd możemy atakować jedynie na ślepo, a wtedy przeciwnicy po prostu uciekną. Polana natomiast jest łatwa do oczyszczenia.

– Jest tak, jak mówisz. Wyobraź sobie jednak, że, odpukać, jeden z nich zdoła się wyśliznąć i postrzelić jednego z bogów zatrutą strzałą. – Squealer spojrział z lękiem na Satoru. Na nosie miał spore rozcięcie, a w kilku miejscach zaschnięta krew mieszała się z ziemią.

– Nasze własne strzały powodują jedynie drętwienie, ale Ziemne Pająki to zabójcy; trucizna, którą wytwarzają żyjące w ich ojczystej ziemi żaby jest śmiertelna i nie ma na nią lekarstwa. Wystarczy zwykłe draśnięcie. Nasi szpiedzy odnaleźli jednak bezpieczną drogę, więc proszę, chodźcie ze mną.

Po raz kolejny Squealer pojawił się w najwłaściwszym momencie. Po zniszczeniu oddziału ze szczytu wzgórza zaczęliśmy sprzeczać się z Satoru. Ja byłam zdania, że nie zagraża nam już pościg nieprzyjaciela i powinniśmy oddalić się najszybciej, jak to możliwe. On z kolei hardo upierał się przy wybiciu pozostałych dziwoszczurów.

Zadawałam sobie pytanie dlaczego Satoru tak się zachowuje. Byłam zatrwożona jego wyrazem twarzy. W niczym nie przypominał tego dobrodusznego, choć kryjącego się za maską sarkazmu i pozerstwa chłopca, którego tak dobrze znałam. Patrzyłam na zupełnie inną osobę.

Pomimo licznych argumentów, którymi próbował podeprzeć swoje zdanie, takich jak duża odległość od miejsca ukrycia kajaków lub konieczność odpłacenia dziwoszczurom pięknym za nadobne, dziwny błysk w jego oku zdradzał, że kieruje nim zwykła żądza dalszych morderstw. Satoru był niewzruszony, nieważne jak logicznie starałam się go przekonywać. Mieliśmy tylko mgliste pojęcie o lokalizacji kolonii Ziemnych Pajaków i zupełnie nie wiedzieliśmy, gdzie może znajdować się siedziba ich królowej. Z tak niewielką ilością informacji, wytrzebiecie ich było niemożliwe. Co jednak ważniejsze, gdyby Satoru został ranny, byłby to nasz koniec.

Gdy moja nieustępliwość zaczęła przynosić pierwsze efekty i Satoru zaczął pomалу ulegać, usłyszeliśmy wołający nas z dołu głos. Obawiając się, że to zastawiona przez Ziemne Pajaki pułapka, ostrożnie wyjrzelśmy zza szczytu zbocza. Ujrzelśmy Squealera i niedobitki kolonii Łowików. Wszystkie leżały plackiem na ziemi, oddając nam z oddali cześć. Nie było ich więcej niż pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt; był to żywy dowód na skuteczność trującego gazu.

Jak wyjaśnił nam Squealer, najwyraźniej gdy tylko Łowiki wyczuły zapach toksycznych oparów, wszystkie schroniły się głęboko pod ziemią, podpisując tym samym na siebie wyrok śmierci. Ziemne Pajaki prawdopodobnie celowo nasyciły gaz wonią siarki, wiedząc, że dziwoszczury instynktownie się przed nią skryją. Z drugiej strony, Squealerowi i oddziałowi jego podkomendnych ochroniarzy udało się ująć z życiem, ponieważ będąc odpowiedzialnymi za ewakuację królowej, wybrali na schronienie wyższe poziomy.

Pomimo, że ich kolonia poniosła przed chwilą druzgoczącą klęskę, Squealera i jego żołnierzy nie opuszczała pogoda ducha. Po pierwsze, królowa była bezpieczna (jej śmierć, jako jedynego reproduktora, oznaczałaby koniec dla całej kolonii). Po drugie, przed chwilą zobaczyli, jak Satoru pokonuje nikczemne Ziemne Pajaki, używając swojej mocy.

Pozostałe przy życiu Łowiki pałały żądzą zemsty. Nawet opanowany zazwyczaj Squealer nie był wyjątkiem; tak długo podjudzał Satoru, mówiąc mu, że odkrył wcześniej miejsce pobytu wrogiej królowej, aż ten nie miał innego wyjścia jak zgodzić się na pomoc w zawojowaniu kolonii Ziemnych Pająków.

Powróćmy do głównego wątku.

Tak jak nalegał Squealer, okrążyliśmy polanę z lewej strony dużym łukiem i skierowaliśmy się w stronę leżącego gdzieś w lesie gniazda Ziemnych Pająków.

– To na pewno bezpieczne? – pytałam Squealera podczas wędrowki. Pomimo tego, że wybraliśmy okreśną drogę, szliśmy

dobrze wydeptaną ścieżką. Jeśli Ziemne Pająki rzeczywiście były tak zaprawione w boju, ich patrole nie pominęłyby takiej trasy.

– Nie martwcie się, proszę. Wysłaliśmy wcześniej przodem zwiadowcę, który nie stwierdził żadnych śladów obecności wroga. Muszą być przekonani, że trujący gaz zabił nas wszystkich, więc nie będą się spodziewać tak szybkiego odwetu.

Czyżby Ziemne Pająki rzeczywiście były tak łatwym przeciwnikiem? Dwa dni temu pewnie zaakceptowałabym jego wyjaśnienie bez żadnych zastrzeżeń, jednak wczorajsze wydarzenia spowodowały, że stałam się skrajnie nieufna.

Poleciłam Squealerowi, by przygotował kilka wabików. Zrobiłam to głównie dla spokoju ducha, a Satoru wciąż próbował mnie udobruchać, udając, że się ze mną zgadza. Jak okazało się niecałe dziesięć minut później, to było bardzo dobre posunięcie.

Idący z przodu wojownicy wydali z siebie głośny, ostrzegawczy krzyk. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale gdy zaczęli strzelać, uświadomiłam sobie, że jesteśmy atakowani.

– Bogowie, ukryjcie się! To Ziemne Pająki! – krzyknął Squealer.

– Gdzie?

– Za drzewami... Przynęta, nabiorą się na to!

Wabik, czyli dziwoszczur, któremu poleciłam przebrać się za Satoru leżał na ziemi. Wybrałam najrośniejszego z żołnierzy, lecz z daleka jego sylwetka nadal nie przypominała ludzkiej, więc kazałam mu włożyć dwa kapelusze i pelerynę. Z jego ciała sterczały już trzy strzały, jednak, co dziwne, nie miały one lotek; zamiast tego były owinięte sznurkiem.

– Dmuchawki! Używają zatrutych strzałek... Uważajcie!

Squealer doszedł do takiego samego wniosku i krzyknął ostrzegawczo. Zastanawiałam się, gdzie właściwie mogą ukrywać się wrogowie. Przeczesałam wzrokiem drzewa, ale nie dostrzegłam niczego, co kształtem przypominałoby dziwoszczura. Zastanawiałam się, czy w takim razie dmuchający widzą nas, lecz najwyraźniej atakowali na oślep.

Coś zaszeleściło w koronie dużego dębu. Niczego nie spostrzegłam, ale z pewnością coś tam było.

– Satoru! Zatrząś tym drzewem!

Czwórka dziwoszczurów leżała na nim, stanowiąc żywą tarczę. Ignorując zalecenie Squealera wysliznął się spod nich. Drzewo zakołysało się i wygięło, jak podczas huraganu. Liście opadły delikatnie jak płatki śniegu, a gałęzie z trzaskiem się połamały. Wraz z nimi na ziemię zważyło się coś ciężkiego, do czego błyskawicznie dopadły czekające na dole dziwoszczury.

– Co to jest? – spytałam, patrząc na obiekt, który zleciał z drzewa.

Nie wiem w jaki sposób mogłabym dobrze opisać wygląd tego stwora. Wyglądał trochę jak żyjące na południu patyczaki albo jak pewien gatunek konika morskiego, nazywany pławikonikiem australijskim.

Miał około metra długości i wykazywał pewne podobieństwo do zwykłego dziwoszczura. Gdy się dobrze przyjrzeć, jego głowa i kończyny też wyglądały całkiem zwyczajnie. Główną różnicą było to, że był nienaturalnie chudy a jego skóra miała kolor dębowego pnia i była usiana zielonymi, przypominającymi liście wypustkami. Leśny wojownik Ziemych Pająków spojrział w niebo i świergotliwie krzyknął. Po chwili był już martwy, przebity włóczniami żołnierzy Łowików.

Sądząc po tym, co właśnie miało miejsce, w pobliżu musieli czaić się pobratymcy stwora. Jeszcze raz prześledziłam wzrokiem drzewa. Teraz, gdy już wiedziałam, czego szukać, odszukanie celów nie było nawet w połowie tak trudne, jak poprzednio. W kilka chwil wypatrzyłam jeszcze trójkę zakamuflowanych wojowników.

Satoru uwolnił swój cantus i zrzucił ich z gruchotem na ziemię, zanim nawet zdążyłam dobrze wskazać, gdzie siedzą.

– Czym one są, do licha? – spytałam.

Satoru przyglądał się zwłokom, marszcząc brwi. Nie potrafiłam się zmusić, by ich dotknąć, ale przypominające liście wzory i wypustki na ich ciałach nie wyglądały na sztuczne.

– To w sumie mnie nie dziwi. Bądź co bądź, kiedy wpadliśmy na nie zeszłej nocy, większość z ich wojowników wyglądała jak potwory.

Pomyślałam o łuskach, pokrywających ciało Kapitana Szyszki.

– Ale... Czyli mogą przybrać dowolny wygląd? Dlaczego?

– Nie wiem, ale mam pewną teorię. – Satoru ponownie zarzucił kaptur na głowę. – W każdym razie, musimy być od teraz ostrożniejsi. Nie wiemy w końcu, do czego jeszcze mogą się upodobnić.

– Powinniśmy zawrócić. To zbyt niebezpieczne.

– Zaszliśmy już zbyt daleko, zaczną nas ścigać, jeżeli teraz damy nogę.

Nie miałam żadnych argumentów na tę odpowiedź, więc dalej szliśmy naprzód.

Po przebyciu kilku kroków, ścieżka zaczęła zakręcać w prawo. Zbliżaliśmy się powoli do gniazda Ziemnych Pająków.

Pomyślałam o naszym starciu z siedzącymi na dębach wojownikami. Satoru wyrwał z korzeniami trzy ogromne drzewa, uniósł je w powietrze i posłał w przód, powalając przy okazji wszystkie krzewy, które rosły na ich drodze.

Gęste zarośla zaczęły się stopniowo przerzedzać. Po lewej stronie znajdowało się bajoro, tak gęsto porośnięte rzęsą wodną, że wyglądało jak obsypane konfetti.

– Czekaj. – Zatrzymałam Satoru, chwytając go za łokieć. – Mam złe przeczucia co do tego miejsca.

Zastanawiałam się, czy mnie wyśmieję, ale wyglądał na zupełnie poważnego.

– Myślisz, że to pułapka?

– Nie jestem pewna...

Wpatrywałam się podejrzliwie w bagno. Na jego powierzchni od czasu do czasu pojawiały się bąbelki; zastanawiało mnie, skąd się one biorą. Satoru najwyraźniej głowił się nad tym samym. Uniósł kilka

głazów nad powierzchnię sadzawki i zrzucał je w dół, ilekroć ukazywała się na niej bańka.

Kamienie spadały z ogromnym impetem, rozchlapując wokoło błotnistą wodę.

Nic się nie stało.

– Wszystko jest w porządku. Ruszajmy dalej – powiedział ze zniecierpliwieniem.

– Ale...

– Żaden ssak i tak nie może pozostawać tak długo pod wodą.

Ostatnie słowo zawsze musiało należeć do Satoru, tak więc, czy tego chciałam, czy nie, pomału wznowiliśmy marsz.

Właśnie w tamtym momencie z kierunku bajora doleciał dziwny, świszczący dźwięk.

Na powierzchni pokazały się trzy, przypominające wydry głowy, wlepiające w nas wzrok.

Nikt nie był w stanie zareagować. Wydrowate łby wycelowały w nas trzymane w ustach długie rurki i wydmuchnęły z nich strzałki, po czym szybko zniknęły pod wodą, pozostawiając za sobą jedynie niewielkie deformacje na tafli rzęsy wodnej.

– Niech to! Cały czas z nami zadzierają! – kipiał gniewem Satoru.

Dwa Łowiki trafione strzałkami w mgnieniu oka zginęły od trucizny.

– W porządku, kryjcie się ile chcecie... Ugotuję was żywcem!

Bagienna woda zaczęła parować, zupełnie jak w gorących źródłach.

Nie wiem dlaczego postanowiłam akurat w tamtej chwili, że nie chcę na to patrzeć. W każdym razie, gdy odwróciłam się od bagna, ujrzałam coś nieprawdopodobnego.

To była ścieżka z usianej chwastami, wilgotnej, piaszczystej gleby. Znajdowało się na niej niewielkie, wysokie może na dwadzieścia centymetrów wybrzuszenie. Najdziwniejsze było jednak

to, że owa wypukłość powoli się poruszała, zupełnie, jakby tuż pod ziemią jakiś kret rył swój tunel.

Momentalnie uświadomiłam sobie, że takich kopczyków jest więcej. Łącznie cztery takie wybrzuszenia powoli, lecz bezgłośnie przemieszczały się w naszą stronę, jak wabione zapachem krwi rekiny.

Próbowałam coś powiedzieć, ale strach mnie sparaliżował.

– Satoru...! – zdołałam z siebie w końcu wydusić, lecz on tego nie dosłyszał. Spojrzałam ponownie na wrzącą wodę sadzawki, akurat w momencie gdy zdołał pochwycić kryjących się pod jej powierzchnią nieprzyjaciół. Zgromadzone wokół dziwoszczury zawyły triumfalnie.

Trzy poparzone ciała dryfowały po tafli wody. Przypominały bardziej żaby niż wydry; na wszystkich czterech łapach miały dobrze rozwinięte płetwy.

– Satoru. Za nami... pod ziemią – wyszeptałam.

– Gdzie? – zamarł.

– Jeden bezpośrednio za naszymi plecami, jakieś sześć czy siedem metrów stąd. Dwa kolejne na lewo od niego. I jeszcze jeden, po naszej prawej, trochę na skos.

Satoru odwrócił się w tym samym momencie, w którym kopiące dziwoszczury wyskoczyły na powierzchnię.

W jednej chwili zostały zmyte przez strumień bagiennej wody, który chlusnął w ich stronę. Wrzątek, który wylał się im na głowy z łatwością zniszczył ich szyk.

– Hmm... Czyli żaby były tylko przynętą? – zastanawiał się Satoru, ocierając z czoła strużkę potu. – Nie wolno nam stracić czujności. Wygląda na to, że polegają na atakach z zaskoczenia.

– Satoru, nie jesteś zmęczony?

– Co? Nie, oczywiście, że nie. To nic takiego.

– Ale i tak powinieneś trochę odpocząć...

Satoru tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

Martwiłam się, ponieważ cały był zlany potem. Nie pomyślałam wtedy nawet, że przyczyna tego stanu rzeczy może leżeć w czymś innym.

Cantus może wyzwolić nieograniczoną ilość energii. Jednak do jego używania potrzebna jest silna koncentracja, a co oczywiste, podobnie jak siła fizyczna, ma ona swoje granice.

– Uwaga! – wrzasnęłam, stając na skraju bambusowego zagajnika.

Coś spadało z wielkiej wysokości.

– Spokojnie. Niech nikt nie rusza się z miejsca! – Satoru stał nieruchomo, jakby zapuścił korzenie i spoglądał w górę.

Widoczne w przestworzach małe punkciki stopniowo rosły coraz bardziej i bardziej. Kiedy były już na tyle blisko, by dało się rozpoznać w nich olbrzymie głazy, nagle zmieniły kierunek, odlatując tam, skąd przybyły, zupełnie jakby odbiły się od trampoliny.

– Nadlatuje ich więcej!

Druga fala pocisków była jeszcze większa. Satoru odesłał wszystkie z powrotem.

– Strzelanie na oślep nie może wyrządzić żadnej krzywdy – wymamrotał Satoru, rozłupując trzy kamulce na mniejsze części, które następnie skierował w kierunku domniemanej kryjówki nieprzyjaciela.

Zapadła cisza.

– Trafiłeś ich?

– Nie wiem.

Wrogie bombardowanie ustało. Pomyślałam, że być może nasz odwet okazał się skuteczniejszy, niż sądziliśmy. Niestety, właśnie wtedy nastąpiła trzecia fala ataku.

Tym razem tor lotu miotanych ponad drzewami gładów miał niską trajektorię. Jeden, drugi... Satoru odbijał pociski. Czas między pojawieniem się kamieni w polu widzenia a uderzeniem był jednak tak krótki, że nie był w stanie zatrzymać każdego kamienia

z osobna. W końcu jeden z nich zdołał przebić się przez niewidzialną sieć Satoru i wpadł wprost w środek naszych oddziałów.

Zmroziło mi krew w żyłach. Skała grzmotnęła o ziemię, wzbijając w powietrze ogromny obłok kurzu. Dwie sekundy później spadł cały deszcz piasku i gałązek. Pozostałe przy życiu dziwoszczury rozpierchły się jak karaluchy.

– Cholera....!

Satoru nie miał czasu na sprawdzanie, czy wszystko z nami w porządku. Zablockował jeszcze jeden mknący w naszą stronę kamulec.

– Do tyłu!

Szybko cofnęliśmy się o jakieś czterdzieści metrów, by uniknąć kolejnego pocisku. Następny gład poleciał jednak prosto w naszą stronę, zupełnie jakby przeciwnicy widzieli, że się przemieściliśmy. Celowali w nas.

– Gdzie one są? – wrzeszczał wściekły Satoru. Obserwują nas skądś. Poszukaj ich, Saki!

Szpieg musiał kryć się gdzieś w pobliżu. Nie miałam jednak pojęcia jak mam go odszukać. Gdyby okazał się zakamuflowany jak tamci żołnierze z drzew, to byłoby szukanie igły w stogu siana. Nie wiedziałam, co robić. Przeciwnicy przestali na chwilę atakować; czwarta fala pocisków jeszcze nie nadleciała. Prawdopodobnie potrzebny był im czas na przygotowanie kamieni.

Nagle uświadomiłam sobie coś bardzo istotnego. Zwiadowcy do niczego nie przydałoby się samo śledzenie naszych ruchów; musiał też jakoś komunikować się z resztą żołnierzy i przekazywać im zamiary na naszą pozycję.

– Satoru, cofnij się!

Odeszliśmy dalsze trzydzieści metrów do tyłu. Nigdzie nie było widać śladów szpiega; jednak to nie o niego mi chodziło. Tym, czego wypatrywałam, był sygnał.

– Tam! – Wskazałam na czubek bambusowego gąszczu. Jedna z łodyg kołysała się, jakby bujana wiatrem, lecz jej ruchy definitywnie były nienaturalne.

– To dlatego znają naszą pozycję!

Nie musiałam już niczego dodawać. Płomienie gwałtownie pochłonęły bambus, z którego uniósł się gęsty, czarny dym. Rozległo się mrozące krew w żyłach zawodzenie.

– Nie możemy stać w miejscu. Wycofujemy się?

– Nie. Idziemy dalej.

Satoru ruszył naprzód. Wszystkie dziwoszczury, które wcześniej pouciekały, nagle wróciły i ustawiły się w formację.

– O, bogowie, bogowie – wydyszał Squealer. – Dzięki niebiosom, jesteście cali i zdrowi. Zwycięstwo jest już w naszych rękach. Proszę, niech młot waszej sprawiedliwości spadnie na te podłe Ziemne Pająki.

– Przestań się nam podlizywać! – warknęłam na niego. – Mówiłeś, że to bezpieczna droga. Gdzie, u licha, jest to twoje bezpieczeństwo? Cały czas wpadamy na jakieś zasadzki!

– Bardzo mi przykro. – Squealer głęboko się pokłonił. – Wcześniej wysłaliśmy tędy zwiadowcę, który wrócił stąd bez najmniejszego zadrapania.

– Czy to nie jest oczywiste? Ich nie obchodził ten twój zwiadowca, czekały na nas!

– Wystarczy. Tak czy siak, zaszliśmy aż tutaj – wtrącił się Satoru, chwytając mnie za rękę. – Pospieszmy się i skończmy z tym a potem wracajmy do domu.

Co ty nie powiesz...? – przeszło mi przez myśl. Działo się z nim coś niedobrego. Nie licząc tego, że był wyczerpany, wydawało mi się, że ma problem ze skupieniem wzroku. Przypomnił mi się głaz, który na nas spadł. Normalnie Satoru nigdy nie pozwoliłby sobie na popełnienie takiego błędu.

– Ale nie możemy tędy iść. Nadal nie wiemy, skąd nadlatują pociski. – odparłam niepewnie. – Powinniśmy zawrócić.

– Nie. – Satoru pokiwał głową. – Bitwa już się rozpoczęła. Odwrót w tym momencie byłby samobójstwem.

– Jeśli wyjdziemy spośród drzew, zaatakują nas kamieniami. Nie możemy też iść przez las, bo nie wiemy, jakie pułapki tam na nas czekają.

– Wyślę przodem zwiadowców – powiedział Squealer, jakby chciał ponownie wkupić się w nasze łaski. – Dowiedzieliśmy się już, gdzie stoją katapulty. Z pomocą bogów możemy zniszczyć je, jedna po drugiej...

– Przestań udawać, że to bułka z masłem. Satoru jest wyczerpany.

Squealer rzucił mi bardzo podejrzliwe spojrzenie. Uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd. Być może podejrzewał to już wcześniej, lecz teraz zyskał całkowitą pewność, że nie mogę używać cantusu.

Traktując moje milczenie jak zgodę, zaczął wydawać swoim podwładnym rozkazy w piskliwym, dziwoszczurzym języku. Żołnierze Łowików błyskawicznie rozbiegli się po bambusowym lasku. Pomimo, że ponieśli już olbrzymie straty, ich woła walki nie zmalała ani odrobinę.

Część z nich wróciła już po dwóch minutach. Niespokojnie złożyły Squealerowi raport, a ten odwrócił się w naszą stronę. Nie potrafiłam dobrze odczytywać emocji z twarzy dziwoszczurów, ale wyglądał, jakby chciał nam przekazać jakieś ważne wieści.

– Po przeciwnej stronie lasu znajduje się otwarte pole pozbawione drzew. Wygląda na to, że tam rozmieściły się główne siły wroga.

– W takim razie, skoro są łatwi do wypatrzania, mamy nad nimi przewagę, prawda?

– Cóż.... Jakby to powiedzieć? Proszę, chodźcie i sami zobaczcie. Tym razem jestem pewien, że w krzakach nie kryje się żaden nieprzyjaciel.

Nie bez wątpliwości podążyliśmy za Squealerem przez zagajnik. Po przejściu jakichś czterdziestu lub pięćdziesięciu metrów mogliśmy już dojrzeć prześwitującą między drzewami polanę. Przykucnęliśmy, aby być mniej widocznymi i pomału podpełzaliśmy do przodu.

Mieliśmy przed sobą otwarte pole o powierzchni stu metrów kwadratowych. Ziemne Pająki powaliły rosnące w pobliżu swojego gniazda drzewa, aby przygotować grunt na ostateczną bitwę.

– Niesamowite... – powiedziałam.

Widok armii wrzeszczących dziwoszczurów był iście spektakularny. Ich zbroje i bronie błyszczały w południowym słońcu.

– Trzy tysiące żołnierzy podzielonych na pięć oddziałów – wyszeptał z podziwem Satoru.

– Wszystkie są na otwartej przestrzeni, więc łatwo będzie je pokonać, prawda?

Wydawało mi się, że Satoru szybko przyzna mi rację, ale zastanawiał się dłuższą chwilę.

– To nie będzie takie proste.

– Dlaczego?

– Spójrz na ich formację. Ciężkozbrojni piechurzy stoją w pierwszej linii, a łucznicy kryją się za ich plecami.

To była często wykorzystywana w starożytnej Grecji falanga. Żołnierze stojący w czołowym rzędzie byli uzbrojeni w ciężkie tarcze i włócznie, chroniące szyk przed rozbiciem przez wroga. Gdyby wojownicy z przedniej linii zginęli, od razu zostaliby zastąpieni przez stojących za nimi.

– A to nie wszystko. Widzisz te głazy na tyłach? Oddział który przy nich stoi prawdopodobnie robi za katapultę.

– Katapulta? Gdzie?

Nagle zrozumiałam.

– Mówisz że to *one* są katapultą?

Odległość była zbyt duża, bym mogła dostrzec szczegóły, ale stojące w pobliżu kamieni dziwoszczury były dalece bardziej zniekształcone od tych, które już widzieliśmy. Ciężko je było nawet

porównywać z tamtymi, które upodobniły się do patyczaków czy kretów. Były olbrzymie; miały około trzech metrów wysokości, niewiarygodnie długie torsy, które kurczyły się i rozciągały jak akordeon, niewiarygodnie wielkie mięśnie i łapy grubsze od korpusów.

Dziesięciu żołnierzy, z których składał się oddział katapultowy, pracując w parach mogło miotać kilkusetkilogramowymi kamulcami na ponad sto pięćdziesiąt metrów w górę. Oczywiście tego wszystkiego dowiedziałam się dopiero znacznie później.

– Pozbycie się oddziału ciężkozbrojnych za pomocą cantusu zajmie sporo czasu. Łucznicy i katapulty będą mogły wtedy bez przeszkód strzelać, więc nie będziemy mieli innego wyjścia, jak blokować ich ataki. To jednak doprowadzi do ujawnienia naszej pozycji, a cała agresja skupi się na nas. Ostatecznie nie będziemy mieli czasu na ofensywną odpowiedź i zostaniemy zmuszeni do walki obronnej – westchnął Satoru. – Ale jest coś jeszcze.... Od jakiegoś czasu coś jest nie w porządku.

– Co?

Satoru ściszył głos, żeby Squealer nie mógł go usłyszeć. – To prawdopodobnie dlatego, że jestem zmęczony. Mam problemy z koncentracją. Nie mogę wyobrazić sobie prawidłowego obrazu.

Gorzej być nie mogło. Spojrzałam w niebo.

– To znaczy, że nie możesz już korzystać z cantusu?

– Nie, to nie tak. Po prostu tak duża liczebność oddziałów działa na moją niekorzyść. Mogę nie dać sobie rady z wszystkimi naraz.

Wiedziałam, że powinniśmy byli uciec, gdy tylko pokonaliśmy grupę, która rozpylała trujący gaz z tamtego wzgórza. Satoru miał wtedy jeszcze dość energii by powstrzymać ewentualny wrogi pościg. Nie powinno nas tu już być, ale upojony zwycięstwem i zwiedziony słowami Squealera Satoru stracił zdolność trzeźwego osądu. Nie powinien był tak się poświęcać.

Rozpamiętywanie popełnionych błędów nie mogło nam jednak w niczym pomóc. Aby przeżyć, mogliśmy polegać już tylko na własnej inteligencji.

– Bogowie. – Squealer wśliznął się niepostrzeżenie między nas. W jego głosie wyczuwałam zmartwienie.

– Zastanawiamy się właśnie, jak możemy pokonać Ziemne Pająki. Nie przeszkadzaj nam – łypnęłam groźnie na dziwoszczurzego stratega, ale ten nie cofnął się.

– Najmocniej przepraszam. Ale wygląda na to, że przeciwnik się przemieszcza.

– Co?

Ponownie skierowaliśmy wzrok na armię. Pięć oddziałów powoli zmieniało swoje pozycje. Grupa stojąca w centrum nie ruszyła się, ale oddziały stojące bezpośrednio na lewo i prawo od niej nieco się przesunęły. Następnie dziwoszczury znajdujące się na obu skrzydłach przemieściły się w stronę centrum, redukując o połowę dystans między swoimi oddziałami. Innymi słowy, przygotowały się na atak, ustawiając się w szyk w kształcie litery V.

Formacja żurawiego skrzydła zawdzięcza swoją nazwę temu, że przypomina układ rozłożonych skrzydeł tego ptaka. Pierwotnie był to szyk defensywny, którego zadaniem było otoczenie agresora, jednak Ziemnym Pająkom przyświecał inny cel. Mówiąc inaczej, poprzez maksymalne rozciągnięcie linii frontu udało im się jednocześnie rozproszyć strategiczne, podatne na działanie cantusu cele, jak również zwiększyć zasięg własnego ataku, utrudniając nam obronę.

Ci, którzy to przeczytają, mogą zastanawiać się skąd Satoru i ja znaleźliśmy tak szczegółową terminologię wojskową. Cóż, podczas opisywanych wydarzeń nie mieliśmy na jej temat bladego pojęcia. Książki dotyczące wojen należą do klasy trzeciej, czyli dzieł zakazanych, albo do klasy czwartej, co oznacza, że ze względu na swą treść nigdy nie mogą ujrzeć światła dziennego. Wiedzę, o której wspominałam nabyłam znacznie później, z odkrytej w piwnicy

zrujnowanej biblioteki księgi „Podbić niezwycięzonych. Kompleksowy przewodnik po strategiach.”.

Wracając do sedna, w obliczu imponującej formacji nieprzyjaciela, znaleźliśmy się w patowej sytuacji.

– Co robimy? – To żalosne pytanie było wszystkim, na co dałam radę się zdobyć. Nie mogłam używać swojego cantusu i nie byłam wystarczająco bystra, by wymyślić jakieś inne rozwiązanie.

– No cóż, na razie możemy tylko patrzeć. – Satoru zamknął oczy, próbując zregenerować chociaż trochę energii.

– Nie lepiej uciec? Zamiast stawiać im czoła, pobiec do lasu i...

– Nie możemy. Nie zaatakowali nas od razu tylko dlatego, że obawiają się naszej mocy. Cały czas myślą, że na nie polujemy. Jeśli zaczniemy uciekać, odkryją nasz słaby punkt i ruszą za nami w pogoń.

Niemniej jednak przypuszczałam, że prędzej czy później wróg, zdziwiony naszą biernością, będzie musiał wykonać pierwszy ruch. Stało się szybciej niż się spodziewałam.

Jeden z łuczników wystąpił przed szereg i wystrzelił będącą znakiem rozpoczęcia bitwy strzałę, która z donośnym świstem przecięła powietrze wysoko nad nami.

Zaraz za nią posypał się cały grad kolejnych; zdołaliśmy się skryć, ale słyszeliśmy jak stojące z tyłu dziwoszczury jęczą z bólu, ranione wrogimi pociskami.

– Niech to szlag! Powinniśmy im odpowiedzieć? – Satoru otworzył oczy.

– Jeszcze nie! – odkrzyknęłam rozpaczliwie. – One na to czekają, chcą sprawdzić, co zrobimy w odwecie.

– Więc zupełny jego brak tylko wzmocni ich pewność siebie.

– Jeśli zaatakujemy z niepełną mocą, zorientują się, że osłabiliśmy. Kiedy natomiast nic nie zrobimy, zaniepokoją się. Nie będą się spodziewać, że mamy zamiar przeczekać atak.

– No tak, ale w tym tempie...

Idący na przodzie formacji żurawiego skrzydła oddział nieustępliwie posuwał się naprzód. *Co powinniśmy zrobić?*

– Squealer! – zawołałam czekającego z tyłu dziwoszczura.
– Słucham. Czym mogę wam służyć?
– Gdzie jest gniazdo... Główna siedziba przeciwnika?
– To nic pewnego, ale wydaje nam się, że mieści się ona równo na wprost nas, po drugiej stronie lasu. Każda kolonia umieszcza ostatnią linię obrony bezpośrednio przed nią.

– Satoru! Podpal tamte drzewa!

Zrozumiał mój plan i skupił się na widocznym w oddali punkcie.

Zazwyczaj podpalenie czegoś zajmowało mu nie więcej jak mgnienie oka, jednak tym razem trwało to dobre kilka sekund, jednak gdy tylko liście pierwszego styraka japońskiego zaczęły dymić i stanęły w płomieniach, przeciwnik się zatrzymał. Straż tylna pognała w stronę gniazda i zaczęła odrąbywać siekierami korzenie płonących drzew. To była dość prymitywna metoda gaszenia pożaru, jednak po kilku minutach po ogniu nie było już śladu.

– Mam podpalić ich więcej?

– Nie, poczekaj. Sprawdźmy, co teraz robią.

Nie mogliśmy sobie pozwolić na nieefektywne używanie cantusu przez Satoru i trwonienie jego bezcennej energii.

Gdyby przeciwnik znów na nas ruszył, moglibyśmy zagrozić mu, atakując jego siedzibę. Nie miałam jednak pojęcia na jak długo to zadziała.

Przez pewien czas Ziemne Pajaki stały beczynnienie i czekały. W pewnym momencie jednak wyglądający na gońca żołnierz wybiegł z gniazda, a armia ruszyła do przodu.

– Ewakuowały królową podziemnymi korytarzami – wyszeptał Satoru. – Zajęły się najważniejszą dla siebie kwestią. Teraz zaatakują na poważnie.

Squealer wrzasnął piskliwie i dał nogę. Jego podkomendni poszli w jego ślady.

– No to się zaczęło – westchnął Satoru.

Po raz kolejny spadł na nas deszcz strzał. W porównaniu z poprzednim razem, było ich znacznie więcej. Zasnuły całe niebo, spadając na ziemię niczym grad.

Pięć par żołnierzy z oddziału katapultowego zaczęło w tym samym momencie miotać kamieniami.

Rozdział 6

Większość głazów przefrunęła nam nad głowami i trzasnęła o ziemię gdzieś z tyłu. Kilka kamieni, które wylądowało bliżej nas, na szczęście chybiło.

– Nie wiedzą, gdzie jesteśmy! – powiedziałam cicho. – Zwiewajmy!

– Nie. – Co zadziwiające, Satoru po raz kolejny odmówił.

– Ale...!

– Jeśli się wycofamy, rzucą na nas wszystkie siły. W naszej sytuacji nie możemy nigdzie się stąd ruszyć.

– Więc mamy po prostu czekać, aż nas dopadną?

Spojrzałam przez bambusowe łodygi na oddziały Ziemnych Pająków. Poruszały się wolno, lecz systematycznie, cały czas pozostając w swojej formacji i uważnie obserwując otoczenie. Wiedziałam, że dotrą do nas w dwie lub trzy minuty.

– Gdybyśmy tylko mogli jakoś ich wywieść w pole... – mruknął Satoru.

Zaświtała mi pewna myśl.

– Satoru, jak długo dasz jeszcze radę używać cantusu?

– Nie jestem pewien. Może będę mógł z niego skorzystać jeszcze dwa, trzy razy. To zależy od tego, jak skomplikowany obraz będę musiał sobie wyobrazić. – Satoru potarł skronie, jakby rozboleła go głowa.

– Odbij jeden z tych głazów. Ten, który jest najdalej od nas.

– I co to niby...? Rozumiem! – nagle pojął mój plan.

Używanie cantusu wymaga dobrego kontaktu wzrokowego, jednak gdyby bardziej zbliżył się do krawędzi lasu, Ziemne Pajaki mogłyby go wypatrzyć. Cofnęliśmy się głębiej między drzewa, szukając miejsca z dobrym widokiem na niebo. Znaleźliśmy nieporośniętą bambusami kamienistą polankę. Satoru wziął głęboki wdech i, zupełnie jakby po raz pierwszy korzystał z cantusu,

z olbrzymią koncentracją wyszeptał swoją mantrę, starając się uspoźnić myśli.

Nagle z zachodu nadleciał kamień. Nie potrafiłam powiedzieć, gdzie wylądował, ale sądząc po wysokości, na której się znajdował, byłoby to dość daleko od nas.

Kamulec zawisł w powietrzu, jakby uderzył w niewidzialną ścianę. Wśród wrogów rozległy się krzyki zaskoczenia.

– Żryjcie to! – Satoru zgrzytnął zębami i wykonał gest ciskania czymś o podłogę.

Głaz poszybował w stronę ziemi jak meteor.

Ponieważ nie mogliśmy stąd dojrzeć żołnierzy, był to strzał na oślep. Wszystko zależało od szczęścia Satoru. Złożyłam dłonie i modliłam się, by trafił.

Rozległ się straszliwy jęk, który napełnił mnie złym przeczuciem. Zaraz potem usłyszałam krzyki zaaferowania i szczęk metalowych zbroi biegnących żołnierzy.

Podpełzłam do przodu. Zza gęstych zarośli ujrzałam trzy tysiące uzbrojonych po zęby dziwoszczurów, biegnących bezładnie w amoku. Z ich doskonałej formacji nie pozostało zupełnie nic. Szykując się na kolejny atak z wykorzystaniem cantusu, rozproszyły się najbardziej jak się dało.

Szybko odszukałam miejsce, gdzie wylądował głaz. W ziemi ział gigantyczny krater wokół którego walały się liczne ciała martwych wojowników. Wyglądało na to że pocisk spadł prosto na jednego z dziwoszczurów-katapult; sądząc po kącie uderzenia, był to prawdopodobnie ten sam żołnierz, który cisnął tymże kamieniem w naszą stronę. Nie potrafiłam sobie wyobrazić doskonalszej zemsty. Przeciwnicy rzeczywiście musieli mieć wrażenie, że walczą z bogami.

Jeszcze lepszym scenariuszem byłoby, gdyby nieprzyjaciel zupełnie stracił wolę walki. Było to oczywiście jedynie marzenie; po otrząśnięciu się z szoku, Ziemne Pajaki rozpoczęły kontratak.

Miotwały w naszą stronę tyle samo kamieni co poprzednio, a powietrze przecięło jeszcze więcej strzał niż wcześniej. Różnica

polegała na tym, że tym razem ich ataki skupiały się na jednej, małej przestrzeni.

– Nikogo nie ma w miejscu, które atakujecie – powiedziałam do siebie, zadowolona, że dziwoszczury dały się nabrać. – Powinniśmy uciekać, dopóki możemy.

– Czekaj. Pozwól mi zrobić to jeszcze raz. Dla pewności.

Satoru odetchnął głęboko i zacisnął pięści.

– Nie rób niczego na siłę.

Jak na dłoni było widać, że trudno jest mu utrzymać się na nogach. Całe czoło miał zalane potem.

– Nic mi nie jest. Jeszcze tylko raz.

Po raz kolejny weszliśmy głębiej w las i spojrzeliśmy w górę. Nie czekaliśmy długo. Wielki, lecący po łuku kamień pojawił się na niebie.

Tym razem Satoru nie zatrzymał pocisku; zamiast tego posłał go w innym kierunku. Rozległ się ostry, ostrzegawczy krzyk. Głaz zniknął nam z pola widzenia i z impetem trzasnął w ziemię. Brzmiało to jak eksplozja. Zagruchotały odbijające się od bambusowych pni odłamki. Trochę mnie to zmartwiło; zastanawiałam się, czy to w ogóle możliwe, by odłupane fragmenty doleciały aż tutaj.

– Tym razem zabolalo je znacznie bardziej – powiedział Satoru triumfalnym, acz pozbawionym energii głosem. Najprawdopodobniej osiągnął już granicę swoich możliwości.

– Dobra, zmywajmy się stąd.

Pole bitwy znajdowało się na północy; jeśli wyszlibyśmy z lasu po jego południowej stronie, wojownicy Ziemnych Pająków mogliby wypatrzeć nas z zachodu. Skręciliśmy na wschód i zaczęliśmy przedzierać się przez cienisty zagajnik. Poruszaliśmy się szybko i po cichu, upewniając się stale, że pozostajemy w ukryciu.

Przemykaliśmy między gęstymi kępami bambusów. Grunt był nierówny i usiany pnączami oraz połamanymi łodygami, które blokowały naszą drogę. Gałęzie drapały nas po twarzach i plątały się nam pod nogami. Przebycie nawet niewielkiego dystansu było

wyczerpujące. Kiedy Squealer prowadził nas wcześniej przez las, szliśmy najwyraźniej uprzednio oczyszczoną ścieżką.

– Jest w porządku. Nie martw się. Z pewnością damy radę wrócić do domu.

– Mhm. – Satoru włókł się za mną niemrawo. Ledwie mówił, a jego wzrok był pusty.

Jeszcze tylko trochę. Jeszcze kawałek i się stąd wydostaniemy. Kiedy tylko zdołamy przedrzeć się przez ten bambusowy labirynt, będziemy mogli wrócić na właściwą ścieżkę.

Przystanęłam na chwilę, zastanawiając się, co stało się z Shunem i pozostałymi. Odwróciłam się w stronę Satoru, przytykając palec do ust.

Nawet nie wytyżając specjalnie słuchu dało się usłyszeć dźwięki rozmowy w przeszywająco piskliwej mowie dziwoszczurów.

Położyliśmy się na ziemi i przyczołgaliśmy w kierunku niewielkiego obniżenia terenu. Oplecione uschlłym bluszczem bambusowe łodygi skutecznie kryły nas przed wzrokiem dziwoszczurów, ale martwił mnie ich ostry węch. Miałam nadzieję, że wiatr nie przywieje naszego zapachu w ich stronę.

Nadchodzili żołnierze Ziemnych Pająków. Jeden, drugi... i jeszcze ktoś. Wyglądał na jeńca, jednak był skryty w cieniu i nie mogłam dobrze się mu przyjrzeć.

W okolicy musiało krążyć więcej podobnych patroli. Ta dwójka była zupełnie spokojna, więc musiały być przekonane, że znajdujemy się zupełnie gdzie indziej.

Wstrzymaliśmy oddech, czekając, aż przejdą dalej.

Spojrzałam na żołnierzy przez wąską szczelinę między łodygami. Zwinnie, niczym wijący się wąż, przemykali przez las.

Wreszcie mogłam dobrze zobaczyć więźnia; był prowadzony na sznurku, a ręce miał przywiązane z tyłu do pasa.

To był Squealer.

Wyglądał, jakby mocno go pobito. Jedno oko miał tak napuchnięte, że nie mógł go otworzyć a usta i nos pokrywała

zaschnięta krew. Mimo tego nieustrudzenie się rozglądał i energicznie węszył w powietrzu.

Pomimo tego, że wydarzenia minionej mocy sprawiły, że w pewien sposób trochę się do niego przywiązaliśmy, nie czułam się w obowiązku ryzykować własnym życiem by go ratować. Nakłonił Satoru do bardzo dużej pomocy, a potem, w obliczu wrogiej agresji dał nogę, zostawiając nas samym sobie. Wpadając w ręce nieprzyjaciela dostał to, na co sobie zasłużył.

Żegnaj, Squealerze. Zostaniesz w mojej pamięci.

W myślach już go pożegnałam, lecz on wciąż stał w miejscu. Ziemne Pająki pociągnęły za linę, na której był uwiązany, ale zapiszczał w proteście, nie przestając węszyć.

Zamurowało mnie. Squelaer wpatrywał się wprost w nas. Zaszyliśmy się w krzakach, więc myślałam, że będziemy trudni do wykrycia z miejsca, w którym stał, lecz ewidentnie patrzył nam w oczy przez szczeliny między obalonymi łodygami bambusów.

Niespodziewanie krzyknął, wskazując w naszą stronę.

Zdrajca. Krew zawrzała mi z wściekłości i strachu.

Jeden z zaalarmowanych żołnierzy wyjął nóż, a drugi zdjął z pleców łuk i nałożył strzałę.

– Poczekaj chwilę – odezwał się stojący za mną Satoru.

Wciąż trzymając w dłoni strzałę, dziwoszczur padł na ziemię, jak marionetka, której przecięto utrzymujące ją linki. Jego uzbrojony w maczetę kompan stanął jak wryty. Właśnie wtedy Squealer wypluł ostrze, które jakimś cudem zdołał przemycić w ustach. Chwytnąjąc je w obie dłonie wyłonił się zza pleców pozostałego przy życiu żołnierza i przeciął mu tętnicę szyjną. Krew trysnęła jak z gejzera i dziwoszczur osunął się martwy na ziemię.

Squealer chwycił nóż w zęby i zręcznie przeciął więzy, krepujące jego dłonie.

– Dziękuję wam, bogowie! Dzięki wam zdołałem wywinąć się śmierci.

Nie spuszczałam z oczu z idącego nam na spotkanie Squealera.

– Takie kłamstwa to wszystko, w czym jesteś dobry. Próbowaleś nas wystawić!

– W życiu bym nie pomyślał o czymś takim! To nieporozumienie – odparł Squealer błagalnym tonem. – Gdybym tylko miał okazję, sam poradziłbym sobie z jednym z nich. Bądź co bądź, czy bogowie nie są tak potężni, że ci żołnierze są dla nich zaledwie igraszką?

Zamierzałam zwrócić jego uwagę na stan Satoru, ale ugryzłam się w język.

– Abstrahując od tego, bardzo ubolewam nad faktem, że wzięto mnie za zdrajcę. Nawet gdybym dopuścił się zdrady wobec bogów, nie ma mowy by wróg potraktował mnie łagodnie. Jako dowódcę kolonii Łowików, jedynym, co czekałoby mnie z ich rąk jest śmierć.

– Ale nie możesz zaprzeczyć, że wskazałeś im naszą kryjówkę.

– Przepraszam za to. Ale gdybym tego nie zrobił, to czy nie zostawilibyście mnie na pastwę losu? Nie, to oczywiste, że nie uczynilibyście czegoś takiego, lecz strach o życie wziął nade mną górę.

Squealer trafił w samo sedno, wytrącając mi z rąk argumenty.

– Ale wcześniej po prostu uciekłeś... – próbowałam jeszcze coś mu zarzucić.

– Tak, to prawda. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Nie zasługuję za to na nic, prócz śmierci. Bałem się. Jestem tchórzem. Wobec boskiej potęgi, jestem jedynie plugawym robakiem. Znacząco mniej niż plwocina żuka gnojarka. Jestem wart mniej niż szamocące się w szambie pijawki, ordynarny, odrażający...

– Skończ już – Satoru przerwał litanie samoupokorzenia Squealera. – Ważniejszą kwestią jest to, w jaki sposób się stąd wydostaniemy. – Oparł się o bambusowe tyczki i zamknął oczy.

Martwiłam się o niego. Musiał osiągnąć swój limit już dawno temu, ale skoro został przed chwilą zmuszony do użycia cantusu, oznaczało to, że musi od teraz oszczędzać energię.

– Zgadza się, jednak z jakiegoś powodu Ziemne Pająki zdają się myśleć, że bogowie kryją się po zachodniej stronie lasu i wykorzystują wszystkie siły by otoczyć ten obszar. Z tego powodu uważam, że najbezpieczniejsza droga prowadzi na wschód – powiedział spokojnie Squealer, jak gdyby nic się wcześniej nie wydarzyło.

– Więc na wschodzie nie ma żadnych nieprzyjaciół? – postanowiłam się upewnić.

– W istocie. Wszyscy najlepsi żołnierze skupili się na zachodzie. Ci którzy pozostali po wschodniej stronie to takie same miernoty jak ta dwójka.

Pociemniało mi przed oczami.

– Więc możemy natknąć się na kilku... Jak wielu ich jest?

– Łącznie od stu do stu pięćdziesięciu. Są słabo wyszkoleni i licho uzbrojeni; dla bogów to tak, jakby w ogóle nie istnieli. To będzie jak przechadzka przez niezamieszkałe pustkowia.

Westchnęłam. Nasza sytuacja zdawała się coraz bardziej pogarszać.

– Co powinniśmy teraz zrobić? Jeśli mamy wyruszyć, musimy się spieszyć. Jeśli elitarne jednostki uświadomią sobie, że bogowie nie kryją się na zachodzie i postanowią tu wrócić, znajdziemy się w tarapatkach – powiedział nagle Squealer.

Jakby nie patrzeć nasze zdolności bojowe w tamtym momencie właściwie wcale nie istniały.

– Bogowie.

Zastanawiało mnie, czy ten durny dziwoszczur w ogóle mówi prawdę. Byliśmy w olbrzymim niebezpieczeństwie. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, co może zrobić, kiedy zorientuje się że jesteśmy teraz praktycznie bezużyteczni.

– Bogowie.

– Zamilcz na chwilę!

– Ależ bogowie, nadciąga najgorsze! – wydusił Squealer. – Wygląda na to, że od zachodu zbliża się duża liczba żołnierzy. Czyżbyście planowali przedrzeć się przez ich szyki?

Spojrzałam na zachód. Nie słyszałam odgłosów maszerujących oddziałów, ale nie wyglądało też na to, że Squealer zmyśla. Mógł mieć rację, jako że słuch dziwoszczurów był znacznie czulszy od ludzkiego.

– Co teraz zrobimy...?

– Jak najszybciej ruszajmy na wschód. Jeśli będziemy musieli stanąć do boju, to nie muszę tłumaczyć, że ta walka będzie łatwiejsza.

– Ćśśś. Bądź cicho – uciszyłam go.

Usłyszałam to. Squealer nie kłamał. Wiatr niósł ulotne dźwięki rąbania i kroków. Było jasne, że cicho i ostrożnie przemieszczające się oddziały nie mają dobrych zamiarów.

– Bogowie, nie ma czasu! Musimy uciekać! – nalegał Squealer, ruszając na wschód.

Zachowując ostrożność, bezszelestnie przedostaliśmy się do widocznej za bambusowym lasem polany. Natknęliśmy się tam jednak na coś znacznie bardziej przerażającego.

To był patrol Ziemnych Pająków. Było ich siedem lub osiem; po prostu kręciły się bez celu. Nie zauważyły nas jeszcze, lecz gdybyśmy szli dalej, nie uniknęlibyśmy spotkania z nimi twarzą w twarz.

– Bogowie, proszę, pozbądźcie się ich. Najlepiej najciszej jak się da.

Spojrzałam na Satoru, który wolno pokiwał głową. Nie miał dość energii, by to zrobić.

– Bogowie, co robicie? Bogowie? – pytał nerwowo Squealer. – Nie ma czasu na zastanawianie się! Jeśli teraz nie uciekniemy, dopadną nas zbliżające się od tyłu oddziały. – Jego głos przybrał nieprzyjemną barwę. – Czy to możliwe, że... – W jego oczach pojawił się dziwny błysk, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. – Że nie jesteście już bogami?

Czas zamarł. Utkwiłam wzrok w Squealerze.

Głośny gwizd przerwał lodowatą ciszę. Jakbyśmy zostali uwolnieni z jakiejś klątwy, zaczęliśmy rozglądać się wkoło.

– Co to był za dźwięk?

Usłyszałam go ponownie. Tym razem dobiegał z innej strony, jak sygnał przekazywany między górskimi szczytami.

– Bogowie, bogowie! – Squealer wprost szalał z radości. – Dobrze wieści! Kroki cichną. Oddział idący z zachodu zawraca!

– Dlaczego? – Moje zdziwienie było chyba nawet większe od ulgi.

– Przybyła odsiecz! To był dźwięk muszli należących do Olbrzymich Szerszeni! Nie musimy się już niczego obawiać. Olbrzymie Szerszenie są największą kolonią w Kanto, dysponują ponaddwudziestotysięczną armią. Zmiażdżą Ziemne Pająki w mgnieniu oka.

Zanim zdążyłam się zorientować, patrol Ziemnych Pająków gdzieś się ulotnił. *Czy naprawdę jesteśmy ocaleni?* Rzuciłam Satoru przelotne spojrzenie, lecz na jego twarzy nie ujrzałam nawet cienia ulgi ani szczęścia.

Kolonia Olbrzymich Szerszeni nie wygrała tylko dzięki przewadze liczebnej; przyczyniła się do tego też ich zaciekłość w boju.

Ich żołnierze najpierw zaczęli strzelać z dystansu, a gdy tylko skończyły im się strzały, natarli dziko na wroga, przechodząc do walki w zwarciu. Oddział lekkobrojnych dziwoszczurów z łatwością przebił się przez zwartą falangę, rozciągając między nieprzyjaciółmi coś w rodzaju sieci. Wtedy Olbrzymie Szerszenie przebiły unieruchomione Ziemne Pająki tyłoma włóczniami, że ich ciała zaczęły przypominać jeżowce.

Wojownicy zwykłego wzrostu przypuścili szturm na trzymetrowe mutanty. Uwieszali się zębami na wrogach, po czym siekali ich długimi mieczami. Nieważne, z jak bardzo wynaturzonymi

monstrami przyszło im się mierzyć; Olbrzymie Szerszenie bez trudu pokonały wszystkich wrogów.

– Główne siły przeciwnika zostały unicestwione. Teraz pozostało jedynie pojmanie królowej – powiedział spokojnie Kiroumaru, dowódca wojsk Olbrzymich Szerszeni, podsumowując bitwę. – Wyglądają tak odmiennie, że trudno jest mi nawet uznać ich za mój własny gatunek, ale koniec końców okazało się, że ten monstrualny wygląd jest mylący. Nie byli godnymi przeciwnikami.

– Czy to nie jest zbyt lekceważące podejście? – wtrącił się Squealer.

– Och, tak? Co masz na myśli? – Kiroumaru spojrzał w dół na Squealera, który był od niego niższy o dobre dwie głowy.

Ludzkie imiona nadawano tylko tym dziwoszczurom, które wykazały się wybitnymi zdolnościami i osiągnięciami. Łącznie we wszystkich koloniach takie imiona nosiła mniej niż dwudziestka dziwoszczurów. Oczywiście dowiedziałam się o tym dopiero dużo później, ale od razu dało się dostrzec, że Kiroumaru odznacza się ponadprzeciętną prezencją. Przewyższał nas wzrostem, i, nie licząc królowej i mutantów-katapult, był najwyższym dziwoszczurem jakiego spotkałam. Jego pociągła twarz i skośne ślepie nadawały mu wilczego wyglądu, tak dobrze pasującego do imienia.¹ Miał przymrużone oczy, przez co wydawało się, że się uśmiecha, jednak taki sam wyraz gościł na jego obliczu również wtedy, gdy podrzynał gardła przeciwnikom. Wszystkie Olbrzymie Szerszenie miały wytatuowane ciała i twarze. Większość z tych tatuaży była zwykłymi paskami wymalowanymi ma policzkach, jednak Kiroumaru był pokryty od oczu po czubek nosa skomplikowaną mozaiką wzorów, która jeszcze bardziej urozmaicała jego i tak niecodzienny wygląd.

– Wojownikom Olbrzymich Szerszeni z pewnością nie brak odwagi i determinacji, jednak odnieśliście tak łatwe zwycięstwo nad Ziemnymi Pająkami dlatego, że bogowie wcześniej ich osłabili.

¹ Drugie kanji w imieniu Kiroumaru (奇狼丸) oznacza wilka.

Gdyby oddział katapultowy pozostał nietknięty i w pełni sprawny do walki, byłby dla was dużym zagrożeniem.

– Oddział katapultowy nie był niczym nadzwyczajnym – odparł pogardliwie Kiroumaru. – Nie widziałem wcześniej takich dziwnych stworów, ale katapult od zawsze używa się podczas oblężeń. Ich łucznicy z kolei byli tylko mięsem armatnim; podczas walki w zwarciu dosłownie wdeptaliśmy ich w ziemię.

– Wciąż twierdzą, że takie podejście jest...

– Jesteś zwykłym cywilem i nie rozumiesz praw, którymi rządzi się wojna. Dlatego też puszczę twoją przesadną drobiazgowość mimo uszu. – Kiroumaru obrzucił nas chłodnym spojrzeniem. – Jednakże, nieroztropna taktyka Ziemnych Pająków rzeczywiście mogła wynikać z obecności bogów, podobnie jak ich głupi pomysł rozmieszczenia wszystkich sił na przedzie, bez należytego zabezpieczenia tyłów. Ja, Kiroumaru, dziękuję i jestem wam niezmiernie wdzięczny.

– Nie ma za co – odparłam krótko. Chciałam odwzajemnić podziękowania, ale coś mnie powstrzymało.

Wtedy właśnie nadbiegł goniec i odezwał się w języku dziwoszczurów.

– Gniazdo zostało odnalezione – oznajmił Kiroumaru, kiwając głową z satysfakcją.

– Co? T-to wspaniale... – Squealer wyglądał, jakby miał coś ważnego do powiedzenia.

Kiroumaru zignorował go jednak i zwrócił się w naszą stronę. – Muszę zająć się przeglądem zdobyczy. Pójdziecie ze mną?

Chciałam odmówić, lecz Satoru, który cały czas miał zamknięte oczy, odparł, że chętnie się z nim udamy.

– Czy możemy więc ruszać? Poprowadzę was.

Podążyliśmy za Kiroumaru poza obóz. Wszyscy żołnierze kłaniali mu się, gdy cicho kroczył między nimi.

– Dlaczego z nim idziemy? – spytałam szeptem Satoru.

– Nie możemy okazać przed nim żadnej słabości.

Satoru ponownie zamknął oczy. Wydawało się, że samo utrzymywanie przytomności jest dla niego olbrzymim wysiłkiem.

– Ale Olbrzymie Szerszenie są najbardziej lojalną ze wszystkich kolonii. Czemu musimy być tak ostrożni? – spytałam, mimo że sama miałam w stosunku do Kiroumaru trochę wątpliwości.

– Powinniśmy być ostrożni właśnie dlatego, że są tak lojalni.

– Co masz na myśli?

– Ciężko to teraz wytłumaczyć... – Satoru zmarszczył brwi. – Spójrz, od zeszłej nocy nieprzerwanie balansujemy na granicy życia i śmierci, racja?

– No tak.

– Mogę się jednak założyć, że nie byliśmy jednak jeszcze w tak niebezpiecznej sytuacji, jak teraz.

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Po głowie krążyły mi setki pytań, na które chciałabym usłyszeć odpowiedź. Odwróciłam się z powrotem w kierunku Kiroumaru.

– Widzicie? Wejście do ich gniazda jest idealnie na wprost nas.

Nie dało się go nie zauważyć. W pochyłej ścianie ziała dziura tak duża, że zmieściłby się w niej nawet słoń. Nieopodal widniały ślady po wykopanych z korzeniami drzewach, które uprzednio maskowały wrota.

– Ale czy po drugiej stronie nie ma wielu tylnych wyjść? Królowa mogła wydostać się jakimś ukrytym tunelem, prawda?

Kiroumaru uśmiechnął się. – Nie ma powodów do obaw. Pierwszym, co zrobiliśmy, było zablokowanie pozostałych wejść tak, by zmusić królową do skorzystania z tego. Będzie próbowała uciekać, nie czując respektu przed mocą bogów. Co ważne, kwatery królowej są uważane za święte miejsce i nie biegnie przez nie zbyt dużo korytarzy.

– No to gdzie teraz znajduje się królowa?

– W komnacie na najniższym poziomie gniazda.

Z gniazda zaczęli wychodzić liczni żołnierze Olbrzymich Szerszeni. Niektórzy z nich nieśli coś delikatnie w ramionach.

– Czy to są...? – Poznałam odpowiedź na swoje pytanie, nim jeszcze skończyłam je zadawać.

To były nowonarodzone dziwoszczury.

– Wewnątrz gniazda odnaleźliśmy wiele wylęgarni. Wszystkie te młode są dziećmi królowej Ziemnych Pająków.

– Ale dlaczego...?

Uśmiech satysfakcji na twarzy Kiroumaru był dość odrażający. – To nasze drogocenne zdobycze wojenne. W przyszłości staną się główną siłą roboczą naszej kolonii.

Jeden z żołnierzy podał noworodka Kiroumaru. Malec nie otworzył jeszcze oczu i machał bezradnie przednimi łapkami, jakby chciał coś dosięgnąć. Różowa skóra sprawiała, że był znacznie bardziej podobny do szczura niż dorosłe osobniki jego gatunku.

Przypomniały mi się słowa Squealera.

Dokonuje się egzekucji królowej, a pozostali mieszkańcy kolonii stają się niewolnikami. Do końca życia traktowani są gorzej niż śmieci, a gdy umrą, ich zwłoki pozostawia się niepochowane by zgniły i użyźniły glebę pól uprawnych.

Te maluchy czekała bardzo smutna przyszłość. Pomimo tego, że dziwoszczury prawie dorównywały ludziom inteligencją, ich natura wciąż była bardziej zbliżona do mrówczej. *Dlaczego tak spaczony gatunek zwierząt w ogóle chodzi po świecie?* To pytanie nie przestało mnie dręczyć przez całą następną noc.

Squealer, cały czas trzymający się za naszymi plecami, podszedł do Kiroumaru i zaczął coś do niego mówić. Używał języka dziwoszczurów, więc nie zrozumiałam z tego ani słowa.

– Jesteśmy w obecności bogów, mów po japońsku – syknął Kiroumaru.

– Och, bardzo was przepraszam, bogowie. Po prostu jako przedstawiciel kolonii Łowików bronię swoich praw. – powiedział Squealer, wielokrotnie się kłaniając.

– Twoich praw? – Kiroumaru uśmiechnął się z politowaniem. – Dlaczego twierdzisz, że przysługują ci jakieś prawa?

– Czy to nie oczywiste? Kolonia Łowików stała się pierwszą linią obrony przed niebezpiecznymi najeźdźcami i powstrzymywała ich, dopóki nie nadeszła pomoc. W wyniku brutalnych i tchórzliwych ataków wroga straciliśmy jednak przez ten czas wielu żołnierzy. Każda inna kolonia ucierpiałaby tak samo będąc na naszym miejscu. Czy Łowikom, które były barierą ochronną dla innych kolonii, nie należy się zapłata za ich wysiłki? – zapytał Squealer z graniczącą z płaczem gorliwością.

Nie miałam pojęcia co chce w ten sposób osiągnąć.

– Hm. Co za bzdury. – Kiroumaru dostrzegł dezorientację w moim wzroku. – Niech będzie. Wymarcie nawet tak małej kolonii jak wasza byłoby nieodżałowaną stratą. – powiedział. – Za swój wkład dostaniecie dwie setki dorosłych i trzy setki młodych. To wszystko.

– Dziękuję! Będę mógł z dumą złożyć raport królowej! – wykrzyczał Squealer, bijąc pokłony Kiroumaru. – Dwustu niewolników i trzy setki dzieci wystarczą do odbudowy naszej kolonii, Jestem tak głęboko wdzięczny, że brak mi słów...!

– Cóż, oczekuję, że spłacie swój dług, gdy nadejdzie odpowiedni czas. – W oczach Kiroumaru pojawił się przerażająco chłodny błysk.

Przed wejściem do gniazda powstało zamieszanie. Żołnierze uzbrojeni we włócznie ruszyli na pomoc grupie swoich pobratymców, która wybiegła z wewnątrz.

– Och, najwyraźniej kilku z nich wciąż ukrywa się w środku – powiedział Kiroumaru dość radosnym głosem.

Z gniazda powoli wyłonił się rosty dziwoszczur. Wzrostem dorównywał prawdopodobnie Kiroumaru. Gdy tylko ujrzałam jego głowę o kształcie młota i skórzaną zbroję, na którą zarzucił pelerynę, przypomniało mi się, że już go widziałam. To był ten sam żołnierz Ziemnych Pająków, któremu Kapitan Szyszka składał swój raport.

Sądząc po uległej postawie Kapitana Szyszki w stosunku do niego, Młotogłowy musiał być najwyżej postawionym z dowódców.

Gdy tak stał i spokojnie rozglądał się wkoło, jego wzrok padł w pewnym momencie na nas. Szeroko rozłożył ramiona, chcąc dać do zrozumienia, że nie jest uzbrojony i powiedział coś zdumiewająco łagodnym tonem.

– Hm – fuknął Kiroumaru.

– Co on powiedział? – spytałam.

– Mówi w swoim dialekcie, więc nie zrozumiałem wszystkiego. Nasz język różni się w zależności od kraju i regionu. W każdym razie, chce, byśmy oszczędzili królową, jeżeli się poddadzą.

– Zgodzicie się?

– Nie ma mowy. – Kiroumaru zmrużył oczy. – Sam pomysł poddania się w tym momencie jest kompletnie niedorzeczny a darowanie życia królowej po wojnie między koloniami jest po prostu niemożliwe. Nawet taki idiota jak on powinien to wiedzieć.

Młotogłowy nie przestawał mówić.

– Pragnie przeprowadzić z nami naradę. Twierdzi, że chcą wymienić ważne informacje za życie królowej. No cóż, póki co możemy przekonać się, co ma do powiedzenia.

Możliwe, że oficer Ziemych Pająków wiedział coś o Shunie i pozostałych. Gdy o tym rozmyślałam, coś wyszło z gniazda i schowało się za peleryną Młotogłowego. Kiroumaru natychmiast się zatrzymał, lecz gdy zobaczył, że to, co wypełzło z nory tylko wygląda nieśmiało zza olbrzymiego dziwoszczura, odprężył się i ruszył dalej.

Gdyby ktoś nie wiedział, czym w rzeczywistości są te stwory, z pewnością wzięłyby je za dwa duże psy. Miały potężne cielska pokryte czarną szczecinią i osobliwie małe łby, które trzymały zaraz nad ziemią.

– Bombopsy...! – próbowałam krzyknąć, lecz z moich ust wydobył się jedynie ochryply szept.

Kiroumaru znajdował się nie więcej jak sześć lub siedem metrów od Młotogłowego.

Nagle ujrzałam przed oczami scenę śmierci Rijina. Była tak żywa, że wydawało mi się, że dzieje się to w tej chwili.

Bombopies nadał się. Spomiędzy szorstkiego włosa zaczęły prześwitywać pasma białego światła. Jeśli to ostrzeżenie zostałoby zignorowanie, nadał by się jeszcze jeden, ostatni raz. Tuż przed śmiercią wyrzucił oczami, ukazując ich białka, a z pyska, na którym malowała się trudna do opisanie ekstaza, zaczęła skapywać ślina. Gdy nabrzmiał do granic swoich możliwości, jego skóra stała się tak naciągnięta i cienka, że w kilku miejscach stała się półprzezroczysta. We wnętrzu bombopsa tańczyły małe, błękitne i białe iskielki. Udało mi się wtedy po raz pierwszy ujrzeć dokładnie moment zapłonu zgromadzonego w jego ciele wybuchowego prochu.

Właśnie wtedy nastąpiła eksplozja.

Pokrywająca plecy skóra została rozerwana na miliony fragmentów, a głowa, wciąż ozdobiona uśmiezkim Kota z Cheshire została wyrzucona w dal przez siłę wybuchu. Fala uderzeniowa wzbila w powietrze olbrzymie obłoki kurzu, które w zastraszającym tempie zwiększały swoją objętość. Ostre odłamki kości bombopsa wbiły się w Rijina, rozrywając jego ciało na strzępy jak olbrzymia szatkownica

Powróciłam do rzeczywistości. Wydawało mi się, że minęły dwie lub trzy minuty, jednak w rzeczywistości upłynęła jedynie jedna, może dwie sekundy.

Bombopsy skoczyły przed Młotogłowego. Kiroumaru ponownie się zatrzymał; cofnął się nieznacznie, wyczuwając niebezpieczeństwo. Jego honor dowódcy sprawił jednak, że zrobił to sekundę za późno.

Bombopsy pominęły zupełnie swoje typowe ostatnie ostrzeżenie i od razu zaczęły się nadymać w celu eksplozji

– Satoru! – krzyknęłam, chwytając go mocno za ręce.

Otworzył oczy.

Wszystkie dźwięki umilkły a całe otoczenie zdawało się spowolnić. Czas rozciągał się jak guma, zupełnie jak we śnie.

Bombopsy napuchły do rozmiarów dwóch olbrzymich kul. Na ich sierści uwidoczniły się ostrzegawcze białe linie.

Za chwilę musiał nastąpić wybuch... A przynajmniej tak mi się wydawało.

Ułamek sekundy przed nieuniknioną eksplozją, Satoru zdołał ją powstrzymać, wykorzystując cantus. Jeden z bombopsów został wessany z powrotem do wnętrza gniazda. Na odesłanie w kierunku wejścia drugiego z nich zabrakło czasu; w momencie, w którym spróbował on wysadzić się powietrze, jego ciało zostało ściśnięte potężną mocą. Walka dwóch przeciwstawnych sił trwała krócej niż mgnienie oka.

Bombopies skulił się w dziwny sposób, jakby zacisnęła się na nim niewidzialna dłoń i po chwili implodował.

Skierowana na zewnątrz eksplozja uległa odbiciu i skupiła się na zwierzęciu, jednak po chwili zrykoszetowała, nabierając jeszcze większej mocy.

Zastanawiam się, co mogłoby się stać, gdyby Satoru spróbował stłumić również tę drugą falę. Siła wybuchu jest tym większa, im większej hamującej ją mocy jest w stanie się przeciwstawić. Gdyby eksplozja przełamała potęgę cantusu, nikt nie uszedłby z życiem.

Na szczęście Satoru zrobił coś innego. Stworzony przezeń obraz olbrzymiej dłoni uchronił nas przed śmiercią. Skupiona wiązka energii wystrzeliła ze szczeliny między jej kciukiem i palcem wskazującym.

W tym samym momencie powietrze rozdarła eksplozja pierwszej z czarnych żywych bomb, która została wcześniej wepchnięta do gniazda. Z nieba posypały się ogromne ilości ziemi, wyrwanej ze sklepienia nory przez falę uderzeniową.

Na sekundę przed tym jak dotarł do nas impet wybuchu, zebrałam w sobie wszystkie pozostałe siły i rzuciłam nieprzytomnego już Satoru na ziemię.

Podczas gdy czekaliśmy, aż wszystko się uspokoi i opadnie pył, bezwiednie przypominałam sobie grymas satysfakcji, jaki zagościł na pysku bombopsa, tuż przed tym jak wysadził się w powietrze i, zupełnie nieracjonalnie, zawyrokowałam w myślach, że musiał to być samiec.

Gniazdo stało się gigantycznym grobowcem.

Wyciągane ze środka przez żołnierzy Olbrzymich Szerszeni ciała były pokryte rozległymi ranami. Oczywiście nie pozostał wśród nich nikt żywy. Odłamki kości bombopsa nie mogły przedostać się przez kręte, rozgałęzione tunele, więc najpewniej powodem ich śmierci była szybsza od dźwięku fala uderzeniowa eksplozji.

Nagle wśród odkopujących zawalone korytarze dziwoszczurów podniosła się wrzawa. Jeden z nich wybiegł na zewnątrz, cały rozentuzjasmowany.

– Odnaleziono ciało królowej – oznajmił Kiroumaru po wysłuchaniu meldunku żołnierza.

Sam został poważnie ranny w wybuchu; owinięte wokół jego pleców i ramion bandaże zabarwiły się na czerwono od krwi. Niebo zasnuwała chmara much krążących nad górą wydobytych ciał; natrętne owady gromadziły się również przy Kiroumaru.

– Pójdę ją zobaczyć – powiedział, spoglądając na leżące u jego stóp zmasakrowane ciało. Tylko dzięki ocalałym skrawkom peleryny dało się rozpoznać w nim Młotogłowego. Miał zamiar zabrać Kiroumaru ze sobą do grobu. Kiroumaru zdeptał pogardliwie zwłoki i poszedł zająć się swoimi obowiązkami. Chodzenie z pewnością sprawiało mu ból, jednak większym, dużo trudniejszym do zniesienia cierpieniem był dla niego gniew i żal po spowodowanej jego własnym zaniedbaniem stracie wielu żołnierzy.

Spojrzałam na nieprzytomnego Satoru. Nie wyglądało na to, by został ranny a jego oddech był miarowy. Pomyślałam, że jeżeli odpocznie kilka minut, wszystko będzie z nim w porządku.

– Mogę iść z tobą?

Pierwszy raz od eksplozji na twarzy Kiroumaru zagościł jego typowy, niepokojący uśmiech. – Nie polecałbym tego, naprawdę.

– Proszę, mnie też zabierz ze sobą – zawtórował mi Squealer, nie zważając na ostrzeżenie Kiroumaru. Wyglądało na to, że przetrwał wybuch, nie odnosząc poważniejszych obrażeń.

Fala uderzeniowa sprawiła, że duża część gniazda uległa zawaleniu. Stanęliśmy nad największą szczeliną w ziemi. Spojrzałam w dół i westchnęłam.

– Czy to naprawdę królowa? – spytałam.

Kiroumaru skinął głową. – Królowa musi urodzić ogromną liczbę młodych, więc naturalnie jej ciało musi być odpowiednich rozmiarów. Mimo tego, nie wydaje mi się, by którakolwiek z królowych żyjących na naszej ziemi dorównywała jej wielkością.

Podźwignięcie jej na powierzchnię wydawało się niemożliwe. Nieważne z której strony by się jej nie przyjrzeć, była mniej więcej tak duża jak średnich rozmiarów wieloryb. Największą część jej masy wydawała się stanowić macica, zaś jej głowa była nedorzecznie mała w stosunku do ciała.

– Wracajmy – powiedział Kiroumaru, wydając szybkie rozkazy pracującym w dole żołnierzom.

Dziwoszczury wspólnymi siłami dźwignęły królową i odwróciły ją na grzbiet, tak, że mogliśmy zobaczyć jej zeszywniałą twarz. Przypominała królową Łowików, lecz była znacznie szkaradniejsza. Jej długie na dziesięć centymetrów zęby były obnażone, jakby zmarła podczas napadu szału.

Jeszcze bardziej szokujący był wygląd jej nienaturalnie wydłużonego tułowia. Sterczały z niego niezliczone sutki, którymi mogła karmić wiele młodych jednocześnie, jednak poza nimi zauważyłam też ogromną liczbę odnóży, podobnie jak u gąsienicy czy minoshiro.

– Dlaczego ona ma aż tyle nóg...? – zapytałam.

– To nie do pomyślenia... Co za okropność – wykrztusił Squealer. – To absolutnie niewybaczalne.

– Przecież wiedzieliśmy już, że ich żołnierze są kompletnie zdeformowani, a ty i tak jesteś zdziwiony, że królowa też jest mutantem?

– Mutantem? Ale jak...?

– Królowa nie może taka być! To ona tworzy mutanty! Ta królowa została wypaczona przez swoją poprzedniczkę, która ją urodziła! – wrzeszczał Squealer.

– Hę? Więc...?

Kiroumaru łypnął złowrogo na Squealera, który wychodził z siebie z wściekłości.

Squealer wzdrygnął się i zamilkł.

– Przepraszam, nie wolno mi tego tobie wyjaśnić. – Kiroumaru zwrócił się w moją stronę i pokłonił się.

– Dlaczego? Jestem przecież boginią!

– Rozumiem. Wcześniej ocaliliście mi życie i nie zapomnę tego aż do śmierci, jednakże Komisja Etyki zabroniła nam dzielenia się z młodymi bogami jakąkolwiek wiedzą, która mogłaby im zaszkodzić.

Wyglądało na to, że nie wyciągnę z nich więcej informacji; zaniechałam więc dalszej dyskusji i wyszłam na zewnątrz, wracając do Satoru. Kiedy opuszczałam gniazdo, Kiroumaru wydawał żołnierzom rozkazy, tłumacząc im, w jaki sposób mają wynieść ciało królowej. Ciekawiło mnie, do czego są im potrzebne jej zwłoki, ale obawiałam się odpowiedzi, którą mogłabym usłyszeć. Nagle poczułam takie zmęczenie, że poczułam się, jakbym za chwilę miała się przewrócić. Miałam już w nosie wszystkie te dziwoszczury. Nie obeszłoby mnie nawet gdyby powybijały się nawzajem.

Wkrótce zostaliśmy zaprowadzeni do obozowiska Olbrzymich Szerszeni. Satoru nie obudził nawet będąc niesionym przez dwójkę dziwoszczurów.

Rzuciłam się na posłanie z miękkiego siana i błyskawicznie zasnęłam.

Od poprzedniego dnia nie mieliśmy nawet chwili wytchnienia od niebezpiecznych sytuacji. Teraz jednak byliśmy bezpieczni. *Wracamy do domu. Kiroumaru będzie nad nami czuwał dopóki nie dostaniemy się do miejsca ukrycia kajaków, a potem już sami popłyniemy w dół rzeki.* Spojrzałam na leżącego obok mnie Satoru, pogrążonego

w cichym śnie. Już się nie martwiłam; nawet gdyby się nie obudził, dostarczyłabym go do domu.

Kiedy pomyślałam o Marii, Shunie i Mamoru, poczułam się, jakby moja klatka piersiowa była zrobiona z ołowiu. Chciałam wierzyć, że nic im nie jest, ale w świetle wszystkich przeciwności czoła, którym musieliśmy wraz z Satoru stawić czoła, trudno było o optymizm. Jeśli okazałoby się, że ich kajaki pozostały w kryjówce, musiałabym prosić Kiroumaru by zaczął szukać moich przyjaciół.

To mogło jednak poczekać do chwili, gdy się obudzę. Zagrożenie ze strony Ziemnych Pająków zostało zażegnane. Jeśli ich trójka nadal była w jednym kawałku, nie powinni już napotkać żadnych niebezpieczeństw. Ta myśl pozwoliła mi się wreszcie odprężyć.

Nie mogłam już dłużej walczyć ze snem. Świat powoli pogrążył się w ciemnościach.

Tuż przed zaśnięciem, usłyszałam w myślach niosący się echem głos Satoru.

Spójrz, od zeszłej nocy nieprzerwanie balansujemy na granicy życia i śmierci, racja?

– No tak.

– Mogę się jednak założyć, że nie byliśmy jednak jeszcze w tak niebezpiecznej sytuacji, jak teraz.

Czym dokładnie miało być to niebezpieczeństwo? Czy Satoru nie jest po prostu przewrażliwiony?

Ponownie zaczęłam się martwić, jednak zmęczenie było już tak duże, że wzięło nade mną górę.

Zapadłam w głęboki sen.

Rozdział 7

Kiedy otworzyłam oczy, w pokoju było już ciemno.

Wszystko, co się do tej pory wydarzyło wydawało mi się sennym marzeniem. Wszyscy byli razem. Tata. Mama. Satoru. Shun. Maria. Mamoru. Nie potrafiłam sobie dokładnie tego przypomnieć, ale możliwe, że był też ktoś jeszcze.

To była scena rodzinnego obiadu. Stół jadalny został jednak zastąpiony polem, na którym przeprowadzano turniej w toczeniu kuli. Satoru i ja znajdowaliśmy się przy jego bocznej krawędzi i próbowaliśmy zmusić popychaczy do ruchu, wykorzystując swój cantus. Drużyna przeciwna stała w cieniu, więc nie potrafiłam powiedzieć, kim są. Z ziemi wyłoniły się niezliczone wrogie figury, które zaczęły na nas nacierać. Przemieszczały się na ślepo, nie wiedząc, gdzie znajduje się cel.

Wróg ścigał nas nieustępliwie, zdobywając coraz więcej pola i spychając nas coraz bardziej i bardziej do tyłu. Byliśmy pomału zapędzani w róg. Niedługo mieliśmy zostać całkowicie otoczeni.

Kiedy byłam już przekonana, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, najbliższa z wrogich figur z donośnym hukiem wyleciała w powietrze. Później to samo stało się z następną, a potem z kolejnymi, jakby był to jakiś rodzaj reakcji łańcuchowej.

Bez wątpienia była to sprawka Satoru. Jawne łamanie zasad. Nie, to było nawet coś więcej...

Nagle uświadomiłam sobie, że figury przeciwników mają kształt dziwoszczurów. Próbowałam uciekać w panice, ale okazało się, że bez zabicia ich wszystkich, odwrót jest niemożliwy.

Wpatrywałam się tępo w Satoru.

Część jego twarzy była ukryta w cieniu i nie mogłam dostrzec jego oczu. Jego usta zdawały się jednak układać w nieznacznym uśmiech.

Obudziłam się z bijącym dziko sercem.

Przypomniałam sobie wtedy, gdzie się znajduję. Wszystkie ślady po śnie zostały natychmiastowo zmiecione przez obawy, które

dręczyły mnie na jawie. Zastanawiałam się, jak długo spałam. Jeśli intuicja Satoru go nie myliła, wciąż byliśmy w niebezpieczeństwie.

Gdy wyteżyłam słuch, nie usłyszałam żadnych odgłosów poza oddechem Satoru.

Zorientowałam się, że coś leży obok mojej poduszki. Dwie miski na drewnianej tacy. Podniosłam jedną, ale nie potrafiłam stwierdzić, czym jest jej zawartość. Powąchałam potrawę i wyczułam ulotną woń miso. W tym momencie zaburzało mi głośno w brzuchu. Gdy o tym pomyśleć, nie jadłam nic od obiadu poprzedniego dnia.

Nigdzie nie było pałeczek, lecz zamiast nich znalazłam coś wyglądającego jak wystrugany topornie z bambusa liść lotosu. Zawahałam się przez sekundę, po czym zanurzyłam go w misce i przybliżyłam do ust. Nie miałam pojęcia, co jem, więc ostrożnie smakowałam potrawę. Była wyjątkowo mdła, jak owsianka bez żadnych dodatków, jednak zanim sobie to uświadomiłam, pałaszowałam łapczywie zawartość naczynia.

Po chwili miska była już pusta.

Wciąż byłam głodna. Spojrzałam chciwie na drugą z misek; to była porcja Satoru, ale jeśli miał zamiar cały czas spać, i tak nie miałby z niej dziś żadnego użytku.

Nie miałam oczywiście zamiaru podkraść mu jedzenia; połowiczne nasycenie głodu było jednak jeszcze trudniejsze do zniesienia niż zupełny brak pożywienia.

Próbowałam obudzić Satoru, pomimo świadomości, że powinnam pozwolić mu po prostu się wyspać. Mówiąc zupełnie szczerze, chciałam szarpać nim tak długo, aż się obudzi, i, gdy dowie się, że przyniesiono nam pokarm, powie, że nie chce swojej porcji, bym mogła zjeść ją za niego.

Potrząsnęłam go za ramię, ale nie odniosło to skutku; spał twardo jak kamień. Bez niczyjej pomocy powstrzymał eksplozję jednego z bombopsów, a drugiego odrzucił głęboko do gniazda. Ponadto już wcześniej był wyczerpany i z pewnością nie był na siłach,

by używać cantusu. Gdyby nie zdołał zebrać się na ten ostatni wysiłek, z pewnością wszyscy zginęlibyśmy w wybuchu.

Poczułam nagle silne ukłucie wstydu i przestałam nim potrząsać.

Zaczęłam się martwić. Zachodziłam w głowę, czy forsując ciało i umysł ponad możliwości, nie uszkodziłam sobie trwale mózgu. W dodatku mógł to być równie dobrze skutek uboczny prowizorycznej hipnozy, w którą go wprowadziłam, żeby przywrócić mu cantus.

Satoru cicho jęknął. Nie widziałam wyraźnie jego twarzy, ale zdawało mi się, że pojawił się na niej grymas bólu.

Pochyliłam się nad nim i delikatnie go pocałowałam. Uśmiechnął się nieznacznie. Jego oczy zabłyszczały, gdy dotarło do nich światło. Nie był to co prawda pocałunek księcia z bajki, ale najwyraźniej odniósł identyczny efekt.

– Saki... Jak długo tu byłem? – spytał ochryple.

– Nie wiem. Na zewnątrz jest już ciemno.

Satoru powoli się podniósł. – Jest tu coś do jedzenia?

Podaliśmy mu miskę. – Skąd o tym wiedziałeś?

Położył swój palec na moich ustach. Więc to nie pocałunek księżniczki obudził księcia; zadziałał tak pozostały na mych wargach aromat jedzenia. Satoru musiał być naprawdę wygłodniały, bo opróżnił swoją miskę jeszcze szybciej niż ja. Wyglądał jakby miał zamiar wylizać pozostałe na dnie resztki, ale zauważył, że mu się przyglądam.

– Hej, uważasz, że cały czas jesteśmy w niebezpieczeństwie? – Zadałam pytanie, które najbardziej mnie gnębiło.

– Tak – odparł bez zastanowienia.

– Ale co to za zagrożenie? Ziemne Pająki zostały zglądzone...

Satoru ponownie przyłożył mi palec do ust.

– Czy na zewnątrz są strażnicy? – spytał.

Mówiąc szczerze, nawet o tym nie pomyślałam. Spaliśmy jak kłody w jednym z pomieszczeń obozowiska Olbrzymich Szerszeni.

To była prosta ziemianka, pokryta dachem z łodyg bambusa. Jedyne wyjście zakrywała zwisająca z sufitu słomiana kotara.

Pomału się do niej przyczołgałam i wyjrzałam na zewnątrz. Były tam. Dwa odziane w zbroje dziwoszczury stały na warcie. Bezgłośnie odpełzłam z powrotem w głąb pokoju.

– Stoją tam.

Po usłyszeniu tej odpowiedzi, Satoru przysunął się bliżej mnie.

– Jeśli to niscy rangą żołnierze, prawdopodobnie nie rozumieją zbyt dobrze japońskiego – wyszeptał mi do ucha. – Dla pewności jednak porozumiewajmy się szeptem.

Poczułam, jak łaskocze mnie jego oddech. Zbliżyłam usta do jego ucha.

– Ale czemu mamy być tacy ostrożni? Olbrzymie Szerszenie to...

Przypomniało mi się, że tuż przed zaśnięciem myśli zaprzątnęło mi to samo pytanie.

– Masz rację. Są najbardziej lojalną w stosunku do ludzi kolonią – wyszeptał. – To jednak nie znaczy, że są lojalni w stosunku do nas. Kiroumaru i jego żołnierze są bezgranicznie posłuszni dorosłym, racja?

– No i...?

– Oznacza to, że w ostatecznym rozrachunku najważniejsze są dla nich instrukcje od Komisji Etyki – wypalił.

– Myślisz, że Komisja rozkaże im zrobić nam coś złego?

Poczułam jak jego dłoń zaciska się mi na ramieniu.

– Spotkaliśmy fałszywego minoshiro i usłyszeliśmy o rzeczach, o których nie powinniśmy wiedzieć.

– Ale to jest...!

– Ćśśś. Nie tak głośno. – Satoru zamilkł na chwilę, wpatrując się uważnie w drzwi. – Przyjmijmy, że to, co mówił fałszywy minoshiro jest prawdą. Samo wyobrażenie o tym jest obrzydliwe, ale gdyby ludzie rzeczywiście mogli atakować się nawzajem, korzystając z cantusu, nasze społeczeństwo zostałoby błyskawicznie

unicestwione. Czy nie próbowano by więc temu zapobiec, chwytając się wszystkich dostępnych metod, niezależnie od tego jak bardzo przerażające by one nie były?

– Ale czy oni naprawdę mają zamiar coś nam zrobić?

– Zawsze mówiło się, że pozbywają się dzieci, które mogą potencjalnie sprawiać problemy, zanim jeszcze do czegoś dojdzie, prawda? Innymi słowy, chcą nas usunąć!

– Usunąć... To niemożliwe. Nie mów tak absurdalnych rzeczy. To nie może się stać!

– Pomyśl o tym. Każdego roku kilkoro uczniów znika ze Szkoły Harmonii i Akademii Mędrców, prawda? Jakby na to nie spojrzeć, to bardzo dziwne. Skoro nie są eliminowani, to co się z nimi dzieje?

Poczułam, że wszystkie włosy stają mi dęba. Słuchanie tego, co mówił fałszywy minoshiro było straszne, jednak dotychczas tylko połowicznie wierzyłam jego słowom, więc zbyt nie nad nimi nie zastanawiałam. Teraz jednak byłam przerażona znacznie bardziej niż przez całą poprzednią noc.

– Ale... Ale nikt nie wie, że spotkaliśmy fałszywego minoshiro.

Jedyny świadek, Rijin, został zabity przez eksplodującego bombopsa.

– Istnieje jednak na to dowód – powiedział Satoru mrozącym krew w żyłach głosem. – Nasz cantus został zabezpieczony, prawda? Nikt nie zrobiłby nam czegoś takiego, jeśli poważnie nie naruszylibyśmy zasad.

– Więc nie zamierzają nam pomóc...?

Jeśli wioski zdecydowały by nas się pozbyć, oznaczało to, że nie mamy już dokąd wracać. Oczy wypełniły mi się łzami.

– Nie, wciąż jest nadzieja. Powinniśmy dać radę przynajmniej dostać się z powrotem do wioski. Nasi rodzice jakoś nam pomogą. Myślę zwłaszcza o twojej mamie; czy ona nie jest główną bibliotekarką?

– T-tak, ale... – Czułam jakby wszystko w mojej głowie wirowało. – Co tak dokładnie w takim razie cię martwi?

Satoru westchnął, widząc, że wciąż nie rozumiem. – Kiroumaru prawdopodobnie wspomniał o nas w swoim raporcie na temat Ziemnych Pająków. Jeśli dorośli dowiedzą się, że nie możesz korzystać ze swojego cantusu, zorientują się, że coś musiało się stać. I jeśli zadecydują, że trzeba od razu się nas pozbyć, powierzą Kiroumaru wykonanie tego zadania.

Wydawało mi się, że to lekka przesada. – Pozbyć się nas... Tak po prostu, nie mając żadnych dowodów naszej winy?

– Kiedy wrócimy, będzie już dla nich za późno – powiedział łamiącym się głosem. – Jeśli opowiemy choć jednej osobie o tym, czego się dowiedzieliśmy, rozniesie się to w mgnieniu oka.

– Ale...

– A jeśli to, co mówił fałszywy minoshiro na temat śmiertelnego sprzężenia zwrotnego jest prawdą, nikt w wiosce nie może nas zabić, samemu nie ponosząc śmierci. To znaczy, że usuwanie kłopotliwych dzieci odbywa się zazwyczaj za Świętą Barierą... Myślę, że wykorzystują w tym celu dziwoszczury.

Zaniemówiłam. Czy to możliwe, że naprawdę robiono coś tak strasznego?

Plecy zlał mi zimny pot. Zaczęłam się zastanawiać, czy rytuał przejścia w dorosłość odbywał się poza barierą z tego samego powodu.

– Kiroumaru prawdopodobnie wysyła swoje raporty, wykorzystując gołębie pocztowe, bo to najszybsza metoda. Jeśli gołąb będzie frunął dość szybko, dotrze do wioski przed zachodem słońca. Komisja przeanalizuje sprawę i odeśle odpowiedź najwcześniej jutrzejszego ranka.

– Więc musimy uciekać stąd już teraz!

– Tak. To oczywiste, że wyślą za nami pościg, ale jeśli zdołamy dotrzeć do miejsca, w którym ukryliśmy kajaki, możemy mieć szansę.

Niedługo później najgorsze stało się faktem.

Co prawda Satoru trochę zregenerował siły podczas snu, ale jego stan wciąż był daleki od ideału; wciąż nie mógł w normalny sposób

używać cantusu. Samo koncentrowanie się na celu przyprawiało go o ból głowy, więc jego moc mogłaby równie dobrze nadal być zapieczętowana.

Nie miałam pojęcia, jak mamy poradzić sobie ze stojącą na zewnątrz parą strażników. Ta sytuacja była zupełnie różna od naszej niewoli u Ziemnych Pająków.

Wyszliśmy z ziemianki z największą swobodą, na jaką było nas stać. Obydwaj wartownicy pokłonili się głęboko, pozwalając nam przejść.

– Pomału. Zachowuj się naturalnie. – syknął Satoru. Jeśli będziemy się tylko tak przechadzać, będzie to wyglądało, jakbyśmy postanowili wyjść na poobiedni spacer.

– Zupełnie, jakbyśmy się tak najedli, by tego potrzebować... – zauważyłam z ironią.

Na obóz składało się jakieś dwadzieścia lub trzydzieści podobnych małych chatek. Wszyscy żołnierze z pewnością się do nich nie zmieścili, więc większość z nich musiała spać pod ziemią. Wzdłuż łączących ziemianki ścieżek ustawiono rzucające jasne światło koksowniki, wokół których, trzepocąc skrzydełkami, latały ogromne ćmy.

Po bitwie z Ziemnymi Pająkami, kręcący się w naszym pobliżu strażnicy wydawali się być znacznie bardziej rozluźnieni. Kiedy ich mijaliśmy, kłaniali się w ciszy, ale nie robili nic więcej.

Skoro tak wyglądała sytuacja, wymknięcie się pod osłoną nocy nie powinno nastęrczyć nam większych problemów. Taki też był nasz plan, jednak nagle za naszymi plecami rozległ się hałas i zamarliśmy w bezruchu.

– Bogowie! Dokąd idziecie?

Squealer. Cofnęliśmy się bezgłośnie.

– Przebudziliście się. Jedliście coś?

– Tak – odparł Satoru, uśmiechając się chłodno. – Było całkiem smaczne.

– Naprawdę? Nasze jedzenie jest zupełnie inne. Wszystko co można tu dostać to ten mdły kleik z miso. Olbrzymie Szerszenie nie przywykły do podejmowania gości. Tak z czystej ciekawości, czym was nakarmiły?

Nie wiedziałam co mam mu odpowiedzieć. Zastanawiałam się, po co właściwie zadaje takie bzdurne pytania. Zaczynało mnie to już denerwować.

– Mniejsza z tym... A ty co tu robisz?

– Cóż, dopiero co skończyłem pracę, ale nie narzekam. W końcu Olbrzymie Szerszenie uratowały nas wszystkich. Generał Kiroumaru został ranny w wybuchu i pisanie raportów sprawia mu trudność. Jeśli o tym mowa, to czy dacie wiarę, że spośród całej tej ogromnej armii tylko on sam potrafi czytać i pisać po japońsku?

– Jakich raportów? – spytał ostro Satoru.

– Och, zwykle sprawozdanie z podboju kolonii Ziemnych Pająków. Zostało już wysłane do Kamisu 66. – Squealer wpatrywał się w nas tępo, gdy obrzuciliśmy go pytaniami.

– Pytaj pierwsza, Saki.

– No dobrze. Co napisaliście w tym sprawozdaniu?

– Opisaliśmy, oczywiście, szczegóły przebiegu całej bitwy, zaczynając od momentu, w którym zostaliśmy zaatakowani trującym gazem a kończąc na chwili przybycia posiłków...

– Wspomnieliście też o nas?

– He – Squealer łypnął na nas podejrzliwie.

– Chodzi o to, że jeśli napisaliście coś dziwnego, nasz nauczyciel straszenie się na nas wścieknie, gdy wrócimy do domu.

– Nie obawiajcie się. W życiu nie napisałbym niczego, co mogłoby uwłaczać dwójce ludzi, którzy zasłużyli na naszą najwyższą wdzięczność.

– Ale co dokładnie o nas napisałeś?

– Och, no cóż. Wspomniałem o tym, jak dwoje bogów zagubiło się i przypadkowo spotkało kolonię Łowików a następnie pomogło

nam bezpiecznie uciec z zasadzki Ziemnych Pająków, coś w tym stylu.

– I nic poza tym? – spytałam, czując przyływ ulgi.

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko...

– Tylko co?

– Wasza dwójka najwyraźniej działała ponad limit swych fizycznych możliwości; pomyślałem więc, że potrzebujecie lepszej opieki i dołączyłem prośbę aby się o was zatroszczono.

– Co masz na myśli? Napisałeś, że nie czujemy się najlepiej?

– Wspomniałem, że podczas walki najwyraźniej tylko bóg płci męskiej korzystał ze swojej mocy. Zauważyłem, że bez wątpienia jest wyczerpany a bogini przypuszczalnie choruje.

Ten wścibski szczur. Z rozpaczy i gniewu wzrok zaszedł mi mgłą. Spojrzałam błagalnie na Satoru.

– Squealerze, mówisz, że dopiero co skończyłeś pracę?

Dlaczego Satoru pyta o coś tak nieistotnego?

– Tak, dosłownie przed chwilą.

– Więc w jaki sposób wysłaliście raport? Jest zbyt ciemno, żeby wypuścić gołębia pocztowego, czyż nie?

– W istocie. Gdy Olbrzymie Szerszenie muszą pilnie się z kimś skomunikować, używają za dnia gołębi pocztowych, w nocy zaś wykorzystują nietoperze.

Spojrzelśmy na siebie nawzajem. Jeżeli wysłali nietoperza, odpowiedź z dystryktu mogła nadejść nawet przed świtem.

– Tak przy okazji, niektóre z kolonii zaczęły ostatnio używać sokołów zamiast gołębi, co łamie postanowienia pierwotnie zawartego paktu. Ponadto, pomimo, że nietoperze są pewniejsze, chodzą słuchy, że kilka kolonii tresuje od niedawna puchacze, które na nie polują... – Squealer wyglądał jakby miał zamiar gadać przez całą noc.

– Hej, Squealerze – powiedziałam tak neutralnym tonem, na jaki tylko mogłam się zdobyć. – Jakby to powiedzieć... Chcielibyśmy trochę się przejść.

– Dokąd idziecie? – Squealer wyglądał na zaskoczonego. – Słońce zaszło trzy godziny temu. Oddalanie się nie jest bezpieczne.

Trzy godziny po zachodzie słońca oznaczały, że jest mniej więcej dziesiąta wieczór.

– Wszystko będzie w porządku. W końcu Zieme Pajaki zostały pokonane, prawda? – Beztroski ton Satoru był znacznie naturalniejszy od mojego.

– Ale jeśli coś się wam stanie, cała odpowiedzialność spadnie na mnie. Zawołam kilku strażników...

– Nie trzeba. Po prostu nasza dwójka potrzebuje... małej zmiany otoczenia, rozumiesz? Niedługo wrócimy. Nie ma konieczności alarmowania kogokolwiek – powiedział Satoru, chwytając moją dłoń i ciągnąc mnie ze sobą.

Kiedy się obejrzelśmy za siebie, Squealer cały czas stał w tym samym miejscu, patrząc jak się oddalamy.

– Czy on nie pomyśli sobie, że to trochę dziwne? – spytałam szeptem.

– Nic nie poradzimy na tą jego podejrzliwość. Tak czy siak, nie mamy innego wyjścia jak ucieczka, prawda?

Kontynuowaliśmy nasz powolny marsz poza obozowisko. Udając, że podziwiamy niebo, spojrzeliśmy do tyłu. Kiedy upewniliśmy się, że nikt nas nie śledzi, ukryliśmy się w rzucanym przez drzewa cieniu. Skuleni przy ziemi, zaszyliśmy się w niewielkim zagajniku rosnącym pośrodku pola.

– Wiesz, którą mamy iść?

W moim plecaku powinny być kompasy, jednak podczas całej tej bieganiny gdzieś go zapodziałam.

– Mniej więcej. – Satoru spojrział na pomarańczowy księżyc wychylający się zza czubków drzew. Mamy prawie pełnię, więc księżyc pojawia się na wschodzie, podróżuje nocą po południowej stronie nieba a rankiem chowa się za horyzontem na zachodzie. Skoro mamy teraz godzinę dziesiątą, to...

Zawiły bełkot Satoru nie był zbyt pocieszający, ale biorąc pod uwagę moją zupełną niewiedzę na temat astronomii i brak zdolności orientacji w terenie, nie pozostało mi nic innego jak zaufać jego ustaleniom.

Wędrowaliśmy przez dzicz, starając się w miarę możliwości kierować na wschód. Od zeszłej nocy wędrowaliśmy tyłoma krętymi ścieżkami, że nie było mowy o tym, by dało się ustalić jaka odległość dzieli nas od jeziora Kasumigaura. Kiedy wróciłam myślami do naszej wędrowki z Rijinem w stronę Świątyni Czystości, przypomniało mi się, że byliśmy niewiarygodnie zmęczeni, a mimo tego jakoś parliśmy naprzód po bardzo krętej trasie. Mimo tego, z jakiegoś powodu byłam przekonana, że jeśli będziemy cały czas wędrować na wschód, damy radę dojść do naszych kajaków przed wschodem słońca.

Po trzech godzinach szybkiego marszu przez leśne bezdroża pomału zbliżałam się do granic swojej wytrzymałości. Bolały mnie nogi i kręciło mi się w głowie. Bardzo chciało mi się jeść, ale, co było znacznie gorsze, czułam praktycznie niemożliwe do zniesienia pragnienie. Ponieważ nie zabraliśmy ze sobą butelek z wodą, nie zostało mi nic innego jak cierpliwie je znosić. W każdym razie, kiedy postanowiliśmy chwilę odpocząć, wybraliśmy miejsce, w którym trawa była pokryta kroplami rosy.

– Zaszliśmy dosyć daleko, nie?

– Tak. Może nawet przebyliśmy już ponad połowę drogi. – zapewnił mnie z przekonaniem Satoru.

Nie wydawało mi się, by takie stwierdzenie miało jakieś podstawy, ale z drugiej strony kwestionowanie jego opinii też nie przyniosłoby żadnego pożytku, więc skwitowałam te słowa milczeniem.

Zastanawiałam się co robią teraz Shun, Maria i Mamoru. Gdy tak rozmyślałam, utkwiałam bezwiednie wzrok w zaroślach za plecami Satoru i aż podskoczyłam.

– Co się stało?

– N-nic... Przez chwilę wydawało mi się, że to bombopies – odparłam, wskazując na zbutwiałą kłodę.

– Faktycznie, wygląda trochę podobnie – uśmiechnął się Satoru.

– Ale ty nie się nie przestraszyłeś.

– Nie, bo trzeba zacząć od tego, że nie ma możliwości, by spotkać tu bombopsa.

– Dlaczego?

– Widziałaś ich prawdziwą formę, prawda, Saki?

Nie chciałam przyznawać, że nie mam pojęcia, o czym teraz mówi. – No cóż, chyba tak...

– Chyba? – zaśmiał się Satoru. Te psy-samobójcy są ostatnim gatunkiem dziko żyjących zwierząt. Wszystkie pozostałe zostały udomowione przez dziwoszczury.

– Więc ich oswojenie w ogóle nie wchodzi w grę?

– Właściwie to nie. Zanim ludzie obudzili w sobie cantus, przez długi czas modyfikowali domowe zwierzęta, jednak dotyczyło to tylko użytecznych dla nich gatunków. Dla przykładu postępowano tak ze zwierzętami z bujną, miękką sierścią, smacznym mięsem bądź produkujących duże ilości mleka. Bardzo nieprawdopodobne jest, by kiedykolwiek oswojono stworzenia, które potrafią eksplodować.

Satoru znowu przeszedł w tryb przemądrzalca. Chciałam się z nim kłócić, ale poziom cukru w mojej krwi był tak niski z głodu, że nawet na to nie miałam siły. Poddałam się.

– No to czym są bombopsy?

– Starożytne księgi biologiczne wspominają o pewnym zwierzęciu zachowującym się dokładnie tak samo jak one. Jak myślisz, co to za gatunek?

– Eee... – Szybko straciłam zainteresowanie tematem. Miałam w nosie, czym było to zwierzę. Mogła to sobie być cętkowana stawowa żaba, rozdymka tygrysia albo cokolwiek innego. Zaczęłam poważnie martwić się o pozostałą trójkę przyjaciół.

– To były mrówki. – odparł triumfalnie Satoru. – Pewien specjalny rodzaj żyjących w Malezji mrówek, które rozrywały się na

kawałki, gdy zbliżał się nieprzyjaciel i wydzielały do powietrza lotne substancje. Ostrzegały w ten sposób resztę mrowiska, że nadchodzi wróg.

Zawroty głowy zaczęły dawać mi się we znaki nawet silniej niż głód. Pomyślałam, że jeśli dłużej będziemy tak siedzieć, nie będę w stanie się podnieść.

– W każdym razie, właśnie czymś takim są bombopsy. Gdyby zwyczajne zwierzęta wysadzały się w powietrze, żeby odstraszyć wroga, ich gatunek wymarłby w mgnieniu oka, bo nie miałyby szansy wydać na świat potomstwa. W przypadku zwierząt socjalnych, takich jak mrówki, sprawy mają się inaczej. Skoro zwykłe robotnice nie mogą się rozmnażać, dla ich społeczności korzystne jest poświęcenie się jednostki w celu ochrony gniazda i królowej. Jeśli o tym pomyśleć, poza zmutowanymi przez Ziemię Pajaki osobnikami nie spotkaliśmy wolnożyjących bombopsów.

Satoru nie wydawał się głodny, zmęczony ani przejęty losem pozostałej trójki. Nie chciałam kłopotać się próbą nakłonienia go, żeby się zamknął. Kiedy powoli zamknęłam oczy, usłyszałam ulotny dźwięk.

– Tak więc – kontynuował – królowa Ziemnych Pajaków potrafiła produkować dowolnie dużą liczbę najprzeróżniejszych mutantów, takich jak ci patyczakowaci wojownicy lub podobne do żab stwory. Spośród nich wszystkich bombopsy najbardziej przypominają zupełnie inny gatunek; niewielkie rozmiary łbów oznaczają prawdopodobnie, że ich inteligencja jest dość ograniczona i w przybliżeniu dorównuje psiej. Innymi słowy, żeby mogły celowo eksplodować, będąc przy tym bezwarunkowo posłuszne, nie mogą być zbyt mądre i...

Znowu to usłyszałam. Gdzieś za nami. Odgłos stąpania po suchych gałązkach i trawie. Kto... albo co tam było?

Przyłożyłam palec do ust. Satoru natychmiast zamilkł.

Za mną. Ten sam dźwięk. Wypowiedziałam bezgłośnie kilka słów.

Satoru zawahał się przez chwilę, po czym wstał zdecydowanie. – Kto tu jest? – spytał głośno.

To było dość desperackie posunięcie, ale nie mogliśmy zrobić niczego innego. Nie mieliśmy przy sobie żadnej broni. Gdybyśmy zaczęli uciekać, zostalibyśmy złapani w mgnieniu oka. Musieliśmy udawać, że wciąż możemy korzystać z cantusu.

– Bogowie, jak daleko jeszcze zamierzacie iść? – spytał Squealer, wyłaniając się z cienia.

Nasz plan by zaatakować potencjalnego wroga, gdy ten nie będzie się tego spodziewał legł właśnie w gruzach. Któż mógłby przypuszczać, że będziemy śledzeni przez całą drogę do tego miejsca?

– Ziemne Pajaki rzeczywiście zostały unicestwione, ale podróżowanie tędy w środku nocy wciąż jest niebezpieczne

– Dlaczego? Czemu śledziłeś nas aż tutaj?

Squealer przekrzywił głowę, słysząc moje pytanie. Gdyby był człowiekiem, pewnie wzruszyłby ramionami. – Jeśli coś złego stałoby się bogom, nie wytłumaczyłbym się z tego.

– Przecież odeszliśmy z własnej woli, czy to nie załatwia sprawy?

– Nie, nie załatwia. Nasza kolonia zostałaby skazana na zagładę. Zresztą Olbrzymie Szerszenie też nie przetrwałyby takiego incydentu bez szwanku. Wzorem podobnych sytuacji z przeszłości, generał Kiroumaru byłby zmuszony do popełnienia seppuku.

– Czym jest to seppuku?

– To samobójstwo dokonywane poprzez rozcięcie brzucha mieczem. Jest ostateczną formą przeprosin.

Byłam oszołomiona. W naszych słownikach próżno było szukać tego dziwnego terminu i nigdy nie przyszłoby nam to głów, że ludzie w przeszłości robili tak dziwne rzeczy.

– Rozumiem. Nie byłem świadomy, że możemy ściągnąć na was takie problemy – powiedział pokornie Satoru. – Ale stałoby się tak tylko jeśli nastąpiłoby coś bardzo nieprawdopodobnego, racja? Na przykład gdybyśmy mieli jakiś wypadek lub coś w tym rodzaju.

– Tak, ale żeby nie dopuścić nawet do tak mało możliwej sytuacji, muszę chronić dwoje bogów bez względu na wszystko.

Zachodziłam w głowę, czy ten paskudny, bezwłosy szczur na którego patrzę, mówi prawdę.

– Czy ktoś jeszcze za nami idzie?

– Nie, tylko ja.

– To dziwne. Skoro rzeczywiście chcesz nas ochraniać, to czy nie powinieneś zabrać ze sobą żołnierzy?

– To... To wszystko stało się za szybko. Nie miałem czasu.

Pytanie Satoru rozwiało wątpliwości nas obojga na temat tego, czy Squealer śledzi nas z rozkazu Kiroumaru. Działanie na własną rękę mogło być częścią jego planu, dzięki któremu mógłby przypisać sobie wszystkie zasługi. Jeszcze dwa dni wcześniej, o czym byłam przekonana, nie bylibyśmy tak obsesyjnie podejrzliwi w podobnej sytuacji.

– Tak z innej beczki: nie jesteście spragnieni?

Squealer wyciągnął bukłak, który miał zawieszony przy pasie. Wewnątrz coś zachlupotało jak woda. Spojrzeliśmy po sobie, jednak pokusa była zbyt silna, by z nią walczyć; wzięłam naczynie do ręki i odkorkowałam je. Piliśmy chłodną wodę olbrzymimi łykami. Krążenie krwi od razu powróciło do normy i poczułam się, jakbym wyrwała się śmierci z rąk. Przekazałam bukłak Satoru, żeby on również mógł ugasić pragnienie.

– Ale na przygotowanie tego miałeś czas – zauważyłam. Chciałam wyrazić naszą wdzięczność dla Squealera, lecz zamiast tego z moich ust wydobył się ten uszczypliwy komentarz.

– Zabrałem go żołnierzom chwilę przed tym, jak za wami ruszyłem. Zdobycie jednego z takich bukłaków nie było żadnym problemem. Bez tego mielibyśmy spore kłopoty w razie napotkania innej kolonii.

Nagle uświadomiłam sobie, że gdy brałam naczynie od Squealera, było po brzegi wypełnione wodą. Nie ulegało wątpliwości, że po tak długiej wędrówce i on jest spragniony.

– Dzięki. Ty też się trochę napij.

Wzięłam bukłak od Satoru i podałam go Squealerowi.

– Dziękuję. – Squealer z nabożeństwem uniósł do ust trzymane naczynie i wziął niewielki łyżek.

W tej samej chwili spojrzeliśmy na siebie nawzajem z Satoru i zawarliśmy niewypowiedzianą umowę.

– Squealerze, potrzebna jest nam twoja pomoc – powiedziałam.

– Oczywiście, czego tylko sobie zażyczycie – odparł, błyskawicznie spoglądając w górę. – Powiedzcie mi, co mogę dla was zrobić.

– Chcemy dotrzeć na wschodni brzeg Jeziora Kasumigaura. Wskaż nam najkrótszą drogę.

– Ale dlaczego tak się śpieszycie? Gdybyście poczekali do jutrzejszego poranka, żołnierze Olbrzymich Szerszeni bezpiecznie by was tam zaprowadzili.

– Ponieważ gdybyśmy zwlekali do rana, znaleźlibyśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie – odparł bez ogródek Satoru.

Squealer prawdopodobnie został przekupiony obietnicą odbudowy kolonii Łowików, udzieloną przez Kiroumaru; gdybyśmy mu wszystkiego nie wyjaśnili, z pewnością nie przeszedłby na naszą stronę.

– Co macie na myśli?

– Kiroumaru mógłby nas zabić.

– Coś takiego nigdy by się nie stało! Jako $\beta\star\ddot{e}\odot\text{Å}$... dziwoszczurowi, i jako generałowi największej z kolonii nigdy nie przyszłoby mu do głowy by skrzywdzić bogów!

– Nie mogę tego wyjaśnić, ale proszę, zaufaj nam.

Złapałam Squealera za dłonie. Wydawał się zaskoczony, ale się nie wyrwał.

– Gdyby nie było tak jak mówimy, nie pomyślelibyśmy nawet o ucieczce w środku nocy.

Squealer pomyślał przez chwilę, po czym z powagą skinął głową. – Rozumiem. Pokażę wam drogę, jednak ścigający nas

wybiorą najprawdopodobniej tę samą ścieżkę, więc musimy się spieszyć.

Marsz wzdłuż brzegu rzeki płynącej dnem niewielkiej dolinki był znacznie przyjemniejszy niż przedzieranie się przez spadziste, górskie dróżki. Dzięki temu poruszaliśmy się znacznie szybciej, jednak wciąż byliśmy pod ogromną presją.

Idąc przez góry, nigdy nie wiedzieliśmy, czego możemy spodziewać się przed sobą, więc samo posuwanie się do przodu wymagało sporej odwagi. W dolinie z kolei byliśmy bardzo odślonięci, a do tego nie było w niej żadnego miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć. Wędrówka brzegiem rzeki okazała się niespodziewanie przerażająca.

Światło księżyca ledwie docierało na dno doliny. Rzeka była czarna jak atrament. Jedyнным uchwytnym dźwiękiem był szum rozpędzonej wody, wwiercający się w głowę tak bardzo, że po pewnym czasie nie wiedziałam już czy rzeczywiście go słyszę, czy to tylko wytwór mojej wyobraźni. Odgłos przybierał na sile, tak, że ostatecznie przypominał wojenne okrzyki nieskończonej armii dziwoszczurów, albo ryki jakichś innych, groźnych bestii.

Zarówno ja, jak i Satoru cały czas odwracaliśmy się do tyłu, chcąc upewnić się, że nikogo za nami nie ma. Rzeka, która wydawała się prowadzić do samych piekieł, zdecydowanie nie łagodziła dręczących nas obaw.

– Jak nazywa się ta rzeka? – Głos Satoru dobiegał z bardzo daleka.

– Bogowie nie nadali jej nazwy. My nazywamy ją □Ξ☆ξΘ... Po japońsku będzie to znaczyło, pomyślmy... Zapomniana Rzeka.

– Dlaczego tak ją nazwaliście? – spytałam. Mój głos był dziwnie zachrypnięty, zupełnie jakby należał do kogoś innego.

– Nie jestem całkowicie pewien – Słowa Squealera zabrzmiały, jakby wypowiadał je spod ziemi. – Jezioro Kasumigaura zasila wiele większych i bezpieczniejszych rzek, jak na przykład Sakura. Może właśnie dlatego nie pamięta się o tej rzece.

– Miejmy nadzieję, że Kiroumaru również o niej zapomniał – powiedziałam, chcąc rozładować napięcie.

– Nadzieję mieć możemy, ale tak wytrawny dowódca jak on na pewno o niej pamięta. – Odpowiedź Squealera okazała się zadziwiająco przykra. – Zapomniana Rzeka jest pełna mielizn i kamieni, więc zazwyczaj nikt nie podróżuje nią w nocy. Między innymi dlatego wybrałem właśnie tę drogę. Jednakże, mimo tego, że generał Kiroumaru nieczęsto wybiera tą ścieżkę, stoczył w tych okolicach wiele wojen. Odbyła się tu między innymi bitwa z kolonią Wędrownych Mrówek, znana jako Upadek Zielonego Muru.

– Wędrowne Mrówki? Istnieje taka kolonia? – zapytał Satoru.

– Już nie. Pięć lat temu przegrała wojnę z Olbrzymimi Szerszeniami i została kompletnie zniszczona.

Ta opowieść do niczego nie była nam teraz potrzebna; samo słuchanie słów Squealera pomagało nam jednak się skupić.

– Kolonia Wędrownych Mrówek liczyła ponad osiemnaście tysięcy żołnierzy; z powodu tak licznej armii cieszyła się powszechnym respektem. Przeprowadzane przez nie oblężenia zawsze kończyły się sukcesem. Tamtego razu ich przeciwnicy, Olbrzymie Szerszenie, zostały otoczone, a Wędrowne Mrówki rozbiły obóz u bram wrogiej kolonii. W końcowej fazie bitwy, ich generałowi Quikurowi udało się wyeliminować wszystkich przeciwników z wyjątkiem elitarnego oddziału ochroniarzy królowej.

Sądząc po jego zainteresowaniu działaniami wojennymi, Squealer musiał bez wątpienia spędzić dużo czasu na analizowaniu historycznych zapisków. Kontynuował swój wywód ożywionym tonem.

– Wędrowne Mrówki dzielił dystans zaledwie kilku kilometrów od kolonii Olbrzymich Szerszeni. Na tak niewielkiej przestrzeni mogły poruszać się tylko na powierzchni, jednak z powodu tak dużej liczebności armii, pierwsze szeregi znajdowały się już w połowie drogi, podczas gdy ostatni żołnierze dopiero opuszczali obozowisko. Quikur postanowił poczekać u stóp góry aż dołączy do niego reszta

żołnierzy. Zakładał, że mniej liczne oddziały Olbrzymich Szerszeni kryją się pod ziemią i zupełnie odrzucił możliwość, że zostanie zaatakowany z góry, z klifu, który my, miejscowi, nazywamy Zielonym Murem. Generał Kiroumaru poprowadził w ukryciu swych elitarnych wojowników na szczyt wzniesienia i przygotował zasadzkę. Wróg znajdował się dokładnie pod klifem, o którym wszyscy myśleli, że jest zbyt stromy, by dało się nań wspiąć. Kiroumaru ujrzał jednak wspinającego się po nagich skałach gekona i wypowiedział słowa, które stały się później znanym cytatem: „Gekon ma cztery nogi, tak jak i my. Jeśli on może wspiąć się na tę górę, nie ma powodu, dla którego my nie moglibyśmy zrobić tego samego.”

To było tak absurdalne, że byłam pewna, iż Squealer żartuje. Dużo później, gdy przeanalizowałam sprawozdania z wojen dziwoszczurów, przekonałam się, że mówił prawdę i zaniemówiłam z wrażenia.

– Właśnie tym wyczynem wsławił się generał Kiroumaru. Pierwsze imię nadane mu przez bogów brzmiało Kidoumaru i nie było zapisywane znakami 奇道丸, lecz 詭道丸.¹

Squealer pokrótce wyjaśnił nam znaczenie obydwu znaków.

– Rozumiem, Mówiąc krótko, miało to oznaczać, że nikt nie da rady się ukryć, będąc ściganym przez Kiroumaru, tak? – spróbowałam wpleść moje pytanie w dowcip.

– Dokładnie. Jeśli generał Kiroumaru zdecydował się na serio kogoś ścigać, dla jego ofiary oznaczało to pewny koniec.

Zapadła krótka cisza.

Po tym jak ujrzałam Kiroumaru wydającego rozkaz doszczętnego zniszczenia kolonii Ziemnych Pająków, nie miałam wątpliwości, że jego zdolności strategiczne są zatrważające. Gdyby nas dogonił, nie mielibyśmy żadnych szans.

Wszystko zależało teraz od tego, jak późno Kiroumaru zdecyduje się podjąć za nami pościg. Między odesłaniem przez

¹ 詭 – „zwodniczy”, 奇 – „dziwny”, „niecodzienny”, „magiczny”, 道 – „droga”, „metoda”

Komisję Etyki nietoperza z poleceniem pozbycia się nas, a wyruszeniem żołnierzy w pogoń musiał upłynąć pewien okres; zakładałam, że jeśli nam się poszczęści, zdołamy w tym czasie dotrzeć do kajaków. Był jednak jeden poważny problem – istniała możliwość, że Kiroumaru, widząc, że daliśmy nogę, podjął decyzję o pościgu samodzielnie, jeszcze przed otrzymaniem odpowiedzi z dystryktu. Jeśli rzeczywiście tak było, z pewnością już za nami ruszył.

Nieświadomie przyspieszyliśmy marsz. W pewnym momencie nie dało się jednak już iść szybciej; kamienie, którymi usiany był brzeg rzeki były śliskie i zdradliwe. Po trzydziestu minutach tej pospiesznej wędrówki, gdy byliśmy już cali złani potem, Squealer nagle się zatrzymał.

– Co się dzieje?

Squealer podniósł palec do ust i zasyczał. Ten dziwny gest uciszania można spotkać nawet w starożytnej literaturze; jego znaczenie jest niezmiennie – zawsze i wszędzie znaczył to samo. Teraz też od razu pojęliśmy, o co chodzi. Zdziwiło mnie jednak, że ów gest jest tak uniwersalny, że nawet gatunek nie ma znaczenia w jego przypadku.

– Usłyszeliście to? – spytał cicho Squealer.

Wytężyłam słuch.

Uchwyciłam ten dźwięk. Ptasi śpiew. Pomimo, że był środek nocy, brzmiało to, jakby ptak krążył po niebie.

Kyokyokyokyokyokyokyoko...

Odgłos bardziej przywodził na myśl wielkiego insekta, aniżeli ptaka, co nappełniało mnie niepokojem. Idąc za przykładem Squealera, znieruchomieliśmy niczym skały. Dziwny ptak leciał wzdłuż brzegu rzeki, nie przestając zataczać kręgów nad naszymi głowami.

Pierwszy przerwał ciszę Satoru.

– W czym właściwie problem? Przecież to tylko ptak.

– Jest środek nocy, pamiętasz?

– Może to kozodój. One prowadzą nocny tryb życia, podobnie jak sowy.

Czy to naprawdę mogło być takie proste?

– Ale dlaczego z premedytacją obniża lot coraz bardziej i bardziej?

Tak jak się spodziewałam, Satoru nie miał pojęcia o zachowaniu kozodojów. Zatopił się w myślach na kilka chwil.

– Pomimo, że zwie się go kozodojem, nie jest prawdopodobnie żerującym na większych zwierzętach drapieżnikiem, takim jak sowa. Zjada owady, na które poluje przy brzegach rzek.

Milczący dotychczas Squealer odchrząknął. – To rzeczywiście może być dziki kozodój, ale mam silne obawy, że tak nie jest.

– Co masz na myśli?

– Generał Kiroumaru lubuje się w wykorzystywaniu ptaków jako zwiadowców. Słyszałem, że używa kozodojów, ponieważ bardzo dobrze widzą w ciemnościach.

Byłam zdziwiona tym, co powiedział. Gdy o tym pomyślałam, ptak rzeczywiście zdawał się czegoś szukać.

– Naprawdę? Trochę trudno uwierzyć w coś takiego – odparł podejrzliwie Satoru. – W jaki sposób ptak ma zameldować, że coś znalazł?

– Ja też nie znam szczegółów. Pszczoły miodne potrafią jednak przekazywać sobie informacje o tym, gdzie rosną kwiaty. Podejrzewam więc, że po odpowiedniej tresurze również ptaki można nauczyć podobnej rzeczy.

Jeśli teoria Squealera była prawidłowa, Kiroumaru mógł być już bardzo blisko.

W absolutnej ciszy popędziliśmy do przodu.

Kiroumaru prawdopodobnie trzymał się tuż za nami, bezszelestnie nas śledząc. Jeszcze nie zaatakował prawdopodobnie dlatego, że wciąż oczekiwał na odpowiedź od Komisji, albo po prostu nie uświadomił sobie jeszcze, że Satoru nie może korzystać z cantusu.

Równie dobrze mógł też po prostu czekać, aż znajdziemy się w miejscu dogodniejszym do przypuszczenia na nas szturmu.

Im więcej o tym rozmyślałam, tym bardziej czułam się przytłoczona obecnością ukrytego wroga.

Jednakże, podobnie jak nie ma niekończących się nocy, każde trudności muszą mieć swój kres. Kiedy nieprzerwanie maszerowaliśmy na wschód, niebo zaczęło się rozjaśniać.

– Świta...! – Satoru z trudem pohamował krzyk.

– Ujrzymy Jezioro Kasumigaura, gdy tylko przez nią przejdziemy – powiedział Squealer, wskazując na sporą, wijącą się rzekę, płynącą jakieś dwieście metrów przed nami.

Pomyślałam, że może to rzeczywiście był dziki ptak. Kolejny element naszego urojenia, w którym byliśmy ścigani przez Kiroumaru.

Błyskawicznie poczułam ogromną ulgę.

Właśnie wtedy Satoru coś dostrzegł.

– Co... Co to jest? – zapytał.

Wszyscy znieruchomieliśmy z przerażenia.

Na piaszczystym brzegu rzeki, jakby oczekując na nasze przybycie, stały ustawione w rząd postacie.

Rozdział 8

Zatrzymaliśmy się gwałtownie. Poczułam jak naprzemiennie przepływają przez mnie fale strachu i dezorientacji.

Widzieliśmy trzy sylwetki. Patrzyły się wprost na nas.

Złudne nadzieje ogarnęły moje myśli. Statystycznie rzecz biorąc, szansa na to, że zdołamy uciec wynosiła mniej niż jedna na milion. Nadzieja przypomina jednakże płomień – więcej w niej modlitwy niż logicznego rozumowania; jest silniejsza niż strach i popycha nas do działania.

Satoru i ja jednocześnie na siebie spojrzeliśmy i skinęliśmy głowami.

Ruszyliśmy powoli naprzód. Mogliśmy wybrać różne ścieżki; każda z nich dawała większe szanse na ucieczkę niż nie zrobienie niczego. Ta konkretna decyzja była równoznaczna z odsłonięciem naszej słabości, czyli faktu, że nie możemy używać cantusu. Wszystkim co liczyło się w tamtym momencie było jednak sprawdzenie, kim są nasi wrogowie.

Bijąc się z takimi myślami zrobiłam krok, a potem następny i następny. Kiedy spojrzałam na czarne sylwetki, ponownie ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki. Zadrżały mi kolana. *Czyżbym pchała się prosto w paszczę lwa?*

Nie, to niemożliwe... To... Te cienie... Znam je. Z pewnością je znam. Wszystko będzie w porządku – przekonywałam się bezustannie, jednak sylwetki wciąż stały nieruchomo, uniemożliwiając mi ich zidentyfikowanie.

Jeszcze kawałek, kawałeczek i wszystko będzie jasne.

Gdy tylko wypowiedziałam w myślach te słowa, złocisty promień słońca wyłonił się zza górskiego łańcucha, zupełnie mnie oślepiając. Trzy cienie również zostały pochłonięte przez światło. Zamarłam w miejscu, lecz właśnie w tamtym momencie usłyszałam krzyk.

– Saki! Satoru!

Błyskawicznie zorientowałam się, kto nas nawołuje. To był ten sam głos, który tak bardzo pragnęłam usłyszeć. Głos Shuna. Satoru zerwał się biegiem, ruszając mu na spotkanie.

– Shun! Maria! Mamoru!

Biegłam opętańczo naprzód, w stronę światła, odurzona szczęściem.

Cała nasza piątka rzuciła się sobie w objęcia; klepaliśmy się po ramionach, płakaliśmy i śmialiśmy się szaleńczo jak wariaci. Wspomnienia o całym cierpieniu, które nas spotkało wyparowały w jednej chwili a problemy które nas dopiero czekały wydały się odległe o miliony lat. To, że spotkaliśmy się wszyscy – cali, zdrowi i w jednym kawałku było prawdziwym cudem, którym nie mogliśmy się nacieszyć.

Pragnęłam wtedy, by czas się zatrzymał.

Gdyby rzeczywiście tak się stało, nasza pięcioosobowa grupka nie skurczyłaby się tak bardzo...

– No dobrze, wracajmy więc do kajaków! – Shun jako pierwszy zdołał ochłonąć. – Będziemy mieć później mnóstwo czasu na opowiadanie naszych historii.

Po tych słowach przypomniało mi się nagle, że jest cała góra pytań, które chciałabym zadać.

– A co to takiego? – Coś za moimi plecami przestraszyło Marię.

– Och, on nazywa się Squealer – powiedziałam, głaszcząc ją delikatnie po ramieniu. – Doprowadził nas aż tutaj.

– Spotkanie z wami to dla mnie zaszczyt. Jestem Squealer z kolonii Łowików.

Wszyscy troje byli zszokowani jego płynną mową.

– Łowiki straciły wielu żołnierzy podczas wojny z Ziemnymi Pająkami, lecz znacząco przyczyniły się do zwycięstwa nad nimi – wyjaśnił Satoru.

– Ziemne Pająki zostały pokonane? Naprawdę? – spytał Mamoru z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Tak. Armia Olbrzymich Szerszeni przybyła w samą porę i zmiotła je z powierzchni ziemi, ale porozmawiamy o tym później. Teraz nie ma na to czasu. Musimy dostać się do łodzi najszybciej jak się da.

– A-ale...

Nawet Shun wydawał się mieć problemy ze zrozumieniem naszej obecnej sytuacji.

– Skoro nie ma już Ziemnych Pająków, to chyba nie musimy już uciekać, prawda?

– Musimy. Potem to wyjaśnię – ponagliłam ich.

– Ale przed czym w takim razie uciekamy? – spytała Maria, nie spuszczać z oczu przewodzącego naszej grupie Squealera.

– Przed kolonią Olbrzymich Szerszeni. Przed generałem Kiroumaru – odparł Satoru.

– Że co? A-ale przecież Olbrzymie Szerszenie są lojalne w stosunku do ludzi, no nie? – zapytał się Mamoru z widoczną na twarzy konsternacją.

– I właśnie dlatego stanowią zagrożenie – odpowiedział Satoru, po czym nagle zamilkł.

Squealer szedł na tyle blisko, że na pewno był w stanie wszystko usłyszeć. Musieliśmy ważyć słowa, żeby przypadkiem nie wymuskał nam się dokładny powód, dla którego mieliśmy zostać wyeliminowani.

– Wszystko później wyjaśnię. Po prostu mi zaufajcie.

Shun, Maria i Mamoru wydawali się nastawieni nieco sceptycznie lecz bez słowa skinęli głowami. Darzyliśmy się nawzajem bezwzględny zaufaniem; wtedy po raz pierwszy dostrzegłam, jak bardzo pokrzepiający jest ten fakt.

Szybko minęliśmy zakole rzeki. Zgodnie z tym, co powiedział Squealer, przestrzeń stawała się coraz bardziej otwarta. Już niedługo powinniśmy dojść do miejsca, w którym wąska dolina przechodzi w płaską równinę, a po kolejnym kilometrze drogi ujrzeć błyszczące w słońcu wody jeziora Kasumigaura.

Nasze nastroje znacznie się poprawiły, jednak było jeszcze za wcześnie na świętowanie. Idący przodem Squealer nagle się zatrzymał i przekrzywił głowę, uważnie czegoś nasłuchując.

Z doliny dochodził dziwny ptasi śpiew.

Kyokyokyokyokyokyokyoko...

Kozodój.

Potwierdziły się moje wcześniejsze przypuszczenia. To nie był dziki ptak, lecz szpieg, wysłany przez Kiroumaru by nas śledzić.

– Biegiem! – ryknął Satoru.

Pomimo, że roztrząsanie jego decyzji o ucieczce już po fakcie było bezsensowne, cały czas zastanawiałam się, czy podjął ją słusznie. Od jeziora Kasumigaura wciąż dzielił nas spory dystans, a po dotarciu do brzegów i tak musielibyśmy mieć dodatkowy czas na odnalezienie ukrytych w trzcinie kajaków. Ponadto, przez to, że uciekaliśmy, ścigającym nas dziwoszczurom rzeczywiście mogło zdawać się, iż jesteśmy czemuś winni, co było dla nich dodatkowym pretekstem do pogoni za nami. Poza tym było to właściwie równoznaczne z obwieszczeniem całemu światu, że nie możemy używać cantusu.

Skoro jednak już zaczęliśmy biec, nie było czasu na to by się zatrzymać i przedyskutować słuszność naszego działania. Kierując się w stronę równin gnaliśmy w dół doliny tak długo, że aż zaczęłam myśleć, że zaraz wypluję płuca.

– Poczekajcie... chwilkę. Już... nie mogę... biec.

Czułam zażenowanie tym, że to ja pierwsza musiałam się zatrzymać. Trzeba zacząć od tego, że nigdy nie byłam dobra na długich dystansach; dokładając to tego wszystko, przez co przeszłam podczas poprzednich dni, byłam skrajnie wyczerpana. Pięcioro ludzi i jeden dziwoszczur zatrzymali się, wariacko dysząc.

– Jeszcze kawałek. Zdaje się, że pamiętam to miejsce. Brzeg powinien być tuż za tamtymi drzewami – powiedział Shun, wskazując na niewielki zagajnik, znajdujący się jakieś dwieście lub trzysta metrów przed nami.

– Ruszajmy dalej. Nawet, jeśli nie dajesz rady biec, po prostu idź i się nie zatrzymuj – dodał Satoru, biorąc mój plecak.

Powoli ruszyłam, idąc przodem.

– Czym był ten podobny do ptasiego trelu dźwięk? – spytała Maria.

– To kozodój. Szpicel kolonii Olbrzymich Szerszeni.

Maria wydawała się nie do końca wierzyć moim słowom.

– To prawda. One dobrze widzą w ciemności, więc wykorzystuje się je, gdy trzeba przeprowadzić nocny zwiad.

Wyjaśnienie Squealera najwyraźniej do końca ją przekonało. Pomyślałam, że to trochę paskudnie z jej strony, że bardziej zawierzyła temu szkaradnemu stworowi niż swojej najlepszej przyjaciółce.

– Ale przecież jest już jasno – zauważył Mamoru, spoglądając w niebo.

Wciąż mokre od porannej rosy kwiaty błękitnych komelin zaczęły rozwijać się pod naszymi stopami.

– Podczas dnia wykorzystują inne ptaki, tak? – spytał Squealera Satoru.

Las budził się do życia; dobiegała zeń ptasia pieśń na którą składało się wiele różnych głosów.

– Dokładnie. Słyszałem, że gdy jest jasno, używają kruków ze względu na ich wysoką inteligencję.

Dokładnie w tym momencie ów ptak, jakby chcąc celowo przerwać naszą rozmowę, donośnie zaskrzeczał.

– Gdzie on jest? – Satoru rozglądał się rozpaczliwie wkoło.

– Tam! Na tym drzewie!

Maria miała najostrzejszy wzrok z nas wszystkich. Na rosnącym sto metrów na wprost uschniętym drzewie przysiadł złowrogi, czarny kształt.

– Jesteś absolutnie pewna, że ten kruk rzeczywiście nas obserwuje? – wyszeptał nie do końca przekonany Shun.

Po dokładnym przyjrzeniu się ptakowi, nie wydawało się by jakoś szczególnie poświęcał nam uwagę.

– W każdym razie, po prostu się pospieszmy. Jeśli damy radę znaleźć kajaki zanim pojawi się tu Kiroumaru, powinno być dobrze.

Satoru maszerował żwawo tuż przy mnie. Przedzierając się przez dębowo-kasztanowy zagajnik słyszeliśmy ulotny dźwięk pluszczącej wody. Zmienił się kierunek wiatru, przez co mogliśmy wyczuć płynącą ze wschodu charakterystyczną woń jeziora. Zapominając o ostrożności pognaliśmy przed siebie, aż w końcu stanęliśmy u brzegów jeziora Kasumigaura, zarośniętych olbrzymimi połaciami szumiących delikatnie trzcin.

– Tam! – Shun wskazał miejsce, w którym ukryliśmy łodzie i popędził w jego kierunku.

Ruszyliśmy za nim, lecz w tym samym momencie niebo nad naszymi głowami przeciął duży cień. Spojrzałam w górę i zobaczyłam kruka. Zastanawiałam się, czy to ten sam ptak, którego widzieliśmy poprzednio. Zatoczył leniwie kilka kręgów cztery lub pięć metrów nad nami, po czym wylądował na sosnowej gałęzi, z której zaczął nam się uważnie przyglądać, kracząc zadziornie. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak straszni potrafią być ludzie.

Żałowałam, że nie mogę użyć cantusu. Z chęcią cisnęłabym kamieniem w łeb ptaszyska. Brodziliśmy w mule po kolana, torując sobie drogę przez trzciny w poszukiwaniu kajaków, których jednak nigdzie nie było widać. Byłam praktycznie pewna, że znajdujemy się we właściwym miejscu, jednak po trwających ponad pięć minut bezowocnych poszukiwaniach zaczęłam się niecierpliwić. Kruk cały czas siedział na drzewie, śledząc każdy nasz ruch i przeraźliwie skrzecząc.

– Dziwne. To raczej niemożliwe, żeby odpłynęły z prądem...

Nawet Shun zaczął wątpić w swoją pamięć. Pomoc nadeszła jednak z najbardziej nieoczekiwanej strony.

– Znalazłem je! – krzyknął Mamoru. Jego głos nigdy wcześniej nie dodał mi takiej otuchy jak wtedy. Szybko otrzepaliśmy się z błota i pognaliśmy w jego stronę.

Kajaki musiały zerwać się z utrzymujących je linek i podryfować z wiatrem. Gdyby nie kotwice, które utkwiły w mulistym dnie, prawdopodobnie odpłynęłyby jeszcze dalej.

Niezwłocznie odcumowaliśmy łodzie. Podobnie jak poprzednio, Satoru i ja zajęliśmy Sakuramasu 2, Maria wraz z Mamoru wsiedli do Hakurena 4 a Shunowi przypadł Kamuruchi 7.

– No cóż, w takim razie na mnie już pora – rzekł Squealer, stojąc na brzegu i obserwując, jak szykujemy się do odpłynięcia.

– Dziękujemy. Bez ciebie nie dalibyśmy rady dotrzeć tak daleko – podziękowałam mu z głębi serca. Przynajmniej w tej kwestii byłam wtedy szczerą.

– Życzę wam bezpiecznej podróży.

Squealer stał w pełnej szacunku pozie podczas gdy kajaki powoli oddalały się od brzegów

– Ruszajmy – powiedział Satoru.

Odwróciłam się i zanurzyłam wiosło w wodzie. Tym razem nikt z nas nie mógł skorzystać z cantusu; nie mieliśmy więc innego wyboru jak ręczne napędzanie łodzi przez całą drogę.

Zaczęliśmy niezdarnie machać wiosłami. Wiedzieliśmy, że gdy dopłyniemy do głównego nurtu rzeki Tone, będziemy mogli płynąć z prądem; do tego czasu jednak musieliśmy polegać na sile mięśni.

Niestety, popełniliśmy błąd, forsując się nadmiernie na początku podróży. Wszyscy byliśmy już zupełnie wyczerpani gdy do przepłynięcia pozostała jeszcze dosyć duża odległość. Ramiona straszliwie mnie bolały a całe dłonie miałam usiane pęcherzami. Nie minęło jeszcze południe, ale wszyscy byliśmy już spaleni bezlitosnym słonecznym żarem. Woda, którą opryskałam sobie twarz, by się schłodzić, wyparowała w ciągu pięciu minut.

– Hej, zatrzymajmy się na chwilę – zaproponował Shun, patrząc na nas z niepokojem. Pomimo tego, że wiosłował w pojedynkę, i tak przemieszczał się dużo szybciej od reszty naszej grupy.

– Radzę sobie jakoś – odkrzyknął Satoru.

– Mieliśmy dużą przewagę na starcie. Powinniśmy trochę odpocząć, jeśli jest taka możliwość.

Chciałam jak najszybciej popłynąć dalej, ale nie dało się ukryć, że od poprzedniego dnia porządnie nie odpoczęliśmy.. Zdecydowaliśmy się przystać na propozycję Shuna i zrobić sobie małą przerwę.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności słońce zostało przysłonięte przez dryfujący obłok; mogliśmy więc bez przeszkód podziwiać błękit nieba, leżąc na dnie kajaku.

Słuchając usypiającego szumu fal, pogrążyłam się w półśnie. Upłynęło jednak zbyt mało czasu od chwili, gdy ledwo wyrwałam się ze szponów śmierci, bym mogła całkowicie zasnąć. Cały czas rozmyślałam nad tym, co teraz zrobimy. Posiedliśmy zakazaną wiedzę. Jeśli teoria Satoru była prawdziwa, staliśmy się celami do tego, co określaliśmy mianem „wymazania”. *Czy możemy jakoś uniknąć tego losu?*

Poczułam jak coś zsuwa mi się po klatce piersiowej pod koszulką. Odruchowo przytrzymałam tę rzecz prawą dłonią, wyciągnęłam ją na wierzch i przyjrzałam się jej. To był mały woreczek - amulet zawieszony na fioletowym sznurku. Na jego przedniej części wyryto ozdobną czcionką inskrypcję: „ochrona przed karmicznymi demonami”. Zeszłej wiosny, wszyscy uczniowie Akademii Mędrców odwiedzili kapliczkę, gdzie otrzymali takie ochronne talizmany.

Nauczyciel mówił nam, żebyśmy nigdy nie otwierali wisiorków, lecz im bardziej coś jest zabronione, tym większa chęć na zrobienie tej rzeczy – taka jest już ludzka natura. Muszę przyznać, że spośród wszystkich uczniów to ja pierwsza dałam się pokonać ciekawości.

Niecierpliwie czekałam do momentu, gdy będę sama; gdy tylko tak się stało, od razu otworzyłam amulet.

Woreczek nie był zaszyty, a jedynie lekko zawiązany sznurkiem, więc z łatwością mogłam wyjąć jego zawartość. Wewnątrz znajdował się złożony skrawek papieru oraz szklany dysk. Na karteczce czarnym tuszem zapisano dziwaczne litery, bardziej przypominające obrazy niż typowe pismo. Przyprawiło mnie to o gęsią skórę, więc szybko z powrotem złożyłam papierek. Długo przypatrywałam się szklanej płytce.

Była wykonana z przejrzystego szkła, okrągła, miała średnicę około pięciu centymetrów i przypominała miniaturowy model galaktyki. Wewnątrz mieniły się subtelne złociste pasemka, układające się w skomplikowane wzory; na powierzchni dysku pojawiały się coraz to nowe utkane z nich obrazy. Widziałam malutkie bambusowe łodygi. Gdy przypatrzyłam się z bliska dostrzegłam także mikroskopijne listki i fantazyjny czerwony owoc. Obok niego pojawiły się ołówki, kubeczki, kwiaty i inne spotykane na co dzień rzeczy. Na koniec spod nich wszystkich wyłonił się kształt maski czystości.

Tak zwane maski czystości, noszone przez dzieci podczas dnia pogoni za demonami, były wykonane z wilgotnej gliny, pokrytej warstwą białej kredy. Przypominały ludzką twarz, lecz wszystkie były identyczne i całkowicie pozbawione wyrazu. Ta maska różniła się jednak od pozostałych. Gdy na nią patrzyłam, widziałam w niej swoje własne oblicze.

Leżąc na dnie kajaku z zamkniętymi oczyma, wyczułam szklany dysk przez materiałową powłokę talizmanu.

Odwróciłam się po cichu, zerkając na Satoru. Wydawał się kompletnie zrelaksowany; użył plecaka jako poduszki i kołysał się w rytmie unoszonej falami łodzi. Sądząc po jego spokojnym, równym oddechu, najprawdopodobniej drzemał.

Interesowanie się rzeczami, od których powinno trzymać się z daleka jest złym nawykiem, jednak czasami wpływa to na mnie uspokajająco. Otworzyłam amulet i wyjęłam ze środka szklaną płytkę.

Odbijające się od niej światło mogło przyciągnąć uwagę pozostałych, więc szybko ukryłam dysk w skulonych dłoniach, po czym uważnie mu się przyjrzałam.

Nie bardzo wiem, jak mogłabym opisać to dziwne, niepokojące uczucie, jakiego wtedy doznałam.

Mam na myśli, że na pierwszy rzut oka dysk wydał mi się w jakiś nieokreślony sposób inny niż poprzednio. Patrzyłam na niego na tyle często, by kompozycja złocistych wzorów wyryła się w mojej pamięci. Tak bardzo pragnęłam jednak ukojenia, które przyniosło mi spoglądanie na płytkę, że mimo wszystko wręcz pożerałam ją wzrokiem. *Nie. Coś jest nie tak. Inaczej, niż zwykle.* To nie moja wyobraźnia sprawiała, że idealne uprzednio kompozycje bambusowych łądyżek stały się teraz zdeformowane. Powodował to raczej fakt, że zatopione w głębi szkiełka geometryczne desenie stały się wykrzywione.

Gdy skupiłam wzrok na masce czystości, przez ciało przebiegł mi dreszcz. Maskę się rozpląwała... To była bardzo nieznaczna zmiana, a obraz nadal przypominał moją twarz; miałam jednak nieodparte wrażenie że maska czystości powoli przekształca się w oblicze karmicznego demona.

Instynktownie odrzuciłam dysk jak najdalej od siebie, prosto w wodę jeziora. Satoru uniósł głowę, słysząc pluśnięcie.

– Co się stało?

– Nic takiego – odparłam, wymuszając uśmiech. – Nie powinniśmy już ruszać dalej?

– Racja.

Satoru głośno krzyknął w stronę pozostałych łódek i po chwili ponownie ruszyliśmy w drogę.

Co stało się z tą twarzą? – pytałam się w myślach. Strasznie ciążyło mi wspomnienie tego, co widziałam. *Dlaczego ona się topiła?*

A może to nie działo się naprawdę...? Przepelniały mnie wątpliwości. Czyżby to była tylko moja wyobraźnia? Iluzja wywołana przemęczeniem umysłu?

Nagle bardzo pożałowałam tego, że wyrzuciłam dysk do wody. Byłam pewna, że gdybym tylko mogła jeszcze raz rzucić na niego okiem, wszystko wróciłoby do normy.

Nie, nie wróciłoby. Na pewno nie wyobraziłam sobie przeszywającego dreszczu, jaki poczułam gdy zobaczyłam maskę. Twarz wewnątrz szklanej płytki *naprawdę* się rozpadała.

Ale dlaczego ta twarz, moja twarz, się rozpływała? Nie, chwila... To nie była moja twarz. Podobieństwo musiało być przypadkowe, w końcu talizmany były rozdawane losowo.

Czy aby na pewno...? Przestałam wiosłować, pogrążona w myślach.

Pomimo, że w istocie stworzono pozory losowości, czy to możliwe, że od początku było ściśle określone, któremu dziecku przypadnie konkretny wisiorek? Jeśli tak nie było, to dlaczego w takim razie ustawiono nas w rzędzie zgodnie z miejscami na liście, zamiast po prostu puścić w obieg pudełko z amuletami, pozwalając na wybranie dowolnego z nich...?

– Hej, Saki, zacznij wiosłować jak należy – narzekał Satoru.

Podążając tym tropem, zawartość każdego talizmanu była inna. To, że maska czystości wewnątrz mojego wisiorka przypominała moją twarz nie było zwykłym zbiegiem okoliczności. Czyżby maski czystości wewnątrz szklanych dysków zawsze wyglądały podobnie do twarzy właściciela wisiorka?

– Sakiiii!

– Dobra, dobra. Słyszę.

Zanurzyłam wiosło w wodzie i ponownie oddałam się rozmyślaniom.

Nawet jeśli tak jest, to po co to wszystko? Każda maska jest wizerunkiem ucznia. Czy za tym stoi jakieś ukryte znaczenie?

Nieważne, jak usilnie o tym myślałam, nie potrafiłam znaleźć logicznego uzasadnienia. Doszłam jedynie do wniosku, że skoro włożono w całą tę szopkę tyle wysiłku, amulet nie mógł być po prostu zwyczajnym talizmanem; musiał służyć jeszcze w jakimś innym celu.

Od chwili spotkania fałszywego minoshiro moje postrzeganie dorosłych diametralnie się zmieniło. Podejrzewałam, że wszystkie rzeczy, które każą nam robić są jedynie kolejnymi metodami inwigilacji dzieci.

Nawet same amulety mogą być narzędziami, dzięki którym nas kontrolują. Całe to stwierdzenie, że chronią przed karmicznymi demonami może być zwykłą przykrywką.

Zanurzyłam jeziorze chusteczkę i otarłam nią czoło. Chłodna woda spłynęła mi po skroniach i wyparowała zanim zdążyła dotrzeć do policzków, jednak nawet tego nie zauważyłam, głęboko pogrążona w zadumie.

Na nieszczęście, nie zdążyliśmy spytać fałszywego minoshiro o to, czym naprawdę są karmiczne demony. Wydawało się jednak, że podobnie jak Bestie, stanowią one istotne, prawdziwe zagrożenie.

Wydawało mi się, że w końcu zaczynam rozumieć. To było instynktowne uczucie, którego nie potrafiłam jeszcze ubrać w słowa.

Chyba wiem. Czyżby talizman był tak naprawdę wykrywaczem karmicznych demonów? Ostrzegającym nas, gdy w pobliżu znajduje się niebezpieczeństwo? Gdy demon jest blisko? Albo, może...?

– Saki!

Łańcuch moich myśli został przerwany krzykiem Satoru. Przez moment pomyślałam, że jest na mnie zły, za to, jak słabo wiosłuję, jednak błyskawicznie uświadomiłam sobie, że chodzi o coś zupełnie innego.

Nad głową przeleciał mi niewielki cień. Gdy spojrzałam w górę, w ułamku sekundy zorientowałam się, że to ten sam kruk, którego spotkaliśmy wcześniej. Głośno zaskrzeczał, zatoczył nad nami koło, po czym odleciał w kierunku, z którego przybył.

Gdy się obróciłam, na horyzoncie ujrzałam całą flotyllę łodzi, płynących pod pełnymi żaglami w naszą stronę. W samym środku formacji znajdował się olbrzymi okręt wojenny; był co najmniej trzy razy dłuższy od naszych kajaków. Pokład po brzegi był wypełniony dziwoszczurzymi żołnierzami.

– Saki... – westchnął Satoru z rezygnacją. – Złapali nas. Spójrz, tam jest Kiroumaru.

Chwyciliśmy się za ręce i czekaliśmy na podpłynięcie statku dziwoszczurów. Dłoń Satoru lepiała się od potu; prawdopodobnie tak samo było z moją własną ręką.

W milczeniu przypatrywaliśmy się widokowi jeziora Kasumigaura. Kajaki pruły przez wodę znacznie szybciej niż wtedy, gdy wiosłowaliśmy by wprowadzić je w ruch.

Wszystkie trzy łodzie zostały przywiązane linami do okrętu flagowego dziwoszczurów. Mknący przez jezioro statek był napędzany przez kilka dziwnych, trójkątnych żagli.

– Nie miałem pojęcia, że ich okręty są tak zaawansowane – powiedział Satoru.

– Czy to możliwe, że w tej dziedzinie ich osiągnięcia przewyższają ludzkie?

– No cóż, my posiadamy cantus. Nie potrzebujemy żagli do sterowania statkami, prawda?

Istnieje pewien limit prędkości, niezależnie od tego jak wielkich żagli się użyje. Wykorzystując cantus, omija się to ograniczenie.

– No tak... – Satoru skrzyżował ramiona i wlepił wzrok w zasnutą mgłą góry.

– A kogo obchodzi dziwoszczury? Wracając do tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej...

– Ach, tak. – Satoru wyciągnął swój amulet zza kołnierza.

– Sprawdź to.

Otworzył wisiorek bez wahania.

– Zaglądałeś już wcześniej do środka?

– Czy to nie oczywiste? Chyba nie ma osoby, która by tego nie zrobiła – powiedział, unosząc dysk na wysokość oczu.

– No i...?

Twarz Satoru pobladła.

– Daj mi spojrzeć.

– Nie – odparł, ściskając szklaną płytkę tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie.

– Jest inna niż zazwyczaj?

– Tak.

Satoru nie rozwinął swojej odpowiedzi, lecz to, co usłyszałam wystarczyło bym poczuła się trochę lepiej. Przynajmniej nie tylko mój talizman się zmienił.

– Czy to możliwe, że stopiły się z powodu gorąca? – spytałam bez przekonania.

– To niemożliwe, niezależnie od tego jak jest upalnie ani jak słaby jest materiał. Poza tym przez cały czas były wewnątrz woreczków, które chroniły je przed słońcem.

– No więc jak to się stało?

– Nie mam pojęcia – nachmurzył się. – Cokolwiek to oznacza, z pewnością nie jest to nic dobrego... – Satoru zamilkł, wpatrując się w przeciwległy brzeg.

– Myślę, że najlepsze, co można zrobić, to go wyrzucić – powiedział.

– He?

Bez chwili namysłu zdjął talizman i cisnął go w wodę jeziora. Ciężar szklanego dysku spowodował, że bawełniana torebka powoli zaczęła tonąć.

– Czekaj, co ty wyprawiasz?

– W porządku, zrób to samo ze swoim, Saki.

– Dlaczego?

– Jeśli po naszym powrocie odkryją, co stało się z amuletami, może wydarzyć się coś złego. Rozpływanie się masek czystości to definitywnie zły znak. Musimy sprawdzić dyski Shuna i pozostałych.

Jeśli okażą się zmienione, musimy nakłonić ich, by również pozbyli się amuletów.

– Ale w ten sposób nic nas nie ostrzeże, jeśli znajdziemy się w pobliżu karmicznego demona.

– Więc jeśli tak się stanie, po prostu będziemy musieli stawić mu czoła. Nie wiemy nawet czym dokładnie są karmiczne demony – odparł Satoru, cały czas krzyżując ręce.

– Ale jak to wytłumaczymy? Gdyby jedno z nas zgubiło amulet, nie byłoby to niczym dziwnym, lecz gdy wszyscy wrócimy bez nich, z pewnością zaczną coś podejrzewać.

– No tak. Masz rację... Chociaż nie, właściwie to coś wymyśliłem! Możemy powiedzieć, że zabrały je nam Ziemne Pająki, kiedy nas uwięziły. Shun i reszta będą musieli oczywiście powiedzieć, że również trafili w ich niewolę.

Dokładnie tego można było się spodziewać po takim kombinatorze jak Satoru. Zastosowałam się do jego rady, wyrzucając za burtę resztę mojego talizmanu. Analizując chłodno całą sytuację, rzeczywiście nie dałoby się wytłumaczyć dlaczego odebrano mi tylko szklany dysk, a nie cały wisiorek. Bez obciążenia zawartością, woreczek dryfował po powierzchni wody aż w końcu znikł mi z pola widzenia.

Kiedy na dobre straciłam go z oczu, okręt dziwoszczurów zbliżał się już do celu, ciągnąc za sobą nasze kajaki.

Żołnierz Olbrzymich Szerszeni zszedł z pokładu i porozwijał liny. Były one co prawda zaledwie przerzucone luźno przez uchwyty znajdujące się z tyłu naszych łodzi, jednak nie dalibyśmy rady odpiąć ich z naszej strony.

Na mostku okrętu wojennego pojawił się niezwykle rosły dziwoszczur. Przybył Kiroumaru. Pomimo tego, że zraniony we wczorajszej eksplozji bark miał owinięty bandażami, nadal poruszał się z werwą, jakby w ogóle nie odczuwał bólu spowodowanego odniesionymi urazami.

– Jak się czujecie?

– Podróż była dzięki tobie dość przyjemna – odparłam.

Wilczy uśmiech Kiroumaru rozszerzył się, sięgając mu prawie po same uszy.

– Spójrzcie tam, na to miejsce, gdzie promienie słońca tańczą, odbijając się w wodzie. To właśnie północna granica rzeki Tone... Przepraszam was, ale nie możemy popłynąć z wami dalej.

– Nie martw się o to. Dalej już poradzimy sobie sami.

Dzięki temu, że ogromny okręt dziwoszczurów wziął nas na hol, daliśmy radę przepłynąć olbrzymie jezioro w niespełna trzy godziny. Nie zdołalibyśmy tego dokonać przed zachodem słońca, gdybyśmy musieli samodzielnie wiosłować. Zastanawiałam się jednak, dlaczego nie mogą popłynąć dalej. Satoru też najwyraźniej nie do końca to rozumiał, ale nie odzywał się.

– Bogowie, bogowie. – Squealer wychylił się zza pleców Kiroumaru. Tutaj ostatecznie się rozstajemy. Będę się modlił, by wasza podróż przebiegła bez niebezpieczeństw.

Nie byłam pewna, co o tym sądzić. Oczywiście, sprawiał wrażenie jakby naprawdę się o nas martwił, lecz przypuszczałam, że cały czas, począwszy od przeprowadzenia nas przez las a na zdradzeniu naszej pozycji skończywszy, wykonywał rozkazy Kiroumaru.

– Tobie też życzymy wszystkiego dobrego. Uważaj na siebie. Byłoby bardzo dobrze, gdybyś zdołał odbudować swoją kolonię. – Spróbowałam zdławić swoje podejrzenia i odpowiedzieć mu szczerze.

Kiedy szykowaliśmy się już do wypłynięcia usłyszałam za sobą głos Kiroumaru.

– Mam prośbę.

– Jaką? – spytał Satoru.

– Kiedy wrócicie, nie mówcie, proszę, że holowałam wasze kajaki.

– Dlaczego? – Byłam szczerze ciekawa powodu.

– Nie mogę powiedzieć, ale gdyby to się wydało, zostałbym skazany na śmierć – odparł Kiroumaru. W jego oczach zauważyłam

błysk powagi, którego nie zaobserwowałam nawet wtedy, gdy dowodził bitwą.

– Rozumiemy. Zachowamy to w tajemnicy – odpowiedział cicho Satoru.

Nie byłam do końca pewna co sprawiło, że z taką łatwością wiosłowaliśmy w dół rzeki – czy to dlatego, że wypoczęliśmy i zregenerowaliśmy siły, czy też może dzięki wartkiemu nurtowi Tone. Kiedy spojrzeliśmy do tyłu, okręt wojenny był już jedynie punkcikiem na horyzoncie.

– Kiroumaru ryzykował życiem, żeby nam pomóc – powiedziałam bardziej do siebie samej niż do Satoru.

– Masz rację. Jestem przekonany, że otrzymał od Komisji rozkaz by nas zatrzymać. – W jego głosie dało się wyczuć dumę, wynikającą zapewne z tego, że jego teoria okazała się prawdziwa. – Z pewnością właśnie dlatego musiał zawrócić w tamtym miejscu. Okrętowe żagle byłyby widoczne z bardzo daleka, więc jeśli ktoś z wioski obserwowałby rzekę, dorośli szybko dowiedzieliby się, że Kiroumaru zignorował ich polecenie i udzielił nam pomocy.

– Ale dlaczego...?

– Czy to w ogóle podlega wątpliwości? – Satoru uśmiechnął się, jakby chciał sobie ze mnie zadrwić za to, że nie dostrzegam czegoś oczywistego. – Ponieważ ocaliliśmy go wczoraj przed bombopsami. Gdybym się ich nie pozbył, Kiroumaru byłby teraz tak samo martwy jak Rijin.

– Hej! – dobiegł z przodu głos Shuna.

– Hej! Już odpływamy! – odkrzyknął Satoru.

Gdy usłyszałam jego głos, w moim wnętrzu pękła jakaś tama. To było zupełnie, jakby poprzednie trzy dni były tylko długim snem, w którym po prostu w ramach obozowej wyprawy siedzieliśmy w kajakach i wiosłowaliśmy, płynąc po rzece.

– Hej, Saki! Co się dzieje? Ej... – Satoru wydawał się zdezorientowany, bo nie przestawałam płakać, wybuchając od czasu do czasu niekontrolowanym śmiechem. Szlochałam tak przez dobre

dziesięć minut. Szybko zbliżyliśmy się do pozostałych kajaków i moje zachowanie udzieliło się także Marii, przechodząc w histeryczny lament.

Choć chłopcy wydawali się już tym znużeni, w końcu wyplakałam się z głębi serca i poczułam ogromną ulgę. Dotarliśmy do północnych granic Tone i zaczęliśmy spływać w dół rzeki. Teraz czekała nas już tylko bezstresowa podróż powrotna do wiosek... cóż, przynajmniej chciałam, żeby tak było. W rzeczywistości jednak pojawiały się coraz to nowe przeszkody. Po pierwsze, nie mieliśmy doświadczenia w sterowaniu kajakami bez cantusu. Poza tym nasze zmęczenie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, dawno już osiągnęło szczyt. Fakt, że słońce zaczęło zachodzić i robiło się coraz ciemniej również nie ułatwiał podróży. Kroplą, która przelała czarę goryczy było to że, nasze kajaki zaczęły przeciekać z powodu licznych uszkodzeń, powstałych w wyniku częstego uderzania o skały i pozostałe łodzie. To, że wszyscy przeżyliśmy można uznać za cud.

Kiedy opadła ciemna kurtyna nocy, rzeka ponownie zaczęła zmieniać wygląd. Światło gwiazd odbijało się i drżało na obsydianowoczarnej powierzchni wody, dając złudzenie, że pozostajemy w bezruchu. Ryk wody sprawiał jednak, że łagodny nurt rzeki wydawał się bardziej rwący niż był w rzeczywistości.

Poczułam instynktowny dyskomfort. To było dziwne wrażenie cofania się pamięcią do chwil długo przed moimi narodzinami; starożytne, wrodzone wspomnienie, będące dziedzictwem naszych jaskiniowych przodków.

Chcąc dokładniej opisać, czym było to uczucie, posunęłabym się do stwierdzenia, że dopadło mnie po prostu przemożne pragnienie jak najszybszego powrotu do domu. Satoru i ja bardzo obawialiśmy się tego, co może czekać na nas po powrocie. Biorąc pod uwagę naszą ówczesną kondycję fizyczną, kontynuowanie podróży po rzece tamtej nocy byłoby samobójstwem. Nie mieliśmy więc innego wyjścia jak rozbicie obozu, jednak przez długi czas nie mogliśmy wypatrzeć

odpowiedniego miejsca. Przypomniałam sobie wysuszone stare koryto rzeki, które mijaliśmy tuż przed zmierzchem i poczułam lekkie ukłucie irytacji. Wszyscy chcieli dotrzeć tak daleko, jak tylko się da, więc kontynuowaliśmy wiosłowanie bez żadnych przerw, mimo, iż każdy z nas wiedział, że i tak nie damy rady dotrzeć do wioski. Powinniśmy byli zatrzymać się w tamtym miejscu.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy obszar nadający się do rozbicia namiotów, byliśmy zupełnie wyczerpani. Znajdowaliśmy się tak blisko brzegów, że gdyby rzeka choć trochę wezbrała, potopilibyśmy się. Do tego kamieniste podłoże było zbyt nierówne, by móc komfortowo się wypaść. Nie trzeba więc dodawać, że nie była to najlepsza lokalizacja na obozowisko.

Ostatkami sił wznieśliśmy ręcznie trzy namioty. Wykopaliśmy dziury na tworzące szkielet schronień tyczki, przykryliśmy konstrukcje płachtami płótna i przywiązaliśmy je skórzanymi rzemykami. Nie wiedzieć czemu, nie udało nam się sprawić by namioty wyglądały tak dobrze, jak podczas naszej pierwszej nocy na obozie.

– Dziwne. Czemu tak nam nie idzie? – burknął zmęczony Satoru.

– Wtedy skorzystaliśmy z cantusu – odparł Shun, nadal męcząc się z poprawnym ustawieniem namiotu.

Jeśli o tym pomyśleć, nie sposób nie przyznać mu racji. To było zaledwie trzy dni temu, ale wydawało mi się, że minęła cała wieczność.

– Satoru, wciąż nie możesz używać mocy? – spytałam, chwytając się ostatniego promyka nadziei.

– Uch – pokiwał głową. – Jestem zbyt wyczerpany, by się skoncentrować, ale może dam jakoś radę z czymś tak prostym.

– Co? O czym wy mówicie? – wtrąciła się kompletnie zdezorientowana Maria.

Opowiedziałam im o tym, jak przypominałam sobie mantrę Satoru i zdołałam go zahipnotyzować by przywrócić mu cantus.

– Rozumiem! Więc wystarczy, że będziemy znać nasze mantry, a uda nam się odzyskać moc – podekscytował się Shun. – Daliśmy się złapać na bajeczkę mnicha. Jego hipnoza nie była niczym wielkim. Nawet Saki dała radę odwrócić jej skutki.

Pomyślałam, że ostatnie zdanie było trochę zbędne.

– Ale czy wy w ogóle znacie swoje mantry? To, że zapamiętałam mantrę Satoru, było zwykłym przypadkiem. – oznajmiłam, rozglądając się po przyjaciółach.

Mimo totalnego mroku byłam w stanie określić, jaki wyraz zagościł na ich twarzach.

– Ja pamiętam swoją – powiedział Shun.

– Że co? Ale jak...?

– Wykorzystywałem różne metody zapamiętywania, żeby wyryć ją w pamięci. Mój cantus nie chce jednak powrócić, niezależnie od tego ile razy powtarzam sobie mantrę w myślach. Myślę, że hipnoza jest niezbędna by go odpieczętować.

Nasze mantry zostały skradzione; celem sugestii hipnotycznej było sprawienie, byśmy je zapomnieli, więc fakt, że Shun zdołał sam przypomnieć sobie swoją był więcej niż zdumiewający. Wyjaśnił nam, że skorzystał z wielu mnemotechnik, dzięki którym był w stanie odtworzyć treść swojej mantry zawsze, gdy ją zapomni.

– Ja w każdym razie nie pamiętam swojej – oznajmiła Maria z przygnębieniem.

– Zapisaliście ją gdzieś?

Maria, Mamoru i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Ja tak. – Przypomniałam sobie, że wyryłam jej treść na breloczku, który schowałam pod podłogowymi deskami.

– Ja też.

– I ja... Zapisałam ją w pamiętniku.

Każda sylaba naszych mantr była największą świętością, więc nie wolno nam było pozwolić komukolwiek poznać ich treści. Ściślej mówiąc, nie powinniśmy byli nawet ich zapisywać, jednak na szczęście cała nasza trójka uznała, że jest to zbyt ważna rzecz, by

powierzyć ją jedynie naszej pamięci i że należy ją utrwalić w jakiejś formie. Fakt, że pokazaliśmy sobie nawzajem z Satoru nasze mantry był tak niebywały, że w innych grupach podobna rzecz byłaby nie do pomyślenia. Patrząc na to z perspektywy czasu, był to kolejny z dowodów na to, że naszą grupę tworzyli specjalnie wyselekcjonowani uczniowie.

– A więc wszystko będzie dobrze. Kiedy dotrzemy do wioski, Satoru i ja zademonstrujemy im, że możemy używać cantusu. W ten sposób sprawimy, że nie będą podejrzewać, że nasze moce zostały zabezpieczone. Reszta z was może powiedzieć, że jesteście zbyt zmęczeni i chcecie wracać do domów. Następnie, gdy odnajdziecie swoje mantry, pójdziecie do Saki, która przywróci wasz cantus.

Słowa Shuna błyskawicznie rozwiały wszystkie moje zmartwienia. Pomimo tego, że nie cieszyłam się z powodu śmierci Rijina z rąk dziwoszczurów, nie dało się zaprzeczyć, że umarli nie zdradzają tajemnic.

Znacznie podniosło to nas wszystkich na duchu. Z pomocą Satoru, który ułożył płótna dzięki lewitacji, byliśmy w stanie rozbić wszystkie trzy namioty. Zebraliśmy suche gałęzie, rozpaliliśmy ognisko i ugotowaliśmy ryżowy kleik. Posiłek był pozbawiony smaku jeszcze bardziej niż kolacja, którą przygotowaliśmy pierwszego wieczoru, lecz smakował jak najwykwintniejsze danie świata.

Kiedy wszyscy się najedliśmy, usiedliśmy przy ogniu i po kolei opowiadaliśmy pozostałym co działo się z nami po tym, jak się rozdzieliliśmy. Opowieści Shuna, Marii i Mamoru nie były ani trochę ekscytujące. Po tym jak Satoru i ja zostaliśmy schwytani przez Ziemne Pajaki, zaczęli za nami podążać, czekając aż nadarzy się okazja do uratowania nas, ale szybko uświadomili sobie, że strażników jest zbyt wielu. Zdecydowali więc, że zawrócą i udadzą się po pomoc do wioski. Próbowali podróżować za dnia, lecz byli tak przerażeni odgłosami wojny, że większość czasu spędzili ukryci w zaroślach. Kiedy nocą zapadła cisza, szybko przedarli się przez las do Jeziora Kasumigaura. Kiedy się z nimi spotkaliśmy, wręcz nie

posiadali się z radości. Maria stwierdziła, że pomyślała wtedy, że to tanuki¹ sobie z nich zadrwił.

Dla odmiany, nasza historia przez cały czas trzymała ich w napięciu. Bez ustanku zarzucali nas pytaniami o to, co działo się, kiedy siedzieliśmy w klatce Ziemnych Pająków, a zwłaszcza ciekawił ich sposób, w jaki pozbyliśmy się strażnika. Kiedy jednak zaczęliśmy opowiadać o ataku na kolonię Łowików i naszej wędrówce przez podziemne tunele, całkowicie zamilkli. Rozpromienili się, kiedy doszliśmy do momentu, w którym w ostatniej chwili zdołałam przywrócić moc Satoru, dzięki czemu mogliśmy przypuścić potężny kontratak. Dalsza część naszych perypetii sprawiła, że ponownie zaniemówili; najwyraźniej to, w jaki sposób rozwinęła się sytuacja wykraczało poza ich najśmielsze oczekiwania.

Ponieważ to Satoru mówił, mi przypadło korygowanie jego historii i dodawanie fragmentów, które pominął. Satoru szczyił się swoimi zdolnościami gawędziarskimi, lecz często fantazja ponosiła go tak mocno, że myślałam, że będę zmuszona poprawić ponad połowę jego opowieści. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiłam. Cała trójka naszych przyjaciół siedziała z otwartymi na wpół ustami i błyszczącymi z zachwyty oczami, słuchając historii niczym grupka małych dzieci.

Kiedy Satoru skończył mówić, zapadła grobowa cisza, przerywana jedynie odgłosem trzeszczących płomieni. W końcu ktoś jednak otworzył usta, zapoczątkowując całą lawinę pytań. Wszystkich ciekawiło między innymi dlaczego tak bardzo chcieliśmy uciec od Kiroumaru po tym, jak nas obronił.

Satoru ponownie wyjaśnił, jak mają się sprawy. Spodziewałam się ich burzliwej reakcji na wieść, że najprawdopodobniej zostaliśmy przeznaczeni do eliminacji przez Komisję Etyki, ale przyjęli tę informację ze względny spokojem. Zdecydowanie przyczynił się do tego fakt, iż Shun najwyraźniej zgadzał się ze mną, że Satoru trochę

¹ Tanuki – japońskie zwierzęta należące do psowatych; według ludowych przypowieści są przebiegłymi stworzeniami, potrafiącymi zmieniać postać.

przesadza. Poza tym, kiedy wszystkie zagrożenia zostały zażegnane, wszyscy byliśmy w dobrych nastrojach. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem Shuna, zdołalibyśmy całkowicie zataić to, że Rijin zapieczętował nasz cantus. W takim przypadku, najgorszym co musielibyśmy znieść byłaby bura od nauczyciela.

– Liczę na ciebie, Saki – powiedział Shun, podając mi strzępek papieru. – Proszę, przywróć mi cantus.

Wzięłam głęboki wdech i skinęłam głową.

Rozwinęłam karteczkę i w świetle ogniska przeczytałam jej treść. Ta mantra była dosyć długa, składała się łącznie z ośmiu słów, złożonych z trzydziestu sześciu znaków. Miałam zamiar spalić paperek zaraz po tym, jak przeczytam mantrę, jednak nie byłam pewna, czy zdołam zapamiętać tak długi tekst. Zgniotłam kartkę w dłoni.

No dobrze. Zrobię to. Dam radę. Muszę tylko powtórzyć to, co zrobiłam z Satoru. Próbowałam uspokoić się w myślach, lecz tak naprawdę obie sytuacje różniły się znacząco w trzech kwestiach. Po pierwsze, Shun był w pełni przytomny. Poza tym miał pozostać całkowicie świadomy, kiedy będę go hipnotyzować i sam znał już treść swojej mantry. Wtedy jednak nie pomyślałam o żadnej z tych rzeczy.

– Spójrz na płomienie.

Wróciłam pamięcią to ceremonii przejścia w dorosłość i skierowałam uwagę Shuna na ognisko. Naczelny Mnich Mushin nakazał mi wyobrazić sobie, że poruszam płomieniami; w przypadku osoby, której cantus został zapieczętowany prawdopodobnie nie przyniosłoby to jednak efektu.

– Spójrz na drżące płomienie. W prawo. W lewo. Chwiej się... Drgają – wyszeptałam.

Shun cały czas milczał. Pozostała trójka obserwowała mnie z zapartym tchem.

Rozproszyłam ogień przy pomocy długiej gałęzi, rozpryskując wkoło jasne iskierki. Nie spodziewałam się, że uda mi się uzyskać taki

sam efekt, jaki wywierały płomienie nad ołtarzem, lecz ślady pozostawione w powietrzu przez iskry sprawiły, że zapanował senny nastrój.

– Shunie Aonuma.

Nie poruszył się nawet na cal. Nie potrafiłam stwierdzić czy został zahipnotyzowany czy nie.

– Shunie Aonuma. Złamałeś zasady, przychodząc do miejsca dla ciebie nieprzeznaczonego. Co więcej, pozwoliłeś by słowa demona zatruły twoje myśli. Prawdziwy problem leży jednak znacznie głębiej.

Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

– Pogwałciłeś najbardziej fundamentalną regułę Kodeksu Etyki, ostatnie z Dziesięciu Wskazań: „Nie bezcześć Trzech Klejnotów”. Uwierzyłeś w słowa demona i poddałeś w wątpliwość nauczanie Buddy. Z tego powodu muszę zapieczętować twój cantus.

Wydawało mi się, że słyszę westchnięcie Shuna. Najwyraźniej mój plan zadziałał. Z lekką niepewnością kontynuowałam.

– Spójrz raz jeszcze na płomienie.

Brak odpowiedzi.

– Spójrz na płomienie.

Wciąż milczał, lecz dostrzegłam w jego oczach odbijający się ogień.

– Twój cantus został zamknięty w tej figurce człowieka. Widzisz ją?

Tym razem do moich uszu dotarło znacznie głośniejsze westchnienie. Chwilę później usłyszałam twierdzącą odpowiedź Shuna.

– Wrzucam figurkę do ognia. Wszystko zostaje spalone. Każde z twoich doczesnych pragnień ulega spopieleniu a prochy powracają do przepastnej, nieokiełznanej ziemi. – Wzięłam głęboki oddech, po czym głośno wypowiedziałam pozostałą część formułki. – Spójrz! Figurka została zniszczona. Twój cantus jest teraz zapieczętowany.

Z gardła Shuna wydobył się zduszony odgłos. Jego oddech przyspieszył.

– Odrzuć swoje przyziemne pragnienia. Spal wszystko w oczyszczającym ogniu by osiągnąć nirwanę.

Nadszedł czas. Wstałam i przysunęłam się bliżej niego.

– Shunie Aonuma. W swoim oddaniu Buddzie odrzuciłeś swój cantus. Dzięki jego miłosierdziu otrzymasz teraz czystą mantrę, nową duszę, a twój cantus zostanie ci przywrócony.

Uderzyłam go w ramiona i wyszeptałam mu do ucha zapisane na karteczce słowa:

Oṃ amogha vairocana mahāmudrā maṇipadma jvāla pravarttaya hūṃ.

Później dowiedziałam się, że pochodzą one od samego Buddy; była to Mantra Światła. Samo to stanowiło jasną oznakę wrodzonych talentów Shuna. Od samych jego narodzin spodziewano się, że w przyszłości zostanie przywódcą.

Nagle ogień buchnął na potrójną wysokość i rozpełzł się niczym ośmiogłowy wąż, wirując i wijąc się w powietrzu w dziwnym tańcu.

Shun uśmiechał się, spoglądając w płomienie. Wszyscy ogromnie się ucieszyliśmy; zaczęliśmy klaskać, tupać i gwizdać. Naszej radości nie było końca przez długi czas. Shun odzyskał swój cantus.

Część III: Głęboka jesień

Rozdział 1

Spędziliśmy bezsenną noc na kamienistym brzegu rzeki. Pomimo tego, jak bardzo byliśmy zmęczeni, w naszych umysłach na dobre zagościł uporczywy niepokój, który nie pozwolił nam zasnąć. Jakoś udało nam się jednak zdrzemnąć na tyle, by odzyskać choć trochę energii.

Następnego dnia wyruszyliśmy w dalszą drogę, gdy tylko wstało słońce. Kiedy płynęliśmy w dół rzeki uświadomiliśmy sobie, że nasz obóz znajdował się tak blisko granicy Kamisu 66, że właściwie niepotrzebnie zatrzymywaliśmy się tej nocy. Biorąc pod uwagę nasze wczorajsze zmęczenie, odpoczynek mógł być mimo wszystko dobrym pomysłem.

W promieniach porannego słońca rzeka Tone mieniła się złocistymi barwami, jakby świętując nasz powrót. Co stało się z czarnymi wodami Hadesu, z którymi zmagaliśmy się jeszcze kilka godzin wcześniej?

Przestaliśmy wiosłować i pozwoliliśmy by popychał nas nurt.

Krajobraz stawał się coraz bardziej znajomy. Pomimo, że bardzo pragnęłam powrócić do domu, im bardziej zbliżaliśmy się do wiosek, tym większy czułam niepokój. Byłam przekonana, że dorośli wyślą nam na powitanie kilka łodzi, ale nie spotkaliśmy nikogo nawet mijając Świątynię Ikisu. Taki obrót spraw sprawił, że znacznie się odprężyliśmy. Wydaje mi się jednak, że powinniśmy byli bardziej się zaniepokoić. Właściwie to fakt, że tak wczesnym porankiem nie dojrzeliliśmy nawet jednej łodzi był bardzo dziwny. Kiedy dotarliśmy do tych samych doków w Zbożowym Kręgu, z których wyruszyliśmy przed czterema dniami, ktoś wreszcie wyszedł nam na spotkanie.

– Wcześniej wróciliście.

To był Słoneczny Księżcunio, znany też jako pan Endou. Jego bujna broda zakrywała mu twarz tak, że nie sposób było stwierdzić czy się uśmiecha, bo udało nam się bezpiecznie wrócić, czy też może gniewa się na nas za naruszenie zasad. Przerwanie tygodniowego

normalnie obozu nie było właściwie niczym nadzwyczajnym. Głównym problemem był powód dla którego tak się stało.

– Przepraszamy. Wydarzyło się kilka niewiarygodnych rzeczy – wydusił Shun.

Pozostali z nas prawie się rozplakali.

– No dobrze, dobrze. Porozmawiamy o tym później, w porządku? Na razie zacumujcie łodzie.

Zeszliśmy na ląd, powstrzymując się od łez. Liny, którymi był przywiązany nasz ekwipunek same się rozwiązały, a nasze bagaże podryfowały w powietrzu i ułożyły się w schludny rząd w pobliżu pomostu.

– Och, sami to zrobimy – powiedział Satoru.

– Nie, w porządku – pokiwał głową Słoneczny Księżunio. – Wszyscy jesteście wyczerpani, prawda? W każdym razie powinniście udać się teraz do ośrodka dla dzieci. Niedługo podadzą śniadanie.

Zastanowiło mnie trochę, dlaczego mieliśmy tam iść. Ośrodek dla dzieci znajdował się kilka kroków od doku; w środku znajdowały się zarówno miejsca do dziennego wypoczynku, jak i pokoje, w których można było zostać na noc, jednak od czasu ukończenia Szkoły Harmonii żadne z nas nie postawiło stopy w tamtym miejscu.

– Proszę pana, naprawdę bardzo chcielibyśmy iść do domów... – powiedział Shun w imieniu nas wszystkich.

– Och, tak, rozumiem. Wcześniej musimy jednak zapytać was o parę rzeczy.

– Naprawdę nie możemy troszkę odpocząć w domu? – spytała błagalnie Maria.

Marzyłam o tym, żeby wziąć kąpiel, ale Słoneczny Księżunio był niewzruszony.

– Posłuchajcie mnie, dobrze? Nie zapominajcie, że poważnie naruszyliście kilka zasad. Wiem, że jesteście wyczerpani, ale najpierw musimy zająć się ważniejszymi kwestiami.

Jego uśmiech był uprzejmy jak zawsze, lecz czubek nosa miał usiany kropelkami potu.

– Rozumiemy.

Ruszyliśmy w stronę ośrodka dla dzieci.

– Saki, co o tym sądzisz? – wyszeptał mi do ucha Satoru.

– O czym?

– Twarz Słonecznego Księżcunia była jakaś nienaturalnie skamieniała. A poza tym, nie wydaje ci się dziwne, że zmusza nas, abyśmy udali się do ośrodka dla dzieci?

– Tak, ale cała ta sytuacja od początku jest nietypowa...

Byłam tak zdrętwiała ze zmęczenia, że wydawało mi się, że straciłam władzę nad swoim ciałem. Satoru denerwował mnie, zadając tak oczywiste pytania. Tak, to było dziwne. Czego on właściwie ode mnie oczekiwał?

Shun otworzył przeszklone drzwi używając cantusu, za co byłam mu niezwykle wdzięczna. Bez wątpienia był równie wyczerpany jak pozostali i wolałby otworzyć drzwi ręcznie zamiast marnować dodatkową energię na skupienie się i użycie mocy, lecz chciał pokazać Słonecznemu Księżcuniowi i komukolwiek innemu, kto mógł nas obserwować, że nie straciliśmy cantusu.

Tak jak powiedział pan Endou, przygotowano dla nas śniadanie. Dostaliśmy garnuszki z ciepłym ryżem, solonego łososa, zupę miso z mięsem kraba tygrysięgo, surowe jaja, wodorosty, sałatę i peklowane krasnorosty. Podano nam nawet deser, na który składała się galaretka na brązowym cukrze.

Nagle poczułam się straszliwie głodna. Napelniliśmy miski i zaczęliśmy pochłaniać jedzenie. Na kilka chwil zapadła cisza.

– Na razie jakoś nam się udało... – powiedział szczerze Mamoru.

– Udało? Nie mamy pojęcia co się teraz stanie – odparł ponuro Satoru.

– Ale niezależnie od tego, zdołaliśmy wrócić – zauważyła Maria, kładąc dłoń na ramieniu Mamoru.

– Tak. Możliwe, że wyobrażaliśmy sobie zbyt czarne scenariusze – zgodziłam się z nią.

– Co masz na myśli? – spytała Maria.

– No cóż, nic się nam nie stało, nawet po tym jak dowiedzieliśmy się tych wszystkich strasznych rzeczy od fałszywego minoshiro...

– Ćśś! – uciszył mnie Shun.. – Ktoś może nas podsłuchiwać.

– Och, wybacz – odparłam, zamykając usta. Z jakiegoś powodu czułam się pobudzona i rozmowna.

– Poczekajcie. Możliwe, że... Że w tym... – Shun spojrzał wyjątkowo podejrzliwie na swój na wpół dokończony posiłek. Bez słów zrozumiałam, co miał na myśli. *Czy to możliwe, że dosypano nam czegoś do jedzenia? Jakiegoś środka, który miał sprawić, że się zrelaksujemy i ujawnimy wszystko, co chcieliśmy zachować w sekrecie?*

Satoru wskazał zdecydowanie na półmisek z galaretką. Podczas, gdy pozostali kończyli jeszcze główne danie, ja nie mogłam się już powstrzymać przed sięgnięciem po deser. Wyczułam w nim lekką woń alkoholu, lecz poza nim w środku mogły znajdować się też inne substancje.

– Hę?

Podczas, gdy skupiliśmy całą uwagę na misce galaretki, Mamoru wyrzwał przez okno i wydał z siebie dziwny okrzyk.

– Co się stało?

Ignorując pytanie Marii przybliżył się do okna. W tej samej chwili ujrzałam jak przemyka za nim duży cień. Mamoru przycisnął twarz do szyby i wyrzwał na zewnątrz, po czym odwrócił się w naszą stronę. Nigdy wcześniej nie widziałam, by na jego twarzy malował się tak ogromny strach. Ten widok zmroził mi krew w żyłach.

Zegar zabił osiem razy. Uświadomiłam sobie coś dziwnego. Pomimo tego, że była już ósma rano, nie słyszałam bawiących się w pobliżu dzieci, nieważne jak bardzo wytężałam słuch. Byliśmy jedynymi osobami w ośrodku.

Nadal panowała grobowa cisza. Mamoru wciąż nie chciał nam powiedzieć co zobaczył.

– Dziękuję, że poczekaliście. – Słoneczny Księżciunio wszedł do pokoju wraz z parą ludzi w średnim wieku, których znałam z widzenia, lecz z którymi nigdy nie rozmawiałam. Byłam przekonana, że oni również są z Rady Edukacji.

– Widzę, że skończyliście już jeść. Jeśli jesteście zmęczeni, możemy jeszcze trochę odpocząć – dodała kobieta, uśmiechając się. Ten wymuszony grymas jeszcze bardziej uwydatnił koński wygląd jej twarzy.

– Będziemy teraz rozmawiać po kolei z każdym z was. Kto chce iść pierwszy?

Nikt się nie odezwał.

– No dalej, co się dzieje? Grupa pierwsza zawsze jest przecież najbardziej asertywna. Czy to nie wy zawsze wyrywacie się do odpowiedzi podczas lekcji? – spytał Słoneczny Księżciunio swoim typowym, wesołym głosem. W jego oczach nie było jednak radości.

Ostatecznie byliśmy przepytywani według kolejności alfabetycznej. Shun Aonuma, Maria Akizuki, Satoru Asahina, Mamoru Itou i ja, Saki Watanabe.

Do tamtego dnia nigdy nie zauważałam znajdujących się na tyłach ośrodka dla dzieci kilku niewielkich pokoików, w których leżały po dwie maty tatami. Wchodziliśmy do środka pojedynczo, w towarzystwie dwóch przesłuchujących.

Często myślałam o tym, co miało wtedy miejsce, ale, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, nie potrafię przypomnieć dosłownie niczego z tamtej rozmowy. Starożytne książki psychologiczne nazywają takie zjawisko amnezją wysepkową. Satoru również nic nie pamięta. Wszystkim, co pozostało w moich wspomnieniach jest wyjątkowo gorzka herbata, którą zaproponowano mi do picia. Czymkolwiek ona była, w połączeniu z nieznaną substancją z galaretki sprawiła, że tamta rozmowa była raczej wspomaganym narkotykami przesłuchaniem.

Tak czy inaczej, kiedy „rozmowy” dobiegły końca, pozwolono nam wrócić do domów. Trzymając się planu Shuna, Mamoru, Maria

i ja mieliśmy zasymulować chorobę i wykorzystać to jako wymówkę, by udać się od razu do swoich pokojów. Udawanie, że źle się czujemy okazało się jednak zbędne, gdyż cała nasza trójka jeszcze tego samego dnia i tak dostała wysokiej gorączki, która przykuła nas do łóżek.

Mój stan polepszył się po dniu lub dwóch, lecz rodzice zmusili mnie, bym dalej odpoczywała, więc cały tydzień spędziłam snując się w piżamie po domu. Ponieważ nie mogłam skontaktować się z pozostałą dwójką, wydobyłam ukryty pod parkietem breloczek, na którym zapisałam swoją mantrę.

Kiedy odczytałam jej treść i zdołałam przywrócić swój cantus, poczułam silne uczucie zwycięstwa. W końcu udało mi się jakoś wywieść dorosłych w pole i odzyskać boską moc.

Nie miałam wtedy pojęcia, jak bardzo się myliłam.

Dla czterdziestolatków upływ dwóch lat może nie być niczym znaczącym. Ich włosy mogą najwyżej trochę posiwieć, ciała zeszywnieć i stać się bardziej ociężałe, a oddechy – spłyć się. To właśnie dzieje się z większością ludzi podczas dwóch lat.

W przypadku dwunastoletnich dzieci, niezależnie od epoki w której przyszło im żyć, taki okres jest jednak wystarczający aby zaszły ogromne zmiany.

Przybrałam przez ten czas na wadze o sześć kilogramów i urosłam o pięć centymetrów. U chłopców, którym doszło odpowiednio dziesięć kilogramów i trzynaście centymetrów, różnice były jeszcze wyraźniejsze. Były to jednak tylko powierzchowne zmiany. Ukończenie czternastego roku życia oznaczało dla mnie coś więcej; przemiany dokonały się również w naszych wnętrzach.

Stopniowo przyzwyczaiłam się do widoku Satoru i Shuna. Nie było w tym nic złego, jednak okazało się to dla mnie niespodzianką. Od kiedy tylko sięgam pamięcią, obydwójce byli moi dobrymi przyjaciółmi, ale również rywalami. W pewnym momencie stali się jednak dla siebie kimś więcej. I była to zupełnie naturalna zmiana.

Kiedy w końcu sobie to uświadomiłam, zostałam daleko w tyle, bezskutecznie ścigając ich oddalające się sylwetki. To był dziwny widok, połączony z niewytłumaczalnym uczuciem.

Nie. Dokładnie wiem, czym ono było. Zazdrością.

Od samego początku Shun był dla mnie kimś wyjątkowym. Od tamtego dnia, kiedy wiatr rozwiewał jego włosy podczas zachodu słońca nad łąkami, nie potrafiłam spuścić z niego wzroku. Jego czysty głos i błyszczące oczy nigdy nie przestały wprawiać mnie w zachwyt. Moje przekonanie, że zawsze będziemy razem nigdy nie zostało zmaćnione przez najmniejszy cień wątpliwości.

Z drugiej strony, Satoru był tak zwyczajny jak to tylko możliwe. Doceniałam jego spryt, lecz w porównaniu z Shunem, który był tak uzdolniony, że jego talent tworzył wręcz namacalną aurę, Satoru nie był nikim nadzwyczajnym. Mimo tego, od chwili gdy razem przetrwaliliśmy atak Ziemnych Pająków, zmienił się mój stosunek do niego. Zawsze był przyjacielski i dodawał mi otuchy, kiedy tego potrzebowałam.

Dlatego też moja zazdrość była tak skomplikowana. Widząc ich razem, odnosiłam wrażenie, że zostałam porzucona.

Relacje Shuna i Satoru były chyba rzeczą, która w ciągu owych dwóch lat uległa najbardziej drastycznym zmianom. Pomimo, że zawsze byli w poprawnych stosunkach, Satoru zawsze postrzegał Shuna jako pewnego rodzaju rywala i jego zachowanie bywało dość niezręczne. W ciągu tych minionych dwóch lat uczucie, którym go darzył zupełnie się zmieniło. Poprzednio z reguły odwracał się, widząc radosny uśmiech Shuna; teraz jednak znacznie częściej sam odpowiadał uśmiechem, wpatrując się głęboko w jego oczy.

Zawsze byłam świadoma tego, że kocham Shuna. Kiedy Satoru ścisnął Shuna potrafiłam wyczuć, że również on darzy go romantycznym uczuciem.

Z drugiej strony, nie umiałam stwierdzić co Shun czuje do Satoru. Przystojny i inteligentny, przyzwyczał się już do tego, że ludzie go podziwiają. Dlatego też, w stosunku do swoich adoratorów

był dość obojętny, lub, dosadniej mówiąc – pobłażliwy. Kiedy jednak patrzyłam na ich dwoje, nie wyglądało na to, że to tylko Satoru wzdycha ślepo do Shuna. Posunęłabym się nawet do stwierdzenia, że choć to Satoru był aktywniejszą stroną, Shun najwyraźniej akceptował jego uczucia.

Ostateczne potwierdzenie uzyskałam kiedy idąc któregoś dnia przez pole zobaczyłam pewną scenę. Nagle zauważyłam Shuna i Satoru idących razem jak para kochanków; trzymali się za ręce i nie widzieli świata poza sobą. Obróciłam się na pięcie, chcąc się oddalić. Ciekawość wzięła jednak nade mną górę i zaczęłam śledzić ich z dużej odległości. Dobrze wiedziałam, że widok przeżywającej intymne chwile pary mnie zrani; nie byłam jednak w stanie się powstrzymać.

Kiedy oddalili się od wioski na tyle, by żaden z mieszkańców nie mógł ich dostrzec, zaczęli baraszkować jak dwójka małych szczeniąt. Mówiąc ściślej, to Satoru skakał wkoło Shuna, przytulając go od tyłu. Nagle pożałowałam gorąco, że nie urodziłam się chłopcem. Gdyby tak się stało, Shun z pewnością wybrałby mnie zamiast Satoru.

Podejście Komisji Etyki i Rady Edukacji do związków pomiędzy nastoletnimi chłopcami i dziewczętami jest bardzo rygorystyczne. Młodzieży w naszym wieku pozwala się jedynie na utrzymywanie typowo platonicznych relacji z płcią przeciwną. Nawet najbardziej intymne akty między osobami tej samej płci są jednak traktowane bardzo życzliwie. Dlatego też wszyscy, z nielicznymi wyjątkami, wchodzą w związki homoseksualne.

Chłopcy wspięli się na szczyt wzgórza, położyli się na trawie, wśród białawych koniczyn i zaczęli rozmawiać. Ukryłam się w kępie rosnących jakieś trzydzieści metrów dalej krzaków i przyglądałam się im, nie ośmielając się nawet głośniej odetchnąć.

Wyglądało na to, że Satoru opowiedział jakiś dowcip, ponieważ Shun odgiął głowę i zaczął się śmiać, pokazując perłowobiałe zęby.

Satoru przez moment wpatrywał się w Shuna, po czym bez ostrzeżenia rzucił się mu na szyję. Przez kilka chwil tkwili w bezruchu.

Nie widziałam ich dokładnie z mojej kryjówki, lecz nie miałam wątpliwości, że się całują. Satoru mocno ścisnął Shuna, który z początku spokojnie leżał, lecz w końcu odwzajemnił uścisk i zaczął pieścić ciało Satoru, próbując przewrócić go na plecy tak, żeby to on znalazł się na dole. Satoru stawiał opór. Siłowali się ze sobą, ale to Satoru miał przewagę. Shun ostatecznie poddał się i przewrócił na plecy; wyraz jego twarzy przywołał na myśl dziewczynę, która zaakceptowała już czekający ją los.

Widząc to, Satoru zupełnie stracił panowanie nad sobą. Przyspilił Shuna do ziemi i zaczął obsypywać jego usta, policzki i szyję gorącymi pocałunkami.

Samo to wystarczyło, bym się zarumieniła i zaczęła bezwiednie wodzić dłońmi po ciele. Nie wiedziałam, czy sprawiła to niezwykła namiętność z jaką Satoru pieścił Shuna czy też po prostu niezwykle pragnienie znalezienia się na jego miejscu. Niezależnie od przyczyny, czułam że serce nieznośnie płonie mi w piersi.

Satoru wodził czule palcami po wargach Shuna. Nie spotykając się z odmową i prawdopodobnie dając się ponieść uczuciom, wsunął mu jeden z nich w usta. Shun przyjął ten zmysłowy gest z szerokim uśmiechem i zaczął ssać palec Satoru, od czasu do czasu trącąc go zębami.

Dając ponieść się chwili, przysunęłam się do nich trochę za blisko. Kiedy Shun podniósł głowę, udając, że chce ugryźć Satoru w dłoń, wyczułam przez sekundę jego skierowany na mnie wzrok. Błyskawicznie wycofałam się w zacienione zarośla, lecz prawdopodobnie zostałam dostrzeżona. Myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu. Chciałam pozostać przez pewien czas w ukryciu, lecz postanowiłam jeszcze raz wyjrzeć z krzaków i sprawdzić, jak rozwija się sytuacja.

Satoru leżał na górze, próbując z całych sił ściągnąć Shunowi spodnie. Kiedy udało mu się odsłonić idealne, niczym wyrzeźbione ze śnieżnobiałego marmuru uda partnera, na twarzy zagościł mu zachwyt i oczarowanie. Następnie zaczął delikatnie pocierać penisa Shuna, trzymając go w dłoniach jak małe stworzonko. Shun zaśmiał się i zaczął się wić, jakby miał łaskotki, lecz nie protestował.

Pomyślałam, że tylko zdawało mi się, że zauważył moją obecność. Nie wstając, odwróciłam się i odczołgałam w przeciwnym kierunku.

Już wcześniej zdarzyło mi się przypadkowo przyłapać parę kochających się chłopców z grupy trzeciej. Wtedy obserwowałam ich z czystej ciekawości. Oczywistym było, że tamta dwójka ma taką obsesję na punkcie seksu, że nie obchodzi ich nic więcej. Leżeli obok siebie, skierowani głowami w przeciwną stronę. Każdy trzymał w ustach przyrodzenie partnera, od czasu do czasu wpychając je sobie do gardła tak głęboko, że nawet mi, od samego patrzenia, zbierało się na mdłości. Dla nich najwyraźniej to nadal było zbyt mało. Co oczywiste, jako dwójka chłopców nie mogli odbyć właściwego stosunku, jednak nie przeszkadzało im to w próbach zrobienia tego w alternatywny sposób. Widok gwałtownych, posuwistych ruchów ich penisów przypominał mi spółkowanie minoshiro.

Nie miałam najmniejszej ochoty oglądać równie głupiego aktu w wykonaniu Shuna i Satoru.

Oddaliłam się z tamtego miejsca. Czułam się przygnębiona. Niczego nie pragnęłam tak bardzo jak tego, by ktoś mnie pocieszył. Na myśl przyszła mi tylko jedna osoba.

Gdy wróciłam do wioski, od razu zaczęłam szukać Marii. W końcu znalazłam ją siedzącą na tylnym ganku jej domu. Na szczęście wyglądało na to, że pozostali członkowie jej rodziny gdzieś wyszli, jednak ktoś nadal był piątym kołem u wozu. Mamoru.

– Co się dzieje, Saki? – spytała wesołym, czystym głosem.

Przez ostatnie dwa lata Maria wyrosła na młodą kobietę o pięknych, wygiętych rzęsach, błyszczących oczach, idealnie

prostym nosie i wydatnych ustach. Stała się bardziej zdecydowana i pewna siebie. Jediną rzeczą, która w ogóle się nie zmieniła, były jej płomiennorude włosy.

– Jakoś nagle zapragnęłam z tobą porozmawiać – odpowiedziałam, uśmiechając się do niej i rzucając jednocześnie Mamoru lodowate spojrzenie.

Mamoru uniknął mojego wzroku i szybko się odsunął.

Maria siedziała na werandzie, machając w powietrzu stopami. Mamoru przysiadł kawałek dalej, skupiając się na rysowaniu jej portretu. Nie używał ołówka i papieru tak jak robiliśmy to w Szkole Harmonii. Zamiast tego używał cantusu do malowania sproszkowanymi minerałami, takimi jak granat, kordieryt, fluoryt, beryl czy kolumbit na drewnianej płycie pokrytej cienką warstwą białej glinki.

Portret nie tylko był graficznym przedstawieniem Marii; Mamoru w jakiś sposób udało się uchwycić na nim jej ducha. Nawet ja musiałam przyznać, że ma niesamowity talent.

Kiedy Mamoru był mały, jego matka zmarła na dur brzuszny. Ponieważ Maria miała takie same jak ona, rzadkie w naszej społeczności rude włosy, zdawał się traktować ją jak swego rodzaju surogatkę. Satoru twierdzi, że rudy kolor włosów nigdy nie był cechą typową dla Azjatów, więc Maria i matka Mamoru musiały mieć prawdopodobnie wspólnych przodków, którzy wiele lat temu przybyli z odległego kraju.

Z tego co pamiętam, Mamoru bardzo przywiązał się do Marii od kiedy tylko zaczęliśmy naukę w Akademii Mędrców, jednak nawet wtedy, podczas okresu dojrzewania, nie wykazywał najmniejszego zainteresowania własną płcią, niezależnie od tego, ilu przystojnych chłopców zabiegało o jego względy. Mieszkał w Dębowym Gaju, wiosce wysuniętej najbardziej na zachód, podczas gdy Maria żyła w pobliżu wschodniego wybrzeża, w Białym Piasku. Mimo tego, każdego ranka wsiadał do łódki by odwiedzić Marię w jej domu. Pomimo, że jego oddanie było poruszające, relacje z osobami

przeciwnej płci pozostawały ścisłym tabu; Mamoru musiał więc wykorzystywać malowanie swoich obrazów jako wymówkę.

Zawsze trzymał się blisko Marii i nie zwracał uwagi na nikogo poza nią. Maria wydawała się poruszona jego przywiązaniem a więź między nimi stopniowo się zacieśniała. Tak naprawdę jednak stosunki między tą dwójką bardziej przypominały relacje między panem i jego wiernym psem.

Ponieważ to ja byłam powszechnie uznawana za partnerkę Marii, życie Mamoru czasami wydawało się dość przygnębiające.

– Hej, przejdźmy się trochę – powiedziałam, dając do zrozumienia, że chcę zostać z nią sam na sam.

– Jasne, chodźmy – uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– No dobrze, nie będzie nas przez pewien czas... Mamoru, powinieś zrobić sobie przerwę.

Mamoru nie wyglądał na zachwyconego perspektywą mojego odejścia wraz z Marią.

– Dziękuję ci, jest piękny. Cudowny! – powiedziała Maria, szybko rzucając okiem na rysunek.

Twarz Mamoru przez chwilę rozpromieniła się z radości. W mojej obecności zawsze milczał jak grób. Możliwe, że wstydził się okazywać swoje przywiązanie do Marii przed innymi dziewczętami. Ponieważ był tak małomówny, wyrobiłam sobie paskudny nawyk całkowitego ignorowania jego towarzystwa, kiedy przebywałam z Marią.

Udałyśmy się do niewielkiej łódki zakotwiczonej na rzece. To była jedna ze wspólnych, wioskowych łodzi, z których korzystać mógł każdy, pod warunkiem odstawienia ich do oznaczonych doków po zakończonej podróży. Na jej burcie namalowano niebieskiego delfina.

Odepchnęłam łódkę, wykorzystując cantus. Kiedy sunęłyśmy po wodzie, Maria rozpuściła włosy, pozwalając im swobodnie powiewać na wietrze. Objęła moją szyję ramionami.

– Co się dzieje? – wyszeptała mi do ucha.

Jej delikatny głos niemal doprowadził mnie do łez.

– Nic takiego, naprawdę. Po prostu chciałam się z tobą zobaczyć.

Doskonale wiedziała, że kłamię, ale nie naciskała na mnie dalej. Gładziła mnie rękoma po włosach, sprawiając, że zapomniałam o wszystkich smutkach.

Zmierzałyśmy w kierunku niewielkiego klifu rozciągającego się nad piaszczystymi wydmami Hasamaki, który był otoczony gęstymi zaroślami i zapewniał całkowitą prywatność. Jeszcze w Szkole Harmonii często spędzałyśmy tam popołudnia, jeśli dopisywała pogoda. Pamiętam, że to ja wyszłam wtedy z inicjatywą, abyśmy pozbyły się ubrań, lecz to Maria pierwsza zebrała się na odwagę i pocałowała mnie kiedy leżałyśmy nago obok siebie.

Kiedy już zacumowałyśmy łódź i zaczęliśmy biec przez piaski, zaczęłam martwić się, że ktoś mógł odkryć naszą kryjówkę, jako że od dłuższego czasu jej nie odwiedzałyśmy. Na szczęście jednak wydawało się, że nie stanęła tam niczyja noga.

Pomimo tego, że byłam całkowicie pewna, że jesteśmy kompletnie zasłonięte przez krzaki, i tak sprawdziłyśmy najbliższą okolicę zanim zrzuciłyśmy z siebie ubrania. Na początku byłam trochę zawstydzona, ale kiedy zaczęłyśmy się śmiać, rozbierając się nawzajem, poczułam się, jakbym powróciła do niewinnych dni mojego dzieciństwa.

Do lata było jeszcze dość daleko, więc w powietrzu czuć było lekki chłód. Potarłyśmy się po pokrytych gęsią skórą ramionach.

– Twoje piersi ostatnio trochę urosły, Saki – zauważyła Maria, obejmując mnie od tyłu w pasie.

– To łaskocze... – odparłam, odsuwając się.

Maria nie dała za wygraną; wodziła dłońmi po całym moim ciele. W końcu udało jej się rozpiąć mój stanik.

– Uch, przestań już. – napięcie było nie do zniesienia. Skuliłam się przy ziemi, obejmując kolana rękoma.

– O czym ty mówisz? Przecież to tego właśnie chciałaś, nie myłę się? Właśnie dlatego do mnie przyszłaś, prawda?

Zaśmiałam się i skinęłam głową. Moje ciało wygięło się pod wpływem nieustępliwych ataków jej dłoni. Balansowałyśmy na cienkiej granicy między szczęściem i cierpieniem; między namiętnymi pieszczotami i torturami.

– No cóż. Ponieważ nie widziałam cię już dość długo, muszę dokładnie obejrzeć twoje ciało. Co się zmieniło od ostatniego razu? Jesteś już w pełni dojrzała?

– Wystarczy! Nie musisz przecież...!

Nie zważając na moje słowa, Maria wodziła delikatnymi, zręcznymi palcami po całym moim ciele. Miałam wrażenie, że dotyka mnie jednocześnie tysiąc rąk.

– Hmm... Jakież przepiękne ciało. Takie miękkie, i nigdzie ani grama zbędnego tłuszczu.

– U-uch. Skończyłaś już? Teraz kolej na ciebie.

– Mmm... Później pozwolę ci na mnie patrzeć tak długo jak tylko zechcesz. Wciąż jednak nie oceniłam twojej wrażliwości.

Jej pieszczoty trwały jeszcze dobre pół godziny. Śmiejąc się do utraty tchu, błagałam ją, żeby przestała.

– Niesamowite. Wszystkie te igraszki sprawiają ci ogromną przyjemność, prawda? Całe twoje ciało reaguje na tę rozkosz.

Nie byłam w stanie nawet się odezwać, żeby zaprzeczyć. Wpatrywałam się w nią jedynie oskarżycielsko przez zamglone oczy.

– Och, jak słodko. – Maria uśmiechała się do mnie; jej twarz od mojej twarzy dzieliła odległość nie większa niż grubość włosa.

Powoli przycisnęła usta do mych ust. Ach, jakże opisać ich miękkość? Całowałam się już wcześniej z wieloma chłopcami i dziewczętami, jednak jeszcze nigdy nie doświadczyłam takiego uczucia. Wargi wielu ludzi napinają się kiedy są zdenerwowani lub kiedy próbują świadomie kontrolować ich ruch; w przypadku Marii było jednak inaczej. Jej usta były delikatne jak słodkie pianki obejmujące nieśpiesznie moje własne wargi. Samo to wystarczyło, bym rozpląnęła się z rozkoszy, jednak po chwili rozchyliła moje usta i wślizgnęła swój język do ich wnętrza. To przeszywające uczucie

zawsze sprawiało, że dostawałam gęziej skórki. Maria drążyła językiem wewnątrz moich ust, muskając nim tylne powierzchnie moich zębów, wewnętrzne ścianki moich policzków i wreszcie – mój własny język. Nasze zmysły stopiły się w jedność; dotyk z dotykiem, smak ze smakiem.

Całkowicie się jej poddałam; jedynym, co pragnęłam zapamiętać był dotyk jej języka. Każdy gest Marii był odzwierciedleniem jej własnych żądz; z pewnością oczekiwała, że niedługo jej się odwzajemnię.

Leżeliśmy splecione ze sobą; kolana dotykały kolan, sztywne sutki ocierały się o siebie.

Maria przesunęła dłoń na moje podbrzusze, delikatnie gładząc miękkie włoski, po czym ześlizgnęła się jeszcze niżej. Byłam trochę zawstydzona, bo wiedziałam, że wyczuje, jak bardzo jestem mokra. Spróbowałam się odsunąć, jednak, co oczywiste, mój wysiłek spełził na niczym.

– Och, co cię tak podnieciło? – spytała Maria niewinnym tonem, zupełnie jakby naprawdę nie miała pojęcia, że to wyłącznie jej sprawka.

– U...uun – próbowałam zaprotestować, lecz nie byłam w stanie wydobyć z siebie żadnego słowa.

Nie czekając na odpowiedź, dotknęła palcem tamtego miejsca; najwrażliwszego punktu każdej kobiety – malutkiej, nie większej od perły wypukłości. Pieściła ją delikatnymi, okrężnymi ruchami, sprawiając że wszystkie moje myśli odpłynęły. Miałam wrażenie, że całe moje ciało się rozplywa.

Czas upływał powoli, ciągnąc się jak miód. Zapomniałyśmy z Marią o otaczającym nas świecie, całkowicie pochłonięte przez nieujarzmioną namiętność. Następnie to ja przejęłam inicjatywę, sprawiając, że Maria zaniemówiła. Kiedy zwijała się z rozkoszy, po policzkach ciekły jej łzy.

Naszego zachowania nie uznawano za niestosowne, lecz jedyną rzeczą, której surowo zakazywano była penetracja. Pod koniec

każdego semestru, szkolna pielęgniarka badała wszystkie dziewczęta, żeby upewnić się, że nadal są dziewicami. Kiedy okazywało się, że błona dziewicza którejś z uczennic została przerwana, przesłuchiowano dziewczynę. Jeżeli okazało się, że przyczyną takiego stanu rzeczy był nieczysty, heteroseksualny stosunek, wydalano ją ze szkoły.

Nie znałam wtedy nikogo, kto zostałby zmuszony do opuszczenia akademii z takiego powodu. Krążyła jedynie plotka o dziewczynie, której przytrafiło się to przed siedmioma laty. Mówiło się, że po odkryciu jej przewinienia, zniknęła bez śladu; tak jak wiele innych opowieści Satoru, również tę historię można było jednak poddać w wątpliwość, gdyż nie istniały żadne dowody, które potwierdzałyby jej autentyczność.

Kiedy skończyłyśmy, leżyliśmy na plecach wśród piaszczystych wydm, całe mokre od potu. Nagle przypomniało mi się coś, o czym mówił fałszywy minoshiro. Aby wyzbyć się przemocy, zdecydowaliśmy się zmienić strukturę naszego społeczeństwa i uczynić miłość jego podstawą, zupełnie jak u bonobo...

Od tamtego lata wiele bardzo istotnych dla nas rzeczy zaczęło pomału wymykać się spod kontroli; zajęcia fizycznymi zmianami, jakie zachodziły w naszych ciałach podczas okresu dojrzewania, zignorowaliśmy jednak ostrzegawcze symptomy.

Jaki właściwie był pierwszy znak? Nie potrafię sobie tego dokładnie przypomnieć, lecz wydaje mi się, że najpierw pojawiło się ogólne uczucie niepokoju i niewyjaśnionej nerwowości. Marię dręczyły częste bóle głowy, a ja borykałam się z nudnościami i zmęczeniem. Pozostali także cierpieli z powodu różnorodnych fizycznych dolegliwości, lecz wszyscy byliśmy przekonani, że są one związane z dorastaniem naszych organizmów.

Mniej więcej w tym okresie doszło do rozłamu w jednym ze związków. Dowiedziałam się o tym, kiedy przypadkowo wpadłam na ową parę idącą przez wioskę.

Shun pospiesznym krokiem szedł po biegnącej wzdłuż kanału ścieżce a Satoru próbował go dogonić. Tym, co przykuło moją uwagę, była postawa Shuna; był zdecydowanie bardziej wycofany niż wtedy, kiedy ostatnio widziałam go z Satoru.

– Hej, daj mi jeszcze jedną szansę. – Satoru dotknął Shuna w ramię, lecz ten odtrącił chłodno jego dłoń. – Shun, co się dzieje? – spytał. Wyraźnie słyszałam jego głos niesiony przez wiatr. Wydawał się być wręcz żenująco poirytowany.

– Nic. Po prostu chcę zostać sam na pewien czas – odparł Shun stanowczo.

– Wiem, że to ja zawiniłem. Proszę... – Satoru chwycił go za rękę.

– Ty zawiniłeś? Niby w czym? – Shun uśmiechnął się chłodno.

– Ja...

Biedny Satoru wyglądał na totalnie zagubionego. Chyba po raz pierwszy w życiu trzymałam jego stronę i miałam lekki żal do Shuna.

– Satoru, czy to już nie najwyższa pora żeby zakończyć tą romantyczną farsę? Mam już dość bycia twoją marionetką.

– O-och, rozumiem – odparł osłupiały Satoru. – Od teraz będę...

– Niczego nie rozumiesz. Czuje się osaczony, bo bez przerwy przy mnie łazisz. Chcę być sam. Dlatego nasze drogi powinny się rozejść w tym miejscu. Żegnaj – powiedział szybko Shun, odpychając Satoru na bok i zmierzając w moim kierunku.

Byłam zszokowana wyrazem jego twarzy. Miejsce chłodnego uśmiechu zajął zniekształcający rysy grymas cierpienia. Po chwili Shun wyczuł moją obecność; kiedy przemknął szybko obok mnie, udając, że mnie nie widzi, z jego oblicza zniknęły wszelkie emocje.

Satoru wciąż stał w tym samym miejscu jak skamieniały. Z początku chciałam go zawołać, lecz postanowiłam tego nie robić.

Dlaczego? W głowie wirowało mi mnóstwo pytań. Dlaczego Shun zachował się tak okrutnie? Zawsze był najbardziej uprzejmą i troskliwą osobą z naszej grupy. Z tego, co udało mi się przypadkowo zaobserwować, nie zmieniło się to. Ewidentnie cierpiał.

Kiedy następnego dnia spotkałam Shuna w szkole, nie zauważyłam w nim niczego niepokojącego. Zupełnie inaczej było z Satoru, po którym od razu dało się poznać, że został zraniony. Każdy kto na niego spojrział, od razu mógł zauważyć, że właśnie dostał kosza. Mimo tego, od czasu do czasu rzucał Shunowi pełne nadziei spojrzenia. Przykro było na to patrzeć.

Kilka dni później pojawił się następny zły omen.

Nasze ćwiczenia umiejętności praktycznych w Akademii Mędrców opierały się wtedy na indywidualnych zdolnościach każdego z uczniów. Ogólna technika używania cantusu zawsze była taka sama, ale poszczególne zadania bardzo różniły się stopniem trudności – poczynając od prostej wymiany energii, a kończąc na tak zaawansowanych procesach jak zimna fuzja. Większość klasy plasowała się pośrodku stawki, ale niektórzy byli w stanie podejmować się dużo bardziej wymagających technik.

Shun pozostawił resztę grupy daleko w tyle. Próbował właśnie zmusić kurczaka do wyklucia się z jaja w czasie krótszym niż dwie godziny. Było to skrajnie trudne do wykonania, ponieważ normalnie proces ten trwa około dwadzieścia pięć dni; innymi słowy, wykorzystując cantus, Shun miał zamiar przyspieszyć dwustupięćdziesięciokrotnie rozwój czegoś, czego nie mógł nawet zobaczyć.

Aby uzyskać pozwolenie na działanie cantusem bezpośrednio na żywe stworzenie nie wystarczało posiadanie wybitnych umiejętności; wymagana była też nadprzeciętna osobowość. Inaczej mówiąc, w Shunie pokładano niewyobrażalnie wielkie nadzieje na przyszłość.

Niespodziewanie, Satoru również należał do zaawansowanej grupy. Jego największym talentem była zdolność manipulacji światłem i refrakcją, a zadanie, które otrzymał polegało na stworzeniu lustra z powietrza i, nie licząc pracy Shuna, było jednym z najbardziej skomplikowanych przedsięwzięć. Jak wspomniałam już wcześniej, zmaterializowanie próżniowej soczewki, która mogłaby powiększać odległy obraz było czymś co odpowiadało umiejętnościom Shiseia

Kaburagiego. Metoda Satoru, polegająca na stworzeniu odbijającej światło ściany z pary wodnej była zdecydowanie prostsza.

Z drugiej strony, umiejętność, którą ćwiczyłam ja sama była dość trudna, choć zdecydowanie nudniejsza. Musiałam złożyć roztrzaskaną szklaną wazę z powrotem w jedną całość. Maria ćwiczyła lewitację ciała, przyciągając uwagę wszystkich uczniów. Mamoru z kolei... Cóż, nie potrafię sobie przypomnieć co takiego właściwie trenował.

– Saki, patrz!

Spojrzałam w górę i ujrzałam bezkształtne, srebrzyste lustro, unoszące się metr nad moją głową. Odbijała się w nim moja twarz, na której malowała się ogromna koncentracja.

– Czy obraz nie jest trochę zniekształcony? – spytałam krótko.

Satoru, który spodziewał się z mojej strony pochwały, rzucił mi nadąsane spojrzenie. – Nie ma mowy, jest idealnie płaskie – odparł.

– Moja twarz nie jest taka zapadnięta.

– Co? Może to twoje serce jest zdeformowane?

Tą złośliwą odpowiedzią Satoru uciął naszą wymianę zdań. Lustro rozmyło się w powietrzu. Za każdym razem, kiedy chciałam podejść do Satoru, żeby z nim porozmawiać, widziałam, że przysuwa się bliżej do Shuna, obserwując go od tyłu.

Myślałam, że Satoru jest zaślepiiony miłością do Shuna, ale wyglądało na to, że zrozumiał w końcu, że nie ma żadnych szans na naprawę ich związku. Pokiwał głową i podszedł do Reia, niskiego chłopca z grupy piątej, który uśmiechał się do niego zalotnie. Rei od pewnego czasu podkochał się w Satoru, ale z powodu Shuna nigdy nie odważył się na żaden ruch. Satoru stworzył kolejne lustro, a Rei, klasowy narcyz, zaczął zachwycać się własnym odbiciem i stroić różne słodkie minki, zupełnie jak dziewczyna.

Przez cały ten czas Shun pozostawał skupiony na swoim zadaniu, ignorując panujący w klasie zgiełk. Przed nim stał zwykły kieliszek w którym leżało jedno kurze jajo. Wszyscy zdawali sobie

sprawę z trudności jego ćwiczenia, więc starali trzymać się z dala i nie przeszkadzać.

Ktoś wszedł do sali tylnym wejściem. Kiedy obrzuciłam tę osobę przelotnym spojrzeniem (pozwolę sobie wyjaśnić w tym miejscu, że wcale nie rozpraszam się tak łatwo, jak mogłoby się wydawać), doznałam szoku. To był Shisei Kaburagi. Jego oczy były zakryte przez przyciemniane, podobne do gogli okulary, lecz smukły nos i policzki oraz gładka skóra sprawiały, że wyglądał naprawdę młodo.

Nadzorujący nasze ćwiczenia Słoneczny Księżcunio podszedł do niego ze zdezorientowaną miną. Rozmawiali zbyt cicho bym mogła ich usłyszeć, lecz wyglądało na to, że Shisei Kaburagi przybył tu, aby obserwować uczniów.

Zaczęli w dwójkę przechadzać się po klasie. Wszyscy stali się nagle bardzo podenerwowani. Gdyby od początku każdy koncentrował się na swym zadaniu równie mocno, zapewne wszyscy już by skończyli.

Shisei Kaburagi zbliżył się do nas. Przeszło mi przez myśl, że może zainteresować się moją pracą, więc zaczęłam na poważnie próbować naprawić swoją wazę. Przypasowałam odłamane kawałki do właściwych miejsc i starałam się wyobrazić sobie, że pęknięcia znikają, przywołując obraz zamarzającego ponownie lodu.

Spojrzałam na niego, chcąc sprawdzić, jaka będzie jego reakcja. Okazało się, że po prostu mnie ominął. To było rozczarowujące. Wiedziałam, że moje zadanie jest zbyt nudne, by mogło przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę.

Shisei Kaburagi zatrzymał się tuż przed Marią i wpatrywał się w nią przez dość długi czas. W jej technice nie było niczego szczególnie interesującego, więc być może po prostu podziwiał jej piękne, młode ciało. Pomimo, że sam wyglądał młodo, był mniej więcej w wieku naszych rodziców. Niezależnie od tego, jak potężną mocą dysponował, wciąż byłam lekko zniesmaczona sposobem, w jaki patrzył na Marię.

Równie długo zajęła mu ocena lustra Satoru i udzielenie mu kilku rad. Satoru zupełnie zaniemówił i cały poczerwieniał.

W końcu, Shisei Kaburagi podszedł powoli do Shuna, który nadal wpatrywał się w skupieniu w kurze jajo.

Wszyscy czekali na to historyczne spotkanie. Spodziewano się, że to Shun zastąpi w przyszłości Shiseia Kaburagiego na jego stanowisku. Po raz pierwszy miał teraz okazję, by otrzymać od mistrza jakieś wskazówki.

Shisei Kaburagi nagle gwałtownie się zatrzymał.

Co się stało? Mężczyzna cofnął się o krok, później o jeszcze jeden, a następnie odwrócił się na pięcie i pośpiesznie opuścił klasę, śledzony osłupiałym wzrokiem wszystkich uczniów.

Shun spojrzał na oddalającą się sylwetkę. Przeraził mnie wyraz jego twarzy.

Do dziś nie jestem pewna, co wtedy zobaczyłam. Ten grymas przypominał lodowaty uśmiech, lecz był znacznie bardziej przerażający, jakby pozbawiony nadziei na ratunek. Przypominał obłąkańczą minę kogoś, kto został pochłonięty przez bezkresną otchłań rozpaczy.

Słoneczny Księciunio, który wcześniej wypadł rozpaczliwie za Shiseiem Kaburagim, wrócił do klasy.

– Eee... Z powodu nieprzewidzianych okoliczności, na tym zakończymy dzisiejsze zajęcia. Zabierzcie wszystkie rzeczy i wracajcie do swoich klas,

Uśmiechał się tak, jak zwykle, lecz jego głos był zachrypnięty, a nos błyszczał mu od potu.

– Saki. – Satoru mnie dogonił.

– Co się, u diabła, właśnie wydarzyło?

Nie odpowiedział, lecz wskazał ruchem głowy Shuna, który nadal siedział nieruchomo przed swoim jajkiem.

– Chodźmy, Satoru – powiedział Rei, obejmując jego ramię i próbując go odciągnąć.

– Idź przodem. Później do ciebie dołączę – odparł Satoru, klepiąc Reia w pośladek i popychając go w kierunku wyjścia.

– No już, pośpieszcie się i posprzątajcie po sobie – ponaglił nas Słoneczny Księżcunio, klaszcząc w dłonie.

Włożyłam odłamki wazy z powrotem do pudła.

– Shun, nie idziesz? – spytała Maria.

Mamoru stał zaraz za nią. Wszyscy pozostali opuścili salę. Wewnątrz pozostał jedynie Słoneczny Księżcunio i my, pięcioro członków grupy pierwszej.

– Tak, już – odparł Shun, podnosząc się z krzesła. Był blady a na jego twarzy wciąż pozostał ślad po tamtym wykrzywionym uśmiechu.

– Co z tym? – spytała Maria, wskazując na kieliszek z jajkiem.

Shun chciał go podnieść, lecz nagle stracił równowagę. Jego ręce zadrżały, a jajo wypadło z podstawki. Wszyscy spodziewali się, że powstrzyma je przed uderzeniem o podłogę. Po tak długim treningu wszyscy potrafiliśmy w ułamku sekundy skupić myśli i wyszeptać mantrę. Nie ulegało wątpliwości, że Shun jest w stanie zrobić to na czas.

Mimo tego jajo upadło na parkiet i roztrzaskało się.

Co się dzieje? Czy on jest chory? Wszyscy wpatrywali się w Shuna. Byłam jedyną osobą, której uwagę przykuły pozostałości rozbitego jaja.

Nie. Możliwe, że ktoś jeszcze to dostrzegł.

– No już, już, szybciotko. Ja posprzątam resztę. – Słoneczny Księżcunio zatrważająco szybko wcisnął się między nas, rozpychając ramionami Shuna i Marię. Nie zdążyliśmy nawet mrugnąć okiem zanim zostaliśmy wygonieni z sali ćwiczeniowej.

– Shun, wszystko z tobą w porządku? – spytał zmartwiony Satoru, zupełnie zapominając, że Shun go rzucił.

– Tak... – odparł, unikając wzroku Satoru. – To nic takiego... Jestem po prostu zmęczony.

– Myślę, że powinniśmy dziś szybciej wrócić do domów – powiedziała Maria bez przekonania, marszcząc brwi.

Martwiłam się o Shuna znacznie mocniej niż pozostali, ale nic nie powiedziałam. Nie, raczej *nie mogłam* niczego powiedzieć.

Obraz tego, co kryło się wewnątrz jajka wypalił się na siatkówkach moich oczu. To pokryte śluzem stworzenie nie było kurczakiem, ani nawet nie przypominało go w jakimkolwiek stopniu.

To był potwór.

Rozdział 2

Shun posiadał psa, który wabił się Subaru. Jego imię pochodziło od „gwiazdy Subaru” z „Zeszytów spod wezgłowia” Sei Shonagon i odnosiło się do konstelacji Plejad. Gdy dokładnie zbadałam tę kwestię, dowiedziałam się, że nazwa Subaru wzięła się od tego, że wiele gwiazd połączyło się ze sobą, tworząc jeden obraz.¹

Pewnej zimowej nocy, ponad dwa tysiące lat po tym jak powstały „Zeszyty spod wezgłowia” na świat przyszło szczenię. To był ciężki poród; matka wraz z resztą miotu go nie przeżyła. Jedyne pozostały przy życiu, narodzony pod rozgwieżdżonym niebem szczeniak otrzymał imię Subaru.

Subaru nie okazał się jednak „pięknym obrazem z połączonych gwiazd”, wbrew temu, co sugerowało jego imię. Większość psów w Kamisu 66 należy do typowych japońskich ras; mają zadarte uszy i podwinięte ogony. Buldogi, takie jak Subaru były rzadkie, lub z tego co mi wiadomo, mogły nawet zupełnie wymrzeć.

W porównaniu z innymi psami, Subaru był brzydki. Do tej pory nie wiem, czym właściwie kierowano się, tworząc tę rasę. Miał krótkie łapy, krępe ciało i pomarszczony pysk. Dokładnie na środku spłaszczonej mordki znajdował się zadarty nos. Co zadziwiające, wszystkie księgi zawierające informacje o buldogach, jakie udało mi się odnaleźć w ruinach biblioteki, były oznaczone jako klasa trzecia, czyli dzieła potencjalnie niebezpieczne, przy czytaniu których należy zachować ostrożność, co oznaczało, że nie były ogólnodostępne. Zastanawiałam się, dlaczego tak paranoicznie bano się udostępnienia informacji o powstaniu psich ras.

Satoru twierdzi, że z jednej z książek, które przeczytał, dowiedział się, że buldogi były rasą stworzoną w starożytnej Anglii do walk z bykami. Jeśli to prawda, może istnieć powiązanie między tą

¹ Słowo „Plejady” zapisuje się zazwyczaj znakami hiragana すばる (subaru), lecz Saki stwierdza, że imię pochodzi od zapisu kanji 続ばる (subaru), który można tłumaczyć jako „wiele złączone w jedno”

informacją a naszymi agresywnymi instynktami; w takim przypadku zakazanie tych książek nie było pozbawione sensu.

Pomimo tego, że Satoru zmyślał różne historyjki na tyle często, że traktowałam jego słowa z pewną dozą podejrzliwości, nie uważałam wcale, że nigdy nie mówi prawdy. W tym przypadku jednak, z kilku powodów, po prostu nie potrafiłam uwierzyć w to, co od niego usłyszałam. Po pierwsze, nie potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego niby psy miały być potrzebne, żeby walczyć z bydłem. Satoru wyczytał, że był to rodzaj sportu, lecz nie mieściło mi się w głowie, że ludzie mogli być tak bezrozumnie brutalni. Po drugie, nie byłam do końca pewna jak duże były tamte byki, lecz w porównaniu do psów z pewnością były nieporównywalnie większe, co właściwie musiało uniemożliwiać walkę tych dwóch gatunków zwierząt. Po trzecie, jedyny znany mi buldog, Subaru, był niezwykle łagodny. Biorąc pod uwagę, że był potomkiem rasy stworzonej do zabijania, jego potulność była wprost niewyobrażalna. Co więcej, z tego co mi wiadomo, Subaru tylko jeden, jedyny raz w całym swoim życiu zachował się agresywnie. Ta opowieść musi jednak jeszcze trochę poczekać.

Shun był jedynakiem i opiekował się Subaru, zastępując mu matkę. Ponieważ pies nie potrafił zbyt szybko chodzić i łatwo się męczył, Shun nie mógł go wszędzie ze sobą zabierać, lecz od czasu do czasu widywałam ich na wspólnej przechadzce. Podczas tych spacerów długie, smukłe nogi Shuna w zabawny sposób kontrastowały z krótkimi, mocnymi łapami Subaru, którymi pies zwawo przebierał, by dotrzymać kroku swojemu panu.

Dlatego właśnie byłam zdziwiona, kiedy zobaczyłam Shuna idącego samotnie po wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na wioskę. Była jesień, a zachodzące słońce wypełniało powietrze melancholią. Od incydentu w sali ćwiczeń praktycznych minęły około dwa tygodnie.

– Shun – zaczepiłam go, kiedy zbliżył się do mnie ze zwieszoną głową, najwyraźniej głęboko zatopiony w myślach.

– Saki – odparł, jakby zbudzony ze snu.

W mętym, wieczornym świetle nie mogłam odczytać jego emocji.

– Co się dzieje? – spytałam, robiąc krok w jego stronę.

– Nie podchodź bliżej! – odpowiedział ostro.

Zatrzymałam się. Dzieliło nas jeszcze dwadzieścia metrów.

– Dlaczego? – spytałam. Mój głos był przepełniony smutkiem.

– Wybacz mi... Ale chcę być sam.

– Sam?

– Tak. – Shun spojrzał mi prosto w oczy po czym gwałtownie spuścił wzrok.

– To dlatego zerwałeś z Satoru?

– Tak, na to wygląda.

– Ale czemu? Pragniesz samotności tak bardzo, że porzucasz wszystkich przyjaciół?

– To nie... Nie zrozumiałabyś tego, nawet jeśli bym to wytłumaczył – odparł Shun, wyjmując coś z kieszeni.

Metalowe kule rozbłysły w promieniach zachodzącego słońca. To były brzęczki, rodzaj kulek, które wydają bzyjący odgłos po tym, jak zostaną zawieszona w powietrzu i zakręcone wokół własnej osi przy użyciu cantusu. Były jednymi z pierwszych zabawek, które wykorzystywaliśmy w Akademii Mędrców w celu rozwijania naszych umiejętności. W klasie nie było już nikogo, kto nadal by z nich korzystał, więc to, że używał ich ktoś tak utalentowany jak Shun, było wyjątkowo dziwne.

– Myślę, że przez pewien czas nie będziemy mogli się spotykać.

Trzy kule lewitowały, okrążając głowę Shuna, odbijając światło i brzęcząc nieharmonijnie.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę na razie chodzić do szkoły. Muszę poddać się terapii.

– Jesteś chory? – Byłam bardzo zmartwiona. Czy to mogło być zaraźliwe? To dlatego nie mógł z nami przebywać?

– Hmm. Chory... Nie, to nie jest coś w rodzaju przeziębienia czy grypy żołądkowej. Jakby to wyjaśnić... To nie moje ciało choruje, lecz umysł.

Nie rozumiałam wtedy, czym jest ta „choroba umysłu”, o której mówił. Pomyślałam, że może to zakażenie jakąś bakterią lub wirusem.

– No cóż, muszę już iść.

– Poczekaj! – zawołałam za nim, gdy odwrócił się na pięcie. – Nawet jeśli nie możemy spotykać się w szkole, mogę cię chyba odwiedzać od czasu do czasu, prawda?

– Nie wiem – powiedział z wyraźnym wahaniem. – Nie będę już mieszkał w domu.

Westchnęłam. – No to dokąd się wybierasz?

– Do małej chatki, gdzie odbędzie to, co nazywają „rehabilitacją”. W każdym razie to wyjątkowo niewielki domek. Przeprowadzam się tam za kilka dni, aby żyć w samotności.

– Gdzie jest ta chatka?

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

Zabrakło mi słów. Do tej chwili było dla mnie niewyobrażalne, byśmy mieli przed sobą jakieś sekrety. Jeśli naprawdę musiał dotrzymać tajemnicy, oznaczało to, że prawda musi być straszniejsza, niż mogłam sobie wyobrazić.

– Shun. – W głowie miałam pustkę i nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. – Czy... Czy ty naprawdę będziesz tam zupełnie sam? A co z Subaru? – spytałam, przygotowując się w myślach na najgorsze.

– Został w domu – odparł od niechcienia. – Chciałem się trochę przejść, więc wymknąłem się bez niego.

Poczułam lekką ulgę, kiedy usłyszałam, że z Subaru wszystko w porządku, jednak coraz bardziej martwiła mnie druga kwestia. Co, na niebiosy, stało się Shunowi?

– Czy mogę ci pomóc w jakiś sposób?

Nie odpowiedział. Ciszę mąciło jedynie monotonne buczenie brzęczków.

– Shun, zawsze cię ko...

Już prawie wyznałam mu swoje uczucia, jednak przerwał mi w połowie zdania.

– Saki, nie wiem, czy powinienem ci to mówić, ale myślę, że tak będzie najlepiej.

– He?

– Pamiętasz letni obóz, na który udaliśmy się przed dwoma laty? Wydawało nam się, że zdołaliśmy zataić fakt, że Rijin zapieczętował nasz cantus. Tak się jednak nie stało.

– Co? – Nie miałam pojęcia, co próbuje mi przekazać.

– Prawdopodobnie o wszystkim wiedzieli. Choć nie wiem po co to zrobili, to myślę, że po prostu zdecydowali się odłożyć w czasie wymierzenie nam kary.

– Nie rozumiem do czego zmierzasz.

– Cały czas nas obserwowali. Dopiero niedawno się zorientowałem.

Poczułam, jak moje ciało robi się ciężkie. Cała pokryłam się zimnym potem.

– Prawdopodobnie jeszcze za wcześnie, bym musiał cię ostrzegać, lecz... Uważaj na koty, Saki.

– Koty? Jakie koty? Mówisz o zmyłkotach?

Shun skinął głową w dwuznacznym geście, który nie był ani potwierdzeniem, ani zaprzeczeniem.

– Ach, tak, jeszcze coś... Proszę, weź to – powiedział, rzucając mi naszyjnik, który zdjął ze swojej szyi.

Wisiołek był znacznie cięższy niż się spodziewałam. Gruba, skórzana obręcz, nabijana metalowymi, ruchomymi pierścieniami na zawiasach. Przypominała trochę obroże, jakie nosili niewolnicy.

– Co to jest?

– Amulet przeciwko kotom. Sam go zrobiłem.

– Subaru ma taki sam, prawda?

Tak właściwie, to naszyjnik w niczym nie przypominał obroży Subaru. Słyszając mój żart, Shun uśmiechnął się nieznacznie, ale nie

roześmiał się. Zaczął powoli się oddalać, lecz po chwili nagle się zatrzymał.

Jakieś nieduże, białe zwierzę truchtalo w naszą stronę. Subaru. Biegł tak szybko, jak pozwalały mu na to jego krótkie łapki.

– Głupi pies... Mówiłem ci, żebyś za mną nie szedł – powiedział cicho Shun do samego siebie, po czym odwrócił się plecami do mnie i Subaru i szybko zszedł po zboczu w dół.

Mały buldog pognał za nim, merdając ogonem. Bieganie nigdy nie było jego mocną stroną, lecz teraz jego krok wydawał się jeszcze mniej stabilny.

Nagle spostrzegłam, że tylna prawa łapa Subaru wygląda na zranioną. *Nie, to nie to.* Było z nią coś nie tak.

Zanim jednak zdążyłam uważniej się jej przyjrzeć, Subaru zniknął w pogłębiającym się wieczornym mroku.

– Innymi słowy, musimy się dowiedzieć, dokąd udał się Shun – powiedział cicho Satoru.

– Ale jak? – spytałam go bez przekonania. Mimo wszystko, jego słowa trochę podniosły mnie na duchu.

– Jak? Wszystkimi dostępnymi metodami – odparł, zupełnie niezrażony.

– Nadal chcesz, żeby do ciebie wrócił? – spytała Maria, patrząc na niego cynicznie. – Teraz, kiedy wiemy już, że nie zerwał z tobą dlatego, że cię nienawidzi?

– Nie o to mi chodzi – odparł bezbarwnie Satoru. – Tak czy siak, wszyscy mamy do niego mnóstwo pytań, nie myślę się? Czy naprawdę jesteśmy pod stałą obserwacją? Co miał na myśli, mówiąc, żebyśmy uważali na koty? I... – Satoru zacisnął dłonie w pięści. – I co, do diabła, właściwie się z nim dzieje?

Poczułam bolesne ukłucie w sercu. Nie wspomniałam nikomu o tym, co zobaczyłam wewnątrz rozbitego kurzego jaja. Podświadomie wiedziałam, że jest to bezpośrednio związane z problemami trapiącymi właśnie Shuna, czymkolwiek by one nie

były. Gdybym jednak powiedziała o tym na głos, wszystkie moje głęboko skrywane strachy okazałyby się rzeczywistością; dlatego bez względu na wszystko musiałam trzymać buzię na kłódkę.

Shun od czterech dni nie pojawił się w szkole. Po lekcjach zebraliśmy się za budynkiem Akademii i zaczęliśmy dyskutować szeptem, stojąc tak blisko siebie, jak się dało.

– Ale jeśli oni naprawdę nas obserwują, to czy nie byłoby lepiej nie robić niczego, co mogłoby się wyróżniać? – spytał ostrożnie Mamoru.

– Tak, racja. Też myślę, że to zbyt niebezpieczne. – Maria wzięła stronę Mamoru.

– Więc chcecie po prostu opuścić Shuna? – spytał rozzłoszczony Satoru.

– Tego nie powiedziałam. Ale... – Maria rozejrzała się nerwowo. – Mam wrażenie, że nawet teraz jesteśmy obserwowani.

– Nikogo tu nie ma. Przestań się wydurniać – odparł drwiąco.

Nagle przyszła mi na myśl pewna rzecz. – Hej, pamiętacie, jak uciekaliśmy przed Kiroumaru? Przez całą noc śledziło nas wtedy to okropne ptaszysko.

– Ty też, Saki? Przecież to były wytresowane przez dziwoszczury kruki i kozodoje.

– Skoro dziwoszczury potrafiły zrobić coś takiego, to Komisja Etyki musi mieć w zanadrzu jeszcze sprytniejsze sztuczki, nie uważacie?

– No tak! Też słyszałem takie historie. Tacy geniusze jak Shisei Kaburagi, Koufuu Hino, czy Yuu Tatebe potrafią manipulować genami i tworzyć zwierzęta jedynie je sobie wyobrażając. Nie zdziwiłbym się, gdyby tamta dziwna pszczoła też właśnie nas śledziła.

Wszyscy zamilkliśmy. Wszystkim udzielił się ten przytłaczający nastrój. Jeśli wykorzystywali owady do prowadzenia podsłuchu, a my o tym nie wiedzieliśmy, wszystko było skończone. Inną kwestią pozostawało to, komu właściwie insekt wyśle swój raport po powrocie do kryjówki.

– No dobrze... Ja i tak mam zamiar wyruszyć na poszukiwanie Shuna. Nie musicie mi pomagać, jeśli nie chcecie.

– Ja pomogę – odparłam błyskawicznie.

– Czekać! Teraz to wygląda tak, jakby nasz dwójka w ogóle nie przejmowała się Shunem – zaprotestowała Maria. – Miałam na myśli jedynie, że gdybyśmy wszyscy czworo zaczęli teraz węszyć po kątach, byłoby to zbyt podejrzane. Mam rację, Mamoru?

Mamoru otworzył usta. Wyglądało na to, że nie do końca zgadza się z Marią, ale ostatecznie skinął jedynie głową, nic nie mówiąc.

– Macie rację. Rozdzielmy się więc i zacznijmy poszukiwania.

Podzieliliśmy się na dwa zespoły. Maria i Mamoru poszli porozmawiać z przyjaciółmi Shuna z pozostałych grup, natomiast Satoru i ja udaliśmy się prosto do jego domu.

Mieliśmy szczęście, ponieważ gdy doszliśmy do doków, zastaliśmy tam zacumowany publiczny kajak. Popłynęliśmy siecią przeplatających się kanałów.

Wioska Sosnowy Wiatr leży w wysuniętym najdalej na północ regionie Kamisu 66, a dom Shuna znajdował się na jej najdalszym krańcu. To był ogromny budynek o spadzistym dachu, podpartym na grubej kolumnie o średnicy jednego metra, od której promieniście rozchodziły się podtrzymujące sufit belki. Bawiłam się tam czasami w dzieciństwie; za każdym razem towarzyszyła mi wtedy dziwna atmosfera strachu, tak bardzo niepasująca do drewnianej posiadłości. Kiedy jednak trochę dorośliśmy, zaczęliśmy preferować zabawy na zewnątrz i przestaliśmy odwiedzać się w swoich domach.

Kajak sunął zwinnie przez wodę, lecz Satoru nagle zwolnił, choć nie zbliżyliśmy się jeszcze nawet do skrzyżowania z kanałem wiodącym do Sosnowego Wiatru.

– Co się stało?

– Spójrz na to.

Podążyłam za jego wzrokiem i dostrzegłam liczne łodzie zacumowane w pobliżu rozwidlenia. Wszystkie były dużo większe od naszego kajaku, a na burtach czerwoną farbą namalowano na nich

„boskie oko”, czyli herb dystryktu oraz numer porządkowy. To były barki używane przez urzędników; na deskach widniały również zapisane sanskrytem słowa, określające czyją dokładnie własnością jest dana łódź. Na tych konkretnych widniał wyraz „Hirh”, symbolizujący Amitabhę, boginię o tysiącu rąk. Oznaczało to prawdopodobnie przynależność do Wydziału Zdrowia bądź Ochrony Środowiska.

– Po prostu je omińmy.

Nasz kajak popłynął na wprost. Rzuciłam okiem na skrzyżowanie kanałów i zobaczyłam rozciągniętą jakieś dwadzieścia metrów od wody taśmę w żółto-czarne pasy. To był jasny znak, że wstęp za nią jest zabroniony.

– Co tu się dzieje? Czy to znaczy, że nie możemy wejść do Sosnowego Wiatru?

– Na to wygląda.

– Ale... To niemożliwe.

Czy to ma coś wspólnego z Shunem? Chciałam zadać to pytanie na głos, ale byłam zbyt przerażona żeby w ogóle otworzyć usta.

– Zdaje się, że będziemy musieli po prostu ją przekroczyć.

– Nie uważasz, że drogi pilnują strażnicy?

– Chodźmy naokoło, przez las.

Zacumowaliśmy łodzie przy pomoście oddalonym od celu o około kilometr i zaczęliśmy iść w przeciwnym kierunku. Po naszej lewej znajdowała się trawiasta łąka, natomiast po prawej – zagajnik paproci, kamelii i iglaków. Upewniliśmy się, że nikt nas nie obserwuje po czym wślizgnęliśmy się do lasu.

– Mam co do tego złe przeczucia.

– Ta, ja też.

To dziwne uczucie narastało z każdym krokiem. Włoski na karku najeżyły mi się, jakby przed nami znajdowało się jakieś ogromne pole magnetyczne, odpychające od siebie każdy atom naszych ciał.

Jaką odległość już przemierzyliśmy? Nie minęło więcej jak kilka chwil, gdy zobaczyliśmy przed sobą czarne i żółte paski. Taśma rozciągała się nawet tutaj, w środku lasu.

– To chyba jakieś żarty. Kto w ogóle tędy chodzi?

– Wydaje mi się, że ona otacza całą wioskę.

Satoru założył dłonie na ramiona i przyjrzał się taśmie. Była opleciona zygzakiem wokół drzew, ale nie było widać, by gdzieś zakręcała.

– No cóż, chyba będziemy w takim razie musieli przejść tędy. – Satoru pochylił się i prześliznął na drugą stronę rozciągniętej na poziomie oczu taśmy. Podążyłam za nim. Moje serce dziko biło; miałam świadomość, że poważnie naruszamy zasady, ale nie mieliśmy innego wyboru.

– *Ćśś.* – Satoru nagle się zatrzymał i gestem ręki dał mi do zrozumienia, żebym była cicho.

Zamarłam. Coś poruszało się pomiędzy drzewami, jakieś trzydzieści metrów od nas.

Satoru odwrócił się w moją stronę i wyszeptał coś bezgłośnie. *Dzi-wo-szczur...* Najwyraźniej stał na straży.

Przykłąkliśmy w cieniu rzucanym przez drzewa, starając się nie oddychać. Wykorzystując *cantus*, stworzyłam delikatny powiew wiatru, z którym ulotnił się nasz zapach.

Wydawało mi się, że upłynęła cała wieczność, lecz w rzeczywistości prawdopodobnie nie minęło więcej niż dziesięć minut. Rozległ się przeszywający dźwięk, niosący się echem pośród drzew. *Dziwoszczur* stanął na baczność i pognął w tamtym kierunku.

– Dobra, idziemy.

Wznowiliśmy naszą wędrówkę. Wreszcie dotarliśmy do utwardzonej ścieżki biegnącej przez iglasty las. Po jej drugiej stronie rosły ogromne sosny czerwone, od których *Sosnowy Wiatr* wziął swoją nazwę.

Upewniliśmy się dwukrotnie, że w pobliżu nie ma żadnych ludzi ani dziwoszczurów, po czym szybko przebiegliśmy w poprzek drogi, wpadając do sosnowego lasu.

Nagle poczułam, że zjeżyły mi się wszystkie włosy na ciele. W panice zaczęłam rozglądać się na wszystkie strony, lecz nie dostrzegłam niczego niezwykłego. Tylko drzewa i trawa. Mimo to czułam, że coś jest koszmarnie nie w porządku.

– Tak jak przypuszczałem, dzieje się coś dziwnego. Coś złego wisi w powietrzu. Nie powinniśmy pozostawać tu długo – powiedział Satoru, odczuwając najwyraźniej dokładnie to samo co ja.

– Co robimy?

– Skoro zaszliśmy już tak daleko, nie możemy się cofnąć, prawda? – wyszeptał, choć wyglądał na niezbyt przekonanego.

Weszliśmy jeszcze jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów w głąb sosnowego boru. Właśnie wtedy naszym oczom ukazało się coś zupełnie niewiarygodnego. To była kolejna lina, rozciągnięta na wysokości twarzy. Tym razem nie była to jednak prosta czarno-żółta taśma.

– Święta Bariera! Dlaczego?

Śnieżnobiały sznur obwieszony ogromną liczbą wstążek. Dlaczego Święta Bariera, mająca chronić Kamisu 66 przed światem zewnętrznym pojawiła się tu, w Sosnowym Wietrze?

– Czyżby powierzchnia dystryktu się zmniejszyła?

– Nie, to nie to – odparł Satoru, badając linę. – Ta z pewnością jest zupełnie nowa. Stara Święta Bariera najprawdopodobniej jest w swoim zwykłym miejscu.

– Co to w takim razie jest?

– Inna bariera chroniąca wioskę. Otacza cały Sosnowy Wiatr.

Jakby na to nie patrzeć, nie było w tym żadnego sensu. Zadaniem Świętej Bariery była ochrona dystryktu przed plugastwami z zewnątrz; teraz jednak najwyraźniej miała nie pozwolić by zło wy dostało się z jej wnętrza.

– Tak czy inaczej, jeśli chcemy iść dalej, musimy przekroczyć tę barierę – westchnął głęboko Satoru.

Skinęłam głową. Przemieszczenie się na drugą stronę Świętej Bariery było zupełnie czymś innym niż przejście przez zwykłą taśmę oznaczającą „zakaz wstępu”. Jeśli ktoś odkryłby nasz czyn, nie wybronilibyśmy się z tego w żaden sposób.

Wiedziałam jednak, że to nasza jedyna możliwość by odszukać Shuna. Przeszliśmy na klęczkach pod liną, uważając, żeby nie musnąć żadnej ze wstążek. Na początku nie dostrzeżliśmy niczego szczególnego, jednak im dalej szliśmy, tym więcej zmian rzucało nam się w oczy. Gęste zazwyczaj leśne podszycie wyglądało teraz jak po przejściu huraganu. Wszystkie rośliny były powykręcane i zwiędłe.

Nie potrafiłam odczytać emocji Satoru. Maszerowaliśmy w ciszy naprzód.

Niebo zasnuwało tylko kilka chmur a słońce nadal było wysoko, lecz nasze otoczenie stawało się coraz ciemniejsze. Drzewa blokowały dostęp słonecznych promieni; ich grube gałęzie zdawały się łączyć ze sobą, tworząc rozpościerający się nad naszymi łowami dach. W przeciwieństwie do runa leśnego, drzewa najwyraźniej bardzo urosły, znacznie przekraczając swoje zwykłe rozmiary.

Satoru odłamał konar i podpalił go używając cantusu. Mimo, że był środek dnia, bez pochodni nie byliśmy w stanie dostrzec, gdzie stawiamy kroki.

Po chwili zauważyliśmy między drzewami błysk srebrzystego światła. Chcieliśmy podejść bliżej, lecz zatrzymała nas ściana z korzeni. Wyrastały z ziemi niczym olbrzymie węże, pozwijane i wykręcające się we wszystkie strony. Przejście na drugą stronę było niemożliwe. Wydawało mi się, że jestem na jakiejś obcej planecie. Miałam już zasugerować, byśmy pozbyli się przeszkody dzięki cantusowi, ale uświadomiłam sobie nagle, że byłby to oczywisty dowód na to, że tu byliśmy. Zaczęłam niechętnie szukać drogi między konarami, przeciskając się przez najszersze szczeliny.

– Spójrz, Saki – powiedział Satoru, odwracając się do mnie i unosząc pochodnię w górę.

Wskazywał na pnie drzew. Ich kora nie miała typowego dla czerwonych sosen wzoru przypominającego skorupę żółwia; zamiast tego były pokryte grudkami, wyglądającymi jak guzy albo nowotwory. W pewnym momencie zorientowałam się, że niektóre z nich wyglądają jak ludzkie twarze.

Twarze wykrzywione niewyobrażalnym cierpieniem, wrzeszczące z bólu; twarze umarłych.

Wzdrygnęłam się i odwróciłam wzrok.

– Pospieszmy się.

Właściwie to praktycznie przygotowałam się na jeszcze okropniejsze widoki, lecz zamiast tego ujrzałam coś naprawdę oszałamiającego.

To było nagie zbocze po którym musiała przetoczyć się lawina kamieni. Porastały je jedynie nieliczne drzewa a ziemia była usiana licznymi azaliami. Co najdziwniejsze, pomimo tego, że była już jesień, wszystkie te kwiaty były w pełnym rozkwicie. Stok mienił się różowymi i czerwonymi płatkami, a w powietrzu unosiła się najbardziej aromatyczna woń jaką kiedykolwiek czułam.

– Jakie to piękne... – westchnęłam, zaciągając się cudownym zapachem, po czym podeszłam bliżej by dokładnie przyjrzeć się kwiatom.

– Stój. Nie dotykaj ich. – Satoru złapał mnie za ramię. – Coś jest z nimi nie w porządku... Spójrz – powiedział, wskazując na coś przy swoich stopach.

Na ziemi leżały nieprzeliczone zdechłe mrówki, pszczoły, żuki, pająki i inne owady.

– Nie wydaje ci się, że ten zapach jest zdecydowanie za silny? Najprawdopodobniej w tych roślinach jest jakaś trująca substancja.

– W azaliach?

– Jakby na to nie patrzeć, to raczej nie są zwyczajne kwiaty.

Jego słowa zdawały się przełamać jakiś czar. Jeszcze raz spojrzałam na azalie. Do tej pory byłam zachwycona ich pięknem, lecz teraz zadrżałam na myśl o zdradliwej truciznie, którą zawierały.

To nie był jednak jedyny powód mojego zaniepokojenia.

– Czemu tutaj jest tak zimno?

Z głębi lasu wiał wyjątkowo chłodny wiatr.

– Sprawdźmy to – odparł Satoru. Wyglądał, jakby przygotował się już na najgorsze.

Jak w transie przedzieraliśmy się między drzewami, zmierzając w kierunku źródła ziąbu.

– Śnieg – krzyknął Satoru.

– To niemożliwe. Przecież jest dopiero jesień i jeszcze nigdzie nie pada... – Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Satoru dotknął białego puchu, który pokrywał korzenie drzew.

– Nie... Zaraz, to nie jest śnieg.

– Więc co to takiego? – spytałam, nie mogąc zdobyć się na odwagę by dotknąć białej substancji.

– Szron. Ale jest go tak dużo, że wygląda jak warstwa śniegu. Nie wiem dlaczego, ale grunt jest znacznie zimniejszy niż powinien, co powoduje, że woda zawarta w powietrzu zamarza.

W normalnych warunkach jedyną warstwą ziemi, która nigdy nie odmarzała była położona głęboko pod powierzchnią strefa wiecznej zmarzliny. *Nic tu się nie zgadza* – wyszeptałam do siebie. Zostały złamane chyba wszystkie normalne prawa natury.

Obeszliśmy zamarznięty obszar. Sto metrów dalej las nagle się urywał.

– Ostrożnie – upomniał cicho Satoru.

Położyliśmy się na ziemi i podczołgaliśmy w kierunku granicy drzew. Widok był niesamowity. Przed nami rozciągała się dwustumetrowa wyrwa w ziemi, kształtem przypominająca miskę. Była głęboka na jakieś pięćdziesiąt metrów i wyglądała jak pułapka zbudowana przez olbrzymiego mrówkolwa.

– Nie do wiary. Czy tu uderzył meteor?

– Ćśśś. – Satoru przyłożył palec do ust. – Tam są ludzie.

Na dnie dziury rzeczywiście dało się dojrzeć ludzkie sylwetki.

– To nie mógł być meteor... Uderzeniu, które spowodowało powstanie tak dużego krateru musiałyby towarzyszyć potężna eksplozja, a przecież niczego nie było słychać – wyszeptał w odpowiedzi na moje pytanie.

– No to skąd wzięła się ta dziura?

– Przestań mnie o wszystko wypytywać.

– Czemu? Nie znasz odpowiedzi?

Satoru wyglądał na obrażonego. – Mogę tylko snuć domysły. Ten krater prawdopodobnie został stworzony przez te osoby z dołu.

– Ale po co?

– Ćśś! – ponownie mnie uciszył.

Dwoje ludzi pomału lewitowało w górę. Przestraszyłam się, że lecą w naszą stronę, ale wylądowali po przeciwnej stronie niecki i odeszli. Kiedy zniknęli nam z pola widzenia, Satoru przestał ściszać głos.

– Z pewnością próbują coś odkopać.

Wlepiłam wzrok w dno krateru. Coś się tam znajdowało, ale było schowane przez rzucany przez ściany dołu cień. Gdybyśmy znajdowali się po przeciwnej stronie dziury, prawdopodobnie zdołalibyśmy dojrzeć, co to jest. Nagle przyszedł mi na myśl pewien pomysł.

– Satoru, stwórz nad tym lustro – poprosiłam.

Od razu zrozumiał, co chodzi mi po głowie. Powietrze zadrzało i pojawiły się oślepiające promienie światła, które rozbłysły we wszystkich kierunkach. Powoli stopiły się w jedno, tworząc tafle srebrzystego lustra.

– Obniż je trochę.

– O rany, przecież wiem!

Pomału pochylił lustro i zniżył jego wysokość. Po chwili mogliśmy już dostrzec, co kryje się na dnie krateru. Zaniemówiliśmy

zszokowani. Przecież tyle razy odwiedzaliśmy to miejsce. Dlaczego dopiero teraz zrozumiałam, na co patrzę?

W lustrze odbijał się duży budynek, prawie po dach zagrzebany w ziemi. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na ciemne deski, z których był zbudowany, bym uświadomiła sobie, że jest to dom Shuna.

Nie odzywaliśmy się zbyt często w drodze powrotnej.

W sosnowym lesie natknęliśmy się na wiele dziwacznych zjawisk, lecz mimo tego nasze myśli skupiały się głównie na Shunie.

Nie miałam pojęcia, co tam się stało ale wyglądało to tak, jakby Ziemia postanowiła połknąć w całości dom Shuna. Przetrawanie czegoś takiego wydawało się zupełnie niemożliwe. Dlaczego więc nie opuszczała mnie pewność, że Shun wciąż żyje?

Gdzie był? Czy wszystko było z nim w porządku? Czy potrzebował pomocy? Nie mogłam odpędzić się od zaprzątających moją głowę pytań, które pozostawały bez odpowiedzi.

– Mówiłaś, że wyszedł z domu, tak? No to nic mu nie jest – powiedział Satoru, raczej sam do siebie, aniżeli do mnie. – Poszukajmy go jutro rano, jestem pewien że go znajdziemy.

– Nie powinniśmy zacząć już teraz?

– Niedługo zajdzie słońce. Nie mamy nawet żadnej wskazówki co do miejsca pobytu Shuna. Wiem, że się martwisz, ale jutro możemy zacząć od nowa ze świeżymi umysłami.

Zastanawiałam się, jak on może być tak spokojny. Czy w ogóle się nie przejmował? Ja w przeciwieństwie do Satoru nie byłam do końca przekonana, że to dobry pomysł.

Udaliśmy się do parku, gdzie mieliśmy spotkać się z Marią i Mamoru, ale nie było po nich nawet śladu. Poczekaliśmy kilka minut lecz w końcu zdecydowaliśmy się wrócić do domów.

– No to widzimy się jutro.

Te słowa pożegnania z pewnością nie były adekwatne do sytuacji. Brzmiało to jakbyśmy mówili sobie „do widzenia” po

przyjemnym pikniku w parku. Każde z nas poszło w swoją stronę. Satoru udał się w kierunku Zbożowego Kręgu; ja natomiast wsiadłam w kajak i odpłynęłam do Wodnego Młyna.

Gdy słońce schowało się za Górą Tsukuba, cała wioska pogrążyła się w cieniu. Zapłonęły pochodnie, w świetle których woda kanału mieniła się pomarańczowym blaskiem. Od zawsze była to moja ulubiona pora dnia; czas, gdy mogłam podziwiać krajobraz rozmyślając o wydarzeniach mijającego dnia i zastanawiając się, co przyniesie jutro.

Przycumowałam kajak za domem i weszłam do środka tylnymi drzwiami. Byłam zaskoczona tym, że moi rodzice tak szybko wrócili do domu.

– Witaj w domu – uśmiechnęła się mama. – Kolacja już gotowa. Minęło trochę czasu odkąd ostatni raz wspólnie jedliśmy.

Ojciec przypatrywał mi się uważnie, gdy siadałam do stołu, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Spójrz na siebie. Cała jesteś umazana błotem, idź się umyć.

Spodziewałam się, że zacznie mnie wypytywać gdzie byłam, kiedy wrócę z łazienki, jednak tak się nie stało. Zaczął opowiadać o planach postawienia lamp ulicznych w centrum wioski, ponieważ światło, jakie dawały pochodnie najwyraźniej nie wystarczało mieszkańcom. Zastosowanie żarówek wymagałoby jednak elektryczności, która była dopuszczona jedynie do zasilania głośników na dachu sali zebrań. Dlatego też, żeby wprowadzić w życie ten plan, potrzebna by była rewizja Kodeksu Etyki.

– Nieważne, ile petycji byśmy nie wysyłali, najważniejsze szychy z Komisji Etyki nigdy się na to nie zgodzą – mruknął z niezadowoleniem mój ojciec, burmistrz dystryktu, trącając pałeczką swój kawałek ryby.

– Dobrze by było, gdyby udało ci się najpierw działać coś w kwestii oświetlenia biblioteki – odparła matka. Jej zawód głównej bibliotekarki stawiał ją nawet na wyższej pozycji od burmistrza.

– Biblioteka i tak pochłania już jedną piątą naszego rocznego budżetu.

– Wiem. Ale ostatnio mamy taki nawał pracy, że musimy siedzieć do bardzo późna, a światło fosforescencyjne jest zbyt męczące – dodała, wskazując na zawieszoną nad stołem lampę.

Oświetlenie fosforescencyjne było wtedy wykorzystywane na szeroką skalę. Działające na takiej zasadzie lampy, często zwane kulami bontan były dużymi, okrągłymi tubami próżniowymi pokrytymi od wewnątrz specjalną farbą zawierającą platynę bądź iryd. Po naładowaniu lampy za pomocą cantusu, zaczynała ona świecić przez określony czas, po którym światło zaczynało słabnąć. Okres ten nigdy nie był jednak dłuższy niż pół godziny, więc kule trzeba było często ładować, co było dosyć uciążliwe.

– Obecnie tylko Wodny Młyn produkuje nadwyżkę energii elektrycznej, lecz nie da się stąd pociągnąć kabli aż do biblioteki w Zbożowym Kręgu.

– Nie możecie po prostu zbudować nowej elektrowni wodnej bliżej biblioteki?

– To byłoby trudne. Zakłóciłibyśmy komunikację, a zresztą woda w tamtejszych kanałach i tak płynie za wolno żeby dało się ją wykorzystać do produkcji energii.

Im dłużej kontynuowali tę ożywioną dyskusję, tym bardziej zdawało mi się, że coś jest nie w porządku. Odniosłam wrażenie, że robią to celowo, tylko po to, żeby nie dopuścić do skierowania rozmowy na tematy, których chcieliby uniknąć.

– Hej, czy wiecie może co stało się Shunowi...?

Obydwoje rodzice natychmiast zamilkli.

Poczułam jak serce zaczyna mi szybciej bić. Byłam w pełni świadoma, że to dość niebezpieczne pytanie. Dlaczego więc zadałam je na głos? Czy denerwowało mnie, że rodzice kontynuują swoją bezsensowną konwersację, podczas gdy ja tak bardzo zamartwiam się losem Shuna? A może podświadomie liczyłam, że uzyskam w ten sposób jakąś wskazówkę?

– Mówisz o Shunie Aonuma? – spytał cicho ojciec.

– Tak. Nagle przestał przychodzić do Akademii Mędrców. – Mój głos lekko się załamał.

– Nie wolno mówić o tych sprawach. Przecież ty też o tym wiesz, prawda? – uśmiechnęła się karcąco mama.

– Tak, ale... – Spojrzałam w dół. Byłam na granicy płaczu.

– Saki... Sacchan. – Moje łzy najwyraźniej zmiękczyły ojca. Nie nazywał mnie tak, od kiedy skończyłam cztery czy pięć lat.

– Kochanie... – powiedziała mama głosem pełnym zmartwienia.

– No dobrze, Saki, posłuchaj mnie. W życiu spotka cię wiele trudności. Jedną z nich są rozstania z najdroższymi przyjaciółmi.

– Co się stało z Shunem?! – krzyknęłam, przerywając mu.

Ojciec zmarszczył brew. – On... zaginął.

– Dlaczego?

– Kilka dni temu w Sosnowym Wietrze miał miejsce poważny wypadek. Od tego czasu nie widziano Shuna Aonumy ani jego rodziców.

– Wypadek? Jaki dokładnie? Nikt mi niczego o tym nie powiedział. Dlaczego to...

– Wystarczy, Saki! – ucięła ostro matka.

– Ale...!

– Martwimy się o ciebie, rozumiesz? Nie przerywaj i posłuchaj nas. Musisz przestać wtrącać się w sprawy, które cię nie dotyczą.

Niechętnie skinęłam głową i wstałam z krzesła.

– Saki, proszę. – dodała mama, hamując łzy, kiedy gotowałam się do opuszczenia jadalni. – Nie mogę stracić kolejnego... Nie, nie mogę stracić *ciebie*. Proszę, posłuchaj się nas.

– No dobrze. Jestem zmęczona. Idę spać.

– Dobrych snów, Saki – powiedział tata, obejmując mamę, która nerwowo skubała swój nos.

– Dobranoc.

Kiedy wspinałam się po schodach, w głowie dudniły mi słowa matki.

Nie mogę stracić kolejnego... Nie, nie mogę stracić ciebie. Proszę, posłuchaj się nas.

Przypomniało mi się też coś jeszcze. Przepełniony bólem głos.

Nie chcę stracić kolejnego dziecka!

Gdy położyłam się w łóżku, umysł zaprzątnęły mi tysiące różnych myśli, powodując, że nie mogłam zasnąć.

Zawsze zastanawiałam się, czy miałam kiedyś starszą siostrę. To przecucie po raz pierwszy pojawiło się gdy miałam dziesięć lat. Mama niepostrzeżenie zostawiła mnie bez opieki w bibliotece, gdzie znalazłam stary słownik należący do ksiąg klasy trzeciej. W Szkole Harmonii uczono, że nasze imiona są odzwierciedleniem życzeń i oczekiwań rodziców, więc chciałam się dowiedzieć, co może oznaczać moje imię.

„Sa” ma trzy znaczenia: „świt”, „wczesny” i „młody”, jednak nie wiedziałam o które z nich chodzi w moim przypadku. Ponieważ nadal byłam wtedy dzieckiem, oczywiste było dla mnie, że jestem „młoda”. Następnie poszukałam znaczenia „ki”. „Bardzo młody”, „czas”, „malutki”... Pomyślałam sobie, że obydwie sylaby znaczą dokładnie to samo, lecz wtedy właśnie natknęłam się na ostatnią definicję.

„Najmłodsze dziecko”.

Nie był to oczywiście ewidentny dowód na to, że w istocie byłam „najmłodszym dzieckiem”. Moja matka jak nikt inny przywiązywała jednak wagę do znaczenia słów. Pomyślałam, że gdybym była najstarszym dzieckiem, w moim imieniu nie pojawiłoby się „ki”.

Gdy o tym rozmyślałam, zaczęły przypominać mi się zatarte wspomnienia z dzieciństwa. Mogłam mieć wtedy dwa lub trzy lata. Zawsze był przy mnie ktoś, kto się mną wszędzie opiekował. Ta

osoba była ode mnie starsza, lecz znacznie młodsza od mamy. Na mnie rodzice wołali Sacchan, a na nią – Yocchan.

Racja. Moja siostra nazywała się Yoshimi.

Nie miałam pewności, że nie jest to tylko fałszywe wspomnienie, stworzone przez autosugestię, lecz po tym, jak usłyszałam matkę krzyczącą, że nie chce stracić *kolejnego* dziecka, zaczęło się to mi wydawać coraz bardziej wiarygodne.

Jeśli w istocie jest to prawda i miałam kiedyś starszą siostrę, dlaczego już jej z nami nie ma? Czy naprawdę została wyeliminowana? A może ma to jakiś związek z tym, co dzieje się teraz z Shunem?

Ostatecznie nie doszłam do żadnych wniosków, złapana w pułapkę zapętlonych, zawiłych myśli.

Nagle usłyszałam jak coś uderza w okno.

Podniosłam głowę z poduszki. Przez rozchylone zasłony do pokoju wpadało światło księżyca. Za szybą zobaczyłam kogoś lewitującego na poziomie pierwszego piętra.

Przez moment przemknęło mi przez myśl, że to jakieś nadprzyrodzone zjawisko i znieruchomiałam ze strachu. Po chwili jednak blask oświetlił burzę rudych włosów i uświadomiłam sobie, że osobą na zewnątrz jest Maria.

– Co się dzieje? – spytałam, otwierając okno.

– Przepraszam. Byłam w parku, ale nikogo tam nie było. Dostałam niezłą burę, kiedy wróciłam wcześniej do domu.

Nie byłoby ciekawie, gdyby moi rodzice ją zobaczyli.

– Szybciej, do środka – zaprosiłam Marię, żwawo gestykulując. Czemu zajęło wam to tyle czasu? Mielicie tylko przepytąć kilka osób, prawda?

Maria mocno się do mnie przytuliła.

– Maria?

– Tak się bałam! O mało co nie zostaliśmy zabici!

– O czym ty mówisz? Opowiedz o tym dokładnie.

Maria cała się trzęsła, jednak zdołała zebrać się w sobie. Usiadła na łóżku obok mnie i zaczęła mówić.

Na początku wędrowali tylko bez większego celu, licząc, że natkną się na któregoś z kolegów Shuna. Mamoru miał najwyraźniej niezwykle szczęście w odnajdywaniu poszukiwanych rzeczy, więc zdołali spotkać i przepytać w ten sposób dwie lub trzy osoby. Nie otrzymali jednak żadnych wskazówek.

Wtedy uświadomili sobie coś dziwnego. Nie licząc grupy pierwszej, większość przyjaciół Shuna podobnie jak on mieszkało w Sosnowym Wietrze, jednak ponad połowa z nich nie pojawiła się na lekcjach w Akademii. Jedyna pochodząca stamtąd osoba odmówiła jakiegokolwiek rozmowy na ten temat.

Mieli już wyruszyć w stronę Sosnowego Wiatru, jednak przypomnieli sobie, że tam właśnie udałam się ja i Satoru, więc zawrócili w kierunku Akademii Mędrców. Tak jak zazwyczaj po lekcjach w szkole zostali jedynie bardzo nieliczni uczniowie. Maria i Mamoru mieli już wracać do domów, kiedy przypomnieli sobie coś, o czym w przeszłości rozmawiali Shun i Satoru. To była tamta historia o dziwnych, śmierdzących amoniakiem budowlach na dziedzińcu, z wnętrza których można było usłyszeć powarkiwania zwierząt.

– I dlatego właśnie postanowiliśmy sprawdzić dziedziniec... Oczywiście nie wierzyliśmy w to, że Shun tam jest, ale pomyśleliśmy, że może odnajdziemy na nim jakieś poszlaki.

Maria i Mamoru w jakiś sposób zdołali dostać się do środka dzięki łutowi szczęścia.

– Ale jak weszliście na dziedziniec? Shun i Satoru musieli przecież zapamiętać układ zamków.

– Potrafię lewitować, zapomniałaś? Przefrunęłam nad murem gdy nikt na nas nie patrzył. Oczywiście Mamoru nie mógł zrobić tego samego, więc musiałam otworzyć mu bramę od środka. W każdym razie Shun miał rację. Jest tam około tuzina promieniście ułożonych zamków, które...

Nie obchodziły mnie zamki.

– To nieistotne. Co się stało później? – spytałam ze zniecierpliwieniem.

– Nic. Zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy byli tam Shun i Satoru, Jediną różnicą było pięć stojących w głębi dziedzińca ceglanych pokoików.

Przypomniałam sobie, że Shun opowiadał o tym jeszcze w Szkole Harmonii.

– Drzwi do tych budyneczków były z drewna, ale wyglądały naprawdę solidnie. Były prawdopodobnie dębowe, grube na cztery lub pięć centymetrów, a do tego biegły wzdłuż nich żelazne pręty z takimi zawiasami...

– W nosie mam te drzwi. Przejdź do sedna i powiedz, co widziałaś! – krzyknęłam poirytowana.

Maria doskonale potrafiła się koncentrować i miała ponadprzeciętną zdolność obserwacji, jednak zupełnie nie potrafiła streścić krótko tego, co ujrzała.

– Przepraszam. W każdym razie chcieliśmy dowiedzieć się, co jest w środku, ale nie potrafiliśmy otworzyć drzwi, nie niszcząc ich przy tym.

– To ja przepraszam. Po prostu bardzo chciałam wiedzieć co tam znaleźliście.

– Przyłożyliśmy więc uszy do drzwi i coś usłyszeliśmy...

– Jak brzmiał ten dźwięk?

– Cichy mruk. A później odgłosy kroków jakiegoś dużego zwierzęcia chodzącego tam i z powrotem. Byłam przekonana, że cokolwiek siedzi w środku, również wyczuło naszą obecność.

– Poczekaj chwilę. W tych szopach jest aż tyle miejsca?

– Och, raczej nie. Myślę, że te budynki to tak naprawdę jedynie wejścia do piwnic lub podziemnych cel. Wydawało mi się, że to stworzenie znajduje się gdzieś pod nami.

– Hmm. Ale ostatecznie i tak nie udało wam się dowiedzieć, co wydaje te dźwięki?

– Daj mi skończyć opowieść. Później zobaczyliśmy to stworzenie, choć nie w całej okazałości.

Powstrzymałam przemożną chęć wrzaśnięcia na nią, żeby się pospieszyła i słuchałam w ciszy dalszego ciągu historii.

– Już mieliśmy z Mamoru zajrzeć do środka, kiedy usłyszeliśmy szcęk otwieranych zamków w bramie. Ktoś wchodził na dziedziniec. Nie było tam żadnego miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć, więc szybko wskoczyliśmy za ceglane szopy. Schowaliśmy się w samą porę, bo po chwili brama się otworzyła i oni weszli na plac.

– Ale kto?

– Nie widziałam twarzy, ale po ich rozmowie wywnioskowałam, że były tam trzy osoby. Jedną z nich prawdopodobnie był Słoneczny Księciunio. Towarzyszył mu inny mężczyzna oraz kobieta, której głos brzmiał tak jak tamtej, która przesłuchiwała nas po powrocie z letniego obozu.

Przełknęłam ślinę.

– O czym rozmawiali?

– Słyszałam jedynie strzępki konwersacji, ale ten drugi mężczyzna mówił, że muszą się pospieszyć i załatwić sprawę, zanim dojdzie do pełnej przemiany w demona. I, że jeśli im się nie uda, to skończy się to katastrofą albo coś w tym rodzaju. I tak nie wiem o co mu chodziło z tym demonem.

Jakaś część mnie była na to przygotowana, ale i tak poczułam się, jakby ktoś zdzielił mnie w głowę metalowym prętem. Najprawdopodobniej dorośli mieli na myśli karmicznego demona.

– A... A później? – Zmusiłam się, żeby zadać pytanie.

– Kobieta powiedziała, żeby natychmiast wysłać przekłete koty. Słoneczny Księciunio zapytał się wtedy, czy ma na myśli czarnego i pasiastego, których zazwyczaj używają. – Głos Marii zadrżał. - Potem otworzyli drzwi do tych budynków. Dokładnie do drugiego i czwartego. Wyszły z nich te ogromne zwierzęta. Zdążyłam jedynie przelotnie na nie spojrzeć, ale wyglądały jak lwy, które trzymano

w dawnych ogrodach zoologicznych, choć były od nich znacznie chudsze.

– Te stworzenia... Przeklęte koty. Czy one nie wyczuły, że się ukrywacie?

– Wyczuły. Ktoś jednak od razu wykorzystał cantus, żeby je spętać, po czym zostały gdzieś przetransportowane, więc nie zdradziły naszej kryjówki... Ale jest jeszcze jedna, najważniejsza rzecz! Słoneczny Księciunio przez przypadek wyjawiał, dokąd wysłano koty. Powiedział, że to okropne, że muszą pozbywać się tak utalentowanego dzieciaka.

Wiedziałałam już o kogo chodzi.

– Usłyszeliśmy to na własne uszy! Mówił o Shunie Aonuma.

Rozdział 3

Nie potrafię sobie przypomnieć, jak właściwie udało mi się wtedy uspokoić Marię. W każdym razie musiałam powiedzieć jej coś, co sprawiło, że przestała wierzyć, że Shun jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie umiem kłamać tak dobrze jak Satoru, ale gdy sytuacja tego wymaga, potrafię być dość przekonująca. Obiecałam więc Marii, że jutro z samego rana wyruszymy na poszukiwania Shuna i jakoś nakłoniłam ją, żeby wróciła do swojego domu.

Byłam świadoma, że czułabym się znacznie pewniej, gdybyśmy wyruszyły we dwójkę, ale nie mogłam narażać życia swojej przyjaciółki.

Kiedy się oddaliła, szybko się ubrałam. Na sweter zarzuciłam wiatrówkę i spięłam włosy spinką. Często przebywałam poza domem, więc miałam przygotowany podręczny pakunek, który zawierał lekarstwa, kompas i inne rzeczy przydatne w awaryjnych sytuacjach. Schowałam go do plecaka. W ostatniej chwili przypomniałam sobie jeszcze o amulecie, który dostałam do Shuna i dołożyłam go do bagażu.

Cicho wyszłam przez okno na dach. W przeciwieństwie do Marii, nie opanowałam jeszcze lewitacji, więc wyszeptałam swoją mantrę i skoczyłam najdalej jak potrafiłam. Mój cantus natychmiast się obudził; podmuch powietrza który mnie uderzył przypominał plaśnięcie o powierzchnię wody. To było jak spadanie we śnie. Straciłam równowagę i wylądowałam niebezpiecznie na jednej stopie, lecz na szczęście niczego sobie nie uszkodziłam.

Nie było czasu do stracenia. Pozbierałam się i szybko przebiegłam na tyły domu, odwiązałam zacumowany przy pomoście kajak i jak najszybciej odpłynęłam ciemnym kanałem. Kiedy już wystarczająco się oddaliłam, nadałam łodzi maksymalną szybkość.

Nie wiedziałam, czy dotrę na czas. Było ciemno, a ja płynęłam tak szybko, że popełnienie najmniejszego błędu poskutkowałoby silnym uderzeniem i zatonięciem kajaku, jednak nie narzekałam.

Miałam zamiar uratować Shuna bez względu na wszystko. Musiałam zdążyć. Skoncentrowałam się na tym celu całą sobą.

Gdy mknęłam przez pogrążoną w mroku wodę, ogarnęło mnie dziwne uczucie *déjà vu*.

To był pierwszy dzień naszego letniego obozu, kiedy płynęłam nocą kajakiem razem z Shunem. Wyglądził wtedy powierzchnię rzeki, przekształcając ją w olbrzymie lustro, odbijające rozgwieżdżone niebo.

Shun popychał Hakurena 4 przez fale stworzone z nieprzeliczonych fragmentów błyszczących gwiazd. Płynąca woda i obydwaj brzegi rzeki były jedną smugą wśród ciemności. Nie potrafiłam wtedy stwierdzić jak szybko się poruszam. Dokładnie tak samo się teraz czułam.

Łódka, którą teraz płynęłam również nosiła imię Hakuren 4. Tak właściwie nadawanie dwóm kajakom takich samych nazw było niedozwolone ale nie potrafiłam wymyśleć dla niej lepszego imienia.

W mig dotarłam do rozwidlenia prowadzącego do Sosnowego Wiatru. Zatrzymałam się tam. Wcześniej, dzisiejszego popołudnia, stało tu sporo zacumowanych barek, lecz teraz, w środku nocy, pozostała tylko jedna. Na jej pokładzie paliła się pochodnia ale nie dostrzegłam oznak niczyjej obecności.

Tym razem nie było czasu na pójście okrężną drogą przez las. Musiałam przepłynąć przez rozwidlenie. Pomału przemieściłam się do przodu, z całych sił koncentrując się na wygłuszeniu dźwięku fal. Hakuren 4 wśliznął się w krąg światła, przemykając pod zagrządzającą drogę taśmą.

Gdyby ktoś w tym momencie wyszedł z barki, byłby to koniec mojej wycieczki. Wstrzymywałam oddech dopóki, dopóty Hakuren 4 nie oddalił się wystarczająco, by skryć się wśród mroku.

Stacjonujący na tamtej łodzi strażnik prawdopodobnie nie śmiał nawet przypuszczać, że ktoś może odważyć się złamać zasady i spróbować przedostać się do Sosnowego Wiatru. W przeciwnym

wypadku prześlizgnięcie się obok niego nie byłoby nawet w połowie tak łatwe.

W milczeniu popłynęłam dalej i szybko przedostałam się do nowej Świętej Bariery. Nie spotkałam nikogo w jej pobliżu.

Blask księżyca oświetlił znajdujące się na wprost mnie dwie wysokie sosny. To powinno być już centrum wioski. Wpatrując się w mrok udało mi się dostrzec zarysy domów stojących wzdłuż brzegów rzeki, lecz w żadnym z nich nie paliło się światło. Sosnowy Wiatr całkowicie się wyludnił. Skręciłam, wpływając w wiodący na północ kanał.

Nie wiedziałam gdzie dokładnie mieszka teraz Shun, ale miałam ogólne pojęcie, gdzie powinnam się skierować. Jego dom znajdował się na północnych rubieżach Sosnowego Wiatru, a skoro miał udać się do jeszcze bardziej odizolowanej od ludzi chatki, istniała duża szansa, że znajduje się ona jeszcze dalej na północy, gdzieś w pobliżu Świętej Bariery. Mogłam utrzymywać prawidłowy kierunek, opierając się na wskazaniach kompasu, lecz podstawowym pytaniem pozostawało to, jak długa wędrówka mnie czeka.

Pięćset metrów dalej wąski kanał się urywał. Wieńcząca go przystań była już pełna przycumowanych łódek, więc przywiązałam Hakurena 4 do drewnianego pala i, skacząc po pokładach pozostałych kajaków, wydostałam się na brzeg. Moją uwagę przykuła fantazyjna pochodnia znajdująca się na jednej z łodzi. Nie była wykonana ze zwyczajnej gałęzi, lecz ze związanych ze sobą łądyg bambusa, wypchanych materiałem opałowym złożonym z materiału, słomy i opilek magnezu. Rozpaliłam ją dzięki cantusowi. Obudziła się do życia, rozbłyskując jasnym, olśniewającym blaskiem, który porządnie oświetlił moje otoczenie.

Nie znałam dobrze Sosnowego Wiatru, więc nie potrafiłam powiedzieć, gdzie dokładnie się znajduję, ale odwróciłam się w stronę północy i zaczęłam iść.

Podczas marszu zdawało mi się, że to, co widzę w świetle pochodni jest od dawna opuszczonym miastem duchów. Nie minęło

duzo czasu od ewakuacji mieszkańców, jednak mimo to na ulicach Sosnowego Wiatru zalegały sterty śmieci i gałęzi a budynki zdawały się popadać w ruinę. Panująca w wiosce upiorna atmosfera została jednak przesunięta na drugi plan przez coś jeszcze bardziej niepokojącego.

Blask płonącej pochodni był tak silny, że wszystko, co pozostawało poza oświetlonym przezeń kulistym obszarem wydawało się tonąć w nieprzeniknionych ciemnościach. Nie miałam pojęcia na co mogę natknąć się po paru krokach; z drugiej strony, gdyby ktoś obserwował mnie z daleka, widziałby jak na dłoni każdy mój ruch.

Logika podpowiadała mi, że trzymanie zapalanej pochodni jest ryzykowne, lecz pierwotny instynkt podszeptował, że światło jest równoznaczne z bezpieczeństwem. Próbowałam przytłumić płomień, lecz kontrola nad ogniem okazała się dla mnie zbyt trudna. Potrafiłam jedynie zupełnie go zgasić lub sprawić, żeby płonął z pełną mocą.

Spojrzałam na rozrzucone pod moimi stopami gałązki. Gdybym zbierała je po drodze i pojedynczo rozpalała, zawsze miałabym niewielkie źródło słabego światła. Pomyślałam, że powinnam była zrobić tak od samego początku i odrzuciłam pochodnię.

Wszystko wokół otulił mrok. Przed oczami zatańczyły mi zielone i czerwone kręgi.

Podpaliłam jedną z gałązek.

Tuż przede mną stał olbrzymi, czarny kot.

Słowo „olbrzymi” właściwie nie wystarczy by go dobrze opisać. Tak jak mówiła Maria, był co najmniej równie duży jak lew. Jego szyja i łapy były nienaturalnie długie, za to głowa – nieproporcjonalnie mała, najwyżej wielkości łba lamparta. Był jednak na tyle wysoki, że jego błyszczące oczy znajdowały się na tym samym poziomie co moje.

Czarne kocisko zamruczało z zadowoleniem i rzuciło się na mnie opierając przednie łapy na moich ramionach. Już po chwili jego olbrzymie szczęki obejmowały moją szyję.

Słyszałam zgrzytanie jego zębów. W głowie miałam zupełną pustkę, nie potrafiłam nawet powtórzyć swojej mantry.

Więc to jest przeklęty kot... To był jedyny wniosek, do którego mógł dojść mój spanikowany umysł.

Poczułam jego oddech na włosach i ślinę skapującą na moją twarz. W powietrzu unosił się bardzo silny smród amoniaku.

Powoli zaczęło do mnie docierać, że wciąż jestem przytomna.

Zęby stworza z potężną siłą zaciskały się na mojej szyi, jednak nie zdołały przebić skóry. Do był amulet, który dostałam od Shuna. Gruby, metalowy pierścień uchronił mnie przed śmiercią.

Gdy tylko sobie to uświadomiłam, instynktownie wyrecytowałam w myślach swoją mantrę. Spróbowałam rozluźnić uchwyt szczek zaciśniętych wokół mojego karku. Słyszałam, że kiedy przeklęty kot coś ugryzie, specjalny staw wewnątrz jego czaszki powoduje zablokowanie się szczek, przez co bardzo trudno jest rozewrzeć je używając siły. Taki mechanizm nie mógł się jednak równać z potęgą cantusu. Kość zaskrzypiała i roztrzaskała się na kawałeczki; żuchwa kota bezwładnie opadła. Byłam wolna.

Szybko się wycofałam, podniosłam płonąca gałąź i oświetliłam jej blaskiem obrzydliwy pysk potwora. Kot łypnął na mnie i zasyczał ostrzegawczo jak wąż. Z jego długich kłów, przypominających zęby żyjących wieki temu tygrysów szablatozębnych, spływały kropelki krwi.

Wyobraziłam sobie obraz pary umięśnionych rąk unoszących się przede mną w powietrzu. Jedna z tych dłoni złapała przeklętego kota za kark a druga objęła jego ciało i wykręciła je jak mokry ręcznik. Usłyszałam cichy odgłos pękającego kręgosłupa. Kot szarpnął się gwałtownie, znieruchomiał i upadł martwy na ziemię.

Siedziałam tam dłuższą chwilę, dysząc ciężko. Nie mogłam powstrzymać płaczu. Bolała mnie szyja; odkryłam że metalowa obroża powyginała się i nie da się jej odpiąć. Rozerwałam ją więc używając cantusu i ostatecznie udało mi się z niej uwolnić.

Po kilku chwilach jakoś się pozbierałam i podeszłam do ciała przeklętego kota, żeby lepiej się mu przyjrzeć. Wyglądał dokładnie tak jak opisywały to te wszystkie opowiadane na szkolnych korytarzach historie o zmyłkotach. Trzymetrowe ciało, chudsze niż u tygrysów czy lwów i nienaturalnie wydłużone kończyny. Pysk prawie taki sam jak u zwykłych kotów; jedyną różnicą było to, że jego szczęki mogły rozewrzeć się znacznie mocniej.

Dotknęłam długich kłów wystających z szeroko rozdziawionej paszczy. Miały ponad piętnaście centymetrów, były owalne na przekroju i szorstkie jak skóra rekina. Wyglądało na to, że kot zazwyczaj trzymał je schowane w pysku. W przeciwieństwie do tygrysów szablatozębnych, przeklęte koty miały długie kły o tępych zakończeniach wystające zarówno z zuchwy jak i z górnej szczęki. Nie zabijały ofiary przez nadziewanie jej na zęby; zamiast tego uciskały jej tętnice szyjne, powodując, że się dusiła.

Przyszło mi do głowy tylko jedno uzasadnienie dla takiej metody uśmiercania. Aby utrwalić legendy o zmyłkotach, dzieci musiały być zabijane bez pozostawienia żadnych śladów, takich jak kropelki krwi. W ten sposób nigdy nie było żadnego dowodu na to, że mogło mieć miejsce morderstwo. Nieważne ile by o tym nie myśleć, nie dało się zaprzeczyć, że przeklęte koty były rasą stworzoną tylko w jednym celu – aby zabijać.

Zwymiotowałam. Bez względu na to, jak bardzo potworną kreaturą był ten kot, moje ciało zareagowało tak instynktownie na zamordowanie stałocieplnego zwierzęcia, jednak chyba nawet bardziej przyczyniła się do tego ogromna odraza jaką poczułam, uświadamiając sobie istnienie tych plugawych stworzeń.

Po jakiejś godzinie dotarłam w końcu do ogromnej dziury w ziemi, która była kiedyś domem Shuna. Musiałam się spieszyć. Cała byłam zlane potem i oblepiona śliną przeklętego kota, która przesiąkała mi przez ubranie i spłynęła aż do skarpetek. Była zimna i wyjątkowo nieprzyjemna, ale nie miałam czasu, żeby się zatrzymać i powycierać.

Nauczona tamtym zdarzeniem, podczas którego otarłam się o śmierć, nie zapaliłam żadnej pochodni. Gdybym zbyt przyzwyczała oczy do światła, nie byłabym w stanie niczego dostrzec gdyby coś zgasiło ogień. Lepiej było pozwolić, żeby wzrok przystosował się do mroku najbardziej, jak to możliwe.

Pomimo tego, że kierując się wskazaniem kompasu zmierzałam na północ, nie miałam pewności, że idę w dobrą stronę aż do czasu, gdy natknęłam się na oświetloną blaskiem księżycy pajęczynę.

Nici były poskręcane i pozwijane w taki sposób, że przypominały twarze i słowa. Choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, pajęczne sieci są jednym z najwrażliwszych naturalnych wskaźników, informujących, że dzieje się coś niedobrego.

Im bardziej zbliżałam się do Świętej Bariery, tym bardziej zdeformowane drzewa mijałam. Większość z nich była pochylona w tę samą stronę, zupełnie jakby wyginał je wiejący bez ustanku wichur.

Po chwili doznałam wszechogarniającego uczucia niepokoju.

Uciekaj. Już. Zwiewaj stąd najdalej, jak potrafisz. To właśnie podpowiadał mi jakiś wewnętrzny głos. Nie chciałam zostawać w tamtym miejscu ani sekundy dłużej.

Pomyślałam jednak o Shunie i desperacko próbowałam dodać sobie odwagi. Nie mogłam zawrócić. Byłam jedyną osobą, która mogła go uratować.

Parłam naprzód, kierując się zniekształconą roślinnością. Las wydawał mi się zdeformowany w taki sposób, że tworzył ogromną spiralę. Jeśli miałam rację, Shun musiał znajdować się w jej środku.

Sylwetki drzew przypominały olbrzymie, pochylające się nade mną, mackowate stwory. Szłam dalej, pochylając się i przeczołgując pod ich konarami.

Zanim zdołałam sobie to uświadomić, wszystko wokół zasnęła ciężka, mlecznobiała mgła, ograniczająca pole widzenia do zaledwie kilku centymetrów przed moim nosem. Słyszałam szepczące głosy.

Wiatr, odgłos śmiechu i, od czasu do czasu coś, co brzmiało jak słowa; nie potrafiłam jednak wychwycić ich treści.

Informacje, dostarczane przez zmysły były niespójne i zniekształcone. Nawet ziemia pod moimi stopami wydawała się miękka i niepewna. Igła kompasu zaczęła kręcić się bez celu w kółko.

Po chwili nie byłam już w stanie nawet stwierdzić czy jest jasno, czy ciemno. Oczy odmówiły mi posłuszeństwa.

Co się dzieje?

Głowa zaczęła pulsować mi straszliwym bólem, zupełnie jakby ktoś próbował mi ją zmiażdżyć obcęgami. Samo myślenie stało się zbyt dużym wysiłkiem. Stałam jak sparaliżowana, miałam wrażenie że uleciały ze mnie wszystkie uczucia. Nie potrafiłam nawet powiedzieć, czy stoję, czy siedzę.

Co to za miejsce?

– Shun! Gdzie jesteś? – krzyknęłam.

Kiedy usłyszałam własny głos, poczułam nagłe otrzeźwienie lecz po chwili znów wszystko zaczęło zanikać. Miałam już wrażenie, że zaraz stracę przytomność, lecz właśnie wtedy usłyszałam wołanie.

– Saki! Co ty tutaj robisz?

– Nie wiem! Nie mam nawet pojęcia gdzie...

Opary mgły nagle się rozwiały, zupełnie jakby zostały odessane a ziemia powróciła do swojej normalnej stabilności.

– Shun!

Dwadzieścia metrów ode mnie stał młody mężczyzna, którego twarz skrywała się za maską czystości, taką samą, jaką nosili *shinshi* w czasie święta pogoni za demonami. Głos jednak bez wątpienia należał do Shuna.

– Nie powinnaś była tu przychodzić. Wracaj do domu, Saki.

Pokręciłam głową.

– Spójrz na to – odparł, wskazując na glebę.

Na początku wydawało mi się, że jest za ciemno, żeby cokolwiek dojrzeć, ale po chwili ziemia zaczęła słabo świecić i ujrzałam, że pokrywają ją wijące się owady.

Wszystkie z nich były zdeformowane. Ćmy we wszystkich rozmiarach, niezdolne do lotu z powodu postrzępionych skrzydeł i powybrzuszanych odwłoków. Żuki z wydłużonymi odnóżami po jednej stronie ciała, kręcące się nieustannie w kółko jak na szczudłach. Wije, których przedni i tylny koniec były złączone ze sobą w taki sposób, że ciała insektów dosłownie tworzyły pierścień.

– Jeśli nie chcesz skończyć w taki sposób, musisz stąd odejść, i to natychmiast.

– Nie – odparłam z uporem. – Powiedz mi, co tu się właściwie dzieje. Nie ruszę się nawet o cal, dopóki tego nie zrobisz.

– Nie bądź głupia! – odpowiedział ostro Shun.

– Nie mam nic przeciwko byciu głupią. Przeszłam taki kawał żeby cię ocalić. Po drodze prawie zginęłam w zębach przeklętego kota – odparłam zduszonym głosem.

– Natknęłaś się na kota?

– Tak. Uszłam z życiem dzięki talizmanowi, który mi dałeś. Prawdopodobnie w pobliżu kręci się jednak jeszcze jeden kot.

– No tak... – Wziął głęboki wdech. – W porządku. Dziesięć minut. Możesz zostać tu przez dziesięć minut a ja postaram się wyjaśnić ci tyle, ile zdołam. Kiedy jednak czas minie, będziesz musiała odejść.

Nie mogłam tak stać i sprzeczać się z nim w nieskończoność, więc skinęłam głową.

Nagle cała okolica została rozświetlona jakby wielkim reflektorem. Spojrzałam w górę i zobaczyłam rozciągającą się na całym niebie zorzę polarną. Bładozielona kurtyna zwisała między chmurami, mieniając się różowymi, czerwonymi i fioletowymi odblaskami.

– Jak...? Shun, ty to robisz?

Wiedziałam, że zorzę polarną można zaobserwować tylko w pobliżu biegunów. Pomimo tego, że nie do końca wiedziałam na jakiej zasadzie działają słoneczne wiatry, plazma czy cokolwiek

innego, co ją tworzy, miałam pewność, że stworzenie czegoś takiego było wyczynem, którego nie dokonałby nawet Shisei Kaburagi.

– Będę jednak musiał złamać tę obietnicę, w razie gdyby podczas rozmowy zaatakował nas przeklęty kot. Wejdźmy do chatki – dodał, wskazując ruchem głowy stojący za nim domek.

Dopiero teraz go zauważyłam. Migotliwy blask zorzy oświetlił małą chatkę. Była dziwnie wygięta, tak jakbym patrzyła na nią przez zniekształcającą soczewkę. Podtrzymujące budynek pale były poskręcane a słoma na dachu sterczała we wszystkie strony, przypominając wściekłego jeżozwierza.

– Dlaczego cały ten dom jest taki dziwny?

– Nawet w tej chwili nieprzerwanie próbuję przywrócić mu normalny wygląd.

Shun przeszedł przez owalne drzwi. Podążyłam za nim.

– Dziesięć minut... Myślę, że uda mi się utrzymać to wszystko pod kontrolą przez ten czas.

Rozrzucone po całej podłodze bręczki uniosły się w powietrze. Kiedy wszystkie kule zaczęły głośno buczeć odniosłam wrażenie, że wchodzę do gniazda szerszeni.

– Czemu ma to służyć? Są strasznie hałaśliwe.

– Nic na to nie poradzę. Musisz jakoś je znieść.

Shun przeszedł na drugą stronę obscurnego pokoju i usiadł na dużym, drewnianym stole. Na jego wykoślawionym blacie leżała sterta książek i arkuszy papieru.

– Usiądziesz? – zapytał, wskazując stojące przy przeciwległej ścianie krzesło. Pokiwałam głową i stanęłam na środku izby, rozglądając się dookoła. Wszystko wydawało się w jakiś sposób wypaczone i zdeformowane; dotyczyło to nawet sprzętów wykonanych z materiałów, które powinny być wytrzymałe, takich jak kamień czy drewno. Zdawało mi się, że albo moje zmysły zaczynają mnie oszukiwać, albo struktura rzeczywistości zaczyna się rozpadać.

– Od czego powinienem zacząć...? Wszystkie problemy mają początek w ludzkim umyśle.

Zmarszczyłam brew, zupełnie nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Świadoma część osobowości jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Istniejąca w głębi umysłu podświadomość jest o wiele obszerniejsza. Dlatego właśnie nie potrafimy w pełni zrozumieć swoich uczuć i myśli.

– Nie przyszedłam tutaj na wykład z psychologii. Chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

– Właśnie to wyjaśniam – odparł ściszym głosem.

– Czemu nosisz tę maskę? Zdejmij ją, ona mnie przeraża.

– Nie mogę – odpowiedział krótko. – Poza tym nie ma na to czasu... Posłuchaj. Nieważne, czego by nie próbowali, ludzie nigdy nie będą w pełni kontrolować swoich umysłów. Nawet kiedy ktoś jest przekonany, że ma pełnię władzy nad świadomym myśleniem, nie ma pojęcia, jakie procesy zachodzą w jego podświadomości. Nasz cantus jest tego najbardziej namacalnym przykładem.

– Co masz na myśli?

– W przypadku fizycznych działań istnieje wiele etapów pośrednich pomiędzy sformułowaniem pomysłu i wdrożeniem go w życie. Motyw działania powstaje w podświadomości i musi przejść przez świadomą część umysłu zanim będzie mógł zostać zrealizowany. Dlatego właśnie logiczne rozumowanie może zmienić przebieg planowanej akcji lub w ogóle nie dopuścić do jej wykonania. Jednakże, w przypadku naszego cantusu powstanie zamysłu i fizyczne wykonanie zamierzonego działania w mniejszym lub większym stopniu zbiegają się w czasie. Nawet kiedy idea jest zła, nie ma czasu na zatrzymanie lub naprawienie akcji.

– Ale czy nie musimy przestrzegać ściśle określonych reguł i wyobrażać sobie bardzo szczegółowych obrazów, żeby w ogóle móc korzystać z cantusu?

– Te wizje rzeczywiście tworzone są świadomie, lecz w mrokach podświadomości nadal czai się wiele innych rzeczy.

Wydawany przez bręczki dźwięk nieznacznie przybrał na sile.

– Nie rozumiem o czym mówisz. Nawet jeśli w głębi naszych umysłów istnieją obrazy o których nie wiemy, nie moglibyśmy przecież z nich skorzystać. Przecież jeśli nie wyrecytujemy swojej mantry, cantus w ogóle nie zadziała.

– Nie pojmujesz. Niezależnie od tego, jak usilnie starasz się kontrolować cantus przez mantry czy sugestię hipnotyczną, on zawsze znajduje ujście przez szczeliny w naszej podświadomości.

– Cantus... wycieka?

– Tak, bez przerwy. Mówiąc ściślej, nieustannie, podświadomie zmieniamy otaczający nas świat.

– To... – Zupełnie zaniemówiłam.

Pomyślałam, że to o czym mówi jest niedorzeczne, ale nie byłam w stanie się odezwać.

– Saki, jak myślisz, w jakim celu postawiono Świętą Barierę? Myślisz, że ma chronić nas przed zagrożeniami z zewnątrz?

– Nie wiem. Co masz na myśli? – Zupełnie już się pogubiłam.

– Świętą Barierę wzniesiono w celu ochrony przed niebezpieczeństwem znajdującym się wewnątrz niej, a nie po drugiej stronie. A jest nim nasz stale wyciekający cantus. Bestie i karmiczne demony, jedyne zagrożenia których się obawiamy, biorą początek we wnętrzu nas samych.

Głos Shuna był spokojny, lecz obracające się brzęczki zaczęły drzeć.

– Oczywiście wyciekająca moc jest słaba i nie ma mowy o tym, by mogła dokonać dużych zniszczeń przez jedną noc. Nie da się jednak określić skutków stałego narażenia na te podświadome wizje. Dlatego też musimy odpowiednio ukierunkowywać wyciek cantusu.

– Ale jak?

– Od dzieciństwa wpajano nam strach przed światem zewnętrznym. Mroczny wszechświat, którym jest nasza podświadomość, zlewa się w jedno z wizją bezkresnego, ciemnego świata. W naszych umysłach podświadomość zostaje bezpośrednio powiązana ze światem zewnętrznym, a wyciekająca z niej moc jest

kierowana poza Świętą Barierę. Bariera jest psychologiczną sztuczką, która pomaga nas „oczyszczać”.

Nie rozumiałam prawie niczego z jego skomplikowanych słów.

– Co więc się dzieje z wyciekami cantusu, który odsyłamy na zewnątrz?

– Prawdopodobnie wywiera wpływ na wiele różnych rzeczy. Nikt tego nie badał, więc nie mam pewności.

Shun rozłożył ramiona i rój brzęczących kulek zaczął krążyć po pomieszczeniu.

– Wydaje mi się jednak, że to rozjaśnia parę spraw. Weźmy na przykład minoshiro. Tysiąc lat temu one jeszcze nie istniały a dla ewolucji tysiąc lat jest jak jeden dzień. Przodkiem minoshiro prawdopodobnie był ślimak morski. W jaki sposób jednak doszło do tak gwałtownych i daleko posuniętych zmian?

– Nasz cantus stworzył minoshiro?

– I nie tylko je. Prawdopodobnie kraby tygrysie i sianokułki powstały w taki sam sposób. Przeanalizowałem wszystkie nowe gatunki, odkryte w przeciągu ostatniego milenium. Ta dziwna, przyspieszona ewolucja zaczyna się i kończy wokół Świętej Bariery.

To, co mówił było tak dziwne, że od razu zaprotestowałam.

– Ale przecież wyciekający cantus nie jest niczym więcej jak zbitkiem przypadkowych myśli, prawda? Jak to możliwe, że potrafi stworzyć ściśle zaplanowane stworzenie, takie jak minoshiro.

– W zbiorowej podświadomości istnieją pewne matryce. Żyjący dawno temu psycholog, Jung, nazwał je archetypami. Cień, Wielka Matka, Stary Mędrzec, Przechera i inne. Podobne postacie występują w legendach na całym świecie, ponieważ są manifestacjami archetypów. Badania nad określeniem archetypu, który dał początek sianokułkom czy minoshiro z pewnością byłyby bardzo interesujące.

Przeanalizowałam raz jeszcze wszystko, co usłyszałam lecz nadal nie byłam pewna czy dobrze to rozumiałam.

– Nie wiem czy to co powiedziałaś to prawda, czy nie, ale szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Chcę jedynie dowiedzieć się, co się z tobą dzieje.

Shun milczał.

– Ty...

Nagle dostrzegłam w kącie izby coś drepczącego w naszą stronę. Krzyknęłam.

– Nie bój się. To tylko Subaru.

Shun podszedł do Subaru i podrapał go w szyję.

– Co mu się stało?

– Nic. Ja... naprawdę, nigdy nie miałem zamiaru robić niczego takiego.

Brzęczki zaczęły chaotycznie fruwać po pokoju, ale uspokoiły się gdy Shun na nie spojrzał.

– Rozumiesz mnie, prawda? To wszystko jest rezultatem tego, co się ze mną dzieje.

Grzbiet Subaru był pokryty twardą, kolczastą skorupą, niczym u jakiegoś monstrualnego pancernika.

– Mój cantus nie chce przestać wyciekać. Jego moc stale rośnie a ja coraz bardziej tracę nad nim kontrolę. Moja podświadomość szaleje, powodując ekstremalnie silny wyciek mocy, która niszczy wszystko wokół mnie. Właśnie tak objawia się zespół Hashimoto-Appelbauma. Zmieniam się w karmicznego demona.

– T-to nie może być... Kłamiesz! – wrzasnęłam.

– Niestety, takie są fakty.

Shun ostrożnie wziął Subaru na ręce, uważając, żeby nie dotknąć kolców sterczących mu z pleców.

– Wszystkie książki, które tu mam należą do klasy czwartej. Zawierają wiedzę, która powinna na wieczność popaść w zapomnienie. Zazwyczaj są przechowywane w sekretnym magazynie w podziemiach biblioteki. Twoja matka zrobiła wszystko co w jej mocy, żeby mi je pożyczyć.

– Moja matka?

– Tylko z treści tych ksiąg można dowiedzieć się na czym polega przemiana w karmicznego demona. To wszystko, co wiemy na ten temat.

Wszystkie z zakurzonych woluminów miały na okładkach wybitą pieczęć oznaczającą przynależność do klasy czwartej. Dzielila się ona na trzy podkategorie – do pierwszej z nich należały księgi „przeklęte”, tomy drugiej nazywano „potwornymi”, natomiast trzeciej, najbardziej niebezpiecznej – „katastrofalnymi”, co miało oznaczać „apokalipsę, nieprawość, coś gorszego od śmierci”.

– W zamian za dostęp do książek mam spisywać swoje obserwacje. Jakby nie patrzeć, jestem najświeższym przypadkiem choroby.

– Nie mów tak! A co z terapią? Nie ma żadnego sposobu, żeby cię wyleczyć?

– Obecnie nie jest znana żadna metoda.

Shun postawił Subaru na podłodze. Mały psiak poczłapał w moim kierunku.

– Kiedyś uważano, że zespół Hashimoto-Appelbauma ma związek ze schizofrenią, jednak udowodniono, że ta teoria jest błędna. Ze wszystkich innych chorób najbliższy jest mu zespół lęku napadowego – powiedział obojętnie, zupełnie jakbyśmy rozmawiali o codziennych sprawach. – Gdyby rzeczywistość była stała i niezmienna, dałoby się wyleczyć wszystkie urojenia i irracjonalne lęki. Ponieważ jednak obawy i niepokój zaburzają nasze postrzeganie świata, nie da się tego zrobić. Błędna informacja zwrotna wytworzona przez rozbieżność pomiędzy omamami i rzeczywistością rozpoczyna cykl zniszczeń. Co gorsza, wszystkie te zjawiska mają miejsce na poziomie naszej podświadomości, co sprawia, że nie da się ich powstrzymać.

– Nie możemy po prostu zapieczętować twojego cantusu?

– Zapieczętowanie może uniemożliwić jedynie świadome korzystanie z mocy. Nie ma żadnego wpływu na podświadomą część umysłu. Mimo tego pomyślałem jednak, że nałożenie takiego

ograniczenia będzie w stanie choć trochę zmniejszyć wyciek, więc udałem się w tym celu do Naczelnego Mnicha Mushina. Niestety, nie przyniosło to żadnego skutku. Mój cantus jest jak para uciekająca przez nieszczelną pokrywkę; nic nie może go zatrzymać.

Byłam przerażona.

– Cz-czy to możliwe, że... Że nie da się zapieczętować twojego cantusu, bo przywróciłam ci go w niewłaściwy sposób?

W przeciwieństwie do Satoru, Shun cały czas był świadomy tego, że pozostaje pod wpływem hipnozy. Do tego znał już treść swojej mantry. Siłowe odpieczętowanie mocy przeprowadzone w takich warunkach mogło na stałe zniszczyć hipnotyczny ogranicznik zakotwiczony w jego umyśle.

– Nie. Trzeba zacząć od tego, że nie powinienem był w ogóle spodziewać się, że próba zapieczętowania przyniesie jakkolwiek korzyść. To nie twoja wina, Saki.

Z oczu popłynęły mi łzy. Pochyliłam się i pogłaskałam Subaru; nie potrafiłam zdobyć się na nic więcej.

– Czas już się kończy. Powinnaś już wracać do domu.

Pokręciłam głową, nie przestając płakać.

– Jestem w stanie przez krótki czas kontrolować wyciek, skupiając się na określonym zadaniu, na wykonanie którego mogę przekierować cantus. Przez ten okres wszystkie uboczne efekty wpływu mocy są tłumione. W tej chwili koncentruję się na sterowaniu siedmioma tysiącami brzęczków, więc nie dzieje się ci krzywda. Mogę robić to jednak przez dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Po tym czasie moja koncentracja zacznie słabnąć i podświadomość w każdej chwili będzie mogła przejąć nade mną całkowitą kontrolę.

– Nie! Nie odejdę! Chcę zostać z tobą.

– Saki, mój stan doprowadził już do śmierci moich rodziców.

Jego słowa wbiły mi się prosto w serce.

– Z całych sił starali się mi pomóc, lecz nie dało się już niczego zrobić. Próbowałem z całych sił kontrolować swój cantus

wykorzystując czystą siłę woli, lecz nie mogłem chyba wybrać gorszej metody. Ostatecznie nie zdołałem powstrzymać wycieku, który zadziałał ze zdwojoną mocą.

– Shun...

– Zaczęło mi się wydawać, że cały dom trzeszczy. Nagle ziemia się rozsunęła, pochłaniając go w całości. Uszedłem z życiem prawdopodobnie tylko dzięki temu, że rodzice użyli własnej mocy, żeby w ostatniej chwili ewakuować mnie z domu. – Usłyszałam szloch dobiegający spod maski Shuna. – Dlatego proszę, pośpiesz się i uciekaj. Proszę. Nie chcę patrzeć, jak umiera kolejna osoba, którą kocham.

Powoli się podniosłam. Rozpacz i bezsilność była przytłaczająca.

Nie mogłam ocalić Shuna.

Nie mogłam niczego zrobić.

Nie mogłam...

W drzwiach jeszcze raz odwróciłam się w jego stronę.

– Shun, czy jest coś, co chcesz, abym zrobiła?

Pokręcił przecząco głową.

Nagle prześliznęło się obok mnie ogromne zwierzę, wpadając do wnętrza chatki. To był przeklęty kot. Miał szare futro w tygrysie paski i był dwukrotnie większy od tego, którego wcześniej spotkałam. Zignorował mnie i ruszył na Shuna, głośno warcząc.

Kot powoli się przybliżył. Jego ostry wzrok był przerażający, ale wydobywający się z gardła stwora mruk nie wydawał się wrogi. Te sprzeczne sygnały z pewnością zbiłyby z tropu każdego, kto napotkałby zwierzę na swej drodze a stwór wykorzystałby chwilę zawahania ofiary. Tak właśnie polowały przeklęte koty.

Znając już taktykę potwora, zareagowałam błyskawicznie, recytując szeptem mantrę.

– Saki, nie! – Usłyszałam niosący się echem głos Shuna. Już wystarczy...

Jego słowa mnie zszokowały. Co miałam robić? Nie mogłam po prostu stać i przyglądać się jak umiera. Ale....

Trzypółmetrowy kocur wyciągnął się, jakby chciał pocałować Shuna i szeroko rozdziawił paszczę. Miałam już użyć cantusu, lecz właśnie w tamtej chwili Subaru zawył przeraźliwie i skoczył na stwora.

Przeklęty kot łypnął na Subaru i zamachnął się na niego prawą łapą. Jego ostre jak brzytwa pazury wbiły się w ciało psa, powodując, że rozprysła się krew. Dzięki twardej skorupie, pokrywającej grzbiet buldoga rana nie okazała się jednak śmiertelna. Subaru nie zatrzymał się nawet na sekundę i rzucił się kotu do gardła. Mimo zwinnego uniku stwora, Subaru zdołał zatopić kły w łapie, która była chyba ponad dziesięć razy większa od niego.

Do tej pory nie rozumiem, co się wtedy stało. Selektywny rozród prowadzony przez wiele pokoleń powinien był sprawić, że buldogi utracą swoje brutalne instynkty. Subaru, którego tak dobrze znałam zawsze trzymał się z dala od innych psów; jedynie czasami zdarzyło mu się na któregoś zaszczekać lub wyszczerzyć zęby. Można było właściwie stwierdzić, że jest bardzo powściągliwy.

Co więc wstąpiło w niego w tamtej chwili? Co spowodowało, że nagle obudziła w nim się żądna krwi natura, z której słynęli jego dalecy przodkowie?

Kiedy zaciekle atakował zwierzę, które według wszelkiego prawdopodobieństwa powinno bez trudu go zabić, przypominałam sobie legendy, które opisywały buldogi jako najsilniejszą rasę bojowych psów, zdolnych do walki ze stworzeniami wielokrotnie większymi od nich samych.

Subaru zacisnął mocno swoje szczęki i zaczął szarpać zajadle głową. Dzięki zadartemu nosowi mógł oddychać niezależnie od tego, jak głęboko zatopił zęby w ciele wroga.

Przeklęty kot zaryczał z bólu. Jednakże, jako że był kreaturą stworzoną w celu polowania na ludzi, odznaczał się większą przebiegłością niż normalne zwierzęta. Zręcznie przewrócił Subaru na

plecy przednią łapą i przytrzymał go przyciśniętego do ziemi w tej pozycji.

– Przestań! – krzyknęłam.

Ostre jak nóż pazury zamachnęły się w stronę miękkiego brzucha Subaru.

Wszystko, co wydarzyło się w następnej chwili wydawało się całkowicie oderwane od rzeczywistości.

Kot wyleciał w powietrze z łapami rozłożonymi jak u olbrzymiej polatuchy i uderzył o sufit. Każdy z jego osiemnastu pazurów był wysunięty. Obnażył kły, sycząc gniewnie, lecz całe jego ciało było zeszywniałe jakby został sparaliżowany.

Tysiące błyszczących kryształów zmaterializowało się znikąd. Otoczyły one kota, całkowicie go zasłaniając, po czym stopiły się w jeden, półprzezroczysty, lśniący klejnot.

Przekłęty kot wyparował. Powietrze wypełniło pozostałą po stworze próżnię, tworząc niewielki wir.

Co, na niebiosa, zrobił właśnie Shun? Jedyne co przychodziło mi do głowy, to myśl, że wysłał potwora do innego wymiaru.

Poruszenie czegoś bez dotykania tej rzeczy prawdopodobnie oznaczało, że naruszył prawa fizyki. W normalnych warunkach nie potrafiliśmy jednak uzewnętrznić mocy w sposób, którego obrazu nie dało się stworzyć w umyśle.¹

Przez ten krótki czas, który upłynął od otwarcia się wrót do podświadomości Shuna i przemiany chłopca w karmicznego demona, nabył on umiejętności, o których nawet nie śniło się największym mistrzom cantusu.

Uświadomiłam sobie, że Shun klęczy przed ciałem Subaru.

– Biedactwo...

¹ Wyjaśnienie od autora przekładu z oryginału na angielski: Saki ma na myśli, że kiedy ludzie używają cantusu do przemieszczania obiektów, muszą wyobrazić sobie obraz, na przykład rąk, które "dotykają" tej rzeczy. Przykładem jest scena, podczas której Satoru wyobraża sobie ogromną pięść tłumiącą eksplozję bombopsa lub Saki, wyobrażającą sobie dłonie skręcające kark przekłętemu kotu. Dlatego właśnie przypadek Shuna, przemieszczającego coś bez uprzedniego stworzenia obrazu dłoni jest niezwykły, bo oznacza wyobrażenie sobie czegoś, czego nie obowiązują prawa fizyki.

Pies już nie oddychał. Cała podłoga była umazana krwią. Kot rozplątał brzuch Subaru aż po samo serce jednym cięciem pazura.

– Shun – przykucnęłam obok niego.

– Próbował mnie ocalić, nieważne jak daremny był jego wysiłek – powiedział cicho Shun. – Wiele razy kazałem mu zostać ale wciąż za mną szedł... Być może nie byłem zbyt towarzyski, ale bez Subaru zostanę całkiem sam. – Poglądził pysk Subaru. – Powinienem szybciej podjąć decyzję. Gdybym tak się nie wahał, Subaru nie musiałby cierpieć.

– To nie była twoja wina – odparłam zdecydowanie.

– I nie była to też wina tego kota. Przyszedł tu tylko dlatego, że po prostu rozkazano mu zakończyć mój żywot... Zbyt długo nie potrafiłem zdecydować, co powinienem uczynić. – Wskazał na stojący przy ścianie kredens. – Jest w nim butelka wypełniona pastylkami, zawierającymi najprzeróżniejsze trucizny. Dostałem ją zanim tutaj przyszedłem. To dość okrutny prezent pożegnalny, nie uważasz?

A więc to w taki sposób dorośli chcieli poradzić sobie z tą sytuacją? Zmusili Shuna by sam odebrał sobie życie. Właściwie to nawet mnie to nie zdziwiło. Może taka nieczułość wynikała z narażenia na ogromny szok w krótkim czasie.

– Cieszę się, że żadnej nie połknąłeś. Powinieneś wyrzucić całą tą butelę.

– Zjadłem je wszystkie.

– Co?

– Ale nie zadziałały. Było już za późno. Zgaduję, że łatwo jest zmienić strukturę trucizny na poziomie molekularnym. Mimo tego byłem zdziwiony, że nawet arsenik nie jest w stanie mnie zabić. Wygląda na to, że Cień, część mojej podświadomości która za wszelką cenę nie chce dopuścić bym umarł, potrafi modyfikować nawet podstawowe pierwiastki.

Dotknęłam dłonią ręki Shuna.

– Myślę, że to nadchodzi... – powiedział do siebie.

– Co takiego?

– Saki, pospiesz się i uciekaj stąd! – Cofnął dłonie i wstał.

Cały dom głośno zadudnił. Brzęczki wzleciały wysoko w powietrze, bucząc zawzięcie, po czym huknęły o podłogę.

– Jest tak samo jak wtedy. Jak wtedy, kiedy mój dom został pochłonięty przez ziemię... Czy to nie zabawne? To prawie jak Błogosławieństwo, tyle, że nie przynosi ci żadnego daru, a jedynie śmierć... Szybko! – krzyknął, popychając mnie w plecy.

Próbowałam stawić mu opór, ale był silniejszy.

– Mam już tego dość. Zakończę to wszystko tu i teraz.

Na moich oczach ściany zaczęły się trząść i wyginać. Pojawiły się na nich pękające jeden po drugim pęcherze, wyglądające jak bańki mydlane. To był zupełny chaos. Znowu zaczęła mnie boleć głowa.

– Saki – powiedział cicho Shun, wypychając mnie za drzwi. Jego maska zaczęła się roztapiać, mimo, że nie było gorąco. – Zawsze cię kochałem.

– Dlaczego teraz mi to mówisz? Shun! Ja...

– Żegnaj.

W następnej chwili znalazłam się setki metrów nad ziemią, patrząc z góry na skąpaną w księżycowym blasku chatkę Shuna. Tyle, że nie było już żadnej chatki. Na jej miejscu ział gigantyczny krater.

Ziemia wokół ogromnej dziury zaczęła się zapadać. Powietrze wypełniło się echem donośnego łomotu i suchych dźwięków pękających pni drzew wyrywanych z korzeniami. Ta apokaliptyczna scena zdawała się coraz odleglejsza. Uświadomiłam sobie, że lecę do tyłu po olbrzymim łuku. Silny wiatr szarpał moim ubraniem we wszystkie strony. Podmuch zerwał mi z głowy spinkę; włosy powiewały za mną swobodnie na nocnym niebie.

Gdybym po prostu z czymś się zderzyła i umarła, nie byłaby to taka zła śmierć.

Z taką myślą w głowie zamknęłam oczy.

Po chwili ponownie je otworzyłam.

Shun ocalił mnie swoim ostatnim wysiłkiem.

Musiałam żyć.

Odwróciłam się pod wiatr. Podmuch był bolesny, lecz nie zamknęłam oczu. Moje łzy zostały wywiane daleko do tyłu. Spojrzałam w dół i zobaczyłam coś, co wyglądało na szeroką, trawiastą równinę. Zastanawiałam się, czy gdy Shun wystrzelił mnie w przestworza, dokładnie wiedział, gdzie wyląduję.

Ziemia zaczęła pomału się przybliżać.

Pomału. Zupełnie jak we śnie.

Część IV: Odległy zimowy grzmot

Rozdział 1

Wokół mnie powstało małe zamieszanie. Skrzywienie przesuwanych krzeseł. Rytm kroków na drewnianej podłodze. Gwar kręcących się po sali uczniów. Gwizd pary wydobywającej się ze stojącego na środku klasy czajnika.

Głosy o dziwnym akcencie. Donośny śmiech. Dźwięk przytłumionej, jakby słyszanej spod wody rozmowy. Cichy szept nieznanej mi osoby.

Wszyscy chcieli, by ich rozmówcy słyszeli to, co mówią, jednak przez to ich głosy zlały się w jeden bezsensowny szum, niosący się w powietrzu.

Gdyby wszystkie te osoby naraz wypowiedziały swoje myśli na głos, prawdopodobnie wyglądałoby to dokładnie tak samo. Każda pojedyncza myśl ma jakieś znaczenie, lecz gdy połączy się je ze sobą, tracą sens i stają się jedynie chaotycznym zlepkiem szumów. Tak, jak nasz wyciekający cantus.

Zatopiłam się w morzu niespójnych myśli. *Wyciek... Gdzie ja o tym słyszałam?*

O czym tak dumasz?

Takie właśnie zdanie pojawiło się nagle w moim zeszycie. W środku litery „O” narysowana była mrugająca twarz, natomiast „u” w słowie „dumasz” zmieniło się w uśmiechniętą buzię. Odwróciłam się i ujrzałam Marię wpatrującą się we mnie z wyraźną troską.

– Tak po prostu rozmyślałam o pewnej rzeczy.

– Niech zgadnę? Myślałaś o Ryou?

– O Ryou? – Zmarszczyłam brew.

Maria najwyraźniej źle zinterpretowała moją dezorientację.

– Nie musisz się z tym kryć. Martwisz się, czy cię wybierze, prawda? Nie martw się. Widać, że cię lubi.

Ryou Inaba. Radosny chłopak, którego znałam od dzieciństwa. Naturalny przywódca, którego zawsze wszyscy podziwiali. *Ale...* Poczułam nagle przyływ dziwnego zakłopotania. *Dlaczego on?*

– Przecież Ryou jest w grupie drugiej. Czemu miałby wybrać mnie?

– Co ty wygadujesz? – zdziwiła się Maria. – Przecież tak było tylko na samym początku, czyż nie? Odkąd dołączył do grupy pierwszej, zawsze trzyma się razem z nami.

Och, racja. Ryou został dołączony do grupy pierwszej jakiś czas po rozpoczęciu nauki w Akademii, ponieważ grupa druga miała sześcioro członków¹ a nas było tylko czworo.

Ale, przede wszystkim, dlaczego od początku było nas zbyt mało?

– Saki, wszystko z tobą w porządku? Trochę dziwnie się zachowujesz. – Maria położyła dłoń na moim czole, jakby chciała sprawdzić, czy nie mam gorączki. Po chwili szybko się przybliżyła i pocałowała mnie w usta.

– Przestań – powiedziałam, prędko się odwracając. Nikt na nas nie patrzył, ale i tak poczułam się zawstydzona.

– Widzisz? Już ci lepiej – odparła.

– Nie prosiłam cię o to.

– Miałaś nadzieję, że zrobi to ktoś inny, co nie?

– Wcale nie!

– Jesteście chyba nierozłączne. – Ryou pojawił się za plecami Marii.

Poczułam, że się rumienię. Pomyślałam, że Maria źle zinterpretuje również i to, co poskutkowało tylko tym, że stałam się jeszcze bardziej czerwona.

– Przeżywamy swoją miłość. Zazdrosny? – spytała Maria, tuląc mnie do piersi.

¹ Można zauważyć tu pewną nieścisłość, ponieważ biorąc pod uwagę wyeliminowanego wcześniej Manabu Katayamę, grupa druga powinna liczyć pięcioro, a nie sześcioro członków. Nie wiem jednak, czy jest to niedopatrzenie autora czy błąd tłumacza na język angielski.

– Mówiąc szczerze, trochę tak.

– O kogo?

– O was obydwie.

– Kłamczuch.

Krótko mówiąc, Ryou był mądry, zgrabny i powszechnie lubiany; nie dało się po prostu nie zauważać jego istnienia.

Z drugiej strony jednak nie należał on do ludzi, którzy zastanawiają się głęboko nad otaczającym ich światem. W żadnym wypadku nie można było o nim powiedzieć, że jest głupi, jednak jego odpowiedzi zawsze były bardzo powierzchowne. Poza tym nie wyróżniał się również żadnymi szczególnymi umiejętnościami w używaniu cantusu...

Ta myśl również sprawiła, że poczułam się nieswojo. Z kim ja go właściwie porównywałam?

– Saki, możemy chwilę porozmawiać zanim zaczną się lekcje?

– Och, w takim razie nie będę wam przeszkadzać – rzuciła Maria, wzlatując w powietrze i okręcając się wkoło, co sprawiło, że zatrzepotały za nią jej długie, rude włosy.

– Mamoru nigdy nie był zainteresowany nikim poza tobą, wiesz? – powiedział do niej Ryou. Był naprawdę przygaszony, kiedy wygrałaś wstępne głosowanie przytłaczającą większością głosów.

– Ciężko jest być tak popularną, nie uważacie? – zachichotała Maria po czym odleciała jak jakaś dziwaczna ważka. Ryou odwrócił się w moją stronę.

– Chodźmy gdzieś, gdzie jest ciszej.

– W porządku.

Nie miałam powodu by mu odmówić. Wyszłam za nim z klasy, jednak zatrzymałam się od razu gdy skręcił w lewo.

– Poczekaj, ja nie chcę tam iść.

– Dlaczego? – Wyglądał na trochę zbitego z tropu.

– Ja... Co właściwie chcesz tam robić?

Sama nie wiedziałam, dlaczego tak wzbraniałam się przed pójściem w tamtą stronę.

– Nikt nie będzie nas tam niepokoił. To tylko korytarz prowadzący na wewnętrzny dziedziniec.

No tak. Nie chciałam zbliżyć się do dziedzińca. Ale dlaczego wzdrygałam się na samą myśl o tym miejscu?

– A może wyjdziemy zamiast tego na zewnątrz? Pogoda jest dziś taka piękna.

– Ach, jasne.

Skręciliśmy w korytarz po prawej i wyszliśmy na szkolne boisko. Pogoda rzeczywiście była cudowna, lecz w powietrzu dało się wyczuć wyraźny chłód. Ryou skulił ramiona, chcąc się trochę ogrzać. Bez wątpienia pomyślał sobie, że jestem jakąś dziwaczką, która nie wie, że mamy zimę.

– Mam zamiar wybrać cię na swoją partnerkę do dyżurów – powiedział, przechodząc wprost do sedna.

– Dzięki. – Nie wiedziałam co powiedzieć, więc wybrałam najbezpieczniejszą odpowiedź.

– I to wszystko? – Ryou wydawał się zawiedzony.

– Co masz na myśli?

– Pytam, co ty zamierzasz zrobić. Nominujesz mnie? – naciskał.

– Ja...

Tej zimy, wszyscy uczniowie Akademii Mędrców mieli zostać podzieleni na pary dyżurnych. Teoretycznie powinny powstać tylko dwójki składające się z chłopca i dziewczyny, lecz z powodu nierównej liczebności obu płci niektórzy musieli dobrać się w trójki lub pary jednopłciowe.

Nasze obowiązki miały pozornie obejmować jedynie codzienne czynności i przygotowania do różnych festiwali, jednak z jakiegoś powodu para mogła powstać jedynie jeśli uczeń i uczennica wybrali się wzajemnie. Nie było więc to dla nas niczym innym jak jawnym wyznaniem miłości.

Nie dało się zaprzeczyć, że w tamtym czasie szkoła całkowicie kontrolowała nasze romantyczne relacje, co odzwierciedlał znak 番, określający pary dyżurnych. Najczęściej określało się w ten sposób

kolejkę na wykonywanie różnych obowiązków, jednak inne słownikowe definicje oznaczały też „parę”.¹ Biorąc pod uwagę to, jak wielką wagę do znaczenia słów przywiązywały Rada Edukacji i Komisja Etyki, wcale nie wydawało się to nadinterpretacją.

– Wybacz, ale jeszcze nie zdecydowałam.

Ponieważ Ryou był tak bezpośredni, ja również postanowiłam nie owijać w bawełnę.

– Ktoś jeszcze chodzi ci po głowie? – spytał zmartwiony.

– Uch, raczej nie...

Przez krótką chwilę pomyślałam o Satoru, ale szybko odrzuciłam ten pomysł. Był dobrym przyjacielem, ale nie czułam do niego niczego poważniejszego.

– Dlaczego wybrałeś mnie?

– Czy to nie oczywiste? – odparł pewnie Ryou. – Zawsze byłaś dla mnie tą jedyną.

– Zawsze? Czyli od kiedy?

– Od kiedy? Ciężko dokładnie określić coś takiego, nie sądzisz? Ale gdybym miał wskazać jakiś konkretny moment... – Na twarzy Ryou przez chwilę zagościł wyraz niezdecydowania – to byłby chyba czas który wspólnie spędzaliśmy podczas letniego obozu.

Przypomniałam sobie tą rozgwieżdżoną noc sprzed dwóch lat.

– Jakie jest twoje najlepsze wspomnienie z obozu?

– Chyba... Chyba cały obóz. Nasza wspólna wyprawa kajakiem. Och, pamiętasz jak oczarowana pięknym krajobrazem zapatrzyłaś się tak bardzo, że o mało co nie wpadłaś do rzeki? Złapałem cię w ostatniej chwili.

Skrzywiłam się. Czy coś takiego naprawdę miało miejsce? Podczas letniego obozu spotkało nas sporo niebezpieczeństw, lecz byliśmy wtedy rozdzieleni. Czy więc wyraźniejszego śladu w pamięci

¹ Tu: para oznaczająca związek, dwoje zakochanych. Notka od autora przekładu z oryginału na angielski: W zależności od kontekstu 番 oznaczać może różne rzeczy, np. 当番 może oznaczać zarówno kolejkę na zrobienie czegoś/spełnienie obowiązku jak i bycie w parze, w związku.

nie powinna zostawić pierwsza noc poza domem lub moment, kiedy wszyscy się odnaleźliśmy?

– A co z nocnym spływem?

– Nocny spływ? – zamyślił się. – A, tak, było zabawnie.

Zabawnie... Wspomnienie tamtej nocy było dla mnie niezwykle istotne i nie podobało mi się to, że opisał ją tak banalnym słowem.

Wracając do klasy minęliśmy Satoru. Patrzył w naszą stronę z dziwnym wyrazem twarzy, jednak to nie we mnie utkwiony był jego wzrok. Nie było to niczym dziwnym jeśli pamiętało się, że jeszcze niedawno chodził z Ryou.

Sposób w jaki się nam przyglądał spowodował, że dostałam gęsiej skórki. W jego wzroku nie dostrzegłam zazdrości ani zauroczenia, a jedynie czystą dezorientację. Wyglądał jakby zobaczył coś zupełnie nierzeczywistego.

Tej nocy śniłam długi, zagmatwany sen. Po przebudzeniu zapomniałam jego większą część, lecz ostatnia scena pozostała żywo wypalona w mojej pamięci.

To było ponure, puste miejsce. W dłoniach trzymałam bukiet kwiatów. Po chwili zorientowałam się, że stoję na wewnętrznym dziedzińcu szkoły, który był naszpikowany nagrobkami jak okiem sięgnąć. Nieważne jak bardzo wyteżałam wzrok, było zbyt ciemno, żeby odczytać wyryte na kamiennych płytach słowa.

Położyłam kwiaty na grobie stojącym bezpośrednio przede mną. Pomnik wyglądał na nowy, jednak był częściowo pograżony w ziemi, jakby się roztopiał, a kamień z którego był wykonany nosił już ślady wystawienia na kapryśną pogodę. Nie dało się przeczytać napisanego na nim nazwiska.

Kiedy tak stałam, poczułam, że ogarnia mnie silne poczucie osamotnienia; to było niczym dziura ziejąca mi w piersi.

– Tak szybko o mnie zapomniałaś?

Ktoś do mnie mówił. Głos chłopca. Był boleśnie znajomy, ale nie miałam pojęcia do kogo należy.

– Przepraszam. Po prostu nie potrafię sobie przypomnieć.

– Rozumiem... Wygląda na to, że nic nie poradzimy.

Odwróciłam się w stronę, z której dobiegał głos, lecz nikogo tam nie było.

– Gdzie jesteś? Pokaż mi swoją twarz.

– Ja nie mam twarzy – odparł cicho.

Te słowa przywiodły mi na myśl bezgraniczny smutek. No tak... On już nie miał żadnej twarzy.

– Ale ty powinnaś dobrze ją znać.

– Nie znam. Nie mogę sobie przypomnieć.

– To nie twoja wina – powiedział łagodnie. – Kiedy zostałem pogrzebany, wymazano również moje imię.

– Kto to zrobił? Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego?

– Rozejrzyj się. Oni wszyscy zostali wymazani.

Dostrzegłam dziwny nagrobek w kształcie domku z kart. Większa część pomnika się zawaliła, przez co nie dało się odczytać wyrytego nań imienia.

– Tu, i tam też.

W dalszej części dziedzińca stały w milczeniu kolejne groby. Na nich w ogóle nie było żadnych napisów a jedynie wyryte w kamieniu dyski. Uświadomiłam sobie, że są to lustra. Czy gdybym podeszła bliżej, ujrzałabym w nich swoją twarz. Zawahałam się.

– W porządku – usłyszałam dobiegający zza pleców głos chłopca bez twarzy. – Nie bój się. To nie jest twój grób.

– Do kogo więc należy?

– Przyjrzyj się uważnie, a zrozumiesz.

Spojrzałam w lustro. Załamane światło zatańczyło mi przed oczami. Uniosłam dłoń, żeby stłumić oślepiający blask, po czym powoli otworzyłam oczy.

Światło poranka dostało się do pokoju przez niezaciągniętą do końca zasłonę. Przeciągnęłam się, wstałam i poprawiłam kotarę.

Wschodzące słońce zabarwiło okienną szybę na jasnożółty kolor. Kilka wróbli balonowych skakało żwawo z drzewa na drzewo.

To był poranek jak każdy inny. Przetarłam oczy. Nawet we śnie wiedziałam, że płaczę.

Poszłam obmyć twarz, żeby moi rodzice się o tym nie dowiedzieli.

Zegar na ścianie wskazywał, że nie minęła jeszcze siódma.

Pomyślałam o wszystkich snach, jakie kiedykolwiek śniłam. Do kogo należał tamten głos? Dlaczego brzmiał tak znajomo? I czemu napęlił mnie tak wielkim smutkiem?

Nagle zdałam sobie sprawę, że widziałam już wcześniej tamto lustro ze snu. Tyle, że wtedy nie było to we śnie, a na jawie.

Serce zaczęło mi walić. Przypomniałam sobie, że miało to miejsce, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Ale gdzie? Biorąc pod uwagę mój ówczesny wiek, nie mogło być to zbyt daleko. Gdzieś w pobliżu domu... Nie, gdzieś w jego wnętrzu. Przypomniałam sobie ogromne pudło wypełnione różnymi drobiazgami, o którym lubiłam myśleć, że jest kufrem pełnym skarbów. Mogłam spędzać całe dni, przekopując się przez jego zawartość i nigdy mi się to nie nudziło.

Szopa.

W pobliżu naszego domu stał spory budynek gospodarczy. Górne piętro było zrobione z gipsu, natomiast dolne – z falistego metalu. W dzieciństwie bardzo często bawiłam się w jego zadziwiająco przestronnym wnętrzu.

Narzuciłam kurtkę, cicho zbiegłam po schodach, prześliznęłam się korytarzem i wyszłam na zewnątrz. Rześkie, poranne powietrze szczypało mnie w twarz, ale kilka wdechów wystarczyło, by poczuć cudowne orzeźwienie.

Z pewną trudnością otworzyłam duże wrota szopy.

Umieszczone w oknach deski przepuszczały jedynie tyle światła, by lekko rozjaśnić pomieszczenie. Pokój miał powierzchnię ośmiu mat tatami; stało w nim całe mnóstwo regałów a przy przeciwległej ścianie majaczyły prowadzące na piętro schody.

Bazując na rozmytych wspomnieniach o tym miejscu, wspiełam się na górę. Do ścian przybite były półki, na których stały wytrzymałe, drewniane pudła. Każde z nich musiało ważyć ponad sto kilogramów. Używając cantusu zaczęłam po kolei je otwierać.

W piątym z kolei znalazłam to, czego szukałam.

Wyciągnęłam okrągłe lustro o średnicy około trzydziestu centymetrów. W przeciwieństwie do zwykłych lusterek z posrebrzonym szkłem, to było bardzo ciężkie, szybko się nagrzewało i wydawało się wykonane z brązu. Było dokładnie takie, jak we śnie.

Powoli zaczęły powracać wspomnienia. Z pewnością widziałam to lustro w przeszłości; prawdopodobnie patrzyłam na nie wiele razy. Dokładnie się mu przyjrzałam. Brąz po tak długim czasie zaczyna się utleniać, w skrajnych przypadkach stając się całkowicie zielony, jednak powierzchnia lustra wydawała się jedynie lekko zamglona.

Ostatni raz mogłam widzieć je minimum przed pięcioma laty. Ktoś musiał je w międzyczasie wypolerować.

Odłożyłam pudełko na swoje miejsce i zabrałam ze sobą lustro.

Nie chciałam, żeby rodzice mnie zobaczyli, więc obeszłam dom i wsiadłam do Hakurena 4. Pomimo tego, że wciąż był wczesny poranek, po kanale sunęło już dość dużo łodzi. Wiejący znad wody wiatr był zimny. Starając się z całych sił by nie wzbudzać podejrzeń, wybrałam najmniej uczęszczaną drogę i zatrzymałam się w pustym doku.

Potarłam lustro niewielką ściereczką, którą przy nim znalazłam, chcąc pozbyć się efektu przymglenia. Okazało się to trudniejsze niż przewidywałam. Korzystając z cantusu wyobrażałam sobie obraz brudu, odpadającego płatami od szkła. Brąz stopniowo odzyskiwał swój rdzawo-złoty połysk.

Od momentu znalezienia lustra cały czas nie mogłam odpędzić myśli, że jest ono magiczne. Ten specjalny rodzaj lusterek tworzono wykorzystując specyficzną technikę znaną już w starożytności. Nie dało się zobaczyć żadnego odbicia po prostu patrząc w szkło, jednak po skierowaniu na nie promieni słońca i odbiciu ich na jakąś

powierzchnię, ukazywały się na niej ukryte słowa lub obrazy.. Działanie magicznych lusterek opierało się na rozpraszaniu światła przez brązową powłokę, której niektóre obszary mikroskopijnie odbiegały grubością od reszty. Obraz można było uzyskać jedynie w dziennym świetle; świece, pochodnie i fluorescencja nie ujawniłyby go.

W przeszłości brązowa płyta musiała być na początku miazdżona aż do uzyskania odpowiednio małej grubości. Później nanoszono na nią pożądany wzór i polerowano tak długo, aż przestał być on widoczny gołym okiem. Coś takiego było właśnie jednym z naszych pierwszych zadań praktycznych w Akademii Mędrców. W celu opanowania precyzyjnego dotyku, który był konieczny do prawidłowej kontroli nad naszym cantusem, wszyscy musieliśmy stworzyć magiczne lustro. Pamiętam, że udało mi się ukończyć to zadanie już na pierwszej lekcji. Na ukryty obraz składało się słowo „Saki”, otoczone wymyślnym wzorkiem. Byłam wtedy bardzo zadowolona ze swojego dzieła.

Ustawiłam powierzchnię lustra w kierunku słońca i skierowałam odbity promień na ścianę pobliskiego budynku.

Litery, które ukazały się w środku świetlnego kręgu były tak koślawe, że bardziej przypominały przypadkowe bązgroły. Mimo tego dało się bez trudu zauważyć, że tworzyły one słowo „Yoshimi”.

Kiedy weszłam do klasy, Ryou tak jak zazwyczaj rozmawiał i chichotał ze swoimi przyjaciółmi. Większość z nich była z drugiej grupy.

– Hej, liczę dzisiaj na ciebie – powiedział, gdy tylko mnie zobaczył, uśmiechając się pewnie.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Jasne, gdzie pójdziemy?

– To bez znaczenia, nie zajmę ci dużo czasu.

Wstałam i wyszłam z sali. Ryou, świadomy tego, że patrzą na niego przyjaciele, podążył za mną, udając spokojniejszego i bardziej opanowanego niż był w rzeczywistości.

– Chcę cię zapytać o parę rzeczy.
– Jasne, pytaj – odparł, wyluzowany jak zwykle.
– Wracając do naszego nocnego spływu kajakowego...
– Cały czas drążysz ten temat? – powiedział, krzywiąc się i odwracając wzrok.
– Nauczyłeś mnie wtedy pewnej podstawowej zasady dotyczącej nocnej żeglugi. Pamiętasz, co to było?

– Nie patrz na płomienie.
Słowa chłopca bez twarzy odbiły się echem w mojej głowie.
– Dlaczego?
– To pierwsza zasada spływów kajakowych. Musisz jak najszybciej przyzwyczać oczy do ciemności, bo inaczej nie będziesz w stanie niczego dostrzec.

– To było tak dawno temu, naprawdę nie pamiętam... Może chodziło o to, żeby uważać na skały?

– W porządku, spytam w takim razie o coś świeższego. Dlaczego zerwałeś z Satoru?

To pytanie zupełnie zbiło Ryou z tropu.

– T-to... To nie ma już znaczenia, prawda?

– Byliście ze sobą tak blisko. Nawet byłam o was zazdrosna.

– Och, naprawdę...? – odpowiedział zmieszany.

– No dobrze, w takim razie ostatnie pytanie. Jeszcze raz wróćmy do letniego obozu.

– Dobra, niech będzie – odparł niedbale.

– Chodzi o mnicha, Rijina. Pamiętasz, w jaki sposób zmarł?

– Kim jest Rijin? U-umarł? O czym ty mówisz?

– W porządku – przerwałam jego bezładny bełkot. – To chyba naprawdę nie byłeś ty.

– Co masz na myśli?

– Nie napiszę twojego imienia podczas dobierania partnerów do dyżurów.

Ryou wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

– C-co...? Dlaczego?

– Bardzo mi przykro. Pomyślałam jednak, że uczciwie będzie, jeśli wcześniej cię o tym poinformuję.

Wróciłam do klasy, zostawiając go stojącego w osłupieniu na środku korytarza. Satoru czekał przy drzwiach.

– Masz zamiar napisać jego imię, Saki? – spytał z kwaśną miną.

– Oczywiście, że nie.

– Co? Czemu?

Przypatrzyłam się uważnie Satoru. Nagle ujrzałam go w zupełnie innym świetle.

– Hej, dlaczego właściwie lubiłeś Ryou?

– Dlaczego...? B-bo... – Satoru wydawał się straszliwie zdezorientowany. – Sam się zastanawiam. Gdy teraz o tym pomyślę, kompletnie nie wiem, co mną kierowało.

– Rozumiem. Wiedziałam. Ryou nie jest zły, on po prostu nie pasuje do swojej roli.

– Że co?

– Jestem pewna, że to nie był on. Że to nie w nim oboje się zakochaliśmy.

Satoru potrzebował chwili, żeby przetrawić sens moich słów. Jego policzki się zarumieniły. Pomimo, że niczego nie powiedział, zobaczyłam, jak do jego oczu powraca ich zwykły błysk.

Większość par zostało ustalonych już po pierwszej turze nominacji. Znaleźli się co prawda uczniowie, którzy postanowili, że nie mają niczego do stracenia i napisali imiona osób, na stworzenie pary z którymi nie mieli żadnych szans, jednak zdecydowana większość osób już wcześniej ustaliła swój wybór z potencjalnym partnerem.

Gdy Satoru i ja znaleźliśmy się w jednej dwójce, Ryou nawet nie spojrzął się na żadne z nas. Już po chwili trafił do pary z jedną z dziewczyn z grupy drugiej, co nie było ani trochę zaskakujące.

Uwaga całej klasy skupiła się na tym, kogo wybierze Maria. Bez wahania zdecydowała, że jej partnerem zostanie Mamoru. Prawdopodobnie była to nagroda, słusznie mu się należąca za tak bezgraniczne oddanie Marii.

– Co się stało? Czemu nie wybrałaś Ryou?

Po lekcjach spotkaliśmy się w pobliżu koryta osuszonego kanału. Maria chciała uczcić to, że cała nasza czwórka dobrała się między sobą w pary. Satoru i ja wyjawiliśmy jej prawdę o tym, co zaszło. Myślałam, że po prostu nie będzie chciała do końca nam uwierzyć, jednak zamiast tego spojrzała na nas, jakby nagle zupełnie nam odbiło.

– Dlatego właśnie twierdzę, że to nie był on. Na letnim obozie było nas pięcioro, lecz Ryou nie był jednym z nas.

– To niemożliwe. Pamiętam, że był tam z nami. To on pierwszy znalazł gniazdo sianokułki.

Tak właściwie to ja pierwsza je znalazłam, lecz nie było czasu na sprzeczenie się o nieistotne szczegóły.

– To nie był Ryou.

– No więc kto?

– Nie wiem. Nie potrafię przypomnieć sobie jego imienia.

– Jaki był? Jak wyglądał?

– Jego twarzy również nie pamiętam.

Przypomniał mi się sen, w którym stwierdził, że nie ma żadnej twarzy.

– Naprawdę spodziewasz się, że uwierzę w coś takiego? Wszystko z tobą w porządku, Saki? – Maria pokiwała głową, uśmiechając się cierpko.

Poczułam się urażona jej arogancką postawą.

– Ale ja również pamiętam niektóre z rzeczy, o których wspomniała Saki... – powiedział Satoru, przychodząc mi z pomocą. – Pamiętam też, że z nim chodziłem... Gdy jednak teraz o tym pomyślę, nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że mógł to być Ryou. On nie jest w moim typie.

– Wszyscy wiemy, że pociągają cię młodszy, słodcy, śliczni chłopcy... Tacy jak Rei. – Maria założyła ramiona na piersiach, zadowolona z siebie. – Czasem sam nie wiesz, co robisz. Może był wystarczająco natarczywy.

– Nie, to ja zawsze musiałem zabiegać o jego względy – odparł Satoru, czerwieniąc się. – W każdym razie, jestem pewien, że ktoś majstrował przy naszych wspomnieniach. Pewne szczegóły po prostu się wykluczają.

– Na przykład jakie?

– Ryou... Nie, to zbyt mylące. Nazwijmy tę osobę X. Pamiętam, że często odwiedzałem X w jego domu, gdy byliśmy mali. Ten dom różnił się jednak od posiadłości Ryou. On mieszka w Pięknym Widoku, prawda? Na szczycie pagórka otoczonego łąkami. Ale dom X znajdował się...

– W środku lasu! – krzyknęłam bez zastanowienia.

– Racja. Daleko na północy. Pamiętam, że to był olbrzymi, stojący na uboczu budynek.

– Teraz, gdy o tym wspomniałeś... Też zaczynam sobie przypominać. – powiedziała Maria, krzywiąc się. Była piękna nawet mimo takiej miny goszczącej na twarzy.

– Nigdy nie byłem w domu X ani Ryou – odezwał się niespodziewanie Mamoru. – Ale gdzie miałyby się znajdować ten las na północy?

Też nad tym myślałam, ale nie potrafiłam skojarzyć żadnego pasującego miejsca.

– Hej, wymień po kolei nazwy wszystkich siedmiu wiosek – poprosiłam Satoru.

– Co? Teraz?

– Po prostu to zrób.

Do tej pory nigdy nie przeszłoby mi przez myśl, że Satoru może słuchać moich poleceń, jednak odkąd dobraliśmy się w parę do dyżurowania, stał się zadziwiająco uległy.

– Uch, więc tak: Dębowy Gaj, Martwe Drzewo, Biały Piasek, Złocista Wioska, Wodny Młyn, Piękny Widok i Zbożowy Krąg, racja?

Tym razem to ja zmarszczyłam brew. Nazwy tych wiosek towarzyszyły mi przez całe życie... Dlaczego więc brzmiały tak dziwnie?

– Mówicie o lesie, czyli może chodzi o Dębowy Gaj? Ale skoro miało to być na północy... – Na twarzy Marii malowało się niezwykle skupienie. – Myślę, że to było Martwe Drzewo. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że nie ma tam żadnych dużych domów.

– Tak, ciężko sobie wyobrazić, że to mogło być tam. Poza tym, wszystko dalej na północ wydaje się leżeć już poza Świętą Barierą.

Zauważyłam, że kącik oka Satoru lekko się poruszył kiedy to mówił. Westchnęłam. To uczucie... Takie samo towarzyszyło mi w przeszłości wielokrotnie, kiedy byłam bliska przypomnienia sobie czegoś istotnego. Zastanawiałam się, czy inni dostrzegali w takich sytuacjach drżenie moich oczu. To prawdopodobnie miał być jakiś rodzaj ostrzeżenia; zakotwiczony głęboko w naszych umysłach mechanizm nie pozwalający nam przypomnieć sobie pewnych rzeczy.

– Chodźmy – rzuciłam.

Wszyscy utkwili we mnie wzrok.

– Dokąd?

– Do Martwego Drzewa, oczywiście.

– Ale dopiero co dobraliśmy się w pary. Wszyscy pozostali świętują. Naprawdę musimy iść do tego ponurego miejsca? – narzekała Maria.

Martwe Drzewo w istocie nie tętniło życiem.

Wzdłuż nabrzeża stały ustawione w szeregu domy, przez które miało się wrażenie, że stoi się w gwarnym centrum miasteczka, jednak im dalej się szło, tym mroczniejsze wszystko się stawało. Liczne szeregi opuszczonych domostw przywodziły na myśl miasto duchów.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytał Satoru, dotykając zatrzaśniętych okiennic w jednym z okien.

– Czy to nie tu miała miejsce jakaś katastrofa, po której mieszkańcy musieli przenieść się do innych wiosek? – podsunął Mamoru.

Też pamiętałam coś takiego. Nawet w tak małym społeczeństwie jak nasze, pozostawało wiele niejasności na temat tamtego wydarzenia.

– Tak czy siak, dom X powinien znajdować się jeszcze dalej na północ. Spróbujmy go odszukać – ponagliłam ich.

Wybraliśmy wąską, niepozorną ścieżkę, nie napotykając nikogo po drodze. W innych wioskach coś takiego byłoby niemożliwe.

Po jakiejś godzinie zaczęliśmy pomału dostrzegać skutki „katastrofy”, która dotknęła Martwe Drzewo.

Ziemia poprzecinana była tu i ówdzie szerokimi rozpadlinami, na dnie których zalegały stosy połamanych drzew. W niektórych miejscach poziom gruntu podniósł się bądź obniżył o więcej niż metr. Wyglądało to jak efekt potężnych wstrząsów, lecz gdyby rzeczywiście miało miejsce trzęsienie ziemi o takiej magnitudzie, mocno ucierpieć musiałby cały dystrykt Kamisu 66.

Natknęliśmy się na zajmującą duży obszar strukturę, przypominającą olbrzymi fałd, tworzącą miniaturowe pasmo górskie, którego wysokość miejscami przekraczała trzy metry.

– Co tu się stało, na niebiosa? – wyszeptał pod nosem Satoru.

– Człowiek, który stworzył coś takiego, musiał dysponować naprawdę potężnym cantusem. – odpowiedziała Maria.

– Ale dlaczego to zrobił?

– Nie wiem ani trochę więcej od ciebie.

Zatrzymaliśmy się gwałtownie, napotykając na ścieżce przeszkodę.

– Święta Bariera...

Czerwone sosny leżały poprzewracane jak kostki domina, jednak niektóre drzewa zostały podniesione do pionu i przewiązane grubym sznurem bariery.

– Czy Martwe Drzewo zawsze było tak niewielkie? Doszliśmy już do Bariery. – zauważyłam.

Satoru przyjrzał się linie. – Nie, ten sznur jest nowy... – urwał nagle w połowie zdania i spojrzał na mnie.

Jakby telepatycznie poczułam, że dokładnie wiem, o czym myśli. Déjà vu. Kiedyś rozmawialiśmy już dosłownie o tym samym. Byłam tego pewna.

Poszliśmy wzdłuż liny i dotarliśmy na otwartą, pagórkowatą przestrzeń ogołoconą z drzew.

– Nie miałam pojęcia, że tu znajduje się coś takiego – powiedziała oniemiała z wrażenia Maria.

Staliśmy na brzegu głębokiego, błękitnego jeziora. Było prawie idealnie koliste, zupełnie jakby powstało we wnętrzu krateru. Ponieważ znajdowało się poza Barierą, nie mogliśmy podejść bliżej, żeby lepiej się mu przyjrzeć, lecz z pewnością miało ponad dwieście metrów średnicy.

Za nim rozciągał się jeszcze większy zbiornik wodny, tak rozległy, że nie mogliśmy dostrzec przeciwległego brzegu. Możliwe, że ciągnął się aż do jeziora Kitaura. W przeciwieństwie do mniejszego akwenu, który powstał najwyraźniej w dużej niecce, duże jezioro bardziej przywodziło na myśl starą tamę, która po wybudowaniu spowodowała zatopienie sporej części lasu. Prawdopodobnie stąd wzięła się nazwa wioski Martwe Drzewo.

– Dalej nie może być żadnych domów – powiedział Mamoru, w którego głosie było słychać wyraźną chęć jak najszybszego opuszczenia tego miejsca. – Musiało się wam coś pomylić. Żaden X nie istnieje.

– W takim razie czemu... – odparła cicho Maria – czemu mam wrażenie, że wiem, o czym mówią Saki i Satoru? Że osobą, którą znałam nie był Ryou, a jakiś inny chłopiec?

– To nasze umysły wprowadzają nas w błąd. Wszyscy teraz szybko rośniemy, i nie mam tu na myśli tylko wzrostu. Zmienia się też nasz wygląd i osobowość.

Satoru i ja spojrzeliśmy na siebie. Słowa Mamoru kompletnie nie odpowiadały naszym odczuciom. Osobiście miałam wrażenie, że czas zaczął się wlec wolniej niż ślimak. Czułam się jak uwięziony w bursztynie owad, który pozostanie w nim zamknięty już na wieczność.

– Hej, czy nie było kogoś jeszcze...? – spytała zniecierpliwiona Maria. Zatopiliśmy się w myślach.

– To, że w naszej grupie od początku było czworo członków rzeczywiście nie trzyma się kupy. Zanim doszedł Ryou, jego miejsce zajmował X, jednak wciąż brakuje jednej osoby. Nie potrafię sobie przypomnieć, ale mam wrażenie, że był z nami jeszcze ktoś.

Powoli z zakamarków mojego umysłu wypłynęła wizja jakiejś dziewczyny. Po chwili przypomniał mi się też nagrobek w kształcie karcianej piramidy, który widziałam we śnie.

– Ktoś był. Pamiętam – odparł Satoru, masując skronie, jakby miał migrenę. – Tak jak w przypadku X, wygląda na to, że pozostały mi niektóre wspomnienia o tej osobie. Ale dlaczego nikt inny o nich nie pamięta?

– Przestańcie! – wrzasnął Mamoru. – To jest złe! Nie powinniśmy wścibiać w to nosów. Jeśli będziemy dalej o tym rozmawiać, to... – zamilkł nagle. Wyglądał na przerażonego.

– To co? Myślisz, że się nas pozbędą?

Po tych słowach zapadła grobowa cisza.

– Saki, czy nie mówiliśmy o czymś takim także podczas letniego obozu? – zapytała Maria z pobladłą twarzą.

– Mówiliśmy. Tak myślę. Nie potrafię jednak przypomnieć sobie żadnych konkretów. Kiedy próbuję wrócić myślami do tych wspomnień, napotykam na jakiś mur – odparł Satoru. – Wiem jednak, że rozmawiałem o tym z Saki. Z wami wszystkimi. Siedzieliśmy przy ognisku. Pamiętam, że X zgodził się wtedy ze mną.

Satoru nadal pocierał czoło oboma kciukami, jakby chciał pozbyć się potwornego bólu głowy.

– Skończcie! Nie chcę już tego słuchać! Nie powinniśmy o tym mówić! Łamiemy Kodeks Etyki! – krzyknął rozhisteryzowany Mamoru.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby do takiego stopnia stracił nad sobą panowanie.

– Dobrze, już dobrze. Uspokój się. – Maria objęła go ramionami i delikatnie pogładziła jego głowę. – Dajmy sobie z tym spokój... W porządku? – spytała, łypiąc na naszą dwójkę.

Skinęliśmy głowami.

Ukryty obraz z magicznego lustra padał na ciemne deski ogrodzenia.

Satoru i Maria pogrążyli się na chwilę w zadumie. Mamoru poszedł już do domu, mówiąc, że źle się czuje.

– I co o tym myślicie? – spytałam.

– Uch... Napis jest dość niechlujny, ale myślę, że to dlatego, że jego autor dopiero uczył się korzystać z cantusu – odezwał się w końcu Satoru.

– Tak, w końcu nam też na początku powierzono takie samo zadanie – zgodziła się z nim Maria.

– Teraz mi wierzycie?

– Po pierwsze, nigdy nie sądziłam, że kłamiesz. I myślę, że to możliwe, że miałaś siostrę. Zastanawiam się tylko, czy założenie, że została wyeliminowana przez szkołę nie jest zbyt daleko idące.

– Gdyby zmarła z powodu choroby albo w wypadku, rodzice nie musieliby tego przede mną ukrywać, prawda?

Maria unikała mojego wzroku.

– Chyba masz rację. Ale może po prostu chcieli oszczędzić ci smutnych wspomnień?

– Przyjrzyj się tym literom. Nie wydają ci się zbyt koślawe? Tak jak powiedział Satoru, korzystanie z cantusu musiało nie wychodzić mojej siostrze zbyt dobrze.

– Nie neguję takiej możliwości, ale to wciąż tylko domysły.

Satoru wziął ode mnie lustro i poprawił kąt pod którym odbijało się od niego padające na płot światło.

– Gdy teraz na to patrzę, nie powiedziałbym, że napis jest źle wykonany. Znaki są prawidłowo wyrzeźbione, linia po linii. Po prostu są trochę powykrzywiane i zachodzą na siebie...

Nie wiedziałam wtedy do czego zmierza Satoru. Dużo później dowiedziałam się, że taki wygląd pisma może być spowodowany pewnym rodzajem wady wzroku i byłam zdumiona tym, jak spostrzegawczy się okazał. Mam silne podejrzenia, że mylnie posądzono moją siostrę o nieumiejętność władania cantusem z powodu jej kłopotów ze wzrokiem. Teraz, gdy większa część dokumentacji została zniszczona, nigdy nie będzie mi dane dowiedzieć się, czy rzeczywiście tak było.

Z tego co wiem, w dawnych czasach zwano takie nieprawidłowości krótkowzrocznością i astygmatyzmem. W celu niwelowania ich skutków, ludzie nosili okulary korekcyjne z soczewkami o różnej mocy. W ten sposób ich wzrok stawał się prawidłowy i mogli prowadzić normalne, bezproblemowe życie.

– Tak czy siak, miałam siostrę. – Zabrałam Satoru lustro i wysoko je uniosłam. – To jest niezaprzeczalny dowód.

– Schowaj je – powiedział cicho Satoru. – Jeśli ktoś cię zobaczy, będziesz miała kłopoty.

– Rozumiem jak się teraz czujesz, Saki – wyszeptała Maria, zarzucając mi ręce na szyję. – Ale proszę cię, nie pakuj się więcej w żadne tarapaty.

– W tarapaty? Ja po prostu chcę poznać prawdę – odparłam z oburzeniem. – Nie chodzi tylko o moją siostrę, ale też o tamtą dziewczynę z naszej grupy. I co jeszcze ważniejsze, o...

X. Chłopiec bez oblicza. Człowiek, którego kochałam jak nikogo innego; którego twarzy nie potrafiłam już sobie przypomnieć.

– O naszego przyjaciela – dokończyłam.

– Rozumiem cię. Mi też nie jest łatwo. Pozostało mi o nim mnóstwo wspomnień, ale brakuje w nich najważniejszych

fragmentów. Chciałabym móc coś z tym zrobić nie mniej od ciebie, jednak bardziej martwię się teraz o przyjaciół, którzy wciąż żyją.

– Nie musisz się mną przejmować.

– Nie mówię o tobie. Ty jesteś silna, poradysz sobie – odparła.

– Silna?

– Tak, i mogę to stwierdzić z większą pewnością niż ktokolwiek inny. Jesteś w stanie to znieść, lecz większość ludzi nie poradziłoby sobie z takim cierpieniem.

– Za kogo ty mnie właściwie bierzesz? – spytałam, strącając z ramienia jej dłoń.

– Nie zrozum mnie źle. Nie mówię, że jesteś nieczuła. Wręcz przeciwnie, jesteś wrażliwsza niż inni. Po prostu umiesz stawić czoła temu bólowi i rozpaczyci i dalej trzymać się życia.

Mój gniew zelżał, gdy ujrzałam kropelki łez kręcące się w kącikach jej oczu.

– My nie jesteśmy tak wytrzymali jak ty. Może się wydawać, że jestem nieustraszona, ale prawda jest taka, że gdy zaczyna dziać się coś złego, pierwsza chowam głowę w piach... Jest jednak ktoś jeszcze słabszy ode mnie czy Satoru.

– Mówisz o Mamoru? – spytał Satoru.

– Tak. Mamoru jest zbyt poczciwy i delikatny. Nigdy nie pozbierałby się, gdyby został zdradzony, nie tylko przez ludzi ale także przez świat, w który wierzy... – Maria pomału mnie objęła. – Ziemia jest pełna rzeczy, o których najprawdopodobniej lepiej nie wiedzieć. Nie myślisz czasem, że prawda jest najokrutniejszym, co można usłyszeć? Nie wszyscy mogą ją znieść. Jestem pewna, że Mamoru nie poradziłby sobie z większą ilością tych przerażających faktów.

Nie odzywaliśmy się przez dłuższą chwilę. Westchnęłam.

– W porządku.

– Naprawdę?

– Obiecuję, że Mamoru nie usłyszy już na ten temat ani słowa. – Przytuliłam ją mocno. – Ale nie spocznę, dopóki nie odkryję prawdy. Jeśli tego nie zrobię, on będzie mnie nawiedzał do końca życia.

Chłopiec bez twarzy. Nie mogłam pozwolić by został tak po prostu zapomniany, bo to by znaczyło, że nigdy nie istniał. Bez względu na wszystko musiałam odzyskać swoje wspomnienia o nim.

Objęliśmy się i pocałowaliśmy. Obecność przyjaciół dawała całej naszej trójce siłę i pocieszenie.

Wróciliśmy do przystani leżącej tuż za granicami Wodnego Młyna. Zazwyczaj nikt nie kręcił się w pobliżu a biegnący wzdłuż kanału płot czynił z doku idealne miejsce spotkań.

Gdy odwiązywaliśmy łodzie usłyszeliśmy za sobą wołający nas głos.

– Macie minutkę?

Odwróciłam się i ujrzałam kobietę i mężczyznę w średnim wieku, stojących na pomoście. W Kamisu 66 nie było zbyt wielu ludzi, których nigdy nie spotkałam, lecz ta dwójka wydawała mi się zupełnie obca. Kobieta, która się do nas odezwała była niska, pulchna i emanowała od niej łagodność. Mężczyzna, również dość puciołowaty, uśmiechał się do nas uprzejmie.

– Jesteś Saki Watanabe, prawda? A wy to Maria Akizuki i Satoru Asahina? – spytał.

– Tak – odpowiedzieliśmy speszeni.

– Nie musicie się denerwować. Chcemy tylko zamienić z wami parę słów, to wszystko.

Mają zamiar się nas pozbyć? Spojrzeliśmy po sobie, nie wiedząc, co powinniśmy uczynić.

– Ee... Jesteście z Rady Edukacji? – spytał odważnie Satoru.

– Nie, pracujemy dla twojej babci – odpowiedziała z uśmiechem krągła kobieta.

– Naprawdę?

O co tu chodzi? Nigdy wcześniej nie słyszałam niczego o babci Satoru. Widząc zakłopotanie na twarzy Marii i mojej, kobieta ponownie się uśmiechnęła.

– Babcią Satoru Asahiny jest Tomiko Asahina, przewodnicząca Komisji Etyki.

Rozdział 2

Płynęliśmy barką bez okien, taką samą jak ta, na pokładzie której przybyliśmy do Świątyni Czystości. Tym razem jednak przemieszczaliśmy się zwykłymi kanałami a łódź nie zmieniała bezsensownie kierunku żeby utrudnić nam orientację, więc miałam jakieś pojęcie dokąd zmierzamy.

Przystań również nie wyróżniała się niczym szczególnym. Spodziewałam się, że zostaniemy zabrani poza Świętą Barierę, więc poczułam lekki zawód.

Kiedy wchodziliśmy w wąski zaułek odchodzący od głównej ulicy wioski, kątem oka wychwyciłam budynki ratusza oraz biblioteki, gdzie pracowali moi rodzice. Siedziba Komisji Etyki mieściła się bardzo blisko centrum Zbożowego Kręgu. Z zewnątrz wyglądała jak zwykły sklep, lecz kiedy weszliśmy przez frontowe wrota, ujrzałam rozciągający się przede mną olbrzymi hol i uświadomiłam sobie, że w rzeczywistości budowla jest naprawdę spora.

Zaprowadzono nas do cichej sali, położonej w głębi budynku. W małej altance stało dymiące kadzidło z drzewa sandałowego a na ścianie powyżej niego wisiał zwój z malunkiem przedstawiającym zimowe peonie. Obok dużego, lakierowanego stołu leżały trzy poduszki barwy głębokiej purpury, oświetlone sączącym się przez papierowe okna blaskiem. Usiedliśmy na nich z niepokojem.

– Poczekajcie tu, proszę, przez chwilę – powiedziała kobieta, która nas tu zaprowadziła i zamknęła za sobą zasuwane drzwi.

– Co jest grane? – spytałyśmy jednocześnie z Marią Satoru.

– Nigdy nie wspomniałeś, że twoja babcia jest szefową Komisji Etyki.

– Chyba nas dla niej nie szpiegowałeś, co?

– Hej, wstrzymajcie się trochę – odparł Satoru, odchylając się do tyłu. – Sam nie miałem o tym pojęcia.

– Niby o czym?

– Że moja babcia... Że Tomiko Asahina jest przewodniczącą Komisji.

– Kłamiesz.

– Chyba sobie żartujesz. Jak mogłeś tego nie wiedzieć? Przecież jesteś jej wnukiem.

– Pozwólcie mi wytłumaczyć. – Satoru odsunął się od nas tak gwałtownie, że spadł z poduszki. – Wy też nie wiedziałyście, kto kieruje Komisją, zgadza się?

– Nie, i co z tego?

– W przeciwieństwie do innych zawodów, tożsamości członków Komisji Etyki nie są podawane do publicznej wiadomości. Oni sami też nie informują nikogo o swojej pracy.

– I niczego się nie dopatrzyłeś? – spytała Maria równie podejrzliwie jak poprzednio.

– Właściwie to nie – odparł poważnym tonem Satoru, siadając ze skrzyżowanymi nogami.

– Ale to twoja babcia! – upierała się.

– Jestem tego w pełni świadomy...

– Wybaczcie. – Usłyszeliśmy dochodzący zza drzwi głos.

Satoru szybko wrócił na swoją poduszkę. Również ja i Maria naprędcie się wyprostowałyśmy.

– Przepraszam, że musieliście tyle czekać.

Drzwi się rozsunęły i pojawiła się w nim ta sama kobieta co poprzednio, trzymając w dłoniach tacę z filiżankami herbaty. Postawiła je przed nami razem z kilkoma przekąskami.

– Chcemy porozmawiać z każdym z was na osobności. Czy mogę więc was prosić, byście szli za mną pojedynczo?

Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym odmówiła, choć oczywiste było, że taka opcja nie wchodzi w grę.

– Doskonale. W takim razie poproszę cię jako pierwszą, Saki Watanabe.

Byłam koszmarnie spragniona, ale nie miałam innego wyboru jak wyjść za kobietą na korytarz.

– Człowiekiem, który miał z tobą rozmawiać jest pan Niimi, ten, który przybył tu razem z nami. Och, ale ja też się jeszcze nie przedstawiłam. Nazywam się Kinomoto. Miło mi cię poznać.

– Mi również – odpowiedziałam, kłaniając się szybko.

– Jednakże – kontynuowała kobieta – gdy poinformowałam przewodniczącą o waszym przybyciu, poprosiła o możliwość osobistej rozmowy z tobą. Dlatego właśnie zmierzamy teraz prosto do jej gabinetu.

– Och, ma pani na myśli babcię Sa... To znaczy, Tomiko Asahinę?

– Tak. Jest bardzo uprzejma, więc nie musisz się denerwować.

Jej słowa ani trochę mnie nie uspokoiły. Moje serce, i tak bijące już dość szybko, zaczęło łomotać jeszcze zwawiej.

– Przepraszam na chwilę. – Kinomoto uklękła na jedno kolano i zapukała do drzwi

Czekałam pełna obaw.

– Proszę – odezwał się czysty, kobiecy głos.

Drzwi się otworzyły i weszliśmy do pomieszczenia przypominającego pokój gościnny, dwukrotnie większy od tego, z którego przyszłam. Po mojej lewej znajdowała się elegancka wnęka, w której urządzono stanowisko do pracy, natomiast na przeciwległej ścianie wisiało kilka nachodzących na siebie półek.

– Wprowadź ją, proszę – odezwała się siwowłosa kobieta siedząca przy stole, nie podnosząc na nas wzroku.

– Jak sobie życzysz.

Na środku pokoju ustawiono niski stół, podobny do tego z poprzedniego pomieszczenia. Uklękłam na leżącej przed nim poduszce.

– W takim razie zostawiam was – rzekła Kinomoto, zwinnie opuszczając pomieszczenie.

Miałam wrażenie, że zostałam sama, zamknięta w klatce z dzikim zwierzęciem. Zaszło mi w gardle a ręce i stopy miałam zimne jak lód.

– Jesteś Saki Watanabe? Córka Mizuho-chan?¹ – zapytała szarowłosa dama.

– Tak.

– Nie obawiaj się. Jestem Tomiko Asahina. Słyszałam, że jesteście z Satoru dobrymi kolegami – powiedziała, wstając z wdziękiem. Przysunęła się trochę i ponownie usiadła tyłem do wnęki. Ozdobione delikatnym wzorkiem szarosrebrzyste ubranie, które na sobie miała doskonale komponowało się z barwą jej włosów.

– Satoru... Satoru-san i ja od dzieciństwa jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Rozumiem – uśmiechnęła się.

Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Sądząc po jej dużych oczach i kształtnej figurze, w młodości musiała być zniewalająco piękna.

– Tak jak myślałam. Masz cudowne oczy. Są pełne światła.

Ludzie często mi to mówili. Prawdopodobnie dlatego, że nie miałam żadnej innej cechy, która mogłaby budzić zachwyt. Często słyszałam także, że moje oczy są pełne blasku, lecz również to nie było pocieszające, bo osoby, które tego blasku nie mają zazwyczaj są po prostu martwe.

– Dziękuję pani.

– Zawsze chciałam choć raz z tobą porozmawiać.

Najwyraźniej nie powiedziała tego jedynie z czystej uprzejmości. Byłam zdezorientowana.

– Dlaczego? – spytałam.

– Ponieważ zostaniesz kiedyś moją następczynią.

Opadła mi szczeka. Nie byłam w stanie nawet pomyśleć nad stosowną odpowiedzią.

¹ Podobnie jak autor tłumaczenia na angielski zdecydowałem się na pozostawienie honoryfikatorów w przypadku tej rozmowy. Mają one tu duże znaczenie, ponieważ wskazują na stosunek panujący między osobą mówiącą i określaną. W przypadku dorosłego, mówiącego o swoim rówieśniku prawie zawsze stosuje się końcówkę –san, więc określenie Mizuho przez Tomiko tytułem –chan, wykorzystywanym m.in. przez dorosłych podczas zwracania się do dzieci to pozorny nietakt. Powód, dla którego używa takiego przyrostka, jest wyjaśniony w dalszym fragmencie powieści. Końcówka –san, dodana przez Saki do imienia Satoru ma wskazywać natomiast na to, że stara się ona wypowiadać w bardzo formalny sposób.

– Zaskoczona? To nie jest żaden żart ani nieprzemyślana zachcianka.

– A-ale to niemożliwe. Ja nie pasuję do tej roli.

– Ho ho. Dokładnie to samo mówiła mi Mizuho-chan. Jaka matka, taka córka.

– Zna pani moją matkę? – spytałam, przysuwając się bliżej.

Pomimo tego, że wcześniej byłam bardzo zaniepokojona, Tomiko Asahina miała jakąś specjalną zdolność, która sprawiała, że ludzie ufali jej i otwierali się przed nią.

– Tak, i to bardzo dobrze. Znam ją od chwili jej narodzin – odpowiedziała głosem, który zdawał się płynąć wprost do głębi mojego serca. – Mizuho chan ma szczególny dar kierowania ludźmi. Doskonale spełnia się w roli opiekunki biblioteki. Moje stanowisko wymaga jednak czegoś więcej. Czegoś, czego nie ma nikt poza tobą.

– A-ale dlaczego ja? Wciąż się uczę a moje stopnie wcale nie są jakieś wybitne.

– Stopnie? Masz na myśli swój cantus? Nie jesteś chyba zainteresowana zostaniem kimś takim jak Shisei, prawda?

– No cóż... Nawet gdybym była, nie dałabym rady.

– Biegłość w posługiwaniu się mocą nie jest wszystkim, co testuje szkoła. Jest jeszcze indeks osobowości. To coś, o czym nie pozwalamy dowiedzieć się uczniom.

– Indeks osobowości?

Tomiko uśmiechnęła się, odsłaniając nienaturalnie białe jak na jej wiek zęby.

– Niezależnie od epoki, tym, czego oczekuje się od wielkich przywódców nie są żadne specjalne umiejętności, lecz wysoki indeks osobowości.

Nagle poczułam, że wszystko staje się prostsze. Dotychczas czułam się przytłoczona wieloma rzeczami, w których byłam gorsza od innych.

– Ma pani na myśli takie cechy jak inteligencja, wrażliwość albo zdolności przywódcze? – zapytałam z zapałem.

Tomiko zaprzeczyła subtelnym ruchem głowy.

– Nie, to nie ma żadnego związku z inteligencją. Wrażliwość też nie ma nic do rzeczy. Zdolności przywódcze natomiast można nabyć przez doświadczenie.

– Więc co...?

– Indeks osobowości jest liczbą, określającą stabilność emocjonalną człowieka. To zdolność zachowania zdrowego rozsądku i działania bez popadania w rozpacz niezależnie od wszelkich niespodziewanych sytuacji i przeciwności losu. To właśnie jest najważniejsza cecha przywódców.

Nie wiedzieć czemu, nie poczułam się specjalnie pocieszona tymi słowami. Przypomniałam sobie Marię, mówiącą, że jestem silna. Czy to nie znaczyło po prostu, że jestem wyprana z uczuć?

– To znaczy, że mój wynik jest wysoki?

– Tak, niezwykle wysoki. Prawdopodobnie najlepszy w historii Akademii. – W jej oczach pojawił się nagle przenikliwy błysk. – Ale to nie wszystko. Najbardziej niezwykłym faktem jest to, że nawet mimo odkrycia prawdy, wartość twojego indeksu nie uległa permanentnemu obniżeniu.

Poczułam jak krew odpływa mi z twarzy.

– O czym pani mówi?

– Od fałszywego minoshiro dowiedziałaś się o krwawych dziejach ludzkości i o tym, po jak cienkim lodzie obecnie stąpamy, żeby zachować z trudem wywalczony pokój. Po waszym powrocie poddaliśmy was szczegółowej ocenie psychologicznej i przez pewien czas badaliśmy wasze zachowanie. Po początkowym szoku twój indeks osobowości ustabilizował się zdumiewająco szybko. Pozostałej czwórce zajęło to znacznie więcej czasu.

Więc po tym, jak odkryliśmy prawdę obserwowano nas jak doświadczalne świnki morskie. Mimo, że w pewnym stopniu się tego spodziewałam, ta informacja nadal była dla mnie dużym wstrząsem.

– Czy to możliwe, że... Że planowała to pani od samego początku?

– Absolutnie nie. – Na twarzy Tomiko ponownie zagościł zwyczajny, uprzejmy uśmiech. – Nigdy nie podjęlibyśmy tak wielkiego ryzyka. Wiedzieliśmy jedynie, że zamierzacie złamać zasady, lecz schwywanie fałszywego minoshiro, terminalu bibliotecznego z minionej ery... Tego nikt nie mógł przewidzieć.

Czy to wszystko prawda? Nie potrafiłam w pełni przekonać się do jej słów.

– Czyli jestem tu z powodu tych wyników...

– Nie. Żeby móc wziąć odpowiedzialność za los całej ludzkości jako jej najwyższy przywódca, potrzebny jest otwarty umysł i nerwy ze stali w obliczu prawdy. Ty łączysz w sobie obie te cechy.

Otwartość umysłu to dość praktyczne określenie. Każdy może zaakceptować rzeczy dobre i piękne. Ważną rzeczą jest jednak zdolność cichego tolerowania także tego, co brzydkie i plugawe.

– Złamaliśmy zasady i zdobyliśmy wiedzę, której nie powinniśmy byli osiąść. Dlaczego nie zostaliśmy wymazani?

Barwa mojego głosu nagle stała się oskarżycielska, ale Tomiko zdawało się to nie przeszkadzać.

– Doskonale rozumiem co chcesz powiedzieć. To żadna wymówka, ale decyzja o ewentualnym pozbyciu się ucznia nie należy do zakresu naszych uprawnień. Rozstrzygnięcie takich spraw leży w gestii Rady Edukacji. Ich przewodniczącą jest Hiromi-chan. Znasz ją, prawda? Zawsze się przesadnie zamartwiała. Ostatnimi czasy mam nieodparte wrażenie, że stała się jeszcze bardziej nerwowa.

Hiromi-chan... Obiło mi się o uszy, że Hiromi Torigai należy do Rady Edukacji, ale nie miałam pojęcia, że jest jej szefową. Była dobrą przyjaciółką mojej mamy i często zostawała w naszym domu na kolacji. Wydawała się zamknięta w sobie; była niska i drobna a jej głos był tak cichy, że ledwo dało się go usłyszeć. Więc to ona miała prawo wyrokowania o życiu lub śmierci dowolnego ucznia i często podejmowała takie decyzje z zimną krwią? Nie mogłam w to uwierzyć.

– Komisja Etyki posiada najwyższą władzę w dystrykcie, ale zazwyczaj nie mieszamy się w postanowienia Rady Edukacji. Wy byliście wyjątkiem. Poprosiłam ich, żeby was oszczędzili.

– Z powodu Satoru?

– Nie. Nigdy nie pozwoliłabym, żeby osobiste sentymenty wpłynęły na decydowanie o tak istotnej kwestii. To ty byłaś powodem mojej interwencji. Jesteś niezbędna dla przyszłości naszych wiosek.

A więc o mało co nie zostaliśmy zamordowani. Nie wiedzieć czemu, słysząc tę informację nie poczułam się ani trochę skrępowana.

Co jednak było prawdziwą przyczyną darowania nam życia? Czy naprawdę stało się to dlatego, że byłam tak ważna, jak twierdziła Tomiko? Ciężko było mi się z tym pogodzić. Nikt nigdy wcześniej nie powiedział mi niczego podobnego, więc byłam totalnie zbita z tropu. Zastanawiałam się, czy to możliwe, że nie mogli tak po prostu zabić córki głównej bibliotekarki... Gdyby jednak tak było, to przecież moja siostra też powinna zostać oszczędzona.

– Jednak proszę, nie myśl źle o Hiromi i jej podwładnych. Kieruje nimi pewnego rodzaju paranoja.

– Paranoja...?

Czyżby posiadanie mocy decydowania o śmierci innych ludzi mogło spowodować powstanie jakichś uszkodzeń w ich umysłach?

– Hm. Chyba źle dobrałam słowa. Mi towarzyszy taki sam strach.

– Strach przed czym?

Tomiko wyglądała na zaskoczoną. – Czy to nie oczywiste? Na tym świecie istnieją tylko dwie rzeczy, których musimy się obawiać. Bestie i karmiczne demony.

Zaniemówiłam. Przypomniałam sobie te dwie opowieści, których tak często słuchałam jako dziecko.

– Jednakże Hiromi, w przeciwieństwie do mnie, nigdy nie widziała Bestii ani karmicznego demona. Dlatego zawsze powtarzam, że jest wiedziona paranoją.

– Więc pani naprawdę...

– Tak. Widziałam je. Z bliska i na własne oczy. Chcesz o tym posłuchać?

– Tak.

Tomiko zamknęła na chwilę oczy i zaczęła mówić spokojnym głosem.

Zapiski z całego świata mówią łącznie o blisko trzydziestu przypadkach pojawienia się Bestii. Z wyjątkiem dwóch, wszystkie były chłopcami. Wydaje mi się, że to dobitnie pokazuje, że niezależnie od podejmowanych wysiłków, nie potrafimy przełamać tej klątwy, jaką jest wrodzona męska agresja.

Tamten uczeń również był chłopcem. Niestety, nie pamiętam już jak się nazywał. Pomimo, że stało się to tak dawno temu, jestem w stanie przypomnieć sobie każdy inny szczegół z wyjątkiem jego imienia. Zawsze wydawało mi się to dziwne. Może istniał jakiś powód, dla którego chciałam je zapomnieć.

Mimo, że biblioteka posiada szczegółowy raport na temat tamtego incydentu, zachowały się jedynie inicjały – Y.K. Nie wiemy nawet, która litera reprezentuje imię, a która nazwisko. Nie jesteśmy pewni, dlaczego sprawozdanie zostało napisane w taki sposób, ale jedno z prawdopodobnych wyjaśnień mówi, że na krótki okres czasu przed ustanowieniem Kodeksu Etyki powrócono do respektowania starego prawa Japonii, co oznaczało, że obowiązywał zawierający się w nim artykuł sześćdziesiąty pierwszy, dotyczący ochrony tożsamości nieletnich... Cóż, to chyba nie ma teraz znaczenia.

W każdym razie, nazywajmy tego chłopca K.

K był wtedy pierwszoklasistą w Szkole Przywództwa, którą przekształcono później w obecnie istniejącą Akademię Mędrców. Dopiero co skończył trzynaście lat... tak, to prawda; był wtedy rok młodszy od ciebie.

Na początku K wydawał się przeciętnym, niczym nie wyróżniającym się dzieckiem. Pierwszą oznaką jego zaburzeń były wyniki testu Rorschacha, któremu poddawani byli wszyscy nowi uczniowie. Tej próby już się nie przeprowadza; w każdym razie polegała ona na tym, że pokazywało się badanemu plamy atramentu powstałe po złożeniu arkusza papieru i pytano się go, jaki obraz widzi. Następnie przeprowadzano analizę psychologiczną na podstawie odpowiedzi, których udzielił.

Opierając się na odpowiedziach K, ustalono, że pozostaje on pod wpływem stałego, niezwykle silnego stresu; nie było jednak jasne, co go wywołuje. Z drugiej strony, wszystkie obrazy, jakie zauważał w atramentowych plamach, cechowała nienaturalna brutalność i przemoc. Prawdopodobnie żądza zniszczenia i zabijania była zakorzeniona głęboko w jego podświadomości. Z jakichś powodów wszystkie te nieprawidłowości nie zostały wtedy potraktowane poważnie; nawet wyniki testu nie wzbudziły większych obaw. Dopiero po ich ponownym przeanalizowaniu, już po incydencie, dostrzeżono, jak były niepokojące.

Zaburzenia osobowości K wyszły na jaw, gdy w Szkole Przywództwa nauczył się władać swoim cantusem.

Jego zdolności korzystania z mocy były przeciętne, albo nawet plasowały się poniżej średniej. Jednakże, w pewnych sytuacjach, w których inni uczniowie zdawali się sobie nie radzić, K błyszczał. Nie potrafię przytoczyć konkretnych przykładów, lecz podczas niektórych zadań, przy których istniało prawdopodobieństwo wyrządzenia krzywdy innym osobom, K korzystał ze swojego cantusu bez momentu zawahania.

Korepetytorka chłopca szybko dostrzegła jego zachowanie i wielokrotnie przyprowadzała go do Rady Edukacji, sugerując, że powinny zostać podjęte pewne profilaktyczne działania. Nie zastosowano jednak takich środków. Było ku temu kilka powodów.

Po pierwsze, od ostatniego pojawienia się Bestii minęło osiemdziesiąt lat i wspomnienia o tamtym wydarzeniu w znacznej

części odeszły w niepamięć. Czujność mieszkańców została uśpiona. Po drugie, matką chłopca była powszechnie znana członkini rady dystryktu, do której należały w tamtym czasie wszystkie decyzje. Niezwykle trudno byłoby więc przekonać ich, aby dopuścili podjęcie jakichś radykalnych środków dotyczących uczniów. Po trzecie, zarządzający szkołami biurokraci prowadzili szeroko zakrojoną politykę spokoju za wszelką cenę. Biorąc pod uwagę całą naszą historię, można by zastanawiać się, czy w ogóle kiedykolwiek dominowało stanowisko różne od tego.

Wreszcie, po czwarte, nie istniał wtedy żaden skuteczny sposób na zaradzenie tamtej sytuacji.

Ostatecznie nie podjęto więc żadnych kroków poza skierowaniem K na regularną psychoterapię. Nie pozbyto się go i pozwolono mu dalej żyć, jedynie przyglądając się mu z boku.

W końcu, siedem miesięcy po rozpoczęciu nauki przez chłopca, nastąpiło to, co musiało się stać.

Tomiko spojrzała w sufit i westchnęła głęboko, po czym wstała, podeszła do niewielkiego kredensu i wyciągnęła zeń czajniczek i dwie filiżanki. Nalała do nich gorącą wodę z imbryka i przygotowała herbatę.

Sącząc aromatyczny napój, słuchałam dalszego ciągu jej opowieści.

Mówiąc szczerze, pozostało tylko kilka zapisków na temat tamtego wydarzenia. Szczegóły na temat przyczyn i początku incydentu pozostają prawie zupełnie nieznane. Co dało mu początek? Jaki był ciąg zdarzeń, który doprowadził do tak ogromnych zniszczeń? Możemy tylko snuć teorie; wiemy jednak, że to wszystko

naprawdę miało miejsce.. Ponad tysiąc ludzi straciło życie; takie są suche fakty.

Prawie pewne jest, że pierwszą ofiarą K była jego korepetytorka. Jej ciało było tak poranione, że gdy została znaleziona, ciężko było ustalić jej tożsamość. Następnie zginęło dwudziestu dwóch uczniów z klasy K a także kilkanaścioro drugo- i trzecioklasistów. Łącznie odnaleziono zmasakrowane ciała około pięćdziesięciu nastolatków...

K był prawdziwą Bestią. Zmienił się w jednego ze swoich prymitywnych przodków – potwora, nie posiadającego żadnej kontroli nad swoją agresją. Gdyby tego było mało, mechanizm śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, z którym powinien być się urodzić, z jakiegoś powodu nie działał. Statystyczna szansa na narodzenie się dziecka łączącego w sobie oba te zaburzenia wynosiła mniej niż jeden do trzech milionów. Innymi słowy, biorąc pod uwagę wielkość Kamisu 66, coś takiego było praktycznie niemożliwe. Jednak statystyka to tylko teoria.

Rodzina K musiała w pewnym stopniu zdawać sobie sprawę z jego skrzywień. Zwłaszcza jego matka najprawdopodobniej była ich świadoma już kiedy K był jeszcze dzieckiem. Gdy chłopiec był mały, wysyłała go na przeróżne terapie psychologiczne i behawioralne. Jedną z nich było coś, co nazwalibyśmy praniem mózgu. Być może z tego powodu w dzieciństwie jego krwiożercze instynkty były przytłumione.

Pytaniem bez odpowiedzi pozostaje, czy postąpiono słusznie. Do dziś podejrzewa się, że siłowa supresja jego brutalnych skłonności była przyczyną stresu, pod wpływem którego pozostawał.

Co jednak wydarzyło się tamtego feralnego dnia? Co spowodowało, że stracił panowanie nad sobą, lub, raczej, co było przyczyną pęknięcia jego ludzkiej powłoki i wydostania się na wolność uwięzionego w jej wnętrzu potwora?

Opierając się na wszystkich danych, jakie posiadamy na temat Bestii, wydaje się, że najważniejsze jest pierwsze morderstwo. Istniało wiele przypadków Bestii, które nie wpadły w szal zabijania. Koniec

końców, nawet bez kontroli ataku czy śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, ludzie wciąż potrafią logicznie stwierdzić, że morderstwo jest czymś złym.

Śmierć pierwszej ofiary najwyraźniej powoduje jednak przestawienie pewnego rodzaju przełącznika w ich umysłach, rozpoczynając niekończącą się serię zabójstw. Masakra kończy się dopiero, gdy Bestia umrze. Od tej reguły nie ma wyjątków.

K wyrwał nogi i ręce swojej nauczycielki, a następnie zmiażdżył jej głowę jak dojrzały owoc. Potem po kolei mordował przerażonych uczniów, uderzając nimi o ściany sali z taką siłą, że ich ciała zmieniły się w krwawą miazgę.

Wyglądało to jak scena z horroru. Na każde dziesięć osób, które pomagały po wszystkim w sprzątanii szkoły, dziewięć cierpiało z powodu skrajnej postaci zespołu szoku pourazowego.

Bestia wyszła z klasy i wędrowała szkolnymi korytarzami w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Dzieci, które starały się uciec stawały się pierwszymi celami K. Pozostali uczniowie zostali uwięzieni w potrzasku – w efekcie część z nich została stratowana na śmierć, a na reszcie potwór urządził masową rzeź.

Nikt nie mógł obronić się przed Bestią. Wielu uczniów znacznie lepiej posługiwało się mocą, jednak ograniczała ich kontrola ataku i śmiertelne sprzężenie zwrotne... Innymi słowy, żaden człowiek nie był w stanie bezpośrednio zaatakować potwora.

Ponieważ sam K był pozbawiony kontroli ataku i nieświadomy jej istnienia, możliwe, że zabijał prewencyjnie, z czystego strachu przed odwetem.

Inna teoria mówi, że po prostu stracił kontrolę nad swoimi czynami, odurzony wydzielającymi się w jego mózgu endorfinami. Dlatego właśnie zespół Ramana-Klogiusa określa się też zespołem lisa w kurniku.

Zostając przy nazwie, nie nadano jej na cześć naukowców-odkrywców. Raman i Klogius to imiona dwojga dzieci, z których jedno pochodziło z Helsinek, a drugie – z Bombaju. To były

najokropniejsze Bestie w historii, które dokonały dziesiątek tysięcy morderstw. To one dały nazwę najpotworniejszej chorobie dręczącej ludzkość.

W porównaniu z masakrą, jakiej dokonała tamta dwójka, z rąk K zginęło ponad dziesięciokrotnie mniej osób. To nie znaczy jednak, że jego zabójstwa nie dorównywały tamtym brutalnością. W porównaniu z wielkimi miastami minionej ery, gęstość zaludnienia Kamisu 66 jest stosunkowo mała, więc, na szczęście – o ile w ogóle można mówić tu o szczęściu – liczba ofiar sięgnęła zaledwie tysiąca.

Był też ktoś jeszcze – osoba, która poświęciła się, żeby powstrzymać K. To jej wszystko zawdzięczamy.

Tomiko zrobiła małą przerwę, by wziąć łyżeczek swojej zimnej już herbaty. Byłam tak przytłoczona usłyszaną historią, że siedziałam na swej poduszce jak skamieniała, zapominając nawet oddychać.

To, co do tej pory powiedziała Tomiko było tak przerażające i smutne, że czułam wręcz fizyczne cierpienie, jednak mimo to nie mogłam doczekać się dalszego ciągu opowieści.

Nagle zastanowiło mnie, dlaczego właściwie chciała, żebym o tym wszystkim usłyszała. Może mówiła prawdę, twierdząc, że pewnego dnia ją zastąpię, a może był to jakiś kolejny sprawdzian.

Kiedy K zamordował już wszystkich uczniów, którzy nie zdołali ukryć się przed jego wzrokiem, opuścił pogrążoną w grobowej ciszy szkołę. Szedł ulicami wioski, jak gdyby nigdy nic. Tego dnia cudownie ocalała tylko jedna osoba, na którą padł wzrok K. Człowiek, który uniknął śmierci stwierdził później, że nie poczuł w tamtej chwili niczego niepokojącego. Widział po prostu niskiego chłopca idącego drogą; taką samą scenę można by było ujrzyć każdego innego dnia.

To, co stało się chwilę później było jednak całkowicie niewyobrażalne.

W stronę Bestii zmierzała grupka ludzi. To byli wracający z pracy na Farmach Lotosu rolnicy. Kiedy znaleźli się jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów od chłopca, klatka piersiowa idącego na czele pracownika eksplodowała, rozchlapując wkoło morze krwi.

Reszta grupy stała jak wryta wpatrując się w pokrywającą wszystko warstwę czerwonej, ciepłej mazi, kompletnie nie rozumiejąc, co się właśnie stało. Nie zwalniając kroku, K podszedł bliżej, po kolei zmieniając rolników w krwawe kawały mięsa.

K pomału oddalił się, znikając za zakrętem. Dwoje ludzi, którzy jako pierwsi uświadomili sobie, że dzieje się coś złego, zdołało znaleźć bezpieczną kryjówkę. Jeden z nich chciał uciekać i wołać o pomoc a drugi przyłgnął do ziemi, sparaliżowany strachem.

K się zatrzymał. Możliwe, że wyczuł, że się ukrywają i zapragnął wywabić ich ze schronienia. Gdy jeden z ludzi rzucił się do ucieczki, chłopiec skrzył mu kark tak niefrasobliwie, jakby zrywał z gałęzi dojrzwały owoc.

Bestia ruszyła w dalszą drogę, pozostawiając ocalałego świadka w stanie takiego szoku, że nie mógł on nawet drgnąć. Został uratowany następnego dnia, jednak po tym jak zmuszono go do odtworzenia widzianych wydarzeń, spędził resztę życia praktycznie jako roślina.

Wracałam myślami do tego wydarzenia więcej razy niż potrafię zliczyć. Mogę więc z całą pewnością powiedzieć, że K wpasowywał się idealnie w podręcznikową definicję Bestii.

Wcześniej wspomniałam, że umiejętności chłopca w zakresie korzystania z cantusu były w najlepszym przypadku przeciętne. Jeden z komentarzy w ocalałej dokumentacji na temat chłopca stwierdzał, że „brakuje mu wyobraźni i kreatywności”. Jeśli chodzi o finezję w używaniu mocy do mordowania, był jednak geniuszem.

Najpewniej takie określenie jest trochę nieadekwatne, lecz pomysłowością, jaką wykazał się, realizując swój plan zniszczenia, przyćmił wszystkie pozostałe Bestie. Wydaje się, że od początku zamierzał zniszczyć całą wioskę.

Zaczął od burzenia budynków i tamowania kanałów. Następnie podłożył ogień w kilku miejscach i odciął wszystkie drogi ucieczki poza jedną. Kiedy te przygotowania dobiegły końca, rozpoczęła się rzeź.

Ludzie biegali w popłochu, próbując uciekać; nie mieli pojęcia, że znajdują się w przygotowanym przez K potrzasku.

Gdyby mieszkańcy się rozproszyli, próbując przedostać się przez gruzy i zgliszcza z różnych stron, spora część z nich mogłaby ujsć z życiem. Nikt jednak nie ocalał. W panice wszyscy zaczęli biec w tym samym kierunku. To typowe dla psychologii tłumu. Wybrali pierwszą pustą drogę, którą zobaczyli.

Ścieżka wywiodła ich do lasu, którego gęste zarośla dawały złudne poczucie bezpieczeństwa. Biorąc pod uwagę, że ścigał ich posługujący się cantusem potwór, nie różniło się to jednak niczym od samobójstwa.

Kiedy chłopiec upewnił się, że wszyscy mieszkańcy znaleźli się między drzewami, stworzył ognisty krąg opasający las, zamykając ofiary w pułapce. Płomienie zaczęły się rozprzestrzeniać a pierścień powoli się zaciskał. Demoniczna natura K. nie pozwoliła mu jednak na zwyczajne spalanie żywcem wszystkich ofiar. Zamiast tego stworzył prześwit między płonącymi drzewami.

Mieszkańcy nie mieli innego wyboru; wybrali wiodącą ku śmierci ścieżkę, jak myszy uwięzione w labiryncie.

– I jak? Chcesz, żebym mówiła dalej?

Zawahałam się przez krótką chwilę po czym skinęłam twierdząco głową.

- Samo słuchanie o tym napawa cię odrazą, prawda? Widzę to po twojej twarzy. Czemu chcesz kontynuować?
- Po prostu pragnę się dowiedzieć jak powstrzymano K.
- W porządku. – Tomiko uśmiechnęła się nieznacznie.

Po zamordowaniu ostatniej z uwięzionych w lesie osób, chłopiec powrócił do wioski. Wędrował ulicami, wypatrując ocalałych i zabijając ich po kolei jak w transie. Zaczynała się zima, a K najwyraźniej zapomniał się ciepło ubrać. W środku nocy uświadomił sobie, że mocno się przeziębił.

Miejscem do którego postanowił się udać, był na wpół zniszczony miejski szpital. Z pewnością nie spodziewał się, że zastanie tam jakichś lekarzy. Prawdopodobnie chciał tylko poszukać lekarstw. Okazało się jednak, że jeden z lekarzy nie opuścił swojego miejsca pracy i próbował rozpaczliwie ratować nielicznych ocalałych, którzy znajdowali się na granicy śmierci. Tamten człowiek, doktor Tsuchida, ocalił dystrykt. Złożyło się tak, że ja również tam byłam; dlatego znam całą historię.

Zdziwiona? Byłam wtedy pielęgniarką. Gdy zjawił się K, w szpitalu oprócz mnie i doktora Tsuchidy przebywało jedynie kilkoro poważnie rannych i chorych pacjentów.

Wystarczyło jedno spojrzenie by rozpoznać w chłopcu Bestię. Jego oczy były... inne. Zdawały się wywrócone na drugą stronę, jednak nie mam tu na myśli tak zwanych sanpaku.¹ Były wywinięte tak mocno, że w ogóle nie dało się zobaczyć tęczówek. Zastanawiałam się, czy on w ogóle coś widzi. Jego oczy były całkowicie pozbawione światła.

¹ Sanpaku (三白) – jap. „trzy białka” - Termin określający charakterystyczny wygląd oczu, gdy ich białka są widoczne powyżej lub poniżej tęczówki. Według tradycyjnej chińskiej sztuki czytania z twarzy, twardówka widoczna w dolnej części oka była powiązana z nierównowagą fizyczną (alkoholizm, lekomania, nadmierne spożycie cukru), natomiast w górnej – wskazywała na niestabilność emocjonalną, mentalną (mordercy, osoby cierpiące z powodu psychoz, stresu, przemęczenia). Do znanych osób z oczami sanpaku należał m.in. prezydent USA [John Kennedy](#).

Włosy chłopca były przetłuszczone i skołtunione, a skóra – usiana plamami. Kiedy uświadomiłam sobie, że jest to spowodowane pokrywającą go od stóp do głów krwią, nogi zaczęły mi drżeć i odmawiać posłuszeństwa.

K przeszedł obok mnie w milczeniu i udał się do gabinetu lekarskiego. Bez żadnych wyjaśnień ani pogroźek oznajmił, że się przeziębił i chce dostać lek. Nie mogłam zobaczyć doktora Tsuchidy, ale usłyszałam, jak prosi chłopca, żeby usiadł.

Weszłam do pokoju mimo, że nie zostałam poproszona; czułam, że nie mogę zostawić tam doktora samego. Zmierzył mnie wzrokiem, ale nic nie powiedział. Polecił K, by ten otworzył usta, po czym zbadał gardło chłopca. Miało żywoczerwoną barwę, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Musiał naprawdę cierpieć. Do tego miał gorączkę i cały czas wstrząsały nim dreszcze, jakby bardzo mocno przemarzł.

Nie jestem do końca pewna czy to rzeczywiście było przeziębienie. Po zamordowaniu tak wielu osób, musiał nawdychać się ogromnej ilości oparów rozchlapującej się dookoła krwi. Jego objawy mogły być równie dobrze jakimś rodzajem reakcji alergicznej. Gdyby tak było w istocie, można by powiedzieć, że ofiary K zemściły się na nim z zaświatów.

Doktor Tsuchida wysmarował gardło chłopca płynem Lugola, a następnie polecił mi, żebym udała się do najodleglejszego magazynku po antybiotyki. Myśl, że chce użyć drogocennych leków żeby pomóc Bestii napawała mnie wstrętem, lecz posłuchałam go i poszłam poszukać penicyliny. Zużyliśmy większą część zapasów na rannych mieszkańców, więc musiałam poświęcić trochę czasu na przeszukanie stosu lekarstw przeznaczonych do utylizacji z powodu zbliżającego się terminu ważności.

Z tego powodu nie byłam naocznym świadkiem tego, co się stało. Pozostałe dowody nie pozostawiają jednak śladu wątpliwości na temat tego, co zaszło w gabinecie.

Doktor Tsuchida otworzył podręczną apteczkę, wyjął z niej tabletki z chlorkiem potasu i rozpuścił parokrotność śmiertelnej dawki substancji w destylowanej wodzie. Następnie, udając, że to lek na przeziębienie, wstrzyknął płyn w ramię K.

Nagle rozległ się przerażający krzyk, sprawiając, że upuściłam pudełko z antybiotykami, które dopiero co udało mi się znaleźć. Pobiegałam w kierunku gabinetu lekarza.

Gdy byłam już prawie przy drzwiach, usłyszałam jak coś eksploduje z hukiem. Wpadłam do pokoju i ujrzałam, że całe pomieszczenie jest koloru głębokiej czerwieni. K rozerwał na kawałeczki głowę doktora Tsuchidy.

Przeraźliwy krzyk nie ustawał. K był szarpany śmiertelnymi konwulsjami, lecz nie chciał umrzeć. Wrzeszczał jak opętany. Z czasem jednak krzyki zaczęły cichnąć i przeistoczyły się w dziecięcy szloch.

Potem nastąpiła cisza.

Tomiko skończyła mówić i wlepiła wzrok w dno swojej filiżanki.

Powinna mieć do niej milion pytań, lecz nie byłam w stanie wydusić ani słowa.

– Potrzebna była ogromna wytrwałość i długi czas, żeby dystrykt pozbił się po ataku Bestii. Pierwszą rzeczą jaką zrobiliśmy, było wyeliminowanie całego rodu K.

– Wyeliminowaliście cały ród...? – powtórzyłam.

– Brak kontroli ataku i śmiertelnego sprzężenia zwrotnego u K były poważnymi zaburzeniami genetycznymi. Istniało ogromne ryzyko, że wszystkie spokrewnione z nim osoby są nosicielami takich samych, wadliwych genów. Dlatego prześledziliśmy jego drzewo rodowe do pięciu pokoleń wstecz i pozbyliśmy się wszystkich żyjących członków jego rodziny. Proszę, nie myl tego z zemstą.

Musieliśmy to zrobić, ponieważ nie mogliśmy ryzykować narodzin kolejnej Bestii.

– Ale jak ich wyeliminowaliście...? – Moje ręce lekko zadrżały.

– Cóż, skoro powiedziałam ci już tak dużo, nie ma sensu tego ukrywać. Wykorzystaliśmy dziwoszczury. Utworzyliśmy oddział składający się z czterdziestu żołnierzy z najbardziej lojalnej kolonii. Uzbroidliśmy je i nakazaliśmy zamordowanie krewnych chłopca w środku nocy. Gdyby ci ludzie się o tym dowiedzieli, bez żadnych trudności pozbyliby się dziwoszczurów, więc plan został opracowany w największym sekrecie. Nawet pomimo tego ponad połowa żołnierzy poniosła śmierć, jednak, jako że po zakończeniu misji i tak musiałyby zostać zabite, można powiedzieć, że odnieśliśmy pełen sukces – powiedziała Tomiko zdawkowo, jakby opowiadała o wspólnym sprzątanu wioski. – To jednak nie wystarczyło. Mimo, że krew K nie płynęła już w żyłach mieszkańców, nie było żadnej gwarancji, że Bestia nie pojawi się po raz kolejny. Z tego powodu musieliśmy całkowicie zrewolucjonizować system edukacji. Szkoła Przywództwa została zamknięta a na jej miejscu utworzono Akademię Mędrców, gdzie skupiano się na indywidualnych zdolnościach każdego z uczniów. Rada Edukacji otrzymała rozszerzone uprawnienia i stała się podległa tylko i wyłącznie Komisji Etyki. Wreszcie, fragment Kodeksu Etyki został napisany od nowa, przesuważąc granicę nabywania podstawowych praw człowieka.

– Co ma pani na myśli?

Tomiko ponownie napełniła czajniczek i przygotowała dwie kolejne porcje herbaty.

– Zgodnie z postanowieniami poprzedniej wersji Kodeksu, za człowieka uznawano płód w dwudziestym drugim tygodniu od poczęcia. Taki termin został ustalony żeby jasno określić moment, do którego dozwolona była aborcja. Według nowego Kodeksu Etyki, dzieci nie mają praw człowieka aż do ukończenia siedemnastego roku życia. Oznacza to, że Rada Edukacji ma prawo zdecydować o pozbyciu się dowolnej osoby do chwili jej siedemnastych urodzin.

Nie potrafię nawet opisać wstrząsu, jakiego doznałam, dowiadując się że w świetle obowiązujących praw nie jestem uznawana za człowieka, tak samo jak na wpół rozwinięty płód. Nigdy nam o tym nie mówiono w Szkole Harmonii ani w Akademii Mędrców. Właściwie to należy zacząć od tego, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by pytać się o wiek, w którym nabywa się podstawowe prawa, lub czy przekroczyłam już tę granicę.

– Metoda wymazywania również została udoskonalona. Niezależnie od tego, jak bardzo lojalne są dziwoszczury, pozwalanie tak inteligentnym stworzeniom zabijać ludzi było równoznaczne z proszeniem się o kłopoty w przyszłości. Dlatego przeprowadziliśmy wspomagany cantusem selektywny rozród zwykłych, domowych kotów, tworząc w ten sposób nową rasę – przeklęte koty.

Przeklęte koty... To wyrażenie z jakiegoś powodu wzbudziło we mnie ogromne emocje, które najwyraźniej tłumiałam przez długi czas. Strach. I smutek.

– Po tym, jak podjęliśmy wszystkie te kroki, mające na celu prewencyjne pozbywanie się potencjalnych zagrożeń, nie pojawiło się więcej Bestii. Wydarzył się jednak inny, przerażający incydent. Pamiętam to dość dobrze, ponieważ było to zaledwie dwadzieścia lat temu. – Tomiko opróżniła filiżankę jednym łykiem i zaczęła opowiadać kolejną historię.

Niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą wyciek mocy zostało odkryte już u schyłku starożytnej cywilizacji. Jednakże, te destrukcyjne wycieki, zwane złym rozlewem, przez długi czas były ignorowane i niedoceniane. W najgorszych przypadkach powodowały nieprawidłowości w funkcjonowaniu delikatnej maszynerii, albo nieznaczne zniekształcenia różnych przedmiotów; nigdy jednak nie myślano, że mogą stanowić jakieś zagrożenie dla ludzi bądź zwierząt. Prawda jest jednak taka, że ono prawie zawsze istniało.

Nadszedł dzień, kiedy pewna dziewczyna, Izumi Kutegawa, udowodniła nam wszystkim, jak bardzo się mylimy. Jej cantus przenikał i skażał wszystko wokół niej, tak samo jak promieniowanie. Była jedynaczką, mieszkającą na farmie w pobliżu Złocistej Wioski. Kiedy wkroczyła w wiek dojrzewania i przyszło do niej Błogosławieństwo, żyjące w gospodarstwie zwierzęta zaczęły wydawać potomstwo obarczone nienaturalnie dużą liczbą wad, a większość plonów uschła. Na początku podejrzewaliśmy, że te zmiany są spowodowane przez jakiś nowy rodzaj wirusa.

Nawet w Akademii Mędrców wszystkie obiekty jakie znalazły się w promieniu dziesięciu metrów od Izumi zaczynały się deformować. Ławki i krzesła po kilku dniach nie nadawały się już do użytku. Ściany i podłogi również zaczęły się odkształcać; pojawiły się na nich wielkie wybrzuszone pęcherze i pokryły się nitkowatą pleśnią. Przypominało to wizję z koszmaru.

Komisja Etyki i Rada Edukacji utworzyły zespół specjalistów, którzy mieli zbadać zaistniałą sytuację. Kiedy dowiedziono, że zły wyciek, którego źródłem była dziewczyna, jest w stanie uszkodzić nawet ludzkie DNA, wybuchło zamieszanie. Nakazano jej, by nie przychodziła już do szkoły i uczyła się w domu, jednak niedługo później zasięg działania jej wycieku urósł do niewyobrażalnych rozmiarów. Tryby zegara na oddalonej o sześć kilometrów wieży powykrzywiały się tak mocno, że przestał chodzić.

Zwołaliśmy zebranie i doszliśmy do wniosku, że Izumi choruje na zespół Hashimoto-Appelbauma, w związku z czym, jako karmiczny demon, musi zostać usunięta. Jako przewodnicząca Komisji chciałam poinformować ją o tym osobiście, lecz zbliżanie się do niej było w tamtym momencie już zbyt niebezpieczne. Napisałam więc do niej list i dostarczyłam go do dziewczyny za pośrednictwem lalki karakuri.¹

¹ Za wikipedią: Karakuri-ningyō (jap. からくり人形?) – mechaniczne lalki lub automaty tworzone w Japonii od XVIII w. do XIX w. De facto były pierwszymi, japońskimi robotami.

To wspomnienie nadal sprawia mi ból. Izumi była niezwykle miłą i delikatną dziewczyną. Niestety, jak pokazuje historia, to właśnie takie osoby są najbardziej zagrożone przeistoczeniem się w karmicznego demona.

Kiedy tylko dowiedziała się, że z jej powodu życie wielu osób znalazło się w niebezpieczeństwie, sama zaproponowała, by się jej pozbyć.

Farma Kutegawa była epicentrum złego rozlewu, więc w jej okolicy nie przetrwał żaden żywy organizm. Powiedzieliśmy Izumi, że jej rodzice i wszyscy pracownicy farmy zdołali uciec od zagrożenia, lecz prawda była taka, że w tamtym momencie byli już martwi, zabici przez dziwną chorobę, która spowodowała uogólnione włóknienie tkanek.

Kiedy po raz ostatni widziałam budynki farmy, przeistoczyły się one już w coś przypominającego ogromną amebę, pochłaniającą wszystko, z czym się stykała.

Lalka karakuri dostarczyła pięć pigułek do niewielkiego budynku na uboczu farmy, który nie uległ jeszcze całkowitemu rozpadowi. Powiedzieliśmy Izumi, że kapsułki zawierają środki uspokajające, które pomogą jej kontrolować zły rozlew. Tylko jedna z tabletek była zabójcza. Poprosiliśmy ją, żeby brała jedną kapsułkę dziennie.

Izumi połknęła wszystkie pięć pigułek naraz. Była mądrą dziewczyną i przejrzała nasz plan. Prawdopodobnie obawiała się, że jej wyciekający cantus może zneutralizować zawartą w leku truciznę...

Łzy spływały strużką po moich policzkach.

Sama nie wiedziałam, dlaczego płaczę. Pomimo, że nigdy nie spotkałam Izumi, współczułam jej z głębi serca. To jednak nie było wszystko.

Wstrząsające mną emocje były tak silne, że czułam się jak niewielka tratwa, miotana falami podczas potężnego sztormu. Łzy nie przestawały kapać z moich oczu.

– Rozumiem, jak się teraz czujesz – powiedziała Tomiko. – Płacz, jeśli musisz. Nie ma w tym nic złego.

– Dlaczego...? Dlaczego to jest takie smutne? – spytałam.

Tomiko pokręciła głową. – Nie mogę jeszcze odpowiedzieć na to pytanie. Jednakże, jeśli chcemy stawić czoła rozpaczce, musimy dać sobie czas na łzy. Tylko wtedy możemy ją zaakceptować i przezwyciężyć. Musisz mieć szansę się wypłakać.

– Czy to ma coś wspólnego ze wspomnieniami, które nam odebraliście?

– Tak, nie mylisz się.

Pomyślałam o chłopcu bez twarzy.

– Proszę, przywróć mi je!

– Nie mogę tego zrobić. – Na twarzy Tomiko zagościł smutny uśmiech. – Tu nie chodzi tylko o twoje wspomnienia. Każda wzmianka o tamtym chłopcu została wymazana, włączając w to nawet wpisy z pamiętnika Marii Akizuki. Tamten incydent był po prostu zbyt przerażający. Obawialiśmy się, że pozostawienie jakichkolwiek wspomnień może spowodować traumę wystarczająco silną by zdestabilizować umysły mieszkańców wiosek. Efekt domina doprowadziłby do kolejnych tragedii...

Przez oblicze kobiety przemknął cień.

– Ty byłąbyś w stanie to znieść. Jednakże, jeśli przywrócę ci pamięć nie dasz rady utrzymać tego w sekrecie przed przyjaciółmi. Ostatecznie wszyscy dowiedzą się o tamtym incydencie.

– A-ale...

– Proszę, przemyśl to, co ci powiedziałam. Łańcuch jest tylko tak wytrzymały, jak jego najsłabsze ogniwo. Najwięcej uwagi i troski musimy poświęcić najsłabszym z nas.

– Najsłabszym...?

Tomiko zmierzwiła przyjaźnie moje włosy.

– Nie żartowałam, mówiąc, że chcę, żebyś mnie zastąpiła. Kiedy nadejdzie ta chwila, odzyskasz wszystkie swoje wspomnienia.

– Nigdy nie będę w stanie pani zastąpić.

Niezależnie od tego jak wysoki był mój indeks osobowości, czułam, że po prostu nie jestem wystarczająco silna.

– Doskonale cię rozumiem. Kiedyś myślałam tak samo. Przyjdzie jednak taki czas, że będziesz musiała zrobić, to co konieczne. Tylko ty dasz radę podołać temu zadaniu. Rozumiesz? Pamiętaj, co musimy robić, by nie pozwolić na ponowne pojawienie się Bestii i karmicznych demonów.

Echo słów Tomiko dudniło głośno w mojej piersi.

Rozdział 3

Pewnego chłodnego dnia w środku lutego, Mamoru uciekł z domu.

Kiedy jego ojciec poszedł rano go obudzić po tym jak napalił w piecu, nie zauważył niczego niepokojącego. Gdy jednak Mamoru nie zszedł na śniadanie, mężczyzna wrócił na górę, żeby sprawdzić czy wszystko w porządku. Został tam jedynie pusty pokój.

Na biurku leżała kartka z krótką notką, która głosiła po prostu: „Nie szukajcie mnie”. To właśnie taką – trzeba przyznać, że niezwykle absurdalną – wiadomość najczęściej zostawiają za sobą uciekinierzy.

– Co powinniśmy zrobić? – spytała Maria, bliska płaczu. Jej oddech tworzył na mrozie biały obłoczek. Śnieg pokrył białą warstwą jej czapkę, a na rzesach utworzyły się małe sopelki.

Maria i Mamoru mieszkali na przeciwległych krańcach dystryktu, jednak wiedziałam, że spotykają się każdego poranka, żeby razem udać się do szkoły. Tego ranka, zmęczona czekaniem Maria postanowiła udać się do domu Mamoru. Kiedy od odchodzącego od zmysłów ojca chłopca usłyszała, co się stało, poprosiła go by nie mówił o tym nikomu innemu, po czym natychmiast przyszła się ze mną zobaczyć.

– Czy to nie oczywiste? Poszukamy go.

Zdażyłam już odwiązać swój stojący przy pomoście kajak. Gdyby Maria przybyła chwilę później, rozminęłybyśmy się.

– Zabierzmy Satoru i ruszmy po śladach Mamoru.

– Ale czy to nie będzie podejrzane, jeśli cała pierwsza grupa nie przyjdzie dziś na lekcje?

Pomimo, że Ryou oficjalnie był w naszej drużynie, większość czasu spędzał zazwyczaj z członkami grupy drugiej. Maria miała rację. Gdybyśmy wszyscy nie zjawili się w szkole, narazilibyśmy się na masę niewygodnych pytań.

– W porządku. Na razie chodźmy na zajęcia. Na trzeciej i czwartej lekcji i tak mamy niezależne obserwacje, prawda? Wtedy się wymkniemy.

Ponieważ była sobota, lekcje odbywały się tylko do południa.

– Ale nie damy rady wrócić na godzinę wychowawczą.

– Później pomyślimy nad wymówką. Na szczęście mamy po swojej stronie genialnego łgarza. Tak czy siak, nie mamy możliwości rozpoczęcia poszukiwań wcześniej niż na trzeciej lekcji.

Zanim zaczęła się zima, przewidywano, że będzie ona dość łagodna, jednak pod koniec stycznia z nad kontynentu nadpłynął zimny front i temperatura spadła do rekordowo niskich wartości. Poprzedniej nocy napadało tak dużo śniegu, że cała wioska przykryta była grubą, białą pierzyną. Nie miałam pojęcia, dokąd mógł uciec Mamoru, ale na wszelki wypadek zapakowałam do łódki swoje narty.

Dotarłam do Akademii Mędrców tuż przed rozpoczęciem lekcji i zdołałam wśliznąć się na swoje miejsce niezauważona przez Słonecznego Księciunia. Kiedy powiedziałyśmy z Marią, że Mamoru się przeziębił i został w domu, również nie wydawało nam się, żeby zauważył coś podejrzanego.

Temat pierwszej lekcji brzmiał: „Społeczeństwo i logika”. To była koszmarnie nudna godzina. Z całych sił starałyśmy się ukryć oznaki naszego zniecierpliwienia i modliłyśmy się, żeby czas zaczął płynąć szybciej. Gdy tylko zabrzmiał kończący lekcje dzwonek, dopadłyśmy do Satoru i opowiedziałyśmy mu o wszystkim.

Drugą lekcją była matematyka, która zawsze przyprawiała mnie o ból głowy. Teraz w klasie siedziało przynajmniej trzech rozdrażnionych uczniów.

W końcu dotrwaliśmy do długo oczekiwanych dwóch godzin, które mieliśmy poświęcić na niezależne obserwacje. Pozwolono nam opuszczać teren szkoły gdyby okazało się to konieczne. Gdy cała nasza trójka wypadła pędem z sali, natknęliśmy się na pierwszą przeszkodę.

– Hej, dokąd wszyscy idziecie? – spytał Ryou Satoru, unikając mojego wzroku.

– Przecież mamy teraz czas na dowolne obserwacje, prawda? – odparł Satoru, wzruszając ramionami.

– Właśnie dlatego się pytam. Jesteśmy w końcu w jednej grupie, zapomniałiście?

– Ale zazwyczaj trzymasz się z drugą grupą, nie? – rzuciła zniecierpliwiona Maria.

– Może i tak, lecz oficjalnie należę do grupy pierwszej. A tak w ogóle, kiedyś trzymaliśmy się razem. Nie rozumiem czemu teraz nie... – Ryou wydawał się trochę skonfundowany przez niespójność swoich wspomnień.

– No tak, jasne. Wybacz, nie wspominaliśmy ci o tym wcześniej. – Satoru poklepał go po przyjacielsku w plecy. W tym geście nie było jednak żadnej intymności. Trudno było uwierzyć, że tych dwoje mogło być kiedyś kochankami.

– Już wcześniej ustaliliśmy temat naszej obserwacji, ale nie było cię w pobliżu, więc nic o tym nie wiesz. Zamierzamy przyjrzeć się wzorom, jakie tworzą lodowe kryształy w płatkach śniegu.

– Płatki śniegu? Dlaczego? To dobre dla dzieci. Robiliśmy coś takiego podczas ferii zimowych w Szkole Przyjaźni.

Mimo tego, że Ryou był naszym przyjacielem już w dzieciństwie, nie chodził ze mną i Satoru do Szkoły Harmonii. Zamiast tego uczęszczał do Szkoły Przyjaźni razem z Mamoru.

– Chcemy zbadać zmiany, jakie w nich zachodzą po użyciu na nich cantusu. Już podzieliliśmy się obowiązkami. Mógłbyś zająć się terenem na tyłach szkoły?

– Co dokładnie obserwujemy?

– Najpierw będziemy oglądać płatki przez szkło powiększające i naszkicujemy je. Potrzebne jest przynajmniej sto różnych. Później podzielimy je pod względem kształtu na dwie duże kategorie. Na końcu wybierzemy kilka wzorów i spróbujemy przekopiować je na inne płatki śniegu.

– Ale czy to nie jest tak, że gdy lodowy kryształ raz się ustabilizuje, nie może już zmienić formy? – zapytał Ryou z powątpiewaniem.

– No właśnie! Dokładnie to chcemy zbadać – odparł szybko Satoru. – Większość ze stałych ciał jest pewnego rodzaju kryształem, prawda? Więc jeśli można zmienić kształt kryształu wody bez roztapiania go, może to oznaczać, że da się też zmieniać formę innych przedmiotów dużo łatwiej niż nam się wydaje.

– Hmm... – zamyślił się Ryou.

Najwyraźniej nie był odporny na wymyślane przez Satoru bzdury i dał się nabrać na jego wyjaśnienia. Połknął haczyk razem z wędką. Nie mogło być mowy o tym, by kiedykolwiek był naszym bliskim przyjacielem.

– Rozumiem. Więc chcecie, żebym sprawdził śnieg za szkołą?

– Tak, jeśli możesz. My zajmiemy się terenem przy frontowym wejściu. Och, jeszcze coś. Kiedy już zaczniesz obserwację, nie możesz przerwać w połowie. Jeśli to zrobisz, będziesz musiał zacząć od początku.

– W porządku – powiedział, odchodząc

– Jesteś okropny, wiesz? – skomentowałam go z głębi serca.

– No co? To był najlepszy sposób.

Zuchwale opuściliśmy teren szkoły, udając się do przystani. Lekko prószył śnieg, a lodowaty wiatr szczypał nieosłonięte czapką części moich uszu.

Satoru musiał wrócić do domu po trochę narzędzi, natomiast Maria i ja wsiadłyśmy do Hakurena 4 i odpłynęliśmy w stronę domu Mamoru. Powietrze było jeszcze zimniejsze niż woda w kanale, więc otoczyły nas obłoczki pary. W niektórych miejscach zalegały spore fragmenty kry, które musiałyśmy rozbijać, używając mocy. Kawałki lodu odbijały się od burty kajaku, przez co czułam się, jakbym sterowała lodołamaczem przemierzającym Ocean Arktyczny.

– Masz jakieś pomysły, dokąd mógł uciec Mamoru – zapytałam.

Maria zamyśliła się na kilka chwil.

– Nic nie przychodzi mi do głowy... Ostatnio wydawał się troszkę przybity.

Szczerze mówiąc, ja też odniosłam takie wrażenie.

– Czemu? Czy coś się stało?

– Nie, nic poważnego. Myślę, że poza mną nikt niczego nawet nie zauważył.

– Opowiedz o tym.

– Zupełnie nie mógł poradzić sobie z jednym zadaniem. Nie powinno mu ono sprawiać problemów, ale Mamoru jest takim pesymistą, że gdy raz pomyśli, że mu się nie uda, rzeczywiście idzie mu beznadziejnie.

– I to wszystko?

Czyżby uciekł z domu z tak błahego powodu?

– Nie. Myślę, że Słoneczny Księżcunio udzielił mu reprymendy... Później, gdy zażartowałam, że powinien uważać, bo mogli wysłać po niego zmyłkota, zbladł jak papier. Najwyraźniej wziął to na serio.

Jeśli to była prawda, ja też byłam częściowo odpowiedzialna za to, co się stało. Wspominanie o znikających ze szkoły uczniach nie było prawdopodobnie dobrym pomysłem.

Maria i Tomiko miały rację, mówiąc, że Mamoru jest znacznie słabszy ode mnie. Nagle przypomniało mi się zdanie, które sprawiło, że zjeżyły mi się włoski na karku.

– Łańcuch jest tylko tak wytrzymały, jak jego najslabsze ogniwo...

– Co mówiłaś? – spytała Maria lekko podejrzliwym tonem.

Odparłam, że nic takiego, próbując poskładać do kupy poplątane myśli. Przed chwilą coś przerażającego przemknęło mi przez głowę. Nie miałam jednak pojęcia, co dokładnie mnie tak wystraszyło; nie mogłam uchwycić tej ulotnej koncepcji.

Dębowy Gaj leżał na zachodnich krańcach dystryktu. Tej zimy wioska znalazła się na drodze wiejących znad rzeki wiatrów, więc

było w niej nieznośnie zimno. Zanim jeszcze tam dotarliśmy, cała moja twarz zeszywniała na lodowatym powietrzu.

Przywiązałam Hakurena 4 do pała, zarzuciłam plecak i nałożyłam narty, które przypominały krzyżówkę tradycyjnych, okrągłych rakiet śnieżnych z nartami do telemarku. Na ich spodniej stronie znajdowały się cienkie, zakrzywione kolce, które ułatwiały hamowanie, gdy wykonało się ruch piętą do tyłu. Dzięki temu można było też chodzić po płaskiej powierzchni. Pochylając się w przód z rozchyłonymi nogami i odpychając, wykorzystując cantus, mogłam także ślizgać się jak na łyżwach. Takim sposobem jazda pod górę z dowolną szybkością również nie sprawiała żadnych trudności. Zjeżdżanie z górki nie różniło się natomiast niczym od jazdy na zwyczajnych nartach.

Maria, która miała na sobie zwykle buty, unosiła się w powietrzu jak duch.

Kiedy dotarliśmy do domu Mamoru, obeszlęśmy cały budynek w poszukiwaniu śladów stóp. Przynajmniej do tego mógł się przydać cały ten śnieg.

– Hej, chyba coś mam!

Nie znalazłam co prawda odcisków butów, a ślady pozostawione przez płozy sań. Sądząc po ich rozstawie, musiały je pozostawić dziecięce sanki.

– Mamoru nigdy nie potrafił dobrze jeździć na nartach. Tak właściwie to ledwo się na nich poruszał.

– Wygląda na to, że odkopał sanki, których używał jeszcze w Szkole Przyjaźni. Spójrz, jak głębokie są te ślady. Musiał zabrać ze sobą bagaż.

Ucieczka na niewielkich, obładowanych tobołami sankach nie wydawała się mądrym planem, lecz Mamoru z pewnością mógł zrobić coś takiego.

Po chwili ujrzałam kajak Satoru, płynący w naszą stronę z zawrotną szybkością.

– Przepraszam, że musiałyście czekać. W którą stronę idziemy?

Był już ubrany w podróżny strój i w pełni wyekwipowany. Jego narty były szersze od moich, co znaczyło, że musi użyć większej siły, żeby wprowadzić je w ruch, lecz z drugiej strony mógł dzięki temu ślizgać się na nich także po wodzie.

Podążyliśmy śladem pozostawionym przez sanki. Mamoru miał nad nami ponadtrzygodzinną przewagę, jednak nie mógł zbyt mocno się oddalić, gdyż jego wyładowane po brzegi sanie wywróciłyby się przy większej prędkości. Jeżeli dodatkowo robił przerwy, żeby zorientować się dokąd idzie, mógł wyprzedzać nas maksymalnie o dwie godziny.

Odciski płóz rozpoczynały się przy tylnych drzwiach domu Mamoru i przez dłuższy kawałek drogi biegły na wprost. W pewnym momencie skręciły w prawo, w stronę szczytu niewielkiego wzgórza.

– Najwyraźniej próbował znaleźć jakąś ścieżkę, której zazwyczaj nikt nie używa – zauważył Satoru.

– Ale nawet nie pomyślał, żeby zatrzeć ślady. To dla niego takie typowe... – westchnęła unosząca się za naszymi plecami Maria.

– Dlaczego nie popłynął kajakiem? – spytałam.

Zastanawiało mnie to od samego początku. Łódka była szybsza, pojemniejsza i był z nią bardziej obyty.

– Może nie chciał, żeby ktoś go zobaczył?

Przypuszczalnie rzeczywiście taki był główny powód. Mogło to jednak oznaczać coś jeszcze. Podróż kanałami była prostsza, ale oznaczała też ułatwione zadanie dla ewentualnego pościgu. Prawdopodobnie Mamoru miał zamiar przedostać się poza Świętą Barierę i ukryć w górach.

Śnieg, który nie padał już od dobrej godziny, ponownie zaczął lekko prószyć. Zwiększyliśmy tempo. Satoru i ja jechaliśmy na nartach po obu stronach śladu zostawionego przez sanki, podczas gdy Maria trzymała się z tyłu, poruszając się czterdziesto- lub pięćdziesięciometrowymi łagodnymi susami. Było to łatwiejsze niż nieprzerwana lewitacja.

– Stójcie! – krzyknęła Maria.

Zatrzymaliśmy się.

– Co się stało? – spytałam, cofając się powoli.

Maria stała jakieś cztery czy pięć metrów od wyżłobienia zostawionego przez sanki, wpatrując się w śnieg.

– Spójrzcie. Co o tym myślicie? – spytała, wskazując na kilka śladów stóp.

Długością przypominały ludzkie, ale były zdecydowanie zbyt wąskie. Nie mógł ich pozostawić także niedźwiedź ani małpa. Jeśli miałabym zgadywać, powiedziałabym, że najbardziej przypominają odciski łap królika. Były jednak zbyt długie, a stworzenie, które je pozostawiło stawiało kroki naprzemiennie, podobnie jak ludzie, w przeciwieństwie do królików, poruszających się za pomocą skoków.

– To mogły być dziwoszczury... – zauważył zdyszany Satoru, wychylając się nad moim ramieniem.

– Co one by tu robiły?

– Skąd mam wiedzieć? Może polują.

– Polują? – Ponownie spojrzałam na odciski stóp i nagle poczułam, że ogarnia nie wyjątkowo nieprzyjemne uczucie. – To niedobrze.

– Dlaczego?

– Nie widzicie? Cały czas biegają równolegle do śladów sań.

Niezależnie jak długo się nad tym zastanawiałam, nie potrafiłam znaleźć żadnego sensownego powodu, dla którego miałyby śledzić Mamoru.

Dwie pary śladów wiodły coraz dalej i dalej na odludzie. Ciężko było je wypatrzyć spod warstwy świeżego śniegu. W końcu dotarliśmy do stóp stromego zbocza, wyglądającego raczej na wzgórze niż na śnieżną zaspę.

– Pokonanie takiego wzniesienia na dziecięcych sankach to niezły wyczyn – powiedział Satoru z uznaniem.

– Nigdy nie spodziewałabym się, że ktoś taki jak Mamoru może być na tyle odważny.

Istniała też inna możliwość. Jeżeli ścigało go coś jeszcze groźniejszego, mógł wdrapać się na szczyt bez chwili zastanowienia nad tym, co robi.

Weszliśmy na górę, podążając za śladami. Wiatr wywiał jednak ze stoku cały świeży śnieg, pozostawiając jedynie jego dolną, zbryloną warstwę, na której nasze narty rozjeżdżały się niebezpiecznie na boki. Kilkukrotnie niewiele brakło, byśmy się przewrócili. Gdybym nie wspomagała się cantusem, zapewne już po kilku krokach wyróciłabym się w tył i stoczyła z powrotem na dół.

Wzniesienie wydawało się nie mieć końca. Dolina, którą za sobą zostawiliśmy stawała się coraz odleglejsza. Wyglądało na to, że Mamoru chciał wspiąć się wyżej, ale rosnące w połowie wysokości zbocza drzewa zagroziły mu drogę. Gdyby mimo to poszedł dalej, musiałby natknąć się na wystające spod śniegu wysokie skały. Kiedy dotarłby do miejsca, z którego nie da się już kontynuować wędrowki, byłby zmuszony zawrócić. Z drugiej strony jednak, wędrowka w dół po śliskim zboczu, nawet z wykorzystaniem cantusu, bez wątpienia byłaby trudna. Mamoru znalazł się w nieciekawej sytuacji. Musiał kontynuować wędrowkę.

– Hej, nie mogę już dostrzec śladów sanek. A wy? – krzyknęłam do przyjaciół, zatrzymując się.

Satoru pokręcił głową.

– Ja też nie. Nawet mimo tego, że sanki są na tyle ciężkie, że zostawiają odciski nawet na lodzie...

– Podlecę wyżej i się tam rozejrzę – zaproponowała Maria, wzbijając się wysoko w powietrze, gdzie zawisła jak balon.

– Aż do tego miejsca ślady wciąż są widoczne, choć bardzo słabo – zauważyłam, dotykając rysujące się w lodzie linie i starając się utrzymać równowagę, żeby się nie pośliznąć.

Poczułam pod palcami dziwną teksturę, jakby kamień. Pod lodem leżała płaska skała wielkości trzech mat tatami, jednak była w całości przysłonięta śniegiem, więc nie dało się jej dostrzec.

Dzięki cantusowi udało mi się oczyścić płytę. Na kamieniu widniała cienka, metaliczna rysa.

– Satoru, spójrz!

Odwrócił się zwinnie i zatrzymał tuż za mną.

– Może także ten ślad zostały sanie...!

Maria podfrunęła w naszą stronę.

– Nie widziałam stamtąd żadnych śladów – poinformowała. – Prawdopodobnie nie ma sensu dalej się wspinać.

– Och, to niedobrze!

Kiedy słuchała moich wyjaśnień, jej blada od mrozu twarz zaczęła się czerwienić.

– W-więc... Więc myślisz, że Mamoru się pośliznął i... spadł na samo dno?

Wszyscy spojrzeliśmy w stronę doliny. Jej dno było oddalone o dobre sto metrów od nas. Nawet nie zauważyliśmy kiedy dotarliśmy aż tak daleko. Upadek z takiej wysokości prawie na pewno musiał skończyć się śmiercią, niezależnie od wprawy w korzystaniu z cantusu.

– Uważam, że powinniśmy w każdym razie zejść trochę niżej i dokładniej się rozejrzeć. Nawet, jeśli się przewrócił, być może nie stoczył się na sam dół.

Posłuchaliśmy Satoru i zaczęliśmy się cofać. Po przejściu jakichś czterdziestu metrów poczuliśmy, że śnieg pod naszymi nogami jest jakiś inny.

– To zaspą!

Staliśmy nad niewielką kotlinką, całkowicie przysypaną białym puchem.

– Zdaje się, że wciąż jest nadzieja. Sanki mogły się na niej zatrzymać jak na dużej poduszce.

– Ale nie zaczynają się tu żadne ślady – powiedziała Maria, po czym zaczęła rozpaczliwie przerzucać sterty śniegu za pomocą cantusu. Wydawało się, że zupełnie straciła panowanie nad sobą.

– Ostrożnie. Robienie kilku rzeczy naraz jest niebezpieczne. Ja się tym zajmę – powiedziałam, powstrzymując ją.

Jednym podmuchem wyrzuciłam cały śnieg wysoko w powietrze. Satoru odsunął się od opadającego białego tumanu.

Pomimo, że wspaniałomyślnie zaproponowałam, że zastąpię Marię, prawda była taka, że również mi sprawiło to niemałą trudność. Utrzymywanie się na stromym zboczu bez pomocy cantusu było bardzo lekkomyślne i skomplikowane. Już po kilku sekundach musiałam zatrzymać wiatr i ponownie użyć mocy do podparcia się, chroniąc się przed upadkiem, jednak dokładnie w tym samym momencie Maria krzyknęła.

– Tam! Coś jest tam zakopane!

Wskazywała na metalowe płozy sań, wystające spod lodu.

– Ja je odkopię! Niczego nie róbcie!

Satoru stworzył gigantyczną szufłę, za pomocą której zgarniał ogromne ilości śniegu, które następnie zrzucił z klifu. Kiedy sanie zostały już prawie całkowicie odkopane, dokończyliśmy pracę ręcznie. Gdy pozbyliśmy się całego denerwującego białego puchu, postawiliśmy sanki na płozach. Przywiązane do nich bagaże rozsypały się wokół, lecz po Mamoru nie było ani śladu.

– Gdzie on się podział – spytała Maria, będąca już na granicy hysterii. – Skoro go tu nie ma, czy to znaczy, że zleciał na sam dół? Musimy mu pomóc!

Milczałam, nie wiedząc co odpowiedzieć. Jeśli Mamoru miał czas na skorzystanie z mocy, powinien zdołać zatrzymać się w tym miejscu. Jeżeli jednak stoczył się niżej, znaczyło to najprawdopodobniej, że przez cały czas był nieprzytomny – a w takim przypadku jego szanse na przeżycie były wyjątkowo mizerne.

– Nie, poczekajcie... – powiedział cicho Satoru. – Nie uważacie, że to trochę dziwne? Czemu sanie były zakopane tak dokładnie?

Ton jego głosu rozpałił we mnie iskierkę nadziei.

– Bo przykrył je śnieg? – podsunęłam.

– Nie padało aż tak mocno – zauważył, kręcąc powoli głową. – Gdyby tak było, to ślady również zostałyby zasypane i nie moglibyśmy tu dotrzeć idąc wzdłuż nich.

– W takim razie siła uderzenia spadających sanek musiała wbić je w zasną.

– Nawet jeśli to prawda, śnieg nie przykryłby ich do końca.

– O czym wy w ogóle mówicie? Mamoru tu nie ma. Kogo obchodzi jakieś cholerne sanki?

– One są ważne. To może oznaczać, że wszystko z nim w porządku – oznajmił Satoru. Po jego słowach zapadła cisza.

– Naprawdę? Czemu? – zapytałyśmy jednocześnie z Marią.

– Jestem w stanie wymyślić tylko jeden powód, dla którego zakopano tu te sanki – powiedział zamyślonym głosem. – Ktoś zrobił to celowo, żeby nikt ich nie odnalazł.

– Mamoru je schował? – spytała z nadzieją w głosie Maria.

– Albo ścigające go dziwoszczury...

Dokąd mogły go zabrać dziwoszczury po pozbyciu się dowodów? Rozglądałam się w poszukiwaniu drogi, którą mogły pójść.

Po krótkiej wędrówce wzdłuż stoku, natknęłam się na łagodną pochyłość porośniętą krzakami. Kawałek dalej zaczynała się prowadząca na szczyt wzgórza ścieżka.

– Wyglądają na ślady zwierząt.

Tym, co widniało na śniegu były jednak odciski stóp dziwoszczurów. Tuż obok nich biegło duże, podłużne wyłobienie; najwyraźniej ciągnęły za sobą coś ciężkiego.

– Co one zrobiły Mamoru...? – Głos Marii urwał się, jakby wyobraziła sobie najgorsze.

– Myślę, że stracił przytomność, a dziwoszczury zabrały go ze sobą, żeby mu pomóc – odparł Satoru.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytałam go.

– Patrz, zdaje się, że unikały wystających korzeni – wyjaśnił, wskazując na ziemię. – Gdyby próbowały przenieść trupa, nie dbałyby o to, czy poobija się o konary.

Pomimo, że jego wyjaśnienie nie było do końca przekonujące, dodało nam trochę otuchy.

Doszliśmy wzdłuż śladów aż na czubek wzniesienia, gdzie nagle trop się urwał. Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy coś, co wyglądało na pozostałości odcisków, które musiały zostać ostrożnie zasypane. Dwadzieścia metrów dalej ślady stóp i ciągniętego obiektu ponownie się pojawiły. Poczulałam, że jesteśmy już blisko celu i zaczęłam się trochę denerwować.

Ślady prowadziły sto metrów w głąb rzadkiego lasu.

– Hej, to jest...! – krzyknął Satoru, wskazując na coś przed sobą.

Wyraźnie ujrzałam ścianę ze śniegu zbudowaną pomiędzy dwoma grubymi sosnami, mimo, że skrywał ją cień.

Podeszliśmy bliżej i zobaczyliśmy, że w rzeczywistości jest to dwumetrowa, kopulasta budowla.

– To igloo! – Maria z trudem zdusiła krzyk.

Lodowa chatka niczym nie różniła się od tych, które budowaliśmy zimą w dzieciństwie. Sądząc po pozostawionych na zewnątrz śladach, musiała powstać taką samą metodą, jaką wtedy wykorzystywaliśmy – najpierw usypano kopiec z ubitego śniegu, a później wydrążono wnętrze. Dwie sosny podpierające ją z boków sprawiały jednak, że wydawała się dużo solidniejsza od naszych.

– Co robimy? – spytał nerwowo Satoru.

– Wejźmy frontowym wejściem.

Nie było czasu na dyskusję. Zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę chatki. Maria i Satoru odruchowo poszli za mną, osłaniając mnie z obu stron. Nie sądziłam, że dziwoszczury odważą się zaatakować ludzi, lecz idąc w takim szyku mogliśmy szybko pomóc sobie nawzajem w razie potrzeby; nikt nie mógł również zaatakować nas wszystkich jednocześnie.

– Jest tu ktoś? – zapytałam głośno, stając przed wejściem do igloo.

Nie usłyszeliśmy odpowiedzi. Obeszłam szalas dookoła i ujrzałam niewielkie wejście, zakryte zasłoną zrobioną ze związanych ze sobą gałązek. Zajrzałam do środka.

– Satoru! Maria! Znalazłam go! – krzyknęłam.

Moi przyjaciele natychmiast ruszyli moją stronę i weszli do chatki. Wnętrze było dość przestronne. Mamoru leżał na środku, owinięty wełnianym kocem. Trudno było dostrzec jego twarz, ale nie dało się nie rozpoznać jego włosów. Jego klatka piersiowa nieznacznie unosiła się i opadała; wyglądało na to, że śpi.

– Tak mi ulżyło... – Maria ukryła twarz w dłoniach i wybuchła płaczem.

Mamoru powoli otworzył oczy.

– Hej. Przyszliście – zauważył.

– Chyba sobie żartujesz! Zamartwialiśmy się na śmierć – odparł ostro Satoru, nie potrafiąc jednak ukryć uśmiechu.

– Co się właściwie stało? Naprawdę spadłeś ze stoku? – zapytałam go.

Mamoru zmarszczył brwi, jakby próbował sobie z trudem coś przypomnieć.

– No tak. Wychodzi na to, że spadłem. Naprawdę nie pamiętam co się stało. Za każdym razem, gdy próbuję sobie przypomnieć, wszystko zaczyna się rozmywać jakbym miał wstrząśnienie mózgu. Zraniłem się też w nogę i nie mogłem się ruszać, więc Squonk musiał mnie odkopać i tu zanieść.

– Kto? – spytała Maria, wciąż uśmiechając się przez łzy.

– Squonk. Chociaż tak naprawdę nie wiem, jak wymawia się jego imię... Och tak, przecież dawno temu wszyscy go już spotkaliście.

– Spotkaliście? Kiedy?

Zza naszych pleców dobiegł szelest rozsuwanej kotary. Wystraszeni, odwróciliśmy się i zobaczyliśmy dziwoszczura,

niosącego na plecach kilka pakunków. Wydawał się skrajnie zdumiony naszym widokiem.

Satoru wykorzystał cantus, żeby unieść go do góry. Stworzenie odrzuciło swój bagaż, piszcząc z przerażenia. Dziwoszczur był ubrany w kilka warstw ubrania, włączając w to nakrycie z szeleszczącej folii termoizolacyjnej. Na to wszystko narzucona była cienka, brudna peleryna, która wydawała mi się dziwnie znajoma.

– Czy to może być ten sam...?

– Znasz go? – spytała zdziwiona Maria.

– Tak, i wy też. Pamiętacie jak krótko po moim wstąpieniu do Akademii Mędrców uratowaliśmy dwójkę dziwoszczurów, które wpadły do kanału?

Powoli zdołałam przywołać wspomnienie tamtego dnia. Jeśli pamięć mnie nie myliła, na czole stworzenia powinien być wytatuowany wyraz „trocina”... Maria i Satoru też najwyraźniej już sobie przypomnieli.

– Postaw go. Squonk ocalił mi życie – poprosił Mamoru.

Satoru opuścił dziwoszczura na ziemię.

– Kikikikiki... Bogowie. Dż-dżkuje – powiedział Squonk, kłaniając się nam nisko.

– Nie, to my powinniśmy ci dziękować za uratowanie Mamoru.

– To nic wielkiego. Kakakakakak...ka, b-bóg miał kłopoty, t-to oczywiste, żżżżż... że musiałem p-pomóc.

Mowa Squonka była przerywana piskami i chrząknięciami. W porównaniu ze Squealerem i Kiroumaru ciężko było go zrozumieć, jednak niezaprzeczalnie poczynił ogromne postępy od dnia, w którym wyciągnęliśmy go z kanału.

– Jestem bardzo wdzięczny za twoją pomoc, Squonku, ale powiedz, czemu śledziłeś Mamoru? – Głos Satoru brzmiał prawie oskarżycielsko.

– Prz-przechodziłem w pobliżu i znalazłem ślady w śniegu. Zastanawiałem się czy-czy należą do jakiejś innej grrrr... k-kolonii,

więc zzzz... zdecydowałem ż-że się im przyjrę – odparł Squonk z pewnymi trudnościami. Kiedy mówił, strasznie się ślinił.

– Hmm... Ale czemu w ogóle znalazłeś się w tej okolicy? – spytałam.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – przerwała Maria, zanim zdążył odpowiedzieć. – Ocalił Mamoru. Dlaczego narzekacie?

Gdybym bardziej przycisnęła wtedy Squonka, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że dziwoszczury umiały kłamać tak dobrze, że nawet Satoru wypadają przy nich blade, nie wydaje mi się, by mogło to wiele zmienić.

Mimo to, wydaje mi się, że powinniśmy zapytać wtedy Squonka, co robi we wnętrzu Świętej Bariery. Wychodzenie poza obręb Bariery było nam wtedy surowo zabronione. Gdybym wiedziała, że dziwoszczury mogą swobodnie przekraczać ją w obie strony, z pewnością byłabym czujniejsza.

Później, gdy dowiedziałam się, jaki jest powód, dla którego pozwala się im bez konsekwencji przechodzić przez Barierę, byłam zdziwiona faktem, że mimo iż posiadają własną kulturę, nadal uznawane są za dzikie zwierzęta.

– Ważniejszym pytaniem jest, co ty tutaj robisz, Mamoru. Wyłumacz się. – Maria odwróciła się w jego stronę.

– Uch... Przepraszam.

– Przeprosiny to żadne wyjaśnienie. Dlaczego uciekłeś, nic nam nie mówiąc?

Mamoru usiadł. Zdawało się, że jest na granicy płaczu.

– B-bo... Nie miałem wyboru. Nie chciałem umrzeć!

– Co masz na myśli? – Maria zmarszczyła czoło.

– Nie jestem taki, jak wy. Mój cantus jest raczej słaby i nie mam żadnych specjalnych talentów. Czułem, że zostaję z tyłu.

– To nieprawda – zaprotestowałam, jednak zignorował moje słowa.

– Słoneczny Księciunio też patrzy na mnie tym chłodnym wzrokiem. Jestem już na liście osób przeznaczonych do eliminacji.

Tak samo jak X i dziewczyna, która była kiedyś w naszej grupie. Tak samo jak siostra Saki.

Spojrzałam oskarżycielsko na Marię.

– Niczego mu nie powiedziałam – odparła pośpiesznie.

– Wiedziałem. Macie przede mną jakieś sekrety. Tak, jak tamto lustro. Nie chcieliście, żebym o nim usłyszał, prawda?

– Podśluchiwałeś? – zapytałam. Wszyscy mnie zignorowali.

– Eliminacja, lista... Zbyt dużo myślisz. Nic takiego się nie stanie – powiedziała Maria uspokajającym tonem.

– Widziałem zmyłkota.

Po tych słowach zapadła zupełna cisza.

– Co? O czym ty mówisz? Ja... – Maria urwała w połowie zdania, dostrzegając wyraz twarzy Mamoru.

– Spotkałem go dwukrotnie. Pierwszy raz miał miejsce w nocy, przed czterema dniami. Wracałem po zmroku do domu i poczułem, że coś mnie śledzi. Szybko przebiegłem za róg budynku, przy którym stał rozpalony koksownik i obejrzałem się za siebie.

– Co tam było? – wyszeptał Satoru.

– Nie zobaczyłem tego bezpośrednio, lecz wiedziałem, że coś chowa się za rogiem. W blasku ognia widać było cień, który ten stwór rzucał na drogę. Nie mogłem dokładnie określić, czym on jest, ale był olbrzymi.

Przełknęłam ślinę, chłonąc każde jego słowo.

– Spanikowałem i podsyłem ogień. Od razu cały opał zaczął się żarzyć a z piecyka buchnęła oślepiająca kula płomieni. Cień zdążył jednak już zniknąć. Pognałem w ciemnościach do domu, ani razu się nie zatrzymując.

– Jesteś pewien, że to nie była tylko twoja wyobraźnia? – Maria próbowała złagodzić ton swojego pytania szerokim uśmiechem.

– Właśnie, czy to zwierzę, które cię zaatakowało na pewno było przek... zmyłkotem? – zgodziłam się.

– Nie odrzucałbym zupełnie takiej możliwości – odezwał się Satoru, tym jednym zdaniem całkowicie niweczając nasze wysiłki, żeby

uspokoić Mamoru. – Istnieje wiele historii o zmyłkotach, ale wszystkie łączy jeden ważny szczegół. Mam na myśli podążanie za ofiarą przed atakiem.

– Nie wydawało mi wtedy się, że zamierza się na mnie rzucić...

– Mamoru pokręcił głową. – Wczoraj było jednak inaczej.

– Wczoraj? Nie masz chyba na myśli...? – Maria najwyraźniej coś sobie przypomniała.

– To było wczoraj po lekcjach. Jako jedyny zostałem w szkole na dodatkowych zajęciach. Kiedy miałem już wychodzić, Słoneczny Księciunio poprosił mnie, żebym odniósł kilka niewykorzystanych wydruków do magazynu ...

– Masz na myśli ten znajdujący się w połowie korytarza, prowadzącego na wewnętrzny dziedziniec?

Poczułam zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z panującą temperaturą.

– Tak. Zrobiłem to, o co mnie prosił. Tych papierów wcale nie było tak dużo. Myślę, że to była tylko wymówka. Wszedłem do magazynu i odłożyłem wydruki. Kiedy wracałem, poczułem na sobie czyjś wzrok. – Z oczu Mamoru zaczęły kapać łzy. – Nie ma tam żadnych okien, więc panował zupełny mrok. Przyśpieszyłem kroku, wiedząc, że nie wolno mi obejrzeć się do tyłu, bo gdybym to zrobił, byłby to mój koniec. Wtedy to usłyszałem. Kroki. Były prawie bezgłośnie, ale wyczuwałem wibracje podłogi, uginającej się pod ciężarem zmyłkota – wyszłochał. – Kiedy się zatrzymałem, one ucichły w tym samym momencie. Byłem zbyt przerażony, żeby się ruszyć. Słyszałem coś brzmiącego jak oddech zwierzęcia. Poczułem też zresztą charakterystyczny smród. Myślałem, że już po mnie; że za chwilę zostanę zabity przez zmyłkota. Nie jestem pewien co się stało później, ale myślę, że podświadomie użyłem cantusu. Powstał silny podmuch powietrza, przypominający huragan, a za mną rozległ się przeraźliwy pisk. Odwróciłem się i... i to zobaczyłem.

– Co takiego? – Satoru pochylił się do przodu z zapartym tchem.

– Zobaczyłem go tylko kątem oka, zanim ukrył się w cieniu. To był niewyobrażalnie wielki, biały kot. Na podłodze zostały ślady krwi, więc możliwe, że poranił go wicher.

Nikt z nas się nie odezwał.

– Chciałam wczoraj poczekać na Mamoru, ale Słoneczny Księciunio powiedział mi, żebym poszła do domu, bo dodatkowe zajęcia będą trwały bardzo długo. – Oczy Marii rozbłyły gniewem. – Od samego początku planowali go odizolować i zabić...

– Poczekać. Dlaczego mielibyście chcieć pozbyć się Mamoru? Jego cantus jest przeciętny, a osobowość nie odznacza się niczym niebezpiecznym. Jest spokojny i pomocny...

– Skąd mam wiedzieć? Widział zmyłkota. Dwa razy! Jak możesz nadal mu nie wierzyć?

Podczas gdy Maria i Satoru się sprzeczali, zaczął ogarniać mnie nieznośny niepokój.

Zgodnie z tym, co usłyszałam od Tomiko, plany wyeliminowania Mamoru nie mogły dziwić. Kiedy był śledzony przez przekłete koty, użył cantusu w niebezpieczny sposób, żeby pozbyć się niewidzianego przeciwnika. To mogło dowodzić, że jest w stanie zaatakować także innego człowieka, kiedy poczuje się zagrożony. Przez tanto bezwiedne działanie na jaw wyszło jeszcze jedno zagrożenie. Mamoru nie potrafił w pełni świadomie kontrolować mocy, co oznaczało, że istnieje duże ryzyko, że w przyszłości zmieni się w karmicznego demona...

Poczułam przerażenie, kiedy uświadomiłam sobie, że mimowolnie przyjął punkt widzenia Rady Edukacji.

– Kiedy spotkałem zmyłkota, coś mi się przypomniało – powiedział cicho Mamoru. – Już kiedyś go widziałem.

– O czym ty mówisz? – spytał skołowany Satoru.

– Nie potrafię sobie tego dobrze przypomnieć. Możliwe, że to fragment wspomnień, które nam odebrano... Pamiętam, że ukrywałem się za magazynem na wewnętrznym dziedzińcu.

W pewnym momencie jego wrota się otworzyły a ze środka wyszedł zmyłkot.

– Też to pamiętam! – krzyknęła Maria. – Ja... ja też tam byłam.

Zapadła grobowa cisza. Nasz naiwny plan odszukania Mamoru i sprowadzenia go z powrotem do domu legł w gruzach. Co nam pozostało? Zawiedliśmy na całej linii.

Ponieważ noga Mamoru mogła być złamana, nie moglibyśmy go odprowadzić wtedy do wioski, nawet gdyby tego chciał. Satoru udał się więc samotnie w drogę powrotną, żeby poinformować Słonecznego Księżcunia, że ja i Maria źle się poczułyśmy i wróciłyśmy wcześniej do domów.

Zbudowałyśmy kolejne śnieżne schronienie tuż obok chatki Mamoru. Miałam ze sobą śpiwór, który zabrałam na wszelki wypadek, ale Maria nie wzięła niczego, czym mogłaby się przykryć, więc wróciłyśmy się do miejsca, w którym zakopane były sanki, żeby przeszukać bagaże Mamoru. Na szczęście okazało się, że wziął ze sobą nawet więcej niż wystarczającą ilość jedzenia i niezbędnego wyposażenia, więc zapakowałyśmy wszystkie te graty na sanki, zaciągnęłyśmy je do naszej kryjówki i rozпалиłyśmy ognisko. Roztopiłyśmy też trochę śniegu i ugotowałyśmy kolację dla całej naszej trójki. Squonk również dostał trochę suszonego mięsa, które ze sobą zabraliśmy.

– Wygląda na to, że jutro nie będzie padać – zauważyłam, sącząc herbatę.

– Też tak myślę – odparła nieco opryskliwie Maria.

– Jeśli taka pogoda się utrzyma, Mamoru będzie mógł jechać na sankach.

– Niby dokąd?

– No cóż... – zamyśliłam się.

– Nie wracam – odezwał się Mamoru, podnosząc głowę.

– A-ale...

– Zabiją mnie.

– Ma rację! Raz już prawie im się udało – poparła go Maria.

– Realnie myśląc, nie ma innego wyjścia jak powrót, prawda? – próbowałam ich przekonać. – Rozmawiałam z przewodniczącą Komisji Etyki, Tomiko. Jeśli jej o tym powiemy... Jestem pewna, że zrozumie.

Mówiąc szczerze, nie miałam żadnej pewności, że to co powiedziałam, okazałoby się prawdą. Tomiko mogła równie dobrze uznać, że Mamoru rzeczywiście stwarza zagrożenie dla dystryktu, a nawet gdyby tak nie uważała, wątpiłabym, że przeciwstawiłaby się decyzji Rady Edukacji tylko po to, żeby go ocalić.

– Nie, nie możemy ufać nikomu dorosłemu – zaprotestowała kategorycznie Maria. – Możesz mieć rację, mówiąc, że to nie Komisja Etyki podejmuje decyzje o eliminowaniu uczniów, jednak najwyraźniej nie mieszają się w nie. Gdyby było inaczej, ludzie by nie znikali, tak jak twoja siostra, dziewczyna z naszej grupy czy X.

Pomyślałam o chłopcu bez twarzy. *Co on powiedziałby w takiej sytuacji?*

– Co w takim zrobi Mamoru, skoro nie może wrócić?

– Będę żył na własną rękę – odpowiedział.

– Co? To nie jest letni obóz, wiesz? Będziesz musiał spędzić samotnie kilka następnych dziesięcioleci i...

– Mi także się to nie podoba, ale mam swój cantus. Jakoś sobie poradzę.

– Ale...

– Myślę, że damy sobie radę. – Maria ponownie przysłała mi z pomocą. – Można przetrwać w pojedynkę, mając odpowiednie doświadczenie, ale Mamoru nie będzie sam. Ja z nim zostanę.

– Nie mówisz poważnie! – wykrzyknęłam. Poczulałam, że kręci mi się w głowie.

– Mamoru sam nie da sobie rady. Poza tym, wybraliśmy się wzajemnie na partnerów.

– Nie, ty musisz wrócić. Twoi rodzice będą się martwić – zaprotestował niespodzianie Mamoru.

– Czemu? Nie chcesz, żebym była przy tobie?

– Oczywiście, że chcę. Byłbym wtedy naprawdę szczęśliwy, jednak życie z dala od wiosek nie będzie proste. Ja nie mam wyboru, ponieważ jeśli wrócę, dorośli nie pozwolą mi żyć. Ty jednak możesz...

– Nie przejmuj się tym. – Maria uśmiechnęła się uprzejmie. – Więc to dlatego uciekłeś, niczego mi nie mówiąc. Naprawdę nie znam nikogo tak troskliwego jak ty. Od teraz jednak zostaniemy razem, dobrze? Obiecuj mi to.

Mamoru się nie odezwał, ale zbierające się w kącikach jego oczu łzy wystarczyły za odpowiedź. Westchnęłam głęboko. Nie potrafiłam w żaden sposób przekonać ich, żeby zmienili zdanie.

Tej nocy kochałyśmy się z Marią w śnieżnej chatce.

– Już nigdy cię nie zobaczę, prawda? – spytałam posępnie, tuląc głowę do jej piersi.

– Nie, z pewnością kiedyś jeszcze się spotkamy. – Maria uśmiechnęła się, gładząc mnie po włosach. – Kocham cię z głębi serca, Saki, ale teraz martwię się o Mamoru. On nie ma nikogo innego, kto mógłby go ochronić.

– Wiem, ale...

– Ale co?

– Jestem zazdrosna.

– Och, głuptasie! – zachichotała rudowłosa. – Od teraz będziemy musieli z Mamoru walczyć o przetrwanie z nieprzyjazną dziką naturą. To ja powinnam ci zazdrościć.

– Masz rację. Przepraszam – odparłam ze skruchą.

– Wybaczam ci – powiedziała, unosząc mój podbródek i muskając mnie lekko ustami.

Całowałyśmy się gorąco i namiętnie, jakbyśmy nigdy nie miały się już spotkać.

To rzeczywiście był nasz ostatni pocałunek.

Rozdział 4

Następnego ranka, kiedy z nieba zaczął lekko prószyć śnieg, powróciłam samotnie do wioski.

Pomimo, że wspomagałam się cantusem, żeby wprawić narty w ruch, musiałam przebyć tak duży dystans, że gdy dotarłam do celu, ze zmęczenia nie czułam nóg. Bardzo ciążyła mi myśl o Marii i Mamoru; martwiłam się wszystkimi nieznanymi zagrożeniami, jakimi z pewnością usiana była ich przyszłość.

Ostatecznie dotarłam do przystani w Dębowym Gaju i spostrzegłam, że nigdzie w pobliżu nie ma żywej duszy, chociaż zazwyczaj nawet w niedziele w okolicy kręciło się sporo ludzi. Nie zwróciłam jednak na to większej uwagi, myśląc, że po prostu mam szczęście i ciesząc się, że nikt mnie nie zauważył.

Odwiązałam Hakurena 4 i popłynęłam prosto do domu. Żeby się tu dostać, musiałam tak często korzystać z mocy, że nie potrafiłam się już wystarczająco skoncentrować, a ze zmęczenia oczy zaszyły mi mgłą. Kajak chwiał się na boki i obijał o brzegi kanału.

Podczas całej drogi z Dębowego Gaju do Wodnego Młyna nie natknęłam się na ani jednego człowieka. W końcu zaczęło do mnie docierać, że coś jest bardzo nie w porządku. Nikt nie przechadzał się nad wodą. Kamisu 66 zdawało się zupełnie wymarłe.

Padający dotąd leniwie śnieg przerodził się w ostrą, mokrą zawieruchę. Na dziobie łodzi zgromadziła się cała sterta białego puchu.

Kiedy w końcu zobaczyłam swój dom, byłam wstrząśnięta. Moi rodzice stali razem na pomoście. Nie mieli ze sobą nawet parasolki, więc całe ich głowy i ramiona pokrywała gruba warstwa śniegu.

– Przepraszam – powiedziałam do nich, skręcając kajakiem w stronę doku. – Nie mogłam wrócić wczoraj do domu...

Uśmiechnęli się do mnie nieznacznie.

– Jesteś głodna? – odezwała się w końcu mama.

Pokręciłam głową.

– Wiem, że musisz być wyczerpana, ale pytała o ciebie Rada Edukacji. Chodź ze mną – powiedział ojciec poważnym tonem.

– Nie możemy pozwolić jej trochę odpocząć? – spytała moja matka błagalnym tonem.

– Nie... Nie wolno nam. To nadzwyczajna sytuacja, zwłaszcza, że poprosili nas o przyście tak wcześnie.

– W porządku, nie jestem aż tak zmęczona – odparłam, starając się, żeby mój głos brzmiał energicznie.

– No dobrze, popłyniemy kajakiem taty. Saki, możesz się zdrzemnąć po drodze.

Łódź mojego ojca, której używał poza obowiązkami służbowymi, była dwukrotnie większa od Hakurena 4. Zamknęłam oczy, a mama zarzuciła mi pled na ramiona; serce waliło mi jednak tak szybko, że nie byłam w stanie zasnąć. Na przystani w Zbożowym Kręgu ktoś już na nas czekał. To była ta sama kobieta w średnim wieku, która powitała nas dwa lata temu, po naszym powrocie z letniego obozu. Tym razem jednak ewidentnie unikała mojego wzroku.

Podążyłam za rodzicami ośnieżoną ścieżką. Siedziba Rady Edukacji mieściła się tuż obok biblioteki, którą zarządzała moja matka. Budynek był otoczony bambusowym żywopłotem, który skutecznie uniemożliwiał dostrzeżenie z zewnątrz tego, co się za nim znajduje. Weszliśmy przez boczną bramę. Mimo, że nadal padało, dziedziniec został dokładnie odśnieżony i osuszony za pomocą cantusu. Prowadzący do głównego wejścia brukowany chodnik miał około trzydziestu metrów długości. Wewnątrz ciągnął się strasznie długi i wąski korytarz. Pomimo, że z zewnątrz budowla nie przypominała głównej kwatery Komisji Etyki, jej wnętrze było prawie identyczne.

– Nie możecie dalej towarzyszyć córce – zwróciła się do moich rodziców przedstawicielka Rady.

– Jako jej ojciec i burmistrz dystryktu, chcę odpowiadać w jej imieniu. Mam ze sobą odpowiedni wniosek.

– Nie możecie tam z nią wejść. – Kobieta zignorowała prośbę mojego taty.

– Jako osoba odpowiedzialna za bibliotekę mam obowiązek spisać raport z tego przesłuchania. Zrobicie dla mnie wyjątek?

– Przykro mi, ale to nie wchodzi w grę.

Moja matka próbowała wykorzystać swoją pozycję, żeby wywrzeć nacisk na członkinię rady, ale jej prośba również spotkała się ze stanowczą odmową. Rodzice nie mogli już nic więcej zrobić.

– Saki, nie wydaje mi się, że muszę ci o tym mówić, ale proszę, odpowiadaj na wszystkie pytania tak szczerze, jak potrafisz – powiedziała mama, kładąc dłonie na moich ramionach i patrząc mi głęboko w oczy.

– Wiem... Poradzę sobie – odparłam.

Zrozumiałam, co naprawdę chciała mi przekazać. Musiałam ostrożnie szafować prawdą. Od teraz każda zła odpowiedź była równoznaczna ze śmiercią.

Zabrano mnie do dużej sali, urządzonej w zachodnim stylu. Podłoga była wyłożona lśniącym, ciemnym drewnem, a umieszczone wysoko pod sufitem niewielkie okna nadawały pomieszczeniu iście rembrandtowskiego klimatu. Na środku postawiono stół, wyglądający jak ławy używane podczas przyjęć. Siedziało przy nim w rzędzie około dziesięcioro ludzi. Środkowe miejsce zajmowała przewodnicząca Rady Etyki, Hiromi Torigai. Osoby po jej obu stronach musiały być jej podwładnymi.

– Nazywasz się Saki Watanabe? Proszę, usiądź tu.

Głos, który usłyszałam nie należał do Hiromi, a do tęgiej kobiety, która siedziała po jej lewej. Posłusznie usiadłam na jedynym krześle w komnacie.

– Jestem Masayo Komatsuzaki, wiceprzewodnicząca Rady Edukacji. Chcemy zapytać cię o kilka rzeczy. Proszę, żebyś odpowiadała na wszystkie pytania zgodnie z prawdą. Nie kłam i niczego nie zatajaj. Zrozumiałaś?

Ton jej głosu był przyjacielski jak u każdego nauczyciela, ale wpatrywała się we mnie lodowatym wzrokiem. Poczułam przed nią duży respekt.

– Tak – odpowiedziałam bez zbędnych komentarzy.

– Dowiedziałaś się, że chłopiec z twojej grupy, Mamoru Itou, uciekł wczoraj z domu wczesnym rankiem. Czy to prawda?

– Tak – odparłam cicho.

– Kiedy to odkryłaś?

Wiedziałam, że nie ma sensu tego ukrywać.

– Przed rozpoczęciem lekcji – odpowiedziałam szczerze.

– W jaki sposób się o tym dowiedziałaś?

– Powiedziała mi Maria Akizuki.

– Co zrobiłyście później?

– Najpierw poszliśmy do szkoły, a później, gdy nadarzyła się okazja, wyruszyliśmy na poszukiwanie.

– Dlaczego nie poinformowałaś o tym swoich rodziców ani nauczycieli?

To było dobre pytanie. Zastanowiłam się przez chwilę.

– Ponieważ miałyśmy nadzieję, że uda nam się go sprowadzić z powrotem zanim stanie się to większym problemem.

– Rozumiem. Można to jednak uznać za próbę ukrycia przed nami waszych działań. Nie zgadzałaś się z decyzją Rady Edukacji i postanowiłaś jej zapobiec, nie mylę się? Jeśli tak, to...

Hiromi wyszeptała coś na ucho Masayo. Wiceprzewodnicząca odpowiedziała coś, co brzmiało jak „dobrze, zrozumiałam”.

– Przejdźmy do następnego pytania. Poszłaś szukać Mamoru Itou podczas lekcji przeznaczonych na indywidualne obserwacje. Kto jeszcze był z tobą?

– Maria Akizuki i Satoru Asahina.

– Rozumiem. Więc w trójkę wyruszyliście na poszukiwania Mamoru. Znaleźliście go?

Byłam zdezorientowana. Satoru wrócił wczoraj, więc musieli go już przesłuchać. Zastanawiałam się, co mógł odpowiedzieć.

– Co się dzieje? Może jesteś tu po raz pierwszy, ale pamiętaj, że odpowiadasz przed oficjalną komisją śledczą. Musisz mówić prawdę.

Głos Masayo był bardzo surowy, a przez salę przetoczył się pomruk niepewności. Odezwała się Hiromi.

– Satoru Asahina zeznał już, że udało wam się odnaleźć Mamoru Itou. Powiedział, że Mamoru spadł z sanek i złamał nogę. Twierdził też, że wrócił pierwszy, a ty i Maria zostałyście na miejscu, żeby opiekować się rannym.

Satoru nie wspomniał o dziwoszczurze.

– Przewodnicząco... – Masayo spojrzała z wyrzutem na Hiromi.

– W porządku. Zorganizowaliśmy to przesłuchanie, żeby ustalić prawdę. Nie chcemy sprawić, żeby zaczęła zaprzeczać samej sobie – dodała szefowa Rady tak cicho, że ledwo ją usłyszałam. – Czy było tak, jak powiedział Satoru Asahina?

– Tak.

Poczułam lekką ulgę, widząc, że Hiromi nie jest tak bezwzględna jak przypuszczałam.

– Co stało się później? Dlaczego wróciłaś sama? Spodziewaliśmy się, że ty i Maria Akizuki bezpiecznie sprowadzicie Mamoru Itou z powrotem do wioski – powiedziała Masayo.

Rzuciłam okiem na twarze zebranych w pomieszczeniu przedstawicieli komisji śledczej. Jak mogłam rozwiązać ich podejrzenia? Kłamstwo mogło jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Nie miałam innego wyjścia, jak mówić prawdę. Tylko tak mogłam uniknąć niespójności w zeznaniach.

– Próbowałam przekonać Mamoru, żeby z nami wrócił, lecz on odmówił. Nie miałam więc wyboru i wróciłam samotnie. Nie mogliśmy go tam pozostawić bez opieki, więc Maria postanowiła z nim zostać.

– Możemy więc założyć, że Maria Akizuki nadal przekonuje Mamoru Itou, żeby wrócił do domu?

– Tak – odpowiedziałam, odwracając wzrok.

– Co miałaś zamiar zrobić po powrocie? Zamierzałaś opowiedzieć o wszystkim swoim rodzicom, nauczycielowi i Radzie Edukacji?

– Ja... Sama nie wiem.

– Nie wiesz? Co ty chcesz...?

Masayo zaczęła unosić się gniewem, lecz w porę wtrąciła się Hitomi.

– To zrozumiałe, że jesteś zdezorientowana. Każdy by się tak czuł na twoim miejscu... Jednak wiesz, co musisz teraz robić, prawda? Masz jedynie odpowiadać szczerze na pytania. Resztę pozostaw nam, zgoda?

– Zrozumiałam.

– Z jakiego powodu Mamoru Itou odmówił powrotu? Pytałaś go o to?

– Tak – przytaknęłam.

– I jaka to była przyczyna?

Wzięłam głęboki wdech. Co zaskakujące, byłam znacznie spokojniejsza, niż się spodziewałam. Nie mogłam całkowicie skłamać, odpowiadając na to pytanie. Jeśli zmieniałabym kilka szczegółów w historii Mamoru i pominęła zupełnie kwestię przeklętych kotów, to może...

– Co się dzieje? Odpowiedz na pytanie?

Zawahałam się.

– Czy masz w ogóle pojęcie, co się teraz dzieje w Kamisu 66? – wrzasnęła Masayo. – Wydano rozkaz pozostania w domach a ludzie umierają ze strachu. A to wszystko przez jednego samolubnego ucznia!

Dlaczego zareagowano tak przesadnie na zaginięcie jednego chłopca? Nie potrafiłam wtedy zrozumieć przyczyny takiego stanu rzeczy. Zamiast tego poczułam, jak rozpiera mnie niepoohamowana wściekłość.

Jakim prawem śmieli nazwać Mamoru samolubnym? To oni, Rada Edukacji, doprowadzili go do skraju szaleństwa i chcieli odebrać mu życie.

Moje milczenie najwyraźniej wzbudziło podejrzenia siedzących przy stole ludzi, którzy zaczęli się niespokojnie wiercić.

– O co chodzi? Czemu milczysz? Powiedz coś! – warknęła Masayo, stukając niecierpliwie palcami o blat.

– Jestem przekonana, że Mamoru uciekł, ponieważ nie chciał umrzeć.

W końcu to powiedziałam. Nie było już odwrotu.

– C-co...? Nie mów takich absurdalnych rzeczy!

– Po prostu odpowiadam na wasze pytania.

Czy naprawdę byłam aż tak odważna? Sama zdumiałam się własną odpowiedzią.

– Usłyszałam to bezpośrednio od niego. Ostatnio spotkał dwukrotnie zmył... przekłętogo kota. Za pierwszym razem najwyraźniej tylko go śledził.

– Przestań! Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz?

– Drugi raz miał miejsce po lekcjach, dwa dni temu. Słoneczny Księż... Pan Endou nakazał Mamoru zostać w szkole po zakończeniu zajęć i wysłał go na wewnętrzny dziedziniec, rozmyślnie chcąc odseparować go od innych uczniów – kontynuowałam, ignorując ją. – Tam został zaatakowany przez przekłętogo kota i cudem uniknął śmierci. Widział go wyraźnie. Powiedział nawet, że stwór miał białe futro. Dlatego właśnie...

– Dosyć! Zamilcz! Zrobiłaś pośmiewisko z Rady Edukacji i tego przesłuchania. Twoje słowa są rażącym naruszeniem Kodeksu Etyki! – wrzeszczała histerycznie Masayo.

– Również jestem bardzo zawiedziona. Obydwoje twoi rodzice są cudownymi ludźmi. Z pewnością będą żałować, że musiało do tego dojść – westchnęła Hiromi.

Jej głos nadal był łagodny, jednak po raz pierwszy poczułam przed nią strach.

– Są w innym pomieszczeniu...? Tak, rozumiem – powiedziała cicho do innego członka komisji, po czym ponownie zwróciła się do mnie. – Opuść, proszę, tę salę. Nie pozwolimy ci jednak wrócić do domu z rodzicami. Zostaniesz w tym budynku. Naprawdę żałuję, że to zakończyło się w taki sposób.

Jej słowa były równoznaczne z wyrokiem śmierci.

– Zostanę wymazana?

Hiromi spojrzała na mnie z obrzydzeniem.

– Ale ty jesteś odrażająca... Mówić takie rzeczy tak spokojnie...
– wyszeptwała.

Kiedy wstawała ze swojego miejsca, rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

– Kto tam? Trwa posiedzenie Rady. Poczekaj na swoją kolej! – krzyknęła ostro Masayo.

Osoba, która stuknęła w drzwi zignorowała polecenie i weszła do pokoju. Wszyscy zamarli, natomiast ja poczułam ogromną ulgę.

– Może wybrałam nienajlepszy moment, ale obawiam się, że muszę coś powiedzieć.

Odziana w wełnianą chustę narzuconą na kimono, Tomiko Asahina obrzuciła przyjaznym uśmiechem wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu.

– Wiem, że wszyscy poświęciliście sprawie Saki dużo pracy, ale nalegam, pozwólcie mi ją przejąć.

– P-przykro mi, ale zajmowanie się incydentami, w które zaangażowani są nieletni, leży w wyłącznych kompetencjach Rady Edukacji. Interwencja z zewnątrz to niezbyt dobry pomysł, nawet, jeśli prosi o to ktoś taki jak ty... – Głos Masayo stał się tak cichy, że ledwo dało się ją usłyszeć.

– Masz rację. Wybaczcie mi. Nigdy nie miałam zamiaru doprowadzić do takiej sytuacji, ale muszę częściowo wziąć na siebie winę Saki.

– Tomiko, proszę, porozmawiajmy o tym gdzie indziej – powiedziała Masayo, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Tomiko zupełnie ją zignorowała i odwróciła się w stronę Hiromi.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że jesteś częściowo winna? – spytała przewodnicząca Rady.

– Powiedziałam Saki o kilku rzeczach, włączając w to przekłete koty.

– T-to... niebywałe! – wysapała Hiromi. Mimo panującego cienia wyraźnie zobaczyłam, jak z jej twarzy odpływają wszystkie barwy.

– Masz rację. Jednak konieczne było uświadomienie osoby, która w przyszłości może zostać przywódcą dystryktu.

– Ona?! – wyrwało się skrajnie zdumionej Masayo.

– Dlatego proszę cię, Hiromi, bądź łagodna dla Saki.

– To nie takie proste, Tomiko. Teraz już nie chodzi tylko o chłopca. Zaginęła też dziewczyna! – powiedziała drżącym głosem.

– Wiem. To poważna sprawa. Ale czy to nie Rada Edukacji w dużej mierze ponosi winę za to, co się stało?

– My... jesteśmy winni?

Członkowie komisji poruszyli się niespokojnie.

– Tak. Przede wszystkim uważam, że decyzja o pozbyciu się Mamoru Itou była zbyt pochopna i nierozważna. To, w połączeniu z waszą nieudolnością w doprowadzeniu sprawy do końca, spowodowało całą tę sytuację.

– T-to... – Hiromi zamilkła ze skamieniałą twarzą.

– Nikt tutaj nie jest bez winy, włącznie ze mną. Być może to właśnie ja zasługuję na największą krytykę. W końcu przeprowadzenie eksperymentu na grupie pierwszej było moim rozkazem. Teraz nie ma jednak czasu na roztrząsanie przeszłości. Musimy zdecydować, co powinniśmy dalej robić. Mylę się?

Członkowie Rady Edukacji, ludzie, mający większą władzę od burmistrza i opiekunki biblioteki razem wziętych, spuścili głowy jak skarceni uczniowie.

– Masz absolutną rację – wymamrotała Hiromi.

– Cieszę się, że się zrozumieliśmy. Pozwólcie mi więc zająć się Saki. Wszystko będzie w porządku. Wezmę pod uwagę to, co macie do powiedzenia.

Nikt nie śmiał zaprotestować.

– Możemy usiąść przy kominku w wewnętrznym salonie? Chciałabym porozmawiać z Saki.

– A-ale teraz w tamtym pokoju są...

– Och, rozumiem. Zamierzaliście ją tam zaprowadzić? – Tomiko uśmiechnęła się pogodnie. – To nic nie szkodzi. Niczego tam nie ruszajcie.

Wewnętrzny salon okazał się dużym pomieszczeniem o powierzchni około trzydziestu mat tatami. Środek pokoju zajmowało ogromne palenisko, w którym trzaskały wesoło czerwone płomienie. Z sufitu na długim łańcuchu zwisał pełny wody kociołek, z którego uniosła się para.

– Nie musisz się tak niepokoić.

Tomiko zaczerpnęła trochę wody i napełniła dwie żółte filiżanki. Zamieszała zawartość trzykrotnie pędzlem *chasen*¹ i wyrzuciła go do śmietnika. Następnie wytarła naczynia ściereczką, otworzyła szare pudełko ze sproszkowanymi liśćmi zielonej herbaty, odmierzyła łyżeczką dwie porcje i wsypała je do filiżanek. Po raz kolejny użyła pędzla, żeby szybko wymieszać wodę z herbatą.

Wzięłam od niej jedną filiżankę i zaczęłam pomału sączyć napar.

– To nie czas na pokaz dobrych manier. Pij.

Skinęłam głową, lecz sprawiło to jedynie, że stałam się jeszcze bardziej nerwowa.

Niezależnie jak się starałam, nie potrafiłam po prostu ignorować trzech przeklętych kotów, śpiących po przeciwnej stronie paleniska.

¹ Chasen to bambusowy pędzel służący do przygotowywania herbaty matcha. Wykonany jest z odpowiedniej grubości gałązki bambusa z kolankiem w dolnej części. Ścianki bambusowej rurki są specjalnie i precyzyjnie nacięte dzięki czemu powstaje dwuwarstwowy pędzel przypominający nieco pędzel do golenia.

Futro jednego z nich miało wzór przypominający żółwiową skorupę, natomiast dwa pozostałe były pasiaste – ich ciała ozdabiały naprzemiennie ułożone szaro-czarne i żółto-białe pręgi. Ich oczy pozostawały zamknięte i przez cały czas poruszały z zadowoleniem uszami i ogonami.

Można było odnieść mylne wrażenie, że to bardzo sielankowa scena; patrząc zza paleniska trudno było prawidłowo ocenić rozmiar kotów.

– Cóż, chyba nie dam rady sprawić, żebyś ich nie zauważała. Nie obawiaj się jednak, one nigdy nie atakują, jeśli im się tego nie rozkaże.

– Dlaczego są aż trzy? – zadałam pierwsze pytanie jakie przyszło mi do głowy.

– Są tresowane do działania w zespołach liczących trzech osobników. To ofensywna taktyka nazywana strategią trójcy; bazuje ona na trzech pierwiastkach – nieba, ziemi i człowieka.

– Wszystkie atakują jednocześnie?

– Tak. Kiedy musimy je wykorzystywać, zazwyczaj oznacza to, że ich cel nie jest już podatny na sugestię hipnotyczną. Jednakże, niezależnie od tego jak potężnym się jest, obrona przed trzema symultanicznymi atakami jest praktycznie niemożliwa – odparła Tomiko z uśmiechem.

– Ale Rada Edukacji już wcześniej postanowiła się nas pozbyć. Czy jeden kot by nie wystarczył?

Sama byłam zdziwiona, że mogę rozmawiać na ten temat z takim spokojem.

– Najprawdopodobniej tego nie pamiętasz, ale raz już odparłaś ich atak. Może nawet dwa razy.

Wzdrygnęłam się. Za każdym razem, kiedy ktoś mi przypominał o utraconych wspomnieniach, czułam paskudne ukłucie w podbrzuszu.

– Mogę o coś zapytać? – spytałam po krótkiej pauzie, przerywając milczenie.

- Proszę, nie krępuj się.
- Pani Tomiko... Tomiko-sama.
- Wystarczy samo „pani” – zachichotała.
- Wcześniej wspomniała pani o rozkazie przeprowadzenia eksperymentu na grupie pierwszej, prawda? Co miała pani na myśli?
 - Widzę, że uważnie słuchałaś. – Tomiko pomału odwróciła trzymany w dłoni kubek. Biała glazura, którą pokryta była glina nadawała filiżance pięknego, różowego blasku.
 - Wszyscy musieliście w pewnym stopniu zorientować się, że grupa pierwsza jest szczególna, racja?
 - Cóż... tak mi się wydaje.
 - Każde z was jest bardzo wyjątkowe. Większość uczniów od najmłodszych lat jest poddawana hipnozie, dzięki czemu możemy kontrolować ich umysły. Nie są w stanie nawet pomyśleć o złych lub potencjalnie niebezpiecznych rzeczach. Jednakże, tobie i twoim przyjaciółom pozwoliliśmy zasadniczo zachować wolność myśli.
 - Dlaczego akurat my?
 - Ponieważ grzeczne owieczki nie są w stanie same obronić dystryktu. Przywódcy muszą odznaczać się tolerancją i otwartością umysłu. Ich przekonania muszą być na tyle silne, żeby nie bali się od czasu do czasu wykonać brudnej roboty. Aby przystosować się do zmian, jakie zachodzą w społeczeństwie na przestrzeni lat, lider musi mieć dużą zdolność adaptacji i ogromną wolę przetrwania, niezależnie od sytuacji z jaką przyjdzie mu się mierzyć.
 - I właśnie dlatego zostałam umieszczona w pierwszej grupie?
 - Dokładnie – odpowiedziała swobodnie.
 - A co z Satoru? Został wybrany bo jest pani wnukiem?
 - Wnukiem... – Tomiko uśmiechnęła się tajemniczo. – Nazwisko Asahina to tylko zbitek sylab, który przypadło mi dzielić z Satoru. Grupę pierwszą stworzono z uczniów obdarzonych specjalnymi zdolnościami. Zgrupowanie was w jeden zespół uprościło sporo rzeczy.

Siwowłosa kobieta nagle wstała i obeszła palenisko. Uklęła przy jednym z pasiastych kotów i podrapała go za uchem. Zwierzę zamruczało z rozkoszy.

– Zaczęły jednak następować nieprzewidziane wydarzenia – kontynuowała. – Najbardziej żałuję tego, że musieliśmy pozbyć się chłopca, z którym wiązaliśmy największe nadzieje... – Spojrzała na mnie i zaczęła dalej mówić swoim zwykłym tonem. – Teraz jest tak samo. Żadne inne dziecko nie mogłoby nawet pomyśleć o ucieczce z wioski i życiu na własną rękę. Wszystkich pozostałych strach sparaliżowałby na samą myśl o przekroczeniu Świętej Bariery. Tamci dwoje są jednak inni. Zagrożeni śmiercią we własnym domu, wybrali zamiast tego samotne życie w dziczy.

Zaniemówiłam. W jakiś sposób wszystkiego się domyśliła.

– I była to bardzo racjonalna decyzja, jeśli chcesz znać moje zdanie – ciągnęła. – To rezultat wolnego, nieskrępowanego myślenia. Ich wybór stanowi jednak obecnie olbrzymie zagrożenie dla fundamentalnego bezpieczeństwa dystryktu.

– Czy ich ucieczka naprawdę jest dla mieszkańców wiosek takim dużym problemem? – spytałam. – Wątpię, że Maria i Mamoru kiedykolwiek tu wrócą. Dlatego nie wydaje mi się by mogli wywrzeć jakiś negatywny wpływ na...

– Nie dostrzegasz prawdziwej natury problemu – odparła smutno Tomiko.

– Co ma pani na myśli?

– Wiesz, ile wynosi populacja japońskiego archipelagu – zapytała, przerywając głaskanie kota.

Jej pytanie trochę zbiło mnie z tropu.

– Nie za bardzo... – odpowiedziałam.

– W przeszłości to była pierwsza rzecz, jakiej uczono na lekcjach geografii. Teraz nawet tak podstawowa wiedza jest traktowana jak bardzo poufne informacje... Obecnie, szacunkowa liczba ludności wszystkich dziewięciu dystryktów wynosi od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy.

– Aż tyle? – zdumiałam się.

– W czasach starożytnej cywilizacji byłaby to zadziwiająco mała liczba. Tysiąc lat temu w samej tylko Japonii mieszkało ponad sto milionów ludzi.

Nie mogłam w to uwierzyć. „Sto milionów” było jednostką dobrą do liczenia rybich jajeczek, nie osób. Po pierwsze, zapewnienie wyżywienia tak ogromnej społeczności musiało być trudne. A jeśli wszyscy mieliby żyć w najbardziej dostępnych obszarach, panowałby taki ścisk, że nie dałoby się nawet oddychać.

– Starożytni posiadali coś, co zwało się bronią nuklearną, wiedziałaś o tym? Dzięki rozszczepianiu jąder radioaktywnych pierwiastków lub fuzji atomów deuteru jedna bomba miała taką siłę rażenia, że mogła zmieść całe miasto z powierzchni Ziemi.

– Całe miasto...?

Nie byłam w stanie wyobrazić sobie powodu, dla którego ktoś miałby potrzebować broni takiego typu. Nawet przyjmując, że chciano by z jej pomocą zdobyć całą górę Fuji, zniszczenie strzegącego ją miasta całkowicie odebrałoby sens zwycięstwa.

– Posiadanie takiej broni było niezwykle stresujące. Państwa prześcigały się w ilości i złożoności bomb... Przypuszczalnie jednak sytuacja, z którą musimy mierzyć się obecnie jest jeszcze gorsza od tamtej.

– Nie rozumiem. To znaczy, tamte bronie już nie istnieją, prawda?

– Prawda. Teraz świat naszpikowany jest czymś, czego potencjał jest o wiele bardziej przerażający.

– Czym?

– Ludźmi.

Tomiko pogładziła szyję kota w pomarańczowe paski. Jego mruczenie przetoczyło się jak grzmot przez podłogowe deski.

– Przypomnij sobie naszą wcześniejszą rozmowę. Jedna Bestia może bez trudności zniszczyć cały dystrykt. Ponadto, w przeciwieństwie do bomb jądrowych zabija tak długo, jak sama

pozostaje przy życiu... Jeśli zaś chodzi o karmiczne demony, mentalna niestabilność jednego z nich może oznaczać koniec całej planety.

– Ale to są wyjątkowe przypadki, więc jeśli odpowiednio się przed nimi ochronimy, to...

– Nie, to nie działa w taki sposób. Za bardzo skupiasz się na procesach, które mogą doprowadzić do wymknięcia się cantusu spod kontroli. Prawdziwym zagrożeniem jest jego Nielimitowana energia. Obecnie na archipelagu Japonii żyje pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Musisz sobie wyobrazić, że każdy z nich dysponuje niszczycielskim potencjałem większym niż bomba atomowa... Jak więc zachowasz się wiedząc, że dwie takie bomby gdzieś zaginęły?

Dwukrotnie większy od lwa kot o futrze w cętki przypominające skorupę żółwia wstał i się przeciągnął. Ziewnął, ukazując długie, wykrzywione jak szable kły. Parkiet skrzypiał pod ciężarem oddalającego się pomału zwierzęcia, które nie zwróciło na mnie najmniejszej uwagi.

Sklamałabym mówiąc, że słowa Tomiko mnie nie zszokowały. Nigdy nie patrzyłam na ludzkość z takiej perspektywy. Taki właśnie był najprawdopodobniej tok myślenia osób sprawujących władzę – by zawsze być przygotowanym na najgorsze. Wtedy jednak pomyślałam, że to tylko paranoiczne obawy starszej kobiety.

– Przyrowadź ich z powrotem – powiedziała Tomiko. – Jeśli chcesz, żeby przeżyli, musisz ich tu ściągnąć. Mogę ręczyć za ich bezpieczeństwo. Jeżeli będą się dalej ukrywać, nie pożyją długo.

– Dlaczego?

– Rada Edukacji podejmie wszelkie możliwe działania, żeby się ich pozbyć. Wszystkim okolicznym koloniom dziwoszczurów zostanie wydany rozkaz ich zabicia. Na tym jednak się nie skończy. Każdy z sąsiednich dystryktów, do których mogą zawędrować, jak Shiroishi 71 w Tohoku, Tainai 84 w Hokuriku czy Koumi 95 w Chuubu, otrzyma list z prośbą o pomoc w ich wyeliminowaniu.

Wszystkie z nich mają opracowane własne metody zwalczania podobnych zagrożeń. Oczywiście, jedynie do obrony.

– To okrutne!

– Masz rację, więc przyprowadź ich do domu zanim do tego dojdzie. Daję ci trzy doby. Mogę opóźnić działania Rady Edukacji o taki czas. Musisz ich odszukać i odprowadzić do wioski, nawet jeśli miałabyś być zmuszona ich związać i ciągnąć za sobą przez całą drogę. Nie martw się jednak. Jestem pewna że sobie poradzisz.

Wyprostowałam się i wzięłam głęboki wdech. Nie było czasu na wahanie. Podjęłam już decyzję.

– Rozumiem. Wyruszę natychmiast.

– Powodzenia.

Wstałam, ukloniłam się i ruszyłam w stronę wyjścia. Mój wzrok padł na kota w czarno-szare pasy. Miał przymknięte oczy i kołysał nieznacznie ogonem na boki. Zdawało się, że chce się ze mną pożegnać, ale wyraz jego pyska przywodził na myśl dachowca, który zaraz rzuci się na śledzonego ptaka.

– Stałabym się ofiarą tych kotów, gdyby się pani nie zjawiała, prawda? – Stojąc już w drzwiach odwróciłam się i spojrzałam z wdzięcznością na Tomiko.

– Nie jestem tego taka pewna – uśmiechnęła się nieznacznie.

Nagle przyszło mi na myśl kolejne pytanie.

– Ale jak to możliwe, że jest pani tak... wpływowa?

Tomiko milczała przez dłuższą chwilę. Kiedy już zaczęłam się martwić, że spytałam się o coś niestosownego, wstała i podeszła do mnie.

– Odprowadzę cię do przystani. Później powiem twoim rodzicom, dokąd się udałaś.

– Dziękuję.

Opuściłyśmy razem siedzibę Rady Edukacji, jak wnuczka towarzysząca babci na spacerze. Nadal lekko prószyło a malutkie płatki śniegu wirowały wokół nas. Przez białą mgiełkę swojego

oddechu spojrzałam raz jeszcze na ten upiorny budynek. To, że wyszłam z niego żywa, było niemałym cudem.

– Jeśli chodzi o twoje wcześniejsze pytanie... – zaczęła Tomiko, wyciągając w górę ręce, żeby złapać trochę śniegu. Zauważyłam wtedy, że wydają się one zaskakująco wręcz młode. Na nadgarstkach nie było zmarszczek, przez skórę nie prześwitywały żadne żyłki. Płatki śniegi roztopiały się na dłoni Tomiko.

– Wydaje mi się, że to dobra okazja, żeby powiedzieć ci o kilku rzeczach – kontynuowała.

Przełknęłam ślinę i z niecierpliwością czekałam na dalszy ciąg.

– To prawda, że mam w dystrykcie dużą władzę. Prawdopodobnie mogłabym nawet zostać dyktatorem lub monarchą absolutnym gdybym miała takie życzenie.

Nie wydawało mi się, że przesadza. W końcu przywołała do porządku straszliwą Radę Edukacji jak grupkę niesfornych dzieci.

– Czy wiesz, co jest źródłem potęgi? Nie nauczono cię zbyt wiele o historii ludzkości, więc to może być trudne pytanie. W przeszłości, w celu zdobycia władzy wykorzystywano przemoc, strach, bogactwo, religijne pranie mózgu i podobne okropieństwa. Ja nie użyłam żadnej z tych rzeczy. Wszystkim, co miałam po swojej stronie był... czas.

– Czas? Nie rozumiem.

– Tak. Nie ma we mnie niczego wyjątkowego, ale miałam dużo czasu.

Dotarliśmy do przystani. Była już tam łódź, którą kazała przygotować dla mnie Tomiko. Zastanawiałam się, kiedy zdążyła wydać taki rozkaz. Dzięki klinowatemu kształtowi była przystosowana do szybkiej podróży, a na jej pokładzie leżała para nart, takich samych jak użyłam kilka dni temu.

– Saki, jak myślisz, ile mam lat?

To było trudne pytanie. Byłabym niegrzeczna, gdybym przeszacowała jej wiek, jednak i tak pewnie nie byłabym w stanie

domyślić się prawidłowej liczby, więc odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Jakież sześćdziesiąt... siedem?

– Dobry strzał, jestem zdumiona... Udało ci się prawidłowo odgadnąć dwie ostatnie cyfry. – Na twarzy Tomiko pojawił się uśmiech. – Mam dwieście sześćdziesiąt siedem lat.

– To niemożliwe – zaśmiałam się, biorąc jej słowa za żart.

Wyraz jej twarzy pozostał jednak niezmienny.

– Incydent z Bestią, kiedy byłam jeszcze pielęgniarką, miał miejsce dwieście czterdzieści pięć lat temu. Od stu siedemdziesięciu lat piastuję natomiast urząd przewodniczącej Komisji Etyki.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– A-ale jak pani...? – Nie byłam w stanie nawet dokończyć pytania.

– Jak to możliwe, że żyję tak długo? Dlaczego wyglądam tak młodo? Och, proszę, nie patrz na mnie jak na ducha.

Pokręciłam głową.

– Jeśli chodzi o używanie cantusu, moje oceny były do bólu przeciętne. W dzisiejszej Akademii Mędrców mogłabym nawet mieć problemy z niektórymi ćwiczeniami dla drugich klas. Potrafię jednak coś, czego nie opanował nawet Shisei. Mogę regenerować swoje telomery. Wiesz, czym one są?

– Nie.

– Rozumiem. Czyli nawet ta wiedza jest zakazana. Telomery to końcowe fragmenty naszych chromosomów. Za każdym razem gdy komórka się dzieli, jej telomery odrobinę się skracają, ponieważ nie mogą w pełni się odbudować. Kiedy zużyją się do końca, komórka traci zdolność podziału i jej śmierć staje się nieunikniona. Dlatego właśnie wielkość telomerów przenosi się bezpośrednio na długość życia. W podobny sposób czas płonienia świecy zależy od długości jej knota.

Ponieważ moja wiedza z biologii ograniczała się do tego, czego dowiedziałam się na kilku lekcjach, nie zrozumiałam w pełni tego, co

powiedziała Tomiko. Obraz, który nakreśliła był jednak wystarczająco jasny. Podwójna helisa DNA dzieli się, żeby mogło dojść do powstania nowej komórki. Za każdym razem jej nici ulegają skróceniu na końcach. Gdyby dało się przywrócić tym fragmentom ich początkową długość, wieczne życie stałoby się realną możliwością.

– Dlatego też – ciągnęła, rozbawiona – mimo, że Satoru jest ze mną spokrewniony, nie jest moim wnukiem. Nadal pamiętam narodziny mojego pierwszego wnuka, dwieście dziesięć lat temu. Muszę przyznać, że to powiedzenie, które mówi, że wnuki są piękniejsze od jakichkolwiek innych dzieci, jest całkowitą prawdą. Nie potrafię myśleć o nich inaczej jak o małych aniołkach. To odczucie nie przechodzi jednak na prawnuki i praprawnuki. Satoru dzieli ode mnie dziewięć pokoleń, więc posiada on zaledwie jedną pięćsetdwunastą moich genów. Nie chcę powiedzieć, że go nie kocham, ale nie mam poczucia, że jesteśmy spokrewnieni.

Skoro tak przedstawiała się sytuacja, możliwe, że mimo, iż Satoru zwracał się do Tomiko per babciu, sam nie do końca wierzył w taki stopień pokrewieństwa. Dodatkowo obydwie jego prawdziwe babcie najprawdopodobniej nadal żyły, co czyniło sytuację jeszcze dziwniejszą.

– Powiem ci o wszystkim kiedy wrócisz – dodała.

Zanim odplynęłam powiedziała mi coś, co miało być prezentem pożegnalnym.

– Kiedy wrócisz, przygotuję dla ciebie nowe zadanie; musisz być znudzona zajęciami w Akademii Mędrców.

– Ja... Naprawianie rozbitej wazy może być całkiem przydatne.

– W rzeczy samej. Podzielę się jednak z tobą małą tajemnicą. Mentalny obraz, który trzeba sobie wyobrazić, żeby zregenerować telomery przypomina nieco ten niezbędny do zreperowania wazonu.

Kiedy przypomnę sobie, jaka byłam wtedy naiwna, oblewa mnie zimny pot. Dla kogoś z taką wiedzą osiągnięcie dowolnego celu lub spełnienie każdej zachcianki byłoby równie łatwe jak odebranie dziecku cukierka (całkiem niedawno natknęłam się na tę metaforę

w jednej ze starożytnych ksiąg i uważam, że jest ona naprawdę okropna. Czy ludzie kiedyś naprawdę robili coś takiego?).

W każdym razie, odbiłam od brzegu pełna energii. Moje czternastoletnie ciało było po czubek głowy wypełnione przeświadczeniem, że odnajdę Marię i Mamoru i bezpiecznie sprowadzę ich do domu.

Oczywiście uratowanie moich przyjaciół było najważniejszą kwestią, jednak nie mogę zaprzeczyć, że czułam płynącą z głębi umysłu ekscytację spowodowaną tym, że okazałam się wybrańcem.

Kiedy teraz o tym pomyślę, odkąd dowiedziałam się, że zostałam namaszczona na następczynię obecnej przywódczyni, najprawdopodobniej nieświadomie zaczęłam zbyt wczuwać się w rolę.

Na początku, podniecona tą informacją, próbowałam płynąć tak szybko jak się da. Po chwili kłujący wiatr ostudził jednak mój zapal. Samotne podróżowanie było niebezpieczne; Mamoru był tego dobitnym przykładem. Jeśli Squonk by go nie uratował, z pewnością byłby teraz martwy.

Zatrzymałam łódź. Potrzebowałam towarzysza. Nie wiedziałam jeszcze jak to zrobić, ale musiałam odnaleźć Satoru. Zastanawiałam się, gdzie on może teraz być. Wiedziałam, że po swoim powrocie został przesłuchany przez Radę Edukacji i prawdopodobnie skończyło się to dla niego dobrze tylko dzięki obecności Tomiko.

Żałowałam, że wyruszyłam w takim pośpiechu. Powinnam była poprosić Tomiko, żeby pozwoliła mi zabrać ze sobą Satoru. Zachodziłam w głowę czy nie byłoby warto wrócić do wioski. Coś jednak sprawiło, że się zawahałam.

Śnieg rozpadał się na dobre. Płatki topiły się w zetknięciu z wodą kanału. Ten widok coś mi przypominał.

Oczy Tomiko. Były ciemne i przepastne, tak jakby znała wszystkie tajemnice czasu...

Ostatecznie zdecydowałam się cofnąć, jednak kiedy miałam już zawrócić kajak, od strony wioski nadpłynęła inna łódka. W śnieżycy

ciężko było dostrzec sylwetkę osoby, która gnała mi na spotkanie, ale domyśliłam się, że musi używać takiej samej szybkiej łodzi jak moja.

– Hej – krzyknął siedzący w niej chłopak, machając w moją stronę, jakby chciał się upewnić, że z nikim mnie nie pomylił. To był Satoru.

– Tutaj! – odkrzyknęłam.

– Saki! Dzięki niebiosom, zdołałem cię doścignąć – wydyszał. – Obawiałem się, że będę musiał cię szukać w tej zamieci.

– Dlaczego? Nie byłeś przesłuchiwany przez Radę Edukacji?

– Byłem, wczorajszej nocy. Przesłuchiwała mnie ta okropna Hiromi Torigai. Już za pierwszym razem czułem, że nie jest dobrze, ale dziś znów mnie wezwali, więc praktycznie przygotowałem się na śmierć.

– Całe szczęście, że była tam twoja babcia.

Satoru prawdopodobnie nie był jeszcze świadomy prawdziwych relacji łączących go z Tomiko.

– Tak... Naprawdę ocaliła mi skórę. Musiałem jednak przesiedzieć cały poranek w jakimś malutkim pokoiku. Kiedy w końcu do mnie przyszła i powiedziała, że jestem wolny, kazała mi natychmiast wyruszyć za tobą. Nie miałem pojęcia, co się właściwie dzieje, więc byłem bardzo zaskoczony.

– Ale wiesz, co mamy zrobić, prawda?

– Musimy sprowadzić do domu Marię i Mamoru, zgadza się?

To było wszystko, co musiał wiedzieć.

W przeciwieństwie do poprzedniego razu, teraz wiedzieliśmy dokładnie gdzie znajduje się lodowa chatka Mamoru, więc podpłynęliśmy kanałem tak blisko, jak było to możliwe. Przebyliśmy całą drogę do obrzeży Dębowego Gaju, a następnie, wykorzystując dołączone do łódek narty, przetransportowaliśmy je przez dwustumetrowy pas lądu, który dzielił nas od rzeki. Wpadliśmy na kilka wystających skał, które z pewnością dość mocno podrapały dna kajaków, ale nie było czasu się tym przejmować. Gdy znaleźliśmy się w końcu na wodzie Tone, poczuliśmy dużą ulgę. Popłynęliśmy

jeszcze dwa kilometry w górę rzeki, gdzie ponownie dobiliśmy do brzegu.

Przywiązaliśmy łódzie do pobliskich głazów, nie chcąc, żeby odpłynęły podczas naszej nieobecności. Dopiero wtedy dostrzegłam wypalony na burcie symbol Boskiego Oka, któremu towarzyszył czerwony numer i zapisane w sanskrycie słowo. Pierwszy raz zetknęłam się wtedy z wyrazem „Ban”, symbolizującym Wajroczanę.¹ Te łódki najprawdopodobniej były własnością Komisji Etyki i z pewnością nigdy wcześniej nie obchodzono się z nimi tak brutalnie.

Założyliśmy narty i zarzuciliśmy plecaki.

– Ruszajmy.

Niedawno minęło południe, ale zaciągające się powoli chmurami niebo dawało fałszywe wrażenie, że słońce zajdzie lada chwila. Nadal padało, a lodowaty wiatr smagał naszą skórę jak bicz.

Zaczęliśmy wjeżdżać na strome zbocze, jakbyśmy podciągali się na niewidzialnej linie, wzbijając za sobą śnieżny tuman.

¹ Wajroczana (z sanskrytu - Wszechoświecający), w buddyzmie mahajana - najważniejszy z tzw. Buddów medytacyjnych, personifikacja Wszechprzenikającej Mądrości.

Rozdział 5

Mówiąc szczerze, jestem kompletnie pozbawiona wycucia kierunku.

Przypomniałam sobie, że gdy jakiś czas temu wędrowaliśmy z Satoru przez tunele dziwoszczurów, stwierdziłam, że nie najlepiej idzie mi zapamiętywanie sekwencji zakrętów i skrzyżowań. Tak naprawdę jest ze mną jeszcze gorzej. Smutna prawda jest taka, że gdyby nie stojące przy brzegach kanałów drogowaskazy, zgubiłabym się nawet we własnej wiosce.

– Hmm, czy na pewno idziemy w dobrą stronę?

Umiejętność orientacji w terenie Satoru, w przeciwieństwie do mojej, była wyśmienita, jak u gołębia pocztowego. Ponieważ szliśmy inną drogą niż poprzednio, nawet on musiał jednak co jakiś czas stawać i upewniać się, że nie zboczyliśmy z właściwej trasy.

– Wydaje mi się, że tak – odparłam.

Oczywiście nie miałam pojęcia, gdzie tak naprawdę jesteśmy, ale nie mogłam się do tego przyznać. Moja odpowiedź najwyraźniej rozżłościła Satoru.

– Nawet nie próbujesz udawać, że to cię obchodzi, prawda, Saki?

– Wcale nie.

– Więc jesteś pewna, że dobrze idziemy?

– Już ci mówiłam, że chyba tak.

Satoru pokręcił z niedowierzaniem głową i wymamrotał coś pod nosem, nie przerywając wspinaczki. Poszłam po jego śladach.

Podchodziłam do naszej misji z dużym optymizmem. Byłam przekonana, że gdy tylko dotrzemy do śnieżnej chatki Marii, osiągniemy już połowiczny sukces. Poza tym, fakt, że udało mi się połączyć siły z Satoru również był pokrzepiający.

– He? Wydaje mi się, że już tędy przechodziliśmy.

Kiedy zmierzając na szczyt ośnieżonego wzgórza, wyszliśmy z porastającego je bambusowego lasu, naszym oczom ukazał się znajomy widok.

– To nie tutaj? Przecież poprzednio zostawiliśmy w śniegu odciski nart.

Satoru obrzucił zawiedzionym wzrokiem sypki śnieg, który zalegał wszędzie wkoło. Przez ten jeden dzień napadało go wystarczająco dużo, żeby zupełnie przykrył nasze ślady.

– Nie, jesteśmy w dobrym miejscu. Jestem pewna!

Byłam przekonana, że się nie mylę.

– Czemu tak twierdzisz? – spytał powoli.

– Bo pamiętam tę okolicę.

– Naprawdę? Przecież zupełnie nie kojarzyłaś drogi, którą tu doszliśmy.

– No cóż, to była inna ścieżka... – Nie chciałam się przyznawać do swojej niepewności, więc musiałam przekonać Satoru, że jestem stuprocentowo pewna swojej racji. – Pamiętam to miejsce. Na przykład tamte drzewa. Widzisz? – spytałam, wskazując na rosnące nieopodal jarzębiny. – W tej okolicy są dość rzadkim widokiem, prawda? Dlatego je zapamiętałam.

– Jesteś pewna? – spytał Satoru z powątpiewaniem.

– Kojarzę też tamtą skałę. Wygląda jak zwinięty wąż, więc łatwo ją rozpoznać.

– Mi bardziej przypomina stertę gówna – burknął Satoru, lecz mimo to najwyraźniej mi uwierzył. – Skoro to dobra droga, musimy być już blisko celu.

Zaczęliśmy iść w poprzek zbocza. Nawet bez żadnych śladów, których moglibyśmy się trzymać, zaczęłam pomału rozpoznawać otoczenie. Podekscytowani tym, że udało nam się odnaleźć właściwą ścieżkę, przyśpieszyliśmy kroku.

Wzgórze stało się bardziej strome. Byliśmy już naprawdę wysoko i oglądana z góry dolina wydawała się leżeć na dnie

kolosalnej przepaści. Padający śnieg ograniczał widoczność, zmuszając nas do zmniejszenia tempa.

– Gdzie jest tamta płaska skała, na której zatrzymały się sanki Mamoru? – zapytał Satoru.

– Nie mam pojęcia. Nic nie widzę w tej zamieci – odparłam szczerze.

Na wzgórzu nie było żadnego charakterystycznego punktu, a padający śnieg sprawił, że wszystko wyglądało trochę inaczej niż poprzednio. Jeśli już mowa o śniegu, nie był to typowy, sypki puch a raczej mokra, biała breja, która przylepiała się do wszystkiego na co spadała.

Zatrzymaliśmy się.

– Niebezpiecznie jest iść dalej przy takiej pogodzie. Sami możemy skończyć na dnie jakiejś dziury – zauważył Satoru, pocierając o siebie swoje skostniałe palce.

– Jeśli będziemy szli powoli, nic nie powinno nam się stać.

– Ale to zajmie zbyt dużo czasu. Poza tym, jeśli mamy stąd spaść to stanie się tak niezależnie od naszego tempa.

Spojrzeliliśmy na siebie nawzajem. Każde z nas myślało, że druga osoba ma w zanadrzu jakiś sekretny plan, ale oczywiście to nie mogło być takie proste. Co gorsza, śnieżycą cały czas przybierała na sile i zerwał się porywisty wiatr. Nagie wzgórze nie zapewniało żadnej osłony i szybko uświadomiliśmy sobie, jak jest zimno. Jazda pod górę, nawet wspomagana cantusem, pozwalała utrzymać odpowiednią ciepłotę ciała. Duża utrata energii połączona z faktem, że od rana niczego nie zjadłam sprawiła, że zaczęło mi się kręcić w głowie.

– Najważniejsze jest, żebyśmy unikali skał, prawda? Nawet jeśli nie pójdziemy dokładnie tą samą trasą co wczoraj, powinniśmy być w stanie odszukać dalszą drogę.

Nadal pamiętałam wyraźnie wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę, ukrytą w zaroślach gdzieś w wyższych partiach wzniesienia.

– Masz rację, ale jak chcesz to zrobić?

– Może oczyścimy drogę cantusem?

– No jasne... Tak, to może zadziałać.

Zastanawiam się czy zmęczenie i niepokój mogło wpłynąć na naszą zdolność oceny sytuacji. Tamten plan był równie brawurowy jak pomysł Mamoru, żeby wjechać na strome wzgórze na dziecięcych sankach. Wyczyściliśmy fragment drogi przed nami, tworząc mentalny obraz olbrzymiej szuflki. Wyżłobiona w śniegu trasa wyglądała znacznie bardziej zachęcająco od oblodzonego urwiska, którym do tej pory szliśmy.

– W porządku, ruszajmy dalej!

Poszliśmy gęsiego wąską ścieżką. Uprzątnięty odcinek miał zaledwie jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów długości, więc już po kilku krokach musieliśmy zatrzymać się, żeby odgarnąć więcej śniegu.

Wtedy usłyszeliśmy złowrogi, skrzypiący dźwięk.

– Niech to szlag! Lawina!

Wmurowało nas w ziemię. Gdy teraz o tym pomyślę, wyrąbaliśmy poziomą alejkę w poprzek stromej góry. Obsunięcie się śniegu nie było niczym dziwnym.

– Nadciąga!

– Rozdziel jej czoło!

Przekrzykiwaliśmy się wzajemnie. Przerazająca biała fala, pędziła w naszą stronę z zamiarem pogrzebania nas żywcem, lecz tuż nad naszymi głowami została rozbita na dwie połowy przez parę niewidzialnych klinów. Śnieg potoczył się w dół, opadając w dolinę błyszczącą chmurą.

Nie trwało to dłużej niż minutę, ale mieliśmy wrażenie, że upłynęła cała wieczność.

Lawina minęła nas zanim zdążyliśmy się zorientować. Większa część pokrywającego górę śniegu została zmieciona; pozostałe wysepki białego puchu co jakiś czas obsuwały się i ześlizgiwały po zboczu niewielkimi strużkami.

– Nic ci nie jest, Saki?

– Nie. A tobie?

– Ze mną wszystko w porządku.

Oboje wyobraziliśmy sobie dwuspadowy dach. Rozdzielenie pędzących na nas mas śniegu było lepszym rozwiązaniem niż próba siłowego zatrzymania lawiny. Na szczęście działanie naszych cantusów nie nałożyło się na siebie, więc wyszliśmy z tego bez szwanku. Mimo to potrzebowaliśmy dłuższej chwili, żeby się uspokoić i przestać trząść z przerażenia.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni... Jakie to cholernie prawdziwe. Spójrz – wskazał na czubek wzgórza.

Teraz, kiedy cały świeży śnieg zsunął się w dół, na wzgórzu pozostała jedynie wczorajsza, silnie zmrożona warstwa. Gdybyśmy celowo wywołali lawinę zanim jeszcze zaczęliśmy się wspinać, nasza wędrownia byłaby znacznie łatwiejsza. Nie było jednak sensu roztrząsać przeszłości.

Już po kilku chwilach odnaleźliśmy miejsce ukrycia sanek Mamoru a także, nieco wyżej, krzaki przy których zaczynała się wydeptana przez zwierzęta ścieżka.

– Już prawie jesteśmy.

Nie było żadnych śladów, wzdłuż których moglibyśmy pójść, ale Satoru dobrze wiedział, w którą stronę musimy się udać. Na myśl o ponownym spotkaniu z Marią, bezwiednie przyspieszyłam.

– Co jest? – Satoru stanął bez ostrzeżenia, przez co prawie na niego wpadłam.

– Nie zatrzymuj się tak gwałtownie!

– Nie widzę śniegowych chatek.

– Niemożliwe...

Rozejrzałam się po rzadkim lesie. Wydawało mi się, że jesteśmy w dobrym miejscu, ale nie miałam całkowitej pewności. To mogło być jeszcze kawałek dalej...

Mój wzrok padł na dwie wysokie sosny, stojące trzydzieści metrów przed nami.

– Tam! Były między tamtymi drzewami.

Uważnie przeszukaliśmy całą okolicę. Nie było śladu po kryjówce, ale coś przykuło moją uwagę. To były kupki śniegu, tkwiące wysoko na pniu.

– Ktoś zniszczył chatkę i wyrównał śnieg. – Satoru potarł podbródek, co oznaczało, że intensywnie myśli. – Dziwoszczur nie mógłby tego zrobić. Tu było tak wiele śniegu, że nie dałby rady go zgarnąć i rozrzucić po okolicy. Musiała to zrobić Maria lub Mamoru, wykorzystując cantus.

Poczułam lekką ulgę. Wiedziałam przynajmniej, że wszystko było z nimi w porządku, kiedy opuszczali to miejsce.

– Ale którądy poszli? – spytałam, ponownie rozglądając się dokoła. Nigdzie nie było widać śladów stóp ani sanek.

– Nie mam pojęcia. Wygląda na to, że upewnili się, że nikt nie zdoła ich wyśledzić.

– Myślisz, że zadali sobie trud by zatrzeć wszystkie ślady?

– Prawdopodobnie zostawili to dziwoszczurowi. Maria potrafi całkiem dobrze latać, nawet niosąc Mamoru.

Zaniemówiłam. Myślałam, że kiedy już tu dotrzemy, wszystko będzie dobrze. Uświadomiłam sobie wtedy, jak koszmarnie byłam naiwna.

– A może wrócili do domu? – spytałam z nadzieją.

– Gdyby tak było, nie musieliby zacierać śladów – Satoru szybko pozbawił mnie złudzeń.

Dokąd mogli pójść? Byłam bliska łez, ale zdołałam powstrzymać się od płaczu, bo nie chciałam okazać słabości przed Satoru.

– Musimy ich poszukać – powiedziałam, boleśnie świadoma tego, że nie mamy żadnego planu.

– Wiem, ale najpierw powinniśmy trochę odpocząć. Rozpalmy ognisko i przygotujmy obiad. Robienie czegokolwiek, umierając z głodu jest nienajlepszym pomysłem. – Satoru odgarnął śnieg z leżącej nieopodal kłody i otworzył swój plecak. Usiadłam obok niego, nieznacznie podniesiona na duchu.

Powrót do kajaków po naszych własnych śladach był olbrzymią stratą energii. Nie mogłam jednak narzekać. Nie zostało dużo czasu.

W miarę, jak schowane za chmurami słońce wędrowało na zachód, stawało się coraz ciemniej. Prawdopodobnie minęła już trzecia po południu. Śnieg właściwie przestał padać; jedynie od czasu do czasu na niebie pojawiał się pojedynczy płatek.

Nasze ślizgacze pruły przez ciemnoszarą wodę rzeki.

Przez ostatnie dwa lata nasze umiejętności sternicze znacznie wzrosły. Dzięki temu, a także dzięki konstrukcji łódek, zaprojektowanych specjalnie do szybkiej żeglugi, mogliśmy rozwinąć zawrotną prędkość. W pewnym momencie z pewnością przedostaliśmy się poza Świętą Barierę; ponieważ jednak lina nie rozciągała się nad wodą, nie zdołaliśmy wychwycić tej konkretnej chwili.

Nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie znajduje się punkt, w którym zamierzaliśmy dobić do brzegu, jednak bazując na zdolnościach orientacji Satoru udało nam się dostać mniej więcej tam, gdzie zamierzaliśmy. Łodzie były wyposażone w mapy, jednak nie mieliśmy czasu na ich przestudiowanie, więc skupiliśmy się na jak najszybszym dotarciu do celu.

– Myślę, że to dobre miejsce – krzyknął do mnie Satoru, wyhamowując łódkę.

– Schodzimy na ląd? – spytałam.

Satoru wskazywał na szeroką plażę, na północ od której rozciągała się ośnieżona równina. To była całkiem dobra lokalizacja na rozpoczęcie poszukiwań.

Zacumowaliśmy kajaki i zeszliśmy na brzeg. Przez całą drogę korzystaliśmy z cantusu, więc miałam wrażenie, że zaraz wyparuje mi mózg. Bardzo chciałam się zatrzymać i trochę odpocząć, ale nie było na to czasu. Założyliśmy narty i bezzwłocznie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Wspięliśmy się na wzniesienie, szybko docierając na jego szczyt, skąd zjechaliśmy łagodnym stokiem, pozwalając grawitacji

pchać nas w dół. Gdy dojechaliśmy do podnóża pagórka, pomknęliśmy naprzód, korzystając jedynie z siły naszych mięśni.

Po kilku minutach ból głowy zelżał, ale wytężony wysiłek fizyczny sprawił, że zaczęłam mieć problemy z oddychaniem. Dyszałam i sapałam, desperacko próbując zaczerpnąć jak najwięcej powietrza.

– Poczekaj... chwilę... – zdołałam z siebie wyrzucić, zatrzymując się.

Satoru zawrócił i cofnął się w moją stronę. – Wszystko z tobą w porządku? – zapytał.

– Tak... Po prostu potrzebuję chwili wytchnienia.

Osunęłam się na sypki śnieg i poczekałam, aż mój oddech się ustabilizuje. Chłodny wiatr dmuchał przyjemnie na rozgrzaną twarz, ale oziębiony pot stał się lepki i nieprzyjemny. Obłoczki pary uniosły się znad mojego ciała, gdy wysuszyłam go za pomocą cantusu.

– Postaraj się nie odwodnić – powiedział Satoru, nalewając mi do kubka herbatę ze swojego termosu.

– Dzięki – odparłam. Kiedy piłam, spojrzałam na Satoru. Po raz pierwszy dostrzegłam jaki jest uczynny i odpowiedzialny.

– Na co tak patrzysz?

– Tak tylko sobie pomyślałam, że jesteś bardzo miły.

Satoru gwałtownie się odwrócił.

– Hej, myślisz, że ich odnajdziemy?

– Na pewno – odparł z przekonaniem, odwzajemniając moje spojrzenie. – To nasza jedyna szansa, żeby ich uratować, racja?

– Tak.

– I właśnie dlatego zaszliśmy aż tutaj i... Hej, co się dzieje?

Zamarłam z kubkiem uniesionym do ust.

– Nie odwracaj się. Około stu metrów za tobą... Coś stoi na wzgórzu.

– Co to jest?

– Wydaje mi się, że dziwoszczur.

Widziałam jedynie szary cień, więc nie miałam pewności. To z pewnością nie był niedźwiedź ani małpa, ale sylwetka była zbyt niska na ludzką. Nie przychodziło mi na myśl żadne inne stworzenie tego wzrostu, które mogłoby żyć w okolicy.

Satoru zrobił użytek ze swojego specjalnego talentu i stworzył w powietrzu lewitujące lustro o powierzchni jakichś trzydziestu centymetrów kwadratowych a następnie ostrożnie wycelował je w kierunku znajdującego się za nim pagórka.

– Widzę go – odparł cichym, niskim głosem.

– Możemy go złapać?

– Jest za daleko. Musimy się przybliżyć.

Niespodziewanie słońce wyłoniło się zza chmur a jeden z promieni odbił się od lustra. Cień natychmiast zniknął.

– Zauważył nas – westchnął rozgoryczony Satoru.

– Musimy go schwytać!

Pomknęliśmy przez śnieg. Dzięki krótkiej przerwie wystarczająco zregenerowałam siły, przynajmniej na razie. Z pewnością nie dalibyśmy rady złapać dziwoszczura, gdybyśmy poruszali się tak nieśpiesznie jak dotychczas. Wspomagając się cantusem, żeby napędzić narty, pobiegliśmy najszybciej, jak się dało.

W mgnieniu oka przemierzyliśmy otwartą polanę i zaczęliśmy wspinać się na wzniesienie.

– Z jakiej on jest kolonii?

– Kto wie? Ale to chyba nie Squonk, prawda?

Dotarliśmy na szczyt, lecz po dziwoszczurze nie było ani widu ani słychu. Nie mógł uciec dalej w tak krótkim czasie. Pospiesznie przeszukaliśmy ziemię w poszukiwaniu śladów.

– Tam!

Na drugim końcu pagórka widniały odcisnięte w śniegu odciski łap.

– Tędy! – zarządziłam i bezzwłocznie ruszyłam wzdłuż nich.

– Stój! – wrzasnął Satoru.

– Co? – spytałam, odwracając się. W tym samym momencie poczułam, jak tracę grunt pod stopami. Zdawało mi się, że pomału opadam, przebijając się przez śnieg.

Głos Satoru dochodził z bardzo, bardzo daleka.

Wszystko okryła ciemność.

Otworzyłam oczy. Nade mną znajdowało się plecione, bambusowe sklepienie. Służący za źródło światła papierowy lampion rzucał na sufit migotliwy cień. Znajdowałam się w niewielkim pomieszczeniu, leżąc na cienkim futonie. Obok mnie, na niewielkim palenisku płonął ogień, nad którym zwisał czajnik pełen bulgoczącej wody.

– Saki.

Głos Satoru. Odwróciłam się w jego stronę.

– Co się stało?

Satoru uśmiechnął się; najwyraźniej znaczyło to, że poczuł dużą ulgę. – Weszłaś na nawis śnieżny – odparł.

– Na co?

– Na nawis. To śnieg nagromadzony w pobliżu skalnego urwiska. Z góry wygląda jak normalne podłoże, ale tak naprawdę pod spodem niczego nie ma, więc gdy się na niego nastąpi, wpada się w przepaść.

– Spadłam aż na sam dół?

– Nie, zdołałem cię zatrzymać, zanim uderzyłaś o ziemię, więc chyba nie odniosłaś żadnych obrażeń. Mimo to martwiłem się, bo się nie budziłaś.

Poruszyłam lekko nogami i rękami. Zdawało się, że wszystko z nimi w porządku. Szok, który przeżyłam, sprawił, że czułam się strasznie zmęczona. Chciałam jedynie się przespać.

– Co to za miejsce?

– Zgadnij. Zaskoczę cię. Jesteśmy tam, gdzie chcieliśmy się dostać.

– Nie żartuj... Poważnie? To kolonia Łowików?

– Tak. Ta chatka nie jest zbyt duża, ale to tylko ich dom gościnny.

Satoru wyjaśnił, że dziwoszczur, którego ścigaliśmy był jednym z żołnierzy Łowików. Kiedy zobaczył, że spadam, szybko pognął złożyć raport dowództwu. Kolonia wysłała oddział ratunkowy, który mnie tu zaniósł.

– Czyli widziałeś się już ze Squealerem?

– Tak. Tyle, że ostatnio awansował i nosi teraz inne imię.

– Dzięki niebiosom, obudziłaś się – odezwał się ktoś stojący na zewnątrz pomieszczenia.

– Squealer!

Dziwoszczur, który wszedł do pokoju nie różnił się wyglądem od swoich pobratymców, jednak od razu poznałam jego głos. Dwa lata temu nosił podniszczoną zbroję, jednak teraz miał na sobie wygodną szatę z niedźwiedziego futra.

– Dawno się nie widzieliśmy, bogowie.

– W rzeczy samej. Dobrze ci się wiodło przez ten czas?

– Tak, dziękuję wam... Ostatni okres obfitował w szanse okazania bogom mojego oddania. Uhonorowano mnie poprzez nadanie mi najszlachetniejszego z imion – odparł, wypinając dumnie pierś.

– Co to za imię?

– Teraz jestem Yakomaru. Zapisuje się to znakami oznaczającymi „dzikiego lisa”.

Wyglądało na to, że Squealer... Yakomaru naprawdę awansował. Zważywszy, że był raczej strategiem aniżeli wojownikiem, zawarte w jego nowym imieniu słowo „lis” pasowało wręcz idealnie, kontrastując z „wilkiem”, będącym częścią przydomka Kiroumaru.

– W ciągu ostatnich dwóch lat kolonia Łowików nie szczędziła wysiłków, żeby się odbudować. Był moment, że nasze przetrwanie wisiało na włosku, jednak połączyliśmy się z kilkoma okolicznymi koloniami i teraz nasza liczebność sięga osiemnastu tysięcy

osobników. To wszystko było możliwe tylko dzięki boskiemu wstawiennictwu...

– Z przyjemnością posłuchamy później o życiu kolonii, ale teraz mamy sprawę niecierpiącą zwłoki – powiedział Satoru, przerywając już na samym początku coś, co zanosilo się na wyjątkowo długi wywód. – Potrzebna nam twoja pomoc.

– Ależ oczywiście – zgodził się Yakomaru zanim jeszcze zdążyliśmy wyjaśnić mu, o co chodzi. – Możecie liczyć na waszego sługę Yakomaru. Zawszę będę gotów położyć swoje życie na szali, żeby wspomóc dwoje bogów, którym jestem tyle dłużny...

Pomyślałam, że jest aż zbyt skwapliwy do pomocy, jednak tym razem takie zapewnienie było dokładnie tym, co chciałam usłyszeć.

– Gdzie znajduje się kolonia Trociniarek Czerwic? – spytałam, przechodząc prosto do sedna.

– Jakieś cztery lub pięć kilometrów na północny zachód stąd. Nie są stowarzyszeni z kolonią Olbrzymich Szerszeni i odmówili dołączenia do naszej koalicji... To jedna z kilku pozostałych niezależnych kolonii. – W jego oczach pojawił się dziwny błysk. – Jakież to sprawy mogą sprowadzać was do Trociniarek Czerwic?

Spojrzeliliśmy na siebie z Satoru. Potrzebowaliśmy pomocy Yakomaru, lecz oznaczało to, że, chcąc nie chcąc, musimy podzielić się z nim kilkoma informacjami.

– Szukamy naszych przyjaciół... – zaczął Satoru, próbując przedstawić naszą sytuację w taki sposób, by wyjawic jedynie tyle szczegółów, ile było konieczne.

– Rozumiem! Czyli najszybszą metodą będzie odnalezienie osobnika o imieniu Squonk. Jutro z samego rana wyruszymy w stronę kolonii Trociniarek Czerwic i...

– Wolelibyśmy wyruszyć teraz.

– Jestem świadomy waszej determinacji w tej kwestii, jednak nocna wędrówka ośnieżonymi ścieżkami jest niebezpieczna. Obawiam się także, że Trociniarki Czerwice mogłyby uznać nasze

nadejście za atak na swoją kolonię. Do wschodu zostały tylko cztery, może pięć godzin. Zalecałbym, żebyście zaczekali.

Byłam zdumiona faktem, że jest aż tak późno. Spojrzałam na Satoru, który skinął głową, zgadzając się na opóźnienie naszej wyprawy do poranka.

– Przygotowaliśmy dla was prosty posiłek. Nie jest specjalnie wystawny, ale mam nadzieję, że będzie wam smakował – powiedział Yakomaru. Na jego sygnał do pokoju weszły dwa dziwoszczury niosące lakierowane tace.

Przypomniał mi się ryżowy kleik, który jedliśmy przed dwoma laty w obozowisku Olbrzymich Szerszeni. Tym razem otrzymaliśmy rozgotowany ryż, zupę miso z łopianem, kolokazją i innymi ziołami, grillowaną rybę oraz bliżej niezidentyfikowane suszone jedzenie. Poza ostatnim, które okazało się pozbawione smaku i twarde jak stara podeszwa, posiłek był całkiem dobry.

Yakomaru został z nami, zarzucając nas pytaniami. Oczywiście było, że pod przykrywką uprzejmej rozmowy chce z nas wyciągnąć jak najwięcej informacji; trochę mnie to irytowało. Kiedy skończyliśmy się posilać, postanowiłam o coś go poprosić.

– Dwa lata temu także przybyliśmy tu w środku nocy, prawda?

– Tak, tak. Bardzo miłe wspominał tamten dzień. Jednak, żeby być dokładnym – to nie było tutaj.

– Wtedy złożyliśmy wizytę królowej, mimo, że było bardzo późno. Teraz też chciałabym się z nią przywitać.

Z jakiegoś powodu Yakomaru sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– Och... Oczywiście – powiedział. – Przypuszczam, że królowa teraz odpoczywa, ale mimo to możemy do niej pójść. Jeśli sobie życzyacie, po drodze mogę oprowadzić was po kolonii. Zaszły u nas diametralne zmiany.

Wyszliśmy za nim z budynku dla gości i podążyliśmy w głąb kolonii. To, co ujrzeliśmy wprowadziło nas w osłupienie.

Dwa lata temu praktycznie wszystkie dziwoszczury żyły pod ziemią, a jedynymi budowlami na powierzchni były tamte niewielkie obronne struktury, przypominające mrowiska. Teraz jednak wszędzie wokół wyrastały niezliczone małe budyneczki, przez co kolonia wyglądała jak małe miasteczko.

Największa część domków miała kształt ogromnych grzybów. Yakomaru wyjaśnił, że powstają na bazie szkieletu z łądyg bambusa lub drewnianych desek, który następnie pokrywa się gliną bądź przetworzonym obornikiem. W owalnych drzwiach i oknach chatek paliły się światła.

– Ponieważ z natury jesteśmy podziemnymi stworzeniami, każdy domek łączy się z siecią tuneli.

Oprócz zwykłych domostw były tam też przeróżne fabryki, kuźnie, zakłady tkackie, barwierskie i papiernicze. Wszystkie roily się od pracujących na nocnej zmianie robotników. W samym sercu kolonii znajdowała się nawet wytwórnia cementu. Ściągany aż ze zboczy góry Tsukuba wapień był rozbijany, mieszany z gliną i wypalany w wysokich temperaturach. Następnie mieszano go z gipsem i raz jeszcze ścierano na proszek, uzyskując cement. Żeby uzyskać zaprawę murarską bądź beton dodawano jeszcze piasku albo żwiru.

– A oto pierwszy budynek, który wznieśliśmy w całości z betonu – powiedział Yakomaru, wskazując na centralnie położoną budowlę.

To była okrągła konstrukcja z płaskim dachem, mająca około trzydziestu metrów średnicy. Mogłam jedynie wpatrywać się w nią z oniemieniem. Od budynku biła dostojność typowa dla budowli wznoszonych w czasach starożytnej cywilizacji.

– To hala obrad kolonii – dodał z dumą Yakomaru. – Sześćdziesięciu reprezentantów naszej osiemnastotysięcznej populacji omawia tu wszystkie sprawy i podejmuje decyzje.

Jeszcze przed dwoma laty całe życie kolonii skupiało się wokół królowej. Zachodziłam w głowę jak to możliwe, że w tym krótkim czasie dokonały się tak drastyczne zmiany.

– Co stało się z gniazdem?

Po usłyszeniu tego pytania, ton jego głosu stał się bardziej ponury.

– Jak widzicie, przenieśliśmy większość naszych prac na powierzchnię. W związku z tym nieunikniona była pewna... rekonstrukcja gniazda – powiedział. – Do tego, kiedy dołączyły do nas inne kolonie, każda przywiozła ze sobą własną królową, więc musieliśmy zgromadzić je wszystkie w jednym miejscu.

– Chodźmy więc. Musimy zapytać królową też o to, co sądzi o naszym planie na jutro.

– Jak sobie życzycie. Jednak o wszystkich sprawach kolonii decyduje teraz powszechne zgromadzenie. W tym przypadku ja, Yakomaru, będę was reprezentował i wezmę na siebie całą odpowiedzialność za...

– Jasne, jasne – prychnął Satoru. – Chcemy po prostu się z nią przywitać.

Siedziba królowych okazała się straszną rudera. Była dość duża, ale jej ściany były zrobione z utwardzonego błota a dach pokrywała zwykła słoma. Bardziej przypominała oborę niż cokolwiek innego.

Kiedy ciężkie wrota się uchyliły, powitał nas okropny smród.

Pamiętałam, że podczas naszej poprzedniej wizyty w gnieździe unosił się ostry, zwierzęcy odór. Ta woń różniła się jednak od wspomnianej – była mniej nieznośna i dało się w niej wyczuć delikatny aromat środka odkażającego, co w efekcie dawało jednak dziwnie nieprzyjemny zapach.

Mówiąc dokładniej, stare gniazdo cechował niezwykle silny zapach życia. W tym budynku pachniało natomiast jak w szpitalu do którego wrzucono cały zapas kompostu z Farm Lotosu. To była nienaturalna woń choroby.

Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy było długie i prostokątne. Przez całą jego długość biegł centralnie położony pasaż, po bokach którego ciągnął się rząd solidnych, drewnianych zagród, jednak było zbyt ciemno, by dało się dostrzec co znajduje się

wewnątrz nich. Podobieństwo do obory stało się jeszcze bardziej uderzające.

Wyczuwałam obecność wielu dużych stworzeń. Zaczęły się wiercić, gdy wyczuły nasz zapach, jednak nie wydawały żadnych innych dźwięków. Do naszych uszu nie dotarła nawet pojedynczy jęk czy westchnięcie, jednak wśród cichego szelestu dało się wyłapać pobrzękiwanie łańcuchów.

Spojrzałam z zaskoczeniem na Yakomaru, jednak jego twarz skryta była w mroku, więc nie mogłam stwierdzić, jakie emocje się na niej malują.

– Tu mieszka nasza królowa – oznajmił, zatrzymując się przed jednym z boksów.

– Wasza wysokość, minęło dużo czasu. Nazywam się Saki, kiedyś już się spotkałyśmy – powiedziałam cicho.

Nie uzyskałam żadnej odpowiedzi.

– Wejdźcie, proszę. – Yakomaru otworzył drzwi zagrody i żwawo wmaszerował do środka. Nieśmiało poszliśmy za nim. Dziwoszczur podniósł wysoko niesioną lampę, tak, że jej światło padło na skuloną w kącie królową.

Ujrzeliśmy znajome blade, pomarszczone ciało z krótkimi kończynami, przypominające gigantyczną gąsienicę.

Usłyszeliśmy ciche sapanie, przypominające dźwięki pracujących miechów. To był miarowy oddech kogoś pogrążonego we śnie.

Poczułam ulgę. Królowa po prostu spała. To nie było niczym dziwnym; w końcu już dawno minęła północ.

Delikatnie dotknęłam brzucha monarchini, uważając, żeby jej nie zbudzić. Poruszał się spokojnie w górę i w dół wraz z oddechem, tak, jak u większości dużych zwierząt.

– Śpij spokojnie.

Kiedy przechodziliśmy obok królowej, pogładziłam jej głowę. Na czole wyczułam dziwne zgrubienie. Władczyni się nie obudziła.

– Ostrożnie – powiedział zaniepokojony Satoru. – Może ugryźć nawet przez sen.

– Nic się nie stanie. Zorientuję się, jeśli zacznie się budzić.

Gdy to mówiłam, moja ręka przypadkowo osunęła się i trąciła oko królowej. Momentalnie odskoczyłam, odsuwając dłoń. Głowa monarchini zadrżała, ale oprócz tego nie było żadnej innej reakcji.

Poczułam nagły przypływ przerażenia. *To oko, które właśnie uderzyłam...*

– Skieruj tu światło! – rozkazałam.

Yakomaru wahał się przez chwilę, ale w końcu powoli się odwrócił.

Oczy królowej były otwarte. Nie spała. Jej źrenice były jednak zwężone, a wzrok pozbawiony był dawnego, inteligentnego błysku. Nie, było nawet gorzej. Gałki oczne władczyni były wysuszone; prawdopodobnie była ślepa. Szeroko otwarte usta ujawniały rząd kłów większych niż u przeklętych kotów; służące za posłanie siano nasiąkło kapiącą z nich nieustannie śliną.

Wyrwałam latarnię z rąk Yakomaru i zbliżyłam się do królowej. Po prawej stronie jej czoła widniała pooperacyjna blizna w kształcie litery V. Wybrzuszenie, które wcześniej wyczułam okazało się rzędem grubych szwów.

– Co to jest, do diabła? – zapytał zniesmaczony Satoru.

– Nie mieliśmy innego wyboru – odparł Yakomaru z przygnębieniem.

– Nie mieliście wyboru?! Co wyście zrobili królowej?!

Nasze krzyki niosły się echem po całym pomieszczeniu; szelest siana i terkot łańcuchów również przybrał na sile.

– Wszystko wyjaśnię. Wyjdźmy na zewnątrz.

Opuściliśmy budynek. Lodowaty wiatr sprawił, że przemarzałam do kości, ale wywiał paskudny smród, który do mnie przylgnął.

– Nie mieliśmy zamiaru potraktować jej tak okrutnie... Jakby nie patrzeć, to w końcu matka całej kolonii.

– W takim razie czemu to zrobiliście? – spytałam, przybliżając się do niego. Momentalnie, jakby znikąd, pojawiło się kilku żołnierzy, którzy od razu nas otoczyli. Yakomaru odprawił ich prostym ruchem głowy.

– Nie wyczuliście tego, kiedy ostatni raz się z nią widzieliście? Już od jakiegoś czasu królowa była psychicznie niestabilna.

– Tak... Zauważyłam to.

– We wszystkich koloniach królowe posiadają władzę absolutną. Nasza monarchini zawsze miała despotyczne skłonności, ale w miarę jak jej stan psychiczny się pogarszał, stawała się coraz brutalniejsza. Bez żadnej przyczyny atakowała niewinnych służących, regularnie ich raniąc i zabijając. Gdyby tego było mało, ogarnięta przybierającą na sile paranoją, w pewnym momencie wydała wyrok śmierci na wszystkich ministrów pracujących w pocie czoła nad odbudową społeczności po ataku Ziemnych Pająków. Gdybyśmy nie przerwali tego szaleństwa, wyginięcie całej kolonii byłoby zaledwie kwestią czasu.

– I to dlatego wy... – Satoru chciał coś powiedzieć, ale nagle zamilkł.

– Przysięgaliśmy bezwarunkową lojalność kolonii i królowej. Nie jesteśmy jednak narzędziami, które można wyrzucić. Inteligencją ustępujemy jedynie rządzącym tą planetą bogom i różnimy się od innych gatunków społecznych, takich jak mrówki czy pszczoły. Dlatego też, wszyscy, którzy podzielali ten pogląd i troszczyli się o przyszłość kolonii, z własnej woli zebrali się i stworzyli nowe stronnictwo.

– Stronnictwo?

– Tak. Musieliśmy stworzyć unię zdolną do prowadzenia negocjacji z królową. Chcieliśmy jedynie bronić swoich najbardziej podstawowych praw, jednak ona wpadła w straszliwy gniew. Potraktowała nasze działania jako akt zdrady... Nastął poważny kryzys, więc, choć z ogromną niechęcią, musieliśmy podjąć taką a nie inną decyzję.

– Decyzję...? Połączyliście siły i okaleczyliście królową. Nie lepiej byłoby po prostu ją zabić? – zapytał Satoru.

– Nie. Nie chcieliśmy całkowicie pozbawić jej władz umysłowych. – Yakomaru pokręcił głową. – Przeprowadziliśmy jedynie lobotomię czołowego płata. Po operacji poziom jej agresji znacząco się obniżył i stała się bardzo uległa. Nadal rodzi dzieci, przyczyniając się do rozwoju kolonii. Jestem pewien że jest teraz dużo szczęśliwsza niż wtedy, kiedy była spętana przez chorobę umysłową... Jednakże, jako, że nigdy wcześniej nie przeprowadzaliśmy podobnej procedury, popełniliśmy kilka błędów w zakresie zachowania należytej higieny. Krótco po zabiegu królowa nabawiła się zapalenia mózgu, co znacznie zmniejszyło jej zdolności intelektualne.

– To okropne... – wyszeptałam.

– Nie dziwię się, że tak myślicie. To przykre. – Yakomaru spojrzał na nas oskarżycielsko. – Czy wszystkie inteligentne istoty nie powinny mieć równych praw? Tak jest napisane w książkach, które otrzymałem od bogów. To podstawowa zasada demokracji.

Spojrzelśmy na siebie z Satoru. Oboje byliśmy osłupieni. Nigdy nie pomyślałabym, że kiedykolwiek usłyszę podobne słowa z ust któregoś z tych stworów.

– Nawet jeśli wasza królowa była despotką, to co z pozostałymi? Czy naprawdę musieliście zamknąć je w tamtej oborze jak zwykle zwierzęta?

– Wszystkie kolonie, które się do nas przyłączyły w pewnym stopniu zmagają się z takim samym problemem. Tylko królowe mogą się rozmnażać, więc ich istnienie jest dla nas niezbędne. Nie znaczy to jednak, że mają one prawo traktować całe kolonie jak swoją własność. Królowa ma być odpowiedzialna tylko za rozród; wysiłki intelektualne takie jak formowanie rządu czy dowodzenie armią są powierzane tym, którzy mają ku temu najlepsze predyspozycje. To są podwaliny nowej kolonii Łowików.

Dwie największe w tamtym czasie grupy, Łowiki i Olbrzymie Szerzenie, bazowały na zgoła odmiennych ideologiach. Kolonia Olbrzymich Szerszeni, licząca wtedy najwięcej, bo ponad trzydzieści tysięcy osobników, była dowodzona przez generała Kiroumaru, który pomimo swojej pozycji był bezwzględnie lojalnym w stosunku do królowej konserwatystą, stojącym na straży tradycyjnej struktury społecznej. Jak wszystkie tradycjonalistyczne kolonie, Olbrzymie Szerzenie pozostawały na stanowisku, że królowej należy się pełnia władzy.

Z drugiej strony, Łowiki, łącząc się w bardzo niekonwencjonalny sposób z innymi koloniami, poświęciły czystość linii rodowej, jednak w zamian błyskawicznie urosły w siłę. Konserwatywne kolonie postrzegały je jako heretyków i straciły do nich zaufanie.

– Rozumiem... No cóż, nie mieliśmy zamiaru wtrącać się w wasze sprawy – oznajmił Satoru, przeciągając się. – Jestem trochę zmęczony. Prześpimy się do świtu.

– Jak sobie życzycie. Natychmiast każe przygotować łóżka. – Oczy Yakomaru błyszczały w ciemności upiornym, zielonkawym blaskiem.

Wróciliśmy do domu dla gości. Kiedy Yakomaru sobie poszedł, Satoru rozpalił ogień na palenisku i usiadł przy nim, żeby ogrzać sobie stopy.

– Nie podoba mi się to – westchnął głośno. – Naprawdę bardzo mi się to nie podoba.

– Dlaczego?

– Ta kolonia, Squealer... Yakomaru. To wszystko jest naprawdę śliskie. To co mówią zdaje się kompletnie nie odpowiadać temu, co myślą. Nie potrafię im zaufać.

– Ale jeśli chcemy odnaleźć Marię i Mamoru, potrzebujemy ich pomocy.

– To prawda – odparł. Nadal wyglądał na bardzo zatroskanego. – Widziałas jednak, co zrobili królowej, swojej rodzonej matce! Jak można było dopuścić się czegoś tak okropnego?

– Wiesz, to nie tak, że mnie to nie zaszokowało... – Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie pustki we wzroku monarchini. – Jednak, niezależnie od tego jak elokwentne są dziwoszczury, to w końcu nadal tylko zwierzęta. Nieważne jak bardzo ich emocje przypominają nasze, one nie są takie jak my. W tym, co powiedział Yakomaru była pewna logika. Zrobili po prostu to, co musieli zrobić, żeby przetrwać.

– Brzmisz, jakbyś ich broniła.

– Nie bronię – odparłam, prostując się. – Czy ludzie nie przenoszą zawsze swojego systemu wartości na zwierzęta? Mówimy na przykład, że mają one miły charakter albo że matki poświęcają się dla dobra dzieci, lecz to nie do końca prawda. Czytałam starożytne książki dotyczące zachowań zwierząt.

Ponieważ moja matka była bibliotekarką, przypuszczalnie miałam znacznie większe szanse na dorwanie się do zakazanych tomów niż ktokolwiek inny.

– A zawarta w nich wiedza bywa naprawdę zaskakująca – kontynuowałam. – Weźmy na przykład hipopotamy. W ilustrowanych książeczkach dla dzieci, jakie czytaliśmy w Szkole Harmonii były obrazki tych zwierząt gromadzących się w krąg wokół swojego martwego towarzysza, rzekomo po to, żeby go opłakiwać. W rzeczywistości hipopotamy to wszystkożerne zwierzęta które otaczają gromadą martwe osobniki tylko po to, żeby się nimi pożywić.

– Fakt, też o tym wiem.

– Najgorsze są jednak kangury. Wszyscy myślimy, że trzymają w swoich torbach młode po to, żeby je chronić.

– No i?

– Gdy kangurzyca jest ścigana przez drapieżnika, wyrzuca swoje dziecko, żeby napastnik się nim zajął, dając jej szansę na ucieczkę.

Satoru zmarszczył czoło.

– Podobnie zachowują się minoshiro – zauważył. – Tyle, że one są chyba jeszcze okropniejsze, bo pozbywają się części własnego ciała.

– Dlatego właśnie uważam, że ocenianie dziwoszczurów przez pryzmat ludzkiej etyki jest błędem.

Satoru klasnął w dłoń.

– Hmm... Nie to miałem na myśli, mówiąc, że nie podoba mi się ich zachowanie. Bardziej chodzi mi o to, że wydają się wręcz zbytnio podobne do ludzi.

– To prawda, że nie istnieje żaden podobny do nich gatunek zwierząt.

Satoru wyjrzał za drzwi, upewniając się, że nikt nie podsłuchuje nas z zewnątrz.

– Odnoszę dziwne wrażenie, że próbują zastąpić ludzi – powiedział. – W Kamisu 66 nie ma zbyt wielu betonowych budynków. Kiedy zobaczyłem ich fabryki, jedyną myślą jaka przyszła mi do głowy było to, że mają zamiar przywłaszczyć sobie kulturę, którą my odrzuciliśmy.

– Zastanawiam się, gdzie Yakomaru zdobył całą tę wiedzę. Mówił, że gdzieś o tym przeczytał. – Pytanie, które teraz wypowiedziałam na głos, dręczyło mnie już długi czas.

– Ale to niemożliwe, żeby trafił na książkę, która wyjaśniłaby wszystko, co chciał wiedzieć.

– No więc skąd to wie?

– To tylko domysły, ale przypuszczam, że mógł złapać fałszywego minoshiro. Możliwe, że ich hipnoza świetlna nie działa na dziwoszczury.

Im dłużej rozmawiałam na ten temat z Satoru, tym większe czułam przerażenie. Samo istnienie dziwoszczurów zawsze uważałam za złowrogie i niepokojące, jednak dopiero teraz dotarło do mnie, jak poważna jest to kwestia.

– Dziwoszczury nie planują chyba zająć miejsca ludzi, prawda?

– To raczej niemożliwe, czyż nie? Przecież tylko nasza dwójka byłaby w stanie zetrzeć na proch całą kolonię.

Nie sposób było odmówić mu racji. Niezależnie od tego, jak bardzo dziwoszczury rozwinęłyby swoją kulturę, nie mogło być mowy o tym, by zdołały przeciwstawić się ludziom posiadającym cantus. Poza tym, w końcu to nasza moc była tym, co doprowadziło już raz do upadku wysoko rozwiniętej cywilizacji, Mimo to nie potrafiłam jednak pozbyć się dziwnego uczucia niepokoju.

– Hej, jak myślisz, co by się stało z człowiekiem, gdyby Yakomaru zrobił z nim to samo co z królową?

Satoru zmarszczył brew.

– Myślę, że stałby się równie upośledzony jak ona... Wiem jednak do czego zmierzasz. Gdyby udoskonały swoją technikę, mogłyby stworzyć ludzi, którzy pozostawaliby pod ich kontrolą.

Poczułam zimny dreszcz.

– To byłaby... Coś takiego to byłaby prawdziwa katastrofa.

– Nie, nie wydaje mi się – odparł Satoru. – Płat czołowy odpowiada za naszą wolę i kreatywność, co oznacza, że steruje także cantusem. Ktoś, komu odebrano by wolną wolę i wyobraźnię, nie mógłby w ogóle użyć swojej mocy. Myślę, że nie trzeba się tym przejmować.

W tym miejscu przerwaliśmy konwersację, postanawiając poświęcić kilka kolejnych godzin na choć odrobinę snu. Ja miałam wcześniej okazję, żeby się wyspać, lecz o Satoru nie można było powiedzieć tego samego.

Kiedy opadłam na przygotowane przez dziwoszczury posłanie, przez mój umysł przetoczyła się seria koszmarnych myśli. Podobnie jak Satoru, od samego naszego przybycia do kolonii Łowików miałam wrażenie, że dzieje się tu coś bardzo złego.

Zanim jednak zdążyłam dociec konkretnej przyczyny mojego niepokoju, pogrążyłam się w mrokach snu.

Rozdział 6

Kiedy się obudziłam, niebo dopiero zaczynało się rozjaśniać.

Dom gościnny był zbudowany z bambusowych łądyg, między którymi rozpięto płaty zwierzęcej skóry; bardziej przypominał namiot niż właściwy dom, więc kiedy wstało słońce, przez jego ściany zaczęło przesączać się światło.

Satoru zdążył już wstać i właśnie się ubierał.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Satoru skinął lekko głową.

– Dasz radę trochę się pospieszyć? – spytał. – Wygląda na to, że wszystko już gotowe do drogi. Już od jakiegoś czasu słyszę na zewnątrz krzątanie.

Wokół naszego schronienia z pewnością skrętnie uwijała się cała zgraja dziwoszczurów.

– W porządku – odpowiedziałam.

Zerwałam się z łóżka i zaczęłam się pospiesznie szykować do drogi. Założenie zimowych ubrań, zasznurowanie butów i upewnienie się, że w plecaku mam wszystkie niezbędne rzeczy nie zajęło mi łącznie nawet dwóch minut.

Kiedy wyjrzałam na zewnątrz ujrzałam czyste niebo i słońce wyglądające dopiero nieśmiało zza horyzontu. Po chwili mój wzrok przykuł jeden z dziwoszczurów, zdejmujący z pobliskiego drzewa coś, co wyglądało na suszone jedzenie. Miało około metr długości, było białe i zdecydowanie za duże na rybę. Gdy przyjrzałam się dokładnie, zrozumiałam, że to wysuszony minoshiro.

Wymieniliśmy spojrzenia z Satoru.

– Nie wierzę, że one to jedzą!

W Kamisu 66 minoshiro były uznawane za święte stworzenia; ich widok w roli pokarmu nappełnił mnie niewypowiedzianą zgrozą.

– Minoshiro teraz hibernują. Wygląda na to, że dziwoszczury celowo wykopują je z ziemi, żeby zrobić sobie z nich przekąski.

Satoru wyglądał jakby połknął coś wyjątkowo kwaśnego. Postanowiłam nie mówić mu, że niezidentyfikowanym składnikiem naszej wczorajszej kolacji również mógł być suszony minoshiro.

– Witajcie, bogowie – rzucił na powitanie Yakomaru, idąc w naszą stronę. – Niedługo wyruszamy. Zechcielibyście przedtem zjeść śniadanie?

Straciłam apetyt na samą myśl o tym, czym możemy zostać poczęstowani.

– A co z wami? – spytałam.

– Możemy posilić się po drodze. To jednak tylko wojskowe racje żywnościowe, więc nie są zbyt smaczne.

– W porządku, my też możemy jeść podczas marszu.

– Jak sobie życzycie.

Yakomaru miał na sobie futrzany płaszcz z kapturem narzucony na nitowaną zbroję. Podobnie jak dwa lata temu, w jego wyglądzie wciąż było coś z urzędnika; teraz jednak znacznie bardziej przypominał generała. Zadał w zawieszony na szyi gwizdek. Na tą komendę dwie setki dziwoszczurów uformowały bojowy szyk.

– Hej, czy naprawdę musimy brać aż tylu żołnierzy? – spytał zdumiony Satoru.

– Możemy natknąć się po drodze na jakieś niespodziewane zagrożenie. Przygotowaliśmy się na każdą możliwość i zrobimy wszystko, żeby ochronić bogów – odparł Yakomaru podniosłym tonem.

Dołączyliśmy do niego w środku formacji. Najwidoczniej trzymanie się z tyłu byłoby równie niebezpieczne co marsz w pierwszym rzędzie. Ze wszystkich stron otaczali nas umięśnieni ochroniarze dzierżący ogromne tarcze.

Większość zalegającego wokół kolonii śniegu została uprzątnięta i tylko od czasu do czasu pod butami chrupotały nam drobinki lodu. Założyliśmy swoje narty dopiero, kiedy dotarliśmy do ośnieżonej równiny. Również żołnierze mieli na nogach buty, które kształtem przypominały uproszczone biegówki; przebierając żwawo

swoimi krótkimi nogami mogli osiągać całkiem przyzwoitą prędkość. Ponieważ jednak poruszałibyśmy się znacznie szybciej, gdybyśmy użyli cantusu, Satoru zaczął się denerwować powolnym tempem.

– Nie możemy iść trochę szybciej? Jeśli powiecie nam, gdzie dokładnie jest nasz cel, pójdziemy przodem.

– Bardzo mi przykro, lecz nie potrafimy poruszać się tak sprawnie jak bogowie. Do kolonii Trociniarek Czerwic jest już jednak niedaleko, więc proszę, zostańcie z nami. Jeśli się oddzielicie, nie zdołamy się do was dostać, jeśli stanie się coś złego.

Nie mieliśmy więc wyboru. Musieliśmy powoli iść przez równinę, trzymając się blisko dziwoszczurów. Podczas marszu rozdano racje żywnościowe. To były lekko słodkawe placuszki, podobne trochę do dużych kapsulek albo słodkich pierożków. Wydawały się zrobione z mąki ryżowej i nadziewane miodem, orzechami i suszonymi śliwkami. Tak jak mówił Yakomaru, ich smak nie był nadzwyczajny ale przynajmniej nie zawierały mięsa minoshiro.

Niedługo płaski obszar się skończył i musieliśmy wspinać się na całą serię pagórków. Zastanawiałam się, czemu ta okolica jest taka pofałdowana, jednak nie dało się dostrzec, co kryje się pod warstwą śniegu. Mogłam jedynie stwierdzić, że gleba na tych wzniesieniach jest inna niż wszędzie wokół; nawet rosnące tu rośliny wydawały różnić się od typowej flory.

Nagle przez mój umysł przewinęła się dziwna wizja.

To był efekt bitwy pomiędzy użytkownikami cantusu, podczas której jedna ze stron spróbowała pozbyć się przeciwnika jednym ruchem. Wystrzelili gigantyczny głaz a impet jego uderzenia dokonał zniszczeń większych nawet niż broń jądrowa starożytnej cywilizacji. Przypominało to uderzenie meteoru o dziesięciokilometrowej średnicy, takiego jak ten, który sześćdziesiąt pięć milionów lat temu spowodował wyginięcie dinozaurów.

To było absurdalne. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że coś takiego nie mogło mieć miejsca. Oczywiście, energia cantusu

teoretycznie jest nieskończona, ale w rzeczywistości jej wyzwolenie i wykorzystanie podlega wielu ograniczeniom. Żeby zadziałać na coś mocą, trzeba najpierw wyobrazić sobie idealny obraz zmian, jakie mają nastąpić w danym obiekcie. W przypadku czegoś tak wielkiego i złożonego jak meteor ogranicznikiem cantusu byłby sam umysł. Zrobienie czegoś takiego było równie abstrakcyjne jak stworzenie realistycznego obrazu pękającej na pół Ziemi.

Jednak... Spojrzałam na pagórki, zachodzące na siebie jak szczyt w górskim łańcuchu. Nawet początkujący, tacy jak my, byli w stanie wywoływać lawiny i miotać dość dużymi głazami. Nie ulegało wątpliwości, że tacy geniusze jak Shisei Kaburagi potrafili przemieszczać całe wzgórza.

– Już niedługo dotrzemy do celu – ogłosił Yakomaru. – Za następnym zakrętem dojrzycie umiejscowioną w połowie wysokości klifu fortecę Trociniarek Czerwic.

To, co po chwili ukazało się naszym oczom bardziej przypominało ogromny monolit, aniżeli klif. Miał sto pięćdziesiąt metrów wysokości i dwukrotnie tyle szerokości. Skalna ściana była tak stroma, że nie osadził się na niej nawet płatek śniegu i tak gładka, że wspinaczka wydawała się właściwie niemożliwa.

– To tylko klif... Nigdzie nie widzę żadnej fortecy – powiedział Satoru, mrużąc oczy.

– Spójrzcie tam. Widzicie? Za tamtą wyrastającą ze skały sosną jest ukryte wejście do jaskiń.

Niczego nie dostrzegłam, nawet gdy skupiałam wzrok na punkcie, który wskazywał Yakomaru. Nic się nie poruszyło a wokół panowała całkowita cisza.

– Kolonia Trociniarek Czerwic przez ostatni rok wydrążyła w tej skale rozległą sieć tuneli, zmieniając całą górę w swoją warownię.

– Ale którędy tam wchodzi? – Nadal niczego nie widziałam.

– Nie jestem pewien. Ich tunele muszą ciągnąć się aż pod ziemię, a dodatkowe wejścia są dokładnie ukryte. Przypuszczam jednak, że zazwyczaj po prostu zrzucają linową drabinę i korzystają

z przejścia przez tamtą jaskinię. Teraz jej nie widać, bo musieli ją zwinąć, kiedy zauważyli, że nadchodzimy. Odmawiają rozmów z innymi koloniami i chowają się gdy nadchodzi ktoś obcy... Muszą jednak wiedzieć, że tym razem to im się nie uda.

Yakomaru zawołał jednego z żołnierzy idącego w tylnym szeregu. Nie wyglądał aż tak dziwnie jak mutanty Ziemi Pająków, ale miał duże, napęczniałe mięśnie klatki piersiowej i niósł wielką tubę przypominającą megafon.

Dziwoszczur przez minutę słuchał rozkazów Yakomaru, po czym odwrócił się w stronę fortecy Trociniarek Czerwie i zaczął wywrzaskiwać swój komunikat. Był tak głośny, że wydawało mi się, że zaraz popękają mi bębni. Satoru i ja szybko zatkaliśmy uszy dłońmi, patrząc z niedowierzaniem na dziwoszczury, które stały spokojnie jak gdyby nigdy nic.

Krzyk trwał bez końca; hałas był tak duży, że myślałam, iż zaraz wywoła lawinę. Trociniarki Czerwice nie odpowiadały.

– Cóż, najwyraźniej musimy im pokazać, że przyszliśmy tu w ważnej sprawie.

Na komendę Yakomaru łucznicy ustawili się w szyk i unieśli swoje łuki.

– Czekaj, nie przyszliśmy to walczyć! – zaprotestował Satoru.

– Zgadza się. Jednak oni z premedytacją ignorują nasze wezwania. Musimy nieźle przestraszyć te nędzne, aroganckie miernoty, żeby zmusić je do posłuchu.

Yakomaru wydał rozkaz,

W jednej chwili tuziny strzał wyleciały po paraboli w kierunku rosnącej na klifie sosny. Większość odbiła się od skalnej ściany, ale kilka wbiło się w pień a jedna nawet utkwiała w szczelinie między gałęziami.

Nadal nie było żadnej odpowiedzi. Na kolejne polecenie Yakomaru łucznicy ustawili się w rząd i wystrzelili ponownie; tym razem jednak owinęli groty swoich strzał szmatami nasączonymi oliwą i podpalili je. Tysiące ognistych pocisków przecięło powietrze.

Płomienie szybko ogarnęły całe drzewo, z którego momentalnie uniosły się smugi czarnego dymu. W końcu coś się poruszyło. Zobaczyłam, jak ktoś rzuca śniegiem w stronę sosny, jakby chciał ją ugasić od swojej strony.

– Jestem przekonany, że zrozumieli swoją sytuację. Spróbuję jeszcze raz ich wezwać.

Yakomaru uniósł prawą dłoń. Dziwoszczur trzymający megafon ponownie zaczął piskliwie krzyczeć. Pomimo, że nie rozumiałam, co mówi, jego ton był tak agresywny, że zaczęłam mieć wątpliwości czy to aby na pewno tylko prośba o rozmowę.

W końcu nadeszła odpowiedź pod postacią gradu strzał.

Z licznych otworów strzelniczych rozmieszczonych w skale wokół sosny wyleciała cała fala pocisków. Wrogie strzały bardzo szybko nadlatywały z góry prostym torem. Żołnierze Yakomaru nie mieli ze sobą tarcz, więc po chwili musieliby przypominać poduszcзки do szpilek. Tak się jednak nie stało, ponieważ w samą porę deszcz pocisków został rozproszony przez niewidzialną barierę.

Satoru i ja zmieniliśmy kierunek lotu strzał, wykorzystując taki sam sposób jak wtedy, gdy zatrzymaliśmy lawinę. Pomyślałam, że nasze jednoczesne działanie było imponujące. Najprawdopodobniej znaleźliśmy się już tak długo, że praktycznie potrafiliśmy czytać sobie wzajemnie w myślach.

Trociniarki Czerwice milczały, najwyraźniej zdeorientowane. Strzały mogły zostać zwiane równie dobrze przez silny podmuch wiatru, jednak nawet największy huragan nie sprawiłby, że rozpierzchną się nagle we wszystkie strony, będąc już niecały metr od celu.

– Macie moją dozgonną wdzięczność! Dziękuję wam z całego serca za uratowanie moich wojowników. – Yakomaru głęboko się pokłonił. – Jak jednak widzicie, Trociniarki Czerwice to kolonia bezbożnych pogan! Nakazę im raz jeszcze zastosować się do moich poleceń, ale jeśli nadal będą je ignorować, konieczne może okazać się użycie bardziej stanowczych metod.

Nie czekając na naszą odpowiedź, Yakomaru ponownie wysłał żołnierza z megafonem przed szereg. Nadal nie wiedziałam o czym mówi, ale ton jego głosu był jeszcze surowszy i groźniejszy niż poprzednio. To z pewnością nie było zwykłe wezwanie do zawieszenia broni i podjęcia pertraktacji, a jakiś rodzaj ultimatum.

Trociniarki Czerwice najwyraźniej nie miały pojęcia jak zachować się w obliczu tak niespodziewanej sytuacji, jednak, tak, jak się spodziewałam, kilku ich żołnierzy dało się sprowokować i w stronę dziwoszczura z megafonem pofrunęła pojedyncza strzała.

Tym razem nie zdołaliśmy z Satoru idealnie zsynchronizować naszych ruchów. Obydwoje spróbowaliśmy zatrzymać ten sam pocisk. W efekcie przestrzeń wokół niego zdeformowała się a na niebie pojawił się tęczy wzór. Takie coś działo się zawsze, kiedy działanie dwóch cantusów nakładało się na siebie. Skutki takiego kontaktu mogły być niewyobrażalnie niszczycielskie. Natychmiast się zatrzymaliśmy, a strzała zniknęła w rozbłysku światła.

To była z naszej strony przesadzona reakcja. Z perspektywy Trociniarek Czerwic musiało to wyglądać na celową demonstrację siły.

– Bogowie! Trociniarki Czerwice wystrzeliły strzałę, wiedząc, że jesteście między nami! To bluźnierstwo! Proszę, ześlijcie na nie boską zemstę!

– Ale to była tylko jedna strzała... Może wystrzeliły ją przypadkowo? – Nie miałam chęci robić tego, co chciał od nas Yakomaru.

– Jedna strzała wystarczy! Samo podnoszenie broni na bogów jest zbrodnią tak poważną, że powinno być ukarane zniszczeniem całej kolonii... Poza tym, mamy impas. Jeśli Trociniarki Czerwice nie będą nas słuchać, nie damy rady odnaleźć waszych przyjaciół.

– Dobra, rozumiem. – Satoru jako pierwszy podjął decyzję.

– Nie bądź zbyt surowy – poprosiłam go.

Bądź co bądź, Squonk uratował życie Mamoru. Wymordowanie jego kolonii z pewnością nie byłoby godną zapłatą za ten czyn.

– Wiem. – Satoru odwrócił się w stronę fortecy i wyszeptał swoją mantrę. Rosnąca przy wylocie jaskini sosna złamała się z suchym trzaskiem, a kryjący się za nią żołnierz znieruchomiał z przerażenia.

W następnej chwili rozległ się donośny huk a skalna ściana pękła, jakby uderzona pięścią olbrzyma. Odłamki kamieni pofrunęły we wszystkich kierunkach. Później było jeszcze jedno uderzenie. I kolejne, i następne... Skały wokoło otworów strzelniczych zostały roztrzaskane na proch a w klifie powstała ogromna dziura.

– Wystarczy! Przestań! – krzyknęłam.

Usłyszałam dobiegające z góry głośnie wołanie. Brzmiało tak samo jak wrzaski Łowika z megafonem, ale wydawało się w jakiś sposób bardziej rozpaczliwe.

Podwładny Yakomaru odpowiedział coś ostro przez swoją tubę. Z jaskini wyłoniło się kilka dziwoszczurów. Połowa z nich nosiła łuskowe zbroje, więc przypuszczałam, że muszą być wysokimi rangą oficerami. Żołnierz idący w środku dodatkowo miał narzuconą na plecy pelerynę. Później dowiedziałam się, że był to Quichy, przywódca kolonii Trociniarek Czerwic. Pozostałe dziwoszczury opuściły linową drabinę.

Na chwilę odwróciłam wzrok i ujrzałam Yakomaru, na twarzy którego malował się dziwny grymas, wyglądający na mieszankę gniewu z niepohamowaną radością.

Nie wydaje mi się, by opisywanie szczegółów spotkania Yakomaru z Quichym miało większy sens. Najprościej mówiąc, ten pierwszy odnosił się do swojego rozmówcy jak zwycięzca do przegranego. Nie rozumiałam ani słowa z tego co mówią, ale najwyraźniej Yakomaru wysunął całe mnóstwo jednostronnych żądań. Sytuacja, w jakiej znalazł się Quichy zmusiła go do przystania na wszystkie te warunki, niezależnie od tego jak absurdalne by nie były.

Coraz bardziej zniecierpliwiony Satoru przerwał w końcu ich wymianę zdań i przypomniał, że chcemy tylko dowiedzieć się, co się

stało z Marią i Mamoru. Na rozkaz Quichy'ego przyprowadzono do nas Squonka. Dziwoszczur cały się trząsł, ale nasz widok trochę go uspokoił.

– Squonku, pamiętasz nas?

– Kikikiki... T-tak, bogowie.

– Dokąd poszli Maria i Mamoru? – spytał Satoru, przechodząc od razu do sedna.

– Ni-niewim, b-bogowie.

– Nie wiesz? Nie byłeś z nimi?

– B-błem. Ale oni poszli d-daleko.

Zamknęłam oczy, nie mogąc powstrzymać ogarniającej mnie rozpacz.

– Daleko? Dokąd?

– Ni-niewim.

– Nie znasz nawet kierunku?

–N-nie, b-bogowie. Ale mam l-list.

Squonk wyciągnął spod swojej postrzępionej szaty kopertę i podał mi ją. Wewnątrz znajdowała się kartka papieru. Rozpoznałam pismo Marii.

Do mojej ukochanej Saki.

W chwili, gdy czytasz te słowa, Mamoru i ja jesteśmy już najprawdopodobniej bardzo daleko.

Nigdy nie przypuszczałam, że kiedyś będę musiała pisać taki pożegnalny list do mojej najdroższej przyjaciółki i kochanki. Szczerze, z głębi serca Cię przepraszam.

Proszę, nie szukaj nas.

Gdy piszę te słowa, ogarnia mnie dziwny smutek. Pamiętam, jak zezłościł się, gdy przeczytaliśmy list Mamoru, tak bardzo podobny do tego. Obawiam się jednak, że nie potrafię przekazać tego w inny sposób.

Bardzo pociesza mnie myśl, że tak się o nas martwisz. Doskonale rozumiem też, jak musisz się teraz czuć. Gdybyśmy zamieniły się miejscami, ja pewnie tak samo umierałabym ze zgrzyoty. Jednakże, nie było innego wyjścia.

Nie możemy już mieszkać w Kamisu 66. Dorośli z wioski nam na to nie pozwolą. Gdyby chodziło tylko o mnie, jakoś bym to zniosła, ale Mamoru został jużznaczony jako ten, który nie zasługuje na życie. Od takiej decyzji nie ma odwrotu. Nie wydaje Ci się czasem, że jesteśmy traktowani nie jak ludzie, ale jak produkty, które można zniszczyć w przypadku wykrycia w nich wady? Kiedy garncarz otwiera swój piec i ocenia gotową ceramikę, przeznaczając do roztrzaskania wszystkie wyroby, które mają rysy albo są trochę zniekształcone. Jeśli taki los ma być wszystkim, co nas czeka, wolimy raczej uciec, mając nadzieję, że zdołamy znaleźć dla siebie inną przyszłość.

Mówiąc szczerze, pragnęłam byś poszła ze mną. To niezaprzeczalna prawda. Jednakże, Ty nie jesteś taka jak my. Mówiłam Ci już, że jesteś niewyobrażalnie silna. Nie mam tu na myśli tężyzny fizycznej, silnej woli ani ducha. Tak właściwie to łatwo Cię przestraszyć i szybko wybuchasz płaczem; tą cześć Ciebie też kocham. Nie ma jednak znaczenia z jakimi problemami przyjdzie Ci się mierzyć; nawet jeśli każda komórka Twojego ciała zostanie pochłonięta przez rozpacz, zawsze się pozbierasz. Nie można Cię złamać.

Jestem pewna, że dasz radę dalej żyć i stać się wartościowym członkiem społeczeństwa.

Z Mamoru jest jednak inaczej. Jeśli go opuszczę, nie przeżyje długo. Proszę, zrozum mnie.

Kiedy opuściłam wioskę, wszystko stało się dla mnie jasne. Nasze społeczeństwo jest spaczone, nie uważasz? Czy mieszkańcy dystryktu, którzy zabijają własne potomstwo, żeby utrzymać pokój i harmonię mają prawo uważać się za ludzką społeczność? Zgodnie z tym, co powiedział nam fałszywy minoshiro, cała nasza historia jest

splamiona krwią. Nie wydaje mi się jednak aby obecne społeczeństwo było choć trochę lepsze od ludzi żyjących w mrocznych wiekach przeszłości. Kiedy przypomnę sobie wydarzenia, jakie miały miejsce w wioskach, myślę, że wiem, co nas wypacza.

To głęboki strach dorosłych przed dziećmi.

Prawdopodobnie to zawsze była przyczyna. To oczywiste, że widok następnego pokolenia – zwłaszcza gdy chodzi o ich własne potomstwo – niszczącego wszystko, co z wielkim wysiłkiem zdołali zbudować, jest dla nich nie do zaakceptowania.

Dorośli z Kamisu 66 patrzą jednak na swoje dzieci w jeszcze inny sposób. To jak obserwowanie rządu jaj i nerwowe oczekiwanie – czy wyklują się z nich anioły, czy też – w jednym przypadku na milion – demon?

Opierając się tylko na intuicji i przeczuciach, setki spośród tysięcy takich jaj są niszczone i usuwane. Nie zgadzam się na to by być jednym z nich.

Kiedy podjęłam decyzję o opuszczeniu domu, w którym się urodziłam i wychowałam, poczułam się przytłoczona smutkiem i samotnością, jednak gdy pomyślałam o tym, co czują inni, uświadomiłam sobie ważną rzecz. Gdybym została wyeliminowana, moi rodzice na początku z pewnością byliby zdruzgotani, lecz z czasem zapomnieliby o mnie, tak samo jak Twoi rodzice o swojej starszej córce.

Wierzę, że nasze relacje są inne. Jestem pewna, że jeśli chciano by się mnie pozbyć, nie zostawiłabyś mnie na śmierć. Gdybyś to Ty znalazła się w niebezpieczeństwie, Satoru i ja zrobilibyśmy wszystko, żeby Cię ocalić.

Mieliśmy jeszcze jednego przyjaciela. Nie pozwolono nam nawet pamiętać jego imienia. On, X, również przyszedłby nam z pomocą, prawda?

Właśnie dlatego ja jestem teraz zobowiązana pomóc Mamoru, choć fakt, że muszę rozstać się z Tobą i Satoru jest niewyobrażalnie bolesny.

Na szczęście mamy nasz cantus, potężne narzędzie, dzięki któremu zdołamy przetrwać, nawet gdy będziemy zmuszeni do życia w dziczy. Za tą jedną rzecz jestem wdzięczna wioskom i Akademii Mędrców.

Od teraz Mamoru i ja zaczniemy razem nowe życie.

Na koniec mam do Ciebie prośbę. Jeśli dorośli będą się o nas pytać, powiedz im, że zginęliśmy. Zamierzamy uciec bardzo daleko, do miejsca, gdzie nie sięga ich moc; będę jednak spała znacznie spokojniej, wiedząc, że o nas zapomnieli.

Z głębi mego serca płynie wiara, że nadejdzie jeszcze dzień, w którym się spotkamy.

*Na zawsze Twoja,
Maria.*

Łzy kapały mi z oczu jeszcze długo po tym, jak skończyłam czytać.

W kopercie była jeszcze jedna kartka – narysowany przez Mamoru szkic przedstawiający Marię i mnie, szczęśliwe i roześmiane.

Satoru wziął ode mnie list i zaczął go czytać, obejmując moje ramię. Próbowałam powstrzymać szloch, ale łzy same cisnęły mi się do oczu.

Przecucie, że już nigdy nie zobaczę Marii szybko przerodziło się w pewność.

Po tym, jak odkryliśmy, że śnieżna chatka została zniszczona, Squonk pozostawał naszym jedynym tropem; dlatego właśnie poprosiliśmy kolonię Łowików o pomoc w odszukaniu go. Nawet pomimo tego, że nie ufaliśmy do końca Yakomaru, sytuacja była tak beznadziejna, że musieliśmy chwytać się każdej możliwej pomocy.

Ostatecznie okazało się jednak, że to my zostaliśmy wykorzystani. Podpuszczenie dwójki skrajnie zdesperowanych nastolatków było dla przebiegłego dziwoszczura dziecinną igraszką.

Łowiki – owady, od których kolonia wzięła swoje imię, określa się tak z powodu brutalnych metod jakich używają do chwytania innych insektów i wysysania ich wnętrzości. Znaki tworzące ich nazwę, 塩屋, wzięły się od białej końcówki odwłoka samców. Innym gatunkiem zwierząt z taką cechą charakterystyczną są wielkie muchy ptakołowne.¹ W starożytnych encyklopediach próżno szukać wzmianek o tych stworzeniach, więc musiały pojawić się w ostatnim tysiącleciu. Nawet dziś nieczęsto się je spotyka poza niewielkim obszarem tuż poza Świętą Barierą. Są dużo większe od łowików, osiągają długość od trzynastu do osiemnastu centymetrów. Ich ciała są podłużne, jak u ważek i posiadają liczne przetchlinki, umożliwiające im efektywną wymianę gazową. Z tego powodu, gdy byliśmy dziećmi nazywaliśmy te owady tysiącokimi ważkami.

Wielkie muchy ptakołowne mają tendencję do zasadzania się za pniami drzew w oczekiwaniu na wróble, drozdy, szlarniki, bogatki, szpaki i inne niewielkie ptaki. Atakują niczego nie spodziewającą się ofiarę od tyłu, przecinając jej rdzeń przedłużony swoimi podobnymi do mieczy szczękami. Następnie piją krew ptaka tak długo, aż stają się tak ciężkie, że nie są w stanie wznieść się w powietrze. Istnieją pogłoski, mówiące, że zdarza im się atakować nawet kruki.

Podczas gdy nazwa kolonii Łowików zdawała się symbolizować początkowe ogniwo łańcucha pokarmowego, ich zamiłowanie do przeciwstawiania się swoim panom czyniło z nich raczej drapieżców, takich jak wielka mucha ptakołowna, aniżeli ofiary.

Po tym jak w końcu udało nam się dostać do kolonii Trociniarek Czerwiec, trop Marii nagle się urwał.

Nawet pomimo żarliwych obietnic Yakomaru, który zarzekał się że zrobi wszystko by pomóc nam w poszukiwaniach, nie mieliśmy

¹ 塩屋大鳥引 (shioya ootorihiki) – nazwa nieistniejącego gatunku, wymyślonego na potrzeby powieści (dosłownie: wielki łowca ptaków o białej końcówce); nazwa dzieli trzon 塩屋 oznaczający biały koniuszek ze słowem 塩屋虻 (shioya abu), określającym gatunek owada z rodziny łowikowatych, *Promachus yesonicus*, od którego w oryginalnym wydaniu nazwano kolonię; ta swojego rodzaju gra słów wyjaśnia, dlaczego Saki porównuje kolonię łowików do obu tych gatunków.

pojęcia do jakiego stopnia można mu wierzyć. Oczywiście również było, że nie zmieści się w wyznaczonym przez Tomiko czasie. Obietnica odszukania i przyprowadzenia Marii i Mamoru, którą jej złożyłam, stawała się coraz mniej realna do spełnienia.

Satoru i ja omówiliśmy naszą sytuację i opracowaliśmy plan awaryjny.

– Jak sobie życzycie! Zostawcie resztę swojemu słudze Yakomaru

Nie mieliśmy innego wyjścia jak zastosowanie się do pozostawionych w liście wskazówek Marii. Musieliśmy powiedzieć dorosłym, że obydwójce zginęli. Kiedy spytałam Yakomaru, czy poświadczy naszą wersję, zgodził się bez wahania. Byłam przekonana, że nie pochwali naszej prośby o okłamanie Komisji Etyki, ale przystał na nią tak ochoczo, że wydało mi się to wręcz podejrzane.

– Myślę, że najbardziej wiarygodnie zabrzmiałoby, jeśli powiemy, że zostali przygnieceni przez lawinę. Ponieważ nikt nie wie, gdzie dokładnie ich zmiotło, znalezienie ciał będzie bardzo trudne.

To rzeczywiście była najlepsza możliwa historyjka. Śmierć spowodowana upadkiem nieczęsto przytrafia się ludziom, którzy władają cantusem, jednak pomyśleliśmy, że prawdopodobnie uwierzą nam jeśli powiemy, że Maria zginęła, próbując ratować Mamoru, który zsunął się ze swoich sanek.

– To może zająć nam trochę czasu, ale myślę że uda nam się zdobyć kilka kości. Jeśli pokażemy je Komisji, uznają to za dowód na słuszność naszych słów.

Zamarliśmy.

– O jakich kościach mówisz? – Niby skąd chcecie je wziąć? – spytał Satoru ostrym tonem.

– N-nie, nie to miałem na myśli! To nieporozumienie... – wymamrotał pobladły Yakomaru. – Oczywiście zdobycie kości bogów byłoby niemożliwe. Wybaczcie mi tę zniewagę, ale niektóre z naszych kości są wizualnie podobne do waszych. Wyjątkowo wysoki dziwoszczur jest mniej więcej takiego wzrostu jak młody bóg,

więc jeśli ostrożnie wyszlifujemy kamieniami kości takiego osobnika, to...

– Dość! Rozumiem. Pozostawiam ci resztę – wtrąciłam się szybko, żeby go uciszyć.

Słuchając Yakomaru poczułam się, jakbyśmy naprawdę planowali zbeczczyć ciała naszych przyjaciół.

– Wedle rozkazu. Pozwólcie mi się wszystkim zająć.

Nie wiedziałam czy Yakomaru zrozumiał wtedy jak się czuję, czy też nie, jednak ukłonił się z szacunkiem.

Nasza dwudniowa wyprawa w górę rzeki spełzła na niczym. Nie potrafiłam powstrzymać westchnięcia. Odrzuciliśmy ofertę Yakomaru i nie pozostaliśmy w kolonii na kolejną noc. Przyszykowaliśmy się do drogi i wyruszyliśmy w stronę miejsca, w którym stały lodowe chatki. Zgodnie z tym, co usłyszeliśmy od Squonka, to właśnie tam rozstał się z Marią.

Nałożyliśmy narty, kierując się do zatoczki, w której stały nasze kajaki. Sądząc po pozycji słońca, minęło właśnie południe, jednak w ogóle nie czułam się głodna. Nie było to spowodowane podwyższonym poziomem adrenaliny; nawet mimo, że czułam jak niecierpliwość wypala mi od środka klatkę piersiową, moje emocje były równie chłodne jak okoliczne ośnieżone wzgórza.

Nie było sposobu, by dowiedzieć się w którą stronę wyruszyli Maria i Mamoru. Nawet o tym wiedząc, nie mogłam przestać jej szukać.

Czułam się jak biegacz, konkurujący z przeciwnikiem, który ma ogromną przewagę. Nawet pomimo tego, że zwycięstwo było niemożliwe, musiałam kontynuować swój daremny wysiłek dopóki, dopóty zawody nie dobiegną końca.

Kogo, na niebiosa, próbowałam oszukać? Czy próbowałam sama przed sobą udawać, że jestem osobą, która nigdy nie opuści najdroższej przyjaciółki? A może robiłam to jedynie dlatego, że był ze mną Satoru?

Spojrzałam na niego. Wydawał się spokojny, ale nie byłam w stanie stwierdzić, co naprawdę odczuwa. Czy podobnie jak ja starał się za wszelką cenę nie wpaść w bezdenną otchłań rozpacz? Czy też może myślał o czymś zupełnie innym?

Kiedy zorientowałam się, że biegniemy tylko w dwójkę, narta przy nartcie, zrozumiałam czego rzeczywiście się tak boję.

Wyłączając moich rodziców, Akademia Mędrców była dla mnie całym światem. Spośród jej uczniów, jedynymi osobami których mogłam nazwać prawdziwymi przyjaciółmi byli moi koledzy z grupy pierwszej. Ci sami, którzy po kolei znikali aż w końcu pozostaliśmy tylko ja i Satoru.

Nie – pomyślałam panicznie. – Nie chcę tracić już więcej przyjaciół.

Nie chciałam by wciąż odchodziły osoby, które kocham.

Sylwetka Satoru rozmyła się i stała się zarysem kogoś innego.

Bez namysłu wyciągnęłam dłoń. Znajoma postać, zagrzebana w grobowcu mojego umysłu, na sekundę stanęła mi przed oczami. Nie było to jednak nic więcej jak iluzja, która zniknęła równie szybko jak się pojawiła.

Musiałam wrócić do zimnej, trudnej rzeczywistości. Do świata, w którym było tylko nas dwoje.

Maria prawdopodobnie czuła się tak samo osamotniona jak ja. *Nie – pomyślałam – ja nie mogę się nawet do niej porównywać. Ona porzuciła dosłownie wszystko i odeszła.*

W przeciwieństwie do wczorajszej paskudnej pogody, dziś niebo było czyste a oślepiające promienie słońca odbijające się od śniegu sprawiały że ledwo dało się na niego patrzeć. Mimo tej przyjaznej aury, nie mogłam otrząsnąć się z ponurego nastroju, który otoczył mnie jak burzowa chmura.

Dzięki niesamowitemu zmysłowi orientacji Satoru szybko odnaleźliśmy nasze ślizgacze. Zdjęłam narty a Satoru popchnął obydwie łodzie na wodę.

– Ja posteruję, możesz trochę odpocząć – oznajmił, odwracając się w moją stronę.

– Dlaczego? Nie jesteś zmęczony? – spytałam, choć muszę przyznać, że zrobiłam to jedynie z przyzwyczajenia.

– W porządku, dam sobie radę – odparł, odpychając mnie delikatnie.

Straciłam jakąkolwiek ochotę na protestowanie i położyłam się na wznak na dnie łódki, szepcząc jedynie ciche „dziękuję”.

Prawie natychmiast zaczęłam drzemać. Miałam wrażenie że zaraz przelecę przez pokład wprost w ręce kappy¹, czekającego już żeby mnie zaciągnąć na dno rzeki.

Pograżyłam się we śnie. Na początku nawiedziły mnie jedynie niespójne koszmary, spowodowane stresem i przemęczeniem, ale szybko ustąpiły miejsca dziwnym potworom, wypełzających z głębin mojej podświadomości.

Były tam demony, kręcące się bez celu i wymachujące długimi, podobnymi do owadzich czułkami. Nad głową przeleciała mi grupka jednookich goblinów, za którymi pozostała strużka pyłku opadającego z ich motyli skrzydeł.

Tuż obok wlekły się do przodu przykute do siebie łańcuchami dusze potępieńców, które mogły jedynie wydawać z siebie żałosne pojękiwania. Nie były w stanie uciec nawet gdyby tego chciały, ponieważ do brzucha każdej z nich przyssany był olbrzymi, w pełni kontrolujący gospodarza krwi worek.

Ciała półprzezroczystych, różowawych minoshiro falowały kusicielsko. Ich czułki były penisami we wzwodzie; leżące u ich podstaw lechtaczki kurczyły się i rozszerzały jak morskie ukwiały.

Po przeciwnej stronie bezgłośnie przemykał bóg śmierci pod postacią cienia ogromnego kota.

¹ Kappa (jap. 河童?) – japoński złośliwy demon wodny. Kappy przebywają w rzekach i jeziorach oraz w lasach i na pustkowiach, zawsze w pobliżu zbiorników wodnych. To istoty bardzo złośliwe, nawet o skłonnościach morderczych (wabią dzieci do rzek, żeby je tam utopić, często wysysając organy wewnętrzne, lub – według innych wersji – krew, wątrobę lub siłę życiową przez odbyty). Obwinia się je także o porywanie dzieci i gwałcenie kobiet.

Dziwoszczury węszyły w powietrzu swoimi ohydnyymi pyskami. Ich oblicza były całkowicie gładkie i pozbawione wyrazu, za to z licznych fałdek na skórze wyzierały błyszczące ostre zębiska oraz niezliczone, wirujące bez ustanku oczy.

Najstraszniejsze były jednak Bestie; dzieci z twarzami pokrytymi przez plamy zaschniętej krwi. W spowodowanej rzezią ekstazie ich gałki oczne wywinęły się w tył tak, że widać było tylko ich białka.

Potworne stworzenia wiły się i kotłowały.

Był też on, na samym końcu, za wszystkimi tymi okropnościami.

Do połowy skryta w cieniu sylwetka chłopca. Widziałam całe jego ciało od stóp aż po szyję, jednak głowę kompletnie otulał mrok.

Chłopiec bez twarzy. Desperacko próbowałam go zawołać, lecz nie byłam w stanie przypomnieć sobie jego imienia. Najwyraźniej mnie rozpoznał, jednak niczego nie powiedział. Ostatnio mogłam go usłyszeć, ale go nie widziałam. Tym razem było dokładnie na odwrót.

Zdołałam jednak zrozumieć wiadomość, którą chciał mi przekazać – obawę i troskę.

– Nie rozumiem. Co powinnam zrobić?

Nie odpowiedział.

– Proszę, powiedz mi! Co, na niebiosa, mam robić?

Ponownie nie usłyszałam nawet słowa; nie mogłam również zobaczyć jego ust, lecz w jakiś dziwny sposób wiedziałam co mówi.

Stałam jak wryta w ziemię. Nie mogłam pojąć, dlaczego powiedział coś takiego. Jego następne słowa były jednak jeszcze gorsze; uderzyły mnie z siłą piorunu.

Nie, to niemożliwe... Co ty wygadujesz? To takie okrutne...

Próbowałam protestować, ale nie mogłam się odezwać.

– Saki! Saki! – Usłyszałam wołający mnie głos.

Otworzyłam oczy, wyrwana gwałtownie ze snu.

– Saki, śnił ci się koszmar?

Ujrzałam Satoru, wpatrującego się we mnie z zatroskaną miną.

– Tak... Można tak powiedzieć.

Byłam cała złana potem. Próbowałam się uśmiechnąć, ale prawdopodobnie nie wyszło mi z tego nic poza nienaturalnym grymasem.

– Jesteśmy na miejscu. Stąd musimy już pojechać na nartach. – Satoru wyglądał na zmartwionego. – Chcesz tu poczekać? Myślę, że dam sobie radę sam.

– Idę z tobą – odparłam, kiwając przecząco głową.

– W porządku... Łapię.

Najwyraźniej uświadomił sobie, że nie da rady mnie przekonać.

W okolicy miejsca, w którym stały chatki nadal były widoczne liczne nasze ślady. To stąd wczoraj wyruszyliśmy. Wszystkim, co osiągnęliśmy podczas minionej doby było zatoczenie ogromnego koła i powrót do punktu wyjścia.

Nie, to było nawet gorsze. Wczoraj wiedzieliśmy, że czeka nas ciężka podróż, lecz byliśmy też pewni, że zdołamy odnaleźć Marię. Teraz nie było już żadnej nadziei.

Mimo to włożyliśmy narty i ruszyliśmy przed siebie, licząc na łut szczęścia.

Drugie poszukiwania również okazały się bezowocne.

Maria i Mamoru zdołali najwyraźniej odkopać sanki i zabrać je ze sobą, jednak nie znaleźliśmy żadnych śladów płóz nawet po przeczesaniu całego obszaru w promieniu dziesięciu metrów od miejsca, w którym były zagrzebane. Maria musiała przewidzieć, że ludzie z miasteczka przeszukają najbliższą okolicę i przetransportować je w powietrzu. Kiedy już wystarczająco się oddalili, mogła opuścić je na ziemię i zacierać za sobą ich ślady.

Kiedy patrzyłam na słońce, chowające się za zachodnim górskim łańcuchem, nagromadzona we mnie cicha rozpacz i rezygnacja wzięły nade mną górę.

– Saki... – Satoru objął mnie od tyłu ramieniem. – Nie płacz... Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że z oczu kapią mi łzy. Nie wiedzieć czemu, wcześniej nie poczułam nawet ich ciepła na policzkach.

– Jutro będziemy jeszcze mieli trochę czasu. Gdy tylko wstanie słońce, pójdziemy na północny zachód. Może tam znajdziemy jakieś pozostałości ich śladów.

Wiedziałam, że po prostu próbuje mnie pocieszyć. Żeby ich znaleźć, musielibyśmy być trzema książętami z Serendipu.¹

Mimo to jego słowa nadal były pokrzepiające.

Przygotowaliśmy się do spędzenia nocy wśród ośnieżonych pól. Przynieśliśmy ze sobą namioty z łodzi, jednak postanowiliśmy pójść w ślady Squonka i zbudować chatkę z śniegu.

Najpierw nagromadziliśmy leżący wokół biały puch, zmieniając go w twardy, ubity kopiec, który później wydrążyliśmy. Myślałam, że mając cantus, zrobimy to sprawniej i porządniej od Squonka, jednak zadanie okazało się zdumiewająco trudne. Tak właściwie to łatwiej byłoby chyba ubijać śnieg łopata. Prawdziwym problemem było jednak to, że nie byliśmy ani trochę skupieni na budowaniu.

Kiedy kryjówka była już gotowa, nadszedł czas na przyrządzenie kolacji. Nie miałam apetytu, ale jako, że od śniadania nic nie jadłam, zmusiłam się do przełknięcia kilku kęsów.

Satoru wyrzeźbił ładny kamienny garnek, napełnił go śniegiem i zawiesił nad ogniem. Włożył do środka ryż i miso a następnie zaczął przygotowywać kleik.

Jedliśmy w ciszy. Satoru próbował wciągnąć mnie w rozmowę, jednak nie wykrzesalam z siebie wystarczająco dużo energii, żeby mu odpowiadać. Pomimo tego nie przestawał jednak mówić.

– ...Chciałbym więc złapać fałszywego minoshiro i sprawdzić, na ile prawdziwy jest jego opis z książki...

Nie próbowałam celowo go ignorować, jednak do mojego umysłu docierały tylko urywki zdań.

¹ Trzech książąt z Serendipu – bajka perska, której bohaterowie obdarzeni byli darem przypadkowego znajdowania cennych rzeczy, nawet jeśli ich nie szukali.

– ...Czy to nie oczywiste, że coś tak potężnego jak cantus nie może być napędzane niewielką ilością energii powstającej podczas metabolizmu glukozy? Dlatego autor wysunął dwie hipotezy na temat źródła tej mocy. Pierwsza mówiła, że za każdym razem gdy ludzie używają cantusu, czerpią energię bezpośrednio ze słońca. Nie do końca rozumiem, w jaki sposób to działa, ale zgodnie z tą teorią z cantusu można korzystać tylko znajdując się w Układzie Słonecznym. Zakładając, że ktoś by go opuścił, nie mógłby korzystać z mocy, lub, przynajmniej musiałby aktywować ją w zupełnie inny sposób. Interesujące, prawda? Oczywiście, jako że tej teorii nie da się ani potwierdzić, ani obalić, równie dobrze może być całkowicie wyssana z palca...

– ...Korzystanie z psychokinezy, czyli inaczej mówiąc – cantusu, kradnie energię ze Słońca i obniża jego entropię, sprawiając, że gwiazda szybciej się starzeje. Przewidywany czas życia Słońca to jakieś pięćset tysięcy lat¹, ale jeśli będziemy korzystać z cantusu, jego śmierć może nastąpić znacznie szybciej...

– ...Druga z hipotez jest jeszcze trudniejsza do zrozumienia. W mechanice kwantowej istnieje efekt obserwatora, który mówi, że samo patrzenie na obiekt sprawia, że zachodzą w nim zmiany. Dotyczy to wszystkiego co nas otacza – od skali mikroskopowej do makroskopowej. To tak, jak mówił fałszywy minoshiro; istnienie cantusu zostało pierwszy raz udowodnione podczas eksperymentu, który przeprowadził tamten naukowiec...

– ...Krótko mówiąc, czas, przestrzeń i materia są sprowadzane do prostej informacji. Cantus ma niewyobrażalną moc dowolnego zmieniania każdej z tych informacji, które tworzą Wszechświat. Kiedy spojrzysz na to z tej strony, można dojść do wniosku, że możliwe jest nagięcie całego kosmosu do swojej woli. To rozległa, zapętlona koncepcja. Najpierw tworzone są podstawowe drobinki tworzące wszystko co nas otacza, poczynając od kwarków, przez pierwiastki

¹ W rzeczywistości ten czas wynosi pięć miliardów lat; nie wiem czy to pomyłka autora, tłumacza na język angielski, czy też może Satoru miał błędne informacje.

i materię organiczną, a kończąc na życiu samym w sobie. Później powstają gatunki, które ewoluują tak długo, aż rozwiną złożony umysł, pozwalający im na przekształcanie Wszechświata...

– ...Najbardziej fascynujące jest to, w jaki sposób psychologiczne mechanizmy sterujące cantusem prawie całkowicie pokrywają się z tymi, które wykorzystywali szamani w prymitywnych społecznościach. Frazer, antropolog społeczny, podzielił zjawisko magii na dwie kategorie – magię sympatyczną i magię przenośną. Zwłaszcza ta druga jest wyjątkowo...

– Hej, Satoru – przerwałam mu. – Czy my też zapomnimy o Marii i Mamoru?

– Prędzej umrę niż to się stanie – odparł z zawziętym wyrazem twarzy.

– Ale jeśli Rada Edukacji zmieni nasze...

– Nie pozwolę im znowu tego zrobić – powiedział. – Grubo się mylą, jeśli uważają że mogą kontrolować moje myśli i wspomnienia. Jeśli jeszcze raz spróbują nas do czegoś zmusić, po prostu uciekniemy z dystryktu.

– My?

– Pójdiesz ze mną, prawda? – Satoru trochę się zasmucił.

– Jest inny sposób – odparłam, uśmiechając się.

– Jaki?

– *Ja* ucieknę. A ty pójdiesz za mną.

Satoru przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu, ale po chwili odpowiedział uśmiechem. – No tak. To też zadziała.

– Hej, jeśli opuścimy dystrykt, poszukajmy Marii i Mamoru i zamieszkajmy razem z nimi.

– No jasne, w czwórce zawsze jest lepiej niż we dwoje.

– Dokładnie! A kiedy już ich znajdziemy, to... – przerwałam nagle. Nie mogłam już niczego powiedzieć, zupełnie jakby coś uwięzło mi w gardle. Cała zaczęłam się trząść i zalałam się łzami.

Kiedy odzyskałam mowę, mogłam jedynie wydać z siebie żalospny jęk.

Satoru cały czas mnie przytulał gdy płakałam.

Tamtej nocy spaliśmy razem w śnieżnej chatce.

To był mój pierwszy raz z mężczyzną, i był bardziej bolesny niż się spodziewałam. Eksperymentowałyśmy trochę z Marią, ale współzycie kobiety i mężczyzny było czymś zupełnie odmiennym. I sprawiało ból.

– W porządku? Boli cię? – dopytywał się Satoru, przestając na chwilę się poruszać.

– Mmmm... Poczekaj chwilkę. Zaraz się do tego przyzwyczaję – odparłam przez zaciśnięte zęby.

Dlaczego życie jest tak niesprawiedliwe w stosunku do kobiet? – pytałam się w myślach. Musimy przez czterdzieści tygodni znosić niedogodności związane z ciążą tylko po to, żeby podczas porodu doznać cierpień, jakich nie zniósłby żaden z mężczyzn. Dlaczego więc seks też musi boleć?

– Nie zmuszaj się.

– To nic takiego... Ciebie to nie boli?

– Ani trochę.

Nagle zorientowałam się, że pomimo pełnej świadomości mojego cierpienia, Satoru był zbyt napalony, żeby przestać. Co więcej, daleko mu było do współczucia mi; wręcz przeciwnie – prawdopodobnie jeszcze bardziej go to podniecało. *Co za dupek.*

Ból jednak szybko minął i poczułam, że robię się mokra. Poczucie bycia zmuszaną do czegoś nieprzyjemnego szybko ustąpiło miejsca prawdziwej rozkoszy.

– Przyjemnie ci? – spytał Satoru, słysząc moje jęki.

– Ty idioto.

To pytanie było zbędne. Zamiast odpowiadać, wbiłam mu pożądliwie paznokcie w plecy.

Nie byłam już dziewicą. Od teraz musiałam głowić się nad tym, jak uda mi się przejść przez następne coroczne badania. To kolejna przeszkoda, której musi sprostać kobieta.

Ruchy Satoru stały się bardziej gwałtowne. Pomimo, że mi również było coraz przyjemniej, na moment ogarnęła mnie panika. Gdybym zaszła w ciążę, wszystko naprawdę mocno by się skomplikowało.

Satoru zatrzymał się nagle zanim zdążyłam mu o tym powiedzieć. Pomyślałam, że sam uświadomił sobie ten problem, jednak nie to było prawdziwą przyczyną.

Kiedy na mnie patrzył, na jego twarzy malowała się taka namiętność i rozrzewnienie, że wydawało mi się, że zaraz się rozpłaczę. Nagle zdałam sobie z czegoś sprawę. On nie patrzył na mnie. W jakiś sposób zdawał się dostrzegać mnie jedynie w cieniu chłopca, którego nigdy nie przestał kochać.

W tej samej chwili poczułam płynącą z głębi serca tęsknotę za tym samym chłopakiem.

Satoru ponownie zaczął się poruszać, tym razem energiczniej. Szybko osiągnęłam orgazm. Kiedy szczytowałam, znajdująca się przed moimi oczami twarz nie należała do Satoru, lecz do innego chłopca.

Każde z nas wykorzystało partnera po to, żeby tak naprawdę kochać się z kimś, kto nie należał już do tego świata. To mogło wydawać się skrajnie dziwne; ktoś mógłby nawet uznać, że zdradziliśmy się wzajemnie, jednak oboje o tym wiedzieliśmy i tego chcieliśmy.

Kiedy już doszłam, Satoru wysunął się ze mnie i wytrysnął na ścianę chatki.

Przez dłuższy moment po prostu leżeliśmy obok siebie, dysząc głęboko.

Nawet podczas tych rozkosznych chwil tuż po seksie, słowa, które wypowiedział w moim śnie chłopiec bez twarzy, nie przestawały zaprzętać moich myśli.

Dlaczego powiedział mi to, co powiedział?

Mówił, żebym nie szukała Marii.

I że ona musiała umrzeć.

Część V: Ognie apokalipsy

Rozdział 1

Umyłam daikon, łopian, marchew i inne warzywa korzeniowe a następnie posiekałam je w plasterki wielkości jednego kęsa. Wrzuciłam wszystko do miseczki, a następnie zaniiosłam ją do boksu, służącego za gniazdo golców w naszym centrum rozrodu. Te zwierzęta zazwyczaj żyją w podziemnych norach, ale całkiem nieźle radziły sobie też w skomplikowanej sieci szklanych tuneli.

Uchyliłam klapkę klatki i napełniłam karmnik zawartością miski. Słyszając odgłos sypiącego się pokarmu, golce pognały szybko korytarzami w jego stronę. Jak można się spodziewać po stworzeniach żyjących pod ziemią, miały słaby wzrok lecz były wyczulone na dźwięki i wibracje.

Wszystkie były kompletnie bezwłose i przypominały pomarszczone kielbaski na króciutkich łapkach. Na bokach golców-robotników wytatuowano niezmywalnym atramentem numery od P1 do P31 w celu łatwego rozróżnienia ich od siebie. Litera „P” oznaczała, że są własnością instytucji publicznej, jednak często mówiliśmy, że wzięło się to stąd, że wyglądają jak małe paróweczki.¹

Kiedy golce zabrały się za jedzenie, pojawił się dwa razy większy od pozostałych osobnik. Wpadł na robotnika P8, który wyszedł właśnie z przeciwległego tunelu, ale najwyraźniej nawet tego nie zauważył i parł dalej do przodu. P8 wymachiwał gorączkowo łapkami, szukając punktu podparcia, ale nic to nie dało i został przygnieciony przez wielkiego golca, który po nim przeszedł.

Tym dużym okazem była Sarami, królowa gniazda. Miała czerwoną skórę, o odcień ciemniejszą niż u robotników, usianą licznymi białymi i brązowymi plamkami. Sprawiało to, że przypominała kielbasę salami, skąd wzięło się jej imię.

¹ W oryg. 公 oznaczające przymiotnik „publiczny”, „rządowy”; kanji zbudowane jest z dwóch znaków katakana - ハ (ha) oraz ム (mu), które czytane razem oznaczają szynkę (od angielskiego słowa „ham”), do której Saki porównuje golce.

Za królową dreptały trzy golce oznaczone numerami od ♂1 do ♂3. Ta trójka należała do nielicznych płodnych samców w kolonii, więc nie musiała zajmować się gromadzeniem pożywienia ani ochroną gniazda. Mimo, że same były potomkami Sarami, ich jedynym obowiązkiem było spółkowanie z nią i produkowanie kolejnych pokoleń golców.

Kiedy królowa zbliżyła się do karmnika, robotnicy rozpierzchli się na boki, żeby ustąpić jej miejsca. Królowej Sarami i jej najdroższym synom należały się najsmakowitsze kąski.

Rzadko spotyka się zwierzęta, których zachowanie i wygląd są równie przygnębiające. Nawet pomimo tego, że zdążyłam się trochę przywiązać do golców, za każdym razem gdy na nie spoglądałam i uświadamiałam sobie jak podobne są do swoich kuzynów, dziwoszczurów, czułam niepoohamowaną pogardę.

Tu właśnie pojawiało się najważniejsze pytanie. Co, u licha, myśleli sobie w przeszłości ludzie, decydując się na selektywny rozród tych paskudnych stworzeń aż do momentu, gdy osiągną one inteligencję niemal dorównującą ludzkiej?

Być może brano pod uwagę, że poza golcami nie istnieją inne ssaki, wykazujące eusocjalne zachowania charakterystyczne dla pszczół-robotnic ślepo posłusznych swojej królowej. Jeśli jednak chciano jedynie stworzyć podporządkowaną człowiekowi rasę zwierząt-służących, mogłabym wymienić wiele innych gatunków które lepiej pasowałyby do takiej roli. Na przykład, jeśli koniecznie miały to być stworzenia żyjące w norach, można było użyć znacznie bardziej przyjaznych i ładniejszych surykatek.

Tak czy siak, opieka nad golcami była częścią mojej pracy, czy mi się to podobało czy nie. To nie było jednak moim głównym zadaniem. Przede wszystkim byłam odpowiedzialna za prowadzenie badań nad dziwoszczurami w Sekcji Kontroli Obcogatunkowców Wydziału Zdrowia w Zbożowym Kręgu.

Lipiec roku 237. Miałam dwadzieścia sześć lat. Przed sześcioma laty ukończyłam Akademię Mędrców i znalazłam zatrudnienie

w Wydziale Zdrowia. Wiele przedsiębiorstw i pracowni ubiegało się o pozyskanie uczniów którzy w największym stopniu opanowali cantus – nazwiska takich osób były umieszczane w specjalnej loterii. Z drugiej strony, ludzie tacy jak ja, przeciętni w korzystaniu z mocy, za to z wyśmienitymi ocenami z teorii znajdowali zwykle zatrudnienie na stanowiskach administracyjnych różnych wydziałów rządowych dystryktu.

Mówiąc szczerze, wielokrotnie wyobrażałam sobie, że po ukończeniu szkoły zostanę wezwana przez Komisję Etyki, która zaproponuje mi objęcie przywództwa nad wioskami, jednak z jakiegoś powodu Tomiko postanowiła całkowicie mnie ignorować. Musiałam przyznać, że znacznie przeceniłam swoje umiejętności, spodziewając się, że zaoferuje mi pracę w samym sercu zarządu dystryktu.

Biorąc pod uwagę wszystkie rzeczy jakie spotkały mnie dotychczas w życiu, niezbyt ufałam członkom Rady Edukacji (tak właściwie to bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że pałam do nich czystą nienawiścią), więc nie mogłam liczyć na znalezienie posady w ich gronie. Praca w bibliotece byłaby całkiem w porządku, jednak chciałam jak najszybciej wyrwać się spod opiekuńczych skrzydeł matki. Ponieważ mój ojciec wciąż był burmistrzem (jego kadencja trwała nadzwyczaj długo), unikałam również posad w ratuszu. Ostatecznie nie pozostało mi nic innego jak zatrudnienie w Wydziale Zdrowia.

Żeby wszystko było jasne, nie wybrałam tego stanowiska jedynie drogą czystej eliminacji.

Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale cały czas prześladowało mnie dziwne przeczucie dotyczące dziwoszczurów. Intuicja podszeptowała mi, że w przyszłości doprowadzą one do jakiejś katastrofy. Wkrótce ta myśl stała się moją obsesją, którą dodatkowo podsycił fakt, że większość ludzi postrzegała dziwoszczury jedynie jako odrażające zwierzęta o inteligencji małp.

Kiedy oznajmiłam, że chcę pracować w Sekcji Kontroli Obcogatunkowców, spotkałam się jedynie ze zdumionymi

spojrzeniami i cichymi chichotami. Najwyraźniej wszyscy uważali, że po prostu marzy mi się łatwa robota.

– Masz gościa, Saki. – Głos pana Watabiki dobył się leniwie z głośnika.

– Będę tam za sekundkę.

Skończyłam odmierzać pozostałą część pokarmu, umyłam ręce i wyszłam z pokoju. Zazwyczaj nikt nie odwiedzał naszej sekcji. Nie miałam pojęcia kim może być ten gość.

Kiedy otworzyłam drzwi do biura Sekcji Kontroli Obcogatunkowców, zostałam powitana uśmiechem pana Watabiki. Ukończył Akademię Mędrców czterdzieści lat temu i od tamtego czasu nieprzerwanie pracował dla Wydziału Zdrowia. Wyszkolenie mnie na swoją następczynię na stanowisku zarządcy sekcji było jego ostatnim zadaniem przed emeryturą. Był małomównym człowiekiem i dobrym szefem, jednak zastanawiałam się jaką osobą jest prywatnie.

– Więc ty i Asahina byliście w jednej klasie?

Satoru stał przed panem Watabiki.

– Tak, w istocie... – odparłam nieco zmieszana.

– Rozumiem. Cóż, jest jeszcze dość wcześnie, ale może pójdziecie na przerwę śniadaniową? Dziś i tak nie ma już zbyt wiele do roboty.

– N-nie, ja... – zaprotestowałam.

– Uch... Panie Watabiki, jestem tu dzisiaj w celach służbowych – dodał pospiesznie Satoru.

Zastanawiałam się, jakież to sprawy może mieć na myśli.

– Oczywiście, oczywiście. No cóż, w takim razie to ja pójde zjeść drugie śniadanie. Możecie porozmawiać tutaj. – Pan Watabiki rzucił nam porozumiewawcze spojrzenie i wyszedł. Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, zostaliśmy w pomieszczeniu we dwójkę.

– Twojego szefa trochę ponosi wyobraźnia – powiedział Satoru, chcąc przerwać niezręczną ciszę.

Nie odzywaliśmy się do siebie od ponad miesiąca, kiedy to pokłóciliśmy się o jakąś błahostkę, której już nawet nie pamiętam.

– No więc? Jak mogę ci pomóc? – spytałam chłodno.

Nie miałam zamiaru cały czas traktować go tak oschle; po prostu skupiałam się na celu jego wizyty.

– Ach, racja. Mam parę pytań odnośnie dziwoszczurów. – Jego głos był barytonem o przyjemnej barwie.

Kiedy byliśmy dziećmi, sprawiał wrażenie wiecznie rozbrykanego szczeniaka, jednak już jako nastolatek przeistoczył się w wysokiego, smukłego młodzieńca. Pomimo, że byłam wyższa od większości moich rówieśniczek, musiałam zadzierać głowę do góry, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

– Czy obecnie jakieś kolonie są w stanie wojny?

Jego pytanie zbiło mnie z tropu, przez co zapomniałam, że miałam zamiar odzywać się do niego w formalny sposób.

– Wojny...? Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

– Jesteś pewna? Nie ma nawet żadnych utarczek pomiędzy małymi koloniami?

Otworzyłam szufladę biurka i wyciągnęłam z niej kilka teczek. Zaprosiłam Satoru gestem, żeby usiadł na blacie.

– Spójrz. Muszą wypełnić taki formularz zanim wyruszą na wojnę. Jeśli tego nie zrobią, ryzykują unicestwieniem całej kolonii, więc zaniechanie przez nie tego obowiązku jest nie do pomyślenia.

Satoru z zaciekawieniem spojrzał na stos papierów, który mu wręczyłam.

– „Sprawa obcogatunkowców. Formularz A1: Podanie o wypowiedzenie wojny pomiędzy koloniami”...? Muszą składać taki wniosek nawet, jeśli planują atak z zaskoczenia?

– Nie dopuszczamy żeby strona przeciwna się o tym dowiedziała.

– „Sprawa obcogatunkowców. Formularz A2: Zawiadomienie o reorganizacji struktury kolonii” i „Sprawa obcogatunkowców. Formularz B1: Podanie o przeniesienie młodych”. No tak, zgaduję, że to z tego powodu w każdej kolonii jest potrzebny piśmienny osobnik – odparł.

– Dokładnie. Każdy taki druk musi zostać potwierdzony odciskiem nosa dziwoszczura, który zanosi go bezpośrednio do królowej, jak również podpisem innego osobnika, zajmującego w kolonii wysokie stanowisko administracyjne... Nie wydaje ci się, że to absurdalne?

– Ale co?

– Ta robota. Z pewnością uważasz, że to głupie. Cała ta papierologia jest tylko na pokaz. Twoja praca jest zupełnie inna i naprawdę może przysłużyć się wioskowi.

– Trochę przesadzasz.

Satoru miał rację.

Ukończył szkołę jako jeden z trójki najlepszych uczniów – i to zarówno pod względem opanowania cantusu jak i przedmiotów teoretycznych, dzięki czemu otrzymał mnóstwo różnych ofert pracy. Mógł oczywiście zdać się na wynik losowania, jednak zamiast tego wybrał zatrudnienie na Farmach Lotosu. W przypadku instytucji publicznych istniał specjalny system, który pozwalał mu wskazać miejsce, w którym chciałby pracować. Jego wybór, podobnie jak mój, okazał się zupełnie niespodziewany, jednak po tym, jak ujrzałam go pracującego w laboratorium modyfikacji genetycznych ramię w ramię z Yuu Tatebe, uznawaną za niemającą sobie równych w tej dziedzinie, musiałam przyznać, że podjął słuszną decyzję.

Ponieważ wiodącą umiejętnością Satoru była manipulacja światłem, pracował nad stworzeniem nowego rodzaju mikroskopu, którego zdolność powiększająca mogłaby być wzmacniana cantusem.

– Po prostu te... sformułowania są osobliwe. Twoja sekcja zajmuje się głównie dziwoszczurami, prawda? Dlaczego więc używacie wyrażenia „obcogatunkowiec” zamiast „dziwoszczur”?

– Ponieważ Sekcja Kontroli Dziwoszczurów brzmiałaby równie dziwnie.

Kiedy wypowiadałam te słowa, pomyślałam o pewnej kwestii która od dawna mnie trapiła. Wyglądało na to, że celowo unikamy w naszej pracy określenia „dziwoszczur”, zastępując je słowami

„obcogatunkowiec”. Nawet podczas luźnej rozmowy zawsze zwracano mi uwagę, jeśli użyłam niewłaściwego wyrażenia.

– W każdym razie, co masz na myśli, pytając o walki dziwoszczurów? – wróciłam do pierwotnego tematu.

– Ach, tak. Pewnie już o tym wiesz, ale żeby zebrać potrzebne do naszych badań próbki, często wykorzystujemy do pomocy dziwoszczury. Czasami muszą nawet nurkować w leśnych mokradłach, żeby je wydobyć.

– Korzystacie z usług kolonii Nasteczników i Biegaczy, prawda?

– Tak. Nasteczniki wysyłamy na odległe wschodnie rubieże Dębowego Gaju, gdzie zbierają dla nas śluzowce. Wczorajszego poranka zostały zaatakowane z zasadzki.

– Zaatakowane?

– Nie są pewne z jakiej kolonii pochodzili napastnicy. Nasteczniki po prostu zostały napadnięte zniemacka, a ponieważ nie były przygotowane do walki, musiały się wycofać. Mimo to wiele z nich zginęło.

– Może jacyś łowcy zaatakowali je przez pomyłkę...?

– Nie, Nasteczniki znajdowały się na otwartej przestrzeni. Agresorzy ukryli się i zaczęli na nie. Z całą pewnością było to celowe działanie.

Zastanowiłam się. Dziwoszczury były gatunkiem, w którego naturze leżało prowadzenie wojen, ale nie mieściło mi się w głowie, że jakaś kolonia mogła przeprowadzić taki pokaz siły w okresie względnego pokoju.

– Zastanawiam się, czy napastnicy wiedzieli, że atakują kolonię Nasteczników.

– Nie wiem. Czemu pytasz? – Satoru wyglądał na nieco oburzonego.

– Po pierwsze, Nasteczniki nie należą do słabych kolonii. Dysponują znaczną siłą bojową i są sprzymierzone z Olbrzymimi Szerszeniami. Atak na nie oznaczałby wypowiedzenie wojny ich potężnemu sojusznikowi.

– Działanie wbrew naszym zasadom, prowokowanie najsilniejszej kolonii... To musiała być jakaś nietutejsza grupa.

Obydwoje pamiętaliśmy Ziemię Pajaki. Tylko jakaś obca kolonia, nieznająca panujących reguł mogła dopuścić się tak zuchwałego czynu.

– Ale już od jakiegoś czasu nie zaobserwowaliśmy pojawienia się w okolicy żadnej napływowej grupy. Kiedy kolonie natkną się na jakiegoś obcego zwiadowcę, natychmiast składają nam raport.

Satoru wstał i podszedł do okna. Założył ramiona i wyjrzał na zewnątrz.

– Myślałem, że ktoś z was będzie coś wiedział na ten temat, jednak wszystko stało się jedynie bardziej tajemnicze.

– Czyli Nasteczniki przyszły poinformować was o ataku?

Nagle ogarnęło mnie dziwne przeczucie.

– Nie, jeden z naszych ludzi natknął się na nie w lesie. Poprosił go o pomoc w poszukiwaniu agresorów, jednak oni już dawno się ulotnili.

– Hmm...

To nie trzymało się kupy. W normalnej sytuacji, pierwszą rzeczą jaką robiła zaatakowana kolonia było zameldowanie nam o tym i złożenie podania o odwet. Do tej pory nie odwiedził nas żaden przedstawiciel Nasteczników.

– W każdym razie, zignorowanie tej sytuacji może przysporzyć nam kłopotów. Przeszkadzono nam w zebraniu potrzebnych próbek, co podważa nasz autorytet.

– Masz rację. Zbadamy tą sprawę tak szybko, jak będzie to możliwe.

– Co zrobicie, kiedy dowiedzie się która z kolonii odpowiada za atak?

– Z pewnością w jakiś sposób ją ukarzymy. Polecimy Olbrzymim Szerszeniom żeby się tym zajęły albo oddelegujemy jednego z naszych pracowników.

Sekcje Zdrowia Środowiskowego i Kontroli Szkodników współpracowały z nami ściśle wewnątrz Wydziału Zdrowia. Gdybyśmy poprosili tych drugich o zajęcie się kwestią kary, oznaczałoby to eksterminację całej kolonii.

– Mimo to... – Satoru wyglądał jakby usiłował powstrzymać uśmiech.

– Co?

– Nic takiego. Po prostu mówiłaś jak rasowy szef wydziału.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Dzielący nas dystans wyparował.

Cieszyłam się wtedy, że kwestia pewnej głupiej kolonii dała nam okazję do pojednania.

Jednakże, nawet ja, najbardziej podejrzliwa względem dziwoszczurów osoba w dystrykcie, nie byłam w stanie sobie nawet wyobrazić, jak katastrofalne następstwa przyniesie tamten incydent.

Comiesięczne zebrania Wydziału Zdrowia oznaczały odczytywanie setek identycznych raportów, które zanudzały wszystkich na śmierć, dlatego obecność gości, którzy pojawili się na lipcowym spotkaniu była takim wielkim zaskoczeniem.

Trójka przywódców dystryktu usiadła tuż obok Hiroshiego Kaneko, dyrektora wydziału. Koufuu Hino reprezentował Kolegium Zawodów a Shisei Kaburagi był konsultantem Rady Bezpieczeństwa. Obecna była też przewodnicząca Komisji Etyki, Tomiko Asahina. Pierwszych dwoje gości było znanych jako najpotężniejsi i najbardziej wykwalifikowani użytkownicy cantusu w całym dystrykcie. Oczywiście nie muszę już wyjaśniać, kim była Tomiko.

Rzadko zdarzało się, że cała trójka zbierała się razem, a już zwłaszcza ciężko się było spodziewać że stanie się to na comiesięcznym spotkaniu Wydziału Zdrowia. Przyszło mi na myśl, że być może rozpętała się epidemia jakiejś nowej choroby.

– Mamy dziś do omówienia priorytetową sprawę, więc pominiemy raporty z poszczególnych sekcji – obwieścił Kaneko, brzmiąc bardziej nerwowo niż zazwyczaj. – Tydzień temu sześciu

żołnierzy kolonii Nasteczników, którym badacze z Farm Lotosu powierzyli zebranie próbek, zostało zaatakowanych przez nieznaną agresorów. Dwoje z nich zmarło od trucizny którą nasączone były strzały napastników.

Rozległy się liczne pomruki zgromadzonych w sali ludzi. Nie oznaczało to, że ta sprawa wydaje się wszystkim bardzo ważna; wręcz przeciwnie – każdy zastanawiał się raczej dlaczego śmierć paru dziwoszczurów ma być głównym tematem zebrania.

– W obecnym momencie żadna z kolonii obco... dziwoszczurów nie ma pozwolenia na prowadzenie wojny. Nie mamy też żadnych wniosków oczekujących na rozpatrzenie. Oznacza to, że tamta napaść była jawnym pogwałceniem przepisów i zasługuje na wymierzenie kary agresorom. Dwóch obcogatunkowców oczekuje w innej izbie na złożenie zeznań, dzięki którym będziemy mogli zdecydować, jakie konsekwencje należy wyciągnąć. Zanim ich wysłuchamy, wszyscy powinniśmy zaznajomić się z aktualnym rozkładem sił i stosunkami między koloniami. Saki Watanabe, zechciałabyś być tak uprzejma.

– Oczywiście – odparłam, wstając lekko poddenerwowana. Podeszłam do tablicy i ukloniłam się zgromadzonym gościom. Zazwyczaj zajmował się tym pan Watabiki, jednak tamtego dnia wiedziałam już o dziwoszczurach więcej niż ktokolwiek inny.

– Po serii przetasowań jakie nastąpiły na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, różne kolonie obcogatunkowców na terenie Kanto utworzyły dwie frakcje o porównywalnej sile bojowej. – Narysowałam na tablicy pionową linię, tworząc prowizoryczny wykres. Nawet pomimo tego, że korzystałam z cantusu, moje pismo nadal było strasznie koślawe. – Pierwszą z nich jest stronnictwo skupione wokół kolonii Olbrzymich Szerszeni – kontynuowałam. – Sama ona liczy około sto tysięcy żołnierzy. Do podległych ich kolonii należą Klecanki, Nasteczники, Mrówki Rudnice, Biegacze, Omarlice, Modliszki, Ważki, Jelonki Rogacze, Pływaki Żółto-brzeżki, Świerszcze, Pasikoniki i Śpieszki. Łącznie liczą mniej więcej pięćset

tysięcy wojowników. Udowodniły już, że są bezwzględnie lojalne ludziom; powierzamy im ważne prace fizyczne.

– Mogę zadać pytanie? – Shisei Kaburagi uniósł dłoń. Mimo, że zakola na jego głowie trochę się powiększyły, w swoich przyciemnianych okularach nadal wyglądał tak imponująco jak zwykle.

– Proszę bardzo – odparł cicho pan Kaneko.

– Dziwoszczury... czy tam obcogatunkowcy – co właściwie sprawia, że ich kolonie trzymają się razem? Czy większość z ich grup nie jest z natury monolityczna?

– Można powiedzieć, że frakcja Olbrzymich Szerszeni jest czymś na kształt feudalnego społeczeństwa. Każda z kolonii służy własnej królowej, jednak składa przysięgę lojalności Olbrzymim Szerszeniom. Jeśli jedna kolonia zostanie zaatakowana, jest to postrzegane jako napaść na całą koalicję. Płodne samce są wymieniane między poszczególnymi grupami, a gdy królowa się zestarzeje i nie jest już w stanie wydawać na świat potomstwa, jej następczyni jest wybierana spośród pozostałych kolonii. W ten sposób wzmacniane są więzy krwi i znacznie zmniejsza się prawdopodobieństwo zdrady.

Shisei Kaburagi skinął głową.

– Drugim ze stronnictw jest frakcja Łowików. Same Łowiki posiadają około pięćdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy; jeśli doliczyć do tego siły podległych im kolonii Chrysopsów, Omacnic, Niedźwiedziówek Nożówek, Światłówek, Błękitnych Stonóg, Pająków Krzyżaków, Ręczyc i Cykad, dysponują łącznie armią liczącą od dwustu pięćdziesięciu tysięcy do trzystu tysięcy żołnierzy. Również są bardzo lojalne w stosunku do ludzi i kilkakrotnie sugerowały nam, że powinniśmy dopuścić je do prac które zlecamy obecnie wyłącznie Olbrzymim Szerszeniom... Wracając do pańskiego poprzedniego pytania, wewnętrzne zależności między koloniami tej frakcji są znacznie bardziej skomplikowane. Wiele z nich zmieniło nawet nazwy, przyjmując imiona fortec bądź wojskowych oddziałów.

– Co masz na myśli? – zapytał Shisei.

– Po pierwsze, we wszystkich tych koloniach wybuchły rewolucje, których skutkiem było zdetronizowanie królowych. Obecnie całą władzę sprawuje grupa wybranych reprezentantów. Przedstawiciele każdej z kolonii tworzą radę, która podejmuje decyzje dotyczące całego stronnictwa. Jedyną rolą królowych jest reprodukcja.

Szept ponownie wezbrał na sile. Większość ludzi wiedziała o zmianach w strukturze społecznej dziwoszczurów mniej więcej tyle samo, co o ruchach płyt tektonicznych. Nie mieli pojęcia, że kolonie traktują swoje królowe jak zwierzęta hodowlane.

– Praktycznie wszystkie grupy przyłączyły się do któregoś z tych dwóch stronnictw, tak, że zostały już tylko nieliczne wolne kolonie. Prawdopodobnie jedyną niepodległą kolonią, która dysponuje liczącymi się siłami są Krocionogi, które przybyły z kontynentu i znaturalizowały się.

– Rozumiem... Czyli można zasadniczo stwierdzić, że z dużym prawdopodobieństwem za atak odpowiadają Łowiki lub Krocionogi?
– Shisei Kaburagi nie dawał za wygraną.

Rzuciłam spojrzenie panu Kaneko, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Opierając się na dokładnej analizie śladów pozostawionych na miejscu zdarzenia, ustaliliśmy że napastnikami były Trociniarki Czerwice.

– Trociniarki Czerwice? – zapytał z niedowierzaniem. – tej nazwy nie ma na liście stronników żadnej z frakcji. Nie są one też niezależną kolonią.

– Trociniarki Czerwice zadeklarowały neutralność przeszło dekadę temu – odparłam. – Właśnie z tego powodu nie ma ich na żadnej z list, jednak biorąc pod uwagę obecną sytuację możemy uznać je za sojuszników Łowików. To naprawdę wyjątkowa sytuacja.

Nie chciało mi przejść przez gardło, że być może to przeze mnie i Satoru obie kolonie zbliżyły się do siebie dwanaście lat temu.

– Rozumiem. Więc tak mają się sprawy! – wykrzyknął Koufuu Hino, rozglądając się po zgromadzonych z uśmiechem na swojej ogromnej twarzy. Jego łysa głowa lśniła czerwono. – Innymi słowy, eksterminacja pojedynczej kolonii może nie rozwiązać problemu. Jeśli frakcja Łowików była w to zamieszana, możemy uznać całą sytuację za próbę rebelii przeciwko ludzkiej władzy. Możliwe, że będziemy zmuszeni unicestwić połowę dziwoszczurzej populacji.

– Cóż... Wciąż jest zbyt wcześnie na wysuwanie takich wniosków – odpowiedział pospiesznie pan Kaneko.

Słowa Koufuu zmieniły jednak nastroje panujące w pokoju obrad. Zabicie ponad trzystu tysięcy dziwoszczurów było poważną sprawą. Właśnie dlatego wśród zebranych znajdowali się wszyscy troje najważniejsi ludzie w dystrykcie.

– Chciałbym wezwać przedstawicieli obcogatunkowców. Jest z nami najwyższy dowódca kolonii Olbrzymich Szerszeni, Kiroumaru oraz rzecznik kolonii Łowików, Yakomaru. Czy ktoś zgłasza sprzeciw? Jeśli nie, chciałbym zacząć od wysłuchania zeznań Kiroumaru.

Jedyną osobą, która zabrała głos była słuchająca dotychczas w milczeniu Tomiko.

– Jako obserwator zgromadzenia nie mam zamiaru wydawać poleceń, jednak chciałabym zasugerować, abyśmy przesłuchali ich obu jednocześnie. Jeśli ich zeznania będą się różnić, bezpośrednia konfrontacja obu wersji pomoże nam ocenić, który z nich mówi prawdę.

– Rozumiem. Zrobimy tak, jak radzisz. W takim razie, proszę. – Pan Kaneko wykonał ruch głową.

Pan Watabiki szybko wyszedł z pomieszczenia i wprowadził dwójkę dziwoszczurów.

Odziany w białe szaty i dorównujący wzrostem ludziom Kiroumaru szedł przez salę niespiesznym krokiem. Wyglądał jeszcze bardziej imponująco niż przed czternastoma laty, jednak jego

sylwetka zdradzała pewne oznaki podeszłego wieku. Najwyraźniej dziwoszczury starzały się szybciej od ludzi, choć nie aż tak szybko jak golce.

Za Kiroumaru do pokoju wkroczył Yakomaru, również ubrany na biało. Był znacznie niższy, jednak był w sile wieku i wyglądał na bardzo dostojnego i tryskającego energią. Dziwoszczury stanęły z dala od siebie po przeciwnych stronach izby, unikając swojego wzroku.

– Chciałbym więc skierować pierwsze pytanie do Kiroumaru z Olbrzymich Szerszeni – powiedział pan Kaneko poważnym głosem.

– Kolonia Nasteczników należy do frakcji Olbrzymich Szerszeni, zgadza się?

– To prawda – odparł nieco ochryple Kiroumaru.

– W ubiegłym tygodniu, sześciu żołnierzy Nasteczników zostało zaatakowanych przez nieznanych napastników, w wyniku czego dwoje z nich poniosło śmierć. Wiedziałaś o tym?

– Tak.

– Podejrzewasz kogoś?

– Opierając się na raportach, które złożyli mi ocalali, twierdzę, że za napaść odpowiada bezpośrednio kolonia Trociniarek Czerwic.

– Bezpośrednio? Czy więc uważasz, że wykonywały czyjeś rozkazy?

– Tak. – Kiroumaru utkwiał wzrok w Yakomaru. – Trociniarki Czerwice należą do stronnictwa Łowików. Zakładam więc, że to właśnie Łowiki zleciły im atak.

Zdawało się, że Yakomaru chce coś odpowiedzieć, jednak widząc twarze zgromadzonych ludzi, uznał, że nie warto się wtrącać.

– Teraz zapytam Yakomaru z kolonii Łowików. Czy nakazaliście Trociniarkom Czerwicom atak na wojowników Nasteczników?

– Absolutnie nie! – wykrzyczał Yakomaru, krzyżując ramiona na piersi. – Przysięgam na bogów ziemi i niebios, że nigdy nie wydaliśmy podobnego rozkazu!

– Czy jednak kolonia Trociniarek Czerwic nie jest z wami sprzymierzona? Lub, będąc dokładniejszym - czy nie jest od was zależna?

– To prawda, że zacieśniliśmy więzy z Trociniarkami Czerwicami i pracujemy na rzecz przyszłego połączenia sił, jednak nasze wysiłki są jak na razie bezowocne. Są dwa powody takiego stanu rzeczy. Po pierwsze, większość członków ich kolonii trzyma się sztywno starych zasad i ani myśli rezygnować z monarchii. Po drugie, już od jakiegoś czasu Trociniarki Czerwice są czujnie obserwowane przez kolonię Olbrzymich Szerszeni. Sprzymierzenie się z nami oznaczałoby dla nich proszenie się o bardzo nieprzyjemne konsekwencje, więc w gruncie rzeczy ich wybór jest koszmarnie ograniczony.

– Kiroumaru, czy Yakomaru mówi prawdę?

– To nonsens. Z ust tego wytrawnego oszusta płynie jedynie stos kłamstw. – Kiroumaru wyszczerzył zęby w wilczym grymasie. – To totalny absurd. Proszę, nie ufajcie słowom tego podstępного gada. Odnosząc się do jego pierwszego zarzutu – według moich informacji Trociniarki Czerwice już od dawna są zakładnikami Łowików. Po drugie natomiast, mogę przysiąc, że nigdy nie w żaden sposób nie groziliśmy kolonii Trociniarek Czerwic.

– Yakomaru. – Pan Kaneko zwrócił się do drugiego dziwoszczura.

– Jestem zszokowany. Królowa Trociniarek Czerwic zakładniczką? Któż może rozprzestrzeniać tak niedorzeczne plotki? Królowa cieszy się obecnie dobrym zdrowiem i sprawuje pełną władzę nad swoją kolonią, pomimo, że powierzyła wszystkie sprawy polityczne swojemu zaufanemu doradcy, Quichy’emu.

– Jakaż czelność musisz mieć, żeby tak bezceremonialnie łąć bogom w twarz? Powiniennem wyrwać ten twój plugawy jęzor – warknął Kiroumaru, kipiąc gniewem.

– Kiroumaru, nie powinieneś się odzywać, jeśli nie zostaniesz o to poproszony.

Słyszając upomnienie, Kiroumaru lekko się uklonił.

– Yakomaru, mam kilka pytań. – Tomiko wystąpiła naprzód. – Powiedziałeś, że królowa Trociniarek Czerwic jest zdrowa, ale powierzyła sprawowanie władzy regentowi. Czy to prawda?

– Tak, w istocie – odparł zadowolony z siebie Yakomaru. Gdyby miał choć cień pojęcia o tym, kim jest Tomiko, z pewnością padłby jej do stóp.

– Hmm. Skoro jednak wiesz tak dużo o wewnętrznych sprawach ich kolonii, czy nie oznacza to, że macie z nimi znacznie więcej wspólnego niż Kiroumaru?

– Och... No cóż... Tak jak wcześniej wspomniałem, wkładamy olbrzymi wysiłek w polepszenie relacji między naszymi koloniami... Siłą rzeczy wiem więc co nieco o ich wewnętrznych sprawach. – Przyłapany na kłamstwie Yakomaru zaczął się pocić. – A-ale niezależnie od tego jak blisko jesteśmy z nimi związani, nigdy nie pomyślelibyśmy nawet, żeby rozkazać im aby sprzeciwili się woli bogów. Gdybyśmy to zrobili, ściągnęlibyśmy na siebie boski gniew. Dlaczego mielibyśmy podejmować tak samobójcze działanie?

– Czyli sugerujesz, że Trociniarki Czerwice działały na własną rękę? Według mnie coś takiego również nie ma sensu.

– Tak. I mam na ten temat kilka teorii. Mogę je przedstawić? – Yakomaru szybko odzyskał dawny spokój i opanowanie.

– Oczywiście. Mów.

– Na potrzeby tej dyskusji przyjmijmy, że to my zleciliśmy Trociniarkom Czerwicom atak, bądź że działały one z własnej inicjatywy. W obu tych przypadkach, napaść na inną kolonię bez zgody bogów byłaby czystym szaleństwem. Co jednak, gdyby cały ten incydent został upozorowany przez kolonię Nasteczników?

Kiroumaru spiorunował go wzrokiem tak intensywnie, że wydawało mi się, że widzę tryskające z jego oczu iskry. Yakomaru zupełnie to zignorował.

– Pozyskanie broni i pancerzy Trociniarek Czerwic nie było dla nich niemożliwe. Prawdopodobnie podzielili się na dwie grupki,

z których jedna ukartowała atak a druga wcieliła się w rolę ofiar. Siła bojowa frakcji Kiroumaru i mojej jest porównywalna, więc gdybyśmy starli się w bezpośredniej walce, obie strony poniosłyby ciężkie straty. Z trudem przechodzi mi to przez gardło, ale przypuszczam, że Olbrzymie Szerszenie chciały przy pomocy bogów zniszczyć nasze stronnictwo, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo.

Zaciśnięte pięści Kiroumaru zatrzęśły się z gniewu. Wyglądał, jakby miał zaraz rzucić się na Yakomaru, ale jakoś zdołał się powstrzymać dzięki swojej żelaznej silnej woli.

– Ale dwóch żołnierzy Nasteczników zginęło – wtrącił się pan Kaneko.

– Myślę, że strata kilku istot nie dla nich nie znaczy. To właśnie jest podstawowa różnica między naszymi koloniami. W demokratycznym społeczeństwie, takim jak nasze, każda żywa istota ma równe prawa i jest nie do zastąpienia. Stary system służy jednak wyłącznie królowej, a żołnierze nie są niczym więcej jak narzędziami, które można wymienić na nowe.

Nie ulegało wątpliwości, że Yakomaru jest iście złotousty. Potrzebował zaledwie kilku słów by odeprzeć wszystkie argumenty Kiroumaru i obrócić je przeciwko niemu. Pomimo, że każdy ze zgromadzonych w mniejszym bądź większym stopniu mu nie ufał, nie dało się zaprzeczyć, że posłużył się bezbłędną, żelazną logiką.

– Myślisz, że to, co powiedział Yakomaru ma sens? Wcześniej mówiłeś, że dowiedzieliście się, że to Trociniarki Czerwice stoją za atakiem – zwróciła się Tomiko do pana Kaneko.

– Tak... No cóż, choć zdrowy rozsądek podpowiada inaczej, nie możemy całkowicie odmówić słuszności jego słowom. Przyznaję, że nie wzięliśmy pod uwagę możliwości upozorowania napaści – odparł ze zmieszaniem pan Kaneko.

Ostatecznie nie podjęto żadnej decyzji, a zebranie zostało odłożone na następny dzień. Odgłos kroków nadciągającej zagłady stał się jeszcze wyraźniejszy a my straciliśmy ostatnią z bezcennych szans na odroczenie nieuchronnej katastrofy.

Widok stutysięcznej armii był niezaprzeczalnie majestatyczny. Zbroje żołnierzy, pomalowane w żółto-czarne pasy przypominające ubarwienie szerszeni, od których kolonia wzięła swoją nazwę, błyszcząły olśniewająco w promieniach słońca. Tysiące chorągwi powiewało jednym rytmem niczym pojedynczy organizm; bitewne okrzyki wojowników sprawiały, że nawet drzewa zaczęły drżeć.

– Nie dalej niż za godzinę będziecie świadkami anihilacji naszych przeciwników – zadeklarował Kiroumaru.

Widząc jego pewność siebie, nietrudno było dać mu wiarę.

– Znam ich taktykę. Mają niewielkie szanse na zwycięstwo, jeśli przypuszczą zmasowany szturm, więc podzielią się na niewielkie oddziały, które będą próbowały atakować z zasadzki, zabezpieczając strategiczne pozycje. Są jednak strasznie naiwni, jeżeli myślą, że nie przejrzałem tak prymitywnego planu. Zamierzam dać im lekcję, której nigdy nie zapomną.

– Życzę ci szczęścia podczas bitwy. – Stojąc pośrodku ogromnej armii i ściskając plik papierów, miałam wrażenie, że duchem znajduję się w zupełnie innym miejscu. – My jednak pozostaniemy neutralni. Jeśli wróg tu dotrze, po prostu się wycofamy. Nie muszę dodawać, że nie wspomozemy was w żaden sposób.

– Rozumiem. – Na obliczu Kiroumaru zagościł jego wilczy uśmieszek. – Nie musicie się jednak przejmować. Nie doleci tu nawet jedna wroga strzała.

– W porządku. No tak... Główna armia Olbrzymich Szerszeni liczy sto tysięcy żołnierzy. Po drugiej stronie stoją połączone siły Chrysopsów, Omacnic, Światłówek, Pająków Krzyżaków i Cykad, których łączna liczebność wynosi sto czterdzieści tysięcy wojowników. He...? Dlaczego nie ma wśród nich głównej armii Łowików? – spytałam, unosząc wzrok znad raportu.

– Powinnaś zapytać tego kłamliwego tchórza. Wątpię jednak że znalazłby dość odwagi żeby stawić nam czoła, nawet mimo przewagi liczebnej. Prawdopodobnie planuje wykorzystać pomniejsze kolonie

do uszczuplenia naszych sił. Niezależnie od całej tej gadaniny o demokratycznym społeczeństwie, bez zawahania posyła żołnierzy na pewną śmierć – prychnął Kiroumaru.

– Rozumiem. Cóż, walcz więc tak, jak uznasz za stosowne.

– Będę.

Dał sygnał żołnierzom i armia zaczęła powoli przemieszczać się do przodu. Połączone siły przeciwnika, ewidentnie bardziej liczebne od Olbrzymich Szerszeni, w odpowiedzi również zaczęły iść naprzód.

– Powinnaś trochę się cofnąć – powiedział Inui, strażnik z Sekcji Ochrony Przyrody, wysłany żeby mnie ochraniać. – Jakiś zabłąkany pocisk może tu dolecieć.

– Co masz na myśli, mówiąc o pociskach?

– Obecnie podczas swych wojen dziwoszczury nie korzystają już tylko z łuków i strzał, lecz także z arkebuzów. Kule są zbyt szybkie by dało się je dostrzec, więc nie można zatrzymać ich cantusem.

Szybko oddaliłam się na bezpieczną odległość. Gdy tylko to zrobiłam, okrzyki bitewne przybrały na sile, zupełnie jakby żołnierze czekali, aż się wycofam. Dwie armie rozpoczęły potyczkę.

Najpierw w powietrze wleciały strzały a już po chwili usłyszeliśmy donośne wystrzały i ujrzeliśmy wzbijającą się w górę chmurę dymu.

Stojąc na wzgórzu, obrzuciłam wzrokiem pole bitwy. Ustawione w formację klina, uzbrojone we włócznie Olbrzymie Szerszenie pędziły na spotkanie szeregowi łuczników i strzelców armii sprzymierzonych kolonii. Sprzymierzeńcy Łowików najprawdopodobniej liczyli, że dzięki zmasowanemu atakowi uda im się powstrzymać szarżujących przeciwników, ale ich plan błyskawicznie spalił na panewce. Olbrzymie Szerszenie gnały wprost na nich przez nawałnicę pocisków bez choćby chwili zawahania.

Kiedy uważnie przyjrzałam się wojownikom idącym na czele klina, dostrzegłam że trzymają w dłoniach dziwnie ukształtowane tarcze.

– Dzięki nim są w stanie odbijać kule – wyjaśnił Inui.

Pomimo, że był chudszy i niższy ode mnie, Inui dysponował taką energią i wytrzymałością, że mógł całe dni wędrować przez leśne ostępy bez odpoczynku. Te cechy w połączeniu z olbrzymim doświadczeniem jakie nabył na stanowisku inspektora ochrony przyrody czyniły z niego najbardziej wykwalifikowanego pracownika Wydziału Zdrowia.

– Kule mogą z łatwością przebić zwyczajną zbroję, jednak kiedy uważnie przyjrzesz się tarczom, zobaczysz, że są skośne. Dzięki temu mogą odbijać pociski na boki.

Wyjaśnił, że pierwszym etapem produkcji tarcz było ułożenie w kształt litery V rzędu bambusowych tyczek, na które naklejano następnie warstwy lnianych włókien i suszono je aż się usztywniły. Później pokrywano powierzchnię grubą warstwą wosku, a na końcu mocowano na niej metalowe pręty. Tak zbudowana tarcza była w stanie odbić większość pocisków.

– Bambusowa część tarcz jest dokładnie taka sama jak te używane przez starożytną cywilizację podczas Okresu Walczących Królestw. Dodatek lnu, wosku i metalu, jak również zastosowanie odpowiednio wyprofilowanej powierzchni odbijającej pociski jest już jednak pomysłem samych dziwoszczurów.

– Nie mogę w to uwierzyć. Wiedziałam, że są sprytnie, ale...

– Nie wiem, czy one rzeczywiście wiedzą cokolwiek na temat uzbrojenia wykorzystywanego w Okresie Walczących Królestw, ale ciężko jest wyobrazić sobie, że same to wszystko wymyśliły. Jestem przekonany, że posiadają jakieś źródło wiedzy.

Natychmiast pomyślałam o fałszywym minoshiro. Kiedy dwanaście lat temu odwiedziliśmy z Satoru kolonię Łowików, zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie udało im się schwytać jednego z fałszywych minoshiro. Oczywiście Olbrzymim Szerszeniom też mogła udać się ta sztuka; ponieważ jednak istnienie fałszywych minoshiro było tajemnicą, nie mogłam powiedzieć o tym Inuiemu.

Szale zwycięstwa zaczęły przechylać się na stronę Olbrzymich Szerszeni. Łucznicy zaczęli zasypywać strzałami wrogich strzelców, prac do przodu podczas przerw między salwami.

– Tak samo jest w przypadku arkebuzów. Nie są zbyt efektywne, ponieważ można z nich oddać tylko jeden strzał, po którym trzeba wyczyścić je od środka i załadować prochem i kulami. Dopiero wtedy można strzelić po raz kolejny. Dziwoszczury zdołały jednak prawie całkowicie pominąć ten krok. W starożytnej Japonii wynaleziono prymitywny nabój, a dziwoszczury jeszcze bardziej uprościły jego budowę. To bardzo usprawniło cały proces.

Spojrzałam na strzelców którzy po oddaniu strzału ładowali broń i przygotowywali się do następnej salwy.

– Nie wiem do końca w jaki sposób są zbudowane, ale podstawowy zamysł bazuje na owijaniu kul i prochu w nasączony oliwą papier i ładowaniu tak przygotowanych pocisków wprost do luf, co umożliwia oddawanie strzału po strzale... Czasami ich inteligencja mnie przeraża.

Przytłoczone różnicą w sile ognia Olbrzymie Szerszenie mogły wybrać odwrót i walkę na dystans, jednak zamiast tego nieustępliwie parły naprzód, rozpoczynając brutalną walkę w zwarciu.

– Wiesz chyba wszystko o dziwoszczurach, prawda? Myślałam, że to ja mam na ich temat rozległą wiedzę...

– Nie, to nie tak... Twoja wiedza z pewnością jest znacznie bardziej kompleksowa. Ja po prostu dzięki swojej pracy miałem wiele okazji, żeby przyjrzeć się od wewnątrz funkcjonowaniu kolonii – powiedział Inui, czerwieniąc się. – Wiesz jak nazywają w swoim języku nas, strażników Ochrony Przyrody? Normalni ludzie są bogami. My jednak jesteśmy dla nich bogami śmierci. Cóż, nie można chyba mieć im za złe, że nadały nam ten przydomek.

W przeciwieństwie do tego, co sugerowała nazwa, pracownicy Sekcji Ochrony Przyrody nie mieli wiele wspólnego z ochranianiem natury. Do ich głównych zadań należało zwalczanie szkodników

i pozbywanie się dziwoszczurów, które złamały ustanowione przez ludzi prawo.

– Tak czy inaczej, odwiedziłem wiele kolonii i nie mam najmniejszych wątpliwości, że Olbrzymie Szerszenie są najsilniejszą z nich. Zwłaszcza ich technika walki w zwarciu robi ogromne wrażenie.

– Dlaczego są tak potężne?

Inui uśmiechnął się. – To tajemnica, której nie wyjawiałem nawet swoim przełożonym, jednak z tobą podzielę się tym sekretem. Przed każdą bitwą ich żołnierze zażywają pewien specyfik.

– Specyfik? Masz na myśli coś w rodzaju narkotyku?

– Można tak powiedzieć. Mieszają konopie ze specjalną psychotropową substancją, którą pozyskują z moczu królowej. Skład mikstury jest tajemnicą, lecz wygląda na to, że kiedy ją zażyją, ich umysły się oczyszczają, poczucie obowiązku wzrasta i wyzwala się niepohamowana agresja, podczas gdy poczucie jakiegokolwiek strachu jest silnie tłumione. W ten sposób rodzi się żołnierz doskonały.

Poczułam jak po plecach przebiegają mi ciarki. Wojownicy Olbrzymich Szerszeni w istocie kotłowali się na polu bitwy, rzucając się na wrogów bez chwili zawahania. Widząc tą scenę przypomniałam sobie podobne wydarzenie sprzed czternastu lat, kiedy to Olbrzymie Szerszenie atakowali ogromnych mutantów Ziemych Pająków z odwagą i zaciekłością, która wręcz graniczyła z lekkomyślną brawurą.

Upłynęła nieco ponad godzina, kiedy walka dobiegła końca. Armia sprzymierzonych kolonii, która rozpoczęła potyczkę z przewagą liczebną, skurczyła się teraz o połowę. Ci żołnierze, którzy przeżyli, kulejąc umykali w niewielkich grupkach. Pozostałe dziwoszczury leżały martwe na polu bitwy.

– Jestem ogromnie zawstydzony, że nie zdołałem dotrzymać obietnicy – oznajmił Kiroumaru, wracając ze swojego stanowiska na czele oddziałów. – Trudno mi uwierzyć, że pozbycie się tej zbieraniny

nieudaczników zajęło mi ponad godzinę. – Kiroumaru uśmiechał się, lecz w jego oczach można było dostrzec chłodny, wilczy błysk.

Wróciłam do Wydziału Zdrowia i właśnie sporządzałam raport z bitwy, kiedy nadszedł wyglądający na wytrąconego z równowagi pan Watabiki.

– Witam ponownie.

– Ach, Saki. I jak poszło?

– Olbrzymie Szerszenie odniosły miażdżące zwycięstwo... Myślę, że Łowikom trudno się będzie po tym pozbierać.

– Rozumiem. Cóż, ponieważ dowodził Kiroumaru, nie dziwi mnie taki rezultat.

Myśl o niezliczonych zwłokach jakie zalegały teraz na polu bitwy napelniała mnie przygnębieniem. Pomimo, że dziwoszczury były gryzoniami były dość inteligentne by dopuszczać się tak brutalnych aktów.

Nie było jednak czasu na okazywanie im współczucia. Gdybyśmy po prostu pozostawili tam wszystkie ciała, wiązałoby się to z dużym ryzykiem rozprzestrzenienia się chorób zakaźnych. Zazwyczaj sprzątanie po walce należało do obowiązków Sekcji Zdrowia Środowiskowego, ale odkąd dziwoszczury zawarły między sobą tymczasowy rozejm, to im przypadło grzebanie zmarłych. Mimo tego masowa kremacja z wykorzystaniem cantusu i tak mogła okazać się niezbędna.

– Jak to wyglądało po pana stronie?

– Hmm... Cóż, wynik był dość zaskakujący – odparł pan Watabiki z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Ma pan na myśli, że Trociniarki Czerwice zwyciężyły?

– Tak, w pewnym sensie... Nasteczники przeszły na stronę przeciwnika.

– He?

Zaniemówiłam. Nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam, że w pełni rozumiem stosunki jakie panują między koloniami. Zdrada

Kiroumaru przez Nasteczники i przejście ich kolonii na stronę Yakomaru było równie nieprawdopodobne jak wschód słońca na zachodzie.

Czy cała ta wojna nie rozpętała się właśnie dlatego, że Nasteczники zostały zaatakowane przez Trociniarki Czerwice? Teraz jednak obróciły się one przeciwko swoim sprzymierzeńcom i połączyły siły z wrogiem.

Nagle sobie przypomniałam. Tuż po napaści, Nasteczniki natknęły się na pracownika Farm Lotosu i opowiedziały mu o całym zajściu. Do Sekcji Kontroli Obcogatunkowców nigdy jednak nie wpłynęła żadna wystosowana przez kolonię oficjalna skarga.

Dlaczego? Dziwoszczury były stworzeniami z natury mściwymi, więc nie można było spodziewać się, że po takim ataku po prostu się ukryją i będą pokornie lizać swoje rany. Mogłoby się tak stać jedynie, jeśli przeciwnik dysponowałby przytłaczającą przewagą, jednak Nasteczniki miały po swojej stronie całą frakcję Olbrzymich Szerszeni, więc to one byłyby w lepszej pozycji.

– Jak w takim razie potoczyła się bitwa?

– Nasteczniki opuściły formację i dołączyły do Trociniarek Czerwic. Sprzymierzone z Nastecznikami kolonie Biegaczy, Omarlic i Mrówek Rudnic były kompletnie dezorientowane. Nie były w stanie się obronić i zostały całkowicie zmiażdżone.

– Jestem w szoku.

– To rzeczywiście dość tajemnicze.

– W takim razie, jako że każda ze stron ma na swoim koncie zwycięstwo i porażkę, wróciliśmy do punktu wyjścia.

– Nie powiedziałbym. Nawet w obecnej sytuacji nie wydaje mi się, że walkę między frakcjami można by nazwać sprawiedliwą. Zdrada Nasteczników jest oczywiście bolesnym ciosem dla Olbrzymich Szerszeni, lecz myślę, że mimo tego to one nadal mają przewagę.

Optymistyczne przekonanie pana Watabiki (które brało się z faktu, że zwycięstwo Olbrzymich Szerszeni byłoby nam bardziej na

rękę, jako, że były one najlojalniejszą w stosunku do ludzi kolonią) już po czterech dniach zostało starte w proch przez brutalną rzeczywistość.

Niespodziewanie to Satoru przyniósł nowinę.

– Saki! Słyszałaś? – wykrzyczał, wpadając do pokoju, zziębnięty i zarumieniony.

– O czym? – spytałam, spoglądając na niego w osłupieniu.

– O wojnie! Odbyła się ostateczna bitwa między głównymi siłami Olbrzymich Szerszeni i Łowików.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Mówiłam, że z reguły informują mnie o planowanych walkach, jednak niektóre ze starć wybuchają zupełnie nieprzewidzianie... Mimo to powinny przynajmniej dać mi znać gdzie i kiedy odbędzie się potyczka, żebym mogła się tam zjawić w roli obserwatora i sporządzić raport.

– Więc nie znasz rezultatu?

– Nie... A ty znasz?

– Akurat tak się złożyło, że przechodziłem w pobliżu miejsca bitwy. Koniecznie potrzebowałem pewnych próbek do badań, jednak ponieważ dziwoszczury, które zawsze wykorzystywałem w tym celu są obecnie nieosiągalne, musiałem sam wyruszyć na poszukiwania.

– To niebezpieczne. Wchodzenie na teren przeznaczony na ich wojnę jest zabronione – powiedziałam, marszcząc brew.

– Tak, wiem, ale musiałem ukończyć eksperyment w ściśle określonym czasie... Myślę, że od bitwy musiał minąć już co najmniej jeden dzień. Znalazłem ukrywającego się rannego żołnierza, więc udzieliłem mu pierwszej pomocy i spytałem, co się stało.

Nie wchodząc w szczegóły, opatrywanie zranionych w bitwie dziwoszczurów było uznawane za wtrącanie się w ich wojny i surowo zabronione. To nie było jednak teraz istotne. Chciałam wiedzieć, co tam zaszło.

– Więc co się stało? Czy Olbrzymie Szerszenie zwyciężyły?

Satoru pokiwał przecząco głową.

– Wręcz przeciwnie – powiedział. – Zostały kompletnie rozgromione.

– Że co? Nie wierzę! – wydałam z siebie zduszony okrzyk.

– Tamten żołnierz nie mówił zbyt dobrze po japońsku, więc nie wiem, co dokładnie miało tam miejsce, ale cała armia została zmieciona z powierzchni Ziemi... Zmasakrowana. Wygląda na to, że Kiroumaru zdołał się ewakuować, ale nie wiadomo gdzie się obecnie znajduje.

Rozdział 2

Nastrój panujący w siedzibie Rady Bezpieczeństwa był przygnębiająco ponury.

– Czy ktoś ma jakieś pytania dotyczące zeznań Satoru Asahiny?
– spytał cicho przewodniczący Rady, Shisei Kaburagi.

Odpowiedzią była krótka cisza.

Tym razem obecne były chyba wszystkie najważniejsze osoby dystryktu. Tomiko z Komisji Etyki. Przewodnicząca Rady Edukacji, Hiromi Torigai. Koufuu Hino, przedstawiciel Kolegium Zawodów. Moja matka, główna bibliotekarka Mizuho Watanabe. Mój ojciec, burmistrz Takashi Sugiura, Obecny był też Hiroshi Kaneko z Wydziału Zdrowia i wszyscy jego podkomendni. Zabrakło jedynie Naczelnego Mnicha Mushina, który liczył już sobie przeszło sto lat, jednak reprezentowała go dwójka mnichów ze Świątyni Czystości.

Pierwszy odezwał się mój ojciec.

– Asahina-kun, chciałbym usłyszeć twoją teorię na temat tego, w jaki sposób doszło do unicestwienia kolonii Olbrzymich Szerszeni.

Satoru zagryzł usta.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Biorąc jednak pod uwagę samą liczbę ciał pozostałych na polu bitwy jak również to, że wszystkie należały do żołnierzy Olbrzymich Szerszeni, odniosłem wrażenie, że miała tam miejsce wybitnie jednostronna rzeź.

– Co było główną przyczyną ich śmierci?

– Tego również nie wiem. Niektóre zwłoki były poprzebijane strzałami, lecz znaczna większość była zmasakrowana ponad wszelkie wyobrażenie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że były zmasakrowane?

– Wiele z ciał było posiekanych w plastry lub mocno podziurawionych, zupełnie jakby były żywymi celami na strzelnicy.

– Czego dowiedziałeś się od żołnierza, który zdołał przetrwać?

– Potrafił wymówić tylko kilka słów, więc usłyszałem rzeczy w stylu: „Olbrzymie Szerszenie, zabić”, „masakrować” czy „tylko

Kiroumaru uciec”. Próbowałem spytać się go, co właściwie się wydarzyło, ale zaczął się dusić i wrzeszczeć coś swoim języku.

– Nie mogłeś poprosić go, żeby ci to przetłumaczył?

– Nie. Po kilku chwilach był już martwy.

Ponownie zapadła cisza.

– Panie przewodniczący – odezwała się Tomiko, podnosząc wzrok. – Co wykazały analizy pola bitwy?

Oczy wszystkich zgromadzonych zwróciły się w stronę Shiseia Kaburagięgo.

– Wczoraj, po wysłuchaniu historii Satoru Asahiny, udałem się na miejsce potyczki; niestety, było ono już jednak skrupulatnie wyczyszczone z wszelkich śladów i dowodów.

– Wyczyszczone? Co masz na myśli?

– Cała okolica została nasączona jakąś oleistą cieczą, którą następnie podpalono. Wszystko wokół obróciło się w popiół.

Ludzie zaczęli szeptać między sobą.

– Czy to nie dowodzi, że dziwoszczury miały coś do ukrycia...?

– zapytała Hiromi Torigai swoim cichym głosem.

– Hahahahahaha. – Nie wiedzieć czemu, Koufuu Hino zaczął się rechotliwie śmiać.

– Masz jakąś inną teorię na temat tego, co mogło się tam wydarzyć?

– Mam pewną tezę, ale ponieważ nie posiadam żadnych dowodów na jej podparcie, chciałbym przedstawić ją na samym końcu – odparł Shisei Kaburagi nienaturalnie podniosłym głosem.

– Wątpię, że spaliły zwłoki z powodów sanitarnych. Nie ulega wątpliwości, że chciały ukryć przed nami metodę zabijania – odezwała się moja matka.

– Czegoś tu nie rozumiem... – powiedziała Tomiko, zwracając się w jej stronę. – Ostatnimi czasy technologia dziwoszczurów rozwija się w tak błyskawicznym tempie, że muszą według mnie posiadać jakieś źródło informacji.

– Mówisz o fałszywym minoshiro?

– Tak. Możliwe, że w okolicy wciąż pozostało kilka Zautomatyzowanych Archiwów Biblioteki Zgromadzenia Narodowego. Dziwoszczury mogły schwytać jednego z nich i wydobyć jego wiedzę.

– Jeśli tak jest w istocie, to czy nasze obecne stanowisko względem fałszywych minoshiro nie jest niewłaściwe? Utrzymywanie ich istnienia w głębokiej tajemnicy jest bezcelowe, skoro wciąż można je napotkać. W ten sposób tylko odkładamy w czasie rozwiązanie problemu. Czy w ogóle podjęliście wysiłki, żeby zniszczyć pozostałe maszyny? – spytał szorstko Shisei Kaburagi.

Pomimo, że jego ostre słowa nie były skierowane do mnie, i tak instynktownie się skuliłam.

– Zniszczenie wszystkich fałszywych minoshiro oznaczałoby pozbycie się ostatnich pozostałych artefaktów spuścizny intelektualnej ludzkości. Komisja Etyki uzgodniła, że coś takiego byłoby dla nas wszystkich wielką stratą – odparła moja matka spokojnie, acz stanowczo.

– Komisja rzeczywiście debatowała nad tą kwestią – dodała Tomiko. – Doszliśmy do wniosku, że jeśli fałszywy minoshiro miały zostać złapany, to niech i tak będzie, jednak nie powinniśmy celowo ich niszczyć. To nie stoi w sprzeczności z naszą obecną polityką... Mizuho-chan, jeśli przyjmujemy, że dziwoszczury schwytały fałszywego minoshiro, to czy możliwe jest, że dowiedziały się od niego w jaki sposób mogą unicestwić armię Olbrzymich Szerszeni?

Moja matka zawahała się przez chwilę.

– Taka wiedza należałaby do klasy czwartej, podkategorii trzeciej, co oznacza, że nikt nie ma prawa jej posiadać...

– Zebranie Rady Bezpieczeństwa ma pierwszeństwo przed wszystkimi innymi sprawami. Jeśli nie potrafimy nawet dyskutować o tym, co już wiemy, nie zdołamy omówić wszystkiego, co zaplanowaliśmy – obruszył się Shisei Kaburagi.

– Nie prosimy cię, żebyś podawała do publicznej wiadomości wszystkie informacje z archiwów. Po prostu powiedz nam to, co

pamiętasz. To nadzwyczajna sytuacja... Czy istnieje sposób, żeby tak doszczętnie zniszczyć kolonię?

Nawet moja matka musiała ugiąć się pod siłą perswazji Tomiko.

– Starożytna cywilizacja posiadała wiele broni masowej zagłady. Wykorzystując jedną z nich, dałoby się natychmiastowo wybić całą armię dziwoszczurów. Nie przychodzi mi jednak do głowy żadna broń, która mogłaby zostać użyta w tej konkretnej sytuacji.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, żadnej z nich nie dało się zbudować w tak krótkim okresie czasu. Stworzenie każdej z nich wymagało wysoce wyrafinowanych technik i zaawansowanej nauki, jak również zaplecza przemysłowego, którym dziwoszczury obecnie nie dysponują. Po drugie, użycie wszystkich znanych mi broni zostawiało pewien widoczny ślad.

– Na przykład?

Moja matka zawahała się, ale kontynuowała.

– Najpotężniejsza była broń jądrowa, ale nie ma mowy, żeby dziwoszczury zdołały zdobyć potrzebne do jej zbudowania materiały. Poza tym, skala zniszczenia okolicy byłaby porównywalna do poprzedniego incydentu z karmicznym demonem... – Mówiąc to spojrzała na mnie, zupełnie, jakby nagle sobie przypomniała, że jestem obecna na sali. – W każdym razie, nie wykryliśmy promieniowania, które jest następstwem detonacji bomby atomowej, więc z pewnością można odrzucić tę możliwość. Nieco mniej efektywną bronią były bojowe gazy, lecz praktycznie niemożliwe jest, żeby dziwoszczury zdołały je wyprodukować.

– Ale Ziemne Pajaki już wcześniej wykorzystywały trujący gaz – wypaliłam bez zastanowienia.

– Gazy o których mówię, nie są zwykłymi oparami spalanych tworzyw sztucznych czy siarki. Mam na myśli substancje porażające układ nerwowy lub oddechowy albo podobnie działające związki, które były w stanie z łatwością niszczyć całe miasteczka – odparła z lekkim wyrzutem.

Nie byłam oczywiście członkinią Rady Bezpieczeństwa, a na zebranie zostałam zaproszona tylko po to, żeby służyć swoją wiedzą w razie gdyby ktoś ze zgromadzonych miał pytanie dotyczące dziwoszczurów. Na szczęście nikt nie zdawał się szczególnie urażony tym, że wtrącałam się niepytana.

– Bronie biologiczne, takie jak zabójcze wirusy były równie trudne do uzyskania. Poza tym, nie dorównywały skutecznością dwóm poprzednim metodom. Oprócz wymienionych istniały jeszcze generatory trzęsień ziemi, lasery i inne podobne bronie masowego zniszczenia, jednak obecnie nawet ludzie nie byłiby w stanie ich zbudować, nie mówiąc już o dziwoszczurach.

– Więc możemy wykluczyć wszystkie bronie z przeszłości? Czy jest jeszcze coś, co chciałabyś dodać? – spytała łagodnie Tomiko, jakby czytając mojej mamie w myślach.

– Superbomby kasetowe są chyba jedyną bronią, która byłaby w stanie spowodować takie obrażenia jak u żołnierzy znalezionych na polu bitwy... – odpowiedziała pośpiesznie.

– Co to takiego?

– Coś w rodzaju bomb zrzuconych podczas nalotów, z tą jednak różnicą, że zamiast pojedynczego pocisku zrzucono kasetę, wypełnioną setkami mniejszych ładunków wybuchowych. Kiedy kasetka się otwierała, małe bomby rozsypywały się po rozległym obszarze. Gdy eksplodowały, z ich wnętrza wydostawały się jeszcze mniejsze pociski, wypełnione z kolei metalowymi odłamkami. Wybuch każdego z tych najmniejszych ładunków wystarczał, żeby poszatkować wszystko, co znalazło się w promieniu dwudziestu metrów od niego. Ten rodzaj broni z łatwością byłby w stanie posiekać na plasterki nawet setki tysięcy dziwoszczurów, a po eksplozji nie pozostałby żaden krater.

To nie był pierwszy raz, kiedy poddawałam w wątpliwość naturę ludzi żyjących w czasach starożytnej cywilizacji, lecz mimo to samo usłyszenie tych słów sprawiło, że zrobiło mi się niedobrze. Jaki właściwie przyświecał im cel, kiedy tworzyli broń takiego rodzaju?

W porównaniu z bezduszną brutalnością tych bomb, bombopсы mogły wydawać się wręcz uroczymi stworzeniami.

– Ale czy dziwoszczury byłyby w stanie zbudować coś takiego?
– Shisei Kaburagi wypowiedział na głos pytanie, które prawdopodobnie chciał zadać każdy z zebranych.

– Nie są oczywiście w stanie wyprodukować nowych egzemplarzy, ale... Możliwe, że gdzieś wciąż istnieją stare superbomby kasetowe i inne bronie masowego rażenia – odparła z ubolewaniem moja matka.

– Chyba żartujesz.

W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza.

– Minęło już przeszło tysiąc lat od kiedy zostały stworzone, więc prawie na pewno nie są już zdatne do użytku... Jednakże, jeżeli dziwoszczury schwytały fałszywego minoshiro, to z całą pewnością mogły dowiedzieć się od niego w jaki sposób wykopać te bronie spod ziemi i przywrócić im funkcjonalność.

– Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam – zauważyła Tomiko, marszcząc brwi.

– To informacja, którą opiekunki biblioteki przekazują wyłącznie swoim następczyniom.

– Więc gdzie są teraz te bronie?

– To jedyne pytanie, na które nie mogę tutaj odpowiedzieć. Mogę jednak zdradzić, że to niezbyt odległe miejsce.

Wszyscy zaczęli jednocześnie mówić. Jeżeli dziwoszczury rzeczywiście zdołały zdobyć taką broń i jeśli, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, ona nadal działała, cały dystrykt był w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Zabić, zabić, zabić. Eheeheeheeheeheehee. Zabić złeee szczuuury – podśpiewywał radośnie Koufuu Hino, pocierając swoją łysą głowę.

– Proszę was o uwagę. Chciałbym podzielić się z wami moimi spostrzeżeniami na temat tego incydentu. Nie wierzę, że masakrę spowodowała bomba.

Wszyscy zamilkli.

– Skończ z tą dramaturgią, Shisei. Co było według ciebie przyczyną? – spytała Tomiko, pochylając się do przodu.

– Puszczę płazem tę zniewagę i odpowiem. Mimo wysiłku, jakie włożyły dziwoszczury w zatarcie śladów, mogę stwierdzić, że kolonia Olbrzymich Szerszeni została wymordowana przez człowieka władającego cantusem.

Zgromadzeni goście zaniemówili osłupiali a w pomieszczeniu ponownie zapadła cisza.

– Czemu... Czemu tak uważasz?

– Wszystkie pozostałości po masakrze zostały obrócone w popiół, ale zauważyłem, że pewna rzecz została przeoczona. Strzały.

– Co mają z tym wspólnego strzały?

– Kolonie Olbrzymich Szerszeni i Łowików używają różnych ich typów, więc bez problemu da się je od siebie odróżnić. Na polu bitwy pozostało całkiem sporo strzał Olbrzymich Szerszeni. Żadna nie była choć trochę uszkodzona.

– No i?

– Gdyby od czegoś się odbiły i upadły na ziemię, nosiłyby wyraźne ślady uszkodzeń. Ich idealny stan można wytłumaczyć jedynie tym, że zostały zatrzymane w locie przez cantus.

Gdyby ktokolwiek inny niż Shisei Kaburagi przedstawił podobną teorię, z pewnością nikt nie wziąłby jej na poważnie.

– Och! W takim razie... Przepraszam. – Satoru szybko zdusił okrzyk ekscytacji.

– Nic się nie stało. Kontynuuj – powiedziała Tomiko, patrząc na niego uprzejmie.

– W porządku. Wydawało mi się, że z polem bitwy coś jest nie tak. Żaden z poległych wojowników Olbrzymich Szerszeni nie miał przy sobie broni. Oczywiście zwycięzcy zawsze zabierają uzbrojenie przeciwnika, lecz zazwyczaj pozostawiają uszkodzone egzemplarze...

To ma jednak sens, jeśli rzeczywiście wszyscy żołnierze zostali rozbrojeni cantusem...

– A-ale nikt w tym dystrykcie nie sprzymierzyłby się z Łowikami, żeby zabić Olbrzymie Szerszenie. To oczywiste, że nikt z Sekcji Ochrony Przyrody ani z żadnej innej naszej jednostki nie dopuściłby się czegoś takiego – powiedział pan Kaneko, brzmiąc na nieco spanikowanego.

– Tak. Oczywiście to nie mógł być nikt tutejszy. Pomyślmy... Cóż, czy ingerencja innego dystryktu wchodzi w grę?

Słowa Shiseia Kaburagiego ponownie wzbudziły ożywione rozmowy, ale Tomiko zaprzeczyła stanowczo ruchem głowy.

– To niemożliwe – powiedziała. – Najbliższe dystrykty to Shiroishi 71 w Tohoku, Tainai 84 w Hokuriku oraz Koumi 95 w Chuubu. Żaden z nich nie byłby na tyle bezmyślny żeby spróbować zrobić coś takiego.

– Tomiko od lat utrzymuje kontakt z tamtymi dystryktami i bacznie obserwuje ich ruchy – dodała Hiromi Torigai swoim cichym głosem.

– Tak, to prawda. Od dawna mam na nich oko. Każdy dystrykt jest taki sam. Wszyscy obawiamy się niewiedzy na temat wydarzeń poza naszymi granicami. Z tego powodu przedstawiciele wszystkich dziewięciu dystryktów kraju zbierają się co jakiś czas żeby dyskutować o przypadkach pojawienia się Bestii i karmicznych demonów, jak również w celu wymiany innych, pożytecznych informacji, które mogą być kluczowe dla bezpieczeństwa publicznego. Mogę więc was zapewnić, że jedyną rzeczą na jakiej skupiają się pozostałe dystrykty jest utrzymanie pokoju i ładu w swoim otoczeniu.

– Rozumiem. To oczywiste, że nikt niczego by nie zyskał poprzez wzbudzenie niepokoju u sąsiadów – zauważył zdawkowo Shisei Kaburagi, zupełnie jakby nie dowiedział się niczego nowego. – Więc teraz pozostaje jeszcze mniej możliwości. Jeśli to nie był nikt tutejszy, jak również nikt z pozostałych dystryktów, to trzeba chyba

wziąć pod uwagę tych, którzy w przeszłości postanowili odejść, prawda?

Serce prawie wyskoczyło mi z piersi. Mówił o Marii i Mamoru.

– To niemożliwe – odparła z powagą Tomiko. – Tamte dzieci nie żyją.

Kłamie – pomyślałam. – Tomiko po prostu ich chroni. Bo jeśli nie...

– Dotarło do mych uszu że zostały nam dostarczone ich szczątki. Miało to jednak miejsce dwa lub trzy lata po ich zaginięciu.

– Dokładnie. Więc nie powinieneś mieć żadnych wątpliwości na temat tego, co się stało.

Szczątki... Z niedowierzania zaczęło kręcić mi się w głowie.

– Jednak mimo to mam pewne podejrzenia co do tamtych dwoje, ponieważ ich zwłoki zostały odnalezione i sprowadzone przez tego, kogo podejrzewam o zaplanowanie tej okropności. Yakomaru.

Ponownie zdołałam skupić myśli, lecz właśnie wtedy nagle przypomniałam sobie słowa dziwoszczura sprzed dwunastu lat.

To może zająć nam trochę czasu, ale myślę że uda nam się zdobyć kilka kości. Jeśli pokażemy je Komisji, uznają to za dowód na słuszność naszych słów.

Niektóre z naszych kości są wizualnie podobne do waszych. Wyjątkowo wysoki dziwoszczur jest mniej więcej takiego wzrostu jak młody bóg, więc jeśli ostrożnie wyszlifujemy kamieniami kości takiego osobnika, to...

Słusznie. Bez wątpienia właśnie to się stało. Yakomaru przyniósł im spreparowane kości. Dla takiego intryganta jak on z pewnością była to bułka z masłem. Starannie obrobił kości dziwoszczura i...

– Kości z całą pewnością były prawdziwe.

Zastanawiałam się, czy aby się nie przestyszałam. O czym mówiła Tomiko?

– Zbadaliśmy je najdokładniej jak się dało. Nie ma najmniejszych wątpliwości że należały do ludzi. Nie wykryliśmy też

żadnych niezgodności co do wieku i płci zmarłych. Ich tożsamość została ustalona dzięki odciskom uzębienia, pobranym w Szkole Harmonii, ale chcąc uzyskać absolutną pewność poprosiliśmy specjalistów z Farm Lotosu o wykonanie badań zgodności DNA.

Nieemożliwe. Ona kłamie. Nie potrafiłam uwierzyć w to, co słyszę. *Maria nie mogła umrzeć. Po prostu nie mogła.* Po plecach spłynął mi zimny pot i zaczęło mi ciemnieć przed oczami.

– Mogę z absolutnym przekonaniem potwierdzić, że Maria Akizuki i Mamoru Itou nie żyją. Nie mają nic wspólnego z tym incydem.

Słowa Tomiko rozbrzmiewały niczym okrutny wyrok boga śmierci.

Nie mam pojęcia co działo się później. Przypominam sobie jedynie mętne obrazy i strzępki rozmów.

Wśród zgromadzonych zapanowało takie wzburzenie, że upłynął dobry kawałek czasu zanim zdołano przejść do podsumowań. Dyskutowano na temat tego, jak powinniśmy odszukać osobę odpowiedzialną za pomoc Łowikom, jednak los samych dziwoszczurów wydawał się przesądzony już od samego początku zebrania.

Wśród całego tego zamieszania wyczułam spoczywający na mnie nerwowy wzrok Satoru.

Hiromi Torigai zasugerowała odroczenie letniego festiwalu, który miał odbyć się w następnym tygodniu do czasu, aż wszystko się wyjaśni. Jej propozycja spotkała się jednak jedynie z kpiącymi uśmiezkami części słuchaczy, którzy pomyśleli, że po prostu paranoiczna osobowość kobiety znów daje o sobie znać.

Ostatecznie kwestia metody poszukiwań zdrajcy została odłożona do następnego zebrania. Jednogłośnie podjęto decyzję o tym, że kolonia Łowików i wszyscy jej sojusznicy muszą zostać zgładzeni, mimo, że nie znaliśmy jeszcze w pełni rozmiarów ich przewinień.

Inui i czworo innych strażników z Sekcji Ochrony Przyrody zostało powitanych gromkimi brawami. Wszyscy byli starymi wygami i doprowadzili do perfekcji zdolność likwidowania setek tysięcy dziwoszczurów w krótkim czasie. Nadany im przez dziwoszczury przydomek bogów śmierci pasował do nich jak ulał.

Kiedy spotkanie Rady Bezpieczeństwa dobiegło końca, szybko pożegnałam się z rodzicami i Satoru i walcząc z mdłościami opuściłam pomieszczenie. Powtarzałam w myślach imię Marii, nie zauważając nawet łez, które strumieniami spływały mi po twarzy. Pomimo, że mój umysł był w zupełnej rozsypce, jakaś niewielka jego część pozostała zdumiewająco spokojna, cały czas zadając to samo pytanie.

Czego właściwie oczekiwałam przez ostatnie dwanaście lat? Czy naprawdę wierzyłam, że Maria i Mamoru mogą wciąż żyć? I czy nawet jeśli sobie to wmawiałam, nie próbowałam po prostu oszukać w ten sposób samej siebie?

Być może przez ten cały czas powoli przygotowywałam się na spotkanie twarzą w twarz z faktem ich śmierci.

Już sama rozpacz, jaką czułam opuszczając chłopca bez twarzy była dla mnie zbyt wielkim brzemieniem. Wszystkim, co mogłam teraz zrobić było odgrodzenie tej części mojego serca, która zawierała cały ból i cierpienie, pozwalając jej umrzeć w zapomnieniu.

W Kamisu 66 obchodzi się kilka dorocznych uroczystości. Wiosną mają miejsce Dzień Siewów, święto pogoni za demonami i festiwal odpędzania chorób. Lato to czas Święta Lata, Święta Ognia oraz Dnia Dusz. Jesienią obchodzimy Święto Zbiorów i Święto Wdzięczności. Zima z kolei to czas, gdy świętuje się Festiwal Śniegu, Dzień Nowego Roku oraz Dzień Ognia Sagichou.

Święto Lata, zwane też Festiwalem Potworów, jest najbardziej podniosłą i ekscytującą ze wszystkich tych uroczystości. Nazwa może wydawać się trochę straszna, tak jakby wszyscy mieli przebierać się za różne szkaradztwa i straszyć się wzajemnie, jednak chodzi o coś zupełnie innego. Przebrane są właściwie tylko osoby obsługujące

festiwal, które nalewają wino świętującym – noszą one słomiane kapelusze oraz zakrywające twarz maski. Żeby stworzyć idealną atmosferę, ceremonia ma zawsze miejsce podczas nowiu Księżyca. Tej nocy w wioskach panuje ciemność a jedynym źródłem światła jest blask zwisających nad kanałami lampionów, ognisk, oraz – od czasu do czasu – rozbłysk wybuchających fajerwerków. Pograżona w mroku osada jest przygotowywana na kolejną część ceremonii.

Patrząc na to z innej perspektywy, jest to jednocześnie czas kompletnej izolacji dystryktu.

Jesteśmy zaledwie jednym z dziewięciu niewielkich dystryktów, rozrzuconych po całym Archipelagu Japońskim. Pomimo, że desperacko próbujemy identyfikować się jako Japończycy, prawda jest taka, że od kilku tysiącleci byliśmy całkowicie odcięci od japońskiej historii. Kamisu 66 nie jest niczym więcej jak zagubioną w czasie wyspą...

Wszystkie nasze święta są obchodzone co roku od przeszło stu lat, jednak każde z nich zostało jedynie odtworzone na podstawie informacji zawartych w tekstach i obrazach starożytnej cywilizacji. Także Festiwal Potworów pierwotnie pochodził z obcego kraju, jednak wskrzesiliśmy go, ostrożnie dodając kilka elementów z innych tradycyjnych obrzędów.

Czasami zastanawiam się, czy po stuleciu istnienia, te wszystkie pożyczone i sztuczne tradycje mogą być uznane za prawdziwie nasze.

Kajak zatrzymał się tuż przy ognisku. Przez długi czas przebywałam w ciemnościach, więc jego blask oślepił mnie na kilka chwil. Zachwiałam się niepewnie na swoich drewnianych chodakach.

Z pomocą Satoru zdołałam jakoś wydostać się na brzeg.

– W porządku?

– Tak.

Nagle przypomniałam sobie inne Święto Lata, w którym uczestniczyłam przeszło dziesięć laty. Tańczyłyśmy radośnie z Marią, ubrane w nasze nowiutkie yukaty.

– Nasze yukaty pasują do siebie!

– Tak, jesteśmy jak bliźniaczki!

Wciąż pamiętam dokładnie, jak wyglądały. Moja była błękitna, pokryta wzorem złożonym z białych kropek i czerwonych karasi, podczas gdy białą szatę Marii zdobiły niebieskie kropki i identyczne czerwone rybki.

Okręciła się z wdziękiem na swoim sandale. Jej ruchy były tak pełne gracji, że mogłam jedynie patrzeć z zachwytem.

– Chodźmy!

– Ale jeśli nie będziemy ostrożne, złapią nas potwory.

– Będzie w porządku. Możemy wypowiedzieć magiczne zaklęcie.

– Jakie zaklęcie?

– Nasze mamy rozmawiały o nim pewnego dnia. Nazywały je mantrą. Nauczę cię.

Ponieważ nie posiadałyśmy wtedy jeszcze cantusu, świat wydawał się nam pełen dziwów i niebezpieczeństw. Byłyśmy jednak przekonane, że kiedy dorośniemy i rozbudzimy swoje moce, nic nie będzie w stanie nas wystraszyć.

Maria pobiegła przodem. Kiedy patrzyłam na jej oddalającą się sylwetkę, nagle poczułam się bezbronna i opuszczona. Wyrwałam się do przodu, wołając jej imię...

– ...ki. Saki?

Głos Satoru przywrócił mnie do teraźniejszości.

– Coś nie tak?

– Nie, w porządku. Po prostu zamyśliłam się na moment.

– Ach... Chodźmy w tamtą stronę. Chyba dzieje się tam coś ciekawego.

Złapałam go za rękę i potruchtałam uliczką, tupiąc głośno swoimi chodakami.

Pomimo że szerokie, nadbrzeżne aleje były jasno oświetlone lampionami, ze wszystkich stron otaczała nas ciemność. To było jak spacer po moście zawieszonym nad krainą umarłych. Rozświetlona ścieżka była bezpieczna, ale gdybyśmy z niej zbiegli i weszli w mrok, nigdy nie zdołalibyśmy wrócić.

Nigdy, jak sięgam pamięcią, nie opuściłam obchodów Święta Lata. Za każdym razem towarzyszyło mi to samo dziwne uczucie.

Ulicą szli też inni ludzie zmierzający na zabawę. Wszyscy byli odziani w yukaty i sandały a w dłoniach trzymali papierowe wachlarze. Wszędzie wokół rozbrzmiewały dźwięki wesołych rozmów i śmiechu, jednak zdawały się mi one równie nieistotne jak szelest wiatru.

Przed sobą ujrzałam potwory. Obydwa miały na głowach słomiane kapelusze a ich twarze były zakryte. Jeden z nich nosił maskę tengu¹, która całkowicie uniemożliwiała określenie tożsamości jej właściciela.

Dwójka stworów częstowała winem przechodzących w ich pobliżu ludzi. Wzięliśmy papierowe kubeczki i opróżniliśmy je jednym łykiem. To było słodkie sake. Wystarczyło, żebym poczuła się lekko wstawiona.

– Spójrz, nadciągają latarnie.

Satoru wskazywał na skupisko lampionów zawieszonych na długich tyczkach. W starożytności każdy z kijów był niesiony przez jedną osobę, ale w przypadku obecnie używanych tyczek jest to niemożliwe, bo ważą one ponad tonę. Każda z siedmiu wiosek projektowała i budowała co roku własną latarnię, jednak od czasu katastrofy, która zdarzyła się przed dwunastoma laty, Martwe Drzewo nie brało udziału w przygotowaniach, więc Zbożowy Krąg budował zazwyczaj dwa lampiony, żeby zachować prawidłową liczbę. Tego

¹ Tengu (jap. 天狗?, "niebiańskie psy") – mityczne istoty, występujące w japońskim folklorze, sztuce, teatrze i literaturze. Jedne z najbardziej znanych yōkai (duchów – potworów), niekiedy czczone jako kami w religii shintō. Mimo, że ich nazwa pochodzi od podobnych do psów chińskich demonów (Tiangou), uważano, że tengu przybierają postać drapieżnych ptaków i przedstawiano je jako istoty łączące ludzkie i ptasie cechy.

roku Martwe Drzewo powróciło jednak do dawnej tradycji i stworzyło swoją latarnię, więc wyjątkowo było ich aż osiem.

Olbrzymie lampiony powoli przemieszczały się uliczką. Ten niesiony tuż przede mną pochodził z mojego rodzinnego Wodnego Młyna. Był udekorowany obrazkami przeróżnych kół wodnych. Nasiębierne, podsiębierne, śródsiębierne...

Za latarniami truchtała spora grupka potworów. Wszystkie były niskie, prawie jak dzieci. Każdy miał kapelusz i maskę zwierzęcia zamiast tradycyjnego, materiałowego zakrycia twarzy.

– Patrz, dzieci-potwory – zauważyłam. Przebierańcy zdążyli już jednak ulotnić się z zasięgu wzroku Satoru.

– Dzieci? Dziwne, od kiedy pozwalają przebierać się dzieciom?

– Jakby nie było, właśnie tędy przeszły. O, tam.

Donośny huk obwieścił rozpoczęcie nocnego pokazu fajerwerków. Na ciemnym niebie rozkwitł przepiękny kwiat jasnego światła. Po chwili pojawił się drugi a zaraz za nim kolejny. Ich kształty i barwy przypominały mi peonie i chryzantemy. Kiedy błyszczące, złociste iskierki zaczęły opadać na ziemię niczym płatki kwiatów wiśni, rozległy się westchnienia zachwytu. Wszystko to stworzono wyłącznie dzięki umiejętnościom pirotechnicznym, bez używania cantusu.

– Cudowne... – wyszeptałam.

– Racja. – Satoru delikatnie objął moje ramiona.

Po pokazie sztucznych ogni rozbrzmiały dźwięki tradycyjnej muzyki. Niepowtarzalna melodia fletów, bębnów i gongów jeszcze bardziej pogłębiała oczarowujący nastrój towarzyszący Świętu Lata.

Co ja tu właściwie robię? – spytałam się w myślach kiedy ruszyliśmy dalej.

Nie minął nawet tydzień od czasu kiedy dowiedziałam się o śmierci Marii. Całkowicie poświęciłam się wtedy swoim obowiązkom w pracy, tak, że prawie zapomniałam o nadchodzącym festiwalu.

Bądź co bądź, wszyscy uczestniczyli w Świącie Lata. Nie licząc ciężko chorych oraz osób opiekujących się małymi dziećmi, nikt nie zostawał wtedy w domu. Nie potrafiłam znieść myśli, że mogłabym spędzić ten dzień w samotności.

To nie był jednak jedyny powód dla którego zaakceptowałam zaproszenie Satoru na festiwal. Wszystkie doroczne uroczystości w Kamisu 66 trzymały się pewnych określonych motywów. Na przykład, wiosenny Dzień Siewów, święto pogoni za demonami i festiwal odpędzania chorób były powiązane ze zdrowiem i urodzajnymi plonami. Podczas letnich świąt natomiast czczono przodków i modlono się o szczęście w zaświatach. Innymi słowy, to była noc, kiedy światy żywych i umarłych zlewały się ze sobą.

Byłam pewna, że gdyby Maria chciała się ze mną jeszcze kiedyś zobaczyć, pokazałaby się gdzieś podczas uroczystości. Prawdopodobnie to ta podświadoma pewność była głównym powodem dla którego zdecydowałam się wziąć w niej udział.

Kiedy podeszłam bliżej do otwartego placu, który był centralnym punktem festiwalu, zobaczyłam udekorowaną białymi i czerwonymi chorągwiami scenę. Pomimo, że do rozpoczęcia głównego punktu imprezy pozostało jeszcze nieco czasu, większość gości była już na rauszu i zabawiała się łowieniem złotych rybek i rzucaniem rzutkami do celu przy specjalnych stoiskach. Te gry były dość skomplikowane kiedy nie korzystało się z cantusu, jednak każdy trzymał się niepisanej zasady, która zabraniała korzystania z mocy tego wieczoru. Jedynym wyjątkiem byli aktorzy i osoby niosące latarnie.

– Hej, poczekaj chwilę. Mam ochotę na trochę waty cukrowej – powiedział Satoru, odchodząc w kierunku jednego z kramików.

Rozejrzałam się wokoło bez celu i dojrzałam małą dziewczynkę odzianą w yukatę.

Maria... To niemożliwe. Przetarłam oczy. Jej rude włosy spięte srebrną spinką były jednak identyczne jak włosy Marii, kiedy była

w jej wieku. Nawet jej yukata, biała w niebieskie kropki i czerwone rybki była dokładnie taka, jaką nosiła Maria.

Powoli podeszłam do dziewczynki. Kiedy jednak zbliżyłam się do niej na jakieś pięć metrów, nagle zaczęła uciekać.

– Poczekaj! – krzyknęłam, ruszając za nią. Dziewczynka wybiegła z głównego placu i zmierzała w stronę skąpanych w mroku kanałów.

– Maria!

Gnałam najszybciej jak potrafiłam, jednak pośpiech i nieprzywykłe do noszenia chodaków nogi sprawiły, że o mało co się nie przewróciłam. Zdołałam złapać równowagę wykorzystując cantus, jednak ta chwila wystarczyła, żeby dziecko zniknęło mi z oczu.

– Saki! Co się dzieje? – Usłyszałam za sobą zdyszany głos Satoru.

– Nic takiego. Przepraszam – odparłam, odwracając się do niego.

– Nic takiego? No to dlaczego nagle tak się zerwałaś?

– Ja...

Nie mogłam przyznać, że ścigałam się z halucynacją. Kiedy rozejrzałam się po prawie całkowicie opustoszałej okolicy, zorientowałam się że odbiegłam znacznie dalej niż mi się zdawało.

– Właśnie wykrzyczałaś imię Marii, prawda?

– Słyszałaś?

– Tak. Widziałaś ją?

Spojrzałam w milczeniu na nieprzeniknioną czerń nieba. Tej nocy mieliśmy nów Księżyca a na dodatek gruba warstwa chmur skrywała wszystkie gwiazdy.

– Nie wiem... To mogło być tylko jakieś dziecko, które bardzo ją przypominało.

Mimo wszystko, nawet jeżeli widziałam ją tylko od tyłu, podobieństwa były zbyt wielkie by mogły być dziełem przypadku. Jeżeli jednak Maria chciała się ze mną spotkać, dlaczego uciekła? Zupełnie jakby chciała zwabić mnie w to miejsce.

Usłyszałam przy uchu ciche buczenie. Oskoczyłam instynktownie.

– To tylko komar – powiedział Satoru, najwyraźniej trochę zakłopotany. Odszukał go w blasku bijącym od koksownika, po czym z brzdęknięciem pstryknął w owada.

– Co tu robi komar?

Normalnie nie znajdowało się wewnątrz Świętej Bariery much ani komarów. Zwłaszcza te drugie były praktycznie niespotykane, ponieważ wszyscy wzdrygali się na samą myśl o tych krwio pijących insektach i zabijali je gdy tylko je ujrzeni.

– Może dostał się tu, kiedy ktoś wyruszał w góry.

– W noc Święta Lata?

Czy ktoś mógłby być tak pijany, żeby wpaść na pomysł nocnego wypadu za Świętą Barierę?

– Hmm... Może powrócił Inui i jego zespół?

Przed tygodniem strażnicy z Sekcji Ochrony Przyrody wyruszyli z ważnym zadaniem unicestwienia dwustu tysięcy członków kolonii Łowików w ciągu trzech dni. Nigdy jednak do tego nie doszło. Cała armia Yakomaru rozpląnęła się w powietrzu, zupełnie jakby wyczuli, że muszą ukryć się przed bogami śmierci nadciągającymi, żeby odebrać ich życia.

– Czy to możliwe, że...

Po tym co przeżyłam podczas letniego obozu, miałam świadomość, że spanie pod gołym niebem i żywienie się racjonowanymi porcjami pokarmu oraz tym, co znajdzie się w lesie jest wyjątkowo ciężkie. Możliwe więc, że zespół Inuiego powrócił do wioski, żeby odpocząć i uzupełnić zapasy. Z drugiej strony, nie opuszczało mnie przecucie, że nie są oni typem ludzi, którzy porzuciliby niedokończone zadanie.

– Cóż, wracajmy, Za chwilę rozpocznie się konkurs malowania ogniem.

Malowanie ogniem polegało na wykorzystywaniu cantusu do tworzenia pięknych obrazów z wystrzeliwanych w niebo fajerwerków.

Każdego roku, najbardziej utalentowani użytkownicy mocy konkurowali ze sobą ku olbrzymiej uciechu zgromadzonej widowni. Właśnie to była główna atrakcja obchodów Świąta Lata.

– W porządku...

Kiedy wracam myślami do tamtego dnia, wciąż nie potrafię powiedzieć, czemu postanowiłam obejrzeć się za siebie. To było zupełnie, jakby ktoś inny sterował moim ciałem. To co dostrzegłam, zmroziło mi krew w żyłach.

– Saki, co się dzieje? – spytał skonsternowany Satoru.

– Tam...! – wskazałam drżącym palcem kanał.

– Co tam jest? Nic nie widzę.

To był zaledwie ułamek sekundy. Jestem jednak pewna, że to widziałam, jasno i wyraźnie.

– Stali tam. Maria, Mamoru i chłopiec bez twarzy...

Cała trójka unosiła się nad powierzchnią wody, wpatrując się w nas intensywnie z innego, dalekiego świata. Idealnie obrazowało to znaczenie powiedzenia „przejsć na tamtą stronę”.

– Saki. – Satoru objął mnie ramieniem. – Czuję to samo co ty... Też chciałbym ich zobaczyć, jeśli tylko byłoby to możliwe, nawet jeżeli są tylko duchami.

– Nie wyobraziłam sobie tego. Uwierz mi.

– Wiem. Widziałaś ich. Ale spodziewałaś się ich ujrzeć zanim jeszcze tu przysłiemy, prawda? Możesz próbować to ukryć, ale ja wiem.

– Skąd?

– Twoja yukata. Jest tak ciemna i skromna, że moja wygląda przy niej wręcz krzykliwie.

Yukata Satoru również była granatowa, jednak zdobiły ją jasnobłękitne paski.

– Wyglądasz, jakbyś była w żałobie.

Trafił w samo sedno. Nie potrafiłam mu odpowiedzieć.

– Już dobrze. Naprawdę pragnęłaś ich zobaczyć, prawda? Ta myśl była tak silna, że twój umysł stworzył na wodzie ich projekcję.

– Racja...

Wydawało mi się, że to rzeczywiście jest jedyne sensowne wytłumaczenie. Kim jednak była w takim razie tamta mała dziewczynka, która przywiodła mnie tutaj, z dala od festiwalu?

Staliśmy przez kilka chwil w bezruchu. Satoru wciąż mnie obejmował, czekając najwyraźniej aż się uspokoję.

Spojrzałam przez jego ramię na okolice sceny. Wyglądała tak jak zawsze – pełna ludzi i jasno oświetlona. Tłum gości czekał już na rozpoczęcie konkursu malowania ogniem.

Mimo tego potwory nadal rozdawały wino. Tamte małe potwory z zakrytymi twarzami. *To muszą być dzieci, prawda?*

Dopiero kiedy zobaczyłam jak jeden z ludzi opróżnia kubek wina jednym łykiem, po czym osuwa się na ziemię, zrozumiałam, że coś tu jest koszmarnie nie w porządku.

– Satoru!

Potwory rozpierzchły się słysząc mój krzyk.

– Co się dzieje, Saki?

Prawdopodobnie pomyślał, że znowu przestraszyłam się jakiejś ułudy i przytulił mnie jeszcze mocniej.

– Nie! Puść mnie! Tamten gość właśnie umarł! Tam!

Satoru w końcu zwolnił uścisk i odwrócił się.

– Co się stało? – wyszeptał.

– Wypił wino, którym poczęstował go potwór i...

Podbiegłam do leżącego człowieka. Jeszcze przed chwilą toczył pianę z ust i zwijał się w konwulsjach, jednak teraz zupełnie znieruchomiał.

– Nie żyje... Nie był chory ani nic podobnego. To była trucizna – stwierdził Satoru, przykładając nos do ust zmarłego.

– Trucizna? Ale kto...?

– Mówiłaś o dziecku-potworze, tak?

– Tak.

Przeraził mnie strach malujący się na twarzy Satoru.

– Żaden człowiek nie mógłby tego zrobić – powiedział. – To był dziwoszczur.

– Dziwoszczury? To niemożliwe. Nigdy nie odważyłyby się na otwarty bunt przeciwko ludziom. Zdają sobie sprawę, że to byłby ich koniec.

– Musiały się skądś dowiedzieć, że mamy zamiar je wymordować i zdecydowały się na ten jeden, ostatni atak.

– To znaczy, że Łowiki...

Przed oczami stanęła mi twarz Yakomaru – jego cięty język i chytre, perliste oczy.

– Szybko! Musimy wszystkich ostrzec!

Gdy tylko zaczęliśmy biec, niebo wypełniły świetliste, głośnie eksplozje. Jedna, druga, trzecia... Peonie i chryzantemy przeistoczyły się w feerię barw, wirujących niczym skrzydła wiatraka i tworzących świetliste, złożone wzory.

Wśród zgromadzonej widowni rozległy się radosne okrzyki. Zaczął się konkurs malowania ogniem. Nieważne jak głośno byśmy nie krzyčili, nikt nie byłby w stanie nas wtedy usłyszeć.

Nie potrafiłam lewitować tak jak Maria. Zrozumiałam jednak, że jeżeli nie znajdę sposobu na przedarcie się przez tłum, wszyscy tu zginiemy.

Nagle rozległ się ogłuszający huk, od którego zadrżała ziemia. To nie był wybuch petardy. Ten dźwięk był na tyle donośny, że mógłby pokruszyć szyby w oknach.

Wśród zgromadzonych gości wybuchły przeraźliwe krzyki. Satoru chwycił mnie za ramię i odciągnął do tyłu.

– Uciekaj!

– A-ale... Musimy ostrzec...!

– Jest na to za późno. Atak już się rozpoczął. Nic nie możemy zrobić.

Cofnęłam się, ignorując jego aż nadto spokojne podejście do sytuacji.

– Ludzie na placu...

– Będzie w porządku. Są tam wszyscy wirtuozi cantusu. Dziwoszczury nie zdołają nic zrobić.

Słowa Satoru podniosły mnie na duchu. Nieważne jak na to nie spojrzeć, władający cantusem ludzie mieli olbrzymią przewagę nad dziwoszczurami i ich prymitywnym uzbrojeniem.

Oddaliśmy się od placu, jednak nie przebiegliśmy nawet stu metrów, kiedy poczułam na głowie charakterystyczne draśnięcie. Gdy spojrzałam w górę, dostrzegłam że całe niebo jest zasnute mknącymi strzałami. Widziałam jednak jedynie ich nikłe zarysy, tak jakby zostały w całości pomalowane na czarno.

Po chwili nastąpił jednoczesny wystrzał z setek arkebuzów. Ryki wściekłości i jęki bólu przybrały na sile, zlewając się w przytłaczającą kakofonię. Rzuciłam się na ziemię i zakryłam uszy dłońmi. Dziwoszczury zabijały mieszkańców dystryktu... Nie miałam najmniejszego pojęcia, co powinnam zrobić.

– Wstawaj! Biegnij! – Satoru chwycił mnie za nadgarstek i zaczął ciągnąć mnie za sobą.

Usłyszeliśmy ulotne dźwięki dobiegające gdzieś z przodu. Brzdęk metalu uderzającego o metal. Odgłosy cichych kroków. Zbliżały się coraz bardziej i bardziej.

Dziwoszczury... Zamarłam i wstrzymałam oddech. Satoru przyłożył palec do ust i pokazał coś gestem dłoni.

Nadeszły. Było ich więcej niż przypuszczałam; dwie lub może nawet trzy setki. Przemieszczały się powoli, trzymając ciała nisko nad ziemią.

Uniknęliśmy natychmiastowego wykrycia dzięki dwóm szczęśliwym zbiegom okoliczności. Po pierwsze, wiatr wiał w naszą stronę. Gdyby było odwrotnie, z pewnością od razu odkryłyby naszą kryjówkę dzięki swojemu wyostrzonemu węchowi. Po drugie, obydwójce mieliśmy na sobie ciemne ubrania, które zlewały się z otoczeniem, przez co na pierwszy rzut oka ciężko było nas dostrzec.

Wykorzystując tą nieprawdopodobną okazję, Satoru zabił dziwoszczury. Najpierw w płomieniach stanęli żołnierze idący

w centrum formacji. Powietrze rozdarły przeraźliwe wrzaski, a pozostałe dziwoszczury zamarły z przerażeniem malującym się na twarzach.

– Idźcie do diabła! – warknął Satoru.

Płomienie przeskakiwały zwinnie z jednego żołnierza na kolejnego, przypominając petardy odpalane jedna od drugiej. Wystarczyła niecała minuta żeby zamienić około dwie setki dziwoszczurów w krwistoczerwoną miazgę. Wszystkie były zbyt przerażone by próbować ratować się kontratakami lub ucieczką.

– Dranie...! – Satoru brutalnie zmiażdżył spalone zwłoki dziwoszczura. Bryznęła krew a kości popękały z donośnym trzaskiem.

– Wystarczy już! – spróbowałam go powstrzymać.

– Szumowiny, ścierwa... Jak śmiecie zabijać ludzi!? – Satoru najwyraźniej w ogóle mnie nie słyszał.

Przypomniała mi się sytuacja, kiedy ostatni raz widziałam go w takim stanie. Byliśmy wtedy uwięzieni w podziemiach po ataku Ziemych Pająków. Kiedy Satoru odzyskał swój cantus i przeszliśmy do kontrofensywy... Był wtedy zaledwie dwunastoletnim chłopcem, ale zdawało mi się, że wstąpił w niego sam diabeł. Na samo to wspomnienie plecy zlał mi zimny pot.

Teraz jego twarz skrywała ciemność, lecz nie miałam wątpliwości, że gości na niej ten sam grymas co wtedy. Dziwna mieszanka niepohamowanej wściekłości i żądzy krwi...

– One są już martwe. Znajdziemy się w niebezpieczeństwie, jeśli szybko stąd nie uciekniemy.

– W porządku. Chodźmy – odezwał się w końcu Satoru, najwyraźniej nieco się uspokajając.

Uszliśmy zaledwie kilka kroków kiedy ponownie się zatrzymał.

– O co chodzi?

– Ta grupa którą właśnie zabiłem nie była tą samą, która atakuje główny plac. Ci żołnierze mieli napadać z zasadzki na ludzi próbujących ratować się ucieczką. Sądząc po ich liczbie, to była zaledwie straż przednia, a teraz nadciąga ich znacznie więcej. Jeśli

więc dalej będziemy biegli w tę stronę, prawdopodobnie natkniemy się na kolejne dziwoszczury. Choć to niebezpieczne, najlepiej będzie jeśli cofniemy się w stronę placu.

– Ale...

– Będzie dobrze. Podczas ataku z zaskoczenia mogło zginąć kilka osób, ale ludzi nie da się tak łatwo zabić. Możliwe, że odzyskaliśmy już kontrolę nad sytuacją.

Jego przypuszczenie sprawdziło się co do joty. Taktyka dziwoszczurów, błyskawiczny atak w środku nocy, miała na celu raczej zasiać panikę niż spowodować realne straty w naszych szeregach.

Na początku dziwoszczury przebrały się za potwory i częstowały gości winem, do niektórych kubeczków nalewając jednak zatrutego napoju. Pierwsze ziarna paniki zostały zasiane, kiedy losowi ludzie zaczęli padać martwi na ziemię. Następnie, koordynując wystrzał ze swoich broni z wybuchami fajerwerków, dziwoszczury zdołały spowodować jeszcze potężniejsze zamieszanie na znacznie większym obszarze.

Kiedy ludzie zaczęli próbować ucieczki, zaczęły strzelać zakamufLOWANymi strzałami, żeby zagonić ich z powrotem na centralny plac. W ten sposób chaos pogłębił się do tego stopnia, że korzystanie z cantusu stało się bardzo utrudnione. Kiedy wszyscy zostali uwięzieni w jednym miejscu, dziwoszczury mogły wybić nas z dziecinną łatwością.

Aż do teraz plan Yakomaru spisywał się bezbłędnie, jednak dwoje ludzi, władających cantusem tak potężnym, że mogliby rzucić wyzwanie samym bogom, odwróciło losy bitwy.

Podczas napaści dziwoszczurów śmierć poniosło ponad dwieście osób. Dwa tysiące mieszkańców, którzy zdołali przeżyć, było tak spanikowanych, że groziło to wybuchem masowej hysterii. Kilka słów napisanych na niebie zdołało jednak przywrócić spokój. Nawiasem mówiąc, nikt inny nie zdołał nigdy wcześniej znaleźć sposobu na

stworzenie w powietrzu świecących napisów bez wykorzystania fajerwerków.

Trzymając się instrukcji, tłum zbił się w mniej więcej siedemnastometrowy krąg. Ludzie przestali używać cantusu, żeby uniknąć nałożenia się działania swoich mocy. Jedynym powodem dla którego wszyscy tak bezwzględnie zastosowali się do tych poleceń, była absolutna wiara, jaką pokładali w Shiseiu Kaburagim.

Każdy, kto znalazł się wewnątrz kolistej formacji był chroniony przed wszelkimi atakami, zupełnie jak pod magiczną barierą, jakie często są opisywane w baśniach. Strzały czy pociski – wszystko co nadlatywało w stronę tłumy było odbijane przez niewidzialne pole siłowe.

Kiedy Satoru i ja dotarliśmy z powrotem na plac, byliśmy zszokowani tym z jaką szybkością i łatwością Shisei Kaburagi użył swojej mocy żeby nas ochronić.

Kiedy atak został powstrzymany, armia dziwoszczurów znalazła się w opałach. Koufuu Hino leniwym krokiem zbliżał się w ich stronę.

– Heeheeheeheeheeheehee. No, no, źle z wami. Wygląda na to, że nic nie możecie nam zrobić – powiedział dziwnym, śpiewnym tonem, gładząc wachlarzem swoją łysą głowę. – Niedobre małe szczury, zdradziłyście nas. Co powinienem z wami zrobić? Wyrwać wasze języki i wyrzucić was na lewą stronę? Powiesić was, przerobić na mielonkę? Niedobre małe szczury zbuntowały się przeciwko ludziom. Jakby tu was ukarać? Połamać wam kości, rozerwać ciała, zrobić z was paszteciki...?

Ludzie zaczęli klaskać. Każdy chciał na własne oczy ujrzeć brutalną zemstę. Koufuu Hino uniósł rękę, pozdrawiając tłum. Kiedy ponownie odwrócił się w stronę dziwoszczurów, wyraz jego twarzy zupełnie się zmienił. Wytrzeszczył oczy, które przypominały teraz dwie wystające z głowy piłeczki pingpongowe.

– No i co mam z wami teraz zrobić, wy ohydne, zbrodnicze szczury? – zawył przerażająco. Po chwili zaczął mówić piskliwie w języku dziwoszczurów. Wyglądało na to, że tłumaczy to, co przed

chwilą powiedział. W każdej innej sytuacji widok grubego człowieka, wydającego z siebie piski tak wysokie, że dygotały mu od nich policzki, byłby przekomiczny.

– Z wiatrem... Nie, to niemożliwe! – wymamrotał nagle Satoru.

– Co?

– Zdawało mi się dziwne, że przemieszczają się z wiatrem. Zyskałyby większą przewagę, gdyby szły pod wiatr. W takim razie znaczy to, że... Jest bardzo niedobrze! – krzyknął do Koufuu Hino. – Trujący gaz! Uważajcie! Rozpylają gaz w naszym kierunku!

Koufuu Hino odwrócił swoje wybałuszone oczy w naszą stronę i skinął z zadowoleniem.

– Rozumiem, rozumiem. Dzięki za ostrzeżenie, kolego. No tak, tak... Wygląda na to że nie są takimi zupełnymi idiotami.

Nagle poczułam dziwną woń. To nie był pachnący siarką gaz, jakiego używały Ziemne Pająki; ten smród był ostry, drażniący i sprawił, że powieki zaczęły piec mnie żywym ogniem.

To była prawdziwa zasadzka. Złożoność przebiegłej strategii Yakomaru przyprawiła mnie o gęsią skórkę. To był plan wewnątrz planu, zawartego w jeszcze innym planie. Błyskawiczny atak od samego początku miał z założenia się nie powieść.

Nikt też nie mógł przypuszczać, że Yakomaru poświęci własnych żołnierzy, zostawiając ich na pastwę toksycznych oparów.

Rozdział 3

Patrzyliśmy z zapartym tchem, zastanawiając się, w jaki sposób tych dwoje mistrzów cantusu ma zamiar poradzić sobie z trującym gazem.

Nie robili zupełnie nic. Wytrzeszczone oczy Koufuu Hino powróciły do normalnego stanu. Cały czas wachlował się leniwie, natomiast Shisei Kaburagi stał nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami.

– Wiatr...

Satoru pierwszy to zauważył. Porywiste jeszcze chwilę temu podmuchy zupełnie zanikły. Duszący zapach zaczął zanikać.

Po chwili ponownie dało się wyczuć ruch powietrza. Delikatny, ledwo wyczuwalny wietrzyk dał w przeciwną stronę. Stawał się coraz silniejszy, aż w końcu przeistoczył się w prawdziwą wichurę.

– Niesamowite... Odwrócili kierunek wiatru – wyszeptałam z niedowierzaniem. Nie przypuszczałam, że którykolwiek z nich może dysponować aż taką potęgą.

– Poważnie, ja nigdy nie będę w stanie zrobić czegoś podobnego... – Satoru zdawał się być pod równie dużym wrażeniem. Co prawda on sam zdołał stworzyć tornado, które wywiało trujący gaz Ziemych Pająków, ale wtedy pogoda była bezwietrzna a objętość poruszanego powietrza – ograniczona.

Nocą nad równinami wiatr wiał znad gór, w stronę morza. Mógł wydawać się zaledwie łagodną bryzą, ale w rzeczywistości był częścią znacznie bardziej złożonego układu różnic ciśnień. Odwrócenie jego kierunku musiało pochłonąć absurdalnie wielkie ilości energii i nie byłam w stanie sobie nawet wyobrazić jaki obraz mentalny musiał zostać stworzony, żeby to umożliwić.

Mimo, że nadal nie widzieliśmy oddziały dziwoszczurów ukrytego gdzieś po stronie, z której jeszcze przed chwilą wiatr dał w naszym kierunku, usłyszeliśmy krzyki przerażenia i bólu. Nie

należało spodziewać się niczego innego. Bądź co bądź, zupełnie niespodziewanie padły ofiarą własnego toksycznego gazu.

– Ufufufufufufu – zacmokał złowrogo Koufuu Hino. – Nędzni głupcy... Nie, nawet głupcy lepiej by to rozegrali. Naprawdę myśleliście, że tak żałosny plan pozwoli wam zabić nas, istoty równe bogom?

Jego łysa głowa poczerwieniała tak bardzo, że przypominała teraz ugotowaną we wrzątku ośmiornicę. Zaczął wachlować się intensywnie, bez przerwy oblizując swoje wydatne usta, na których zagościł paskudny uśmiezek.

– Zabawmy się trochę. Głupie małe szczury, co powinienem wam zrobić? Eheeheeheeheehee... Czemu nie wyjdziecie trochę się ze mną pobawić?

Pierwsza fala dziwoszczurów liczyła cztery lub pięć tysięcy żołnierzy. Stały w ciszy przed Koufuu Hino, po czym nagle, jednym sprawnym ruchem podzieliły się na dwie równe grupy.

Na początku przeszło mi przez myśl, że zamierzają zaatakować, jednak coś mi nie pasowało. Dziwoszczury stały nieruchomo jak posągi. Jedna z grup odwróciła się i wycelowała swoje strzelby, jednak nie w nas, a w kierunku drugiego oddziału.

– I co ty na to, Kaburagi-chan? Wybierz stronę. – W głosie Koufuu Hino rozbrzmiewała nutka szaleństwa. – Pozwolę ci nawet zacząć, jeśli chcesz.

Shisei Kaburagi pokręcił głową. – Podaruję to sobie – odparł, cały czas krzyżując ramiona.

– Eeech, wielka szkoda. Nudzi mi się taka samotna zabawa, ale chyba nie mam wyboru. No cóż, zaczynajmy.

Koufuu Hino wziął głęboki wdech i klasnął w dłonie. Donośny dźwięk poniósł się echem po placu.

– Aaaiaiaiaiaiaia!

Ponownie zaklaskał do rytmu, a oczy znów wyskoczyły mu z orbit.

– Aaara! Essasaaa! – zagrzemiał przeraźliwie.

Wszystkie dziwoszczury z drugiej połowy armii jak jeden mąż rzuciły się na swoich pobratymców z pierwszej grupy.

– Nie wierzę w to. Jak, do diabła, on to robi...? – spytał zszokowany Satoru.

Kontrolowanie żywej istoty poprzez cantus było skrajnie trudną sztuką. Samo wywoływanie emocji, takich jak strach czy gniew wymagało znacznej wprawy; żeby zmusić cel do wykonania konkretnej czynności konieczne zaś było stworzenie kompletnego obrazu mózgu ofiary. Mógł tego dokonać tylko ktoś obdarzony nadzwyczajną wyobraźnią i zdolnością koncentracji.

Koufuu Hino kontrolował przeszło dwa tysiące dziwoszczurów. Zdolność manipulacji tak wielką liczbą wysoce inteligentnych stworzeń zdawała się wykraczać poza możliwości jakiegokolwiek człowieka. Nie będzie przesadą jeśli stwierdzę, że swoją mocą praktycznie dorównywał bogom.

Zniewolone dziwoszczury poruszały się jak nakręcane zabawki, atakując z przerażającą prędkością. Druga grupa żołnierzy próbowała rozpaczliwie się bronić, jednak najwyraźniej nie byli oni w stanie przewyciężyć przerażenia spowodowanego widokiem swoich pobratymców zmienionych w bezmyślne maszyny do zabijania.

Nagle przypomniało mi się, że Satoru kiedyś wykorzystał identyczną taktykę. Kontrolując ciała martwych dziwoszczurów zasiał panikę w szeregach wysoce przesądnych Ziemnych Pająków. Oczywiście poziom jego umiejętności nie umywał się do kunsztu Koufuu Hino, jednak w ostatecznym rozrachunku tamten plan okazał się najprawdopodobniej równie efektywny.

– Łup, łup, łup, rozłup mózg. Przed żołnierzami zatrzaśnij drzwi. Gdy sobie pójdą, odetchnij z ulgą. Wyliniałe myszy czmychają z piskiem. Pi, pi, pi.¹

¹ Są to zmodyfikowane słowa piosenki dla dzieci – [Zui Zui Zukkorobashi](#). Fragment piosenki na którym bazuje owa przeróbka można tłumaczyć w przybliżeniu jako: „Miażdż, miażdż, miażdż sezam na miso. Przed żołnierzami zatrzaśnij drzwi. Gdy sobie pójdą, odetchnij z ulgą. Małe myszki wyjadają ryż z worków. Pi, pi, pi.”

Koufuu Hino śpiewał ile sił w płucach, uderzając jednocześnie w zawieszony na jednej z wież bęben. Dziwoszczury cięły na oślep swoimi mieczami; bryzgająca krew i odcięte głowy co chwila przecinały powietrze. Ledwo mogłam znieść ten makabryczny widok.

– Ach... – wydusił Satoru, patrząc w osłupieniu na krwawą rzeź.

– Co?

– Te dziwoszczury, którymi steruje. Wszystkie poruszają się w taki sam sposób.

Pomimo, że Koufuu Hino stał w znacznej odległości od nas, zdołał jakoś to dosłyszeć i pokazał nam język. W jego wybałuszonych oczach było coś wyjątkowo nieprzyjemnego.

– O nie! Przejrzano mnie. Zawaliłem. Odkryliście moją sztuczkę...

W końcu też to dostrzegłam. Większość żołnierzy rzeczywiście wykonywała te same czynności. Niektórzy nawet strzelali w powietrze. Prawdopodobnie poruszały się według około dziesięciu ustalonych z góry wzorców.

– Bardzo bym chciał pokazać wam, że mogę kierować każdym z osobna, ale przy takiej ich liczbie to naprawdę problematyczne. Poza tym jestem nieco podchmielony...

Dziwoszczury atakowały bez chwili wytchnienia, nie zwracając uwagi na nieco bezładny wywód Koufuu Hino.

– Leeheeheehee. Nawet, jeśli będą chciały uciekać, moi wojownicy ich nie oszczędzą. To, że ich kontroluję, nie gwarantuje im jednak zwycięstwa. Byłbym bardzo zniesmaczony, jeśli ludzie pomyśleliby, że to wszystko na co stać starego Koufuu. Dlatego czas trochę rozruszać tą imprezę!

Bezwolne dziwoszczury zaczęły dziko młócić ramionami z taką szybkością, że aż porozrywały sobie torebki stawowe.

– Eeeheeheeheeheeheehee...! – Gromki, histeryczny śmiech Koufuu Hino niósł się nad cuchnącą, krwistą mgiełką, rozlewającą się po całym placu.

Widok masakry był tak hipnotyzujący, że kompletnie uspił naszą czujność. Ogromna wściekłość i nienawiść, jaką czuliśmy do dziwoszczurów połączona z zachwytem, któremu ustąpił miejsca wcześniejszy strach bez wątpienia były jedną z przyczyn naszej nienaturalnej bez troski.

To może zabrzmieć niedorzecznie, ale istnieje możliwość, że również i to było częścią planu Yakomaru. W przeciwnym razie wydarzenia, które nastąpiły później musiałyby być konsekwencją idealnego wręcz wycucia czasu.

Gdy przy życiu pozostała za ledwie trzecia część pierwotnej liczby dwóch tysięcy dziwoszczurów, zwycięstwo zdawało się być na wyciągnięcie ręki. Wtedy jednak zupełnie niespodziewanie rozległ się ogłuszający huk.

Po nim nastąpiło jeszcze dziesięć podobnych eksplozji. Ostatnia z nich była tak silna, że zatrzęsała się ziemia.

Nie miałam najmniejszego pojęcia co się dzieje. Przypuszczam, że pozostali byli równie zdezorientowani.

Dopiero później, opierając się na zeznaniach świadków udało się nakreślić mglisty obraz tego, co się wydarzyło.

Kiedy byliśmy zajęci oglądaniem rzezi, kilkanaście dziwoszczurów, które tylko czekały na dokładnie taką okazję, jednocześnie oddało serię strzałów. Miały dwa cele. Koufuu Hino oraz Shiseia Kaburagiego.

Wszyscy założyliśmy machinalnie, że dziwoszczury mają zamiar tyłu ludzi, ilu zdołają. Myśleliśmy, że ich ataki nie są niczym innym jak tylko ostatnim, rozpaczliwym zrywem osaczonego zwierzęcia, które chce zranić drapieżnika, nawet jeśli wie, że nie uniknie śmierci. Celem Yakomaru od samego początku było jednak zwycięstwo a istotą strategii, mającej mu je zapewnić, było odebranie życia Koufuu Hino i Shiseiowi Kaburagiemu.

Trzy kule dosięgnęły Koufuu Hino. Jedna z nich trafiła prosto w jego potężną pierś, przebijając ją na wylot. Powoli osunął się na ziemię.

W tym samym momencie czterej żołnierze szybko otoczyli Shiseia Kaburagiego i zasypali go gradem pocisków. Dym towarzyszący spalaniu prochu był tak gęsty, że całkowicie go zasłonił. Dwa kolejne dziwoszczury wykorzystały te okazję, żeby podbiec jak najbliżej. Były po zęby obwieszane bombami i kolczatkami i gdy tylko znalazły się w wystarczającej odległości, wysadziły się w powietrze.

Można zastanawiać się, w jaki sposób zdołały podejść tak blisko w tak krótkim czasie. Każdy stawiał sobie to pytanie. Odpowiedź na nie jest bardzo prosta – wszystkie od samego początku były bardzo niedaleko. Wewnątrz kolistej strefy ochronnej Shiseia Kaburagiego.

Wszyscy mieszkańcy musieli być zszokowani widokiem uzbrojonych w strzelby dziwoszczurów które znenacka pojawiły się pomiędzy nimi, zwłaszcza, że na pierwszy rzut oka można było je pomylić z ludźmi.

Kiedy przyjrzało się im z bliska, dało się jednak wychwycić znaczące różnice. Ich twarze pozbawione były włosów, brwi i rzęs, natomiast skóra była blada i pomarszczona jak u stuletnich staruszków. Można było nawet zauważyć przelotne mignięcie żółtych siekaczy skrywanych pod wargami.

Skoro królowa Ziemnych Pająków potrafiła kontrolować wygląd swojego potomstwa w taki sposób, by móc tworzyć mutanty takie jak bombopsy czy patyczakowaci wojownicy, niewykluczone było, że mogła stworzyć też dziwoszczury, które byłyby w stanie upodobnić się do ludzi.

Taki kamuflaż zadziałał w dwojaki sposób. Po pierwsze, mogły dzięki niemu wmieszać się w tłum. Ich wygląd był na tyle dziwny, że w zwyczajnych okolicznościach mogłyby zostać zdemaskowane, jednak niespodziewana napaść tak zaskoczyła wszystkich mieszkańców, że nikt nie zwrócił na nie szczególnej uwagi.

Drugą z korzyści najdobitniej obrazowali snajperzy dziwoszczurów. Każda sylwetka przypominająca dziwoszczurą od razu stałaby się celem zabójczego działania cantusu. Jednakże,

w panujących ciemnościach, oglądane z daleka zarysy podobne do ludzkich aktywowały nasz mechanizm kontroli ataku, uniemożliwiający nam korzystanie z mocy. Nawet Shisei Kaburagi nie był wyjątkiem od tej reguły. Dziwoszczury musiały być przekonane, że nawet najpotężniejszy człowiek nie przetrwa połączonego ataku zakamuflowanych strzelców wyborowych i zamachowców-samobójców.

Wbrew temu przeświadczeniu, eksplozja została stłumiona. Kiedy opadł tuman pyłu zobaczyliśmy stojącego w jego środku Shiseia Kaburagiego.

Po obu jego stronach unosiły się przedziwne sfery o średnicy dwóch lub trzech metrów. Były przezroczyste jak bańki mydlane, a w ich wnętrzu kotłowały się płomienie i dym.

Shisei zdołał powstrzymać oba wybuchy. W podobny sposób udało się niegdyś Satoru zdławić detonację bombopsa; jedyną różnicą było to, że tym razem eksplozja została uwięziona w perfekcyjny sposób.

Wzrok Shiseia Kaburagiego zawędrował w kierunku leżącego na ziemi Koufuu Hino. Wyraz jego twarzy pozostał niezmienny, lecz dało się wyczuć emanującą od niego aurę nieposkromionej wściekłości.

– Zajmę się tym. Niech nikt nie wchodzi mi w drogę – zwrócił się do tłumu ze spokojem, mimo, że przerażająca potęga jego gniewu wciąż była wręcz namacalna.

Zdjął swoje ciemne okulary.

Wśród ludzi zapanowało lekkie poruszenie. Zaledwie kilka osób widziało kiedykolwiek wcześniej oblicze Shiseia.

Jego duże oczy o kształcie migdałów lśniły czystym blaskiem. Widząc jego twarz w pełnej okazałości, można było powiedzieć, że jest całkiem przystojny. Efekt psuły jedynie jego dziwne źrenice.

Miał po dwie w każdym oku. Otaczały je błyszczące w mroku tęczówki o złocistej barwie. To była dziedziczna cecha, przekazywana

z pokolenia na pokolenie w rodzie Kaburagi. Mówiło się, że to dowód ponadprzeciętnych zdolności klanu.

Pozostając przy rodzinie, prawdziwe nazwisko Shiseia zapisywało się 四星.¹ Znak 肆 był alternatywną formą 四, i czytało się go tak jak wyraz „zabić”.

– Plugawcy – powiedział cicho Shisei Kaburagi.

W bańkach, które więziły stłumione eksplozje pojawiły się dwie dziury. Wiązki skoncentrowanej energii wystrzeliły wprost w dwa pozostałe dziwoszczury udające ludzi.

Kolczatki wbiły się w ich ciała z taką mocą i szybkością, że korpusy dziwoszczurów praktycznie wyparowały. Pozostałe fragmenty ich zwłok z głuchym plaśnięciem uderzyły o ziemię.

Shisei Kaburagi zwrócił swój przerażający wzrok w stronę tłumu. Wszyscy stali jak wrośnięci w ziemię; nikt nie odważył się nawet odetchnąć.

Nagle około dwunastu ludzi uniosło wysoko w powietrze. Kiedy przyjrzałam się zwisającym bezwładnie, szamocącym się sylwetko, zrozumiałam że wszyscy są przebierańcami.

– Myśleliście, że zdołacie mnie oszukać?

Dziwoszczury wystrzeliły w mrok nocy z ponaddźwiękową prędkością niczym rykoszetujące kule do pachinko.

– Uważaj! – krzyknęłam.

Nieliczni żołnierze, którzy uszli z życiem z masakry urządzonej przez Koufuu Hino pozbierali resztki amunicji i skradali się w stronę Shiseia Kaburagiego, żeby zaatakować jeszcze jeden, ostatni raz.

Shisei Kaburagi nawet nie musiał się odwracać. W momencie, gdy w jego kierunku pofrunęły strzały i kule, powietrze jakby zgęstniało, spowalniając lot pocisków a po chwili zupełnie je zatrzymując.

W końcu odwrócił się niespiesznie i utkwiał w dziwoszczurach spojrzenie swoich czterech źrenic.

¹ 四星 oznacza „cztery gwiazdy”. Imię Shiseia zapisywało się natomiast jako 肆星. 肆 (shi) również oznacza liczbę 4 i czyta się tak samo jak 死 (shi) - zabić, śmierć.

Pozostałe sześć setek wojowników zniknęło nagle w rozbłysku tak potężnym, że zdawało mi się, że wypali mi oczy. Wszystkim, co po nich pozostało była gęsta mgielka. Po chwili uderzyła w nas fala gorącego powietrza. Gdybym w porę nie ochroniła twarzy dzięki cantusowi, z pewnością nabawiłabym się paskudnych oparzeń.

Shisei Kaburagi podszedł powolnym krokiem do Koufuu Hino. Strzały i kule uderzyły za nim z łoskotem o ziemię.

– Trzymaj się, Koufuu.

Kiedy Shisei go podniósł, Koufuu Hino otworzył oczy i zakaszłał, plując krwią.

– N-nie mogę w to uwierzyć. T-te małe szczury naprawdę mnie dostały...

– Wybacz. Byłem nieostrożny.

Koufuu Hino zdawał się nie usłyszeć tych słów.

– Dlaczego bogowie obdarzyli swoje dzieci tak... tak słabym ciałem?

Satoru i ja zerwaliśmy się do biegu, chcąc ruszyć na pomoc, ale Shisei Kaburagi tylko pokręcił powoli głową.

– Mój wewnętrzny płomień... gaśnie... Co za strata... – wyszeptał niewyraźnie Koufuu. – Pozostawię... po sobie... piękno.

To były jego ostatnie słowa. Mrok rozświetlił nikły blask mirażu przedstawiającego młodą kobietę. Patrzyłam na nią z zapartym tchem. Stała nago wśród skąpanych w promieniach zachodzącego słońca pól, uśmiechając się do nas czule. Myślę, że nigdy wcześniej ani później nie zobaczyłam niczego piękniejszego.

Kiedy zastanawiałam się kim ona jest, obraz powoli rozmył się i zanikł w ciemności.

Koufuu Hino, posiadacz najpotężniejszego cantusu, odszedł z tego świata.

Shisei Kaburagi wstał, zakładając swoje przyciemniane okulary.

– Proszę wszystkich o zachowanie spokoju. Bezpośrednie zagrożenie zostało zażegnane. Czy są wśród nas członkowie Rady Bezpieczeństwa?

Kilka osób poruszyło się. Jako pierwszy z tłumu wystąpił niepewnie pan Kaneko. Był śmiertelnie blady i najwyraźniej całkowicie zaniemówił z przerażenia. Następnie, ku mojej ogromnej uldze, pokazali się moi rodzice. Byłam pewna, że przeżyli, ale na ich widok zupełnie się rozkleiłam. Podbiegłam do nich i mocno ich wyściskałam.

Po chwili ujrzałam Tomiko zmierzającą spokojnym krokiem w naszą stronę.

– Co z Koufuu?

– Straciliśmy go – odparł Shisei Kaburagi.

– Rozumiem... Każdy dziwoszczur, który był choć w minimalnym stopniu zaangażowany w ten atak zostanie zgładzony. Wszystkie pozostałe mają zostać uznane za podejrzanych do czasu wyjaśnienia tej sprawy.

– Oczywiście.

– Nigdy nie przypuszczałam, że naprawdę może do tego dojść – powiedziała Tomiko drżącym głosem. – Ten Yakomaru... – kontynuowała. – Nie wolno nam nie doceniać jego inteligencji i rozmiarów jego planów. To właśnie przez to zginął Koufuu, niezależnie od tego jaką potęgą władał. Zrozumiałeś mnie?

– Oczywiście. Nie martw się, proszę. Ich ataki są bezużyteczne przeciwko mnie.

– To prawda. Dysponujesz trzystasześćdziesięciostopniowym polem widzenia bez żadnych martwych punktów i możesz nawet patrzeć przez osłony. Szybkość twoich odruchów znacznie przekracza największe limity normalnych komórek nerwowych. Nawet ja nie mam pojęcia jak można by cię pokonać... Mimo to wciąż czuję pewien niepokój.

Moi rodzice zaczęli wyznaczać członkom Rady Bezpieczeństwa różne zadania, które miały pomóc w opanowaniu sytuacji. Mój ojciec, korzystając ze swoich burmistrzowskich przywilejów, żywo rzucał poleceniami na prawo i lewo.

– Jeśli ktoś jest ranny i potrzebuje pomocy medycznej, proszę tędy! Czy są tu jacyś lekarze lub pielęgniarki?

Nagle uświadomiłam sobie, że brakuje pewnej osoby.

– Gdzie jest Hiromi Torigai? – spytałam Tomiko.

W odpowiedzi skrzywiła się nieznacznie i pokręciła głową.

– He?

– Zawsze była najbardziej nieufna i najostrożniejsza z nas. Niestety, mimo to zginęła na miejscu, trafiona kulą w głowę. To prawdziwe nieszczęście. Pamiętajmy, że to ona zasugerowała odroczenie obchodów Święta Lata podczas zgromadzenia Rady Bezpieczeństwa – powiedziała Tomiko zadziwiająco spokojnym tonem. – Nie licząc tamtej Bestii, K, nie pamiętam, żebym czułam do czegokolwiek taką nienawiść jak teraz. Te nikczemne dziwoszczury, a zwłaszcza Yakomaru, zapłacą za swoje czyny. Przysięgam, że czekają go katusze jakich nigdy wcześniej nie cierpiała żadna żywa istota. Zginie powolną, przeciąganą śmiercią – dodała, po czym uśmiechnęła się wesoło i zaczęła zwoływać członków Komisji Etyki na prędką konferencję.

– Posłuchajcie mnie wszyscy – zwrócił się do tłumu Shisei Kaburagi. – Przypomnijcie sobie szkolenie dotyczące działania w sytuacjach kryzysowych. Zgrupujcie się w swoje pięcioosobowe zespoły i oceńcie stan zdrowia towarzyszy. Jeżeli wasza grupa jest niekompletna, dołączcie do innej drużyny. Upewnijcie się, że zawsze jest was przynajmniej pięcioro... Patrolujcie w zespołach wioski, szukając pozostałych dziwoszczurów. Zabijajcie je na miejscu, nawet jeśli będą błagać o życie i zaręczać, że są lojalne w stosunku do ludzi. Bądźcie dokładni, przebijajcie im serca albo skręcajcie karki, żeby mieć pewność, że nie żyją. Niech każdy z was obserwuje inny kierunek. Upewnijcie się też, że wasze pole widzenia nie ma martwych punktów nad lub pod wami.

– Chodźmy – powiedział Satoru, biorąc mnie za rękę.

– He?

– Jesteśmy ostatnimi dwoma żyjącymi członkami naszej grupy z Akademii Mędrców, więc musimy połączyć się z innym niepełnym zespołem.

– Racja. Ale kogo masz na myśli?

– Sam nie wiem. Ale zżera mnie strach.

Nie dodał już nic więcej.

Szybko odszukaliśmy troje ludzi i, zgodnie z sugestią Satoru, połączyliśmy z nimi siły. To byli pracownicy huty metalu. Ich lider, Fujita, był mężczyzną w średnim wieku. Kuramochi miał trzydzieści parę lat i pełnił także funkcję strażaka w swojej wiosce. Ostatnią osobą była starsza od nas może o dwa lub trzy lata Okano. Jeden z ich współtowarzyszy leżał w szpitalu i w ogóle nie dotarł na festiwal, natomiast drugi zginął, otruty gazem. Całą trójkę przepelniał gniew i żal. Kuramochi wyraźnie zionął żądzą zemsty na dziwoszczurach a Okano głośno opłakiwała przyjaciół, którzy stracili życie podczas ataku. Obydwoje martwili się o swojego chorego kompana, więc postanowiliśmy udać się do szpitala.

– Bądź ostrożna, Saki – powiedziała przez łzy moja matka, ściskając mnie mocno zanim się rozstałyśmy.

– Nawet cantus nie uchroni waszej piątki przed niebezpieczeństwem, jeśli się rozdzielicie. Nie oddalaj się od zespołu, rozumiesz mnie? – powtarzał co rusz mój ojciec.

– W porządku. Wszystko będzie dobrze – odparłam wesoło.

W głębi duszy czułam jednak nieznośny niepokój, którego powodu nie potrafiłam jednoznacznie określić.

Jedyny szpital z oddziałami z całodobową opieką znajdował się w Żłocistej Wiosce, z dala od centrum dystryktu. Otaczały go pola ryżowe, na których jak co roku jasnozielone kielki zmieniały się właśnie w żłociste kłosa.

Wsiedliśmy do niewielkiej łódki i popłynęliśmy po czarnej jak smoła wodzie kanału. Wszyscy pragnęli jak najszybciej dostać się do szpitala, jednak ze względów bezpieczeństwa musieliśmy

przemieszczać się wolnym tempem, co doprowadzało nas do szału. Ponieważ trzeba było mieć na uwadze możliwość, że dziwoszczury szykują atak z zasadzki w ciemnościach, wysłaliśmy przodem pusty kajak, który miał być przynętą. Nie mieliśmy jednak żadnej gwarancji, że nabiorą się na tę sztuczkę.

– Hej, co cię tak martwiło? Możesz teraz o tym powiedzieć?

– Tak. Coś mi tu nie pasuje – odparł cicho Satoru, wiedząc, że pozostali również słuchają.

– Ale co takiego?

– Po pierwsze, dlaczego Yakomaru zdecydował się na wojnę, której nie miał szans wygrać? Wiesz, jaki on jest. Nie podjąłby ryzyka, jeśli nie miałby absolutnej pewności, że wszystko pójdzie po jego myśli.

– Znacie Yakomaru? – Fujita, pełniący wartę na dziobie, wstał i podszedł do nas.

– Tak. Spotkaliśmy go, kiedy jeszcze mówiono na niego Squealer.

Satoru szybko streścił wydarzenia letniego obozu.

– Rozumiem. To prawda, że jest niezwykle przebiegły, ale i tak nie wierzę, że dziwoszczury mogą z nami wygrać. Prawdopodobnie postawiły wszystko na jedną kartę, atakując dzisiejszej nocy.

– Ja też tak pomyślałem...

Miałam wrażenie, że Satoru nie powiedział wszystkiego.

– Natknęliśmy się na inny oddział dziwoszczurów wcześniej, gdy zmierzaliśmy w stronę placu. Zabiłem je wszystkie.

– Naprawdę? To świetnie.

– Tak, ale kiedy sprawdziłem tatuaże na ich ciałach, okazało się, że żaden nie był z kolonii Łowików.

– Nie?

Rozdziawiłam usta. To ja powinnam być tu ekspertem od dziwoszczurów, a niczego nie zaważyłam. To było zawstydzające.

– Miały wytatuowane słowo „inny”.¹ To oznaczenie kolonii Nasteczników.

– Nasteczniki? To jedna z kolonii zaatakowanych przez Łowiki, prawda? Obiło mi się o uszy, że z jakiegoś powodu przeszły na ich stronę – odparł ostro Kuramochi, który słuchał w skupieniu, sterując jednocześnie łodzią.

Czyli większość ludzi już o tym słyszała.

– Tak, i właśnie to jest największa tajemnica. Nie mam pojęcia dlaczego miałyby to zrobić.

– Hmm. A jaką masz teorię? – zapytał Fujita.

– Nasteczniki musiały być w pełni przekonane, że Łowiki odniosą zwycięstwo. Z tego powodu, aby zapewnić sobie przetrwanie, zdradziły sojusz Olbrzymich Szerszeni.

– Tak jak przypuszczałem, uwierzyły w szansę na wygraną. Zdaje się jednak, że przeceniły możliwości Łowików... Mimo to, ich plan musiał być bardzo przekonujący. – Fujita uśmiechnął się lekko i pokręcił głową. – Martwi mnie coś jeszcze. W jaki sposób Łowiki zdołały unicestwić armię Olbrzymich Szerszeni? Kiroumaru jest doświadczonym dowódcą, a jego żołnierze to elita wśród elit. Jak to możliwe, że zostali pokonani z taką łatwością? Nie wydaje mi się, że atak z zaskoczenia podobny do dzisiejszego mógłby być równie skuteczny przeciwko wojskom dziwoszczurów. – Uśmiech Fujity zgasł.

– Więc uważasz, że wciąż mają asa w rękawie? – zapytałam Satoru.

– Tak. Choć nie wiem jeszcze, czym on jest. To może być ta broń masowej zagłady sprzed wieków, o której mówiła twoja matka – odpowiedział drżącym głosem.

– Ale Shisei Kaburagi mówił, że...

Mówił, że to użytkownik cantusu zniszczył kolonię Olbrzymich Szerszeni.

¹ Pierwsze kanji słowa „nastecznik” to 鱧 (betsu), jednak na tatuażu wykorzystano prostszy znak 別, który czyta się tak samo, a tłumaczyć go można jako „inny”.

– Tak, wiem – przerwał mi Satoru. Jego mina jasno dawała do zrozumienia, że nie mam mówić dalej.

Jeśli pozostała trójka dowiedziałyby się o tym, mogliby zacząć panikować.

– No tak... Mogą posiadać broń silniejszą od strzelb i strzał, więc wszyscy muszą zachować ostrożność – powiedział po namyśle Fujita.

– To niedorzeczne. Nie istnieje broń potężniejsza od cantusu. Kiedy postanowimy ich zaatakować, walka będzie dla nas spacerkiem – prychnął Kuramochi. – Znajdę tych parszywców nawet jeśli będę musiał zrównać z ziemią wszystkie okoliczne budynki. Nie spocznę, dopóki nie ubije wszystkich dziwoszczurów przez które zginął Nemoto!

– Rozumiem jak się czujesz, ale spróbuj trochę ochłonać. One miały mnóstwo czasu na przygotowania. Znowu nas zaskoczą, jeśli nie będziemy ostrożni – odparł Fujita.

– Tak, tak. Wiem o tym. – Kuramochi odwrócił się na pięcie. Łódka kołysała się na boki, zupełnie jakby i na nią wpływały sprzeczne uczucia, miotające mężczyznę.

– Ja... Ja też chcę wybić te kanalie co do nogi – odezwała się dotychczas milcząca Okano. – Teraz jednak bardziej martwi mnie los Oouchiego.

– Wiem. Jestem jednak przekonany, że wszystko z nim w porządku. W szpitalu jest pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu ludzi. Może i są chorzy, ale to nie znaczy, że nie mogą używać swoich mocy. Dziwoszczury nie miałyby z nimi najmniejszych szans – pocieszył ją Fujita.

– Tak... Masz rację – wymamrotała pod nosem Okano.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze – powiedziałam, obejmując ją za ramię.

Zadrżała lekko. Pogładziłam ją pokrzepiająco. Zastanawiałam się, czy Oouchi był jej chłopakiem. Przypomniało mi się jak

w podobny sposób pocieszałam Marię wiele lat temu i poczułam ukłucie w sercu.

Kajak-przynęta dopłynął do przystani a nasza łódź zatrzymała się zaraz za nim. Od szpitala dzielił nas wąski kanał, z obu stron otoczony polami ryżowymi. Dziwoszczury mogły ukrywać się wśród kłosów albo czaić się zanurzone w mule. Pójście na wprost byłoby niebezpieczne.

– Spójrzcie na to – wyszeptał Satoru, wskazując na szpital.

W żadnym z okien trzypiętrowego budynku nie paliło się światło. Nie dochodził z niego również najmniejszy nawet dźwięk. W miejscu, w którym powinno znajdować się główne wejście, ziała czarna wyrwa. Na początku mogło wydawać się, że drzwi są po prostu otwarte na oścież, ale kiedy przyjrzałam się uważniej, zobaczyłam, że część desek budujących ścianę zostało z niej wyrwanych.

– Co to ma znaczyć? Drzwi są zniszczone?

– Tak. To po prostu wielka dziura.

– To nie może być...! – wyrwało się Okano.

Fujita zatkał jej usta dłonią. – Ćśśś... Spokojnie. Nawet jeśli coś się stało, prawdopodobnie zdołali uciec. Najpierw sprawdźmy to dokładnie.

Obydwie łodzie posuwały się najciszej jak było to możliwe. Satoru, Fujita i ja przeczesywaliśmy wzrokiem pola, wypatrując jakichkolwiek nieprzyjacielskich ruchów. Serce łomotało mi tak głośno, że byłam pewna, że wszyscy je słyszą. Dłonie miałam złane potem i co chwila musiałam wycierać je o yukatę.

Dotarliśmy pod frontową ścianę szpitala. Część wejścia została kompletnie zniszczona, a wszystkim, co po nim pozostało była symetryczna, dwumetrowa dziura.

– Jeśli to robota dziwoszczurów, jak udało im się zrobić taką wyrwę? Nie czuć tu zapachu prochu ani nic takiego – zauważył Fujita, wężąc w powietrzu.

– A kogo to obchodzi? Wejźmy do środka – powiedział Kuramochi, wstając ze swojego miejsca.

– Poczekaj. Nie mamy pojęcia na co możemy się tam natknąć.

Kuramochi zignorował Fujitę i wyszedł z łodzi. Patrzyliśmy na niego w osłupieniu. Żaden z nas nie miał na imię Shisei Kaburagi. Dziwoszczury bez problemu dałyby sobie z nami radę atakując z zasadzki.

Nic jednak nie zmąciło otaczającej nas ciemności. Panowała zupełna cisza. Kuramochi podszedł do pozostałości wejścia i zajrzał do środka przez dziurę.

– Pusto... Tyle, że wszędzie leżą odłamki drewna. Tak jakby ktoś roztrzaskał drzwi ogromną kulą – oznajmił. Jego głos rozbrzmiewał echem wśród mroku nocy.

– Saki, nie wydaje ci się to trochę dziwne? – wyszeptał mi nerwowo do ucha Satoru.

– Czemu?

– Jest za cicho.

– Może...

Urwałam w połowie zdania. To, że nie słyszeliśmy nawet bzyczenia owadów nie było normalne. Poza tym o tej porze roku pola ryżowe powinny aż roić się od skrzeczących żab.

– Czy to możliwe, że dziwoszczury kryją się gdzieś w pobliżu?

– Tak. I myślę, że jest ich bardzo dużo.

– Co robimy?

Satoru przywołał gestem dłoni Fujitę i Okano i wyjaśnił im sytuację.

– Czekają aż wszyscy wyjdziemy na ląd. Najprawdopodobniej chcą uderzyć, kiedy będziemy na to najmniej przygotowani.

– Cz-czyli musimy je uprzedzić?

– Dokładnie. Jednak jeśli zaatakujemy je teraz, skupią się na Kuramochim.

– Musimy go zawołać – wyszeptała Okano drżącym głosem.

– Nie, w ten sposób zorientują się, że znamy ich zamiary. Jeśli zaczną strzelać do nas na ślepo, również może być niebezpiecznie. Kuramochi mógłby nie dać rady uciec.

– No to co zrobimy? – spytałam.

– Poczekamy aż Kuramochi znajdzie się wewnątrz szpitala. Kiedy będzie bezpieczny w środku, zmiażdżymy drani.

Kuramochi zawahał się przed wejściem. We wnętrzu budynku było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz, lecz nadal było zbyt niebezpiecznie, żeby rozpaść pochodnię.

– Heeej. Co wy tam robicie? Idziecie czy nie? – zawołał, najwyraźniej podirytowany.

– Zaraz tam będziemy. Poczekaj minutkę. Sprawdzimy jeszcze okolice – odparł Satoru.

– Pff. Wymiękacie, czy co? – zadrwił, po czym dziarskim krokiem wszedł do budynku, znikając nam z oczu.

Teraz! Skierowaliśmy moc naszego cantusu wprost na otaczające szpital pola.

Ryżowe kłosa stały w płomieniach tak intensywne, że zdawało się, że sięgają nieba.

Przez dwie lub trzy sekundy nic się nie działo. Kiedy już zaczęłam myśleć, że byliśmy zbyt przewrażliwieni, spod błota wyskoczyła cała armia żołnierzy. Były ich setki. Wyciągnęli ukryte pośród łądy broni i zaczęli zapamiętane strzelać w naszą stronę.

Los dziwoszczurów był jednak przesądzony już w chwili, gdy ujawniły nam swoje pozycje. W blasku płomieni wyraźnie widzieliśmy nieprzyjaciół, którzy zostali chwilowo oślepieni po długim przebywaniu w mroku. Zaledwie kilka strzał i kul dosięgło łodzi; duża większość znacznie chybiła i przefrunęła nam nad głowami.

Cała nasza czwórka przeszła do bezlitosnego kontrataku. Napędzani gniewem, strachem i żądzą zemsty tworzyliśmy mentalne obrazy, w których skręcaliśmy dziwoszczurom karki, miażdżyliśmy czaszki, łamaliśmy kręgosłupy i rozgniataliśmy serca. Nie dostrzegliśmy nawet tęczy iskier wywołanych przez nałożenie się naszych cantusów. Jedynym, co zaprzętało nasze myśli było to, żeby nie pozwolić żadnemu dziwoszczurowi ujść z życiem; musiały

zostać wytępione co do jednego. Powietrze szybko wypełniły wrzaski umierających stworów i skwierczenie palących się ciał. Stworzyliśmy prawdziwe piekło.

– Wystarczy! Koniec! Już wystarczy! – krzyknął Satoru dziesięć minut później.

Pola ryżowe zostały spalone praktycznie do gołej ziemi, a ataki dziwoszczurów zupełnie ustały.

– Dostaliśmy je...? – Fujita ruszył naprzód, nie potrafiąc pohamować swojej ekscytacji.

– Tak. Najprawdopodobniej wszystkie są martwe – odparł Satoru.

Woda z pól ryżowych ugasiła ogień i ponownie otuliła nas ciemność. W powietrzu unosił się swąd zwęglonych zwłok.

– Ja... Ja właśnie... – Okano zgięła się w pól i zaczęła wymiotować za burtę.

– Uspokój się, Okano. Po prostu weź się w garść. To nic takiego. Nikomu nie sprawia to przyjemności, nawet jeżeli naszym celem są dziwoszczury – powiedziała, poklepując ją po plecach.

– Spokojnie, to nic takiego. Nic takiego. Nic takiego... – powtarzał mechanicznie Fujita. – Heeej! Kuramochi! Nic ci nie jest? – krzyknął nagle, jakby właśnie sobie przypomniał o kompanie.

Nie było odpowiedzi.

– Co się z nim stało? – zapytał zdumiony Satoru.

– Nie mam pojęcia. Ale o ile nie oberwał jakimś zabłąkanym pociskiem, to wszystko powinno być z nim w porządku.

– Nie ma już więcej dziwoszczurów, prawda? Powinniśmy tam wejść i sprawdzić?

– Tak myślę. Mimo wszystko w środku nadal mogą ukrywać się wrogowie.

– Hmm. No tak... Co w takim razie powinniśmy zrobić?

W miarę jak zbliżaliśmy się do szpitala, Fujita najwyraźniej stopniowo zrzekał się swojej pozycji lidera na rzecz Satoru. Nawet

teraz prawdopodobnie wyrażał swoje uznanie dla zaangażowania młodszego współtowarzysza.

– Ja tam pójdę.

– Naprawdę? To świe...

– Zwariowałeś, Satoru? – krzyknęłam.

– W porządku. Pozbyliśmy się już tych drani, którzy czekali w zasadzce, więc teraz na pewno nikt nie zaatakuje nas od tyłu.

– Ale i tak...

– Osłaniaj mnie.

Satoru wysiadł bezszelestnie z łodzi i ruszył w stronę wejścia do szpitala. Ostrożnie sprawdził całą okolicę po czym wrócił do nas.

– Kuramochiego tam nie ma. Pewnie poszedł dalej w głąb budynku.

– Rozumiem. Mógłbyś się tam szybko rozejrzeć? – poprosił przymilnie Fujita.

Wzburzyłam się słysząc to. Nie miałam zamiaru patrzeć jak Satoru wchodzi prosto w śmiertelną pułapkę.

– Nie! Wezwijmy pomoc! Zbyt niebezpiecznie jest iść w pojedynkę.

– Ale wszyscy są teraz w tarapatach. Nie przydzielą nam nikogo więcej – odparł Fujita z wyrzutem.

– Siedzicie sobie bezpiecznie na uboczu, więc skończcie z tymi niepoważnymi propozycjami. Skoro macie tyle dobrych pomysłów, to dlaczego nie pójdziecie zamiast mnie? – wypalił Satoru, po czym zamilkł, wyraźnie zawstydzony.

– Satoru, nie możesz! Nie wchodź tam!

Satoru wyglądał na niezdecydowanego, ale ostatecznie cofnął się w naszą stronę.

– Jak tak dalej pójdzie, to donikąd nie zajdziemy.

– A twoja śmierć w czymś nam pomoże?

Ten argument najwyraźniej w końcu do niego dotarł i zmusił do refleksji.

– Nie, nie miałem zamiaru...

Oczywiste było, że wciąż nie wyrósł ze złego nawyku całkowitego braku myślenia o konsekwencjach swoich działań, gdy za bardzo się w coś angażował.

– W porządku. Cóż... Rozumiem twój punkt widzenia, Watanabe – powiedział spokojnie Fujita.

– Zburzmy cały budynek. Nie ma innego sposobu. Dzięki temu wszystkie dziwoszczury, które mogą kryć się w środku zostaną...

– Jak możesz proponować coś takiego? Przecież jesteś naszym liderem.

Co zadziwiająco, osoba, która mu przerwała, była Okano.

– Tam wciąż może być ktoś żywy – kontynuowała. – Także Oouchi i Kuramochi. Zniszczyć cały budynek... Według ciebie powinniśmy ich wszystkich poświęcić?

– Nie, nie o to mi chodziło... Myślałem raczej, że moglibyśmy burzyć szpital kawałek po kawałku – wybąkał.

– Och, spójrzcie! – krzyknęłam, spoglądając w górę.

W oknie na drugim piętrze pokazał się słaby blask.

– Co to takiego?

Satoru też to dostrzegł. Migoczące światełko. Nie było go tam, kiedy tu dopłynęliśmy. Prawdopodobnie nie byliśmy go też w stanie dostrzec w jasnym blasku ognia, trawiącego ryżowe pola.

– Ktoś tam jest... – powiedział Satoru, ponownie kierując wzrok w stronę szpitala. – To nie robaczek świętojański. Ktoś używa cantusu.

Pewnie uwierzyłabym mu wtedy nawet, jeśli stwierdziłby, że źródłem światła jest błędny ogień.

– Ktoś prawdopodobnie wzywa pomocy. Musimy tam iść!

– A co, jeśli to pułapka? To znaczy, skoro ta osoba miała wystarczająco dużo czasu, żeby stworzyć świetlną kulę, to dlaczego po prostu nie otworzy okna i nie zacznie krzyczeć?

Satoru pokręcił głową.

– Być może nie jest w stanie tego zrobić. Może jest ciężko ranna i nie może się ruszać. Tak czy siak, ja wchodzę. Nie wiem kto to jest, ale nie mogę zostawić go na pastwę losu.

Tym razem utwierdził się w swoich zamiarach i próby odwiedzenia go od tego pomysłu spełzłyby na niczym.

– W porządku. Idę z tobą.

– Nie, Saki...

– Jeśli pójdziesz sam, kto będzie ochraniał twoje tyły?

Wyszłam z łodzi nieco chwiejnym krokiem, ponieważ wciąż nie przyzwyczaiałam się do chodaków.

– Ja też pójdę – oznajmiła cicho, lecz pewnie Okano. – We troje będzie bezpieczniej.

– No dobrze. Cóż, właściwie to niebezpiecznie może być również, jeśli pójdzie nas tam zbyt wielu... – powiedział Fujita, udając zawiedzonego.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Idę. Muszę upewnić się, że Oouchiemu i Kuramochiemu nic się nie stało. – Okano zeszła na brzeg i podążyła za nami.

– Niech wam będzie. Zostanę tu na warcie. Pójdźcie całą grupą byłoby zbyt ryzykowne. Jeśli coś się stanie, zawołajcie mnie.

Dla wszystkich było zupełnie oczywiste, że najzwyczajniej boi się iść z nami, choć jego argumentacja nie była do końca pozbawiona sensu. Ostatecznie Fujita został sam w kajaku, podczas gdy nasza trójka poszła przeszukiwać szpital.

Weszliśmy gęsiego przez zniszczone drzwi. Tak jak mówił Kuramochi, podłoga usiana była odłamkami desek.

Pozbieraliśmy cieńsze fragmenty drewna i podpaliliśmy je jak pochodnie. Wystawianie się na widok było niebezpieczne, lecz bez źródła światła nie moglibyśmy pójść dalej.

Parter zajmował duży hol ze znajdującą się po prawej stronie ladą recepcji. Na wprost nas widniały zbiegające się schody wiodące na pierwsze piętro. W normalnej sytuacji przed wyruszeniem dalej pewnie przeszukalibyśmy wszystkie pomieszczenia na tej

kondygnacji, ale musieliśmy jak najszybciej dostać się na drugie piętro. Jeśli rzeczywiście znajdował się tam ktoś ranny, musieliśmy natychmiast mu pomóc.

Satoru poprowadził nas na górę. Większość pacjentów przemieszczano za pomocą cantusu, więc schody pełniły raczej funkcję ozdobną. Obserwowałam boki, podczas gdy Okano pilnowała naszych tyłów. Drewniany parkiet trzeszczał pod moimi chodakami, więc co kawałek podskakiwałam ze strachu.

– Jak myślicie, dokąd poszedł Kuramochi? – spytała w końcu Okano, nie mogąc dłużej znieść ciszy.

Ani ja, ani Satoru nie potrafiliśmy wymyślić żadnej pocieszającej odpowiedzi, więc milczeliśmy.

Kiedy wdrapywaliśmy się na drugie piętro napięcie stało się prawie nie do zniesienia. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że Kuramochi rozpląnął się w powietrzu, jednak myśl, że mielibyśmy wrócić z niczym była nie do zaakceptowania.

Satoru zatrzymał się tuż przed ostatnim stopniem.

– Co się stało? – wyszeptałam najciszej jak potrafiłam.

– Tamto światło które widzieliśmy. Jest po prawej stronie korytarza. W oknie widać odbicie – odparł. – Saki, Okano, poślijcie tam powoli swoje pochodnie.

Zrobiłyśmy tak, jak nam polecił. Dwie płonące deski poszybowały w stronę holu, rozświetlając go.

– Nadal niczego nie widać.

Zaczął się koncentrować. W połowie długości korytarza coś delikatnie zamigotało. Lustro. Satoru powoli je przechylił, szukając odpowiedniego kąta.

Pochodnie oświetliły prawą stronę korytarza. Pusto. Nie licząc leżącej na podłodze ludzkiej sylwetki. Była zupełnie nieruchoma. Ten człowiek najwyraźniej nie żył.

Satoru obrócił lustro, żeby zbadać lewą część korytarza.

Stali tam. Czterej żołnierze dziwoszczurów zamarli z zaskoczenia. Prawdopodobnie oni również zobaczyli nas w lustrze.

Jeden z nich naprędcie przytknął do ust dmuchawkę. Strzałka przeleciała przez lustro i pomknęła przez hol.

– Zabić ich! – rozkazał Satoru.

Nie miałam pojęcia co robić. Nigdy nie używaliśmy cantusu na czymś, co nie znajdowało się bezpośrednio na linii naszego wzroku. Mimo to jeden z dziwoszczurów uniósł się nagle w powietrze, schwytany mocą Satoru.

Naśladowując jego technikę spróbowałyśmy złapać pozostałych żołnierzy opierając się jedynie na lustrzanym odbiciu.

Satoru skrzywił kark swojemu dziwoszczurowi. Okano z kolei rozsadziła głowę temu uzbrojonemu w dmuchawkę.

W końcu udało mi się przystosować mój mentalny obraz do odbitej sceny widzianej w lustrze. W tym momencie pozostawałam już kompletnie niewzruszona, wyrządzając krzywdę żywej istocie niebędącej człowiekiem. Podciąłam gardło dziwoszczura niewidzialnym ostrzem i pozwoliłam, żeby jego wciąż tryskające krwią ciało opadło na podłogę. Satoru zabił w tym czasie ostatniego z żołnierzy.

– Nie lepiej było zostawić jednego przy życiu?

– Nie. I tak nie moglibyśmy go wykorzystać jako posłańca. Tylko kilku najwyższych rangą dowódców umie mówić po japońsku.

W końcu postawiliśmy stopy na drugim piętrze i pomału przesuwaliśmy się wzdłuż korytarza, obawiając się kolejnych pułapek. Wyglądało jednak na to, że nie ma już więcej dziwoszczurów.

Kiedy dotarliśmy do leżącego na podłodze człowieka, Okano wydała z siebie głośny krzyk.

– Kuramochi!... T-to nie może być prawda!

– Lepiej, jeśli nie będziesz patrzeć.

Satoru odciągnął łkającą Okano od ciała. Przytuliłam ją.

– Wygląda na to, że nie cierpiał. Prawdopodobnie zginął na miejscu – zauważył.

Pomyślałam tak samo. Podpaliliśmy pola dokładnie w momencie, kiedy Kuramochi wszedł do szpitala. Prawdopodobnie

odwrócił się, żeby sprawdzić, co się stało i został trafiony strzałą w plecy. Później dziwoszczury musiały zaciągnąć jego ciało na drugie piętro, chcąc wykorzystać je jako przynętę na nas.

– Spójrzcie tam – powiedział Satoru, idąc w głąb korytarza.

– Ostrożnie!

– W porządku. Nie kryją się już tu żadne dziwoszczury. Musimy teraz sprawdzić skąd wzięło się tamto światło, które widzieliśmy i... – przerwał gwałtownie.

– Co się stało?

– Podejdź tu, Saki!

Satoru wbiegł do jednej z sal po prawej stronie. Pognałyśmy za nim.

Zobaczyłam wtedy coś totalnie niewiarygodnego.

Rozdział 4

Z sufitu zwisały trzy duże, podobne do kokonów obiekty. Osobliwość tej sceny początkowo mnie zszokowała, lecz po chwili uświadomiłam sobie że są to po prostu prześcieradła owinięte bandażami na modłę egipskich mumii. Sądząc po wystających z nich czarnych włosach, wewnątrz musieli znajdować się ludzie. Fragmenty kokonów, pod którymi powinny znajdować się ich piersi unosiły się i opadały nieznacznie. Wciąż żyli.

– Ściągnijmy ich.

Wspólnymi siłami unieśliśmy kokony, przecięliśmy bandaże, którymi były uwiązane do sufitu i ostrożnie położyliśmy je na podłodze.

Po odwinięciu prześcieradeł naszym oczom ukazało się troje ludzi. Jednym z nich był mój lekarz, doktor Noguchi. Pozostałymi dwiema osobami okazały się pielęgniarka i sprzątaczką, Seki i Kashimura. Wszyscy troje mieli opaski na oczach i związane przy plecach ręce. Kiedy ich uwolniliśmy i odwiązaliśmy im oczy, usiedli patrząc w przestrzeń pustym wzrokiem i trzęsąc się jak przerażone zwierzęta.

– Nic wam nie jest? – zapytał Satoru.

Nie odpowiedzieli.

– Może są ranni. Wstrząśnienie mózgu czy coś podobnego...

Okano przyjrzała się im uważnie, ale nie znalazła żadnych obrażeń.

– A może są odurzeni...?

Satoru uniósł głowy pracowników szpitala i spojrzał im w oczy.

W całej tej sytuacji było coś, co sprawiało, że zjeżyły mi się wszystkie włosy. Nie byłabym nawet w połowie tak przerażona gdybyśmy znaleźli trzy brutalnie zmasakrowane ciała. Nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że dzieje się tam coś koszmarnie niedobrego.

Nie umiałam jednak jednoznacznie stwierdzić, co jest źródłem mojego niepokoju.

– Hmm, czyli to oni rozpalili tamto światło? – spytała Okano z powątpiewaniem.

– Najwyraźniej. Nie widzę żadnej innej możliwości.

– Skoro tak było, to czy nie powinni być w stanie sami się oswobodzić?

– Nie... Ich możliwości były zbyt ograniczone. Opaski na ich oczach sprawiały, że nie widzieli tego, co robią, a używanie cantusu w takich warunkach jest skrajnie niebezpieczne. Poza tym myślę, że obawiali się też, że spadną z sufitu. Do tego wszystkiego trzeba pamiętać, że cały czas obserwowały ich dziwoszczury.

– Więc skąd tamto światło?

– Musieli próbować odtworzyć z pamięci układ korytarzy szpitala i nałożyć na niego obraz świetlika. Pozostawała im jedynie nadzieja, że ktoś dostrzeże światło i przyjdzie z pomocą.

Kiedy Satoru dyskutował z Okano w końcu udało mi się zrozumieć, dlaczego ta sytuacja wydaje się tak dziwna.

– Satoru... Dlaczego uważasz, że ci ludzie byli zakładnikami?

– He? Dlatego, że wpadli w zasadzkę, jak przypuszczam. To nie jest wcale takie zaskakujące. W wyniku planu Yakomaru zginęło już wielu ludzi.

– Ale ci tutaj żyją. Jeśli zaatakowano ich od tyłu, równie dobrze mogli od razu zostać zamordowani. Zamiast tego pojmano ich bez walki. Dziwoszczury były nawet na tyle skrupulatne, że zasłoniły im oczy... To nie jest normalne.

Satoru nie odpowiedział.

– Coś takiego nie powinno się zdarzyć – zauważyła wytrącona z równowagi Okano. – Każdy władający cantusem człowiek broniłby się przed wzięciem w niewolę czy przed każdym innym zagrożeniem. A ich było aż troje...

– Nie mamy jednak pewności, że byli w stanie walczyć. Mogli na przykład zostać ogłuszeni albo odurzeni. Nie ma sposobu, byśmy dowiedzieli się, co tu naprawdę zaszło. – Satoru założył ramię na ramię i zamyślił się.

– Aach... Ach. Aach. – Doktor Noguchi najwyraźniej w końcu zaczął odzyskiwać przytomność.

– Dobrze się pan czuje? Jesteśmy tu, żeby was uratować. Już w porządku. Zabiliśmy wszystkie dziwoszczury – powiedział Satoru, kucając przed nim.

– U-u... uciekajcie. Szybko! – powiedział ochryple doktor Noguchi.

– Czemu? Co się stało?

– O-oni niedługo tu wrócą... Uciekajcie, już!

– Kto taki ma wrócić?

– Czy wszystko w porządku z Oouchim? Był waszym pacjentem.

Podczas gdy Satoru i Okano bombardowali doktora Noguchiego pytaniami, pielęgniarka Seki zaczęła krzyczeć.

Nie wydaje mi się, żeby chciała nam coś przekazać; to był po prostu wyraz czystego, niczym niezmałconego przerażenia. Choć ta cała noc była jednym pasmem strachu i okropieństw, jej wrzask był pierwszą rzeczą, która dosłownie zmroziła mi krew w żyłach. Nigdy wcześniej nie słyszałam człowieka wydającego z siebie podobny dźwięk.

– Seki, uspokój się, proszę! Już wszystko dobrze!

Okano, mimo, że sama była coraz bardziej przerażona, próbowała ze wszystkich sił uspokoić Seki. Nie tylko nie przyniosło to zamierzonego skutku, a sprawiło wręcz, że kobieta stała się jeszcze bardziej roztrzęsiona. Jej wrzaski niosły się echem po zdewastowanym budynku szpitala.

Właśnie wtedy przebudzona hałasem Kashimura zerwała się na równe nogi.

Nie mieliśmy czasu nawet otworzyć ust. Spojrzała na nas przelotnie, obróciła się na pięcie i zaczęła biec. Poruszała się zadziwiająco pewnie; słyszeliśmy, że zbiega w dół pokonując po dwa stopnie naraz.

– Co powinniśmy zrobić? – Spojrzałam pytająco na Satoru.

– Najpierw się stąd wynieśmy. Zabierzemy ich ze sobą do łodzi.

– A co z ludźmi, którzy uciekli?

– Nimi będziemy martwić się później.

Chwyciliśmy doktora Noguchiego i Seki pod ramiona i zmusiliśmy ich, żeby wstali.

– Szybciej, szybciej, uciekajcie...

Kiedy już zdawało nam się, że idący chwiejnym krokiem lekarz wreszcie dochodzi do siebie, ponownie zaczął bełkotać niezrozumiale pod nosem. Seki z kolei w końcu przestała krzyczeć, jednak zaczęła trząść się tak gwałtownie, że najwyraźniej nie była po prostu w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Kiedy schodziliśmy po schodach, usłyszeliśmy czyjeś wołanie dochodzące z zewnątrz.

– Kto tam?

Satoru cofnął się na drugie piętro i wyjrzał przez okno. Poszłam za nim.

Zobaczyliśmy sylwetkę człowieka, gnającego ile sił w nogach aby oddalić się od szpitala. W świetle gwiazd nie było wiele widać, ale to prawdopodobnie była Kashimura.

– Hej! Co się stało? Nie musisz już uciekać! – zawołał za nią Fujita, stojący na dziobie łodzi.

Kashimura całkowicie go zignorowała.

Satoru otworzył okno do połowy.

– Fujita, ona jest... – krzyknął do niego.

– Nie! – wydusił ostrzegawczo doktor Noguchi, wydobywając z siebie resztki sił. – Usłyszają cię, jeśli będziesz wrzeszczeć!

Jego głos był cichy, lecz przepełniony taką desperacją, że odruchowo odskoczyliśmy od okien.

– O czym pan mówi? Dziwoszczury już...

– Nie chodzi o nie! On... On tu wróci!

Seki ponownie zaczęła lamentować, wydając z siebie zgrzytliwy, przeszywający pisk, przypominający skrzek jakiegoś piekielnego ptaszyska.

– Zróbcie coś, żeby się zamknęła! Szybko! – rzucił doktor Noguchi.

Okano zatkała jej usta dłonią. W głosie doktora wybrzmiewał taki autorytet, że nie dało się zignorować jego poleceń. Seki zaczęła szarpać się dziko, ale szybko opadła z sił i zamilkła.

– Kim jest „on”? Co tu się stało, u diabła? – spytał Satoru, chwytając Noguchiego za ramiona.

– On... Nie wiem kto to jest. Ale ich zabił. Personel, pacjentów, wszystkich!

Okano zastygła w bezruchu z przestachu.

– Przeżyła tylko nasza trójka. Prawdopodobnie chciał wykorzystać nas jako zakładników...

– Dlaczego nie walczyliście?

– Mieliśmy stawiać opór? To niemożliwe. Zabił wszystkich, którzy próbowali uciekać.

Usłyszeliśmy ciche zgrzytnięcie. Rozejrzałam się w poszukiwaniu źródła dźwięku, lecz po chwili zrozumiałam, że to tylko doktor Noguchi. Przywołanie tamtego koszmarne wspomnienia sprawiło, że zaczął w niekontrolowany sposób szcekać zębami.

– Uciekajcie, szybko. Jeśli nie, to...

W jego oczach dostrzegłam błysk szaleństwa.

– Satoru, musimy się stąd wynosić! – krzyknęłam. Towarzyszące mi przecucie nieuchronnie nadciągającego niebezpieczeństwa przybierało na sile z każdą sekundą.

– W porządku.

Nie tracąc więcej czasu na zbędne rozmowy, wszyscy pognaliśmy w dół po schodach, w stronę holu wejściowego. Kiedy tylko tam dobiegliśmy, usłyszeliśmy wrzask przerażenia.

– Ratunku!

Kashimura wracała w kierunku zniszczonych drzwi, gnając na złamanie karku. Od szpitala dzieliło ją jeszcze jakieś siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt metrów.

– Hej! Tędy! – krzyknął Fujita.

– Za późno... Nie możemy wyjść od frontu. Biegiem! Do tylnego wyjścia! – Doktor Noguchi obrócił się na pięcie i, potykając się, popędził z powrotem w głąb budynku.

Reszta z nas zawahała się. Nie byliśmy pewni, co powinniśmy zrobić.

W następnej sekundzie całe ciało Kashimury stanęło w ogniu.

– To... To niemożliwe – wyszeptał Satoru.

Nie wierzyłam własnym oczom. Miałam wrażenie, że senny koszmar stał się rzeczywistością. To po prostu nie mogło dziać się naprawdę. Ktoś, kto był w stanie zrobić coś takiego, musiał być...

Kashimura zwijała się bólu, rozpaczliwie młócąc ramionami. Silny podmuch wiatru uderzył w płomienie, sprawiając, że zaczęły wściekle dygotać.

To był Fujita. Próbował ugasić ogień, wykorzystując swój cantus.

– Musimy im pomóc! – krzyknęłam, szykując się do stłumienia pozostałych płomieni.

– Stój! – Satoru złapał mnie za rękę.

– Musimy pomóc, i to już!

– Nie! Uciekaj!

Satoru siłą wciągnął mnie z powrotem do szpitala. Zdążyłam jeszcze raz obejrzeć się przez ramię.

Ogień płonął jeszcze intensywniej niż poprzednio. Kashimura leżała nieruchomo na ziemi, trawiona przez płomienie.

Dojrzałam też Fujitę. Wybiegł z łodzi, zmierzając w stronę Kashimury, lecz nagle zawrócił, i zaczął gnać w naszą stronę.

Wtedy coś gwałtownie szarpnęło jego ciałem do tyłu.

Zaparło mi dech. *Czyli to naprawdę jest... Ale to przecież niemożliwe...*

Fujita zawisł w powietrzu. Nie lewitował z własnej woli; ktoś podtrzymywał go swoim cantusem.

Z trudem powstrzymałam się od krzyku.

W obliczu zjawisk absolutnie niepojętych, ludzie tracą wszelką zdolność racjonalnego myślenia, stając się nieruchomymi kołkami, mogącymi jedynie wpatrywać się bezmyślnie w to, co się dzieje. W tamtej chwili ja również zmieniłam się w taki kołek.

Tuż przed moimi oczami, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów ode mnie, żywa ludzka istota była rozrywana na kawałeczki, kończyła po kończyźnie.

– Nie patrz na to. – Satoru odwrócił moją głowę, zmuszając mnie, żebym spojrzała w przeciwną stronę.

– Aaaaaaa...!

Zza naszych pleców dobiegł przerażający wrzask. Powietrze wypełniło się wilgotną wonią krwi.

Satoru złapał mnie za rękę i pobiegł cicho w głąb szpitala.

– Szybko, tędy! – zawołał doktor Noguchi, machając do nas.

Za schodami znajdował się wąski korytarz, którego wcześniej nie zauważyłam. Później dowiedziałam się, że był on wykorzystywany do wynoszenia zwłok z budynku.

– Co to było, do cholery? – spytał drżącym głosem Satoru.

– Przecież wiesz, prawda? Każdy by się domyślił. To jest...

Zamilkł nagle i gestem dał nam do zrozumienia, żebyśmy też się uciszeli. Wyteżyłam słuch.

Kroki. Coś niedużego i lekkiego powoli zbliżało się do szpitalnego wejścia. Po chwili usłyszeliśmy trzeszczenie schodowych desek pod stopami istoty.

Spojrzałam przelotnie na Seki. Przeraziło mnie to, co zobaczyłam. Jej twarz była wykrzywiona ze strachu i zdawało się, że za moment znowu zacznie krzyczeć. Gdyby to zrobiła, bylibyśmy skończeni.

Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, Okano przystąpiła do działania. Przyciągnęła Seki do siebie, zasłaniając twarz pielęgniarki własnym ciałem i zaczęła rytmicznie gładzić ją po plecach, zupełnie jakby uspokajała dziecko. Seki szamotała się przez kilka chwil, jednak szybko ochłonęła.

Dźwięki kroków oddalały się w stronę pierwszego piętra.

Doktor Noguchi machnął dłonią, poganiając nas. Podkradliśmy się cicho do tylnego wejścia. Lekarz złapał za klamkę i przekręcił ją.

Drzwi ani drgnęły. Zdawało mi się wtedy, że nasze serca zaraz się zatrzymają. Po chwili jednak doktor odsunął blokującą drzwi zasuwę i cicho otworzył je na oścież.

Miałam wrażenie, że właśnie uciekłam z ciasnej, przegniłej trumny, by trafić wprost w nieprzemierzone otchłanie piekieł.

Kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi, doktor Noguchi odwrócił się w przypadkowym kierunku i ruszył przed siebie chwiejnym krokiem.

– To niewłaściwa droga – powiedział Satoru, rzucając się do przodu, aby zatrzymać.

Noguchi odtrącił obcesowo jego dłoń.

– Nie idźcie za mną. Wybierzcie jakiś kierunek i uciekajcie.

– Poczekaj...

– Posłuchajcie. Musimy się rozdzielić. I tak wszyscy możemy zginąć, ale dzięki temu, jeśli będziemy mieli szczęście, jedno z nas przeżyje.

Z budynku dobiegł dziwny dźwięk. To było coś pomiędzy krzykiem rozpaczony a zwierzęcym rykiem. Kimkolwiek była istota, która weszła do szpitala, musiała odkryć, że zakładnicy uciekli, a dziwoszczury nie żyją. Musieliśmy jak najszybciej się stamtąd wynosić.

– Osobno nie mamy szans. Musimy walczyć ramię w ramię.

– Ramię w ramię? O czym ty w ogóle mówisz? – Usta doktora Noguchiego wykrzywiły się szyderczo.

Usłyszeliśmy za sobą odgłos schodzenia po schodach. Nie mieliśmy dużo czasu.

– Widzieliście przecież, że dosłownie przed chwilą zabił dwoje ludzi. Nie ma znaczenia czy będzie nas pięciu, czy cała setka. Rezultat się nie zmieni.

– Ale...

– Co chcesz działać przeciwko Bestii? Po prostu uciekaj! – warknął, odpychając Satoru na bok.

Bestia... Krew zamarzała mi w żyłach na sam dźwięk tego słowa.

Logika i zdrowy rozsądek buntowały się przeciwko tej informacji. Jakim cudem Bestia mogła brać udział w ataku dziwoszczurów?

Dowód leżał jednak tuż przede mną. Spopielone i rozczłonkowane ciała dwojga ludzi zabitych przez cantus. Tylko Bestia mogła to zrobić.

– Nie mamy innego wyboru. Musimy pójść inną drogą – powiedział Satoru, spoglądając na oddalającą się sylwetkę lekarza.

– Poczekaj – przerwałam mu, chwytając go za rękaw.

– O co chodzi?

– On tu idzie...! Okrąża budynek.

Ulotny dźwięk niesiony wiatrem dotarł do naszych uszu. Przysłuchałam się uważnie. Nie mogło być wątpliwości. Odgłos nie był tak wyraźny jak wtedy, gdy wchodził do szpitala, ale z pewnością słyszałam zgrzyt piasku i szelest trawy pod jego stopami.

Satoru bez słów przywołał nas do siebie gestem, po czym otworzył drzwi, którymi wyszliśmy zaledwie parę minut wcześniej.

W którymś momencie musiał zdjąć chodaki, ponieważ trzymał je teraz w dłoniach. Okano i ja uczyniłyśmy to samo. Cicho wróciłyśmy do szpitala, mocno ściskając Seki między sobą. Satoru wśliznął się za nami i delikatnie zamknął drzwi.

Rychło w czas. Zanim zdążyliśmy choćby złapać oddech, usłyszeliśmy kroki po ich drugiej stronie, nie dalej niż dwa lub trzy metry od nas.

W tej samej chwili rozległo się dziwne zawodzenie. Zakłęcie recytowane głębokim, ochrypłym głosem. Potem wysoki syczący dźwięk, podobny do tego, jaki wydają węże, kiedy znajdują się w niebezpieczeństwie.

Bestia... *Stoi na zewnątrz, oddzielona od nas tylko tą cienką warstwą drewna.*

Modliłam się o życie.

Bogowie, proszę, niech on nas nie znajdzie.

Niech coś go stąd odciągnie.

Po prostu niech to wszystko się...

Przerwałam nagle.

Nie słyszałam już żadnych dźwięków. Żadnych kroków. Żadnego przerażającego wycia.

Nie wydawało mi się, żeby sobie poszedł, więc najpewniej nadal stał na zewnątrz. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego ucichł.

On tam był i nasłuchiwał. Nie odważyłam się nawet przełknąć śliny. W końcu, wśród tej trwającej całą wieczność ciszy, stało się coś, czego obawiałam się najbardziej. Klamka powoli zaczęła się obracać.

Drzwi jednak nigdy się nie otworzyły.

– Grrrrr... ★ * √§ ▲ ЖАД! – Bestia wydała z siebie dziwny, piskliwy dźwięk, który w następnej chwili przerodził się w okrzyk zwycięstwa. Zanim zdążyłam zareagować, rozległ się przeszywający, mrozący krew w żyłach wrzask.

Zatkałam uszy dłońmi. To był głos doktora Noguchiego.

– Kurwa! Odwal się! Pierdolony potwór!

Ponownie rozległ się ten nieznośny krzyk. Bestia zabawiała się z doktorem.

– Tędy! Szybko!

Satoru pognał w stronę frontowego wejścia do szpitala. Zatrzymał się tuż przed dziurą w ścianie i wyjrzał na zewnątrz. Pozostała nasza trójka podążyła zaraz za nim. Moje boscie stopy krwawiły, pocięte tuzinami ostrych drzazg, ale, co zadziwiające, niczego nie czułam.

– Kim... Kim ty, do cholery, jesteś? – Krzyki umierającego doktora Noguchiego niosły się echem po szpitalu.

Zacisnęłam zęby i odwróciłam się. Niczego nie mogłam zrobić. *Nie pytaj. Nie myśl. Jeśli teraz nie skupisz się wyłącznie na tym, żeby wydostać się stąd żywą, to...*

– Łódź wygląda na nienaruszoną! Prędko!

Satoru wyszedł na zewnątrz i przywołał nas do siebie machnięciem dłoni. Biegliśmy tak szybko, jak się dało, ale już po kilku krokach musieliśmy się zatrzymać. Seki zaparła się nogami o ziemię i za nic nie chciała ruszyć dalej.

– Co ty robisz? Musimy stąd zmiatać... Hej, otrząśnij się z tego!
– krzyknęłam w desperacji.

– Saki, pośpiesz się. Zostaw ją tam – powiedział spokojnie Satoru.

– Ale...!

– Jeśli tak dalej pójdzie, wszyscy tu zginieemy. Jeżeli nie zdołamy wrócić i ostrzec pozostałych, cały dystrykt zostanie zgładzony.

– Wy dwoje, idźcie – odparła cicho Okano. Ja się gdzieś z nią ukryję. Proszę, wróćcie po nas później.

Mówiła to z takim spokojem, jakby już pogodziła się ze śmiercią.

– Nie ma mowy! Nie mogłabym tego zrobić!

– Nie ma innego wyjścia. Poza tym ucieczka kajakiem byłaby bardziej niebezpieczna. Koniec końców, on z pewnością nie spodziewa się, że ktokolwiek tu zostanie... A teraz szybko, uciekajcie!

– Saki! Chodźmy już.

Satoru ponownie chwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć za sobą.

– Przepraszam... – zwróciłam się do Okano, nie mogąc powstrzymać łez.

Odwróciłam się do niej plecami, i pognałam w kierunku łodzi ile sił w nogach.

Przebiegliśmy obok poczerniałego, zwęglonego ciała. Nadal unosiły się z niego strużki dymu. Po chwili ujrzeliśmy też Fujitę, którego wszystkie kończyny były nienaturalnie powykręcane. Próbowałam odłożyć emocje na bok, ale nie zdołałam uspokoić się na tyle, żeby przestać się trząść w niekontrolowany sposób.

Satoru odcumował łódkę gdy tylko znaleźliśmy się na pokładzie. Powoli ją obrócił i odepchnął. Położyliśmy się na dnie, tuż przy burcie, żeby nie dało się nas dostrzec.

Wszystkim, co mogłam zobaczyć na tle ciemnego nieba, był upiorny budynek szpitala. Cały czas miałam wrażenie, że Bestia pojawi się lada chwila. Całe ciało zwiotczało mi z przerażenia.

Satoru zwinnie manewrował łodzią przez wąski kanał, oddalając się od szpitala. Zastanawiałam się, w jaki sposób może sterować kajakiem, skoro nic nie widzi. Kiedy na niego spojrzałam, zorientowałam się, że kieruje blaskiem gwiazd, odbitym od niewielkiego lustra.

Po pewnym czasie łódka w końcu skręciła łagodnie.

– Jesteśmy już bezpieczni... Nie dojrzy nas teraz ze szpitala – wyszeptał Satoru.

– Więc szybko, rozpędź nas tak bardzo jak możesz! – powiedziałam.

– Powinniśmy jeszcze przez pewien czas być cicho – odparł, kiwając głową. – Nawet jeśli Bestii tu nie ma, w pobliżu wciąż mogą czaić się dziwoszczury. Jesteśmy zbyt blisko brzegów; nie zdołamy uciec, jeżeli zaczną do nas strzelać. Niedaleko jest szerszy kanał. Tam będziemy mogli popłynąć z pełną szybkością.

Wyjrzeliliśmy nieśmiało za burtę. Słysząc było jedynie cichy szum łódki, sunącej po wodzie.

– Zastanawiam się, czy z Okano wszystko w porządku...

Satoru nie odpowiedział. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że nie może udzielić mi żadnej odpowiedzi, która naprawdę by mnie uspokoiła.

– Czy to naprawdę była Bestia?

Satoru przekrzywił głowę, zatapiając się w myślach.

– Nie wiem czym innym mógłby on być.

– A-ale... Skąd on się tu wziął? W dystrykcie nie ma żadnych podejrzanych ludzi. Rada Edukacji obserwuje wszystkich niezwykle uważnie.

– Nie mam pojęcia. Nic teraz nie wiem. Jestem pewien tylko jednej rzeczy.

– Jakiej?

– Powodu zagłady całej armii Kiroumaru. Niezależnie jak doświadczeni byli jego żołnierze, dla Bestii nie byli godnym przeciwnikiem.

– To ma sens.

– I jest coś jeszcze. Przyczyna, dla której Yakomaru wypowiedział nam wojnę. Nie jestem pewien, co łączy Bestię z dziwoszczurami, ale jeśli moje przypuszczenia są słuszne, to...

Przerwał nagle.

– Co się dzieje?

– Cicho... Żadnych gwałtownych ruchów. Po prostu nadal normalnie ze mną rozmawiaj.

– O co ci chodzi?

– Nie zmieniaj tonu.

– No dobrze. Teraz lepiej? Powiedz. Co się dzieje? – odparłam, starając się zachować barwę głosu.

– Śledzi nas inna łódka. Jest jakieś sto metrów za nami.

– Co? Nie... Niemożliwe.

Poczułam się, jakby z całego ciała odpłynęła mi krew.

– To ten kajak, którego używaliśmy jako przynęty. Siedzi w nim Bestia. Jestem tego pewien.

Odwróciłam się powoli i w świetle gwiazd odbitym od tafli wody dostrzegłam sylwetkę drugiej łodzi.

– I co teraz zrobimy...? Dlaczego on nie atakuje? I...

– Nie podnoś głosu. Będziemy martwi w chwili, gdy zorientuje się, że o nim wiemy... Jeśli zaś chodzi o to, czemu jeszcze nie zaatakował, prawdopodobnie chce, żebyśmy doprowadzili go do reszty mieszkańców.

To była najgorsza możliwa sytuacja. Jeśli nie zmienilibyśmy kursu, zaprosilibyśmy mordercę wprost w sam środek dystryktu. Z drugiej strony, nie miałam pojęcia jak moglibyśmy sprawić, żeby

Bestia przestała nas śledzić. Desperacko wyteżalam umysł, ale strach stępił moją zdolność myślenia i nic nie przychodziło mi do głowy.

– Jeśli popłynęlibyśmy z pełną szybkością, to... To czy dalibyśmy radę uciec do kanału?

– Nie, to niemożliwe – uciał Satoru. – Kanał ma prosty przebieg i nie można ukryć się nigdzie w jego okolicy. Nawet jeśli pognalibyśmy najszybciej jak potrafimy, złapałby nas swoją mocą w mgnieniu oka.

Nie mogliśmy przyspieszyć łódki, ani też jej spowolnić. Bestia zabiłaby nas gdy tylko zrobilibyśmy jakiś podejrzany ruch. Tak długo, jak znajdowaliśmy się w jej polu widzenia, nie mieliśmy najmniejszej kontroli nad sytuacją.

– W takim razie... Czekał. Mówisz, że nie mamy szans?

– Daj spokój. Myślę. Po prostu cały czas coś mów.

Mogłam polegać jedynie na stoickim spokoju Satoru. Zaczęłam wygadywać wszystko, co ślina przyniosła mi na język.

– Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek znajdziemy się w takiej sytuacji. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co stało się tej nocy. I do tego to przecież Święto Lata... Tylu ludzi zginęło. Niektórzy tuż przed moimi oczami. Nikt ich nie uratował... A to nie wszystko. My też opuściliśmy Okano i innych... Nie. Zostawiliśmy ich na pewną śmierć. Dlaczego doszło do czegoś takiego? Co, do cholery, poszło nie tak?

Po policzkach spłynęły mi łzy.

– Nie chcę tu umierać. Nie chcę zginąć, nie wiedząc co się dzieje. Byłabym jak robak, którego ktoś zniecka rozdeptał. Chciałabym przynajmniej znać powód, dla którego umieram. Nie mogę po prostu odejść i zostawić wszystkiego w takim stanie.

Satoru wciąż główkował z zaciętą determinacją.

– Nie wierzę, że Maria nie żyje. Nie chcę w to uwierzyć. Kochałam ją... Ale to ona uratowała nas dzisiaj wieczorem, pamiętasz? Kiedy zmierzaliśmy w stronę placu, zobaczyłam jej młodszą wersję. Dzięki temu, że za nią pobiegliśmy, uniknęliśmy

niespodziewanej napaści dziwoszczurów. Gdybyśmy dotarli na plac, moglibyśmy zostać zastrzeleni... Tak jak Hiromi Torigai. Nienawidziłam jej. W końcu to ona chciała pozbyć się nas wszystkich jak jakichś szczurów laboratoryjnych. Chciała wysłać na nas te okropne przeklęte koty. Teraz jednak już ją rozumiem. Po prostu się bała. Czuła, że jej obowiązkiem jest zapobiec tym potwornym rzeczom, jakie wydarzyły się dzisiaj... To nie znaczy, że zamierzam przebaczyć jej to, co uczyniła Marii. I zresztą nie tylko to. Pamiętam też co zrobiła naszemu przyjacielowi, chłopcu bez twarzy.

Poczułam w piersi ból tak silny, że słowa ledwo przechodziły mi przez gardło.

– Kochałam go. Kochałam z głębi serca. Dobija mnie fakt, że nie mogę przypomnieć sobie jego imienia... Ciebie też kocham, Satoru. Mimo to wciąż nie potrafię rozprawić się z uczuciami, jakimi go darzyłam. Dopóki nie odkryję prawdy, będę tkwić w tym martwym punkcie. Dlatego...

Satoru spojrzał na mnie.

– Czuję się tak samo, Saki. Choć to zawstydzające, że dorosły przyznaje się do czegoś takiego, nie umiem wyzbyć się miłości do niego, ponieważ odebrano mi moje wspomnienia.

– Satoru...

– I właśnie dlatego nie możemy tutaj umrzeć... Może nie zdołamy pokonać Bestii, ale damy radę wywieść ją w pole i uciec.

– Jak?

To był promyczek nadziei, którego tak desperacko łaknęłam. Satoru wyjaśnił swój plan.

– Problemem jest sposób, w jaki wydostaniemy się na brzeg. To może okazać się trudne, kiedy znajdziemy się na szerszym kanale. Musimy wyszukać odpowiednie miejsce, zanim tam dopłyniemy. Jakieś przewężenie.

– Nie, szerszy kanał będzie odpowiedniejszy! – zaprotestowałam żywo. – Bestia nie nabierze żadnych podejrzeń, jeśli właśnie tam zejdziemy na ląd.

Satoru słuchał mojego wytłumaczenia z uśmiechem na ustach.

– W porządku. Tak zrobimy. Nigdy wcześniej nie unosiłem w powietrze innej osoby, ale myślę, że sobie poradzę. Zrobimy to, gdy tylko kanał się poszerzy.

– Jasne.

Jeszcze raz przeanalizowałam w myślach cały plan. Pomimo, że bardzo wiele zależało od tego, czy Satoru zdoła wykonać dwie czynności jednocześnie, to na moich barkach spoczywało upewnienie się, że wszystko się powiedzie. Gdybym zawiodła, cały wysiłek spełzłby na niczym. Mieliśmy tylko jedną szansę.

Łódka poruszała się stałym, powolnym tempem, przez co coraz bardziej się niecierpliwiłam. Gdybyśmy jednak przyspieszyli, ściągnęlibyśmy na siebie uwagę Bestii, więc oczekiwanie było wszystkim, co nam pozostało.

Po pewnym czasie dostrzegliśmy wreszcie w oddali połączenie wąskiego kanału ze znacznie szerszą wodną arterią.

Uświadomiłam sobie, że widzę wszystko nieco wyraźniej. Nie było tak dlatego, że moje oczy przyzwyczyły się do mroku. Zbliżał się świt.

Nasza sztuczka miałyby większe szanse powodzenia w ciemnościach, ale najwyraźniej nie było nam już dane skorzystać z tego ułatwienia.

Satoru oglądał się przez ramię, próbując ustalić dystans między kajakami. Od podążającej za nami w skupieniu Bestii dzieliło nas około sto metrów.

Nasza łódź dopłynęła do skrzyżowania kanałów i skręciła w lewo. Wodna droga miała kilka tuzinów metrów szerokości, prawie dorównując rzece Tone. Cały czas znajdowaliśmy się w zasięgu wzroku Bestii, która nie wypłynęła jeszcze z węższego kanału.

Satoru poczekał na idealny moment i z chwilą, w której druga łódź wpłynęła do szerokiego kanału, zmaterializował lustro za naszym kajakiem. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie stworzył większego; zajmowało całą szerokość wody.

Zaraz po tym podwoiliśmy dystans do dwustu metrów. Bestia cały czas płynęła za nami, jednak teraz zamiast naszej łodzi, ścigała swoje własne odbicie.

– Gotowa? Przerzucam cię.

– W porządku...!

Moje ciało uniosło się w górę i przefrunęło ponad burtą. Prześlizgnęłam się nad wodą zwinnie i szybko jak sokół.

Nie potrafiliśmy unosić się w powietrzu z taką łatwością jak Maria, ale byliśmy w stanie przenieść się wzajemnie na całkiem sporą odległość.

Kilka chwil później byłam już daleko od łodzi. Powietrzna poduszka wyhamowała mój lot i opadłam łagodnie na brzeg kanału.

Kiedy tylko dotknęłam stopami trawy, przeturlałam się i położyłam płasko przy ziemi, oceniając pozycje łodzi. Kajak Satoru znajdował się już dosyć daleko. Za nim sunęło ogromne lustro, za którym zaś podążała łódź Bestii. Mordercza istota nadal była skupiona na pościgu za swoim własnym odbiciem i najwyraźniej nie zauważyła mnie, kiedy frunęłam w powietrzu.

Teraz nadeszła moja kolej. Uniosłam Satoru ponad łódź i, uważając żeby cały czas pozostawał w cieniu lustra, sprowadziłam go na ląd.

Kiedy Satoru sunął w stronę brzegu, skulił się, obejmując kolana ramionami. Uświadomiłam sobie, że przemieszcza się zbyt szybko, jednak było już a późno żeby zwolnić jego lot. Uderzył z impetem o ziemię, odbił się i przekoziółkował po trawie.

Lustro rozprysło się w obłoczku mgły i zniknęło. Było jeszcze na tyle ciemno, że Bestia najprawdopodobniej nie zauważyła nagłej zmiany wyglądu łodzi.

To nie był jednak koniec naszego planu. Popchnęłam pusty już kajak, rozpędzając go tak mocno jak mogłam. Dno łodzi uniosło się nad taflę wody i zaczęło ślizgać się po jej powierzchni. Kontrolowanie łodzi było znacznie prostsze, kiedy robiło się to

z zewnątrz. Bestia nie puściła się w pogoń, cały czas zwiększając dystans.

Właśnie wtedy sprawdziły się przewidywania Satoru. Nasz kajak nagle stanął w płomieniach.

Natychmiast przestałam popychać łódkę, żeby nie dopuścić do nałożenia się mojego cantusu i mocy Bestii. Płonący, rozpędzony kajak cały czas płynął do przodu, aż w końcu uderzył o brzeg kanału. Ogień trawił łódź dopóty, dopóki nie zaczęła powoli znikać pod wodą.

Kiedy ostatnie płomienie zgasły, okolicę ponownie spowiała ciemność.

Satoru zbliżył się do mnie na kuckach. Ostatnie kilka metrów dzielące go ode mnie pokonał czołgając się. Cały czas masował bok, na który najwyraźniej boleśnie upadł podczas lądowania. Ścisnęliśmy się mocno za ręce.

Bestia dopłynęła do miejsca, w którym zatonąła łódka i zaczęła niemalże wyczekująco krążyć w jego pobliżu. *Co on tam robi?* Obserwowaliśmy ze zniecierpliwieniem. Tak długo jak kręcił się po okolicy, nie mogliśmy nawet drgnąć. Gdybyśmy teraz zostali zauważeni, nie uszlibyśmy z życiem.

W końcu łódź Bestii zawróciła. Wstrzymaliśmy oddech, kiedy przepływała obok nas. Kiedy wyczekiwałam na najgorsze, zjeżyły mi się wszystkie włoski na karku. Nic się jednak nie stało. Bestia zawróciła, odpływając w kierunku, z którego przybyła. Poczułam, że w przyptywie ulgi wiotczeje mi ciało.

Nie było jednak czasu na świętowanie. Widząc łódkę oddalającą się w stronę szpitala, ponownie ogarnął mnie niepokój.

Miałam nadzieję, że Okano zdołała uciec. Jeżeli nadal się tam ukrywała, to...

– No dobra, ruszajmy – powiedział Satoru, podnosząc mnie. – Nie mamy już łódki, więc musimy iść pieszo. Musimy się śpieszyć.

– Tym razem będziemy musieli przerzucać się wzajemnie przez pagórki? – spytałam najbardziej nonszalanckim tonem, na jaki było mnie stać, próbując ukryć fakt, że jestem na granicy płaczu.

– Na jakiś czas sobie to podaruję. Już wystarczająco mnie poobijałaś. – Satoru uśmiechnął się cierpko.

Było już na tyle jasno, że wyraźnie go widziałam. Po wschodniej stronie nieba pojawiły się wątle promyki słońca, które zabarwiły majaczące na horyzoncie wzgórze na barwę głębokiego karmazynu.

Krwistoczerwony świt był niepokojącym widokiem.

Musieliśmy dotrzeć do wioski najszybciej jak było to możliwe, żeby poinformować wszystkich mieszkańców o tym, co widzieliśmy. Popychani tą myślą, parliśmy naprzód bez chwili wytchnienia, jednak obawiając się zasadzki dziwoszczurów, nie mogliśmy poruszać się zbyt szybko.

Co więcej, obydwójce szliśmy na bosaka. Krwawiące rozcięcia na moich stopach coraz bardziej dawały o sobie znać. Satoru zrobił mi nawet prowizoryczne obuwie ze strzępków własnej yukaty, lecz mimo to ból był tak silny, że przemierzaliśmy się w ślimaczym tempie.

Głowę zaprzętały mi różne myśli. Straszne myśli, które desperacko próbowałam od siebie odpędzić. Starałam się skoncentrować na obecnej sytuacji. Oznaczało to mniej więcej tyle, że skupiałam się na bolących stopach, nie dopuszczając do umysłu straszliwych wspomnień z minionej nocy.

Ostatecznie jednak moja świadomość zaczęła próbować całkowicie odciąć się od rzeczywistości.

Rozmyślałam o starożytnych cywilizacjach.

Pomimo, że w tamtych czasach nie istniał cantus, dokonywano licznych cudów. Oczywiście obecnie jest wiele rzeczy, które możemy zrobić, a wtedy byłyby niewykonalne, jednak starożytni znacznie przewyższali nas szczególnie w dwóch obszarach życia.

Po pierwsze, brakowało nam skutecznych metod komunikacji. Dawne cywilizacje wykorzystywały fale radiowe i mechaniczne urządzenia do błyskawicznego przekazywania olbrzymich ilości informacji. Obecnie używamy głośników, dzięki którym możemy nadawać wiadomości na krótkie dystanse, ale, co oczywiste, ich

zasięg nie obejmuje całego dystryktu. Pomijając umiejętność pisania na niebie Shiseia Kaburagiego, nasze metody porozumiewania się na dalekie odległości, czyli gołębie pocztowe i sygnały dymne, są tak prymitywne, że starożytni z pewnością zrywaliby boki ze śmiechu, gdyby o nich usłyszeli. W normalnych okolicznościach te sposoby się sprawdzają, ale w sytuacjach awaryjnych zdolność komunikacji staje się ważniejsza niż cokolwiek innego. Wydaje mi się, że wielu ludzi uświadomiło to sobie dopiero tej nocy.

Drugą kwestią była nasza ograniczona zdolność przemieszczania się. Kamisu 66 było poprzecinane gęstą siecią wodnych kanałów, które przypominały układ naczyń krwionośnych w ciele. Można było transportować nimi ludzi i towary do dowolnego miejsca. Kiedy zimową porą woda zamarzała, pozostawało nam jednak jedynie kilka dróg po których mogliśmy się poruszać, aczkolwiek nie wydawało się to nam szczególnym problemem.

Już niedługo znakomity plan Yakomaru miał obnażyć tę oczywistą słabość, udowadniając wszystkim, że nasz dystrykt jest bardziej bezbronny niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Co oczywiste, wtedy nie mogliśmy jeszcze o tym wiedzieć.

Powracając do opowieści, kiedy maszerowaliśmy w stronę wiosek na zakrwawionych, obolałych nogach, w pewnym momencie natknęliśmy się na stojący wśród pól opuszczony dom. Zdecydowaliśmy się wejść do środka i chwilę tam odpocząć.

Miałam wrażenie, że to Maria nas do niego przywiodła. Kiedy wcześniej zabłądziliśmy i sprzecaliśmy się o to, którą ścieżkę wybrać, zdawało mi się że słyszę, kogoś, jakby anioła-stróża, szeptającego mi do ucha w którym kierunku muszę iść. Satoru powiedział, że przesadzam. Tak czy owak, pomyślałam, że fakt, iż natknęliśmy się na ten budynek jest istnym cudem, gdyż w promieniu pięciu kilometrów nie było żadnych innych domostw.

W zwykłych okolicznościach nigdy nie pomyślelibyśmy nawet o wejściu do czyjegoś domu pod nieobecność gospodarza.

W kryzysowych sytuacjach, takich jak ta, znalezienie schronienia było jednak priorytetową kwestią.

Zrzuciliśmy podarte yukaty i włożyliśmy na siebie czyste ubrania, które znaleźliśmy w posiadłości. Niestety, wszystkie ubrania były szyte na mężczyzn – dorosłego i dziecko. Wybrałam bawełniane spodnie i koszulkę w kolorze khaki. Satoru ubrał dzinsy i hawajską koszulę. Co zdumiewające, obydwój znaleźliśmy dobrze dopasowane buty.

W kuchni odkryliśmy pozostawione do wyrośnięcia ciasto. Wrzuciliśmy je do garnka razem z miso oraz różnymi warzywami, jakie były akurat pod ręką i ugotowaliśmy zupę z pierożkami.

Na tyłach domu stał wóz. Miał dwa spore, drewniane koła i właściwie przypominał duży wózek ręczny, ale dla nas był pojazdem, który mógł umożliwić szybką podróż.

Miałam wyrzuty sumienia, kradnąc go, ale nie mieliśmy wyjścia i zabraliśmy wózek z zamiarem późniejszego zwrócenia go właścicielowi. Oś i koła były solidnie wykonane, dzięki czemu mogliśmy rozwinąć dużą szybkość, jednak liczne wyboje na drodze sprawiały, że pojazd bezustannie chybotał się w przód i w tył. Zaczęło robić mi się niedobrze.

– Już... Już nie wytrzymam.

Wysiadłam, usilnie starając się nie zwymiotować. Pierożki, które przed chwilą zjadłam przelewały się alarmująco w moim żołądku.

– Tak, to coś zdecydowanie nie zostało stworzone do przewozu ludzi.

Satoru również wydawał się lekko zzieleniały. Fakt, że nie przespaliśmy nocy najprawdopodobniej wcale nie polepszał sytuacji.

– Też tak myślę. Popłynemy kanałami. Kto wie, jak długo będziemy iść, przemieszczając się w takim tempie.

– Ale nie mamy łodzi.

– Wykorzystajmy wóz. Może nie być w stanie utrzymać się na powierzchni, ale damy radę kompensować to cantusem.

Spojrzałam na wózek. Jeśli udałoby nam się zmusić go do utrzymania się na powierzchni, mielibyśmy prowizoryczną tratwę.

– A co, jeśli zostaniemy zaatakowani na wodzie przez dziwoszczury?

Płynąc kanałem byliśmy kompletnie odsłonięci, więc nie mogliśmy przewidzieć kiedy i skąd nadejdzie atak.

– Musimy zaryzykować. Prawdopodobnie i tak jest już za późno, żeby się tym przejmować... Cóż, jest nas dwoje, więc dopóki nie pojawi się Bestia, jakoś sobie poradzimy.

Nie byłam pewna czy optymizm Satoru ma jakieś logiczne podstawy, czy też może jest on po prostu zbyt zmęczony, żeby nad czymkolwiek się zastanawiać.

Kiedy przedzieraliśmy się przez wysoką trawę w stronę kanału, dobiegł nas odgłos odległej eksplozji.

– Co tym razem? – spytał ponuro Satoru.

– Walki nadal trwają...

Po chwili usłyszeliśmy kolejny wybuch, a zaraz po nim następny. Były coraz głośniejsze.

– I tak nie wiemy co się dzieje, więc zostaje nam tylko bezcelowe zgadywanie. Musimy po prostu pośpieszyć się i jak najszybciej wrócić do wioski.

Rozległo się jeszcze jakieś siedem lub osiem kolejnych eksplozji.

Każdy wybuch był jak smagnięcie bicia, poganiającego nas do przodu. Wciąż nie miałam pojęcia, co może się tam dziać. Wiedziałam jedynie, że gdyby to ludzie atakowali, z pewnością nie użyliby materiałów wybuchowych.

W końcu dotarliśmy do głównego kanału wiodącego wprost do centrum dystryktu i Satoru zwodował nasz wózek. Co prawda unosił się na wodzie, ale kiedy spróbowaliśmy do niego wsiąść, woda zaczęła wlewać się bokiem do środka. Zerwaliśmy z kół metalowe obręcze, chcąc trochę go odciążyć, jednak umiarkowanie wysoka fala wciąż mogła zatopić nas w mgnieniu oka.

Nie mogliśmy pozwolić sobie na marnowanie większej ilości czasu, więc popłynęliśmy kanałem. Satoru popychał nas do przodu, podczas gdy ja skupiałam się na tym, aby utrzymać wóz na powierzchni. Miałam nadzieję, że kiedy zakręcę kołami, poprawię trochę jego wyporność, ale niestety, nie przyniosło to żadnego efektu. Udało mi się jedynie odchylić prowizoryczną tratwę do tyłu, przez co o mały włos z niej nie spadliśmy. Chwyciliśmy się przedniej krawędzi wózka, żeby złapać równowagę i odkryliśmy, że to całkiem stabilna pozycja. Utrzymywaliśmy przednią część wozu nieco nad powierzchnią wody i popychaliśmy go od tyłu, zupełnie jakbyśmy korzystali z deski surfingowej. Udało nam się w ten sposób podwoić naszą prędkość. Pruliśmy naprzód, pozostawiając na wodzie spieniony ślad.

Szybko przemierzyliśmy kilka następnych kilometrów. Obydwoje przesiąknęliśmy wodą, ale na szczęście mieliśmy lato, więc nie było to szczególnie nieprzyjemne. Mimo to nieustanne korzystanie z cantusu, trzymając się jednocześnie kurczowo tratwy, było wyczerpujące. Do tego wszystkiego nie widziałam co znajduje się przed wózkiem, więc cały czas musiałam być przygotowana na uderzenie o jakąś przeszkodę.

W porównaniu z pieszą wędrówką na poranionych stopach, cały czas będąc zagrożonymi atakiem dziwoszczurów, ten spływ i tak wydawał się mi sielanką.

Zbliżaliśmy się do skrzyżowania z węższym kanałem. Koła uderzyły o coś znajdującego się pod wodą, sprawiając, że cały wózek się zatrzęsł.

– Co to było?

Satoru wyhamował wóz i obniżył jego przednią część tak, żeby leżała płasko na powierzchni wody. Niebezpiecznie wysokie fale niemal zaczęły przelewać się bokiem.

– To prawe koło... Zaczepiło się o coś.

– O skałę?

– Na środku kanału nie powinno być tak dużego głazu. Tu są przynajmniej cztery lub pięć metrów głębokości.

Wychylił się za krawędź wózka.

Na pierwszy rzut oka ta rzecz wydawała się tak duża, że nie miałam pojęcia na co właściwie patrzę. Woda była jednak na tyle przejrzysta, że zdołałam uzmysłwić sobie, że coś leży na dnie kanału.

– Czym, u diabła, jest to... coś?

Satoru zaniemówił. Czymkolwiek był zagrzebany na piaszczystym dnie obiekt, miał co najmniej dwadzieścia lub trzydzieści metrów długości i zwężał się wrzecionowato na obu końcach. Inaczej mówiąc, wyglądał jak gigantyczna strzykwa.

– To właśnie o to uderzyliśmy?

– Nie wydaje mi się, żebyśmy dosięgli tego z naszego miejsca...

Satoru przysunął głowę do powierzchni wody i wlepił wzrok w dziwną rzecz. Zrobiłam to samo. Niewielki kamyk sunął powoli w kierunku niby-strzykwy. Poruszał nim Satoru. Nie zdążyłam nawet powiedzieć mu, żeby był ostrożny. Kamień przybliżył się do ogona tego czegoś (tak naprawdę nie mam pojęcia, który to był właściwie koniec, ale dla wygody przyjmę, że było zwrócone głową w kierunku, w którym płynęliśmy) i uderzył weń.

Reakcja była błyskawiczna. Podobne do strzykwy stworzenie zaczęło wyginać swoje olbrzymie cielsko, po czym odpłynęło ze zdumiewającą szybkością.

W tym samym momencie zdążyłam chwycić stwora za ogon swoim cantusem. Niby-strzykwa, zupełnie jakby poczuła mój dotyk, odwróciła nagle łeb w naszą stronę i wypluła smoliście czarną chmurę jakiegoś płynu. Było go zadziwiająco dużo. Jego ilość wystarczyła, by zabarwić całą wodę na czarno. Nic nie widziałam.

– Cholera! Szybko, na ląd!

Wyszliśmy pospiesznie z kanału i wyciągnęliśmy wóz na lewy brzeg. Patrząc na czarną wodę nie sposób było określić, skąd zostaliśmy zaatakowani. Zeskoczyliśmy z wózka i ukryliśmy się

wśród wysokiej trawy, próbując znaleźć jakiś dogodny punkt obserwacyjny, z którego byłoby widać kanał.

Kiedy ponownie przyjrzałam się wodzie, zobaczyłam, że została zabarwiona na długości około stu metrów.

– To chyba nie jest trucizna, prawda?

Satoru spojrzał na swoją poplamioną rękę. – Nie... Ale nie jest to też nic w rodzaju atramentu ośmiornic czy kałamarnic.

Przyjrzałam się uważniej wewnętrznej stronie swojego przedramienia.

– Ta czarna maź nie jest płynem.

Wyraźnie widziałam drobne czarne cząsteczki zawieszane w kropli czystej wody.

– To jakiś rodzaj drobnego, czarnego prochu.

Satoru spojrzał na kanał i wyszeptał swoją mantrę.

Woda zaczęła się klarować. Sprawił, że smoliste drobinki opadły na dno.

Kiedy kanał został oczyszczony mniej więcej w trzech czwartych, zobaczyłam potwora. Najwyraźniej uświadomił sobie, że jego zasłona dymna znika i zaczął odpływać.

Tym razem jednak byliśmy przygotowani. Ścisnęłam jego ślimakowate ciało i wyciągnęłam go z kanału. Woda spłynęła strugami po stworze, wzbijając w powietrze olbrzymie opary mgły.

Potwór najwyraźniej doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje, ponieważ zaczął wściekle się szarpać, próbując dojrzeć, gdzie znajdują się jego oprawcy.

Kiedy zobaczyłam jego pysk, wydałam z siebie zduszony okrzyk. Mimo olbrzymiego cielska, głowa nie była ani trochę większa od ludzkiej. Stwór miał duże, czarne oczy, podobne do foczych. Jego paszcza była jeszcze dziwniejsza; długa na dwa lub trzy metry i szpiczasto zakończona jak pysk krokodyla czy ptasi dziób. Gdyby nie jej rozmiary, powiedziałabym, że to głowa jakiegoś insekta.

– To jeden ze zmutowanych dziwoszczurów – powiedział Satoru.

Nie uwierzyłabym w to, gdybym wcześniej na własne oczy nie widziała bombopsów czy drzewnych wojowników Ziemnych Pająków. Niektóre z mutantów, jak na przykład żołnierze-żaby, były przystosowane zarówno do warunków wodnych, jak i lądowych. Ten stwór jednak zdawał się prowadzić wyłącznie podwodny tryb życia.

– Rozumiem... To coś chciało zasnuć dymem cały kanał.

Yakomaru zabarwił na czarno rzekę wiodącą do centrum dystryktu, żeby uzyskać nad nią kontrolę. Po raz kolejny przeraziła mnie jego pomysłowość.

– Ale czy naprawdę ten stwór był potrzebny dziwoszczurom tylko po to? – spytał Satoru, wciąż patrząc na własną dłoń. – Gdyby tak było, mogłyby skorzystać ze zwykłego atramentu ośmiornic lub kałamarnic. Dlaczego akurat czarny proch...?

Nie – westchnął głęboko. – Jest jeszcze inny cel... Już wiem! Tamte wybuchy, które słyszeliśmy!

– O czym ty mówisz?

Zanim skończyłam zadawać pytanie, oczy potwora zwróciły się w naszą stronę. Wpatrywał się w nas bez najmniejszego mrugnięcia. Z głowy wystawał mu długi, trzepoczący na wietrze kolec, który wcześniej umknął mojej uwadze. Wyglądał jak chorągiew albo długa płetwa.

– Uważaj! – wrzasnął Satoru.

Monstrum skierowało pysk w naszym kierunku i wypluło z siebie olbrzymią chmurę czarnego prochu.

Rozdział 5

Czarny obłok całkowicie pozbawił mnie wzroku. Znaleźliśmy się na granicy życia i śmierci.

Gdyby proch dostał się do naszych płuc, udusilibyśmy się. Jeśli zaś otoczylibyśmy się murem, wciąż bylibyśmy uwięzieni wewnątrz chmury i niezdolni do ruchu. Nie mielibyśmy też czasu, żeby zareagować na to, co miało stać się za chwilę.

Zwolniłam swój ucisk i pięćdziesięcotonowe cielsko potwora uderzyło z impetem o ziemię jak worek pełen galaretki. Stwór leżał rozpląszczony, niewątpliwie martwy z powodu masywnych obrażeń wewnętrznych. Jego uniesiona głowa zdążyła jednak jeszcze raz wyrzucić w powietrze tuman prochu. W kilka sekund wypłuł całe zmagazynowane w ciele zasoby.

Mogę tylko domyślać się, co stało się później. Tarcie wywołane przez wystrzelenie tak wielkich ilości prochu przez rurkowaty dziób podgrzało go o kilkaset stopni. Potem stwór w jakiś sposób wytworzył iskrę albo po prostu z powodu ciepła odłamał się fragment dzioba, który wleciał w chmurę prochu, tworząc w ten sposób prawdziwy miotacz płomieni.

Jakakolwiek była przyczyna, cała chmura zmieniła się w kulę ognia. To był tak zwany wybuch pyłu. Podczas gdy cząsteczki węgla spalają się powoli, proch lub pył z łatwością reaguje z tlenem zawartym w powietrzu, prowadząc do gwałtownej eksplozji.

Wybuch miał ponad dwieście metrów średnicy. Nikt nie zdołałby od niego uciec, może z wyjątkiem Shiseia Kaburagiego.

W chwili, kiedy otoczył mnie czarny obłok, nie przyszło mi nawet do głowy, żeby ratować siebie. Moją pierwszym odruchem było zapewnienie bezpieczeństwa Satoru. On najwyraźniej pomyślał to samo o mnie. Wydaje mi się, że mieliśmy dużo szczęścia, mogąc przećwiczyć wzajemne wyrzucanie się w powietrze, gdy uciekaliśmy przed Bestią.

Kiedy chmura pochłoneła Satoru, stworzyłam mentalny obraz katapulty, do której podczepiłam jego ciało i wystrzeliłam je w przestworza najmocniej jak potrafiłam.

Dokładnie w tej samej sekundzie poczułam szarpnięcie tak silne, że o mało co nie zemdlalam. Kiedy odzyskałam zdolność widzenia, ziemia była już daleko, daleko pode mną.

Satoru wyrzucił mnie w powietrze w tej samej chwili, kiedy ja katapultowałam jego. Instynktownie osłoniłam cantusem uszy, żeby bębunki nie popękały mi od nagłej różnicy ciśnień, po czym, oddychając przez nos, spróbowałam ją wyrównać. Kiedy opadałam swobodnie, poczułam jak żołądek unosi się we mnie jak balon. Zebrało mi się na wymioty. Wiatr szarpał moją koszulkę.

Nie miałam pojęcia, na jakiej wysokości jestem. Mogłam objąć wzrokiem całe Kamisu 66, okoliczne lasy i nawet górę Tsukuba. Tylko Satoru nie było nigdzie widać.

Duży obszar ziemi pode mną był spowity zasłoną czarnego pyłu, przypominającą jakiś ohydny grzyb, który rozrastał się coraz bardziej i bardziej.

Spadałam wprost w tę chmurę. Desperacko próbowałam zmusić ciało do szybowania, wymachując ramionami, ale nie miałam pojęcia jaki obraz powinnam stworzyć w umyśle, żeby wywołać taki efekt.

W czarnym obłoku zaczęły pojawiać się oślepiające rozbłyski eksplozji.

Podmuch wybuchów ponownie uniósł mnie w górę. W kilka chwil mógłby odrzucić mnie na bardzo dużą odległość.

Latanie nie było niczym zachwycającym, jednak nie było też specjalnie przerażające. Mimo, że jeszcze nigdy w życiu nie znalazłam się tak wysoko nad ziemią, wiedziałam, że zdołam miękko wylądować.

Padaly na mnie oślepiające promienie słońca, a po niebie sunęły leniwie białe, puchate chmurki.

Wtedy zaczęłam mieć halucynacje.

Błękitne niebo nagle stało się czarne, zupełnie jakby wszystkie jasne barwy nagle zamieniły się miejscem z ciemnymi.

Blask księżyca oświetlał powierzchnię ziemi i widziałam wyraźnie każdy krater, którymi była ona usiana.

Ach, to było...

Byłam pewna, że patrzę na coś, czego już kiedyś fizycznie doświadczyłam.

Wspomnienie, które mi odebrano. Miałam wrażenie, że ponownie składam je w całość ze skrawków i odłamków innych wspomnień.

Patrzyłam z góry na skąpaną w księżycowym blasku chatkę.

Tyle, że nie było już żadnej chatki. Na jej miejscu ział gigantyczny krater.

Ziemia wokół ogromnej dziury zaczęła się zapadać. Powietrze wypełniło się echem donośnego łomotu i suchych dźwięków pękających pni drzew wrywanych z korzeniami.

Ta okropna, apokaliptyczna scena zdawała się coraz odleglejsza. Uświadomiłam sobie, że lecę do tyłu po olbrzymim łuku. Silny wiatr szarpał moim ubraniem we wszystkie strony. Podmuch zerwał mi z głowy spinkę; włosy powiewały za mną swobodnie na nocnym niebie.

Gdybym po prostu z czymś się zderzyła i umarła, nie byłaby to taka zła śmierć.

Z taką myślą zamknęłam oczy.

Po chwili ponownie je otworzyłam.

Ocalił mnie swoim ostatnim wysiłkiem.

Musiałam żyć.

Odwróciłam się do przodu i otworzyłam oczy. Kłujący wiatr wywiał moje łzy daleko w tył.

Wizja nie trwała nawet sekundy. Niebo z powrotem przybrało zwyczajny wygląd, a słońce świeciło tak jasno jak wcześniej.

Przypomniałam sobie wyraźnie. Kiedyś chłopiec bez twarzy ocalił mi życie, podobnie jak teraz zrobił to Satoru.

Unosząc się na wietrze wywołanym eksplozjami, odleciałam bardzo daleko od strefy wybuchu. Cały czas opadałam z zabójczą prędkością. Zdawało mi się, że zmierzam w stronę centrum dystryktu.

W końcu zdołałam dobrze przyjrzeć się rozciągającemu się na dole widokowi.

To była główna ulica Zbożowego Kręgu, zazwyczaj najbardziej zatłoczone miejsce w wiosce. Zszokowało mnie to, co ujrzałam. Praktycznie wszystko zostało zrównane z ziemią. Pozostały jedynie góry gruzu i doszczętnie zrujnowane budynki. Nie było widać żywej duszy.

Spadałam zbyt szybko. Siła grawitacji przyspieszała mój lot coraz mocniej i mocniej. Odepchnęłam się od ziemi dzięki cantusowi, nieco spowalniając swoje tempo.

Przeszło mi przez myśl, że powinnam spróbować wylądować na wodzie. Gdybym wpadła do kanału, powinnam uniknąć poważniejszych uszkodzeń i zdołałabym całkowicie wyhamować.

Zorientowałam się jednak, że kanały są puste. Wypompowano z nich całą wodę...

Nie było czasu na zastanawianie się nad przyczyną takiego stanu rzeczy. W ułamku sekundy zmieniłam plan i przywołałam obraz pary wielkich skrzydeł. Nie mogłam się zatrzymać. Musiałam poszybować dalej.

Potrzebne mi było jedynie jakieś miejsce, w którym mogłabym miękko wylądować. Coś żółtego przykuło mój wzrok. To było pole słoneczników. Uprawialiśmy dużo tych roślin dla oleju z ich pestek.

Z trudem zmieniłam kierunek lotu, skręcając w stronę plantacji. Zastanawiałam się jakim cudem Maria sprawiała, że lewitacja wydawała się tak prosta, kiedy się na nią patrzyło.

Przefrunęłam ze świstem tuż nad żółtymi kwiatami. *Niech to szlag*. Obraz, który wykorzystywałam nie pozwoliłby mi dostatecznie zwolnić. Szybko go zmieniłam, wyobrażając sobie parę rąk, którymi trzasnęłam o glebę. Słoneczniki wyleciały wysoko w powietrze.

Tuż przed uderzeniem instynktownie zamknęłam oczy. Połamane łodygi musnęły moją szyję.

Łupnęłam o ziemię. Mimo, że słoneczniki zadziały jak poduszka, pęd powietrza zważył mnie z nóg i straciłam przytomność na kwiatowym łożu.

Kiedy się ocknęłam, wciąż leżałam twarzą do ziemi. Powoli poruszyłam rękoma i nogami, sprawdzając, czy wszystko z nimi w porządku. Zdarłam sobie skórę na dłoniach, ale wyglądało na to, że nie stało mi się nic poważniejszego.

Wysłuchałam się w otaczające mnie odgłosy i ostrożnie się podniosłam.

To był piękny, letni poranek. Nie licząc śpiewu ptaków, panowała zupełna cisza.

Gdzie mógł być Satoru? Staralam się przypomnieć sobie, w którym kierunku go katapultowałam lecz moja pamięć była zamglona. Miałam nadzieję, że nic mu się nie stało, ale i tak nie potrafiłam przestać się zamartwiać.

Od zbyt intensywnego korzystania z cantusu kręciło mi się w głowie. Byłam nieprzytomna najprawdopodobniej jakieś pięć, może dziesięć minut. To był zbyt krótki czas na regenerację sił.

Miałabym poważne problemy, żeby się obronić, jeśli natknęłabym się na dziwoszczury lub tamto monstrum, nie wspominając już nawet o Bestii. Nie było jednak czasu na uzalanie się nad sobą. Musiałam dotrzeć do wioski.

Zaczęłam iść, uważnie obserwując otoczenie.

Zostawiłam za sobą pole słoneczników i weszłam w gęste zarośla. Po chwili natknęłam się na obszar, gdzie wszystkie drzewa zostały połamane. Przyszło mi na myśl, że to efekt eksplozji, które słyszeliśmy po drodze. Bez wątpienia jakiś stwór podobny do tamtej strzykwy z kanału wysadził w powietrze całą wioskę, a fala uderzeniowa musiała dotrzeć aż tutaj.

Jeśli jednak tamte wybuchy były tak potężne, musiały zabić również potwora. Innymi słowy, stwór był zamachowcem-samobójcą. Bombopсы starały się kosztem swojego życia obronić gniazdo Ziemnych Pająków. Te wielkie, plujące prochem kreatury musiały z kolei zostać stworzone w konkretnym celu – jako broń przeciwko ludziom.

Wszystkie dziwoszczury były zaledwie pionkami w wielkiej rozgrywce. Nie wahały się umrzeć za swoją sprawę, lub, co bardziej prawdopodobne, atakowały z pełną świadomością, że same zginą.

To było dla mnie coś absolutnie niewyobrażalnego. Uwierzyliśmy we wszechpotęgę naszych mocy i nie doceniliśmy zdolności i determinacji dziwoszczurów.

Co jednak popychało je do takich ostateczności?

Byłam tak zatopiona w myślach, że przestałam zwracać uwagę na otoczenie. Kiedy to się stało, byłam już prawie na skraju gęstwiny.

Wielki głaz. Leciał wprost na mnie.

Byłam tak zaskoczona, że nie zdążyłam nawet zablokować go cantusem. Upadłam na pośladki. Na szczęście kamień chybił, przelatując tuż nad moją głową.

Kolejny atak nastąpił błyskawicznie. Kilka drzew, które przetrwały wybuch potwora, zaskrzypiało i zostało wyrwanych z korzeniami. Jakby na to nie spojrzeć, miałam do czynienia z użytkownikiem cantusu.

Czy Bestia mogła tu dotrzeć? Poczułam pustkę w głowie. Jeśli tak, jestem już praktycznie martwa...

Zatrzymałam drzewa i poczułam drażniące mrowienie, jakie towarzyszyło zetknięciu się cantusów dwóch osób. W powietrzu rozbłysła migotliwa tęcza.

– C-Co...? – wykrzyknął ktoś ze zdumieniem.

– Przestań! Jestem człowiekiem! – zawołałam najgłośniej jak umiałam.

Drzewa gruchnęły o glebę. Czyli się nie myliłam. Kimkolwiek był napastnik, zaatakował, ponieważ wziął mnie za dziwoszczura.

– Poczekaj! Wychodzę!

Wyłoniłam się z lasu, machając ramionami nad głową. Jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt metrów dalej stał osłupiały chłopak. Mógł mieć piętnaście, może szesnaście lat. Na mój widok zaczął biec w moją stronę.

– Przepraszam! Myślałem, że jesteś dziwoszczurem...

– Musisz uważać! Gdybym umarła, śmiertelne sprzężenie zwrotne zabiłoby również ciebie.

– Sprzężenie...?

Wyglądał na poczciwego dzieciaka.

– Och, no tak, nie możesz o tym wiedzieć. Tak czy siak, zawsze upewnij się, na czym używasz swój cantus.

– W porządku... Ale te dziwoszczury pojawiają się zupełnie znikąd.

Chłopiec nazywał się Susumu Sakai i był uczniem czwartej klasy w Akademii Mędrców. Zapytałam go o wydarzenia minionej nocy i byłam bardzo zaskoczona jego odpowiedzią. Mimo, że wciąż był dzieckiem, zgłosił się na ochotnika i dołączył do walki przeciwko dziwoszczurom. Z tego powodu miał informacje z pierwszej ręki na temat wydarzeń w dystrykcie.

Po ataku na główny plac, ludzie przepełnieni żądzą zemsty na dziwoszczurach podzielili się na pięcioosobowe grupki, żeby szukać nieprzyjaciół. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy my przybyliśmy do szpitala i rozprawialiśmy się z okupującymi budynek przeciwnikami, również w wioskach trwały zacięte walki.

Ponieważ nasi wrogowie nie mogli otwarcie zaatakować użytkowników cantusu, oparli swoją taktykę na atakach z zaskoczenia.

Zawdzięczali swój sukces dwóm czynnikom. Pierwszym z nich była doskonała strategia Yakomaru, zakładająca bezwzględne poświęcanie jego własnych żołnierzy. Drugim był nasz zupełny brak przygotowania. Dziwoszczury włamały się do pustych domów, gdzie oczekiwały na dogodny moment na rozpoczęcie walki. Od samego

początku powinniśmy byli zniszczyć te budynki. Nikt jednak nie wziął pod uwagę, że takie posunięcie może być przykrą koniecznością.

Poza tym, pomimo, że w pięcioosobowych zespołach każdy członek odpowiadał za pilnowanie innego kierunku, brakowało nam odpowiedniego treningu i wiele osób zapomniało o wszystkich zasadach w ferworze walki. Dziwoszczury przygotowały przynęty, które miały skupiać naszą uwagę na jednym punkcie, po czym ostrzeliwały nas od tyłu. Mnóstwo ludzi straciło życie w taki sposób.

Zebrani w grupki mieszkańcy, zaskoczeni takim obrotem spraw, postanowili trzymać się w tłumie. To jednak również było elementem planu Yakomaru.

Zespoły fałszywych ludzi wmieszały się pod osłoną mroku między grupki prawdziwych mieszkańców. Wyczekiwały na dobry moment i napadały z zaskoczenia, siejąc absolutny chaos. Ginęły osoby przypadkowo wzięte za wrogów przez swoich towarzyszy, którzy z kolei umierali z powodu śmiertelnego sprzężenia zwrotnego.

Ta koszmarna bitwa pochłonęła ponad trzysta żyć. Mimo, że liczba zabitych dziwoszczurów była dwu- lub trzykrotnie większa, w żadnym stopniu nie rekompensowało to strat, jakie ponieśli ludzie.

Kiedy nastał świt, zaczęły pojawiać się inne oddziały żołnierzy Yakomaru. Dziwoszczury przez całą noc rzucały do walki nowe siły, ale kiedy zaczęło się przejaśniać, a ostatni z fałszywych ludzi padł martwy, ataki ustały. Jak się okazało, również i to było częścią taktyki Yakomaru, i miało za zadanie pozbawić nas snu.

Kiedy dziwoszczury zaczęły się wycofywać, mieszkańcy odetchnęli z ulgą. Właśnie wtedy pojawiły się plujące prochem potwory.

Nocą monstra podpłynęły w górę rzeki do samego centrum dystryktu. Pomimo, że rozmiarami prawie dorównywały waleniom, ludzie byli tak skupieni na walce, że nikt ich nie dostrzegł. Poza tym dziwoszczury z premedytacją unikały walki w okolicach wody, żeby uniknąć wykrycia stworów.

Kiedy tempo bitwy opadło, siedem lub osiem potworów wynurzyło się z kanału i zaczęło pluć czarnym prochem, który pokrył całą wioskę. Miejsca, w których zaatakowały, zostały celowo wybrane w taki sposób, żeby detonacja spowodowała jak największe zniszczenia. Zanim ktokolwiek zdążył zorientować się w sytuacji, nastąpiła seria wybuchów.

Fale uderzeniowe i wystrzelony w powietrze gruz spowodowały ogromne straty w ludziach. Następujące po sobie łańcuchowo eksplozje pochłonęły cały tlen z powietrza, zabijając jeszcze więcej mieszkańców.

– Wszyscy byśmy zginęli, jeśli Shisei Kaburagi w porę by nas nie ochronił... Mój nauczyciel zginął jednak w wybuchu. Nie wiem też, co się stało z moimi rodzicami. Cały czas próbuję ich odnaleźć – powiedział Susumu łamiącym się głosem.

– Dlaczego w takim razie tak nagle mnie zaatakowałaś? Przecież to równie dobrze mogli być twoi rodzice.

– Bo byłaś w lesie. Ostrzegano nas, żeby tam nie wchodzić. Mówiono, że mogą się tam kryć dziwoszczury i że między drzewami można zostać omyłkowo zaatakowanym przez innego człowieka.

– Och, nie miałam pojęcia.

Okropnie martwiłam się o własnych rodziców, ale Susumu najwyraźniej nie miał żadnych wieści na ich temat. Musiałam go zapytać o jeszcze jedną rzecz.

– Susumu, czy widziałeś, lub może słyszałeś o czymś jeszcze... gorszym?

– Gorszym? – Chłopak zagryzł usta. – Czy sytuacja nie jest wystarczająco zła? I to wszystko stało się w ciągu jednej nocy!

– Racja. Wybacz mi to dziwne pytanie.

Czyli Bestia najwyraźniej jeszcze się nie ujawniła. To sprawiało, że jeszcze ważniejsze stało się poinformowanie mieszkańców o jej istnieniu. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby udało się odszukać Tomiko albo Shiseia Kaburagiego.

Zaczęliśmy iść z Susumu, starając się cały czas pozostawać zwróceniem do siebie plecami w taki sposób, żebyśmy mieli jak największe pole widzenia.

Dotarliśmy nad kanał. Był kompletnie wysuszony, tak samo jak ten, który widziałam podczas lotu.

– Czemu nie ma tu wody?

Odpowiedź Susumu była dokładnie taka, jakiej się spodziewałam.

– Przywódcy nakazali na wszelki wypadek zamknąć zapory i osuszyć kanały.

– Dlatego, że chowały się w nich dziwoszczury?

– Tak. I, jak mi się wydaje, również dlatego, że właśnie tą drogą dostały się tutaj te plujące prochem potwory. Mówiono też nam, że niektóre dziwoszczury są przystosowane do życia zarówno na lądzie, jak i w wodzie.

Sieć kanałów i dróg wodnych oplatała Kamisu 66 jak pajęczyna. Ciężko było mieć oko na wszystkie, więc wypompowanie wody było oczywistym posunięciem. Yakomaru przez cały czas był jednak o jeden krok przed ludźmi, więc i tym razem mimowolnie wyświadczyliśmy mu przysługę.

Być może wróg nie tylko przewidywał nasze działania, ale wręcz je kontrolował.

Kiedy kanały zostały osuszone, straciliśmy możliwość transportu dużych grup ludzi. Dziwoszczury dokładnie przewidziały, że to zrobimy. Przewidziały też wiele innych rzeczy.

Po pewnym czasie zaczęliśmy natykać się na pojedynczych ludzi. Na początku poczułam ulgę, ale widok jaki ujrzałam niedługo później ścisnął mi serce.

Młoda kobieta płakała nad czyimiś zwłokami. Mężczyzna z paskudną raną postrzałową jęczał w agonii. Zagubione dzieci desperacko próbowały znaleźć rodziców.

Wszyscy mieszkańcy, których mijaliśmy, patrzyli na nas błagalnie, jakby prosili o ocalenie. Chciałam im pomóc, ale nie było na to czasu. Gdyby Bestia tu dotarła, sytuacja stałaby się jeszcze bardziej katastrofalna niż dotychczas. Musiałam znaleźć przywódców dystryktu zanim to się stanie, tak, abyśmy zdążyli opracować solidny plan działania.

– Pomocy... Błagam...

Kobieta w średnim wieku leżała na środku drogi, wyciągając do nas dłonie. Jej ubranie było zwęglone, a na odsłoniętych częściach twarzy i rąk widniały okropne oparzenia. Prawdopodobnie nie zostało jej dużo życia.

– Woda. Potrzebuję wody.

Zagryzłam usta. Nie mogłam po prostu zostawić jej tam na pewną śmierć. Z drugiej strony jednak wiedziałam, że jeśli nie zdążę na czas dotrzeć do celu, nikt nie ocaleje.

– Ja jej pomogę – powiedział Susumu, idąc w stronę kobiety. – Pospiesz się i idź! Mówiłaś, że musisz dotrzeć do przywódców, prawda?

– Tak... Dziękuję ci.

Uścisnęłam dłoń Susumu i odwróciłam się.

– Poczekaj – przywołała mnie kobieta. – Kogo... Kogo tak zawzięcie szukasz?

– Muszę odnaleźć panią Tomiko i Shiseia Kaburagiego. Mam dla nich ważne informacje. Jeśli do nich nie dotrę, wydarzy się coś jeszcze okropniejszego...

Urwałam. Mówienie o „czymś jeszcze okropniejszym” osobie leżącej na łożu śmierci wydało mi się okropnie bezduszne.

– Tomiko jest w szkole... Schroniła się w Akademii Mędrców. Jej budynki wciąż stoją – odparła, krztusząc się.

Poczułam jak spływa na mnie fala ulgi. Ta kobieta najprawdopodobniej była członkinią Komisji Etyki. Gdyby nie oparzenia na jej twarzy, być może rozpoznałabym ją.

– Dziękuję. – Ukłoniłam się rannej, po czym zaczęłam biec.

Wiedziałam już gdzie muszę się udać, co było dużym ułatwieniem. Musiałam jedynie jak najszybciej tam dotrzeć.

Zwiększyłam tempo biegu. Po zmęczeniu, jakie odczuwałam jeszcze kilka chwil temu, nie pozostał żaden ślad.

To była moja pierwsza wizyta w Akademii Mędrców od ukończenia szkoły. Nasze wioski były tak niewielkie, że mogłam odwiedzić ją kiedy tylko miałabym chęć. Nie wspominałam jednak zbyt miło spędzonego tam czasu, więc, co oczywiste, unikałam tego miejsca. W miarę, jak zbliżałam się do Akademii, widok okolicznych uliczek zaczął przywoływać coraz więcej wspomnień z przeszłości. Stopień zniszczeń był tu znacznie mniejszy niż w centrum Zbożowego Kręgu, jednak mimo to kilka budynków zostało częściowo zburzonych. Widząc to, poczułam ukłucie w piersi.

Choć niebo nadal miało intensywnie błękitną barwę, zaczął padać deszcz. Pomyślałam, że to tylko kapuśniaczek, ale po chwili zaczęły napływać gęste chmury.

Akurat kiedy dobiegłam do Akademii Mędrców, zaczęła się ulewa. Przed drzwiami zatrzymał mnie ktoś wyglądający na członka Komisji Etyki.

– Ze względu na sytuację kryzysową, Komisja Etyki przeznaczyła ten budynek do celów swojej działalności. Nie możesz wejść – powiedział niski mężczyzna w średnim wieku.

Pamiętałam, że już kiedyś go spotkałam. Pracował dla Tomiko, i, jak mi się zdawało, nazywał się Niimi.

– Jestem Saki Watanabe z Sekcji Kontroli Obcogatunkowców Wydziału Zdrowia. Mam pilną informację, którą muszę przekazać pani Tomiko.

– Poczekaj tu, proszę – powiedział, po czym zniknął we wnętrzu budynku.

Schowałam się pod daszkiem, żeby ochronić się przed deszczem i czekałam na powrót mężczyzny.

– Proszę, chodź za mną.

Podążałam za Niimim znajomymi korytarzami. Budynek szkoły był solidnie zbudowany i nie groził zawaleniem, ale fala uderzeniowa wybuchu wybiła wszystkie szyby w oknach i postrzącała zawieszona na ścianach przedmioty. Na podłodze panował taki bałagan, że ciężko było znaleźć miejsce na stopy. Myślałam, że Tomiko będzie w gabinecie dyrektora, jednak Niimi zaprowadził mnie do infirmerii.

– Proszę wybaczyć – powiedział.

– Wejdz.

Głos, który mu odpowiedział bez wątpienia należał do Tomiko. Wiedząc, że nic się jej nie stało, poczułam nagłą ulgę.

– Saki?

– Tak...

Byłam zszokowana, widząc Tomiko leżącą na jednym z łóżek. Jej głowa była owinięta bandażami, które zasłaniały obydwójce oczu. Jedno ramię spoczywało na temblaku, a całe ciało kobiety pokrywały liczne rozcięcia i otarcia.

– Cieszę się, że nic ci nie jest.

– Jest pani ranna...

– To tylko tak źle wygląda. W większości to niewielkie skaleczenia odłamkami szkła. Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedy nadejdzie świt, wyślą na nas te wypluwające proch potwory.

Tomiko uśmiechnęła się, ale wyraz jej twarzy pozostał poważny.

– Ważniejsze jest jednak to, co cię tutaj sprowadza – dodała.

– Oczywiście... Cóż, stało się najgorsze.

Opowiedziałam pokrótce o tym, co widziałam w szpitalu.

– Jestem absolutnie przekonana, że to Bestia. Jeśli szybko nie opracujemy jakiegoś planu, będziemy zgubieni.

Tomiko milczała przez dłuższą chwilę.

– Nie mogę w to uwierzyć... – powiedziała w końcu. – Ufam ci, ale po prostu nie potrafię w to uwierzyć.

– Nie kłamie! Widziałam to na własne oczy! Nie zobaczyłam samej Bestii, ale przyglądałam się, jak morduje dwoje ludzi!

– Ale to nie ma sensu. Skąd miałyby się tu teraz wziąć Bestia? Rada Edukacji niezwykle uważnie obserwuje dzieci. Nie przeoczyliby nikogo, kto wykazywałby choćby najmniejsze objawy zespołu Ramana-Klogiusa.

– Nie mam pojęcia dlaczego i jak do tego doszło. Kto poza Bestią byłby jednak w stanie pozbawić życia dwie osoby za pomocą cantusu?

Tomiko ponownie zamilkła.

– Proszę, niech pani mi uwierzy! Jeśli czegoś nie zrobimy, znajdziemy się w sytuacji bez wyjścia.

– Saki – powiedziała ochryple. – Jeśli to naprawdę jest Bestia, nic nie możemy zrobić.

– To niemożliwe!

– Myślę... Myślę, że Bestia musiała w jakiś sposób przedostać się tu z innego dystryktu. W takim przypadku naprawdę nie ma żadnego sposobu, żeby ją zabić. Możemy wysłać przekłete koty, jeżeli choroba nie zdąży w pełni się rozwinąć, lecz kiedy już do tego dojdzie... Pozostaje nam jedynie modlić się o cud. Modlić się o to, żeby Bestia przypadkowo się zraniła, zachorowała, albo coś w tym rodzaju.

– Ale dwieście lat temu wioski zdołały podnieść się po ataku Bestii. Przecież była pani tego świadkiem, prawda?

– Tak, byłam. I właśnie dlatego poprzysięgam sobie, że nigdy nie dopuszczę do ponownego pojawienia się Bestii. Dystrykt nie przetrwa kolejnego razu – odparła cicho Tomiko. – Poprzednio mieliśmy nieprawdopodobne szczęście. Tym razem nie możemy na to liczyć. Nie w sytuacji, kiedy dziwoszczury wyrządziły nam już tyle szkód...

Tomiko urwała nagle, zupełnie jakby coś sobie uświadomiła.

– To nie może być przypadek... Atak dziwoszczurów i pojawienie się Bestii muszą być jakoś ze sobą powiązane. Ale jak...?

Na zewnątrz rozległy się krzyki. Serce podeszło mi do gardła. Głosy były coraz bliżej. To nie była pojedyncza osoba; krzyczał cały tłum ludzi.

– Niimi, co to za zamieszanie?

Razem z mężczyzną wyjrzelśmy przez okno. Ludzie biegali w panice przed wejściem do szkoły. W mgnieniu oka zrozumiałam co się dzieje.

– Bestia! – wrzasnął ktoś w tłumie.

A więc już tu dotarł... Strach i rozpacz prawie zwały mnie z nóg.

– Saki, musisz uciekać. Już – nakazała Tomiko.

– Uciekniemy razem!

– Ja tu zostanę. Tylko bym cię spowalniała.

– Ale...!

– Przejdź przez Świętą Barierę i udaj się do Świątyni Czystości. W sytuacjach kryzysowych Rada Bezpieczeństwa zbiera się tam i przegrupowuje. Jeśli twoi rodzice przeżyli, też powinni tam być.

Poczułam, że serce zaczyna mi szybciej bić. Wciąż był promyk nadziei, nieważne, jak małe.

– Pamiętasz, co powiedziałam ci wiele lat temu? Mam na myśli tamtą rozmowę, kiedy oznajmiłam, że będziesz moją następczynią. Przykro mi, że musisz zastąpić mnie w takich okolicznościach, ale zostawiam Kamisu 66 pod twoją opieką.

– Poczekaj. Ja... Ja nie mogę. T-to..

– Niimi, idź, proszę, z Saki.

– Jeśli ty zostajesz, to ja też – zaprotestował.

– Nie. Masz do wykonania inne zadanie. Przekaż Shiseiowi to, co tu usłyszałeś. Jeśli Bestia rzeczywiście tu zmierza, nadaj komunikat alarmowy z rozgłośni w ratuszu. Ostrzeż tylu ludzi, ilu zdołasz. Przekaż wszystkim, że muszą uciekać najdalej, jak mogą.

– Tak zrobię... – Mężczyzna stanął na baczność i skinął głową.

– Na co jeszcze czekacie? Idźcie!

Stałam bezradnie, kompletnie nie wiedząc, co robić. Niimi złapał mnie za rękę i wyciągnął z pokoju.

– Proszę poczekać! Jeśli uciekniemy to Tomiko...

– Taka była jej wola – odparł Niimi. Po policzkach spływały mu łzy.

Poczułam, że sama również za chwilę zaniosę się płaczem.

Tomiko Asahina po raz pierwszy spotkała Bestię, kiedy była mniej więcej w moim wieku. Przez kolejne dwieście lat robiła wszystko co w jej mocy, żeby chronić dystrykt. Pozostawała na stanowisku zarówno w dobrych czasach, jak i w trudnych chwilach, a teraz zdecydowała się poświęcić własne życie, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo.

Nie mogłam jednak zatopić się na wieczność w takiej ckliwej zadumie. Powtarzałam sobie, że jestem silna, więc muszę dać z siebie wszystko.

Gdybym nie skupiła się na tej myśli, przytłoczyłby mnie strach przed, tym, z czym nieuchronnie musiałam się zmierzyć.

Przerażeni mieszkańcy wiosek biegali bezładnie jak stado lemingów. Nie byli w stanie zastosować się do czyichkolwiek rozkazów.

– Panno Watanabe, proszę uciekać do Świątyni Czystości, jak zalecała Tomiko-sama – wrzasnął Niimi, próbując przekrzyczeć panującą wrzawę.

– A co z panem?

– Zaniosę Shiseiowi Kaburagiemu wiadomość od Tomiko.

– Pójdziemy razem. Jestem jedyną osobą, która wie, że w dystrykcie naprawdę jest Bestia.

Nawet jeśli Shisei Kaburagi słyszał panikujących mieszkańców, wykrzykujących coś o Bestii, mógł pomyśleć, że ludzie po prostu histeryzują, albo że to kolejna sztuczka wroga. Skoro nie było już Koufuu Hino, Shisei był ostatnią osobą, która mogła cokolwiek

działać przeciwko Bestii. Dlatego też jak najszybciej musiałam przekazać mu wszystko, co wiem.

Szliśmy poboczem, uważając, żeby nie zostać stratowanymi przez tłum. W tak ciasnej przestrzeni nikt nie mógł użyć cantusu. Widok przepychających się ludzi, próbujących za wszelką cenę ocalić własne życia nie przywodził na myśl wyniosłych istot, obdarzonych boskimi mocami, a raczej naszych prymitywnych przodków. Na powrót staliśmy się zamieszkującymi jaskinie troglodytami, wierzącymi w złe duchy i obawiającymi się wycia wiatru.

Niebo zakrywały gęste, ołowiane chmury. Deszcz, który tak niespodziewanie zaczął padać, nagle ustał.

– Shisei Kaburagi musi być w pobliżu – zauważył Niimi. – Poprzednio, osoby, które nie odniosły obrażeń, nieco oczyściły okolicę i postawiły namiot medyczny. Później zgrupowały się w nowe zespoły patrolowe.

– Ale wszyscy ci ludzie...

Struchlałam, widząc całe morze mieszkańców. Jak miałam znaleźć Shiseia Kaburagiego w tym bałaganie?

Kiedy torowałam sobie drogę przez tłum, niebo nagle się rozjaśniło.

Na tle chmur pojawiły się ogromne, świetliste słowa.

Proszę zachować spokój.

Nie musicie niczego się obawiać.

Ochronię wszystkich.

Tych kilka wyrazów zadziałało z doskonałym skutkiem. Widząc je, ludzie zatrzymywali się i powoli zaczęli odzyskiwać zdrowy rozsądek.

– Strach paraliżuje umysły. Właśnie na to liczy nasz wróg, Proszę wszystkich o zachowanie spokoju.

Ujrzeliśmy Shiseia Kaburagiego, unoszącego się nad tłumem. Oczy miał ukryte pod maską podobną do tych, jakich używało się

podczas święta pogoni za demonami. Jego wzmocniony dzięki cantusowi głos niósł się echem we wszystkie strony czyściej i wyraźniej niż przez jakikolwiek megafon.

– Bestia jest tylko kolejną z piekielnych sztuczek dziwoszczurów. Z powodu ich rebelii przeciwko nam, wielu ludzi straciło życie. Choć oplakujemy zmarłych, musimy teraz pozostać zjednoczeni w obliczu wroga.

Rozległy się oklaski. Po chwili aplauz rozlał się na cały tłum.

– Tak!

– Razem!

Krzyki napływały ze wszystkich stron.

– Śmierć dziwoszczurom! – zagrział Shisei Kaburagi.

Tłum podchwycił ten okrzyk.

– Śmierć dziwoszczurom!

– Śmierć dziwoszczurom!

– Śmierć dziwoszczurom!

Ludzie skandowali jednym głosem, wymachując w powietrzu zaciśniętymi pięściami.

Gdyby nie charyzma Shiseia, wątpię, że komukolwiek udałoby się tak szybko stłumić panikę. Miał niesamowitą zdolność manipulowania ludzkimi uczuciami. Tylko silne emocje, takie jak gniew, mogły wziąć górę nad przerażeniem. Shisei Kaburagi wykorzystał wściekłość mieszkańców, żeby pobudzić ich do działania. To było ryzykowne, ale niezbędne posunięcie.

Kiedy jednak teraz o tym myślę, uważam, że również i ten ruch Yakomaru wziął pod uwagę w swoich drobiazgowych kalkulacjach.

Wszystko było częścią planu. Moment pojawienia się Bestii. Ucieczka tłumu. Nawet przemowa Shiseia Kaburagiego.

Bez żadnego ostrzeżenia ziemia na placu zatrzęsała się i zapadła. Kilka tuzinów ludzi zniknęło w olbrzymiej dziurze, zanim zdążyli choćby krzyknąć.

Krater miał około stu metrów średnicy i był na tyle duży, że pochłonął cały plac. Krawędź otchłani znajdowała się tuż przede mną,

natomiast jej środek – w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Shisei Kaburagi.

Zastanawiam się, czy tamtego dnia dziwoszczury nie przewyższały nas już wiedzą w zakresie inżynierii lądowej. Do dziś możemy jedynie się domyślać, w jaki sposób zdołały spowodować zapadnięcie się w ułamku sekundy tak wielkiej ilości ziemi. Prawdopodobnie wykorzystały swoje wrodzone zdolności budowania tuneli, żeby wykopać pod placem sieć korytarzy i zmniejszyć w ten sposób stabilność podłoża. Następnie musiały stworzyć nad tunelami ogromną jamę.

Do osunięcia ziemi prawdopodobnie wykorzystały niewielkiego prochowego potwora. Potrzebna była jedynie niezbyt duża eksplozja, żeby zawalić osłabioną już strukturę gruntu i wysłać setki ludzi wprost w objęcia śmierci.

Chmura pyłu przesłoniła mi całe pole widzenia. Zakryłam twarz, żeby piasek nie dostał mi się do oczu.

– Uciekaj! – krzyknął Niimi, chwytając mnie za dłoń.

– Ale muszę powiedzieć Kaburagiemu o...!

– To już nie ma znaczenia! – odparł, krztusząc się pyłem.

Nie wierzyłam, że Shisei Kaburagi mógłby dać się tak łatwo zabić. Jednakże, niezależnie od potęgi, jaką dysponował, najzwyczajniej nie miał czasu na użycie cantusu.

Kiedy się odwróciliśmy i zerwaliśmy do biegu, ponownie zaczęło padać. Na początku była to zaledwie mżawka, ale szybko przerodziła się w ulewę równie silną, jak wcześniej.

Spojrzałam w górę. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że krople deszczu spadały tylko na niewielki obszar. Mówiąc ściślej, woda obmywała jedynie miejsca zasłonięte chmurą pyłu.

Nagle deszcz ustał, a zamiast niego zerwał się gwałtowny wiatr, wywiewając resztki pyłu.

Kaburagi Shisei stał dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. Bliższe prawdy byłoby właściwie stwierdzenie, że się unosił, ponieważ pod jego stopami nie było już gruntu.

Wokół niego unosiło się wielu ludzi, podtrzymywanych jego mocą. Wpatrywali się oszołomieni w Shiseia Kaburagiego, który powoli wypchnął ich poza granice dziury i postawił na ziemi.

– Jestem wielce zawstydzony, że nie zdołałem ocalić wszystkich – powiedział. Jego głos był przepełniony gniewem i goryczą. – Jednak pomścimy tych, którzy zginęli. Przysięgnijmy, że wyplenimy te przeklęte, paskudne kreatury z ziemi bogów, archipelagu Japonii...

Głośny huk przerwał jego wypowiedź.

Z tunelu prowadzącego do wnętrza krateru wyłoniły się dziwoszczury i zaczęły strzelać. Kolejny oddział wyszedł z innego korytarza i posłał w niebo setki strzał. Wszystkie miały tylko jeden cel, którym był Shisei Kaburagi.

Zanim jednak strzały i kule zdążyły go dosięgnąć, wszystkie wyparowały, jakby zostały przeniesione do innego wymiaru.

– Wasza nieustępliwość jest doprawdy godna podziwu. Na wasze nieszczęście, nie jesteście w stanie nic mi zrobić.

Dziwoszczury zostały wysane z krateru, jakby wyciągnęła je stamtąd niewidzialna dłoń. Były ich setki.

– Czy którykolwiek z was mówi w naszym języku? – spytał Shisei.

Żaden dziwoszczur się nie odezwał. Wszystkie zdawały się doskonale wiedzieć, że nie mają szans ujść z życiem i w ciszy czekały na śmierć.

– Nie myślcie, że okażę wam łaskę i pozwolę szybko umrzeć, jeśli będziecie milczeć. Nie po waszej ohydnej zdradzie.

Dziwoszczury zaczęły zwijać się z bólu.

– To nie do zniesienia, prawda? Wysyłam sygnały bólowe wprost do waszych nerwów. Nie umrzecie od tego, ponieważ nie wyrządzam wam fizycznych obrażeń. Mogę robić to tak długo, aż któryś zacznie gadać.

– P-przestań! – zaskrzeczał nagle jeden z nich.

– Oho, widzę, że jednak umiecie całkiem dobrze mówić. Gdzie jest wasz główny dowódca?

– Kii! N-nie wiem...! Ghh!

Torturowany dziwoszczur zwinął się w agonii, a z pyska pociekła mu piana.

– Śmierć! Śmierć! Śmierć!

Tłum najwyraźniej odzyskał dawny animusz i znowu zaczął skandować.

– Gadaj! Albo... – Kaburagi Shisei groźnie ściszył głos.

Dziwoszczur nagle szarpnął się, zwiotczał i zaczął jęczeć bezładnie ze śliną kapiącą z ust i wywróconymi w tył oczyma.

– Najwyraźniej przekroczyłem granice jego wytrzymałości – powiedział pod nosem Shisei Kaburagi.

Bezużyteczny już dziwoszczur został pochłonięty przez białe płomienie i spadł wprost do dziury w ziemi.

Gdzieś zza naszych pleców dobiegł przeszywający wrzask.

Odwrociłam się i ujrzałam niewyobrażalną scenę.

Ludzie wirowali w powietrzu jak płatki konfetti. Niektórzy uderzyli z impetem o pobliskie budynki, zostawiając na ich ścianach wyraźne, krwawe ślady.

– Bestia!

Na ulicy w mgnieniu oka zapanowała panika i chaos. Nie było jednak dokąd uciec.

– Bestia? Niemożliwe... To niemożliwe.

Shisei Kaburagi zaczął pomału opadać. Zawieszony w powietrzu dziwoszczury nie były już potrzebne i jeden po drugim zaczęły wybuchać. Wszystkie ich kości zostały wyrwane, a bezładne ciała zniknęły na dnie krateru, ciągnąc za sobą długie, ociekające krwią wnętrzności.

Usłyszałam piskliwy skrzek, przywodzący na myśl wściekle zwierzę.

W okamgnieniu około tuzin ludzi stanął w ogniu. Zwijali się i krzyczeli, by po chwili upaść na ziemię. Niimi w ochronnym geście osłonił mnie własnymi ramionami i wypchnął w wąski przesmyk pomiędzy dwoma budynkami.

Wrzaski ustąpiły miejsca przedziwnej ciszy. Wszyscy którzy przetrwali, podobnie jak my znaleźli jakieś kryjówki i dygotali z przerażenia.

Bestia stanęła na samym środku ulicy.

Nie miałam możliwości, by dobrze się jej przyjrzeć. Całym jestestwem skoncentrowałam się na słuchaniu cichego odgłosu jej kroków.

Serce biło mi jak szalone, zupełnie jakby chciało w ciągu tych kilku sekund, zanim wszystko się skończy, wykonać pracę przewidzianą na całe swoje życie.

Ale...

Zdołałam przelotnie spojrzeć na Bestię pod ramieniem Niimiego i zorientowałam się, że nie jestem w stanie odwrócić wzroku. To był najstraszniejszy widok na świecie, ale po prostu nie mogłam oderwać od niego oczu.

Był taki mały. Wielkości dziwoszczura lub, być może, dziecka.

Nie, nie myliłam się. To *było* ludzkie dziecko. Chłopiec, najwyżej dziewięcioletni.

Był ubrany w wojskowy mundur, a twarz i ramiona pokrywały mu błękitne tatuaże, układające się w zawile wzory. Wpatrywał się wprost w Shiseia Kaburagiego.

– Ty naprawdę jesteś Bestią...? Ale jak to możliwe? Kim jesteś?
– krzyknął Shisei.

Szeroko otworzyłam oczy.

Nigdy wcześniej nie spotkałam tego chłopca. Mimo to doskonale wiedziałam, kim on jest.

Charakterystyczne cechy jego wyglądu były niemal dokładnie takie same jak u Marii.

Włosy dziecka miały identyczny, intensywnie rudy odcień i układały się w niesforne loczki, zupełnie jak u Mamoru.

Ta Bestia była spuścizną dwojga ludzi, których już od dawna nie było wśród nas.

– Grrr...★ * √§▲ЖАД! – wrzasnęła piskliwym, dzikim głosem.

Kilka dachówek zostało wyrwanych z pobliskich dachów i pofrunęło w stronę Shiseia Kaburagiego. Wszystkie uderzyły w niewidzialną ścianę i zniknęły.

Z krateru zaczęły wysuwać się korzenie drzew. Chwilę później belki podpierające domy po obu stronach krateru przebiły się przez ściany budynków i również wzleciały w powietrze.

Ataki były jednak daremne. Zanim kłody zdążyły zmiażdżyć mężczyznę, zostały posiekane na miliony drzazg. Korzenie zostały pochłonięte przez ogień, nim zdołały oplątać jego nogi.

– ≠ * □И...Ë ▼ЮΣ

Bestia nagle się zatrzymała. Wlepiała wzrok w Shiseia Kaburagiego, jakby była niezwykle zdziwiona, że jej ofiara stawia taki opór.

– To na nic. Z łatwością mogę przewidzieć twoje prymitywne ataki – zadeklarował Shisei. – W każdym razie, sprawdźmy teraz, co ja mogę zrobić tobie.

Domy stojące po bokach chłopca zawaliły się, kiedy nagle zniknęło podłoże, na którym stały. Nawet bruk został skruszony na piasek i zapadł się jak w pułapce zastawionej przez mrówkolwa. Bestia, na twarzy której malowało się bezgraniczne zdumienie, odskoczyła ze zwinnością dzikiego zwierzęcia.

– Saki! – Usłyszałam wołający mnie głos.

Wzdrygnęłam się i ujrzałam Satoru, stojącego nade mną z zasmuconą miną.

– Satoru...! Nic ci nie jest!

– Musimy uciekać. Wynik tego starcia jest już przesądzony.

– Hę? Ale...

Shisei Kaburagi i Bestia znaleźli się w patowej sytuacji. Nie można było określić, które z nich dysponuje większymi

umiejętnościami, i żadne nie było najwyraźniej w stanie zadać decydującego ciosu.

– Blef Shiseia na razie trzyma Bestię na dystans, ale prędzej czy później ona rozgryzie jego sztuczkę.

– Jaką sztuczkę?

– Shisei nie może zabić innego człowieka, nawet Bestii, z powodu kontroli ataku i śmiertelnego sprzężenia zwrotnego... Jego przeciwnika natomiast to nie dotyczy.

– Chwila moment. Bestia również nie może pokonać Kaburagiego, prawda? On jest w stanie odbić każdy atak – zauważył Niimi.

– Nie, dla niej to bulka z masłem.

– Czyli...

Nagle przypomniałam sobie dawno zapomniane wydarzenie.

Shisei Kaburagi podszedł powoli do □, który nadal wpatrywał się w skupieniu w kurze jajo.

Wszyscy czekali na to historyczne spotkanie. Spodziewano się, że to □ zastąpi w przyszłości Shiseia Kaburagiego na jego stanowisku. Po raz pierwszy miał teraz okazję, by otrzymać od mistrza jakieś wskazówki.

Shisei Kaburagi nagle gwałtownie się zatrzymał.

Co się stało? Cofnął się o krok, później o jeszcze jeden, a następnie odwrócił na pięcie i pośpiesznie opuścił klasę, śledzony osłupiałym wzrokiem wszystkich uczniów.

Wyciekający cantus. Zapomniałam o tym na tak długi czas. Czego tak właściwie obawiał się wtedy nieustraszony Shisei Kaburagi?

– Gaaaaaah!

Shisei Kaburagi zawył nieludzko. To nie był zwyczajny krzyk. Brzmiał bardziej jak wrzask kogoś, kto za chwilę umrze.

Jego głowa odskoczyła w górę, a pozłacana maska spadła z twarzy, odsłaniając przerażające oczy o czterech źrenicach. Były już zamglone.

– Uciekajcie! Nie mamy czasu!

Satoru pociągnął mnie za sobą i zaczęliśmy gnać ile sił w nogach. Nie cofaliśmy się drogą, którą tu przyszliśmy. Zamiast tego przemknęliśmy obok Bestii, pędząc wprost na Shiseia Kaburagiego.

Chłopiec kompletnie zignorował naszą trójkę, całkowicie skupiony na swojej ofierze.

Obejrzałam się przez ramię i ujrzałam, że jego głowę otacza migotliwe światło. Tęczowy wzór oznaczający, że działanie dwóch cantusów nakłada się na siebie.

Bestia używała swojej mocy bezpośrednio na ciele Shiseia Kaburagiego. Mężczyzna mógł jedynie próbować odpierać działanie wrogiego cantusu.

Po chwili rozległ się suchy trzask.

Głowa Shiseia Kaburagiego była wykrzywiona pod nienaturalnym kątem. Widziałam go wtedy po raz ostatni.

Ogromna dziura ziejąca na środku placu znajdowała się tuż przed nami. Była niewyobrażalnie wielka i tak głęboka, że nie widziałam dna.

Rozpaczliwie wskoczyliśmy do jej wnętrza.

Rozdział 6

Spadliśmy na samo dno krateru, który zdawał się drążyć aż do jądra Ziemi. To miejsce stało się grobem dla dziesiątek ludzi i dziwoszczurów. Na dole było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, więc cantus był bezużyteczny. Odwróciłam się twarzą w stronę nieba i wyobraziłam sobie wielki hak uwiązany na linie, który zaczepił się o krawędź dziury. Zdołałam przyczepić się do ściany.

Skały wciąż były mokre i śliskie od deszczu. Na dnie krateru było wilgotno, a do tego eksplozja spaliła większość tlenu z powietrza. Sprawiało to, że ciężko było oddychać. Wszędzie wokół nas unosił się odór krwi i zwęglonych ciał.

– Saki, nic ci nie jest?

To był głos Satoru. Najwyraźniej znalazł dogodne miejsce do wylądowania gdzieś wysoko nade mną.

– Tutaj jestem! Co z Niimim?

– U mnie wszystko w porządku!

Kamienie zasłaniały mi widok, ale jego głos dobiegał z bliższej odległości niż mogłam przypuszczać.

– Widzę tunel tuż pod sobą. Wejźmy do niego!

Na ścianie krateru zatańczył zielony płomyk. Światło oślepiło mnie na moment, ale zdołałam dostrzec miejsce, z którego został wysłany. Czerwony powidok przesłaniał częściowo moje pole widzenia.

Stworzyłam mentalny obraz siebie samej, przyczepionej do powierzchni skały niczym namagnesowana igła kompasu. Kiedy byłam bezpiecznie przytwierdzona, zaczęłam powoli wspinać się po ścianie jak gekon.

Z dna dziury dało się usłyszeć kakofonię krzyków i rumoru walących się budynków. Bestia musiała zacząć swoją masakrę. Zagryzłam usta. W tej chwili nie byliśmy w stanie nic na to poradzić.

Mogłam jedynie modlić się o to, żeby kilku osobom udało się ująć z życiem.

Zamknęłam oczy, próbując uspokoić moje szaleńczo bijące serce. Musiałam skupić się na ucieczce. Przypuszczałam, że mamy jeszcze trochę czasu, zanim Bestia skoncentruje swoją uwagę na dziurze w ziemi.

Satoru czekał już u wylotu tunelu, kiedy dotarliśmy tam wraz z Niimim.

– Szybko! Do środka! – krzyczał, wciągając nas po kolei.

Korytarz miał tylko półtora metra wysokości, przez co musieliśmy poruszać się pochyleni. Jeszcze gorszy był jednak smród. Myślałam, że od tego fetoru uschnie mi nos.

– Co tu tak śmierdzi?

– Wydaje mi się, że dziwoszczury użyły zaprawy z odchodów i mułu, żeby wzmocnić ściany tunelu – odparł Satoru, zaciskając nozdrza.

– Po co miałyby to robić?

– Żeby jak najbardziej przyspieszyć budowę, jak przypuszczam. Naprawdę wykorzystały wszystkie dostępne środki, żeby przygotować się na wojnę.

Niimi dostrzegł leżącą na ziemi pochodnię i rozpałił ją. Odór nadal był duszący, ale teraz przynajmniej widzieliśmy chociaż fragment korytarza przed sobą. Na podłodze zalegały różnego rodzaju śmieci. Żdźbła trawy, gałązki, martwe owady i podobne rzeczy. Zgadywałam, że są to pozostałości jedzenia dziwoszczurów.

– Spójrzcie na to – odezwał się Niimi.

Na ziemi widniała duża plama krwi, od której w głąb tunelu odchodziły rozmazane ślady.

– Gdzieś tutaj jest ranny dziwoszczur. Uważajcie, wciąż może żyć – wyszeptał Satoru.

Podążyliśmy korytarzem za krwawymi smugami i wkrótce natknęliśmy się na leżącego pod ścianą dziwoszczura. Na pierwszy

rzut oka wydawał się martwy, jednak spostrzegłam, że jego klatka piersiowa nieznacznie unosi się i opada.

– Patrzcie, nie ma lewej ręki... – zauważył Satoru.

Kończyna dziwoszczura została odcięta na wysokości ramienia. W ocalałej prawej dłoni ścisnął zakrwawiony miecz.

– Shisei Kaburagi prawdopodobnie chwycił go za rękę, więc odciął ją sobie, żeby uciec.

– Nie wierzę, że one posunęłyby się do tak radykalnych kroków... – powiedział Niimi.

– Kiedy Shisei wyciągnął żołnierzy z dziury, większość z nich była naga. Ten tutaj nosi metalową zbroję, więc musi być co najmniej generałem. Wiedział, że jest w posiadaniu ważnych informacji, których nie może ujawnić wrogom, więc musiał zbiec za wszelką cenę.

– Powinniśmy skrócić jego cierpienie?

– Nie, zmusimy go do gadania, jeśli jest jeszcze w stanie mówić... Nie martwcie się, Bestia nie będzie nas tu ścigać, więc mamy trochę czasu.

Satoru zabrał miecz dziwoszczura i odrzucił go daleko. Ranny stwór najwyraźniej odzyskał przytomność i spojrzał na nas. Jego czerwone oczy lśniły w świetle pochodni.

– Ty. Odpowiadaj szczerze na nasze pytania, a pozwolę ci szybko i bezboleśnie umrzeć – powiedział Satoru, kucając przed dziwoszczurem. – Wyglądasz, jakbyś przeszedł przez prawdziwe piekło. Czemu poważyliście się zbuntować przeciwko nam? Nie rozumiem, co wami kierowało.

Dziwoszczur po prostu patrzył na niego, wciąż leżąc na ziemi.

– O co chodzi? Mówisz w naszym języku, prawda? Już za późno na udawanie, że tak nie jest.

– Nie mam powodu, żeby was zwodzić – odparł spokojnym, niemal obojętnym tonem.

– Rozumiem. A więc powiedz mi. Gdzie jest teraz Yakomaru?

Dziwoszczur zamilkł, odmawiając odpowiedzi.

– On wszystkich was oszukuje. Czemu tego nie dostrzegacie?
Nic nie obchodzą go życia was, żołnierzy.

– Życia żołnierzy? Och, proszę. Istnienie jednostek jest bez znaczenia w obliczu większej sprawy.

– Większej sprawy?

– Wyzwolenia całej naszej rasy spod waszej tyranii.

– Jakiej tyranii? Nie uważam, żebyśmy kiedykolwiek źle was traktowali – wyrwało mi się.

– Jesteśmy inteligentnym gatunkiem. Powinniście odnosić się do nas jak do równych sobie. Jednak wy, ze swoimi piekielnymi mocami, obdarliście nas z godności i sprowadziliście do roli zwierząt. Jedynym sposobem na odzyskanie naszej chwały jest zmiecenie was z powierzchni Ziemi.

– Naprawdę uważasz, że to wam się uda? – krzyknął Satoru z oburzeniem. – Zabiliście mnóstwo ludzi swoimi tchórzliwymi atakami. Wystarczy jednak, że przetrwa choć jeden z nas, żeby wybić was wszystkie!

– To się nie stanie. Nie, dopóki jest z nami bohater naszej rewolucji, Squealer, nazywany przez was Yakomaru oraz mesjasz, którego zesłały nam niebiosy.

– Mesjasz? Mówisz o Bestii?

– Bestii...? To wy jesteście bestiami!

Dziwoszczur rzucił się do przodu, chcąc zaatakować Satoru.

Kiedy jednocześnie użyliśmy cantusu, tunel wypełnił się opalizującym światłem. Dziwoszczur przeleciał ze świstem przez korytarz i roztrzaskał się o wystającą skałę.

– Niech to szlag! – wrzasnął Satoru, jednak było już za późno.

Dziwoszczur z całą pewnością był martwy.

– Rzucił się na nas, więc musieliśmy go zabić...

– Chodźmy – powiedział Niimi. – Nie możemy tu zostać. Muszę wypełnić ostatnie zadanie, jakie powierzyła mi Tomiko. Wy dwoje powinniście udać się do Świątyni Czystości.

Pędziliśmy przez wąskie tunele, pocąc się i wdychając cuchnące powietrze. Szukaliśmy wyjścia na powierzchnię, które musiało być gdzieś niedaleko. Satoru wierzył, że mamy spore szanse na ucieczkę, ponieważ Bestia najprawdopodobniej nie jest w stanie wykopać rozpadliny dość głębokiej, żeby odciąć naszą drogę. Jeśli jednak chłopiec skończył już swoją rzeź, istniało niebezpieczeństwo, że pierwszy dostanie się do wylotu z tunelu i będzie tam na nas czekał.

Przypomniałam sobie, co działo się na letnim obozie przed czternastoma laty. Odnalezienie drogi w labiryncie korytarzy wydawało się niewykonalnym zadaniem, jednak w porównaniu z sytuacją, w jakiej się teraz znaleźliśmy, tamten problem był dziecinną igraszka.

Zginęło tak wielu ludzi, a ja wciąż nie miałam pojęcia czy moi rodzice są bezpieczni. Teraz najprawdopodobniej nie było już nawet wioski, do której mogłabym wrócić.

Z trudem powstrzymałam się od płaczu.

Koufuu Hino i Shisei Kaburagi, dwoje ludzi, którym nikt nie dorównywał mocą, byli martwi. Nie mieliśmy już nikogo, kto mógłby stawić czoła Bestii. Nie mogliśmy jednak się poddać. Tym właśnie jest prawdziwy test odwagi – jak długo będziemy potrafili przeć do przodu, nawet, kiedy przyszłość wydaje się zupełnie beznadziejna. To był nasz sprawdzian.

Nie mogłam odpuścić. Tomiko powierzyła mi los dystryktu. Sam ten fakt dawał mi siłę.

Jakieś dwieście metrów dalej natknęliśmy się na szyb prowadzący na powierzchnię. Wyjście mieściło się pomiędzy pniami drzew i było sprytnie zamaskowane trawą. Byłam zszokowana tym, że dziwoszczury były na tyle zuchwałe, by umieścić wylot korytarza tak blisko wioski.

Kiedy upewniliśmy się, że w pobliżu nie ma wrogów, wyszliśmy na zewnątrz.

W normalnych okolicznościach moglibyśmy udać się nad kanał i uciec łodzią, jednak wszystkie drogi wodne zostały osuszone, żeby uniemożliwić poruszanie się prochowym potworom. Kilka wciąż funkcjonujących kanałów bez wątpienia pozostawało pod ścisłą obserwacją wroga.

Satoru i ja nie mieliśmy wyboru i musieliśmy na piechotę dotrzeć do rzeki Tone. Niimi rozstał się z nami w tym miejscu.

– Życzę wam obu powodzenia – powiedział, ściskając nasze dłonie.

– Jest pan pewien, że nie chce iść z nami? – nalegał Satoru, jednak Niimi pokręcił głową.

– Tak. Muszę udać się do ratusza. Takie były rozkazy pani Tomiko.

– Czy jednak nie jest za późno na nadawanie ogłoszeń? Prawie cały Zbożowy Krąg jest już...

– Nie wiem czy jest za późno, czy nie. Jeśli jednak moje ostrzeżenie zdoła ocalić choć jedno istnienie, ten wysiłek nie pójdzie na marne.

Niimi nie dał się przekonać. Nasze ścieżki się rozeszły i już nigdy więcej go nie zobaczyłam.

Wspięliśmy się na wzgórze, przedzierając się przez długą, letnią trawę. Cała byłam pokryta zimnym potem; przerażał mnie fakt, że w każdej chwili Bestia mogła wyskoczyć na nas znienacka. Kiedy obejrzałam się przez ramię, zobaczyłam złowrogi, czarny dym dobywający się z centrum wioski.

Podobnie jak poprzednio, poruszaliśmy się powoli, gdyż musieliśmy stale pilnować się, aby nie wpaść w zasadzkę dziwoszczurów.

Kiedy w końcu opuściliśmy granice Zbożowego Kręgu, usłyszeliśmy rozbrzmiewające echem obwieszczenie dobiegające z ratuszowych megafonów.

Uwaga! Uwaga! Pojawiła się Bestia. Powtarzam, pojawiła się Bestia. Jej imię i typ pozostają nieznane, jednak przypuszcza się, że wariant pierwszy lub drugi typu Klogius. Przypuszcza się, że to wariant pierwszy lub drugi typu Klogius. Bestia zaatakowała Zbożowy Krąg. Ponieśliśmy ciężkie straty w ludziach. Powtarzam. Bestia zaatakowała Zbożowy Krąg. Ponieśliśmy ciężkie straty w ludziach. Zaleca się niezwłoczną ucieczkę. Osoby znajdujące się w wioskach muszą natychmiast ewakuować się poza nie. Ci, którzy znajdują się na obrzeżach dystryktu powinni oddalić się od jego granic najdalej, jak będzie to możliwe...

To był głos Niimiego. Satoru ścisnął mnie za ramię. Niimi zdołał dotrzeć do ratusza szybciej, niż się spodziewaliśmy. Prawdopodobnie gnał ile sił w nogach, nie zważając na ryzyko wykrycia przez dziwoszczury lub Bestię.

Ponownie rozbrzmiało ostrzeżenie. Wyjaśniając słowa Niimiego: zespół Ramana-Klogiusa można podzielić na dwa główne rodzaje. Typ zaburzony nosi nazwę Raman i dzieli się dalej na cztery warianty, ponumerowane od 1 do 4. Typ niezaburzony, zwany Klogius, posiada zaś trzy warianty – 1, 2 i 3. Formy niszczycielskich zachowań w obu rodzajach choroby różnią się od siebie, więc w zależności od tego, z którym z nich ma się do czynienia, należy przyjąć inną strategię ucieczki.

Komunikat dobiegł końca i rozległy się dźwięki starego, analogowego nagrania utworu muzycznego.

Nie była to, oczywiście, oryginalna wersja pochodząca z czasów dawnej cywilizacji. Kopia zapisu z zamierzchłych czasów została stworzona poprzez wyłobienie za pomocą cantusu rowków na glinianym dysku.

Tą melodią był „Powrót do domu”, druga część symfonii „Z Nowego Świata” Dvořáka. Nie miałam pojęcia, dlaczego Niimi wybrał akurat ten utwór. Dlaczego, podczas gdy nasze wioski były

niszczone, zdecydował się na muzykę, która obwieszczała dzieciom koniec dnia i konieczność powrotu do domów?

To nagranie było wersją instrumentalną, jednak kiedy go słuchałam, słowa piosenki same wpadały mi do głowy.

*Słońce ukrywa się za odległymi szczytami,
Gwiazdy rozświetlają niebo,
Dzisiejsza praca już skończona,
I czuję lekkość na sercu.
Wśród chłodnego, wieczornego wiatru,
Zbierzmy się wszyscy w krąg,
Zbierzmy się w krąg.*

*Ognisko jasno płonące wśród mroku,
Zaczyna już dogasać.
Sen nadchodzi szybko
Zaprasza mnie, bym zniknął,
I delikatnie nad nami czuwa.
Śnijmy więc wszyscy,
Śnijmy więc.*

Melodia wydawała się zapętlona w nieskończoność.

– Wygląda na to, że Niimi zdołał się ewakuować z ratusza... My też powinniśmy uciekać – powiedział Satoru.

– Racja.

Pomimo, że do wieczora było jeszcze trochę czasu, utwór zdawał się przyspieszać nadejście zmierzchu. Nagle coś sobie uświadomiłam. Sprzęt w ratuszowej rozgłośni był zasilany energią elektryczną wytwarzaną przez jedyną turbinę wodną w dystrykcie. Kanały zostały jednak osuszone już kilka godzin wcześniej.

Niimi cały czas był w budynku. Zasiłał megafony własnym cantusem.

Chciałam powiedzieć o tym Satoru, jednak ponury wyraz jego twarzy uzmysłowił mi, że to nie jest konieczne. Sam się tego domyślił.

Szliśmy dalej w milczeniu, przechodząc przez koryta kanałów i kierując się w stronę rzeki. Nawet, kiedy oddaliliśmy się już daleko od centrum dystryktu, do naszych uszu wciąż docierały dźwięki melodii.

Muzyka nagle ucichła.

Zamknęłam powieki i zacisnęłam zęby, oddychając powoli i miarowo, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Niimi wiedział, że Tomiko namaściła mnie na swoją następczynię. Zastanawiałam się, czy specjalnie nie zwabił Bestii do ratusza, żeby umożliwić nam bezpieczną ucieczkę do Świątyni Czystości.

Nigdy nie miałam jednak poznać odpowiedzi na to pytanie.

Ostatecznie, idąc okrężną drogą i unikając największych kanałów, dotarliśmy nad brzeg rzeki Tone. Krystaliczna przejrzystość i wartki nurt wody były równie piękne jak zwykle, lecz nie byłam w nastroju, żeby zachwycać się ich urokiem. Przeszukaliśmy okolice w poszukiwaniu jakiejś łodzi, jednak niczego nie znaleźliśmy. W rezultacie musieliśmy zadowolić się prymitywną tratwą, zbudowaną z trzech związanych ze sobą pni drzew.

Kiedy płynęliśmy w górę rzeki, kołysząc się łagodnie na falach, poprzednie dwadzieścia cztery godziny zdawały się bardzo odległym snem.

Bo to był tylko sen. Musiał być. Choć próbowałam przekonać się, że to prawda, dziesiątki ran i otarć na moim ciele oraz ogromne wyczerpanie, które czułam we wszystkich kościach, krzyczały do mnie, że tak nie jest.

Zaczęłam odczuwać zawroty głowy ze zmęczenia. W ciągu ostatnich kilku godzin zdarzyło się tak wiele stresujących rzeczy, że ciężko było to ogarnąć umysłem.

W pewnej chwili ogarnęło mnie dziwne poczucie bezsensowności całej tej ucieczki.

Pomyślałam, że za tysiąc lat wszyscy będziemy martwi i nikt nawet nie dowie się, co się z nami stało. Jaki więc był sens tak rozpaczliwej walki o przetrwanie?

– Saki, wydaje mi się, że to gdzieś tutaj – powiedział Satoru.

Nie zrozumiałam od razu, co ma na myśli.

– Pamiętasz, gdzie było wejście?

W końcu dotarło do mnie, że pyta o drogę do Świątyni Czystości.

– Nie... Ale przypominam sobie tamto drzewo.

Lokalizacja świątyni nie była trzymana w tajemnicy, ale mało kto znał jej dokładne położenie. Podczas mojego rytuału inicjacji zostałam tu przywieziona barką pozbawioną okien, więc nie miałam pojęcia w którym miejscu opuściliśmy sieć kanałów i płynęliśmy na rzekę. Zdarzyło mi się kilka razy wysiąść nieopodal świątyni kiedy pracowałam wspólnie z ludźmi z Sekcji Ochrony Przyrody, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć drogi, którą płynęliśmy.

– To dziwne. Jestem praktycznie pewien, że to tutaj.

– I co teraz?

Zastanawiałam się, czy powinniśmy wyjść na brzeg i zacząć szukać wejścia. Gdyby to jednak nie było właściwe miejsce, nie tylko niczego byśmy nie znaleźli, ale narazilibyśmy się na niespodziewany atak dziwoszczurów.

– Halo! Jest tu kto? – krzyknął Satoru.

– Przestań! Co zrobimy, jeśli Bestia cię usłyszy?

Satoru pokręcił głową.

– Znacznie gorzej będzie, jeśli dopadnie nas, kiedy będziemy tutaj sterczeć. Musimy jak najszybciej znaleźć świątynię... Halo! Czy jest tu ktoś ze Świątyni Czystości?

– Kto tam? – Niespodziewanie rozległ się czyjś głos.

– Jestem Satoru Asahina, biolog z Farm Lotosu, a to Saki Watanabe z Wydziału Zdrowia. Pani Tomiko poradziła nam, żebyśmy uciekli do świątyni.

– Poczekajcie chwilkę.

Usłyszeliśmy szelest i zobaczyliśmy jak rozsuwają się zarośla, obok których zacumowaliśmy tratwę.

– Tędy proszę.

Wciąż nie widziałam mówiącej do nas osoby. Przepchnęliśmy do przodu naszą prowizoryczną łódkę a zamaskowane wrota od razu zamknęły się za nami. Mechanizm tych drzwi nie był zbyt skomplikowany, ale ciężko byłoby je otworzyć bez użycia cantusu. Pomimo lokalizacji, wejście było dosyć bezpieczne. Praktycznie nie dało się go dojrzeć z rzeki, natomiast od strony lądu widok na nie przesłaniały liczne drzewa i skały.

Przecisnęliśmy się na tratwie przez ciasne zakręty kanału i dotarliśmy do zabudowanej przystani. Dokładnie do tego miejsca przywieziono mnie przed inicjacją. Wydawało mi się, że kanał był wtedy szerszy, ale najpewniej płynęliśmy od innej strony.

– Cieszę się, że udało wam się tu bezpiecznie dotrzeć.

Przywitał nas mnich ze złożonymi rękoma. Odwzajemniliśmy ukłon.

– Jestem głównym kapłanem odpowiedzialnym za sprawy administracyjne Świątyni Czystości. Nazywam się Jakujou. Musicie być wyczerpani. Kiedy trochę wypoczniecie, będziemy chcieli zadać wam kilka pytań.

Jednym z jego zadań była opieka nad gośćmi. Podążyliśmy za mnichem, wdrapując się po schodach, osłoniętych daszkiem. Kiedy znaleźliśmy się w budynku świątyni, zaprowadził nas do pokoju wyłożonego matami tatami, do którego po chwili dostarczono jedzenie. Na posiłek składały się jedynie ryż, marynowana rzepa i czysta woda, ale nam wydał się prawdziwą ucztą. Pochłonęliśmy wszystko w okamgnieniu.

Kiedy się najedliśmy, ucieliśmy sobie krótką drzemkę. Chciałam przedyskutować z Satoru całe miliony rzeczy, ale nie byłam w stanie wykrzesać z siebie na to dość energii. Ponownie ogarnęła mnie niemoc, którą czułam wcześniej.

– Satoru Asahina, Saki Watanabe – zawołał Jakujou zza drzwi. – Wielce ubolewam nad tym, że mimo waszego zmęczenia muszę was o to prosić, jednak zechciejcie udać się ze mną do głównej sali.

– W porządku – odparliśmy jednocześnie.

Kiedy wkroczyliśmy do głównej świątynnej komnaty, czekało już tam na nas kilkunastu mnichów. Najwyraźniej przygotowywali się do rozpalenia ognia na ołtarzu.

– Przybyli Satoru Asahina oraz Saki Watanabe – obwieścił Jakujou.

W sali zapadła cisza.

– Och, och, dobrze...

Tym, który się odezwał okazał się Naczelny Mnich Mushin. Miał już ponad sto lat i wyglądał jeszcze sędziwiej niż wtedy, gdy ostatni raz go widziałam.

– Z Tomiko wszystko w porządku, prawda?

Nie miałam pojęcia jak odpowiedzieć, więc milczałam, jednak wyraz mojej twarzy prawdopodobnie mówił wszystko. Naczelny Mnich Mushin zamknął oczy.

Przemówił inny kapłan, równie chudy jak Mushin i niewiele od niego młodszy. Przedstawił się jako Zwierzchnik Gyousha. Był drugą najważniejszą osobą po Naczelnym Mnichu Mushinie i odpowiadał za sprawy materialne Świątyni Czystości. Wyglądał znajomo i, jak mi się zdawało, był obecny na zebraniu Rady Bezpieczeństwa, które odbyło się przed tygodniem.

– Mamy nadzieję, że będziecie mogli nam pomóc. Czy choć jedno z was widziało Bestię z bliska?

– Tak, obydwój – odparł Satoru.

– Możecie opisać nam jej wygląd? Mam na myśli takie rzeczy jak, na przykład, przybliżony wiek czy specyficzne cechy fizyczne.

– On mógł mieć jakieś... dziesięć lat – powiedziałam.

Mnisi zaczęli szeptać pomiędzy sobą z ożywieniem.

– Dziesięć? To najmłodsza Bestia o jakiej kiedykolwiek słyszałem.

– Pomimo, że to wciąż dziecko, wygląda bardzo charakterystycznie. Ma rude włosy i...

Byłam absolutnie pewna, że jest synem Marii i Mamoru, ale nie mogłam zmusić się, żeby powiedzieć o tym na głos. Kiedy Satoru i ja opisaliśmy jego wygląd, nad ołtarzem zapłonął ogień. Płomienie buchnęły pod sam sufit, a zgromadzeni mnisi zaczęli intonować coś monotonnym głosem.

– Rozumiem. Czyli Bestia wygląda mniej więcej tak?

Zanim Gyousha skończył pytanie, w ogniu pojawił się obraz chłopca.

– Tak... Dokładnie tak! – Mój głos zadrżał, kiedy przypominałam sobie spotkanie z Bestią.

– Dziękuję wam. A teraz cofnijcie się, proszę – odparł Gyousha, siadając wraz z Mushinem naprzeciwko ołtarza.

Wlał do ognia aromatyzowany olejek i dorzucił kilka cedrowych gałązek. Iskry wystrzeliły wysoko w powietrze, a około trzydziestu mnichów zaczęło śpiewać jednym głosem.

– Poczekajcie, chcę o coś zapytać... – zwróciłam się do Gyoushy, ale Jakujou przerwał mi w pół zdania.

– Zadawajcie swoje pytania mnie. Wyjdźmy na zewnątrz.

– Po co są te modły?

Jakujou zamyślił się na chwilę. Wyglądał na nieco zawstydzonego.

– Ta informacja właściwie nie jest przeznaczona dla uszu ludzi spoza świątyni, ale dla was dwojga zrobię wyjątek. W obecnym momencie wszyscy mieszkańcy Świątyni Czystości przekierowują swoją energię w płomienie, żeby odpędzić Bestię.

– Odpędzić? To w ogóle możliwe? – spytałam zdziwiona.

– To, oczywiście, nie jest proste zadanie. Jednakże, światło północnej gwiazdy to moc Buddy Tejaprabha, które powstrzymuje wszystkie nieczyste duchy i demony. Potęga Wajśrawany potrafi uspokajać dusze. Jeden z czterech głównych rytuałów shika daihou chroni przed kataklizmami. Jest także sutra Usnisavijayadharani, która wznieciła boski wiatr podczas mongolskiej inwazji w czasach starożytnej cywilizacji oraz najpotężniejszy z obrzędów, modlitwa jednej sylaby Złotego Koła. Te i kilka innych rytuałów wystarczą, żeby przegnać Bestię – wyszeptał Jakujou z przekonaniem.

– Czy w przeszłości powiódł się podobny egzorcyzm? – spytał Satoru.

– W archiwach świątyni znajdują się dokumenty opisujące nagłe pojawienie się Bestii czterysta lat temu. Po trzech dniach i nocach nieprzerwanych modłów, zdołano ją przepędzić. Co więcej, ani jeden człowiek nie stracił życia.

– Czyli można w ten sposób... zabić Bestię?

Jakujou zasepił się.

– Nie – odparł. – Już w przeszłości zabijanie było usankcjonowane, ale teraz, gdy całkowicie oddaliśmy się nauczaniu Buddy i wstąpiliśmy na jego ścieżkę, jest ono absolutnie zakazane.

– Ale Bestia zamordowała już wielu ludzi. Jeśli możemy ocalić wiele istnień, niszcząc tylko jedno, czy nie jest to słuszne działanie?

– Właśnie dlatego wykorzystujemy modlitwę. Tak jak wszyscy, nie możemy użyć cantusu żeby odebrać życie innej ludzkiej istocie.

Najwyraźniej nie było sposobu na obejście mechanizmów kontroli ataku i śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, zakorzenionych głęboko w naszym DNA. Jaki był w takim razie dokładny cel modłów i rozpalania ognia na ołtarzu, skoro nie mogiło to bezpośrednio zaszkodzić Bestii?

Zdawało się, że również Satoru się nad tym zastanawia.

– Jaki więc efekt wywołała modlitwa?

– Ograniczy ruchy Bestii i zasieje w niej uczucie wstydu, rozbudzając współczucie, które zmusi ją do zaprzestania bezrozumnych morderstw.

Skoro zwykły wyciek cantusu mógł wymusić ewolucję żywych istot, bez wątpienia moc, jaką mnisi nabyli przez lata treningu miała jeszcze większy potencjał. Tak jak powiedział Jakujou, kapłani nie wpływali na Bestię pod względem fizycznym, lecz psychicznym. To prawdopodobnie była najbardziej pokojowa ze wszystkich możliwych metod.

Czy to wszystko nie opierało się jednak na błędnym założeniu? Wszystkie poprzednie Bestie przynajmniej przez pewien okres czasu były częścią naszego społeczeństwa. Żeby móc kontrolować Bestię, potrzebne były zakopane głęboko w jej podświadomości ludzkie wspomnienia i emocje. Dopiero wtedy można było próbować je przebudzić i liczyć, że to wystarczy by powstrzymać szal zabijania.

Jednakże, ta Bestia nigdy nie żyła wśród nas. Nie potrafiła nawet mówić w naszym języku. Fizycznie była człowiekiem, lecz mentalnie – dziwoszczurem. Wątpiłam, że będziemy w stanie kontrolować jakikolwiek aspekt jej zachowania.

Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć o tym mnichom. Było jednak coś, o co musiałam zapytać wcześniej.

– Tomiko powiedziała mi, że w sytuacjach kryzysowych w świątyni zbierają się wszyscy członkowie Rady Bezpieczeństwa. Czy moi rodzice... Mizuho Watanabe, opiekunka biblioteki oraz burmistrz Takashi Sugiura tu dotarli?

Zdumiała mnie odpowiedź Jakujou.

– Owszem – odparł.

– Naprawdę? Gdzie teraz są? – spytałam z ożywieniem.

Sam widok poważnej miny wystarczył, by sprawić, że poczułam się, jakby ktoś wylał mi na głowę kubeł lodowatej wody.

– Po spotkaniu z Naczelnym Mnichem Mushinem i Zwierzchnikiem Gyoushą, powrócili do dystryktu. Odeszli stąd jakieś dwie lub trzy godziny przed waszym przybyciem.

Oznaczało to, że musieliśmy minąć się na rzece Tone.

– Ale... dlaczego?

– Twoi rodzice bardzo się o ciebie martwili, ale wierzyli, że w końcu uda ci się tutaj dotrzeć i byli zdecydowani zaczekać na ciebie. Wtedy właśnie nadeszła wieść o Bestii.

Wpatrywałam się w Jakujou bez najmniejszego mrugnięcia, chłonąc każde jego słowo.

– Twoja matka i ojciec doszli do wniosku, że niezależnie od poświęceń, na jakie trzeba będzie się zdobyć, Bestia musi zostać powstrzymana. Dlatego też wrócili do dystryktu. Zamierzali po pierwsze wypuścić wszystkie przeklęte koty i nasłać je na Bestię. Ich drugim celem było zniszczenie całych zasobów biblioteki, żeby nie mogły wpaść w łapy dziwoszczurów.

– Czyli...

Poczułam, że nogi uginają się pode mną. Gdyby Satoru w porę nie chwycił mnie za ramię, upadłabym na podłogę.

Czy moi rodzice z własnej woli poszli po pewną śmierć?

– Zostawili mi pewną rzecz. Proсили, żebym przekazał ją tobie, kiedy się tu zjawisz. Później ci ją przyniosę.

– Pokaż mi to teraz... Proszę – wyszeptałam, wciąż w ciężkim szoku.

– Dobrze. Poczekaście chwilę. Jednakże, mamy tutaj jeszcze innego gościa, który chciałby się z wami zobaczyć.

Nie docierało już do mnie nic, co mówił Jakujou.

Było już zbyt późno, żeby ruszyć za moimi rodzicami. W tej chwili prawdopodobnie byli już na terytorium opanowanym przez Bestię lub dziwoszczury. Jeśli tak było w istocie, oznaczało to, że nie wrócą stamtąd żywi.

Czy miałam stracić obydwój rodziców jednego dnia? Na samą myśl o tym poczułam, że robi mi się słabo.

Satoru powiedział coś Jakujou, a następnie poprowadził mnie długim korytarzem, cały czas obejmując mnie ramieniem. Najwyraźniej zmierzaliśmy do pokoi dla gości.

– Proszę o wybaczenie. Przyprowadziłem Saki Watanabe i Satoru Asahinę – powiedział mnich, klękając przed drzwiami.

– Wejdźcie, proszę.

Zapraszający nas głos brzmiał znajomo.

Pomieszczenie do którego weszliśmy miało drewnianą podłogę i stało w nim jedynie zbite z desek łóżko. Choć ta izba również znajdowała się w skrzydle gościnnym, nasz pokój był znacznie bardziej komfortowy.

– Watanabe-san. Cieszę się, że jesteś cała. Ty również, Asahina-san.

Na łóżku siedział mężczyzna. Jego twarz była paskudnie poparzona i pokryta kilkudniowym zarostem, ale mimo to od razu go rozpoznałam.

– Inui...

Od czasu, gdy wysłano pracowników Sekcji Ochrony Przyrody, żeby rozprawili się z kolonią Łowików, nie było od nich żadnych wieści, więc przypuszczaliśmy, że stało się najgorsze.

– Z głębokim wstydem przyznaję, że nie tylko nie wypełniłem swojej misji, ale też jedyną rzeczą, jaką mogłem zrobić była ucieczka z podkulonym ogonem – powiedział, zwieszając głowę.

– To nie twoja wina. Twoim przeciwnikiem była Bestia, więc nie byłeś w stanie nic zdziałać.

Inui pokręcił przecząco głową – Gdybym tylko zdołał szybciej wrócić i ostrzec więcej ludzi... Moglibyśmy uniknąć tak wielu ofiar.

– Wyruszyliście zniszczyć kolonię przed tygodniem, prawda? Co działo się później?

Inui zaczął powoli opowiadać swoją historię.

Rada Bezpieczeństwa wysłała zespół złożony z pięciu strażników z Sekcji Ochrony Przyrody, który w ciągu trzech dni miał wytepić dwieście tysięcy członków kolonii Łowików. Nie zdołali zabić ani jednego. Dziwoszczury w jakiś sposób dowiedziały się o ich przybyciu i cała armia schroniła się pod ziemią.

Przeszukiwali góry przez cały dzień, a następnego poranka wysłali ptaka z wiadomością do Wydziału Zdrowia. Kolejne dwa dni również upłynęły na bezowocnych poszukiwaniach. Najgorsze zdarzyło się czwartej doby.

Inui i czworo jego kompanów byli starymi wyjadaczami, zaznajomionymi ze strategiami wojennymi i słabymi punktami dziwoszczurów. Z tego powodu doskonale wiedzieli, że kiedy schowają się one w podziemiach, najgorszą rzeczą jaką można zrobić jest rozdzielenie się i prowadzenie poszukiwań w pojedynkę. Dziwoszczury często stosowały taką taktykę, kiedy musiały walczyć z kilkoma użytkownikami cantusu naraz.

Tamtego poranka cała piątka wyruszyła razem, próbując wytropić przeciwnika. Po kilku godzinach natknęli się w końcu na pozostałości obozowiska.

Po około godzinie natrafili na oddział dziwoszczurów. Było ich około dziesięciu; wchodziły i wychodziły z położonej u stóp góry jaskini, wynosząc z niej broń, którą tam skrywały. Umino potwierdził, że wszystkie z nich należą do sprzymierzonej z Łowikami kolonii Niedźwiedziówek Nożówek. Zespół Inuiego rozdzielił się, żeby otoczyć dziwoszczury, jednak cała piątka trzymała się na tyle blisko siebie, żeby w razie konieczności wesprzeć kompanów.

Eliminacja niewielkiej grupki dziwoszczurów była równie prosta jak pozbycie się gniazda szerszeni. Dwoje pracowników sekcji Ochrony Przyrody ochraniało resztę przed kontratakami, podczas gdy trzeci zabijał dziwoszczury, a ostatnia dwójka obserwowała otoczenie, wyłapując osobniki, które próbowały ucieczki, zabijając je na miejscu lub chwytając, by móc je później przesłuchać. Inuiemu przypadła rola patrolowania terenu, więc skręcił w prawo i wdrapał się na wysoki głaz, skąd mógł obserwować pole walki. Jego partner, Aizawa, poszedł zaś w lewo i ukrył się w niewielkiej kotlinie.

Rozpoczął się atak. Gdyby dziwoszczury zorientowały się, że agresorami są ludzie, prawdopodobnie próbowałyby uciec innymi wydrążonymi we wnętrzu góry tunelami. Nikt nie wie, ile wyjść

mogła mieć ta sieć korytarzy. Kengo, który odpowiadał bezpośrednio za atak, wykorzystał skalne odłamki, żeby sfabrykować odgłos wystrzałów ze strzelb.

Zgodnie z oczekiwaniami, Niedźwiedziówki Nożówki pomyślały, że zostały napadnięte przez wrogą kolonię i zaczęły przygotowywać się do bitwy. Wyszły z podziemi, ukryły się za kamieniami i bambusowymi tarczami, po czym przeszły do kontrataku. Kawamata wystrzelił fałszywe pociski w kierunku pobliskiego zagajnika, na którym dziwoszczury natychmiast skoncentrowały swój ogień. Po chwili strzelanina ustała, a całe zastępy żołnierzy Niedźwiedziówek Nożówek zaczęły wychodzić z jaskiń.

W pewnym momencie z położonej wyżej na zboczu góry groty wyszedł dziwoszczur, który wypatrzył Aizawę. Zanim zdążył choćby unieść łuk, Inui zabił go bezszelestnie. Sądząc po kamuflujących barwach jego odzienia, prawdopodobnie był to strzelec wyborowy, mający likwidować przeciwników z dystansu.

Losy bitwy u stóp góry były przesądzone już po paru sekundach. Kawamata zabijał nadciągające dziwoszczury żywymi, wyćwiczonymi ruchami. Oslaniający go Umino i Kamoshida praktycznie nie mieli nic do roboty.

Właśnie wtedy z groty wyłoniła się jeszcze jedna istota. Jej twarz była skryta pod szarym kapturem. Inui nie zabijał pozostałych przy życiu dziwoszczurów, myśląc, że chcą się poddać. Pozostała czwórka jego towarzyszy doszła do takiego samego wniosku. Nikt nie atakował zbliżającej się postaci, choć wszyscy mieli wrażenie, że jest w niej coś dziwnego.

Kawamata, Umino, Kamoshida i Aizawa ostrożnie ruszyli jej na spotkanie, mimo, że zazwyczaj nie potrzeba było aż czworga ludzi, żeby poradzić sobie z jednym dziwoszczurem.

– Kim jesteś? Co tu robisz? – spytał Kawamata.

Właśnie wtedy Inui uświadomił sobie, że istota, na którą patrzy, jest człowiekiem. Z miejsca, w którym się ukrywał ciężko było

dokładnie określić jego wzrost, ale zdawał się dorównywać wysokością przeciętnemu dziwoszczurowi lub ludzkiemu dziecku.

To, co stało się później, było sceną żywcem wyjętą z nocnych koszmarów.

Głowa Kawamaty roztrzaskała się jak dojrzały melon, rozbryzgując wokół krew i kawałki mózgu. Po chwili Umino, Kamoshida oraz Aizawa podzielili jego los.

Inui był zbyt zszokowany, żeby zareagować. Jego serce waliło dziko w piersi, a całe ciało pokrył mu zimny pot. W myślach tłukło mu się tylko jedno słowo. Bestia.

Kiedy zdołał trochę się uspokoić, przez głowę przeleciały mu setki pytań. Skąd ona się tutaj wzięła? Czemu wyszła z dziwoszczurzych tuneli? I kim, na niebiosa, właściwie było to dziecko?

Nie było jednak czasu na to, by zastanawiać się nad odpowiedzią na którekolwiek z nich. Umysł Inuiego bezzwłocznie skoncentrował się na bardziej palącej kwestii. Jak uciec stąd bez szwanku?

Pierwszą i najsilniejszą instynktowną myślą mężczyzny była ucieczka – jak najszybsza i jak najdalej stamtąd. Inui zdołał jednak utrzymać nerwy na wodzy i chłodno przeanalizować sytuację. Narzucił na siebie kamuflujący mundur, który zdarł z zabitego chwilę wcześniej dziwoszczura i jeszcze raz powtórzył sobie cały plan. Tak, to było dobre rozwiązanie.

Gdyby opuścił swoją obecną pozycję, wpadłby w sam środek armii dziwoszczurów bez żadnej możliwości ucieczki. Nie miał pewności, że poradziłby sobie z nimi wszystkimi w pojedynkę, a pojawienie się Bestii jeszcze bardziej pogorszyłoby sprawę.

Inui ostrożnie przeczołgał się do miejsca, które lepiej nadawało się na kryjówkę, gdzie zamierzał czekać dopóki, dopóty dziwoszczury się nie rozejdą. Niestety, najwyraźniej nie miały one zamiaru nigdzie się ruszać. Mężczyzna przypuszczał, że dobrze wiedzą, iż „bogowie śmierci” zawsze działają w pięcioosobowych zespołach. Oznaczało to, że znalazł się w potrzasku.

Kamuflująca peleryna okazała się darem niebios. Miała nawet kaptur, więc Inui mógł okryć nią całe ciało, skutecznie tłumiąc własny zapach ostrym smrodem jej poprzedniego właściciela. Mimo to w pewnym momencie niewiele brakowało, a byłby został wykryty. Dziwoszczury maszerowały wprost na niego, więc musiał przemknąć przez ich pole widzenia, żeby schronić się w zaroślach. Na szczęście był na tyle drobnej budowy, że garbiąc się i naśladowując ich ruchy, zdołał udąć, że jest jednym z nich i ustrzec się przed zdemaskowaniem.

– Uniknięcie wykrycia wymagało jednak ode mnie wykorzystania wszystkich umiejętności, a ucieczka była niemożliwa – kontynuował Inui zgorzkniałym tonem. – Minęły cztery dni, a ja nie miałem żadnego jedzenia ani wody poza kilkoma kroplami rosy, którą spijałem z roślin. Byłem u skraju swoich fizycznych możliwości. W samym środku czwartego dnia... czyli wczoraj, cała armia zaczęła się przemieszczać. Na początku myślałem, że to jakiś podstęp, ale po chwili uświadomiłem sobie, że nie mam czasu do stracenia. Kiedy tylko zaszło słońce, ruszyłem w stronę dystryktu, żeby przestrzec wszystkich przed dziwoszczurami i, co ważniejsze, przed Bestią.

Inui ostrożnie podkraść się na szczyt wzgórza górującego nad Pięknym Widokiem. Zamierzał poprosić o pomoc pierwszą napotkaną osobę, ale nie natknął się na nikogo po drodze. Przypomniawszy sobie wtedy, że to noc obchodów Święta Lata.

Wioska musiała być prawie zupełnie pusta. Inui był zaniepokojony, jednak wiedział, że jest jedno miejsce, w którym na pewno będą jacyś ludzie.

Przyszpitalny żłobek.

Główny kompleks szpitala mieścił się w Żłocistej Wiosce, od której Inuiego dzielił znaczny dystans. Sam budynek żłobka szczęśliwie znajdował się jednak w ścisłym centrum Pięknego Widoku. Mężczyzna skierował się wprost do niego. Po drodze widział

fajerwerki wybuchające nad Zbożowym Kręgiem i słyszał ulotne, niesione echem dźwięki zabawy.

Kiedy w końcu dotarł do żłobka, jego oczom ukazała się najbardziej przerażająca scena, jaką kiedykolwiek widział.

– Wiedziałem, oczywiście, że taki jest ich zwyczaj. Wszyscy mieliśmy świadomość, że robią to po każdej wygranej wojnie, ale uważaliśmy, że to tylko kolejna tradycja ich prymitywnej kultury. Ale że ośmieliły się zrobić to ludziom... – prychnął Inui.

– Chwila, nie chcesz chyba powiedzieć, że... – Satoru nie zdołał nawet dokończyć pytania. Wyglądał, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch.

– Tak. Te ohydne kreatury porwały niemowlęta.

Przypomniało mi się pewne zdarzenie z letniego obozu.

Z gniazda zaczęli wychodzić liczni żołnierze Olbrzymich Szerszeni. Niektórzy z nich nieśli coś delikatnie w ramionach.

– Czy to są...? – Poznałam odpowiedź na swoje pytanie, nim jeszcze skończyłam je zadawać.

To były nowonarodzone dziwoszczury.

– Wewnątrz gniazda odnaleźliśmy wiele wylęgarni. Wszystkie te młode są dziećmi królowej Ziemnych Pająków.

– Ale dlaczego...?

Uśmiech satysfakcji na twarzy Kiroumaru był dość odrażający. – To nasze drogocenne zdobycze wojenne. W przyszłości staną się główną siłą roboczą naszej kolonii.

Jeden z żołnierzy podał noworodka Kiroumaru. Malec nie otworzył jeszcze oczu i machał bezradnie przednimi łapkami, jakby chciał coś dosięgnąć. Różowa skóra sprawiała, że był znacznie bardziej podobny do szczura niż dorosłe osobniki jego gatunku.

Przypomniały mi się słowa Squealera.

„Dokonuje się egzekucji królowej, a pozostali mieszkańcy kolonii stają się niewolnikami. Do końca życia traktowani są gorzej niż śmieci, a gdy umrą, ich zwłoki pozostawia się niepochowane by zgniły i użyźniły glebę pól uprawnych.”

Te maluchy czekała bardzo smutna przyszłość.

Zaczęło mi się kręcić w głowie od tego, co sobie uświadomiłam. Myślałam, że za chwilę zwymiotuję.

Prawdziwym celem Yakomaru tej nocy było zabranie naszych niemowląt.

– Dziwoszczury z pomocą Bestii zabiły opiekunki i wyniosły wszystkie dzieci. To jednak nie wszystko. Wytatuowały na ich ciałach coś w tym dziwnym języku, którego używają.

Od kiedy dołączyłam do Sekcji Kontroli Obcogatunkowców, wielokrotnie miałam okazję przyglądać się ich pismu. Przypominało nieco kanji, ale było trochę inne; wyglądało bardziej jak pismo dżurdzeńskie, kitańskie, lub może tanguckie.¹

– Nie chodziło im tylko o odrobienie z nawiązką poniesionych strat... – powiedział poblady Satoru. – Zaczęły już od dziecka Marii i Mamoru. Wyrosło na Bestię, której nie mógł pokonać nawet Shisei Kaburagi. Kiedy za dziesięć lat rozbudzi się cantus porwanych niemowląt...

Zrozumiałam, o czym mówi. To właśnie był ten wielki plan Yakomaru, tak długo dopracowywany w tajemnicy.

Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z jego oczekiwaniami, podbiłyby Kamisu 66 wykorzystując tylko jedną Bestię. W razie porażki musiałyby zaś jedynie poczekać dziesięć lat. Nie wiedziałam, ile dzieci mogło znajdować się w żłobku, ale musiała być ich przynajmniej setka. Wychowane przez dziwoszczury niemowlęta zmieniłyby się w Bestie, których nie zdołałby powstrzymać żaden z dystryktów Japonii. Wtedy Yakomaru mógłby porwać dzieci również i z tamtych społeczności, tworząc całą armię Bestii. Zyskałby możliwość podboju całego Dalekiego Wschodu a później reszty Eurazji. Przejęcie władzy nad światem nie stanowiłoby dla niego problemu. To byłby początek wielkiego imperium dziwoszczurów.

¹ Rodzaje pisma, używane do zapisu wymarłych języków północno-wschodniej Azji.

– Wciąż nie wiem, co powinienem był wtedy uczynić. Prawdopodobnie najlepszym wyjściem byłoby, gdybym niezwłocznie udał się do Zbożowego Kręgu i opowiedział o tym, co widziałem. Nie mogłem jednak tego zrobić. To, czego byłem świadkiem napełniło mnie taką odrazą, że po prostu nie byłem w stanie tak zwyczajnie stamtąd odejść. Dlatego też, kiedy tylko dojrzałem pierwszego dziwoszczura, radośnie ściskającego w ramionach płaczącego noworodka, bez namysłu urwałem mu łeb.

Twarz Inuiego poczerwieniała z gniewu.

– Co oczywiście, powstało wielkie zamieszanie. Dziwoszczury panikowały, bo to, co się stało było jawnym atakiem z wykorzystaniem cantusu, a nie potrafiły określić kto i skąd go przeprowadził. W całym tym chaosie zdołałem jakoś się wymknąć. Naturalnie wcale tego nie planowałem. Zabiłem pod wpływem emocji.

– Ale ostatecznie zdołałeś wydostać się stamtąd bez szwanku – zauważył Satoru.

– Nie do końca. Nawet pomimo tego, że miałem na sobie kamuflującą pelerynę, jeden z żołnierzy nabrał podejrzeń i postrzelił mnie w rękę. Próbowałem uciekać, ale wpadłem prosto na Bestię. Nie zdołałem co prawda dojrzeć jej twarzy, ale jestem przekonany, że to była ona.

– I co zrobiłeś? – spytałam, nie śmiejąc nawet odetchnąć.

– Uratowały mnie wyuczone umiejętności. Zacząłem biec, krzycząc „To boli! To boli!” w języku dziwoszczurów. Kaptur skrywał moją głowę na tyle szczelnie, że nikt nie zdołałby dostrzec mojego wyglądu, więc udało mi się zbiec.

Wydawało się, że Inui nieco się rozpromienił po tym, jak w końcu to z siebie wyrzucił. Kontynuował historię z większą swobodą.

– Ponieważ cały Piękny Widok był już pod ich kontrolą, nie miałem wyjścia i musiałem uciekać z powrotem do lasu, jednak właśnie wtedy zacząłem tracić przytomność. Byłem pewien, że tym

razem zostanę schwytany i, szczerze mówiąc, już prawie zaakceptowałem ten los. Jednakże, kiedy już miałem zemdleć ktoś pojawił się koło mnie. Otworzyłem oczy, czując wielką ulgę, że w końcu znalazłem innego człowieka, jednak istota, która się nade mną pochylała, bez cienia wątpliwości była dziwoszczurem. Pomyślałem, że to mój koniec, jednak on przyniósł mnie aż tutaj.

– Mówisz, że pomógł ci dziwoszczur...? – Satoru spojrział na Inuiego z niedowierzaniem.

– To był największy wróg Yakomaru, przywódca kolonii Olbrzymich Szerszeni, generał Kiroumaru. Zawsze uważałem go za niezwykłą postać, ale nigdy nie pomyślałbym nawet, że to on uratuje mi życie.

– Więc Kiroumaru nadal żyje? Gdzie on teraz jest? – spytałam.

– Hmm, to dobre pytanie. Dopiero doszedłem do siebie, kiedy Jakujou poinformował mnie, że przybyliście. Poprosiłem go, żeby pozwolił mi się z wami zobaczyć i zupełnie zapomniałem o Kiroumaru.

– Proszę o wybaczenie. – Usłyszeliśmy dobiegający zza drzwi głos Jakujou. – Panno Watanabe, mam przedmiot, który twoi rodzice zostawili pod moją opieką.

Proste, drewniane pudło było większe niż się spodziewałam. Miało około sześćdziesiąt centymetrów długości. Zdawało się całkiem ciężkie, a do wieka przytwierdzona była koperta.

– Bardzo dziękuję.

– Inui powiedział nam, że przyniósł go tutaj Kiroumaru. Dokąd on się później udał?

– Och... Obcogatunkowiec? – rzucił obojętnie Jakujou. – Trzymamy go tu, w świątyni. Prawdopodobnie wciąż jest przesłuchiwany.

– Możemy się z nim spotkać?

– Nie jestem pewien, czy to możliwe.

Postawiłam pudło na stole i otworzyłam dołączony do niego list.

Rozdział 7

Stawiane w pośpiechu znaki były wykonane dłonią mojej matki. Już sam ich widok wystarczył, by z oczu pociekły mi łzy.

Moja najdroższa Saki,

Piszę ten list, będąc przekonaną, że zdołałaś bezpiecznie dotrzeć do Świątyni Czystości.

Pomimo, że nie mam pojęcia jak mogło dojść do obecnej sytuacji, wiem, że wielu ludzi poniosło śmierć z rąk Bestii, która nawiedziła nasz dystrykt. Musimy teraz zrobić wszystko co w naszej mocy, żeby ją powstrzymać, dlatego postanowiliśmy wrócić do wioski. To nasz obowiązek, nawet, jeśli będziemy musieli tam zginąć. Mówi się, że wiedza jest potęgą i to właśnie ona jest niezbędna by pokonać Bestię. Jako opiekunka biblioteki, przekazuję Ci teraz swoją wiedzę.

Nie idź za nami. Zrobimy wszystko, żeby zatrzymać Bestię, ale w razie, gdyby nam się nie udało, jest zadanie, które musisz wykonać.

Informacje, które zamierzam tu zawrzeć zostały zaklasyfikowane do klasy czwartej, kategorii trzeciej, określanej mianem „katastrofalnej”. Z tego powodu muszę Cię prosić, żebyś spaliła ten list zaraz po tym, kiedy go przeczytasz. Nie pozwól, żeby osobiste sentymenty wzięły nad Tobą górę. Miej na uwadze dobro dystryktu. Nie zapominaj, że wybrała Cię Tomiko-sama.

Pamiętasz, co mówiłam o broniach masowego zniszczenia na spotkaniu Rady Bezpieczeństwa?

Był taki czas, gdy cały świat naszpikowany był bronią, mogącą w jednej chwili zniszczyć całą ludzkość. Większa jej część została zniszczona, a upływ czasu obrócił w proch resztę. Mówiłam, że superbomby kasetowe mogą nadal istnieć, jednak nawet jeżeli tak jest, nie wyobrażam sobie, żeby wciąż były zdatne do użytku.

Jednakże, kiedy szukałam informacji na temat bomb, natknęłam się na inny raport. Zgodnie z jego treścią, istnieje jedna broń, która

mogła przetrwać tysiąc lat aż do dnia dzisiejszego. Jak na ironię, jest to oręż stworzony przez tych nieobdarzonych mocą, dzięki któremu mieli oni zmieść z powierzchni Ziemi użytkowników cantusu. Nosi odrażające miano Psychobójcy.

Psychobójca został opracowany przez Amerykanów i w sekrecie sprowadzony do Japonii przez stacjonujących tu żołnierzy.

Dalszy fragment listu był zatytułowany „Tokio” i wypełniony podobnymi do mantr napisami, poprzedzianymi gdzieś przez liczby. Nie do końca rozumiałam, czym miałby być Psychobójca.

Saki-chan, jestem pewna, że wiesz już, dlaczego potrzebujemy tej przerażającej broni.

Nie możemy zabić Bestii cantusem.

W przeszłości, kiedy Bestie pojawiały się w ludzkich osadach, zawsze zostawiały za sobą rzeki krwi i góry ciał zalegające na ulicach. Być może Bestie należy postrzegać, jako karę za zbiorowe grzechy. W takim przypadku nie możemy zrobić nic, żeby na dobre się ich pozbyć.

Po przeanalizowaniu licznych opisów dawnych incydentów, dochodzę do wniosku, że ludzie żyjący w każdej epoce muszą stawić czoła własnym Bestiom. Niektórych z tych przypadków nie potrafię wy tłumaczyć inaczej, jak boską interwencją. Dla przykładu, pewnego razu kiedy ludzie zburzyli kilka budynków, chcąc w ten sposób stworzyć barykady, spowalniające Bestię, jeden zablakany pręt zbrojeniowy zrykoszetował, trafiając wprost w jej klatkę piersiową i zabijając ją na miejscu. Ci, którzy zniszczyli budynek zmarli oczywiście z powodu śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, ale ocalili w ten sposób wiele istnień.

Wszystkie próby odwzorowania tamtego zdarzenia skończyły się jednak fiaskiem. Osoby, które próbowały celowo burzyć budynki stojące w pobliżu Bestii były unieruchamiane przez mechanizm kontroli ataku. Podejmowano też próby ukrycia intencji morderstwa

poprzez odurzenie alkoholem bądź narkotykami, ale, niestety, żaden z tych sposobów nie odniósł skutku. Nieważnie, jak usilnie staramy się oszukać własną podświadomość, jest to dla nas praktycznie niewykonalne.

Mimo to, ostatni zarejestrowany incydent daje nam pewną wskazówkę, która może naprowadzić nas na rozwiązanie problemu. Dwieście pięćdziesiąt lat temu, Bestia, K, zginęła dzięki bohaterkiej postawie pewnego lekarza. Wstrzyknął on chłopcu zabójczą mieszankę leków. Pomimo, że chwilę później doktor sam umarł z ręki K, Bestia również nie przeżyła.

Nie wiem, co stałoby się z lekarzem, jeśli K by go nie zabił. Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że zadziałałoby śmiertelne sprzężenie zwrotne. Istotniejszy jest jednak sam fakt, że doktor w jakiś sposób był w stanie pozbawić życia K.

Nie mam pojęcia, do jakiego stopnia był świadomy, że podaje chłopcu truciznę. Samo pisanie tych słów napęła mnie przerażeniem, ale wierzę, że w pewnych, określonych warunkach wciąż mamy możliwość odebrania życia innemu człowiekowi metodami, które nie wymagają użycia cantusu.

Jak można się spodziewać, zapiski mówią, że próby wykorzystania w tym celu łuków czy strzelb były skazane na porażkę. Dzieje się tak dlatego, że nie można użyć tego rodzaju oręża bez jasno określonej intencji zabicia wroga.

Nie dotyczy to jednak broni masowego zniszczenia wynalezionych przez starożytną cywilizację. Jedno naciśnięcie guzika wystarczało, żeby zginęły setki tysięcy ludzi i, choć można w logiczny sposób pojąć konsekwencje takiego działania, nie ma się wrażenia, że robi się to naprawdę. Innymi słowy, można w ten sposób przełamać barierę świadomości i odrazy przed zabijaniem, umożliwiając człowiekowi popełnienie masowego morderstwa.

Psychobójca również jest uznawany za broń masowej zagłady, ale działa na mniejszą skalę i jest przystosowany raczej do cichych zabójstw i aktów terroryzmu. Tak czy inaczej, korzystanie z niego nie

wzbudza w użytkowniku poczucia, że zabija on innego człowieka, więc z ogromnym prawdopodobieństwem nie uruchomi mechanizmu kontroli ataku. Przepuszczalnie można uniknąć w ten sposób również skutków śmiertelnego sprzężenia zwrotnego.

Być może broń tak okrutna jak Psychobójca zdoła ocalić tysiące ludzi jak błogosławiony deszcz, przychodzący po długiej suszy.

Znamy dokładną lokalizację miejsca, w którym był on przetrzymywany. W normalnych okolicznościach nie mielibyśmy możliwości się tam dostać, ale jeśli zdołasz jakoś aktywować przedmiot, który znajduje się w pudełku, powinien być on w stanie zaprowadzić Cię do celu.

Saki-chan, posiadasz rzadką i bardzo cenną cechę. Jeśli miałabym określić ją jednym słowem, powiedziałabym, że to siła. Nawet kiedy płaczesz i tracisz nadzieję, nie można Cię złamać. Bez względu na wszystko, wykonasz każde zadanie, które zostało Ci powierzone. Zawsze to w Tobie dostrzegaliśmy, a Tomiko-sama w pełni się z nami zgadzała.

Jeśli Psychobójca istnieje, jestem pewna, że go odnajdziesz. Proszę, użyj go, żeby ocalić życie mieszkańcom dystryktu.

Kochamy Cię z głębi naszych serc i zawsze będziemy z Tobą, nieważne, dokąd się udasz.

Twoja kochająca matka,
Mizuho

Kiedy skończyłam czytać list, zaniosałam się płaczem.

Przekazałam kartkę Satoru, spoglądającego na mnie z niepokojem, a potem otworzyłam pudełko.

Znajdujący się w środku obiekt miał około pięćdziesięciu centymetrów długości i przypominał jakiegoś morskiego skorupiaka. Na grzbiecie miał pancerzyk z równoległych, nakładających się na siebie płyt, ozdobionych wzorem z ciemnoniebieskich pasków.

– To fałszywy minoshiro... – wyszeptał zaskoczony Satoru.

Wyglądał inaczej niż ten, którego kiedyś spotkaliśmy, ale wykazywał do niego pewne podobieństwo. Nie miał jednak ani jednego czułka i w ogóle nie przypominał prawdziwych minoshiro. Nazwałabym go podwójnie fałszywym minoshiro albo może kopią fałszywego minoshiro.

– On wciąż działa? – spytałam, przecierając oczy.

– Sam się zastanawiam. W pudełku jest jakaś kartka. Może to instrukcja obsługi albo coś w tym rodzaju.

Wyjęłam arkusz papieru i rozłożyłam go. Był cały pożółkły ze starości i wypełniony dziwnymi, kanciastymi kanji. Zawierał wyjaśnienia, w jaki sposób należy używać podwójnie fałszywego minoshiro.

11 kwietnia, rok 129. Przedmiot odzyskany z podziemnego magazynu nr 4 w wykopaliskach u podnóży góry Tsukuba.

Nazwa modelu: Autonomiczne Archiwum Słoneczne Toshiba, wersja SP-SPTA-6000.

Instrukcje użytkowania i porady:

① Przed uruchomieniem jednostki, należy umieścić ją w nasłonecznionym obszarze celem naładowania baterii. Po długim okresie bezczynności minimalny czas ładowania wynosi sześć godzin w pełnym słońcu. Długotrwałe używanie jednostki w zacienionych pomieszczeniach może doprowadzić do całkowitego rozładowania baterii.

② Żeby przełączyć jednostkę z powrotem w tryb czuwania, należy wydać jej komendę głosową, upewniwszy się wcześniej, że świeci się dioda wskaźnika aktywności. Następnie należy umieścić jednostkę w ciemnym pomieszczeniu.

③ Po przełączeniu w tryb aktywności, jednostka wykonuje polecenia słowne, jednak przy dogodnej okazji może podjąć próbę użycia hipnozy świetlnej w celu ucieczki. W stosunku do jednostki należy zachować wyższą ostrożność niż wobec dzikich zwierząt.

④ Jednostka została wykonana z długotrwałych i odpornych na działanie czasu materiałów, jednak osiągnęła już kres swoich zdolności autoregeneracji. Ze względu na wiek modelu, części zamienne prawdopodobnie nie są już dostępne.

⑤ Obwód elektryczny wydaje się przerwany w pewnym miejscu. Naprawa jest niemożliwa. Kiedy jednostka zacznie nieprawidłowo funkcjonować, należy tymczasowo ją wyłączyć, żeby zapobiec przegrzaniu.

⑥ Większość zawartych w jednostce informacji należy do klasy czwartej, więc podczas jej używania należy zachować najwyższą ostrożność. Zgodnie z postanowieniem Komisji Etyki wszystkie autonomiczne archiwa powinny być niszczone natychmiast po odkryciu, więc istnienie tej jednostki powinno pozostać ścisłą tajemnicą personelu biblioteki.

– Rok 129 był ponad sto lat temu. Naprawdę wątpię, że on wciąż działa – powiedział Satoru.

– Wystawmy go na słońce i się przekonajmy.

Maszyna najprawdopodobniej spędziła ponad sto lat ukryta w ciemnych magazynach biblioteki. Moja matka poświęciła cenny czas na odnalezienie urządzenia i wzięła je ze sobą, uciekając do świątyni, więc oczekiwałam, że nie może być ono całkiem bezużyteczne.

Pożyczyliśmy od Jakujou metalową klatkę, do której włożyliśmy podwójnie fałszywego minoshiro a następnie zostawiliśmy ją w najbardziej nasłonecznionym punkcie przyświątynnych terenów. Prawdopodobnie do zmierzchu pozostało akurat tyle czasu, by maszyna zdążyła w pełni się naładować. Tylko bogowie wiedzieli, czy rzeczywiście będzie nadawała się do użytku.

– Tędy.

Spojrzelismy podejrzliwie w kierunku, który wskazywał Jakujou. To była ogromna skalna jaskinia we wnętrzu wzgórza, na którym stała świątynia. Wejście do groty zagrażała krata z masywnych, drewnianych prętów. Nie mogło ulegać wątpliwości, że są to lochy.

– Dlaczego tutaj? – spytał Satoru, marszcząc brew.

– Nie mogliśmy pozwolić obcogatunkowcowi przebywać w pomieszczeniach dla gości. Zwłaszcza teraz, gdy rebelia dziwoszczurów pochłonęła tak wiele ofiar.

– Ale Kiroumaru to generał kolonii Olbrzymich Szerszeni i jest lojalny w stosunku do ludzi, nie wspominając już o tym, że ocalił życie Inuiemu. Przetrzymanie go tutaj jest... – Zabrakło mi słów.

– Komisja Etyki wysłała nam rozkaz unicestwienia każdego dziwoszczura, niezależnie od kolonii, z której pochodzi. Te stwory są bardziej niż szczęśliwe, kiedy mogą dopuścić się zdrady, widząc, że szale zwycięstwa przechylają się w przeciwną stronę – odparł Jakujou, otwierając wrota.

Ton jego głosu sugerował, że samo darowanie życia Kiroumaru uważa za akt ogromnej łaski.

W ciemnym lochu było gorąco i duszno.

– Spójrz, Kiroumaru. Masz gości, którzy zechcieli przyjść aż tutaj, żeby się z tobą zobaczyć – powiedział Jakujou.

W odległym końcu celi poruszył się duży, ciemny kształt. Sufit pomieszczenia był zbyt niski, żeby więziona istota mogła się wyprostować, więc podpełzła w naszym kierunku na czworakach. W okamgnieniu rozpoznałam w niej Kiroumaru. Nie mogłam z niczym pomylić tych błyszczących, zielonych oczu i skomplikowanych tatuaży, zdobiących jego pysk. Jak na dziwoszczura był wyjątkowo rostry, a jego twarz miała charakterystyczne, wilcze rysy. Mocno zmizerniał, w miejscu jednego z jego oczu widniała wielka szrama a całe ciało pokrywały mu niezagojone rany.

Kiedy szedł w naszą stronę usłyszeliśmy szczeł łańcuchów, którymi był skuty.

– Dziękuję, że przybyliście. Jest mi wstyd, że muszę powitać was w tak obskurnym miejscu.

Nawet wtedy ton jego głosu pozostał niezmienny – dumny i lekko cyniczny.

– Jestem Saki Watanabe. Pamiętasz mnie? A to jest Satoru Asahina...

Odwróciłam się do Jakujou, nie mogąc już dłużej patrzeć na to, jak postąpiono z Kiroumaru.

– Takie traktowanie nie jest niczym usprawiedliwione. Przynajmniej go rozkuj! – krzyknęłam.

– Ale nie mamy zgody Zwierzchnika i...

– Teraz w najlepsze trwa rytuał, prawda? Później spytamy się o zgodę – powiedział Satoru zdecydowanym tonem, rozrywając cantusem łańcuchy, pętające nogi Kiroumaru.

– Będą z tego kłopoty. Nie powinieneś był tego robić – rzucił rozgoryczony Jakujou.

Zignorowaliśmy go.

– Dobrze pamiętam was obu. Znam pannę Saki Watanabe z Sekcji Kontroli Obcogatunkowców, ale kiedy ostatni raz widziałem Satoru Asahinę, był on jeszcze niewinnym chłopcem. Wyrosłeś na przystojnego mężczyznę.

Kiroumaru podszedł do nas, mrużąc oko, oślepienie światłem wpadającym z zewnątrz.

– Przepraszamy, że tak cię potraktowano... I dziękujemy za uratowanie Inuiego.

Dziwoszczur uśmiechnął się szeroko.

– Och, proszę. To była naturalna reakcja. Jak więc zamierzacie pokonać Bestię? – spytał, przechodząc wprost do sedna.

– Obcogatunkowcy nie mają prawa mieszać się do naszych spraw! Znaj swoje miejsce! – warknął Jakujou, ale Kiroumaru udał, że go nie usłyszał.

– Bestia wybiła wszystkich moich najlepszych żołnierzy – zwrócił się do nas. – Chłopak zatrzymał w powietrzu nasze strzały i, wykorzystując cantus, wyrwał nam z rąk oręż. Byliśmy bezbronni. Mimo, że to tylko dziecko, muszę przyznać, że należy się go bać.

– Co stało się później?

– Pomimo, że ten chłopiec mógłby zabić nas wszystkich w ułamku sekundy, najwyraźniej bawiło go, kiedy się z nami drażnił. Moi nieustraszeni wojownicy byli przed śmiercią, przebijani strzałami, cięci ostrzami i torturowani – powiedział Kiroumaru tym samym, niezmiennym tonem.

– Ale tobie nic się nie stało.

Widok jego pustego oczodołu uświadomił mi, jak bardzo nietaktowne było to stwierdzenie.

– Muszę przyznać, że fakt, iż zdołałem uciec to prawdziwy cud. Moi elitarni żołnierze natarli na Bestię zwartym szykiem, żeby umożliwić mi odwrót, jednak ich miecze zostały wyrwane im z dłoni, jakby przyciągnięte ogromnym magnesem. Walczyli za pomocą własnych zębów i pazurów. Zdażyłem kątem oka zobaczyć jak umierają, siekani na plasterki, kiedy przebiegłem obok nich, mijając Bestię może w odległości dwudziestu metrów. Udało mi się jakoś dostać do tunelu. Musiały czuwać nade mną niebiosy.

– Rozumiem... Bestia zaatakowała również nasz dystrykt. Nie martw się, pomścimy twoich żołnierzy.

– Ale bogowie... ludzie nie mogą używać cantusu przeciwko własnemu gatunkowi, nie myślę się? Jeśli tak, to jak chcecie rozprawić się z Bestią?

– Skąd o tym wiesz? – wtrącił się zdumiony Jakujou.

– Bogowie nie doceniają naszej inteligencji. Wśród mojego ludu to powszechna wiedza. Ten podły drań Yakomaru oczywiście również to wie. Jestem pewien, że oparł na tym fakcie całą swoją strategię – odparł Kiroumaru, nadal nie zaszczycając Jakujou spojrzeniem.

– Kiroumaru, jak według ciebie moglibyśmy pokonać Bestię? – spytał Satoru, prawdopodobnie przypuszczając, że tak wstawiony dowódca będzie miał w zanadrzu jakieś pomysły.

– Jeśli nie możecie użyć cantusu, pozostają jedynie tradycyjne metody walki mojego ludu. Strzelby, zatrute strzałki, łuki i strzały... Żołnierze Łowików jednak nieustannie chronią i osłaniają Bestię, więc to również nie będzie łatwe.

Tak jak się spodziewałam, nie istniało żadne magiczne rozwiązanie.

– W porządku. Mam wobec tego inne pytanie. Udajemy się do Tokio. Wiesz cokolwiek, co mogłoby nam się tam przydać?

Jedynie oko Kiroumaru rozszerzyło się ze zdumienia.

– Ani bogowie ani moi pobratymcy nie zapuszczają się do tego przeklętego miejsca. Z tego co mi wiadomo, nie ma tam też żadnych kolonii.

– Słyszeliśmy, że w wyniku starożytnych wojen tamtejsza ziemia i woda zostały skażone. Czy to prawda? – spytałam.

– Duże połacie terenu w rzeczy samej pozostają jałowe. Możliwe też, że nadal można się tam natknąć na szkodliwe substancje.

– Czy to prawda, że toksyczne wyziewy i promieniowanie wciąż zabijają na miejscu każdego, kto postawi tam stopę?

– Nie, to tylko plotka – uśmiechnął się Kiroumaru. – Każdy trujący gaz rozwiąłby się po tak długim czasie. Jeśli chodzi o radioaktywne materiały, okres półtrwania izotopu plutonu-239 wynosi dwadzieścia cztery tysiące lat, ale nie wydaje mi się, żeby promieniowanie było tak silne, by mogło stanowić zagrożenie dla życia.

– Skąd to wiesz?

– Ponieważ już raz tam byłem. Oczywiście nie spożywałem żadnego pokarmu ani nie piłem wody z tamtego obszaru, ale przez całą dobę chodziłem po Tokio, oddychając tamtejszym powietrzem i nie zaobserwowałem żadnego negatywnego wpływu tej wyprawy na moje zdrowie.

Spojrzeliliśmy na siebie z Satoru. Czy to był znak dany nam z niebios? Kiroumaru zdawał się czytać nam w myślach.

– Nigdy nie zapominał geografii miejsc, które odwiedziłem. Bardzo was proszę, pozwólcie mi być waszym przewodnikiem.

– Nie możecie wierzyć w żadne słowo tego stwora! Obcogatunkowiec to obcogatunkowiec. Nigdy nie wiadomo, co może planować pod tą przykrywką lojalności – ostrzegł nas naprędcę Jakujou.

– Możesz wątpić w moje oddanie. Uwierz jednak, że nienawiść, jaką czuję do Yakomaru jest cholernie prawdziwa. Ten bydlak uwięził moją królową i nie mam wątpliwości, że została potraktowana tak samo źle jak ja. Nieważne, co stanie mi na drodze, rozerwę Yakomaru na kawałeczki i uratuję swoją panią. Jedynie to trzyma mnie teraz przy życiu – odparł Kiroumaru z ognistym błyskiem w swoim zielonym oku. – Pomimo, że powiedziałem przedtem, że nie miałem żadnych problemów ze zdrowiem, musicie wiedzieć, że co trzeci z towarzyszących mi żołnierzy zginął lub został poważnie ranny. W tamtej mrocznej krainie wciąż czai się wiele zagrożeń. Pójdźcie tam bez przewodnika byłoby samobójstwem, nawet dla bogów.

Jakujou wciąż zaciekle protestował, jednak już dawno przestaliśmy go słuchać. Mieliśmy zadanie do wykonania i myślami byliśmy już zupełnie gdzie indziej – w niebezpiecznej ziemi zwanej Tokio.

Nawet po sześciu spędzonych na słońcu godzinach, podwójnie fałszywy minoshiro nie wykazywał oznak życia.

– To niedobrze. Jeśli to coś nie zadziała, nie będziemy mieli pojęcia, dokąd powinniśmy iść – westchnął Satoru. – Nawet mimo tego, że mamy adres, wciąż brakuje nam mapy z odpowiedniej epoki.

– Naładujmy go ponownie jutro. Bądź co bądź, przez ponad sto lat znajdował się w stanie uśpienia. Ważniejsze jest to, byśmy jak najszybciej stąd wyruszyli.

Dotknęłam podwójnie fałszywego minoshiro. Był ciepły od przebywania na słońcu, ale nic nie wskazywało na to, żeby miał zamiar się włączyć.

– W porządku. Już prawie zmierzcha, więc odbite od wody światło ukryje nas nawet lepiej niż całkowite ciemności.

Po tym jak się najadł i umył, Kiroumaru zdawał się być w znacznie lepszym nastroju. Nie mógł wyruszyć bez odzienia, więc otrzymał jedną z mnisich szat. Wyglądał w niej jak kapłan jakiegoś demonicznego kultu.

– Jak niby mamy sterować tym czymś? – spytał Inui, patrząc na dziwny pojazd zadokowany w przyświątynnej przystani.

Kiedy zobaczyłam namalowaną na burcie nazwę Muou no Rigyo¹, uświadomiłam sobie, że to jakiś rodzaj łodzi. Miała około pięciu metrów długości i nieco przypominała dwie łódki, połączone ze sobą dnami. Była też wyposażona w zamykany dach, dzięki któremu woda nie mogła dostać się do jej wnętrza. Kiedy cała nasza czwórka, czyli troje ludzi i jeden dziwoszczur weszła do środka, byliśmy ściśnięci jak sardynki w puszcze.

– Jedna osoba patrzy przez przednią szybę i pełni rolę pilota, podczas gdy dwie kolejne sterują zewnętrznymi kołami łodzi – wyjaśnił Jakujou.

Zewnętrzne koła przypominały kształtem niewielkie turbiny wodne, a ich osie na wylot przebijały kabinę, dzięki czemu można było obracać nimi z wnętrza pojazdu przy pomocy sterów. Te były jednak z kolei otoczone szklanymi bańkami, które miały stanowić ochronę przed zamknięciem, więc jedynym sposobem na ich kontrolowanie było używanie cantusu. Żeby przemieścić się w przód lub w tył, należało zakręcić kołami w pożądaną stronę, natomiast skręcało się poprzez obrócenie ich w przeciwnych kierunkach.

¹ Muo no Rigyo (Karp wyczarowany ze snu) – tytuł jednego z opowiadań zawartych w zbiorze Ugetsu Monogatari („Po deszczu przy księżycu”), których autorem jest Ueda Akinari - japoński uczonec, poeta i pisarz żyjący na przełomie XVII i XVIII wieku.

– To własność świątyni i jedyna łódź podwodna w dystrykcie. Jej pierwotną funkcją było umożliwienie prowadzenia pomiarów koryta rzeki, jednak służy także jako pojazd do ewakuacji Zwierzchnika i innych wysokich rangą mnichów podczas sytuacji kryzysowych. Biorąc jednak pod uwagę obecne okoliczności, udzielamy wam specjalnego pozwolenia na jej...

– Jakujou, niezmiernie doceniam to, co dla nas zrobiłeś – przerwał mu uprzejmie Satoru. – Żałuję, że nie możemy osobiście podziękować Naczelnemu Mnichowi Mushinowi i Zwierzchnikowi Gyoushy. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś zechciał przekazać im nasze podziękowania.

– Czy naprawdę musicie wyruszyć już teraz? Wiem, że prawdopodobnie jestem męczący, ale nalegam, żebyście jeszcze raz to przemyśleli. Branie ze sobą tego obcogatunkowca to szaleństwo.

– Nie mamy obecnie wielkiego wyboru. Musimy chwytać się każdej możliwej metody.

Załadowaliśmy na pokład pudło z podwójnie fałszywym minoshiro, trochę ubrań na zmianę i inne niezbędne przedmioty, po czym odpłynęliśmy, przepełnieni niepokojem. Usiadłam z przodu, biorąc na siebie nawigowanie. Satoru sterował prawym kołem, natomiast Inui – lewym. Płynąc przez prowadzący do świątyni kanał pozostawaliśmy wynurzeni. Jakujou otworzył ukryte w trzcinowej gęstwinie wrota, które powoli zamknęły się za nami, kiedy znaleźliśmy się na wodach rzeki Tone. Po raz ostatni widziałam wtedy Świątynię Czystości.

Kiedy zamknęliśmy dach i zaczęliśmy się zanurzać, w kabinie zapanowały totalne ciemności, więc na początku nie byłam w stanie poprawnie jej pilotować. Na domiar złego ruchy kół nie były zsynchronizowane, więc łódź przemieszczała się zygzakiem, szurając po dnie. Mimo wszystko zdołaliśmy przemierzyć w ten sposób spory dystans, uderzając po drodze w kilka głazów, zanim nauczyliśmy się wspólnie kontrolować pojazd.

Niedługo później zrozumieliśmy, co jest największym mankamentem łodzi. Wnętrze kabiny było ciasne, więc cztery osoby zużywały cały tlen w bardzo krótkim czasie. Z tego powodu musieliśmy często się wynurzać i otwierać dach, żeby wpuścić do środka świeże powietrze.

Zanurzanie trwało dłużej niż się spodziewaliśmy, ponieważ opadając w dół, musieliśmy nieprzerwanie przesuwać się do przodu. To samo opóźnienie podczas wynurzania było prawie nie do zniesienia. Kiroumaru wystawił głowę na zewnątrz i wziął głęboki wdech. Po chwili zamknął właz i zdał nam raport ze swoich obserwacji.

– Lepiej będzie się zanurzyć. Wyczuwam silną woń przedstawicieli mojego gatunku.

Łódź po raz kolejny powoli zaczęła opuszczać się pod powierzchnię wody. Poczuliśmy, jak uderza o podłoże i zaczyna ślimaczym tempem toczyć się po dnie rzeki.

– Jak długo będziemy musieli pozostać tu na dole? – Pytanie Satoru nie było skierowane do nikogo konkretnego.

Nikt nie odpowiedział.

Niedługo potem ujrzałam cień przemykającej nad nami łodzi, a po chwili drugi i trzeci. To były najwyraźniej patrolowe łódki dziwoszczurów. Dolne partie rzeki Tone pozostawały pod pełną kontrolą nieprzyjaciela.

Nasza łódź prześlizgnęła się przez wrogie straże, omijając je pod spodem. Wszyscy znieruchomieliśmy, nie ważąc się nawet odetchnąć. Nie mieliśmy pojęcia czy dźwięki z wnętrza kabiny mogą zostać usłyszane na powierzchni.

W końcu łódzie patrolowe zniknęły nam z pola widzenia.

– Wynurzymy się – zaproponował Satoru.

– Ale... Czy nie powinniśmy jeszcze trochę poczekać? W pobliżu może być ich więcej.

Satoru pokręcił przecząco głową. – Możliwe, że później natkniemy się na kolejnych wrogów. Musimy wymieniać powietrze przy każdej nadarzającej się okazji.

Inui i Kiroumaru zgodzili się z nim, więc głosami większości postanowiliśmy wypłynąć na powierzchnię.

Otworzyliśmy dach i wpuściliśmy do kabiny świeże powietrze. Wszyscy odetchnęliśmy głęboko, rozkoszując się tą prostą czynnością.

– Jeśli będziemy tak co kawałek zanurzać się i wynurzać, nie zauważymy momentu, w którym znajdziemy się na oceanie. Nie możemy po prostu pozostać wynurzeni i przebić się przez ich strażę, płynąć z maksymalną szybkością? Nie dadzą rady nas zatrzymać – powiedziałam, nie chcąc ponownie wracać pod wodę.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy, prawda? Najprawdopodobniej rzeczywiście nie kontrolują całej rzeki, więc moglibyśmy się przedostać w taki sposób do jej ujścia, ale tym samym ujawnilibyśmy się i mogłyby domyślić się, dokąd zmierzamy. Mamy szansę pozostać niewykryci, więc powinniśmy z niej skorzystać.

W argumentacji Satoru nie było nic, do czego możnaby się przyczepić, więc nie mogłam więcej narzekać.

Słońce schowało się już za horyzontem, więc gwałtownie zaczęło się ściemniać. Nawet pozostając na powierzchni, musieliśmy manewrować z niezwykłą ostrożnością. Zaczęłam się zastanawiać, czy w takich warunkach będę w stanie cokolwiek dojrzeć pod wodą, lecz Kiroumaru szybko przerwał moje rozważania.

– Zamknij dach i zanurzmy się – powiedział. – Przed nami znajduje się duża grupa dziwoszczurów. To prawdopodobnie kolejny patrol.

Łódź bezgłośnie opadła na dno. Było tam niewyobrażalnie ciemno.

Rzeka Tone miała w tym miejscu cztery lub pięć metrów głębokości. Nie wystarczało to, by całkowicie pochłonąć padające z góry światło, jednak na niebie nie pojawił się jeszcze księżyc,

a warstwa chmur zasłaniała gwiazdy. Pod wodą panował tak nieprzenikniony mrok, że nie widziałam nawet własnych dłoni, kiedy machałam nimi przed twarzą.

– Przykro mi, ale nic nie widzę.

Inui i Satoru przestali obracać kołami, nie wiedząc co powinni robić.

– Możemy pozwolić nurtowi nas ponieść – podpowiedział Kiroumaru. – Po prostu pilnujcie, żebyśmy o nic nie uderzyli.

Zastanawiałam się w jaki sposób miałabym niby uważać, żeby nie zderzyć się z żadną przeszkodą, skoro i tak niczego nie mogłam dostrzec. Byłam zła na Kiroumaru, jednak ponownie odwróciłam się do okna.

– Już wiem! Potrzebujemy po prostu źródła światła. Gdybym trochę rozświetliła kabinę, moglibyśmy zobaczyć, co jest na zewnątrz.

– To nie wypali – powiedział Satoru. – Jeśli woda zacznie lśnić, w oczywisty sposób przyciągniemy ich uwagę.

– Więc mamy dalej płynąć na ślepo?

– Nie mamy chyba wyboru, prawda?

Zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, wąty świetlny promyk na zewnątrz łodzi.

– He? Patrzcie, tam coś się świeci.

– Ćśś! Cicho. – Inui ścisnął mnie od tyłu za ramiona.

Siedzieliśmy w bezruchu. Kilka chwil później przekonaliśmy się, co jest źródłem światła.

– Oświetliły rzekę pochodniami – wyszeptał Satoru.

– Szukają łodzi?

– Najprawdopodobniej nie musimy się tym martwić – powiedział, choć raczej bez przekonania.

– Nie przejmujcie się. Ich uwagę przykuwa jedynie powierzchnia rzeki. Nigdy nie przyszłoby im na myśl, że łódź może przepłynąć pod wodą – uspokoił nas z przekonaniem Kiroumaru.

W blasku pochodni ponownie zaczęliśmy toczyć się do przodu. Tak jak mówił Kiroumaru, dziwoszczury najwyraźniej niczego nie

zauważyły. Prawdopodobnie przyczynił się do tego także fakt, iż promienie światła odbijały się od tafli wody, czyniąc nas zupełnie niewidocznymi.

W tym słabym poblasku dostrzegłam cienie licznych łódek, unoszących się nad naszymi głowami.

– Satoru, spójrz – wyszeptałam.

Satoru przysunął się do przodu i wyjrzał przez okno, pozostawiając Inuiemu sterowanie łodzią.

– O co chodzi? – spytał. Po chwili, kiedy dostrzegł dryfujące nad nami tratwy, westchnął głęboko. – No tak. Nie spodziewałem się, że patrole zapuszczą się aż tutaj...

– Co masz na myśli?

– Umieściły na rzece przeszkody, które miały zatrzymać przepływające łódki. Na tratwach prawdopodobnie czają się gotowi do ataku łucznicy.

Rzeka była w tym miejscu węższa, ale i tak miała kilkaset metrów szerokości. Niewątpliwie w budowę tak dużej blokady trzeba było włożyć niemały wysiłek.

– To dzieło tchórzliwego paranoika. Nawet najsprytniejszy intrygant nie zdołałby jednak przewidzieć, że uciekniemy pod wodą – powiedział z satysfakcją Kiroumaru.

Rzeka była akurat na tyle głęboka, byśmy prześliznęli się pod tratwami.

Kiedy ominęliśmy już przeszkodę, ponownie zapanował mrok. Bezgłośnie się wynurzyliśmy i uchyliliśmy dach, wpuszczając nieco świeżego powietrza.

– Powinni zamontować tu jakąś wentylację czy coś – burknął Satoru.

– Jesteśmy już niedaleko ujścia rzeki – pocieszył nas Inui.

– Czyli nie musimy już się zanurzać?

– Kiroumaru, wyczuwasz jakieś dzi... swoich pobratymców?

– Nie jestem pewien. Wiatr zmienił kierunek i wieje teraz od lądu. – Kiroumaru zaciągnął się mocno powietrzem i zastrzygł

uszami. – Nie słyszę też żadnych dźwięków, ale i tak powinniśmy zachowywać się najciszej jak to możliwe.

Łódź bezszelestnie sunęła środkiem rzeki. Wytknęłam głowę przez otwarty dach i wyteżyłam wzrok. Rzeka była tu szersza niż przypuszczałam; ledwo mogłam dostrzec jej brzegi.

Byłam przekonana, że jesteśmy bezpieczni. Zaczęłam się uspokajać. *Jeśli dalej będziemy tak płynąć, dotrzemy do oceanu. Kiedy już znajdziemy się na wodach Pacyfiku, będziemy mogli przestać się przejmować tym, że możemy zostać schwytani. Jeszcze tylko kawałek.*

Właśnie wtedy, dostrzegłam dwie lub trzy łodzie, znajdujące się jakiś kilometr przed nami.

– Łódki. Co robimy?

– Stańmy.

Zatrzymaliśmy się, kręcąc kołami w przeciwnych kierunkach, żeby utrzymać się w miejscu.

– Zanurkujmy. Wynurzymy się dopiero kiedy wpłyniemy do oceanu.

– Szybko, zmywajmy się stąd! – krzyknął niespodziewanie Kiroumaru.

– He? Co?

– Wyczuwam swój gatunek i... I jego! Jestem pewien. To zapach Bestii!

– Ale mówiłeś, że zmienił się wiatr...

Nagle uświadomiłam sobie, że wróg nadciąga od tyłu.

Kiedy się odwróciłam, dostrzegłam sylwetkę wielkiego żagla. Przemieszczał się bardzo szybko. Dzielilo nas od niego już nie więcej niż czterysta, może pięćset metrów.

Bestia wiedziała, że tu jesteśmy. Chłopiec miał lepszy wzrok niż dziwoszczury. Rzeka była ciemna, ale fale, które wzbudzała nasza łódź były wystarczająco dobrze widoczne w świetle gwiazd.

– Powinniśmy się zanurzyć?

– Nie ma na to czasu...Naprzód, przebijmy się! – zarządził Satoru.

Popchnęliśmy nasz pojazd z pełną mocą. Satoru wystawił głowę na zewnątrz i stworzył coś w rodzaju zasłony dymnej. Jak się później dowiedziałam, chcąc ukryć nasze ruchy wzburzył powietrze przy powierzchni wody, powodując powstanie ściany z bąbelków.

– Saki, zamknij oczy!

Nie miałam pojęcia, co planuje, ale mocno zacisnęłam powieki, nie przestając coraz bardziej rozpędzać łodzi. Zdawało mi się, że blokujące nam drogę łódki patrolowe stanęły w płomieniach. Pomyślałam, że silne światło na pewno chwilowo oślepi Bestię.

Nie otwierając oczu, przedarliśmy się obok płonących wraków.

Nawet, kiedy już mogłam patrzeć, nie przestawałam zwiększać tempa. Łódź pruća przed siebie z przerażającą prędkością.

Zanim się zorientowaliśmy, byliśmy już na Oceanie Spokojnym. Odpłynęliśmy tak daleko, że ledwo byłam w stanie dostrzec ląd. Łagodne fale na rzece były niczym w porównaniu z potwornym oceanicznym sztormem. Wpłynęliśmy na wody burzliwego morza Kashimanada.

– Gdzie jest Bestia? Zgubiliśmy ją?

– Tak, przynajmniej na razie. Myślę jednak, że zorientuje się, co planujemy i spróbuje nas doścignąć.

– Dlaczego?

– Jeśli chcielibyśmy jedynie uciec, poszlibyśmy lądem, wiedząc, że wróg kontroluje rzekę. Zamiast tego wybraliśmy jednak znacznie niebezpieczniejszą opcję siłowego przebicia się przez strażę. Kiedy Yakomaru się o tym dowie, prawdopodobnie odgadnie nasze zamiary, albo przynajmniej uzna, że nasza wyprawa jest czymś wartym jego uwagi.

Łódź kołysała się na falach, przez co zrobiło mi się niedobrze. Intensywny, morski zapach wcale nie polepszał sprawy.

– Więc nie mamy czasu do stracenia...

– Racja. Tak długo jak będziemy widzieć ląd po naszej prawej stronie, nie powinniśmy mieć problemów z nawigacją. Musimy ominąć jedynie przylądek Inubo i opłynąć wokoło Półwysep Boso. –

Satoru wpatrywał się w ciemny ocean. – Później znacznie się trudniejsza część. Jeśli nie damy rady zmusić podwójnie fałszywego minoshiro do działania, wszystko będzie skończone.

Widok oświetlonych blaskiem płyczn u wybrzeży Zatoki Tokijskiej był zachwycający. W niczym nie przypominały one przerażającego miejsca, jakie opisywał Kiroumaru.

Zatrzymaliśmy łódź daleko od brzegu, czekając na świt, ponieważ dziwoszczur ostrzegł nas, że schodzenie na ląd w nocy nie jest bezpieczne. Poprzednim razem dotarł do Tokio w samym środku dnia, ale paru jego żołnierzy, którzy nieopatrznie zawędrowali po zmroku w okolice wybrzeża, zostało pożartych przez jakiegoś niezidentyfikowanego stwora.

Fale były tu znacznie łagodniejsze niż na otwartym morzu, jednak wciąż ze zniecierpliwieniem wyczekiwałam momentu, w którym będę mogła postawić stopy na stałym lądzie. Dlatego też, gdy oświetlone pierwszymi promieniami słońca niebo powoli zaczęło się rozjaśniać i mogliśmy ruszyć dalej, poczułam dużą ulgę.

Nad głowami przemknął nam duży cień. Ze zdumieniem spojrzałam w górę i zobaczyłam gigantyczne stado jakichś stworzeń, lecących przed siebie w blasku poranka.

– Nietoperze. W tym miejscu aż się od nich roi. Można powiedzieć, że teraz to one władają Tokio – wyjaśnił Kiroumaru.

Zastanawiałam się jak te zwierzęta zdołały tak bardzo się rozmnożyć. Sądząc po opanowaniu Kiroumaru, nie mogły być jednak niebezpieczne.

Naszym oczom ukazało się północno-zachodnie wybrzeże Zatoki Tokijskiej. Jak okiem sięgnąć ląd pokryty był szarym piaskiem. Nie było widać żadnych roślin ani zwierząt.

Wyskoczyłam z łodzi gdy tylko przybiliśmy do brzegu i od razu zaczęłam rozciągać zeszywniałe mięśnie. Cudownie było słyszeć trzeszczenie piasku pod stopami, choć nie mogłam oprzeć się

wrażeniu, że grunt jest nieco niestabilny. Pozostali poszli za mną wzdłuż plaży.

Szukaliśmy miejsca, w którym moglibyśmy ukryć nasz środek transportu. Po przeciwnej stronie jednej z piaszczystych wydmy znaleźliśmy coś w rodzaju szarej skały. Kiedy uważniej jej się przyjrzeliliśmy, okazało się, że są to pozostałości starożytnego budynku z betonu. Przypominał trochę okrągłe budowle, które widzieliśmy w kolonii Łowików, ale był dużo większy. W przeciwległej ścianie ruiny ziała ogromna wyrwa. Kiedy do niej zajrzałam, zobaczyłam półkę skalną, rozciągającą się jakieś dwadzieścia metrów niżej. Za nią znajdowała się przepaść, która zdawała się nie mieć dna. Wydstawały się z niej podmuchy zimnego, zatechłego powietrza. Przymocowaliśmy łódź do nawisu, zabierając ze sobą tylko potrzebne przedmioty.

– No i co dalej?

– Nie ma sensu błąkać się tu na ślepo; musimy jeszcze raz spróbować go naładować – powiedział Satoru, wskazując na plecak, w którym schowany był podwójnie fałszywy minoshiro.

– Najpierw powinniśmy znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę. Miejsce z dobrym widokiem na ocean, z którego moglibyśmy wypatrzeć wrogów, jeśli uda im się tu dotrzeć – odparł Inui.

Przenieśliśmy się wyżej, wdrapując się na coś, co wyglądało jak góra poczerniałych kamieni, ale w rzeczywistości było gruzami kolejnego budynku. Nawet wydmy wydawały się zrobione z betonu, który pokruszył się na tak małe odłamki, że stał się prawie nie do rozpoznania.

Umieściliśmy podwójnie fałszywego minoshiro w takim miejscu, by mógł chłonać jak najwięcej promieni wschodzącego słońca. Nie pozostało nam nic oprócz cierpliwego oczekiwania. Zjedliśmy śniadanie, przeżuając w milczeniu połowe racje żywnościowe w które zaopatrzone nas w świątyni. Nie rozpaliliśmy ognia, na którym moglibyśmy coś ugotować, ponieważ obawialiśmy się, że dym mógłby zdradzić naszą pozycję. Na posiłek składały się

kuliste bryłki z kaszy gryczanej, suszonych ryb, śliwek, orzechów i jagód Goji zlepionych ze sobą melasą. Przypominały mi prowiant dziwoszczurów, który jadłam dawno temu, kiedy wraz z Yakomaru wyruszyliśmy szukać kolonii Trociniarek Czerwic. Ich smak był nieco inny, ale różnica nie była wielka. Zmusiłam się jakoś, żeby je przełknąć.

Kiedy już się najadłam, zaczęłam czuć zmęczenie i zastanawiałam się jak to możliwe, że w naszej obecnej sytuacji mogę w ogóle myśleć o drzemce. Inui zaproponował, żebyśmy spali na zmianę; zasnęłam niemal od razu.

Nie pamiętam o czym śniłam, ale najwyraźniej koszmary senne nie dręczą ludzi, którym na jawie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedy się przebudziłam, miałam wrażenie, że sen był dość przyjemny. Prawdopodobnie dotyczył mojego dzieciństwa.

Był w nim dziwna kreatura, która jednocześnie skrzeczała jak żaba i ćwierkała jak ptak. Obudziłam się dokładnie w chwili, kiedy przeszło mi przez myśl, że stwór jest irytująco głośny. Czym, u licha, był ten dźwięk?

– Co się dzieje?

– Włączył się... Jest w pełni naładowany.

Byłam już całkowicie rozbudzona. Zerwałam się na nogi i wcisnęłam się pomiędzy moich towarzyszy, otaczających kręgiem minoshiro.

Maszyna wciąż przeraźliwie hałasowała, jednak po kilku chwilach wreszcie przemówiła.

– Jestem Filią Tsukuby Biblioteki Zgromadzenia Narodowego, terminal przekaźnikowy 008 – powiedziała łagodnym, żeńskim głosem.

Wszyscy się uśmiechnęliśmy.

– Mam pytanie – powiedział Satoru.

– Rozpaczynam synchronizację... Synchronizacja w toku... Synchronizacja w toku – powiedział podwójnie fałszywy minoshiro,

całkowicie go ignorując. Najwyraźniej w jakiś sposób komunikował się z innymi archiwami bibliotecznymi.

– Synchronizacja ukończona – ogłosił po chwili. – Obliczanie daty ukończone. Aktualizacja danych ukończona.

Transfer informacji z innych urzędzeń na daleki dystans najwyraźniej nie był dla niego najmniejszym problemem.

– No i dobrze. Mam pytanie – przerwał mu Satoru.

– Aby uzyskać dostęp do usług wyszukiwania, niezbędna jest rejestracja użytkownika.

Satoru spojrział na mnie wymownie. Dokładnie to samo powiedział nam tamten fałszywy minoshiro, którego spotkaliśmy podczas letniego obozu.

– Jak mam się zarejestrować?

– Musisz mieć ukończone co najmniej osiemnaście lat i potwierdzić nazwisko, adres i wiek poprzez przedstawienie jednego z następujących druków: prawa jazdy, karty ubezpieczeniowej z adresem, paszportu z wpisaną pełną datą urodzenia i obecnym adresem zamieszkania, legitymacji studenckiej zawierającej adres i datę urodzenia, zaświadczenia meldunkowego wydanego w ciągu ostatnich trzech miesięcy bądź innego oficjalnego dokumentu potwierdzającego tożsamość, którego ważność nie wygasła.

– Nie mam żadnej z tych rzeczy.

– Ponadto, następujące formy identyfikacji są nieuznawane: identyfikator pracowniczy, legitymacja studencka bez adresu lub daty urodzenia, bilet sieciowy, karty kredytowe...

– Roztrzaskam cię na kawałki, jeśli natychmiast nie odpowiesz na moje pytania. I ostrzegę tylko raz – lepiej nie próbuj mnie hipnotyzować.

– Uchyłono wymóg przedstawienia dokumentów. Rozpoczynam procedurę rejestracji użytkownika.

– To także pomiń. Powiedz mi, jak dostać się w to miejsce.

Satoru odczytał adres z kartki a podwójnie fałszywy minoshiro ponownie zaczął głośno piszczeć.

– Dostęp do globalnego systemu nawigacji niemożliwy... Odbiór sygnału z satelity GPS niemożliwy... Odbiór sygnału z satelity GPS niemożliwy... Poza zasięgiem sieci.

– To bardzo niedobrze. Te rzeczy już nie istnieją.

– Odbieram informacje z innych terminali celem wyznaczenia waszej obecnej lokalizacji.

Podwójnie fałszywy minoshiro zamilkł na kilka chwil, które wydawały nam się całą wiecznością.

– Porównywanie danych kartograficznych ukończone. Pozycjonowanie geomagnetyczne za pomocą kompasu elektronicznego ukończone. Cel zlokalizowany. Przemieście się dwadzieścia dziewięć stopni na północny zachód od waszej obecnej pozycji.

Zacisnęłam pięść w geście zwycięstwa. Od razu wyruszyliśmy w stronę adresu wspomnianego w liście. Tylko bogowie mogli jednak wiedzieć, czy rzeczywiście uda nam się tam znaleźć Psychobójcę.

– Hej, ty, opowiedz mi o Psychobójcy.

Podwójnie fałszywy minoshiro myślał przez moment.

– Wyszukiwanie zwróciło pięćdziesiąt siedem wyników.

– Prawdopodobnie chodzi o broń, zwaną też Pogromcą albo Poskramiaczem.

– Podanym kryteriom odpowiada jeden wynik. „Psychobójca” to nazwa broni bakteriologicznej, która została opracowana w Ameryce w ostatnich latach istnienia starożytnej cywilizacji w ramach próby wymazania wszystkich psychicznych z powierzchni Ziemi.

Zdziwiłam się, słysząc, że chodzi o bakterię.

– Ale słowo „psycho” oznacza umysł... Czy mowa o ludziach upośledzonych umysłowo?

– To rzeczywiście ten sam wyraz, więc możesz myśleć o slangowym określeniu osób niestabilnych mentalnie, którego użyto na przykład w tytule filmu „Psycho” Hitchcocka. W tym przypadku chodzi jednak o ludzi władających mocą powszechnie znaną jako psychokineza.

– Co konkretnie masz na myśli, mówiąc o broni bakteriologicznej?

– Formalna nazwa Psychobójcy to „silnie toksyczna *Bacillus anthracis*”, w skrócie STBA. Te bakterie, czyli laseczki wąglika, występują naturalnie w glebie w której gnije trawa. Jeśli dostaną się do ciała, wywołują skórą, płucną i żołądkowo-jelitową postać wąglika. Wszystkie z nich są poważnymi, groźnymi dla życia chorobami...

Kiedy słuchałam tych wyjaśnień, po kręgosłupie przebiegły mi ciarki. W niesprzyjających warunkach środowiskowych, laseczki wąglika tworzą uśpione formy przetrwalnikowe. Z tego powodu są dobrym materiałem na broń biologiczną. Wyhodowane endospory *Bacillus anthracis* można przechowywać w postaci białego proszku, który nie traci swojego morderczego potencjału nawet podczas suszy i upałów. Dlatego też można zarazić kogoś chorobą na przykład wysyłając ofierze kopertę z bakteriami.

STBA powstała przez manipulację materiałem genetycznym zwykłych laseczek wąglika. Podniesiono w ten sposób umieralność z powodu płucnej postaci wąglika z dziewięćdziesięciu do prawie stu procent. STBA jest wielolekooporna, przez co powszechnie używane antybiotyki, takie jak penicyliny czy tetracykliny stają się bezużyteczne.

– Ponadto, podczas gdy zwykły wąglik płucny rzadko przenosi się z człowieka na człowieka, postać wywoływana przez STBA jest wysoce zaraźliwa – kontynuował podwójnie fałszywy minoshiro. – Z tego powodu powstrzymanie szerzenia się choroby klasycznymi metodami epidemiologicznymi jest niezwykle trudne. W połączeniu z zabójczym działaniem, czyni to z niej idealną broń pierwszego uderzenia. Żeby umożliwić pozbycie się bakterii po wojnie, szczep został zaprojektowany w taki sposób, by jego toksyczność wygasła po roku lub dwóch latach. W ten sposób można używać go bez ograniczeń i nie powodując szkód w środowisku naturalnym...

To było szalone. Nie byłam w stanie pojąć, co kierowało ludźmi w tamtych czasach.

– Naprawdę zamierzamy zdobyć to... coś? – spytałam.

Pozostała trójka spojrzała na mnie pytająco.

– Nie mamy innego wyjścia, jeżeli chcemy pokonać Bestię – odparł Satoru.

– Z czasem toksyczność bakterii się zmniejszy, więc nie będzie stanowić zagrożenia w przyszłości – dodał Inui.

– Świetnie. Musimy jedynie zakazić Bestię, kiedy odwrócimy ją jakoś jej uwagę. Pozostaje jedynie kwestia tego, jak mamy zmusić ją, żeby zaciągnęła się proszkiem – powiedział Kiroumaru.

– Pomimo, że okres życia zwykłych laseczek wąglika wynosi około pięćdziesiąt lat, szacuje się, że endospory STBA mogą przetrwać nawet tysiąclecie... – Podwójnie fałszywy minoshiro kontynuował swój monolog.

– Już wystarczy – przerwał mu Satoru, prawdopodobnie obawiając się, że bateria może się wyczerpać.

Kiroumaru nagle zerwał się na równe nogi. – A niech to... – powiedział.

– Co się stało? – zapytał go Inui.

– Tamten ptak. Złapcie go – odparł, wskazując na coraz bardziej oddalający się cień.

Inui już przygotowywał się, żeby strącić ptaka, ale Satoru go powstrzymał. Stworzył przed sobą soczewkę próżniową; w przeciwieństwie do typowych soczewek była wklęsła i powiększała wszystko, w stronę czego była skierowana. Wszyscy zgromadziliśmy się przy niej.

Na horyzoncie wyraźnie było widać czubek żagla.

– Nie wierzę. Już nas doścignęły – Satoru wydawał się wstrząśnięty.

– Byłem nieostrożny. Zwiadowcy często używają ptaków, które pomagają im w poszukiwaniach, ale nie spodziewałem się, że znajdą nas tak szybko. Musieli użyć sów lub kozodojów, które zeszłej nocy

wypatrzyły nas w zatoce – powiedział z ubolewaniem Kiroumaru. – Najpewniej znają już naszą dokładną pozycję. Powinniśmy stąd uciekać, ale w promieniu trzydziestu kilometrów nie ma niczego poza jałową pustynią. Nie ma gdzie się ukryć. Trafia do nas jak po sznurku i będzie tylko kwestią czasu, kiedy zostaniemy schwytani.

– To znaczy, że powinniśmy zejść pod ziemię? – spytał Inui, mocno marszcząc brwi.

– Podziemia Tokio to piekło. Właśnie tam straciłem najwięcej żołnierzy. Teraz jednak nie ma sensu o tym opowiadać.

Kiroumaru poprowadził nas do oddalonej o jakieś czterdzieści metrów szczeliny w murze, z której wydobywały się podmuchy wiatru.

– Kiedy poprzednio tędy przechodziliśmy, powąchałem powietrze, które stąd uchodzi i zdaje się, że ta dziura łączy się z siecią tuneli, znajdującą się pod Tokio. Nie jest zbyt stromo, więc powinniśmy dać radę zejść na dół.

Wyglądało na to, że nie mamy wyboru.

– Doskonale. Za wszelką cenę musimy odnaleźć Psychobójcę zanim nas złapią. Jeśli będziemy już go mieli i zostaniemy schwytani, oszczędzi nam to tylko czas, który musielibyśmy poświęcić na poszukiwanie wroga. Wejźmy więc do piekła... W najgorszym przypadku będziemy mogli jeszcze tu, w podziemiach użyć Psychobójcy i zakazić Bestię zanim nas zamorduje.

Słowa Inuiego przypieczętowały naszą decyzję.

Część VI: Światło w ciemności

Rozdział 1

Ostrożnie, krok po kroku, schodziliśmy w głąb podziemi. Miałam wrażenie, że jeśli nie będę bardzo ostrożna, poślizgnę się na wapiennej skale.

Przypuszczałam, że w jaskiniach będzie chłodniej, jednak im niżej byliśmy, tym mocniej się pociłam. Oprócz tego, że było gorąco, wilgotność powietrza wynosiła prawie sto procent.

– Czemu tu jest tak ciepło? – spytałam.

– To przez nietoperze – odparł pospiesznie Kiroumaru, przyspieszając kroku.

W pieczarach panował skomplikowany układ podmuchów powietrza. Kiroumaru zatrzymywał się i węszył na każdym rozwidleniu, zanim wybrał ścieżkę. Z plecaka Satoru wystawała jedynie głowa podwójnie fałszywego minoshiro, który dawał nam ogólne wskazówki dotyczące kierunku i informował, jak daleko od celu jeszcze jesteśmy. Nie miał jednak żadnej wiedzy na temat układu korytarzy, więc w kwestii wyboru drogi musieliśmy polegać tylko na Kiroumaru.

Droga pomału przestała opadać. Pomimo, że byliśmy już daleko od wejścia, niewielkie szczeliny rozsiane tu i ówdzie w ścianach przepuszczały dość światła, byśmy widzieli dokąd idziemy.

– Dalej będzie jeszcze cieplej. Musicie jakoś to znieść.

Usłyszałam dobiegające z naprzeciwka przytłumione odgłosy kotłowaniny. Jednocześnie uderzyła mnie fala gorąca i smrodu, przypominającego woń chlewa. Kiroumaru wskazał na mniej więcej metrową dziurę w suficie, z której zdawały się dochodzić te dźwięki.

Dziwoszczur wdrapał się po stromej ścianie. Kamienie same w sobie były śliskie, ale duża wilgotność jeszcze bardziej utrudniała wspinaczkę. Dostanie się nawet na wysokość czterech czy pięciu metrów było niełatwym zadaniem.

Kiroumaru zatrzymał się tuż przed szczeliną i zajrzał do jej wnętrza.

– W środku jest zupełnie ciemno. Byłoby łatwiej, gdybym miał jakieś światło – oznajmił, odwracając się do nas.

Wygrzebałam lampę ze swojego plecaka. Jej blask nie był zbyt silny, ale mogła świecić nawet przez piętnaście godzin, wykorzystując jako paliwo dowolny olej roślinny. Kolejnym udogodnieniem był fakt, że nie wymagała wykorzystania cantusu.

Do moich uszu doleciał wysoki skrzek. Przypominał trochę dźwięk dzwonów albo wycie hordy goblinów. Kiedy zajrzałam do dziury, ujrzałam pomieszczenie kilkukrotnie większe od tego, w którym się znajdowaliśmy. Im dalej szłam za Kiroumaru, tym odór i gorąco stawały się trudniejsze do zniesienia.

– Uważajcie, gdzie stawiacie nogi – ostrzegł Kiroumaru z nieprzyjemnym błyskiem w swoim jedynym oku.

Skierowałam lampę w dół i wrzasnęłam. Cała podłoga zdawała się pełzać. Kiedy dobrze się jej przyjrzałam, okazało się, że aż roi się na niej od owadów. Były tam pijawki, różne pasożytnicze robaki, krocionogi, karaluchy i pająki większe od wszystkich, jakie do tej pory widziałam. Wszystkie wiły się w jakiegoś rodzaju szlamie, który pokrywał tu wszystkie powierzchnie. Przez smród, jaki od niego bił, uświadomiłam sobie, że to gruba warstwa guana. W procesie fermentacji odchodów wytwarzało się też ciepło.

– Nie przejdę przez to! – jęknęłam.

Kiroumaru i Inui bez zawahania ruszyli naprzód.

– Musimy, Saki – powiedział Satoru, chwytając mnie za rękę.

Wstręt był jednak zbyt silny. Nie byłam w stanie zrobić nawet kroku.

– A co, jeśli to są jadowite insekty? Co, jeśli któryś nas ugryzie...?

Uniosłam latarnię, żeby sprawdzić, czy na suficie również nie ma owadów.

Sklepienie znajdowało się na wysokości ponad dziesięciu metrów i było całkowicie oblepione odpoczywającymi nietoperzami.

Dobiegały stamtąd piskliwe skrzeki. Poczulałam, że krew odpływa mi z twarzy.

– Nie ma mowy. Nie dam rady. Jeśli one nas osaczą, będziemy ugotowani.

– Czy tutejsze nietoperze stanowią zagrożenie dla ludzi? – spytał Satoru podwójnie fałszywego minoshiro.

– Uważa się, że osobniki zamieszkujące te tunele są tokijskimi nietoperzami olbrzymimi. Za dnia polują na owady w lasach otaczających Kanto, natomiast podczas nocy powracają do jaskiń. Mają niewielu naturalnych wrogów i nigdy nie zaobserwowano, by stanowiły niebezpieczeństwo dla ludzi. Nie wiadomo ponadto, czy mogą przenosić jakieś choroby zakaźne.

– Widzisz? Wszystko w porządku – rzucił Satoru.

– Jaskinie zlokalizowane na terenie dwudziestu trzech okręgów Tokio stały się domem dla, jak się przypuszcza, nawet dziesięciu miliardów nietoperzy – kontynuował podwójnie fałszywy minoshiro. – Ich odchody stanowią pożywienie dla wielu gatunków stworzeń, przez co przyczyniły się do przekształcenia jałowego uprzednio środowiska w tętniący życiem ekosystem. Tokijskie nietoperze olbrzymie zawdzięczają swoją nazwę dużym rozmiarom, jednak wątpliwe jest, by były potomkami olbrzymich nietoperzy z wysp Ogasawara.¹ Uważa się tak dlatego, że ssaki z rodziny rudawkowatych, do których należą między innymi nietoperze z Ogasawara nie żyją w grotach i nie posługują się echolokacją. Inna teoria mówi, że tutejsze nietoperze wyewoluowały z licznie występującego na terenie Kanto gatunku japońskich podkowców dużych, które rozwinęły większe ciała i...

Podwójnie fałszywy minoshiro nie przestawał drażnić tematu. Najwyraźniej nigdy nie skończyłby mówić, dopóki nie otrzymałby innego pytania lub wyraźnego polecenia aby przerwał monolog.

¹ Zagrożony, endemiczny dla wysp Ogasawara gatunek nietoperza inaczej zwany „latającym lisem z Boninu”. Wyspy Bonin to dawna nazwa wysp Ogasawara. Olbrzymie nietoperze tokijskie są natomiast gatunkiem wymyślonym na potrzeby powieści.

– Czy robactwo żywiące się guanem jest jadowite? – spytał Satoru.

– Większość z tych insektów nie jest jadowita i nie kąsa ludzi. Jedynym wyjątkiem są gzy jaskiniowe. Dzięki dostępności nieskończonych ilości odchodów, te owady nie muszą szukać pożywienia i w konsekwencji utraciły zdolność lotu. Spędzają życie w postaci czerwi i składają jaja w glebie. Mimo to wciąż posiadają ostre szczęki i mogą ugryźć człowieka w dłonie lub stopy. Nie jest pewne, czy posiadają jad, jednak pozostawione przez nie rany mogą ulegać zakażeniu jeśli zostaną zanieczyszczone. Ponadto, wydzielina z ich ust w rzadkich przypadkach może powodować reakcje alergiczne i...

– Dobrze, dobrze. Tyle wystarczy. – Satoru uciszył podwójnie fałszywego minoshiro. – To te wielkie robale, prawda? No cóż, po prostu musimy ich unikać. Tak czy siak, musimy już iść. Nie zostało zbyt wiele czasu.

Zacisnęłam mocno powieki i weszłam w ohydną, wijącą się masę robactwa i odchodów. Usłyszałam nieprzyjemny chlupot pod butami i zapadłam się w brei po kostki. Wzdrygnęłam się intensywnie a całe ciało pokryła mi gęsia skórka. W mniejszym lub większym stopniu zdołało to odwrócić moją uwagę od fruujących insektów, które otaczały nas tak ściśle, że czułam się, jakbym była w saunie.

Po chwili znowu wyczułam pod nogami solidną skałę, co napełniło mnie takim uczuciem ulgi, że miałam wrażenie, iż za chwilę ugną się pode mną kolana.

– Teraz już wiem, co miałeś na myśli, mówiąc, że podziemia Tokio to piekło.

Kiroumaru jedynie się uśmiechnął.

– Na razie jesteśmy jeszcze w niebie.

Kiedy opuściliśmy grotę nietoperzy zrobiło się nieco chłodniej. Na początku ucieszył mnie ten fakt, ale po chwili zaczęłam mieć wrażenie, że cała się lepnię. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie

wtedy jak bardzo nieprzyjemnymi warunkami jest chłód w połączeniu z wilgocią.

Kiroumaru, wciąż idący na przedzie, wydawał się zupełnie niewzruszony nieprzyjaznym otoczeniem. Przypomniałam sobie, że dziwoszczury były pierwotnie gatunkiem żyjącym w norach i poczułam się nieco podniesiona na duchu jego obecnością. Wtedy jednak uświadomiłam sobie, że nasi prześladowcy również są przecież dziwoszczurami.

– Mówisz, że byłeś już wcześniej w Tokio, tak?

– Tak – odparł Kiroumaru. Sądząc po tonie jego głosu, najwyraźniej nie chciał poruszać tego tematu.

– Czyli dobrze znasz okolicę, prawda? Dlaczego nikt nie zakładał tu kolonii? Z pewnością te pieczary pierwotnie nie były zamieszkane.

– Moi pobratymcy wielokrotnie próbowali podbić te ziemie, ale nikt nie próbował uczynić z nich miejsca do życia – odpowiedział krótko. – Mieszka tu zbyt wiele paskudnych stworów. Tak jak już wspomniałem, utraciłem jedną trzecią swoich żołnierzy tylko podczas eksploracji tego terenu.

Zastanawiałam się, czy powinnam bardziej go przycisnąć, czy też zapytać podwójnie fałszywego minoshiro o te „paskudne stwory”.

– Którędy teraz? – spytał Satoru, zanim zdążyłam otworzyć usta.

– Dwadzieścia siedem stopni na północny zachód. Jak dotąd wasza trasa jest z grubsza poprawna.

– Hmm... – Satoru z jakiegoś powodu wydawał się niezbyt zadowolony. – Zakładam, że nie wiesz, czy budynek do którego zmierzamy wciąż istnieje, nie mylę się?

– W archiwach nie ma informacji na ten temat, więc nie mogę odpowiedzieć z całą pewnością, jednak szanse na to, że przynajmniej część budowli zachowała się do dzisiaj, szacuje się na ponad pięćdziesiąt procent.

– Naprawdę? Czemu tak uważasz? Minęło już ponad tysiąc lat – powiedział Satoru podekscytowanym tonem.

W końcu zrozumiałam, czego się obawia.

– Aktualnie zmierzamy w stronę Centralnego Budynku Rządowego Numer 8, który wzniesiono, wykorzystując ultra-trwały beton. Jest on mieszaniną eteru glikolowego i pochodnych hydroksyamin z dodatkiem spajającego polimerowego surfaktantu. Jego powierzchnia ulega zeszkleniu i...

– Nie musisz zagłębiać się w takie szczegóły. Czy twoje słowa oznaczają mniej więcej tyle, że zdolność tego materiału do przetrwania ponad tysiąca lat nie jest niczym nadzwyczajnym?

– Teoretycznie rzecz biorąc, tak jest w istocie – odparł podwójnie fałszywy minoshiro.

– Dlaczego więc większość pozostałych budynków uległa zniszczeniu?

– Zwykły beton używany przez starożytną cywilizację w typowych warunkach mógł przetrwać średnio pięćdziesiąt, a w najlepszych przypadkach – sto lat. Słaba jakość wykonania konstrukcji, zbyt duża domieszka wody czy mieszanki zawierające piasek morski, podatne na reakcję alkaliczną – wszystkie te czynniki jeszcze bardziej zmniejszyły trwałość betonu. Jedna trzecia wszystkich budynków Tokio została zniszczona podczas Wojny Dziewięciodniowej, a większość z tych, które przetrwały, zawaliła się w przeciągu kolejnego wieku. Wystawiony na działanie kwaśnych deszczy wapień rozpuścił się i spłynął w głąb ziemi, tworząc w ciągu kilku stuleci wapienne groty, które w normalnych warunkach powstawałyby przez dziesiątki tysięcy lat.

– Czym była Wojna Dziewięciodniowa? – spytałam.

– Po tym jak zwykli ludzie zaprzestali polowań na użytkowników psychokinezy, ci drudzy postanowili przejść do kontrataku. Grupa składająca się z niecałej ich setki osaczyła jedenaście milionów obywateli Tokio i w ciągu dziewięciu dni...

– Wystarczy! – przerwałam mu.

Nie zniosłabym tego, co miał zamiar powiedzieć.

Pomimo tego, że nigdy nie uczono mnie o tym w szkole, miałam świadomość, że historia ludzkości jest pełna wojen i przemocy. Nie chciałam jednak uwierzyć, że żyjący w przeszłości użytkownicy cantusu, ludzie dokładnie tacy jak my, mogli zabijać tych nieobdarzonych mocą.

Tak czy inaczej, Psychobójca nie zdołał ostatecznie odwrócić losów wojny. Jak na ironię to my, potomkowie zwycięzców tamtego starcia, musieliśmy teraz polegać na przedmiocie który miał nas zgładzić.

Jeśli już mowa o ironii, samo Tokio jest jej wspaniałym przykładem. Jego betonowa zabudowa została stworzona, aby zasłonić naturalne środowisko, jednak kiedy beton się skruszył, przekształcił się w krasowe struktury, identyczne jak te, które były tu od zarania dziejów. Podczas gdy na powierzchni Tokio pozostawało jałowym pustkowiem, pod ziemią znajdował się wilgotny labirynt korytarzy, zamieszkaany przez wiele wstrętnych stworzeń.

Kiroumaru nagle się zatrzymał. Uniósł pysk i zaczął pieczołowicie węszyć. Po chwili odkrył cienkie pęknięcie w ścianie i przystawił do niego nos.

– Co się dzieje? – spytał go Inui.

– Nasi prześladowcy. Stąd dochodzi ich zapach... No no. Już wszystko jasne.

– Hej, musimy się stąd zmywać, i to szybko! – krzyknął Satoru.

– Nie, wszystko w porządku. Wróg wciąż jest daleko. Co więcej, są w zupełnie innym tunelu. Dociera tu jedynie ich zapach niesiony wiatrem, ale to mi wystarczy, żeby z grubsza określić ich formację.

– Formację? Masz na myśli ich liczbę?

Byłam zszokowana zdolnościami Kiroumaru.

– Tak. Łącznie jest ich... siedmiu. Mniej niż się spodziewałem, ale prawdopodobnie dzięki temu są bardziej mobilni tu, na dole. Woń pięciu z nich jest mi obca. Najprawdopodobniej to zwykli szeregowi. Pozostałą dwójkę znam jednak bardzo dobrze. Jednym z nich jest Bestia. Drugi to Yakomaru.

– Yakomaru? – wydusił zdumiony Satoru. – Ściga nas sam główny generał? Przecież dotychczas się ukrywał.

– Nie ma w tym nic dziwnego. – Kiroumaru uśmiechnął się ponuro. – Potrzebują Bestii żeby móc stawić czoła wam trojgu. Poza tym chłopak jest ich atutową kartą. Gdyby go stracili, oznaczałoby to ich porażkę. Osobiste dowodzenie wyprawą było jedyną logiczną decyzją, jaką mógł podjąć Yakomaru, jeśli chciał zapewnić sobie zwycięstwo.

Kiroumaru mówił to w taki sposób, jakby chciał dać do zrozumienia, że gdyby był na miejscu naszych wrogów, postąpiłby dokładnie tak samo.

– Chwila. Myślisz, że oni również wiedzą ilu nas jest? – spytał ostro Inui.

– To możliwe – odparł rzeczowo Kiroumaru. – Pod Tokio ciągną się dziesiątki tuzinów korytarzy we wszystkich rozmiarach, przez które płyną najprzeróżniejsze prądy powietrza. Nawet tutaj można poczuć podmuchy wiatru. Każdy, kto go powącha, będzie w stanie ocenić liczebność naszej grupy.

Skoro obie strony wiedziały wszystko o przeciwniku, mogło się wydawać, że szanse są wyrównane. Przewaga liczebna wrogów i Bestia – ich as w rękawie, dawały im jednak miażdżącą przewagę.

Właśnie w taki sposób przedstawiała się wtedy nasza sytuacja.

W ciszy podążaliśmy dalej przez jaskinie.

Ponieważ nawigowanie w całości powierzyliśmy Kiroumaru oraz podwójnie fałszywemu Minoshiro, miałam mnóstwo czasu na rozmyślanie.

Od przedwczorajszej nocy Święta Lata, byliśmy prześladowani przez nieprzerwaną serię następujących po sobie przerażających wydarzeń. Z tego powodu nie miałam nawet chwili na uspokojenie się i zadanie sobie najbardziej kluczowego z pytań.

– Hej, Satoru. Dlaczego dziecko Marii stało się Bestią?

Satoru milczał przez dłuższą chwilę.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Nie mam najmniejszego pojęcia, jak to mogło się stać. Używają narkotyków, prawda? – Satoru rzucił Kiroumaru przelotne spojrzenie.

– Ale czy w ten sposób zdołałyby zmienić zwykłe dziecko w Bestię z taką łatwością?

– We wszystkich udokumentowanych przypadkach zmiana dokonywała się gwałtownie. Nawet jeśli rodzice byli zupełnie normalni, ich potomek może od urodzenia mieć zadatki na Bestię.

– Ale czy to naprawdę się stało? Czy prawdopodobieństwo czegoś takiego nie jest niewyobrażalnie małe?

– Rozmyślanie na ten temat jest teraz bezcelowe. – Satoru potrząsnął głową. – Tak czy inaczej, musimy powstrzymać Bestię albo nasz dystrykt zostanie zniszczony. A do tego potrzebny jest nam Psychobójca.

– Tak, ale... – próbowałam ubrać w słowa swoje mgliste przemyślenia. – Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten chłopiec nie jest Bestią.

– O czym ty mówisz? Widziałaś, co zrobił. Jak myślisz, ilu ludzi zginęło z jego rąk? Zabił nawet Shiseia! – Satoru gniewnie uniósł głos.

Coś oderwało się od sufitu i spadło z plaśnięciem wprost na niego, prawdopodobnie zaalarmowane jego krzykiem.

– Au!

Satoru przewrócił się i wydał z siebie okrzyk bólu i zaskoczenia, który rozniósł się echem po grocie.

– Pozbądź się tego, szybko! – polecił niezwłocznie Kiroumaru, odwracając się w jego stronę.

Podniosłam latarnię, oświetlając Satoru. Do jego lewego ramienia przyssała się obślizgła, trzydziestocentymetrowa kreatura.

– Nie próbuj go odrywać. Podpal go, a sam odpadnie.

Zaczęłam podgrzewać ciało stworzenia. Byłoby szybciej, gdybym po prostu potraktowała je ogniem, ale wtedy poważnie poparzyłabym też Satoru.

Przez dwie lub trzy sekundy nic się nie działo. Potem jednak śluzowaty stwór zaczął pokrywać się bąblami i dymić. Rozciągnął swoje ciało, a na jednym z jego końców pokazały się cztery czułki.

– To ślimak...

Nie mogłam w to uwierzyć. Czy naprawdę istniały ślimaki atakujące ludzi? Spaliłam wszystkie cztery jego rogi. Kreatura zwijała się z bólu, wydłużając się ponad dwukrotnie, po czym spadła na ziemię. Bez wahania podpaliłam ją kulą niebieskich płomieni. Ślimak wydał z siebie ostatni, piskliwy dźwięk i zniknął w obłoku dymu i pary.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Uważajcie! Na górze jest ich więcej – powiedział Kiroumaru, wskazując na ciemne sklepienie.

Inui uniósł lampę. Ze skał zwisały całe tony podobnych stworów. Wyglądało na to, że miały już zamiar pójść w ślady pierwszego i rzucić się na nas, ale przestraszyły się ognia i tylko bujały się bezładnie w panice.

Inui oderwał ślimaki z sufitu i zmiotł je na jedną stertę. Najprawdopodobniej było ich ponad sto; wszystkie wiły się i wymachiwały czułkami w powietrzu. Kiedy płonęły, z ich ciał tryskał śluz i bąbelki a jaskinia wypełniła się chóralnymi piskami i okropnym smrodem.

Spojrzałam na Satoru. Jego koszulka w okolicy ramienia była lekko rozdarta i zaczynała zabarwiać się na czerwono. Ze sporego fragmentu skóry pod warstwą materiału sączyła się krew.

– Boli?

Satoru tylko przytaknął, zaciskając zęby.

– Co to było, do cholery? – warknęłam na podwójnie fałszywego minoshiro.

Maszyna wysunęła swój czulek, próbując zobaczyć, o czym mówię. Jej ruchy były dziwnie podobne do ślimaczych.

– To ślimaki-wampiry. Przytwierdzają się do sklepienia jaskini i opadają na niczego niespodziewającą się ofiarę, wbijając w jej ciało

piłowate zęby. W ten sposób mocno uszkadzają skórę a następnie zaczynają wysysać krew. Jeśli ofiara zostanie zaatakowana jednocześnie przez wiele ślimaków, może umrzeć z powodu wykrwawienia.

– Czy ślimaki nie są normalnie roślinożerne? – spytałam, odkazając ranę Satoru środkami z apteczki pierwszej pomocy, którą wyciągnęłam z plecaka.

– Zwykle ślimaki należą do innego gatunku, jednakże pochodzące z Europy trzonkooczne są mięsożerne i polują na robaki. Ślimaki-wampiry są jednak jedynymi znanymi lądowymi mięczakami odżywiającymi się krwią.

– Są jadowite?

– Najprawdopodobniej nie.

Słyszając to, poczułam lekką ulgę.

– Zranienie może nie wydawać się poważne, ale jeśli nie zostanie zaopatrzone, krwawienie przybierze na sile. Powinnaś założyć opatrunek uciskowy – powiedział Kiroumaru, oglądając ranę Satoru.

– Nie miałam pojęcia, że takie paskudne stwory w ogóle istnieją... Te podziemia rzeczywiście są piekłem – wymamrotałam.

– To dopiero jego przedsiónek – odparł dziwoszczur, kręcąc głową.

Poszliśmy dalej. Satoru jakoś znosił ból i nie narzekał. Z powodu poparzenia nie mogliśmy całkowicie zatrzymać krwawienia. Mimo, że rana była płytka, wciąż obawiałam się, że mogła dostać się do niej trucizna, choć tak nie mogłabym nic z tym zrobić, ponieważ nie wzięliśmy żadnych odtrutek. Później dowiedziałam się, że przyssawki tych ślimaków są tak silne, że potrafią uszkodzić nawet położone głęboko pod skórą naczynia krwionośne.

W mojej apteczce były środki przeciwbólowe, ale Satoru odmówił ich zażycia, obawiając się, że mogłoby to upośledzić jego zdolność korzystania z cantusu.

– To nie jest normalne. Wszystkie te stwory... Nic nie powinno być w stanie przeżyć tutaj choćby przez chwilę – wyszeptał Satoru.

– Co masz na myśli?

– Nie uważasz, że to dziwne? Jak to możliwe, że ślimaki wyewoluowały w taki sposób?

– Ale... To przypomina mi zjawiska zachodzące poza Świętą Barierą. Cantus który przedostaje się przez filtr naszej świadomości nieprzerwanie wycieka, kierując się poza barierę.

Wypowiadając te słowa nie przestawałam się zastanawiać, gdzie ja właściwie o tym usłyszałam.

– Wyciekający cantus... To interesująca teoria. Jednak rzeczywistość prawdą jest, że wszystkie nowe gatunki zwierząt opisane w ostatnim tysiącleciu zostały odkryte w pobliżu Świętej Bariery. – Na twarzy Satoru nagle pojawiło się zdumienie. – To może być przyczyna tego, co tu zaszło. Mieszkańcy Japonii wyobrażają sobie Tokio jako swego rodzaju piekło na ziemi. Cantus, który wyciekał, kiedy ludzie rozmyślali o tym miejscu mógł powoli je przekształcać, przez co stawało się ono coraz bardziej i bardziej straszliwe...

Dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. Właśnie tam byliśmy. W samych piekielnych otchłaniach.

– Niezależnie od tego, co twierdzi podwójnie fałszywy minoshiro, kwaśne deszcze prawdopodobnie nie były jedynym czynnikiem zaangażowanym w powstanie tych stalaktytowych jaskiń.

Nagle z głębi mojego umysłu wypłynęła inna myśl.

Wyciek cantusu... Nie. To nie była *moja* myśl.

Miałam wrażenie, że gdzieś w moim wnętrzu ukryta jest inna osoba.

Osoba, którą doskonale znam.

Kiedy kontynuowaliśmy wędrówkę korytarzem, w pewnym momencie Kiroumaru zatrzymał się gwałtownie i przystawił ucho do ziemi.

– Co się dzieje – zapytał go przestraszony Inui.

Czyżby usłyszał kroki naszych prześladowców?

– Skały są tu cienkie. Pod nami znajduje się głęboka przepaść. To dobre miejsce na pułapkę.

– No jasne – odparł Inui, w mig pojmując, o co chodzi.

Stworzył ogromne pęknięcia w podłodze, przecinające całą szerokość tunelu. Wytrzymałyby ciężar jednego dziwoszczura, ale wszystko by się zawaliło, gdyby próbowało przejść ich tędy więcej.

– To najpewniej ich nie zabije, ale zaczną rozglądać się za innymi pułapkami i zmniejszą tempo – powiedział usatysfakcjonowany Kiroumaru.

– A co, jeśli my będziemy musieli tedy wracać?

– Jeśli wpadłbym we własne sidła, oznaczałoby to, że nie zasługuję na życie.

Zaczęłam zastanawiać się czy sama zasługuję by żyć.

Im dalej się posuwaliśmy, tym bardziej powietrze roilo się od much. Swoim brzęczeniem nad głowami doprowadzały nas do szału, a do tego wciskały się w każdą szczelinę, jaką znalazły. Temperatura ponownie zaczęła się podnosić a po twarzy spłynęła mi strużka potu.

– Myślę, że zbliżamy się do kolejnej kolonii nietoperzy – oznajmił Kiroumaru. – Kiedy przejdziemy jej środkiem, zamaskuje to nasz zapach na pewien czas...

Serce stanęło mi na samą myśl o tym, że ponownie będę musiała wejść w to cuchnące szambo. Jedynym pocieszeniem było to, że do wyjścia było już stamtąd niedaleko.

Wśród panującego mroku dojrzałam przed sobą tuziny smug słabego, zielonego światła.

– Co to?

Kiroumaru warknął z pogardą. Przywiodło mi to na myśl pomruk przeklętego kota.

– Przyczepiają się do ofiary, krępując jej ruchy. Tak długo, jak uważa się, żeby ich nie dotknąć, nie stanowią jednak zagrożenia. Co ważniejsze, ich obecność oznacza, że gdzieś tu jest szyb prowadzący

na wyższe poziomy. Jeśli tamtędy pójdziemy, mamy szansę zgubić pogoń.

Zapytaliśmy podwójnie fałszywego minoshiro o radę, po czym zdecydowaliśmy, że postąpimy zgodnie z sugestią Kiroumaru.

Pod Tokio ciągnęły się dziesiątki dużych, połączonych ze sobą pieczar, poprzecinanych jeszcze rozleglejszą siecią mniejszych tuneli. Jaskinie znajdowały się dość blisko powierzchni, ale pod nimi znajdowały się niższe poziomy, dostępne przez naturalne obsuwiska skalne lub rzadziej – przez szyby.

Pomiędzy piętrami istniały liczne wąskie korytarze stworzone przez dżdżowierńce. Podobnie jak normalne dżdżownice, te robaki nie posiadały zębów, ale potrafiły bez trudu przewiercać się przez skały i beton, wydzielając silny kwas czubkami głów.

Wydrążone przez nie dziury przepuszczały światło, powietrze i wodę, przynosząc tym samym korzyści żyjącym głęboko pod ziemią stworzeniom, wliczając w to muchołowy.

Muchołowy istnieją od starożytnych czasów i są bezpośrednimi potomkami wielkich płaskich robaków młotogłowych, należących do wirków. Mogą one osiągać nawet metr długości i przypominają cienkie pasma taśmy z otworem gębowym na środku. Polują na inne robaki oraz ślimaki i, podobnie jak pająki, potrafią wytwarzać jedwab.

Muchołowy przędą swoje nici, na których opuszczają się tunelami wydrążonymi przez dżdżowierńce. Tak samo jak robaczki świętojańskie, emitują słaby, zielonkawy blask, przyciągający owady, które przylepiają się do śluzu pokrywającego ich ciała a następnie są pożerane przez trzydziestocentymetrową paszczę zajmującą całą centralną część robaka. Muchołowy osiągnęły nawet dwanaście metrów długości i mówi się, że są w stanie udusić tokijskiego nietoperza olbrzymiego, owijając się wokół niego jak wąż.

Wyczuwając bijące od lampy ciepło, muchołowy odpełzły w górę, odsłaniając otwór szybu w suficie.

Według szacunków Kiroumaru, grubość skał oddzielających ten poziom od wyższego wyniosła zaledwie około czterdziestu

centymetrów, ponieważ dżdżowiercnice miały zwyczaj przewiercać się przez kamień w miejscach, w którym był on najcieńszy. Wraz z Inuim wspięliśmy się ostrożnie. Muchołowy uciekły już na jeszcze wyższe piętro i nie pozostał po nich nawet ślad.

Wróciliśmy na dół i pognaliśmy w stronę kolonii nietoperzy żeby stłumić nasze zapachy, po czym natychmiast cofnęliśmy się do szybu i wdrapaliśmy się na górę.

Nadszedł czas, żebym wykorzystała swoją specjalność. Wycięłam ze skał coś w rodzaju pokrywy, którą zamknęłam wylot szybu, a następnie, używając mentalnego obrazu spajania roztrzaskanej ceramiki, połączyłam ją dokładnie z kamiennymi ścianami otworu. Nie wiedziałam, jak moje dzieło wygląda z dołu, ale byłam przekonana, że bez bardzo dokładnego zbadania sufitu nie da się dostrzec pokrywy. Pomimo, że moja umiejętność naprawy popsutych rzeczy mogła nie wydawać się niczym nadzwyczajnym, w gruncie rzeczy był to dość złożony proces, którego Bestia, znająca tylko zniszczenie, z pewnością nie potrafiła zrozumieć.

Zgodnie z tym, co mówił Kiroumaru, zapachy przenosiły się dość dobrze w płaskich tunelach, ale nie przemieszczały się równie skutecznie pionowymi szybami, więc nasza woń powinna nadal pozostawać niewyczuwalna.

Pomyślałam, że przejście na inny poziom jaskiń było doskonałym planem. Musieliśmy jednak zachować najwyższą czujność. Wiedziałam, że kolejnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

W porównaniu z niższym korytarzem, w tym tunelu było chłodniej i bardziej sucho. Fauna również była tu zdecydowanie bogatsza.

Pierwszym powodem takiego stanu rzeczy była duża ilość gleby, której brakowało w dolnej, kamienistej grocie. Dzięki temu żyły tu przeróżne gatunki robaków we wszystkich rozmiarach. Na tym poziomie można było spotkać też jedyne ssaki zamieszkujące podziemia Tokio. Podwójnie fałszywy minoshiro nazywał je myszami

jaskiniowymi i twierdził, że pochodzą one od zwykłych brunatnych myszy, które zaadaptowały się do tutejszych warunków. Ich wzrok stał się bezużyteczny, więc żeby polować na gzy jaskiniowe i inne insekty gromadzące się w pobliżu stosów guana, polegały jedynie na zmyśle powonienia.

Te dwa gatunki stanowiły najniższe ogniwo łańcucha pokarmowego, więc, co oczywiste, istniały też inne stworzenia, które na nich żerowały.

Nie minęło dużo czasu, kiedy spotkaliśmy tych drapieżców.

Zszokował mnie widok pierwszego z nich, oświetlonego blaskiem latarni. To była gigantyczna pijawka. Była pomarańczowa w brązowe pasy, miała ponad cztery metry długości i była niezwykle gruba. Miotła szaleńczo we wszystkie strony swoim malutkim łbem, badając otoczenie, przez co nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że stwór bardziej przypomina węża niż pierścienicę. Przestraszyłam się jej tak bardzo, że nieświadomie zaczęłam szeptać mantrę.

– Nie trzeba ich zabijać. Porusz się, a sama się przekonasz. Są w stanie ocenić, jak duzi jesteśmy, wyczuwając ciepło i ruchy naszych ciał.

Zastanawiałam się w którym momencie Kiroumaru stał się takim gorliwym obrońcą zwierząt, ale posłuchałam jego polecenia. Olbrzymia pijawka wyczuła, że jestem zbyt duża, by mogła mnie zaatakować, odwróciła się zwinnie i zniknęła w ciemnym tunelu. Podwójnie fałszywy minoshiro wyjaśnił, że stwór należy do gatunku pijawek tygrysich, które normalnie zamieszkują góry. Uważa się, że wywodzą się od pijawek morskich i choć należą do pierścienic, inteligencją i metodami polowania dorównują raczej gadom.

Już po chwili natknęliśmy się na pijawkę innego typu, która właśnie próbowała zapolować na coś, czym mogłaby się pożywić. Po ścianie pełzał siedemdziesięciocentymetrowy robak Yamate, nakrapiany świecącymi w ciemności plamkami. Jak powiedział podwójnie fałszywy minoshiro, nazwano go tak, ponieważ przypominał jeden z pociągów starożytnej cywilizacji.

Nagle coś oderwało się z sufitu i z prędkością strzały wystrzelonej z łuku poszybowało w dół, by po chwili przygwoździć robaka do ściany. To była pijawka koroniasta. W przeciwieństwie do swojego przodka, pijawki o trzech zębach, jej otwór gębowy zdobił wieniec składający się z aż szesnastu kłów, których używała do polowania na dżdżowierki i inne insekty. W porównaniu z pijawką tygrysią była znacznie chudsza, ale kiedy zobaczyłam, w jaki sposób pożera wijącego się robaka jednym kłapięciem szczęk, uświadomiłam sobie jak bezwzględne mogą być żywe istoty, kiedy zdobywają pokarm potrzebny im do przeżycia.

– Myślę, że przebyliśmy już jedną trzecią drogi – powiedział Kiroumaru.

Byłam trochę zawiedziona faktem, że czeka nas jeszcze tak długi marsz. Ze znajdującej się przed nami jałowej ziemi dochodziło cykanie jakichś owadów. Zastanawiałam się, co to za insekty.

– Co to takiego? Suzumushi?¹ – zapytałam podwójnie fałszywego minoshiro.

– Świergoczące owady, które słyszysz są spokrewnione z karaluchami. Wydają te odgłosy, żeby zwabić samice i...

– Już wystarczy – przerwałam mu, wzdrygając się.

– Saki, nie zadawaj mu żadnych pytań, jeśli nie jest to konieczne. Co, jeśli jego baterie wyczerpią się, zanim dotrzemy do celu? – powiedział z wyrzutem Satoru.

– Przepraszam.

Był jeszcze bardziej zgryźliwy niż zazwyczaj; zastanawiałam się, czy to rana tak na niego wpływa.

Szliśmy gęsiego: Kiroumaru, Inui, Satoru i na końcu ja. Czułam się nieswojo pilnując tyłów, ale nie byłam na tyle odważna, żeby iść z przodu. Do tego wszystkiego stan Satoru nie pozwalał mu zająć mojego miejsca, więc właściwie nie miałam wyboru.

Nagle wyczułam za sobą jakiś ruch i gwałtownie się obróciłam.

¹ Suzumushi (鈴虫), *meloidomorpha japonica* – gatunek świerszcza, charakteryzujący się wydawaniem typowych odgłosów, przypominających dzwonki.

Niczego tam nie było. Jedyne mroczny tunel, którym przed chwilą przeszłam.

Zrobiłam kilka kroków i ponownie się odwróciłam. Po raz kolejny blask latarni nie ujawnił zupełnie niczego. Widziałam tylko swój cień, rozciągający się na ścianach tunelu.

– Co się dzieje? – spytał Satoru, najwyraźniej dręczony poczuciem winy za sposób, w jaki poprzednio na mnie warknął.

– Nic takiego. Cały czas wydaje mi się, że coś tam jest... To pewnie tylko moja wyobraźnia.

Szliśmy w milczeniu, nie odzywając się do siebie. Cały czas nastawiałam uszu, nasłuchując dobiegających od tyłu dźwięków, jednak było zupełnie cicho.

Wtedy uświadomiłam sobie, że to właśnie cisza jest nienaturalna.

Odgłosy świergoczących karaluchów dobiegały z przodu i z boków. Za moimi plecami nie dało się usłyszeć nawet pojedynczego owada.

Insekty wydawały się nie zwracać na nas najmniejszej uwagi. Dlaczego więc ich cykanie ustawało, kiedy tylko obok nich przeszliśmy?

Chciałam spytać o to podwójnie fałszywego minoshiro, ale się zawahałam. Kiedy przeszliśmy kawałek dalej, raz jeszcze powoli się obróciłam.

Nadal nic oprócz cieni. Ale...

Stałam nieruchomo jednak mój cień powoli się przybliżał.

– Cienie się poruszają...! – krzyknęłam.

Kiroumaru pospiesznie podbiegł do mnie ze swojego miejsca na czele naszej formacji.

– Ogień! Odpędź go ogniem!

Byłam w stanie stworzyć iskrę korzystając z cantusu, ale nie mogłam wytworzyć płomieni, nie mając niczego, co mogłoby się palić. Otworzyłam pokrywkę lampy, chlusnęłam zawartym w niej olejem i szybko podgrzałam go do temperatury zapłonu.

Ognisty język smagnał ściany tunelu. Cień zniknął jednak jeszcze zanim płomień do niego dotarły.

– Co to jest?

– Zwiewajcie!

Odwróciliśmy się i zaczęliśmy biec, jakby goniła nas sama śmierć. Nie licząc nierównego podłoża oświetlanego nierównomiernie kołyszącą się lampą, zupełnie nic nie widziałam. Taki bieg był szaleństwem.

Po dwóch lub trzech minutach, kiedy myślałam już, że moje płuca zaraz eksplodują, Kiroumaru się zatrzymał.

– Myślę, że znacznie się od niego oddaliliśmy. Ten cień nie potrafi zbyt szybko się poruszać.

– Co to jest, do diabła? – przerwał mu Satoru.

– Nie mam pojęcia, ale podczas mojej ostatniej wyprawy to właśnie ten „cień” zabił najwięcej moich żołnierzy. Żaden nie zdołał uciec mu uciec.

– Powiedz mi, czym jest to coś – prychnął Satoru w stronę podwójnie fałszywego minoshiro.

– To czarnowdowie roztocza. Drapieżny gatunek roztoczy, polujący w przypominających cienie stadach. Dysponują zabójczą neurotoksyną i polują na prawie wszystkie stworzenia zamieszkujące jaskinie, żywiąc się ich miękkimi tkankami.

– Tak czy inaczej, musimy ruszać dalej – zauważył Inui.

Ruszyliśmy naprzód, utrzymując szybkie tempo. Moglibyśmy spróbować potraktować roztocza ogniem, ale były zbyt małe i szybkie, by dało się wziąć je za cel. Gdybyśmy z kolei podpalili cały tunel, z pewnością zawalilibyśmy go. Nie mogliśmy też zdmuchnąć ich wiatrem, ponieważ w ścianach korytarza było dużo zagłębień i zakamarków, w których małe pajęczaki mogłyby się schronić. Zawalenie całego korytarza było absolutną ostatecznością, ale skala zniszczeń mogłaby z łatwością wymknąć się spod naszej kontroli. W każdym razie, ucieczka była jak na razie najlepszym wyborem.

Zanim jednak zdążyliśmy się bardziej oddalić, natknęliśmy się na coś dziwnego leżącego na ziemi.

– Co to takiego?

Inui oświetlił obiekt podnosząc lampę. Jej blask ujawnił coś, co wyglądało jak długi na kilka metrów płaski worek. Był pomarańczowy w czarne plamki.

To była skóra pijawki tygrysyj, którą wcześniej spotkaliśmy. Wszyscy zaniemówiliśmy.

– Musiała zostać pożarta przez „cień”. Z moich żołnierzy również pozostały tylko skóra i kości – powiedział spokojnie Kiroumaru.

– Hej, rój, który ją zabił musi być niedaleko, prawda? – zapytał nerwowo Inui.

– Najprawdopodobniej. Czarnowdowie roztocza wciąż mogą czaić się na ścianach lub suficie.

Gończkowo rozejrzałam się wkoło.

– Nie przejmujcie się. Po zjedzeniu tak dużego zwierzęcia powinny być syte. Chodźmy. Starajcie się zachowywać jak najciszej, żeby ich nie prowokować.

Oddaliliśmy się bezgłośnie.

– Ten poziom tuneli chyba jest gniazdem roztoczy. Nie spodziewałem się tego, ale właściwie to nawet dobrze.

– Dobrze? – wysapał Satoru, rozwścieczony optymizmem Kiroumaru. – Wszystkim nam grozi śmierć. Tunele są ciemne a roztocza zbyt małe, byśmy mogli użyć na nich cantusu i...

– Masz rację. Nie zapominaj jednak że Bestia, która jest dla nas znacznie większym zagrożeniem, również będzie musiała tędy przejść.

Satoru wyglądał na zdziwionego.

– Jeśli nasi wrogowie znajdą się w tym korytarzu, „cień” ich schwyta. To opóźni ich na jakiś czas, a może nawet paru z nich zostanie rannych... Z tego powodu powinniśmy darować życie także

pijawkom. Sugerowałbym, żeby od teraz nie zabijać żadnego z tych ohydnych stworów, na które wpadamy.

– To chyba nienajlepszy pomysł – zaprotestował Inui.

Mężczyzna zamienił się ze mną miejscami i teraz to on osłaniał tyły.

– Wygląda na to, że „cień” zbliża się do nas szybciej niż się spodziewaliśmy.

Wszyscy chcieliśmy jak najszybciej uciekać, ale Kiroumaru zachowywał się jakbyśmy mieli mnóstwo czasu.

– Szczęście wciąż nam sprzyja – powiedział. – Spójrzcie, przed nami znajduje się bezpieczny obszar.

Wskazał na las błyszczących, zielonkawych wstążek, kołyszących się na wietrze. Muchołowy.

– Z jakiegoś powodu roztocza nie zbliżają się do muchołowów. Kiedy je minimy, będziemy mogli trochę odpocząć.

Uświadomiłam sobie, że te trzepoczące tasiemki są naturalnymi wrogami roztoczy. Nawet, jeśli pajęczaki dałyby radę precyzyjnie się między muchołowami, ich instynkt podpowiadał im, żeby nie próbowały tego robić.

– Jeśli przestraszymy je tak jak poprzednio, uciekną na wyższe piętro jaskiń. Uważajcie, żeby ich nie dotknąć.

Zgodnie z zaleceniami Kiroumaru, przepełźliśmy na czworakach przez morze zielonych wstęg. Odległość między podłogą i muchołowami wyniosła zaledwie około czterdzieści centymetrów, więc przejście pod nimi nie było zbyt proste. Ostatecznie wszyscy jakoś zdołaliśmy przedostać się na drugą stronę.

Kiedy obejrzałam się przez ramię, zobaczyłam, że grota z której wyszliśmy jest praktycznie całkowicie oblepiona roztoczami. Pajęczaki zachowywały jednak bezpieczny dystans do muchołowów, bojąc się do nich zbliżyć.

Byliśmy bezpieczni. Wszyscy odetchnęli głęboko z ulgą. Muchołowy mogły jednak w każdej chwili przemieścić się na wyższy

poziom, a wtedy cała chmara czarownic roztoczy opadłaby na nas jak huragan.

Nie mieliśmy więc wyboru i musieliśmy iść dalej. Idąc tunelem natknęliśmy się na wiele rozgałęzień i kiedy tylko było to możliwe, wybieraliśmy te bliższe kierunkowi wskazywanemu przez podwójnie fałszywego minoshiro. Po przejściu trzech takich skrzyżowań kompletnie straciłam orientację. Gdybym oddzieliła się od grupy, najprawdopodobniej umarłabym niechybnie, błakając się po korytarzach.

Poruszaliśmy się szybciej niż poprzednio, przemierzając kilka kilometrów w stosunkowo krótkim czasie. Z oddali dobiegł subtelny dźwięk uderzającego o coś metalu. Raz, drugi, trzeci...

Kiroumaru przystawił ucho do ściany i zaczął cierpliwie nasłuchiwać.

– Wygląda na to, że wróg rozdzielił się na dwa niezależne zespoły. Szukają nas i komunikują się ze sobą, wykorzystując te dźwięki... Zdaje mi się też, że od strony powierzchni nadciąga kolejny oddział.

– W jaki sposób robią ten hałas?

– Po prostu uderzają o ścianę młotkiem. To popularna metoda przesyłania informacji przez kilka warstw kamienia.

– Wiesz, co mówią?

– Nie. Każda kolonia ma swój własny szyfr. Przypuszczam jednak, że informują się, że jak dotąd nie mają najmniejszego pojęcia, gdzie jesteśmy.

Uświadomiłam sobie, że nasi prześladowcy próbują właśnie nas otoczyć. Tak jak wcześniej przewidywaliśmy, rozpoczął się wyścig z czasem.

Prawdziwą niewiadomą było jednak to, czy po tysiącu lat Psychobójca wciąż istnieje.

Byliśmy zszokowani widokiem, jaki przed sobą ujrzeliśmy.

Pod naszymi stopami rozpościerała się głęboka przepaść. W przeciwległej ścianie rozpadliny nie było żadnych wylotów korytarzy.

Z cienkiej szczeliny w sklepieniu sączyło się delikatne, migotliwe światło. Usłyszałam dźwięk wody. Na początku pomyślałam, że stoimy nad podziemnym jeziorem, ale kiedy zrzuciłam w dół papierek i zobaczyłam, że powoli odpływa, uświadomiłam sobie, że to rzeka.

– Musimy popłynąć w górę – rzekł Kiroumaru po namyśle.

– To niewykonalne – zaprotestował Inui. – Nie mamy łodzi ani drewna na budowę tratwy, a płynięcie wpław byłoby zbyt niebezpieczne.

Zaczęłam się trząść na samą myśl o wejściu do wody. Kto wie, jakie stwory mogły się tam czaić.

– A co, jeśli dalej pójdziemy powierzchnią? – spytał Satoru. – Większość przeciwników została w podziemiach, racja? No, przynajmniej Bestia. Szybciej byłoby więc poruszać się górą...

– Nie zgadzam się – odparł oschle Kiroumaru. – Naziemne oddziały wykorzystują do zwiadu ptaki, więc zostaniemy wykryci kiedy tylko wyjdziemy na powierzchnię. Informacja o naszym położeniu natychmiast zostanie przekazana pod ziemię. Kiedy już dowiedzą się, gdzie jesteśmy, będą dosłownie mieli nas w garści. Będą mogli też napaść na nas z zasadzki i nie będziemy w stanie określić skąd i kiedy może zaatakować Bestia.

– Ale... Co w takim razie zrobimy?

– Podzielmy się na dwie grupy. – Kiroumaru przysunął się bliżej urwiska i zerknął w dół. – Jeden zespół wróci do jaskiń i odciągnie stąd wrogów dzięki swojemu zapachowi, natomiast druga drużyna wróci w tym czasie na niższy poziom i cofnie się drogą, którą tu przyszliśmy.

– Ale po co? – zapytał go Satoru.

– Żeby dostać się do łodzi i ją tu sprowadzić.

Satoru wyglądał na skonfundowanego.

– Nie bądź śmieszny. Jak niby mamy przenieść coś tak dużego aż tutaj?

– Ta rzeka musi wpływać do morza. Nie widzieliśmy jej jednak na powierzchni, co oznacza, że jej ujście znajduje się pod wodą. Powrót do tego miejsca w łodzi podwodnej powinien być względnie bezpieczny.

Zapanowała martwa cisza. Niezależnie od tego, do której grupy bym nie trafiła, plan działania był szaleńczo niebezpieczny.

Widzieliśmy jednak, że nie ma innego wyjścia.

Rozdział 2

Ostrożnie przesuwałam się do przodu, trzymając latarnię w uniesionej wysoko dłoni. Ta grotka była równie wilgotna jak poprzednia; woda skapywała z sufitu i spływała po ścianach, tworząc pod moimi stopami niewielkie strużki. Ciężko było cokolwiek dostrzec i zdawało mi się, że potknę się od razu, gdy choć trochę się zdekongcentruję.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytał Inui, odwracając się przez ramię, nie przestawiając przeć do przodu ze zwinnością, jaką pochwalić mogło się niewielu ludzi w jego wieku.

– Tak... Choć nie narzekałabym, gdyby nie było tutaj całej tej wody – mruknęłam.

– Fakt, ale dzięki temu, że jest tu tak mokro „cień”... to znaczy roztocza tu się nie dostaną.

Pomimo, że te niewielkie pajęczaki zazwyczaj preferują wilgotne miejsca, w tej jaskini było tak dużo wody, że miałyby problemy z poruszaniem się. Czarnowdowie roztocza są na tyle małe, że napięcie powierzchniowe wody wystarcza, żeby je uwięzić. Chociażby z tego powodu naprawdę nie powinnam była narzekać, że jestem cała przemoczona.

Nasza czwórka rozdzieliła się na dwie drużyny, zgodnie z sugestią Kiroumaru. Inui i ja wracaliśmy na plażę, żeby odzyskać łódź, natomiast Satoru i Kiroumaru weszli do korytarzy, żeby zostawić w nich fałszywy trop zapachowy.

Satoru poprosił mnie, żebym poszła po nasz pojazd, wykorzystując jako pretekst ranę, która, jak twierdził, uniemożliwiłaby mu tak długą podróż, jednak jego prawdziwe intencje były aż nazbyt oczywiste: chciał wziąć na siebie bardziej niebezpieczne zadanie. Nawet mimo tego, że miał ze sobą Kiroumaru, przecinanie ścieżek wroga tuż pod jego nosem było ekstremalnie ryzykownym przedsięwzięciem. Najmniejszy błąd oznaczałby ich koniec.

Wiedziałam o tym doskonale, ale mimo to zaakceptowałam bez słowa sugestię Satoru.

Wszyscy musieliśmy przeżyć. Nie wolno mi było przestać wierzyć, że tak będzie.

– Inui, wszystko będzie z nami w porządku, prawda? – spytałam, licząc na jakieś słowa pocieszenia.

Odpowiedź, jaką od niego uzyskałam, definitywnie nie była tym, co chciałam usłyszeć.

– Jeśli mam być szczery, nie mam pojęcia. To wszystko przekracza moje wyobrażenia.

– No tak...

Zapanował ponury nastrój.

– Upewnię się jednak, że przeżyjesz bez względu na okoliczności, Watanabe-san. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby utrzymać cię przy życiu.

– Dziękuję. Twoje słowa dodają mi otuchy. W końcu spośród naszych nieustraszonych strażników Ochrony Przyrody, to ty jesteś jedynym, który zdołał przetrwać.

Pożałowałam tego, co powiedziałam, zanim jeszcze zdążyłam dokończyć zdanie.

– Przetrwać? – Inui uśmiechnął się nieznacznie.

– Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

– Nie, nie, to nic takiego. Po prostu nigdy nie myślałem o sobie w ten sposób. Powiedziałbym raczej, że wyrwałem się śmierci spod kosa.

– Ale...

– Tak właśnie to wygląda. Towarzysze, których utraciłem byli mi bliżsi niż rodzina. To, że spośród nich to ja przeżyłem było zwykłym uśmiechem losu... Niczym więcej. Jestem jak duch. Chcę pomścić moich przyjaciół; tylko to trzyma mnie jeszcze przy życiu.

Miałam wrażenie, że bardzo niedawno usłyszałam identyczne słowa z ust kogoś innego.

– Bestia zapłaci za to, co zrobiła – powiedział Inui. Na jego twarzy, zamiast typowej łagodności, malował się silny gniew. – Proszę, przyrzeknij mi, że ją dopadniesz, nawet jeśli ja nie dotrwam do końca naszej misji.

– Obiecuję.

Dopadnę... Mimo, że podświadomość powstrzymywała nas od używania bardziej dosadnych określeń, kiedy mówiliśmy o innym człowieku, doskonale wiedziałam, o co tak naprawdę mu chodzi.

– Właśnie to mają na myśli dziwoszczury, kiedy nazywają nas bogami śmierci. Myślę, że teraz już wiem, co czuli ludzie, którzy stali się ich ofiarami.

– Ja też... Miałam wrażenie, że cały ten świat jest tylko krainą z sennych koszmarów. Że wszystko, co się stało, jest nieprawdziwe. Że następnego dnia obudzę się rano i ktoś powie mi, żebym niczym się nie przejmowała, bo to był tylko sen. Że... – przerwałam, czując jak słowa więzną mi w gardle.

– Wiem. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie czuję się tak samo. Rzeczywistość jest jednak taka, że musimy bardzo się postarać, żeby w ogóle obudzić się o poranku. – Inui westchnął głęboko. – Muszę powiedzieć ci coś o Kiroumaru.

– O Kiroumaru? – Byłam zdziwiona, że poruszył akurat jego temat.

– Będąc całkiem szczerym, nie wiem do jakiego stopnia możemy mu ufać.

– Ale... Czy to nie on cię ocalił? Poza tym, jak myślisz, gdzie byśmy w tej chwili byli, gdyby nie jego pomoc...?

– Oczywiście, masz rację. Nie zaprzeczam temu.

Inui przerwał na moment.

– Watanabe-san, jak uważasz, w jakich okolicznościach ludzka czujność zostaje uspiona?

Zamyśliłam się.

– Chyba wtedy, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem, prawda? Kiedy czujemy się bezpiecznie, mamy skłonność do dekoncentracji.

– To prawda, że właśnie w takich sytuacjach ludzie stają się beztroscy. Osoba z natury ostrożna stałaby się jednak wtedy jeszcze bardziej czujna.

– Więc kiedy tak się dzieje?

– Opierając się na własnym doświadczeniu, uważam, że nasza koncentracja jest najmniejsza wtedy, kiedy myślimy, że sytuacja nie może być już gorsza. Nigdy nie spotkałem osoby, która byłaby skrajnie zrozpaczona położeniem w jakim się znalazła, a mimo to pomyślałaby, że sprawy mogą jeszcze bardziej się skomplikować. Ludzie chwytają się każdej najmniejszej iskierki nadziei i często nie dostrzegają oznak nadciągającego większego niebezpieczeństwa.

– Myślisz, że właśnie w takiej sytuacji się teraz znajdujemy?

– Cóż, nigdy nie pomyślałabyś, że teraz, kiedy sprawy mają się tak niedobrze, ktoś mógłby nas zdradzić, nie mylę się?

– Twierdzisz, że Kiroumaru jest zdrajcą?

– Musimy brać pod uwagę taką możliwość.

– Dlaczego? Ponieważ nie jest człowiekiem? Czy masz może jakiś konkretniejszy powód?

– Mam dwa.

Inui uniósł lampę nieco wyżej i wznowił marsz. Ruszyłam za nim.

– Po pierwsze, podejrzany jest już sam fakt, że odwiedził wcześniej to miejsce. Czego tu szukał?

– On... Czy nie chciał po prostu rozeznaczyć się w okolicy? Prowadził ciągłe wojny z innymi koloniami, więc gdyby odkrył, że zdobycie tych ziem pomoże mu w jakiś sposób w walce, zdobyłby przewagę nad przeciwnikami...

– Naprawdę uważasz, że poświęciłby z tego powodu życie jednej trzeciej swoich żołnierzy? Dowódca taki jak Kiroumaru z reguły przerywa misję, kiedy choć jeden wojownik straci życie.

– Więc po co, według ciebie, tu przyszedł?

– Nie wiem. Jednak gdyby nie chciał przed nami ukryć celu swojej wyprawy, po prostu by nam o wszystkim opowiedział, nie wydaje ci się?

Musiałam przyznać, że w pewnym momencie w moim umyśle zagościło podobne podejrzenie, ale pomyślałam, że to po prostu niemożliwe. Gdyby Kiroumaru rzeczywiście okazał się zdrajcą, bylibyśmy zgubieni. Sama nie wiedziałam już, co o tym myśleć.

– Jeśli on... – urwałam nagle.

Skądś dochodził dziwny dźwięk. Zatrzymaliśmy się i wsłuchaliśmy się weń uważnie. Inui przyłożył ucho do ściany.

To było potężne dudnienie, dobiegające gdzieś daleko z góry.

– Co to takiego?

– Prawdopodobnie zawalił się jeden z tuneli.

Westchnęłam.

– Może zadziałała nasza pułapka – podsunęłam.

– Nie... Myślę, że to nie to. Słyszałem podobne dźwięki już wcześniej, jakieś cztery razy. – Inui zamyślił się na dobrą chwilę, ale nie powiedział już nic więcej.

– Wcześniej wspomniałeś, że podejrzewasz Kiroumaru z dwóch powodów. Jaki jest ten drugi?

– Niedługo sama się przekonasz. Zyskamy pewność, kiedy dotrzemy na wybrzeże – odparł tajemniczo Inui.

Pomimo, że droga powrotna nad ocean zajęła nam znacznie mniej czasu niż wędrówka w drugą stronę, nadal trwała ładnych kilka godzin. Kiedy dotarliśmy do jednej z prowadzących na powierzchnię rozpadlin i spytaliśmy podwójnie fałszywego minoshiro o drogę, maszyna potwierdziła, że jesteśmy niecałe sto metrów od miejsca ukrycia łodzi podwodnej.

Byłam wyczerpana, a ból nóg był nie do zniesienia, jednak nie mieliśmy czasu na odpoczynek. Wspomagając się cantusem, zaczęłam wspinać się po stromej ścianie skalnej. Z głębi ziemi dobiegał nieznośny dźwięk, brzmiący jak chóralne skrzeki miliona chochlików.

Zastygłam, przerażona tymi odgłosami.

– Nie bój się, to tylko nietoperze – uspokoił mnie Inui.

Z odległego wylotu jaskini wysypywały się setki tysięcy olbrzymich nietoperzy tokijskich, robiących ogłuszającą wrzawę. Trzepotały skrzydłami tuż nad naszymi głowami, ale dzięki zdolności echolokacji żaden z nich na nas nie wpadł.

Kolonia nietoperzy wylała się z groty niczym pojedynczy organizm i zniknęła na ciemniejącym niebie. Uświadomiłam sobie wtedy, że do zmierzchu zostało już bardzo niewiele czasu. Po tym jak o poranku zeszliśmy do podziemnych korytarzy, całkowicie straciłam rachubę czasu. Pomimo, że od śniadania niczego nie jadłam, nie czułam się głodna. Byłam tak zaabsorbowana zmuszaniem się do marszu, że nie poczułam głodu nawet, kiedy z powodu zbyt niskiego poziomu cukru we krwi zaczęło kręcić mi się w głowie.

Niebo zmieniło barwę z błękitu na ultramarynę. Kiedy w końcu wydostaliśmy się na powierzchnię, nad Tokio zapadła już kurtyna nocy.

Wyjrzelśmy z rozpadliny. Stado nietoperzy wyglądało już zaledwie jak czarna chmara komarów, tańczących w przestworzach. Musiało być ich przynajmniej sto milionów. Żaden z ptaków wroga nie byłby w stanie dostrzec niczego przez taką żywą zasłonę. Skuliliśmy się przy ziemi i szybko pognaliśmy w stronę miejsca, w którym ukryta była łódź.

Pojazd wyglądał na nieuszkodzony. Korzystając z cantusu, szybko podźwignęliśmy go do góry.

Chciałam już ruszać w stronę brzegu, ale Inui mnie zatrzymał.

– Poczekaj chwilę.

– Czemu? Jeżeli się nie pospieszymy, możemy zostać wykryci.

– Niebezpiecznie jest zbliżać się nocą do brzegu, pamiętasz?

Zagryzłam usta. Kompletnie wyleciało mi to z głowy.

– Jestem taka nieroztropna...

Otworzyłam plecak Inuiego i spytałam o radę podwójnie fałszywego minoshiro.

– Ludzie i dziwoszczury byli atakowani nocą w pobliżu wybrzeża. Jakie jest najgroźniejsze żyjące tam stworzenie?

Maszyna milczała przez dłuższy moment, przez co zaczęłam obawiać się, że mogła się zepsuć. W końcu jednak zaczęła mówić przerywanym głosem.

– Przypuszcza się, że to gigantyczny robak bobbit... gatunek wieloszczeta... prawdopodobnie wyewoluował z jego mniejszej wersji¹ ... tylko w samej Zatoce Tokijskiej... parę oczu i dwa czułki... dwie silne szczęki... drapieżniczy... nocny tryb życia... szczególnie groźny zwłaszcza podczas okresu godów...

Podwójnie fałszywy minoshiro zamilkł.

– Och, nie! Zepsuł się!

– Pewnie wyczerpały się jego baterie. Już od dawna nie był na słońcu.

– Ale jak teraz znajdziemy podwodny tunel...?

– Później pomyślimy nad tym, jak go naładować. Teraz musimy skupić się na bezpiecznym wejściu na pokład i zwodowaniu łodzi – zauważył Inui, przenosząc moją uwagę na najbardziej palącą obecnie kwestię. – Żołnierze Kiroumaru prawdopodobnie zostali zaatakowani przez tego wieloszczeta.

Nie potrafiłam sobie przypomnieć jak wyglądają te zwierzęta.

– Masz na myśli coś w rodzaju tych niewielkich, podobnych do dżdżownic robaków, żyjących na dnie oceanu?

– Pomyśl o nim raczej jak o morskim wiju. Skoro zaatakował i zabił kilka dziwoszczurów, można spokojnie założyć, że jest dość duży.

Inui nagle spochmurniał.

– To właśnie jest drugi powód, dla którego jestem podejrzliwy wobec Kiroumaru – kontynuował. – Łatwo było przewidzieć, że kiedy dotrzemy na brzeg, zapadnie już zmrok. Nie ostrzegł nas jednak przed

¹ Robak bobbit (*Eunice aphroditois*) – gatunek drapieżnego, oceanicznego wieloszczeta. Dorasta nawet do trzech metrów. Poluje nawet na znacznie większe od siebie ofiary, chwytając je za pomocą silnych, ostrych szczęk i wciągając pod piasek lub, żwir, w którym jest zagrzebany.

żadnymi niebezpieczeństwami, które mogą nam tu grozić nocą. Co więcej, nie wspomniał nawet o tych przerośniętych robakach.

– Mógł po prostu nie wiedzieć o tym stworze nic poza tym, że zaatakował jego wojowników, prawda? – odparłam. – Ponadto mógł przypuszczać, że zdołamy się przed nim obronić dzięki pomocy podwójnie fałszywego minoshiro.

– No cóż... Może rzeczywiście myśli zaprzętały mu ważniejsze sprawy – zgodził się Inui. – Tak czy inaczej, chodźmy już. Jeśli ten potwór naprawdę jest wieloszczetem, będziemy bezpieczniejsi na pokładzie.

Posłuchałam Inuiego i wsiadłam do łodzi, zamykając za sobą właz. Mężczyzna uniósł nasz pojazd w powietrze i delikatnie postawił go na wodzie, niedaleko brzegu.

Łódź kołysała się delikatnie w lewo i prawo pod wpływem fal, a jej dno szorowało po piasku.

Przednie okno znajdowało się dokładnie na poziomie tafli wody, przez co niczego nie mogłam dostrzec. Gdybym nie wiedziała, czego się spodziewać, z pewnością nawet bym nie podejrzewała, że na dnie może czaić się jakieś niebezpieczeństwo.

Inui ostrożnie zanurzył się w oceanie i podpłynął do łodzi od lewej strony. Z zapartym tchem śledziłam jego ruchy, wyczekując na atak wielkiego robaka, ale nic się nie stało.

Usłyszałam, jak mężczyzna wspina się po kadłubie i puka w pokrywę włazu. Otworzyłam zasuwę i spojrzałam na Inuiego.

– Ten stwór jest teraz...

Usłyszeliśmy dziwny trzask; zupełnie jakby coś wdrapywało się po zewnętrznej ścianie kabiny. W następnej sekundzie Inui zniknął, a przez uchyloną pokrywę włazu zaczęła wciskać się czarna, paskudna kreatura. Wyglądała jak duży krocionóg i poruszała się tak szybko, że jej liczne odnóża rozmywały się w jedną, ciemną smugę. Ciało stwora było jednak na tyle długie, że na wyprowadzenie ataku miałam nawet więcej czasu, niż było mi potrzebne.

Podpaliłam potwora, który wydał z siebie mrozący krew w żyłach pisk, brzącający tak ludzko, że przez chwilę zdawało mi się, że to Inui krzyczy.

Z potężnym pluśnięciem robak wpadł z powrotem do wody. Wspięłam się po drabince i wyjrzałam w dół.

Ujrzałam najohydniejszego stwora świata. Oplótł naszą łódź swoim segmentowanym ciałem, przebierając odrażająco odnóżami.

Po chwili wystawił z wody łeb i spojrzał prosto na mnie. Pysk potwora był zadziwiająco podobny do ludzkiej twarzy; nie miał czułków a zamiast tego pokryty był czarnym włosiem, spod którego wyzierała para utkwionych we mnie, błyszczących oczu.

Na tym jednak kończyły się jego podobieństwa do człowieka. Nie licząc tych dwóch wyłupiastych ślepi, jego głowa była zupełnie gładka. Kiedy przyjrzałam się niższym partiom jego ciała, w okolicy miejsca, które nazwałabym piersią dostrzegłam coś, co, jak przypuszczałam, było otworem gębowym. Szczęki kreatury przypominały słoniowe kły i uderzały o siebie wariacko, kiedy stwór naprzemiennie otwierał i zamykał usta.

Wrzasnęłam.

Potwór wynurzył się nad powierzchnię morza niczym trzymetrowa kukielka, po czym natarł na mnie, szeroko otwierając paszczę.

Na ułamek sekundy przed tym, zanim monstrum zdążyło zacisnąć zęby na mojej głowie, jego łeb eksplodował.

Stwór zwinął dziko swoje olbrzymie cielsko. Po chwili usłyszałam drugi wybuch a zaraz potem kolejny. Kreatura szarpnęła się po raz ostatni, po czym wpadła do morza i znieruchomiała.

– Nic ci nie jest? – spytał Inui z wody.

– Nie.

Wypowiedzenie tego jednego słowa pochłonęło całe moje zasoby energii. Wciąż byłam sparaliżowana strachem. Jeśli Inui w ostatniej chwili nie przybyłby mi na ratunek, zostałabym pożarta przez potwora.

– Może być ich tutaj więcej. Musimy się stąd wynosić!

Schowałam się do kabiny, a Inui szybko wdrapał się na łódź i zamknął za sobą pokrywę wjazdu.

Zaczeliliśmy powoli się zanurzać i przemieszczać do przodu.

Płyn, który wystrzelił z rozerwanego na kawałki robaka pokrywał moje ciało po sam czubek głowy. Był lepki i śmierdział jak zgniłe mięso, ale nie miałam czasu, żeby się tym przejmować, ponieważ musieliśmy jak najszybciej wydostać się z terenów łowieckich tych stworów. Inui powierzył mi sterowanie kołami a sam podszedł do przedniej szyby i wypatrywał podwodnego ujścia rzeki.

Ocean był już czarny jak smoła. Inui przytknął twarz do okna, żeby nie przeszkadzało mu odbite od szkła światło lampy. Nie mogłam odgonić natrętnej wizji, w której kolejny morski robak wyłaniał się z głębin i rozbijał szybę jednym uderzeniem swoich przerośniętych szczęk.

Na szczęście nic takiego się nie stało. Inui wypatrzył wejście do dużej jaskini, całej porośniętej falującymi łagodnie wodorostami. Byłam pewna, że to właśnie jest ujście rzeki.

Wpłynęliśmy do środka. Mrok jeszcze bardziej się pogłębił; miałam wrażenie, że płyniemy przez morze atramentu.

Im dłużej płynęliśmy tunelem, tym bardziej się niepokoiłam. Z powodu małych rozmiarów kabiny, prawdopodobnie nie zostało nam już dużo tlenu. Kiedy płynęliśmy rzeką Tone, była nas czwórka, a teraz na pokładzie znajdowaliśmy się tylko ja i Inui, więc teoretycznie mogliśmy wytrzymać bez wynurzania się dwa razy dłużej niż poprzednio. Nie miałam jednak pojęcia, ile tlenu zużywa lampa.

– Watanabe-san, dziękuję, że mnie wtedy uratowałaś – powiedział Inui.

– Przecież to ty mnie ocaliłeś.

– Nie, mam na myśli to, co zrobiłaś wcześniej. Wskoczyłem do oceanu, chcąc uciec przed potworem, ale on poruszał się tak szybko,

że czekał już na mnie przy łodzi, gotów mnie pożreć. Gdybyś go wtedy nie podpaliła, rozerwałby mnie na pół.

Bez cantusu nie mielibyśmy żadnych szans pokonać robaka. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że to miejsce naprawdę jest piekłem. Gdybym nie potrzebowała Psychobójcy, już dawno bym stąd uciekła.

Przyszło mi wtedy na myśl, że dobrym pomysłem byłoby zwabienie tu Bestii. Gdyby uśmiechnęło się do nas szczęście, jedna z tych okropnych, podziemnych kreatur mogłaby ją zabić, wykonując za nas zadanie.

Dałam się pochłonąć tym mrocznym marzeniom. To był jedyny sposób, żeby nie zwariować. Aby przetrwać w piekle, trzeba samemu stać się demonem. Próbowałam nie myśleć o mojej wiosce, rodzicach, ludziach, których kochałam. Musiałam skoncentrować się jedynie na tym, aby przeżyć.

Choć płynęliśmy tunelem już bardzo długo, jego wygląd cały czas pozostawał niezmienny. Jedynie płynąca spokojnie woda. Żadnego światła, żadnego powietrza.

Przyszło mi na myśl, że być może jest nam pisane się tu udusić. Krople potu zaczęły spływać mi po czole, choć nie byłam pewna czy to z powodu gorąca, czy zdenerwowania. Wiedziałam jedynie, że coraz trudniej jest mi oddychać i że śmierdzące robacze wnętrzości nie są jedynym tego powodem.

A co, jeśli wpłynęliśmy do złego tunelu? To była przerażająca wizja. W okolicy powinna być jednak tylko ta jedna podziemna rzeka.

Korytarz mógł więc równie dobrze kończyć się ślepo w miejscu, gdzie woda wpływała do podziemnego jeziora.

Kiedy tak rozmyślałam, kręcąc kołami, moja wyobraźnia zaczęła zlewać się z rzeczywistością.

Przypomniałam sobie, że już kiedyś, gdy byłam jeszcze dzieckiem, doświadczyłam podobnego zjawiska. To było podczas letniego obozu, kiedy błakaliśmy się bez celu po tunelach dziwoszczurów.

Wyglądało na to, że po długotrwałym przebywaniu w ciemności, nawet najslabszy bodziec wystarcza, żeby wprowadzić mnie w stan hipnozy. Prawdopodobnie miało to związek z odprawioną w Świątyni Czystości przez Naczelnego Mnicha Mushina ceremonią, w której brałam udział przed wieloma laty.

Również tym razem, powoli zapadłam w trans. Miałam wrażenie, że moje ciało odpływa, a umysł unosi się w czarnej, nieskończonej pustce.

Zaczęłam słyszeć dźwięki.

Saki. Saki.

Ktoś wołał moje imię.

– Kto to...? – wyszeptałam.

To ja, Saki – odparł znajomy głos.

– Ty jesteś....

To był on. Chłopiec bez twarzy.

Nie możesz przypomnieć sobie mojego imienia, prawda? Nie martw się. Zawsze jestem przy tobie. Żyję w twoim sercu.

– W moim sercu?

Tak. Cantus jest mocą, dzięki której nasze myśli wydostają się z umysłu i trafiają do świata zewnętrznego. Nasze dusze nie są w końcu niczym innym, jak myślami. A część mojej duszy jest zakorzeniona głęboko w twoim sercu.

– Ale dlaczego? Co się z tobą stało?

To także zapomniałaś? Nic nie szkodzi. Kiedyś sobie przypomnisz.

– Powiedz mi przynajmniej, jak się nazywasz.

Znasz moje imię. Ktoś postawił w twojej głowie barierę, która nie pozwala ci sobie go przypomnieć.

– Watanabe-san? Wszystko w porządku? – spytał niepewnym głosem Inui.

– Tak... Nic mi nie jest.

Miałam wrażenie, że mój umysł rozdzielił się na dwie części, i że moimi ustami przemawia zupełnie inna osoba.

Saki. Saki. Nie musisz się niczym przejmować. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

– Czy naprawdę mogę pokonać Bestię?

Bestię? Nie rozumiesz. On nie jest Bestią. To...

Głos stawał się coraz odleglejszy i w końcu ucichł, zastąpiony krzykiem kogoś innego.

– Watanabe-san! Proszę, weź się w garść! Wszystko z tobą w porządku? – pytał głośno Inui.

Powróciłam do rzeczywistości.

– Tak... Tak. Przepraszam. Po prostu trochę odpłynęłam...

Dwie połówki mojego umysłu powoli połączyły się w całość.

– Wynurzamy się?

– Teraz?

– Nurt osłabł i widzę na górze coś, co wydaje się powierzchnią. Nad nami znajduje się chyba wielki korytarz.

Łódź wynurzyła się z ciemnej, stojącej wody.

Inui uchylił pokrywę wjazdu, uważnie nasłuchując jakichkolwiek dźwięków.

Kiedy do kabiny dostało się świeże powietrze, głęboko odetchnęłam z ulgą.

– To dość przestronny tunel. Prawdopodobnie został zbudowany dawno temu.

Mężczyzna wspiał się po drabinie i wyszedł na zewnętrzny pokład, a ja podążyłam za nim. Wydawało mi się, że jesteśmy we wnętrzu olbrzymiej kamiennej kopuły.

– To gwiazdy? – spytałam, wskazując na sklepienie.

Błyskawicznie uświadomiłam sobie jednak, na co tak naprawdę patrzę. Zielone, migoczące światełka na suficie wydawały się znajome.

– Robaczki świętojańskie...

Ten widok był zupełnie inny niż to, co ujrzeliśmy lata temu w jaskiniach dziwoszczurów. Tym razem owadów było tak dużo, że zdawało mi się, że nad naszymi głowami rozpościera się cała

galaktyka. Blask robaczków odbijał się od czarnej tafli wody, nadając jej wygląd rozgwieżdżonego nocnego nieba.

– Ja również po raz pierwszy widzę coś takiego. Wabią swoim światłem inne insekty – powiedział oczarowany Inui.

– W pobliżu nie ma muchołówów, ich naturalnych wrogów, więc to one zdominowały tę grotę... Już rozumiem. W suficie nie ma żadnych otworów. Wygląda na to, że dżdżowiertnice nie są w stanie przebić się przez ten kamień. Może jest za gruby, może za twardy... Tak czy siak, właśnie dlatego nie ma tu ani jednego muchołowa.

Zanim skończyłam mówić te słowa, przed oczami stanęła mi zupełnie niepowiązana z robaczkami wizja.

Puls rozszedł się od naszej łodzi, usuwając wszystkie fale.

– Och, to jest niesamowite!

Wyglądało to zupełnie, jakby woda zamarzła. Każda niedoskonałość powierzchni została wygładzona, nadając jej wygląd wypolerowanego szkła, ogromnego lustra odbijającego wszystkie gwiazdy nocnego nieba.

– Przepiękne. To jakbym była w kosmosie.

Aż do śmierci będę pamiętać tamtą noc. Nie płynęliśmy już po rzece. Sunęliśmy po Drodze Mlecznej.

– O co chodzi? – spytał Inui, widząc, że nagle zamarłam w miejscu.

– Nic... To nic takiego. – Odwróciłam się i zaczęłam rozglądać się po wielkiej kopule, chcąc ukryć przed nim łzy.

Idealna chwila z idealnego świata...

Wtedy sobie przypomniałam. To chłopiec bez twarzy pokazał mi tamten widok.

– Już prawie się naładował. – Inui spojrział w górę. Cały czas musiał być mocno skoncentrowany, więc czoło miał usiane kropelkami potu.

– Dziękuję... To niesamowite, że dałeś radę to zrobić. Gdybym była tu sama, nigdy bym na to nie wpadła – powiedziałam szczerze.

– Z technicznego punktu widzenia, to nie było nic skomplikowanego. Zorientowałem się po prostu, że trzeba dostarczyć mu światło o długości fali dorównującej słonecznemu, więc... – Uniósł wzrok znad lampy i pochodni, którą z takim trudem skonstruował. – Jeśli zdołamy włączyć to coś i spytać się go, w jaki sposób trzeba wykonać baterię słoneczną, reszta będzie prosta. Nie wiem dokładnie, w jaki sposób panele słoneczne przetwarzają światło na energię elektryczną, ale jeśli potrzebuje jedynie prądu, mogę mu go dostarczyć, produkując elektryczność bezpośrednio poprzez cantus.

Inui otworzył pokrywę baterii i wskazał na kable.

Nie miałam pojęcia jaki obraz mentalny trzeba stworzyć, żeby wyprodukować coś tak abstrakcyjnego i nienamacalnego jak elektryczność. Satoru też nieźle radził sobie z różną maszyną, więc może jest to dziedzina, w której mężczyźni z natury są lepsi od kobiet.

Już po kilku minutach podwójnie fałszywy minoshiro ponownie ożył. Mimo, że zdawało się, że przez cały czas był wyłączony, okazało się, że wciąż śledził nasze położenie i od razu był w stanie określić naszą pozycję. Na szczęście wybraliśmy właściwy tunel.

Poprosiłam Inuię, żeby wrócił do łodzi, tak, abym mogła spokojnie wykąpać się w rzece i zmienić ubranie. Kiedy zmyłam z siebie śmierdzący szlam, od razu poczułam się o niebo lepiej, choć nadal nie do końca wierzyłam w powodzenie naszej misji. Teraz pozostało nam jedynie spotkać się z Satoru i Kiroumaru, a następnie, dzięki koordynatom od podwójnie fałszywego minoshiro, odnaleźć drogę do starego, opuszczonego budynku rządowego.

Nagle uświadomiłam sobie, jak naiwny jest mój tok myślenia.

Podróż w górę rzeki zajęła nam tyle czasu, że wieczór zmienił się w środek nocy.

W umówionym punkcie spotkania nie było ani śladu Satoru i Kiroumaru.

Czekaliśmy tam przez pewien czas, ale Inui w końcu zdecydował, że powinniśmy ruszać dalej.

– Chodźmy. Nie możemy marnować więcej czasu.

– Ale nie możemy tak po prostu ich zostawić... – zaprotestowałam, choć wiedziałam, że mężczyzna ma słuszość.

– Musimy mieć nadzieję, że są bezpieczni. Być może ukrywają się gdzieś, próbując odciągnąć od nas Bestię... Dotarcie tu zajęło nam dużo czasu. Mamy do wykonania ważne zadanie, więc to na nim musimy skupić się w pierwszej kolejności.

Wróciliśmy na pokład łodzi i ponownie odbiliśmy od brzegu.

W porównaniu do szerokiego tunelu, którym płynęliśmy wcześniej, rzeka była tu znacznie węższa, ale na szczęście sklepienie korytarza znajdowało się dość wysoko. Z jakiegoś powodu nie wyrastały z niego żadne stalaktyty. Cały korytarz sprawiał ogólne wrażenie wykonanego ludzką ręką. To było coś w rodzaju starożytnego tunelu kolejowego.

Fakt, że w suficie nie dostrzeżliśmy żadnego otworu wygryzionego przez dżdżowierznice oznaczał, że beton, z którego wykonano ściany musiał być bardzo wysokiej jakości. Miałam przecucie, że Centralny Budynek Rządowy Numer 8 jest już niedaleko.

Po kilku chwilach znaleźliśmy się w ogromnym pomieszczeniu. Nie dorównywało rozmiarom kopulastemu planetarium robaczków świętojańskich, ale i tak było bardzo wysokie. Podwójnie fałszywy minoshiro wyjaśnił, że była to niegdyś stacja metra.

Kiedy powoli przemierzaliśmy mroczną komnatę, odkrywając w blasku lampy prastare ślady bytności człowieka, ogarniał mnie dziwny niepokój.

Łódź płynęła spokojnie w górę szerokiej rzeki, jednak w pewnym momencie zatrzymała się gwałtownie. Przed nami znajdowała się duża ściana.

– Rzeka tutaj się kończy...?

– Prawdopodobnie znowu wpływa pod ziemię. Zanurkujmy i się przekonajmy.

Łódź zatrzeszczała i zapiszczała opadając na dno, zupełnie jakby narzekała z powodu przepracowania.

Wyglądając przez niewielkie okno przeczesaliśmy wzrokiem zagradzający nam drogę mur i doszliśmy do dwóch wniosków. Po pierwsze, w ścianie były liczne otwory, przez które wydostawała się woda. Po drugie, żaden z nich nie był na tyle duży, by nasz pojazd mógł się w nim zmieścić.

– To niedobrze. Będziemy musieli porzucić łódź.

– Nie możemy poszerzyć którejś dziury?

– Napór wody mógłby wtedy okazać się zbyt duży i, gdybyśmy mieli pecha, doprowadzilibyśmy w ten sposób do zawalenia się całego tunelu.

Na co więc była nam cała ta wyprawa? – pytałam się posepnie w myślach.

– Jak daleko od celu jesteśmy? – spytałam podwójnie fałszywego minoshiro.

– Do pokonania pozostało około sto metrów. Kiedy przejdziecie przez wejście A19, które znajduje się tuż przed wami, będziecie na terenie budynku.

Poczułam przyływ determinacji. Doszliśmy już tak daleko. Nie było powodu by się wahać, skoro do przejścia pozostała nam tak niewielka odległość.

– Działasz pod wodą? – zapytał Inui.

– Autonomiczne Archiwum Słoneczne Toshiba SP-SPTA-6000 jest całkowicie wodoodporne, potrafi znieść ciśnienie do trzynastu barów i zachowuje pełną funkcjonalność nawet na głębokości stu dwudziestu metrów – odparła dumnie maszyna, nie mając najwyraźniej pojęcia, jaki czeka ją los.

– Popłynę przodem i rozeznam się w sytuacji.

Pokręciłam przecząco głową.

– Idziemy razem. Jeśli coś ma się stać, lepiej mieć przy sobie partnera.

– Ale...

– Jeśli coś ci się stanie, i tak nie poradzę sobie dalej sama. Dlatego też równie dobrze możemy jednocześnie położyć swoje życia na szali – dodałam.

Sprzeczałyśmy się w taki sposób jeszcze przez dłuższą chwilę, ale w końcu Inui dał za wygraną. Wypłynęliśmy na powierzchnię i wysiedliśmy z łodzi.

Chodzenie pod wodą nie było moją mocną stroną. Żałowałam, że nie przykładałam się bardziej do ćwiczeń w Akademii Mędrców, ale teraz było już za późno na pracę nad tą umiejętnością.

Zebrałyśmy powietrze z tunelu i wcisnęliśmy je pod wodę, tworząc dwie wielkie bańki.

Inui poszedł przodem. Dopiero co włożyłam czyste ubranie, więc ruszyłam za nim z lekką niechęcią. Woda była lodowata.

Obciążeni balastem, który dźwigaliśmy w plecakach, powoli opadliśmy na dno rzeki. Jeden z powietrznych bąbli otoczył górną połowę mojego ciała oraz latarnię, którą niosłam. Byłam przekonana, że wystarczy mi tlenu na kilka minut.

Podwodny marsz okazał się bardziej męczący niż się spodziewałam. Woda stawiała duży opór, a nurt rzeki, choć słaby, nieustępliwie popychał mnie do tyłu. Ciężar plecaka, nie pozwalający mi wypłynąć na powierzchnię dodatkowo krępował moje ruchy.

Wnętrze bańki odbijało całe światło, praktycznie uniemożliwiając dostrzeżenie tego, co znajduje się poza nią. Co chwila musiałam wystawiać głowę na zewnątrz, żeby upewnić się, czy nadal idziemy w dobrym kierunku.

Na szczęście podłoga okazała się równiejsza niż przypuszczałam. Ściany również w znacznej mierze zachowały swój kształt z czasów, kiedy zostały wzniesione przez starożytnych. Być może beton był trwalszy, kiedy stale obmywała go woda.

Inui zatrzymał się jakieś dwanaście metrów dalej i wymachując swoją latarnią dał mi znać, że znalazł wejście, o którym wspominał podwójnie fałszywy minoshiro. Wychyliłam głowę z bąbla i ujrzałam prostokątny otwór w ścianie. Schody musiały być zaraz za nim.

Jeszcze tylko kawałeczek. Bezwiednie przyspieszyłam kroku. *Nie, chwila. Coś jest nie w porządku.* Inui wymachiwał dziko ramionami. *Co się dzieje?*

W następnej chwili zostałam dosłownie wyrwana ze swojej powietrznej bańki. Inui wystrzelił mnie w stronę sklepienia tunelu. Zanim dotarło do mnie, co się stało, tuż pode mną przemknął olbrzymi cień.

To był gigantyczny wieloszczet, znacznie większy nawet od tego, którego wcześniej zabiliśmy. Miałam być jego ofiarą, ale gdy tylko stracił mnie z oczu zawrócił i obrał za cel Inuiego. Mężczyzna nie miał czasu by zrobić unik. Szczęki robaka zacisnęły się na jego szyi, jednak w tej samej chwili potwór rozprysł się na milion kawałeczków zabarwiając wodę na intensywnie czerwony kolor.

Światło lampy zgasło, pogrążając wszystko w ciemnościach. Desperacko próbowałam nie pozwolić, by panika wzięła nade mną górę. Ciężki plecak sprawił, że ponownie zaczęłam opadać na dno. Zrzuciłam go i podpłynęłam do sufitu. Kiedy zostałam wyrzucona w górę, utraciłam swoją powietrzną bańkę, przez co nie miałam teraz czym oddychać. Wyciągnęłam ręce przed siebie i zaczęłam po omacku przeszukiwać sklepienie.

Znalazłam. To była niewielka kieszeń powietrzna pod sufitem. Musiała powstać z części naszych bąbli, Nie była dość duża, żeby objąć całą moją głowę, więc musiałam przystawić do niej same usta i oddychać w taki sposób.

Nie było czasu do stracenia. Myślałem jedynie o tym, żeby przetrwać. Tlenu nie wystarczyłoby mi na powrót do łodzi, więc nie miałam wyboru i musiałam pokonać ostatnie sto metrów dzielące mnie od wyjścia.

Drzwi powinny być tuż przede mną. Chciałam już odpłynąć w ich stronę, ale w ostatniej chwili zreflektowałam się i chwyciłam swój plecak. W środku był podwójnie fałszywy minoshiro.

Posuwałam się do przodu, krok po kroku. *Nie myśl. Nie oddychaj* – powtarzałam sobie w myślach, idąc ślepo przed siebie.

Nie mogłam jednak odnaleźć wejścia. *Może pomyliłam kierunki?* Kiedy miałam już wrażenie, że serce mi się zatrzyma, zderzyłam się ze ścianą. Rozpaczliwie chwyciłam ją dłońmi z obu stron, żeby upewnić się, że ona naprawdę tam jest. Przesunęłam się i po chwili wyczułam pustkę pod lewą ręką. *Wyjście.* Nie zatrzymywałam się. Jeden krok, drugi, trzeci... W końcu dotknęłam czegoś stopą. *Schody.* Zaczęłam powoli się po nich wspinać. Nie mogłam oddychać. Potrzebowałam powietrza.

Nie myśl. Po prostu idź. Krok za krokiem.

Poczułam, że zaczynam tracić przytomność. Nie mogłam już dłużej walczyć z przemożną chęcią wzięcia głębokiego wdechu.

Schody zdawały się nie mieć końca. Dotarłam do kresu swoich możliwości. Zrzuciłam plecak i ostatkiem sił podpłynęłam w górę. Ostatnia drobinka powietrza uciekła z moich nozdrzy.

Przebiłam głową taflę wody, krztusząc się i desperacko wdychając stęchłe, cuchnące powietrze. Mogło mieć domieszkę jakichś szkodliwych gazów, ale nie dbałam o to. Między seriami kasznięć oddychałam najgłębiej jak potrafiłam, a po policzkach pociekły mi łzy.

Byłam bezpieczna. Wdrapałam się na szczyt schodów i padłam na ziemię, łkając. Inui oddał życie, żeby mnie uratować, lecz teraz byłam w tym piekle zupełnie sama.

Byłam zdziwiona tym, że drewniane wnętrze budynku zniosło tysiąc lat narażenia na niesprzyjające warunki lepiej niż wszystkie budowle wzniesione z najnowocześniejszego betonu.

Parter i pierwsze piętro Centralnego Budynku Rządowego Numer 8 zachowały się w niemal idealnym stanie. Istniało kilka

powodów takiego stanu rzeczy. Po pierwsze, zaawansowany technologicznie beton utrzymał pierwotny kształt budowli nawet po tym, jak przegniły pręty zbrojeniowe, wzmacniające jej konstrukcję. Po drugie, podziemia i fundamenty zostały zalane wodą. Po trzecie, górna część budynku została pochowana pod gruzami innych wieżowców. Dlatego też, kiedy walki i destrukcja ustały a wszędzie wokół zaczęły tworzyć się jaskinie, budynek pozostał osłonięty ze wszystkich stron.

Trzymając pod lewą pachą podwójnie fałszywego minoshiro, natomiast w prawej dłoni dzierżąc pochodnię, przedzierałam się przez ciemne pomieszczenia. Minoshiro miał oczywiście wbudowaną funkcję latarki, ale nie mogłam sobie pozwolić na tak bez troskie rozładowywanie jego baterii. Teraz, kiedy nie było już ze mną Inuiego, jedyną możliwością ich naładowania był powrót na powierzchnię.

Wcześniej, kiedy postanowiłam zawrócić po plecak z podwójnie fałszywym minoshiro, przeszło mi przez myśl, że nie uda mi się przeżyć. Po chwili przypomniałam sobie jednak o Inuim, który poświęcił się, żeby mnie ochronić i moje zmartwienie natychmiast wydało mi się błahostką. To, że zdołał zabrać ze sobą wroga na tamten świat, było świadectwem jego umiejętności jako pracownika Sekcji Ochrony Przyrody. Dzięki temu wciąż żyłam. Gdyby ogromny robak przetrwał atak Inuiego i ponownie bym na niego wpadła, z pewnością stałbym się przekąską potwora.

Oznaczałoby to też, że złamałam obietnicę daną Inuiemu. Przysięgłam, że bez względu na wszystko powstrzymam Bestię.

Wzięłam kilka spokojnych, głębokich wdechów.

Stałam we wnętrzu budynku, który przez ostatnie tysiąclecie pogrążony był w zimnym mroku. Było w nim coś, co wzbudzało we mnie głęboki, pierwotny lęk.

Zachwycające niegdyś dekoracje pomieszczeń pospadały ze ścian i stopiły się w bezkształtną masę. Znacznie bardziej zaskoczył mnie jednak widok korzeni drzew, które zdołały przebić się

z powierzchni do wnętrza budynku i rozrosły się w nim, zakrywając część podłogi. Myślałam, że Tokio jest jedynie jałowym pustkowiem, ale najwyraźniej kilka roślin zdołało tu przetrwać. Kiedy zastanawiałam się, w jaki sposób korzenie przebiły się przez beton, którego nie udało się przegryźć nawet dźdźwiertnicom, natknęłam się na wysoki szyb ukryty za zniszczonymi, metalowymi drzwiami. Podwójnie fałszywy minoshiro wyjaśnił, że patrzę na coś, co nazywało się windą i było używane przez ludzi do przemieszczania się między piętrami.

Odcięłam kilka grubych konarów i zrobiłam z nich pochodnię. Drewno było bardzo mokre i nie paliłoby się, gdybym nieprzerwanie nie używała cantusu, choć dzięki swojej wilgotności przynajmniej spalało się powoli.

Czy jednak to, czego szukam naprawdę jest gdzieś w tych ruinach? Im więcej o tym rozmyślałam, tym bardziej nieprawdopodobne mi się to wydawało.

W liście od mojej matki były wyszczególnione dwa numery pokoi, ale wszystkie drzwi w budynku były tak przerdzewiałe, że nie mogłam odczytać niczego, co było na nich napisane.

Na najniższym poziomie nie znalazłam niczego, jeśli nie liczyć dwóch szkieletów, na widok których odruchowo pisnęłam ze strachu. Sądząc po rozrzuconych wokół nich kawałkach materiału, ta dwójka musiała nosić jakiś rodzaj białych szat. Większy szkielet należał prawdopodobnie do mężczyzny, a mniejszy – do kobiety. Kości były zbyt uszkodzone, by dało się określić przyczynę śmierci tych ludzi.

Weszłam na wyższe piętro, gdzie znalazłam salę, która wyraźnie różniła się od pozostałych. Prowadziły do niej metalowe drzwi, które w przeciwieństwie do pozostałych nie były przerdzewiałe. Choć umieszczone na nich napisy wyblakły, jeden symbol pozostał wyraźnie widoczny.



– Co to oznacza? – spytałam.

– Zagrożenie biologiczne. W tym pomieszczeniu znajduje się jakaś niebezpieczna organiczna substancja, jak na przykład bakteria, która potrafi wywołać śmiertelną chorobę.

Oznaczało to, że istnieją wszelkie logiczne podstawy, by przypuszczać, że to właśnie w tym pokoju znajdę Psychobójcę.

Hamując ekscytację, popchnęłam metalowe drzwi, jednak ani drgnęły. Być może były zamknięte na klucz, albo ich zamek przerdzewiał.

Cofnęłam się i spróbowałam otworzyć je cantusem. Wyrwana z zawiasów stalowa płyta przeraźliwie zatrzeszczała. Weszłam do środka.

Pomieszczenie przypominało laboratorium. Podłoga była zalana mętną wodą, na której unosiły się niezliczone odłamki szkła. Pod ścianą stało coś, co wyglądało jak sejf z wyrytym na drzwiczkach symbolem zagrożenia biologicznego. Jeśli Psychobójca istniał, prawdopodobnie był w jego wnętrzu.

Związałam podwójnie fałszywego minoshiro kilkoma korzeniami i postawiłam go na stole. Serce łomotało mi dziko, kiedy kładłam dłoń na pancерnej szafie. *Poświęciliśmy tak wiele, żeby się tu dostać. Czy naprawdę w końcu zdobyłam tę diabelską broń?*

Nie potrzebowałam klucza, żeby otworzyć sejf.

Był zupełnie pusty.

Wypuściłam z ust długo wstrzymywany oddech.

Wyglądało na to, że walające się po pokoju odłamki szkła były kiedyś jakiegoś rodzaju pojemnikiem, w którym trzymano Psychobójcę. Nie musiałam nawet pytać podwójnie fałszywego minoshiro by wiedzieć, że brudna woda z pewnością go zniszczyła.

Jeszcze raz przeszukałam pomieszczenie, żeby upewnić się, że niczego nie przeoczyłam, jednak niczego nie znalazłam.

Trzymając pod pachą podwójnie fałszywego minoshiro, weszłam na kolejną kondygnację. Tak jak się domyślałam, również tam nie udało mi się niczego odkryć. Co właściwie spodziewałam się znaleźć w opuszczonych od przeszło tysiąca lat ruinach?

Postanowiłam sprawdzić wszystkie piętra. Nie miałam pojęcia, ile czasu już upłynęło. Mimo, że moja nadzieja coraz bardziej słabła, chciałam doprowadzić poszukiwania do końca. Gdybym tego nie zrobiła, znieważylabym wszystkich tych, którzy zginęli.

W końcu dotarłam na poziom, który znajdował się nad powierzchnią.

Całe piętro było zasypane piaskiem. Jedynym dowodem na to, że ta kondygnacja była niegdyś położona nad ziemią, był fakt, iż w każdym pokoju znajdowały się duże okna. Deszcz, który przesiąkł do wnętrza budynku zamienił piaskowe kopczyki w błotne jeziora. Woda, która zalała położone niżej laboratorium prawdopodobnie również była deszczówką.

Weszłam do sali usytuowanej w centralnej części piętra. Nie różniła się od pozostałych pomieszczeń, jeśli nie liczyć bardzo dużego, drewnianego stołu stojącego pod jedną ze ścian. Byłam pewna, że kiedyś był to gabinet kogoś ważnego.

Rozejrzałam się po pokoju, który na pierwszy rzut oka przypominał zwyczajne biuro, w którym próżno szukać miejsca dobrego do przechowywania niebezpiecznej broni biologicznej. Przeszło mi przez myśl, że nic tam nie znajdę, jednak właśnie wtedy światło pochodni padło na prostokątny kształt na jednej ze ścian.

Podeszłam bliżej, żeby lepiej przypatrzeć się znalezisku. Fragment betonowego muru o powierzchni około czterdziestu centymetrów kwadratowych był pokryty metalem. Wyglądało to jak niewielkie drzwiczki z przytwierdzoną do nich dziwną gałką.

– Co to jest? – spytałam, nie robiąc sobie większych nadziei.

– Skrytka bezpieczeństwa. Używano ich do przechowywania kosztowności. Ta tutaj była najwyraźniej zamaskowana, ale tapeta lub obraz, który ją skrywał musiał kiedyś odpaść ze ściany.

Te wyjaśnienia w zupełności mi wystarczyły. Spróbowałam na siłę wyrwać drzwi, używając cantusu. Sejf był jednak znacznie potężniejszy i miał grubsze ścianki niż ten w laboratorium, więc w ogóle nie byłam w stanie go uszkodzić. Beton wokół skrytki zaczął pękać i wyglądał, jakby zaraz miał pokruszyć się na kawałki.

Zmieniłam taktykę i spróbowałam powoli przewiercić się przez drzwiczki. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z metalem takiego typu i byłam zdumiona jego odpornością na działanie cantusu.

Ostatecznie udało mi się wyryć w sejfie nierówną dziurę i otworzyć od środka drzwi, które głośno zapiszczały. Miały przeszło dziesięć centymetrów grubości.

Trzymając w dłoni pochodnię, zajrzałam do wnętrza skrytki.

Rozdział 3

W sejfie był jakiś przedmiot. Metalowa kasetka, przypominająca trochę etui na pióro. Za nią leżała gruba koperta.

Najpierw wyjęłam pudełko. Na jego wieczku wygrawerowano dziwny symbol, przedstawiający podobną do kosmity, wielkogłową istotę z rozpostartymi szeroko ramionami, otoczoną czerwonym okręgiem, przeciętym prostą linią. Wyglądało to tak, jakby ta kreska powstrzymywała ludzika przed ucieczką z kółka.

Męczyłam się przez chwilę z otwarciem kasetki, zanim dostrzegłam ukryty na niej guziczek. Kiedy go przycisnęłam, wieko pudełka odskoczyło.

Spodziewałam się, że w środku znajdę zupełnie coś innego. W kasetce spoczywał krzyż. Miał siedem lub osiem centymetrów długości i był wykonany z przypominającego szkło materiału, który zdążył nieco zmatowieć przez te wszystkie lata. Nie to było jednak najdziwniejsze.

Krzyż był otoczony dużym pierścieniem, który przebijał trzy z jego ramion. Przywodził mi na myśl rogi kozła albo diabła i wzbudzał we mnie dziwny niepokój.

Podwójnie fałszywy minoshiro wyjaśnił, że jest to krzyż celtycki. Przyjął taki wygląd, kiedy Celtowie dodali do krzyża chrześcijańskiego okrąg, który symbolizował cykl życia i śmierci. Ten konkretny wzór został jednak stworzony w sekrecie przez starożytnych chrześcijan, kiedy ich wiara była zakazana i był używany jako coś w rodzaju pieczęci rodowej.

Odłożyłam go do kasetki i otworzyłam kopertę. Wewnątrz znajdowało się kilka złożonych arkuszy papieru. Kiedy je rozłożyłam, bardzo zdziwiło mnie to, że kartki w ogóle nie pożółkły a atrament jest tak wyraźny, jakby dopiero co wysechł. Nie mogłam jednak odczytać listu, ponieważ nie był napisany po japońsku.

Podwójnie fałszywy minoshiro przeskanował kartki i zaczął tłumaczyć ich treść.

Deklaracja egzorcyzmu. By oczyścić opętanych przez diabła i zwrócić im człowieczeństwo, wypowiadamy świętą wojnę tym najniegodziwszym...

Zawartość listu jasno pokazywała, do jak przerażających skrajności zdolni są posunąć się ludzie omamieni histerią i przeczącym logice fanatyzmem religijnym.

W swej przebiegłości demon zesłał nam dar, nie prosząc o nic w zamian. Obdarowując nas przeklętą mocą psychokinezy, widział zniszczenie, jakie dokona się przezeń za tysiąc lat. Władza wypacza, a władza absolutna wypacza do cna. Nie chodzi tu tylko o potęgę polityczną; ktokolwiek posiada moc zbyt wielką, by był w stanie ją okiełznać, prędzej czy później zostanie zniszczony wraz z całym swoim otoczeniem.

Podwójnie fałszywy minoshiro recytował te słowa swoim miękkim, żeńskim głosem, który sprawiał, że przechodziły mnie ciarki. Mimo to nie rozkazałam mu przestać. Ten list i krzyż miały coś wspólnego z Psychobójcą, więc musiałam poznać do końca treść kartek.

Jako, że ta moc jest niezaprzeczalnie zła w swej naturze, kto ją posiada, demonem lub wiedźmą stać się musi. Pojawienie się ich udowadnia, że polowania na czarownice nie były tylko skutkiem masowej hysterii i oczyszcza imię spisanego przed sześcioma wiekami i tak wzgardzanego po dziś dzień Malleus Maleficarum.¹ Nawet w czasach, kiedy technologia nie była rozwinięta na tyle, byśmy mogli udowodnić istnienie psychokinezy, żyli ludzie, którzy instynktownie

¹ Malleus Maleficarum (*Młot na czarownice*) – traktat o magii, napisany w XV wieku przez dwóch dominikańskich inkwizytorów – Heinricha Kramera i Jacoba Sprengera. Stał się podstawowym podręcznikiem łowców czarownic.

wyczuwali jej istnienie i zagrożenia, jakie są z nią związane. Nawet jeśli w walce o wyrugowanie demonów ze społeczeństwa część ludzi została fałszywie oskarżona i niesłusznie skazana, robiono to jedynie dla dobra ogółu.

Znacznie później dowiedziałam się, czym był *Malleus Maleficarum* i kim było dwoje mnichów, którzy go spisali (nieważne jak próbowałam ich usprawiedliwiać, nie mogłam pozbyć się przekonania, że to oni sami byli opętanymi, na których powinno się przeprowadzić egzorcyzmy). Gdyby to dzieło zostało opublikowane dzisiaj, zakwalifikowano by je do klasy czwartej jako „urzekające” lub „katastrofalne”. Jeżeli nadal praktykowalibyśmy palenie ksiąg, ten tekst byłby pierwszy w kolejce do takiego losu.

Ta niewiarygodna tyrada wymierzona w ludzi obdarzonych cantusem ciągnęła się jeszcze przez kilka stron, jednak w końcu autor listu przeszedł do konkretów.

Dlatego też nie mamy wyboru. Musimy zabić i oczyścić wszystkich tych, którzy posiadli piekielne moce. Jediną skuteczną metodą, by to zrobić jest silnie toksyczna laseczka węglikowa, znana powszechnie jako Psychobójca. To prawdziwe błogosławieństwo od Boga. Alleluja! On zawsze wspomaga nas w potrzebie.

Słuchałam takiego religijnego bełkotu jeszcze przez ładnych kilka minut, lecz ostatecznie podwójnie fałszywy minoshiro przeszedł do tłumaczenia instrukcji użytkowania Psychobójcy.

Ten święty proszek powinien być używany, aby zwalczać polityczny i religijny terroryzm. Można przemycać go w kopertach, lub rozpylać wprost na twarz wroga. Zaprawdę, odpowiednim darem jest ta broń, równie uświęcona jak medalik Świętego Benedykta, zesłana, byśmy mogli prowadzić naszą świętą krucjatę.

Benedykt był chrześcijańskim świętym, czczonym przez starożytną cywilizację. Mówiło się, że wisioriki na których wygrawerowano jego postać oraz krzyż, mają moc odpędzania zła.

Oto jest krzyż sprawiedliwości i odkupienia. Rzucony w demona, uwolni obojętny gaz, który rozsiewa święty proszek. Wystarczy najmniejsza jego drobinka, by, nawet za tysiąc lat, zabić każdego demona, który z oddechem wciągnie go do nozdrzy. Alleluja!

Zamknęłam oczy, słuchając dalszego ciągu tłumaczonego przez podwójnie fałszywego minoshiro tekstu. Kiedy skończył, ponownie wyjęłam krzyż z kasetki.

Zabójcza bakteria była uwięziona w jego wnętrzu przez ostatnie tysiąclecie. Już samo to sprawiało, że nie mogłam opanować drżenia rąk. Zupełnie przypadkowo spojrzałam na szklane naczynie pod innym kątem.

Odkryłam coś szokującego. To, co brałam za celtycki krzyż, tak naprawdę było symbolem zagrożenia biologicznego.

Nie potrafiłam wymyśleć żadnego praktycznego powodu, dla którego ktoś miałby zaprojektować ten pojemnik w taki sposób. Ktokolwiek go wykonał, miał poważnie spaczone poczucie humoru.

Zachowując wyjątkową ostrożność, odłożyłam krzyż do kasetki.

Miałam uwolnić diabła z jego betonowego grobowca. Te nasiona nienawiści były jednak moją ostatnią nadzieją.

Kiedy spróbowałam wstać, nogi ugięły się przede mną ze skrajnego wyczerpania. Pomyślałam, że może powinnam tu odpocząć. Postanowiłam, że później spróbuję odszukać Satoru i Kiroumaru, jednak wiedziałam, że jeśli mi się to nie uda, będę musiała sama zabić Bestię. Tak czy inaczej, po pierwsze musiałam wydostać się z budynku.

Zastanawiałam się, czy powinnam wrócić do podwodnego tunelu. *Gdybym zdołała dostać się do łodzi... Samotne sterowanie nie*

byłoby łatwe, ale jakoś bym sobie poradziła. Bez większych problemów dostałabym się do punktu spotkania.

Nie – pomyślałam. To zbyt niebezpieczne. Wiedziałam, że gdybym spotkała kolejnego robaka, nie dałabym rady sama się obronić i nikt nie mógłby przyjść mi na ratunek. Tamte dwa potwory, które zaatakowały nas wcześniej były martwe, ale zapach krwi Inuiego mógł zwabić kolejne.

Jeśli nie mogę się cofnąć, to co mam robić? Zastanawiałam się, czy dam radę wybić w ścianie przejście na powierzchnię. Z drugiej strony, na pewno wszystko na górze pozostawało pod ścisłą obserwacją wroga i uniknięcie wzroku ptaków-zwiadowców było praktycznie niemożliwe. Kiedy już zostałabym dostrzeżona, nie miałabym większych szans na ucieczkę...

Nagle przypomniałam sobie o nietoperzach. Gdybym tylko zdołała zsynchronizować swoje wyjście z ich powrotem do jaskiń... Niebo byłoby wtedy całkowicie zasłonięte i nikt by mnie nie wypatrzył.

Ile miałam czasu?

– O której godzinie ostatnio wchodziliśmy do jaskini nietoperzy?

– Za mniej więcej półtorej godziny minie doba od tamtego momentu – odparł błyskawicznie podwójnie fałszywy minoshiro.

– Obudź mnie o tamtej porze.

– Zrozumiałem.

Przywiązałam podwójnie fałszywego minoshiro do swojego ramienia i skuliłam się na podłodze. Chwilę później spałam już kamiennym snem.

Rozległ się ogłuszający dźwięk. Natychmiast się obudziłam.

– Jest pięć po czwartej. Słońce wzejdzie za trzydzieści jeden minut. Przypuszczam, że nietoperze zaczną tu wracać lada chwila.

To już? Miałam wrażenie, że nie zmrużyłam oka, jednak podwójnie fałszywy minoshiro najpewniej się nie mylił.

Podniosłam się i zaczęłam przygotowywać się do wyjścia. Nie trwało to zbyt długo. Już wcześniej pozbyłam się plecaka, więc

jedynymi rzeczami, które musiałam ze sobą wziąć były podwójnie fałszywy minoshiro oraz Psychobójca.

Być może obudziłam się dziś po raz ostatni. Potrząsnęłam głową, żeby odpędzić natrętną myśl. Nie było czasu, aby się nad tym rozwodzić.

Dobrze wiedziałam, co muszę zrobić.

Opuściłam przekłete pomieszczenie. Mogłabym przysiąc, że gdy wychodziłam z pokoju, czułam na sobie wzrok jego poprzedniego lokatora, autora tamtej fanatycznej, religijnej tyrady sprzed tysiąca lat.

Weszłam na wyższe piętro, drugi poziom nad ziemią. W przeciwieństwie do niższej kondygnacji, ponad połowa pomieszczeń była tu zawalona lub zasypana po sufit piaskiem.

Spróbowałam odszukać punkt, który znajdował się najbliżej powierzchni. Na zewnątrz wciąż panowały ciemności, więc trudno było cokolwiek dostrzec, ale w końcu znalazłam miejsce, gdzie dało się wyczuć łagodny powiew wiatru. W ścianie budynku widniało duże pęknięcie, które zdawało się łączyć ze światem zewnętrznym.

Kiedy nadstawiłam uszu, usłyszałam piski tysięcy nietoperzy, Najwyraźniej powracały do gniazd. Oznaczało to, że nadeszła pora, aby uciekać i poszukać jakiejś kryjówki.

Najciszej jak potrafiłam, zaczęłam powoli poszerzać szczelinę w murze.

Po dwóch lub trzech minutach dziura była już na tyle szeroka, że mogłam się przez nią prześliznąć. Przeczółgałam się na drugą stronę.

W wąłym świetle gwiazd ujrzałam miejsce równie pozbawione życia jak to, które przed chwilą opuściłam.

Spośród kilku na wpół zrujnowanych budynków które jeszcze się do końca nie zawaliły, żaden nie miał więcej niż trzy piętra.

Metalowe zbrojenia przerdzewiały już wieki temu, a ultra-trwały beton ledwo utrzymywał w całości to, co pozostało z budowli

Wystawione na działanie niesprzyjających warunków atmosferycznych gruzy przekształciły się w bezkształtne, szare głązy, które powoli rozpuszczały się i zlewały w struktury podobne do

krasowych kolumn. Tu i ówdzie ziemię przecinały linie, przypominające czarne rzeki. Podwójnie fałszywy minoshiro wyjaśnił, że były to kiedyś asfaltowe drogi, które utraciły swój pierwotny kształt po długoletnim wystawieniu na działanie promieniowania ultrafioletowego.

Nie licząc chwastów, okolica była bardzo uboga w roślinność. Nieliczne drzewa były zdeformowane i powykrzywiane przez gwałtowne zimowe wichry, szalejące nad niziną Kanto. Gleba na powierzchni była zbyt porowata, by mogła zatrzymywać wodę, więc rośliny nie miały wyboru i musiały poświęcać mnóstwo energii na zapuszczanie długich korzeni, którymi mogłyby dosięgnąć wody, zgromadzonej w podziemiach.

Niebo zasnuła chmara trzepoczących skrzydłami nietoperzy. Jeśli powrót całej grupy miał zająć dokładnie tyle czasu co jej wczorajszy wylot, znaczyło to, że mam jakąś godzinę, góra dwie. Musiałam w tym czasie znaleźć rozpadlinę, przy której rozdzieliliśmy się z Satoru.

Wyszłam z rzucanego przez budynek cienia i, podążając za wskazówkami podwójnie fałszywego minoshiro, przemieściłam się w stronę kolejnych ruin.

Przyszło mi na myśl, że wróg może obserwować nie tylko niebo. Na powierzchni również mogły znajdować się oddziały nieprzyjaciół.

Kiedy biegłam przez przejaśniające się pomału mroki nocy, poczułam dziwną zmianę w swojej świadomości.

Czym było to uczucie? Déjà vu? Byłam pewna, że nigdy wcześniej nie odwiedziłam tego miejsca. Mimo tego, otoczenie zdawało się dziwnie znajome, zupełnie jakbym widziała je lata temu.

Czy to kolejny sen? Nie, to niemożliwe. Mój umysł był zupełnie jasny. *Dlaczego więc...?*

Spojrzałam na rosnące wokół mnie powykęcane drzewa.

Im bardziej zbliżałam się do Świętej Bariery, tym bardziej zdeformowane drzewa mijałam. Większość z nich była pochylona w tę samą stronę, zupełnie jakby wyginał je wiejący bez ustanku wicher.

Po chwili doznałam wszechogarniającego uczucia niepokoju.

Uciekaj. Już. Zwiewaj stąd najdalej, jak potrafisz. To właśnie podpowiadał mi jakiś wewnętrzny głos. Nie chciałam zostawać w tamtym miejscu ani sekundy dłużej.

Pomyślałam jednak o □ i desperacko spróbowałam dodać sobie odwagi. Nie mogłam zawrócić. Byłam jedyną osobą, która mogła go uratować.

Parłam naprzód, kierując się zniekształconą roślinnością. Las wydawał mi się zdeformowany w taki sposób, że tworzył ogromną spiralę. Jeśli miałam rację, □ musiał znajdować się w jej środku.

Sylwetki drzew przypominały olbrzymie, pochylające się nade mną, mackowate stwory. Szłam dalej, pochylając się i przeczołgując pod ich konarami.

Co to było? Zamrugałam. Jakaś inna wizja nałożyła się na rzeczywisty obraz mojego otoczenia.

Czy ja mam halucynacje? Oparłam się dłonią o ścianę pobliskiego budynku i spróbowałam się uspokoić. Wiele lat wystawienia na żywioły sprawiło, że beton był szorstki i podziurawiony.

Na moich oczach ściany zaczęły się trząść i wyginać. Pojawiły się na nich pękające jeden po drugim pęcherze, wyglądające jak bańki mydlane. To był zupełny chaos. Znowu zaczęła mnie boleć głowa.

Gwałtownie cofnęłam rękę, dysząc z przerażenia. To było niemożliwe. Beton nie mógłby wyginać się w taki sposób.

Ta wizja nie była jednak halucynacją.

Naprawdę to widziałam. Byłam tego absolutnie pewna.

Krzyki nietoperzy stały się jeszcze głośniejsze. Robiło się coraz jaśniej. Noc dobiegła końca.

Kiedy spojrzałam w górę, na tle porannego nieba zobaczyłam tysiące, może nawet miliony nietoperzy, trzepoczących skrzydłami w zgodnym rytmie niczym jakiś ogromny smok.

Przemieszczały się w długich kluczach, które wydawały się wstęgami, powiewającymi wśród obłoków. Wyglądały jak...

Wschodzące słońce skąpało je w różowawym blasku.

Nagle cała okolica została rozświetlona jakby wielkim reflektorem. Spojrzałam w górę i zobaczyłam rozciągającą się na całym niebie zorzę polarną. Bladozielona kurtyna zwisała między chmurami, mieniając się różowymi, czerwonymi i fioletowymi odblaskami.

Poczułam, jak gorące łzy strumieniem spływają mi po policzkach.

Moja pamięć nie została całkowicie wyczyszczona. Nieważne jak sprytnych metod użyli, nie byli w stanie po prostu usunąć niewygodnych dla siebie wspomnień. Zdołali jedynie ukryć je głęboko w najdalszych zakamarkach mojego umysłu.

Przypominałam sobie wszystko od nowa. To było zupełnie, jakbym zniszczyła niewidzialną kłódkę i szeroko otworzyła drzwi, blokujące dotąd dostęp do moich wspomnień.

Tamtej nocy wędrowałam przez ciemny las, żeby się z nim spotkać.

Chłopiec bez twarzy. Tak! Nazywał się...!

Szeroko otworzyłam oczy ze zdumienia.

Pojawił się nagle na środku tej betonowej pustyni, niecałe dziesięć metrów przede mną.

– Shun! – krzyknęłam.

Shun odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać.

– Poczekaj!

Rzuciłam się w desperacką pogoń za chłopakiem.

Pojawiał się i znikał pomiędzy ruinami budynków, gnając szybko jak wiatr.

Straciłam go z oczu, kiedy zniknął za rogiem jednej z budowli. Kiedy tam dobiegłam, wciąż stał nieruchomo w tym samym miejscu.

Nie dzieliło nas więcej niż dwanaście metrów.

– Shun! Dlaczego...?

Nie miałam pojęcia, o co właściwie chciałam go zapytać.

Shun powoli podniósł głowę i uśmiechnął się. Ten uśmiech był taki znajomy, wypalony w moim sercu...

Dokładnie w tym momencie wschodzące słońce wychyliło się zza gór gruzu, okrywając chłopca olśniewającym blaskiem.

Nagle wszystko zniknęło równie gwałtownie, jak się pojawiło, kładąc kres tej magicznej chwili. Zostałam sama wśród ruin, zupełnie oniemiała.

– Wszystko z tobą w porządku?

To nie Shun zadał to pytanie. Mówiąc ściślej, nie padło ono nawet z ust człowieka.

– Skąd się tutaj wzięłaś? Co się stało z Inuim? – Kiroumaru zarzucił mnie pytaniami. Na twarzy dziwoszczura malowało się nietypowe dla niego zdumienie.

– Ja... Shun... Nie, co stało się z Satoru? – wydusiłam w końcu.

– Jest w pobliskiej jaskini. Został ranny, więc sam wyruszyłem, żeby znaleźć ciebie i Inuiego.

– Ranny? Co mu jest?

– Nie przejmuj się, to nic poważnego. Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Według kryteriów stosowanych przez Kiroumaru, zranienie Satoru mogło nie być „poważne”, ale mimo to martwiłam się o niego.

– Wracajmy do niego... W jaki sposób został ranny?

– Kiedy ściagała nas Bestia, od tyłu uderzył go skalny odłamek – odparł dziwoszczur, nie zatrzymując się.

– Nietoperzy jest coraz mniej. Musimy się spieszyć.

Weszliśmy do głębokiej, przypominającej lejowate zapadlisko dziury w ziemi, która prawdopodobnie powstała poprzez stopniowe podmywanie betonu przez wodę.

– Saki! – krzyknął Satoru. – Nic ci nie jest. Martwiłem się o ciebie.

Wydawał się być w nienajlepszym stanie. Rana po ukąszeniu ślimaka-wampira na jego lewym ramieniu jeszcze się nie zagoiła, a prawa ręka była owinięta bandażem, który przesiąkł krwią.

– Gdzie jest Inui?

Powoli pokręciłam głową. Satoru pochylił się jedynie w milczeniu, chcąc oddać zmarłemu ostatni hołd.

– Jestem pewien, że umarł jak bohater.

– Tak było. Kiedy płynęliśmy podziemną rzeką, zaatakował nas wielki wieloszczet. Gdyby Inui był sam, z pewnością zdołałby przeżyć. Chciał jednak mnie ochronić i... – urwałam, nie będąc w stanie wydusić nic więcej.

– Saki, nie pozwolimy, by jego poświęcenie poszło na marne.

– Oczywiście... Wiesz, znalazłam go. Nie udałoby mi się to bez Inuiego.

– Naprawdę? Masz Psychobójcę?

– Tak, spójrz.

Wręczyłam mu metalowe pudełko, które związałam szczelnie korzeniami drzew. Krzywiąc się z bólu, Satoru odsupłał wężły i otworzył kasetkę. Zmrużył oczy, widząc spoczywający w jej wnętrzu krzyż.

– Uważaj! Będzie po nas, jeśli się stłucze. Myślę, że musimy jedynie rozbić go u stóp Bestii, kiedy przyjdzie odpowiedni moment.

W kilku słowach opowiedziała o okolicznościach, w jakich odnalazłam Psychobójcę.

– W porządku. – Satoru wyjął krzyż i zawiesił go sobie na szyi.

– Co zamierzasz zrobić?

– Jeśli będziemy trzymać go w pudełku, nie zdążymy w porę go z niego wyjąć, jeśli pojawi się Bestia. Ja go poniosę.

– Jesteś ranny, nie możesz. Ja to zrobię.

– Nie jest ze mną aż tak źle, żebym nie dał rady go rozbić – odparł spokojnie.

Najwyraźniej gotów był poświęcić życie, jeśli zaistniałaby taka konieczność.

– Ale ja...

– No dobrze. Możemy nieść go na zmianę. Ja zacznę – powiedział.

Nie sprzeczałam się dłużej. Tutejsze tunele i tak były na tyle wąskie, że gdybyśmy musieli użyć Psychobójcy w ich wnętrzu, najprawdopodobniej wszyscy zostalibyśmy zakażeni.

– Długie postoje w jednym miejscu są niebezpieczne. Powinniśmy się przemieszczać. – Kiroumaru odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Ale co mamy teraz robić?

– Zdobywając Psychobójcę, osiągnęliśmy nasz główny cel. Chwilowy odwrót wydaje się rozsądnym posunięciem. Z drugiej strony, to może być szansa jedna na milion. Bestia, której pozbycie się jest istotą naszego planu, znajduje się teraz w pobliżu i ochrania ją jedynie słaba eskorta.

Kiroumaru wyszczerzył usta w grymasie, odsłaniając zęby.

– Takie rozwiązanie ma jeszcze jedną zaletę. Wrogowie cały czas myślą, że to oni ścigają nas. Są tak skupieni na pogoni, że kiedy zorientują się, że to oni są ściganymi, będzie już dla nich za późno. Ponadto nie mają pojęcia, że mamy Psychobójcę. Czy naprawdę możemy sobie pozwolić na zmarnowanie takiej sposobności?

Spojrzałam na Satoru, który przytaknął bezgłośnie. Obydwoje wiedzieliśmy, że to nasza jedyna szansa. Musieliśmy powstrzymać Bestię tu i teraz, nawet, jeśli musielibyśmy przy tym umrzeć.

Kiroumaru zdjął mnisie szaty i umył się dokładnie, po czym wysmarował całe swoje ciało mieszanką błota i guana.

– Ten smród jest nie do zniesienia... – jęknęłam, zatykając nos.

Dziwoszczury miały czulszy węch od ludzi, jednak Kiroumaru zdawał się znosić odór dużo lepiej ode mnie.

– Też tak uważam, ale to nie czas na narzekanie. Muszę całkowicie ukryć swój zapach – odparł, rozsmarowując sobie cuchnąca breję na twarzy. – Podążają za waszą wonią jak opętani, jednak z jakiegoś powodu nie są zainteresowani moim zapachem.

– Dlaczego?

– Cóż, przypuszczam, że trzeba zacząć od tego, że niezbyt ich obchodzi. Prawdopodobnie myślą, że samotnie nie stanowią dla nich zbyt dużego zagrożenia. Nie doceniają mnie.

– Kiroumaru zadał im spore straty. Może chcą trzymać się od niego z daleka – powiedział Satoru, trzymając się za nos i tylko lekko poruszając ustami, zupełnie, jakby miało go to ochronić przed smrodem guana.

– Naprawdę zabił ich aż tylu?

– Tak. To naprawdę było coś. Pozbył się siedmiu wrogów.

– Siedmiu? Jak?

– Najpierw zwabił ich do siebie swoim zapachem i zawiódł do jaskini pełnej czarnowdowich roztoczy. To nie był przyjemny widok. Każdy z żołnierzy próbował ratować własną skórę i cały oddział rozpierchł się w panice. Kiroumaru jednak jeszcze z nimi nie skończył. Znalazł inne stado roztoczy i podprowadził je do obozowiska nieprzyjaciół. Kiedy nie było już strażników, Yakomaru i Bestia zostali zmuszeni do ucieczki, jednak właśnie wtedy nasz plan obrócił się przeciwko nam. Kiedy roztoczom skończyło się pożywienie, skupiły się na nas. Wtedy też uświadomiliśmy sobie, że pomimo, iż nie mogą się poruszać na wilgotnych ścianach, nie mają problemu z przemieszczaniem się po tafli wody.

– Naprawdę?

– Mogą zbić się w ciasne skupiska przypominające glony i sunąć po powierzchni... To sprawia jednak, że znacznie łatwiej jest spalić je wszystkie naraz.

Kiedy Satoru z ożywieniem opowiadał dalszy ciąg swojej historii, ponownie zaczęłam mieć wątpliwości. Zastanawiałam się, jak właściwie Kiroumaru dał radę zabić tyle dziwoszczurów.

- Naprawdę pozbył się siedmiu żołnierzy wroga?
- Tak. Chociaż liczę tylko tych, których sam widziałem. Prawdopodobnie dopadł ich jeszcze więcej.
- Ale czy nie mówił wcześniej, że wszystkich nieprzyjaciół jest najwyżej siedmiu?
- Kiedy oddział w podziemiach został zdziesiątkowany, z powierzchni przybyły posiłki. Mimo tego te naziemne oddziały najprawdopodobniej i tak nie były dość liczne, żeby pokryć poniesione przez wroga straty, więc przypuszczamy, że grupa, która zeszła do tuneli liczy teraz najwyżej pięć dziwoszczurów – wyjaśnił Kiroumaru, który w miarę, jak pokrywał się błotem coraz bardziej przypominał golema.
- Hej, czemu nie ostrzegłeś nad przed tym wielkim wieloszczetem?
- Kiroumaru przekrzywił głowę.
- Co masz na myśli? – zapytał.
- Mówię o tym potwornym robalu, żyjącym w pobliżu plaży. To przez niego Inui...
- Wspominanie o zagrożeniach, które występują tylko nocami na wybrzeżu nie wydawało mi się konieczne – odparł, wzdychając głęboko. – Przykro mi. Pewnie ostrzegłbym cię, gdybyś szła sama, ale miałaś ze sobą strażnika z Sekcji Ochrony Przyrody, jednego z tych, których nazywamy bogami śmierci. Poza tym sam nie wiedziałem, czym jest ten stwór. To prawda, że przez niego straciłem wielu żołnierzy, lecz nie miałem okazji ujrzeć go na własne oczy.
- Satoru położył dłoń na moim ramieniu, dając mi do zrozumienia, żebym przestała dalej wypytywać Kiroumaru.
- Niedobrze – powiedział dziwoszczur, marszcząc nos. – Na powierzchni zaczęło padać.
- Co w tym takiego złego? – spytał Satoru.
- Zazwyczaj to dobra rzecz, ponieważ woda wymywa wszystkie zapachy. Tym razem chcemy jednak, żeby wróg podążał śladem naszej woni.

Po chwili sami usłyszeliśmy szum deszczu.

– Tunel na pewno nie zostanie zalany, więc nie musicie się tym przejmować. Głębiej pod ziemią są dziesiątki innych korytarzy, do których przesiąknie cała woda...

Woda spływała strużkami przez liczne dziurki w sklepieniu. Jej chlupot niósł się echem przez tunele.

– Pospieszmy się. Musimy dokończyć tę bitwę tak szybko, jak zdołamy.

Zeszliśmy za Kiroumaru głębiej w podziemia, opuszczając duże, przestronne korytarze i wchodząc do coraz ciaśniejszych i węższych tuneli.

Dziwoszczur zadawał się nawet na chwilę nie tracić orientacji w terenie, kiedy gnał w dół przez niezliczone rozwidlenia.

Słyszałam, jak Satoru sapie z wysiłku. Jego rany dawały o sobie znać.

Po krótkim czasie nasza droga zaczęła piąć się w górę. Skały były coraz bardziej mokre od deszczu i śliskie, więc musieliśmy bardzo ostrożnie stawiać kroki.

Kiedy już zaczęłam zastanawiać się, jak długo będziemy się jeszcze wspinali, doszliśmy do najwyższego punktu korytarza. Odgłos nawałnicy był tu bardzo wyraźny, więc musieliśmy być blisko powierzchni. Do groty wpadało skądś też słabe światło, które byłoby pewnie mocniejsze, gdyby nie ulewa.

– Zastawimy tutaj pułapkę – oznajmił Kiroumaru.

Spojrzałam na miejsce, które wskazywał. W ścianie znajdowała się dziura o średnicy trzech lub czterech metrów.

– To prawdopodobnie tunel stworzony tysiąc lat temu. Prowadzi na powierzchnię, ma jakieś półtora kilometra długości i ani razu się nie rozwidla, a to wszystko jest nam bardzo na rękę.

– Dlaczego uważasz, że to dobrze? Pozostaniemy bez alternatywnej drogi ucieczki – zauważył Satoru, krzywiąc się z bólu.

– Jeśli pozostawimy im tylko jedną możliwą trasę pościgu, łatwiej będzie obliczyć dzielący nas od nich dystans. Tunel i tak ma

na tyle kręty przebieg, że cały czas będziemy mogli pozostawać poza zasięgiem ich wzroku.

Jedynie z zielonych oczu, jakie pozostało Kiroumaru zabłyszczało groźnie spod warstwy błota pokrywającej jego twarz. Krople deszczu i potu zaczęły pomału zmywać kamuflaż.

– Mimo, że nie ma tu dużych rozgałęzień, od korytarza odchodzi kilka niewielkich, ślepych odnóg. Musicie uważać, żeby nie zapędzić się w żadną z nich.

– Jak mamy odróżnić je od głównego tunelu? – spytałam niepewnie.

– Wyglądają zupełnie inaczej. Są dużo węższe i nie mają zaokrąglonych ścian. Nie zabłądzicie, dopóki będziecie trzymać się środka dużego korytarza.

Ton głosu Kiroumaru zdradzał, że uważa on mój praktycznie nieistniejący zmysł orientacji za godny pożałowania.

– Czy to jednak rzeczywiście jest najlepsze miejsce żeby to zrobić...? – spytał Satoru.

– Nie znajdziemy lepszego na potrzeby naszego planu – odparł Kiroumaru z przekonaniem. – Naszym największym sprzymierzeńcem jest wiatr.

Z korytarza nieznacznie wiało. Z jakiegoś nieznanego powodu, w podziemiach Tokio nieustannie dmuchały lekkie bryzy, układające się w skomplikowany system prądów powietrznych.

Mieliśmy zamiar uciekać pod wiatr, tak, żeby Bestia znalazła się na drodze podmuchu. Dzięki temu tylko ona miała zostać zainfekowana, kiedy już uwolnimy zawartość Psychobójcy.

Zastanawiałam się, czy naprawdę może nam pójść tak gładko. Wszyscy mieliśmy poważne wątpliwości, ale nikt z nas nie mógł wpaść na żaden lepszy pomysł.

– To zły znak... Ulewa jest silniejsza niż przypuszczałem – powiedział Kiroumaru, przyglądając się sufitowi i wsłuchując się w dźwięki, których nasze uszy nie były w stanie wychwycić. – Pierwotnie miałem zamiar przeprowadzić Bestię przez cały tunel

i użyć Psychobójcy jeszcze zanim z niego wyjdziemy. Teraz jednak zaczynam myśleć, że to może nie być wystarczająco solidny plan.

– Dlaczego?

– Deszcz zmywa nasz zapach. Musimy za wszelką cenę zmusić Bestię, żeby zaczęła nas ścigać. Potrzebna nam lepsza metoda... Musimy mieć przynętę.

– Ej, chwila. O jakiej przynęcie mówisz? – spytał Satoru z lekkim zaniepokojeniem w głosie.

– Pozwólcie Bestii się zobaczyć, jedynie na chwilę, a potem od razu zmykajcie do tunelu. Nie zdoła powstrzymać instynktu i pogna za wami.

– Oszalałeś? Chcesz, żebyśmy grali z nim w berka? Przecież będziemy w zasięgu jego ataków – wrzasnął Satoru. – To absolutnie niemożliwe. Jeśli choć raz się potkniemy i znajdziemy się w linii jego wzroku, będziemy martwi.

– Obydwoje jesteście dorosłymi, zdrowymi ludźmi. Wasz przeciwnik to tylko dziecko. Powinniście być w stanie biec znacznie szybciej od niego.

– Nie bądź głupi!

– Jest jeszcze coś. Psychobójcę należy rozpylić z bliskiej odległości. Przy tak dużej wilgotności powietrza, proszek nie będzie mógł przemierzyć dużego dystansu i jeśli nie skierujecie go we właściwym kierunku, przylepi się do ścian – ciągnął Kiroumaru, nie zwracając uwagi na Satoru.

– Nie ma mowy. To nie wchodzi w grę – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie wchodzi w grę? Co chcesz przez to powiedzieć? – odparł, posyłając mi chłodne spojrzenie.

– To, że...

– Jak myślicie, ile osób musiało się poświęcić, żebyście mogli zejść tak daleko? – spytał ostro Kiroumaru. – To zrozumiałe, że nie obchodzi was los moich pobratymców. Jednakże, ilu ludzi, poczynając od Inuiego, oddało dla was życie? Oni wszyscy umarli po

to, żebyście mogli mieć ten jeden moment, tę wyjątkową szansę na zabicie Bestii. Zaufali wam na tyle, że zdecydowali się zapłacić najwyższą cenę. Zamierzacie zmarnować tę jedyną, niepowtarzalną okazję? Zaszliście aż tutaj tylko po to, żeby w ostatniej chwili stchórzyć jak przerażone dzieci?

Zwiesiłam ze wstydem głowę, nie potrafiąc odpowiedzieć.

– Wciąż macie szansę zabić Bestię i przetrwać. Całkiem sporą szansę, jeśli chcecie znać moje zdanie. Musicie jedynie zebrać się na odwagę... Jeśli tego nie zrobicie, będziecie żałowali swojej decyzji do końca waszych dni. Prędzej czy później Bestia was dopadnie, a kiedy to się stanie, ostatnią rzeczą, jaka zagości w waszych umysłach będzie przytłaczający żal. Nie będziecie mogli sobie wybaczyć, że zmarnowaliście jedyną okazję na pozbycie się zagrożenia...

Słowa Kiroumaru wbiły mi się w serce jak ostrze miecza.

– Tak... Masz rację – odparł cicho Satoru. – Przybyliśmy tu w tylko jednym celu, gotowi poświęcić własne życia. Mamy teraz odpuścić, tylko dlatego, że się boimy...? Co jednak będzie z tobą? Masz zamiar przyglądać się z boku, jak ryzykujemy śmierć, bawiąc się z Bestią w berka? To dla ciebie bardzo dogodne, prawda?

Kiroumaru groźnie łypnął okiem.

– Brzmisz jak rozkapryszony dzieciak. „Czemu ja muszę zginąć, ale dziwoszczur nie? To niesprawiedliwe, on powinien zdechnąć pierwszy”.

– Uważaj na słowa! Jak śmiesz? – oburzył się Satoru.

– W porządku, w takim razie zaproponuj coś lepszego, skoro nie podoba ci się żaden z moich pomysłów! Jeśli wymyślisz sposób, który pozwoli wam pozbyć się Bestii, poświęcając tylko moje życie, to zastosuję się do niego bez wahania... Możesz też zabić mnie tu, na miejscu. Macie tylko jeden powód, by tego nie robić, prawda? Nie zostałyby wtedy nikt, kto mógłby podprowadzić tutaj Bestię.

– Ale skoro możesz ją tu przyciągnąć to czemu uważasz, że nie będzie cię dalej stąd ścigać? – spytał Satoru. Usłyszałam w jego głosie nutkę skruchy.

– To kluczowy element planu. Żebyśmy zdołali oddzielić Bestię od jej strażników to wy dwoje musicie być wabikiem. Chłopiec zacznie was gonić, ale żołnierze będą zbyt przerażeni, żeby pobiec za nim. Gdybym to ja był przynętą, Bestia nie zaangażowałaby się w pościg. – Kiroumaru ze smutkiem pokręcił głową. – Nie mogę was do niczego zmusić. Wręcz przeciwnie, gdybym rozgniewał was swoimi naleganiami, moglibyście rozgnieść mnie jak robaka... Wybór należy do was.

Gdzieś w moim wnętrzu wciąż kotłowały się mgliste wątpliwości co do intencji Kiroumaru. Zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie można oczekiwać, że nasze plany sprawdzą się w stu procentach, lecz mimo to nie mogłam pozbyć się uczucia niepokoju.

Minęły już dwie godziny, od kiedy Kiroumaru odszedł z naszą bielizną, żeby pozostawić ślad zapachowy.

Przez ten czas zdążyliśmy dokładnie obejrzeć cały tunel, który miał się stać areną naszego ostatecznego starcia z Bestią.

– Jest w lepszym stanie, niż przypuszczałem. Podłoże jest dość równe i nie ma tu żadnych wystających kamieni ani innych przeszkód, o które moglibyśmy się potknąć... Musimy uważać jedynie na te trzy miejsca, w których od korytarza odchodzą odgałęzienia – powiedział Satoru, analizując w myślach przebieg tunelu. – Wszystko w porządku, Saki? Dasz radę to zapamiętać?

– Gubię się jedynie, jeśli po drodze jest dużo odnóg. Ten tunel ma dość prosty przebieg – odparłam ponuro, urażona tym, że uważa mój zmysł orientacji za aż tak tragicznie słaby.

– Tym razem będziemy jednak biegli w zupełnych ciemnościach. Jeśli nie zapamiętasz perfekcyjnie całej trasy, wpadniesz na ścianę albo narożnik.

– Czy któreś z nas nie może nieść lampy? To nie powinno jakoś drastycznie wpłynąć na naszą szybkość.

– Nie, to odpada – odparł zdecydowanie Satoru.

Najwyraźniej uznał, że po odejściu Kiroumaru, to jemu przypadło dowodzenie.

– My będziemy biegli w podobnym tempie, ale nie można powiedzieć tego samego o Bestii. Jeśli oświetlimy jej drogę, da radę ścigać nas z pełną prędkością. Jeśli zaś pozostaniemy ukryci w mroku, będziemy od niej znacznie szybsi, ponieważ znamy trasę na pamięć.

– Ale czy on sam nie oświetli sobie tunelu?

– Jeśli tak zrobi, to nawet lepiej dla nas. Zgasimy jego światło, co jeszcze bardziej utrudni mu sprawę, bo jego oczy będą musiały przyzwyczaić się do ciemności.

– W takim razie może napracę podejrzeń i w ogóle za nami nie ruszyć.

Bestia prawdopodobnie dobrze wiedziała, że nie możemy użyć przeciwko niej cantusu, więc mogła ruszyć za nami w pogoń bez obaw, że zostanie zaatakowana. Mimo tego mogło okazać się, że chłopiec będzie znacznie ostrożniejszy, wiedząc, że musi ścigać nas w zupełnym mroku.

– Możesz mieć rację. Jeśli uzna, że nie warto nas gonić zanim jeszcze wbiegniemy do tunelu, cały nasz plan trafi szlag... Zrobmy tak: ty pobiegiesz przodem, nieco oświetlając drogę. Bestia pogna za nami ze swoim własnym źródłem światła, więc będzie pędzić bardzo szybko.

Innymi słowy, mieliśmy zamiar zabawić się w wyjątkowo trudną odmianę berka.

– Kiedy o tym pomyśleć, to wcale nie taka zła sytuacja. Z łatwością określimy dystans, dzielący nas od Bestii... Będziemy po prostu musieli trzymać się w bezpiecznej odległości i podprowadzić ją do Parawanowej Skały.

Miejsce, o którym mówił Satoru znajdowało się na końcu tunelu, nazwaliśmy je tak, ponieważ była to cienka, kamienna płyta, przypominająca parawan. To właśnie przy niej zamierzaliśmy użyć Psychobójcy. Mieliśmy zamiar ukryć się za nią i poczekać, aż Bestia

znajdzie się wystarczająco blisko, a następnie uwolnić zawartość szklanego krzyża.

Problemem była jednak dalsza część planu. Wiedzieliśmy, że Psychobójca nie zabije Bestii od razu, a dopiero po paru dniach. Musieliśmy liczyć się z tym, że przez przynajmniej kilka kolejnych godzin nasz wróg będzie w pełni sprawny.

Jedynym wyjściem była taktyka uderzenia i ucieczki.

– Czy nie lepiej byłoby, gdybym to ja niosła krzyż? Obie twoje ręce są poranione...

Satoru najwyraźniej czytał mi w myślach.

– Nie jest tak źle. Poza tym rzucam celniej od ciebie.

– Ale...

– Pomyśl o tym w ten sposób: ponieważ ty będziesz biegła przodem, Psychobójca zainfekuje też mnie, jeśli go rozbijesz.

– Nic takiego się nie stanie. Zanim go użyję, poczekam, aż dobiegniesz do Parawanowej Skały.

– Nie, to ja powinienem go nieść. Jeśli się potkniesz i go stłuczysz, będzie po nas.

Satoru próbował obrócić to wszystko w żart, ale jego intencje były oczywiste – gdyby miało stać się najgorsze i Bestia dogoniłaby go, zamierzał zabrać ją ze sobą na tamten świat.

Deszcz nie ustawał. W kilku miejscach woda przesiąkła przez warstwę skał i skapywała na podłogę, tworząc na niej małe strużki. Powietrze było ciężkie i wilgotne.

– Naprawdę możemy to zrobić? – spytałam cicho.

Satoru spojrzał na mnie pytająco.

– Czy my naprawdę możemy... zabić innego człowieka?

– Przestań! – przerwał mi ostro. – Nie myśl o tym. Chcemy jedynie rozbić krzyż przed nosem Bestii. Nie umrze od razu.

Satoru wyrażał się w taki sposób, ponieważ nie byłby w stanie użyć Psychobójcy, gdyby myślał o tym jak o zbrodni.

– Przepraszam. Nie powinnam była do tego wracać.

– Nic się nie stało... Po prostu zrobimy to, co musimy zrobić. Nie myśl o tym więcej.

– Dobrze... A-ale...

Musiałam mu to powiedzieć. Czułam, że jeśli wtedy o tym nie wspomnę, później mogę nie mieć okazji, żeby to zrobić.

– Czy syn Marii i Mamoru naprawdę jest Bestią?

– Znowu wracamy do tego tematu? – prychnął Satoru ze zniecierpliwieniem. – Sama widziałaś, co on zrobił. Zabijał wszystkich, bez wyjątku. Czy to właśnie nie tak zachowują się Bestie?

– Wiem. Tyle, że on znacząco się różni od wszystkich Bestii, które pojawiły się w przeszłości.

– Cóż, prawdopodobnie każdy przypadek jest nieco inny od pozostałych... Istnieje kilka typów Bestii, racja? Kogo jednak to obchodzi? Najpierw się go pozbadźmy, a potem możemy nad tym dywagować.

– Myślę, że on zwyczajnie nie jest Bestią.

Satoru wstał i zmierzwił sobie dłonią włosy.

– Skończ! Dlaczego wciąż mówisz rzeczy, przez które zaczynam mieć wątpliwości?

– Przepraszam! Ale posłuchaj mnie... Nie mogę przestać zastanawiać się, czy to dziecko w ogóle wie, kim naprawdę jest.

– Nawet jeśli nie wie, to co z tego? I tak musimy go powstrzymać. Jeśli tego nie zrobimy, nasz dystrykt zostanie zniszczony a cała Japonia znajdzie się we władaniu Yakomaru. Bestii będzie coraz więcej i dominacja dziwoszczurów nad światem stanie się tylko kwestią czasu.

– Wiem. Wiem, że musimy powstrzymać go za wszelką cenę. Ale to syn Marii. Chcę dać mu szansę. Tylko jedną.

– Szansę? O czym ty w ogóle mówisz?

– Jeśli zdołamy w jakiś sposób sprawić, że rozpozna się...

Wy tłumaczyłam Satoru swój plan. Tylko on był w stanie wprowadzić go w życie.

– Żartujesz sobie? To może w ogóle nie zadziałać.

– Czy mimo to nie warto spróbować? Powinniśmy mieć okazję żeby to zrobić tuż przed tym, jak użyjemy Psychobójcy.

Satoru skrzyżował ramiona i zamyślił się.

– Niczego nie obiecuję.

To było wszystko, co mogłam na nim wymóc.

– Spróbuję tej sztuczki, jeśli wystarczy czasu – kontynuował. – Nie będę jednak narażał naszego oryginalnego planu na niepowodzenie. Jeśli nie da się tego zrobić, po prostu rozbiję Psychobójcę.

– W porządku. Masz słuszość. Dziękuję – odpowiedziałam szczerze. – Naprawdę to doceniam.

– Rozumiem... Rozumiem co czujesz – odparł Satoru, po czym zamilkł.

Wyglądało na to, że nie chce już dłużej drażyć tego tematu.

Gdzieś daleko rozległ się głośny brzdęk, jakby uderzenie metalu o kamień. Podskoczyłam z przestachu.

– T-ten dźwięk...! – krzyknęłam.

Satoru przyłożył palec do ust.

Ponownie to usłyszałam. Odgłos zdawał się przemieszczać jakąś skomplikowaną drogą. Częściowo rozbrzmiewał echem, niosąc się po tunelu, a częściowo dochodził bezpośrednio z kamiennych ścian.

– To one. Naziemne oddziały komunikują się z tymi w podziemiach.

Rozpoczął się pościg. Ściganym był Kiroumaru.

Po chwili usłyszałam zupełnie inny dźwięk. Charakterystyczne, przeciągłe wycie podobne do wilczego.

– Kiroumaru! – krzyknął Satoru.

Zbliżali się. To był sygnał, mówiący, że Bestia połknęła haczyk.

– Nadchodzą. Wejźmy do tunelu... Mamy dwie, może trzy minuty.

Przebierałam nerwowo nogami, skręcając ze sobą kilka korzeni, żeby zrobić z nich pochodnię. Pierwszy moment był kluczowy. Bestia musiała nas przelotnie, ale wyraźnie zobaczyć.

Serce waliło mi jak oszalałe, a dłonie dygotały. Cała zlałam się zimnym potem. Bestia mogła pokazać się w każdej chwili. Porażka nie wchodziła w grę. Stawką były nie tylko życia naszej dwójki, ale też miliony innych istnień.

Poczułam mdłości i zawroty głowy. Głowę przeszywał mi pulsujący ból.

Wtedy to się stało.

Moje myśli stały się zadziwiająco przejrzyste. Czułam, jak mój umysł się otwiera i rozszerza; tak jakbym nie była już wyłącznie sobą. To było dziwne, ale przyjemne uczucie. Natychmiast ogarnęła mnie niepohamowana radość i szczęście, które mogłabym prawie przyrównać do odczuć towarzyszących orgazmowi. To był on. Byłam tego pewna. Shun szeptał mi do ucha, wprost do moich myśli.

Wyraźnie ujrzałam całe swoje niezdecydowanie, niepewność i wahanie, zupełnie, jakbym patrzyła na siebie oczami kogoś innego.

Wciąż miałam wątpliwości co do Kiroumaru, ale już dokładnie wiedziałam, że ich źródłem jest zupełnie coś innego.

Wrogowie cały czas myślą, że to oni ścigają nas. Są tak skupieni na pogoni, że kiedy zorientują się, że to oni są ściganymi, będzie już dla nich za późno.

Słowa Kiroumaru rozbrzmiewały mi echem w głowie. Mówił o wrogu, ale czy nas nie dotyczyło to samo?

Usłyszałam już kiedyś podobne zdanie. To było podczas lekcji gry w go, jeszcze w Szkole Harmonii.

Zostać schwytanym, myśląc, że samemu ściga się wroga... Kiedy zbyt mocno skoncentrujemy się na otoczeniu przeciwnika, odsłaniamy się, tracąc w efekcie własne kamienie.

Dlaczego akurat to wspomnienie?

Yakomaru...

Kiedy jeszcze nosił imię Squealer, powiedział nam, że nauczył się strategii bitewnych z książki z zasadami gry w go.

Nie mogło ulegać wątpliwości, że ktoś tak przebiegły jak on już dawno rozpracował nasz plan. Nie naraziłby na niebezpieczeństwo Bestii, swojej atutowej karty, zwłaszcza po tym, jak został już raz przechytrzony przez Kiroumaru.

To jednak nie było wszystko. Czy Yakomaru naprawdę mógł nie wziąć pod uwagę, że straci w tym ataku swoich żołnierzy? Przecież brak poszanowania dla życia podwładnych był charakterystyczną cechą jego stylu walki.

Jeśli przez ten cały czas robiliśmy dokładnie to, czego oczekiwał...

Ponownie zaczęłam się pocić.

Nie mogliśmy już jednak się wycofać.

Kiroumaru wybiegł z przeciwległego wejścia do tunelu. Nasze spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, lecz zaraz potem dziwoszczur zniknął w innym korytarzu.

– Nadchodzi...! – powiedział Satoru zduszonym głosem.

Właśnie wtedy ujrzeliśmy ucieleśnienie naszych obaw.

Rozdział 4

Z tego samego tunelu wysypało się całe mrowie ciemnych sylwetek.

Żołnierze dziwoszczurów. Byli nadzy, a każdy niósł ze sobą skórzany worek i trzymał w dłoniach dmuchawkę, przystosowaną do walki w ciasnych tunelach.

Najwyraźniej wyczuli nasz zapach. Szybko rozproszyli się i przyłożyli rurki do ust. Tylko co czwarty niósł pochodnię; nie wiedziałam czy to dlatego, że dobrze widzą w ciemności, czy też może dlatego, że w ogóle nie muszą polegać na wzroku.

Po chwili z korytarza wyłonił się ktoś jeszcze. Było zbyt ciemno, żeby dojrzeć jego twarz, ale przypuszczałam, że to Yakomaru lub Bestia.

Postać podeszła w naszym kierunku, nie zdradzając najmniejszych oznak strachu. Jedyne, co odróżniało ją od pozostałych żołnierzy był płaszcz z kapturem, szczelnie okrywający jej ciało mimo panującego gorąca i wilgotności. Zbliżała się, uważnie obserwując otoczenie.

Dziwoszczury w końcu znalazły tunel w którym zniknął Kiroumaru i ponownie skupiły swoją uwagę na nas. Zakapturzone indywiduum pochyliło się nieco i blask pochodni oświetlił jego włosy. W rzucanym przez ogień świetle zobaczyliśmy, że mają krwisto-rudą barwę.

To była Bestia.

Razem z Satoru skręciliśmy karki dwóm żołnierzom, którzy podeszli najbliżej nas. Nie zdążyli nawet krzyknąć, zanim padli martwi na ziemię. Kolejna dwójka najwyraźniej nie była w stanie pojąć, co się właśnie stało i uciekła w panice do najbliższego korytarza.

Pozostała jedynie postać w płaszczu. Powoli uniosła okrytą kapturem głowę i spojrzała na nas.

Odwróciliśmy się i pognaliśmy tunelem w dół.

Nie byłam pewna, czy Bestia zdążyła wyraźnie nas zobaczyć. Tak czy inaczej, zwłoki dwóch dziwoszczurów zabitych cantusem musiały być dla niej wystarczającym powodem do podjęcia pościgu.

Zatrzymaliśmy się za zakrętem, jakieś dwadzieścia metrów w głąb korytarza. Bestia z pewnością ruszyła za nami. Podpaliłam małą wiązkę korzeni, wstrzymałam oddech i czekałam.

Z wejścia do tunelu wyłoniła się zacieniona postać trzymająca pochodnię. Zakapturzona sylwetka małego boga śmierci.

To był znak, że rozpoczął się wyścig, którego stawką były nasze życia. Zerwaliśmy się z miejsc i zaczęliśmy biec z pełną szybkością.

Nie było nawet czasu, żeby chociaż rzucić okiem za siebie. Po prostu gnaliśmy najszybciej jak potrafiliśmy.

Bestia miała o tyle komfortową sytuację, że mogła biec w swoim tempie, podczas gdy my nie mieliśmy wyboru i musieliśmy gnać na złamanie karku, w ogóle nie myśląc o oszczędzaniu energii. Gdyby nasze prędkości się wyrównały, Bestii wystarczyłoby trochę przyspieszyć w dowolnym momencie, żeby nas dopaść. Jeśli odwrócilibyśmy się za siebie choćby na sekundę, byłoby po nas.

Tak jak zaplanowaliśmy, biegłam przodem, a Satoru trzymał się zaraz za mną. Pomimo, że czułam jak nogi uginają się pode mną ze strachu, zmuszałam się do sprintu, mijając kolejne zakręty.

Biegnij. Nie zastanawiaj się. Każda myśl która zagościła mi w głowie była od razu miażdżona pod moimi stopami. Gdybym potknęła się o kawałek skały lub nierówność w podłodze, szybko pożegnałabym się z życiem.

Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. Bestia powoli nas doganiała.

Musieliśmy przynajmniej minąć kolejny zakręt, tak, żeby zniknąć jej z oczu.

Wiedzieliśmy, że chłopiec nie zaatakuje cantusem na oślep, ponieważ gdyby zawałił w ten sposób tunel, mógłby skończyć pogrzebany żywcem, a gdyby nawet tak się nie stało, gruzy pewnie oddzieliłyby go od nas.

Kiedy uświadomiłam sobie, że podmuchy powietrza niosą nasz zapach w stronę Bestii, podłóżę pod moimi stopami nagle stało się dziwnie miękkie i niestabilne. Do dziś nie wiem, w jaki sposób udało mi się wtedy zachować równowagę i kontynuować ucieczkę.

– Saki! Saki! Już dobrze! Zwolnij! – krzyczał Satoru. – On się nie spieszy.

No tak. Bestia nie musiała się niczym przejmować. Wystarczyło jej jedynie poczekać, aż się zmęczymy.

Zmniejszyłam nieco swoje zabójcze tempo. Światło pochodni chłopca zatrzymało się za poprzednim zakrętem i nie przysuwało się ani trochę bliżej. Cały czas słyszałam jednak kroki. Były szybkie i równe, tak jakby ktoś maszerował żwawo, ale nie biegł.

Również zwolniliśmy. Naprzemiennie truchtając i szybko idąc, próbowaliśmy złapać oddech. Po morderczym biegu już ledwo dyszałam.

Z dołu wciąż docierały dźwięki uderzeń metalu o kamień. Było ich więcej niż poprzednio. Zastanawiałam się, jakie wiadomości przekazują sobie dziwoszczury. Nie mieliśmy wtedy najmniejszego pojęcia, jakimi informacjami się dzielą.

– W porządku, po prostu nadal utrzymujmy tempo – powiedział Satoru, starając się ustabilizować oddech. – Prawdopodobnie chcą nas przestraszyć. Jeśli zdołamy zwiększyć dystans, wszystko powinno pójść dobrze. Tak czy inaczej, najbardziej przerażająca część planu jest już za nami.

– Twierdzisz, że jest w porządku...?

– Dokładnie. Spróbuj nieco odsapnąć zanim dotrzemy do Parawanowej Skały. Idź przodem. Ja zostanę tu tak długo, jak będę mógł go bezpiecznie obserwować. Jeśli zaczniesz przyspieszać, krzyknę.

– Jasne.

Ponownie ogarnął mnie ten sam dziwny niepokój. Mimo to zastosowałam się do polecenia Satoru, wmawiając sobie, że to tylko moja wyobraźnia. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Kiedy w końcu miałam chwilę czasu na zastanowienie się, poczułam w głowie natłok przeróżnych myśli.

Czy Kiroumaru sprzymierzył się z wrogiem? Czy to wszystko jest częścią strategii Yakomaru? Staralam się odgonić te natrętne wizje. Kości zostały rzucone. Wszystko miało się rozstrzygnąć w ciągu najbliższych kilku minut. Roztrzaskanie tego było pozbawione sensu.

Co dziwne, następną rzeczą, jaka przyszła mi na myśl był mit o stworzeniu świata, którego uczyliśmy się dawno temu, w Szkole Harmonii.

Po tym, jak Izanami zginęła z powodu poparzeń, jakich nabawiła się przy porodzie, Izanagi tak bardzo pragnął ponownie zobaczyć się z żoną, że podążył za nią aż do piekieł. Mimo, że Izanami przestrzegała go, aby na nią nie patrzył, nie był w stanie się przed tym powstrzymać. Tym, co ujrzał, było okropne, gnijące ciało, pożerane przez robaki.

Izanagi tak się przeraził, że uciekł z powrotem do świata żywych. Zawstydzona i rozwścieczona Izanami wysłała w pościg za nim piekielne demony.

Co oczywiste, z biegiem lat zapomniałam tę zasłyszaną w dzieciństwie historię. Kiedy ją sobie przypomniałam uciekając korytarzem, to było prawie jak wizja, rozświetlająca mroczny tunel żywymi kolorami. Możliwe, że mój umysł był tak przepełniony strachem, że w jakiś sposób rozbudził wspomnienie tej opowieści.

Ścigany przez demony Izanagi zdołał cudem uciec, odwracając uwagę prześladowców za pomocą pukla włosów.

My byliśmy jednak dość daleko od Bestii. *Czemu więc...?*

To dziwne.

Usłyszałam czyjś głos.

– Shun... Czy to ty, Shun? – spytałam się pod nosem.

To naprawdę dziwne. Nie uważasz?

Nie przestawał mówić.

– Dziwne? Co ma być dziwne?

Nie słyszysz?

Ponownie rozległy się odgłosy uderzeń metalu o kamienie. Oddzieleni skałami wrogowie komunikowali się ze sobą. Dźwięki nie dochodziły tylko z jednego miejsca. Wiadomość została wysłana jednocześnie z kilku pozycji. Nie wiedziałam jednak czemu to ma być istotne.

Ostrożnie. To pułapka.

Teraz mogłam już bez trudu rozpoznać głos Shuna.

Saki, zatrzymaj się.

– Zatrzymać się? Czemu? Nie możemy! – wykrzyczałam na głos, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Nie zauważyłaś? Bestia was nie ściga.

Zwolniłam, na chwilę ponownie przyśpieszyłam, po czym całkowicie się zatrzymałam.

– Co ty robisz, Saki? Szybko, biegnij! – krzyknął zza moich pleców Satoru.

– Satoru, to pułapka!

– O czym ty mówisz? Miałaś jakieś zwidy? Cały czas mamrotałaś coś do siebie – odparł, popychając mnie do przodu.

– Stój. Bestia w ogóle nas nie goni. Dlaczego?

Satoru obejrzał się przez ramię, zdziwiony.

– Prawdopodobnie maszeruje. Jeśli się tu zatrzymamy, szybko nas doścignie.

– Słyszysz jakieś kroki? Ja rejestruję jedynie szum deszczu i odgłosy naszych wrogów, stukających w ściany, żeby przesyłać sobie informacje.

– Faktycznie... Ale i tak możemy iść wyłącznie do przodu, To jedyne wyjście z tunelu.

– Poczekaj chwilę. A co, jeśli to...

Odepchnęłam Satoru wkładając w to całą swoją siłę. Tym samym w ostatniej chwili ocaliłam życie nam obu.

Część tunelu, przez którą mieliśmy zamiar za chwilę przejść, zawaliła się z ogłuszającym łoskotem.

Woda i głązy spadały z hukiem, pędząc wprost na nas.

– Uciekaj!

Odwróciliśmy się i zaczęliśmy biec, cofając się tą samą drogą, którą właśnie przemierzyliśmy. *Czy Bestia nie będzie już tam na nas czekać?* Zostaliśmy zapędzeni pod ścianę. Satoru zerwał z szyi krzyż i ścisnął go mocno w dłoni. Jeśli Bestia zabiłaby go, miał zamiar zabrać ją ze sobą do grobu.

Przebiegliśmy jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów, jednak w korytarzu nie było nawet śladu po chłopcu.

– Gdzie on zniknął? – wyszeptał Satoru drżącym głosem, zatrzymując się.

Odwróciłam się i spojrzałam w dół tunelu. Gruz przestał już się sypać, a dzięki wilgotnemu powietrzu cały pył zaczął pomału opadać. Z góry docierało nikiłe światło. Wyglądało na to, że zawalisko sięga aż na powierzchnię.

– Wracajmy.

– Dokąd?

– Tam, skąd przyszliśmy... To znaczy z wiatrem – odparłam.

Satoru wyglądał na nie do końca przekonanego.

– Czy tam nie ma Bestii?

– Raczej nie.

Cały czas byłam sparaliżowana strachem, jednak zaczynałam myśleć coraz trzeźwiej.

– Jeszcze nie rozumiesz? To pułapka. Yakomaru przewidział, że wtedy pójdziemy i zawalił tunel.

– Więc Kiroumaru nie ma z tym nic wspólnego?

– Tego nie jestem pewna... Tak czy siak, pójdzie dalej byłoby samobójstwem. Będą tam na nas czekać.

– Ale za nami jest Bestia – powiedział przerażony Satoru. – Dlatego powinniśmy iść naprzód. Zawalona część uchodzi na powierzchnię, może jakoś stamtąd uciekniemy.

– Nie! Zastanów się. Jak myślisz, w jaki sposób udało im się zawalić tak dużą masę skał?

Satoru pobladł.

– To nie były ładunki wybuchowe. Nie poczuliśmy zapachu prochu ani siarki. Nie było też słycać eksplozji. Tunel po prostu się zapadł... Ale to niemożliwe.

Dokładnie w tamtej chwili mój wzrok padł na coś leżącego na podłodze korytarza. Satoru również spojrział w tamtą stronę.

To była peruka wykonana z rudych włosów.

– A to sukinsyn! Od samego początku wodził nas za nos – warknął.

Aż dotąd robiliśmy wszystko dokładnie tak, jak zaplanował sobie Yakomaru.

Kiedy teraz o tym myślę, dziwne było już to, że Bestia nosiła płaszcz. Po pierwsze, w tunelach było gorąco, a po drugie, takie odzienie sprawiało, że trudno byłoby odróżnić chłopca od dziwoszczura, dzięki czemu mogliśmy nieświadomie go zabić. Oczywiście sami zginęlibyśmy wtedy przez aktywację śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, ale ponieważ Bestia była atutową kartą wroga, z pewnością nie ryzykowałby on jej śmierci.

To nie była Bestia. Dziwoszczury obcięły chłopcu włosy i wysłały w pościg za nami swojego żołnierza w przebraniu. Oddziały stacjonujące na powierzchni cały czas były informowane o naszych ruchach dzięki sygnałom wysyłanym przez ściany tunelu. W ten sposób nieprzyjaciele mogli zawalić korytarz, nie ryzykując, że jednocześnie sami zostaną zasypani żywcem.

A to wszystko oznaczało, że tymi, którzy czekali na nas w zasadzce byli...

– Zwiewamy! – wrzasnęłam.

Satoru jedynie spojrział tępo nad moim ramieniem.

Z rozjaśnionej blaskiem pochodni, opadającej już chmury kurzu wyłoniła się sylwetka dziecka...

Zerwaliśmy się i zaczęliśmy gnać przed siebie z zawrotną prędkością.

Usłyszałam za sobą odgłosy kroków. Nie było czasu na pościg. Wszystko miało się rozstrzygnąć już teraz. Od Bestii dzielił nas tylko jeden zakręt. Wiedzieliśmy, że kiedy tylko znajdziemy się w prostym odcinku tunelu, chłopiec będzie nas miał jak na dłoni.

Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. Wyciągnęłam prawą dłoń i sięgnęłam do niesionego przez Satoru plecaka.

– Co ty wyprawiasz, Saki? – krzyknął.

Wymacałam podwójnie fałszywego minoshiro, wyciągnęłam go i odrzuciłam daleko za siebie. Pomyślałam, że tak właśnie musiał czuć się Izanagi, kiedy miotał w demona pękiem włosów.

Podwójnie fałszywy minoshiro, wyczuwając niebezpieczeństwo, rozłożył swoje liczne odnóża i zaczął wspinać się po ścianie jak karaluch.

Tuż po tym, jak zniknęliśmy za ostatnim załomem, za naszymi plecami rozbłysło oślepiające światło. Podwójnie fałszywy minoshiro używał swojej obronnej hipnozy, żeby zdezorientować Bestię.

Kiedy zaczęłam zastanawiać się, jak długo utrzyma się ten tęczyowy blask, światło zgasło niczym płomyk zdmuchniętej świecy. Nie miałam pojęcia jaki los spotkał podwójnie fałszywego minoshiro, ale przynajmniej zdołaliśmy dzięki niemu na moment zatrzymać Bestię. Ten czas wystarczył nam na przebiegnięcie pozbawionego zakrętów odcinka. Gdyby nie te kilka dodatkowych sekund, byłibyśmy martwi.

Zdawało mi się, że udało nam się dość mocno powiększyć dystans, ale ponownie rozległ się odgłos ścigających nas kroków. Chłopiec był szybszy, niż się spodziewałam. Możliwe, że dzięki swoim niewielkim rozmiarom był w stanie z łatwością poruszać się po wąskim korytarzu.

Mimo, że desperacko ścigaliśmy się ze śmiercią, wciąż mieliśmy pewną przewagę. Przemierzyliśmy ten tunel już wiele razy i dobrze wiedzieliśmy, gdzie znajdują się wszystkie zakręty i przeszkody.

Dzięki temu byliśmy w stanie chwilowo utrzymać stałą odległość od Bestii.

Zaczęłam dyszeć. Miałam wrażenie, że płuca płoną mi żywym ogniem. Byłam już bliska kresu swojej wytrzymałości a strach dodatkowo wysysał moje siły.

Najgorsze było jednak to, że biegliśmy z wiatrem, czyli zupełnie odwrotnie niż zakładał nasz pierwotny plan. Nawet, jeśli oboje zginęlibyśmy, używając Psychobójcy, istniała duża szansa, że biegnąca za nami Bestia w ogóle nie zostanie zakażona.

Satoru nagle się zatrzymał. Wyminęłam go i odwróciłam się.

– Co się dzieje?

– Mam zamiar sprawdzić twój plan.

Tuż za nim powietrze zaczęło drzeć a po chwili zmaterializowała się zwiewna zasłona, blokująca całe światło i pogrążająca mnie w ciemnościach.

Niecałe dwie sekundy później pojawiła się Bestia. Blask trzymanej przez nią pochodni przedostawał się przez zasłonę, więc mogłam wyraźnie zobaczyć chłopca. Z jego perspektywy całe światło było jednak odbijane przez gigantyczne zwierciadło.

Zatrzymał się, unosząc pochodnię i przypatrując się podejrzliwie lustru. Miał na sobie luźne, proste spodnie i buty. Wyglądał jak każde zwyczajne dziecko.

Gdyby tylko sobie to uświadomił...

Wyjaśniłam swój plan Satoru. Ponieważ to dziecko było wychowane przez dziwoszczury, prawdopodobnie myślało, że samo jest jednym z nich. Co zrobiłoby, gdybyśmy postawili przed nim zwierciadło? W koloniach dziwoszczurów nie napotkaliśmy żadnego lustra, ponieważ te stworzenia nie miały w zwyczaju ich używać. Chłopiec prawdopodobnie widział swoje odbicie w wodzie, ale mógł nawet nie uświadomić sobie, że różni się od pozostałych.

Czy kiedy zrozumie, że wygląda jak jego wrogowie, czyli innymi słowy – ludzie, nie zacznie kwestionować własnej tożsamości?

A jeśli tak, być może przebudzi się jego śmiertelne sprzężenie zwrotne.

Żartujesz sobie? To może w ogóle nie zadziałać.

Pamiętałam, że właśnie takie słowa wypowiedział Satoru. Teraz jednak ryzykował własnym życiem, żeby zrobić to, o co go poprosiłam.

– Saki, zostaw to mi i uciekaj – wyszeptał.

– Nie.

Nie miałam zamiaru nigdzie się ruszać. Nie chciałam już uciekać. Co więcej, nie chciałam opuszczać Satoru. Tak czy inaczej, gdyby plan się nie powiódł, dalsza ucieczka nie miałaby sensu.

Syn Marii powoli zbliżył się do lustra. Nie mogłam zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale ruchy ciała wyraźnie zdradzały, że jest zdezorientowany.

– Tak, dobrze... Spójrz dokładniej. Jesteś człowiekiem. Takim samym jak my – powiedział cicho Satoru.

– Grrrrr...ΠΥガIII▼Ë◎□?

– ΠΥガIII▼Ë◎□?

– ΠΥガIII▼Ë◎□?

Chłopiec cały czas powtarzał te same słowa. Przekrzywił głowę, i kiedy już zdawało mi się, że zorientował się, kim naprawdę jest, wydał z siebie przeszywające, piskliwe wycie.

– 𐄀★*∇§▲ЖАДゾヱ!

Ściana, obok której stał zaczęła pękać.

– Uwaga! Uciekaj! – krzyknęłam, schylając się.

Satoru zareagował nieco za późno.

Skała pokruszyła się na drobne odłamki, które ze świstem przecięły powietrze. Przeleciały przez lustro i przemknęły nam nad głowami. Jeden z nich uderzył jednak Satoru prosto w skroń.

Mój towarzysz zachwiał się, jednak dzięki czystej sile woli zdołał utrzymać się na nogach.

Spojrzałam w górę i westchnęłam.

Lustro zniknęło.

Od Satoru dzieliło mnie jakieś piętnaście metrów. On zaś znajdował się niecałe dziesięć metrów od Bestii.

Stał zupełnie nieruchomo, a po twarzy ciekła mu strużka krwi. Byliśmy jak żaby, sparaliżowane wzrokiem węża.

Bestia podeszła do nas spokojnym krokiem, dobrze wiedząc, że nie możemy jej zupełnie nic zrobić. Pod czupryną niechlujnie przyciętych włosów kryła się twarz piękna jak u anioła. W oczach chłopca był jednak okrutny błysk, przywodzący na myśl łakomy wzrok kota, który upolował mysz.

– Uciekaj, Saki – powiedział spokojnie Satoru.

Gdy zaczęłam zastanawiać się, co zamierza zrobić, dmuchający w tunelu wiatr zelżał.

– Satoru?

Nie był w stanie odwrócić kierunku powiewów powietrza w tak ciasnym korytarzu. Nadludzkim wysiłkiem zdołał jednak na chwilę zatrzymać bryzę.

– Zakończę to tutaj.

– Nie... Stój! – krzyknęłam, uświadamiając sobie, co chce zrobić.

Chłopiec był już niecałe pięć metrów od niego.

– Masz, żryj to! – wrzasnął, unosząc krzyż i ciskając nim w Bestię.

Miałam wrażenie, że czas nagle rozciągnął się w nieskończoność.

Zdawało mi się, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Widziałam lot krzyża tak wyraźnie, jakbym obserwowała serię osobnych fotografii.

Psychobójca uderzył w ziemię i roztrzaskał się. Słup srebrzystobiałego proszku, który się z niego uwolnił, zaczął powoli się powiększać...

Ach, czyli tak to się kończy. Już za chwilę wypełnimy swoją misję. Niezależnie od tego, jaki los nas czeka, przynajmniej pozbyliśmy się Bestii. Kamisu 66 ocaleje i znów zapanuje spokój...

Nie. To nie była prawda. Nie mogłam do tego dopuścić.

Stojąc w tak małej odległości, Satoru również zostałby zainfekowany przez Psychobójcę.

Szaleńczy impuls wziął górę nad racjonalnym myśleniem.

Po kolei traciłam wszystkich, których kochałam. Moją siostrę. Shuna. Marię i Mamoru...

Jeśli straciłabym też Satoru, pozostałabym zupełnie sama. Byłabym ostatnim żyjącym członkiem grupy pierwszej. Czy naprawdę taka była wola bogów?

Nie! – krzyknęłam bezgłośnie w myślach.

Proszek, wirujący niespiesznie w powietrzu jak kropla farby zanurzona w wodzie, zaiskrzył i stanął w płomieniach.

Ogień rozprzestrzenił się gwałtownie, łapczywie pochłaniając każdą drobinę pyłu. Broń przeciwko psychokinytom, która przetrwała całe tysiąclecie, została zniszczona w tych oczyszczających płomieniach...

Bieg czasu powrócił do normalności i wiele rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Satoru padł na ziemię, oszołomiony.

Natomiast Bestia...

Bestia zawyla i zachwiała się w tył. Ogień musiał najwyraźniej ją poparzyć.

– Satoru! Uciekaj!

Pociągnęłam go za ramię.

– Saki... C-co...? – wymamrotał, wciąż nie potrafiąc zrozumieć, co właśnie się stało.

– Zapomnij o tym i zwiewaj!

Kiedy tylko się odwróciliśmy, za nami rozległ się przerażający ryk.

Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam Bestię, świdrującą nas wściekłym wzrokiem. Włosy chłopca spaliły się, a obje jego dłonie były żywoczerwone.

To naprawdę był nasz koniec.

Sparaliżowana strachem, mogłam jedynie wpatrywać się w Bestię.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że za chwilę stracę życie.

Przez mój impulsywny czyn wszystkie nasze dotychczasowe wysiłki spełzły na niczym, a wszyscy, którzy poświęcili się dla naszej sprawy, umarli na marne. Nie byliśmy w stanie pokonać Bestii i musieliśmy zginąć w tym piekle...

Pogodziłam się już ze śmiercią. Najpewniej właśnie dlatego nie od razu dotarło do mnie to, co stało się chwilę później.

Od tyłu, przecinając ze świstem powietrze, nadleciał kamień, który prawie zdołał uderzyć Bestię, jednak w ostatnim momencie został zatrzymany cantusem. Chłopiec z jakiegoś powodu zaczął się cofać z malującym się na twarzy przerażeniem.

Z ciemności wyłonił się Kiroumaru.

– Tędy! – krzyknął, chwytając nas za kołnierze i odciągając od Bestii.

Czas ponownie zaczął płynąć normalnie. Kiedy gnaliśmy w trójkę przed siebie, nasze tyły były zupełnie odsłonięte, więc Bestia z łatwością mogłaby spalić nas wszystkich. Co było zadziwiające, nie zrobiła zupełnie nic.

Kiedy znaleźliśmy się za najbliższym zakrętem, pomału zaczęłam sobie uświadamiać, jak wielkim cudem było to, że zostaliśmy uratowani.

To jednak wciąż nie był koniec. Bóg śmierci powoli się zbliżał.

Znaleźliśmy się między młotem a kowadłem.

Ledwie uszliśmy z życiem, lecz jednocześnie straciliśmy szansę na pokonanie Bestii.

Desperacko pędziliśmy korytarzem.

– Wydaje mi się, że nas nie goni – oznajmił Kiroumaru, wężąc w powietrzu.

Teraz, kiedy Bestia ścigała nas, poruszając się z wiatrem, bez problemu mogliśmy określić, kiedy zaczną się do nas zbliżać.

– Wygląda na to, że dosyć mocno go poparzyliśmy. Być może najpierw zajął się swoimi ranami – dodał cicho Satoru. Jego skroń cały czas krwawiła.

Nieco zmniejszyliśmy tempo.

– Dokąd teraz idziemy? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia. – Kiroumaru wyglądał na zafrasowanego. – Na razie postarajmy się trochę zwiększyć dystans między Bestią a nami.

– Przepraszam. To przeze mnie Psychobójca...

– Nie ma czasu by rozpaczać nad tym, co się stało. Skup się na ścieżce przed tobą. Żołnierze Yakomaru mogą czaić się w zasadzce.

Przebyliśmy prawie całą drogę powrotną, nie napotykając zupełnie nikogo. Uświadomiłam sobie, że właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Wróg użył Bestii, swojej atutowej karty, jednak zdołaliśmy zostawić ją daleko w tyle. Yakomaru, będąc tak wytrawnym strategiem, nigdy nie zdecydowałby się stawić czoła ludziom mając do dyspozycji jedynie dziwoszczury.

Kiedy zbliżyliśmy się do wylotu korytarza, Kiroumaru gwałtownie się zatrzymał. Wiatr wiał zza naszych pleców, więc nie mogliśmy określić, kto się do nas zbliża. Czuły słuch Kiroumaru zdołał jednak coś zarejestrować. Wróg najwyraźniej ukrywał się w pobliżu.

Dziwoszczur podniósł dłoń, nakazując nam gestem, żebyśmy stanęli. Gdy tylko zaczęliśmy powoli się wycofywać, rozległ się huk wystrzałów a ze ścian posypały się skalne odłamki.

Odeszliśmy jakieś dwadzieścia lub trzydzieści metrów w głąb tunelu. Po chwili usłyszeliśmy kolejną salwę. Tym razem pociski dotarły znacznie dalej.

Ponieważ nie widzieliśmy przeciwników, nie mogliśmy przejść do kontrataku. Jeśli zaś spróbowalibyśmy wychylić się z korytarza by rzucić na nich okiem, moglibyśmy zostać postrzeleni. Atak na ślepo był z kolei związany z ryzykiem zawalenia całego tunelu i pogrzebania nas żywcem.

Kiedy już myślałam, że jesteśmy bezpieczni, uświadomiłam sobie, że znów zostaliśmy zapędzeni w kozi róg. Tym razem jednak nie mieliśmy możliwości ucieczki.

Kiedy nadleciała trzecia fala kul, wiedziałam już, że wróg strzela na oślep. Mimo to wciąż mogliśmy zostać trafieni jakimś zabłąkanym pociskiem, więc schroniliśmy się w jednym z bocznych tuneli, który okazał się ślepo zakończony.

Z głównego korytarza dobiegł ostry gwizd. Yakomaru prawdopodobnie próbował skontaktować się z Bestią.

– Wyczuwam chłopaka. Zbliża się – powiedział Kiroumaru ze spokojem, zupełnie jakby Bestia miała zamiar złożyć nam przyjacielską wizytę. – Czuję zapach spalenizny i krwi. W jego pocie jest też woń strachu. Porusza się bardzo ostrożnie, prawdopodobnie z powodu tych wszystkich obrażeń. Właśnie zatrzymał się jakieś czterdzieści metrów od nas i najwyraźniej próbuje nas wypatrzeć. Skądś wie, że tu jesteśmy.

Dlaczego więc jeszcze nie zmiażdżył nas wszystkich jednym ruchem?

– Czyli to koniec – powiedział Satoru, siadając na podłodze i ukrywając twarz w dłoniach. – Nie ma już dokąd uciec. Straciliśmy naszą atutową kartę. Teraz jesteśmy...

Poczułam mocne ukłucie winy z powodu zmarnowania Psychobójcy. Kiroumaru zdawał się jednak nie tracić nadziei.

– Być może wciąż jest zbyt wcześnie, żeby się poddawać.

– A co? Masz jakiś pomysł? – spytałam, starając się desperacko chwytać każdego, nawet najwątleszego włókienka nadziei.

– Właściwie to nie. Nie wydaje mi się, żeby istniała droga ucieczki... Jednakże, również Yakomaru nie zna żadnego sposobu na przełamanie tego impasu.

Kiroumaru najwyraźniej znał odpowiedź na pytanie, które przed chwilą zadałam sobie w myślach.

– Ale oni nie muszą się przecież niczym przejmować. Tak właściwie to mogą po prostu tam siedzieć i czekać aż sami się zabijemy – odparł Satoru.

– Nie. Taki koniec nie jest nieunikniony – wyjaśnił spokojnie Kiroumaru. – Wciąż pozostaje nam ostateczne wyjście. Jeśli jesteście w stanie zaakceptować fakt, że zostaniecie pogrzebani żywcem razem z wrogiem, nic nie stoi na przeszkodzie byście zawalili całą jaskinię używając cantusu.

– To właśnie tego obawia się Yakomaru? Dlatego nas nie atakuje?

Jeśli rzeczywiście tak było, mogliśmy jedynie modlić się, żeby zniszczenia, które spowodujemy były na tyle potężne aby nikt nie uszedł z życiem.

– Taki może być jeden z powodów. Nawet, jeśli obecnie ma przewagę, wykonanie ostatniego ruchu może być dla niego nie lada kłopotem. Jego żołnierze nie wejdą do tunelu, obawiając się waszego cantusu, a Bestia z kolei ma prawdopodobnie poważne opory przed samotnym wypadem.

– Ale dlaczego?

– Jedną z przyczyn może być moja obecność tutaj. Mimo, że sam nie posiadam cantusu, nie zawaham się przed zaatakowaniem chłopaka... A poza tym, mogą nim targać także inne wątpliwości.

– Co masz na myśli?

– Prawdopodobnie został mocno poparzony. Przecenił zdolności ochronne swojego cantusu i być może wątpi teraz we własną moc.

– Jeśli tak, to... – Satoru uniósł wzrok. – Można powiedzieć, że kiedy Saki podpaliła proszek z Psychobójcy, w pewien sposób przypuściła atak na Bestię. Jak to możliwe, że była w stanie to zrobić?

– To dlatego, że... – zawahałam się przez moment. – Prawdopodobnie kiedy to robiłam, zamierzając ratować Satoru, podświadomie chciałam ocalić także Bestię. Jeśli próbuje się komuś pomóc, jednak przy okazji wyrządzi się mu przez przypadek krzywdę, nie jest to zamierzona agresja.

– Rozumiem... – powiedział cicho. – Możemy to jakoś wykorzystać? Jeśli sprawimy, by nasze działania wyglądały na próbę ratowania chłopca, będziemy mogli użyć na nim swojej mocy i...

– Nie, to nie zadziała – przerwałam mu, kręcąc głową. – Nie dasz rady tego zrobić, jeśli twoim prawdziwym celem będzie atak. Takie coś nie może się udać... Nie można oszukać własnego umysłu, pomijając aktywację kontroli ataku czy śmiertelnego sprzężenia zwrotnego.

Gdyby to rzeczywiście było tak proste, nie musielibyśmy zapuszczać się do tego piekła tylko po to, żeby odszukać Psychobójcę.

Nagle usłyszeliśmy głos Yakomaru, dobiegający z przeciwnego końca korytarza.

– Negocjujmy! Jestem Yakomaru, najwyższy dowódca kolonii Łowików. Czy nie powinniśmy spróbować uniknąć dalszego niepotrzebnego rozlewu krwi?

– Co to znowu za brednie? – wymamrotał z wściekłością Satoru. – A niby kto bez żadnego powodu zaatakował i zabił setki niewinnych ludzi?

– Odpowiedzcie mi, proszę. Dziwoszczury i ludzie mogą się różnić, jednak pod względem inteligencji jesteśmy sobie równi. Być może istnieje między nami konflikt interesów, ale jestem pewny, że negocjacje pozwolą nam dojść do porozumienia. Nawiązanie dialogu będzie pierwszym krokiem do osiągnięcia tego celu.

– Nie odpowiadajcie – ostrzegł nas Kiroumaru. – Chce wykorzystać wasz głos, żeby określić naszą pozycję.

– Jeśli obecny stan rzeczy będzie dalej trwał, doprowadzi to jedynie do zwiększenia liczby ofiar – ciągnął Yakomaru. – Nie to jest moją intencją. Jeśli teraz się poddacie, obiecuję że darujemy wam życie i potraktujemy was humanitarnie.

– To tak, jakby sianokułka obiecywała ptakom, że nie pożre ich jaj, kiedy złożą je w jej gnieździe – prychnął Kiroumaru. – Ten kłamliwy drań nawet nie liczy na to, że zdoła was przekonać swoimi słowami. Po prostu próbuje wymusić na nas odpowiedź.

Kiedy Yakomaru uświadomił sobie, że nic nie wskóra, nagle zamilkł.

Czekaliśmy na atak. Cisza była nie do zniesienia.

– Satoru... Przepraszam, byłam taka głupia. Pomyślałam, że Psychobójca zainfekuje również ciebie. Ale...

– To nic. Rozumiem cię – powiedział Satoru z roztargnieniem. – Bestia prawdopodobnie zostałaaby zakażona, ale wcześniej zdążyłaby mnie zabić... Więc, w pewnym sensie, uratowałaś mi życie.

– Koniec końców, stało się tak jak powiedziałaś – zwróciłam się ze smutkiem do Kiroumaru. – Zniweczyłam naszą szansę na pozbycie się Bestii. Umrę, żałując tego, co zrobiłam.

– Mamy przysłowie, które mówi: „Wyżalaj się grobowym robakom, kiedy leżysz obok nich” – odparł Kiroumaru. W jego oku pojawił się błysk. – Za szybko się poddajecie. Mój lud walczy do ostatniego oddechu, licząc, że karta się odwróci. Mimo, że wysiłki mogą okazać się daremne, niczego nie tracimy, próbując. Takie nastawienie nie dotyczy wyłącznie żołnierzy. To powinna być cecha wszystkich żywych istot.

Powinnam być pod wrażeniem stalowej woli Kiroumaru w obliczu całej beznadziei sytuacji, jednak w tamtej chwili pomyślałam, że jego słowa są oznaką zwyczajnej zuchwałości.

Wyczerpaliśmy wszystkie możliwe opcje działania i za kilka chwil mieliśmy zostać pogrzebani głęboko pod ziemią. Zastanawiałam się, jakież to plan mógł mieć diwoszczur.

– Kiroumaru, jest coś, o co chciałbym się zapytać – odezwał się Satoru, podnosząc wzrok.

– Słucham.

– Wpadliśmy prosto w pułapkę Yakomaru. Kiedy to się stało, byłem przekonany, że nas zdradziłeś.

– To zrozumiałe. To był dla was poważny szok psychiczny, więc nic dziwnego, że tak pomyślałeś. Chciałbyś dowodu na to, że nie próbuję was oszukać – odparł spokojnie Kiroumaru. – Jednak kiedy to przemyślisz, dojdiesz do wniosku, że nie miałem żadnego powodu do tego, by was zdradzić. Po pierwsze, gdybym tak zrobił, oznaczałoby to, że współpracuję z tym bydlakiem, a do tego nie mam absolutnie żadnej motywacji. Moim jedynym celem jest teraz ocalenie królowej i zniszczenie Yakomaru. Po drugie, gdybym był w zмовie z wrogiem, zabiłbym was już dawno temu. Kiedy się rozdzieliliśmy miałem ku temu wyśmienitą okazję. Mógłbym pozbyć się was w mgnieniu oka.

– Racja, to ma sens.

Spojrzałam Kiroumaru prosto w twarz. Nie ważne ile razy to robiłam, zawsze przechodziły mnie ciarki.

– Ryzykowałeś własnym życiem, żeby ochronić nas przed Bestią. Nikt nie powinien wątpić w twoje intencje po wszystkim, co zrobiłeś, ale... Ja też chcę ci zadać pytanie.

– Odpowiem, o ile wystarczy mi oddechu.

– Powiedziałaś, że lata temu wybrałaś się do Tokio wraz ze swoimi żołnierzami, a twoja wiedza na temat tego obszaru udowadnia, że rzeczywiście tak było. Dlaczego jednak w ogóle się tu zapuściłaś? Co było na tyle ważne, że postanowiłaś zaryzykować utratę jednej trzeciej swojego oddziału?

Usta Kiroumaru wykrzywiły się w szerokim grymasie.

– Rozumiem. Więc tu leży źródło całej waszej nieufności do mnie. Nie chciałem wcześniej o tym mówić, jednak nie ma powodu, bym nadal to przed wami ukrywał.

Wstał, węsząc w powietrzu i strzygąc uszami, aby upewnić się, że wróg się nie przemieścił.

– Przybyliśmy wtedy do Tokio z dokładnie tego samego powodu, dla którego obecnie znalazłem się tu z wami. Chcieliśmy odnaleźć broń masowego zniszczenia, pozostawioną przez starożytną cywilizację.

– Ale... Po co?

Uśmiech Kiroumaru zgasł.

– Po co? Nie po to, aby powiększyć nasz arsenał, zapewniam. Chcieliśmy ich użyć. Moc Psychobójcy mogła okazać się zbyt mała do naszych celów, ale gdybyśmy zdobyli broń jądrową bylibyśmy w stanie zastąpić ludzkość w roli dominującego gatunku.

– Dlaczego? Czyż kolonia Olbrzymich Szerszeni nie ma z ludźmi wyśmienitych relacji? A mimo to, ze swoją żądzą władzy okazujesz się taki sam jak Yakomaru – powiedział z niedowierzaniem Satoru.

– Po pierwsze, muszę was prosić, żebyście spojrzeli na to z naszej perspektywy. Każde stworzenie chce żyć i rozmnażać się. Dla nas nadrzędnym celem życia jest zapewnienie przetrwania kolonii. Dlatego właśnie potrzebowaliśmy jakiegoś środka, który mógłby zapewnić jej dalszy byt. Olbrzymie Szerszenie są sprzymierzone z wieloma innymi koloniami, jednak wciąż mamy wielu wrogów i zawsze musimy liczyć się z koniecznością wyruszenia na wojnę – wyjaśnił Kiroumaru. – Podobnie rzecz ma się z ludźmi. Nie trudno sobie wyobrazić że wasze istnienie stanowi olbrzymie zagrożenie dla naszej kolonii. Bo czym dokładnie są te „dobre relacje”? Jesteśmy lojalni, spełniamy każde wasze życzenie i wykonujemy za was brudną robotę, a wy w zamian pozwalacie nam żyć. To wszystko może jednak zmienić się w jednej chwili. Wiele razy zdarzało się, że unicestwialiście całe kolonie bez żadnego uchwytneho powodu.

– Więc chcieliście zabić ludzi, zanim oni zabiją was?

– Gdybyśmy mogli zagwarantować sobie zwycięstwo jedynie poprzez wyprzedzający atak, zdecydowalibyśmy się na niego bez

wahania. Właśnie tak zrobił Yakomaru. Nie znaleźliśmy jednak żadnych broni nuklearnych, więc, co oczywiste, musieliśmy zrezygnować z tego planu.

– Ale jak właściwie dowiedzieliście się o istnieniu broni jądrowej?

– Prawdopodobnie już się domyślacie. Dzięki terminalom bibliotecznym, które nazywacie fałszywymi minoshiro. Od dawna byliśmy świadomi, że wiedza jest potęgą, więc wkładaliśmy olbrzymie wysiłki w próby schwytania jednej z tych maszyn. Terminale przez lata wykształciły wiele mechanizmów obronnych, które sprawiają, że zawarte w nich informacje są dostępne tylko dla ludzi. Ostatnio odkryliśmy też nowy rodzaj terminala, który jest jeszcze trudniejszy do schwytania... Niestety, maszyna, którą przetrzymywaliśmy w naszej kolonii została zabrana przez Yakomaru. Obecnie w jego władaniu znajdują się przynajmniej cztery terminale.

Zbyt mocno uwierzyliśmy w absolutną potęgę cantusu. Niezależnie od epoki, arogancja i ignorancja tych, którzy mają władzę, wiedzie ich do nieuchronnej zguby.

– Dziękuję ci za szczerą odpowiedź. Czy jednak uważasz, że po tym, co od ciebie usłyszeliśmy, nadal możemy ci ufać?

– Oczywiście, że możecie. Dlatego, że niczego przed wami nie ukryłem. Poza tym nie macie innego wyboru – odparł rzeczowo Kiroumaru. – Pomimo, iż postrzegamy ludzi jako wrogów, nie pragniemy nad wami dominować. Chcemy jedynie zapewnić przetrwanie naszej kolonii. Obecnie jednak jej istnienie jest zagrożone z powodu Łowików, które uwięziły naszą królową.

Kiedy Kiroumaru przemawiał, w jego oku pojawił się błysk czystej nienawiści.

– Ten drań zatracił podstawowy instynkt życia i umierania w służbie kolonii, przeistaczając się w żądnego potęgi potwora. Pod przykrywką demokracji próbuje podstępem przejąć całą władzę dla siebie – warknął gardłowo dziwoszczur. – Pomimo, że nasz gatunek powstał po to, aby służyć ludziom – kontynuował, ścisząc głos – od

początku pozwalano nam na posiadanie własnej kultury i tradycji. Jednakże, jeżeli Yakomaru stanie się dyktatorem, będzie to oznaczało nasz koniec. Nie możemy mu pozwolić na stworzenie społeczeństwa, w którym królowe poddaje się lobotomii i zmienia w niewolnice.

Przypomniałam sobie okropieństwa jakie widziałam w „zagrodach” kolonii Łowików. Po raz pierwszy poczułam wobec Kiroumaru coś w rodzaju ponadgatunkowej empatii.

– Dlatego też – ciągnął dziwoszczur – muszę za wszelką cenę zabić Bestię, aby nie dopuścić do zrealizowania zdradzieckiego planu Yakomaru. Myślę że w tej konkretnej kwestii całkowicie się ze sobą zgadzamy.

– Oczywiście – przytaknęłam.

– Tak, ja też się zgadzam, ale...

Satoru nie dokończył zdania, ale było jasne, co miał na myśli. Kiroumaru mógł zyskać nasze zaufanie, ale to w najmniejszym stopniu nie poprawiało położenia, w którym się znaleźliśmy.

Wszyscy, łącznie z Kiroumaru, wiedzieliśmy, że nic nie możemy zrobić. Również Yakomaru musiał być tego świadomy.

Sytuacja nie była jednak bez wyjścia. Gdybyśmy wcześniej to zrozumieli, moglibyśmy zwyciężyć bez niepotrzebnego rozlewu krwi.

Żadne z nas nie mogło jednak nawet przypuszczać, że od samego początku mamy nad przeciwnikiem ogromną przewagę.

Dziwne...

Znowu usłyszałam dobiegający z mojej głowy głos.

– Shun? Co jest dziwne? Co masz na myśli? – spytałam prawie bezgłośnie, żeby nie zwracać na siebie uwagi Satoru i Kiroumaru.

Kiroumaru. To on jest jokerem... Atutową kartą.

– Nie wiem o czym mówisz. Wytłumacz mi to!

Już ci mówiłem. Chłopiec nie jest Bestią. Pomyśl...

Głos Shuna stawał się coraz odleglejszy.

– Shun. Shun! Dlaczego? Powiedz mi!

Przecież wiesz... pokazałem ci... na powierzchni... mój...

Po tych słowach nastąpiła już tylko cisza.

Nadal nie rozumiałam.

– Saki, co się dzieje? – spytał Satoru, widząc wyraz mojej twarzy.

Kiedy miałam już opowiedzieć Satoru o tym, co usłyszałam od Shuna, odezwał się Kiroumaru.

– Bestia... Zbliża się.

Wszyscy z zapartym tchem wpatrywaliśmy się w korytarz. Ślepy zaułek, w którym się znajdowaliśmy leżał za zakrętem, więc nie mogliśmy dostrzec głównego tunelu.

– Porusza się powoli, żeby nie robić hałasu. Prawdopodobnie jest bardzo blisko, jakieś dwa lub trzy metry od nas...

Czy chłopak naprawdę nas znalazł? Jeśli szedł w dół naszego ślepego korytarza, oznaczało to, że nie mamy dokąd uciec. Zaczęłam się koncentrować, przygotowując się do zawalenia korytarza. To nie było jednak wyłącznie samobójstwem, lecz oznaczało równocześnie świadomą, celową agresję, skierowaną w innego człowieka. Prawdopodobnie w ostatniej chwili zadziałałby mechanizm kontroli ataku, uniemożliwiając mi zrobienie czegokolwiek.

Czy nie byłoby lepiej, gdybym zakończyła to teraz, zanim zobaczę Bestię?

Spojrzałam na sklepienie i... nic się nie stało. Nie byłam w stanie tego zrobić. Ogarnęła mnie porażająca rozpacz.

Gdybym zawaliła tunel, zabiłabym też Satoru. Tak jak się spodziewałam, nie mogłam użyć cantusu.

Zamknęłam oczy i czekałam na nieuchronny koniec.

– Ominął nas. Prawdopodobnie zmierza w stronę Yakomaru, żeby połączyć z nim siły – wyszeptał spokojnie Kiroumaru.

Serce ponownie zaczęło mi łomotać, a całe moje ciało oblał zimny pot.

– Po co do niego dołącza? – spytał Satoru, wzdychając z ulgą.

– Yakomaru najprawdopodobniej obawia się, że postawimy wszystko na jedną kartę i zaatakujemy jego oraz pozostałych żołnierzy. Konwencjonalna broń jest bezużyteczna przeciwko

cantusowi, więc wystarczyło by jedno z was, aby wybić całą armię – wyjaśnił Kiroumaru, przekrzywiając głowę. – Jednakże, wróg pozbawił się tym samym możliwości ataku z obu stron, zostawiając nam drogę ucieczki. Zupełnie, jakby zapraszał nas do skorzystania z tej okazji...

– Powinniśmy spróbować, nawet, jeżeli to pułapka. Może będą tam na nas czekać kolejni żołnierze, ale kolejnej szansy ratunku już nie będzie – odparł Satoru, ruszając w stronę głównego tunelu.

– Stój! – krzyknęłam.

Wreszcie zrozumiałam. W jednej chwili dotarło do mnie, co chciał mi przekazać Shun.

Chłopiec nie był Bestią. Gdyby rzeczywiście cierpiał na zespół Ramana-Klogiusa, byłby dokładnie taki jak w opowieści Tomiko i nie moglibyśmy mu zupełnie nic zrobić.

Nie mieliśmy jednak do czynienia z typowym przypadkiem. A to znaczyło, że...

– Saki? – Satoru spojrzał na mnie pytająco.

– Byliśmy ślepi. Przez cały ten czas mieliśmy mnóstwo idealnych okazji, ale pozwoliliśmy wszystkim wymknąć nam się z rąk.

– O czym ty mówisz? – spytał Kiroumaru.

– Jednak wciąż może być szansa. Będzie trudniej niż poprzednio, ale... Co jeśli istnieje inna metoda? Gdybyśmy tylko zdołali to wykorzystać przeciwko niemu...

– Saki, po prostu nam to wytłumacz – wybuchnął zniecierpliwiony Satoru.

– Jest tylko jeden sposób aby zabić chłopca.

Rozdział 5

– Zawsze mnie to zastanawiało. Dlaczego, spośród wszystkich ludzi, to akurat dziecko Marii i Mamoru miałyby stać się Bestią? – Przygryzłam usta, próbując uporządkować rozbiegane myśli. – Szanse na narodzenie się Bestii są skrajnie małe. A prawdopodobieństwo, że będzie to akurat pierwsze porwane przez dziwoszczury niemowlę jest wręcz zerowe.

– Czy jednak one nie mogły czegoś mu zrobić? Na przykład nafaszerować go jakimiś psychotropami?

– Prawdopodobnie każdy przyjąłby takie założenie. Jednakże, to jest pierwsze ludzkie dziecko wychowane przez Yakomaru. Naprawdę myślisz, że środek, który nigdy wcześniej nie był testowany na ludziach, pozwoliłby mu na uzyskanie dokładnie zaplanowanego efektu?

– Korzystamy z wielu przeróżnych specyfików – wtrącił się Kiroumaru. – Mocz królowych naszych przodków, golców, zawiera substancję która pozwala jej na kontrolowanie robotników. Pomimo, że nasza królowa zachowała zdolność produkcji tego składnika, nasze zdolności umysłowe są znacząco wyższe niż golców. Pełna kontrola żołnierzy jest już niemożliwa bez wykorzystania dodatkowych składników, takich jak na przykład marihuana, która pozwala im pozbyć się strachu... Masz jednak rację. Jesteśmy odrębnymi gatunkami, więc trudno spodziewać się, żeby nasze środki były w stanie usunąć działanie kontroli ataku i na żądanie przeistoczyć człowieka w Bestię.

– Jeśli to nie Bestia, to czym jest w takim razie to dziecko? – spytał oszołomiony Satoru. Rana na jego czole ponownie zaczęła krwawić i zdawała się sprawiać mu duży ból.

– To znaczy – ciągnął – nieważne jak bym o tym nie myślał, on musi być Bestią. Sama widziałaś, co zrobił!

– Właśnie to przez cały czas nas zaślepiało.

Kiedy skończyłam wypowiadać te słowa, wszystko nagle stało się zdumiewająco jasne i logiczne.

– Wystawienie nas na widok dziecka mordującego ludzi bez mrugnięcia okiem było zaplanowane jako atak na płaszczyźnie emocjonalnej, który miał zdusić naszą zdolność racjonalnego rozumowania i popchnąć nas do błędnych wniosków. Dopiero kiedy przyjęliśmy założenie, że to rzeczywiście jest Bestia, mogliśmy poczuć się nieco bezpieczniej.

– Bezpieczniej? Co ty bredzisz? Jakim cudem świadomość tego, że naszym przeciwnikiem jest Bestia miała sprawić, żebyśmy poczuli się bezpieczniej?

– Zespół Ramana-Klogiusa jest czymś, o czym przynajmniej wiemy, że naprawdę istnieje. Nieznane przeraża ludzi bardziej niż cokolwiek innego.

Satoru skrzyżował ramiona i zatopił się w myślach.

– Mam dobre powody, by twierdzić, że chłopiec nie jest Bestią – kontynuowałam. – Bestie całkowicie tracą zdolność racjonalnego myślenia i po prostu zabijają wszystko, co żyje. Jeśli to dziecko rzeczywiście byłoby jedną z nich, jak wytłumaczyć fakt, że nie zrobiło krzywdy Yakomaru?

– Może dziwoszczury kontrolują je za pomocą narkotyków...?

– To niemożliwe. Nie da się tak po prostu poskromić Bestii. Gdyby to było wykonalne, zrobiono by to już dawno temu, zapobiegając wszystkim poprzednim incydentom lub przynajmniej redukując liczbę ofiar do minimum. Poza tym, gdyby chłopiec był odurzony narkotykami, mógłby nie być w stanie atakować i zabijać ludzi.

– Co w takim razie z jego kontrolą ataku i śmiertelnym sprzężeniem zwrotnym? Dlaczego nie działają?

– Najprawdopodobniej działają.

– Że co? O czym ty mówisz?

– Czy to nie oczywiste? Dziwoszczury odebrały to dziecko rodzicom zaraz po narodzinach i wychowały je. Dlatego też postrzega siebie nie jako człowieka, ale właśnie dziwoszczura.

– Możesz mieć słuszność. Ale jak...?

Twarz Satoru rozpromieniła się, kiedy nagle zrozumiał, co mam na myśli.

– Czy ty uważasz, że... Czy to możliwe, że kontrola ataku Bestii... tego chłopca nie działa na ludzi, ale na dziwoszczury?

– Dokładnie.

Rozbiegane myśli w mojej głowie przerodziły się w silne przekonanie. Dziecko uważało się za dziwoszczura, więc nie mogło zabijać tych, których uznawało za pobratymców. Człowieka postrzegało natomiast jako odrębny gatunek.

– Mimo wszystko, czemu zabijał ludzi tak bestialsko i bez mrugnięcia okiem?

– Cóż, my robimy podobnie, prawda?

– Hę? – zdziwił się Satoru. – Ale to co innego. To dziwoszczury.

– Satoru urwał nagle, uświadamiając sobie, że słucha go Kiroumaru. – Masz rację... Nigdy nie postrzegałem tego w taki sposób.

– Już dawno powinienem był dostrzec, że coś jest nie tak – odezwał się Kiroumaru. – Chłopiec nie zabił moich elitarnych żołnierzy cantusem, a jedynie ich rozbroił. Byliśmy kompletnie bezbroni i myśleliśmy, że zabawia się naszym kosztem, jednak kilka chwil później, kiedy natknąłem się na niego podczas ucieczki, nie zaatakował mnie pomimo, że dzieliła nas odległość nie większa niż dwadzieścia lub trzydzieści metrów. Niemożliwe, by mnie nie widział. – Kiroumaru jęknął z wściekłości. – I tamta niedawna sytuacja... Kiedy Bestia szła w waszą stronę, zdołałem jej przeszkodzić po prostu rzucając kamieniem. Śmierć waszej dwójki była kluczowym elementem planu wroga, więc nigdy nie spodziewałbym się, że chłopiec pozwoli wam uciec. Zwycięstwem byłoby dla niego nawet pozbycie się jednego z was, jednak po prostu

pozwolił nam odejść. To nie tak, że postanowił nie atakować. On zwyczajnie nie był w stanie tego zrobić z powodu mojej obecności!

– Chwila, czyli jeżeli dzieciak nie będzie chroniony, Kiroumaru da radę go zaatakować...? – spytał drżącym głosem Satoru.

– Tak. Chłopiec nie może nic mu zrobić, więc Kiroumaru z łatwością zabiłby go lub schwytał żywcem.

– Niech to szlag! – Na skalnej ścianie w pobliżu Satoru pojawiło się pęknięcie. – Przez cały czas mieliśmy zwycięstwo w garści, ale pozwoliliśmy mu się wymknąć! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy?

– Opanuj się, jeszcze nie jest za późno – odparłam najspokojniej jak potrafiłam. – Bądź co bądź, w końcu odkryliśmy prawdę, nawet jeśli udało nam się to w ostatniej chwili.

– Powinniśmy byli dojść do tego zanim Bestia... chłopiec przeszedł głównym tunelem. Teraz chroni go Yakomaru, więc jeśli Kiroumaru spróbuje go zaatakować, sam zginie – westchnął Satoru.

Istniał jednak jeszcze inny sposób. Szanse powodzenia były niewielkie, jednak nie zerowe. To była ostatnia pozostała nam możliwość. Musieliśmy zaryzykować.

Mimo to cały czas wzdrygałam się na myśl o zrobieniu czegoś tak okrutnego. Gdyby Yakomaru był na naszym miejscu, z pewnością nie zawahałby się nawet na sekundę, jednak jakaś część mnie wciąż opierała się przed wdrożeniem w życie tego planu. Ludzie czy dziwoszczury - wszyscy byliśmy żywymi istotami. W naszych piersiach biły serca a żyłami płynęła ciepła krew. Jako inteligentne stworzenia byliśmy w stanie odczuwać radość, smutek, gniew, zadumę... Nie byliśmy pionkami, które można poświęcić aby odnieść zwycięstwo w wielkiej grze. Po spędzeniu tak długiego czasu z Kiroumaru stało się to dla mnie jeszcze oczywistsze.

Tamto dziecko tak bardzo przypominało mi Marię i Mamoru, że jego widok rozdzierał moje serce na kawałki.

A przecież to ono zaatakowało wioski, zniszczyło nasze domy i zabiło tysiące niewinnych ludzi. Poczułam jak falą spływa na mnie niepohamowana wściekłość i żądza zemsty.

Ale chłopiec nie był Bestią.

Był niewinny. Dziwoszczury zamordowały jego rodziców a potem wychowały go i nakazały mu, by dla nich zabijał. Sam uważał się za dziwoszczura, więc nie kwestionował tych poleceń ani nie miał wyrzutów sumienia z powodu swoich czynów. Ludzie byli dla niego demonami, które zniewoliły i dla kaprysu zabijały jego braci.

To jednak nie wszystko. Kontrola ataku i śmiertelne sprzężenie zwrotne nie pozwalały mu podnieść ręki na dziwoszczury, podczas gdy one mogły karać go jak tylko chciały.

Mówiąc krótko, chłopiec był dosłownie ich niewolnikiem.

Jakież okropne musiało być jego życie? Serce pękało mi na samą myśl o tym, w jaki sposób musiały traktować go dziwoszczury po śmierci Marii i Mamoru.

Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby nasza misja zakończyła się niepowodzeniem.

Ludzie, którzy zdołali przetrwać pogrom, nie mieliby wyboru i musieliby uciekać bardzo daleko aby uniknąć śmierci. Z pomocą dziecka, Yakomaru zdołałby odeprzeć ataki pozostałych dystryktów. Dekadę później, porwane niemowlęta rozbudziłyby swój cantus, a wtedy już nic nie mogłoby go powstrzymać. Dziwoszczury podbiłyby całą Japonię.

Nie było czasu na rozmyślanie nad alternatywną metodą działania.

Musiałam to zrobić.

Byłam pewna, że Tomiko doszłaby do takiego samego wniosku.

– Saki – odezwał się Satoru, podnosząc wzrok. – Mówiłaś, że to, co poprzednio zrobiłaś Bestii nie zadziała ponownie, prawda?

– Tak – przytaknęłam. – Po pierwsze musimy poznać dokładną pozycję wrogów.

Cicho podpełzliśmy z powrotem w stronę głównego korytarza, zatrzymując się dopiero jakieś cztery lub pięć metrów od niego. W tunelu panowała absolutna cisza.

Na mój znak Satoru stworzył małe lustro z pary wodnej zgromadzonej w powietrzu, po czym powoli je przesunął tak, abyśmy mogli dostrzec nieprzyjaciół.

Byli tam. Kiedy tylko znaleźli się w naszym polu widzenia, Satoru zniszczył lustro i cofnęliśmy się w głąb wąskiego korytarza.

Pomimo, że widziałam ich zaledwie przez ułamek sekundy, doskonale zapamiętałam ich pozycje. Oddział złożony z pięciu żołnierzy czekał w zasadzce jakieś dwadzieścia metrów od wylotu naszego tunelu. Kilka metrów za nimi stał chłopiec.

– Bestia... ten dzieciak. On nie przeszedł tym tunelem wyłącznie po to, by dołączyć do Yakomaru. Zastawili na nas pułapkę – wyszeptał Satoru. – Jeśli spróbujemy ucieczki, będzie po nas.

– Umieszczenie żołnierzy przed Bestią to dobre posunięcie – dodał Kiroumaru. – Nie mogę sam ruszyć do ataku. Otoczyliby mnie, gdybym się na to zdecydował. Gdybyście z kolei wybiegli tuż za mną, Bestia miałaby was jak na dłoni.

– Widziałaś gdzieś Yakomaru?

– Nie... Bez wątplenia ukrywa się daleko w tyle.

W mniejszym lub większym stopniu spodziewałam się tego, że dziwoszczury będą ochraniać chłopca. Z drugiej strony, nieobecność Yakomaru na pierwszej linii była dobrym znakiem. Oznaczało to, że być może uda nam się odnieść błyskawiczne zwycięstwo. Gdyby Yakomaru znajdował się w pobliżu, mógłby przejrzeć nasz plan i w porę zareagować. Skoro jednak chował się na tyłach, wiedziałam, że nie będzie miał na to czasu.

Popęłnianie takich błędów było do niego niepodobne. Wiara, którą pokładał w zdolnościach swojej „Bestii” sprawiła, że stał się nieostrożny.

Musieliśmy to wykorzystać zanim zrozumie swoją pomyłkę. A Kiroumaru miał być naszym asem w rękawie.

– Muszę cię o coś poprosić – zwróciłam się do dziwoszczura.

– Zrobię wszystko co w mojej mocy... Wymyśliłaś jakąś taktykę, która pozwoli nam ich pokonać?

Wyjaśniłam mój plan.

Kiroumaru wyglądał na oszołomionego i na chwilę zaniemówił.

– Czy to możliwe...? Jak ty w ogóle na to wpadłaś? – dopytywał się nie mniej zszokowany Satoru.

– Shun mi powiedział.

– Shun? A kto to ta... Och!

Wyglądało na to, że wreszcie powróciły i jego wspomnienia.

Kiroumaru nagle się uśmiechnął.

– Genialne. Jesteś wybornym strategiem... Byłem przekonany, że nasze położenie jest beznadziejne. Nie mogę uwierzyć, że ostatnie możliwe rozwiązanie jest tak proste.

– Zrobisz to?

– Oczywiście. Jedynym problemem pozostaje to, jak ukryjemy mój zapach. Wiatr wieje od naszej strony, więc żołnierze wyczują mnie z kilometra.

– Racja...

Rozejrzałam się wokoło i zobaczyłam, że deszczówka spływa strużkami po ścianach tunelu. Najwyraźniej ulewa w ogóle nie zelżała, więc nie musieliśmy się martwić, że zabraknie nam wody.

Kiroumaru dokładnie zmył z siebie całe błoto, a Satoru zdjął swoje ubranie.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy mieli pod ręką guano, ale to też powinno zadziałać – oznajmił Kiroumaru, obwąchując się.

– Ale to wciąż za mało... Satoru, możesz zmienić kierunek wiatru? Wystarczy nawet parę sekund.

– Będę musiał w tym samym czasie stworzyć lustro – odparł, krzywiąc się. – Jeśli jednak to ma być tylko kilka chwil, powinienem sobie poradzić. Dla Shuna używanie jednocześnie dwóch różnych

technik z pewnością byłoby dziecinnie proste. Jeśli przeżyjemy, chcę usłyszeć, co pamiętasz na jego temat – dodał, uśmiechając się.

– Zgoda.

Satoru wyglądał, jakby miał zamiar jeszcze coś powiedzieć.

Kiroumaru miał spore problemy, żeby zmieścić się w ubrania Satoru, więc podbiegliśmy mu pomóc. Budowa jego ciała znacząco różniła się od ludzkiej, więc nie mogliśmy sprawić aby ciuchy dobrze na nim leżały, jednak przynajmniej zdołaliśmy wcisnąć na niego wszystkie elementy przebrania. Pozostało nam jedynie zakryć mu twarz.

– Och, możemy przecież wykorzystać to – powiedział Satoru, ściągając bandaż, w który było zawinięte jego ramię. Rana ponownie zaczęła krwawić, ale nie wydawała się zbyt poważna.

– Rozumiem, to też pomoże nam ich zmylić. Bestia może pomyśleć, że twoja twarz została poparzona podpalonym proszkiem z Psychobójcy... – zauważył Kiroumaru, oplatając sobie bandaż wokół głowy. – Teraz jesteśmy gotowi. Zanim zaczniemy, muszę was jednak o coś poprosić – dodał formalnym tonem. Niezwykle przypominał ożywioną mumię.

– Jeżeli będziemy w stanie, spełnimy twoją prośbę.

– Nie mam wątpliwości, że kiedy to wszystko się skończy, mieszkańcy dystryktu będą żądać totalnej eksterminacji gatunku dziwoszczurów. Jednak proszę, oszczędźcie królową Olbrzymich Szerszeni. Ona jest życiem i nadzieją każdego członka mojej kolonii... To nasza matka.

– Dobrze. Mogę ci to obiecać.

– Ja również przyrzekam. Nieważne co się stanie, nie pozwolę, by królowa została zgładzona. Twoja kolonia odzyska zaś swoją świetność.

Pomimo, że twarz Kiroumaru ukrywały bandaże, wyczułam, że się uśmiecha.

– Teraz, gdy mam wasze słowo, nic mnie już nie powstrzymuje. Nie mogę się doczekać momentu, w którym zmiażdżę na proch szalone urojenia tego zakłamanego drania.

Podczołgaliśmy się do miejsca, w którym nasz korytarz łączył się z głównym tunelem.

– Zrobimy tak, jak ustaliliśmy. Będę odliczała od dziesięciu w dół. Rozpoczynamy, kiedy dojdę do zera. Wtedy zacznę liczyć sekundy. Na „jeden” Satoru zatrzyma wiatr. Na „dwa”, „trzy” i „cztery” zmieni jego kierunek i stworzy lustro. Na „pięć”, „sześć” i „siedem” zaatakuję. W ósmej sekundzie zaś zaczniemy biec.

– Wszystko jasne.

– Zrozumiano.

Wzięłam głęboki wdech.

Wszystko miało się rozstrzygnąć w ciągu następnej minuty. Na samą myśl o tym poczułam, że uginają się podę mną nogi. Byłam przerażona, choć wcześniej myślałam, że po tym wszystkim co do tej pory przeszłam zdołam z siebie wykrzesać więcej odwagi, kiedy przyjdzie czas na działanie.

Mogłam nie ująć z życiem.

Było tak wiele rzeczy, które chciałam jeszcze zrobić. Nie mogłam znieść wizji własnego ciała gnijącego w ziemi.

Nie. To nie tego się tak naprawdę obawiałam.

Bałam się, że umrę na próżno. Że nie zdołam powstrzymać Bestii i odejdę z tego świata, nic nie wskórawszy. Że u kresu swego życia usłyszę dźwięki trąb, obwieszczających zwycięstwo Yakomaru i że będę mogła jedynie bezgłośnie przeproszać resztę ludzkości za swoją porażkę.

Poczułam zawroty głowy a usta spierzchły mi ze zdenerwowania.

Uspokój się.

Skoncentruj się na tym, co trzeba zrobić.

Desperacko próbowałam się wyciszyć.

– W porządku, gotowi? Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

Kiedy odliczałam, serce dziko łomotało mi w piersi, a całe ciało zeszywniało, przygotowując się do akcji.

– Trzy, dwa, jeden, zero!

Wiatr nagle osłabł. Po lewej stronie tunelu Satoru zmaterializował niewidzialny mur, blokujący wszystkie powiewy. Zaraz potem tuż przed ścianą stworzył zamknięty obszar próżni.

– Jeden.

W powietrzu zaczęło formować się lustro.

– Dwa, trzy, cztery.

Satoru przestał utrzymywać próżniową sferę. Powstałe podciśnienie zassało powietrze, odwracając kierunek wiatru. Podmuch był zbyt słaby bym go poczuła, ale wyraźnie widziałam, że małe pyłowe drobinki zaczęły przemieszczać się w drugą stronę. Również lustro powoli się obróciło, ukazując czyhających po naszej prawej żołnierzy.

Skupiłam się na jednym z nich. Musiał umrzeć najbardziej widowiskowo jak było to możliwe; nie mogłam po prostu cicho skrócić mu karku. Wyszeptałam bezdźwięcznie swoją mantrę.

– Pięć.

Głowa dziwoszczura eksplodowała, rozbryzgując wokoło krew.

– Sześć.

Reszta żołnierzy spanikowała i zaczęła strzelać na oślep. Nie mogli oni usłyszeć Yakomaru, który rozkazywał im przestać. Po oddaniu salwy z arkebuzów, potrzebowali czasu, aby je przeładować.

– Siedem.

Wystrzały ustały. Wybrałam dwa kolejne dziwoszczury i z impetem roztrzaskałam je o sufit. Na pozostałych trzech żołnierzy spadł deszcz kamieni, krwi i strzępów ciała. Jeden z nich odwrócił się i zaczął uciekać, a pozostała dwójka od razu ruszyła w jego ślady.

– Osiem!

Kiroumaru wypadł z tunelu. Ja trzymałam się tuż za nim.

Choć wyglądał nieco dziwnie, odróżnienie tak wielkiego dziwoszczura od człowieka było trudne, zwłaszcza, że biegł na

tylnych łapach ciemnym korytarzem. Kiedy wyjrzałam zza jego ramienia, dostrzegłam stojącą przed nami niewielką postać o krwistoczerwonych włosach. Chłopiec. Wpatrywał się w nas wzrokiem pełnym czystej nienawiści.

Kiroumaru znakomicie odegrał swoją rolę. Prawdopodobnie swoją wiarygodnością przebił nawet Inuiego, podszywającego się pod dziwoszczura. Nawet gdy biegł, udawał, że korzysta z cantusu, szepcząc pod nosem i wymachując rękoma w kierunku uciekających żołnierzy.

Bez wahania odcięłam głowę jednemu z nich. Woń krwi wypełniła wąski korytarz, sprawiając, że trudno było oddychać.

– 𐌹★*∇§▲Ж...АДЭЭ!

Okrzyk Bestii... dziecka bardziej przypominał wycie zwierzęcia niż jakikolwiek ludzki głos.

Kiroumaru nagle znieruchomiał, zupełnie, jakby zderzył się ze ścianą.

Dziura, która nagle pojawiła się w jego ciele była tak wielka, że bez problemu mogłam spojrzeć przez nią na wylot. Wnętrznosci dziwoszczura wyleciały w powietrze, ochlapując mnie krwią od stóp do głów, po czym z donośnym plaśnięciem wylądowały na podłodze.

– 𐌹★*∇§...

Chłopiec najwyraźniej zorientował się, że coś jest nie w porządku, ponieważ zamilkł i zaczął wpatrywać się tępo w Kiroumaru.

Człowiek zginąłby od razu, jednak Kiroumaru wciąż trzymał się na nogach. Pozostała mu do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Drżącą dłonią sięgnął do opatrunków, które skrywały jego głowę i zaczął je odwijać.

W tunelu zapanowała grobowa cisza.

Kiedy opadł ostatni z bandaży, ujawniając prawdziwą tożsamość Kiroumaru, chłopiec stanął jak wryty.

– ΠΥガ…▼Ë…□… – Kiroumaru wydusił z siebie ostatnie słowa, po czym runął na ziemię. Podbiegłam do niego, mimo iż nie ulegało wątpliwości, że jest już martwy. Na jego twarzy zastygł uśmiech satysfakcji.

Rozległ się mrozący krew w żyłach wrzask. Podniosłam wzrok.

– ΠΥガ山▼Ë…◎□…?

Chłopiec wyglądał na kompletnie zszokowanego. Po chwili cały zaczął się trząść, a na jego czole pojawiły się wielkie krople potu.

Pragnęłam się odwrócić, jednak zacisnęłam zęby i zmusiłam się do patrzenia.

Syn Marii i Mamoru padł na kolana, przyciskając dłonie do lewej części klatki piersiowej.

Śmiertelne sprzężenie zwrotne zadziało od razu, gdy tylko uświadomił sobie, że zabił przedstawiciela własnego gatunku.

Przygryzłam wargi tak mocno, że poczułam na języku smak krwi.

Już nie ma odwrotu. On za chwilę um...

Rozrywający ból przeszył mój tors, a całym ciałem wstrząsnął dreszcz. To było jak uderzenie pioruna podczas bezchmurnego dnia.
Czyżby mnie też miała spotkać kara?

Wcześniej w ogóle nie przyszło mi na myśl, że również i moje śmiertelne sprzężenie zwrotne może zadziałać po śmierci dziecka. Koniec końców, moim jawnym zamiarem było pozbawienie życia innego człowieka, więc powinnam była brać pod uwagę taką możliwość.

– Saki, co ci jest? – spytał Satoru, podbiegając do mnie.

Było mi słabo. W chwili, w której zrozumiałam, że chłopiec umiera, zaczęło mnie boleć serce.

To nie ja go zabijam, to nie ja go zabijam, to nie ja go zabijam...

Rozpaczliwie próbowałam przekonać samą siebie, że nie jestem winna jego śmierci.

Nagle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwie próbuję tak kurczowo chwytać się życia. Wszyscy, których kochałam umarli jeden po drugim. Co więc trzymało mnie jeszcze na tym świecie?

Ból nagle ustał. *Czy ja wciąż żyję?*

Otworzyłam oczy i ujrzałam nad sobą uśmiechniętą twarz Satoru.

– Nie martw się... Już wszystko w porządku.

Przytulił mnie tak mocno, że aż zabrakło mi tchu.

To ja przyczyniłam się do śmierci chłopca, jednak nie zaatakowałam go bezpośrednio. Właśnie dlatego śmiertelne sprzężenie zwrotne nie mogło się w pełni aktywować; ból, który czułam był jedynie ostrzeżeniem.

Raz jeszcze spojrzałam na chłopca. Leżał na ziemi, zupełnie nieruchomy. Wszystko było skończone.

Yakomaru stał zszokowany nad jego zwłokami.

Mój wzrok przykuł kolor włosów dziecka. Miał dokładnie ten sam odcień co u Marii.

Ten chłopiec był jedynym dowodem na to, że moja przyjaciółka w ogóle kiedyś żyła... Nie chciałam go zabijać. Nie było jednak innego wyjścia.

Łzy zaczęły strużkami ściekać mi po twarzy.

Nie mam wątpliwości, że gdyby urodził i wychował się w wioskach, byłby uroczym, inteligentnym dzieckiem.

Był niewinny.

Do dziś czasami dręczy mnie poczucie winy z powodu tego, co zrobiłam. I choć wiem, że to było niemożliwe, żałuję, że chłopiec nie mógł przynajmniej umrzeć jako człowiek.

Wojna szybko dobiegła końca.

Po utracie swojej atutowej karty, Yakomaru musiał być świadomy nieuniknionej klęski i całkowicie stracił wolę walki. Schwytaliśmy jego oraz pozostałych przy życiu żołnierzy, przejęliśmy ich okręty i wróciliśmy do dystryktu.

Wiele osób zdecydowało się uciekać z wioski. Trwała właśnie zbiorowa ewakuacja, ale kiedy powróciliśmy i ogłosiliśmy, że „Bestia” nie żyje, wszystko uległo zmianie.

Tomiko zginęła, podobnie jak większość członków Komisji Etyki. Powołano do życia Komitet Przywrócenia Prawa i Porządku, tymczasowe ciało administracyjne, którego głównym zadaniem było zorganizowanie zmasowanego kontrataku przeciwko dziwoszczurom. Mimo naszego młodego wieku, wraz z Satoru zostaliśmy wybrani na jego przedstawicieli.

Większość ludzi sprawujących najważniejsze funkcje w dystrykcie poniosła śmierć, więc nie dało się wybierać składu Komitetu bazując na starszeństwie i doświadczeniu. Większość jego członków była dwudziesto- lub trzydziestoparolatkami, którzy wykazali się szczególną odwagą i zdolnościami podczas walki.

Wśród ofiar wojny byli również moja matka i ojciec. Satoru stracił całą rodzinę.

Kiedy się o tym dowiedziałam, zanosłam się płaczem i nie mogłam dojść do siebie przez wiele dni. Miałam wrażenie, że łzy nigdy nie przestaną kapać mi z oczu.

Nieco później, od ludzi, którzy widzieli moich rodziców jako ostatni, dowiedziałam się jaki spotkał ich los. Wrócili do dystryktu dokładnie w momencie, w którym walki osiągnęły krytyczną fazę.

Na rozkaz Yakomaru, ciało Shiseia Kaburagiego zostało powieszona na Świętej Barierze. Wszystkich, którzy to widzieli ogarniał paraliżujący strach. Ludzie tracili wolę walki i uciekali na oślep w panice. Dzięki „Bestii” dziwoszczury z łatwością schwytały i wzięły w niewolę ponad sto osób.

W tym momencie wojska Yakomaru przestały po prostu zabijać każdego, kogo napotkały, a zamiast tego zaczęły brać jeńców. Wiązano im oczy, aby nie mogli korzystać z cantusu i zamykano w klatkach.

Nieliczni, którzy nadal się nie poddali, kontynuowali walkę z dziwoszczurami, starając się unikać wzroku Bestii. Zdołali w ten sposób nieco uszczuplić siły wroga.

Moi rodzice przybyli do wioski w samym środku tego chaosu i od razu skierowali swoje kroki do szkół, aby wypuścić na wolność przeklęte koty.

Te zwierzęta okazały się dalece bardziej inteligentne niż mogłam przypuszczać. Śledzenie ofiary, podążając za jej zapachem nie było niczym szczególnym, jednak potrafiły one także rozpoznawać twarze na rysunkach i poprawnie identyfikować swoje cele nawet po upływie kilku tygodni.

Moja matka i ojciec uwolnili wszystkie dwadzieścia kotów, nakazując im ukryć się wśród gruzów i czekać na dogodną okazję do ataku. Niewiele zabrakło, a odnieśliby sukces.

Ludzie, którzy obserwowali całe zajście z dachów budynków twierdzą, że po zlokalizowaniu „Bestii”, przeklęte koty przeprowadziły skoordynowaną, zmasowaną akcję.

Chłopiec i jego ochroniarze przemierzali się na południe, kiedy od zachodu nadszedł brązowy kot a od wschodu – szary. Pierwszy z nich szedł z wiatrem, więc strażnicy szybko go wyczuli i wszyscy skupili się na ochronie zachodniej flanki, otwierając w ten sposób szaremu zwierzęciu drogę ataku.

Wtedy znikąd pojawiły się dwa kolejne koty, nacierając na wrogów od północy. Jeden z nich, o ubarwieniu kaliko, okrążył przeciwników, zachodząc ich od południa, podczas, gdy pozostałe trzy zwierzęta osaczyły chłopca z innych stron. Zdawało się, że przeklęte koty są na wygranej pozycji; niezależnie od tego, jak utalentowana była „Bestia”, trudno było przypuszczać, że da radę stawić czoła trzem kotom naraz.

Ochroniarze chłopca zdołali jednak zareagować w samą porę. Wszyscy byli mutantami, których całe grzbiety były pokryte ostrymi kolcami. Przeklęte koty zdołały powalić dziwoszczury i rozplatać ich

miękkie brzuchy, jednak zajęło im to dość dużo czasu, by „Bestia” po kolei zabiła wszystkie trzy zwierzęta.

W ostatecznym rozrachunku zmyłkoty nie zdołały pokonać chłopca, jednak udało im się nieco go spowolnić, co umożliwiło ucieczkę kilku dodatkowym mieszkańcom.

W tym samym czasie moi rodzice udali się do biblioteki, aby spalić wszystkie książki, które mogłyby stanowić śmiertelne zagrożenie w rękach wroga. Dym przyciągnął jednak uwagę „Bestii”, która zdążyła już uporać się z kotami. Kiedy moja matka i ojciec wyszli z budynku, chłopiec już na nich czekał...

Wierzę, że zarówno moi rodzice jak i pozostali, którzy poświęcili swoje życia, nie umarli na próżno. Mimo to coraz oczywistsze było, która ze stron ma przewagę. Nasze szanse na pokonanie „Bestii” były właściwie zerowe.

Nagle stało się jednak coś nieoczekiwanego. Chłopiec zaczął się dziwnie zachowywać, zupełnie, jakby był rozkojarzony. Dzięki temu ocalała całkiem pokaźna liczba mieszkańców, choć nadal nie jest do końca jasne, co spowodowało dekoncentrację „Bestii”. Możliwe, że egzorcyzmy mnichów zaczęły przynosić efekty.

Yakomaru dowiedział się o modłach kapłanów od jednego z torturowanych jeńców i szybko zareagował. Poprowadził do Świątyni Czystości duży oddział swoich elitarnych żołnierzy, którzy spalili cały budynek. Naczelnym Mnich Mushin, Zwierzchnik Gyousha i prawie wszyscy ich uczniowie podzielili los świątyni. Nie został już nikt, kto mógłby powstrzymać Bestię.

Wtedy Yakomaru ruszył za nami w pościg. Najprawdopodobniej to właśnie w Świątyni Czystości zdobył informacje o naszej wyprawie.

Powróćmy jednak do tego, co działo się po naszym powrocie. Wiadomość o śmierci chłopca rozniosła się w błyskawicznym tempie, powodując, że strach, zatruwający serca mieszkańców ustąpił miejsca potwornej wściekłości i żądzy zemsty.

Zbiegło się to w czasie z nadejściem wsparcia, wysłanego przez sąsiadów z Tainai 84 w Hokuriku oraz Koumi 95 w Chuubu.

Losy wojny całkowicie się odwróciły.

Wróg utracił za jednym razem swoją pięść – „Bestię” i mózg – Yakomaru. Pozostałe niebezpieczne mutanty, takie jak plujący prochem potwór na którego się natknęliśmy, również były już martwe. Dziwoszczury nie miały dokąd uciec i szybko zostały otoczone i zdziiesiątkowane przez strażników Ochrony Przyrody z pozostałych dystryktów.

Squeaker, zastępca Yakomaru, zwrócił wszystkie porwane niemowlęta i wysłał posłańca, który miał negocjować warunki rozejmu. Goniec powrócił jednak martwy, przywiązany do wierzchowca, z wetkniętym w usta listem z grzeczną odmową. Kolejny poseł przyniósł już jedynie deklarację kapitulacji i prośbę o darowanie życia pozostałym żołnierzom. Komitet odesłał również jego, lecz tym razem dziwoszczur, który wrócił do obozu wroga, przypominał jedynie bezkształtny zlepek nowotworowych tkanek.

Widząc, że sytuacja jest bez wyjścia, Squeaker poprowadził niedobitki swoich oddziałów do z góry przegranego boju.

Ludzie, wciąż kipiący żądzą zemsty, nie mieli jednak zamiaru tak po prostu pozwolić umrzeć dziwoszczurom. Każdy z żołnierzy był przed śmiercią powoli i długo torturowany.

Również Satoru i ja braliśmy udział w tej masakrze. Nie jest to jednak coś, o czym chciałabym szczegółowo opowiadać.

Wiem jedynie, że dwóch rzeczy nie zapomnę nigdy. Pierwszą z nich jest widok pola, całkowicie zabarwionego na czerwono i przepelnionego duszącą wonią krwi, a drugą – piski tysięcy dziwoszczurów, które w moich uszach brzmiały zupełnie jak krzyki ludzi.

Tydzień później odwiedziliśmy Yakomaru. Można było odnieść wrażenie, że się skurczył, tak jakby uleciała z niego cała dusza.

Spojrzał na nas z kamiennej podłogi, do której był przykuty łańcuchami.

– Pamiętasz nas, Yakomaru?

Dziwoszczur jedynie wymamrotał coś niezrozumiale w odpowiedzi.

– Jestem Saki Watanabe z Sekcji Kontroli Obcogatunkowców Wydziału Zdrowia, a to Satoru Asahina z Farm Lotosu.

– Pamiętam was... – odparł ochryple dziwoszczur po krótkiej pauzie. – To wy zabiliście naszego mesjasza i schwytaście mnie w tunelach pod Tokio.

– O czym ty mówisz? Nie zabiliśmy go! – warknął Satoru. – To ty zamordowałeś Marię i Mamoru po to, żeby wprowadzić w życie swój przeklęty plan! To przez ciebie ich dziecko uśmierciło setki ludzi! To wszystko twoja wina!

Yakomaru nie odpowiedział.

– Niedługo odbędzie się twój proces. Jest jednak coś, o co chciałabym cię wcześniej zapytać – powiedziałam cicho.

Postawienie przed sądem obcogatunkowca było czymś niespotykanym, jednak Komitet postanowił w tym przypadku zrobić wyjątek. Przeanalizowano wiele zapisów z odbywających się w starożytnej Europie rozpraw, podczas których stawiano zarzuty zwierzętom, przygotowując się w ten sposób do pierwszego w nowej historii procesu, w którym oskarżonym nie miał być człowiek. Przypuszczałam, że Yakomaru najprawdopodobniej nie dostanie nawet możliwości zabrania głosu, a nawet gdyby pozwolono mu się bronić, wątpiłabym, że będzie odpowiadał zgodnie z prawdą.

– Dlaczego zrobiłeś to wszystko?

– To wszystko...? – Yakomaru uśmiechnął się nieznacznie.

– Postawiono ci więcej zarzutów niż możesz zliczyć. Chcę wiedzieć z jakiego powodu tak bezwzględnie zabiłeś wszystkich tych ludzi.

Yakomaru musiał wygiąć głowę w nienaturalny sposób, żeby móc spojrzeć mi w oczy.

– To była po prostu część strategii. Po tym, jak wybuchły walki, musieliśmy zrobić wszystko co było w naszej mocy, aby zwyciężyć. Gdybyśmy przegrali to... cóż, znalazłbym się w dokładnie takim samym położeniu jak teraz.

– Czemu w takim razie w ogóle zbuntowaliście się przeciwko ludziom?

– Bo nie jesteśmy waszymi niewolnikami.

– O czym ty mówisz? Co prawda płacicie nam podatki i pracujecie dla nas, jednak od zawsze uznawaliśmy waszą pełną autonomię, chyba nie zaprzeczysz? – odezwał się ostro Satoru.

– Tak, ale tylko kiedy mieliście dobry humor, moi bogowie. Gdybyśmy bowiem choć w najmniejszym stopniu was rozgniewali, całą naszą kolonię zostałaby natychmiast unicestwiona. Znaczymy chyba nawet mniej niż niewolnicy.

Przypomniało mi się, że Kiroumaru powiedział nam właściwie to samo.

– Eliminacja kolonii to ostateczność. Jest zarezerwowana tylko dla najohydniejszych zbrodni. Gdybyście nie mordowali ludzi ani nie wypowiedzieli nam posłuszeństwa, nic takiego by się nie...

Nagle przyszyły mi na myśl wszystkie poprzednie kary, wymierzone dziwoszczurom przez Sekcję Kontroli Obcogatunkowców.

– Co było pierwsze, jajko czy kura? Tak czy inaczej, nasze życia są równie nietrwałe jak bąbelki na powierzchni stawu. Czy próba ucieczki przed takim losem nie jest czymś naturalnym? – powiedział Yakomaru, unosząc dumnie głowę i obnażając zęby. – Jesteśmy wysoce inteligentnymi istotami. Nie ustępujemy wam pod żadnym względem. Istnieje między nami tylko jedna różnica: wy posiadacie tę plugawą moc, którą nazywacie cantusem, a my – nie.

– Już samo to, co przed chwilą powiedziałeś jest wystarczającym powodem, by skazać cię na śmierć – powiedział Satoru, mierząc Yakomaru lodowatym wzrokiem.

– Mój los i tak jest przesądzony – odparł dziwoszczur, wzruszając ramionami.

– Twierdzisz, że działałeś dla dobra kolonii, ale Kiroumaru miał na ten temat inne zdanie. Nawet jeśli rzeczywiście chciałeś zjednoczyć wasz lud, jak usprawiedliwisz fakt, że zdetronizowaliście królowe i traktowaliście je jak zwierzęta?

– Kiroumaru był wyśmienitym generałem, lecz jednocześnie ślepo wierzącym w swoje skostniałe idee ignorantem, który nie potrafił dostrzec prawdziwej natury problemu. Tak długo jak królowe mają władzę, żadne reformy nie są możliwe. Nie rozpocząłem rewolucji tylko ze względu na dobro mojej kolonii.

– W takim razie dlaczego to zrobiłeś? Chciałeś po prostu zaspokoić swoją żądzę potęgi?

– Nie chodziło mi wyłącznie o zbiorowisko jednostek, które nazywamy kolonią. Zrobiłem to przez wzgląd na całą swoją rasę.

– Rasę? Dobrze sobie. Posyłałeś swoich żołnierzy na śmierć bez mrugnięcia okiem.

– Tak jak już mówiłem, to był element strategii. Gdybyśmy wygrali, ich strata nie miałaby znaczenia. Zwycięstwo byłoby warte tych wszystkich ofiar.

– Pokrętnie tłumaczenie – syknął Satoru. – Na wasze nieszczęście, przegraliście. Tak jak mówisz, nie liczyłeś się z niczym dążąc do swojego celu. A mimo to poniosłeś porażkę.

– Tak. I właśnie dlatego zasługuję by po stokroć umrzeć. Miałem mesjasza, potężnego asa w rękawie, jednak dałem się nabrać na prostą sztuczkę i wszystko straciłem. – Yakomaru zwiesił głowę. – Mogliśmy zmienić historię... Mogliśmy spełnić nasze największe marzenie i wyzwolić nasz gatunek. Taka okazja może już nigdy się nie powtórzyć.

– Chodźmy, Saki. Dalsza rozmowa z nim to tylko strata czasu.

Powstrzymałam Satoru gestem dłoni.

– Yakomaru... – zwróciłam się do dziwoszczura.

– Mam na imię Squealer.

– W takim razie, Squealerze. Jest coś, o co chcę cię poprosić. Chcę, żebyś z głębi serca przeprosił wszystkich ludzi, których zabiłeś.

– Ależ oczywiście – odparł z ironią Squealer. – Jednak tylko jeśli wy przeprosicie pierwsi. Jeżeli przeprosicie cały mój gatunek za to, że bez skrępów miażdżyliście nas jak robaki.

Proces był – krótko mówiąc – jedną wielką farsą.

W miarę jak czytano długą listę zarzucanych Yakomaru zbrodni, gniewne pomruki na widowni (na którą składali się właściwie wszyscy mieszkańcy dystryktu, którzy nie byli chorzy lub ranni) przybierały na sile.

Kiedy pełniąca rolę oskarżyciela Kimoto, dawna asystentka Tomiko, uznała, że zebrani są już wystarczająco wzburzeni, odwróciła się w stronę Yakomaru, przykutego łańcuchem do fotela dla pozwanego.

– A teraz, Yakomaru, masz szansę się wytłumaczyć!

– Nazywam się Squealer! – wrzasnął dziwoszczur.

Z widowni dobiegły gwizdy i buczenie.

– Bezczelnie odrzucasz imię, które łaskawie nadały ci wioski, nędzna kreaturo?

– Nie jesteśmy zwierzętami ani niewolnikami!

Na te słowa gniew tłumu osiągnął apogeum. Wyciek cantusu był tak silny, że w sali rozpraw zapanowało wręcz fizycznie odczuwalne napięcie, powodujące ból głowy. Yakomaru, świadomy nieuchronnej śmierci i przygotowany na nią, był jednak niewzruszony.

– Jeśli nie zwierzętami, to czym jesteście?

– Ludźmi!

Zapanowała martwa cisza, jednak po chwili przerwała ją eksplozja śmiechu. Nawet Kimoto nie potrafiła powstrzymać chichotu. Kiedy widownia wreszcie się nieco uciszyła, Squealer odezwał się, zanim Kimoto zdążyła otworzyć usta.

– ŚmieJCie się ile chcecie! – krzyczał. – Każde zło zostanie w końcu ukarane! Nawet jeżeli umrę, pewnego dnia ktoś dokończy moje dzieło i zakończy waszą tyranię!

Rozprawa przeistoczyła się w istny chaos. Wielu zgromadzonych żądało, aby rozerwać Squealera na kawałki, kończyła po kończyne. Na skroniach wrzeszczących gniewnie ludzi uwidoczniły się pulsujące żyły.

– Cisza! UspokóJCie się! – grzmiała Kimoto, próbując przekrzyCzeć rozwścieczony tłum. – PosłuchajCie mnie! SłuchajCie! Zabicie go byłoby zbyt dużą łaską, nie uważacie? PrzypomnijCie sobie wszystkie nikczemne czyny, których się dopuścił. W ten sposób podarowalibyśmy mu jedynie spokój. Proponuję skazać tego gada na wieczne piekło!

Rozległy się okrzyki aprobaty.

Po cichu wymknęłam się z sali sądowej, a Satoru ruszył za mną.

– Co się dzieje? Przecież dostał to, na co zasłużył, nie uważasz?

– Tak myślisz?

– O czym ty mówisz? Przez niego zginęli twoi rodzice, moja rodzina i wielu innych mieszkańców dystryktu.

– To prawda, ale czy tak okrutna zemsta ma sens? Powinniśmy po prostu go zabić i to zakończyć.

– Ludzie się na to nie zgodzą. Sama słyszysz.

Prawdopodobnie nawet stojąc kilka kilometrów dalej dałoby się wychwycić oszalałe wrzaski tłumu. Chaotyczne okrzyki mieszkańców szybko przerodziły się w dwa skandowane na zmianę słowa – „wieczne” oraz „piekło”.

– Sama już nie wiem co jest dobre, a co nie... – wyszeptałam.

Po trwającym pół dnia procesie zapadł ostatecznie wyrok, skazujący Squealera na wieczne piekło. Polegało to na wysyłaniu niewyobrażalnie silnych sygnałów bólowych do każdej komórki nerwowej w jego ciele, regenerując jednocześnie cantusem wszystkie

odniesione obrażenia i nie pozwalając mu umrzeć. To była najsroższa ze wszystkich możliwych kar.

W takim stanie Squealer mógł przeżyć nawet sto lat.

Nagle przypomniało mi się, co usłyszałam od Tomiko.

Przysięgam, że czekają go katusze, jakich nigdy wcześniej nie cierpiała żadna żywa istota. Zginie powolną, przeciąganą śmiercią.

Te słowa w istocie stały się rzeczywistością.

W moim sercu pozostała natomiast jedynie bezkresna pustka.

Rozdział 6

Pozbierałam rozrzucone tu i ówdzie resztki warzyw i kawałki roślin a następnie wrzuciłam wszystko do miski. Było tego zbyt mało, żeby nakarmić żarłoczne golce, jednak jedzenia ledwo wystarczało nawet dla ludzi, więc nie mogłam zaoferować im nic więcej.

Opuściłam główny gmach Wydziału Zdrowia, wciąż noszący widoczne ślady bitwy i skierowałam się do zrujnowanego centrum rozrodu. Dach budynku zniknął bez śladu, narażając wszystko, co znajdowało się w jego wnętrzu na działanie kapryśnych sił natury, jednak przynajmniej ściany pozostały w większości nienaruszone. Część sieci szklanych tuneli uległa potłuczeniu, więc zbyt niebezpiecznie byłoby trzymać w niej golce. Z tego powodu wszystkie trzydzieści pięć zwierząt mieszkało teraz w podziemnych korytarzach, dokładnie takich samych, jakie wykopałyby sobie, gdyby żyły na wolności. Ściany budynku sięgały daleko w głąb gruntu, więc golce nie miały możliwości ucieczki.

Wrzuciłam strawę do karmnika. Golce-robotnicy wyczuły wibracje i już po chwili szybko wypełzły z tuneli. Na samym końcu pokazała się królowa, Sarami oraz towarzyszące jej płodne samce. Robotnicy szybko się rozpierzchli, ustępując przed olbrzymim, kiełbaskowatym ciałem swojej monarchini, która zagarnęła dla siebie cały pokarm.

Po tym, jak odkryłam, że mimo wielkiej skali zniszczeń wszystkim golcom udało się przeżyć, poczułam dziwne ukłucie zawodu. Te zwierzęta nie były oczywiście niczemu winne. Nie mogliśmy ich zabić, jednak na wolności zapewne wyrządziłyby dużo szkód, więc musieliśmy dalej się nimi opiekować.

Nie zmieniało to jednak faktu, że były to wybitnie przygnębiające stworzenia. Były brzydkie, jadły własne odchody i praktykowały kazirodztwo. Trudno było czuć do nich jakąkolwiek sympatię. Wciąż zastanawiałam się nad powodem, dla którego

postanowiono przy pomocy cantusu zmodyfikować te odrażające kreatury do takiego stopnia, że osiągnęły inteligencję równą ludzkiej.

Po nakarmieniu golców powróciłam do siedziby Wydziału Zdrowia. Pomimo sporych uszkodzeń gmach nie został spalony, więc większość trzymany w nim książek pozostała w jednym kawałku. W ciągu kilku następnych dni musiałam wybrać co ważniejsze tomy i przenieść je do nowego budynku.

Według nowo ustanowionego prawa, Sekcja Kontroli Obcogatunkowców, na czele której teraz stałam, nie była już podjednostką Wydziału Zdrowia, lecz podlegała bezpośrednio Komisji Etyki (należałam również do niej). Moim pierwszym zadaniem w szeregach Komisji było przekonanie jej pozostałych członków, żeby cofnięto decyzję o unicestwieniu wszystkich dziwoszczurów zamieszkujących Kanto. Jakby na to nie patrzeć, ukaranie zarówno kolonii, które dopuściły się zdrady, jak i tych, które pozostały do końca lojalne byłoby niesprawiedliwe i pozbawione sensu. W najgorszym razie musiałam przynajmniej dochować złożonej Kiroumaru obietnicy i ocalić jego królową.

Przejrzenie i posortowanie zawartości pięćdziesięciu pudeł pełnych papierów było żmudnym zadaniem, jednak postanowiłam, że nie poproszę nikogo o pomoc. Przekopując się przez zbiory Sekcji Kontroli Obcogatunkowców, natknęłam się na wiele ksiąg i dokumentów, których wcześniej nie miałam okazji przeczytać. W miarę jak poznawałam ich treść, rodziło się coraz więcej pytań i wątpliwości.

Miałam dziwną pewność, że niektóre z tych akt były przeznaczone do wyłącznego wglądu pracowników sekcji.

Ich lektura zazwyczaj pochłaniała mnie bez reszty; również i tym razem całkowicie zaabsorbowała mnie jedna z ksiąg. Mimo, że do posortowania pozostała mi jeszcze cała góra papierów, nie mogłam się oprzeć przed pokusą przeczytania każdej pojedynczej strony.

Musiałam jednak zająć się też innymi sprawami, więc nie mogłam zmarnować całego dnia na siedzenie w kącie i czytanie akt.

– Cześć, Saki – powitał mnie Satoru, otwierając połamane drzwi.

– Hej, znalazłam więcej tych dokumentów. Chcesz o nich posłuchać?

– Jasne – odparł krótko, choć wydawało mi się, że miał zamiar jeszcze coś dodać.

– To sprawozdanie jest najwyraźniej przetłumaczone z angielskiego i dotyczy propozycji naukowej nazwy gatunkowej dla dziwoszczurów. Ich przodkom, golcom, nadano miano *Heterocephalus glaber*. *Heterocephalus* to greckie słowo, oznaczające „dziwną głowę”, natomiast *glaber* znaczy „bezwłosy”...

– No dobrze, i co z tego? – spytał Satoru, marszcząc brew.

– Człowiek to *Homo sapiens*, prawda? Czy określenia *homo* i *hetero* nie są swoimi przeciwieństwami?

– To może być zwykły zbieg okoliczności. Obie te nazwy zostały wprowadzone już w czasach starożytnej cywilizacji.

– Tak, ale ten dokument proponuje dla dziwoszczurów nowe miano, będące jakby kombinacją ich obu, *Homocephalus glaber*. Czy to nie wydaje ci się dziwne?

Myślałam, że Satoru mnie wykpi, ale zamiast tego jego twarz przybrała zdumiewająco poważny wyraz.

– Czy ostatecznie nadano im tę nazwę?

– Nie wiem. Musiałabym przeszukać zasoby biblioteki. Tu natomiast mam jeszcze jeden dokument. Ten z kolei przedstawia propozycję powszechnego japońskiego zapisu słowa „dziwoszczur”. Data jest zbyt niewyraźna, żeby dało się ją rozszyfrować, ale papier wygląda, jakby miał co najmniej kilkaset lat.

– Musiał powstać mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pojawiły się dziwoszczury.

Satoru rozejrzał się po zabałaganionym pomieszczeniu, wykopał spod gruzów nieuszkodzone krzesło i usiadł na nim.

– Autor cytuje starożytny słownik kanji, wyjaśniający etymologię członu „dziwo-”. Połączenie znaku oznaczającego człowieka z takim samym, odwróconym symbolem oznacza kogoś, kto potrafi zmieniać formę, lub po prostu zmianę... Sprawdziłam jeden z naszych glosariuszy, ale cały ten wpis został usunięty natomiast słownik zakwalifikowano do podkategorii ksiąg „potwornych”.

Satoru zerwał się na nogi i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

– Co się stało?

– Nic. Nie chciałem ci o tym mówić, ale...

– Ale co?

– Przeanalizowałem ich genom.

Również wstałam ze swojego fotela.

– Co odkryłeś?

– Nie mogłem przestać myśleć o tym, co Yakomaru... Squealer powiedział podczas procesu.

– To tak jak ja...

Jeśli nie zwierzętami, to czym jesteście? Na to zadane przez Kimoto pytanie, Squealer odparł, że dziwoszczury są ludźmi. Jego słowa cały czas dudniły mi w głowie. Przecież nienawidził całej ludzkiej rasy. Dlaczego więc nazwał siebie człowiekiem?

– W tajemnicy przebadałem fragment ciała dziwoszczura zabitego w pobliżu farm. Możesz nie być tego świadoma, ale Kodeks Etyki całkowicie zabrania jakichkolwiek badań i analiz genów dziwoszczurów. Aż do teraz nie miałem jednak pojęcia co jest powodem tego zakazu.

– Czego się dowiedziałeś? – spytałam, wstrzymując oddech.

– Nie musiałem nawet sekwencjonować DNA. Dziwoszczury mają dwadzieścia trzy pary chromosomów, włączając w to chromosomy płci – odparł Satoru, kręcąc nieznacznie głową.

– No i? Nie rozumiem co to oznacza, wytłumacz mi.

– Ich rzekomi przodkowie, golce, mają trzydzieści par chromosomów. Oznacza to, że są całkowicie odrębnymi gatunkami.

– Masz na myśli, że... dziwoszczury nigdy nie były spokrewnione z golami, które tu hodujemy?

– Nie do końca. Uważam, że fizyczne cechy wyglądu dziwoszczurów pochodzą od genów golców, które im wstrzyknięto. To jednak oznacza, że organizmem bazowym było zupełnie coś innego.

– Nie mówisz chyba o...

– Ludzie także mają dwadzieścia trzy pary chromosomów. Znam jeszcze tylko jeden gatunek, który również posiada tę cechę. To drzewo oliwne. Trudno jednak przypuszczać, by dziwoszczury pochodziły od drzew, prawda?

Kiedy właściwie zaczęłam podejrzewać, że dziwoszczury mogą być ludźmi?

Nagle przypomniało mi się pytanie, które Shun zadał fałszywemu minoshiro, złapanemu podczas letniego obozu.

Zwykli obywatele imperiów niewolniczych oraz myśliwi-zbieracze nie posiadali cantusu... psychokinezy, prawda? Co się z nimi stało?

Odpowiedź maszyny była dość wymijająca.

Istnieje niewiele wiarygodnych źródeł z kilku ostatnich wieków. Obawiam się, że nie potrafię ci odpowiedzieć.

Poczułam jak wzdłuż kręgosłupa przebiegają mi ciarki. Czy nasi przodkowie władający cantusem naprawdę zmienili ludzi pozbawionych mocy w dziwoszczury?

– Ale dlaczego? Czemu zrobili coś takiego?

– Cel, który im przyświecał jest oczywisty – odparł ponuro Satoru. – Cantus sprawił, że historia ludzkości stała się bardziej krwawa niż kiedykolwiek wcześniej. Kiedy wreszcie nastał pokój, przearanżowano genom psychokinetyków, włączając weń mechanizmy kontroli ataku i śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, co

uniemożliwiło im agresję skierowaną w drugiego człowieka. W konsekwencji jednak pojawił się nowy problem, a byli nim ludzie pozbawieni mocy.

– Jak to?

– Użytkownicy cantusu byli wtedy uprzywilejowaną klasą. Obdarzone mocą elity sprawowały pełną kontrolę nad ludźmi pozbawionymi mocy i za wszelką cenę chciały utrzymać się przy tej władzy. Kontrola ataku i śmiertelne sprzężenie zwrotne doprowadziłyby jednak do zamiany ról obu grup. Psychokinezy nie mogli atakować osób pozbawionych cantusu, jednak to samo nie dotyczyło drugiej strony. Podobnie sprawa się miała z Bestią... synem Marii i dziwoszczurami.

– Nie można było po prostu zaaplikować tych samych mechanizmów ludziom nieobdarzonym cantusem?

– Nie, i były ku temu dwa powody. Po pierwsze, użytkownicy psychokinezy nie chcieli pozbawiać się swojej absolutnej władzy nad resztą ludzkości. Po drugie, być może udałoby się to z kontrolą ataku, jednak śmiertelne sprzężenie zwrotne nie miało prawa zadziałać w przypadku ludzi nieobdarzonych cantusem. Pamiętasz, na jakiej zasadzie ono działa? Najpierw trzeba uświadomić sobie, że atakuje się innego człowieka. Kiedy to się stanie, następuje podświadoma aktywacja psychokinezy, powodująca masowy wyrzut hormonów, zatrzymujących pracę serca.

Innymi słowy, śmiertelne sprzężenie zwrotne było po prostu zależnym od cantusu, wymuszonym samobójstwem. Co więc oczywiste, nie mogło dotyczyć tych, którzy nie posiadali mocy.

– To znaczy, że... Że pozbyli się problemu, zmieniając ludzi pozbawionych cantusu w potwory?

Dreszcz przebiegł mi po całym ciele, kiedy uświadomiłam sobie, jak nikczemnego czynu dopuściło się społeczeństwo, w którym żyję.

– Dokładnie. Sam system kast nie wystarczył. Do DNA wszystkich tych, którzy nie posiadali mocy wstrzyknięto tak dużo genów golców, że ostatecznie odbieranie im życia przestało

aktywować mechanizmy kontroli ataku i śmiertelnego sprzężenia zwrotnego... Zostali zmienieni w niewolników i zmuszeni do płacenia danin użytkownikom psychokinezy, którzy w ten sposób zachowali swoją pozycję uprzywilejowanej klasy.

„Ludzie” obdarzeni cantusem zmienili własnych pobratymców w monstra i zabijali ich bez litości...

– Dlaczego jednak przekształcili ich akurat w tak szkaradne stwory?

– Prawdopodobnie to właśnie ta brzydota była powodem.

Odpowiedź Satoru ani trochę nie poprawiła mi humoru.

– Ich paskudny wygląd – ciągnął – sprawiał, że łatwiej nam było postrzegać ich jako odrębny gatunek i tłumił możliwe przejawy empatii, dzięki czemu mogliśmy ich zabijać... Oczywiście inną przyczyną może być niespotykana wśród innych ssaków eusocjalność golców, dzięki której bez trudu można je kontrolować.

Zastanawiałam się, dlaczego już wcześniej się tego nie domyśliłam. Jeśli o tym pomyśleć, wszystko składało się w idealną całość. Dziwoszczury były ponad sto razy większe od golców. Nawet przy założeniu, że ich ewolucja była wspomagana cantusem, trudno było przypuszczać, że zwiększenie wymiarów ciał do tego stopnia w tak krótkim czasie obyłoby się bez widocznych konsekwencji

Być może łatwiej będzie to zrozumieć przez analogię do psów. Wystarczy spojrzeć na ich uzębienie, żeby zorientować się, że powstanie mnogości ras wiąże się z pewnymi niedoskonałościami. Zęby małych psiaków, na przykład chihuahua, są ciasno upakowane w szczękę, podczas gdy zębiska takich olbrzymów jak bernardyny są poprzedzielane wyraźnymi szczelinami.

Uzębienie dziwoszczurów nie dawało jednak tak oczywistego dowodu ich pochodzenia.

Od samego początku powinnam była skupić się na czymś znacznie istotniejszym.

Dlaczego królowe posiadały zdolność modyfikowania fizycznych cech swojego potomstwa? Czy ta umiejętność kontroli

rozwoju płodów była jakąś ograniczoną formą cantusu? Nawet jeśli dziwoszczury były ludźmi, zmienionymi w potwory właśnie dlatego, że nie mieli mocy, wciąż należały do tego samego gatunku co my. Nie zdziwiłoby mnie, jeśli zdołałyby rozwinąć szczątkową postać psychokinezy.

– Zabijaliśmy ich bez mrugnięcia okiem, nie mając pojęcia, kim naprawdę są...

Słowa Satoru po raz kolejny mnie zszokowały.

– W takim razie powinniśmy umrzeć z powodu śmiertelnego sprzężenia zwrotnego... Bądź co bądź, zabijaliśmy ludzi... Wielu. Tak wielu...

Na samo wspomnienie o tym poczułam, że całe ciało pokrywa mi się potem, a moje serce zaczęło szybciej bić.

– Nie. One nie są ludźmi. Być może mamy wspólnych przodków, lecz teraz stanowimy całkowicie odrębne gatunki.

– Ale mówiłeś, że mają dwadzieścia trzy chromosomy, tak samo jak my...

Nawet szympansy różnią się pod tym względem od ludzi.

– Chromosomy to nie wszystko. Musielibyśmy też podświadomie rozpoznawać w dziwoszczurach przedstawicieli naszej własnej rasy. Tamci drzewni wojownicy Ziemnych Pająków, bombopsy, prochowe potwory... Naprawdę uważasz, że one należą do naszego gatunku?

Echo pytania Satoru jeszcze długo dźwięczało mi w głowie.

Będę szczerą. Niezależnie od niezbitych dowodów na pochodzenie dziwoszczurów, nie potrafię myśleć o nich ani o tworzonych przez nie mutantach jako o ludziach.

Muszę jednak też przyznać, że po prostu staram się odganiać od siebie takie myśli.

Moje ręce są splamione krwią. Niezaprzeczalnym faktem jest, że podczas wojny zabiłam tysiące dziwoszczurów, choć robiłam to głównie w obronie własnej lub moich towarzyszy. Nie wiem, czy

można to postrzegać w kategorii morderstwa. Śmiertelne sprzężenie zwrotne nie zadziało, jednak obawiam się, że jeśli wciąż będę wracała do tego wspomnieniami, mechanizm w końcu się aktywuje.

Jest coś jeszcze. To, co zrobiłam tamtego dnia sprawia, że nie wolno mi dopuścić do siebie myśli, że dziwoszczury są ludźmi.

W samym centrum Zbożowego Kręgu zasadzono nowy park. To było miejsce pamięci, dedykowane wszystkim poległym w ataku dziwoszczurów.

Wśród pola pięknych kwiatów stał pomnik ku czci tych, którzy oddali życie. Od zakończenia wojny nie minął nawet miesiąc i wiele budynków wciąż leżało w gruzach, jednak to właśnie ten monument był pierwszą zbudowaną konstrukcją.

Po to, byśmy nigdy nie zapomnieli okropieństw wojny, w najdalszym kącie parku wzniesiono izbę pamięci. Przez kilka pierwszych dni do drzwi budynku ustawiała się ogromna kolejka ludzi. Wszyscy wciąż byli przepelnieni nienawiścią i żądzą zemsty. Wśród tych, którzy codziennie wracali do małego muzeum najbardziej w pamięć zapadł mi starszy mężczyzna, któremu dziwoszczury zabiły dosłownie całą rodzinę – synów, córki, zięciów, synowe, wnuki...

Weszłam do środka. W izbie pamięci nie było żadnych gości, ponieważ wszyscy zgromadzili się na organizowanej w Pięknym Widoku uroczystości ku czci zmarłych.

Wzdłuż ścian rozmieszczono elementy wystawy, przedstawiającej ohydne zbrodnie, jakich dopuszczały się dziwoszczury. Były tam używane przez nie bronie, opisy ich tchórzliwej, podstępnej taktyki, którą stosowały, mordując niewinnych ludzi oraz sami żołnierze. Choć specjalnie wyeksponowano najbardziej odpychające cechy ich anatomii, wszystkie były prawdziwymi, wypchanymi osobnikami.

Tuż obok dziwoszczurów stał model człowieka. Z daleka wyglądał zwyczajnie, jednak kiedy przyjrzało się mu bliżej, było w nim coś niepokojącego.

Przy przeciwległej ścianie postawiono zachowaną w doskonałym stanie głowę jednego z plujących prochem potworów oraz wykonany w skali 1:10 model całego stwora. Obok wisiała tabliczka z tekstem wyjaśniającym fizyczne i chemiczne procesy zachodzące podczas eksplozji prochu.

Na samym końcu sali znajdowała się zaś wielka szklana gabłota.

Na stojącym z boku krześle siedział dozorca. Ekspozycja pozostawała pod stałą obserwacją; strażnicy zmieniali się co osiem godzin. Tego dnia wartę pełnił Onose, mężczyzna w średnim wieku.

– Och, panna Watanabe. Nie powinna być pani obecna na dzisiejszych obchodach? – spytał z wyraźnym zaskoczeniem w głosie.

– Właśnie stamtąd wracam. A co z panem?

– Chciałem iść, ale oczywiście ktoś musiał tu zostać... – odparł, rzucając przepelnione odrazą spojrzenie czemuś zamkniętemu w gablocie.

– Czemu w takim razie pan nie pójdzie? Popilnuję tego miejsca.

– Och, nie, nie mogę. Członkini Komisji Etyki nie powinna wykonywać takiej pracy... – powiedział Onose. Jak na dłoni było widać, że chętnie przystałby na moją propozycję.

– To nic takiego. Jeśli pan teraz wyruszy, zdąży pan akurat na ceremonię składania wieńców. Niech pan ofiaruje kwiat zmarłej córce.

– Cóż... w porządku. Jeśli naprawdę nie ma pani nic przeciwko, dam się namówić.

Na twarzy Onose zagościł radosny uśmiech, jednak jego wzrok wciąż był utkwiony w szklanej gablocie.

– To wszystko wina tego... czegoś. Ten ohydny, podły... Mam nadzieję, że cierpi ponad ludzkie wyobrażenie.

– Ja też. Również straciłam rodziców i wielu przyjaciół... Powinien pan się pośpieszyć, ceremonia niedługo się zaczyna.

– Oczywiście, racja. Wychodzę – odparł, wybiegając z budynku.

Poczekalam chwilę, upewniając się, że nie ma zamiaru wrócić, po czym niespiesznie podeszłam do gabloty.

Odruchowo odwróciłam wzrok widząc to, co znajdowało się za hartowanym szkłem. Nie miałam jednak wyboru. Wzięłam głęboki wdech, policzyłam do dziesięciu i spojrzałam jeszcze raz.

Wewnątrz gabloty leżało coś, co kiedyś było żywą istotą, lecz teraz stało się jedynie bezkształtną, drżącą masą tkanek, która istniała tylko po to, żeby cierpieć.

– Squealer... – powiedziałam łagodnym tonem.

Co oczywiste, nie otrzymałam odpowiedzi.

– Powinłam była przyjść wcześniej, jednak dopiero dzisiaj nadarzyła się okazja. Musiałam czekać na moment, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu.

Aby zadawać Squealerowi nieprzerwany ból i cierpienie, do jego układu nerwowego wszczepiono specjalny rodzaj komórek nowotworowych. Kiedy zablokowałam sygnał bólowy, konwulsje ustały. Dziwoszczur prawdopodobnie po raz pierwszy od miesiąca poczuł ulgę.

– Dość już wycierpiałeś... Zakończmy więc to tu i teraz.

Wolałabym nigdy nie usłyszeć tego wszystkiego, co powiedział mi Satoru. Po raz kolejny poczułam ukłucie żalu. *Czy naprawdę dam radę to zrobić? Wiedząc, że leżąca przede mną istota pochodzi od człowieka?*

Przyszło mi na myśl pewne powiedzenie, mówiące, że czasami dla czyjegoś dobra trzeba być dla niego okrutnym.

Zamknęłam oczy i raz jeszcze spokojnie wyszeptałam swoją mantrę. Zazwyczaj jej słowa błyskawicznie same cisnęły mi się na usta, lecz tym razem powoli i ostrożnie wypowiadałam każde z nich.

Zahamowałam ośrodek oddechowy Squealera.

– Hej, Squealerze, pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? – spytałam delikatnie.

Mój głos nie mógł przedostać się przez szkło, ale przypuszczałam, że mimo wszystko dziwoszczur zrozumie, co chcę mu przekazać.

– Zostaliśmy schwytani przez Ziemne Pająki, ale zdołaliśmy uciec. Wtedy wpadliśmy na kolejną grupę dziwoszczurów i byliśmy pewni, że to nasz koniec. To były jednak Łowiki, twoja kolonia. Staliście się naszymi wybawcami.

Leżąca w gablocie bezkształtna masa tkanek oczywiście niczego nie odpowiedziała, jednak w dziwny sposób wiedziałam, że mnie słucha.

– Miałeś wtedy na sobie tę cudowną zbroję i mówiłeś tak płynnie... Nawet nie wiesz, jaką ulgę poczuliśmy, słysząc twój głos.

Usłyszałam coś w rodzaju cichutkiego westchnienia. To prawdopodobnie była naturalna, fizjologiczna reakcja na zatrzymanie oddechu, jednak brzmiała jak odpowiedź od Squealera.

– A potem miały miejsce wszystkie tamte wydarzenia, włączając w to nocną ucieczkę przed Kiroumaru. Już na samym początku wydałeś mu nas i przez cały czas pozostawaliście w zмовie, prawda? Poważnie, zawsze byłeś krętaczem...

Umilkłam nagle, uświadamiając sobie, że Squealer nie żyje.

Upewniłam się, że rzeczywiście tak jest i powiedziałam do siebie w myślach, że zrobiłam to dla jego dobra.

Ostatni miesiąc musiał być dla niego wiecznością. Teraz jednak męka wreszcie dobiegła końca.

Spaliłam ciało Squealera na popiół, chcąc uniemożliwić jakiegokolwiek próby przywrócenia go do życia, a następnie opuściłam izbę pamięci.

Zrobiłam to w przyływie niepohamowanego gniewu. Tak właśnie brzmiała wymówka, którą przygotowałam sobie na przesłuchanie. W ten sposób mogłam uniknąć poważniejszych konsekwencji. To oburzające, że członkini Komisji Etyki ośmieliła się tak zadrwić z reguł, nieprawdaż? Uświadomiłam sobie wtedy jednak, że w życiu istnieją rzeczy ważniejsze niż zasady.

Kiedy szłam przez park do moich uszu doleciały ciche dźwięki niesionej wiatrem melodii. Z odbudowanej ratuszowej hali nadawano „Powrót do domu”.

*Słońce ukrywa się za odległymi szczytami,
Gwiazdy rozświetlają niebo,
Dzisiejsza praca już skończona,
I czuję lekkość na sercu.
Wśród chłodnego, wieczornego wiatru,
Zbierzmy się wszyscy w krąg,
Zbierzmy się w krąg.*

*Ognisko jasno płonące wśród mroku,
Zaczyna już dogasać.
Sen nadchodzi szybko
Zaprasza mnie, bym zniknął,
I delikatnie nad nami czuwa.
Śnijmy więc wszyscy,
Śnijmy więc.*

Dlaczego? – wyszeptałam do siebie. Dlaczego nie mogłam powstrzymać łez?

Moja opowieść wreszcie dobiega końca. Chcę jeszcze jedynie pokrótce opisać, co wydarzyło się między tamtym dniem a chwilą obecną.

Za wyzwolenie Squealera od cierpienia zawieszono mnie na miesiąc w prawach członka Komisji. Nikt tak naprawdę nie miał do mnie żalu za to, co zrobiłam. Być może spowodowały to moje zasługi w doprowadzeniu do zakończenia wojny, a może po prostu gniew mieszkańców dystryktu ostygł na tyle, że zaczęli się czuć nieswojo, codziennie widząc żywą istotę, skazaną na wieczne męki. Mogli obawiać się, że przyczyniając się do tak okrutnej kary sprowadzą na siebie jakąś klątwę.

Długo i zażarcie debatowano nad propozycją wyeliminowania wszystkich okolicznych kolonii dziwoszczurów, jednak ostatecznie bardzo niewielką różnicą głosów ten pomysł został odrzucony.

W uznaniu za bezwzględną lojalność oszczędzono Olbrzymie Szerszenie oraz pięć innych podległych im kolonii. Dzięki temu zdołałam dotrzymać złożonej Kiroumaru przysięgi.

Z drugiej strony, wszystkie pozostałe kolonie zostały skazane na zagładę, a ja byłam jedyną osobą, która sprzeciwiała się temu wyrokowi.

Dwa lata później pobraliśmy się z Satoru, natomiast już następnego roku wybrano mnie na najmłodszą w historii przewodniczącą Komisji Etyki, który to urząd piastuję po dziś dzień.

Od tamtego dnia, kiedy wszystko obróciło się w pył, minęło dziesięć lat. Jak już wspomniałam na początku, nie jest to zbyt długi okres czasu, lecz wystarczający by narosło wiele nowych problemów. Jak na ironię, od czasu ustanowienia nowego ładu pojawia się coraz więcej niepewności na temat tego, co przyniesie przyszłość.

Najbardziej palącym z tych problemów okazał się kompleksowy raport na temat Bestii i karmicznych demonów. Zgodnie z jego treścią, ryzyko pojawienia się obu tych zaburzeń jeszcze nigdy nie było tak wysokie jak obecnie.

Jeszcze do niedawna uznawano narodziny Bestii i karmicznych demonów za efekt spontanicznej mutacji, jednak wspomniany raport stwierdza, że istnieje jasny związek między pojawianiem się ich a takim stanem psychicznym społeczności, w jakim znaleźliśmy się dziesięć lat temu.

Ta teoria, na ten moment wciąż będąca zaledwie przypuszczeniem, mówi, że kiedy wielu członków danej społeczności jest narażonych na silny stres i inne negatywne emocje, następuje nasilony wyciek cantusu, powodujący genetyczne mutacje, które znacząco zwiększają ryzyko narodzin dziecka z uszkodzonymi mechanizmami kontroli ataku i śmiertelnego sprzężenia zwrotnego.

Na domiar złego, ze sprawozdania wynika, iż w przypadku dziecka wychowywanego przez niestabilnych mentalnie rodziców, prawdopodobieństwo przekształcenia się go w karmicznego demona szybuje w górę.

Jeśli rzeczywiście właśnie w taki sposób powstają Bestie i karmiczne demony, oznacza to, że w istocie żyjemy w skrajnie niebezpiecznych czasach i nasze obawy są uzasadnione. Przez dziesięć lat nasz dystrykt dotknęła bezprecedensowa tragedia. Widok mnóstwa brutalnych morderstw wywołał u wielu ludzi traumę, której skutki odczuwalne są do dziś. Ponadto w czasie wojny z dziwoszczurami każdy z nas choć przez chwilę poczuł ogromną nienawiść i żądzę krwi.

Właśnie zaczął rozbudzać się cantus urodzonych w tamtym okresie dzieci. Jeśli któreś z nich jest dotknięte zespołem Ramana-Klogiusa bądź Hashimoto-Appelbauma, nad naszym dystryktem wisi realna groźba zagłady.

Z tego powodu Komisja Etyki musiała podjąć przykrą decyzję. Na przestrzeni ostatnich lat wznowiono program rozrodu przeklętych kotów. Satoru hodował je w ścisłej tajemnicy na Farmach Lotosu, gdzie był teraz naczelnym badaczem. Ostatnio pokazał mi dwadzieścia dwa śliczne kocięta. Na razie wyglądają zupełnie jak zwykłe koty, ale w ciągu następnego roku staną się bezlitosnymi, uzbrojonymi w przypominające szable kły zabójcami. Do tego czasu możemy jedynie modlić się, żebyśmy nie potrzebowali pomocy żadnego z nich.

To jednak nie jest wszystko, na czym skupiła się nowa Komisja Etyki.

Dotychczas dziewięć dystryktów archipelagu Japonii praktycznie nie utrzymywało między sobą kontaktów. Zaproponowałam, żeby naszym pierwszym krokiem była zmiana tej sytuacji.

Zakończona dekadę temu wojna z dziwoszczurami okazała się znakomitą ku temu okazją. Zorganizowałam konferencję, dotyczącą budowy nowych dystryktów, na którą stawili się przedstawiciele Tainai 84 z Hokuriku, Koumi 95 z Chuubu oraz Shiroishi 74 z Tohoku.

Kiedy udało nam się zacieśnić więzy z najbliższymi sąsiadami, zaczęliśmy przygotowywać się do rozszerzenia naszej wspólnoty o Yuubari Shinsei z Hokkaido, Seika 59 z Kansai, Iwami Ginzan z Chugoku, Shimanto z Shikoku oraz Saikai 77 z Kyushu.

Na tym jednak nie poprzestaliśmy. Kiedy udało nam się nawiązać stały kontakt z Saikai 77, wysłaliśmy stamtąd wiadomość do zlokalizowanego na południowym wybrzeżu Półwyspu Koreańskiego dystryktu Kaya (w tłumaczeniu pomógł nam niedawno schwytany fałszywy minoshiro). Prawdopodobnie po raz pierwszy od wielu wieków ludzie zdołali nawiązać stosunki międzynarodowe.

Pozostawała jednak jeszcze jedna rzecz, którą koniecznie trzeba było się zająć.

Ostatnio odbyłam z Satoru rozmowę na ten temat.

– Oni wszyscy są tak tchórzliwi i konserwatywni, że czasami ręce mi opadają. Dotyczy to zwłaszcza młodszych ode mnie członków Komisji.

– Nie przejmuj się tym. – Twarz Satoru rozpromienił uśmiech. – Oni zapewne są po prostu ostrożniejsi od ciebie.

Zastanawiam się, dlaczego wszyscy mi to powtarzają. Nie wydaje mi się, żebym była aż tak nierozważna.

– Czasami rozmyślam nad tym, czy cantus rzeczywiście przyniósł ludzkości jakieś korzyści. Może człowiek, który stworzył krzyż zawierający Psychobójcę miał rację, twierdząc, że to podarunek od diabła...

– Nie wydaje mi się – odparł Satoru, kręcąc głową. – Cantus to boska moc płynąca z całego Wszechświata. Po milionach lat ludzie wreszcie osiągnęli ten najwyższy stopień ewolucji. Być może na początku nie byliśmy gotowi na przyjęcie takiej potęgi, lecz teraz ostatecznie zdołaliśmy nauczyć się z nią żyć.

Jego optymistyczna opinia była typowa dla naukowców.

– Jak myślisz, możemy się zmienić?

– Zmienimy się. Musimy. Wszystko co żyje nieustannie się zmienia, dopasowując się do otoczenia, aby przetrwać.

Pytanie brzmi – jaka powinna być to zmiana?

Nie podzieliłam się z nikim swoimi refleksjami na ten temat, ponieważ trudno było się spodziewać, że ktokolwiek zaakceptuje taki punkt widzenia.

Dlatego też jedynie pokrótce o nim tu wspomnę.

Przyznaję, że istnienie kontroli ataku i śmiertelnego sprzężenia zwrotnego przywróciło pokój i ład.

Oba te mechanizmy są jednak sztucznymi, nieelastycznymi rozwiązaniami, które nie likwidują prawdziwego problemu.

Jesteśmy jak żółw z pękniętą skorupą – kiedy nasza obrona okazuje się zbyt słaba by powstrzymać wroga przed wdarciem się do naszego domu, nie możemy mu zupełnie nic zrobić.

Poprzednie incydenty z Bestiami oraz katastrofa sprzed dziesięciu lat jasno dały nam do zrozumienia, jak przerażające rzeczy dzieją się, kiedy zawiedzie kontrola ataku i śmiertelne sprzężenie zwrotne.

Kiedyś będziemy musieli pozbyć się tych dwóch pętających nas łańcuchów.

Możliwe, że będzie nas to kosztowało wszystko, co z takim trudem odbudowaliśmy.

Nie chcę w to wierzyć, ale nie mogę pozbyć się przeświadczenia, że ten nowy ład nigdy by się nie przyjął, jeśli nie byłby okupiony tak ogromną ilością krwi.

– O czym tak rozmyślasz, Saki? – spytał Satoru z zaciekawieniem.

– O niczym szczególnym... Mam nadzieję, że kiedy nasze dziecko dorośnie, społeczeństwo, w którym żyjemy będzie znacznie lepsze.

– Nie martw się. Na pewno tak właśnie będzie – odparł, gładząc mnie dłonią po brzuchu.

Rośnie we mnie nowe życie. Nasze pierwsze dziecko.

Zawsze wzdygałam się na samą myśl o posiadaniu potomstwa, lecz teraz już mnie to nie przeraża. Dzieci są naszą nadzieją;

niezależnie od wszystkiego co nas odtąd spotka, wierzę, że wyrosną na wspaniałych ludzi, zdolnych stawić czoła wszystkim problemom.

Uzgodniliśmy, że jeśli będzie to chłopiec, nazwiemy go Shun, dziewczynce zaś damy na imię Maria.

Od czasu tamtego wydarzenia sprzed dziesięciu lat, Shun ani razu mi się nie pokazał. Przypuszczam, że śpi gdzieś głęboko na dnie oceanu mojej podświadomości. Nawet jeśli to prawda, jestem pewna, że cały czas nas obserwuje.

Późnymi nocami, gdy świat pogrąża się w ciszy, zanurzam się w fotelu i zamykam oczy. Obraz, który wtedy widzę zawsze jest taki sam; wizja na stałe wyryta w mojej pamięci.

Ciemność. Ogień płonący nad ołtarzem na tyłach świątyni. Buchające z niego niczym pomarańczowe płatki śniegu iskry, zakłócające cichy dźwięk monotonnego śpiewu dobiegającego głęboko spod ziemi.

Zawsze zastanawiam się, dlaczego widzę właśnie tę scenę.

Myślałam dotąd, że to z powodu niezwykle potężnej sugestii hipnotycznej, jakiej użyto podczas ceremonii.

Teraz, zbliżając się do końca opowieści, uważam jednak, że to nie jest prawdziwy powód.

Płomienie prawdopodobnie symbolizują wieczność, nieskończone i nieustanne podążanie ku przyszłości.

Tak jak napisałam na początku, stworzę jeszcze dwie kopie tej historii, włożę je do kapsuły czasu i zakopię głęboko w ziemi. Pozwolę także przeskanować jej treść fałszywemu minoshiro, nakazując mu ujawnić ją dopiero gdy upłynie całe milenium.

Czy naprawdę możemy się zmienić? Wy, którzy czytacie to po tysiącu lat, zapewne znacie już odpowiedź.

Mam nadzieję, że brzmi ona „tak”.

1 grudnia 245, Saki Watanabe.

Być może to nieco zbyteczne, ale pragnę zwięździć tę opowieść zdaniem, które zdobi ściany Akademii Mędrców.

Moc wyobraźni zmienia wszystko.